

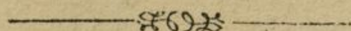
ATENEUM

PISMO NAUKOWE LITERACKIE

1882.

TOM III.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXVII.



WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 23.

1882.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Августа 1882 года



SPIS RZECZY.

I. HISTORYA.

Str.
Pomniki piśmiennictwa babilońsko-assyryjskiego. II. Pomniki historyczne p. *I. Radlińskiego* 29
Z pamiętników Leona Dembowskiego z mapą. 122,489
Kwestya niemiecka na schyłku XVIII wieku, p. *Stanisława Łukasa* 233
Początki Chrystyanizmu p. *I. Radlińskiego* 460
Aryowie pierwotni p. *J. T. Hodi* 529

2. RZECZY SPÓŁCZESNE.

Demokracya socyalna w cesarstwie niemieckiem. III p. *Aleksandra Oskierkę* 73
Listy czeskie. IX. p. *D-ra Gablera* 292
Socyologia Wojciecha Schäfflego 564

3. LITERATURA.

Przyczynek do literatury mazurskiej, p. *Jul. Jana Ossowskiego* . 145
Moliere w świetle najnowszej krytyki, p. *Edwarda Grabowskiego*. 358
Małpa-człowiek 395

4. BELETRYSTYKA.

Zygmunt Ławicz i jego koledzy, p. *Elizę Orzeszkową* 1
Na scenie i za kulisami. Historya parafialna, p. *Juliana Morosza*. 203,421

5. ETNOGRAFIA.

Str.
Wyspy Nukuoro. Z podróży po Oceanie Wielkim, p. *Jana Kubarego* 49

6. NAUKI PRZYRODNICZE.

O zdolności ruchu u roślin, p. *Aug. Wrześniowskiego* 50
Teorya Darwina w stosunku do nauki i życia, p. *Bronisława Rejchmana* 330,509

7. ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Szkice historyczne z życia żydów, w Warszawie skreślił Hilary Nusbaum. Ocenił *T. Korzon*. 171
Zbiór wiadomości statystycznych, odnoszących się do dóbr ziemskich, obciążonych pożyczką Towarzystwa Kred. Ziems. Ocenił *Henryk Konitz* 174
Katalog rękopisów biblioteki zakładu narod. im. Ossol., wydał dr. Wojciech Kętrzyński. Ocenił *Teod. Wierzbowski* 177
Memorie storicho-critiche archeologiche dei santi Cirillo e Metodio, per Domenico Bartolini. Ocenił. *Teod. Wierzbowski* 388
Carlo Malagola. I Polacchi in Bologona. Ocenił *Teod. Wierzbowski* 393
La langue des Tziganes slovaques par le Dr. A. Kalina. Ocenił *Jan Hanusz*. 384
Wrażenia literackie 179,389,597
Kronika miesięczna 150

ZYGMUNT ŁAWICZ

I JEGO KOLEDZY.

IX.

Paweł Rębko, eks-żołnierz a obecny posługacz przy najwyższém w X. miejscu sądowém, należał do téj grupy mieszkańców X., która w mówieniu posługuje się rodzajem gwary, utworzonéj z najdziwaczniejszéj mięszaniny dwu języków. Oprócz tego, odznaczał się on jeszcze tém, że zapytany kimby był? stale i niezmiennie, z ramionami jak struny wzdłuż boków wyciągniętemi, odpowiadał: „*katolik*“. O innych właściwościach, urodzeniu ludzkiemu towarzyszących, wyobrażenia nie miał. Kiedyś, za młodu, w okolicy szlacheckiéj, sznurem szarych domóstw nad brzegiem Niemna rozwiniętéj, wyobrażenie to istniało może w głowie jego, lecz w lekkich i bladych zarysach, które zatarte zostały przez dwadzieścia lat wędrowania po szerokich przestrzeniach i następujące po nich lata służby w sądowém miejscu. Teraz, w głowie mu już nie postało nigdy, aby czemś czy kimś innym mógł być jak tylko i wyłącznie: „katolikiem“. W zamian, katolik z niego był żarliwy i ta to żarliwość, wprawiała go w dnie niedzielne w kłopot nie mały. W dniach niedzielnych, z jednéj strony brzmiały rozgłośnie dzwony kościelne, z drugiéj strony, przy wjeździe do miasta, turkotały koła, przybywających na targi i nabożeństwa mieszkańców wsi. Paweł Rębko czuł się pociąganym w strony obie. Energiczne poczuwanie się do stanu „katolika“, wzmocnione jeszcze silną obawą piekła, ciągnęły go ku otwartym na oścież wrotom kościelnym; życiowe zaś interesa, jak téż przyzwyczajenia i zamiłowania fachowe, znajdowały się po stronie drugiéj. W kłopocie jednak tym, Rębko radzić sobie umiał. Naprzód, w godzinie bardzo wczesnéj szedł do kościoła, gdzie całym ogromem ciała swego, na klęczki przed ołtarzem runąwszy, modlił się czas jakiś

z książki i z pamięci, żarliwie, głośno, potężnemi pięściami bijąc się w piersi z całéj siły a czasem, twarzą ku dołowi, wyciągając się na ziemi w całéj długości i z rozpostartémi ramionami, czyli, krzyżem leżąc. W sposób ten, odbywszy obowiązkowe niejako, niedzielne klęczenie, szeptanie i wykrzykiwanie modlitw, bicie się w piersi i leżenie krzyżem, powstawał, przy wyjściu z kościoła, uroczyście bardzo skrapiał czoło swe i piersi święconą wodę i—skierowywał się ku jednéj z dróg, któremi wieśniacy do miasta wjeżdżali. Tu, na rogu ulicy stojąc, przypatrywał się pilnie wjeżdżającym do miasta wozom chłopskim i *kałamaszkom* zagrodowéj szlachty, jako też fizyonomiom siedzących na nich ludzi. Doświadczenie znać miał spore i gdy który z wozów czy która z fizyonomij, wydały mu się odpowiedniémi zamiarom jego, śmiałym krokiem a z dobrodusznym uśmiechem zbliżał się ku nim, najpokaźniéj jak tylko być może, prezentując na szerokich barkach galowy strój dymisyonowanego żołnierza a na wydymającéj się piersi, dwa wielkie i jak słońce złote medale. Bywali dość liczni właściciele wozów i *kałamaszek*, którzy prawdziwie wzruszonymi i zachwyconymi czuli się na widok dumnie i zarazem życzliwie zbliżających się ku nim zawiesistych wąsów, szerokich bark, błyszczących guzików a szczególniéj wielkich medalów Rębki. Człowiek taki, musiał być doświadczonym bardzo i biegłym we wszystkiém co tyczyło się prawa i urzędu, umiał pewnie sam pisać do sądów *prośby* i skargi, albo przynajmniéj znał takich co je pisać umieją! Powoli zrazu i od niechcenia niby, lecz potém coraz żywsze i poufniejsze zawiązywały się rozmowy, które Rębko zamieniał wkrótce w indagacye formalne i naiwnych, zalęknionych nieco przez ruch i gwar miejski przybyszów albo ku swemu mieszkaniu wiódł albo ku mieszkaniom protegowanych przez się indywiduów, których wspaniale, *adwokatami* mianował. Zależało to od rodzaju *interesu* i stopnia trudności, które *chodzenie około niego* przedstawiało. Około bardzo drobnych i łatwych, Rębko sam *chodzić* przyrzekał, to przecież że były one drobne i łatwe w najgłębszéj tajemnicy chowając. Nie rzadko też, w niedzielne południe, przed drzwiami Rębki, stało parę wozów lub kałamaszek a on sam w mieszkaniu swém, pomiędzy zdobytymi klientami siedząc, z czerwonym nosem w ogromne okulary uzbrojonym, sylabizował głośno papiery, ukazujące się kolejno z kieszeń siermięg i kapot. Potém, z kieszeni tych ukazywały się trzy lub pięciorublowe asygnaty, potém jeszcze, na stole, ukazywały się: butelka z wódką i talerz ze śledziem albo wędzoną kiełbasą a potém jeszcze, z twarzami opromienionemi najpiękniejszą nadzieją mieszkanie Rębki opuszczali klienci, on sam zaś, z asygnatami w kieszeni wychodził do miasta i długo nie wracał. Powrotu jego, w dniach po-

dobnych, Rębkowa oczekiwała z niepokojem wielkim, wiedziała bowiem, że ilekroć Paweł jéj wychodził do miasta z pieniędzmi w kieszeni, tylekroć powrót jego do domu odznaczał się bardzo głośnemi i nieraz bolesnemi „herezyami.“ Po prostu, wracał pijany a na odgłos krzyków podnoszących się w mieszkaniu jego, lokatorowie kamienicy mawiali pomiędzy sobą, że: Rębko żonę bije! Upokorzenia takiego, Rębkowa od innego człowieka nie zniosłaby pewnie ale od takiego jakim był Rębko, znosiła. Jeżeli bowiem z przyczyny jego miewała chwile wstydu, wynagradzało się to tygodniami dumy, którą ją rozum jego i wysokie jego w świecie stosunki napełniały. Jeżeli czasem, od uderzeń pięści jego bolały ją plecy, jakże za to w dniach innych szczęśliwą bywała! Rębko kochał żonę swoję, w oczy za oczy mawiał o niéj zawsze, że jest kobietą piękną, od czasu do czasu prowadził ją wystrojoną pod ramię po ulicach miasta lub za miasto, a gdy w wieczory zimowe w gronie znajomych i przy butelce piwa albo wódki rozweselił się czasem, to zrywał się ze stołka chwytał ją w pół i przy dźwiękach harmoniki albo samemu sobie przyśpiewując aż do stracenia tchu tańczył z nią *mieciełicę*, z wieśniaczéj jeszcze, wpółchłopskiéj młodości zapamiętaną. Pomimo więc przytrafiających się dość często „herezyi“, małżeństwo Rębków było kochającém się i szczęśliwém. Niedostatku téż, w obszernéj, niskiéj izbie, o dwu-oknach i wielkim kominie nie było. Zarobki mieli oboje niewielkie lecz rozmaite, bo i kobieta ze swéj strony zarabiała, obsługując niezamożnych lokatorów kamienicy a pensyą którą mąż jéj otrzymywał w Izbie, chroniąc przed okiem i ręką jego, z czujnością Argusa.

W tę niedzielę, która nastąpiła po rozmowie Rębkowéj z Ławiczem, Rębko na żadną z dróg wjazdowych nie udał się ale wprost z kościoła przyszedł do domu. Wiedział już o wszystkiém od żony a sprawy familijne mocno mu znać na sercu leżał y. Wychylając kieliszek wódki a przekąsując podaną mu przez żonę skrobaną rzodkiew, pokręcał zawiesistego wąsa i żartobliwie zerkał na Frankę, która, bledsza niż zwykle, bez kwiatów we włosach, żwawo jednak i pracowicie krzątała się około izby i obiadu.

— No cóż? dziewczyno! odezwał się po chwili, w służbę iść pora! miejsce ci już znalazłem. W porządnym domu, cztery ruble na miesiąc pensyi...

Franka siekając mięso na stolnicy i nie odwracając głowy, półgłosem odpowiedziała.

— A jakże! kiedy trzeba to trzeba! Na toż mnie tu ojcowie przy-sła...

Zaszlochała.

— Czegoż beczysz? Możeby ci lepiéj męża dać jak służbę, hę?

Franki przy stolnicy już nie było. Nóż, którym siekała mięso leżał na ziemi, perkalowa zaś i zawsze wykrochmalona jéj suknia szeleściła pomiędzy piecem a szafą.

— Chowaj się czy nie chowaj, smarując na chleb skrobaną rzodkiew prawił Rębko, a powiedziéć musisz. Co wolisz: służbę czy męża? hę?

Pomiędzy szafą a piecem ozwało się gniewne sarknięcie.

— Niech jego dyabli wezmą!

— Kogo? męża?

— A takiego, co wy mnie dać możecie! z płaczem fuknęła dziewczyna.

Rębkowa śmiała się z téj rozmowy męża z synowicą tak, że się aż za boki brała.

— Oho! rzekł Rębko, panience panicza się zachciało! ja to wiem! A jak ci na męża dam panicza to co będzie? hę? pocałujesz ładnie *dziadźka*, pogładzisz jemu wąsy, hę?

Teraz, pomiędzy szafą a piecem płacz ucichł a słyszéć się dawał szmer do drapania paznogciem po drzewie podobny. Przytém, cichy i drżący głos Franki wymówił.

— Co to i gadać! wiadomo, że to nie w waszéj mocy jest—tylko w boskiéj!

Rębko wstał.

— W boskiéj *swoim porządkiem*, rzekł, a w mojéj swoim. Ciekawy jestem co w mojéj mocy nie jest? Ot, zobaczysz, że kiedy zechcę to stanie się według życzenia twego a kiedy nie zechcę, to nie stanie się. W mojéj mocy jest wszystko.

— Nuże, krzyknęła Rębkowa, wyleź tam z kąta a padnij do nóg wujowi, poproś go, to ci szczęście zrobi. On wszystko zrobi co zechce.

Rębko stał na środku izby, z czapką w ręku i widocznie czekał na to aby dziewczyna, o *zrobienie* jéj szczęścia prosiła. Wszechmocność jego błaganą być chciała. Ale Franka, nie wyłaziła z kąta.

— Wstydzi się! usprawiedliwiała ją z cicha Rębkowa.

W tejże chwili, dziewczyna, jak zwykle bywało, niby koza dzika wyskoczyła z kąta, i przed Rębką na kolana upadła. Nie pochyliła się mu do nóg ale twarz i załamane ręce ku niemu podnąsząc, wołać zaczęła.

— Oj wujaszku, wujaszku. Ulitujcie się wy nademną i w służbę mię nie oddawajcie! Ja niczego nie chcę i *za męża* iść nie chcę, tylko tutaj chcę zostać... Ja nie będę wam darmo chleba jeść, służyć wam będę i na zarobki chodzić, byle tu zostać...

Rębko z uśmiechem, targał wąsa.

— Cóż? czy tak nas polubiłaś, że już przy nas tak żądasz zostać?

Dziewczyna skłamać widać nie mogła.

— Oj wujaszku! zawołała, *tu* żądam zostać, *tu* żądam...

We wzniesionych jéj oczach, postawie, gestach i błagalnym wyrazie zalanéj łzami twarzy malowało się uczucie niesforne, prostacze lecz szczere i pełne bólu.

Kiedy po chwili Rębko wszedł do izdebki Ławicza, napełniła się ona zmięszanym zapachem wódki, rzodkwi i dziegciu, którym wysmarowane były buty jego, wyżéj kolan sięgające. Medalów swoich, dnia tego nie włożył, tylko na sukiennym szynelu, wyczyszczone starannie, błyszczały metalowe guziki.

— Dzień dobry! przyszedłem tu *na konto* interesu tego, o którym pan wczoraj z babą moją gadałeś. U baby zwyczajnie jak u baby: włosy długie, rozum krótki. O takich rzeczach, męzkim głowom myśleć. Pogadamy.

Przysunął krzesło do stołu, przy którym siedział Ławicz i rozsiadł się na niém jak można było najwygodniéj.

Na bardzo znużonéj i bladéj dnia tego twarzy młodego człowieka, rozlał się wyraz dolęgliwéj przykrości. Dotąd, zostawał on z Rębką w stosunkach dalekiéj tylko znajomości. Być może, iż to uczucie, które powziął dla ładnéj dziewczyny, a które miłością nazywał, podobném było do delikatnego kwiatu, i że z niepokonanym wstrętem widział on, opadającą na kwiat ten grubą dłoń Rębki. Ze spuszczonemi oczami milczał. Rębko mówił daléj.

— Interes jest taki. Chcesz pan żenić się z dziewczyną naszą. I ja i baba moja, nie mielibyśmy nic przeciw temu. Jedna tylko przeszkoda jest, bardzo ważna. *Utrzymania* pan nie masz, słyszysz pan *utrzymania* niemasz... a utrzymanie, to jest taka rzecz, bez któréj my dziewczyny nie damy. Niech lepiéj służy, niżby miała głód cierpiéć. A znasz pan przysłowie: goły z gołą, dzieci złodzieje! cha, cha, cha, cha!

Śmiał się grubo i tak serdecznie, że aż trzęsły się mu szerokie ramiona.

— Panie Rębko, zaczął Ławicz, pracuję przecież w biurze i przytém...

Rębko wzniósł w górę wskazujący palec i wywijał nim w powietrzu.

— W biurze! w biurze! e! *głupia sztuka*! 25 rubli na miesiąc. I jednemu to nie bogactwo, a z familią nędza. I matkę jeszcze pan masz, któréj zawsze siaką taką kopiejkę posłać trzeba będzie, hę? I przytém jeszcze, to bardzo niepewne. *Sztatnym* (etatowym) nawet

pan nie jesteś. Jak powiedzianém jest w św. Ewangelii, nie wiesz ani dnia ani godziny... kiedy ci pstryczka w nos dadzą i wypędzą. Ot jak! Takim sposobem, to już naszéj dziewczynie lepiejby było za rzemieślnika pójść, bo za rzemieślnikiem chleb i sutszy i pewniejszy. Interes czysty!

Na policzki Ławicza wybiły się plamy rumieńców, boleśne rozdrażnienie świeciło mu z oczu.

— Panie Rębko, rzekł cichym i od przykrego wzruszenia rwącym się głosem, sam już o tém wszystkiém myślałem, i zdaje mi się że potrafię dać sobie radę. Znam kilka obcych języków i mam trochę nauki w głowie. Będę dawał lekcye po domach.

Rębko, z ironicznym uśmiechem na grubych wargach, wlepiał w niego okrągłe swe, sprytem i śmiałością błyszczące oczy a przecząco wstrząsając głową, stanowczo wyrzekł.

— Nie zgadzam się. Dawanie lekcyi po domach *glupia sztuka*. Żebyś pan miał uczony patent a naprzykład profesorem w gimnazyum mógł być,—to co innego; chleb byłby choć *tak samo* nie suty, ale przynajmniéj pewny i przytém honor... Ale po domach pędzać się, cha, cha, cha! gadaj pan sobie zdrów, tylko nie mnie! Ja za *gubernera* dziewki nie oddam. To moja krew i poniżoną nie będzie.

Ławicz, nagłym ruchem wstał z krzesła. Nie patrzał na Rębkę. Ze szklistości oczu jego widać było, że patrzył w samego siebie a wzburzony był bardzo, z plamami rumieńców na policzkach i ręce mu drżały.

— Cóż to znowu? zawołał, czy i to jeszcze, wzbronionem mi być ma i niedostępném, to, co jest powszechném prawem natury, co może być jedyném mojem dobrém na ziemi?..

Rębko śmiał się.

— No, no! nie desperujże pan tak zaraz? po co te desperacye? Albo ja panu dziewki odmawiam? Niech Pan Bóg broni! pan jesteś człowiekiem z pięknéj familii, katolikiem i z głową... czemużby nie? Tylko, *utrzymanie* trzeba mieć a w tém już moja głowa. Jeżeli pan mojéj rady posłuchasz, to ja pana i z Franką ożenię i człowieka z pana zrobię. Trzeba tylko żebyś pan mnie jak rodzonego ojca słuchał.

Jakkolwiek skromność i małe o sobie mniemanie były cechami charakteryzującemi Ławicza, wiadomość o tém, że Paweł Rębko miał z niego człowieka zrobić, wydała mu się tak szczególną, że aż wywołała mu na usta prawie wesoły uśmiech.

— Ot już i *obradowałeś się*! ze śmiechem zawołał Rębko; no, bo i jest czego! Gdzie moja głowa postanie, tam już i smucić się przyczyny niema. Ot moja rada! adwokatem zostań!

Ławicz osłupiał.

— Ja, adwokatem! ależ ja do tego ani odpowiedniéj nauki, ani żadnych kwalifikacyi nié mam!

Rębko śmiał się.

— Niech pana Pan Bóg kocha, jaki z was śmieszny człowiek! Jakiéj tam nauki potrzeba? pfuj, zgiń maro przepadnij! przeczytać *ustawę* dla sądów *mirowych* (pokoju) i koniec! A sześć lat *w pałacie* służysz! tożbyś chyba *durniem* był, gdybyś nie umiał jeszcze *prośby* napisać, *iskowego* podania zrobić, *sprawkę* (kwerendę) zaprowadzić i co do czego należy, hę? *Ustawę* o stemplowych papierach znasz? *Formę na najwyższe imię*, znasz? Język w gębie masz? a...

Tu pochylił się ku Ławiczowi i wytrzeszczając oczy, z odpowiedniemi gestami rąk a tajemniczo zniżonym głosem, dodał.

— A *pocichieńku* z kim trzeba będzie, pogadać potrafisz?

Nieznacznie i stopniowo, zaczął w rozmowie swéj używać wyrazu: ty! czuł się widocznie powagą umysłową, względem uczonego młodzieńca tego, który z całą uczonością swą *utrzymania* nie miał. Że zaś, żenić się on chciał z dziewką jego, więc téż czuł się on względem niego i powagą rodzinną. Obu łokciami na stole rozparty, wskazującym palcem wywijając w powietrzu, mówił daléj.

— Co się zaś tyczy tych *kalifikacyi*, *pusta sztuka! Kalifikacye* potrzebne dla przysięgłych ale, *abo* to tylko przysięgłym pozwala się *za interesami chodzić*? Wszystkim pozwala się. Czy Icek Rejber, ma jakie *kalifikacye*? A ot z interesów dwa domy już sobie zbudował. *Abo* ten chałatnik Kukawer, czy ma jakie kalifikacye? a pijaczysko te, Lipski ten, co kiedyś w Izbie służył a teraz familią z interesów utrzymuje, ma jakie? a na ten przykład choćby i ja sam... Ale co o tém gadać? Jak zaprowadzą w sądach nowe porządki, trudniéj będzie, choć zawsze, siako tako, można będzie ale teraz, byle egzamin zdać—to już nawet i językiem przed sądami obracać możesz... A jaki to egzamin, kiedy go nawet Kukawer zdać potrafił? A ja już dla ciebie większego dochodu i lepszego utrzymania jak ma ten chałatnik Kukawer i nie żądam...

Ławicz, z mniejszém już zdziwieniem słuchał długiéj mowy Rębki. Myśl przecież o kolegowaniu z Ickiem Rejberem, Kukawerem, i pijakiem Lipskim, nie zdawała się sprawiać mu roskoszy. Wzburzony, zawołał.

— Ależ Kukawer, Rejber i Lipski mają opinią ludzi nieuczciwych...

— E! *pusta sztuka*! co to do tego ma! uczciwość to taka rzecz, która od sumienia zależy. Czy kto ciebie będzie przymuszał, abyś

tak jak oni obdzierał i oszukiwał ludzi? Kiedy tobie bez obdzierania i oszukiwania dobrze będzie! Ważnych interesów w *pałacie* pewno nie będziesz miał, bo do tego to już różnych inszych rzeczy potrzeba. Ale że u *mirowych* roboty ci nie zabraknie, w tém już moja głowa. Jak ja w twoję stronę interesa zapędzać zacznę, to połowa ich od Kukawera i Rejbera do ciebie przejdzie. Z wierzchu patrzając, to niby *drobne sztuki*, bo tam tylko różne *małe kryminały* i cywilne *dzieła* do 500 rubli dochodzące, ale jak się tego nazbiera dużo, to i nie obejrzysz się, jak bez krzywdy nawet ludzkiéj, piękne utrzymanie sobie zrobisz.

Z pół godziny jeszcze prawił o możliwości i wielkiéj korzyści, ułożonego przez się planu. Potém wstał i wziął czapkę.

— No, namyślaj się sobie.— Król *abo* cygan! *abo* rady mojéj posłuchasz, dziewkę weźmiesz i na człowieka wyjdziesz, *abo* zgiń i przepadnij!

Obejrzał się po izdebce, wzgardliwie na książki popatrzał.

— Te ot Talmudy — rzuć! Wyschłeś przy nich jak w Psalmie świętym powiedzianem jest, niby wróbel na dachu i tyle! Kancelaryą też potém rzucisz, bo i takie służenie w niéj jak twoje, psu na budę nie zdało się. Z biedy ci trzeba wyleźć — to *pierwsze*, a *drugi raz* — to nawet i *wstydno*, żeby w takim wieku człowiek nie mógł jeszcze żonki sobie wziąść, albo rodzonéj swojéj matki przy sobie trzymać, dlatego że niema im czego do gęby włożyć — pfuj!

Wyszedł. Ławicz siedział długo z łokciami na stole, z twarzą w dłoniach. Człowiek ten, śmierdzący wódką, rzodkwią i dziegciem, doradca ten, mówiący obrzydliwą gwarą, miał słuszność! po wielekroć miał on słuszność! *Piersze*, wstydno było istotnie, okropnie *wstydno*, że w wieku dojrzałym znajdował się on jeszcze w stanie takiéj nagości i bezsilności, jak gdyby był małém dziecięciem, lub ostatnim głupcą i niedołęgą! *Drugi raz* boleśnie było, okropnie boleśnie, że ani kobiety, którą pokochał, ani rodzonéj matki swéj ku sobie przygarnąć, opieką i miłością otoczyć nie mógł, dlatego, że nie miał czego do gęby im włożyć! *Trzeci raz* plan ułożony przez człowieka tego był do wykonania zupełnie możliwym. Nakoniec: uczciwość jest to rzecz taka, która od sumienia zależy, więc na każdem miejscu świata tego, sumienie świadome zła i dobra, czystem pozostać może....

Wstał i stanął przy otwartem oknie. Tuż za oknem, promienie słoneczne roznieciały w blaszanym dachu ognisko olśniewających świateł. Nad niém, w tęczowych blaskach jego, krętym lotem krążyły dokoła siebie dwie jaskółki. Powyżéj ciągnął się długi pas nieba błękitny i złotą łuną powleczony, pod nim bardzo wysoko i co-

raz wyżéj, wzbijał się wielki ptak, z szeroko rozpiętemi skrzydłami. O, biedny ptaku, samotnie lecący w blaski niebieskie!

Kiedy Ławicz odwrócił się od okna, wyobraźnia przyniosła mu przed oczy dziwne widzenie. Wydało mu się, że u drzwi samych, wysoka i wiotka kobieta, z siwémi włosami i śladami wielkich cierpień na łagodnéj twarzy, stoi w ubogiéj czarnéj sukni i ku niemu wyciąga ramiona. Była to matka jego — dawno nie widziana. Tam znowu, na dole, na wschodach prowadzących do jego poddasza, tylko o parę piętr niżéj, zadzwoniła piosenka:

Gdybym ja była słoneczkiem na niebie....

Wziął czapkę i wyszedł, a gdy po upływie kwadransu, wraz z Franką ukazał się na dziedzińcu, Rębkowa stojąca w otwartych drzwiach swego mieszkania, cała w falbanach i wstęgach niedzielnego stroju, zdala już witała go dygami i uśmiechami.

— Czy możemy mieć ten honor ażeby pana na nasz obiadek prosić? — zapytała.

A gdy zaprosiny przyjął i do izby wchodził, z tkliwością w oczach pogładziła go ręką pod brodę, a potém figlarnie grożąc tłustym palcem, zawołała:

— Oj! bałamut z kawalera, bałamut! Ot i mnie starą babę od wczorajszego wieczora zbałamuciłeś! No siadajże tu, pomiędzy mną a *moim*. Franka! piérog już upiekł się?

— A jakże! — przyskakując do pieca zawołała dziewczyna, — a jaki dobry będzie! Takem go długo mięsiła, mięsiła!

Rębko, w wielkich okularach na czerwonym nosie, czytał a raczéj półgłosem sylabizował podarty i otłuszczony tom *Zbioru praw*. Złożył książkę, zdjął okulary, wychylił kieliszek wódki.

— A ty nie pijesz pewnie, he? delikacik taki! — zwrócił się do Ławicza.

— I chwalić Pana Boga za to, że nie pije — zawołała Rębkowa.

Franka zapatrzyła się na Ławicza tak, że o mało dymiącego piéroga z mięsem na głowę Rębki, z wyszczerbionego półmiska nie zrzuciła.

Marzyło jéj się może zawsze o kawalerze takim, coby wódki nie pijał. Nachylając się ku Rębkowéj, do ucha jéj szepnęła:

— Ciotko! *On* przy wujaszku to jak królewicz jaki wyglądał dalibóg — że jak królewicz!

Przez cały czas obiadu i z godzinę jeszcze potém Rębko rozprawiał o ustawach i artykułach prawnych, o *pałacie*, *mirowych*, procesach i kryminałach różnych, jako téż o prywatnych sprawach i stosunkach ludzi, do najrozmaitszych warstw społecznych należą-

cych. Kiedy zaś Rębkowa kazała France rozniecić ogień i gotować przy nim na podwieczorek kawę ze śmietanką, z fajką przy ustach usiadł blisko ognia i całą postawą swą jako też wyrazem twarzy przedstawiał obraz doskonałego spokoju i zadowolenia ciała i ducha.

Duża, niska izba Rębków, z miejsca pełnego śmiecia, pyłu i smrodliwéj zaduchy, jakiem była dawniéj, od przybycia tam Franki przemieniła się w mieszkanie pełne prostego, wiejskiego prawie wdzięku.

Znajdowały się tam w ilości znacznéj ławy, stołki i czerwono malowane komódki, były też dwa łóżka wysoko spiętrzone dostatnią pościelą, stara kanapa z żółtemi poręczami, oszklona szafka z parą stłuczonych szybek i pomiędzy oknami lusterko na ścianie, a pod nim stolik z krucyfiksem, fotografią obojga Rębków i lampką napełnioną łojem a paląca się przed jaskrawo malowanym obrazem Najświętszéj Panny Ostrobramskiéj. Wszystko to połyskiwało teraz od czystości.

U otwartego na dziedziniec okna, Franka z dumą wskazując na sprzęty te, szeptała:

— O mało mi ręce nie poodpadały, takem to wszyściutko przez trzy dni myła a myła, a szorowała. Za to teraz ciotka i wuj niby w pałacu sobie mieszkają! Niech im to będzie na zdrowie! dobrzy oni ludzie — oj, dobrzy!

Zresztą izba ta wyglądała jeszcze nakształt jakiejś ogrodowéj altany. Franka, na rzecz ciotki, wuja i swoję, rabowała formalnie mały ogródek, do kamienicy téj należący. Zieleni różnéj, kwitnącéj i niekwitnącéj była tu moc wielka. W więzie powiązana stała ona w garnkach u okien, na komódkach, w różnych stronach i kątach izby, zwieszała się z belek niskiego sufitu, podłoga nawet była usypaną liściem ajeru, po który Franka aż na rynek biegała a zapach ajeru i bzu, pochłaniał bez śladu łojowy smród palącéj się przed krucyfiksem lampki i wonie spożytego przed godziną obiadu.

Rębko słodko drzemiącym wzrokiem dokoła siebie wodził.

— Niech będzie Pan Jezus pochwalony!— wymówił — tak mnie ot dobrze w chacie mojéj, że i na nieszpory nie chce się iść!

— Bo już i po nieszporach wujaszku! — z głośnym śmiechem zawołała Franka. — Dawno już dzwonili!

Rębkowa obudziła się z drzemki i w ręce żałośnie klasnęła.
— Po nieszporach! a ona się dziś tak na nieszpory wystroiła i przytém chciała pomodlić się za szczęście młodéj pary! Zaledwie wyrzekła to, Franki nie było już w izbie. Pąsowa jak piwonia wyskoczyła na dziedziniec.

Rębko zwrócił się do Ławicza.

— To i jakże będzie?— zapytał — czy stanie na miejscu? interes nasz skończony, hę?

— Skończony — odpowiedział Ławicz — który wychylając się przez otwarte okno, widział Frankę przysiadłą na wschodach, z rękami splecionemi jak do modlitwy a twarzą w rumieńcach, uśmiechach i łzach. Widać było, że rozkochaną dziewczynę porywały zarazem: płacz, śmiech i pragnienie modlitwy.

W tej samej prawie chwili, do mieszkania Rębków schodzić się poczęli zwykli, niedzielni ich goście. Był tam kolega Rębki, daleko mniéj od niego wspaniały, owszem, pokornie wyglądający posługacz Izby, w surducie z zielonym kołnierzem; był *człowiek* Mikołaja Hilaryonowicza czyli lokaj prezesa Izby z fizyonomią poważną, gęsto zarosłą a barwą cery swéj zdradzającą silne zamiłowanie w rozgrzewających napojach; był jeszcze inny jakiś *człowiek* czyli lokaj, młody, zgrabny, wystrojony, w krawacie którego błękitność aż oczy rwała, w glansowanych rękawiczkach i z ładną laseczką w ręku; był jakiś *dzieńszczyk* jakiegoś majora, w żołnierskiem ubraniu, z twarzą smutną, mizerną a oczami pełnémi tęsknoty za tą może wioską rodzinną, z któréj niedawno do wojska go wzięto i ów stryjeczny brat Franki, Józefek Rębko, *kancelarzysta* głupowaty, z osowiałemi oczami, w butach trochę podartych a z czapką, na któréj świeciła srebrna gwiazdka. Powoli towarzystwo zwiększało się coraz. Przyszło parę przyjaciółek Rębkowéj, tak jak ona niedzielnie nastrzępionych falbanami i wstążkami i dwie czy trzy dziewczyny, córki rzemieślników, w sukniach wykrochmalonych i z wyfiokowanemi głowami. Kobiety przychodziły z nieszporów, więc miały wszystkie grube książki do nabożeństwa, które z poszanowaniem składały przed fotografią Rębków, i palącą się łojową lampką. Stróż Izby w zielonym kołnierzem przyniósł z sobą harmonikę, a ładny lokaj, w błękitnym krawacie, funt orzechów włoskich, w prezencie dla pani Rębkowej niby — ale prezent ten gospodyni mieszkania wręczając, zerkał z ukosa na Frankę, która bocząc się od miejskich dziewcząt gadatliwych i wyfiokowanych i od głupowatego Józefka, który za rękę wziąść ją pobróbował, miała widoczną ochotę schować się pomiędzy piec a szafę.

— Licho ich tu wszystkich naniosło! — szepnęła — i z trwogą w oczach skoczyła za Ławiczem, który z czapką w ręku wysunął się z izby. Po kilku minutach wrócili razem a w izbie było już bardzo gwarno. Za stołem, z łokciami na stole siedział Rębko a przed nim, w towarzystwie dwu czarek cynowych stała butelka wiśniowéj nalewki. Rębkowa tłukła przed ogniem jaja na jajecznicę a do Franki zawołała: — Lampę zapal!

W dziedzińcu zapadł zmrok. W mieszkaniu Rębków, w zmięszaném świetle sporéj lampy i palącego się na kominie ognia: ludzie ruszali się jak mrówki i gwarzyli jak rój pszczół. Rębko pił sam i gości częstował. Kolega jego z zielonym kołnierzem pił niewiele, milczał i tylko od czasu do czasu rozciągał harmonikę swą, która wydawała przeciągłe skrzypiące dźwięki. W zamian *człowiek* Mikołaja Hilaryonowicza wychylał czarkę za czarką i śmiał się z lokaja w błękitnym krawacie, który na nalewkę patrzeć nawet nie chcąc z krzyczącemi i chichoczącemi dziewczętami grał w kota i myszkę, i z młodego *dzieńszczyka*, który jedną tylko czarkę wychyliwszy, wodził oczami po napełniającéj izbę zieloności a nabrawszy w garść z podłogi liści ajerowych, zapach ich zawzięcie w nos sobie wciągał.

— Ej! ej! na *dzieńszczyka* patrząc zawołał Rębko—co to ty Jaśku zielsko te tak wąchasz? czy ci to zdaje się, że gdzieś za swojem *siołem* nad brodem jakimś siedzisz, a na dziewkę swoję czekasz, a żaby ci w uszy same śpiewają: kum! kum! kum-kum! — Ej, bratku, darmo wołać tego co minęło! Minęło sioło twoje i minął twój bród z ajerem i dziewka za kogo innego poszła a żaby na jéj weselu śpiewały o tobie: kiep! kiep! kiep-kiep!

Otaczający butelkę z nalewką mężczyzni i starsze kobiety pokładali się od śmiechu. Jasiek wychylał podaną mu czarkę, a Rębko patrząc na niego prawił:

— Widzicie bo ludzie mili, ja tego młodego *sołdata barzdo* lubię, bo kiedy na niego patrzę, to wydaje się mnie jakbym na samego siebie patrzał. Wiele tobie Jasiek lat może być? Młody ty jeszcze! I ja taki sam byłem, kiedy z okolicy swojéj rekrutem w świat ruszałem. A rekrutem. Bo choć Rębkowie szlachtą są z dziada pradziada, ojciec nieboszczyk legitymacyi nie zrobił. Nie zrobił i koniec. *Odnodworzec* jesteś i do wojska marsz! Kiedy marsz, to marsz! A tu, Boże mój! lato na świecie, niby raj, chłopcy konie w nocy na łąkach pasą, w kościele na majowe nabożeństwo do Najświętszéj Panienki Maryi dzwonią, matka płacze aż ryczy, siostry obejmują a dziewucha, Kazimiera ta, com się w niéj kochał, za opłotkiem z Wickiem Rębką szepce się i ryhocze.... Mało mię wtedy dyabli nie wzięli z żalu a ze złości.... — Ale kiedy marsz, to marsz! — zaśpiewałem sobie....

Tu otworzył szeroko usta, rozpostarł ramiona i głosem olbrzyma zawył raczéj niż zaśpiewał:

„Bywaj mi zdrowa wiosko kochana...."

Jasiek wychylając trzecią czarkę i *człowiek* prezesa z dobrze już zaczerwienionym nosem i para starszych kobiet, podjęło chórem:

— Tra-ra-ra-ra, tra-ra-ra-ra!

Wrzask to był niesforny i pół pijany, zawodzony na tęskną nutę. Towarzyszyły mu skrzypienia harmoniki, chichot dziewczyn, ściganych po izbie przez młodzieńca w błękitnym krawacie, szum i pisk gotującego się przed kominem samowara i świerczenie smażącéj się na ogniu jajecznicy ze słoniną. Rębko, któremu oczy coraz silniéj błyszczały, stuknął pięścią w stół i krzyknął:

— Kiedy bal to bal! Babo, dawaj tu jeszcze butelek i wszystkiego czem chata bogata! Na ekspens nasz ludzie mili nie uważajcie, a pijcie i jédzcie, *z przynuką* i *bez przynuki!* Co dla mnie ekspens znaczy! Póki głowę na karku mam, pótym sobie pan! o nic nie dbam! Na wojnach bywałem, znaki zasług moich na piersiach noszę, co mnie już nikt nie odbierze.... a i na plecach moich *tak samo* znaki noszę, co mnie już ich nikt nie zagoi.... różnie bywało!.... Pół świata zwędrowałem a potém ej! ej! ej! do okolicy swojéj rodzonéj wróciwszy, krewniaczkę swoję pojąłem i żonkę mam jak róźę piękną a sam Mikołaj Hilaryonowicz zna mnie i jak koło mnie przechodzi zawsze choć głową kiwnie.... Ej! ej! Jasiek! nie smuć się ty i *stoła* swego nie żałuj.... Będzie z tobą tak jak ze mną.... Na człowieka wyjdziesz!

Zawierucha w izbie stawała się coraz większą. Dziewczyny w krochmalnych sukniach, szklanki z gorącą herbatą porywały, ukropem tym pryskając na kawalerów, którzy im w zamian kawałki chleba i bułek w twarze ciskali. Ktoś potknął się o rzucony na ziemię orzech włoski i upadł, wywołując tém uciechę powszechną. Rębkowa, która smażąc jajecznicę i ze swéj strony też rozmową zabawiając gości, nieznacznie dzióbnęła była parę czarek nalewki, płakała przed przyjaciółkami swemi, zapychającemi sobie usta chlebem, jajecznicą i siekanym czosnkiem, stojąc a oczy chustką do nosa, część niedzielnego stroju stanowiącą, ocierając, mówiła:

— Jezu Panie! Dziewucha ledwie nogą tu stanęła, już sobie męża znalazła. I jakiegoż jeszcze! Z pewnéj familii, miłe moje, pochodzi, z wielką edukacyą człowiek i taki delikatny! *Herezyi* żadnych robić jéj nigdy nie będzie a panią ją uczyni....

Rębko wysunął się z za stoła i z czarką w ręku, rozrumieniony i rozrzewniony, od jednéj do drugiéj z osób obecnych przechodził.

— Cieszcie się ludzie mili—mówił— na moim dworze dziś święto wielkie.... bratanicę za mąż wydaję... za adwokata... ej! ej! za adwokata wychodzi... za panicza z familii pięknéj i z edukacyą wielką....

Powinszowania rozległy się dokoła. On zaś, bardziéj jeszcze niemi rozrzewniony, otwierał ramiona i obejmując niemi każdego

kto się powinął a cmokając w twarze mężczyzn i starsze kobiety i nawet uciekające od niego dziewczyny całować probując, wciąż monotonnym głosem prawił:

— Cieszmy się ludzie mili, radujmy się.... my wszyscy *katoliki*.... całujmy się i radujmy się... wszyscy my *katoliki*....

Dziewczęta otoczyły Rębkową.

— Kiedy zaręczyny, to niechże będą z tańcami!— krzyczały.

Kawaler w błękitnym krawacie całował gospodynię w ręce, o tańce prosząc. Józefek z osowiałym wzrokiem, nogami w podartych butach, wybijał hołupce.

— Wszyscy my *katoliki* — prawił Rębko — cmokając ustami w prawo i w lewo, ku policzkom męskim i kobiecym. Nagle stanął, nogą o podłogę uderzył tak, że aż zadzwoniły na stole talerze i czarki i krzyknął:

— Ej! ej! Ludwik! graj!

Ludwik, to jest kolega Rębki z Izby, milczący i pokorny człowieczyna z zielonym kołnierzem, rozciągnął harmonikę swą w całéj jéj długości i pracowicie walcząc z opornością instrumentu swego, zaczął wygrywać polkę. Wyskrzypiwał ją raczéj niż wygrywał, lecz co prawda, nikt w muzykę jego wsłuchiwać się nie myślał. Paweł Rębko porwał wpół swoję żonę i począł z nią na samym środku izby wykręcać chłopską *miecielicę;* kawaler w błękitnym krawacie, objąwszy jedną z dziewczyn, z łokciem odstawionym i spiczasto sterczącym, tańczył polkę do najwyższego stopnia *tremblante; człowiek* Mikołaja Hilaryonowicza z dziewczyną drugą puścił się wzdłuż izby, posuwistym galopadowym krokiem. Nad podłogą usypaną piaskiem podniósł się tuman kurzu. Z tumanu tego, zkądciś z pod pieca wyskoczyła Franka, odepchnęła Józefka, który *solo* wybijając hołupce wlazł jéj w drogę i do Ławicza przyskoczyła. Ławicz, jak kiedyś w drzwiach pięknego i wytwornym mazurem wrzącego salonu, tak teraz stał u drzwi izby, napełnionéj wrzaskliwémi krzykami i tupaniem niesfornych skoków. Jak wtedy tak i teraz patrzał na zabawę ludzką jako świadek ciekawy zrazu, potém obojętny i znużony. Lecz dziewczynie muzyka, śmiechy ludzkie a nadewszystko wyraz: zaręczyny, wesoło na sercu zagrały. Perłowe zęby jéj błyszczały w śmiechu, nogi zdawały się zrywać do tańca. Błagalnie prawie na narzeczonego spojrzała.

— Potańczmy!— szepnęła nieśmiało zrazu— a potém, składając ręce, coraz natarczywiéj, niecierpliwiéj mówiła: — Potańczmyż! nuże! ja z nimi nie chcę! Potańczmy razem!

Ale on porywczym gestem chwycił ją za rękę i z izby na dziedziniec pociągnął. Dziedziniec to był brzydki, wązki, brukowany,

wysokiemi murami otoczony i w jednym tylko kącie szarzejący zielenią małego ogródka. Ale cicho tu było i od letniego wieczora świeżo a w górze kawałek ciemnego nieba błyszczał gwiazdami.

Usiedli oboje na wschodkach; Franka zasmucona wpatrywała się w narzeczonego, który na nią nie patrzał.

— Zygmuś!—szepnęła i widać było, że wnet zlękła się i zawstydziła śmiałości własnéj.

On objął ją i ku sobie pociągnął. Wciąż jednak nie mówił nic i nie patrzał na nią.

— Zygmuś! — powtórzyła bardzo cicho — czego ty na mnie gniewny?

Teraz w twarzy jéj podniesionéj ku niemu zatopił wzrok smutny i jakby badawczy.

— Franko moja — rzekł — ja nie gniewny na ciebie, za cóżby? Myślałem tylko, czy ty zemną szczęśliwą będziesz?

— Oj, oj! — westchnęła i uśmiechnęła się zarazem.

— Posłuchaj! tobie młodéj takiéj, trzebaby może młodego, wesołego chłopca....

— *Abo* ty stary, Zygmuś? — zaśmiała się głośno.

— Nie,—ale lata krótkie bywają czasem długiemi a są na świecie myśli, prace, cierpienia, które człowiekowi prędko młodość odbierają. Ot widzisz, ja bawić się tak jak tam bawią się nie umiem i ni jak nie umiem....

— A czemu? — spytała.

— Nie przywykłem.

Popatrzała na niego długo, niespokojnie.

— Zygmuś! — zawołała — ty czegoś doprawdy smutny?

Twierdząco skinął głową.

Zapominając o nieśmiałości i wstydzie, porywczym ruchem szczeréj a strwożonéj miłości, zarzuciła mu na szyję oba ramiona.

— Zygmuś mój!— zaczęła — słonko ty moje złote! nie smuć się ty i nad złą dolą swoją co minęła, nie dumaj, ale nad dobrą, co do nas zaśmieje się, kiedy pobierzem się już i żyć razem będziem. Zobaczysz, będziem my sobie żyć jak król i królowa. Ty jeszcze nie wiesz jaka ja! Zkądże? Ot, zdaje się, jedna tylko minuta minęła odkąd my na siebie pierwszy raz spojrzeli! Ja nie złośnica! U mnie charakter taki, że zawsze tylko śmieję się a śpiewam żeby mnie tam niewiem jak kto dokuczał, to słóweczka nie pisnę, byle prędzéj zgoda była! I ja *tak samo* dobra gospodyni będę. Ręce u mnie nie leniwe, rozumiem wszystko co i jak zrobić trzeba, a czego nie rozumiem to prędko nauczę się, bo gospodarstwo strasznie miłuję. Toż i widzisz, słonko moje, że martwić się tobie nie ma czego. Biedy nie

lękam się, nie w bogactwie wzrosłam, to czy u nas bieda czy bogactwo będzie, ja nigdy ani złować, ani *jak druga* kłócić się z tobą nie będę a tylko tego doglądać, żebyś ty, ptaku mój, spokojną głowę miał i wygody wszystkie.... Ja tobie, ptaku mój, jak ta jaskółka znosić będę wszystko i do dzióba wkładać, żeby ci zdrowo i miło było.... ja nad tobą, jak ta jaskółka, skrzydła rozpostrę żeby ci....

Nie mogła dłużéj mówić, bo usta jéj zamknęły się pod jego pocałunkami. Po długich dopiero kilku minutach, schylony nad nią i wpatrzony w nią wzrokiem, w którym zachwycenie dziwnie mięszało się z niepokojem mówić on zaczął:

— Franko moja, ja wiem żeś ty dobra i że mię kochasz bardzo i że miłość kobiety dobréj jest wielkim skarbem, — ale wiesz? dziś nagle jakoś przyszło mi do głowy dziwne marzenie a tak cudne, że mi od niego aż smutno zrobiło się i straszno... Gdybyśmy z sobą nietylko kochać się ale kiedykolwiek, choć kiedykolwiek, nieprędko, czasem myśléć razem mogli.... Widzisz! ja tak do myślenia nad różnemi rzeczami przywykłem, że aż zapomniałem co to jest być wesołym i tak teraz zapragnąłem abyś ty kiedy myśli moje podzielić mogła i kochać to wszystko i uwielbiać com ja przez tak długie, długie lata kochał i uwielbiał! Patrząc na tych ludzi, którzy tam tak wesoło bawią się i hałasują, pomyślałem sobie, żem ja nie dla nich i oni nie dla mnie, że więc i ty, żyjąc zemną inną trochę stać się powinnaś. Inną.... poważniejszą, wznioślejszą, bliższą oświaty.... Ale wszak ty zechcesz stać się taką, nieprawdaż? Wszak zechcesz pracować trochę nad sobą aby do prostoty swéj i instynktowéj poezyi i wrodzonéj dobroci, które w tobie uwielbiam, dołączyć trochę wiedzy, światła, myśli zdolnéj zrozumieć to co na świecie najlepszém jest i najpiękniejszém? Prawda, że zechcesz postarać się o to... że zrobisz o co cię proszę? prawda? prawda?

I obejmując ją namiętném ramieniem a z pod brwi boleśnie prawie ściągniętych, w twarz jéj patrząc, pytanie to powtarzał. Ona, zasmucona i dziwnie zarazem zakłopotana, załamując ręce i szeroko otwierając oczy odpowiedziała:

— Jezu! czemużbym zrobić nie miała, gdybym zrozumiała co ty do mnie gadałeś! Ale, biednaż moja główeńka! — Ja nie wiem, Zygmuś, czego ty chcesz odemnie!

X.

Pięć lat minęło. Znaczna część mieszkańców X. zna i widuje często Zygmunta Ławicza, obrońcę sądowego, który pomimo braku kwalifikacyi naukowych i urzędowych tytułów, posiada klientelę

dość znaczną i byt materyalny, średnim dostatkiem będący. W mieście nie małem ale i nie wielkiem także, ściąga on na siebie uwagę prawie powszechną, przez to szczególniéj, że uchodzi za wielkiego oryginała i dziwaka. Już sama powierzchowność jego odznacza się cechami nie zupełnie pospolitemi. Szczupły i od długiego jakby pochylenia się nad czemś naprzód nieco podany, przy pierwszych spotkaniach z ludźmi jest on zawsze nieśmiałym i niezgrabnym, a ubranie jego zarówno jak całe obejście się, zdradza zupełną nieznajomość form światowych i panujących mód, albo też głębokie ich lekceważenie. Wcale też nie ubiega się on o stosunki z ludźmi, owszem, unikać się ich zdaje a napewno już wyraźnie unika wszelkiego zetknięcia się z wyższemi sferami towarzystwa, o których odzywa się czasem w sposób okazujący, że znając je niejako teoretycznie tylko, ani dobrych stron ich dojrzeć ani złych usprawiedliwić nie może. Wogóle sądzi on świat i sprawy jego, ze stanowiska różnych teoryj i zasad z bardzo wysoka. Dlatego téż powiadają o nim, że ani do majątku, ani do pogodzenia się z różnostronną rzeczywistością świata tego nie dojdzie nigdy. Na drodze do zrobienia majątku stoi mu to, że z jednéj strony, unikając stosunków z wyższém towarzystwem, nigdy prawie do czynienia niema z ludźmi zamożnymi, z drugiéj zaś—obarczając się samemi drobnemi sprawami i pracując nad niemi wiele, żąda od nich tylko uczciwych zarobków. Że zaś — zapatrując się na rzeczywistość z wysoka — ani ukochać jéj ani nawet pogodzić się z nią nie może, zdradza to wyraz twarzy jego znużony i rozdrażniony czasem a czyniący go daleko starszym niż jest w istocie.

Niektórzy, usposobienia te młodego obrońcy, przypisują szczególnym warunkom rodzinnego jego życia. Powszechnie stało się wiadomém, że jest on bardzo wykształconym, że zna kilka obcych języków i nad naukami różnemi długo pracował; o żonie zaś jego krążą pogłoski, że czytać zaledwie umie, a pisać to już wcale nie, a głowę posiada tak tępą, że ją nawet towarzystwo wykształconego męża i jakie takie otarcie się w świecie, oświecić nie mogły. Wprawdzie Franciszka Ławiczowa jest kobietą bardzo przystojną; ci jednak którzy znali ją dawniéj, utrzymują, że od wyjścia za mąż zeszpetniała znacznie. Jak zwykle bywa, tęgiéj i rumianéj wieśniaczce modne suknie i kapelusze miejskie nie są wcale do twarzy a czas zresztą i macierzyńskie zachody uczyniły oczy jéj daleko mniéj podobnémi do kwiatów lnu. Z obejścia się jéj i sposobu mówienia, z kapeluszów jéj nazbyt obciążonych kwiatami, jako téż z rodzinnych jéj stosunków śmieją się wszyscy, którzy tylko choć trochę ją znają; zkąd inąd jednak wiedzą téż wszyscy, że jest ona gospodynią

pracowitą i kobietą pilnie oddaną domowi, mężowi i dzieciom. Jest ona dobrą dla matki męża, która oddawna już zamieszkała w ich domu, a za mężem przepada i w słowo jego każde jak w świętą ewangelię wierzy. Nikt téż nigdy nie słyszał aby Ławicz uczynił w domu jaką „herezyę“ i nie widział, aby w czemkolwiek żonę ukrzywdził. Owszem, obejście się z nią jego przyjaznem jest i troskliwém, jakkolwiek dość chłodném także. Dzieci swe zdaje się on kochać bardzo, a nawet, ich to tylko widok czyni go czasem mównym i wesołym.

Czasem, nieczęsto, ożywia się on i pośród ludzi a zdarza się to wtedy mianowicie, gdy w jakiémkolwiek ich zebraniu, w sposób bardzo wyjątkowy, rozmowa wchodzi na tor naukowych albo społecznych spraw i zagadnień. Wtedy podnosi on głowę, prostuje się, oczy mu błyskają, mówić zaczyna i mówi z coraz większym zapałem rozwijając znaczny zasób wiedzy i bardzo nieraz oryginalne na rzeczy poglądy. Lecz trwa to zazwyczaj krótko i najczęściéj, w chwili najbardziéj zapalonego dowodzenia lub opowiadania, stygnie on nagle, zachmurza się i milknie albo odzywa się urwaném tylko słowem sarkazmu lub zniechęcenia. Z tych rozmów jego zresztą widać, że teraz już czytuje niewiele, z przyzwyczajenia tylko i pozostałych resztek namiętnego dawniéj zamiłowania. A gdyby nawet namiętność ta i trwała w nim dotąd, nie miałby on ani czasu ani możności oddawania się pracy umysłowéj. Zajętym jest bardzo pisaniem urzędowych podań, obron, skarg i różnémi zresztą około interesów zachodami. Przytem mieszkanie obrońcy na małą skalę jest téż dość małém a zaludniają je krzątające się kobiety i pieszczone dzieci. W saloniku Ławiczów, czemś zielonem obite krzesła, sztywném kołem otaczają stół na którym nic nie leży, umieszczony przed kanapą na któréj nikt nigdy nie siedzi. Pusto tu, nago i życia niema ani śladu.

Życie za to zgiełkliwe i gospodarskie, złożone z głosów sług, dzieci, przychodzących z prowizyami przekupni, wiecznie a żarliwie gospodarzącéj pani domu, odwiedzających ją członków jéj familii obija się tuż o ścianę i drzwi malutkiéj pracowni pana domu, w któréj téż od wczesnego ranka do południa rozlega się gruby gwar siermięgowych, kapotowych i chałatowych klientów. W południe Ławicz wychodzi z domu i udaje się do sądów, po obiedzie zmęczony, sypia czasem, lecz często i coraz częściéj wychodzi znowu i do sławnéj w X. cukierni Markusa udaje się na kufel piwa i partyą bilardu lub szachów. Szachy polubił szczególniéj i spędza nad niemi czasem długie godziny. Czasem téż grywa w domino. Do domu z cukierni wróciwszy, długo za północ pisze podania, obrony, skargi....

Niedawno, dnia pewnego, w porze poobiedniéj, w niezgrabnym paltocie swym, w kapeluszu dziwacznéj formy i z cygarem przy ustach, wszedł on do cukierni Markusa. Niezgrabne paltoty nosi on dla tego, że nie lubi długich rozmów z krawcami, a dziwaczne kapelusze dla tego, że choć dziwaczne ale są mu wygodne. Cygara zaś pali już oddawna ale byle jakie, zarówno jak gotów jest zawsze byle w co ubrać się i byle co jeść. Wszedłszy do cukierni, nie udał się jak zwykle bywało prędkim swoim, pochyłym trochę krokiem do drugiego od wejścia pokoju, gdzie znajdował się stół, przy którym siedzieć już był przywykł, lecz zatrzymał się u progu i zdejmując kapelusz, z akcentem zadziwienia wymówił: — A! proszę! no, spotkanie!

Wyrazy te i towarzyszący im cień zadowolonego uśmiechu, wywołane zostały widokiem dwu ludzi, którzy przy jednym z ustawionych w pokoju stolików siedząc, jedli i pili.

— Zygmunt! Ławicz! — jednogłośnie zawołali obaj — powstali z miejsc i ręce do wchodzącego wyciągnęli.

Jeden z nich był w ubraniu oficera wyższéj rangi, błyszczącym od metalowych ozdób obcisłego mundura i kiedyś pięknym widocznie chłopcem. Kiedyś. Teraz bowiem, dawna wysmukłość jego zamieniła się w chudość, świeżość cery w niezdrową żółtość; na czole miał trochę zmarszczek a nad czołem sporą łysinę. Drugi za to z dwu mężczyzn przedstawiał sobą najpiękniejszy obraz fizycznego kwitnięcia. Otyły prawie, z twarzą rumianą i połyskującą, z pulchnemi białemi jak u kobiety rękami i zawiesistym płowym wąsem, patrzał on na świat parą poczciwych, dobrodusznych, przygasłych i osowiałych oczu.

— Jak się masz Michale? jak się masz Zegrzda?

Zanim usiadł przy jednym z nimi stole, na znak powitania skłonił głowę w stronę pokoju, w któréj samotnie przy małym stoliku i nad filiżanką czarnéj kawy, siedział z gazetą w ręku Maryan Dębski. I on także zmienił się nieco przez czas ubiegły, mniéj jednak od Zegrzdy i Kaplickiego. W postawie jego była zawsze siła i duma, a chłodna, myśląca twarz, w ramy krótkiego zarostu ujęta, trochą tylko przedwczesnych zmarszczek i zmienionym nieco zarysem ust, zdradzała treść lat przebytych.

Zegrzda uściskał Ławicza, Kaplicki chciał go też ucałować ale on jednym już uściskiem zadowolony uprzejmie tylko dotknął ręki dawnego przyjaciela. Nie było w tém nic dziwnego, że się spotkali. Kaplicki przybył do miasta za interesami, Zegrzda zatrzymał się tu na czas jakiś z półkiem swoim. Cukiernia była dla obu ucieczką przed nudami. Przed Kaplickim stały ciasta i przekąski, przed Zegrzdą

poncz i likiery. Ławicz kazał podać sobie swój, od czasu pewnego codzienny już kufel piwa. Rozmowa zawiązała się ale niezbyt ożywiona. Po serdeczności pierwszego od wielu lat spotkania, ludzie ci ochłodli i zdawali się być zupełnie prawie względem siebie obojętnymi. Najczuléj jeszcze, przy spoglądaniu na dawnych przyjaciół, wyglądały oczy Zegrzdy; wprawdzie, przypuszczać można było, że wypróżniona szklanka ponczu dodawała im blasku i łzawości. Mówił dużo i językiem niewiele poprawniejszym od tego, jakiego używał Paweł Rębko, opowiadał o wojnie, w której przed parą laty uczęstniczył.

— O! — rzekł Ławicz — wiemy, wiemy o tém! imię twoje roznosiła po świecie trąba sławy. Czytaliśmy o tobie. Odznaczałeś się odwagą, brawurą... ale za to, pozwól abym korzystając z dawnéj poufałości koleżeńskiéj, powiedział ci, że z gramatyką naszą obchodzisz się fatalnie....

Zegrzda zmięszał się i rzekł prędko:

— Przepraszam, przepraszam, sam to czuję, ale....

Niedokończył— i wstydząc się jakby własnego zmięszania, z fantazyą i śmiechem zawołał:

— A ty Zygmuncie, zawsze taki sam jak byłeś! No, no! jakże tam mają się filozofowie twoi?

— Flozofowie moi nie są już moimi filozofami — powoli kufel do ust niosąc odpowiedział Ławicz.

— Czy tak? A no, bratku! różnemi drogami chodząc, do jednego punktu widać doszliśmy.... Jeden pierwéj filozofią rzucił, drugi późniéj.... jedne licho! Aleś ty zawsze szczęśliwszy odemnie ha! tysiąc razy....

— Jakto? więc już — nie bawisz się dobrze?

— Dokuczyła zabawa — i — wszystko dokuczyło!

Zwiesił głowę nad szklanką, zadumał się, milczał.

— No! ale jakże Zygmuncie, naprawdę powodzi ci się teraz? — zapytał Kaplicki.

— Bardzo dobrze — odpowiedział Ławicz.

— Chwała Bogu! cieszę się z tego! winszuję ci serdecznie! Co do mnie, nie mogę tego o sobie powiedzieć. Kłopoty.... interesy.... Ot, przeszłego roku stratę miałem ogromną. Spłonęła mi od pioruna stodoła do połowy już zbożem napełniona i wiesz co? żeby kobiety moje nie zaczęły obnosić dokoła dworu chleba świętéj Agaty, spłonąłby dwór cały....

Ławicz uśmiechnął się, ale Kaplicki nie spostrzegł tego.

— Powiadam ci — mówił — że tak przestraszeni byliśmy tym wypadkiem, że ja i żona postanowiliśmy koniecznie mieć teraz w domu dzwonek Loretański.

— Cóż to takiego ten dzwonek?

— A no, nie wiesz? Ale prawda, z ciebie zawsze był niedowiarek. Ja znów nie wdaję się w rozumowania żadne. Ojcowie moi wierzyli i żona wierzy i prawdę rzekłszy, ta tylko pociecha człowiekowi na tym świecie....

— A żona? — przerwał Ławicz.

— Cóż żona....

— Pociechą nie jest?

Poczciwa twarz wieśniaka zmąciła się. Otworzył usta i sam nie wiedział co do powiedzenia miał. Zegrzda wybawił go z kłopotu.

— Co ty Zygmuncie o kobiety pytasz! to ty jeszcze myślisz, że z nich może być komu pociecha jaka? Ot niewiniątko! kobiety mój drogi potrzebne są na świecie tylko....

— Przepraszam—dość żywo przerwał Kaplicki— kobiety nasze są poczciwe i zacne.....

— Może tam wasze, po wsiach, wielkie panie — odrzekł Zegrzda — ale czegom się ja w wojskowém życiu mojém napatrzył! czegom doświadczył sam.... ha!...

— A mojorowa? — rzucił Ławicz.

— Ha, ha, ha, ha! — śmiał się Zegrzda.

— No bo widzisz — przerwał Kaplicki — w różnych klasach towarzyskich, różne panują cechy, zwyczaje. Od klasy wszystko zależy....

— Wszystko? — zapytał Ławicz.

Wieśniak znowu zmięszał się trochę.

— No, nie wszystko może.... ja bo widzisz nie uczony i nie adwokat, żebym tak zaraz każdą rzecz argumentalnie i detalicznie wyłożyć umiał.... Ale że człowiek człowiekowi nie równy, to pewno!

— Najpewniéj — potwierdził Ławicz — tylko w jakim sensie?

— Ot sens najlepszy? — zawołał Zegrzda — śmiejąc się i na poncz wskazując. U tego Markusa wszystko jak było, tak jest wyborne. A człowiek już przywykł... włócząc się po świecie! Wspomnisz bo sobie dawne lata i dawne marzenia swoje a robak żalu w serce cię ugryzie.... zaléj robaka! Wspomnisz sobie jak to kiedyś, kochałeś i wierzyłeś i człowiekiem zostać chciałeś a zostałeś.... zaléj to co minęło i już nigdy nie wróci! Krzywdy doświadczysz, pominą cię honory i łaski a za wszystko co zrobisz pstryczka w nos dostaniesz... zaléj złość! Zbrzydnie ci i robota i zabawa twoja... zaléj nudę! Ho, ho! pamiętam ja jeszcze piosnkę jakąś starą, którą nieboszczyk dziadunio, mąż mojéj nieboszczki babuni, zażywając tabakę śpiewał: „Na frasunek dobry trunek!“

Rumieńce wystąpiły mu na policzki. Mówił zrazu ze śmiechem, potém z błyszczącémi ponuro oczami, przy ostatnich wyrazach zanucił i rozpierając się na krześle z brzękiem ostróg, daleko przed siebie, nogi wyciągnął. Kaplicki zdawał się być zmięszanym trochę i niespokojnie oglądał się, w celu zapewne przekonania się, czy ktokolwiek ze znajomych jego nie widzi go w towarzystwie podpiłego i w cukierni śpiewającego oficera. Sam on, w tém miejscu publiczném, mówił z cicha i znać było po nim ścisłą dbałość o najdrobniejsze odcienie przyzwoitości.

— Mój Zygmuncie, zaczął, słyszałem, że interesami zajmujesz się teraz... ja to mam swego plenipotenta ale chciałbym bardzo twoje zdanie posłyszéć... Mam teraz, uważasz, dwa procesy: jeden z chłopami o zabranie mi łąk, drugi...

— Z żydem, podjął Ławicz.

— Ej nie! Z żydami... swoją drogą... Ale teraz, uważasz, z *Uradnikiem* zadarłem się... ot co! Żona mówi, że nie potrzebnie, może to i prawda! Ależ anioł nie wytrzyma... nie w swoje, uważasz, właził... ręka mi zaświerzbiała...

Tu zatrzymał się. Przygasłe oczy jego błysnęły...

— Ot, wiecie co! mówiliście coś przed chwilą o filozofach, pamiętam, że kiedy nieboszczyk ojciec odbierał mię ze szkół, powiedział: „filozofem nie będziesz a gospodarzem zawsze być potrafisz." Słowo honoru, mówię wam, że teraz z gospodarstwem i interesami naszémi, to filozofem całą gębą, być trzeba! Cóż np. ja? Nie gram w karty, nie piję, nie hulam, domu na wielką stopę nie utrzymuję i tyle tylko, że żona tam czasem za granicę pojedzie albo wieczorek jaki wyda albo nowe meble sprowadzi a żeby u mnie wszystko dobrze szło, nie powiem! Gdzie tam! to to, to tamto w drogę wlezie. Ot teraz i z tym *uradnikiem*... Przed sądy pokoju ciągnie... No, już jak mi najstarszy mój synek wyrastać będzie, to go pewnie...

Przerwał mówienie i wielkiemi oczami wpatrzył się w człowieka, który w téj chwili do cukierni wchodził. Zegrzda i Ławicz patrzali na niego także. Był to człowiek powierzchownością swą przedstawiający obraz choroby, wyniszczenia, nędzy. Z pod wyszarzanéj czapki, las gęstych, kruczych włosów spadał mu na wychudłą szyję i otaczał twarz o nieprawidłowych, połamanych rysach, napiętnowaną suchotniczemi rumieńcami a świecącą jak żużlami parą ogromnych, czarnych, zapadłych oczu. Ubranie jego, poplamione i podarte, dowodziło wielkiego ubóstwa. Wszedł kaszląc i chwiejąc się prawie na nogach. Zdaleka, mógł być wziętym za żebraka; zbliska jednak widziany, przez trzech współbiesiadników poznanym został.

— Jakto! zaśmiał się Dębski, z tym szaleńcem, któremu tydzień do śmierci pozostał?

Ławicz, wzruszył ramionami i patrząc w przestrzeń, zapytał.

— Śmierć? cóż? czy pamiętasz starą legendę o dwóch architektach greckich.

— Niedokładnie.

— No to pozwól, abym w ten przynajmniéj sposób wyzyskał klasyczną uczoność mą i opowiedział ci ją: dwaj architekci, Trofoniusz i Agamedes, zbudowawszy Apolinowi świątynię w Delfach, prosili go o nagrodę za swą pracę taką, jaka jest dla człowieka najlepsza. Objawił Apollo, że za trzy dni wysłuchanymi zostaną a gdy trzy dni minęło pomarli obaj.

— A sensem téj legendy—rzucił Dębski,—ma być zapewne to, że Grecy, wczesną śmierć uważali za największą łaskę bogów...

— Zapewne, potwierdził Ławicz i zamyślił się, po chwili, podnosząc głowę, dodał.

— Chociaż, nie mogę ukrywać, że w legendzie téj i inny jeszcze sens spoczywa. Mianowicie: śmierć tu jest nagrodą za zbudowanie świątyni...

Dębski żywo podniósł głowę. Zmarszczka pomiędzy brwiami jego pogłębiła się lecz siwe źrenice rozgrzały się i błysnęły.

—. Drugie to tłómaczenie—przyjmuję. Lepiéj od pierwszego, zgadza się ono z charakterem moim. Ażeby mieć prawo wygodnie ułożyć się do spoczynku, trzeba świątynię jakąś zbudować. .

— Jak czasem... przerwał Ławicz,—i co komu jest danéni. Budować albo... podpierać...

W téj chwili, przy rozmawiających, stanął Kaplicki. Kilku słowami przypomniał się znajomości Dębskiego a wnet potém zwrócił się do Ławicza.

— Mój drogi, rzekł, na prawach staréj przyjaźni naszéj, proszę o godzinę czasu twego...

— Proces z uradnikiem? Zaśmiał się Ławicz.

— Kaplicki z czołem sfałdowaném, bez cienia urazy albo żartu, odpowiedział.

— Nie; z procesami nauczyłem się już dawać sobie radę. Inna rzecz z dziećmi. Starszego syna do nauki już zaprządz pora. Nie śmiéj się ze mnie. Ja tę rzecz bardzo na seryo biorę. Czuję, rozumiem,.że z nim inaczéj być powinno jak było ze mną.Prawdę mówiąc, i zemną inaczéj byłoby... gdyby... Ale, co się tyczy dzieci moich, to już mam święte postanowienie, a i żona moja w tym względzie zgadza się ze mną... Chcę o tém pomówić z tobą, rady twojéj zasięgnąć... co?

— Znajdziesz mię w domu zawsze, w godzinach przedobiednich i jestem do usług twoich, uprzejmie odpowiedział Ławicz a zwracając się do Dębskiego, zapytał.

— A bracia twoi? Maryanie.

Pogodnie i z pośpiechem Dębski odpowiedział.

— Są obaj na drogach dobrych i prostych...

Ławicz przenikliwém, zadumaném spojrzeniem w twarz mu patrzał.

— Czy nie przychodzi ci teraz na myśl słowo, rozwiązujące zagadkę przed chwilnéj rozmowy naszéj?..

— Chciałbym, abyś mi je powiedział.

— I owszem, ale pozwól, że znowu wyręczę się starożytnym wieszczem, który śpiewał: „Zrzuca wiatr liście z drzew a jednak natura, przywróci kiedyś światu wiosnę i zieloność.“ A ktoś inny jeszcze powiedział: „Tkwi w nas przeczucie przyszłych czasów i rosną przy nas przyszłe pokolenia, które... dla których“...

— I tam daléj... wstając przerwał Dębski. Znam ciąg dalszy. Rozwiązuje to zagadkę nie cierpień naszych, zawodów i strat, ale...

— Naszych przeznaczeń, dokończył Ławicz.

Podali sobie ręce i rozeszli się.

El. Orzeszkowa.

POMNIKI PIŚMIENNICTWA
BABILOŃSKO-ASYRYJSKIEGO.

II.

Pomniki historyczne.

Na czele pomników piśmiennictwa babilońsko - asyryjskiego umieściliśmy *zabytki dwujęzyczne*, nie dla tego jedynie, że zabytki te, zawierając zgłoskowniki, przedstawiają klucz do pisma, w którym przechowały się wszystkie bez wyjątku pomniki; nie dla tego wyłącznie, że one wykrywając rzeczywistych wynalazców pisma klinowego, dozwalają wyśledzić jego początek i rozwój; lecz—że zabytki te odsłaniają nieznane dotąd stosunki etnograficzne w Mezopotamii, że, wtajemniczając w podstawy kultury miejscowéj, zrozumienie onéj w dalszym jéj rozwoju ułatwiają.

Dział *drugi* zabytków piśmiennictwa stanowić mogą *pomniki historyczne*.

Pomniki te według pochodzenia swego i jakości materyału w nich zawartego dadzą się podzielić na trzy grupy. Do *pierwszéj* grupy zaliczyć należy *napisy pamiątkowe*, znajdowane w zwaliskach gmachów rozmaitych. Stosownie do celu, w jakim je kładziono, napisy te świadczą głównie o przeznaczeniu gmachów, na których były mieszczone, o imieniu i częstokroć rodzie tych, którzy te gmachy wznosili. Grupa *druga* obejmuje *kroniki królewskie*, zawierające szczegółowe dzieje pojedyńczych panowań, bądź to w ich całości, bądź w główniejszych epizodach. *Trzecią* nakoniec utworzą spisy urzędników oraz rozmaite dokumenta kancelaryi królewskiéj.

Pomniki historyczne obejmują przeciąg czasu bardzo znaczny. Najwcześniejsze, aczkolwiek data ich nie da się ściśle oznaczyć, sięgają XXX-go, ostatnie, współczesne upadkowi Babilonu, pochodzą

z końca VI stulecia przed erą naszą. Z charakteru tych pomników wypływa, że owemi najwcześniejszemi mogą być tylko napisy pamiątkowe. Ta właśnie okoliczność nadaje im znaczenie wyjątkowe dla dziejów Mezopotamii.

1. (*)

Napisy pamiątkowe bardziéj niż inne pomniki historyczne związane są z miejscowością, gdzie zostały znalezione. Rzućmy więc okiem na kartę Mezopotamii starożytnéj.

Na karcie téj w kierunku północno-zachodnim od brzegów zatoki perskiéj w górę ku źródłom Eufratu i Tygru, owych dwóch rzek, które tworzą Mezopotamią, na obu brzegach Eufratu, bądź bezpośrednio nad jego korytem, bądź też opodal, lecz zawsze nad odnogą jego lub kanałem do niego prowadzącym, oznaczone są miasta: Eridu, Ur, Larsa, Uruk, Nipur, Zergul, Karrak, Babilon, Agade, Sippara. Przechodząc następnie nad Tygrys, na brzegu jego prawym znajdujemy Asur, na lewym Kalah i Niniwę.

Dwa z wymienionych tu miast, Babilon i Niniwa, jako ostatnie stolice dwóch wielkich monarchij zostały w dziejach wsławione. Sławna ta atoli przeszłość i żyjące wspomnienia o niéj nie uchroniły Babilonu od utraty w pierwszych kilku wiekach ery naszéj wszystkich mieszkańców, a następnie od przekształcenia się w zbiorowisko zwalisk; nie przeszkodziły Niniwie zniknąć całkowicie, i to o lat tysiąc wcześniéj, z powierzchni ziemi, tak, że nawet pisarze greccy i rzymscy nie zgadzali się już z sobą co do miejscowości, gdzie się miała wznosić sławna stolica Asyryi. Niektóre znowu wzmiankowane były w podaniach hebrajskich, jako to: Ur (Ur-kasdim), Uruk (Erech), Asur. Jednakże imiona większéj części tych miast wtedy dopiero stały się znane, gdy ze zwalisk wydobyto napisy.

Ze stanu ruin obecnego wnosić możemy, że miasta położone nad Eufratem znacznie pierwéj zostały wzniesione niż te trzy, nad Tygrysem leżące, a ztąd, że epoka historyczna rozpoczęła się wcześniéj dla mieszkańców Mezopotamii południowéj (Chaldei, Babilonii), niż dla mieszkańców północnéj (Asyryi).

(*) Znaczną część napisów pamiątkowych z czasów pierwotnych zebrał i wydał *Lenormant* w dziele pod tyt. *Choix de textes cunéiformes*, I—III zeszyty, 1873—75. *G. Smith* napisał *Early history of Babylonia* wyłącznie prawie tylko z tekstów napisów pamiątkowych utkaną (Records of the Past, III, V). Napisy pamiątkowe weszły również do dwóch dzieł *Menant'a: Babylone et la Chaldeé* (1875), *Annales des Rois d'Assyrie* (1874).

Lecz nietylko różnicę pomiędzy miastami północnémi a południowemi stanowi większa lub mniejsza starożytność onych. Większość miast południowych wznieśli, w większości zamieszkiwali i niemi władali owi nieznani dotąd w dziejach *turańczycy*, których hymny liturgiczne, zaklęcia, prawa, przepisy rozmaite, tyczące się wszelkiego rodzaju zajęć przechowywali Asyryjczycy. Świadczą o tém napisy pamiątkowe kładzione w języku odczytanym w lewéj kolumnie zabytków dwujęzycznych; świadczą o tém obce językowi semickiemu w tych napisach podane imiona władców; nakoniec świadczą o tém bóstwa niesemickie, którym po owych miastach pobożni władcy świątynie wznosili.

W zwaliskach miasta Eridu znaleziono dwa napisy:

„Meza-nana-kalammi, *patezi* Eridu, *Sakkanaku*... syn Be... huk....“

„Bogu Nin-ridu, swemu panu, Idadu, *patezi* Eridu, sługa miły bogu Nin-ridu....“

Ze zwalisk Zergulu pochodzą następne:

„Wa-anna, *patezi* Zergulu, bogini Nana wzniósł i wykończył świątynię....“

„Bogini Nana, pani wspaniałéj, pani swéj, Gudea, *patezi* Zergulu, świątynię tę wzniósł....“

„Bogu Ninip, swemu panu, Gudea, *patezi* Zergulu, ten gmach zbudował.“

A oto jeszcze napisy z Uruk:

„Aku-gazid, syn Balat-Sunat, *sar* Uruku, zbudował świątynię bogini Anna.“

„Aku-gazid, mąż silny, *sar* Uruku, *sar* Gananu, zbudował ten pałac dla swéj osoby.“

Patezi, *sakkanaku*, *sar* są to tytuły owych władców *turańskich*. Ostatni utrzymał się i nadal w znaczeniu: *władca*, *król;* dwa pierwsze znikły z czasem. Prawdopodobnie oznaczały one władzę świecką związaną z religijną. Data tych napisów jest niewiadoma. W każdym jednakże razie zdają się one być wcześniejsze od następnych, które Lenormant mieści w pierwszéj połowie trzeciego tysiąca lat (około 2800) przed erą naszą. Pochodzą one z Karraku:

„Izbi-bara, król Karraku.“

„Gamil-ninip, król Nipuru, Uru, Eridu, Uruk, król Karraku, król Sumirów i Akkadów.... miły w oczach bogini Nana.“

Polegając na słowach napisu widzimy, że król Karraku władzę swą rozciągnął nad kilku innemi jeszcze miastami, w liczbie których spotykamy znane nam już z poprzednich napisów dwa: Eridu i Uruk. Władza ta atoli królów Karraku w innych miastach nie była zbyt utrwalona. Zwycięstwo nadało ją; przegrana pozbawiła jéj. Do-

wodzi tego szereg napisów znalezionych w podanych za podbite miastach, a pochodzących z téj epoki.

Oto jest napis z Nipuru:

„Libit-anunit, *riu* Nipuru, władca Ur... Eridu, władca Uruku, władca Karraku, władca Sumirów i Akkadów, odnowiciel świątyni bogini Nana, wzniósł tę świątynię..."

Co do wskazówek określających terytoryum władzy, jest on prawie jednobrzmiącym z powyższym napisem z Karraku. A nadto spotykamy w nim jeszcze jeden tytuł władcy (*riu*). We wzmiankowaném w ostatnich kilku napisach mieście Ur władali jeszcze królowie i z innych miast.

Oto napisy z Larsy:

„Sin-idinnam, mąż silny, władca Uru, władca Larsy, władca Sumirów i Akkadów odbudował od fundamentów tę świątynię starożytną. On mocno się trzymał na tronie w Larsie. On miał pod rozkazami swojemi licznych żołnierzy. On wykopał kanał.... na potrzeby kraju i miasta."

Oprócz napisu Sin-idinnama są jeszcze znane inne z Larsy, a mianowicie: Kudur-Mapuka, Zikar-sina, Nur-bina, Rim-sina. Trzéj ostatni również podają siebie za władców Uru.

Lecz i owo Ur posiadało swoję dynastyą; władcy jego również jak i władcy innych miast, panowanie swoje rozpościerali po sąsiednich krajach. Przytém dynastya królów z Ur w historyi tych ziem i tych czasów szczególniejsze otrzymuje znaczenie. Władcy Karraku, Nipuru, Larsy chlubią się, jakeśmy to widzieli ze swéj władzy nad Sumirami i Akkadami. Te dwie nazwy niechybnie oznaczać mogą tylko ludy zamieszkujące podówczas wspólnie Mozopotamią. Tak więc ludność Mezopotamii, jednolita pierwotnie, w epoce, któréj sięgają te napisy, wskutek wtargnięcia nowych pierwiastków etnograficznych, rozpada się na dwa różne obozy. Jeżeli w Akkadach będziemy widzieli *turańskie* plemiona, pierwotnie w Mezopotamii osiadłe, w takim razie Sumirów przyjąć należy za ludy *semickie* (1). Otóż według Menant'a, dynastya władców Ur jest już semicką.

---

(1) W czasach ostatnich takie mianowicie zastosowanie tych nazw do dwóch ras zamieszkujących Mezopotamią zostało zmienione. Na ostatnim kongresie Oryentalistów odbytym roku 1881 w Berlinie, docent assyryologii przy uniwersytecie w Getyndze dr. P. Haupt na posiedzeniu sekcyi semickiéj starał się dowieść, że Akkadowie i Sumirowie pod względem pochodzenia stanowili jednę rasę (turańską) i że dwa języki sumirski i akkadzki stanowią tylko dwa narzecza (północne i południowe) jednéj mowy. Na téj przeto podstawie ów język, który nazywamy akkadzkim, moglibyśmy nazywać sumiro-akkadzkim.

Pierwszy ze znanych monarchów z téj dynastyi, Urkam, rozrzuca swe napisy po całéj Chaldei dolnéj, co świadczy o szeroko rozpostartéj władzy jego, i co jeszcze ważniejsze, w znacznéj części napisy te kładzie w języku asyryjskim. W napisach tych nie naśladuje władców miast innych. Długi tytuł tamtych zastępuje krótkim, zawsze jednakowo brzmiącym: Urkam, król Uru, król Sumirów i Akkadów. Władzę zaś swoją po miastach rozmaitych stwierdza faktami, wznosząc w nich świątynie i pałace i ozdabiając je swémi napisami. Takie napisy odnalezione w Erech, Larsie, Nipur, Zergul. Syn Urkama, Dungi, utrzymał w tych miejscowościach władzę ojca. Lecz między nim a następną dynastyą władców Uru, długi ubiega przeciąg czasu. Z królów późniejszych są jeszcze znani z napisów: Ismi-dagan (około 1800), Gungu-num, Gamil-Sin, Ibil-Sin. Pierwszy z nich był to monarcha możny, którego władza sięgała nawet Mezopotamii północnéj.

Napisy pochodzące z Babilonu wprowadzają nas we środek drugiego tysiącolecia. Hammurabi, władca ówczesny Babilonu, używa, podobnież jak i władcy Uru, dwóch języków w napisach swoich. Fakt ten, wykazując coraz większe wzmocnienie żywiołu semickiego, odkrywa drugie ognisko semityzmu w Mezopotamii. A nadto, badacze tych napisów w Hammurabim widzą monarchę obcego pochodzenia, Elamitę. Jeśli tak, to użycie w napisach języka obu ludów zamieszkujących Mezopotamię dowodziłoby pewnéj równowagi obu tych ludów, bądź liczebnéj, bądź też pod względem znaczenia. Oto jest napis Hammurabiego. Jest on już dłuższy od znanych i bogatszy treścią:

„Hammurabi, król potężny, król Bab-ilu, król czterech ziem, zwycięzca nieprzyjaciół Marduka, władca miły sercu tego boga.

„Oto bogowie Bin i Bel poddali mi ludy Sumirów i Akkadów, bym panował nad nimi. Napełnili me ręce daninami przez te ludy składanemi.

„Kazałem wykopać Nahar-Hummurabi, błogosławieństwo mieszkańców Babilonu, kanał, który prowadzi do ziem Sumirów i Akkadów. Kanałem tym przeprowadziłem wody na pustynie, dostarczyłem ich wszystkim zbiornikom; bogactwem niewyczerpaném obdarzyłem Sumirów i Akkadów.

„Mieszkańców z kraju Sumirów i Akkadów przesiedliłem do miast obszernych. Pustynie przemieniłem w pola obficie zraszane; polom tym dostarczyłem żyzności i urodzajności; zrobiłem z nich przybytek szczęścia.

„Powtarzam: Hummurabi, król potężny, ulubieniec boga najwyższego.

„Stosownie do rozkazów Marduka strasznego wzniosłem ten zamek, obwarowałem go wieżami wysokiemi jak góry... Nazwałem ten zamek Dur-ummu-banit, od imienia ojca, który mię spłodził, by zachować pamięć jego w tych ziemiach.“

Z następców Hummurabiego są znani jeszcze ze swych napisów: Kara-indas i Burna-burias.

Trzymając się o ile można porządku chronologicznego, pomiędzy poprzednio wzmiankowanemi dynastyami panujących w rozmaitych miastach i władcami Babilonu należałoby pomieścić królów Sippary i Agade. Imiona atoli władców z tych miast bezpośrednio do nas nie doszły. Żadnego, dotychczas przynajmniéj, napisu ich lub o nich współczesnego im nieznaleziono. Jednakże nieulega wątpliwości, jakto wnosić możemy z innego znowu rodzaju pomników, że w dwóch miastach tych już na początku drugiego tysiąclecia przeważał żywioł semicki. Jeden nawet z władców Agade, Sargon, stał się bohatérem semickiéj legendy ludowéj.

Tak więc szereg napisów pamiątkowych zebranych w zwaliskach miast nad-eufratskich zamykają, jak na teraz przynajmniéj, napisy władców Babilonu.

Przechodzimy do miast nad-tygrysowych.

Ukryte obecnie w łonie wzgórza Kalah-Szergat, wznoszącego się o mil kilka powyżéj ujścia Zabu niższego do Tygrysu, zwaliska miasta Asur dostarczyły kilka bardzo ważnych napisów. I to miasto było zapewne wzniesione i, jak miasta południowe, przeważnie zamieszkałe przez Akkadów, skoro znany nam z napisów władca Uru, Ismi-dagan, zbudowawszy w niem świątynię, kładzie na niéj następujący napis w języku akkadzkim:

„Ismi-dagan, władca Nipuru, władca Uru, władca Eridu, Uruku, Karraku, władca Sumirów i Akkadów, bogini Melitta.“

Inne znowu dwa napisy późniejsze i już w języku asyryjskim zredagowane zaznajamiają z następnémi dwoma imionami: Samsi-bin, Iry-amtuk. Oba monarchowie pod témi imionami znani noszą powyżéj wzmiankowany tytuł *Patezi* uzupełniony dwoma wyrazami: boga Assura. Ów bóg Assur był początkowo tylko bogiem miejscowym, a ponieważ był bogiem Semickim, przeto przejście nazwy od niego na miasto całe, a następnie utrwalenie się rządów w tém mieście jego *patezi*, świadczy wymównie o zyskanéj już tam przez Semitów nad Akkadami przewadze. Napis Samsi-bina pochodzi według Menant'a z XVIII wieku, Iry-amtuka z XVI.

Po dwuwiekowéj następnie przerwie jeszcze późniejsze dwa napisy dowodzą znowu wzmożenia się potęgi władców Assura. Noszą już oni bowiem w tych napisach zwykły tytuł król, a nadto,

w wyliczaniu jego godności mieszczą nazwę dowódcy nad wojskami. Godność ta, którą widocznie się szczycą, rzuca pewne światło na pochodzenie ich władzy i główną jéj podporę. A nadto, potęgę swą chcieli już oni uwydatnić wspaniałością na zewnątrz. Przypadek chciał, że z téj epoki doszły do nas napisy przechowujące tylko imiona założycieli i mieszkańców pałaców.

„Pałac Bin-nirari, syna Pudiela, króla wojsk, króla ziem Assura."

„Pałac Salman-asara, króla wojsk, syna Binni-rari, króla wojsk"

I znowu następuje dwuwiekowa przerwa. Jeszcze jeden pochodzi już z XII wieku i brzmi:

„Tuklat-pal-asar, ulubieniec boga Assura, syn Assur-ris-nizi, ulubieńca boga Assura, wzniósł i odnowił świątynię boga Bin, swego pana."

Napis ten jest już ostatnim z tego miasta. W wieku XI rezydencyą królów asyryjskich staje się wyżéj na północ posunięty Kalah. I w niem znajdowano napisy. Atoli tracą one już to znaczenie, które mają dotychczas wzmiankowane. Monarcha, którego imię podaje ostatni napis z Assuru, pierwszy dzieje panowania swego przekazał w obszernéj kronice. A ponieważ od tego czasu staje się zwyczajem królów asyryjskich nie tylko w napisach, lecz kronikami obszernemi upamiętniać panowanie swoje, przeto kroniki zastępują napisy pamiątkowe, które nadal pomagają już tylko wiązać z sobą panowania monarchów bliżéj z kronik nieznanych.

2.

Pomijając pytanie, czy Tuklat-pal-asar pierwszym jest monarchą który kazał sporządzić kroniki panowania swego, czy téż on w tém naśladował już swoich poprzedników, pytanie, na rozwiązanie którego może jedynie tylko wpłynąć przypadek, odkrywając kroniki wcześniejsze, poznajmy zabytki, które bądź same z czasem przeistoczyć się w takie kroniki mogły, bądź téż tylko dostarczały dla nich materyału.

Już zabytki dwujęzyczne wykazały nam, że Akkadowie starożytni wierzyli w tajemniczy związek człowieka z otaczającą go przyrodą i uznawali zależność losów jego od zjawisk w niéj spostrzeganych. By zapobiedz szkodliwym wpływom owych zjawisk uciekali się do czarów. Czarodziejstwo stało się dla nich zawiązkiem kultu religijnego. Za jego pomocą odwracali zło w chwili danéj; za jego pomocą odgadywali przyszłość. Wierzenia te i praktyki wraz z wie-

lu innymi dorobkami kultury pierwotnéj przeszły od nich do Semitów. Ze zjawisk spostrzeganych w świecie zewnętrznym najwięcéj musiały zwracać uwagę, wskutek swego wpływu wyraźnego i znaczenia ogólnego, zjawiska meteorologiczne i astronomiczne.

Oto jest wyjątek ze znalezionych w bibliotece króla Assur-banipala a pochodzących z miasta Agade *tablic*, w których czyny bohara Semickiego Sargona i syna jego Naram-Sina są opowiedziane w związku ze zjawiskami astronomicznemi:

„Kiedy księżyc... (1).

Przepowiednia dla Sarkina, który w owym czasie poszedł na Elam i zniszczył Elamitów; rozbił zupełnie wojsko ich, rozrzucił ich członki...

Kiedy księżyc ..

Przepowiednia dla Sarkina, który w owym czasie poszedł na Syryą i podbił cztery ludy.

Kiedy kiężyc...

Przepowiednia dla Sarkina, który w owym czasie podbił Babilon... wzniósł Agade...

Kiedy księżyc...

Kasta-bilu z Kazull powstał przeciwko niemu (Sargonowi). On wyruszył na Kazull i zniósł jego wojsko. . Z miasta zrobił zwaliska. Zniszczył nawet gniazda ptaków.

Kiedy księżyc...

Przepowiednia dla Sarkina; w tym czasie ludzie *Kaldi* powstali przeciwko niemu i zaskoczyli go w Agade. Sarkin wyszedł i zwyciężył nieprzyjaciół. Zmusił ich do ucieczki. Rozbił ich wojsko i obóz.

Kiedy księżyc...

Przepowiednia dla Naram-Sina, który w tym czasie pójdzie na Magannę; owładnie Maganną... Król Maganny wpadnie w jego ręce..."

Z urywku tego widzimy, że wypadki dziejowe zapisywane były w związku ze zmianami i obrotami księżyca, w celu, jak się domyślać można, wnioskowania z nich co do wpływu mniéj lub więcéj pomyślnego tych zmian na czyny ludzkie. Inne tablice wykazują prostszy już sposób upamiętniania wypadków. Oto jest urywek z tablicy pochodzącéj z czasów panowania Rim-Sina, króla Larsy.

„Miesiąc dawuzu (czerwiec) roku, w którém Rim-Sin umieścił dwa posągi bronzowe w Bit-Parra.

Miesiąc tasrytu (wrzesień) roku, w którym wielka świątynia bogini Beltis była wzniesiona.

---

(1) Opuszczam opis zjawiska.

Miesiąc sabatu (styczeń) roku, w którym król zajął z wojskiem swoim Kisur i owładnął Durilu."

By oznaczyć czas jednego wypadku w stosunku do drugiego, najważniejszy przyjmowano za erę i od niego liczono lata. Inny urywek z téj saméj tablicy tego dowodzi.

„Miesiąc nizan (marzec), dzień 25 roku, w którym mężni żołnierze boga Anu i Bela zdobyli miasto królewskie Karrak."

Miesiąc ululu (sierpień), dzień 5-ty, po zdobyciu Karraku.

Miesiąc addaru (luty), dzień 30, roku 6-go po zdobyciu Karraku.

Miesiąc tasrytu, dzień 30, roku 13-go po zdobyciu Karraku przez króla Rim-Sina...

Znane są jeszcze takiego rodzaju tablice króla Hammurabiego i nieznanego zkądinąd Samsu-iluna, którego Menant utożsamia z Hammurabim, twierdząc że Samsu-iluna jestto tylko drugie imię Hammurabiego, które on przyjął, zostawszy władcą Babilonu.

Podobnie szczegółowe zapisywanie wypadków, pomimo wadliwości systemu chronologicznego i niezależnie od celu, w którym ono było dokonywane, ułatwiało synchronistyczny układ kronik dwóch miast lub krajów, będących z sobą w stałych stosunkach. W znanéj bibliotece króla Assur-bani-pala znaleziono tak nazwane *tablice synchronistyczne* zawierające dzieje dwóch krajów: Assyryi i Babilonu. Aczkolwiek są to tylko kopie, w wielu miejscach bardzo uszkodzone, zrobione w czasach późniejszych, zapewne współcześnie z założeniem Biblioteki (środek wieku VII), z oryginału niewiadomego również z daty i pochodzenia, jednakże, z przyczyny braku materyału, wielkie mają znaczenie dla pierwotnych dziejów Asyryi i współczesnych Babilonu. Obejmują one przeciąg czasu od 14-go do 9-go wieku przed erą naszą. A ponieważ w tym właśnie czasie dziejowym nastąpiło stanowcze wyniesienie się Asyryi nad inne państewka i podbój Chaldei przez monarchów asyryjskich, pomnik ten przeto, jako jedyne źródło do dziejów tego okresu, sam tylko wykazać może w jaki to sposób zaszły wzmiankowane przewroty w układzie państw mezopotamskich. Parę szczegółów z części ich pierwszéj może posłużyć w tém miejscu za wstęp do kronik królewskich.

„Kara-indas król kraju Kar-Dunias (Chaldei niższéj) i Assur-bel-nisisu, król Asyryi... zawarli z sobą przymierze...

„Buzur-Assur, król Asyryi, i Burna-buryas, król kraju Kar-dunias, zawarli z sobą przymierze...

„Za panowania Assur-u-balata, króla Asyryi i Kar-ardasa, króla kraju Kar-dunias, syna Salmu-ballita-serua, córki Assur-u-balata, ludy Kassi powstały i zabiły go (Kar-ardasa, wnuka króla asyryjskiego). Nusi-bugas, człowiek niskiego pochodzenia, był na królestwo

wyniesiony. By pomścić Karardasa, Assur-u-bulat poszedł na kraj Kar-dunias. Zabił Nazi-bugasa i zrobił królem Kuri-galzu, syna Burna-buryusa...

„Za czasów Zaman a-zikir-idina, króla kraju Kar-dunias, Asur-dajan, król kraju Assura, wyruszył na kraj Kar-dunias, wziął miasta Zaba, Irrya, Agarsal, i łupy przeniósł do kraju Assura..."

Zapewne stosunki nieuniknione doprowadzały sąsiadów do częstych nieporozumień, skoro potrzeba było uroczystych przymierzy do stwierdzenia zgody. Przymierza utorowały drogę do związków rodzinnych. Te znowu dały prawo przebiegłym monarchom asyryjskim pomścić śmierć spokrewnionego monarchy babilońskiego i, zrzuciwszy jednego z tronu, osadzić na nim drugiego, który z krewnego już się stał wasalem. Gospodarka w obcym kraju spodobać się mogła. Gdy zabrakło pozorów prawnych, względów sprawiedliwości, wystarczała gotowość do walki i przewaga siły. Widzimy więc następnie monarchów asyryjskich zdobywających miasta babilońskie. Lecz i Babilończycy probowali odwetu i nawet ów odwet czasem im się udawał. Oto opis jednéj z wielu kampanii babilońskiéj:

„ ...Assur-ris-isi, król kraju Assura, zebrał swoje wojsko i wyszedł naprzeciw Nabu-kudur-usura (króla Babilonu). Nabu-kudur-usur widząc, że naprzód postępować nie może, spalił swój obóz i powrócił do kraju swego... Nabu-kudur-usur wrócił, by zabrać swoje wozy i bagaże. Assur-ris-isi wysłał, by je zatrzymać, swoje wozy i konnicę. Nastąpiła utarczka. Assur-ris-isi zmusił do ucieczki Nabu-kudur-usura, zniósł jego wojsko, wziął 50 wozów jego, zabrał konie, owładnął chorągwią którą noszono przed nim (1)."

Zwycięzki ów Assur-ris-isi był ojcem Tuklat-pal-asara.

Królowie asyryjscy dwojakiego używali sposobu, by kroniki panowania swego przekazać pokoleniom potomnym. Mieścili je na sporządzonych z gliny lub wyciosanych z kamienia graniastosłupach, które następnie zakopywali pod fundamenta wznoszonych dla siebie siedzib, lub rzeźbili na ścianach pałacowych a nawet, częstokroć na rozmaitych przedmiotach do ozdoby pałaców służących.

Zwaliska miasta Assur oprócz wzmiankowanych powyżéj napisów pamiątkowych dostarczyły jeszcze i *kronikę* Tuklat-pal-asara i to we czterech egzemplarzach, wyrzeźbioną na czterech 8-kątnych graniastosłupach.

Z jednakowego rodzaju dokumentów powstałe, jednym potrzebom i celom służące, kroniki królów asyryjskich pod względem for-

---

(1) G. Smith: Early History of Babylonia. Menant: Babylone et la Chaldée. Annales des Rois d'Assyrie.

my, układu treści a nawet rodzaju wiadomości zawartych wielce są do siebie podobne. Poznanie jednéj dać może pojęcie o wszystkich (1).

Kronikę Tuklat-pal-asara (2) rozpoczyna ustęp nadający opowiadaniu ton wzniosły, religijny, łączący rzeczy ziemskie z boskiemi. Cały panteon asyryjski przesuwa się w nim przed oczyma naszemi.

„*Assur*, bóg wielki, który rządzi wojskami bogów, który rozdaje berła i korony, podtrzymuje władzę; *Bel*, władca... król... ojciec bogów, pan ziem wszelkich; *Sin*, bóg mądry, rozdawca koron... *Samas*, sędzia ziemi i nieba, widzący postępki nieprzyjaciół... *Ramas* (Bin), bóg potężny, który zatapia kraje nieprzyjaciół, góry i doliny; *Adar*, bóg silny, który zło i nieprzyjaciół niszczy, podtrzymuje odwagę; *Istar*, pierwsza z bogiń, pani bitew, która rozdaje zwycięstwa; wielcy bogowie, władcy nieba i ziemi, których wola przenika wszędzie, którzy wzmocnili władzę Tuklat-pal-asara, wielkiego władcy, ulubieńca swego, pasterza narodów: Wyście to wolą waszą jego wybrali, koroną wspaniałą ozdobili, na królowanie nad ziemią Bela (Babilonia) wynieśli, wyście zapewnili mu władzę, pierwszeństwo, potęgę; daliście mu moc i środki pobierania podatków i danin, panowania nad ziemią.

„Ja jestem Tuklat-pal asar, król możny, dowódca wojsk niezwyciężonych, król czterech stron świata, rządzący wszystkimi rządzącymi, władca wszystkich władców, król królów, król potężny, ten, który za pomocą boga Samasa błyszczące berło w ręku trzyma, rządzi ludami ziemi Bela... On rozpostarł strach w krajach zbuntowanych, on olbrzym wśród bitw ogarnął jako fale morskie ziemie niepo-

---

(1) Wydawnictwo pomników babilońsko-asyryjskich wchodzi obecnie na nową drogę. Druki asyryjskie zastępują już *fac-similia*, fotografie i autografie dawniejsze. Pokonawszy trudności wynikające ze stanu pomników, w jakim one dochodzą do nas, oraz przeszkody techniczne, asyryologowie wydawać już zaczęli teksty asyryjskie jak wszelkie inne. Przykład dał G. *Smith*, wydawszy kronikę Assur-bani-pala. Obecnie mamy już dwie inne, wydane w takiż sposób. Kronikę Tuklat-pal-asara wydał W. Lotz (1889, Lipsk) kronikę Assur-assi-idina E. A. Budge (1880, Londyn). Lenormant wydaje teksty dwujęzyczne, Oppert i Menant zabytki prawne.

(2) W historyi *asyryologii* kronika ta jest pamiętną z faktu następnego: odczytywanie pomników klinowych asyryjskich wzbudzało początkowo wielkie niedowierzanie. Dla usunięcia go a zarazem sprawdzenia metody angielskie *towarzystwo azyatyckie* rozdało tekst téj kroniki czterem asyryologom: H. Rawlinsonowi, Fox-Talbotowi, Hincksowi i Oppertowi. Każdy z nich miał ów tekst przetłomaczyć osobno i w dniu wskazanym złożyć w *Towarzystwie*. *Cztery* tłómaczenia okazały się zupełnie zgodne z sobą.

słuszne, on nakazał cześć boga Bela, on gromił nieprzyjaciół boga Assura.

„Bóg Assur i inni wielcy bogowie rozszeryli moje państwo, dali mi władzę nad ludami, rządy moje nad wszystkimi utrwalili królami. Dali mi oręż, który w czasie wojny obala nieprzyjaciół po górach i płaszczyznach. Zburzyłem świątynie królów nieprzyjaznych bogu Assur, owładnąłem ich krajami. Zwyciężyłem 70 królów i od nich zakładników wziąłem. Z bitwy zawsze wychodziłem zwycięzcą. W wojnach niezliczonych nakładałem haracze. Dodawałem coraz nowsze kraje do krajów boga Assura, mieszkańców nowych do mieszkańców ziem jego. Rozszerzałem granice państwa mojego, brałem daninę z każdego kraju“...

Wspaniałe te słowa pozwalają nam poznać teorye, które sobie wytworzył Tuklat-pal-asar o swojéj władzy. Przypisawszy jéj nadprzyrodzone, od ludzkiéj woli niezależne pochodzenie, tém samém funkcyonowanie jéj wynosi po nad czyny i sądy rządzonych. Te pojęcia, które on sam wyznaje i stara się wcielić w naród, pozwalają mu wykonywać bezkarnie wszystkie zachcenia a zarazem mają chronić od zemsty bądź ogółu, bądź téż jednostek i gwarantować ciągłe powodzenie. Jest to wstęp tylko. Za nim idą szczegółowe opowiadania o wyprawach wojennych, przedsiębranych w celu podbicia danego kraju, lub, co się częściéj zdarzało, utrzymania już podbitego pod władzą swoją. Opowiadania te wykazują kierunek polityki zewnętrznéj i charakter stosunków sąsiedzkich Tuklat-pal-assara, a zarazem odkrywają, jakiemi to sposoby wychowywał on naród, jakie to instynkta głównie w narodzie swym rozwijał, jakie uczucia w nim budził i pielęgnował. Każda wyprawa wojenna daje wątek do osobnego opowiadania. Oto jest jedno z kilku:

„Wyruszyłem wówczas do kraju Kummuk, którego mieszkańcy powstali przeciwko mnie, przestali płacić podatki i składać daniny, które powinni byli składać bogu Assurowi, panu mojemu. Napadłem na cały kraj Kummuk, nabrałem niewolników, zdobyłem łupy i skarby. Popaliłem miasta, zniszczyłem je, zburzyłem. Mieszkańcy kraju Kummuk, którzy z pod mojéj władzy byli się wybili, schronili się do miasta Seryssa, po drugiéj stronie Tygrysu. By módz utrzymać się w tém mieście wzmocnili mury jego. Zebrałem wozy moje i moich wojowników. Przeszedłem z wozami o kołach żelaznych miejsca niedostępne i potoki bystre. Rzuciłem most przez rzekę i podszedłem pod Seryssę, miejsce ich ucieczki. Obsaczyłem zgromadzonych tam jako zwierzęta dzikie. Trupami ich usłałem wzgórza... Następnie zwróciłem oręż swój na kraj Kurki, z którego przybyli wojownicy na

pomoc krajowi Kummuk. W jednym czasie tych i tamtych pokonałem. Kawałkami ciał żołnierzy ich zawaliłem potoki górskie. Wpędziłem szeregi ich wojska w fale Tygrysu i do rzeki Nami. Kiliantaru, syn Kaliantara, którego królem byli zrobili, by podtrzymać swój opór, w potyczce wpadł w ręce moje. Żony jego i córki jego zrobiłem niewolnicami, synów jego zrobiłem niewolnikami. Zabrałem 180 sztuk miedzi, 10 sztuk żelaza, bogów ich, złoto, srebro; zabrałem ich skarby, zabrałem ich niewolników; ozdoby i sprzęty w ogień wrzuciłem; zniszczyłem i zburzyłem miasto jego i pałac. Miasto Urakinas, stolica ich kraju, położona w ziemi Panari, zadrżało z obawy potęgi i mocy nadzwyczajnéj Asura, boga mojego. Mieszkańcy jego, by życie swoje zabezpieczyć, porwali swe bogi i na wierzchołkach gór niedostępnych, po wąwozach głębokich, jako ptacy się schronili. Poszedłem z wozami mojemi i wojownikami na nich. Zbliżyłem się do rzeki Tygrysu. Sadityru, syn Katykni, król miasta Urakinas, padł przedemną na kolana, by mię niedopuścić do napadu na kraj jego. Przyjąłem jako zakładników synów jego, ulubieńców serca jego i jego rodzinę. Przyniósł on mi w daninie 60 *sunuk* bronzu, 90 *nirmak* miedzi, *namhar* miedzi, 120 niewolników, woły i owce. Przyjąłem to jako okup i przebaczyłem mu. Wyświadczyłem mu łaskę, darowałem życie; władzę swoją potężną na wieki nad jego rozciągnąłem krajem. Zająłem zielone ziemie kraju Kummuk i do mojego przyłączyłem państwa. Wówczas złożyłem w darze bogu Assur, mojemu panu, *namhar* miedzi, *nirmak* miedzi z łupów zabranych z kraju Kummuk, 60 *sunuk* bronzu wraz z ich bogami przeznaczyłem bogu Bin, mojéj podporze...“

Takiego rodzaju wyprawy następowały jedna po drugiéj. Zawsze wieńczył je pożądany skutek. Zawsze jedne i te same klęski oczekiwały zwyciężonych, łupy i władza zwycięzców. Powód do wyprawy zawsze się znalazł i zawsze tchnął bogobojnością, chęcią utrzymania porządku, zadość uczynienia pojęciom sprawiedliwości. Oto jest początek opowiadania o drugiéj wyprawie:

„By podtrzymać potęgę mojego oręża, któremu bóg Assur, mój władca, zapewnił zwycięztwo i władzę nad światem, wyruszyłem z wozami i wojskiem... na kraj Mildis, którego mieszkańcy są wiarołomni i buntownicy....“

Ci sami bogowie, którzy nadali władzy Tuklat-pal-asara ową wyjątkową, wprost od siebie pochodzącą moc i potęgę, nigdy nie przestawali podniecać go i nakłaniać do coraz nowszych zaborów. Jako bezpośredni powód kilku wypraw Tuklat-pal-asar podaje otrzymany rozkaz od boga Assura. Na początku bowiem kilku opowiadań czytamy następujące wyrażenia:

„Pełniąc wolę najwyższą boga Assura, mego władcy, wyruszyłem na kraj Karia.... Bóg Assur, mój władca, rzekł mi, bym wyszedł.. Według rozkazu najwyższego boga Assura, władcy mojego, zrobiłem wyprawę na kraj Sugi, który stanowi część kraju Kirki, a dotychczas nie był podbity.... Assur, mój władca, rozkazał mi napaść na kraj Musry... W czci głębokiéj boga Assura, władcy mojego, zgromadziłem wojsko i wozy; przeznaczyłem rok i dzień pomyślny, stosownie do snu, który miałem, i wyruszyłem na kraj Aram, który nie uznaje Assura swoim bogiem i nie czci go....“

Jak początek każdéj wyprawy był jeden do drugiego podobny, tak téż i zakończenie jednéj nie jest różne od zakończenia drugiéj, gdyż każde zawiera szczegółowy spis łupów w ludziach i trzodach, pieniądzach i sprzętach, każde podaje prawie w jednakich wyrazach sposób urządzenia podbitego lub tylko do posłuszeństwa na nowo doprowadzonego kraju.

Chełpliwość i żądza rozprzestrzenienia grozy majestatu swego powodowały królem, gdy kazał wymieniać szczegółowo ludy, który pokonywał, kraje, które z wojskiem przebiegał. Przechowane w tak sposób imiona ludów i nazwy krajów stanowią nieocenione dane, zarówno dla zakreślenia granic monarchii i wytknięcia głównych zwrotów jéj rozwoju, jak téż dla geografii i etnologii ówczesnego świata dziejowego. Wzmiankowanie w téj kronice tego lub owego ludu wprowadza już ów lud częstokroć do Historyi powszechnéj.

Skończywszy opowiadanie wypraw wojennych, Tuklat-pal-asar obszerny ustęp poświęca polowaniom. Jak na polu bitew ludzi, tak na polowaniu dzikie zwierzęta zabija on na cześć bogów, którzy go szczególniejszą otaczają opieką: „Ku ucieszeniu boga Adar, mojego opiekuna, ja zabiłem cztery bawoły, samce... ja ich zabiłem z łuku mojego celnego.... Zabiłem dziesięć odyńców... czterech schwyciłem żywych... Z pomocą boga Adara, który mi sił użycza, zabiłem 120 lwów; walczyłem z niemi ciało przeciw ciała, położyłem ich u nóg swoich moją odwagą; 800 lwów schwyciłem memi wozami; żaden ptak nieba w swym locie nie uniknął méj strzały...“ Skóry i zęby zabitych zwierząt przywoził, schwytanych żywemi wprowadzał jako trofea do miasta Assur.

Następnie kronika Tuklat-pal-asara dostarcza pewnych szczegółów, bardzo ważnych dla dawniejszéj historyi Asyryi. Monarcha ten wylicza swoich przodków do pra-pradziada. Pozwala to ułożyć listę królów przed nim panujących. Daléj czytamy rzecz taką: „Wtedy zdarzyło się: świątynia boga Anu i Bina, wielkich bogów, moich władców, którą za panowania swego Samsi-Bin, patezi Assura, syn Ismi-Dagana, patezi Assura, był pobudował 641 lat temu, zwaliła się.

Assur-Dagan, król ziemi Assura, rozebrał tą świątynię, lecz nie odbudował. Całych lat 60 nie dotykano się jéj podwalin..." Znając datę panowania Tuklat-pal-asara otrzymujemy datę panowania Samsi-bina.

Ustęp ten stanowi przejście do opowiadania o administracyjnych czynnościach Tuklat-pal-asara, do opisu wzniesionych przezeń gmachów i świątyń. Wzmianka następna domyślać się każe kultu kamieni w Assyryi: „Wówczas to kazałem sprowadzić kamienie *ka*, *alta*, *kagina* z gór Nairy, które mi dał bóg Assur, i kamienie te umieściłem w *Bit-hamry*, świątyni Bina, na wieczne czasy."

Ostatnie ustępy kroniki również jak pierwsze są poświęcone bogom. Przypomniawszy im świątynie, które dla nich zbudował, zasługi, które w celu krzewienia ich czci położył, błaga o opiekę nad sobą, rodziną swą, krajem, błaga o siły i potęgę konieczną do wytępienia nieprzyjaciół. Nakoniec uczyniwszy wzmiankę o napisach pamiątkowych przez siebie na gmachach umieszczonych, o rzeźbach czyny jego przedstawiających, ze słowy następnemi zwraca się do tego „który w ciągu lat, w czasach przyszłych będzie panował" po nim: „Ta świątynia boga Anu i Bin, wielkich bogów, moich władców i te wieże ze starości rozwalą się, odbuduj je, oczyść tablice z napisami, kamienie węgielne i rzeźby, uczyń ofiarę stosowną, połóż je na swoim miejscu i umieść swe imię obok mojego, a wtedy Anu i Bin, wielcy bogowie, udzielą ci szczęścia, radości twemu sercu, błogosławieństwa twym zamiarom." Lecz wspaniały, wszechpotężny ów monarcha nie wolen od trosk wszelkich. Przychodzi mu na myśl, że może znajdzie się ktoś, który jego prośb i błagań nie usłucha, który zapewne postąpi z pamiątkami po nim, jak on postępował z osobami zwyciężonych królów lub pamiątkami po nich. Poczucie w tym wypadku swéj niemocy nastraja go tragiczną grozą. Wnet za prośbami, błaganiami następują przekleństwa. Ciska on je na przyszłego władcę kraju, przyszłego burzyciela tych gmachów, niszczyciela pamiątek; grozi jemu, jego rodzinie i całemu krajowi nieprzeliczonemi a zgubnemi klęskami.

Taką więc jest kronika króla Tuklat-pal-asara, którą przyjąć możemy za typ wszystkich tego rodzaju utworów. Monarcha ten panował w drugiéj połowie XII wieku przed erą naszą. Panowanie jego zamyka pierwszy okres dziejów Asyryi. Ze zmianą stolicy następuje okres drugi.

W godnościach przypisywanych sobie przez Tuklat-pal-asara mogliśmy zauważyć miano rządcy ziem Bela. Ziemię Bela wyróżnia on wśród wszystkich ziem; posiadanie jéj stanowi dlań przedmiot chluby ciągłéj. Otóż prawdopodobnie podbicie stanowcze Babilonii

przez monarchów asyryjskich pozwoliło im posunąć po dwakroć daléj ku północy stolicę kraju, pozwoliło, usadowiwszy władzę w bardziéj centralnym i dogodnym miejscu, zamarzyć o podbiciu całego świata historycznego.

Każdy z dzielniejszych monarchów, któremu wieńczone zwycięstwem wyprawy dostarczały bogactw i rąk niewolników, wznosił dla siebie nowy, osobny pałac, by w podwalinach jego zakopać jedno opowiadanie, by na ścianach wyryć drugie, ilustrowane częstokroć odpowiedniemi rzeźbami. Gdy niejednemu przyrodzona gnuśność przeszkodziła zgromadzić odpowiednie środki do wzniesienia sobie pałacu pamiątkowego, przebudował gmach któregokolwiek z odleglejszych swych poprzedników i zamiast imienia dawniejszego jego właściciela umieścił na nim swoje. Częstokroć znowu, ci poprzednicy w absolutyzmie Ludwika XIV, zakładali sobie Wersale pod stolicami. Takim Wersalem dla Assur-nasir-pala był Balawat, na wschód Kalahu leżący, dla Sargona—Korsabad, na północ Niniwy.

Ruiny Kalahu dostarczyły *czterech* kronik. Pierwsza należy do Assur-nazir-pala. Uzupełnia ją obszerne opowiadanie o czynach tego monarchy znalezione w Balawat. Druga należy do Salman-asara, syna Assur-nasir-pala. Składa ją kilka odrębnych opowiadań, z których jedno mieści się na pięknym obelisku, drugie na wspaniałych drzwiach pałacowych z bronzu. Trzecia najkrótsza z nich, głosi dzieje Samsi-bina. Nakoniec czwarta — dzieje Tuklat-pal-asara II. Kroniki te obejmują przeszło półtora wiekowy przeciąg czasu (IX i VIII stulecia), z okresu drugiego dziejów Assyryi. Do poprowadzenia dziejów wstecz od Assur-nasir-pala do Tuklat-pal-asara I-go, czyli do związania z sobą dwóch tych okresów, służą napisy pamiątkowe znajdowane w Kalah, tablice synchronistyczne przedstawiające dzieje Assyryi i Babilonii, a nadto wzmianki o poprzednikach spotykane w opowiadaniach królów powyżéj wyliczonych.

Z przeniesieniem stolicy do Niniwy nastąpił okres trzeci i ostatni. Asyrya dosięgła w nim najwyższego szczytu potęgi państwowéj, gdyż w granicach swych zawarła cały ówczesny świat historyczny. Na to wszechświatowe stanowisko wynieśli ją czteréj z kolei po sobie panujący Sargonidowie (72.—649). Zwaliska pałacu w Korsabadzie, od których rozpoczęto rozkopywanie miast asyryjskich (1844), dostarczyły kilku szczegółowych opowiadań o Sargonie, założycielu téj potężnéj dynastyi. W zwaliskach Niniwy odkryto kroniki jego syna Sin-aki-eriba, jego wnuka Assur-aku-iddina i prawnuka Assur-bani-pala. Dzięki szczególnéj obfitości faktów zawartych w kronikach, wielkiéj dokładności w samym opowiadaniu, epoka ta może się stać najlepiéj znaną z całéj historyi Mezopotamii. Atoli kronika

ostatniego z wymienionych Sargonidów, Assur-bani-pala urywa się nagle na 20-tym roku panowania jego. Będzie to rok 649. Na nim przeto kończą się znane dzieje Asyryi.

Za epilog mogą służyć dwa napisy pamiątkowe znalezione w Kalah; jednego z nich treść jest następna:

„Ja Assur-idil-ili, król wojsk, król ziem Assura, syn Assur-bani-pala, króla wojsk, króla ziem Assura, rozkazałem wyrabiać cegłę w celu wzniesienia Bit-Zida w mieście Kalah, a to dla przedłużenia dni życia mojego."

Drugi należy do niejakiego Bel-zakir-iskuna. Mieni się on w tym napisie królem Assyryi, atoli nie wyjaśnia w jaki sposób stał się królem ani też nie podaje żadnych faktów z czasów panowania swego (1). I żaden już dokument współczesny nie odkrywa biegu wypadków. A tymczasem w drugiéj połowie VII wieku miały miejsce nader ważne przewroty. Asyrya jako państwo upada. Naród asyryjski, nie sam dla siebie lecz dla monarchów swych i przez nich żyjący, dochodzi do stanu zupełnéj bezwładności. Kraj cały przeobraża się w rumowisko wielkie. Przewroty te przypadają na ostatnie lata panowania Assur-bani-pala i na panowanie dwóch jego następców, których stosunek do siebie pozostaje niewyjaśniony.

Wypadki, które spowodowały upadek Asyryi, odrodziły Babilonią. Dwa ważne dokumenty, pochodzące już z Babilonu, uzupełniają przerwaną w kronikach królów asyryjskich historyą Mezopotamii. Jeden z tych dokumentów stanowi obszerna kronika króla babilońskiego Nabu-kudur-usura. Z niego widzimy, że monarchowie babilońscy, otrzymawszy spadek państwowy po asyryjskich, zajęli ich miejsce i stanowisko w historyi. Nabu-kudur-usur jest to znany już nam dobrze typ samowładcy, opierającego swoją władzę na religii. I jego również jak monarchów asyryjskich bogowie zesłali dla rozszerzania swéj chwały i utrzymywania ludów sąsiednich w porządku; i on również jak i tamci niszczył kraje obce, by swój pozornie wzbogacać, burzył miasta obce, by swoje upiększać. W teoryi jednakże o pochodzeniu swéj władzy i osoby poszedł daléj. Nazywa siebie już poprostu synem boga. Oto bowiem co o swym pochodzeniu głosi: „Bóg Bel, sam mnie stworzył; bóg Marduk, który mnie spłodził, sam zarodek życia mego złożył w łonie méj matki."

Liczne napisy pamiątkowe stwierdzają i uzupełniają fakta podane w kronice.

---

(1) *G. Smith:* Assyrian Discoveries, Chapter XIX, 1876.

Drugi, znany zaledwo od lat dwóch (1), podaje wypadki zaszłe w czasie panowania ostatniego króla babilońskiego Nabonida, a więc opowiada o najściu na Mezopotamię Cyrusa, króla Persów i o zdobyciu przezeń Babilonu (538) co położyło koniec monarchii babilońskiéj i zapewniło panowanie nad owoczesnym światem historycznym szczepowi aryjskiemu, przedstawianemu podówczas przez Irańczyków.

3.

Wśród pomników historycznych składających grupę *trzecią*, najważniejszémi dla dziejów są spisy urzędników zwanych *Limmu*. Urzędnicy ci byli wyznaczani na rok jeden i rokowi temu, w przeciągu którego urzędowali, nadawali swoje imię. Czytamy np. taką datę: „W miesiącu Ululu dnia 7-go, roku Limmu Sagab,“ lub „W miesiącu Airu dnia 5, roku Limmu Bel-haran-saduja.“ Inne atrybucye ich władzy są nieznane. Każdy król w pierwszym roku swego panowania zostawał Limmu i rok ten nazywa od swego imienia.

Jeśli przypuścimy, że zwyczaj wyznaczania tych urzędników pochodził z konieczności obliczania lat i utrwalania w pamięci danego roku nie za pomocą liczby porządkowéj lecz imienia pewnéj osoby, to cel układania spisów Limmu'w przedstawia się nam zupełnie jasno. Spisy takie zastępowały asyryjczykom nasze tablice chronologiczne i ułatwiały obliczania dat. Jako rzecz codziennego użytku musiały one rozchodzić się po kraju w znacznéj ilości. Żaden wszelako z nich nie doszedł do nas w całości. Z licznych jednakże odłamków udało się uczonym angielskim złożyć cztery całkowite egzemplarze. Każdy z nich przedstawia bez żadnéj przerwy idących po sobie *Limmu'w* od początku IX stulecia (891 roku, nazwanego rokiem niejakiego Adar-sar-mi) do roku czwartego panowania Assur-bani-pala, (665, nazwanego rokiem Tabikai). A nadto, na jednym z takich egzemplarzy oznaczone są nawet ważniejsze wypadki, które miały miejsce w przeciągu każdego roku. Ten egzemplarz obejmuje lat 112 (816—704).

---

(1) Poszukiwania archeologiczne w Mezopotamii po usunięciu się z widowni naukowéj A. H. Layarda i śmierci przedwczesnéj G. Smitha prowadzi obecnie ze strony Anglii Hormuzd Rassam. On to właśnie rozkopał wzmiankowane zwaliska w Balawat, jak również wyszukał kronikę ostatniego króla babilońskiego Nabonida, doprowadzoną do śmierci jego. Kronika ta posłużyła mi za źródło do napisania notatki historycznéj p. t. *Zdobycie Babilonu przez Cyrusa* (Bibl. Warsz. za Marzec, 1881).

W taki sposób *tablice Limmuw* pozwalają ułożyć dokładną listę królów asyryjskich począwszy od Tuklat-Samdana, ojca i poprzednika znanego z 2-giéj kroniki Assur-nasir-pala, do Assur-bani-pala. Oprócz tego zaś zapisane wypadki główniejsze 112 lat odtwarzają mniéj znane dzieje kilku panowań, od Samsi-Bina do Sargona włącznie. Pod 704 rokiem, nazwanym rokiem Pakar-Belu, rządcy kraju Anud, zapisane są dwa fakta: zabicie Sarkina,—miesiąca Abu (lipca) dnia 12 wstąpienie na tron Sin-aki-eriba.

W bibliotekach królów Asyryjskich przechowywały się zapewne i archiwa prywatne monarchów. A ponieważ, jak dotychczas przynajmniéj, tylko jedną bibliotekę króla Assur-bani-pala, odkryto przeto i dokumenta archiwalne znalezione w niéj są jedynémi tego rodzaju zabytkami. Z treści tych dokumentów poznajemy sztukę dyplomatyczną królów asyryjskich, gdyż przypuszczać należy, że Assur-bani-pal nie mógł być pod tym względem wyjątkiem, lecz wraz z tronem otrzymał i tradycye o prowadzeniu interesów dyplomatycznych i biegłych w tych sprawach urzędników.

W kraju Suziana (Elam) niejaki Ummanaldas zrzuca z tronu króla Indabigasa, zmusza go do ucieczki i sam ogłasza się królem. Wnet sprawozdanie o tym wypadku otrzymują w Niniwie. Mógł je przysłać agent dyplomatyczny. Oto treść jego:

„Do króla królów, króla mojego, Bel-ibni, sługa jego. Oby Assur, Samas i Marduk użyczyli radości sercu, zdrowia ciału, dni szczęśliwych, życia długiego królowi królów, królowi narodów, panu mojemu. Takie są nowiny z kraju Elam: Ummanaldas pobił króla dawnego, który uciekł. Jego matka, żona, dzieci i rodzina cała w trwodze opuścili miasto Madakta. Ummanaldas usiadł na tronie i rozpoczął rządy. Przeszedł on rzekę Ulai w .... udał się do miasta Talah...“ zapewne w celu ścigania zrzuconego z tronu poprzednika swego. Uszkodzenie znaczne tekstu nie dozwala dokładnie poznać losów walki rozpoczętéj, która jednakże skończyła się pomyślnie dla Ummanaldasa. Inny znowu dokument, identyczny co do formy, zawiera sprawozdanie o wypadkach zaszłych w Arabii. Ustalenie formy takich aktów mogło być owocem długiego przeciągu czasu.

Monarchowie pisywali do siebie. I już i wtedy nazywali siebie braćmi. Przechował się list wzmiankowanego w poprzednim dokumencie Ummanaldasa, już jako króla Elamu, do Assur-bani-pala. W nim taki początek znajdujemy:

„Ummanaldas, król ziemi Elam, do Assur-bani-pala, króla ziemi Assura. Pokój memu bratu.“

Następnie donosi mu o wystąpieniu przeciwko sobie plemienia Marteni, opisuje przebieg wojny; a ponieważ strona wojująca oparła

się o granice asyryjskie, wzywa Assur-bani-pala do przyjęcia udziału w téj wojnie i udzielenia sobie pomocy.

Znane również były i proklamacye do narodu, poprzedzające zwykle wojska i nasyłanych urządzicieli. Oto jedna z takich proklamacyi:

„Odezwa króla do mieszkańców z nad brzegów morza, do ich synów i sług. Pokój waszym sercom, szczęście wam!

„Czuwałem pilnie nad wami. Otwierałem na was własne swe oczy.... Obecnie posyłam wam Bel-ibni, sługę swego, posła swego. Rozkazuję wam, byście stosownie do mych rozkazów (postępowali). Oto dlaczego wyprawiam do was i wojska moje. Chcę z wami pospołu pod moim okiem strzedz życia waszego i waszego mienia.

„W miesiącu Airu, dnia 5-go, Limmu Bel-haran-saduja."

Druga chociaż odmienna w słowach wyraża te same myśli i zamiary. Skierowana do ludów, wchodzących w skład państewka elamskiego, miała wzbudzić niechęć jednych do drugich, coby ułatwiło zadanie wojsk asyryjskich, zbliżających się już.

„Odezwa króla do mieszkańców kraju Raza, mieszkańców z nad brzegu morza, mieszkańców kraju Neruti. Pokój waszym sercom, szczęście wam!

„Ja cieszyłem się wielce z pomyślności ludów Elamu. One odtrąciły moje łaski i pomoc. Za wszystko dobro, które chciałem im wyświadczyć, odpłaciły mi się niewdzięcznością. Naprzód, za dni Urtaki, gdy głód je zmuszał do opuszczania ziemi Elamu, schroniły się w ziemi Assura..." Następuje wyliczenie dobrodziejstw wyświadczonych ludom Elamu, które uzupełnione być miały ostatnim, najwyższym, mianowicie zaborem.

Szczupłe rozmiary działu trzeciego pomników historycznych wynagradza, jak to widzimy, wielka rozmaitość stanowiących dział ten zabytków.

Do pierwszéj połowy bieżącego stulecia Historya starożytnego wschodu rozpoczynała się dla nas od drugiéj połowy VI-go wieku przed naszą erą, to jest od epoki perskiéj. Przyczyną tego był brak zupełny autentycznych materyałów. Wszystko, cośmy wiedzieli tylko o przodujących narodach wschodnich (babilończykach, asyryjczykach, egipcyanach), zawdzięczaliśmy historykom greckim oraz kronikom hebrajskim.

Dwaj główni historycy greccy, Herodot i Ktezyasz, żyjąc w epoce perskiéj, patrzyli na ludy, których przeszłość chcieli opisywać, gdy żywot dziejowy tych ludów był już skończony. Czerpiąc przeto

wszystkie swe wiadomości o nich w legendach, kilkunastowiekową przeszłość Asyryi i Babilonii zawarli w dziejach kilku postaci mitycznych, w których wszystko, zacząwszy od imion, było wymysłem. W kronikach hebrajskich, redagowanych również w epoce perskiéj, znajdujemy tylko kilka imion autentycznych z czasów późniejszych i na tém koniec.

Obecnie, jak wiemy, stan ten zupełnie się zmienił.

Poznanie pomników historycznych babilońsko-asyryjskich przekonało nas, że nietylko dzieje Egiptu cofnąć możemy o parę tysięcy lat wstecz od ery naszéj lecz i dzieje Mezopotamii. A nadto, znamy względy, które pomnikom pochodzącym z Mezopotamii dodają jeszcze wyjątkowego znaczenia. Azya przednia była kolebką dwóch szczepów, które wytworzyły kulturę dziejową; w Azyi powstały religie, które objęły świat cały; wyszedłszy z Azyi Aryowie europejscy w stałych i ciągłych z pierwotną swą ojczyzną przebywali stosunkach. W tych więc pomnikach szukać musimy wyjaśnienia wielu zagadnień dziejowych.

Oprócz tego, pomniki egipskie, chociaż przewyższać mogą mezopotamskie starożytnością, odkrywają nam Egipt jako państwo zupełnie już uorganizowane; początkowych dziejów Egiptu opierając się na nich wyśledzić nie możemy. Inaczéj rzecz się ma z pomnikami babilońsko-asyryjskiémi. Przedstawiają nam one epokę najbardziéj w historyi każdego kraju tajemniczą, a mianowicie, epokę tworzenia się narodu i zawiązywania się państwa. A przytém, charakter sam pomników dozwala niby bezpośrednio przypatrywać się wypadkom; odkrywając oś główną czynności wszelkich, interes, dozwala docierać do rzeczywistéj przyczyny każdego faktu; śledzić rozwój jego konsekwentny. Stąd tryska uderzający w tych dziejach realizm, stąd wypływa pouczająca z nich prawda historyczna.

I Radliński.

O zdolności ruchu u roślin.

(*Dokończenie*).

Do szeregu ruchów obrotowych czyli cyrkumnutacyjnych zmienionych skutkiem zewnętrznych wpływów, należy według Darwina *sen* czyli *ruchy nyktitropowe liści*, wywolane przez dzienne następstwo światła i ciemności. Ciemność sama przez się nie wywołuje sennych poruszeń, które właściwie powstają skutkiem różnicy w natężeniu światła, bo rozmaite rośliny, jak nasturcya (*Tropaeolum*), łubin (*Lupinus*) i inne, wtedy tylko układają się do snu, gdy były podczas dnia silnie oświetlone. Tak więc w tych razach senne objawy powstają nie skutkiem zmniejszenia światła wieczorną porą, ale skutkiem kontrastu pomiędzy oświetleniem wieczorném i wcześniejszych godzin dnia.

Senne ruchy liści do pewnego stopnia zostają odziedziczone, albowiem po największéj części liście powracają z rana do właściwego położenia chociaż je pozostawimy bez światła, a z drugiéj strony liście niektórych roślin przynajmniéj przez jeden dzień normalnie poruszają się w ciemnościach. Dziedziczność z różną siłą występuje u rozmaitych gatunków, ale prawdopodobnie nigdy nie jest bardzo uporczywą. Gdyby rozmaite rośliny, ze wszystkich części świata sprowadzone do naszych cieplarni i ogrodów, ściśle przechowywały odziedziczoną peryodyczność ruchów wywołanych przez zmianę światła dziennego i ciemności nocnych, tedy w naszym kraju układałyby się do snu o bardzo rozmaitym czasie, co jednakże nie ma miejsca. Nadto, rośliny we własnéj ojczyźnie zmieniają czas snu odpowiednio do zmieniającéj się pory roku.

Senne położenie liści nadzwyczajną przedstawia rozmaitość. Raz liście opuszczają się na dół, to znowu podnoszą do góry, a listeczki składanego liścia mogą się zwracać albo ku jego wierzchołkowi, albo ku podstawie. Oprócz tego liście, a zwlaszcza listki, obracają

się koło swéj osi, czasami na całe 90°. Liście osadzone na pionowych gałęziach niekiedy inaczéj się poruszają aniżeli liście wyrastające na poziomych lub pochyłych gałęziach téj saméj rośliny. Liście wszystkich gatunków danego rodzaju najczęściéj w ten sam sposób układają się do snu, lecz prawidło to przedstawia pewne wyjątki. Tak w różnych obszernych rodzajach (np. szczawika, *Oxalis*) jedne gatunki sypiają, inne nie. Niektóre gatunki nostrzyka (*Melilotus*) sypiają podobnie jak koniczyna, inne zaś w odmienny i sobie właściwy sposób. Jedne gatunki śliży (*Sida*) do snu podnoszą, a inne opuszczają listki.

W senném położeniu liście lub listki najczęściéj podnoszą się do góry; pomijając niektóre rodzaje pozostawiające pewną wątpliwość, rośliny badane pod względem snu dostarczyły 37 rodzai, u których liście i listki podnoszą się do góry, a tylko 32 z listkami i liśćmi opuszczającémi się na noc ku dołowi. U sennych liści blaszka nocną porą przybiera pionowe albo prawie pionowe położenie, ale zresztą zupełnie jest obojętném czy do góry zwróconą będzie boczna krawędź, podstawa lub wierzchołek blaszki.

Jeżeli w senném położeniu listki stykają się z sobą, pospolicie przylegają do siebie górnemi powierzchniami. Czasami bywa jednak przeciwnie, a mianowicie listki stykają się powierzchniami dolnemi. Wypadki tego rodzaju zdarzają się tylko wtedy, jeżeli listki opuszczają się ku dołowi nie obracając koło swéj osi. Rotacya listków, o ile sądzić można, przedewszystkiém zmierza do zbliżenia górnéj ich powierzchni, jak tego dowodzi zeczwornik (*Marsilea*), nostrzyk (*Melilotus*), czułek (*Mimosa*), sieżybób (*Cassia*) i wiele innych roślin.

Pierwszy prawdziwy liść pospolicie bywa odmiennéj postaci od następnych liści, ale sypia tak samo jak te ostatnie, wszakże pod tym względem niektóre rośliny zachowują się wyjątkowo. Tak u fasoli *Phaseolus Roxburgii* pierwszy listek podnosi się nieco w górę, gdy tymczasem listki późniejszych liści składanych opuszczają się na dół. Liście śliży (*Sida rhombaefolia*) w bardzo młodym wieku nie sypiają, lecz późniéj nocną porą podnoszą się do góry. Przeciwnie u bardzo młodéj szczodrzenicy (*Cytisus fragrans*) liście sypiają, a na starych krzakach nie okazują wyraźnych ruchów sennych.

Zdaje się, że liścienie częściéj sypiają aniżeli liście. W niektórych jednak razach sypiają tylko liście, gdy tymczasem liścienie odpowiednich ruchów nie wykonywają, albo przeciwnie, u innych roślin sennym ruchom podlegają tylko liścienie. Wreszcie, u innych jeszcze roślin sypiają liście i liścienie, ale inaczéj.

Senne ruchy w dwojaki odbywają się sposób. Raz następują one skutkiem spotęgowanego wzrostu liścia na przeciwnych jego krawędziach, albo też odbywają się przy pomocy poduszeczek naprzemian w różnych miejscach nabrzmiewających. W pierwszym razie senne ruchy ustają po zupełném wyrośnięciu liścia, w drugim zaś bez przerwy odbywają się dopóki liść nie zawiędnie, chociaż stare liście w porównaniu z młodemi mogą się poruszać w mniéj zawiły sposób. Rotacyjny ruch, jak to Pfeffer zauważył, prawie wyłącznie spostrzegać się daje tylko u liści z poduszeczkami.

Blaszka liściowa pospolicie porusza się skutkiem zgięcia najwyższéj części ogonka, zamienionej na poduszeczkę. Czasami jednak porusza się i zagina sama blaszka, jak to np. spostrzegamy u *Bauhinii*, gdzie dwie połówki blaszki podnoszą się aż do wzajemnego zetknięcia. Wreszcie może się poruszać i blaszka i ogonek. U liści składanych pospolicie porusza się także cały ogonek liściowy podnosząc się albo opadając. Na téj saméj roślinie ogonki rozmaitych liści często okazują wielce odmienną obszerność ruchów. Wiek liści nie jest tu bez wpływu, bo ogonki młodych liści wykonywają obszerniejsze ruchy; tak u poruszliny (*Desmodium gyrans*) średnio stare liście wznoszą się tylko na 46°, gdy tymczasem młode podnoszą się pionowo. U siężybobu (*Cassia floribunda*) młody liść podnosi się na 41°, a stary tylko na 12°. Czasami na obszerność ruchów wpływa wiek saméj rośliny; tak u młodziutkich Bauhinij ogonki wznoszą się nocną porą na 30° do 34°, gdy tymczasem na tym samym osobniku wyrośniętym na 2 lub 3 stopy zaledwie się poruszają. Wreszcie samo położenie liścia na łodydze zdaje się także wywierać wpływ na potęgę jego ruchu, co wynika z rozmaitego stopnia oświetlenia. U niektórych roślin ogonek porusza się w nocy w pewnym kierunku, a listki w kierunku przeciwnym. Tak np. u niektórych roślin fasolowatych ogonek wznosi się nocną porą do góry, a listki opuszczają się na dół. Wreszcie, listki mogą się tak mało poruszać, że nawet nie można im przyznać zdolności zasypiania, gdy tymczasem ogonek podnosi się na 34°. Tak mianowicie zachowują się liście siężybobu *Cassia Barclayana*.

Pomimo całéj rozmaitości sennych ruchów liści i liścieni, pomimo odmienności ruchu u różnych gatunków tego samego rodzaju, albo nawet odmienności ruchu rozmaitego wieku, zawsze ostatecznym wynikiem ruchu jest umieszczenie liścia w takiem położeniu, aby górna jego powierzchnia jak najmniéj była wystawiona na promieniowanie podczas chłodu nocnego. Trudno powątpiewać o prawdzie tego wniosku, albowiem liście poziomo rozpięte daleko więcéj cierpią podczas chłodu pogodnéj nocy aniżeli liście swobodnie ukła-

dające się do snu. To samo spostrzegać się daje na liściach swobodnie poruszających się na gałęzi nieruchomo przymocowanéj. U gatunków z ogonkami wysoko podnoszącemi się, albo z listkami przytulającemi się do siebie, cała roślina skutkiem tego jest w nocy daleko bardziéj zbita aniżeli we dnie, a tém samém mniejszą przedstawia powierzchnią i mniéj jest wystawiona na promieniowanie cieplika. Do takich stulających się na noc roślin należy siężybób (*Cassia pubescens*), poruszlina (*Desmodium gyrans*), Bauhinia, szczawik (*Oxalis Ortegesii*) i inne.

Na pierwszy rzut oka mogło by się wydawać, że liście poruszają się tylko wieczorem podczas układania do snu, i rano podczas przebudzenia, wszakże bliższa i nieustanna obserwacya naucza, że liście bez przerwy poruszają się przez całe 24 godzin, lecz wieczorem i z rana poruszenia zostają przyśpieszone. Wyjątek stanowią rośliny których listki podczas snu ściśle przylegają jeden do drugiego, albo do ogonka lub łodygi, bo w podobnym razie są one podczas nocy nieruchome, co prawdopodobnie wynika z przyczyn czysto mechanicznych.

Liść sypiający, w ciągu 24 godzin zakreśla niekiedy jedną obszerną elipsę, która pospolicie bywa stosunkowo wysoka i bardzo wąska, czasami jednak znacznie się rozszerza. Po największéj jednak części sypiające liście, przez 24 godzin więcéj odbywają wahań do góry i na dół, ale liczba zakreślonych elips bardzo bywa różna. U niektórych gatunków zakreślają one dwie, u innych trzy, cztery, albo nawet pięć elips. Szybkość z jaką liść zakreśla elipsę jest tedy bardzo różna, tak np. u zajęczego szczawika (*Oxalis acetosella*) podczas obserwacyi zakreślił dwie elipsy, poświęcając na każdą 1 godzinę i 25 minut; liść zeczwornika (*Marsilea quadrifolia*) na zakreślenie elipsy potrzebował 2 godziny, koniczyny (*Trifolium subterraneum*) 3 godziny i 30 minut, a orzecha ziemnego (*Arachis hypogea*) 4 g. i 50 m. Liczba elips zakreślonych w danym przeciągu czasu zależy jednak od stanu w jakim się roślina znajduje, oraz od otaczających ją warunków. Jednego dnia liść może zakreślić jedną elipsę, a następnego dnia dwie. Czerwoń czyli koralowe drzewo (*Erythrina corallodendron*) pierwszego dnia spostrzeżeń zakreśliła cztery elipsy, a trzeciego dnia tylko jedną, co prawdpodobnie pochodziło z niewystarczającego oświetlenia a może i z braku odpowiedniéj temperatury. Pomimo to zdaje się, że rozmaite gatunki danego rodzaju posiadają wrodzoną skłonność do zakreślania w ciągu 24 godzin rozmaitéj liczby elips; tak listki dzięcielinki czyli koniczyny rozesłanéj (*Trifolium repens*) zakreślają w ciągu doby jednę elipsę, listki *Trifolium resupinatum* dwie, a *Trifolium subterraneum* trzy elipsy. To samo spostrzegamy

u rozmaitych szczawików, gdzie w ciągu doby listki *Oxalis Plumieri* zakreślają jedną elipsę, *O. bupleurifolia* dwie, *O. Valdiviana* dwie lub trzy, a *O. acetosella* co najmniéj pięć elips.

Droga, jaką przebiega wierzchołek liścia albo listka zakreślającego elipsę często bywa zygzakowata, oraz przerywana drobnemi pętlicami i trójkątami. Wszystkie te zboczenia występują albo na całym przebiegu linii, albo na jéj częściach odpowiadających jużto wieczornym, już rannym ruchom liścia. W każdym razie zygzaki itd. szczególnie są wybitne gdy roślina znajduje się w wielce korzystnych warunkach wzrostu.

Liście i liścienie wszystkich roślin bez ustanku poruszają się do góry i na dół zakreślając przytém w ciągu 24 godzin jedną lub więcéj elips. Te ruchy zupełnie są podobne do ruchów łodyżki, piórka, korzonka, łodygi i rozmaitych innych organów rośliny, a zatém ruchy liści i liścieni u roślin niesypiających wypada zaliczyć do téj saméj kategoryi ruchów obrotowych czyli cyrkumnutacyjnych. Jeżeli tak jest, tedy do téj saméj kategoryi należą i senne ruchy liści, a to dla następujących powodów. W najprostszym razie, jak widzieliśmy, sypiający liść zakreśla w ciągu doby jednę elipsę, która jest większa od elipsy zakreślonéj przez liść niesypiający, lecz zresztą jest zupełnie do niéj podobna, oraz bywa ograniczona równie zygzakowatemi liniami. Ponieważ liście niesypiające bez ustanku wykonywają ruchy obrotowe, przeto musimy zgodzić się na to, że u liścia sypiającego pewna część elipsy zakreślona podczas ruchu do góry i na dół z całą pewnością oznacza przebieg poruszenia cyrkumnutacyjnego, a tém samém pozostałą część elipsy zaliczyć należy do téj saméj kategoryi ruchów. Różnica pomiędzy liściem sypiającym i niesypiającym polega jedynie na tém, że u pierwszego ruch cyrkumnutacyjny jest zmieniony pod tym względem, że pod wpływem światła znikającego wieczorem lub wzmagającego się ranną porą porusza się on z większą szybkością i obszerniéj aniżeli o innéj porze dnia lub nocy. To samo można powiedziéć o roślinach sypiających, które zakreślają więcéj niż jedną elipsę. W tym ostatnim razie roślina sypiająca różni się od niesypiającéj tém tylko, że odpowiednia połowa elipsy wieczornéj i rannéj znacznie jest powiększona, bo ta połowa wydłuża się dopóty, dopóki się liść całkowicie niepodniesie i nieopadnie. Czasami liść podnosząc się kreśli prawie zupełnie prostą linię, skutkiem czego, według Darwina, zostaje zaoszczędzona energia, która tym sposobem nie zużywa się na boczne ruchy.

Najbardziéj zawiłe są ruchy takich liści, które układając się do snu wykonywają ruchy rotacyjne, lecz i ten ruch bynajmniéj nie jest

wyłącznem znamieniem sennych poruszeń, albowiem niektóre listki okazują takie same skręcenia podczas zwykłéj cyrkumnutacyi.

Z powyższego rozbioru, zdaniem Darwina, możemy tedy wyprowadzić wniosek, że nyktitropizm czyli sen liści jest poprostu zmienioną ich cyrkumnutacyą, która w swych periodycznych objawach i obszerności jest zastosowana do następujących po sobie dziennych zmian w natężeniu światła. Sen liści ochrania górną ich powierzchnię od nocnego promieniowania. Tym sposobem wyprowadzając początek snu roślin ze zwykłych ruchów obrotowych pojmujemy, jakim sposobem tyle roślin z rozmaitych skupień mogło nabyć własność ustawiania na noc blaszki liściowéj w pionowym kierunku.

Senne ruchy liści spostrzegano u 86 rodzai należących do 28 rodzin, a mianowicie: roślin dwuliścieniowych 81 rodzai mieszczących się w 24 rodzinach; roślin jednoliścieniowych 4 rodzaje z 3 rodzin i roślin skrytokwiatowych 1 rodzaj jednéj rodziny. Najwięcéj sypiających roślin należy do rodziny strąkowych (*Leguminosae*), a następnie do rodziny ślazowatych (*Malvaceae*).

Niektóre rośliny dzienną porą ustawiają liście jakby do snu, albowiem zwracają je brzegiem do słońca, czyto podnosząc do góry, jak rozwłoka (*Amphicarpaea monoica*), akacya (*Mimosa albida*) i inne, albo też opuszczając ku dołowi, jak szczawik (*Oxalis*), oskomian (*Averrhoa bilimbi*) itd. Te dzienne ruchy liści różnią się jednak od ruchów nocnych, albowiem niekiedy odbywają się w kierunku wprost przeciwnym, jak np. u robinii (*Robinia pseudoacacia*), gdzie listki w dzień podnoszą się, a w nocy opuszczają. Dzienne ruchy prawdopodobnie ochraniają zieleń od zbyt silnego i szkodliwego działania promieni słonecznych. Dostrzeżono bowiem że listek akacyi poziomo rozpięty wielce od silnego światła ucierpiał, gdy tymczasem sąsiednie listki, które się swobodnie poruszały w niczem nie były nadwerężone. Dzienne podnoszenie się lub opuszczanie liści nazywa Darwin *paraheliotropizmem*.

Listki drzyminu (*Porliera hygrometrica*) skupiają się dzienną porą jak gdyby senne, jeżeli roślina za mało ma wody; to zwieszanie się liści prawdopodobnie powstrzymuje parowanie wody z rośliny. W podobny sposób zachowują się pewne rośliny trawiaste, np. jęczmionka czyli wydmuchrzyca (*Elymus arenarius*), która będąc wystawiona w suchem powietrzu na działanie słońca zwija do środka brzegi swych wąskich liści. Wspomnianych ruchów nie można zaliczać do sennych objawów, zmierzających do zmniejszenia promieniowania cieplika na powierzchni liści.

Do sennych objawów roślin zaliczają także zamykanie się nocną porą korony wielu kwiatów, wszakże, jak to najprzód zauważył Hof-

meister, a następnie dokładnie zbadał Pfeffer, ruchy płatków korony bardziéj zależą od temperatury aniżeli od zmiany światła i ciemności. Niewątpliwie rozrodcze organa rośliny zostają tym sposobem zabezpieczone od promieniowania nocną porą, a przedewszystkiem pyłek znajduje ochronę przed zimnemi wiatrami oraz przed deszczem, a nadto zamknięte płatki nie dopuszczają do pyłku nieproszonych owadów nocnych.

Wpływ światła z boku padającego wywołuje rozmaite, bardzo ważne ruchy roślin. Gdy łodyga, liście lub inny organ rośliny zostanie w ten sposób umieszczony, że jedna jego strona otrzymuje więcéj światła aniżeli druga, wówczas następuje zgięcie organu ku stronie, skąd światło pochodzi. Takie ruchy heliotropowe według Darwina oczywiście są odmianą zwykłych ruchów cyrkumnutacyjnych i można wynaleść stopniowe przejścia pomiędzy obydwoma temi rodzajami ruchu. Jeżeli światło jest przyćmione i pod względem natężenia bardzo mało różni się na obydwóch stronach badanego organu, wtedy ruchy tego ostatniego składają się z szeregu elips skierowanych ku światłu, z których każda następna bardziéj zbliża się do jego źródła aniżeli poprzednia. Jeżeli różnica w natężeniu światła jest nieco silniejsza, elipsy zostają wyciągnięte w linię silnie zygzakowatą, która wreszcie, w razie odpowiedniego wzmocnienia różnicy w oświetleniu, zamienia się na linię zupełnie prostą. Według Darwina mamy podstawę do przypuszczania że nabrzmiewanie komórek jest najbliższą przyczyną ruchu obrotowego; a zatém że w razie niejednakowego oświetlenia obydwóch stron rośliny nabrzmiewanie komórek, zostaje na jednéj stronie spotęgowane, a na drugiéj zmniejszone, albo nawet zupełnie powstrzymane. Pospolicie zwiększone nabrzmiewanie komórek prowadzi do wzrostu, a zatem roślina nachyliwszy się w dzień ku światłu pozostawała by w tém położeniu, gdyby się w nocy nie prostowała skutkiem apogeotropizmu. Organa opatrzone poduszeczkami zginają się ku światłu, lecz w takim razie nabrzmiewanie komórek w żadnym nie pozostaje związku ze wzrostem organu.

Heliotropizm wywiera przeważny wpływ w całém państwie roślinném, lecz znika tam, gdzieby mógł szkodliwie oddziaływać na życie roślin, jak np. u roślin wijących się i owadożernych.

Szczególnym rodzajem ruchu heliotropowego jest według Darwina tak zwany *heliotropizm poprzeczny* Franka, czyli *diaheliotropizm*, polegający na ustawianiu się liści, w poprzek padających promieni światła; tym sposobem liście przybierają stałe położenie względem światła zwracając ku niemu górną swą powierzchnię. Doskonałym tego przykła-

dem są liścienie kiełkującéj roślinki, które wychodzą z ziemi w najrozmaitszém położeniu i ściśle do siebie górnemi powierzchniami przytulone, wkrótce jednak odginają się mniéj więcéj poziomo i od tego czasu stale zwracają ku światłu górną swą powierzchnię. W razie ustawienia roślinki przed oknem, jéj łodyżka, jako w wysokim stopniu heliotropowa, natychmiast nagina się w stronę światła, a tém samem liścienie zostają w należyty sposób względem światła ustawione, lecz w razie gdy łodyżkę nieruchomo umocujemy liścienie same przez się zmieniają położenie, czy to pochylając się, czyli też skręcając ogonek w ten sposób, że zawsze zwracają do światła górną swą powierzchnię.

Liście roślin hodowanych na murze lub w oknie, jak wiadomo, stale wykręcają się w stronę światła i tak samo zachowują się liście na gałęziach najrozmaiciéj sztucznie zginanych, a nawet dolną stroną do góry wykręconych. Ranny powrót liści do mniéj więcéj poziomego położenia także w części przynajmniéj jest objawem diaheliotropizmu.

Ponieważ liście i liścienie bezustanku wykonywają ruchy obrotowe a pomimo to stale zachowują właściwe położenie względem światła, przeto diaheliotropizm należy uważać jako zmienioną formę cyrkumnutacyi.

Wieczorną porą liście niekiedy trochę się podnoszą, np. o jakie 2^0 lub 3^0, czasami 10^0 lub 20^0, a następnie z rana znowu opadają. Prawdopodobnie podnoszenie się liści nie ma tu związku ze snem i zjawisko należy w ten sposób wytłómaczyć, że w dzień liście przybierają mniéj więcéj poziome położenie skutkiem diaheliotropizmu, a wieczorem będąc od tego wpływu uwolnione ulegają działaniu apogeotropowemu. Jeżeli tak jest, w takim razie diaheliotropizm musi pokonywać dążności apogeotropowe.

De Vries mniema, że poziome położenie liści i liścieni wynika z połączonego działania epinastyi, własnego ciężaru organu i apogeotropizmu, wszakże tłómaczenie to nie zawsze jest zadawalniające. Pomiędzy innemi nie wyjaśnia ono faktu, że gdy liścienie są względem światła jeden za drugim ustawione, wtedy liścień będący bliżéj okna opuszcza się na dół, drugi zaś podnosi się do góry. Ciężar liścieni, apogeotropizm i epinastya jednakowo na obadwa liścienie działają, a tem samem powinnnyby nadawać im takie same położenie, tymczasem widzimy, że się wprost przeciwnie dzieje; teorya Vriesa jest więc w tym razie stanowczo niewystarczająca. Jeżeli łodyżka będzie nieruchomo umocowana, a obadwa liścienie bokiem do światła ustawione, wtedy jak widzieliśmy, obadwa skręcają swe ogonki tak, aby górną powierzchnię zwrócić do światła. Takie to przykła-

dy, niedające się inaczéj wyjaśnić, skłoniły Darwina do przypisania liściom szczególnéj skłonności ustawiania blaszki pod prostym kątem względem padającego światła i tę to własność nazwał on *diaheliotropizmem*. Poniżéj przekonamy się, że Wiesner bardzo silnie przeciwko poglądowi temu powstaje.

Niektóre rośliny kiełkujące nadzwyczaj są czułe na światło. Liścień mozgi (*Phalaris*) nagina się ku daleko stojącéj lampie, która wydaje tak słabe światło, że ołówek pionowo tuż obok rośliny umieszczony nie daje na papierze widocznego cienia. Liścień tedy ulega wpływowi takiéj różnicy oświetlenia, któréj oko ludzkie dostrzedz nie zdoła. Stopień pochylenia się liścieni mozgi ku światłu w ciągu danego czasu bynajmniéj nie jest ściśle odpowiedni ilości otrzymanego światła. Po zgaszeniu światła liścienie w dalszym ciągu jeszcze przez pół godziny zginają się w stronę, z któréj poprzednio były oświetlane. Zginają się one ku światłu z zadziwiającą dokładnością. Jak się zdaje, ruchy powstające pod wpływem światła zostają głównie wywołane przez różnicę w ilości światła jakie roślina w danéj chwili otrzymuje, w porównaniu z ilością poprzednio otrzymaną. Kiełkujące rośliny przeniesione z ciemności do słabego światła daleko prędzéj zaginają się ku niemu aniżeli przeniesione z silniejszego światła. Podobne zjawiska widzieliśmy u roślin wykonywających ruchy nyktitropowe. Rażącego przykładu takiego zachowania się wobec światła z boku padającego dostarczają peryodyczne ruchy liścieni siężybobu (*Cassia*). Ranną porą doniczkę z kiełkującemi roślinkami umieszczono w ciemnéj części pokoju, a wszystkie liścienie natychmiast podniosły się i stuliły; inna doniczka stała na słońcu i liścienie były rozpostarte. Następnie obiedwie doniczki umieszczono pośrodku pokoju jedną obok drugiéj; liścienie wystawione poprzednio na działanie słońca natychmiast zaczęły się stulać, gdy tymczasem przeniesione z ciemności roztwierały się. Tak tedy liścienie obydwóch doniczek poruszały się w kierunkach wprost przeciwnych, pomimo że były wystawione na światło tego samego natężenia. Ruchy liścieni zależały w tym razie od różnicy pomiędzy oświetleniem chwili obecnéj i przeszłéj.

Rośliny kiełkujące umieszczone w ciemności pochylają się ku światłu, jeżeli co trzy kwadranse będziemy je oświetlali przez dwie lub trzy minuty. Z drugiéj znowu strony, jak Wiesner dowiódł, rośliny w takim samym stopniu pochylając się ku światłu bez względu na to czy w przeciągu godziny będziemy je oświetlali przez całe 60 minut, czyli téż chwilami tylko i do tego tak, że wszystkie te przerywane oświetlenia wyniosą razem tylko 20 minut. Zdaje się, że obadwa te zastanawiające fakta dają się w ten sposób wytłómaczyć,

że pobudzenie wywołane przez światło nie tyle zależy od jego ilości, jak raczéj od różnicy ilości obecnie i poprzednio otrzymanego, a w obydwóch przytoczonych wypadkach powtarzało się przejście od ciemności do światła. Według Darwina w *tych i poprzednio przytoczonych razach światło zdaje się działać na tkanki roślinne prawie w ten sam sposób jak na nerwy zwierząt.*

Bardziéj jeszcze uderzającą analogię pomiędzy tkankami roślinnemi i nerwami zwierząt przedstawia zjawisko, że wrażliwość na światło jest umiejscowiona w wierzchołku liścienia mozgi (*Phalaris*) i owsa, oraz w górnéj części łodyżki kapusty i buraka. Analogia istnieje i pod tym względem, że górna część przesyła pobudzenie do części dolnéj i tym sposobem powoduje zginanie się téj ostatniéj w stronę światła. Pobudzenie zostaje przesłane nawet pod powierzchnię ziemi, do głębokości dokąd żadne światło nie przenika. Wskutek takiego umiejscowienia pobudliwości dolna część liścienia, która bardziéj pochyla się ku światłu aniżeli część górna, może być przez godziny całe jaskrawo oświetlona, a pomimo to wcale się nie zgina jeżeli tylko wierzchołek organu pozostaje w zupełnéj ciemności. Na dowód umiejscowienia wrażliwości na światło w górnéj części łodyżki i w wierzchołku liścieni Darwin przytacza następujące doświadczenia.

Po obcięciu wierzchołka łodyżki dolna jéj część pozostaje na światło nieczułą. Daléj dolna część łodyżki nie okazuje heliotropowego zgięcia jeżeli górna część tegoż organu pozostawała w ciemności. Dla dopięcia tego celu Darwin obwijał wierzchołek łodyżki cynfolią lub złotem malarskiem, które pokrywał grubą warstwą tuszu (bo samo złoto nie powstrzymuje ruchu łodyżki). Dla utrzymania w ciemności wierzchołka liścieni Darwin używał kapturków. Jeżeli w kapturku uczyniono maleńki otworek, dolna część liścienia mozgi (*Phalaris*) pochylała się w stronę gdzie się otworek znajdował, pomimo że się sama znajdowała w silnem świetle. Tak więc kierunek zgięcia zależał od maleńkiéj ilości światła padającego na wierzchołek, a nie od wielkiéj masy światła oblewającéj dolną część tegoż organu.

U gorczycy (*Synapis alba*) wrażliwość na światło ma swoje siedlisko w wierzchołku korzonka, który będąc oświetlony wywołuje ujemno heliotropowe ruchy sąsiedniéj części tegoż organu.

Wyniki powyżéj przytoczonych badań Darwina nad heliotropizmem dodatnim i ujemnym można za przykładem Wiesnera streścić w pięciu następujących punktach:

1. Heliotropizm dodatni i ujemny jest zmienioną formą cirkumnutacyi.

2. Heliotropizująca siła światła wzrasta odpowiednio do jego natężenia.

3. Światło działa na heliotropowe części roślin mniéj więcéj tak samo jak na układ nerwowy zwierząt, gdyż natężenie heliotropowych ruchów nie jest ściśle odpowiednie ilości otrzymanego światła.

4. Światło działa na rośliny jako bodziec, gdyż rośliny są szczególniéj czułe na jego kontrasty.

5. Podrażnienie wywołane przez wpływ światła zostaje przesłane do sąsiednich, nawet nieoświetlonych części, i może wywoływać heliotropowe ruchy nawet w takich częściach, które same przez się nie są heliotropowe, t. j. nie są czułe na światło.

Wszystkie te wnioski niezwykłéj są wagi tak ze względu na pojmowanie istoty heliotropizmu, jako téż natury roślin w ogóle i własności ich tkanek; według nich bowiem spotykamy tu własności tkanek roślinnych przypominające czynność nerwów w niemniejszym stopniu jak przy oddziaływaniu korzonka na siłę ciężkości, ucisk lub wilgoć. Wiesner stara się wnioski te obalić, a ważność przedmiotu wymaga bliższego rozpatrzenia zarzutów, które téż po kolei rozbierzemy, na późniéj jednak pozostawiając rzecz o związku pomiędzy heliotropizmem i cirkumnutacyą.

Badacz niemiecki w następujący sposób przedstawia swoje poglądy na heliotropizm.

Pod wpływem światła następuje zgięcie tylko górnéj części łodyżki, która posiada własności heliotropowe. Heliotropowo pochylony wierzchołek w tę samę stronę nagina dolną część łodyżki, pozbawioną własności heliotropowych. Skutkiem tego tkanki na wypukłéj stronie nagiętéj łodyżki ulegają rozciąganiu, a na wklęsłéj są ściśnięte. Jak już we wstępie do niniejszego sprawozdania wspomniałem, według Wiesnera organ w ten sposób nagięty szybciéj rośnie na stronie wypukłéj aniżeli na wklęsłéj, a tém samem coraz bardziéj zgina się w nadanym sobie kierunku. Zatem dolna część łodyżki będąc przez heliotropowy wierzchołek biernie ku światłu nagięta coraz bardziéj pochyla się w tę samę stronę. Łodyżka może się tedy na całéj długości pochylać ku światłu, które właściwie spowodowało heliotropowy ruch samego tylko wierzchołka. Na dowód swego twierdzenia Wiesner przytacza doświadczenie, w którem wyłączał wpływ owego rozciągania i ściskania tkanek, albowiem kiełkujące roślinki umieszczał na pozioméj osi minutowéj skazówki zegara, nadawał łodyżkom położenie tejże skazówki i oświetlał je z jednéj tylko strony. Tym sposobem, po wprawieniu w ruch zegara, każda łodyżka w ciągu godziny zakreślała swym wierzchoł-

kiem całkowity okrąg koła. Te okolice łodyżki, które w danéj chwili były rozciągane, po upływie pół godziny zostawały na ściskanie wystawione i odwrotnie; zatem ani jedno ani drugie nie mogło mieć wpływu na wzrost dolnéj części łodyżki, która też w tém miejscu zachowywała pierwotne swoje położenie pomimo heliotropowego pochylenia wierzchołka. Tak więc, według Wiesnera, światło nie działa na tkanki heliotropowe roślin jako bodziec przesyłany do sąsiednich części, lecz nieheliotropowe (aneliotropowe) okolice łodyżki pochylają się ku światłu jedynie wskutek obciążenia przez zwieszony na bok wierzchołek.

Bardzo młode łodyżki są na całéj długości heliotropowe, a zatém mówimy tu wyłącznie o starszych łodyżkach, które już straciły u spodu zdolność oddziaływania na wpływ światła.

Wiesner utrzymuje daléj, że heliotropowe zgięcie następuje tylko w razie bezpośredniego oświetlenia odpowiedniéj części łodyżki. Okolice tego organu pozostawione w ciemności nigdy nie okazują heliotropowego zgięcia, nawet wysoce czułe na światło, chociaż jednocześnie sąsiednia heliotropowa okolica jest oświetlona i odpowiednio oddziaływa. Dowody czerpie Wiesner w doświadczeniach polegających na zaciemnieniu dolnéj, heliotropowéj części łodyżki, przy jednoczesném oświetleniu bocznem wierzchołka organu. Naturalnie wpływ tak zwanego *obciążenia* był usuwany czy w powyżéj opisany sposób, czyli też skutkiem odwrócenia łodyżki wierzchołkiem na dół.

Przeciwko zdaniu Darwina jakoby natężenie heliotropizmu odpowiadało natężeniu światła, t. j. że silniejsze światło wywołuje silniejszy, a słabsze słabszy objaw heliotropowy, Wiesner powołuje się na własne powyżéj wspomniane spostrzeżenia, według których dla roślin silnie heliotropowych istnieje pewne najodpowiedniejsze natężenie światła; wzmacniając lub zmniejszając światło otrzymujemy w takim razie coraz słabsze objawy heliotropowe.

Fakt, że ilość światła może być bez wpływu na siłę objawu heliotropowego nie jest według Wiesnera dowodem, że światło działa na tkanki roślinne podobnie jak na nerwy. Jednakowy skutek ciągłego i przerywanego oświetlenia najprościéj daje się objaśnić działaniem wtórem, które na tém polega, że wpływ światła nie zaraz po jego zgaszeniu ustaje, lecz przeciwnie jeszcze przez pewien czas objawia się w ciemności. Poprzednio widzieliśmy, że Wiesner nazywa ten sposób działania światła *fotomechaniczną indukcyą*. Pogląd swój Wiesner na tém opiera, że działanie wtóre światła jest znane w chemii np. działanie wtóre światła na mięszaninę wodoru i chloru, co Bunsen i Roscoe nazwali *fotochemiczną indukcyą*.

Wreszcie twierdzenie Darwina: że światło działa na tkanki roślinne podobnie jak na nerwy, bo tkanki te są przedewszystkiem czułe na kontrast oświetlenia, jest według Wiesnera dla następujących powodów nieuzasadnione.

1° Światło przerywane wywołuje takie same objawy heliotropowe jak ciągłe oświetlenie, ale nie wywołuje silniejszych objawów.

2° Rośliny przeniesione z ciemności są bardziéj na światło czułe, bo wypłonienie czyni wzrost bujniejszym, a tém samem uzdalnia roślinę do energiczniejszego oddziaływania na wpływy zewnętrzne.

3° Heliotropizm daje się spotęgować środkami nie mającémi nic wspólnego z czynnością nerwów, a mianowicie daje się spotęgować przez zmniejszenie stanu nabrzmienia komórek. Cel ten osiągamy przez zanurzenie roślinki w słaby roztwór soli, przez lekkie jéj zawiędnięcie, albo drogą jednostajnego ze wszech stron oświetlenia. Tak więc wypłoniona roślinka staje się bardziéj heliotropową po wszechstronnem jéj oświetleniu.

Diaheliotropizm uważa Wiesner jako wynik zbiorowego działania rozmaitych wpływów zewnętrznych. Dla należytego przedstawienia tego poglądu przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na rozmaite własności liścia.

Liście posiadają własności ujemne geotropowe, lecz własność ta rozwija się dopiero z wiekiem liścia, który pierwotnie jest pod tym względem obojętny. Wiek w którym liść staje się ujemno-geotropowym jest u rozmaitych roślin rozmaity, wogóle jednak poprzedza zupełny rozwój organu.

Młodociane liście są pierwotnie hyponastyczne, skutkiem czego pochylają się po nad wierzchołkiem łodygi, późniéj jednak ulegają epinastyi i rozpościerają się mniéj więcéj poziomo, nawet bez wpływu światła. Ciężar liścia powodując obciążenie ogonka może dopomagać ruchom epinastycznym, albowiem wywołuje rozciąganie i ucisk tkanek w tym samym kierunku.

Pod wpływem światła liście okazują własności heliotropowe; w słabem są one dodatnio, w silnem ujemnie heliotropowe. Nie dosyć na tem, ten sam liść bywa jednocześnie i dodatnio i ujemnie heliotrowy. Pierwsza własność cały liść zwraca w stronę światła, druga zaś kieruje blaszkę w taki sposób, że górną jéj powierzchnię ustawia pod kątem prostym względem promieni światła. Objawy obydwóch tych dążności spostrzegać się dają na roślinach wyrastających na brzegu lasu, np. na dzwonkach z wyprostowaną łodygą jak dzwonek brzoskwiniowaty (*Campanula persicifolia*) i dzwonek wielkokwiatowy (*Campanula trachelium*). Słabe, z boku padające światło wywołuje ruch liści, skutkiem którego wszystkie zwracają się w stronę

światła, a przeciwległa strona łodygi staje się tym sposobem na pozór bezlistną. Silne, z góry padające światło wywołuje znowu ruch blaszki liściowéj, która się mniéj więcéj poziomo ustawia. Tak tedy sam organ w odmienny sposób oddziaływa na wpływ światła rozmaicie silnego. Wiek liścia także ma wpływ na jego zachowanie się wobec światła. Młode liście są dodatnio, starsze przeważnie ujemnie heliotropowe: t. j. liść początkowo bogaty w miąsz posiada własności dodatniego heliotropizmu, późniéj jednak rozwinąwszy wiązki naczyniowo-włókniste staje się przeważnie ujemno-heliotropowym.

Na zasadzie przytoczonych własności liścia Wiesner w następujący sposób tłómaczy diaheliotropizm Darwina jako zbiorowy skutek rozmaitych wpływów.

Liść ulegając hyponastyi pierwotnie przytula się do pączka, lecz następnie porusza się w kierunku wprost przeciwnym, albowiem nabył własności epinastycznych, które zostają ograniczone wpływem geotropizmu ujemnego, usiłującego podnosić liść do góry. Wpływ światła wywołuje w liściu heliotropizm ujemny; liść daléj opuszcza się w kierunku nadanym mu przez epinastyę i ostatecznie przybiera położenie, w którem jest najsilniéj oświetlony. Ponieważ pewien stopień światła powstrzymuje wzrost miąszu, a tem samem powstrzymuje geotropizm ujemny, przeto liść doszedłszy do położenia najkorzystniejszego pod względem otrzymywanéj ilości światła jest od wpływu siły ciężkości uwolniony. Skoro jednak taki liść jeszcze bardziéj się opuści natychmiast mniéj światła otrzymuje, geotropizm odzyskuje nad nim władzę i podnosi go, ale skoro liść powróci do położenia w którem najsilniéj jest oświetlony, znowu zostaje z pod wpływu siły ciężkości uwolniony i przestaje podnosić się do góry. Silniejsze oświetlenie powstrzymuje także wzrost skutkiem rociągania tkanek. Tak więc wzajemne działanie rozmaitych, wymienionych powyżéj wpływów: epinastyi, geotropizmu ujemnego, heliotropizmu ujemnego i wzrostu skutkiem rozciągania tkanek, według Wiesnera zupełnie wystarcza do wytłómaczenia stałego położenia liści względem światła, bez uciekania się do przypisywania im szczczególnéj własności nazwanéj heliotropizmem poprzecznym czyli diaheliotropizmem.

U niektórych roślin geotropizm ujemny, bierze przewagę i w takim razie liście są znacznie do góry wzniesione, jak np. u mukini (*Sorbus aria*) i na wilkach trzmielicy (*Evonymus europaeus*). U niektórych roślin liście nocną porą podnoszą się nieco do góry, bo wówczas, przy braku światła, geotropizm ujemny odzyskuje nad niemi władzę.

Rozmaite organa roślinne pod wpływem siły ciężkości dążą do pionowego położenia, dążenie to, jak na początku niniejszego sprawozdania widzieliśmy, nazwano *geotropizmem*, odróżniając *geotropizm dodatni i ujemny*, czyli według terminologii Darwina *geotropizm* i *ageotropizm;* według powołanego badacza należy jeszcze odróżnić trzecią formę czyli *diageotropizm*. Pierwszy polega na dążeniu ku środkowi ziemi, drugi wprost przeciwnie ku zenitowi, a trzeci na dążeniu do położenia mniéj więcéj poziomego. Według Darwina wszelkie formy geotropizmu są zmienioną formą cyrkumnutacyi. O cyrkumnutacyi korzenia poprzednio już mówiliśmy, pozostaje więc dodać, że geotropizm ujemny badany na łodygach słabo geotropowych, albo na łodygach, które wieczorną porą powracały do pionowego położenia, nadwerężonego skutkiem heliotropizmmu, według Darwina przedstawiał się jako zmieniona forma cyrkumnutacyi.

Rozmaite organa roślinne rozmaicie i w różnym stopniu ulegają wpływowi siły ciężkości, a nadto rozmaite gatunki roślin także w różnym stopniu są pod względem geotropizmu czułe. Niektóre rośliny nawet prawie zupełnie wyłamują się z pod jego władzy. Niekiedy jest to od wieku rośliny zależne, albowiem roślina zestarzawszy się może postradać wrażliwość na siłę ciężkości. Kilka przykładów wystarczy. Młoda pomarańcza opatrzona trzema tylko młodemi listkami 24 godziny pozostawała w poziomem położeniu i pomimo to wcale się ku górze nie zagięła. Łodyżka młodego siężybobu (*Cassia tora*) poziomo ułożona podniosła się do pionowego położenia w ciągu 12 godzin, gdy tymczasem łodyżka starszéj rośliny wysokiéj 1 $^1/_4$ cala do uskutecznienia tego samego ruchu potrzebowała 28 godzin, a łodyżka jeszcze starszéj roślinki wysokiéj 1 $^1/_2$ cala stale zachowywała poziome położenie w ciągu 2 dni. Z drugiéj znowu strony gatunek rośliny wpływa na jéj wrażliwość geotropową. Łodyżka buraka przebiegła kąt 109° w ciągu 3 godzin i 8 minut; liścień mozgi (*Phalaris*) przebiegł kąt 130° w ciągu 4 godzin 30 minut. Łodyga zielnéj werbeny w ciągu 24 godzin podniosła się na 90°; łodyga maliny w ciągu 70 godzin—na 67°; łodyga szczodrzenicy (*Cytisus*) w ciągu 72 godzin podniosła się na 70°, a młodego dębu amerykańskiego w tym samym przeciągu czasu— tylko na 37°. Łodyga cibory (*Cyperus alternifolius*) w ciągu 96 godzin podniosła się tylko 11°. Chociaż liścień mozgi, jak widzieliśmy, nadzwyczaj jest czuły na apageotropizm, jednakże pierwszy liść téj rośliny zaledwie pod tym względem oddziaływa. Dwa młode, jeszcze na wierzchołku skręcone listowia paprocia *Nephrodium molle* przez 46 godzin pozostawały w poziomem położeniu i przez cały ten czas tak mało się podniosły, że trudno rozstrzygnąć czy to było wynikiem apogeotropizmu.

Apogeotropizm oddziaływa przeszło pół godziny po usunięciu właściwéj przyczyny skutkiem czego łodyżki poziomo ułożone niekiedy podnoszą się po za pionowe położenie.

Torebki nasienne rozmaitych roślin zakopują się pod ziemię, gdzie powoli dojrzewają, a czasami owoce rozwijają się z kwiatów podziemnych. Jako przykład roślin zagrzebujących swój owoc w ziemi może służyć koniczyna *Trifolium subterraneum* i orzech ziemny (*Arachis hypogaea*).

U *Trifolium subterraneum* główka kwiatowa wydaje tylko 3 lub 4 zupełne kwiaty położone na obwodzie, pozostałe zaś kwiaty są zmarniałe i opatrzone pięcioma pazurowatémi działkami kielicha. Kwiaty zupełnie rozwinięte natychmiast pochylają się ku dołowi, skoro tylko zaczynają więdnąć i przytulają się do wspólnéj swéj szypułki; następnie zmarniałe kwiaty stopniowo wykonywają taki sam ruch. Gdy zupełne kwiaty pochylają się ku dołowi, szypułka zagina się na dół i znacznie wydłuża, dopóki główka kwiatowa ziemi nie dosięgnie. Jestto niewątpliwie ruch geotropowy, albowiem pierwotnie szypułka kwiatowa pod wpływem heliotropizmu wznosi się do góry i dopiero wtedy zagina się na dół, gdy kwiatki zaczynają więdnąć, a nadto ruch odbywa się i w ciemności, co dowodzi że nie zależy od apheliotropizmu czyli heliotropizmu ujemnego. Główki kwiatowe mogą się zakopywać w ziemię ogrodniczą, piasek itp. Zagłębiają się one na 1 $^1/_4$ do 1 $^1/_2$ cala licząc od powierzchni ziemi do podstawy główki. Roślina hodowana w cieplarni całkowicie zagrzebywała główkę w ciągu 6 dni. Główki zakopane nigdy nie chybiają, gdy tymczasem te, które z powodu swego położenia nie mogą się pod ziemię zagłębiać rzadko kiedy wydają nasiona.

U orzecha ziemnego (*Arachis hypogea*) kwiaty pionowo wznoszą się do góry na sztywnych gałęziach, przyczem są parę cali po nad ziemię wzniesione. Po opadnięciu kwiatu dno kwiatowe znacznie się wydłuża i na dół zagina, aż w końcu jego wierzchołek, mieszczący w sobie zawiązki, zagłębia się w ziemię, gdzie dochodzi do 1 cala głębokości i tu wykształca się jako wielki strąk. Kwiaty zbyt wysoko na roślinie umieszczone aby mogły ziemi dosięgnąć nigdy owoców nie wydają.

Rozwłoka (*Amphicarpaea monoica*) w dolnéj swéj części wydaje gałęzie, które pionowo na dół wyrastają i zagłębiają się w ziemię. Asa Gray świadczy, że podziemne strączki rozwijają się z niezupełnie wykształconych kwiatów, które wyrastają na czołgających się gałęziach; tak więc kwiaty albo się zagrzebują podobnie jak u orzecha ziemnego, albo też gałęzie zagłębiające się w ziemię dają początek

podziemnym kwiatom i strączkom. Zresztą roślina wydaje także strączki na gałęziach powietrznych.

U innych roślin, np. z rodzaju szczawika (*Oxalis*), dojrzewający owoc tylko obwisa ku dołowi, skutkiem czego niewątpliwie znajduje w kielichu ochronę od deszczu. Zdarza się jednak, że u takich roślin torebki nasienne zostają przypadkowo zagrzebane pod mchem lub liśćmi, jak to mianowicie miewa miejsce u szczawików i gduły (*Cyclamen*).

Jak poprzednio widzieliśmy, według Darwina, wrażliwość na siłę ciężkości u wielu, może u wszystkich roślin jest umiejscowiona w wierzchołku korzenia, skąd podrażnienie zostaje przesłane do sąsiedniéj części, która skutkiem tego zagina się ku środkowi ziemi. Zarzuty Wiesnera przeciwko temu twierdzeniu także są nam znane, a zatém rozpatrywanie tego przedmiotu byłoby zbyteczne.

Rozbierając zarzuty Wiesnera przeciwko rozmaitym wnioskom Darwina, nic dotychczas nie wspomniałem o poglądzie pierwszego z tych badaczy na cyrkumnutacyę, jako powszechny, szczególny i pierwotny ruch roślin, z którego powstały inne ruchy? Pozostaje mi tedy brak ten uzupełnić, a w szczególności zastanowić się nad cyrkumnutacyą łodygi i liści, gdyż cyrkumnutacyę korzenia poprzednio już rozpatrzyłem.

W objaśnieniu ruchów, które według Darwina są objawami cyrkumnutacyi, Wiesner często powołuje się na niejednostajność, nieregularność wzrostu organu, co według niego bynajmniéj zadziwiać nie może zważywszy niejednostajność budowy anatomicznéj. Porównywając komórki téj saméj tkanki przekonywamy się, że przedstawiają pewne różnice pod względem wielkości i kształtu, co niewątpliwą jest wskazówką że nie posiadają jednakowéj zdolności wzrostu. Odmienność komórek daleko wybitniéj występuje w organach złożonych z rozmaitych tkanek. Trudno przypuścić, aby pierwiastki tak dalece odmienne jak tkanki składające łodygę lub liść jednostajnie wzrastać mogły; należy się raczéj spodziewać pewnéj nieregularności wzrostu, pewnego skręcania w różne strony organu na długość rosnącego. Drobne wahania nieprzechodzące setnych lub dziesiętnych części milimetra zalicza Wiesner do rzędu takich zboczeń, wynikających z nieregularności wzrostu.

Ruchy wierzchołka łodygi lub liścia badał Wiesner albo wprost pod mikroskopem, albo na rzutach pionowych lub poziomych delikatnego włoska szklannego przytwierdzonego do badanéj części rośliny.

Łodygi prosto do góry rosnące przy zupełnym braku światła wznoszą się prosto do góry, często przytém okazując nieprawidłowe wahania na różne strony. Te boczne poruszenia pospolicie nie przechodzą setnych lub dziesiętnych części milimetra; pochodzą one z zaburzeń wzrostu, które wynikają z nieregularnego układu anatomicznych pierwiastków organu. Tym sposobem przy wydłużaniu się organu to jedna to druga jego strona bujniéj się rozrasta. Taki wzrost prosto do góry z małemi zboczeniami spostrzegał Wiesner u cebuli, pora, u *Hartwegia comosa*, balsaminy (*Impatiens balsamina*) i pieprzówki (*Peperomia trichocarpa*). Tak więc istnieją łodygi, które rosnąc, z pewnością nie wykonywają ruchów cyrkumnutacyjnych.

Łodygi ulegające falistéj nutacyi, rosnąc w ciemności, rozmaicie się zachowują. Jedne poruszają się na jednéj tylko płaszczyznie, i do tego albo w jednym kierunku, albo téż wahają się naprzód i w tył; zawsze jednak od czasu do czasu rosną prosto w danym kierunku. Inne łodygi, oprócz wahań na płaszczyznie nutacyi poruszają się nadto w bocznych kierunkach, jak np. łodyga słonecznika, bobu i fasoli wielkokwiatowéj. *U łodyg tego rodzaju spostrzegamy stopniowe przejście od nutacyi falistéj do obrotowéj.*

Wahania w jednę i w drugą stronę istnieją także u łodyg z nutacyą przerywaną.

Łodygi prosto wyrastające, będąc wystawione na działanie światła lub siły ciężkości, poruszają się prosto do światła, albo wznoszą się prosto do góry, pomijając naturalnie zaburzenia wzrostu, które powodują lekkie zboczenia w różne strony. U łodyg z falistą nutacyą, ruchy samoistne i wywołane wzajemnie na siebie oddziaływają. Powstaje ztąd ciągły ruch w tę i ową stronę, albo też powstają chwilowo, lub od pewnéj chwili stałe kierunki ruchu, w których poznajemy wypadkową rozmaitych ruchów wywołanych i samodzielnych. Ukośnie ustawiona i z boku oświetlona łodyga z falistą nutacyą porusza się w trzech kierunkach przestrzeni, czyli wykonywa ruchy cyrkumnutacyjne w znaczeniu pojęć Darwina. Jeżeli łodygę ustawimy w ten sposób, że światło, siła ciężkości i nutacya w jednym działają kierunku, wtedy, pomijając zaburzenia wzrostu, porusza się ona na jednéj i téj saméj płaszczyznie.

Należy tu zauważyć, że poruszenia pewnego punktu łodygi często zależą od ruchów w rozmaitych częściach organu i u łodyg podlegających nutacyi zdarzają się wypadki, w których prawie niepodobna rozstrzygnąć w którém mianowicie miejscu ruch się odbywa. Metoda badania polegająca na układaniu linii ruchu z rzutów poziomych lub pionowych pod tym względem stanowczo grzeszy, albowiem oznacza ruch jako powstały w samym poruszającym się punkcie, co często bywa zupełnie błędne.

Zawiły ruch liści, taki jak go Darwin przedstawia, rzeczywiście istnieje, ale Wiesner inne nadaje mu znaczenie. Zawiłość ruchu liścia zależy od rozmaitych przyczyn. Niesymetryczny układ pierwiastków anatomicznych w skład liścia wchodzących powoduje pewne zaburzenia wzrostu; daléj siła ciężkości i światło wywołują zboczenia od danego kierunku wzrostu, tém bardziéj, że jak poprzednio widzieliśmy, liść okazuje własności i dodatniego i ujemnego heliotropizmu. Ciężar samego liścia także wpływa na jego poruszenia, albowiem wywołuje rozciąganie i ściskanie tkanek; nakoniec i łodyga liście niosąca wykonywa ze swéj strony ruchy, które się liściom udzielają.

Zarzuty Wiesnera sprowadzają się do dwóch punktów:

1° Niektóre liście, przynajmniéj w pewnym wieku, rosną w prostym, tj. raz obranym kierunku bez wykonywania ruchów obrotowych.

2° Cyrkumnutacya liści, która nie wypływa z drobnych zakłóceń wzrostu polega na zbiorowém działaniu rozmaitego rodzaju ruchów samoistnych i wywołanych.

Wzrost w prostym kierunku z drobnémi zboczeniami nieprzechodzącémi setnych lub dziesiętnych części millimetra spostrzegał Wiesner na liściach smoczego drzewa (*Dracaena rubra*), jako téż na liściach roślin trawiastych. Zaliczając drobne zboczenia na karb zaburzeń wzrostu, otrzymujemy wzrost w jednym tylko obranym kierunku. U roślin dwuliścieniowych, jak u leptony (*Cuphea jorullensis*) liście rosną w raz obranym kierunku, często jednak zboczenia są znacznie większe i zależą nie od saméj nieregularności wzrostu, ale nadto od wpływu siły ciężkości, epinastii itp.

Doświadczenia z liśćmi dzwonka brzoskwiniowatego (*Campanula persicifolia*) i dzwonka wielkokwiatowego (*C. trachelium*) doprowadziły do następujących wyników.

W ciemności liście poruszają na płaszczyznie pionowéj, to wznosząc się nieco skutkiem geotropizmu ujemnego to opadając skutkiem epinastyi, albo téż po ułożeniu się obydwóch tych wpływów do równowagi liść przez pewien czas rośnie w danym kierunku. Jeżeli roślinę pochylimy, następują znaczne zmiany w ruchach liści, zwłaszcza gdy pochylenie będzie tego rodzaju, że jedna połowa liścia będzie się znajdowała powyżéj, a druga poniżéj nerwu środkowego, albowiem w takim razie liść skutkiem geotropizmu ujemnego dąży pionowo do góry, epinastya sprowadza go ukośnie ku dołowi, a rozciąganie tkanek wywołuje dążenia ku dołowi w innym znowu kierunku. Skutkiem wszystkich tych wpływów następują zmiany położenia dopóty trwające, dopóki się wszystkie wpływy nie ułożą

do równowagi, poczem spostrzegać się dają tylko drobne wahania wynikające z niejednostajnego wzrostu. Jeżeli z powyższémi czynnikami łączy się i wpływ światła, wówczas ruchy stają się tak zawiłe, że niepodobna sprowadzić ich do właściwych przyczyn. Ostatecznie jednak i w tym nawet razie liść przybiera w końcu pewne położenie i daléj w położeniu tém rośnie. Tak więc cyrkumnutacya liści jest według Wiesnera zbiorowym skutkiem rozmaitych czynników.

Wreszcie Wiesner podaje, że według jego spostrzeżeń jednokomórkowe grzyby z rodzaju *Mucor* i *Pilobolus* nie okazują ani śladu cirkumnutacyi. Grzyby te są geotropowe i heliotropowe.

Powyżéj przedstawione poglądy Wiesnera, można streścić jak następuje.

Niektóre organa roślinne nie okazują ruchów cyrkumnutacyjnych, przynajmniéj przez pewien czas.

W innych razach spostrzegamy zawiłe ruchy, często obrotowe. Czasami zależą one od zaburzeń i zboczeń we wzroście, i wtedy są nieregularne i bardzo małéj rozciągłości. W innych razach są to zbiorowe skutki rozmaitych sił i wpływów wewnętrznych i zewnętrznych (tj. nutacyi samoistnéj i wywołanéj). Wreszcie, w niektórych razach ruchy organu w przestrzeni zależą wyłącznie od przyczyn wewnętrznych, od wrodzonéj własności organu, jak to spostrzegamy u roślin wijących się, oraz tych niewijących się, które przedstawiają przejście od nutacyi falistéj do obrotowéj.

Tak więc Wiesner odrzuca cyrkumnutacyę jako powszechną własność organów roślinnych; ruchy tak zwane nutacyjne uważa za objawy wzrostowi towarzyszące i ze wzrostu na długość wynikające. Jak widzieliśmy, prawdziwą, niedającą się bliżéj wyjaśnić cyrkumnutacyę przyznaje on jedynie w razach nutacyi obrotowéj i falistéj z bocznemi wahaniami.

Ponieważ według Wiesnera cyrkumnutacya, jako samoistny ruch, tylko w tym ostatnim razie istnieje, więc téż sądzi on że sprowadzanie wszelkich ruchów nutacyjnych i warjacyjnych do téj jakoby pierwotnéj formy miejsca mieć nie może. Ztąd dalszy wniosek, że te formy ruchu, których Wiesner szczegółowo nie rozpatruje, a które nie są ruchem obrotowym, np. sen liści, nie mogą być podciągane pod tę kategoryę w rzeczywistości nader rzadko objawiających się ruchów cyrkumnutacyjnych.

Cyrkumnutacya nie jest ruchem pierwotnym, ale pospolicie pochodnym, zbiorowym; i na odwrót, heliotropizm, geotropizm, hydrotropizm, itd. są ruchami pierwotnémi, i w pewnych warunkach mogą dawać początek cyrkumnutacyi jako ruchowi zbiorowemu.

Według Wiesnera bardziéj złożone formy nutacyi można w następujący sposób wyprowadzić z form prostych.

Najprostszym i prawdopodobnie najbardziéj pierwotnym jest *wzrost w prostym kierunku*. Jeżeli jeden brzeg organu silniéj rośnie, a przeciwległy opóźnia się we wzroście, wtedy powstaje *zwykła nutacya*, do któréj zaliczyć należy *hyponastyę* i *epinastyę*. Jeżeli stosownie do wieku organu bujność wzrostu zostaje wzmocniona to na przedniéj to na tylnéj jego stronie, wtedy powstaje *nutacya falista*, nadzwyczaj w świecie roślinnym rozpowszechniona, a odbywająca się na jednéj płaszczyznie. Organa nutacyi téj ulegające okazują dwa lub więcéj łukowatych zgięć. Jeżeli krawędź bujniejszego wzrostu jest pochyła, albo zamiast prostéj jest spiralnie skręcona, wówczas nutacya falista przechodzi w *nutacyę obrotową*, która odbywa się w różnych kierunkach przestrzeni. Obiedwie te formy ruchu łączą się stopniowemi przejściami. Z jednéj strony mamy rośliny z wyraźną, niczém niezamąconą nutacyą falistą, z drugiéj strony rośliny wijące się z wybitnémi ruchami obrotowémi, a pomiędzy temi ostatecznościami stoją roślinki kiełkujące, których łodyżka okazuje tylko ślady przejścia do ruchów obrotowych, np. bób, albo téż wyraźniejszą skłonność do téj ostatniéj formy ruchu, np. łodyżka słonecznika.

Streszczając wszystko powyżéj powiedziane widziemy, że różnice poglądów Darwina i Wiesnera są następujące.

Według Darwina pierwotnym ruchem roślin jest cyrkumnutacya; jestto własność wrodzona niedająca się bliżéj określić. Według Wiesnera pierwotnym ruchem roślin jest wzrost na długość, z którego dają się wyprowadzić wszystkie formy ruchów samoistnych tj. zależnych od organizacyi rośliny, oraz ruchów wywołanych, które polegają na wywołaniu przez wpływy zewnętrzne bujniejszego wzrostu pewnych części rośliny.

Darwin mniema że u roślin istnieją specyalne miejsca obdarzone czułością na wpływy zewnętrzne, które to miejsca będąc przez pewien bodziec podrażnione, podobnie jak ośrodek nerwowy zwierzęcia przesyła podrażnienie do sąsiedniéj części organu, która sama przez się jest na bodziec nieczuła, i tu wywołuje odpowiedni ruch. Do takich ośrodków zalicza Darwin wierzchołek korzonka, gdzie ma być umiejscowiona wrażliwość na siłę ciężkości, hydrotropizm, ucisk, jednostronne skaleczenie i heliotropizm ujemny. W wierzchołku łodyżki i w wierzchołkach liścieni ma być znowu umiejscowiony heliotropizm, tj. wrażliwość na światło.

Wiesner zaprzecza takiemu umiejscowieniu pobudliwości uważając, że ruch zawsze powstaje w części organu bezpośrednio przez wpływ zewnętrzny dotkniętéj. Energia oddziaływania na wpływy zewnętrzne zależy od bujności wzrostu. Skutkiem upośledzenia wzrostu oddziaływanie organu na wpływy zewnętrzne słabnie, albo nawet całkowicie ustaje. W odnośnych doświadczeniach Darwina nad ośrodkami pobudliwości wzrost organu sztucznie osłabiono, albo całkowicie powstrzymano.

* * *

Na zakończenie, nie ośmielając się wyrażać stanowczego zdania, do którego nie mam należytych podstaw, pozwolę sobie jedynie powiedzić, że według mego sposobu widzenia rzeczy cyrkumnutacya w znaczeniu Darwina, jako pierwotny i powszechny ruch roślin, stanowczo jest zachwiana. Poglądy Wiesnera są dla mnie daleko bardziéj prawdopodobne, jako wyłączające nową i zupełnie zagadkową zdolność roślin.

Wiesner z wielką stanowczością powstaje przeciwko umiejscowieniu u roślin wrażliwości na różne wpływy zewnętrzne, ale jego dowody i rozumowania nie zupełnie są przekonywające i stanowcze. Trudno téż zrozumiéć dla czego takie umiejscowienie pobudliwości traktuje jako rzecz w zasadzie saméj niemożliwą, skoro spostrzeżenia Darwina nad zachowaniem się roślin owadożernych przekonywają, że tkanki roślinne mogą posiadać własności wielce zbliżone do własności układu nerwowego u zwierząt.

Górną powierzchnię liścia rosiczki (*Drosera*) pokrywają gruczołki wydzielające lepką ciecz, a brzeg otaczają rozpostarte czułki, każdy gruczołkiem zakończony. Owad dostawszy się na tarczę liścia więźnie w lepkiéj wydzielinie i szamocze się, a powstałe stąd podrażnienie zostaje przesłane do najbliższych czułków, które z całą dokładnością zaginają się ku miejscu gdzie się owad znajduje i chwytają go swémi gruczołkami. Owad trąciwszy o gruczoł czułka, przylepia się do niego, a następnie czułek zagina się i zanosi zdobycz na środek liścia. Niedosyć na tém, gruczoły czułków zaginających się ku leżącemu na liściu owadowi itp. pod wpływem podrażnienia wydzielają kwaśny sok, posiadający własność trawienia połączeń białkowych. Ale niedosyć na tém, gruczoły wydzielają kwaśny sok wyłącznie pod wpływem podrażnienia przez ciało azot zawierające, gdy tymczasem wszelkie inne ciała wcale nie wpływają na zmianę chemicznego składu wydzieliny. Poruszenie czułków i wydzielanie kwaśnego soku wywołuje długo trwająca obecność drobnych ciałek azo-

towych, których wagę oblicza Darwin na 0,00001 grana, gdy tymczasem stosunkowo silne, lecz szybko mijające wstrząśnienie żadnego wpływu nie wywiera. Wreszcie liść rosiczki uczuwa obecność nadzwyczaj małéj ilości amoniaku, bo roztwór jednéj części fosforanu amonu w 2.000.000 części wody dystylowanéj wywołuje zginanie się czułków.

Tak tedy w liściu rosiczki spostrzegamy zdolność przesyłania wrażeń, wrażliwość na drobne wstrząśnienia, zdolność rozróżniania podrażnień oraz zdolność wydzielania właściwego soku pod wpływem odpowiedniego podrażnienia. Wszystko to są właściwości układu nerwowego zwierząt, a zatém analogia pomiędzy czynnością nerwów i czynnością tkanek roślinnych jest oczywista.

Podobnych faktów dostarcza także mochołówka (*Dionaea*), a u czułka (*Mimosa*) spotykamy znowu coś bardzo podobnego do przyzwyczajenia. Objawów opisywać nie będę, a czytelnika pragnącego bliżéj zapoznać się z tym przedmiotem odeślę do tygodnika „*Przyroda i Przemysł*“ (*Rośliny mięsożerne*. Rok 1876 str. V. 205, 231 244, 256, 268. *Analogiczne objawy w życiu roślin i zwierząt*. Rok VII. 1879. Str. 421, 433).

Jedném słowem objawy pobudliwości u roślin upoważniają do powtórzenia z Sachsem: „*że w żywej substancyi roślinnéj następują takie wewnętrzne wyróżnienia, skutkiem których pojedyncze części zostają obdarzone szczególnemi zdolnościami, podobnemi do władzy nerwów zmysłowych u zwierząt.*“

Pomimo możliwych błędów praca Darwina o zdolności ruchu u roślin, podobnie jak inne prace tego wielkiego badacza, imponuje szerokością poglądów, głębokością myśli i obszerną znajomością faktów. Obok doskonałego zestawienia faktów Darwin, odpowiednio do swéj metody traktowania kwestyi biologicznych, stara się wykazać znaczenie każego pojedynczego objawu dla życia rośliny, oraz zastanawia się nad sposobem powstania, spotęgowania i utrwalania objawu w organizmie rośliny.

August Wrześniowski.

DEMOKRACYA SOCYALNA

W CESARSTWIE NIEMIECKIEM.

III.

FORMOWANIE SIĘ STRONNICTWA POLITYCZNEGO.

Die deutsche Socialdemokratie etc. v. Franz Mehring. Bremen 1878. — Le socialisme contemporain p. Emile de Laveleye. Paris 1881. —Der Emancipationskampf des Vierten Standes von R. Meyer. Berlin 1875.

I.

Świetne tryumfy krasomówcze Lassalla roznamiętniły ludność robotniczą szczególnie nad Renem i w Saksonii, ale organizacya przez niego urządzona bynajmniéj nie była silną, wszystko utrzymywał w jedności tylko on sam, osoba jego była w najwyższém poszanowaniu u robotników, ale myśli jego zgoła nie przesiąkły w pojęcia ogółu, a jakeśmy o tém wspomnieli, po śmierci jego w stowarzyszeniu pozostało tylko dwóch ludzi, którzy byli w stanie zrozumiéć i ocenić plany mistrza—Liebknecht i Szwejcer. Liebknecht, niedawno wrócił był do kraju z emigracyi, był on jednym z najszczerszych wielbicieli Marxa, wcale nie sympatyzował z socyalizmem narodowym Lassalla, ale nie mając żadnych w kraju stosunków, nie mogąc rozpocząć żadnéj roboty na własną rękę, przystał do lassalczyków w nadziei, że i tu da się coś zrobić. On i Szwejcer obydwa nie byli w stowarzyszeniu popularni i żaden z nich nie mógł nawet myśléć o zajęciu stanowiska naczelnego. Prezydyum zajmowali jeden po drugim ludzie bez talentów, nie rozumiejący celu do którego mieli dążyć, nie umiejący używać środków jakie im podawała organizacya. Bernhard Becker, który nazywał siebie „prezesem ludzkości;“ Tölcke, znany z tego, że zamiast dzwonka prezydyalnego zaczął używać pałki i stukając o ziemię przywoływał zgromadzenie do porządku; Perl, który w urządzaniu chórów śpiewaków widział naj-

lepszy środek propagandy socyalnéj; hrabina Hatzfeld kolejno każdego z nich wspierała i z każdym prędko się poróżniła. Probowała też ona urządzać na swoję rękę oddzielne stowarzyszenie, nazywane linią żeńską lassalczyków. Organizacya zaczęła się rozprzęgać, rozpraszać, i lat parę istniała tylko nominalnie; te czasy anarchii przetrwała jedynie dzięki pamięci Lassalla, około osoby którego, zaraz po jego śmierci zaczęła się tworzyć legenda, opowiadano o nim rzeczy niemal cudowne, czczono go jako apostoła, jako proroka zwiastuna lepszéj przyszłości, szeptano po cichu że on nie umarł, że zjawi się znowu i odda panowanie w ręce ludności wyrobniczéj.

Tymczasem Szwejcer, stosownie do ułożonego z Lassallem projektu, od 1 stycznia 1865 rozpoczął w Berlinie wydawnictwo pisma socyalistycznego „Socialdemokrat“ i pozyskał dlań współpracownictwo wszystkich ludzi wykształconych pomiędzy socyalistami, nawet Marx i Engels przyrzekli go popierać. Nie długo jednak to trwało a Szwejcer znalazł się prędko i na tém stanowisku osamotniony. Wszyscy komuniści niemieccy, zarówno w kraju jak na emigracyi, chociaż uchylali głowę przed wyższością umysłową Marxa niekoniecznie jednak go słuchali, każdy z nich miał mniéj więcéj swoje odrębne pojęcia, a godząc się w potępianiu tego co istniało, nie mogli zgodnie brać się do roboty organicznéj, bo tu każdy swoich projektów bronił i za nimi mocno obstawał. Łączyła ich wspólna nienawiść ku sile, którą mieli do zwalczenia, a tą siłą wówczas była monarchia pruska, w tém uczuciu nienawiści, w prusofobii jednoczyli się wszyscy. Szwejcer, trzymając się ściśle tradycyi nauk Lassalla i sam jasno pojmując położenie polityczne, nie podzielał tych uczuć, prędko też bardzo wystąpił w piśmie swém z całym szeregiem artykułów zatytułowanych „Ministeryum Bismarka“ — w których dowodził bardzo stanowczémi argumentami, że w Niemczech istnieją tylko dwie siły realne: bagnety pruskie i pięście proletaryatu; że żadnéj innéj nie ma, ani rządy państw mniejszych, ani szlachta, ani mieszczaństwo niczego nie są w stanie dokazać dla ludu niemieckiego, więc proletaryat powinien iść ręka w rękę z ministrami pruskiémi. Takie twierdzenia oburzyły i odstręczyły od niego tych wszystkich którzy w jakichkolwiek bądź stosunkach byli z Marxem, ogłoszono go za zdrajcę, za agenta rządowego, za człowieka niebezpiecznego.

Liebknecht, któremu prędko wzbroniono pobytu w Prusach, osiedlił się w Lipsku i tu wydawał gazetę „Mittel Deutsche Volkszeitung,“ znalazł się on tam w otoczeniu najsympatyczniejszych dla siebie żywiołów, w czasach tych bowiem (1864—66) nienawiść do Prusaków najsilniéj grasowała w Saksonii, a gazeta jego stała się

głównym kanałem przez który przelewały się wszelkiego rodzaju zarzuty, potępienia, połajanki nawet dla polityki pruskiéj i rządów Bismarka; koło niego gromadzili się ci wszyscy wśród ludu, którzy politycznie byli niechętni panowaniu pruskiemu; o komunizmie jeszcze tam nie było mowy, bo wszyscy socyaliści ludowi, wielbiąc pamięć Lassalla, trzymali się ramek organizacyi przez niego wskazanych. Liebknecht większą część życia swego spędził na wygnaniu w emigracyi. Powiadają zwykle, że nieszczęście wyrabia charakter, uczy cierpliwości, budzi coraz silniejsze przywiązanie do sprawy z powodu któréj się cierpiało, natury szlachetne zaprawia do wytrwałości i energicznego oddziaływania przeciwko przyczynom nieszczęścia; wszystko to prawda do pewnego stopnia, ale życie emigracyjne bez domowego ogniska, bez udziału żywego w życiu współobywateli własnego kraju, bez codziennego zetknięcia z praktyką przebiegu interesów, z prądami myśli i uczuć rodzącémi się ustawicznie wśród społeczeństwa, które za swoje uważamy i które kochamy, zbyt często oddziaływa niekorzystnie na charakter człowieka. Tęsknota rodzi marzenia często chorobliwe, do których się przywyka i które powoli stają się ideałami życia, nienawiść do tych co nas od życia czynnego usunęli, stopniowo zlewa się w jedno z miłością do rodzinnego otoczenia i z czasem te dwa uczucia rozdzielić się z sobą nie dają, czyny człowieka wtedy zawsze prawie bywają zakażone nienawiścią, bardzo rzadko uniknąć mogą cechy popędów namiętnych.

Liebknecht naprzykład jest człowiekiem bardzo szanownym, urodził się on ubogim i takim pozostał dotychczas, wyróżnia się tém społecznie od Lassalla i Marxa, którzy obaj życie w dostatkach pędzili; on umie zadawalniać się najskromniejszem byle mógł pracować dla swojéj idei, wyrzeka się uczciwego nawet zarobku, jeżeliby on miał go odciągnąć od służenia celowi, któremu się poświęca, nie da się skusić pobudkom nieszlachetnym: dla zysku, dla wyniesienia osobistego z pewnością niczego robić nie będzie, ale gdzie chodzi o sprawę, nikt pewno nie potrafi w równém z nim stopniu rozmyślnie i z krwią zimną używać broni zatrutéj i nieszlachetnéj. Jeszcze w pierwszéj młodości oczarowały go pisma St. Simona, odtąd bez przerwy, bez wytchnienia dąży ciągle do urzeczywistnienia państwa socyalistycznego, teorye i krytyka Marxa wyraźniéj zarysowały przed nim ten ukochany ideał, który nieustannie nęci chorobliwie podrażnioną wyobraźnię. Fanatyk w całém znaczeniu tego słowa, posiada wszystkie dobre i złe strony tego stanu ducha, cokolwiekbądź mu się opiera, usiłuje to zburzyć środkami jakie mu nasuwać może żądza zniszczenia. Przeciwnik polityczny w oczach jego żadnych

praw mieć nie będzie, bez wahania będzie rzucał na niego podejrzenia, oskarży go o zbrodnię równie śmiało jak to czynił nieraz ks. Bismark, stronnika swego będzie bronił do ostatka sił, będzie uniewinniał czynności jego najpodlejsze. Sam nie sięgnie ręką po grosz jeden podejrzanego zysku, ale usprawiedliwiać będzie przedajność, nawet kradzież, jeżeli mu się to zda potrzebném w interesie partyi. Człowiek dobry, życia wzorowego, wszystko to więc nie jest wynikiem złości wrodzonéj ani świadoméj, ale tylko skutkiem stronniczego na świat poglądu, na którym wszystko widzi w oświetleniu swoich ulubionych teoryj. Z własnéj inicyatywy, własnemi siłami nie mógłby on wywołać w masach agitacyi, bo mu brak nici sympatycznych któreby go z ludem łączyły, on ukochał teoryą, a nigdy chociażby chwilowo nie potrafił wżyć się w naturę i życie ludu, zejść na grunt jego; wymowa jego ostra i trochę dzika nawet, znaczenie i wpływ mogła mieć tam tylko gdzie umysły ludzi weszły już na tor pojęć komunistycznych, które u niego zawsze stanowią treść myśli, mowy i uczynków.

W gazecie swojéj wylewał wszystkie zapasy żółci i gniewu na rząd pruski, póki w r. 1866 prusacy nie przyszli do Lipska i nie zabronili mu jéj wydawać. Ufając amnestyi wówczas ogłoszonéj już w Prusach udał się do Berlina, tam zamknięto go na kilka miesięcy do więzienia, wypuszczony na wolność w r. 1867 znalazł się zupełnie zrujnowanym; wśród tryumfów armii pruskiéj ludzie zapomnieli o jego gazecie i o jego namiętnych napaściach, osamotniony odszukał tylko jednego zwolennika, który mu pozostał wiernym, ale ten jeden starczył za tysiące — był to Bebel.

Bebel wówczas między robotnikami zajmował stanowisko bardzo poważne. Prosty tokarz, wykształcony w szkole elementarnéj i w szkółkach niedzielnych, na wędrówkach czeladnika nauczył się poznawać świat i ludzi; był on jakby wcielonym ideałem robotnika nowożytnego w najlepszém znaczeniu. Cichy i skromny, pełen prostoty, zawsze gotów uczyć się i oświecać, miał w sobie skłonność do myślenia poważnego; rzemiosło swoje szanuje i dotąd go nie porzucił, żyje z uczciwego zarobku, nigdy nie chciał, jak tylu innych, żyć cudzym kosztem w pozycyi fałszywéj nauczyciela ludu, pisarza politycznego lub agitatora z profesyi. Z natury zdolny, rzeczy pojmuje łatwo, widzi je jasno, umie myśléć prędko prawie instynktowo; wymowa jego prosta i jasna trafia z łatwością do przekonania wyrobników, bo żyjąc życiem tém samém co oni, umie wszystko przedstawiać w sposób dla nich dostępny, zawsze o parę kroków tylko idzie naprzód przed słuchaczami i zdaje się wypowiadać to tylko co się już w ich myślach znalazło ale jeszcze nie ma formy ani wyrazu.

Prawdziwy mąż ludu, jest klasycznym reprezentantem ludności wyrobniczéj, niewątpliwie ma téż znaczenie historyczne, bo on pierwszy pomiędzy rzemieślnikami niemieckimi wystąpił na scenę polityczną w roli poważnéj, porusza się na niéj zupełnie swobodnie, jak równy między równymi, a sposób w jaki nieraz umiał rozprawić się z koryfeuszami parlamentu jak z Laskierem lub Simsonem nie powiódłby się może doświadczeńszym i wprawniejszym mówcom. Wpływ jego na ludność wyrobniczą do dziś dnia jest ogromny, chociaż on sam zmienił się już podobno znacznie w ciągu lat kilkunastu agitowania się w sferach propagandy komunistycznéj. W r. 1863 nie przystał on do podjętéj przez Lassalla organizacyi, wolał pozostać po stronie postępowców, a kiedy oni, chcąc zapobiedz wpływom Lassalla, probowali wszystkie od siebie zależne fereiny zcentralizować w jeden ogólny związek we Frankfurcie nad Menem, Bebel był tam delegatem; w r. 1866 zasiadał w komitecie tego związku, który już wtedy zaczął się uwalniać od wpływu partyi postępu i przyjął do swego programu domaganie się o prawo głosowania powszechnego, a w ślad zatém oświadczył, że kasy Szulca z Delitzsch nie są dla wyrobników korzystne; w r. 1867 związek zerwał stanowczo z postępowcami i Bebel został wybrany prezesem komitetu zamiast Maxa Hirscha. Miał więc wtedy pod ręką wiele tysięcy robotników, a niechęć do rządu pruskiego zbliżyła go do Liebknechta.

W tymże samym r. 1867 Marx wydał swe wielkie dzieło „Das Capital,“ Liebknecht znalazł w niém cały arsenał argumentów, dowodów i wywodów teoretycznych do objaśniania i popierania swych ulubionych zasad, w Beblu znalazł najlepszego jakiego mógł spotkać apostoła swoich idei i dążności. Ale pierwéj trzeba było nawrócić samego apostoła. Przy pierwszych, pod prawem głosowania powszechnego, wyborach do parlamentu północno-niemieckiego, Bebel wybranym był w Saksonii (Glauchau) na reprezentanta, a tak bardzo był jeszcze wówczas patryotą niemieckim, że w sejmie wystąpił z ognistą filipiką przeciwko Bismarkowi za rozdarcie Niemiec na dwie połowy, twierdził zaś, że nie ma nic wspólnego z komunistami a należy do partyi ludowéj. Liebknecht postępował z nim bardzo ostrożnie, niewypowiadał od razu wszystkiego co myśli i czego pragnie, powoli starał się go opanować, łatwo go ujął za serce wskazując za cel dobrobyt i wykształcenie masy ludu, i nietrudno mu téż było oplątać w sieci misternéj dyalektyki ten umysł jasny ale prosty, nie nawykły do obcowania z abstrakcyami. Odtąd Bebel duchowo staje się kreaturą Liebknechta i służy mu za najlepszego bo szczerego i sumiennego propagatora, a kiedy przejął się już zupełnie wiarą nauczyciela i wżył się w tok myśli i pojęć komunizmu kosmo-

politycznego, Liebknecht zaczął występować otwarcie i publicznie z koniecznością przyjęcia zasad międzynarodówki.

Przedtém jeszcze wojna r. 1866 poplątała i pomięszała szyki wszystkich organizacyi zarówno lassalczyków jak i postępowców; silne rozbudzenie ducha patryotycznego, ściągnienie do wojska i wyprowadzenie do boju ogromnéj liczby ludzi, rozerwało myśli, pokrzyżowało projekta i plany wodzów i szeregowców. Zaraz po wojnie jednak otwarły się nowe a szerokie widoki polityczne i społeczne. Prawo głosowania powszechnego nadane z góry, usuwało wprawdzie sam cel agitacyi lassalczyków, ale dozwalało zarazem działać czysto praktycznie, teraz można już było przemawiać do wyrobników nie w imię teoryi i zasady, ale w imię interesu dotykalnego; zniesiono mnóstwo drobnych zawad i przeszkód do komunikowania się wzajemnego, przyznanie prawa swobodnego przesiedlania się wprawiło w ruch wielką ilość ludzi, ożywiło cały naród. Wielka opozycya parlamentu pruskiego rozwiała się wobec tryumfu planów Bismarka, uwieńczonych tak wspaniałym powodzeniem. Szeregi postępowców rozpadły się, znaczna ich większość zlała się nanowo w partyą liberalnych narodowców, która ochoczo wprzęgła się w rydwan tryumfalny Bismarka i odtąd przez lat dwanaście wiernie mu służyła. Opozycya zachowała nazwę postępu, ale ze wszechwładnego w parlamencie stronnictwa, została niewielką grupą deputowanych, którzy już nie mogli marzyć o wywieraniu wpływu na bieg interesów kraju, a tylko krytykować, ostrzegać i rezerwować przyszłość; skłaniało to ich tém bardziéj do jednania sobie popularności wśród ludu, do którego wotów głosowanie powszechne dawało przystęp i w tych celach nie zaniechali dalszéj organizacyi stowarzyszeń.

Rok 1867 przeszedł na porządkowaniu się wszystkich organizacyi, na naprawie szczerb jakie im wojna zadała. Lassalczycy doszli już byli do ostatecznego rozstroju, chcąc nie chcąc więc musieli wybrać sobie na prezesa Szwejcera, widząc że on jeden chyba był zdolny wprowadzić porządek w ich stowarzyszenie. Był to człowiek zdolny i wykształcony, teoryami mało się zajmował, ale prawdziwie praktyczny, jako naczelnik partyi tę miał nieoszacowaną zaletę, że nie łudził się pozorami, a rzeczy widział takiémi jakiémi były w rzeczywistości, obdarzony z natury niezwykłą cierpliwością i wytrwałością nie dawał się zachwiać niepowodzeniom, a zarazem umiał naginać się do wymagań politycznych danéj chwili. W życiu jego pełno niewytłómaczonych zagadek, zdawałoby się że żądza używania życia i towarzyszący jéj sceptycyzm światowego wytwornisia, stanowiące najwydatniejsze rysy jego charakteru, nie mogły go zaprowa-

dzić do zgromadzeń wyrobników i kazać tam perorować o ucisku jaki kapitał na pracę wywiera i o cierpieniach biednego pracowitego ludu; a jednak cztery lata pracował zawzięcie w téj sprawie, nie tylko doprowadził stowarzyszenie do porządku, ale postawił go na stopie poważnéj i wtedy nagle zrzekł się prezydentury. Syn bogatéj patrycyuszowskiéj rodziny z Frankfurtu nad Menem, już w pierwszéj młodości użył i nadużył wszystkich rozkoszy, z powodu licznych skandalów, przystęp do życia publicznego w mieście rodzinném stał się dlań niemożebnym, zanadto rozumny i zanadto silny ażeby zadowolnić się samemi zmysłowemi rozkoszami, a nie mogąc z powodu zepsutéj reputacyi wejść na pole działania politycznego legalnego, chwycił się propagandy Lassalla jako gry hazardownéj wyższego gatunku, która mu obiecywała nowe wrażenia, z początku niepopularny wśród robotników, powoli i stopniowo zaczął im imponować wyższością umysłową i umiejętnością dobierania środków odpowiednich prędzéj do celu prowadzących, tak że go okoliczności same wyniosły na stanowisko w stowarzyszeniu naczelne. Ani zasad moralnych ani sumienia dopatrzyć w nim nie było można, ale miał w sobie coś z ducha dawniejszych *condotierów*, kiedy się do czego zobowiązał nie szczędził sił i pracy, nie przebierał w środkach żeby zrobić to czego wymagano od niego. W maju został wybrany prezesem, w jesieni już on i dr. Reincke wybrani byli przez lassalczyków do parlamentu, a w kilku innych miejscowościach kandydaci ich mieli za sobą poważną mniejszość. W sejmie przemawiał rozumnie i rozważnie, rzeczy niemożebnych nie żądał, ale dopominał się opieki prawa dla robotników, ograniczenia godzin pracy w fabrykach, uprawnienia zmów robotniczych w celach podwyższenia zarobku i organizowania statystyki przemysłowéj, wprawdzie wnioski jego większość deputowanych odrzucała, ale udało mu się przeprowadzić parę poprawek w projektach do praw.

Wspomnieliśmy już wyżéj, że w tym roku Bebel stanąwszy na czele komitetu zjednoczonych fereinów organizowanych poprzednio przez postępowców, zerwał zupełnie z tymi ostatniémi i zbliżył się do Liebknechta; po wojnie więc i uspokojeniu kraju, zamiast dawniejszéj jednéj organizacyi socyalistycznéj Lassala stoją obecnie dwie, jeszcze sobie nawzajem nieprzyjazne, ale obie zarówno wrogie porządkowi społecznemu a odciągające umiejętnie znaczną liczbę ludu od popierania legalnych kroków rządu i parlamentu.

W roku następnym wzmaga się ruch organizycyjny, wymyślono nowe środki zelektryzowania ludności wyrobniczéj. Rada centralna międzynarodówki ze smutkiem widziała, że w Anglii, właśnie w miejscu najbliższém jéj działania, najmniéj się ono okazuje sku-

teczném; robotnicy angielscy powiązani w korporacye w swoich *trades-unions*, z niedowierzaniem słuchali agentów rady; każdy z takich związków miał swój kapitał używany jako pomoc przy zmowach i wymawianiu roboty; nie mieli oni ochoty swoich funduszów poświęcać na cele międzynarodowéj agitacyi, i nie wierzyli w szumne obietnice rady dostarczenia im pieniędzy w razie potrzeby. Wskutek tego na kongresie międzynarodówki w Bruksełli r. 1878 postanowiono, żeby w innych krajach starać się o formowanie związków podobnych do trades-unions angielskich, a w Anglii przystępować do istniejących i w ten sposób zaszczepić im ducha komunizmu od którego się broniły. Szwejcer myśl tę w lot pochwycił, pierwéj nawet nim ją przyjęto na kongresie w Brukselli, zaczął w wykonanie wprowadzać. Policya tymczasem znajdując się w obec tylu rozlicznych związków rozwiązała pierwotne „Ogólne stow. robotników Niemieckich w Lipsku"—Szwejcer natychmiast poddał się rozkazom policyi, zamknął stow. lipskie zawiązując zaraz drugie w Berlinie z témi samémi statutami i jednocześnie zarządził, żeby rzemieślnicy i wyrobnicy ulegający jego wpływom, w każdéj miejscowości składali już nie jeden związek ale kilka, wedle fachów do jakich należeli, żeby takie związki miejscowe łączyły się w całych Niemczech w jedno ciało, także wedle swych specyalności, kierownik każdego ogólnego fachowego związku miał się znajdować w Berlinie, tam kierujący między sobą składać będą powszechny niemiecki związek rzemiosł, który wyznaczy z pomiędzy siebie prezydyum z trzech członków.

Tego rodzaju związki nazwano w Niemczech *Gewerkshaft*, a nowa metoda znacznie ożywiła cały ruch robotniczy, bo wskazywała każdemu za interes najważniejszy to właśnie co go najbliżéj obchodziło, sprawy jego własnego rzemiosła, fachu czy fabryki. Max Hirsch, który pomiędzy postępowcami najczynniéj zajmował się sprawą robotników, pojechał umyślnie do Anglii studyować tameczne trades-unions; na wieść że Szwejcer już coś podobnego organizuje, odwołany do kraju przez swych kolegów, pośpieszył urządzać podobne gewerkshafty pomiędzy swoimi zwolennikami. Pomiędzy związkami angielskiémi a niemieckiémi zachodzić musiała ogromna różnica z saméj natury rzeczy wynikająca. Rzemieślnicy i wyrobnicy angielscy sami, z własnego popędu, łączyli się między sobą w stowarzyszenia, bez żadnych innych celów, jak wspólnemi siłami dobijać się wyższych zarobków i przewadze, jaką miał nad każdym z nich fabrykant kapitalista, oprzéć się siłą zjednoczoną wszystkich robotników jednéj fabryki, albo w razie potrzeby i siłą robotników wszystkich fabryk pewnego fachu w jakiejś miejscowości; wysokość składek oznaczali sami, i z właściwą Anglikom wytrwałością wnosili je regularnie, ze-

branych zaś pieniędzy używali przezornie i oszczędnie. W Niemczech rzecz się miała inaczéj - tam każdy przedewszystkiém miał na oku cel polityczny, chodziło głównie o zwiększenie partyi, o pomnożenie liczby swoich stronników; do łączenia się w związki i stowarzyszenia trzeba było robotników wzywać i namawiać, a więc wskazywać jakieś korzyści, coś obiecywać i to tém bardziéj że od każdego żądano aby zaraz opłacał składkę. Szwejcer swoim lasalczykom obiecywał że: skoro rząd uwolni się od przewagi mieszczaństwa udzieli im kredytu na zaprowadzenie własnych warsztatów, a tymczasem jednocząc się mogą sami lepiéj się bronić od ucisku kapitalistów. Liebknecht swoim adeptom wskazywał wszystkie dobrodziejstwa państwa przyszłości, których się dobiją trzymając się razem i głosząc zasady na kongresach międzynarodówki za jedynie prawdziwe uznane. Ale partya, czy raczéj odłam partyi postępowców cóż mogła obiecywać? ludzie ci zanadto sumienni i zanadto poważnie polityczni, żeby się puszczać na agitacyą nieokreśloną, potrzebujący jednak agitować się żeby większą ilość wyborców sobie zapewnić, uwierzyli, że to nie robotnicy angielscy wytrwałością i energią swoje trades-unions postawili na stopniu poważnym, ale że sama organizacya tych związków dała anglikom energią i wytrwałość, nawoływali więc do swoich gewerkszaftów każdego kto ich chciał słuchać, że zaś korzyści jakiekolwiek wskazać musieli, wzięli więc pod swą opiekę zmowy robotników, uznali ich sprawiedliwość i zasadność.

Wymawianie roboty fabrykantowi przez zmówionych robotników nie raz okazywało się dla nich korzystném i w Anglii i w innych krajach, obecnie prawo niemieckie dozwala już tego, ale każdy krok tego rodzaju chociaż prawny, nie mniéj jest niebezpiecznym, znacznie niebezpieczniejszym dla robotników niż dla fabrykanta, dla téj prostéj przyczyny, że tego ostatniego może on narazić tylko na straty pewne, kiedy tamtych może pozbawić chleba powszedniego i po prostu o głód przyprawić. Nie można decydować się na krok tak stanowczy, nie mając pod ręką środków utrzymania się bez roboty przez czas pewien, ani nie rozpoznawszy uprzednio dokładnie warunków w jakich znajdują się w danéj chwili fabrykanci, bo zmowa nieudana będzie ruiną robotników, strąci ich w nędzę znacznie gorszą aniżeli stan ich uprzedni, zmusi ich przystać na gorsze warunki i mniejsze zarobki. Dlatego należy zostawić te sprawy własnéj rozwadze robotników mięszać się zaś do nich ze strony, a tembardziéj mięszać się dla celów jakichś pobocznych, będzie co najmniéj lekkomyślnością w polityce jeżeli nie ciężkim grzechem w obec ludzkości. Z powodu agitacyi postępowców na korzyść gewerkszaftów, zawiązała się zmowa pomiędzy robotnikami górniczémi na Szląsku

w Waldenburgu, któréj przebieg okazał się nieszczęśliwym; przedsiębiorcy właściciele kopalń nie ustąpili, nędza i głód zapanowały nagle wśród kilkunastutysięcy ludzi, kierownicy stronnictwa poczuwając sie do winy musieli przyjść z pomocą, zebrali około 30.000 talarów, które wydali na zażegnanie biedy i ostatecznie stracili zaufanie robotników. Daléj jednak prowadzili swe dzieło, ale już z tym smutnym skutkiem, że każdy prawie sformowany przez nich gewerkszaft, po zorganizowaniu się, uporządkowaniu i obliczeniu sił swoich, przechodził w całości od nich do obozu lasalczyków albo komunistów, dokąd ich wabiły nie korzyści dotykalne wprawdzie a ułudne na przyszłość obietnice.

Obie grupy socyalistów wzrastały w ten sposób liczebnie, a wodzowie ich czując się coraz więcéj na siłach, to się między sobą kłócili to probowali pogodzić się i zlać w jedno oba stronnictwa. Liebknecht podburzał przeciw Szwejcerowi wszystkich miejscowych przywódców stanowiących niby arystokracyą związku, Swejcer usiłował obronić swoich od wpływów kosmopolityzmu i utrzymać ich jako organizacyą narodową. W r. 1869 w sierpniu Liebknecht i Bebel zwołali swoich stronników na kongres do Ejzenachu w zamiarze ukonstytuowania się prawidłowego jako partya polityczna, przybyli tam i lassalczycy probowali przeszkadzać téj robocie, jednakże im się to nie powiodło; chociaż potrafili zająć przygotowany lokal, Liebknecht przeniósł się ze swoimi do innéj sali, rzucił klątwę na organizacyą Szwejcera nazywając ich zdrajcami, socyalistami rządowemi (Regierungssocialisten) swoich zaś stronników mianował *Uczciwymi* (die Ehrlichen) i ułożono tu zaraz program. „Socyalno-demokratycznéj partyi robotników,“ która żądała: prawa wotowania dla każdego dwudziestoletniego mężczyzny zarówno w gminie jak w państwie, prawodawstwa przez lud, uzbrojenia ludu a zniesienia wojska stałego, nauki darméj, podatku jednego bezpośredniego i progresyjnego od dochodu i sukcesyi, opieki państwa dla związków robotniczych i kredytu państwowego dla stowarzyszeń współdzielczych. Liebknecht użalał się, że musiał jeszcze robić koncesye dla nieprzygotowanych umysłów a nie mógł wystąpić poprostu ze zniesieniem prawa własności, ale zalecił wszystkim sympatyą dla zasad międzynarodówki. Na zebraniu w Ejsenachu znalazło się 262 delegowanych, którzy uważali siebie za reprezentantów 150.000 członków. Organami czynnémi partyi miały być: komitet zarządzający i komisya kontrolująca, każda z nich rezydować miała w innem miejscu i trzech członków do każdéj miało być wybieranych corocznie, na kongresie z delegowanych na ten cel wybranych,—za organ partyi uznany tygodnik

demokratyczny „Volksstaat“ redagowany w Lipsku przez Liebknechta.

W dowcipném tém urządzaniu wpływ realny musiał naturalnie przypaść pismu pozostającemu stale w ręku Liebknechta, podczas kiedy organa zarządu zmieniały się koło niego corocznie; zakładały się w ten sposób fundamenta do dyktatury moralnéj Liebknechta i stojącego za nim Marxa, wśród pozorów ultra demokratycznéj zmienności kierowników, którzy mogli sobie wyobrażać, że ich wpływ działa tu przeważnie. Lassale nie chciał pośredników między ludem a sobą, potrzebował tylko pomocników do roboty, ulubionym jego pojęciem był wpływ myśli najwyżéj wykształconéj na elementarną siłę ludu, Szwejcer trzymał się téj tradycyi, w związku swoim rozporządzał despotycznie i usuwał wszystkie pokuszenia o władzę organów pośrednich;—Liebknecht powstawał ciągle przeciwko temu despotyzmowi, a sam go w swe ręce zagarniał bezimiennie. Do niego też zaczęły się zbiegać wszystkie żywioły niepokoju społecznego, ludzie niedouczeni, którzy ani sami myśléć porządnie nie mogli, ani ulegać cudzéj woli nie chcieli, wszystko co zajmowało stanowiska pośrednie, nawpół niezależne, co lubiło agitować, ruszać się, działać a nie miało do tego dostatecznego pola w życiu realném. Stronnicy jego rekrutują się głównie pomiędzy nauczycielami wiejskimi, subjektami handlowymi, pisarzami w biurach adwokatów lub rejentów, drobnémi księgarzami i handlarzami i wśród tym podobnych warstw społecznych. Wszyscy oni prawie czują najwyższą cześć dla frazesu dźwięcznego, dla myśli niejasnéj, którą owładnąć nie mogąc, poddają się pod jéj panowanie; lubują się w ruchu dla ruchu, w mglistych nadziejach na przyszłość, z którémi wiąże się ich osobiste znaczenie. Prawa niemieckie nie pozwalają żadnemu stowarzyszeniu wchodzić w związki i stosunki ze stowarzyszeniami zagranicznémi, dlatego niemożebném było połączenie urzędowe z międzynarodówką, wynagrodzono to sobie wkładając na każdego obywatela należącego do partyi demokracyi socyalnéj obowiązek moralny, zapisania się osobiście do międzynarodówki, cała zaś partya miała starać się o ścisłe trzymanie się jaknajbliżéj zasad wielkiego związku. Bebel brał na seryo moralne te obowiązki i odtąd nieprzestał wyrzekać na obojętność obywateli, na każdym zjeździe i kongresie powołując ich do tego i uskarżając się, że liczba wykupionych kart międzynarodówki nigdy w Niemczech nie doszła do tysiąca; zato Liebknecht usiłował najsumienniéj zasady międzynarodówki w swém piśmie propagować i o ile mógł najbliżéj podsuwał się do czystego komunizmu, wystrzegając się tylko wyraźnego zaprzeczenia prawa własności, aby nie zrazić chłopów, a jak objaśniał to w liście do jednego

z przyjaciół: „Wprawdzie niepotrzebujemy chłopów do zrobienia rewolucyi, ale żadna rewolucya nie utrzyma się długo, jeżeli przeciwko niéj będą chłopi.“

Silne to i porządne ukonstytuowanie się komunistów, zatrwożyło trochę Szwejcera, lękał się żeby go oni w ruchu postępowym nie prześcignęli; dla popularności więc ogłosił, że należy uznać za zbawienne zasady na kongresie w Bazel wypowiedziane, unikał jednakże objaśnienia tych zasad i rozwodzenia się nad nimi, odbył za to podróż agitacyjną po kraju, gdzie jednał sobie na nowo zwolenników. Tymczasem udało się lasalczykom ustalić wpływ swój w Berlinie, gdzie na kilku zebraniach publicznych zarządzonych przez postępowców, Tölcke jeden z dawniejszych prezesów stowarzyszenia wybierany był na przewodniczącego, a lasalczycy nie dawali nawet odzywać się postępowcom, aż nakoniec ci ostatni musieli się z sali wynosić pośpiesznie w obawie skandali i guzów; odtąd już ustaje czynność agitacyjna postępowców, wracają oni na rozważniejszą drogę działania powolnego ale skutecznego przez instytucye trwałe, a wyrzekają się rozgłosu i dysput. Socyaliści zostają panami na tym polu w dwóch grupach równie silnych liczebnie, z których każdą składało około 15000 ludzi czynnych, karnych i płacących składki; między sobą wiodą wojnę zaciętą, ale na zewnątrz trzymają się już razem, w sejmie liczą siedmiu deputowanych od swego stronnictwa, którzy im opiekę prawną starają się zabezpieczyć, ale nie występują tam jeszcze z żadnémi projektami reformy społecznéj. Tak rzeczy stały w przededniu wojny roku 1870.

II.

Na pierwszy odgłos rozpoczynającéj się wojny Szwejcer wezwał wnet swoich aby stawali chętnie w obronie ojczyzny; Liebknecht zaś i Bebel wystąpili z potępieniem wojny, jako akcyi czysto politycznéj, a więc zgubnéj dla ludu, który krwią i chlebem swoim będzie musiał okupywać tryumf klas panujących. Wojna sama naturalnie stłumiła wszelką czynność organizacyi, a władze wojskowe zarządziły nawet uwięzienie komitetu demokracyi socyalnéj i tych wszystkich, którzy probowali głośno przeciwko wojnie powstawać. Po powrocie armii z Francyi kierownicy stowarzyszeń socyalistycznych zaczęli na nowo porządkować i obliczać swoje bardzo przerzedzone szeregi. W zapale uniesień z powodu nowéj wielkości zapominano po trochu o komunistach, i nikomu nie było pilno przystawać do nich, tak iż przy pierwszych wyborach do sejmu Cesarstwa niemieckiego tylko dwóch demokratów socyalnych stanęło między deputowanymi Bebel i Szraps.

Szwejcer nie wybrany, zmęczony już czteroletnią robotą, w której powodzenie zaczął wątpić, zrażony niewdzięcznością wyrobników i ciągle robionémi mu zarzutami zdrady, złożył prezydenturę związku i usunął się zupełnie od organizacyi, na miejsce jego wybrano prezesem Hazenklewera, garbarza z Halwer, człowiek to dobry i uczciwy pełen prostoty i zupełnie szczery, ale zdolności bardzo małych, nie był on wstanie zrozumiéć myśli Lassalla, ani kierować wykonaniem jego planów; jakoż od czasu usunięcia się Szwejcera, chociaż „stowarzyszenie ogólne robotników niemieckich" przedstawia się jeszcze liczebnie dość poważnie, ale powoli traci siłę moralną, a kilka lat ostatnich jego trwania, są tylko czasem stopniowego nawracania się lassalczyków na naukę Marxa. Liebknecht i Bebel coraz to energiczniéj się krzątają, i jeszcze w ciągu r. 1871 zakładają cztery gazetki dla szerzenia propagandy.

W roku następnym 1872 rzeczy zaczynają przybierać obrót zupełnie nowy, agitacyą mało kto z prowodyrów się zajmuje, ale ona sama zaczyna się rozwijać i rosnąć własnemi siłami, okoliczności napędzają demokracyi socyalnéj coraz to więcéj stronników. Wodzowie schodzą ze sceny, Szwejcer usunął się dobrowolnie, Bebel i Liebknecht, po wytoczonym im procesie o zdradę stanu, dostają się na lat dwa do więzienia, najzdolniejszy z ich pomocników Karol Hirsz wyjeżdża do Paryża i wyrzeka się spraw socyalizmu, sam Marx w tym roku doczekał się rozpadnienia się międzynarodówki. Ale zato przybyłe z Francyi miljardy budzą ducha spekulacyi, nastaje epoka szacherki (szwindlu) a za nią krach i smutne jego następstwa, które lat kilka ciążą nad całą ludnością Niemiec. Kiedy mania przedsiębiorstw (gründerstwa) opanowała spekulantów, zarobki poszły w górę; robotnicy, widząc mnożące się coraz to nowe fabryki, zażądali wyższych opłat za robotę, ustępowano im z łatwością w nadziei przyszłych zysków, a prędzéj jeszcze ażeby mieć pod ręką robotników dla projektowanych coraz to nowych przedsiębiorstw; zmowy robotników wiodły się im pomyślnie, a w miarę wzrostu zarobków i pretensye ich rosły też szybko, prędko jednak liczne bankructwa zmieniły położenie, roboty zabrakło, nie tylko zarobki zaczęły opadać, ale coraz to gęściéj szerzyły się bezrobocia; krótki czas lepszego bytu okupywał się teraz coraz to gorszym, rozpaczliwym już prawie położeniem. Nic tak nie szerzy niezadowolnienia jak zawiedzione nadzieje, nic tak łatwo usposobić nie może robotnika do słuchania obietnic reformatorów, jak niedostatek nastający po pewnym peryodzie obfitości. Chętnie też nadstawiali oni ucha poszeptom komunistów i stawali po stronie demokracyi socyalnéj, chociaż nie śpieszyli zapisywać się w szeregi zorganizowanych stowarzyszeń. W ciągu lat dwóch obie organiza-

cye socyalistyczne nie zyskały razem więcéj członków nad dwadzieścia tysięcy, a jednak przy wyborach do sejmu w roku 1874 okazało się że około 350.000 wyborców podało głosy za kandydatami demokratów socyalnych.

Czasy szachrajstwa i fikcyjnych przedsiębiorstw poniosły swe wpływy w inne jeszcze sfery; nagłe przemieszczanie bogactw z ręki do ręki, kolosalne fortuny powstające w krótkim czasie, i prędzéj jeszcze niknące, zrodziły i w sferach wykształconych wątpliwość co do zalet porządku społecznego. Pomiędzy uczonymi sformowała się nowa szkoła socyalistów z katedry, którzy przedsięwzięli naukowo badać wady ustroju społecznego, i obmyślać zaradcze środki. Więcéj wrażliwa młodzież studyująca po Uniwersytetach zaczęła lgnąć do czystego socyalizmu; szersza publiczność teraz dopiero zaczęła rozczytywać się w ognistych broszurach Lassalla, plątać się wśród dyalektycznych formuł Marxa, socyalizm wszedł w modę pomiędzy młodzieżą, i jak dawniéj rzadko kto ze studentów nie próbował pisać ballad lub sonetów, albo późniéj zaciekać się nad zgłębieniem absolutu, tak obecnie pierwsze semestra studyów przechodziły na upajaniu się pismami Lassalla i układaniu własnych planów poprawy społeczeństwa i uszczęśliwienia ludzkości. Wprawdzie komunizm kosmopolityczny nie wiele ma w sobie uroku dla dojrzalszych umysłów, przywykłych obcować z poważnemi myślami wielkich autorów, to też mało kto z ludzi wyżéj wykształconych pozostawał w szeregach jego zwolenników, każdy prawie prędzéj lub późniéj uciekał z tego obozu samych mierności i sztucznéj nauki. Pomiędzy przywódcami demokracyi socyalnéj Bebel szczególnie, wiedziony w tém trafnym instynktem, ciągle usiłuje jednać dla partyi ludzi rozumnych i wykształconych, ale mu się to nie udaje; myśli zaś i zasady od których cofają się umysły wyższe nie mogą liczyć na powodzenie trwałe ani na zaszczepienie się w życie narodu. Takiemi uwagami starają pocieszać siebie niemieccy krytycy socyalizmu, powiadają oni ze wśród komunistów nie ma miejsca dla umysłowéj wyższości, każdy kto głową tłum przerasta piętnuje się tam mianem zdrajcy. wszak takie zarzuty nie minęły Lassalla, Szwejcera, samego Marxa, a nawet Liebknechta, który poświęceniem swym dla sprawy wszystkich ich prześcignął; dla tego też, dodają oni, jeżeliby kiedykolwiek rozrastająca się liczebnie demokracya socyalna potrafiła wywołać jakiś przełom i chwilowo uchwycić władzę w ręce, byłby to tylko wybuch motłochu, którzyby natychmiast osłabł w nieładzie i rozstroju, a pierwszy lepszy dyktator na czele zbrojnéj siły łatwoby go rozpędził.

Nie bierzemy na siebie wypowiadać sądu o prawdzie tych opinij, jednakże wybory roku 1874, które wysłały do sejmu 9 deputowanych,

i wykazały owe blisko 350.000 wyborców (liczba ta wynosi 6,5% wszystkich wotujących) podających głosy za kandydatami demokracyi socyalnéj, zwróciły na nią baczną uwagę całego kraju. A najprzód zrobiono rzecz najłatwiejszą do zrobienia; prokuratorya rozwiązała obie organizacye a zarazem wszystkie gewerkszafty i fereiny, które miały z nimi stosunki. Energiczne wystąpienie policyi uprzątnęło jednę z przeszkód do zlania się obu odłamów socyalizmu w jednę całość, bo zniosło owe stanowiska naczelne z których zapewne mało kto by chciał ustąpić aby iść pod czyjeś rozkazy; do tego przyłączyły się przyczyny inne: agitacya przedwyborcza prowadzona wspólnemi siłami była już pierwszym polem zbliżenia, deputowani w sejmie znaleźli się w małéj grupie w obec nieprzyjaznych sobie wszystkich stronnictw politycznych, musieli więc trzymać się razem, porozumiewać między sobą, co nastręczyło im nie jeden powód do zbliżenia się osobistego, a że Liebknecht i Bebel byli jeszcze w więzieniu więc grupę deputowanych składało osób siedm, a pomiędzy nimi nie było nikogo coby większémi talentami lub większą popularnością mógł budzić zazdrość lub podejrzenia w towarzyszach, wszyscy oni stali na równym stopniu mierności umysłowéj, bliższa zażyłość a co za tém idzie i zaufanie wzajemne zaczęły się między nimi przejawiać. Że zaś grupa Ejzenachska daleko sprężystszą czynność rozwijała, zręczniéj umiała prowadzić propagandę, umiejętniéj posługiwała się pismami peryodycznémi, które pod jéj wpływem mnożyły się w rozmaitych miejscowościach; lassalczycy zaś trzymali się razem tylko pamięcią mistrza, i powtarzanémi jako dogmat wiary przedśmiertnémi jego słowami. „Związek powinien trzymać się organizacyi, ona jedna da mu zwycięstwo,“—więc chociaż lassalczycy liczebnie byli liczniejsi, ale tylko nazwiskiem już bodaj i formami organizacyi różnili się od komunistów, pojęcia coraz bardziéj zbliżały się ku sobie, a z tém usuwały się powody do zaciętych sporów. Wszystko to razem działało tak skutecznie, że już w jesieni tego roku od lassalczyków wyszły propozycye zgody i zlania się w jednę całość. Liebknecht uwolniony z więzienia chwycił się tego oburącz, dla formy i przyzwoitości porobił niektóre ustępstwa, Hazenklewer przystał na nie i zwołano na maj rok 1875 kongres do Gotha w celu przeprowadzenia ostatecznych układów.

Wedle umówionych zawczasu warunków nastało tutaj zlanie się w jednę całość obu odłamów socyalistów, obliczono dokładnie siły, okazało się, że w dotychczasowych stowarzyszeniach było 25000 ludzi płacących składki i ulegających rozkazom komitetów. Liebknecht ułożył program i statuta nowego postępowania, przyjęto dla wszystkich razem nazwanie urzędowe „partyi demokracyi socyalnéj“

wyrzeczono się nadal wszelkiego organizowania się cząstkowego, urządzono się jako stronnictwo polityczne w cesarstwie niemieckiem, które narówni z innemi partyami weszło w używanie legalne praw ogólnych, agitując przy wyborach tak samo jak inne stronnictwa i szerząc zasady swoje jako program polityki wewnętrznéj, który miał prawo wyrażać się w sejmie. Nie obeszło się wprawdzie bez małych odszczepieństw, kilka nielicznych grup nad Renem i w Saksonii, przyjętych czcią fanatyczną dla pamięci Lassala i wiarą w jego nieomylność, chciało wytrwać przy jego nauce, probowały wydawać ulotne pisemka, ale były one tak drobne, że nowy kongres partyi z łatwością doprowadzał ich do posłuszeństwa, albo spychał na stanowisko nic nie znaczące. Pismo Liebknechta „Volksstaat" przechrzczono na „Vorwärts" i uznano za organ urzędowy partyi.

Propaganda bardzo czynna działała coraz skuteczniéj. Przesilenie przemysłowe i handlowe zawsze jeszcze ciążyło nad ziemią niemiecką, a w skutek tego biéda coraz gorsza grasowała wśród klasy wyrobniczéj i coraz więcéj zwolenników napędzała demokracyi socyalnéj. W roku 1877 środki propagandy partya obliczała nie małe: służyło jéj 150 dobrze wyćwiczonych agitatorów, mówców i redaktorów, miała swoich 41 pism peryodycznych a pomiędzy niémi jedno ilustrowane „Die neue Welt" o 40.000 prenumeratorów, drukarń posiadała 14, kalendarza partyi „Der arme Konrad" drukowano 50.000 egzemplarzy; skutki téj naprawdę poważnéj działalności okazały się przy wyborach do sejmu w r. 1877. Deputowanych stanęło w sejmie wprawdzie tylko 12, ale za kandydatów socyalnych oddano przy wyborach głosów 493.285, co stanowiło 9,1% wyborców rzeczywiście wotujących. Głosy te rozproszone po całym kraju, w wielu miejscowościach pozostały w mniejszości. Jeżeliby wyborcy wyznania socyalistycznego grupowali się odpowiednio do sił innych stronnictw mogliby mieć w sejmie 35 deputowanych, bo liczebnie w kraju całym jako stronnictwo polityczne zajmowali wówczas trzecie miejsce, ustępowali pierwszeństwa tylko liberalnym narodowcom i katolikom, równoważyli prawie zachowawców, a znacznie przewyższali postępowców i wolno-zachowawców (freiconserwativ).

Marzenie Lassalla o poważnéj mniejszości w sejmie, pędzącéj prawodawców na drogę reform społecznych, zdawało się już bliskiém urzeczywistnienia, a to tém bardziéj że w tym samym roku udało się socyalistom dostać się do paru sejmów krajowych i prowincyonalnych (Saksonia, Gera) a także do rad miejskich i do nadzorów kościelnych. Weszli więc w pełne używanie wszystkich praw politycznych na równi z innemi stronnictwami w kraju, zaaklimaty-

zowali się zupełnie, ludność cała oswoiła się z nimi, przestali być czemś wyjątkowém, osobliwością podziwienie lub postrach budzącą. Nie mieli jednak pomiędzy sobą żadnego polityka wyższego rzędu, któryby potrafił usiłowania ich skierować na jedynie skuteczną drogę prawodawstwa praktycznego. Posłowie ich wnieśli projekt do prawa „opieki nad robotnikami“, ale zarzucają im że projekt ten dosłownie prawie skopiowali z przepisów angielskich i szwajcarskich, nie mozoląc się nad zastosowaniem go do miejscowych warunków życia i okoliczności, wśród których rozwija się przemysł niemiecki. Co prawda socyaliści niemieccy mało zdają się zajmować studyowaniem życia ludu niemieckiego, dotychczas główną ich robotą jest tłómaczenie i popularyzowanie twierdzeń Marxa, opartych wyłącznie na badaniu przemysłu angielskiego, badaniu pilném i niewątpliwie głębokiém, ale zawsze jednostronném, bo tylko złe, tylko ujemne strony tego przemysłu zdają się przemawiać do umysłu Marxa i dostarczać mu materyału do teoryi jego o kapitale i pracy. Projekt do prawa wniesiony na sejm przez deputowanych demokratów socyalnych nie był przez nich ani motywowanym ani bronionym dostatecznie i zatonął też w biórach komisyj sejmowych.

Statystyka wyborów r. 1877 stwierdza jednakże opinią, że ruch socyalny niemiecki ma przedewszystkiém charakter opozycyi politycznéj, że masa ludzi niezadowolnionych ze stosunków politycznych w kraju garnie się pod chorągwie wodzów opozycyi najostrzejszéj. W miejscowościach gdzie opozycya przeciw systematowi rządowemu występuje w imię interesów narodowych lub religijnych, tam albo zgoła nie było głosów oddanych kandydatom demokracyi socyalnéj, albo niezmiernie mało: w Alzacyi i Lotaryngii, w Westfalii ani jednego, w Bydgoszczy 0,1%, w Poznaniu 0,4%, kiedy w Królestwie Saskiem było ich 38%, w Berlinie 39,2%, w Hamburgu 40%, w małych zaś państewkach Niemiec środkowych gdzie ludność przeważnie rolnictwem się trudni, a zatém mniéj przystępną być może wpływom socyalizmu, liczba stronników demokracyi socyalnéj wzrosła niepospolicie np. w księstwie Reuss linii starszéj stanowi 51,2% wyborców.

Wobec takiego powodzenia agitacya znacznie złagodniała, mając do utrzymania w kupie setki tysięcy ludzi, nie można było kwestyi społecznéj stawiać zbyt ostro, ani wyraźnie wskazywać ostatecznych celów komunizmu; na kongresie partyi odbytym jeszcze w ciągu tego roku Bebel uskarżał się na osłabienie zasad, na to, że agitatorowie polują na głosy wyborców i w tym celu, albo wymagania demokracyi socyalnéj przedstawiają ze zbytecznem umiarkowaniem, albo i wcale o nich nie wspominają. Znajdowali się za to ochotnicy,

którzy na swoję rękę starali się wlać nowe życie w agitacyą, wprowadzając ostro pobudzające materye, tak Most rozpoczął kampanią proponując jawne występowanie z kościoła i wyrzekanie się wszelkiego wyznania; niektórzy duchowni protestantcy, jak np. znany krzewiciel anti-semityzmu Stöcker, dając dowód większego zapału religijnego aniżeli biegłości politycznéj, wyzywał Mosta na dysputy publiczne, które zbyt wiele skandalu i rozgłosu sprawie téj nadały; dysputy prowadzone były nawet w zgromadzeniach wyłącznie z kobiet złożonych, nie nawróciły jednak bodaj nikogo, bo tylko gorące i zapamiętałe zwolenniczki bezwyznaniowości zjawiały się na zebraniach.

III.

W ciągu tego samego r. 1877 komuniści napełnili raz jeszcze Europę rozgłosem dysput o zasady i obudzili obawę o zmartwychpowstanie międzynarodówki. Wspominaliśmy już o tém, że po rozmaitych krajach europejskich pod hasłem komunizmu zawiązywały się najróżnorodniejsze organizacye, w których dobijano się przedewszystkiém rozmaitych celów miejscowych, a że sama doktryna komunizmu od r. 1872 rozpadła się była na dwa wielkie odłamy, na czele których stali Marx i Bakunin. Bakuniści w Niemczech nie mieli zgoła zwolenników; stowarzyszenie ich zawiązane w Szwajcaryi, miało niejako charakter protestu ludów rasy romańskiéj przeciwko przewadze germańskiego ducha, jednakże ani w Szwajcaryi ani we Francyi nie słychać było o ich skutecznéj czynności; za to we Włoszech, w Hiszpanii, w Ameryce nawet byli bardzo popularni, a najruchliwszémi okazali się w Rosyi. Po śmierci Bakunina poczuli potrzebę rozpatrzenia się w swych siłach, skontrolowania czystości zasad, ożywienia swego stronnictwa, jakoż zarządzili w tym celu w pierwszych dniach września kongres powszechny komunistów z całego świata w Gandawie. Na 9 września stawiło się tam 46 delegowanych rozmaitych narodowości, chociaż z bardzo wątpliwemi mandatami. Liebknecht, upoważniony przez swych niemieckich współwyznawców, stanął tam jako obrońca zasad i pojęć Marxa, James Guillaume, rodem ze Szwajcaryi, bronił anarchistów. Kilkanaście kwestyj przekazano dalszym studyom, a spór głównie toczył się o jedyną zasadę: rząd czy anarchia? Stronnicy Marxa twierdzili: że państwo, czyli rząd jako reprezentant państwa, być musi właścicielem ziemi, kapitału, materyałów i narzędzi do pracy; uczniowie Bakunina dowodzili, że wszystko to powinno być własnością pewnych grup wolnych robotników, które się same ukonstytuują; chodziło o zdecydowanie téj

kwestyi. Liebknecht, a raczéj De Paepe, belgijczyk, który w dyskusyi po francusku prowadzonéj rozwijał argumenta Marxa, stawił twierdzenie: że anarchia nie doprowadzi do niczego, w niczém bowiem nie zmienia dzisiejszych warunków produkcyi, a podstawując grupy w miejsce pojedyńczych osób, tylko uświęca konkurencyą i dodaje jéj sił nowych. Guillaume zaś rozwodził się nad tém, że komunistyczne państwo przyszłości to niewola, jakiéj nie widziano dotąd na świecie, jakiéj nie wymarzyła fantazya ludzka. Obadwaj mówcy mieli niewątpliwie słuszność w tych zarzutach, bo każdy z nich stawał na punkcie skrajnym pojęć ludzkich; ale pomiędzy témi dwoma biegunami, swobodą nieokiełznaną a niewolą, od początków cywilizacyi rozwijają się prawa, instytucye, obyczaje i same pojęcia ludzkie o prawach i obowiązkach; nauka zaś komunizmu trzymając się na jednym lub drugim ze skrajnych punktów usiłuje dyalektyką i abstrakcyami zastąpić stosunki realne życia praktycznego i porusza się w próżni. Kilkodniowe spory nie mogły doprowadzić do porozumienia, na zakończenie postawiono wniosek, który miał pogodzić wszystkich, a przyjęty był większością tylko kilku głosów, mianowicie: „Państwo reprezentuje i obejmuje sobą cały lud, ono ma być właścicielem ziemi i wszelkich narzędzi pracy, w nim zaś organizują się swobodnie gminy wolne.“ Jak dokazać téj sztuki, żeby gminy organizowały się swobodnie i pozostały wolnemi w państwie, które do wszystkiego ma prawo własności? — nad rozwiązaniem téj zagadki kongres już nie pracował.

Za to zgodzono się jednomyślnie, że przekształcić społeczeństwo można tylko siłą i gwałtem, ale w praktyczném téj rzeczy pojmowaniu przejawiły się znowu różnice w opiniach. Marxiści biorąc udział w czynnościach politycznych, mają nadzieję w ten sposób dobić się kiedyś w każdym kraju większości, dojść do władzy i wtedy siłą przerobić porządek społeczny. Bakuniści nieuznają żadnéj roboty legalnéj, a ciągłémi wybuchami rewolucyjnémi chcą dla swéj sprawy przygotować i wyćwiczyć wojsko, któreby w dniu stanowczym w sile poważnéj mogło stanąć do walki z porządkiem legalnym. Tu znowu praktyczniejsi Niemcy zarzucają: że ciągłe podszczenie do wybuchów rewolucyjnych wzmacnia tylko reakcyą, zapędza pod jéj chorągwie wszystkich co mają znaczenie, wpływ, środki działania, a przez to odżywia ją i nowych sił jéj dodaje. Anarchiści zaś dowodzą, że biorąc udział legalny w robotach politycznych, trzeba myśléć o wyborach i wyborcach; zmusza to do ustępstw do kompromisów i doprowadza prostą drogą do skażenia czystości zasad i osłabienia energii pomiędzy swoimi. Ostatecznie kongres postanowił: że proletaryat, jako partya organizowana, powinien uży-

wać wszelkich środków politycznych dla dobicia się emancypacyi społecznéj. Anarchiści nie chcieli na to przystać, a widząc się w mniejszości, oświadczyli: że obecnie różnica w zasadach jest zbyt wielka ażeby można było dojść do porozumienia, obie frakcye muszą więc pozostać każda przy swojém, co jednak nie ma im przeszkadzać szanować się wzajemnie i żyć pomiędzy sobą w zgodzie, jak to zwykli czynić, pomimo przeciwności w zdaniach, ludzie uczciwi i przyzwoici.

* * *

Powodzenie polityczne demokracyi socyalnéj zwróciło na siebie uwagę ks. Bismarka, przedsięwziął on zabrać się na seryo do uspokojenia umysłów w Niemczech i zażądał od sejmu praw wyjątkowych przeciw socyalistom. Sejm odrzucił podane sobie projekta do praw; wkrótce potém dwa zamachy na życie cesarza Wilhelma, zwróciły w inną stronę prądy opinii; sejm został rozwiązany, przy nowych wyborach rozpadła się partya liberalnych narowów, wszechwładna dotąd w parlamencie; ks. kanclerz odwrócił od niéj swoje oblicze i rozpoczął zabiegi około sformowania nowéj, zdatnéj do rządzenia partyi.

Nowy sejm wotował chętnie prawa przeciw socyalistom, skutkiem ich było: że ucichła wszelka głośna propaganda. — Czy ustała? Niewątpliwie nie. Liebknecht zaraz po kongresie gandawskim zastrzegł się, że ustanowione tam „Zjednoczenie socyalizmu międzynarodowego“ nie jest bynajmniéj wskrzeszeniem międzynarodówki, któréj czas jeszcze nie nastał, ale zarazem tłómaczył szeroko, że taktyka demokratów socyalnych niemieckich służyć musi za wzór do naśladowania komunistom całego świata, że oni sami uznani już są za wodzów proletaryatu w walce jego z tysiącletnią kulturą. Nie zdaje się być zbyt śmiałym wniosek, że ludzie, którzy swych zwolenników liczyli na setki tysięcy, nie łatwo ustąpią pod naciskiem prokuratury, stosującéj chociażby wyjątkowe prawa wśród „małego stanu oblężenia.“ To tylko zdaje się być pewném, że o ile ucichła propaganda jawna, o tyle musiała wzmagać się tajna; jakiemi zaś drogami ona obecnie chodzi, tego naturalnie wiedziéć nie możemy. Ale kiedy na wyborach r. 1878, pod wrażeniem zamachu na życie cesarza, mało kto z socyalistów dostał się do sejmu; po trzyletnim działaniu praw wyjątkowych, po zamknięciu mnóstwa dzienników i pisemek socyalistycznych, po wygnaniu lub ucieczce z kraju wielu przywódców, na ostatnich wyborach w listopadzie r. 1881 już 13 deputowanych od demokracyi socyalnéj znalazło się w sejmie.

Ks. kanclerz nie omieszkał chwycić się innych środków, sam podejmuje się opieki nad robotnikami i rozwiązanie, a przynajmniéj kierownictwo kwestyi socyalnéj chce utrzymać w ręku rządu. Dotychczas projekta jego w sejmie powodzenia nie miały; przy rozbiciu się stronnictw liberalnych na grupy mniéj liczne, przy małéj liczbie posłów stronnictwa zachowawczego, a dość znacznéj sile katolików, projekta te zapewne o tyle będą przyjęte, o ile kanclerz potrafi zjednać sobie partyą środka. Rząd, wszedłszy raz na drogę reform społecznych, sam z własnéj woli zatrzymać się na niéj bez wątpienia nie będzie już mógł, dzisiaj zaczyna od projektów zabezpieczenia losu robotników w wypadkach nieszczęścia i zapewnienia im na starość wypłat emerytalnych, ale daléj będzie musiał organizować coraz to nowe pomoce, droga to trudna i daleka, nawet najbystrzejszy i najenergiczniejszy polityk w Europie nie łatwo sprosta temu zadaniu. Siła okoliczności i przekonania polityczne ks. kanclerza zdają się prowadzić go na drogę, na którą Marxa zaprowadziła analiza i krytyka, zdają się popychać go do organizowania wszechwładnego państwa, któreby pochłonęło w siebie wszystkie funkcye życia społecznego.—Czy takie państwo jest możebne? Nim przyszłość pokaże co na téj drodze w końcu wieku dziewiętnastego stać się może, przeszłość uczy nas, że wszelkie sztuczne urządzenia ekonomiczne, najczęściéj doprowadzają do skutków przeciwnych tym, które osiągnąć usiłowano; bogactwo narodowe, którego obfite plony mają być sprawiedliwiéj dzielone, wymyka się z rąk dzielących, rozwiewa się w nicość, a urządzenia, które miały nieść dobrodziejstwa, doprowadzić mogą ludy do zubożenia. Dużo i słusznych zarzutów wypowiedzieć można przeciwko absolutnéj swobodzie w stosunkach ekonomicznych, samopomoc może nie mieć siły dostatecznéj dla wyrwania z nędzy lub biédy człowieka, który oprócz rąk dwojga nic nie posiada, ale tém mniéj można mieć nadziei, aby on żyć potrafił o własnych siłach, jeżeli się siły jego skrępują przepisami, a los jego zależéć będzie od organów wykonawczych wszechwładnego państwa, chociażby ono nosiło nazwę i cechy państwa socyalnego.

A. Oskierka.

WYSPY NUKUORO

(Z PODRÓŻY PO OCEANIE WIELKIM).

Pomiędzy grupami archipelagu Karolin wielkich, jedną z najbardziéj interesujących pod względem etnograficznym, jest grupa wysp zwana po krajowemu *Nukuoro* i znana jeszcze pod nazwą wysp *Montevezda*, od żeglarza tego nazwiska, który ją odkrył w r. 1806. Grupa ta leży na 3°51' Szr. półn. i 155°2' dłg. ws., 115 mil ang. na południo-wschód od wysp Mortlocka.

1.

Krajowcy zwą wyspę główną swéj grupy: Nukuoro i tém samém mianem obejmują ogół wysp całéj grupy, która jest atolem koralowéj formacyi i która w niczém się nie odróżnia od reszty wysp archipelagu całego, chyba tylko swą drobnością i odosobnieniem od innych grup.

Laguna grupy jest okrągłą i niedochodzi dwóch mil angielskich w przecięciu, rafa obwodząca lagunę ma na sobie czterdzieści ośm wysepek, które się głównie skupiają na trzech wschodnich stronach, tak że strona zachodnia jest ogołoconą. Wejście do Laguny znajduje się na południowo-wschodniéj stronie rafy, a nie na zachodniéj, jak dotąd mniemano Idąc od passażu na północ, nazwy pojedyńczych wysp są następujące:

1. Se nutu itai	7. Te motu	13. Palaijasi
2. Mohili ni atua	8. Oahu sisi	14. Motu owcka
3. Masakumani	9. Pakhau	15. Paonga
4. Nukuoro	10. Sungau oahu	16. Oahu roroa
5. O taha mana	11. Tuita	17. Motu no otura
6. Ratii	12. O hatu kanae	18. Oahu e tolu

19. Motu o wae
20. Te ahu
21. Te ahu
22. Te ahu
23. Te ahu
24. Te ahu
25. Sapinimatohu
26. Motu pótai
27. Motu i tua
28. Oahu i lota
29. Tahanga rou
30. Tahanga tapu
31. Oahu rekareka
32. Masakumani
33. Niu rekisa
34. Oahueranni
35. Tolu na hale
36. Tala kei wao
37. Motu ija
38. Motu nni
39. Namo i lotoa
40. Oahu otika
41. Kapiniwele
42. Talai namo
43. Te nuga a kelekele

Dotąd wyliczone wyspy są na Wschodzie i Północy Zachodnia rafa jest bez wysp. Na Południu znajdują się:

44. Mokelekele ilaha
45. Oromoanga
46. Te ahua
47. Mokelekele i loto
48. Kausema

Nazwy wymienionych tu wysp świadczą już dostatecznie o pochodzeniu ich mieszkańców i przy pobieżnéj nawet znajomości języków Oceanu Wielkiego, łatwo poznać żywioł polinezyjski, przedstawiający się nam tutaj na samym skraju Mikronezyi. „Motu“ znaczy w języku samoańskim i otahajskim: wyspa. „Ahu“ znaczy w otahajskim języku, kupę nagromadzonych kamieni albo wyspę, wysepkę małych rozmiarów na rafie koralowéj (w samoańskim języku „a'au,“ znaczy rafę koralową). „Nuku“, w tongańskim języku także „Nuku“ np. Nukualofa na Tongatapu, głównéj wyspie królestwa Tongu (wysp przyjacielskich), „Nu'u“ na wyspach Samoa, oznacza miejsce, wieś, kraj. „Nui“, „rou“ i „loa“ wyraża wielkość we wszystkich narzeczach polinezyjskich, „Unga“ oznacza żółwia; Kelekele, w samoańskim „ele ele“ znaczy: ziemię, piasek (np. Te unga a kelekele wyraża, żółw na piasku, albo wyspę gdzie żółwie wychodziły lub wychodzą na ląd). „Hale“ w samoańskim „fale“ dom; „i tua“ tylny; „i loto“ wewnętrzny; „tolu“ „tny“ i „talai“ w tongańskim języku, ogładzony, obtarty np. na rafie koralowéj falą morską, i t. d. Nazwy wszystkich wysp są złożone i zachowały swe pierwotne, każdému krajowcowi zrozumiałe, znaczenie i powyższe przykłady świadczą, że nazwy te przybyły z południa, z Polinezyi. Kilka nazw, jak np. Namo i lotoa i Kapiniwele przypominają nomenklaturę geograficzną mikronezyjską.

Z powyżéj wymienionych wysp, tylko wyspa główna Nukuoro jest zamieszkaną, pozostałe wyspy są rozdzielone między ogół mieszkańców, liczebnie bardzo ograniczony.

Ponieważ ogólna geologiczna budowa tutejszego atolu zgadza się zupełnie z innemi atolami Karolin, przeto wypada tu tylko wspomnieć nieco o faunie i florze tutejszéj. Ta ostatnia odpowiada florom

innych atolów. Chlebowe drzewo znajduje się obficie na wschodniéj stronie atolu, ale to tylko w jednym gatunku, (Art. integrifolia) którego owoce mają wielkie nasiona kształtu kasztanów. Z innych drzew dających pokarm a rosnących dziko, znajdują się pandau i aroworost. Pod pieczą człowieka rośnie tu kilka gatunków tara (Pula i Taro), banany (te huti) i zupełnie wyjątkowo na wszystkich wyspach koralowych, kurkuma (te ango). Identyczne nazwy dla drzewa chlebowego (te huru), dla tara i kurkumy z samoańskiemi: „ulu“, „pula“, „talo“ i „lenga“, dowodzą że Nukuorczycy przynieśli znajomość tych roślin ze swéj południowéj ojczyzny; tak samo, jak i zgodność nazw dla innych drzew, np. „hutu“ dla Barringtonia, „hau“ dla Hibiscus „milo“ dla Thespesia Siliacaea, z samoańskiemi: „futu“, „fau“, „milo“ na jeden i ten sam początek obu ludów wskazuje. Nazwa „te huti“ dla bananów przypomina nazwy z wysp Mikronezyi, gdzie np. na Ponape, zwą się „ucz“ a na wyspach Ruk „ut“.

Świat zwierzęcy jest bardziéj ograniczony niż na innych grupach koralowych. Z ssących znajduje się tylko szczur (tiki moa) a braknie Pteropusa i Emballonury znajdujących się na wyspach Mortlocka. Z ptaków lądowych znajdują się tylko trzy gatunki: Carpophaga oceanica (te manu kono), Calomis Kitlitsii (te móso) i Calamoherpe syriax (te manu i te pua). Z ptaków morskich znajdują się: Strepsilas (te kiwi kiwi), Ardea sacra (te kaka), Numenius (te kewe), Actitis (te kuriri), Charadrius (te turi), Tachypeles (te kataha), Phaeton (te tawaha), Anous stolidus (te ugongo) Anous temirostris (te rakija), Stema melanauchen (te tala), Stema Bergii (te ake ake), Gygis alba (te lepita) i Dysporus (te kajruru). Kura była tu pierwotnie nieznaną.

Z gadów znajdują się dwa gatunki żółwia: unga kea i laumei, odpowiadające żółwiom reszty wysp i z których pierwszy daje szyldpat handlowy i kilka gatunków małych jaszczurek takich jak na innych wyspach, z których Lygosoma, zwie się po krajowemu „te tupula.“ Gekonów reprezentowanych na wszystkich innych wyspach, tutaj niema.

W ryby laguna nukuorska obfituje i wykształcili krajowcy rybołówstwo u siebie do wysokiego stopnia, tak że wraz z krajowcami wysp pelanskich, należy ich zaliczyć do najlepszych rybaków archipelagu.

Mieszkańcy wysp Nukuoro choć niewątpliwie pochodzenia zmięszanego, zachowali swój typ pierwotny, polinezyjski, nie tylko w mowie ale i w ogólnym zewnętrznym wyglądzie ciała. Są oni w ogóle silniéj i piękniéj zbudowani, niż inni wyspiarze archipelagu. Mężczyzni przechodzą często 6 stóp wysokości, kobiety odznaczają

się silną budową i skłonnością do nabierania tuszy, nigdzie nie spotkanéj na sąsiednich wyspach. Barwa czoła jest więcéj jasno niż ciemno-brunatną, odznacza się gładkością i miękkością rasy polinezyjskiéj. Włosy są przechodnio obfite, czarne i dosięgają u mężczyzn do pasa. Krajowcy odróżniają „te lau soe", włosy proste, i „te lau hati hati," włosy kędzierzawe, które to odróżnienie znajduje się na wszystkich wyspach Oceanii bez względu na pochodzenie mieszkańców. Zarost na twarzy bywa czasami silnym ale jest zawsze rzadkim, i rozwija się bardzo późno. Zarost na ciele jest silnym i wbrew zwyczajowi innych wyspiarzy, nukuorczycy pielęgnują go pod pachą i na częściach rodnych.

Czaszka nukuorczyków odznacza się krótkością i pod tym względem wskazuje swe zbliżenie do rasy samoańskiéj. Rezultaty mych pomiarów czaszkowych dały mi wskaźnik 79.1—80.8, stosunku długości do szerokości, czego niepodobna napotkać na pozostałych wyspach Mikronezyi, z wyjątkiem jednych wysp pelauskich, których mieszkańcy zdają się również być krótkoczaszkowymi.

Twarz nukuorczyków przedstawia typ dwojaki. Jedna forma jest krótką i okrągłą, z rysami w ogóle grubémi, nosem płaskim, ustami szerokiemi; druga jest długą, owalną, na dole śpiczastą. Obie formy odznaczają się wielką szerokością licową.

Oczy są zawsze barwy ciemno brunatéj, położenie ich jest bardzo skośne; w rzeczywistości skośne to położenie oczu jest wyraźniejszém i częstszém na Nukuoro, niż na innych wyspach archipelagu. Zęby odznaczają się białością i regularnością budowy i zajmują pierwsze miejsce na Karolinach.

2.

Mieszkańcy wysp Nukuoro są wyraźnie polinezyjczykami i opierając się głównie na ich mowie, pierwotnéj ich ojczyzny należy szukać pomiędzy Samoa i Rarotonga. Mniemanie takie znajduje poparcie w tradycyi, podług któréj nukuorczycy wywodzą swój początek z wyspy Nukuhetan (Nukufetan, jedna z grup wysp Tokelan albo Ellice, na północo-wschód od Samoa i zaludniona przez Samoańczyków), zkąd przybyli pierwotnie pod dowództwem swego naczelnika Wawe (vave znaczy, prędki, szybki) i jego brata, w dwóch czółnach. Całe swe urządzenie społeczne przypisują krajowcy tym dwóm naczelnikom pierwotnym, którzy są jeszcze dzisiaj ubóstwiani i mają w publiczném Marae (rynku) swe posągi albo obrazy. Innym z dowodów tego pochodzenia polinezyjskiego jest od pierwotnych czasów

datująca znajomość wysp rozmaitych jak: Nanumea, Nanumanga, Tonga, Tongatapu, Rarotonga, Ruaniwo, Rotuma, Hiti, Tapiteuwea, Rapoi, które wszystkie dają się utożsamić z rozmaitémi wyspami Oceanu Południowego. Z północnych wysp były krajowcom znane: Katao, Pingilapa, Natiki, Ponepe, Paheini, Makeni, Noto, Pahila-melangi, Rueatuhenai i i..

Z ostatnich wysp „Katao“ ma być wysokim lądem, leżącym poza Ponape, co zdaje się wskazywać na wyspę Stronga, zwaną na Ruk „Ażan“, albo po krajowemu „Kusaja.“ „Pahila me langi“ musi być, sądząc po wskazanym kierunku, karolińskiém „Pikiram“, gruppą wysp na zachód od Nukuoro, nazwaną wyspy Greenwich, a po krajowemu „Kapeneilong.“ „Rua utuhenai“ i „Noto“ mają być nie daleko od „Makeni“ (Mukin w grupie Kingsmilla).

Bezwątpienia część tych nazw została przyniesioną do Nukuoro przez czółna zaniesione, przez prąd morski, świadomość o których zachowała się w części w pamięci ludzi. Przypędzanie takowe (tahea, w samoańsk. tafea) musiały być częstemi, gdyż nietylko że dla czółen takich istnieje oddzielna nazwa: „se waka (czółno) raro (z pod) te langi (nieba)“, i dla przybyszów taką drogą: „Kan mai waka (z czółna)“, ale wielka liczba takich przypędzeń bywa jeszcze dzisiaj przypominaną. Wyliczam tutaj niektóre:

1. Czółna z Noto i z Makeni (w archipelagu Kingsmilla) z krajowcami obojga płci, przybyły tutaj raz za czasów naczelnika „Temanea“. Zostali oni przyjęci przyjaźnie i niektórzy z mężczyzn pożenili się z kobietami nukuorskiemi i mieli potomstwo. O tych przybyszach tradycya mówi, że dwóch mężczyzn i jedna kobieta, zabili jednego mieszkańca krajowego w ten sposób, że wbili mu kość zaostrzoną śpiczastą w poza oko i oświadczyli, że został zabity przez spadający orzech kokosowy. Jeden z towarzyszy, krajowiec z Mukin, który był obeznany z tym sposobem zabijania, odkrył prawdę i mordercy zostali skazani na wypędzenie na otwarte morze. Syn jednego ze skazanych został przybranym przez naczelnika i potomstwo jego żyje do dnia dzisiejszego. „Wanga ma“ była nazwa uratowanego dziecka.

2. W dawnych czasach przybyło kilka czółen z „Ponepe“ (Ponape).

3. Z „Hiti“ (Viti, wyspy rybackie) przybyło raz wielkie czółno podwójne (se hao rua) z wielką liczbą ludzi. Nukuorczycy wzbronili lądowania, dopóki liczba przybyszów nie zmalała na jednę dziesiątkę. Tym resztkom pozwolono się osiedlić i zmięszać z ludnością miejscową.

4. Z „Rua niwo“ przybyło jedno czółno, którego osadę przyjęto przyjaźnie.

5. „Taruesi“ (Dźjaludź, Bouham) dostarczyło jedno czółno.

6. „Nailo“ dało również jedno czółno.

7. Z „Medźjoro“ (wyspy Ratak w archipelagu Marshalla) przypędziło raz, w dawnych czasach jedno czółno, z osadą, która nauczyła nukuorczyków kilku jeszcze dzisiaj lubionych tańców. W ostatnich czasach przed 20 około laty, przypędziło inne czółno, na którém znajdowało się 12 mężczyzn i 6 kobiet. Z mężczyzn kilku pobrało żony na miejscu i żyją jeszcze dzisiaj, reszta rozbitków wróciła do swéj ojczyzny w 1872 na pokładzie okrętu „Matautu.“ Z obecnie na Nukuoro żyjących medźjowczyków, znanym mi jest osobiście jeden, nazwą Rangirangi. Od niego dowiedziałem się, że czółno ich miało na celu wyspy Ebou, ale uniesione prądem na Zachód, znalazło po kilkunastu dniach ławę piaskową na rafie, na któréj było kilka palm kokosowych (wyspy Bordelaise, St. Augustin). Tutaj zatrzymano się trzy miesiące i sądząc nareszcie, że pora przyjazna, rozpięto żagel, by się dostać do ojczyzny na Wschodzie. Silna burza złamała jednak maszt i czółno bezwładnie pędziło na Zachód i dosięgło po dniach pięciu brzegów Nukuoro.

8. Na miesiąc jeden przed ostatnim przypędzeniem z Medźjoro, przybyło czółno z Namoluk, z dziewięcioma krajowcami. Byli oni dostatecznie zaopatrzeni w żywność i odpocząwszy dni kilka, ruszyli napowrót na Ocean by szukać własnego kraju.

9. Z wyspy Sap, zwanéj tutaj „Sàpa“ przypędziły czółna kilkakrotnie. Ostatnim razem było ich dwa. Jeden z dzisiejszych krajowców, około 25 lat wieku liczący, jest wnukiem jednego z przybyłych japczyków.

Oprócz wyżéj wspomnianych czółen wymieniane są jeszcze czółna: z Namunjesa, Talau, Rotuma, Orowalu, Katao, Pingilupa i Tarawa.

Owe uniesienie czółen prądem morskim zachowane w pamięci ludu, jest bardzo interesującą okolicznością i pomaga do zrozumienia stosunków panujących w zaludnieniu Karolin. Gdyby wszystkie wyspy Karolin pamiętały swą przeszłość, jak Nukuoro np., to historya Karolin byłaby nam znaną. Lecz na żadnéj z grup odwiedzanych przezemnie nie znalazłem tradycyi tak wyraźnych. Wszędzie interesa miejscowe, rozdział polityczny, wojny panujące pomiędzy pojedyńczemi rodami, zerwały solidarne poczucie i przeszłość zaginęła w chaosie teraźniejszości. Społeczeństwo nukuorskie jest tak drobném liczebnie i żyje w tak ograniczonym obrębie, że możnaby je nazwać jedną rodziną, przeszłość utrzymała się więc tutaj w pa-

mięci ludu, gdyż nie było tutaj wpływów zewnętrznych nieprzyjaznych.

O wyspach „Saloan“ mieli krajowcy tutejsi wiadomości pierwotnie, ale bytność wysp „Ruk“ była im nieznaną. Oprócz powyższych krajów, znane były przez pośrednictwo bogów nazwy krajów: Fale, Sawai, Sawaela, Matangi, Upolu i Osiwa. Jakkolwiek ogólna nazwa Samoa była nukuorczykom nieznaną i przyniesioną dopiéro przez białych, to jednak nazwy Sawai i Upolu wskazują, że pierwotni nukufetanczycy o swéj pierwotnéj ojczyznie słyszeli i że nazwy te uważane są jako przekazane przez bogów lub duchów, świadczy tylko, że od chwili ich pierwotnego wyjścia upłynąć musiało wiele czasu.

Tradycya o przybyciu z Nukufetan mówi, że dwa czółna z ludźmi płci obojéj przybyło do Nukuoro pod dowództwem Ko Wawe i jego brata. Nukuoro było niezaludnioném i nowo przybyli utrzymywali stosunki z dawną ojczyzną. Brat Ko Wawe, którego nazwa zaginęła, udał się do Nukufetan i potém do Rua niwa, gdzie został przez krajowców znanych z swéj bitności — zabitym. Ko Wawe udał się z swemi ludźmi do Rua niwa wyszukać brata, ale został odpartym i wrócił do Nukuoro. W powrocie jednak żeglarze zagubili drogę i bóg „te ariki tu i te rangi“ (naczelnik będący w niebie) w postaci ryby „tahola,“ oświadczył przez „Te akhu,“ ojca Ko Wawe, który był kapłanem bóstwa, że wtedy tylko wrócą do Nukuoro, jeżeli Ko Wawe się poświęci na ofiarę. By swych towarzyszy ocalić, Ko Wawe rzucił się w morze i duch jego wstąpił w słońce i czółno żeglując w kierunku tegoż przybyło nareszcie do Nukuoro.

Ko Wawe był pierwszym naczelnikiem nukuorskim i dzisiejsi naczelnicy pochodzą od niego. Duch jego jest bogiem, czczonym pod nazwą „Maurusanga“ w postaci kamienia umieszczonego na rynku publicznym. Te akhu, ojciec Ko Wawe, był pierwszym wielkim kapłanem Nukuoro (te ariki tako tonga) i od jego czasu do dzisiaj urząd ten piastowanym był przez 199 następców, których nazwy są zachowane w pamięci starszych ludzi i kapłanów.

Okoliczność ta, że tradycya wylicza dwieście kapłanów naczelnych imiennie, skłania do chęci oznaczenia czasu istnienia dzisiejszych nukuorczyków. W roku 1871 umarł przedostatni wielki kapłan a dwóchsetny z kolei, nazwiskiem Kàmi jest dzisiaj już lat dziewięć w urzędzie (piszę w 1880). Krajowiec nazwiskiem Rua, koło 30 lat mieć mogący, pamięta dziesięciu wielkich kapłanów. Urodził się on był za czasów kapłana Oraniia i następcy jego byli: Murieo, Pain, O hale khoelu, Rualle, Mangalo, Moung, Tipatohi, Taro i Suiia, po którym nastąpił wyżéj wzmiankowany Kami.

Chociaż ostatni kapłan Kami sprawuje swój urząd od lat dziesięciu, przecięciowe trwanie urzędu pojedyńczego kapłana jest daleko krótsze, gdyż np. w pamięci 30-letniego Rua było ich dziesięciu, co dałoby tylko lat trzy dla jednego. Tak krótki czas trwania tłómaczy się łatwo tém, że do urzędu „te ariki takotonga" wybiera się najstarszy człowiek społeczeństwa, bez względu na pochodzenie i inne stosunki. Przypuściwszy więc, że każdy z owych dwustu kapłanów piastował urząd swój od 3 do 5 lat, to możemy śmiało przyjąć, że dzisiejsze Nukuoro zaludnioném jest od lat 600—1000. Ominąwszy wszystkie przypuszczenia, któreby można oprzéć na tym rezultacie, jak np. stan Karolin i Samoa i innych wysp Oceanii w czasach pierwotnych, zadziwić się można, że nukuorczycy zachowali swój typ polinezyjski fizyczny i moralny bez zmiany, przez tak długi czas. Gdyż wziąwszy tylko połowę albo i czwartą część skrajnego czasu, więc lat np. 250, widzimy, że przymioty fizyczne polinezyjskie, pomimo obcéj domieszki (zresztą tylko podrzędnéj) okazały się dziedzicznemi i że krótkoczaszkowość samoańska się utrzymała, chociaż zwyczaj sztucznego nadawania formy przez obkładanie kamieniami został zapomniany.

Cała ludność wysp Nukuoro wynosi zaledwie 124 dusz, z tych 64 jest mężczyzn a 60 kobiet, w któréj to liczbie objęte są i dzieci. Ludność ta dzieli się na pięć klas, stanów albo części zwanych po krajowemu „te haka se alunga." Nazwy ich są: 1) Seheke, 2) Seala, 3) Se kawe, 4) Sehenga, 5) Setoro.

Prawdziwe znaczenie tego rozdziału trudno jest określić. Z okoliczności, że wszyscy naczelnicy i następcy, albo potomstwo pierwszego naczelnika Ko Wawe należą do stanu „Seheke" należy wnosić, że nazwy te, przyniesione z pierwotnéj ojczyzny, odnoszą się do oddzielnych rodzin, których członkowie wzięli udział w pierwotnéj podróży i stali się w Nukuoro przewódcami nowopowstałego społeczeństwa. Każdy z tych stanów ma swe własne bóstwa, świątynie i kapłanów. Wszystkie uznają jednego naczelnego władcę ze stanu Seheke, którego tytuł jest „te areki toholiki;" ten jest naczelnikiem świeckim. Oprócz tego istnieje tytuł: „te ariki tako tonga," to jest naczelnik duchowny, albo „te ariki sili" t. j. naczelnik (pan) silniejszy, główny, który jednakże jak wyżéj wspomniałem, wybieranym jest obecnie z mężczyzn najstarszych wiekiem i nie ma bezpośredniego znaczenia politycznego. W każdym razie znaczenie pierwotne tego podziału społecznego zatarło się, gdyż dzisiaj ma ono znaczenie społeczne czysto dowolne. Członkowie obu płci jednego i tego samego stanu mogą się żenić między sobą i potomstwo ich należy do tego samego stanu. W małżeństwach mięszanych dzieci zostają dzie-

lone. Dziecko pierworodne należy do stanu ojca, następne do stanu matki i t. d. Ten rozdział społeczny odróżnia się od mikronezyjskich rodów, lub polinezyjskich familij (ainga) i wydaje się urządzeniem czysto miejscowém; z drugiéj strony owe wyraźne odznaczenie naczelnika duchownego, przypomina tytuły japońskie Mikado i Tajkuna albo stosunki pierwotne wysp Tonga, gdzie „Tui Tonga“ najwyższy kapłan, był najwyższym naczelnikiem.

Ponieważ ludność nukuorska jest liczebnie tak ograniczoną i ponieważ doświadczenie ogólne dowodzi, że ludność Oceanu tutejszego z postępem cywilizacyi ginie i marnieje, załączam więc imienny wykaz ludności Nukuoro z 1878 roku. Może wykaz ten będzie pomnikiem ludu, pełnego interesu dla nauki, a zogrożonego zakończeniem swego istnienia, może dla przyszłego podróżnika i badacza skalą porównania.

Wykaz ludności wysp Nukuoro w roku 1878.

STAN SEHEKE.

Mężczyzni:

1. Sukilauporo
2. Rua
3. Rosele
4. Ohulisaki
5. Owejliki
6. Kawei
7. Taukiaitu
8. Ngakiia.

Kobiety:

9. Karena
10. Poro
11. Mane
12. Okualo
13. Paregatà
14. Saururu
15. Osau
16. Oteheahamai.

STAN SEALA.

Mężczyzni:

17. Wasai
18. Terohanga
19. Okami
20. Turanga
21. Osema
22. Mausiki
23. Tepua
24. Tahetonga
25. Osao.

Kobiety:

26. Teurutai
27. Atailiki
28. Sroro i le ala.

STAN SEKAWE.

Mężczyzni:

29. Omatua
30. Teoro
31. Ohengaketeoro
32. Rapoto
33. Tuhunga
34. Kasura
35. Sapito
36. Fatauroma
37. Tolotua
38. Fanamo.
39. Teanga
40. Pua
41. Pelu
42. Taruma
43. Nukuangiangi
44. Teungaru
45. Tararo
46. Terausei
47. Sematara
48. Nakinga
49. Natanga
50. Torokisemau i.

Kobiety:

51. Kelimai
52. Otino
53. Teilimai
54. Uotekuru
55. Opouti
56. Tepale
57. Tirotemanga
58. Tepenu
59. Uatoro
60. Tausi
61. Katinga
62. Saniu
63. Taunui
64. Tosia
65. Teanea.

STAN SEHENGA.

Mężczyzni:

66. Wadila
67. Kokata
68. Raoto
69. Mauototo

70. Opitaki
71. Tekenga
72. Maugina
73. Teataruo
74. Raunija
75. Tauurija
76. Kirikiri
77. Tejao
78. Pakira
79. Tapunga
80. Orasae
81. Apitara
82. Mangalo
83. Suka
84. Sapeni
85. Wakai
86. Mataman.

Kobiety:

87. Utehesutara
88. Hilisea
89. Urukitonga
90. Oatairaro
91. Maile
92. Takasipo
93. Pitoone
94. Osà
95. Tehakaane
96. Taualawa
97. Opaliki
98. Ooho kake
99. Rakau tapu
100. Rikengi
101. Nuuli.

STAN SETORO.

Mężczyzni:

102. Maewa
103. Majlapa
104. Hakamau
105. Kokaja.

Kobiety:

106. Pia
107. Sauwali
108. Matalima
109. Taromahauo
110. Pakuja
111. Teunahi
112. Kaunake
113. Matalahake
114. Hakatala
115 Olematau
116. Sejango
117. Olisé
118. Tarauake
119. Takaroma
120. Sauilangi
121. Oatutara
122. Osina ihale
123. Mane
124. Otekarasa.

Powyżéj wymienione nazwy pojedyńczych krajowców są czysto polinezyjskie i są dalszym dowodem ich pochodzenia.

Jak wyżéj wspomniałem, nukuorczycy odznaczają się ogólnym wyglądem ciała bardzo korzystnie od innych mieszkańców Karolin wielkich. Że pomimo tego ludność jest tak nieliczną, należy chyba przypisać nieszczęsnemu zwyczajowi dzieciobójstwa, który tutaj ogólnie panuje do dnia dzisiejszego.

Warunki hygieniczne miejscowe są bardzo dobre. Chorób właściwych tym wyspom niema. Syfilis i choroba skórna podobna do ichthyosis, zostały wprowadzone przez białych lub sąsiednich wyspiarzy. Świerzby i wrzody na ciele, tak ogólne na innych wyspach także tylko w ostatnich czasach zaczęły się objawiać i to jedynie u dorosłych, i polinezyjskie „tona“ małe, bardzo bolesne wrzody pod podeszwami jest tu nieznaném. Elephantiasis arabum, tak ogólne na Oceanii, występuje tu słabo i tylko u mężczyzn, w postaci miernego nabrzmienia części rodnych pozostawiając wolnemi kończyny, które u sąsiednich wyspiarzy, np. już na Mortlock, nabrzmiewają do wielkości potwornéj. Kalectw przyrodzonych niema, np. ślepo lub głucho urodzonych, czasami natrafia się wymowa utrudniona.

Ubiór krajowców jest bardzo ograniczony. Mężczyzni noszą „malo,“ szeroki pas tkany z włókien bananów, przewinięty około bioder i między udami. Kobiety mają „titi,“ spódnicę krótką z liści kokosu. Reszta ciała zostaje bez ochrony i zwyczaj zakazuje po-

krywać się czemkolwiek w obrębie Nukuoro i w dzień. Na morzu i w nocy zwyczaj pozwala mężczyznom używać kapeluszy dla pokrycia głowy.

Zbytnią czystością ciała nukuorczycy się nie odznaczają. Kąpią się oni czasem w wodzie morskiéj ale to tylko gdy mają zapas wody deszczowéj by się opłókać, gdyż jak na wszystkich innych wyspach, krajowcy tutejsi mają wstręt do wody słonego morza. Gdy jednakże krajowcy używają bardzo oleju i kurkumy do swéj toalety, przeto wygląd ich nie jest tak niechlujnym jak niektórych innych wyspiarzy np. rukczyków.

Włosy bywają zawsze noszone długo i mężczyzni wiążą je w węzeł podwójny, kobiety w pojedyńczy, zawijając go na wierzchu głowy.

Ze sztucznego przyozdobienia ciała należy wspomnieć tylko przebijanie uszów i tatowanie. Otwór w uchu jest bardzo małym i służy tylko do wkładania zausznic podczas uroczystości, gdyż zwykle ozdób tych nie noszą. Tatowanie ma miejsce w stopniu bardzo ograniczonym i jest tylko u kobiet obowiązkowém i z licznemi ceremoniami połączoném. Tatowanie to obejmuje tylko wzgórek łonowy, na którym zostaje nakłutym mały płytki trójkąt, podstawą odwrócony do góry, kształtu załączonego szkicu (Fig. 1). Mężczyzni nie są obowiązani do tatowania i zwykle nakłuwają wzory drobne i dowolne. Tylko przy tatowaniu najwyższego naczelnika obserwowane bywają wszystkie ceremonie religijne tak samo jak i u kobiet. Rysunek w tatunku naczelnika jest bardzo prosty i stanowi pojedyńczą linią idącą przez barki i pierś, tak jak to widzimy na drewnianych bożkach nukuorskich.

Fig. 1.



Do tatowania służą grabki szyldkretowe (te au) i mały kawałek drzewa do uderzania (te tatau). Za czernidło służą sadze z palonéj żywicy (se toi), która tu falą morską przynoszona bywa.

W codziennym życiu swém krajowcy unikają strojenia się, tylko podczas religijnych uroczystości i z nimi związek mających tańców, nacierają się kurkumą i wkładają w ucho „te kai pinilapa,“ rodzaj ozdoby, przytém stroją swe włosy w sposób właściwy i przepisany na te uroczystości.

3.

Urządzenie polityczne społeczeństwa nukuorskiego przypomina pierwotne czasy na wyspach Tonga, gdyż najwyższa władza

rozdzieloną jest między dwóch naczelników: świeckiego i duchownego.

Władza naczelnika świeckiego, zwanego „te ariki hotoliki" jest w posiadaniu jednéj familii stanu Seheke i jest ona dziedziczną z ojca na dziecko, bez względu na płeć. Obecny naczelnik jest kobietą, nazwiskiem Kauna, która objęła tytuł po swéj matce Ohakapisa. Poprzednikami téj ostatniéj byli: jéj ojciec Teuruaki, jéj dziadek Teinaho, jéj pradziadek Suitaiporo, przed którym tradycya wspomina jeszcze ojca ostatniego Temanea i jego dziadka Oweliki. Zwyczaj stanowi, że naczelnik mianuje przed śmiercią swego następcę i wybór jego znajduje zawsze potwierdzenie. W razie bezdzietności, wybór paść może na brata lub siostrę lub inne pokrewieństwo, albo nawet na członka obcego familii, by tylko członka saalunga Seheke. Dzisiaj panująca Kauna niema syna i jest jeszcze niewiadomem czy wybór jéj padnie na jedną z jéj siostr lub z jéj córek.

„Te ariki sili" albo „ariki takotonga" przewodzi duchowieństwu i chociaż wpływ jego odnosi się wyłącznie do kultu religijnego, bywa mu dawaném więcéj poważania i czci zewnętrznie, niż naczelnikowi świeckiemu, który chociaż jest prawdziwym władcą, nie odbiera żadnych oznak zewnętrznych szczególnego uszanowania. W pierwotnych czasach urząd ten był piastowanym przez ojca lub starszego brata naczelnika świeckiego i niewytłómaczoném jest, zkąd powstał zwyczaj, że urząd ten obecnie oddawanym jest najstarszemu mężczyznie z trzech pierwszych stanów, t. j. Seheke, Seala i Sekawe. Ów naczelnik duchowny albo wielki kapłan, którego tytuł „sili," wyraża, że ma on być większym albo ważniejszym od „te ariki hotoliki" i który jest przewódcą wszystkich obrzędów religijnych, nie potrzebuje być z powołania kapłanem i zostaje w początkach sprawowania swego urzędu pod dozorem właściwych „tangata takotonga" t. j kapłanów, którzy go wtajemniczają w sekreta swego urzędu. W rzeczywistości znaczenie jego jest raczéj formalne, a prawdziwa władza spoczywa w ogóle kapłanów.

Władza naczelnika świeckiego była dawniéj i w niektórych razach jest jeszcze i dzisiaj nieograniczoną, lecz uważanym on jest jako „nie-takotonga" t. j. nie święty. Mniemanie ogólne przyjmuje, że nie potrafi on pośredniczyć i mówić do bogów, albo przynajmniéj nikt nie oczekuje od niego znajomości takiéj z mocy jego urzędu. W zgromadzeniach w świątyni, znaczenie jego jest równém znaczeniu wszystkich innych krajowców. Zwyczaj kłaniania się i inne oznaki zewnętrzne czci nie istnieją, jak również niema zwyczaju oddawać mu regularnego trybutu lub daniny z produktów lub owoców. Tak, że Kauna np. musi uprawiać z familią swą własną ziemię

i zapewnić sobie utrzymanie, gdyż jakiekolwiek samowolne wkroczenie na grunta swych podwładnych, zostałoby energicznie odpartém. Znaczenie prywatne naczelnika jest zupełnie oddzielone od znaczenia urzędowego i oba stoją po za obrębem pozorów religijnych. Po śmierci zwykłego krajowca zabronioném jest wzmiankować jego nazwisko i sam naczelnik podlega temu przepisowi; natomiast nazwisko wielkiego kapłana może być wymówioném. Możeby temu zwyczajowi należało przypisać tę okoliczność, że nazwiska wszystkich wielkich kapłanów zachowały się w pamięci ludu, gdy tymczasem nazwy naczelników zostały zapomniane i ledwie że istnieją w kilku ostatnich generacyach.

Gdy jednak naczelnik działa w duchu i w obrębie swego urzędu, ma on władzę nieograniczoną i religia staje mu się służebną i podporą, gdyż prawie wszystkie rozporządzenia naczelnika są mniéj lub więcéj połączone z „takotonga," t. j. z ceremoniami religijnemi, które mogą być wykonywanemi tylko przez kapłana właściwego, ale wykonanie których ceremonii, zależy jedynie tylko od woli naczelnika.

Naczelnik jest nominalnie rozporządzicielem albo raczéj administratorem całéj ziemi, to jest gruntów, lecz władzę wykonawczą objął tutaj zwyczaj i ogół pospólstwa. Od najdawniejszych czasów ziemia została rozdzieloną pomiędzy familie i stała się dziedziczną w tychże, przyczém jednak woli ojca przed śmiercią, daną jest przeważne znaczenie. Ojciec dzieli swe grunta między potomstwo, albo daje je bratu, gdy jest bezdzietnym, albo zresztą może je dać zupełnie obcemu, jeżeli ten mu się szczególnie usłużnym i pożytecznym okazał. Matka odziedzicza ziemię od swych rodziców i albo rozdziela ją między dzieci, albo zwraca ją do swéj rodziny. Własność rodziców t. j. małżeństwa, pozostaje rozdzieloną i woli przedśmiertnéj dawaném bywa posłuszeństwo bezwarunkowe. W razie śmierci nagłéj np. na morzu, gdzie więc niema rozporządzeń co do własności i jéj podziału, najbliższy krewny, zwykle brat, obejmuje ziemię i wychowywa dzieci, przyczém jednak cały lud staje się opiekunem zwierzchnym i czuwa by prawom dzieci stało się zadosyć. Gdy najbliższy krewny znanym jest jako niechętny do zmarłego i jego dobréj woli względem sierot ufać niepodobna, wtedy obcy ludzie biorą dzieci do siebie i wchodzą w posiadanie ich gruntów aż do czasów dojścia ich do pełnoletności. Gdyby krewny chciał posiąść ziemię zmarłego, ku szkodzie jego dzieci, wtedy cała gmina staje w ich obronie i przywłaściciel zostaje z przyzwoleniem naczelnika karanym. W dziedzictwach takich synowie otrzymują zwykle grunta suche z palmami kokosowemi i chlebowém drzewem, córki zaś dostają plantacye tara, opracowanie których należy do kobiet.

Władza naczelnika polega w części na tém, że jemu wyłącznie przynależy prawo nakładania „tapu“ t. j. zakazu na cokolwiekbądź, na czas dowolny. W używaniu tego prawa jednak naczelnik musi być ostrożnym i w rzeczywistości wykonywa je tylko w razach potwierdzonych przez zwyczaj i tradycye. Nie może on tutaj być dowolnym i „tapu“ opiera się na przyczynach religijnych, nie zawsze zrozumiałych, albo na powodach, mających na celu dobrobyt ogółu. Dla tego „tapu“ zachowuje swe znaczenie i jest wszechpotężném.

Do innych praw albo prerogatyw naczelnika, należą np. zakaz ścinania drzewa chlebowego w celu wykończania czółen, bez specyalnego pozwolenia naczelnika, który otrzymuje za takowe oddzielną zapłatę. Wszystkie żółwie złowione przez krajowców należą do naczelnika. Naczelnik oznacza czas uroczystości religijnych dorocznych objętych nazwą „takotonga“ w ogóle. Uroczystości te miewają zwykle miejsce podczas żniwa t. j. tutaj—zbioru owoców drzewa chlebowego, czasu ciszy na morzu, a więc ogólnych połowów rybackich i są połączone z tańcami i zabawami publicznemi. Jest to czas ogólnéj uciechy i dostatku, którego użycie zależy jednak od woli naczelnika. Pomiędzy prerogatywami naczelnika, pozornie najgłówniejszym należałoby nazwać prawo rozstrzygnięcia losu nowonarodzonych dzieci. Lecz i tutaj władza jest mniéj dowolną, jak raczéj dyktowaną zwyczajem i okolicznościami. Np. dzieci zrodzone z kobiet, które jeszcze nieotrzymały tatowania są bezwarunkowo skazane na śmierć i temu prawu musiałaby uledz i sama Kauna, tak jak i rzeczywiście jedna z jéj córek straciła w ten sposób swe pierwsze dziecko. Gdy jednakże los wszystkich dzieci zrodzonych i po tatowaniu zależy do rozstrzygnięcia naczelnika, przeto wpływ jego na rozwój społeczeństwa jest wielki.

W rzeczywistości władza naczelnika nad życiem lub śmiercią nowonarodzonego dziecka jest dowolną, t. j. naczelnik może uratować od śmierci każde dziecko; lecz gdy zwyczaj dzieciobójstwa dla naszych pojęć tak potworny i nienaturalny, dyktowany jest tutaj warunkami bytu całego społeczeństwa tutejszego i głównie ma na celu przeszkodzenie albo zapobieżenie przeludnieniu ogólnemu i w szczególności, stara się zapobiedz, by familie biedne nie zostały obarczone za liczném potomstwem, przeto pozostał zwyczaj by urodzenie każdego dziecka miało miejsce pod szczególném „tapu“ połączonym z długo trwającemi obrządkami, podczas których kobieta ciężarna musi być opatrywaną w żywność przez jéj familią dla niéj, dla bogów i dla kapłanów. Jeżeli więc kobieta jest zamężną, rodzeństwo jéj jest wstanie zadosyć uczynić wymaganiom zwyczaju; gdy jednakże jest biedną i rodzeństwo jéj nie wstanie dostarczyć potrzebnych

pokarmów, wtedy zależy to od naczelnika, czy zechce z własnych produktów utrzymać ją a tém samém jéj dziecka życie. Gdy jednak naczelnik z własną familią musi uprawiać własną ziemię, jak każdy inny krajowiec, przeto względom i uczuciom swoim musi kłaść pewne granice i ograniczać się w swéj pomocy, do bliżéj spokrewnionych rodzin tylko. Gdy więc naczelnik nie dostarczy swych krewnych by uprawiali „taro,“ główny artykuł żywności, kobieta musi sama pracować w swéj plantacyi i nie ma czasu podledz wymaganym ceremoniom (o których poniżéj) i dziecko jéj zrodzone po za „tapu,“ zostaje pozbawianém życia po urodzeniu, jeżeli nie zapobieżono temu przez przedwczesne spędzenie płodu.

Po obu wyżéj wymienionych naczelnikach, kapłani bóstw miejscowych stanowią najważniejszą część tutejszego społeczeństwa. Urząd kapłana jest dowolnie dziedzicznym w familii, t. j. ojciec wybiera jednego członka z swéj rodziny i obznajmia go z tajemnicami swego urzędu, który po śmierci ojca przechodzi do wybranego następcy. Kapłan pełny ma pewne szczególne bóstwo i świątynię temu wyłącznie poświęcony, taki kapłan zowie się „matai.“ Ogół ludzi mających zetknięcie z obrzędami religijnemi, aspiranci i kandydaci do urzędu kapłana, objęci są ogólną nazwą „tangata takotonga.“

Wpływ kapłanów musiał niegdyś być bardzo wielkim, gdyż jak to późniéj zobaczymy, prawie każdy krok codziennego życia był nieodłącznym od pewnych obrządków religijnych. Z czasem jednak wpływ ten musiał się zmniejszyć w społeczeństwie tak drobném i liczebnie codziennie się zmniejszającém. Wobec faktu, że nukuorczycy liczebnie tak nieliczni, żyją w pokoju przy obfitości żywności, owa wielka liczba religijnych praw i obrządków, musiała znacznie w praktyczném znaczeniu osłabnąć, szczególniéj od czasu, gdy agenci handlowi, pierwsi posłowie naszéj cywilizacyi, osiedlili się między krajowcami. Starali się oni zapobiedz dzieciobójstwu i zbytnim ofiarom religijnym, gdyż cywilizacya obraca oléj kokosowy na mydło.... a jéj handlarze szukają dolarów.

4.

Jeżeli w społeczeństwie przechodzącém ledwie 100 dusz i które zawdzięcza swe istnienie lecz niestety i swój koniec, swemu odosobnieniu od reszty świata, można mówić o polityczném urządzeniu się i rządzie, to należy go szukać raczej w tradycyi i zwyczajach ogólnych.

Nukuorczycy poczuwają się więcéj rodziną niż narodem. Żadne wpływy zewnętrzne nieprzyjazne, nie przerwały nici ich spokoj-

nego bytu. Nie znając wojny i kłótni społecznych, bronili się podług tradycyi przed przypędzonymi prądem krajowcami z Viti, drewnianemi dzidami, temi samemi które im służyły do łowienia ryb. Rozdział ludu na „ariki" naczelników i na „tangata humuli" zwykłych krajowców, rozdział na wyżéj wymienione stany są więcéj tradycyą niż rzeczywistością, gdyż w gminie liczebnie tak małéj sztuczne rozdziały społeczne utrzymać się nie mogły. Porządek społeczny łatwo się tu utrzymuje, gdyż każdy krajowiec jest świadomy zwyczajów i jest niejako strażnikiem ich zachowania.

Prawa i zakazy społeczne są tu objęte pod pojęciem „tapu" i najgłówniejsze z nich są:

1. Niewolno z dzidą (do łowienia ryb) chodzić na lądzie.

2. Niewolno więcéj nad pięć sztuk takich dzid posiadać.

3. Niewolno wszczynać kłótni lub bijatyk.

4. W Nukuoro właściwém (wszyscy krajowcy żyją w jednem osiedleniu albo wsi, na południowym końcu wyspy Nukuoro położonéj) zakazanem jest: robić hałas, chodzić w nocy z ogniem, ciskać kamienie z brzegu wewnątrz osiedlenia.

5. Niewolno stać lub leżéć w czółnie, na brzegu wewnętrznym t. j. frontowym głównego miejsca Nukuoro.

6. Niewolno się zatrzymywać w pobliżu publicznego „Marae" i świątyni „Amalau," w czasach nieobjętych uroczystościami publicznemi.

7. W czółnie niewolno wiosłować w ten sposób, by woda wypryskała do góry. Ten sposób wiosłowania używanym jest tylko w okazyach wyjątkowych (np. przy pogrzebach) lub jako sygnał dla czółen wracających z morza, gdy te znalazły okręt lub obce czółno przypędzone prądem albo gromadę ryb wartych połowu szczególnego.

8. W używaniu czółna należy jeden jego koniec uważać za przedni i takowego dowolnie zmieniać niewolno (na innych wyspach każdy z obu końców czółna może być przednim lub tylnym).

9. W miejscu głównem t. j. Nukuoro, niewolno podczas dnia pokrywać głowy i górnéj połowy ciała.

10. Niewolno robić kurkumy prywatnie po za domami publicznemi, szczególnie na ten cel przeznaczonemi.

11. Niewolno wstępować na wyspę Oromanga bezwarunkowo.

12. Na wszystkich niezaludnionych wyspach laguny niewolno spędzić nocy po za czasem uroczystości publicznych.

13. Niewolno otwierać orzecha kokosowego za pomocą patyka.

14. Drewnianego lub kamiennego obrazu bóstwa (te tino aitu= ciało boga lub ducha) niewolno dotknąć ręką.

15. Poza rafą koralową laguny, niewolno wzmiankować nazw: „hatu“ (kamień), „Tahola“ (wieloryb) i honu (żółw) natomiast należy mówić: „te kirikiri“, „te ia tele“ (wielka ryba) i „takojpea.“

16. Wielki kapłan nie może się pokazywać publicznie lub zajmować pracą ręczną poza domem.

17. Kobiety mogą, się udawać po za rafę laguny tylko w miesiącach Maitiki i Majlapa.

Tego rodzaju zakazy, szczególniéj, jeżelibyśmy do tego przyłączyli czysto religijne, wyrosłyby do znacznéj liczby. Tapu znaczenia czysto-społecznego są jednak ograniczone i zachowania tych tapu przestrzega cała gmina, przyczem naczelnik jest formalnie sędzią, choć kara za pewne przestępstwo przekazana jest zwyczajem i naczelnik ją tylko potwierdza.

Przestępstwo drobniejsze pociąga za sobą nagane prywatną najbliższych sąsiadów, w ważniejszych razach wdaje się cała gmina. Przestępca ulega karze „saesae“ tj. związaniu i przywiązaniu do drzewa. Zaostrzeniem kary bywa bicie grubą liną, głód i wystawienie na słońce. Na noc przestępca, zawsze związany, zamykanym bywa w oddzielnym domu znajdującym się w pobliżu domu publicznego Sopuku, oba tuż przy rynku publicznym, gdzie kara zostaje zawsze wykonywaną. Stosownie do stopnia przestępstwa i sposobu zachowania się winowajcy, kara zostaje powtarzaną przez dni kilka i czasami kończy się śmiercią takowego, bądź przez umyślne zamorzenie, bądź w skutek cierpień poniesionych.

Gdy „Sae sae“ ze wszystkiemi stopniowemi zaostrzeniami jest niedostateczną karą, wtedy naczelnik skazuje winowajcę na wygnanie na otwarte morze, co tu się nazywa „awe i te wasa“ (wysłać w podróż). Dokonywa się to w ten sposób, że skazanego związują i wkładają w czółno i bez jadła i wiosła puszczają po za rafę laguny.

Przestępstwa i kary za nie są bardzo nieliczne. W ostatnich trzech dziesiątkach lat tylko trzy razy dokonano „sae sae“ a wygnanie na morze nieprzytrafiło się i znaném jest tylko z tradycyi. Wypadki związania były następne.

1. Pewien krajowiec zagniewany na bóstwo Maurusanga, z powodu śmierci swéj córki, przestąpił „tapu sili“ tj. zakaz główny, przewróciwszy na rynku obraz tegoż bóstwa. Związany, zbity, umarł śmiercią głodową.

2. Kobieta pewna (bezwątpienia cierpiąca na pomięszanie zmysłów) okazywała się bardzo gwałtowną i dziką publicznie i w zgromadzeniach religijnych i po kilkorazowém powtórzeniu związania, umarła zamorzona głodem.

3. Pewien krajowiec w przystępie zazdrości o żonę przygotował tajemnie dzidę rybacką, zapewne w celu użycia jéj na rywala. Odkryty, został związanym i po pierwszém obiciu obiecał poprawę i został natychmiast uwolniony.

Owe dwa wypadki wygnania na morze odnoszą się do dawnych czasów. Karze téj podległo raz dwóch nukuorczyków za kradzenie orzechów na wyspie Oromanga, któréj zwiedzanie przez krajowców jest ściśle wzbronioném. Pozostałe wygnanie odnosi się do wyżéj już wzmiankowanych przybyszów z Medżjoro czy Mukin, za zabicie jednego krajowca.

Owe wyjątkowe przytrafianie się przestępstw i rzadka potrzeba kar surowych, jak również duch wielu z wyżéj dotkniętych „tapu" czyli zakazów, najlepiéj dowodzą spokojnego usposobienia krajowców i jak to poniżéj zobaczemy, wiedli oni przed przybyciem białych byt wprawdzie odosobniony, ale dostatni i zadawalniający.

5.

Religia nukuorczyków bierze swój początek w pierwotnéj religii polynezyjskiéj, któréj ślady znajdowały się w czasach przedchrześciańskich prawie na wszystkich wyspach południowych Oceanu. Z okoliczności, że zachowała ona w Nukuoro swój pierwotny mistyczny charakter, należy wnosić, że oddzielenie się nukuorczyków od pnia rodzinnego musiało mieć miejsce w bardzo dawnych czasach.

Nukuorczycy odróżniają dwa gatunki bóstw lub bogów, „Tupua" i „te aitu tangata." Do pierwszych należą bóstwa przyniesione z pierwotnéj ojczyzny, których początkowe powstanie zaginęło w odległéj przeszłości; drugi gatunek bóstw jest nukuorskiego pochodzenia i oznacza duchy niegdyś żyjących naczelników, podniesionych do znaczenia bogów. Oba rodzaje bóstw objęte są ogólném mianem „aitu"; każde z nich ma swego kapłana „matai", swą świątynię, „te hale suki aitu", swe obrazy w postaci posągów, kamieni lub zwierząt „te tiuo aitu" i swój oddzielny kult, „the haka takotonga." Charakter polinezyjski religii tutejszéj objawia się nadto przez obecność „marae" na którym wyobrażenia bogów są umieszczone, przez zwyczaj modlenia się do bogów (tarotaro) i przez obecność ofiar (taumaha).

Ubóstwianie duchów przodków nukuorskie tém się odróżnia od powszechnie na karolinach panującego spirytyzmu, że w Nukuoro tylko duchy pierwszych naczelników z czasów pierwotnych, stały się bogami, ogólny zaś zwyczaj ubóstwiania duchów swych krewnych

zmarłych nie istnieje. Do ograniczonéj liczby bogów tego rodzaju, łączących swe powstanie z początkami Nukuoro, należą: Maurusánga, Wáe te uruáki, Tehua i maráe tóli, Tehéke, Taura i Te hau hále.

Maurusánga jest nazwą religijną pierwszego przywódzcy Ko Wawe i jest on bóztwem ogólném, opiekuńczém nukuorczyków. Na otwartém morzu nazywa się on, Te halua ariki," i pod tą nazwą jest szczególnym patronem rybołówstwa i rybaków. Jego „tiuo (ciało)" wyobrażoném jest przez kawał koralowego kamienia, około dwóch stóp wielkiego, który stoi z innemi wyobrażeniami bogów na publiczném „Marae." Obrządków kapłańskich połączonych z jego ubóstwianiem dopełnia sam wielki kapłan.

Wae te uruaki, którego doczesne nazwisko zaginęło, był bratem Ko Wawe. Jego posąg drewniany stoi w świątyni „Te háka asula" i uważanym on jest jako bóztwo właściwe stanu Seheke.

Tehuaimaraetoli był krewnym Ko Wewe (nazwisko za życia nieznane) i jest bogiem specyalnym stanu Sehénga. Wyobrażeniem jego jest orzech kokosowy pokryty pasami kurkumy (żółtego koloru), przymocowany do końca prętu drewnianego, zawieszonego pod środkiem dachu w świątyni Tehalewaka.

Teheke jest bóstwem tego samego rodzaju co „tiuo" w świątyni Tahinoa.

Taura był niegdyś człowiekiem i szczur jest mu poświęconém zwierzęciem. Nie oddają mu czci szczególnéj, tylko w świątyni mu poświęconéj Teraoki niewolno zabijać szczurów.

Tehaukula była kobietą, ptak „móso" (Calornis) jest jéj poświęconym, ma ona również małą świątynię Oteakunuku.

Na powyżéj wymienionych bóstwach ogranicza się tutejszy kult religijny duchów zmarłych przodków. Najgłówniejsza część tutejszéj religii odnosi się do bóstw gatunku „Tupua", które nie są świadomie duchami zmarłych ludzi, lecz przypuszczalnie istnieją pierwotnie, czego dowodzi i ich nazwa. „Tupu" oznacza powstawać, poczynać, następnie być głównym, naczelnym, pierwszym. Bóstw tego rodzaju znajduje się liczba bardzo wielka i możnaby między niemi zrobić rozdział na takie, których znaczenie jest wyraźnie określone i które mają własny kult i na takie, których znaczenie jest przeważnie mitologiczne tylko.

Co do przedmiotu najpierwotniejsze podanie mówi o początku ziemskiego świata i bogów. Podług tego, niebo „te rangi" rozpościerało się nad ziemią płaską ,,te papa", i pomiędzy oboma znajdowało się w ilości nie wielkiéj morze „te tai." Każdy z tych żywiołów posiadał swego pierwotnego władzcę boga „tupua", z których tupua nieba zwał się „te ariki tu te rangi (naczelnik (pan) w niebie)" i był

najsilniejszym. Bóg ziemi zwał się: „Te ariki tu te natoaki, (pan świata dolnego)", a bóg morza: „Tetoroetai" (pełzacz na morzu). Te trzy bóstwa pierwotne są początkiem wszystkich pozostałych bogów, przedstawiają one wzięte razem powstanie wszechświata i objawy wszechprzyrody, są uzmysłowieniem ich i ich potomstwa.

„Te ariki tu te natoaki" objawia się w swém licznéni potomstwie pod nazwą „te Tupua te kirikiri" i znajduje swe zmysłowe przedstawienie w piasku wybrzeża morskiego.

Potomstwo „Toroetai" jest również liczne i wyobrażoném jest przez pianę rozbijających się fal morskich, „te hunga hunga paue."

Bóstwo główne „Tearikituterángi" dało początek bóstwom objętym nazwą ogólną: „mangu te arohi langi", których uzmysłowieniem jest tęcza i deszcz.

Potomstwo tych głównych bóstw jest bardzo liczne jak to ich symbole szczegółowe wskazują: piasek wybrzeża, krople piany, deszcz i tęcza. Podanie notuje wiele nazw dla pojedyńczych bóstw tego rodzaju, które jednak po największéj części są tylko znaczenia podrzędnego i niemają szczególnego kultu i kapłanów. Bez bliższego określenia, uważane są one za bóstwa opiekuńcze ogólne społeczności nukuorskiéj. Ze szczegółowych nazw notuję tutaj:

1) dzieci bóstwa ziemi: Nateoro, Tirotu, Tahaki oro, Ura mea, Ura toto, Tahe te uwanga, Tikokha i inne;

2) dzieci bóstwa nieba: Tahaki sema, Haroa sema, Osema, Tarau, Mangatiakhi i troje najgłówniejszych: Tumua, Tuhenua i Tutoro.

O tych ostatnich podanie mówi, że, znajdując się dawniéj pomiędzy ziemią i niebem, starali się podnieść firmament przez długi czas bezskutecznie, gdy jednak z wiekiem wzrośli w siłę, podnieśli takowy i w tak otrzymaném miejscu powstały wyspy i morza.

Najgłówniejsza część obrządków religijnych odnosi się głównie do owych trzech głównych tupua-bogów i do ostatnio wyliczonych trzech bóstw Tumua, Tuhenua i Tutoro.

Te ariki tu te rangi, zwany także „te aitu matua" (bóg dawny, stary), albo i „te tupua sili" (bóg główny), ma swój posąg w świątyni Sapokanga i jego głównym kapłanem jest sam „ariki takotonga". Kult tego bóstwa polega na tém, że oprócz ofiar w szczególnych okolicznościach i modlitw, otrzymuje ono od czasu do czasu nowe pokrycie i zostaje strojonem podczas uroczystości kwiatami w postaci swego posągu. Nadto każdego dnia o wschodzie słońca odbywa się obrządek zwany „te haka ruru", w którym wielki kapłan z kilkoma, „matai" udaje się bez względu na pogodę nad brzeg laguny, gdzie wszyscy siadają rzędem. Jeden krajowiec obchodzi wtedy granice osiedlenia Nukuoro i wykrzykuje po drodze: „haka ruro o! haka ru-

ru o! „Obszedłszy do koła osiedlenie, wraca nad brzeg, gdzie wielki kapłan odprawia swe „taro taro“ tj. modlitwy, w których bóstwo bywa wzywaném o opiekę dla całego ludu. Temuż bóstwu poświęconą jest jaszczurka „tapula“ (Lygosoma), która nie bywa nigdy zabijaną przez krajowców.

Bóstwom Tumua, Tuhenua i Tutoro poświęconą jest wyspa Oromanga, któréj zwiedzanie jest surowo zakazaném. Każdy nowy „ariki takotonga“ obowiązany jest po objęciu swego urzędu udać się na tę wyspę i wykonać pewne zwyczajem nakazane obrzędy. Stosownie do liczby bogów, znajdują się na zewnętrznym wybrzeżu téj wyspy, trzy kamienie koralowe, z których każdy ma w sobie otwór. Każdy nowy wielki kapłan winien osadzić w tych kamieniach drewniane pręty, do których przywiązanym jest pęk liści kokosowych, poczém wyspa zostaje zamkniętą przez „tapu“ aż do objęcia urzędu przez następnego wielkiego kapłana. Kult tych bóstw jest bardzo dawny i w ostatnich czasach tajemnice jego zaginęły wskutek śmierci kapłanów właściwych. W ostatnich latach znalazł się jeden krajowiec, który kult ten zagubiony odżywił. Podług jego słów, miała mu się objawić bogini Kokawe i nakazała mu iść na wyspę Oromanga, gdzie obiecała nauczyć go zagubionych tajemnic. Słuchając swego snu, udał się na wyspę wspomnianą pomimo „tapu“, wybudował tam szałas i tam Kokawe przychodziła do niego każdéj nocy i uczyła go kapłaństwa. Krajowiec ten, choć nie jest prawdziwym „matai“, stał się kapłanem nowego kultu i asystuje wielkiemu kapłanowi przy obchodach na Oromanga, jak również zostaje przy nim przez jeden miesiąc późniéj i towarzyszy w „te haka ruru.“ Kult wyżéj wymienionych i spokrewnionych bóstw ma znaczenie ogólne dla wszystkich nukuorczyków.

Obrazem bóstwa „te ariki tu te natoaki“ jest płyta bazaltu czarnego, którą miał przynieść z sobą pierwszy naczelnik Ko Wawe ze swéj pierwotnéj ojczyzny. Kamień ten zachowanym był w świątyni głównéj Amalau, stojącéj tuż na wschodnim końcu publicznego „marae.“

Bóstwo „Toroetai“, które uchodzi za władcę morza, wyobrażoném jest przez sztukę drzewa okrągłą i około metra długą, wstawioną pionowo w świątyni Mónaki. Jest ono patronem stanu Setoro i bywa wzywaném podczas burzy morskich. Ma ono również drugą świątynię „te hale tapau.“ Ofiary z owoców przeznaczone dla Toroetai, wrzucane bywają do morza.

Z pozostałych bóstw gatunku „tupua“ znane są jeszcze:

„Te tupurua“ potężne bóstwo morskie podług mniemania, identyczne z Toroetai.

„Sauwarowaro“ bóstwo leśne, szczególniéj przyjaźne śmiertelnym.

„Mohoputeheke“ i „Manutapu“ bóstwa stanu „Seala“ w świątyni „Hakaakenou.“

„Wae matua“ zwane także „Hilingi ana pea“ jest bóztwem podwójném. Pod pierwszą nazwą wyobrażoném jest ono przez dzidę wielkich rozmiarów, która jest postawioną pionowo na publiczném marae.“ Pod ostatnią nazwą, przedstawia je bałwan drewniany postawiony w świątyni Sapokanga. Kult tego bóstwa polega na pieczołowitości o utrzymanie w stanie dobrym jego obrazów i odnawianiu ich od czasu do czasu. W razach, gdy dzida stojąca na rynku ma być zastąpioną przez nową, ta ostatnia zostaje złożoną poprzednio na jedną noc do świątyni Sapokanga, gdzie spoczywa oparta na barku drewnianego bożka.

„Tehitapu“ jest tupua z drewnianym bożkiem w świątyni Amalau.

„Kokawe“ jest przypuszczalnie żoną naczelnika Ko Wawe a drewniany jéj posąg olbrzymich rozmiarów znajduje się w Amalau.

„Sope“ jest bóstwo wyobrążone przez 6 bałwanów w Amalau.

„Kawe tele ao“ ma posąg w Sapokanga.

„Sahumani matua“ i „Sahumani aitu“ są przedstawione przez dwa kamienie na publiczném marae, oprócz tego „Sahumani aitu“ posiada świątynię „Kuporu.“

„Tarau“ i „Tikokha“ są bóstwami opiekuńczemi przyrządzania kurkumy, wielkie tu znaczenie mającéj, które odbywa się przy zachowaniu rozmaitych obrzędów w umyślnie na ten cel przeznaczonych domach publicznych, w których bóstwa te bywają wzywane pod jedną nazwą: „Oautama i tautonga.“

Wszystkie wyobrażenia bóstw, posągi i kamienie, bywają ubierane od czasu do czasu, co się zwie „hai se maroaitu.“

Znaczenie tych wszystkich bóstw dla codziennego życia krajowców jest bardzo wielkie, gdyż prawie każdy objaw tego życia podlega wpływowi którego z bóstw, tak, że krajowcy codziennie prawie muszą prosić tego lub owego „matai“ o pośrednictwo. Przy budowaniu domów i czółen, przy żenieniu się, przy porodach, w chorobach i w przypadkach śmierci krajowcy zwracają się do swych bóstw szczegółowych. Ceremonie i obrządki tych okoliczności najlepiéj będzie przedstawiać w opisie tych okoliczności tutejszego życia krajowców; tutaj wspomnę tylko o obrzędach ogólny charakter noszących.

Bóstwa umieszczone w Amalau (świątyni główném) i na publiczném rynku (marae) są bóstwami ogólnemi całego narodu i głównie

one tylko są przedmiotem czci podczas uroczystości religijnych dorocznych.

Około miesiąca Plejad zwanego tu „mataariki“ (na Karolinach: Meriker) poczyna się czas „święty“ (takotonga) na Nukuoro, jeżeli „te ariki hotoliki“ daje swe przyzwolenie na rozpoczęcie takowego. Uroczystości te rozciągają się na kilka miesięcy i podczas tychże, wiele tapu i zakazów zostaje zawieszonemi, np. krajowcy obu płci mogą dowolnie robić wycieczki na sąsiednie wyspy i spędzać tam noce itd. Czas ten, obejmuje wszystkie zabawy i rozrywki publiczne i do takowego zostaje zwykle odkładaném: publiczne tatowanie kobiet i uroczystości „Otehauhaime“, z powodu publicznego ubierania bożków. Uroczystości wszystkie mają miejsce głównie w Amalau i na marae, i na ten czas tapu zostaje zawieszoném, gdyż ludność cała zgromadza się tutaj każdodziennie o wschodzie słońca, by uczestniczyć w obchodach religijnych w świątyni.

Amalau jest największą świątynią w Nukuoro i obejmuje wygodnie całą ludność dzisiejszą. Jest to długi budynek czworoboczny o trzech stronach otwartych, strona czwarta, krótka, ma ścianę, przed którą są ustawione posągi drewniane wyżéj wyliczonych bóstw. Wnętrze świątyni wysłane jest matami i wzdłuż otwartych boków świątyni siadają w pierwszym rzędzie mężczyzni a po za nimi kobiety. Przed posągami bożków siedzą rzędem kapłani „matai“ i wielki kapłan. Całe wnętrze świątyni jest próżném.

Bożkowie są ozdobieni kwiatami i każdy ma na głowie rodzaj korony zwanéj: „Tidi“, którą mają także i obecni kapłani. Krajowcy wszyscy są przystrojeni świątecznie. Włosy ich są ułożone w sposób przepisany i przyozdobione przez „hatihatina“, w uszach tkwi „kai pinilapa.“ Maro, przepaska biodrowa, jest nową lub świeżo ufarbowaną. Kapłani są namaszczeni na czole i barkach kurkumą, a tancerze są takową obficie pomalowani na całém ciele.

Obrządki poczynają się ofiarą dla bogów. Ofiarowane owoce i produkta zostają składane przed bogami i kapłan naczelny mrucząc modlitwy niezrozumiałe dla ogółu, ofiarowuje takowe bogom i kosztuje sam poprzednio z każdéj ofiarowanéj potrawy. Po skończoném ofiarowaniu, jadło zostaje rozdzieloném między obecnych i z wykrzykiem: „Kai-o-o!“ zgromadzenie posila się publicznie. Jadło jest dostarczaném przez wszystkie familie. Po téj uczcie, wstępują przystrojone kobiety do środka świątyni i wykonywują tańce, po których (około środka przedpołudnia, tj. koło 10-éj zrana), zgromadzenie się rozchodzi do domów, by wrócić na uroczystość wieczorną. Wieczorem ofiarowanie i uczta się powtarzają, lecz tańce wykonywane zostają przez

mężczyzn. Ze zmierzchem kobiety się oddalają a mężczyni tańczą i śpiewają w noc dowolnie. To powtarza się przez dni kilkanaście, dopóki nie nastąpi publiczne tatowanie kobiet.

6.

Wszystkie dziewczyny w wieku do tatowania, zostają rozdzielone na partye z 5 lub 10, stosownie do ogólnéj liczby, i zostają umieszczone w rozmaitych świątyniach (z wyjątkiem świątyni głównéj Amalau). Ma to miejsce na trzy miesiące przed rozpoczęciem czasu „takotonga.“ W dniu przeznaczonym na tatowanie, wszyscy mężczyzni zbierają się na brzegu morskim, a kobiety pomalowane obficie kurkumą odkładają swe „titi“ (fartuchy) i idą nago do morza, kąpać się. Wróciwszy do swéj świątyni, każda dziewczyna zostaje wziętą przez mężczyznę mającego wykonać tatowanie. Kładzie się ona na ziemi, przykrywa twarz kawałkiem materyi i mężczyzna wykłuwa szybko na wzgórku łonowym ów prosty rysunek tatunku, który jest charakterystycznym dla Nukuoro i którego szkic znajduje się powyżéj. Jeden z kapłanów przewodzi operacyi i dogląda porządku i po ukończeniu takowéj, pokrywa łono nowo tatowanéj kobiety trzema kamieniami (te hatu ngae) i jéj pierś trójkątnemi kawałkami szyldkretu (te haunga). Po trzech dniach, przez które kobieta podlega ścisłému „tapu“, rany zadane tatunkiem zasychają i wolno jéj wychodzić po za obręb domu.

7.

Po tatowaniu kobiét ma miejsce tak zwane „Sawiugi.“ Jestto zabawa publiczna, w któréj w obec kapłanów i nowo tatowanych kobiet rozsiadających na wybrzeżu piaskowem morza, mężczyzni wieku młodszego biegają na wyścigi. Ustawiwszy się w pewném oddaleniu od mety, biegną na dany znak i zwycięzca zostaje namaszczonym kurkumą i musi przepędzić trzy dni w świątyni pod ścisłém „tapu.“ Naturalna rzecz, że nowo tatowane kobiety nie zapominają zwycięzcy.

8.

Po wyścigach następuje „te tautau“ albo publiczne mocowanie się, trwające dni cztery z rzędu. Takowe ma miejsce na okrągłéj i nowo opielonéj arenie, w koło któréj zgromadza się cała ludność. Dwóch mężczyzn mocuje się i gdy jeden zostaje powalonym, lud zgro-

madzony wita zwycięzcę okrzykami „mahé!“ (silny). Dnia ostatniego przynoszą jadło, ze wszystkich domostw i następuje uczta ogólna.

9.

Do téj pory kobiety świeżo tatowane muszą zostawać nocą w świątyni i żyją ciągle pod „tapu.“ Po ukończeniu „Te tautau“ następuje „Turauwángo“, po którém kobiety tatowane odzyskują wolność i „tapu“, nad niemi zawieszone, upada. W „Turauwángo“, nowo tatowane kobiety z kapłanem swym, udają się na pewne miejsce poza osiedleniem, gdzie nagromadzone jest jadło przez kraj cały. Tutaj zgromadzenie całe rozsiada się na wybrzeżu. Potém następuje część główna całego obrzędu, mianowicie: kapłan przewodzący uroczystości całéj, rozdziela na wybrzeżu piaskowém, w oddaleniach krótkich od siebie, plecionki z liści kokosowych kształtu maty, na każdéj z których znajduje się korzeń kurkumy; nad każdą taką matą (te ahi taokili) kładzie się jedna nowo tatowana kobieta i opierając się na rękach, stara się bić zadem o ile być może najwyżéj. Po tym gimnastycznym ale mało estetycznym wysiłku następuje ogólne zjedzenie przyniesionych zapasów i kobiety nowo tatowane wracają do domów własnych. Znaczenie tego całego obrzędu jest zagadką dla całego ludu.

10.

Po „Turauwángo“ następują tańce męzkie zwane „masáki.“ Mają one miejsce na „tumaraerae“ i trwają również dni cztery. Ostatniego dnia następuje uczta publiczna. Tańce te wykonywają mężczyzni, których kilku wstępuje w koło, każdy mając w ręku kij drewniany, którym wybija takt o kije swych towarzyszy, przyczém następuje ciągła zmiana figur. Bezwątpienia taniec ten wprowadzili tutaj japscy rozbitkowie.

11.

Po kilku dniach ma miejsce, ośm dni i nocy trwające „kapiniwali“, w którém wszystkie kobiety nukuorskie wraz z nowo tatowanemi udają się na brzeg morski przed dwa budynki publiczne zwane Sukupu i Maurisanga, w których są zebrani mężczyzni. „Tapu“, zakazujące kobiecie wstąpić do takiego domu, zostaje zawieszoném i obie płcie mogą się mięszać i zabawiać dowolnie. Każda tanecznica ma swych przyjaciół przez ten czas, którzy ją karmią, gdyż kobiety wszystkie spędzają noce z mężczyznami i nie oddalają się do własnych do-

móstw. Ósmego dnia kobiety się oddalają i wracają z zapasami tara i trzciny cukrowéj, jako zapłatą za otrzymaną gościnność i ryby. Następuje więc wspólne zjedzenie nagromadzonych zapasów i kapiniwali jest skończoném.

W kilkanaście dni po owych tańcach żeńskich, ma miejsce „Tahola“, łowienie, ryb przy świetle pochodni, a zdobycz cała zostaje oddaną naczelnikowi, niejako jakby znak uznania ludu za przybyte uroczystości, które tém samém znajdują swój koniec. Wszystkie „tapu“ wracają do swego znaczenia i świątynia Amalau zostaje zamkniętą aż do roku przyszłego.

12.

Komunikowanie się krajowców ze swémi bóstwami w przypadkach życia codziennego jest bardzo częstém i odbywa się zawsze za pośrednictwem właściwego „matai.“

Podczas choroby tylko bóstwo pomódz może, znajomości leków i środków krajowych tu niema. Krewni chorego biorą sztukę tara i udają się do matai, który idzie do świątyni, zakopuje przyniesioną ofiarę w sieni tuż pod nogami bóztwa i mruczy niezrozumiałe zaklęcia i formuły. Za swoje pośrednictwo kapłani nie otrzymują zapłaty.

W razie śmierci krajowca naczelnik zostaje zawiadomionym o takowéj i daje rozkaz przenieść ciało do domu umyślnie na to przeznaczonego, zwanego „hale hei matenga.“ Dom ten jest otwarty ze wszystkich stron i leży na końcu osiedlenia tuż przy brzegu morskim. Wszystkie obchody połączone z pogrzebem „takotonga te tangala mate“ odbywają się w tym domu. Przeniesienie zwłok do takowego zależy od woli naczelnika i czasami następuje bardzo późno, w ogóle od jednego do sześciu dni. Hale hei matenga jest otwartą szopą czworobocznego kształtu, swemi bokami krótkiemi zwróconą na wschód i na zachód. Ciało zmarłego przynoszą na stronę północną i składają na ziemi głową do wschodu. Tu się odbywa ogólne pożegnanie ze zmarłym. Dwadzieścia orzechów kokosowych przynoszą i każdy z osobna przytykają do ust zmarłego, przyczém wymawiają się słowa: „tahá he háka po oái tau“, poczem składają ciało na środku wnętrza domu. Zwłoki leżą odkryte na dwóch grubych matach, u wezgłowia siedzi brat lub najstarszy męzki krewny, u nóg—żona. Inni krewni znajdują się w domu nieopodal stojącym, część ich i znajomi wraz z kapłanami siedzą półkolem przed zachodnią stroną domu i śpiewają noc całą śpiewy żałosne i treny (nilau). Przy śpiewach tych wszyscy obecni siedzą z pochylonemi, na lewéj ręce opartemi głowami, na szyjach ich zawieszone są, łóżno liście palmy kokosowéj.

Ahi áhi tuánge makohalálo. Hokié...... Langi súlu ma móli o ta lóto. Hokié...... Tearoaka misi i ta na noho. Hokié... Hétakai i tino he ma naii. Ho-o-ki-é..... rozlega się żałośnie po lagunie i niemém osiedleniu nukuorskiem.

Następnego rana przybywa parzysta liczba ludzi by zabrać ciało do „kauwaka aitu.“ By duch zmarłego nie był im szkodliwym, podwiązuje im kapłan włosy przepaską kokosową, poczém wynoszą oni ciało przez zachodnią stronę do czółna stojącego na pogotowiu. Zwłoki zostają przewiezione na pewne miejsce poza obrębem osiedlenia i tu następuje „kauwaka aitu“ tj. obwinięcie zwłok w maty. Tutaj ciało zostaje obwiniętém spiralnie, począwszy od nóg, w ośm sztuk mat małych ale tak, że ręce i głowa zostają wolnemi. Tu ciało zostaje obwiązaném ośm razy sznurkami kokosowemi, ręce zaś wyprostowane są skrzyżowane na brzuchu tak, że prawa ręka leży ku górze. Następnie zwłoki zostają zawinięte w dwie większe maty i znowu obwiązane ośm razy sznurkiem, poczém składają je na czekające u brzegu czółno; na którém znajduje się pewna parzysta liczba ludzi. Krewni zmarłego zostają na brzegu, czółno zaś udaje się na środek laguny by pogrzebać zmarłego w jéj łonie (teliki i te tai). W lagunie znajdują się dwa miejsca używane zwyczajnie na ten cel i do jednego z nich czółno się udaje Przybywszy na miejsce, zwłoki zostają obciążone 12-ma kamieniami i ostatecznie owinięte w grubą sieć i zatopione, przyczém głowa zwraca się do wschodu a twarz ku dołowi. Kamienie znajdują się głównie na piersi i brzuchu, tak że ciało tonie horyzontalnie; gdyż zwyczaj zakazuje by zwłoki tonęły pionowo i by głowa lub nogi dotknęły dna. Ludzie biorący udział w zatopieniu ciała uważani są za nieczystych i przybywszy na ląd, zostają nacierani mlekiem kokosowém i dwóch z ich liczby musi pozostać przez dni trzy w domu umarłych.

Żona i najstarszy krewny zmarłego pozostają w tym domu przez cały miesiąc i doglądają obrzędów i ofiar po śmierci. W miejscu, gdzie przedtém ciało leżało, zostają składane: jeden orzech kokosowy dojrzały, jedno taro i jedno pura i nad temi zostaje łamanych 30—40 młodych orzechów tak, że mleko tychże oblewa je. To ma miejsce codzienie przez miesiąc czasu. Każdego piątego dnia, ów orzech zostaje rozłupany i wraz taro i pura zawinięty w matę i zatopiony w tém samém miejscu, co i zmarły. Po pięciokrotym powtórzeniu téj ceremonii obrzęd pogrzebowy jest ukończony i kobieta jest znowu wolną szukać męża nowego.

Tym samym obrządkom podlegają dorośli obu płci bez względu na stan, tylko ilość owoców i jadła dawanego w ofierze, zależna od stanu zamożności rodziny zmarłego, stanowi jedyną różnicę.

Dzieci zmarłe bywają chowane na brzegu morskim, zwłoki zabitych po urodzeniu w piasku suchym, dzieci starsze zmarłe naturalnie, nieco niżéj, tak że woda morska pokrywa zwłoki.

Rodzice kochają bardzo swe dzieci i czują silniéj stratę dziecka niż starszego członka rodziny. Często bywa pamięci dziecku wystawianą mała kapliczka (hale tahao) gdzie od czasu do czasu rodzice składają ofiary z jadła i czasami zatrzymują się na dni kilka.

Nukuorczycy nazywają duszę „te mouri“ i przedstawiają sobie, że takowa idzie po śmierci albo na którą z gwiazd, albo do kraju podmorskiego, gdzie panuje ariki aitu „Terawenga“ i gdzie dusze naczelników (te ariki) żyją oddzielnie od dusz ludzi pospolitych (te tangata humuli).

Duchom zmarłych krewnych nie oddaje się żadna cześć, zakazaném jest tylko wymawiać nazwę zmarłego. Tylko nazwa wielkiego kapłana stanowi jedyny wyjątek. Jeżeli duch zmarłego się objawia po śmierci, np. w snach rodziców po stracie szczególniéj kochanego dziecka, to duch taki otrzymuje szczegółową nazwę.

(d. n.) *Jan Kubary.*

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

VII.

Niedaleko od Puław, w Rykach, mieszkała rodzina Kickich, która brała zawsze udział we wszystkich uroczystościach i zjazdach puławskich. Pan Onufry Kicki, koniuszy koronny, wierny i przywiązany urzędnik i przyjaciel króla Stanisława, posiadał w wysokim stopniu jego zaufanie i choć nie należało to doń z urzędu, wszystkie pieniężne interesa króla załatwiał. Wskutek tego własną fortunę swoję zawikłał i nadwyrężył. Ryki posiadał jako starostwo i dostał je po swoim stryju wojewodzie ruskim, ten zaś objął je po ojcu króla Stanisławie Poniatowskim, kasztelanie krakowskim, który tu umarł i w kościele w Rykach pochowany.

Onufry Kicki był wysoki, łysy, przystojny, uśmiech miał miły i pełen dobroci, co dokładnie malowało jego naturę, bo też był nieporównanie dobrym i poczciwym. Jedyną jego przywarą była pasya opowiadań zmyślanych. Plótł duby smalone, nikomu wprawdzie nieszkodliwe, i sam śmiał się z nich najpierwszy. W Rykach wiecznie czytał Dykcyonarz Morer'ego i innéj książki żadnéj w pokojach jego nie było. Mieszkał w oficynie, cały pałac do użytku dam odstępując, towarzyszem jego nieodstępnym był turek Hassan, stworzenie dziwnie głupie, którego cała funkcya ograniczała się do nakładania fajki. Pani Kicka, żona jego, z domu Szydłowska, siostra jenerałowéj Grabowskiéj, trzy córki i syn składali całą rodzinę. Najstarsza z córek panna Teresa, wysoka blondynka, nietylko ogromną urodą i piękną figurą, ale znakomitem wykształceniem i rozumem celowała. Zakochał się w niéj książę Konstanty Czartoryski i szczerze chciał ją pojąć za żonę, ale sami Kiccy widząc, że córka ich nie bardzo chętnie byłaby widziana przez Czartoryskich, po latach kilku

zerwali te amory. Druga Ewa, do ojca z rysów podobna, nie tyle wdziękami, ile układem, wesołością i dowcipem się odznaczala. W 1808 r. za pośrednictwem i staraniami pani Bentkowskiéj z Ułęża wydana została za jéj krewnego, księcia Antoniego Sułkowskiego. Książę ten, urodzony z niemki, z domu Bubna, miał w charakterze swoim coś sztywnego i niemieckiego. Swoim kosztem wystawił 9-ty pułk piechoty Księstwa Warszawskiego i na jego czele w parę tygodni po ślubie wraz z Sobolewskim i Feliksem Potockim udał się do Hiszpanii. Żona jego przed ślubem prawie go nie widziała, a po ślubie także bardzo krótko z nim była, a gdy nieobecność jego do kilku lat się przeciągała, ciągle tém się trapiła, że męża nie pozna, kiedy z Hiszpanii powróci. Książę Sułkowski był odważny, dzielny żołnierz i jeszcze w 1807 r. odznaczył się pod Gdańskiem i Tczewem. W Hiszpanii niemniéj zaszczytnie walczył pod Olkano i Almanacis i mianowany został gubernatorem Malagi, a późniéj generałem brygady. W r. 1811 wrócił do ojczyzny, został generałem dywizyi i odbył całą kampanią 1812 r., dwie tylko rany poniósłszy, z których jedna pod Smoleńskiem od bagneta w brzuch otrzymana, była bardzo niebezpieczna. W 1813 r. po bitwie pod Lipskiem, z pominięciem starszych dwóch generałów: Dąbrowskiego i Sokolnickiego, został zamianowany dowódcą szczątków wojska polskiego. Krukowiecki rozpoczął wtedy przeciwko niemu intrygi i podburzał oficerów, żeby ci żądali to Dąbrowskiego, to Sokolnickiego, albo żeby upierali się, że ponieważ król Saski pozostał w Lipsku, nie należy działać bez jego rozkazów. Te wszystkie podżegania miały ten skutek, że oficerowie zebrali się tłumnie i wymogli na Sułkowskim słowo, że za Ren nie przejdzie, tylko do téj rzeki Napoleona odprowadzi. Współcześnie austryacki generał Bubna, wuj Sułkowskiego nie przestawał przysyłać swych adjutantów i parlamentarzy i usiłował nakłonić księcia, żeby Napoleona odstąpił, obiecując za to imieniem sprzymierzonych, że byt Księstwa Warszawskiego zachowanym zostanie, że wojsko będzie mogło swobodnie wrócić do kraju i tam oczekiwać końca wojny. Wszystkie te konszachty doszły do wiadomości Napoleona i pod Gelenhausen, o parę mil od Hanau, przybył do Polaków, a zebrawszy wkoło wszystkich oficerów, wytłómaczył im treściwie na jaką hańbę by się narazili porzucając go; zapewnił nadto, że byt księstwa bynajmniéj pominięty nie będzie w przyszłym traktacie i zagroził, że ponieważ wszystkie fortece obsadzone są jego garnizonami i że ponieważ jedna wygrana przeniesie go na brzegi Wisły,— wtedy za zdradę zemścić się nie omieszka. Urok cesarza na wojsko był zawsze potężny, to też ci, co dopiéro opuścić go myśleli, krzyknęli: *Vive l'empereur!* i przysięgli na

kraniec świata mu towarzyszyć. Książę Sułkowski mógł albo żądać, żeby mu dane słowo zwrócono, albo nawet nie czyniąc tego, pójść za ogólnym zapałem. On jednak zamiast tego, ze szefem swego sztabu Henrykiem Zabiełłą poprosił o dymisyą, tę natychmiast otrzymał i z Gelenhausen udał się do Leszna. W roku następnym powołany do tworzenia nowego wojska polskiego i mianowany generał-adjutantem, przesiedziawszy parę miesięcy w Petersburgu, wziął dymisyą i do swojéj ordynacyi w Poznańskiem powrócił. Żona jego wtenczas już od lat kilku nie żyła, a zostawiła mu tylko syna i cztery córki. Sam Antoni Sułkowski umarł w 1836 r. a syna król Pruski wziął na opiekę i w 16-tym roku życia do pułku kirasyerów pruskich go oddał.

Pani Kicka ze wszystkich córek najwięcéj lubiła Sułkowską. O śmierci jéj nigdy nie uwiadomiona, naprzód utyskiwała, że Ewunia tak rzadko pisze, a późniéj i sama o niéj zapomniała zupełnie.

Trzecia córka, panna Józefa, w młodym bardzo wieku wydana została za Biszpinga, litwina,—przeniosła się z nim na Litwę i skutkiem tego do towarzystwa puławskiego nie należała. O synu Ludwiku, będziemy mieli sposobność wspominać często poniżéj.

Raz w zimie, jadąc do Warszawy, wstąpiłem do Ryk. Panie mieszkały w Warszawie, a koniuszy paląc fajkę nad Marerym fatalnie się nudził. Zatrzymał więc mnie przez całą dobę i, nie krępując się już niczém, nie przestawał opowiadać swoich fantazyj. Zaraz po moim przyjeździe rzekł mi:

— Poczęstuję cię marynowanym wielorybem, zobaczysz co to za szczupak. Ale bo téż imaginuj sobie: parę tygodni temu wybrałem się na polowanie. Przyprowadzono mi mego kucyka, którego za to szczególniéj lubię, że jest tak mały, iż jak mi się podoba spuszczam z nóg strzemiona i idę sobie piechotą, a koń podemną stępa kroczy. Otóż byliśmy we czterech. Ja, leśniczy, gajowy i poczciwy Janiszyc (kucharz). Kiedyśmy koło Bogusz zjeżdżali z góry, słyszymy szum i hałas jakiś niezwykły. Na stawku pod Boguszami fale jak na morzu się piętrzą, a wiatru żadnego nie było.

— Janiszyc — co to jest? — pytam.

— A to chyba wieloryb, jaśnie wielmożny panie.

— Janiszyc, kochanku — mówię mu — polowanie za nic. Wracajże do Ryk, wołaj stawniczego, spędź ludzi, przywież sieć co rychło, a śpiesz się, żeby czasem wieloryb nie umknął.

Zakładają tedy sieci, ciągną, ale liny pękają, a dwóch ludzi omal że nie utonęło, tak silnie szczupak ten sieć szarpał. Nakoniec wyciągnęliśmy to monstrum. Wyobraź sobie cały był czarny, zielonym mchem porosły, a kilkanaście łokci długi. Nowy kłopot jak go

tu do Ryk zawieść. Musieliśmy dwa wozy związać i sześć koni do nich założyć. W domu nowy ambaras, bo szczupak do kuchni zmieścić się nie mógł i na dziedzińcu Janiszyc toporem w kawałki rąbać go musiał. Ale co najdziwniejsza — i co na to powiesz — oto wewnątrz znaleźliśmy w nim guziki metalowe od fraka i zegarek srebrny repetyer. Biedaka jakiegoś połknął jak pigułkę. Zegarek darowałem Janiszycowi.

Przyniesiono ową marynatę, a dzwonka jéj były małe, mówię więc do koniuszego:

— Przyznam się panu, że nie bardzo wielką mam ochotę jeść tego ludożercę.

— Ej, nie uważaj na to — perswaduje — może to on tylko frak z zegarkiem połknął.

— Ale, jak na takiego ogromnego szczupaka — dodałem — to dzwona wcale nie są wielkie.

— To sztuka Janiszyca — odparł wcale niezmięszany koniuszy. Umyślnie tak je powykrawał, bo całe dzwona nie dałyby się zamarynować.

Pan koniuszy w polityczném swém życiu szedł w dwóch odmiennych kierunkach. Przyjaciel poufny króla, należał do partyi dworskiéj i podczas sejmu czteroletniego był takimże patryotą jak i monarcha. Skoro zaś Stanisław August przyłączył się do Targowicy, on stanął zaraz na czele konfederacyi województwa mazowieckiego. Kiedy zaś w 1809 r. istnienie kraju zmieniło swą postać, został senatorem, naprzód kasztelanem, a późniéj wojewodą i niepodlegle już myślał i działał, bo nie miał nad sobą wpływów królewskich.

Trudno mi wyliczać wszystkich dość licznych sąsiadów, jacy często odwiedzali Puławy i stanowili stałych członków tutejszego towarzystwa—nie odgrywali oni w ówczesnym politycznym układzie żadnéj ważniejszéj roli i dlatego wspomnę ich tylko z nazwisk. Należeli do nich generał Byszewski z Baranów, z dwoma synami i trzema córkami, z których jedna została panią Skarbek, Kudnicki z Żyżyna, którego córka wydana była za Sołtyka, Bętkowski z Ułęża, Jagniątkowski, Cieciszowski, Jawornicki i wielu innych.

Do oryginalnych dość postaci należał książę Stanisław Jabłonowski, *galant dans toute l'acception du terme*, serce swe oddał pannie Ewie Kickiéj, mimo że był żonaty i choć z żoną nie żył, nie był z nią jednak rozwiedziony. Podczas czteroletniego sejmu odznaczał się jako gorliwy patryota i do Berlina posłował. Będąc częstym gościem i niemal domownikiem w Puławach, kupił po królu Stanisławie piękną grupę Tankreda i Kloryndę za 1500 dukatów i tę w sekrecie do Puław sprowadził i w nocy w dolnym ogrodzie, naprzeciw

balkonu pałacowego ustawił. Zrana, przy śniadaniu, księżna Czartoryska dar ten cenny spostrzegła i była z niego niezmiernie uszczęśliwiona.

Często także po kilka miesięcy przebywał w Puławach książę stolnik Czartoryski z Wołynia, ostatni z linii tak zwanéj Koreckiéj, nie zostawił bowiem męzkiego potomka, tylko pięć córek, z których najstarsza wydana została za Jana Potockiego z Boćków, druga Teresa za księcia Henryka Lubomirskiego, trzecia za Eustachego Sanguszkę, któremu już sądzoném było z Czartoryską się ożenić, bo gdy dostał rekuzę od ks. Wirtemberskiéj, do stolnikówny uderzył. Czwarta, Józefa, została żoną Alfreda Potockiego, a piąta była za Rzyszczewskim. Książę stolnik często z trzema najmłodszemi córkami, które za moich czasów były jeszcze pannami, Puławy odwiedzał, a był z niego oryginał nie lada. Chudy, wysoki, miał przysłowie: „Ba! mości dobrodzieju“— i to w rozmowie swojéj przynajmniéj za każdém trzeciem słowem powtarzał. Nosił strój zupełnie czarny, frak *en habit habillé* i dziwnéj formy trzewiki, zapinane na duże metalowe sprzączki. Założył on u siebie w Korcu fabrykę porcelany, która tak świetnie była prowadzona, że nawet bardzo cenne i delikatne przedmioty w niéj wyrabiano. Księcia feldmarszałka bliski krewny, zawsze bardzo gościnnie w Puławach był podejmowany.

Czartoryscy z gałęzi, do której ks. feldmarszałek należał, pisali się na Klewaniu i Żukowie, a ks. stolnik na Korcu. Cała rodzina wogóle utrzymuje, że pochodzi od Giedymina i dowodem historycznym téj ich procedencyi ma być przywiléj Władysława Warneńczyka, wydany w Budzie 1442 r., gdzie król książąt Czartoryskich braćmi swoimi stryjecznymi zowie. Przywiléj ten wszakże nie rozjaśnia wątpliwości, czy od Olgierda, syna Giedyminowego, czy téż od brata jego Lubarta ród swój wiodą. Cała rodzina wyznawała wiarę grecką i dopiero w 1616 r. książę Jerzy katolicyzm przyjął, a gdy syn jego Mikołaj, wojewoda wołyński, pojął w małżeństwo ostatnią księżniczkę Korecką, odziedziczyli Czartoryscy Korzec i w XVII w. na dwie rozszczepili się linie: Klewańską—starszą i Korecką—młodszą. Książę Józef—stolnik w trzecim stopniu pokrewieństwa z linią Klewańską zostawał.

Lubił on niezmiernie wiele i niezmiernie szybko chodzić i w spacerach tych, które czasami dwie i trzy mile wynosiły, rzadko kto placu mu dotrzymał. Jeden tylko ksiądz Poirsenau, francuz, nauczyciel języka francuskiego na puławskiéj pensyi panien, niezmiernie długiemi obdarzony nogami, stanowił zwykłą jego kompanią.

Szczególną skłonność do dziwactwa, jaka odznaczała ks. stolnika malują pomiędzy innemi jego stosunki z Ropelewskim. Ten Ro-

pelewski legionista, złamawszy nogę i do służby niezdatny, wrócił do kraju, a szukając sposobu do życia, trafił na ks. stolnika, u którego dobra Wałowice, leżące nad Wisłą, zadzierżawił. Majątek w dzierżawę oddał mu książę bardzo tanio, bo tylko za 6,000 złp., ale natomiast do urzędowego kontraktu wprowadził rozmaite śmieszne warunki. Tak naprzykład, że nie będzie się wolno dzierżawcy ożenić bez pozwolenia księcia, że co roku na rachunek raty dzierżawnéj kupi korzec śliwek węgierek, sam je zje i pestki w naznaczoném miejscu posadzi, że trzymać będzie w służbie ekonoma *złodzieja* i cnotliwego człowieka ma z niego uczynić i t. d. Ropelewski *jadł* śliwki i pestki sadził, ekonoma kijem do cnoty nawracał, ale po trzech latach uzbierawszy trochę grosza przedstawił księciu, że mu się koniecznie ożenić wypada, choćby dlatego, żeby mieć gospodynię. Książę słuszność żądania uznał, ale sam żonę wybrać mu postanowił. W tym celu zaczął po Sandomierskiém jeździć i znalazłszy panienkę przystojną, ale biedną znacznym posagiem ją obdarował.

Książę stolnik za Stanisława Augusta powołany był do służby dyplomatycznéj i przy dworze Saskim posłował.

Najwięcéj mnie zawsze bawiło, kiedy pan koniuszy Kicki zaparłszy w kąt ks. stolnika, po godzinach całych plótł mu swoje androny. Książę słuchał ich cierpliwie, twarz mu się przedłużała i co chwila tylko: — Ba, mości dobrodzieju — powtarzał.

Do bardzo oryginalnych także figur należał Kralewski, generał dywizyi ze służby francuskiéj, z powodu ran dymisyonowany. Chudy i żywy, nosił zawsze generalski francuski mundur i fryzurę starannie wytapirowaną. Wskutek długiego pobytu we Francyi nabrał manier przesadnéj galanteryi i szczególnego ugrzecznienia dla kobiet. W kieszeni zawsze miał na ich cześć przygotowany sonet i odę i za pierwszą okazyą je recytował. Lubił namiętnie fechtowanie się i zawsze wszystką młodzież na szpady wyzywał, łatwo zaś zwycięzką palmę uzyskiwał, bo my wszyscy przyzwyczajeni szablą tylko wywijać, nie tędzy byliśmy na rożenki. Jeden przeciwnik wszakże raz za wszystkie odniesione nad nami tryumfy się zemścił, fechtując się z nim bowiem wobec dam, zrzucił mu perukę, która tak misternie okrywała jego głowę, że nikt się nie domyślał nawet, że generał był łysy jak kolano. Ten wypadek tak go zmartwił, że obłożnie zachorował.

Przez czas jakiś bawił tu także generał Kopeć, a było to prawdziwie biedne stworzenie. Po sejmie grodzieńskim z brygadą swą wcielony został do wojska rosyjskiego, ale dowiedziawszy się o powstaniu Kościuszki, z tąż brygadą z Owrucza wyruszywszy, przerznął się przez wojska rosyjskie i z Kościuszką się złączył. Pod Maciejowicami ranny i do niewoli wzięty, zesłany został do Kamczatki.

Jadąc tam, w kraju Tunguzów, poczęstowany był jakiemiś grzybami, które zjadłszy stracił zupełnie pamięć wydarzeń i ani niewoli swojéj, ani uwolnienia nie umiał porządnie opowiedziéć. Cesarz Aleksander I dobrotliwie zachował mu stopień wojskowy i pensyą odpowiednią kazał wypłacać. Mówiono mi, że Kopeć późniéj spisał swe życie i wypadki. Książki téj nie miałem w ręku, ale znając go osobiście, przypuszczam, że nie mógł wiernie przeszłości odtworzyć.

W takim samym wypadku jak Kopeć, był Wyszkowski, podówczas major, który także przez wojska rosyjskie się przedarłszy, złączył się z Zajączkiem. Ten jednak uniknął niewoli i uciekłszy do Paryża, na miejscu Barsa, przy konwencyi i dyrektoryacie był reprezentantem interesów polskich. Brat jego zasłużony w literaturze tłómacz dzieł Zachariae'go, ożeniwszy się z ks. Czetwertyńską, popadł w łaski w. księcia Konstantego i uzyskał dla brata przebaczenie, a dla siebie dobrą pensyą. Major z żoną osiadł w Monachium i tu gościnnie dla współrodaków dom swój otworzył, będąc ich przewodnikiem po mieście i częstując ich gościnnie barszczem i kapuśniakiem. Oboje byli bardzo w podeszłym wieku, kiedym ich poznał w 1846 r., on bowiem miał zgórą lat siedmdziesiąt, a ona dochodziła do sześćdziesiątki. Śladów słynnéj piękności znać już na niéj nie było, ale lubiła naprowadzać rozmowę na Petersburg i wzdychając spoglądala na zawieszony w salonie portret w. księcia Konstantego. Kiedy kto z obecnych oczne te wycieczki dostrzegł, rumieniła się jak szesnatoletnia panienka *surprise en peccadille*. Druga Czetwertyńska, jéj siostra, wydana za hr. Naryszkina posiadała serce Aleksandra I i podobno przywiązanie to było silne i jedynie prawdziwe.

Z cudzoziemców, odwiedzających Puławy należy wspomnieć lorda Russel, syna księcia Bedford, który ścisłą przyjaźnią ze Stanisławem Zamojskim złączony, przybył do Puław głównie dla zwiedzenia biblioteki. Rzeczywiście całe dwa tygodnie w niéj przepędził, tyle tylko wychodząc, ile dla koniecznego posiłku było to potrzebném. Mówił bardzo mało i tylko po angielsku, to téż o przyszłych wielkich zdolnościach jego nikt nie wiedział i znano go tylko jako zapalonego bibliografa i bibliofila.

Również Pozzo di Borgo, agent anglo-austro-rosyjski, pokilkakroć po kilka tygodni tu bawił. Wiecznie polityką zajęty i osobisty Napoleona nieprzyjaciel, choć także korsykanin, zawsze przeciwko Napoleonowi występował, a spotykając tu i cudzoziemców i polaków, starał się na nich wpływy swe wywierać. Trzymając się strony Paolego, wraz z nim Korsykę anglikom oddał, ale we własnéj swéj ojczyźnie znienawidzony, uczepił się lorda Elliot, który podówczas był posłem w Wiedniu i od r. 1795 zaczął prowadzić awanturnicze

życie, służąc jako tajny agent Austryi, Prusom, Anglii i Rosyi. Ciągłe jego podburzanie Niemców przeciwko Francyi i deklamowanie przeciwko tyranii Bonapartych skłoniły wreszcie Napoleona, że w warunkach Tylżyckiego pokoju wymienione było żądanie, żeby Pozzo di Borgo, przestał być agentem rosyjskim. Ten warunek był właściwie podstawą fortuny awanturnika, gdyż Aleksander I przypomniawszy sobie późniéj, jak Napoleon oddalenia Pozzo di Borgo się domagał, przywołał go na swoje usługi z Konstantynopola, gdzie bez zajęcia pozostawał. Umieszczono go w sztabie, mianowano generałem i obwieszono orderami, a gdy jeszcze w 1813 r. wymógł on na sprzymierzonych, żeby Paryż zajęli i gdy się impreza ta udała, znaczenie jego jeszcze więcéj podniosło. Mianowany posłem należał dotąd do wszystkich kongresów. W 1830 r. popadł w niełaskę, bądź że nie umiał zapobiedz lipcowéj rewolucyi, bądź że dowiedziano się o ogromnym kilkumilionowym prezencie, jaki od Ludwika Filipa otrzymał. W 1837 r. wrócił do Paryża i tu mieszkał aż do końca życia, to jest do 1842 r. Zostawił dwanaście milionów majątku. Stanowi on rzadki przykład dziwaczności losu. Bez nauki, bez szerszych na rzeczy poglądów, bez talentów, za pomocą zręczności jedynie doszedł do majątku, najwyższych godności i urzędów. Burbonowie mianowali go hrabią, a jedynem marzeniem jego było zostać parem Francyi i ministrem spraw zagranicznych.

Pani Krüdener przez kilka tygodni bawiła także w Puławach, a nie chcąc w oficynie przyjąć mieszkania, kwaterowała w oberży. Mnie księstwo przeznaczyli żebym był jéj adiutantem, a obowiązki moje polegały tylko na tém, żem wypytywał o wszystkie jéj życzenia co do życia i wygód, rzeczy żądanych dostarczać kazał, rano przyprowadzał ją lub przywoził do pałacu, a wieczorem odprowadzał na kwaterę.

Pani ta, imieniem Walerya, z domu Wittingraff czy Vittinghof, była wnuczką słynnego marszałka Münicha, a żoną pana Krüdener, kurlandczyka, który piastował urząd posła w Berlinie. W r. 1802 napisała romans *Valerie*, który w piękny, egzaltowany styl ujęty zwrócił powszechną uwagę. Że zaś imieniem go swém zatytułowała, przeto wielu myślało, że własnego tam życia opisuje wypadki.

Wtenczas kiedy w Puławach była pani Krüdener liczyła około lat czterdziestu. Blada była, mizerna, o rysach regularnych i bladobłękitnych oczach, zupełnie pozbawionych wyrazu. Mówiła gładko i płynnie, ale w najpotoczniejszéj nawet rozmowie nie mogła się od egzaltacyi powstrzymać. Z obowiązku, jaki mi przy niéj był naznaczony, uważałem za potrzebne nauczyć się na pamięć kilka ustępów z jéj Waleryi, które wyrecytować nieomieszkałem. Szczęśliwa

wielce była z tego, bo w ogóle bardzo lubiła pochlebstwo. Kiedy raz w piękną noc księżycową odprowadzałem ją do austeryi, prosiła mnie żebym się zatrzymał, i uklęknąwszy na stopniach katolickiego kościoła, który się wówczas budował, więcéj jak pół godziny się modliła. Wstawszy, powiedziała mi, że nigdy przy nikim obcym się nie modli i uczyniła to tylko w towarzystwie mojém, ponieważ do mnie ma zupełne zaufanie.

W literackiéj jéj działalności po „Waleryi“ nastąpiły rozmaite pisma i broszury o ludzkości, gdzie pogrążając się w mistycyzm, jako prorokini się przedstawiała. Od r. 1806 aż do 1814, bez względu na słabe zdrowie i wycieńczone siły, zaczęła przebiegać pieszo Rosyą, północne Niemcy, Holandyą i Francyą i zgromadzała naokoło siebie słuchaczy, rozdając im pieniądze i broszury. Zasady jéj nauki, tak powtarzanéj w pismach, jak i rozpowszechnianéj żywém słowem polegały na wprowadzeniu w życie zasad pierwotnego kościoła chrześcian i na zaniechaniu bojów i wojen. Nadto, usunięcie kary śmierci, zwrot swobody ujarzmionym narodowościom i ścisłe wykonywanie miłosierdzia chrześciańskiego dopełniały ten filantropijny system. Wzniosłe i piękne te myśli, które kiedyś przeważą zapewne w przekonaniach, w epoce działalności pani Krüdener nie wielu liczyły zwolenników. Cała Europa wydawała się jednym obozem, a Napoleon, z jednéj, angielskie intrygi z drugiéj strony do gruntu ją burzyły. Każdy myślał o marszałkowskich buławach, księstwach, dotacyach, któremi Napoleon obficie szafował, i kiedy jedni do ciągłych podbojów wzdychali, inni tymczasem myśleli jakby skruszyć Napoleońskie jarzmo. Jéj więc apostołowanie, mogące tam tylko mieć przystęp, gdzie orły francuzkie nie dotarły, nie bardzo do przekonań trafiały. Widząc, że drogą perswazyi do celu nie dojdzie, zaczęła prorokować i wróżyć upadek *anioła czarnego* (Napoleona), którego zwalczy *anioł biały* (Aleksander).

Wskutek tego Aleksander chciał ją poznać, a wyznać trzeba, że odpowiadało to po części jego skłonnościom do rzeczy tajemniczych, w życiu bowiem tego monarchy wiele podobnych przykładów da się przytoczyć. Kiedy z wojskami wszedł do Paryża, pierwszą wizytę słynnéj pannie Lenormand złożył i od niéj kabały zażądał. Słynna ta kabalarka zaczęła tasować karty i podawszy mu je do zebrania, wręczyła także ołówek, żądając, żeby na papierze dowolną ilość kresek położył. Cesarz nakreślił ich jedenaście i rzekł: — Może już będzie dosyć. — Jako najważniejsza część kabały wyszło twierdzenie, że cesarz Aleksander będzie jeszcze jedenaście lat panować i że następca jego umrze wśród niepokojów i ciężkich zawikłań.

Do Paryża niebawem przybyła i p. Krüdener i spotkanie jéj z cesarzem Aleksandrem nastąpiło. Aby dojść do swego ideału i o ile możności usunąć przyczyny wojen, podała ona wtedy główne zasady Św. Przymierza. Cesarz plany jéj akceptował i sam główny ich program podług jéj teoryi skreślił. Ten swój program wręczył następnie p. Alopeusowi i polecił mu porozumiéć się w tym względzie z ks. Metternichem. Wiadomo powszechnie, że Metternich względem zamiarów cesarza Aleksandra stanowił żywą opozycyą, a żądanie wcielenia Saksonii do Prus, a księstwa Warszawskiego do Rosyi było tego głównym powodem. Dopiero powrót Napoleona z Elby politykę austryacką zmienił. Chwycono się Św. Przymierza, rachując, że za pomocą niego potęgę Rosyi skrępują, i choć na kongresie Wiedeńskim główne jego zasady położono, wszakże rozwinięto je dokładnie na kongresie w Aix-la-Chapelle, w r. 1818.

Przez cały przeciąg tych lat czterech p. de Krüdener ciągle pracowała nad cesarzem Aleksandrem, a ustaliwszy wpływy przeważne nad jego umysłem, popychała go do mistycyzmu, religijności i odstąpienia od zasad liberalnych. Późniéj udała się do Krymu, gdzie zajęła się nawracaniem Tatarów, i tam 1825 r. w tymże samym czasie, co i cesarz Aleksander, umarła.

Chcąc właściwie ocenić tę prawdziwie wyższą istotę, trzeba jéj darować nadmiar egzaltacyi i zrozumiéć, że ta cecha jéj charakteru wiodła ją do błędów. Mając wzniosłe i moralne cele przed oczyma, dążyła do nich z namiętnością i nad wybieraniem środków zastanawiać się nie umiała.

W Puławach także w 1806 czy 1807 r. oglądałem słynnego kapitana okrętu Kruzensterna, który między 1803 a 1806 r. odbył podróż naokoło świata i wydał kilka dzieł wielce szacownych. W Puławach przejazdem bawił tylko dni kilka i miłe wspomnienie po sobie zostawił.

Z innych cudzoziemców, o rodzinie gubernatora Geisrucka już wspominałem. Po nim objęli ten urząd naprzód hr. Urmeny, a późniéj Maylath. Ostatni został późniéj kanclerzem węgierskim. Lubił on niepospolicie flaki i skoro tylko do Puław przybył, zaraz o tę potrawę prosił. Obadwaj zawsze w węgierskich narodowych strojach, rozmawiali z księciem Feldmarszałkiem po węgiersku i szczególniéj mego współucznia Hallera pieścili.

Daléj bawiła tu czas jakiś ks. Solms, wdowa po bracie króla pruskiego za ks. Solms wydana, i pani Bagration. Ta ostatnia, żona słynnego wodza, który zginął pod Możajskiem, była wówczas w kwiecie swéj młodości i piękności, choć może nie dosyć była wysoka w miarę swéj tuszy... Pochodziła podobno z jakiejś familii litewskiéj

i po śmierci męża ciągle mieszkała w Paryżu, czasami tylko na lato do Baden-Baden wyjeżdżając. Kiedy była jeszcze młodą, stała na czele elegancyi paryzkiéj i z panią Récamier i ks. Liven o lepsze walczyła. W miarę wieku znikał jéj piękny rumieniec i cera stawała się bladą. To stało się przyczyną, że miała szczególniejszą antypatyą do osób rumianych i na ich widok wpadała w spazmy i pokazywać się lubiła częściéj w nocy, aniżeli we dnie. Wskutek tego prawdziwie nieznośną była dla swéj służby, a szczególniéj dla kucharzy, gdyż w wyborze potraw wielce wybredna, coraz żądała czegoś nowego, a zwłoką się niecierpliwiła. Wyszła za mąż za Anglika, p. Carradock, więcéj znanego pod nazwiskiem lorda Hampden, tego, który jest teraz posłem w Madrycie. Wskutek bankructwa bankiera Tharneissen straciła majątek, wpadła w rozpacz i ze zgryzoty umarła 1857 r. W czasie pobytu w Puławach towarzyszyła jéj piękna księżniczka Zubów i obie one przez kilka tygodni do ożywienia zabaw wielce się przyczyniały.

Chociaż wyliczając wspomnianych tutaj cudzoziemców, chciałem na nich zamknąć szereg figur, które przed oczyma mojemi w Puławach się przesunęły, niepodobna mi jednak nie wrócić jeszcze do kilku swojskich postaci. Tak naprzykład wspomnieć tu trzeba o rodzinie Nagórskich, Litwinów, jadących do Rzymu, którzy tu na parę tygodni się za trzymali. Byli to brat i siostra rodzeni, którzy się ze sobą pożenili i jechali do Ojca Świętego pozwolenie i błogosławieństwo uzyskać. Czy celu swego dopięli nie wiem, bo późniejsze wypadki zupełnie mi o nich zapomnieć kazały.

Z dziecinnemi wspomnieniami mojemi także silnie się łączyły postać ks. Piramowicza, gdyż on pierwszéj spowiedzi mnie słuchał. Naprzód proboszcz w Kurowie, późniéj w Międzyrzecu, jak go zapamiętam, był już w wieku bardzo posunięty. Stracił wzrok, ale się do tego nie chciał przyznawać. Listy sam zawsze pisywał i nie uważał tego, że kreśli niezrozumiałe hieroglify i że najczęściéj większa połowa listu zostaje na stole. Wzrostu nizkiego, otyły, żywy, ruchliwy, oczy miał małe, nos gruby i prosty, usta duże. Życie jego poświęcone było naukom. Oprócz kazań i mów rozlicznych tłómaczył on Dykcyonarz Starożytności i jako członek komisyi edukacyjnéj i towarzystwa do ksiąg elementarnych, wypracował poezyą i wymowę dla szkół narodowych. Lwowianin, pochodzący z ormiańskiéj rodziny, wraz z bratem swoim Stanisławem, który późniéj po nim objął probostwo kurowskie, wstąpił w młodych leciech do zakonu jezuitów. Po kasacyi zakonu Eustachy Potocki, generał artyleryi, użył go za mentora do swych synów Ignacego i Stanisława. Z niemi odbył podróż po Francyi i Włoszech i w r. 1775 do ojczyzny powrócił.

Szczególnym trafem i uczniowie i ich profesor znaleźli się znowu razem w Komisyi Edukacyjnéj, któréj Piramowicz był sekretarzem. Umarł w końcu r. 1801.

Również często odwiedzał Puławy ks. Aleksander Lubomirski, dziedzic Opola, w którém podobnie jak w Puławach był drugi punkt zborny szlachty lubelskiéj. Książę Aleksander ciężkie poniósł straty przez bankructwo Teppera i innych bankierów warszawskich i wtedy w pozostałych mu dobrach Opolskich i Józefowskich zajął się szczerze gospodarstwem, odznaczając się rządnością. Folwarki pojedyńcze w porządne budowle zaopatrzył i na każdym z nich dom mieszkalny dla siebie wystawił, tak że wszędzie mógł bawić tyle, ile mu się podobało. Wzrostu więcéj jak średniego, postawy poważnéj, nosił się zawsze w stroju francuzkim, w peruce tapirowanéj i pudrowanéj. Żonaty z Chodkiewiczówną, stracił swą żonę w Paryżu, w czasie rewolucyi francuzkiéj. Pani ta bawiąc w Paryżu w czasie ścierania się jakobinów z żyrondystami, przez Mostowskiego, kasztelana Raciąskiego wprowadzona została do salonu p. Roland, któréj mąż, także żyrondysta, zgromadzał u siebie głównych przedstawicieli tego stronnictwa. Książęca jéj godność i zaprzyjaźnienie się z panią Roland stały się dla Robespierra powodami wystarczającęmi do uwięzienia jéj i oddania pod sąd po upadku żyrondystów. Niebawem skazano ją na śmierć, a przyjaciele jéj doradzali, żeby ratując się, zeznała iż jest w stanie poważnym, coby na kilka miesięcy, zanim inne środki ratunku się nie znajdą, życie jej przedłużyło. Lecz Lubomirska, z krwi Chodkiewiczów, nie chciała splamić się kłamstwem, tém więcéj że przez takie zeznanie cnotę swą podałaby w podejrzenie. I tak, na kilka miesięcy przed upadkiem Robespierra, pod gilotyną życie swe zakończyła. Książę Aleksander powtórnie się nie ożenił i do śmierci wdowcem pozostał. Córka jego Rozalia późniéj za Wacława Rzewuskiego wydana, w młodych swych latach z ochmistrzynią często Puławy odwiedzała, a po śmierci ojca dłuższy czas tutaj bawiła aż do swojego do Wiednia wyjazdu.

Oprócz niego często tu bywał ks. Fryderyk Jabłonowski, *tirbouchon* zwany, ks. Pelagia Sapieżyna, wówczas żona ks. Franciszka, familia Bystrych, bardzo poważna, Olędzkich, z Czartoryskimi spokrewnionych, książę Sanguszko, wojewoda Wołyński, pan Pokutyński i ks. de Fleury, emigrant. Ci dwaj ostatni wiecznie ze sobą grywali w karty i w bilard, niezmiernie drogo bo po 50 luidorów partya.

Co do emigrantów francuzkich zabawną między nimi figurą był ksiądz Balivier, a właściwie Balievre. Był on wielkim jałmużnikiem dworu Ludwika XVIII, ale z pozoru nie wyglądał wcale na księdza.

Jedyną oznaką duchownego jego stanu była czarna chustka na szyi kiedy inni nosili jedynie białe. Zresztą inne suknie podług ostatniéj mody, fraki kolorowe, buty palone, z ostrogami, a w ręku zamiast laski nosił zawsze szpicrutę, któréj główka drogimi kamieniami była ozdobiona; konno jeździł wybornie, do dam się przymilał i wieczorami na gitarze hiszpańskiéj serenady pod oknem pani Mierowej wygrywał. Wszystko to gniewało ogromnie mego guwernera ks. Laville, który nie mógł strawić, że Ludwik XVIII takiego jałmużnika sobie wybrał. Ile razy ks. Balivier do Puław przyjechał, on się zawsze u siebie zamykał i na pokoje nie wychodził.

Ścisłą przyjaźń z ks. Czartoryską zawiązała pani Wincentowa Tyszkiewiczowa, rodzona siostra ks. Józefa Poniatowskiego, i często także pomiędzy nami bawiła. Średniego wzrostu, blondynka, byłaby bardzo piękną, gdyby nie to, że straciwszy nie wiem z jakiego wypadku oko, zastąpiła je szklannėm. To rysy jéj twarzy szpeciło. Nigdy jéj inaczéj nie widziałem ubranéj jak w amazonce i kapeluszu męzkim na głowie. Nosiła téż długie pukle włosów, które z pod kapelusza na czoło spadając, oko jéj trochę zakrywały. W kilka lat potém, kiedy Talleyrand, książę Benewentu, zamieszkiwał w Warszawie, zawiązała się między nimi szczególniéj ze strony pani Tyszkiewiczowéj tak silna przyjaźń, iż opuściła Warszawę i brata i za Talleyrandem do Paryża się przeniosła i bądź w téj stolicy, bądź w zamku Valençay przemieszkiwała. Talleyranda pieściła, dogadzając wszelkim jego fantazyom ze szkodą własnego majątku. Codziennie, między innemi dawała mu woreczek z 500 frankami, które tenże przyjmował i do gry wieczornéj w karty ich używał. Stosunek ten tém był dziwniejszy, że Talleyrand choć słynął z dowcipu, wdziękami wcale się nie odznaczał. Kulawy, o rysach twarzy nieprzyjemnych, oprócz rozumu nie posiadał nic takiego, coby serce kobiety podbić zdołało. Żonaty, z żoną nie żył, i ta okoliczność stosunki jego z Tyszkiewiczową ułatwiała. Jemu téż całe swe życie poświęciła i, bawiąc ciągle w tych miejscach, gdzie on przebywał, w Paryżu życia dokonała. Dziwnym zbiegiem okoliczności, kiedy ona przeważnie w wązkim gustowała stroju, mąż jéj, jak Ludwik XVIII, w spódnicy chodził. Opowiadała mi o niéj pani Gutakowska, że kiedy w młodości swéj w zamku mieszkała, wybiegła raz do gościnnych komnat i tu spotkawszy Szydłowskiego, starostę Mielnickiego, długo z nim na rozmowie się zatrzymała. Usłyszawszy odgłos nadchodzących, z obawy przed guwernantką w piec się schowała. Nieobecność panny Poniatowskiéj wkrótce wykryto; ale napróżno jéj szukano i dopiero szelest sukien w piecu, pobyt jéj tam wydał. Wleźć jednak przez wązki otwór do

pieca było łatwo, ale wynijść ani podobna, i musiano aż mularzy sprowadzać, którzy kafle porozbierali.

Księżna Wirtemberska, rozwiedziona z mężem, także najczęściéj przesiadywała u rodziców, zajmując się wychowywaniem swego synka Adama, a kiedy książę Ludwik, jego ojciec, matce go odebrał i kiedy cesarzowa wdowa umieściła go w pułku huzarskim gwardyi rosyjskiéj—księżna Wirtemberska zimy spędzała w Wiedniu, a na lato przejeżdżała do Puław.

Hrabia Stanisław Zamojski, ożeniwszy się z księżniczką Czartoryską, przez dwa lata po Francyi i Anglii podróżował, 1802 r. wrócili do kraju ze służbą całkiem z Anglików i Francuzów złożoną. Po powrocie zajął się stawianiem pałacu w Klemensowie, w ordynacyi, i urządzaniem małego domku wiejskiego w Maciejowicach. Tu ogrodnik Francuz, biegły pomolog p. Le Gras założył piękne sady, które dotąd słyną z dobroci i obfitości fruktów. Z powodu bliskości Maciejowic często pp. Zamojscy przesiadywali w Puławach. On całe ranki trawił tu na grze w piłkę, na bieganiu do baryery i na jeżdżeniu konno. W piłkę grywano za pomocą bębenków, nimi podbijając ją w górę. Potrzeba było do tego pewnéj zręczności i ks. Poirsenau tak w téj grze, jak i w bieganiu celował. Jazdy konne zbierały zawsze osób kilkanaście, a ponieważ Zamojski piękne wierzchowce angielskie posiadał, zwykle więc każda przejażdżka kończyła się wyścigami, do których błonie pod Włostowicami wyborne przedstawiało pole.

VIII.

Prawdziwa świetność Puławskiego dworu i towarzystwa tutaj się zgromadzającego trwała właściwie od 1797 do 1806 r. W tym czasie wojna i powstanie księstwa Warszawskiego powoli i młodzież i dojrzałych mężów zaczęły rozpraszać. Pierwsi opuścili nas Szumlański i brat mój stryjeczny Konstanty Dembowski.

W r. 1804 przejeżdżał przez Puławy pułkownik Witt, szef pułku kirysyerów. Ten zaprzyjaźnił się z Szumlańskim i namówiwszy go, żeby wstąpił do wojska rosyjskiego, stopień mu majora wyjednał. Szumlańskiego długo do tego namawiać nie było potrzeba. Przed dziesięciu laty służył on w wojsku polskiem, a późniéj do legionów przeszedł. We Włoszech ranny w twarz pałaszem, zachował nazawsze szeroką kresę na twarzy, ale ta bynajmniéj bardzo pięknego jego oblicza nie szpeciła. Następnie wysłany z depeszami do Egiptu do jenerała Bonapartego, pojmany został przez turecką flotę i w Stambule w straszném więzieniu przebywał. Wyrwawszy się ztamtąd

wrócił do Puław tak wynędzniały i zbiedzony, że widok jego litość obudzał.

Wstąpiwszy nanowo do wojska rosyjskiego, niedługo w niém przebywał i po kampanii austryackiéj w stopniu pułkownika przeszedł do armii księstwa Warszawskiego. Ugrzeczniony, bywalec, dowcipny i przystojny, pozyskał sobie szczególne względy pani de Vauban i ta w spazmy wpadała, skoro go nie widziała na zebraniach w swoim salonie. Za jej staraniami zaliczony do sztabu, bez żadnego wyraźnego zajęcia, za jedyny obowiązek utrzymywanie konwersacyi na zebraniach uważał. Po r. 1812 osiadł w Galicyi, ożenił się majętnie i przywdział strój polski, w którym mu jeszcze więcéj było do twarzy. Córka jego wyszła za ministra Rewitzky'ego.

Konstanty Dembowski, kiedy po ukończonéj w Puławach edukacyi o dalszym losie przemyśliwał, za poradą ojca mego wstąpił do wojska. Wszedł więc jako junkier do Izmaiłowskiego pułku gwardyi i ztąd wkrótce w stopniu podporucznika przeniesiony został do pułku ułanów w. ks. Konstantego. W bitwie pod Austerlitz wzięty został do niewoli. Trzeba wiedzieć, że wówczas ani komunikacye nie były łatwe, ani nie było wielkiéj mnogości gazet, a i te, co istniały, z wielką trudnością dochodziły. W pierwszych więc jeszcze dniach stycznia 1806 r. powszechnie mniemano, że sprzymierzone pod Austerlitz siły otrzymały świetne zwycięztwo i zmusiły Napoleona do przyjęcia uciążliwego pokoju. Szumlański, który wracając z téj wyprawy, do Puław wstąpił, jako oficer gwardyi pogłosce o powodzeniu oręża sprzymierzonych zaprzeczać nie chciał i o bitwie saméj bardzo dwuznacznie się wyrażał. Nadto przywiózł wiadomość, że Konstanty Dembowski poległ na placu boju. Opłakiwaliśmy go wszyscy a szczególniéj siostra jego Rozyna w żalu utulić się nie mogła. Aż tu zaledwie Szumlański do Petersburga wyjechał, wpada w ułańskim swoim mundurze nasz Konstanty. Ten dopiero o austerlickiéj bitwie dokładnie nas uwiadomił i losy swoje tak opowiedział. Wzięty do niewoli, odprowadzony został do Berna, gdzie komendantem fortecy zastał Zajączka, dawnego znajomego swojego ojca. Ten rannego do swéj kwatery przyjął, leczeniem jego się zajął i po zawarciu pokoju uwolnił, środkami na drogę zaopatrzył i do ojczyzny odesłał.

Konstanty Dembowski w r. 1809 opuścił służbę rosyjską i wstąpił do huzarów Umińskiego i tu w tym pułku bitnym lecz nie karnym do r. 1812 zostawał. W 1813 przeznaczony do sztabu marszałka Oudinot w randze pułkownika, po skończonych wojnach już nie wszedł do formującego się wojska polskiego, ale na wsi osiadł, ożenił się majętnie ze swoją kuzynką Witosławską i umarł 1856 roku.

W tymże samym r. 1804 opuścił także Puławy książę Dominik Radziwiłł, zabierając z sobą Łopota, Teodora i Marcina Michałowskich i Jana Narbutta. Przed odjazdem jego wszakże odbyłem jeszcze razem z nim dwie wesołe wycieczki—jednę do Podzamcza, drugą na Zielone Świątki do Warszawy.

Zamojski wyjednał dla miasteczka Maciejowic jakieś nowe jarmarki i na pierwszy z nich całą puławską młodzież, a także i dojrzalszych zaprosił. Że zaś pałacyk w Podzamczu był niewielki, goście więc zajęli stodoły i przez kilka dni wesołośmy się tutaj bawili. Stół, usługa, desery, wina wyśmienite, a uprzejmość gospodarstwa nie do opisania. Co do samego jarmarku, najlepiéj na nim zyskali dworscy służący, którzy pozakładali sklepiki z piłkami, bębenkami, laseczkami i szpicrutami i niemiłosiernie drogo je sprzedawali. Ponieważ każdy uważał za obowiązek na jarmarku coś kupić, przeto prędko ten towar rozchwytano.

W towarzystwie naszém znajdował się p. Julian Ursyn Niemcewicz i tu, o ile mógł spamiętać, okazywał nam i objaśniał plac słynnéj bitwy, w któréj wraz z Kościuszką dostał się do niewoli. Że jednak od lat dziesięciu pozakładano tu klomby, postawiono budowle i parkany, przeto dokładne uprzytomnienie szyku bojowego było dość trudne. Płynie tu mała rzeczułka Okrzeja, środkiem bagnistéj łąki, zarośniętéj rzadką olszynką i ona prawie okala maleńką wzniosłość, którą teraz niemal całą dworskie budynki zajmują. Te wzgórza zajmowała szczupła siła wojska polskiego, a rozmieszczenie jego było takie, jak załączony planik podług wskazówek Niemcewicza nakreślony przedstawia.

Dwie główne przyczyny smutny rezultat spowodowały. Dywizya księcia Ponińskiego, pod Żelechowem zostawiona, na czas nie przybyła i rachunek, że po bagnistéj łączce nie przejdą działa rosyjskie okazał się mylny. Poniński tak, jak Grouchy pod Waterloo, opóźnieniem swojem katastrofę spowodował, ale czy jego była w tém wina, dziś rozsądzić to trudno. Z początku głos publiczny o to go obwiniał, ale jeśli rzeczywiście Poniński nie otrzymał rozkazu, to wina naczelnika, że myśląc o walnéj bitwie potrzebnych sił do niéj nie ściągnął.

Wycieczka na Zielone Świątki do Warszawy odbyła się z całą swywolą księciu Dominikowi właściwą. Wyruszyliśmy dwoma powozami. W jednym siedział książę, ja i Łopot, w drugim dwaj Michałowscy i Narbutt. Ponieważ po dukacie tryngielta dawano, ośmnaście więc mil piasków w przeciągu jednego dnia-śmy przebyli. Po drodze wyprawiano rozmaite figle po karczmach i pocztach i sowicie za wszystko płacono. W Warszawie stanęliśmy w pałacu Ra-

dziwiłłowskim, dziś Namiestnikowski zwanym. Ogromny ten gmach był zupełnie pusty, a burgrabia na przyjęcie pryncypała ani łóżek, ani materaców przygotować nie zdołał. Na sianie więc założyliśmy obóz a po pustych komnatach na wyścigi biegali. Zresztą nie można było tracić czasu na oglądanie téj rezydencyi, bo książę zajęty był przygotowaniem wystąpienia na Bielanach. Skupowaliśmy więc konie, zaprzęgi, powozy i w poniedziałek Łopot, Narbutt i ja paradowaliśmy powozem, a książę z Michałowskimi konno. Na Bielanach nie mięszaliśmy się do wyższego towarzystwa, ale opanowaliśmy karuzele i diabelskie młyny, a książę hojnie traktując rzemieślników, całkiem ich względy pozyskał.

Wieczorem będąc w teatrze, spostrzegliśmy w loży księżnę Bagration z panną Zubów. Załóż się, rzekł do mnie książę, że nie będziesz miał odwagi pójść do loży i przez cały jeden akt rozmową swoją bawić damy. Powiedzenie to ubodło moję ambicyą i zakład przyjąłem. Kiedym jednak do loży wchodził, serce mocno mi biło, a rumieniec na twarz wystąpił. Księżna była osoba dobra i właśnie przed kilkunastu dniami dopiero Puławy opuściła, tam ją widywałem często i nawet parę razy z nią tańczyłem, ale zawsze dla piętnastoletniego wyrostka, zadanie to nie lada bawić tak dostojne damy. Panie przyjęły mile moje odwiedziny, a ja chcąc lepiéj się postawić, na wstępie skłamałem. Powiedziałem, że dopiero co z Puław przybywszy, mam polecenie od ks. Czartoryskiéj złożyć im uszanowanie i oświadczyć wiele ich pobyt w Puławach wspomnień miłych pozostawił; że zaś nie wiedziałem ich mieszkania, korzystam z téj okoliczności, iż je dostrzegłem w teatrze. Księżna podziękowała mi wdzięcznie i na obiad do siebie na dzień następny zaprosiła. Oprócz więc dziesięciu pomarańcz w zakładzie wygranych, zyskałem jeszcze że przez cały czas pobytu w Warszawie, codzień po parę godzin u księżnéj przepędzałem.

Za poprzedniéj mojéj jeszcze z ojcem w Warszawie bytności, miałem sposobność widzieć pokilkakroć Tadeusza Czackiego, z którym ojciec mój jakieś układy zawierał. Nie wiem dla czego, ale ile razy go spotykałem, zawsze on był ubrany w galę, z orderem i wstęgą Orła białego.

Za tamtéj także bytności, pani Sołtykowa kasztelanowa, Sapieżanka z domu, zaprosiła mojego ojca i mnie na podwieczorek dawany w Foksalu dla młodzieży mojego wieku. Ogródek ten nie wielki, na Nowym Świecie położony, składał się z jednéj alei lipowéj, na któréj końcu znajdował się usypany kopiec, dający piękny widok na Saską Kępę i zawiślańskie okolice. Moda ówczesna, władczyni towarzyskich stosunków, obrała maleńki ogródek Foksalu za ulubione

miejsce schadzek i kiedy Łazienki, Ogród Saski i Krasińskich pustkami stały, tu ścisk był niepojęty. Wieczorem zwykle muzyka grzmiała i ulice iluminowano. Po podwieczorku, piątym już zdaje się z kolei, podzieliliśmy się na dwa stronnictwa. Jedno, w którém Ludwik Kicki i ja znajdowaliśmy się, miało bronić kopce, drugie pod dowództwem Romana Sołtyka miało go atakować. W liczbie zdobywających szczególną natarczywością odznaczał się książę Agenor de Grammont, żywy i zapamiętały francuzik. Ten pomimo że kilka razy od kopca był odepchnięty, wdzierał się nań ciągle nanowo z takąż samą natarczywością. Ludwik Kicki, choć młodszy odemnie, ale krępy i silny, nie wiedząc jak się pozbyć napastnika, wziął go wpół i rzucił nim jak piłką. Francuz potłukł się trochę, ale uraził się jeszcze bardziéj i wyzwał natychmiast Kickiego na pojedynek. Ze dwudziestu malców, z których najstarszy czternaście lat liczył, zaprzestało natychmiast zabawy, poprzysiężono tylko wypadek w tajemnicy zatrzymać i co ważniejsza, sekretu dochowano. W istocie nazajutrz pojedynek miał miejsce na pałasze i książę Agenor został lekko zadraśnięty.

W Warszawie także widziałem Ludwika XVIII z ks. Augoulême i ks. Berry. Król francuski bardzo otyły, toczył się raczéj wahając, aniżeli chodził. Książę Augoulême chudy, a książę Berry barczysty, czerwony i pokryty krostami na twarzy. Pozostając w Warszawie, prowadzili życie skromne i bez żadnéj wystawy, nie uczęszczając do towarzystw i nie przyjmując u siebie. Mieszkali na Krakowskiem Przedmieściu obok Bernardynów w domu Wernera i u siebie podobno etykiety przestrzegali surowo. Po niedługim pobycie tutaj, przenieśli się naprzód do Mitawy, a następnie do Anglii.

W tym także roku opuścili Puławy: Maksymilian Fredro, Joachim, Stanisław, Józef i Antoni Hemplowie, Mogilnicki i Białopiotrowicz, do legionów wstępując. Jan Goltz ożenił się z panną Czempińską, kupił dobra Komarno na Podlasiu i tam osiadł, Kruszyński i Deboli wstąpili na drogę urzędniczéj karyery.

Przysłano także po Hallera, żeby go zabrać do Węgier. Przez czas trwania jego edukacyi często go odwiedzali rodzice, ale o to jakie pobiera nauki nie bardzo się troszczyli i nigdy o to nie zapytywali. Dopiero przysłany po niego, jakiś zabity madziar wziął Emiego na surowy egzamin i po zadanych kilku pytaniach zadecydował, że wychowanie jego jako Węgra zupełnie chybione. Aczkolwiek rodzice na czas pobytu w Puławach dodali synowi swemu Węgra Janusza, który miał z nim po węgiersku i po łacinie rozmawiać, jednak, jak to często się dzieje, Haller z Januszem mało się nawet widywał. Teraz dopiero okazało się, że Emi po węgiersku bardzo źle

mówi, praw węgierskich nie zna, a po łacinie wyraża się wprawdzie biegle językiem Horacego i Tacyta, ale nie rozumie łaciny *culinaris*, w powszechnem użyciu u Węgrów będącéj. Pamiętam, że w puławskiéj bibliotece znajdowały się mowy Cycerona, drukowane w Budzie i tłómaczone na *łacinę węgierską*, dla posługiwania się niemi w czasie obrad i sejmów. Tém wszystkiem szczerze się zmartwił poczciwy ksiądz Laville, a i księstwu nie było to bardzo miłem. Z tém wszystkiem, po powrocie do ojczyzny, młody, Haller, oddany do akademii, prędko nabył wiadomości, których mu Puławy dostarczyć nie mogły, i w dalszym ciągu swego życia powszechnie szanowany, był bardzo godnym obywatelem.

Niedługo potém bo około r. 1806 i pensya pani Januszewskiéj pustoszéć zaczęła. Oprócz wydanych za mąż panien Poświatowskiéj i Drużbackiéj, powychodziły za mąż panny Dembickie, panna Tańska i wreszcie panna Weronika Dzierżanowska, którą w Puławach powszechnie za brzydką uważano. Była ona blondynką o wiele jaśniejszą od siostry, oczy miała duże ale wytrzeszczone, co jéj wyraz głupowaty nadawało. Szpeciła ją nadto długa szyja i jakaś niezgrabność figury. Nazywano ją pospolicie to *łabędziem*, to *gęsią* i na balach nikt z nią tańcować nie chciał, tak, że książę i księżna napędzali do niéj tancerzy. Aż między towarzystwem warszawskiem, Puławy odwiedzającém, zjawił się Rautenstrauch, podówczas kapitan przy sztabie księcia Józefa. Był on synem obywatela warszawskiego, posiadającego fabrykę skór wyprawnych i safianów w okolicy Żoliborza. Nim do wojska wstąpił, był domownikiem pod Blachą, nosił mundur Jabłonny i mimo że natura obdarzyła go szczególną brzydotą twarzy, przez swoje staranne wychowanie, dowcip i ubieranie się wyszukane, zdobył miejsce w gronie drugorzędnych elegantów warszawskich. Otóż on odkrył w pannie Weronice wdzięki, jakich nikt w Puławach nie zgadywał. Oświadczył się o jéj rękę i z wielką radością księstwa, a podziwieniem nas wszystkich, z nią się ożenił. Po kilkomiesięcznym pobycie w Warszawie i przy starannéj Rautenstraucha edukacyi z panny Weroniki zrobiła się sławna i rzeczywista piękność. Ale okoliczność ta, zamiast stanowić szczęście męża, owszem stała się jego zmartwień powodem. Pani Rautenstrauch mnóstwem wielbicieli otoczona, męża porzuciła i potrzeba było podać się o rozwód. Mieszkała późniéj w Klewaniu, od siostry swéj pensyą pobierając.

W Puławach w tym roku były w modzie gonitwy piesze i zabawa zwana *zabójcza*. Gonitwy odbywały się w ulicy, prowadzącéj z Włostowic do Parchatki— meta bardzo odległa. W Parchatce damy oczekiwały zwycięzcy i tu otrzymywał on z rąk księżnéj Wir-

temberskiéj wstęgę koloru swéj damy. Gonitw takich kilka się odbyło, lecz gdy wskutek nich jedni mdleli, drudzy się pochorowali, zabawę tę zastąpiono inną, polegającą na braniu szturmem domu na wzgórzu w Parchatce. Całe towarzystwo dzieliło się na zdobywających i broniących. Pozycya obrońców była dość łatwa, bo góra z trzech stron była wielce stroma, prawie prostopadła, z czwartéj zaś strony tylko przez ciasny mostek dostać się tu można było. Zatknięcie sztandaru na górze oznaczało zdobycie fortecy. Zabawa miała długie powodzenie i polegała głównie na podstępach, za pomocą których twierdzę wziąść można było. Następujący po batalii suty podwieczorek i długie po ślicznych górach parchackich spacery, sprawiały, że do rozrywki téj powracano z zapałem.

Wspomniéć także należy o zaszłéj w tym czasie mistyfikacyi Nosarzewskiego. P. Nosarzewski, elegant warszawski, choć w dojrzalszym wieku, późniéj szef biura przy księciu Bassano, zakończył życie we Francyi. Był on bardzo przystojny, dowcipny, a przedewszystkiém zawsze wesoły. Pani Aleksandrowa Potocka rozmawiała raz z nim długo wieczorem o strachach i w końcu zrobiła zakład, że o północy do kaplicy na Parchatce pójść nie będzie miał odwagi.

Zakład stanął, a Nosarzewski znając usposobienie pani Potockiéj, że niezmiernie z ludzi drwić lubiła, przewidywał, że zechce go straszyć. Postanowił więc ją uprzedzić i wcześnie z Puław do Parchatki się wybrał. Przybywszy na miejsce, ulokował się w kaplicy i odziany długiem prześcieradłem, z przyprawioną brodą i twarzą okrytą płótnem nasmarowanem fosforem cierpliwie oczekiwał. Parchatka położona jest na stoku wzgórz, które z jednéj strony ciągną się pod Kazimierz i Dobre, z drugiéj po za Lublin aż do Wąwolnicy. Wioska pobudowana u stoku wzgórz i z niéj rozliczne ścieżki prowadzą na wyniosłości. Na połowie góry wybudowany ładny domek gotycki z cudownym widokiem na Puławy, Kazimierz i Janowiec, daléj domek, o zdobycie którego tyleśmy się razy kusili, wreszcie rozdół, na którym rzucony śmiały mostek i po za mostkiem zaraz rozwaliny kaplicy. Koło jedenastéj w nocy przybyła pani Potocka w towarzystwie służebnych, niosących pakiety zapewne do przebrania służyć mające. Przebyły szczęśliwie mostek, ale z kaplicy naprzeciw nich wyszła straszna postać przebranego Nosarzewskiego. Przestraszone kobiety, rzuciwszy co niosły z sobą, w popłochu do powozu stojącego we wsi uciekły, a Nosarzewski ze zdobyczą tryumfujący do Puław powrócił.

W tym roku także przyjechał do Puław świetny młodzieniec p. Stanisław Grabowski. Świetnym nazwały go całe Puławy, gdyż rzeczywiście głębokością posiadanych wiadomości i obcych języków

wszystkich oczarował. Wracał on z Włoch, z kampanii odbytéj przeciw bisurmanom. Rodzina jego zabiegała usilnie, żeby mógł dostać komandorią maltańską, czyniącą około 24,000 złp. rocznego dochodu, a płatną z dóbr ordynacyi Ostrogskiéj. Choć więc obowiązki zakonu maltańskiego stały się już w tym czasie czczą formą, trzeba było im zadość uczynić i Grabowski, w mundurze maltańskim się noszący, odbył tak nazwaną kampanią, która była prostem zwiedzeniem Katanii, Messyny, Palermo i wierzchołka dymiącéj Etny i złożeniem uszanowania wielkiemu mistrzowi. Grabowski wracając z téj ekspedycyi, zabawił kilka tygodni w Puławach i tu ogólne zyskał pochwały. I do uczonéj dysputy i do towarzyskiéj zabawy ochoczy, tańcował zawsze wiele a w tańcu głowę na lewą stronę pochylał. Z Puław wybrał się do Petersburga, a zdaje się, że powodem téj jego wyprawy były starania o Krzywowierzbę. Król Stanisław August w ostatnich latach swego panowania te dobra stołowe nadał Grabowskiemu. Czyniły one około 40,000 złp. intraty, a ponieważ znajdowały się o parę mil od Włodawy i do Litwy się liczyły, w posiadłość ich wprowadzał Grabowskiego ks. Repnin, podówczas generał-gubernator wileński. Lecz w kilka miesięcy ustanowiono ostatecznie granice trzech dworów i Krzywowierzba odpadła do nowéj Galicyi. Rząd austryacki nadanie królewskie uznał za nieważne, królowie bowiem polscy dóbr swych stołowych nie mieli prawa rozdawać, odebrano więc Grabowskiemu ten majątek i teraz on zamierzył, wsparty protekcyą dworu rosyjskiego, na nowo starania rozpocząć.

Współcześnie w okolicy Puław pozachodziły ważne zmiany. Kurów, dobra po marszałku Potockim na żądanie wierzycieli sprzedane, nabył p. Kuczyński, obywatel majętny z Podlasia. Był to człowiek zacny, lecz słabego zdrowia i tetryk. Kilka lat przedtém, gdy się raz znajdował w towarzystwie w Lublinie, nastawano na niego czemu się nie żeni. Odpowiedział, że w przywiązanie kobiet nie wierzy i przez żart dodał, że z tąby się chyba ożenił, która nie zważając na ludzkie języki, żeby mu dać dowód przywiązania, oknem w biały dzień do mieszkania jego by weszła. W towarzystwie między innemi znajdowała się p. Moraczewska, żona adwokata lubelskiego i matka dwóch córek. Ta nazajutrz w samo południe na Krakowskiem Przedmieściu do domu Henowéj, gdzie właśnie mieszkał Kuczyński przez okno wlazła, wybierając czas, w którym najwięcéj ludzi na ulicy się znajdowało, lub do restauracyi wchodziło. Szlachcica wzięto za słowo i cofać się nie było podobna. Rozpoczęto rozwód, p. Moraczewski za 10,000 złp. praw swych małżeńskich odstąpił i Kuczyński ożenionym się ujrzał. Niedługo jednak swojém

szczęściem się cieszył, bo prędko potém na kuracyi w Reinertz umarł, żonie Kurów i dobra na Podlasiu zapisując. Familia Kuczyńskich długo ją o nieważność testamentu procesowała, ale w końcu nastąpił układ, z mocy którego Kurów i większa część majątków przy wdowie pozostała.

Markuszów nabył hr. Tarnowski, ale rzadziej tutaj, częściéj w Drążgowie mieszkał, żona jego jednak wkrótce owdowiawszy, w Markuszewie osiadła i często Puławy nawiedzała. Ugrzeczniona i z dobrem sercem, ale zanadto dumna i pełna etykiety. Syn jéj Władysław, jedynak, chrzestny syn cesarzowéj Katarzyny II, jeszcze w czasie zjazdu Kaniowskiego zakochał się w pannie Rożnieckiéj, siostrze generała, matka atoli uważając związek ten za niestosowny, wysłała go na wojaż za granicę pod opieką księdza Koźmiana. Ksiądz ten, późniéj surowy biskup kaliski, był w owéj epoce labusiem elegantem, strojącym się w kolorowe fraki i za rozrywkami goniącym.

W tym także roku dłużéj w Puławach bawiła księżna Solms, o któréj już wspominałem, a która nie odznaczała się niczem osobliwem, tylko wysokim wzrostem, ubiorem bogatym i tą szczególnością, że pożerała ogromną masę kartofli.

Przez Lublin przejeżdżali arcyksiążę palatyn węgierski, który poślubił siostrę cesarza Aleksandra i w. ks. Konstanty. Na ich powitanie wyjechał z Puław do Lublina książę feldmarszałek, a z listów przez księżnę do mojéj matki pisanych mogę wnosić o wrażeniu, jakie spotkanie to na nią wywarło. Oboje księstwo zgadzają się, że palatyn przyjął ich z całą dumą i sztywnością niemiecką i wysiadłszy z powozu, głową kiwnął, ale w dłuższą rozmowę się nie wdawał. Przeciwnie książę Konstanty zachowywał się z wyszukaną uprzejmością, która tak staruszka księcia feldmarszałka omamiła, iż wyraża się nawet, że jest to bardzo piękny młodzieniec. Podobno tylko on jeden z księżną Łowicką opinią tę podzielał.

Kiedy myśmy w Puławach bawili się i szaleli, książę feldmarszałek tymczasem męczył się platoniczną miłością, która i dla żony jego i dla całéj rodziny były zabawy przedmiotem. Nie wiem gdzie poznał jakąś panią Leżyńską, podobno w Wiedniu czy w Krakowie. Ani w Puławach, ani w Sieniawie, ani w Bardyowie nigdym jéj nie widział i tylko ojciec mi opowiadał, że była to osoba młoda, otyła, ale nieosobliwéj piękności. Przy pierwszym spotkaniu podbiła staruszka zupełnie i od téj pory bezustannie pisywał do niéj strzeliste listy, prosząc żeby albo do Puław zjechała, albo naznaczyła mu miejsce, gdzieby mógł do niéj przybyć. Do listów dołączane zawsze szły bywały sute prezenta, na które sumy niemałe. Pani Leżyńska

ani do Puław przybyć nie chciała, ani miejsca pobytu swojego nie wskazywała, kręcąc się ciągle między Lwowem, Warszawą, Krakowem i Wiedniem. Gdziekolwiek tylko ruszył się książę o biletach, bukietach i podarkach dla damy swego serca nie zapomniał. Księżna Wirtemberska pisze z Wiednia do mojéj matki, że od rana do nocy chodzi z ojcem po sklepach, wybierając prezenta dla znajoméj damy. W Warszawie obowiązek ten włożony był na p. Borysławskiego, a bukiety z Puław p. Boczkowski odwoził, co zaś do wyboru kwiatów długie zawsze odbywały się narady. Kilka lat trwały te zabawne marzenia i ograniczyły się tylko na korespondencyi, ani razu bowiem książę swéj Dulcynei nie spotkał.

W tym roku także wrócił z Paryża p. Żaboklicki, który zwykle bardzo często i długo w Puławach przesiadywał. Ostatnia jego bytność w Paryżu nabrała wielkiego rozgłosu, kiedy bowiem prezentowano go Napoleonowi, ten niezmiernie głośno, tak że wszyscy zebrani słyszeli, zaczął przed nim tłómaczyć stanowisko swe względem Ludwika XVIII i protestować przeciwko licznym koalicyom, jakie mocarstwa przeciw niemu wiążą. Żaboklicki, Bogu ducha winien, nic nie odpowiedział i długo nie mógł wyjść z osłupienia, ku wielkiéj uciesze francuskich dworaków.

(*d. c. n.*).

Przyczynek do literatury mazurskiéj.

Rozprawka, którą poniżéj ogłaszamy, stanowi ustęp z pracy obszerniejszéj, któréj drugi rozdział wydano w roku bieżącym w Poznaniu. Ukończeniu całości stanął na przeszkodzie przedwczesny zgon autora, mało jeszcze u nas znanego.

Julian Jan Ossowski, doktór fil. uniwersytetu Królewieckiego, rodem z Pomorza Gdańskiego, czyli tak zwanych dzisiaj Prus Zachodnich, zamiłowany był przeważnie w lingwistyce, zajmował się sanskrytem, językiem starosłowiańskim; pracował téż na polu etnografii, próbował tłómaczyć Mahabharatę i największy utwór poetyczny litewski—„Rok“ Donalicyusza; pisał o „Zabytkach języka dawnych Prusaków“ w drugim tomie Roczników towarzystwa naukowego Toruńskiego, a do „Słownika geograficznego“ nadesłał—ciekawe wiadomości o Mazurach pruskich. Miał lat 26 zaledwie, kiedy śmierć dnia 4 lutego roku bieżącego w Królewcu przerwała pracowite a skołatane przeciwnościami życie, wtenczas właśnie, gdy z jego działalności naukowéj i praktycznéj rokować można było najlepsze owoce i dla piśmiennictwa naszego i dla biednych Mazurów pruskich, o których nawet najbliżsi pochodzeniem i sąsiedztwem bracia, Mazurowie nasi, zdają się zupełnie zapominać.

Gdyby praca niniejsza Ossowskiego przyczyniła się do rozbudzenia u nas żywszego zainteresowania Mazurami północnymi, byłoby to najpiękniejszym dla pamięci zmarłego pomnikiem.

Prusy Wschodnie należą pod względem etnograficznym do najciekawszych prowincyi pruskiego państwa. Ludność, która im nadała imię, wymarła przed dwoma wiekami, w jej miejsce wstąpili osadnicy Niemcy, posprowadzani z różnych niemieckich okolic. Półno-

cno-wschodnią część prowincyi zajmowała i zajmuje poniekąd dziś jeszcze część narodu litewskiego, która dostawszy się pod panowanie Krzyżaków, dzieliła dotąd losy reszty mieszkańców Wschodnich Prus, z wyjątkiem ma się rozumiéć Prusaków, od których znacznie dłużéj potrafiła się oprzéć wpływowi germanizacyi. Na południe od pruskich Litwinów napotykamy nareszcie ludność polską, która przyszedłszy z Mazowsza, zajęła opróżnione siedziby dawnych Sudawitów i Gulindów. I tu aż do najnowszych czasów stosunkowo nie zbyt daleko postąpiła germanizacya. Język polski zachował się u ludu w téj mierze, że jeszcze dziś w większéj części pruskiego Mazowsza ludność wiejska jest przeważnie polską. W licznych wioskach mazurskich można zastać dosyć ludzi, szczególnie kobiet—nie umiejących ani słowa po niemiecku. Po polsku rozmawiają rodzice z dziećmi gospodarz z parobkiem; w kościele musi pleban przemawiać do ludu po polsku, obywatel, kupiec, a nawet urzędnik mający z ludem do czynienia, jest zmuszonym, używać języka polskiego.

Ale też na tém koniec polskości u Mazurów: poczucia narodowego brak tam zupełnie, czemu się zresztą nie dziwić, bo Mazury przez tyle wieków od Polski odcięte, zostawały i zostają całkiem pod wpływem niemieckim. Wszystko, co ma jakikolwiek wpływ na ludek mazurski, działa w duchu germanizacyjnym: kościół, szkoła, większa posiadłość ziemska, wojskowość a nie pomału wreszcie i *literatura mazurska*, jeżeli tą nazwą oznaczyć wolno objawy piśmiennictwa, z jakiemi się poniżéj mamy zapoznać.

Pruski Mazur nie wiele czyta. U wyrobnika tłómaczy się to nie trudno, ale i gospodarz, któremu stosunki zewnętrzne pod tym względem nie stawiają przeszkód i który ma odpowiednie wykształcenie, nie zawsze znajduje czas i ochotę, by zasiąść nad książką. Biblia, kancyonał, postyla, daléj kalendarz, pisemko przynoszące wiadomości ze świata, w najlepszym razie książeczka z powiastkami lub wierszami, otóż i cała biblioteka naszego Mazura.

Jest tego więc nie dużo, ale i w tych drobnostkach mieści się dosyć ciekawego, zasługującego tém więcéj na uwagę, że okolice, w których owa literatura powstała, należą do najmniéj znanych polskich stron.

Do najbardziéj rozpowszechnionych płodów literatury mazurskiéj, należą niewątpliwie.

Kalendarze.

Bez kalendarza trudno się obejść. Częściéj wypada zajrzéć do właściwego *calendarium*, poradzić się stuletniego kalendarza „jakie będziem mieli powietrze, to znaczy ale za wolą Bożą“ zobaczyć, na

jakie dni przypadają jarmarki po sąsiednich miastach itd. Ztąd nawet wyrobnik odkłada po kilka groszy aby się zaopatrzyć w kalendarz, choćby tylko szczupłych rozmiarów.

Najmniejszym z mazurskich kalendarzy był:

Kalendarz pruski na rok po narodzeniu Chrystusa Pana (1835—43), który jest rokiem (zwyczajnym, przestępnym) zawierającym w sobie (365, 366) dni. W Królewcu, drukowany u Fryderyka Thewinga.

Treść tego kalendarzyka stanowi zwykłe *calendarium* i spis jarmarków p. t. *Rejestr kiermaszów i jarmarków w Prusach Wschodnich i Zachodnich, jako téż w miejscach pogranicznych.* Druk, jak u wszystkich kalendarzy, gocki—papier bardzo lichy, format: mała ósemka.

Nie wiele większym od poprzedniego był kalendarz, wychodzący przez niejaki czas w Morągu u Rautenberga. Tytuł jego taki:

Domowy Przyjaciel, kalendarz na rok... na wdzięczne i pożyteczne używanie w polskim języku wydany od C. L. Rautenberga Godło:

Czytelniku nie bacz nadto na błędy,
Jeszcze nie było ksiąg, ni co je wydał wszędy,
Ni co je kupił, ni co je czytał
Wolności od błędów używał (!)

Podług południka królewieckiego, w Mohrungu, nakładem C. L. Rautenberga.

Domowy Przyjaciel zawiera prócz *calendarium*: „Spiskę jarmarków wszystkich w obwodzie regencyi w Królewcu w Gumbinnen, w Kwidzeniu w Bydgoszu i w Poznaniu;“ dalćj *wieniec opowieści* który otwiera następujący wiersz:

Na nowy rok.

Miną lata i nastają
A my z niemi schodziem;
Dzieje Pańskie wydawają
Zawsze co nam dobrém.
Z dziękowaniem przyjmijże
Jego dobrodziejstwa;
Tedy wszystko, coć Bóg zdarzy
Dać blogosławieństwa.

Godzina bloga nie zwisla (!)
Od nas biednych ludzi,
Gdyż ję Pan tylko przysyla
Co go proszą w pracy.
Rob wiernie, patrz do góry,
Zkąd wszelki darek dobry,

Zsyłan bywa temu, który
Funtem szafuiąc wierny.

Otóż nabądź w roku nowém
Nowe serce i ufność;
Boć zachodzisz pewném krokiem
Coraz bliżey w wieczność.
Obudź się już Panu Twemu,
On Pasterzem wierném
Oddaj się we wszystkiem jemu
A będzie Twym Bogiem.

Następuje kilka pomniejszych powiastek, tłómaczonych po większéj części z niemieckiego. Język i styl równie potworny, jak w powyższym wierszu. Przytaczamy niektóre wzory:

„Królowa po cichu zakrzyknęła, a król sam nie mógł zadziwienia zatrzymować. Bowiem złoto i złoto z woruszka wykulgnęło padając na górę złotą, która się na stole z świeceniem podnosiła. Nuż, wprawdzie! zawołał król, dziwuiąc się z tego—moi gospodarze w Żuławach Wiślijskich mają kasy oszczemne“ (Rocz. 1863. str. 12). Albo:

Przed weselem.

Pogawędziem sobie, ma kochano, twojéj mowy chcę czatować! Głos twój słuchać już cię poczutuię za moje zbawienie. Oprócz ciebie żyć nie można. Albo ty, albo pistolet, Z(a) jedno pocałowanie cały świat tobie kładę do nóg. Żądaj odemnie moje życie za nie, a ofiaruięć z radością. Ach, a ten czas gdy będziesz moja oddana małżonka! Żadnego tedy słowa surowego odemnie nie usłyszysz.

Po weselu.

Ale téż to dziwno, żeby ty się twoją mową wszędzie musisz wtykać, już to nie do wystanku, że wy kobiety zawsze musicie szeptać. Jak téż są już szczęśliwi młodzięci! małżeństwo na diabła się podało! Mój Boże, na te wszystkie wydawki żaden poczciwy mąż nie zarobi. Już zaś nową miotłę! Do wszystkich d......“.

Albo wreszcie:

„Idący w niedzielę na iaytę, (niemieckie *jagd)* a nigdy nie trafiący nic, lubił wiele powiadać o trafnych dziejach swoich na jaycie. Słuchaj wacpan—mówił mu po chwili ktoś—daj mi wacpan talara a chcę panu przez cały dzień być za zaiąca.“

Pisane to niby dla ludu, ale podnosimy tu wyraźnie, że lud mazurski podobną polszczyzną bynajmniéj nie mówi. Germanizmy, błędy gramatyczne, niewłaściwe wyrażenia itd. przypadają całkiem na karb autorów, albo raczéj tłómaczy, którzy zapewnie ze słownikiem

w ręku wywiązywali się ze swego zadania. Zresztą w innych kalendarzach polszczyzna znacznie lepsza, jak to zobaczymy poniżéj. Pod względem treści kalendarze Rautenberga zajmują także nader niskie stanowisko. Powiastki w nich zawarte są pisane w duchu pruskim i mają pouczać Mazura, że nad rząd pruski nie masz lepszego; jaką wartość mają dykteryjki i wiersze, poznał czytelnik z przytoczonych powyżéj przykładów. Na odwrotnéj stronie okładki ma *domowy przyjaciel* „godło.“

Boga się bój
Króla w uczciwości miéj
Bliźniego miłuj!

Jako najlepszy—ale tylko co do treści i tendencyi—uważać należy kalendarz, który wydawał *W. Mencel* w Ełku p. t.

Kalendarz królewsko-pruski na rok po narodzeniu Pana Chrystusa (1848—62) który jest rokiem (zwyczajnym, przybyszowym) zawierającym w sobie (365, 366) dni. Kalendarz astronomiczny i kościelny jest dla prowincyi Prus i jéj południka z Królewca, jako téż oznaczenia dni jarmarkowych podług królewskiego kalendarza normalnego na rok... oddrukowany.

We Łku, nakładem i drukiem drukarni W. Mencla. Na odwrotnéj stronie tytułu czytamy:

„Poświęcono wszystkim czcigodnym wieśniakom mazurskim.

Kalendarz ten wychodził początkowo w ósemce na dosyć lichym papierze, późniéj w zgrabniejszym formacie i ozdobniejszém wydaniu.

Mencla kalendarz zasługuje pod niejednym wzlędem na uwagę, dla tego zamierzamy przedstawić czytelnikowi po krótce treść niektórych roczników.

I tak rocznik 1853 zawiera: pieśni *Na nowy rok* i *w święto żniw*, o których autorach niestety niczego się nie dowiadujemy. Pieśń „na nowy rok“ powtarza się i w kilku innych rocznikach, przytaczamy ją przeto, jako wzór języka i stylu:

Tobie bądź, Panie, chwała wszystkiego świata,
Żeś nam dał doczekać nowego lata;
Daj abyśmy się wszyscy odnowili,
Grzech opuściwszy, w niewinności żyli.

Użycz pokoju, użycz twéj świętéj zgody;
Niech się nas boją pogańskie narody,
A ty nas nie chciéj, odstępywać Panie
Ale nam racz dodać pomocy na nie.

Łaska twa święta niech już będzie z nami
Boć nic dobrego nie uczynim sami
Mnóż w nas nadzieję, przyspórz prawéj wiary
Niech rozeznamy prawdziwe twe dary.

Błogosław, Panie, ziemi z swojéj szczodrości
Niechaj nam doda dostatek żywności.
Uchowaj głodu i powietrza złego
Daj wszystko dobre z miłosierdzia swego.

Następuje przegląd polityczny z ubiegłego roku p. t. „*Z lat przeszłych*, w dzień narodzenia Jego królewskiéj mości 15 października napisano.“ Artykuł pisany przez W. M. (więc pewnie Mencla samego) odznacza się bardzo złym językiem. I tak czytamy: „Pamiętnik (t. j. pomnik) sam jest piękne dzieło czułości, początek mające od zastępców prowincyi a wystawione z powszechnéj dobrowolnéj składki wiernych obywatelów jéj. Z błyszczącego kruszcu dobytych działów lany, wysoko stojący na świecąco-szlufowanym kamieniu granitowym, wystawia króla w mundurze jeneralskim a w fałdzistym płaszczu królewskim, siedzącego na wybornym koniu, na głowie mającego wieniec laurowy...“ Podobne zdanie jest dla chłopa mazurskiego całkiem niezrozumiałem. Daléj idą: *Słowa miłościwego napomnienia dla naszych służących* kończące się następującym wierszem:

Folgując światu złemu, srodzem w grzechach zbłądził,
I żem potępienia winien, samém się osądził.
Ratunku już potrzeba, mój Panie, twojego
Bowiem ty nie chcesz zatracić stworzenia swojego.

Rozprawa *o Zabobonach* podaje—w stylu pierwszego artykułu—nauki o powstaniu i istocie zabobonów. „Zabobony zowią się próżne, fałszywe, marne mniemania, niby próżnowiarstwa, marnowiarstwa, dziwnowiarstwa. U Egipczyków, Rzymianów i Greków była wróżba kunsztem sławnym i częścią religii pogańskiej... Kiedyśni Niemce, chcący się badać przyszłych rzeczy, przypatrywali się pewnym gałązkom i święconym białym koniom, których mieli za przyjaciele Bogów swoich. Niemce osobliwie pewnym niewiastom przypisywali dar zwiastowania przyszłych rzeczy, postępując podług rady ich. Takowe osoby Weledy lub Alruny zwane, miano w wielkiéj *zaczy*... Zamawianie lub lekowanie jest innym sposobem pomnażania zabobonów. Za ojczyznę tych guseł będą poczytane ziemie Medske, Perske i drugie z tymi graniczące w Azyi... (!)

Następuje kilka pomniejszych artykułów, z których jeden („*o róże*“) poucza nas, że „róża jest zapalenie, zajmujące skórę z palącym bólem i pospolicie z gorączką połączone...“

Pod rubryką *Różne rzeczy* podaje wydawca kilka bajek tudzież porad gospodarczych.

Inny rocznik (1858) zawiera prócz przytoczonéj już pieśni na nowy rok *Niebieską pieśń chwały*, tj. tłómaczenie hymnu ambrozyańskiego. Pierwsza zwrotka brzmi:

Wielki Boże wielbimi Cię
Wychwalamy możność twoję,
Świat przed Tobą kłania się
I podziwia sprawy twoje
Jak byleś od dawności
Tak będziesz i w wieczności.

A ostatnia:

Zmiłuj, Panie, zmiłuj się
Użycz twego pożegnania.
Niech twa chwała cieszy wsze
Dla twojego zmiłowania
Niech nie będziem zgubieni
Ale wiecznie zbawieni.

Następujące *słowa pociechy w nowym roku, które ojciec domowy ma do swych przynależących mówić* zawierają rozmaite nauki i napomnienia.

Nauka starego Richarda, jakim sposobem się można stać bogatym a szczęśliwym jest nieudolném tłómaczeniem z niemieckiego. W dosyć gładkim języku odzywa się daléj, pewnie ksiądz jaki, *do ludu wiejskiego*, napominając go, aby się starał raczéj o dobra wieczne, aniżeli doczesne.

Artykuł *o chowaniu bydła* jest bardzo rozwlekły a nadto złym pisany językiem.

Następują *Rozmaitości*, pomiędzy któremi kilka bajek, mianowicie *pszczółka i gołąb*, *owieczka cierpliwa*, *mrówki* i *świercz* (tak). Przytaczamy tu drugą z rzędu:

Owieczka cierpliwa.

Owieczka piękna, młoda, mała,
Jak pokorna, tak i śmiała (?)
Wełnę jakby jedwab miała
Wszystkim chłopcom się udała.

Arędarza syn z rozpusty
By z nią igrał, swawolował,
Wziął ją do swéj izby pustéj
I tam sobie oną chował.

Wnet owieczki ładność znikła,
Chłopcu także też obrzydła,

W izbie siedzieć nie przywykła,
Wypędził ją więc do bydła.

Gdy z owcami się złączyła,
Niewygoda, mróz ze słotą
Była owcy zawsze miła
Ponosiła je z ochotą,

I nożyców się nie bała
Dała się strzydz bez lękania.
Kto przywykły, cierpieć z mała
Umie cierpieć bez stękania.

Ucz się, z młodu być cierpliwym,
Choć ci krzywdę drugi zrobi.
Odpuść chętnie—być cnotliwym,
To człowieka nader zdobi.

Żałować należy, że polszczyzna w naszym kalendarzu taka niepoprawna. Co do tendencyi stoi on znacznie wyżéj od kalendarzy jańsborskiego i leckiego, z którymi się spotkamy poniżéj. Działa i on w duchu prusko-ewangielickim, ale nie szerzy przynajmniéj wprost nienawiści ku polskości, jak to czyni p. Gąsiorowski w jańsborskim, albo ku katolicyzmowi, co sobie jako główne zadanie postawił p. Jersz w leckim kalendarzu.

Pod względem treści przyznać trzeba, że wydawnictwo leckie podaje wcale zdrowy pokarm duchowy dla ludu. Czasami zasługuje ona i zkądinąd na uwagę. I tak znajdujemy w roczniku 1855 pieśń ludową, używaną na Mazurach przy okrężném. Czy się zresztą ta pieśń śpiewa wszędzie tak, jak podaje kalendarz, nie umiemy powiedzieć. Załączamy kilka zwrotek:

Plon.

1. Plon, niesiem plon
Ze wszystkich stron.
Oto z niwnym wiankiem
Idziem raźni żeńcy
Com to wyszli rankiem
Dziewki i młodzieńcy,
Plon, niesiem plon.

2. Plon, niesiem plon
Ze wszystkich stron.
Radujcie się wszyscy
Mili oraczkowie,
Jużci dożynają
Pilni żynaczkowie.
Plon, niesiem plon.

4. Plon, niesiem plon
Ze wszystkich stron
Krążylim. krążylim
Już żytka dożęlim
Dożęła dzieweczka
W upale słoneczka
Plon, niesiem plon.

8. Plon, niesiem plon
Ze wszystkich stron.
Idziem wyśpiewując
Żniwny wianek nosim
I o sutą ucztę
Gospodarza prosim.
Plon, niesiem plon.

25. Plon, niesiem plon
Ze wszystkich stron.
My się nie lenimy,
Nie boim się pracy,
Bogu się téż w niebie
Podobają tacy.
Plon, niesiem plon.

Wszystkich zwrotek razem jest dwadzieścia ośm.

Niekiedy znachodzą się pieśni, opiewające jakiś wypadek z historyi mazurskiéj, jak np. pieśń przytoczona w kalendarzu na rok 1857, p. t.

Mor w Prusach w r. 1709
Nóta jako: Usłysz prośby moje.
1. Miła Pruska ziemio, łzami się oblewaj
„Rozżalże się Boże“ mów—a smątnie śpiewaj,
Pomiąc na to, jak śmierć czyściła te kąty
Gdy pisano tysiąc siedmset i dziewiąty.

Widać, że nasz autor niestety za mało obeznany z prawidłami języka polskiego, zkąd idzie, że jego elukubracye robią wcale dziwne wrażenie. Cóż powiedziéć np. o następujących zwrotach?

11. Kogo ta zaraza morowa ruszyła,
W tego zdrowiu tedy miarna ufność była.
Gdy od gruczół, wrzodów wielki ból ponosił,
O koniec zbawienny Pana Boga prosił.

21. Choć którzy zostali, ze swém biadę mają
Sąsiedzi téż zdrowi od nich uciekają.
Nikt *się przyjąć* nie chce, swe zdrowie szanując
Smętnie już pogląda, bliźniego żałując.

22. Jeźli też który padł morem zarażony,
Żeby się kto przyjął, trudno znaleziony.
Tak długo tam leżał, aż się kto zmiłował,
Że śmierdzące trupy zaledwie pochował.

23. Często—żal się Boże—trupy nie schowane
Leżały, gdzie padły, jak wodą zalane,
Nie przyszły i w ziemię gdyż psi nie jednego
Pożarli do szczętu. Cóż nadto gorszego?...

Tenże rocznik zawiera ciekawy wzór plebańskiéj poezyi z dawniejszych czasów. „X. Tomasz Molifor, Pleban we wsi Różyńsku, okręgu Jańsborskiego, ur. 1616—1682 r. ułożył dzień przed śmiercią jako nadgrobek dla siebie, czyli raczéj pożegnanie z życiem i zborem swoim i wszystkim Parafianom i kościelnym przyjacielom a osobliwie panu Borowemu, zboru kościelnemu a komornikowi parafii Różyńskiéj z serca przypisał. Te rymy, przez różne osoby przepisywane, do dziś dnia w Różyńsku się przechowały.“

Poemat jest zbyt rozwlekłym, aby go tu cały przytoczyć, podajemy więc tylko początek:

Tu w téj trumnie zwiędniałe leżą moje kości,
Które Jezus w sądny dzień wzbudzi do radości.
I te téż ciało moje, co teraz zgrzybiało,
Będzie się jako słońce na niebie świeciało.
Tam się kostka z kosteczką, stawek z stawkiem złączy,
Nie będzie z nich leniwy, każdy będzie rączy,
Wszystkie będą ochotne w służbie panu swemu
Już nie będą podległe upadku żadnemu,
Moje ręce niewładne będą w ziemi spały
I Jezusa swojego będą obłapiały,
Ten mój język, co teraz w gębie niemym się stał,
Będzie pieśni anielskie z radością wykrzykał.
I te teraźniejsze tu głuche uszy moje
Usłyszą z wdzięcznéj struny pieśń i radość swoję.
A ta teraz umarła moja trupia głowa
Do korony niebieskiéj będzie już gotowa.
Moje teraz ospałe i oziębłe nogi
Nawiedzą z wesołością one wieczne progi...

Z rokiem 1859 zaprowadził nasz kalendarz zmianę tytułu, mianując się (ale tylko na okładce): *Łeckim kalendarzem gospodarskim.* Stosownie do téj zmiany, zajmuje rubryka p. t. *Gospodarstwo* znaczną część; za nią idą jak dawniéj wiersze—przeważnie religijnéj treści, powiastki, „nauki obyczajowe“, bajki itd.

Niemal równocześnie z Kalendarzem łeckim wychodził w Jańsborku kalendarzyk pod tytułem:

Prawdziwy Prusak ewangielicki. Religijno-patryotyczny kalendarz na rok (zwyczajny, przestępny ....) wydany przez A. Gąsiorowskiego. Johannisburg, nakładem i drukiem Antoniego Gąsiorowskiego.

Kalendarz ten wychodził w małym formacie (w 16-ce), od roku 1866 w 8-ce i to w nakładzie Ernesta Lambecka w Toruniu, pod zmienionym nieco tytułem.

Każdy tomik zawiera prócz kalendaryum i spisu jarmarków: Rocznik do kalendarza ewangielickiego na rok .... wydany przez A. Gąsiorowskiego. Johannisburg na Mazurach, druk i nakład wydawcy.

Dedykacya, umieszczona na odwrotnéj stronie tytułu, brzmi: „Wszystkim prawdziwym Prusakom z powinszowaniem Nowego Roku — Wydawca.“

Z tytułu samego nietrudno wnioskować, że głównym celem „prawdziwego Prusaka“ jest propagowanie niemczyzny na Mazurach. W jaki sposób p. Gąsiorowski stara się temu zadaniu sprostać, niech nam pokaże treść niektórych roczników jego kalendarza. Bierzmy pierwszy lepszy, np. Kalendarz na rok 1857. Zawiera on:

„*Zegarek duchowny* to jest krótkie nabożne rozmyślania na każdą dnia godzinę, przez które człowiek chrześciański do pilnego przestrzegania czasu samego siebie pobudzić może.“ Napisy, położone nad pojedyńczemi godzinami, brzmią: „gdy zégar 1 i t. d. bije“ (po niemiecku: wenn die Uhr eins schlägt). Jest to germanizm, do którego się lud już także przyzwyczaił, bo używa powszechnie: „o dwa zégar, o dziesięć zégar...“ (po niem.: um zwei uhr, um zehn uhr).

Następuje: „*dzień 25 Czerwca*, pamiątka publicznego ogłoszenia konfesyi auszpurskiéj przed cesarzem i książętami niemieckimi, w roku 1530.“ Daléj: „*Duchowny posiłek* dla żołnierzy i dla wędrownéj czeladzi“ zawiera różne napomnienia i przestrogi. Za témi artykułami idzie kilka pomniejszych, mianowicie: *Historya* (ma znaczyć: powiastka). „*Dzień 31 Października*, pamiątka początku reformacyi, czyli oczyszczenia albo poprawienia kościoła Bożego.“

Pod napisem „*Odezwy gospodyń do pozostałych*“ następują trzy pieśni, w których zmarłe gospodynie „pozostałych“ żegnają. Pierwsza z nich (na nótę: „Z samego nieba wychodzę“) brzmi:

Kochany mężu Michale,
Dzieci zostańcie na skale,
Która w Chrystusie wam dana
Spiewajcie mu Hozianna.
  Krystyno, córko płacząca
  Z sierotami tu stojąca

Sieroty twoje wychowaj
W bojaźni Bożéj umacniaj.
Janie i ty żono Jana
Cztery me wnuki do Pana
Prowadźcie jako rodzice
By były mu służebnicy.
Ty, pokolenie Wojciecha
Stań się Boża pociecha;
Uciechą Bożą się staniesz,
Kiedy mu wiernym zostaniesz,
Józefie, czwarty w domie mojém
Ze żoną i dzieckiem twojém,
Ach naśladujcie i tego
Wykupiciela waszego.
Katarzyno Karolowa
Zostańże mi i ty zdrowa
Zdrowie dobre da Zbawiciel
Gdy go chwalisz jak Jan Chrzciciel.
Marcinku, mój synu drogi
Nie przekroć mi grzechu progi.
Marcin imię przypomina
Dobrego chrześcianina.
Basiu, któraś z wioski naszéj
Odeszłaś tam do sąsiedzkiéj,
Z daleka méj mogiły
Natężaj tam wiary siły.
Marynko i ty Andrzeju,
Ostatnie mego rodzaju,
Słuchajcie ojca waszego
I téż Boga wszechmocnego.

Artykuliki następujące: *Dzień 15 Października* narodzenie Najjaśniejszego Króla i Pana naszego Fryderyka Wilhelma IV," — *Wielki herb* Królestwa Pruskiego (z ryciną) i *Dzień 24 stycznia*, pamiątka narodzenia Fryderyka II (Wielkiego) ś. p. króla pruskiego" — nic osobliwszego nie zawierają. Tém ciekawsze są *Pieśni prusko-patryotyczne*, których nasz rocznik podaje dwie. Nazwisko poety nie jest co prawda wymienione, przypuszczać należy, że p. Gąsiorowski — z którym się na tym polu spotykamy nieraz — jest sam ich autorem. Przytaczamy tu pierwszą:

Na urodziny królewskie.

(mel. Chrystus żywotem moim).

Królowi chwała, szczęście
Tak, szczęście od Ciebie
Ty Boże, który wszędzie
Go bronisz w potrzebie.

Nowy rok życia Jego
Dałeś mu zaś Panie,
Więc z miłosierdzia swego
Przyjmij dziękowanie.
Tyś go na przykréj drodze
Łaskawie prowadził
I częstoś w wielkiéj trwodze
Królowi doradził.
Ty wziąłeś serce Jego
Pod swoją obronę
Cieszyłeś stroskanego
Strzegłeś jego tronu.
Słowa Twoje są Jego
Posileniem, Boże
On słucha i Twojego
Przykazania strzeże.
On z serca lud miłuje
Jego cześć, cześć nasza.
On z ludem boleść czuje
Dla niego uprasza.
Więc dziś od Ciebie, Panie,
Lud pruski z pokorą
Ach daj mu długie trwanie
I bądź mu podporą.
My zaś ślubujem wiecznie
Stać za naszym Panem
Trwać w szczerości statecznie
Daj to Boże, Amen.

Druga z „pieśni patryotycznych“ p. t. *Stary rycerz do swojego syna* jest dosyć nieudolnym przekładem niemieckiego poematu: *der alte Ritter an Seinen Sohn.*

Kilka powiastek, porad gospodarczych i leczniczych, dykteryjek (o Sowizdrzale) zamyka rocznik.

W Kalendarzu na rok 1860 znajdujemy:

Słowo *do czytelników* w którém wydawca życzy wszystkim stanom prawdziwego pokoju.

Pod napisem: *Przelanie krwi w Toruniu w roku 1724* następuje bardzo długa relacya o znanym procesie Jezuitów toruńskich przeciw burmistrzowi miasta i spólnikom. Cały artykuł jest zresztą wyjętym z *Prawdziwego ewangielika polskiego*, pisemka, jakie przez krótki czas p. Gąsiorowski sam wydawał.

Dalszą treść tworzą artykuły pod napisem: *Modlitwa strapionego* (wierszem). *Śmierć najprzewielebniejszego generalnego Superintendenta prowincyi Prus pana D-ra Sartoriusa w Królewcu;* wiersz *do Boga* z takim końcem:

Gdy nadejdzie chwila sądu straszliwego,
Nie trać mnie nędznego, Boże.
Nie karz mnie w grzechach tak zapędzonego
Gdyż odtąd grzeszyć się trwożę.

Za tym wierszem idzie: *Pamiątka reformacyi 31 października*, daléj tłómaczenie *pieśni Lutra: Eine feste burg ist unser Gott*, cokolwiek odmienne od tłómaczenia, jakie podaje mazurski kancyonał; kilka powiastek i porad, a wreszcie znowu trzy *pieśni patryotyczne*. Pierwsza z nich jest ułożoną *na pamiątkę dnia 27 stycznia 1859* i zawiera pomiędzy innemi następujące zwrotki:

Chociaż po polsku mówimy,
Rząd pruski sobie chwalimy,
Bo rząd pruski sprawiedliwy
Ku poddanym dobrotliwy.
Polacy w Księstwie Poznańskiem
W Szląsku, w kraju Pomerańskim
I w Prusach Ciebie witają
Bogu cześć winną oddają.
Polakami nie pogardzaj
I kraje tylko obieżdżaj,
Toby ich wielce cieszyło,
Miłość ku tobie mnożyło.
Oni ci hołd oddawają
Pieśni radośne śpiewają
Królewiczu urodziwy
Radość wielka — to nie dziwy!

Pod pieśnią czytamy, że „powyższe wiersze patryotyczne na pamiątkę urodzin Prynca Pruskiego, który za łaską Boga czasu swego będzie królował w kochanéj ojczyźnie naszéj, nadesłał pewien szanowny kapłan z W. Ks. Poznańskiego.“

Dwie następujące są tłómaczone z niemieckiego i to pierwsza podług pieśni: *dem König sei mein erstes lied*, druga podług piosnki *König Friedrich Wilhelm lebe*. Początek pierwszéj taki:

Najpierwszą pieśń, Królu Tobie, śpiewać ja powinny,
Boś obrońcą, twierdzą mocną dla naszéj ojczyzny....

Druga rozpoczyna się od wiersza:

Jeszcze Fryderyk Wilhelm, król nasz żyje, nam Bogu dzięka....

a podaje jako przedostatnią zwrotkę:

Co jego ojcowska wola przed (1) lud swój dla dobrego
Wymądrzyla, niech to pełni każdy z serca szczerego.

---

(1) *przed* zamiast *dla* używa się powszechnie na Mazurach.

To tedy błogosławieństwa wiele każdy użyje,
Jeszcze Fryderyk Wilhelm, król nasz żyje, nam Bogu dzięka.

W *korespondencyi ze Szląska austryackiego* wyraża pewien szląski ewangielik swe zadowolenie, że pan Gąsiorowski wydaje *Prawdziwego ewangielika polskiego*, którego wita prozą i wierszem. Polszczyzna zresztą i tu bardzo niepoprawna.

Kalendarz na rok 1861 pokazuje pomiędzy innemi, w jaki sposób p. Gąsiorowski wyrabia „patryotyczne pieśni pruskie." Umieszczona na str. 73: *Modlitwa dla patryotów pruskich* („Nóta znajoma") brzmi:

Boże, coś Prusy przez nieliczne (!) wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś je zasłaniał tarczą Twéj opieki
Od nieszczęść, które przywalić je miały,
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Prawo słuszności daj nam poznać, Panie (!!).
Ty, któryś potém tknięty ich upadkiem
Walczące wspierał za najświętszą sprawę,
A chcąc świat cały mieć twych sądów świadkiem,
W rozbiorze Polski pomnażał ich sławę,
Przed twe ołtarze i t. d.
Boże, którego ramię sprawiedliwe,
Złociste berła władców świata kruszy,
Zniszcz wrogów naszych zamiary szkodliwe
Obudź uczciwość w każdéj pruskiéj duszy.
Przed Twe ołtarze i t. d.
Boże najświętszy, przed Twojemi cudy
Kiedy chcesz, znikną żądze złego boju;
Węzłem pruskości połączysz Twe ludy
Pod jedno berło pruskiego pokoju.
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Sprawiedliwości naucz Prusy, Panie (!).

Komentarz byłby tu zbytecznym.

Zresztą zapożycza się p. G. i przy innych sposobnościach. I tak artykuły: *Przekład biblii na język polski* i *Towarzystwo Gustawa Adolfa* (rocz. 1865) są wyjęte z *Rocznika ewangielickiego, poświęconego rzeczom kościoła i szkoły*, wydawanego przez *Jana Śliwkę* w Cieszynie 1863 roku.

Dziwnie od tendencyi całego kalendarza odbija korespondencya z austryackiego Szląska (r. 1865) w któréj autor występuje przeciw tendencyjnemu uciskaniu języka polskiego, wyrażając się np. w ten sposób: „Zapewnie przyszliby i ci do poznania opacznego mniemania swego, którzy myślą i sądzą, że człowiek umiejący cokolwiek język niemiecki już jest człowiekiem wyćwiczonym i mą-

drym. Jeźli wyćwika i mądrość od znajomości niemieckiego języka zależy, na cóż niemcom szkoły? Wzdyć już tam małe dzieci, nawet i pasterki z przyrodzenia po niemiecku mówić umią! A jeśli się polskie dzieci dla jakiegoś pożytku, zwłaszcza dlatego po niemiecku uczyć mają, aby się z niemcami porozumieć mogły, czemuż dla tego pożytku niemieckie dzieci po polsku się nie uczą? Czy wielka część ludu niemieckiego niema z ludem polskim do czynienia? żyjąc nawet między nim. Czemuż niemieckie dzieci nie marnują młodego wieku swego na nauce cudzego języka, jako się tego od polskich dziatek domaga, a przez co one inne potrzebne wiadomości zaniedbywać, lub całkiem opuszczać muszą? Z téj przyczyny téż śmiało rzec można, że przytrzymywanie polskiéj młodzieży do nauki języka niemieckiego jest największą zawadą i przeszkodą podniesienia się ogółu ludu polskiego na wyższy stopień oświaty i doskonałości umysłowéj."

Co spowodowało p. G. do umieszczenia podobnéj korespondencyi, tego trudno dociec. Czy nie wiedział on o tém, że właśnie rząd pruski chwyta się skwapliwie wszystkich środków, mogących posłużyć do wyparcia ze szkół języka polskiego. Czy mu nie miało być wiadomém, że nawet w podręcznikach, używanych po szkołach (*Heinel*, Gedrängte übersicht der vaterländischen Geschichte) stoją takie zdania: „Es ist ebenso falsch, als *abgeschmackt*, dass man heute zu tage die beiden landschaften Sudonen und Galinden mit dem namen Masuren zu bezeichnen pflegt. Nie haben diese landschaften zu Masuren oder zu Masovien gehört, und wenn die polnische sprache in diesen gegenden *leider!* noch immer die vorherrschende ist, so ist diese *klägliche* erscheinung nur aus der grenznachbarschaft mit Polen, zu erklären. Es wäre übrigens wohl an der zeit, dass die bewohner Sudanens und Galindens aufhörten, sich selbst Masuren zu nennen, ein name, der *sie wahrlich nicht ehrt*, und dass sie endlich der *edlen* deutschen sprache vor der *traurigen* slawischen mundart, in welcher sie reden, den verdienten vorzug geben möchten." a na innéin miejscu: „ziemt es denn dem Preussen, dem bewohner eines deutschen landes, seiner sprache nach ein Pole bleiben zu wollen? Sie ist ein slawischer eindringling, *der auf preussischem boden nicht geduldet werden muss.*" Rząd, który podobne książki rozpowszechnia po szkołach ludowych, nie spojrzałby pewnie zbyt przyjazném okiem na ową szląską korespondencyą — gdyby ją czytał!

Z rokiem 1866 powiększa się format i liczba rycin; duch i tendencya pozostają tymczasem te same, co dawniéj. Opowiadania z historyi Prus (o elektorze Fryderyku Wilhelmie, o Fryderyku II i t. d.) zajmują główną część.

Kalendarz na rok 1867 dodaje jeszcze obrazki z wojny austryackiéj, na któréj uświetnienie załączona tamże:

„Pieśń od jednego Landwermana dzień po téj wielkiéj bitwie pod Koeniggrätz to jest 4 Juli napisana, a od G. Schulz w Jańsborku na polski język przetłómaczona."

Podajemy tu trzecią zwrotkę téj pieśni:

Zwycięztwem umrze (Prusak). Trzęsą doly, góry
Gdyż z kanonów błyskawica trzaśnie.
Choć krwawe mu się otwierają spory
Prusak stoi, choć ogień nie zgaśnie.
Prusak walczy, od szturmu się nie chwiejąc
Z zwycięstwem śmierć, powinność mu się zda.
Smierci naprzeciw idzie się nie bojąc
Prusak umrze, jednak się nie podda.

„Możnaż to czytać i rozważyć, ale do śpiewu za licho ułożone," dodaje pan Gąsiorowski od siebie!

Przeszedłszy na własność *Lambeck'a* w Toruniu, zmienił nasz kalendarz tytuł na *Ewangielicki kalendarz narodowy*. Zgodnie z tym nowym tytułem ustępuje wygórowane propagowanie patryotyzmu pruskiego, jakiém jest napiętnowany *prawdziwy Prusak* i to tak dalece, że np. w rocznikach 1870—1871 nie masz ani słowa o wojnie francuskiéj. Za to znajdujemy tam (r. 1870) dobrze napisany życiorys Amosa Komeniusza, daléj p. t. *Kruświca* ustęp z bajecznéj historyi polskiéj, w którym czytamy następujące zdania: „Jeżeli Niemiec wśród swéj ojczyzny posłyszy wzmiankę o W. Ks. Poznańskiém, wystawia sobie, że tam nie masz nic do znalezienia nad płaszczyznę, piasek, tu i owdzie cokolwiek boru, małe mieściny i nikczemne wioski. O licznych historycznych starożytnościach naszych miast najstarszych mało co jest wiadomo. I jakże téż inaczéj być może, gdy w prowincyi saméj jeszcze tak dużo znajduje się mieszkańców, którzy nic o tém wiedzieć nie chcą. Także przyjemne brzegi naszych niezliczonych jezior, krajobrazy wzgórzystych okolic, na których prowincyi naszéj nie zbywa, mało co są znane."

Tak więc z czysto mazurskiego kalendarza stał się ogólnie polsko-ewangielicki.

Zastępcą kalendarza jańsborskiego został na Mazurach:

„Kalendarz królewsko-pruski na rok po narodzeniu Chrystusa Pana .... który jest rokiem (zwyczajnym, przestępnym) zawierającym w sobie (365—366) dni, podług południka królewieckiego. Ułożył go i wydał *M. Gerss*, pierwéj rektor przy kościele w Wielkich Ster-

ławkach, dopiero w Lecu mieszkający komyssaryusz majątków, prezes rady mieszczkich (tak!) zastępców i członek Towarzystwa starożytności się badającego i Prusyą zwanego w Królewcu. Z obrazikami przez prof. Gubyca w Berlinie. — W Królewcu, nakładem księgarza Theodora Theile (Ferd. Becker)." (1).

Kalendarz ten — zwykle *leckim* zwany (od miasta Lec (Lötzen) w któréм mieszka p. Gerss) — zaczął wychodzić z r. 1858 a wychodzi dotąd p. t. *Kalendarz królewsko-prusko-ewangielicki* i t. d. w Królewcu, nakładem drukarni Hartungskiéj.

I tu sądzimy, że sobie czytelnik najłatwiéj wyrobi sąd o tém wydawnictwie p. Gerssa, jeżeli go zapoznamy z treścią kilku co ważniejszych roczników.

Kalendarz na rok 1860 zawiera prócz zwykłego calendaryum *tablicę do stawienia zégara*, która to tablica „pokazuje jak wiele minut i sekundów dobrze chodzący kieszonkowy albo ścienny zégar w południe więcéj albo mniéj pokazać ma; jak porządnie wystawiony zégar słoneczny." Daléj idzie: *Spis monarchów w Europie*, na końcu którego czytamy, że „jest jeszcze więcéj małych Państw w Niemczech i we Włoszech, ale ku wyliczeniu wszystkich książąt nie ma rumu [niemieckie *raum*] w kalendarzu naszym."

Następuje: *Lenora, powieść bardzo piękna* „przetłómaczył ją M. Gerss z niemieckiego jak 13 lat stary był" (2). Jest-to tłómaczenie znanéj balady Bürgera, poprzedzone wstępem, podającym treść balady w prozie. Gdyby p. Gerss w trzynastym roku życia był mówił cokolwiek lepiéj po polsku, tłómaczenie byłoby stosunkowo nie najgorszém; niestety nieszczęsne germanizmy pozbawiają je wszelkiéj wartości. Załączamy dla przykładu dwie zwrotki, pierwszą i ostatnią.

1. Lenora czasu rannego
Z cięźkich snów się porwała
I Wilhelma kochanego
Bardzo tęsknie żądała.
Bo on był z królem swym z Litwy
Pociągnął do Pragskiéj bitwy,
Lecz czy zdrów jest, czy chory,
Nie pisał do Lenory.

32. A przy księżycznéj światłości
Duchowie tańcowali
Dokoła w wielkiéj prędkości

---

(1) Pierwszy swój kalendarz wydał p. Gerss w r. 1848 w Rastemborku, ale że w tym samym czasie wyszły kalendarze łecki i jańsborski, nie mogło się wydawnictwo Gerssa ostać i dopiero w 12 lat późniéj ukazał się „Kalendarz królewsko-pruski."

(2) Germanizmem tym grzeszy tylko nasz autor i jemu podobni poeci. Chłopek mazurski powiedziałby: Jak mu było trzynaście lat.

I tę piosenkę śpiewali:
Nie łajaj nigdy na Boga
Miéj cierpliwość choć i trwoga.
Zmarłaś — jéj duszy, Panie
Daj w niebie twém mieszkanie."

Znaną bajkę o gosposi idącéj z mlekiem do miasta zastosował— zapewnie także p. Gerss — do stosunków mazurskich w taki sposób:

Gospodyni z mleki(e)m.

Raz pani Grydzyna
Wziąwszy ze sobą z mlekiem naczynie,
Pójść umyśliła na targ do Ryna (1)
W leciuchnéj zatém jopczynie (2)
Szła sporym krokiem, a dla lżejszéj drogi
Zrzuciła spódnicę i obuwie z nogi.
Więc nasza jejmość, tak podkasana,
Buduje w myśli już cały dobytek
Na swojém mleku, a z jednego dzbana
Dalszy zaczęła układać pożytek.
Myśliła kupić jajek tak ze trzysta
A do nich kilka kluków przysadzić. (3)
Gospodyni ta była z *Małego Notysta*,
Dobrze umiała dom swój prowadzić.
Nie trudno mi będzie — rzekła,
Byłem się zdrowo do domu dowlekła,
Kurczęta wywieść za pomocą Boga,
Choćbyć je i jastrząb zjadał,
I lis je czasem przykradał,
Byłaćby kara niebios już zbyt sroga,
Żeby z nich dla mnie nie ostało się
Aby na jedno prosię.
Z prosięcia będzie i wieprzyk tłusty.
Tego ja przedam w zapusty.
A tak — po troszę, po troszę
Zbiorą się grosze.
Nikt nie zabroni przy takim użytku
Do większéj sumy mojego dobytku
Stargować krówkę; a przy krowie
— Daj Boże tylko zdrowie —
Będzie potém i ciele, które ujrzę rada
Skaczące niegdyś wśród mojego stada.
W tych to myślach podskoczy,
Aż tu jéj płasko przed oczy
Naczynie z gliny. Ach smutny losie!

---

(1) Miasteczko na Mazurach, po niem. *Rhein.*
(2) Niemieckie *joppe.*
(3) Niemieckie *Glucke.*

Kurczęta, kluka i jajek trzysta
Krowa i cielę i wieprzyk i prosię
Zginęły z mlekiem. A gospodyni
Co się tak była już można uczyni,
Z niczem się wróci do swego Notysta.

Dalszą treść rocznika stanowi kilka powiastek, ułożonych podług niemieckiego.

Z czasem powiększył się kalendarz lecki znacznie: podczas kiedy pierwsze roczniki nie obejmowały wiele nad dwa arkusze, zapełnia treść późniejszych nieraz i po dziesięć arkuszy (2). Głównym — czasami jedynym — współpracownikiem jest wydawca sam. Jego pióra są pieśni—oryginalne i tłómaczone z niemieckiego—opisy z dziedziny nauk historycznych i przyrodniczych, poglądy polityczne i t. d. Przeważna część artykułów tchnie duchem anti-polskim, a może więcéj jeszcze anti-katolickim. Rozumie się to szczególnie o kalendarzach na lata, w których się *kulturkampf* najbardziéj dawał we znaki. Otóż treść jednego z nich (na r. 1871).

Na pierwszém miejscu stoi *Modlitwa na nowy rok*, ułożył M. Gerss w Lecu, na nótę: „Kto się w opiekę poda panu swemu.“ W kalendaryum roczném znajdujemy dodane do każdego miesiąca rymowane reguły, podług których rolnik z pogody odnośnego miesiąca może wnioskować, jaka będzie pogoda w następującym; daléj napomnienia, żeby budować domy z cegły i „przykrywać je dekówką“ bo

Trwalszy z cegły postawiony
I w dekowkę opatrzony —
Przez to wielką sławę macie,
Jak w pałacu w nim mieszkacie.

Po wyliczeniu innych zalet takiego „pałacu,“ tudzież niedogodności domów drewnianych, konkluduje autor:

Nie brak wszystko razem kupać,
Lecz powoli możesz stupać —
Kilka lat się przygotować
Potém domek twój budować.

Za spisem jarmarków idzie „Spis monarchów i rządów w Europie,“ w którym naturalnie dom pruski najobszerniéj traktowany. O niektórych z jego członków podaje kalendarz nietylko daty genealogiczne, ale i najgłówniejsze fakta z ich życia. Tak dowiadujemy się o następcy tronu, że:

---

(1) Liczba egzemplarzy kalendarza leckiego dochodzi dziś do 11,000.

Kronprync nasz zowie się Frycem,
A ten rzeże, jako biczem
I wojuje mocą lwią.
Wert i Wysembork powiada,
Jaką krzepę on posiada,
Tam pisalim dobrze krwią.

O papieżu w Watykanie czytamy, że „nie ma nic więcéj, jak ten pałac.“

Drugą część kalendarza tworzy: „*Książka roczna*, rozmaite wiadomości w sobie zawierająca i pożyteczna ku czytaniu i ku nauce na rok 1876. Ułożył ją i wydał M. Gerss w Lecu mieszkający.“

W niéj znajdujemy: artykuł o *Janie Husie* (z ryciną); dłuższe opowiadanie z historyi francuzkiéj; „cokolwiek o innych narodach“ i to o *Persach*... „po większéj części podług Herodota, dawnego pisarza greckiego.“ Daléj: „cokolwiek z biblii“ (jak Dawid Goliata zabił), „cokolwiek z historyi o naturze“ (o bawełnie), „cokolwiek z fizyki, czyli z nauki o naturze“ (o balonach czyli baniach lub okrętach powietrznych). Pod rubryką *Powieści* zastajemy powiastkę p. t. o *jefreytrze z Alzacyi, w wojsku niemieckiem służącym* i „kilka bajek, które ułożył *Ignacy Krasicki*, sławny poeta polski.“

Artykuł *o rzeczach konfesyjnych czyli na wyznawanie wiary się ściągających* dzieli się na cztéry części, mianowicie:

1. *Pielgrzymka nabożna.* Tu wylał p. Gerss całą swą ewangelicką gorliwość. Na obrazku uwydatniającym taką pielgrzymkę „widzim księdza katolickiego, który zawsze jest prowadnikiem pielgrzymki, bardzo gorliwie z kobietą czy panną rozgwarzającego.“ Daléj dowiadujemy się, że pielgrzymi „przeszkadzają robocie i ludziom pilnie pracującym, a co gorsza, to napadają czasem ludzi, spokojnie drogą idących,“ w czém zresztą nic nowego, bo „osobliwie szukają papieżnicy *gomonu*“ (tyle co *burdy*). Najwięcéj gniewa się p. Gerss na „niewstydliwych popów.“ Że zresztą z pielgrzymki nie ma się ani odpuszczenia grzechów—„tak bowiem twierdzą papieżnicy“— ani nabożeństwa, dowodzi autor z biblii i z doświadczenia.

2. *O dalszych postępkach papieża i papieżników czyli ultramontanów.* Wykazuje p. Gerss, że „papież i zwolennicy jego w walce z rządem kłamią, uwodzą i podburzają lud, aby świeckiéj zwierzchności nie słuchał.“ Jak haniebnie sobie „papieżnicy“ postępują, widać i ztąd, że głoszą („machlują“), jakoby papież był uwięzionym, podczas gdy tenże „podług prawdy hojnie używa.“ Dołączony obrazek dowodzi tego *ad oculos*. Na jednéj stronie widać, jak papież leży na słomie, a po drugiéj podaje mu ubrana podług najnowszéj mody dama świętopietrze itd. Szkoda, że p. Gerss zapomniał dopisać, zkąd wyjął

te ryciny; jak się zdaje, są one przedrukami może z „kladderadatscha,“ bo rzeczy papieżowi podawane noszą niemieckie oznaczenia, np. „fluchsammlung“ itp. „Przeciw ustawom (rządu) wyrwał się papież, jak Filip z konopi i wydał d. 5 lutego okólnik, „w którym podług dawnego zwyczaju swego mocno klnie...“ Dołączone są portrety „grafa Ledochowskiego, byłego arcybiskupa poznańskiego i gnieźnieńskiego i Förstera, księcia biskupa wrocławskiego.“

3. *List otwarty wydawcy kalendarza leckiego do papieża Piusa IX w Watykanie.* Datowany: w Lecu d. 18 sierpnia 1875 w dzień na pamiątkę batalii zwycięzkiéj pod Grawelottą 1870 r.“ List ten po prostu klasyczny! Szanowny autor rozgniewał się, że papież „wezwał wszystkich, którzy nie są katolikami, aby do katolickiéj wiary przystali,“ a więc i p. Gerssa. To właśnie spowodowało go do napisania owego listu, w którym prosi, żeby go papież przekonał z biblii o prawdziwości swych twierdzeń, w czém tymczasem autor naszego listu upatruje z góry niepodobieństwo. Mimo to zdaje się, jakoby p. Gerss chętnie debatował z papieżem „o rzeczach religijnych“, bo kończy swój list pocieszającém zapewnieniem, że „w drugim liście więcéj rozprawować będziemy.“

4. *Śmierć doktora Marcina Lutra* (z ryciną).

Artykulik o *rzeczach kościelnych* podaje opis jubileuszu pewnego superintendenta. *Statystyczne sprawozdanie z kosztów łożonych na dom sierot w Lecu* poucza nas pomiędzy innemi, że „myto nauczycielów i czeladzi wynosiło 300 talarów 10 gr. 7 fen.“ Z *króciuchnego przeglądu zdarzeń w Europie w czasach ostatnich* dowiadujemy się „o boju rządu z papieżnikami,“ że ci „już cokolwiek nosy pozwieszali.“

W *dokończeniu* zwraca p. Gerss uwagę czytelników na to że od roku 1875 wydaje „na żądanie wielu“ *Gazetę Lecką* o któréj prawda „niektórzy przypisali mu, że im się bardzo zdarzyła i że ją aż do śmierci trzymać będą?—która tymczasem zawsze jeszcze nie dosyć rozpowszechnioną...

Że p. Gerss prócz tego jest i bardzo gorliwym patryotą pruskim, byłoby zbyteczném długo się rozwodzić. Pod tym względem stoi Gerss na jednym stopniu z poprzednikiem swym, Gąsiorowskim. Czasami przewyższa go nawet, jak np. w kalendarzu na rok 1880, gdzie znajdujemy pod „*pieśniami nabożnemi*, *które w polskim kancyonale nie stoją*“ następujący „króciuchny opis życia Najjaśniejszego cesarza niemieckiego i króla pruskiego Wilhelma I, który dnia 22 marca 1879 r. 82 lat wieku swego dokończył. Ułożył M. Gerss w Lecu. Na nutę: „Pola już białe, kłosy się kłaniają.“ Pierwsza zwrotka téj „pieśni nabożnéj“ brzmi:

Ośmdziesiąt i dwa latek przeminęło
I w morze wieczne lotem upłynęło,
Gdy król i cesarz z nieba nam jest dany,
I z łaski Bożéj na ten świat przysłany..."

A cały „króciuchny opis" składa się z 44 podobnych zwrotek!

Tylko pod jednym względem można kalendarzowi leckiemu przyznać pewną wartość: umieszcza on poniekąd „poezye" mazurskich autorów, dość podrzędne co do formy i treści ale zasługujące na uwagę o tyle, że dają pogląd na pewną stronę życia duchowego na Mazurach. Najczęściéj spotykamy się z pp. Donderem z Różyńska i Janem Luśtychem gospodarzem w Małych Zawadach. Ostatni lubi pisać pieśni moralizujące np.

O poniechaniu picia gorzałki.

Na nótę: Ocuć się duchu w téj chwili.

O jakby to dobrze było
Gdyby zapoprzestano,
Pić, co Bogu nie jest miło,
Od niego zakazano.
Oby Bóg się sam, zlitował,
Swiatu rozum ten darował,
Ażeby szalonego
Trunku nie pił żadnego.

Rozum, który jest od Boga,
Od tego odtrącony,
Którego tam ciagnie noga,
Gdzie szatan go dogoni.
I zachęca do głupiego
Trunku nader szalonego,
Aby mógł duszę zgładzić,
Do piekła ją wprowadzić.

Tam, gdzie nie ma wybawienia.
Ani wdzięcznéj ochłody,
Dla płochego przewinienia
I głupiéj, lichej wody.
Dla gorzałki, dla palonéj,
Dla śmierdzącej i szalonej,
Dla brzydkiéj, nierozumnej,
I chytréj, głupiej, dumnej.

O jakiż to czlek cierpliwy
Co gorzałki nie pije.
Tego Pan Bóg dobrotliwy
Pod skrzydła swe ukryje,
I do nieba go zachowa,

Gdzie już radość jest gotowa,
Tym co w trzeźwości żyją
I gorzałki nie piją.

Wszechmogący Panie Boże!
Pomóż się jej wyrzekać—
Wypędź z serca ostre noże
Nie daj nam na sąd czekać.
Daruj nam trzeźwości, Panie
Niech raz przyjdzim przed skonanie
Do żywota wiecznego
Trzeźwym obiecanego.

Daj, niech będzie okazały
Tryumf naszéj trzeźwości,
Niechże przyjdziem do twej chwały
Bo wszyscy, co w niskości
Gorzałczyska nie pijali
Będą w kraju królowali
W łasce u Boga swego
W niebiesiech żyjącego.

Czytelnik zauważył zapewnie z zadowoleniem, że nasz gospodarz pisze lepiéj po polsku od samego p. Gerssa, znacznie niżéj od owego poety wiejskiego stoją także nauczyciele, na których język wywiera niekorzystny wpływ czytanie niemieckich książek a brak lektury polskiéj. Do lepszych objawów poezyi nauczycielskiéj należy pieśń umieszczona w kalendarzu na rok 1881 p. t.

O strasznéj śmierci dwojga małżonków w Olecku.

ułożył *Bogdan*, nauczyciel w Golubiach pod Oleckiem.

Posłuchajże, mój człowieczku,
To co się stało w Olecku,
Roku tysiąc ośmsetnego
Siedmdziesiąt i dziewiątego,

Ogień wybuchł u pewnego
Mistrza warku piekarskiego,
W chlewie bliskim założony,
Aby piekarz był zburzony.

Lecz to się nie wykonało,
Co szatańskie serce chciało.
Boska ręka odwróciła,
Co djabelska sporządziła.

Domek został ocalony,
Ale chlewek jest spalony;

Dwoje ludzi w nim zgorzało
Które w nim swój nocleg miało.

Hermani się nazywali,
Chlebek po wsiach roznaszali;
Zapewnie się zadusili,
Niż się ze snu ocucili.

A nazajutrz znaleziono
I z pod gruzów wywleczono
Ciała obu popalone
I okropnie skaleczone.

Miasto łaskę okazało,
Ciała ich pochować dało,
Bóg mu to pobłogosławi,
Miłym ojcem mu się stawi.

Bez dzwonienia i śpiewania
Poszli do odpoczywania,
Pokoju w ziemi trwałego
Do dnia sądu ostatniego.

Tego, który to sporządził,
Pan Bóg ostro będzie sądził,
Sprawiedliwy Pan jedyny
Za bezecne takie winy.

Zbrodniarz sprzątnął dwie te duszy
Niech go ciężka trwoga ruszy,
Niech jak plewy się rozwije,
Kiedy na nie wiatr powieje.

Czujmyż i módlmy się szczerze:
Wzmacniaj nas, o Panie, w wierze,
Nie wódź nas na pokuszenie
A daj wieczne nam zbawienie.

W tymże roczniku podaje p. Gerss niektóre wzmianki o własnéj osobistości, które tu za nim przytaczamy: „Choć już mam 72 lat, jednak jestem tak czerstwy i zdrowy, że od poranku do wieczoru bez przestanku pisać i studerować mogę i że znów mogłem nowy wydać kalendarz na rok 1881. To wszystko sprawia nasz wieczny, wszechmogący i łaskawy Bóg i ojciec nasz niebieski. Niech będzie jemu za to cześć i chwała i uwielbienie. Przedziwnym sposobem jeszcze i dopiero żadnych nie potrzebuję okularów. Ale i żyję miernie, nie pijąc ani gorzałki, ani piwa, ani araku, ani rumu, ani groku, nie palę żadnéj tabaki i nie jem mięsa świniego. I w jedzeniu jestem miernym.“

Stargane siły sędziwego wydawcy kalendarza leckiego, mimo „miernego“ sposobu życia nie pozwalają przypuszczać, żeby długo jeszcze wydawnictwo swe prowadził. Nie wiemy, kto wstąpi w jego ślady, ale nie podlega wątpliwości, że stanowczego zwrotu ku lepszemu spodziewać się niestety nie należy. Może znowu w jakim pozasłużbowym nauczycielu znajdzie rząd powolnego pomocnika w propagowaniu tendencyi, przebijających się w niemal wszystkich mazurskich kalendarzach. A gdyby się nawet miał znaleść wydawca, który mając dobro ludu na oku, chciał się postarać o polepszenie treści pod względem materyalnym, natenczas obawiać się należy, że i ów przyczyni się do dalszego wynarodowienia Mazurów, przemawiając do nich—że się tak wyrazimy—polską niemczyzną.

Juliusz Jan Ossowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Szkice historyczne z życia żydów w Warszawie od pierwszych śladów pobytu ich w tém mieście do chwili obecnéj, skreślił Hilary Nussbaum. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego. 1881 str. IV i 269.

„Warszawska gmina starozakonnych, w rodzinie gmin żydowskich większych miast Europy najliczniejsza, jest pod względem dat historycznych stałego w tém mieście pobytu najmłodszą z siostr swoich.“ W istocie, dopiero za rządów pruskich, w ostatnich latach zeszłego stulecia otrzymali żydzi prawo, lubo obostrzone różnémi ograniczeniami i opłatami, osiedlenia się w Warszawie, a pierwszy popis z r. 1797 (nie 1793 jak mylnie wydrukowano na str. 25) wykazał 6,997 głów płci obojéj. Dawniéj wolno było żydom przebywać tylko w czasie sejmowym, stałego zaś pobytu wzbraniali im mieszczanie i magistrat na mocy przywilejów z XVI wieku, zatwierdzanych niejednokrotnie przez konstytucye. Już sam wzrost niezmiernie szybki, w ciągu jednego niespełna stulecia do liczby stutysięcznéj, czyni gminę warszawską zajmującym i ważnym przedmiotem badania; autor zaś nadał swéj pracy jeszcze wyższy interes, wytykając sobie za cel poszukiwanie tych faktów „które opóźnienie starszéj braci (izraelskiéj) w ogólnym pochodzie cywilizacyi spowodowały.“ Jako współzałożyciel „nowéj synagogi z chórem i kazaniami polskiemi,“ w któréj czcigodny rabin p. Kramsztyk w r. 1852 wygłosił pierwsze kazanie w języku krajowym; jako wytrwały i gorliwy pracownik na polu zreformowania i oświecenia współwyznawców swoich, a zarazem jako znawca ksiąg religijnych i wychowaniec byłéj szkoły Rabinów, p. Nussbaum posiada najlepsze kwalifikacye do osiągnienia zapowiedzianego celu.

Służyły mu za źródło archiwa: gminy Starozakonnych, magistratu m. Warszawy, Okręgu naukowego i niektórych starszych instytucyj gminnych; dopomagały mu w wielu razach podania „wiarogodnych Starców wyznania Mojżeszowego“ i pamięć własna sięgająca o pół wieku wstecz. Nie gardził też drukami, literaturą, pracami Sobieszczańskiego i Wejnerta, zasłużonych dziejopisów Warszawy, a niejednokrotnie wypadło mu dostarczać objaśnień z obszerniejszych i odleglejszych dziejów Izraela.

Rozdział I jest poświęcony walce przeciwko osiedleniu się żydów w Warszawie, a właściwie zarysowi rozrządzeń prawodawczych i administracyjnych w dawnéj Polsce o Żydach, poczynając od Bolesława Pobożnego i Kazimierza W-go. Nie łatwe-to zadanie, gdy materyał źródłowy jest rozproszony po lustracyach, dyaryuszach, broszurach, pamiętnikach, archiwalnych zabytkach, opracowań zaś dotychczas ukazało się bardzo mało. P. Nussbaum wynalazł przywiléj Zygmunta Augusta z r. 1570 (str. 6), reskrypt Władysława IV z r. 1646 (str. 7), akta o wynajmowaniu sklepów i mieszkań w Marywilu, na Pociejowie, Tłómackiém etc. (str. 18), pozwolenie osiąść w Golędzinowie na Pradze (str. 27) i przywiléj Stanisława Augusta na założenie cmentarza praskiego (str. 28). Szkoda że prócz dwóch ostatnich nie znajdujemy cytat dokładnych, tylko ogólnikową wskazówkę archiwum miejskiego lub Głównego w Królestwie Polskiém. O cmentarzu Praskim i o fundatorze onego Szmulu Jakubowiczu, mógłby autor znaleźć kilka ważnych dokumentów w Aktach Zarządu Gminy Starozakonnych Warszawskiéj Vol. I, lit. C; jest w nich ślad istnienia Bractwa Żydowskiego Warszawskiego w r. 1791 pod zwierzchnictwem Szmula, który otrzymał od wdzięcznych współwyznawców tytuł „starszego nad starszymi.“ Nie zna autor memoryału podanego przez plenipotentów ludu Żydowskiego w r. 1791, podanego do Komisyi Policyi Obojga Narodów, która w rezolucyi swojéj pomiędzy innémi punktami oświadczyła, że w wykonaniu konstytucyi 3 maja „gdy opieka rządowa nad wszystkimi kraju mieszkańcami rozciągniętą została, przeto komisya i żydów z pod tejże wyłączonych nie widząc tém samém prawo Neminem captivabimus nisi iure victum i do narodu Żydowskiego rozciągnione być widzi“ (1). Zresztą wymagać zupełnéj dokładności nie mamy prawa, gdy cały ten rozdział jest właściwie wstępem historycznym do badań nad wiekiem XIX; winniśmy owszem wyrazić uznanie autorowi za wynalezienie kilku nieznanych dokumentów jako też za wyjaśnienia, czerpane

(1) Relacya delegowanych od Najj. Konfederacyi do egzaminu Komisyi Policy str. 15—16 (druk spółczesny z r. 1792).

z życia i obyczaju; z wyjaśnień takich skorzystaliśmy parę razy do swojéj pracy, która obecnie wychodzi z pod prasy drukarskiéj.

Główną stronę dzieła stanowi wykład instytucyi administracyjno-religijnych, ścierania się prądów umysłowych i stronnictw w łonie gminy izraelskiéj, poczynając od dawnych zjazdów generalnych i kahałów aż do walki pomiędzy talmudystami, kabalistami, chassýdami i grupą postępową. Okazuje się, że kraj nasz był ojczyzną wszystkich sekt, obecnie istniejących, i najsławniejszych w świecie żydowskim rabinów. Tu w r. 1817 był wynaleziony „cherem" czyli wielka klątwa, któréj przekład urzędowy znajduje się na str. 44—48 i o któréj treści autor wyraża się następnemi słowy: „Wzdryga się człowiek myślący, czytając ten dokument głupstwa, niedorzeczności i przesądu, ten płód wylęgły w mózgownicach przewodników religijnych, rabinów polskich." Kabaliści ukazują się w XVII w., a patryarchami ich byli Samson Ostropol w Zasławiu i Natan Szpiro. Utrzymywali oni, że mają swych duchów domowych i przepowiadali przyszłość. Założycielem chasydyzmu i pierwszym Cadykiem był Izrael z Międzyborza na Podolu, zwany Beszt (1698—1759), po nim największéj slawy używał Zelman z Lidy (1751—1813) miasteczka gub. Wileńskiéj (nie zaś „niedaleko Witebska" jak sądzi autor na str. 123). W XIX w. było trzech sławnych cadyków, z tych jeden Itsche Majer z Góry mieszkał w Warszawie przy ulicy Chmielnéj a żył do roku 1866. Obecnie naczelnicy chasydyzmu rezydują w Białéj, Górze Kalwaryi, Grodzisku, Kocku, Kozienicach, Mogielnicy, Mszczonowie, Przysusze, Radzyminie, Radoszycach i Warce. Do tych zjeżdża się po kilkanaście tysięcy ojców familii zbliska i zdaleka, opuszczając na cały miesiąc swoje rodziny. „Z nich wyborowa cząstka tylko i najbogatszych lub najpobożniejszych dostępuje szczęścia napawania się bezpośrednim widokiem oblicza Cadykowego i dosięga zaszczytu obdzielania się okruchami ze stołu jego świątobliwości, co wielkiemi zawsze ofiarami okupione być musi. Inni, mniéj szczęśliwi, kontentują się usłyszeniem głosu modlącego się Cadyka, który swoim donośnym i żałośnym lamentem obecnych na wskróś przejmuje. Jeszcze niżéj postawieni zadawalniają się ujrzeniem rąk swego przewodnika duchowego, któremi bezustannie w czasie modlitwy macha i wywija na znak niby znoszenia się z aniołami, którzy go otaczają." Warszawa dostarcza największego kontyngensu tych pielgrzymów, ponieważ $^{2}/_{3}$ jéj ludności żydowskiéj składa się z Chasydów.

I cóż to za szczególna mądrość, jakie zalety pociągają ku naczelnikom sekty ową masę wielbicieli, dochodzących aż do fanatyzmu? Autor nie wykłada, poprzestając na przytoczeniu wydanych

w r. 1792 i 1807 przez rabina Loebla dzieł, które „wyświetlają najskrytsze matactwa i najohydniejsze czyny sekty, przedstawiają nagie fakta praktycznego życia.... oraz szkodliwy wpływ nietylko na Judaizm, ale na całe społeczeństwo krajowe“ (str. 124). Wspomina jeszcze o cudach, czynionych nad bezpłodnemi kobietami za złożeniem hojnych darów pydion zwanych. Wolelibyśmy zamiast takiéj ogólnéj charakterystyki znaleść chociażby streszczenie pism Loebla, dla ogółu nieprzystępnych. Jest wszakże dosyć rysów i faktów do okazania czytelnikom, jak straszną jest otchłań ciemnoty i obłędów mistycznych, w któréj obraca się milionowy gmin żydowski i jak trudném jest zadanie gromadki żydów postępowych, którzy pragną te ciemności rozwidnić. Zasługuje téż na uwagę dziwna okoliczność, że chasydyzm gnieździ się obecnie tylko w Królestwie, chociaż wylągł się w guberniach zachodnich; do wytępienia sekty wystarczył zakaz schadzek ogłoszony przez rząd pod groźbą kar surowych.

Nie będziemy poruszali innych spraw, jak np. przeobrażeń w zarządzie gminy, budowania nowych synagog, aż do ostatniéj, tak okazałéj na Tłomackiém, prac nad oświatą, urządzeniami dobroczynnemi i t. p. Sądzimy, że przytoczone ustępy dają wyobrażenia o wartości dzieła; możemy je polecić wszystkim, kogo obchodzi tak ważna w kraju naszym kwestya żydowska. *T. Korzon.*

Zbiór wiadomości statystycznych, odnoszących się do dóbr ziemskich, obciążonych pożyczką Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Król. Polskiem, wydany staraniem naczelnych władz tegoż Towarzystwa. Warszawa, 1881 r.

Podług obowiązujących przepisów, dobra, przystępujące do pożyczki Tow. Kred. Ziem., winny przedstawić dokładny opis majątku. Opisy takie dla dóbr biorących pożyczkę z taksy, jako sporządzone przez delegacyą sprawdzającą stan rzeczy na miejscu, zasługują na wiarogodność większą od opisów podawanych przy pożyczkach z mnożnika, które przygotowuje sam właściciel i tylko dwóch sąsiadów stowarzyszonych musi opis podpisami stwierdzić. Opisy podobne dotyczą wszystkich stron dóbr, począwszy od przestrzeni. Mieszczą się w nich więc dane o produkcyi rolniczéj, inwentarzu, zakładach fabrycznych, służebnościach i t. p., tak że dają one poniekąd dokładne pojęcie o majątku, służyć mającym za ubezpieczenie pożyczki. Wprawdzie bezwzględnéj wartości nie posiadają lecz chyba tylko pewien stopień przesady zarzucić im można.

Nagromadzone w ten sposób dane, władze Towarzystwa poleciły zestawić i odpowiednio ułożyć, a rezultatem téj pracy jest wymieniony w nagłówku Zbiór.

Pierwsza kwestya, powstająca przy rozbiorze rzeczonego zbioru, dotyczy metody.

Powołane opisy dóbr nie pochodzą z jednego roku, lecz związane są z czasem przystąpienia każdego majątku do pożyczki. Wynika ztąd, że jeśli jeden opis może przedstawiać stan danych dóbr z r. 1870 np., inny dla innych dóbr odnosi się do roku 1875. Tymczasem wszystkie tak zebrane cyfry zostały łącznie dodane i w jednę całość ujęte. Powstaje teraz pytanie, z jakiego czasu są to cyfry? Odpowiedzą nam, że są to przeciętne za pewien okres czasu, lecz nauka inaczéj pojmuje cyfry przeciętne. Aby je otrzymać, należy posiadać liczby za pewien peryod dla wszystkich dodawanych jednostek, jak w obecnym wypadku – pojedyńczych majątków, i dopiero późniéj łączną cyfrę należy podzielić przez liczbę lat a iloraz będzie żądaną przeciętną. Metoda przyjęta zaś przez redakcyą Zbioru jest zupełnie niemal wadliwa i całą jego wartość sprowadza do zera. Przejdźmy zresztą pojedyńcze rozdziały.

Rozdział 1-szy omawia przestrzeń. Wobec trzebienia lasów, przestrzeń gruntów ornych ciągle się zmienia. Dodanie więc cyfr z pojedyńczych lat dla różnych majątków nie daje żadnego o rzeczy pojęcia a cyfra lasów i ziemi ornéj, łąk i t. d. w Zbiorze zamieszczona o niczém nie poucza.

Rozdziałowi 2-mu traktującemu o zabudowaniach gospodarskich i zakładach przemysłowych, prócz ogólnego zarzutu postawilibyśmy jeszcze inny, mianowicie: że rozróżnia budowle z ogniskami i bez ognisk, gdy tymczasem kuźnie należące do pierwszych, nie pozwalają określić dokładnie ilości budynków mieszkalnych. Co do zakładów przemysłowych, to nie rozumiemy celu podawania ich liczby. Jako niewpływające na szacunek dóbr czasami tylko są zamieszczane w opisach; stąd nieścisłość ich liczby. Możemy tak wnioskować między innemi z bliżéj nam znanéj gubernii płockiéj, gdzie ilość powołana w tablicach statystycznych różni się od rzeczywistéj.

Jeśli dane o przestrzeni i budynkach wobec wadliwéj metody nie są wcale dokładne, to cóż dopiero mówić o inwentarzu żywym? Ilość jego zmienia się ciągle, czegoż więc mogą dowodzić cyfry spisane w pojedyńczych latach? To samo daje się powiedziéć o produkcyi rolniczéj. Jak nieprawdopodobne są podane cyfry, świadczy ta okoliczność, że podług Zbioru siano, rośliny pastewne, nigdzie nie są zbywane. Jest to najzupełniéj fałszywe i nie wytrzymuje krytyki.

Z cyfr o szacunku ogół czytelników nie wyciągnie żadnego wniosku. Wprawdzie dla przystępujących do pożyczki, ciekawą jest taksa Towarzystwa, lecz o rzeczywistéj wartości dóbr nie można stąd nabrać żadnego wyobrażenia.

Małą wartość liczb o długach hypotecznych stwierdza własnemi słowy redakcya Zbioru: „obciążenia czyli długi o których mowa, wypisywane były z wykazów hypotecznych ryczałtowo, bez bliższego oceniania natury i znaczenia odnośnego wpisu, oraz bez względu na to, że tenże sam dług, jak to się często zdarza, mieści się niepodzielnie na kilku oddzielnych hypotekach dóbr, należących do jednego a nawet do różnych właścicieli; albo że niektóre z tych długów, pomimo że już zostały zaspokojone, z powodu rozmaitych przeszkód prawnych, dotąd z hypoteki wykreślone być nie mogły.“ Tak więc, pomimo że wykazy hypoteczne sprawdzano jednocześnie, i ten rozdział nie daje jasnego o rzeczy pojęcia. Jedynie pewne są cyfry pożyczek samego Towarzystwa. Cyfry o podatkach i opłatach przedstawiają najwięcéj prawdopodobieństwa z całego Zbioru. Podatki i opłaty nie ulegają tak raptownym zmianom i dlatego zbieranie o nich danych z różnych lat nie stanowi tak wielkiego błędu.

Zdawać by się mogło, że rozdział o służebnościach tą samą zalecać się będzie ścisłością, gdyż redakcya Zbioru starała się o poznanie w tym względzie obecnego stanu rzeczy. Lecz za jedyne źródło służyły tu wykazy hypoteczne, gdy tymczasem pomiędzy istotném zniesieniem serwitutów w danym majątku a ich wykreśleniem z hypoteki znaczny stosunkowo upływa czas.

Uogólniając wszystkie przytoczone tu uwagi o Zbiorze, dojdziemy do wniosku, że przedstawia on wartość bardzo względną, że na mocy podanych w nim cyfr rysować obrazu większéj własności w naszym kraju wcale nie można. Przypuszczamy, że władze towarzystwa zamierzały przysłużyć się nauce, lecz w danym wypadku nie można przyjąć dobrych chęci za uczynek. Sądzimy jednak, że Towarzystwo może błąd swój naprawić i dokładny obraz dóbr stowarzyszonych przedstawić. Robotę taką dałoby się podług naszego zdania przeprowadzić w sposób następujący: Szematy ułożone, przez zaproszoną w tym celu komisyą z grona specyalistów w połączeniu z przedstawicielami Towarzystwa, należałoby za pośrednictwem Dyrekcyi szczegółowych rozesłać do wszystkich stowarzyszonych z prośbą o ich zapełnienie. Stowarzyszeni mogli by tu wpisać wszystkie cyfry prócz długów hypotecznych, które znowu z ksiąg hypotecznych winny być z większą starannością wypisywane. Co do podatków, to te— jeżeliby to wielkiéj trudności nie przedstawiało — możnaby wykazy cyfr odpowiednich otrzymać od władz gubernialnych, w przeciwnym zaś razie i sami stowarzyszeni odnośne cyfry podaćby mogli. Uczynionoby nam może zarzut, że podobne szematy grzeszyłyby niedokładnością, lecz na to odpowiemy,

że w Galicyi na podstawie takich odezw, stosowanych do rozmaitych urzędów i osób prywatnych. Biuro statystyczne wydaje cenne swe roczniki, a zresztą możnaby żądać stwierdzania opisu świadectwem dwu innych sąsiadów. W każdym jednak razie odezwa Tow. Kred. nie wzbudzałaby podejrzeń co do podniesienia podatków i t. p. i ziemianie zapewneby dokładne dane komunikowali.

W ten sposób ułożone szematy mogłaby wyżéj powołana komisya zestawić i dopiero na téj podstawie tablice opublikować. Mamy nadzieję, że myśl rzuconą tu w ogólnych zarysach może wezmą władze Towarzystwa pod rozwagę. Pierwsze niepowodzenie nie powinnoby odstręczać, boć zawsze pierwsze próby muszą być niedoskonałe, i od razu na właściwą drogę trafiać zbyt trudno; korzystać zaś z doświadczenia i poprawiać niedokładności i błędy pierwszych usiłowań zawsze będzie cechą ludzi rozumnych, a tém bardziéj instytucyi publicznych; ogół zaś nasz ma pewne prawo żądać od tak zamożnéj instytucyi, jak Towarzystwo Kredytowe ziemskie, wydania dokładnego Zbioru wiadomości statystycznych o dobrach stowarzyszonych. Grosz na ten cel użyty przynieść może rzetelną korzyść nauce, a przyczyni się do rozpowszechnienia w naszém społeczeństwie maksymy zbawiennéj: „znaj siebie samego.“

Henryk Konitz.

Katalog rękopisów biblioteki Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich wydał dr. Wojciech Kętrzyński, dyrektor tegoż zakładu, Tom I, Lwów 1881, 8⁰, str. VII i 759.

Podanie tylko chodziło pomiędzy historykami aż do obecnéj chwili, że zbiory rękopiśmienne zakładu Ossolińskich bogate są w materyały do historyi polskiéj; podanie tylko powiadam, albowiem rzeczywistość lub raczéj prawdziwość jego pewną była dla niewielu, którzy te zbiory dokładniéj znali i z nich korzystali,—Ossoliński, Batowski, Szajnocha, Bielowski, Kubala, Kantecki Klemens, oto zdaje się, że wszyscy. Podejmując wydanie katalogu, p. K. jedna więc sobie nieskończoną zasługę, wykazuje bowiem jasno, jakie to są bogactwa, co nie tylko dla przebywających w miejscu uczonych, ale i dla zamiejscowych pożyteczną jest rzeczą.

Wydawca oddał w ręce ogółu obecnie dopiero pierwszy tom katalogu zawierający opisanie 226 rękopismów, a że zbiory posiadają ich 2901, więc cały katalog z pięciu co najmniéj tomów składać się będzie i za lat kilka dopiero w całości wyjdzie. Co do sposobu spisywania rękopismów, to p. K. bierze je z porządku według nume-

rów, któremi są oznaczone, podaje najprzód materyał rękopismu, następnie stólecie, z którego pochodzi, czy jedną czy kilku pisany jest rękami, format, liczbę kart lub stronic, rodzaj oprawy; potém wykazuje szczegółowo treść rękopismu i na końcu notuje napisy lub wiadomości, tyczące się pochodzenia lub historyi manuskryptu, jeżeli takowe podać jest w możności, ilość kart niezapisanych itp. Znam bardzo wiele pisanych i drukowanych katalogów rękopismów wielu bibliotek krajowych i zagranicznych, z pewną więc racyą co do kompetentności lub prawdziwości mego zdania powiedziéć mogę, że katalog p. K. ze wszystkich jest najlepszy; ustępu ją mu pierwszeństwa nawet katalogi bibliotek Wiedeńskiéj, Monachijskiéj i Jagielońskiéj, które to katalogi do wzorowych się liczą. Najgłówniejsza jego zaleta i pierwszeństwo przed innémi polega na wielkiéj dokładności i zupełności w podawaniu treści rękopisów, osobliwie w zbiorach *Silva rerum* lub *Miscellanea*, które w innych katalogach zazwyczaj zbywane bywają ogólnikowém podaniem treści, tutaj zaś szczegółowo są opisane: wskazany każdy dokument, jaki się tylko w nich znajduje; taka metoda powiększa wprawdzie pracę nad układaniem katalogu, objętość jego (np. opisanie trzech rękopismów NN-ra 224—226 zajmuje 32 stronice) i koszta wydawnictwa, lecz te opłacają się sowicie korzyścią naukową.

Tytuły rękopismów lub dokumentów podane są tak, jak brzmią w samych rękopismach; w ich braku tylko sam wydawca podaje treść; błędów w tym względzie i w objaśnieniach spostrzegłem bardzo mało; oto kilka z nich na użytek poprawek, jakie zapewne w swoim czasie pojawią się: str. 253 (nr. 1) Caligari nie był kardynałem, tylko episcopus *Bertinorensis*, nie zaś Britoniensis; w rękopiśmie N. 156 listy pod liczbą 47 i 120 razem należało połączyć, gdyż „pater Magius“ (dodaję Laurentius) i „provincialis jesuitarum per Austriam“ są jedną i tą samą osobą; toż samo NN. 99 i 141 (secretarius episcopi Montis regalis=Rugierus Tritonius, który wydał Vita Vincentii Laurei... Bononiae 1599, dziełko ważne a u nas nieznane), jak również NN. 117 i 118 (Stanislaus jesuita—pater Warszawicki); str. 280 (nr. 182) Antoni Santacroce nie był jeszcze kardynałem w tych latach; str. 97 (nr. 16) ma być *Larissenus* zam. Lansenus; str. 248 (nr. 57) *Singkmoser* zam. Singkmostr; str. 262 (nr. 95) *Sirletum* zam. Scerletum; str. 264 (nr. 152) *Contarenum* zam. Contarellum; str. 268 (nr. 9) i 280 (nr. 179) *Cerioli* zam. Cirioli; str. 307 (nr. 19) i 338 (nr. 19) *Rorarium* zam. Rosarium; str. 309 (nr. 61) *Sublaci* zam. Sublati; str. 319 (nr. 222) *Junii* zam. Julii.

Dołączonym jest do katalogu dokładny—albowiem znajdują się w nim i nazwiska osób, które w rękopismach cytowane są tylko z ty-

tułów—spis (dla czego „Indeks"?) nazwisk osobowych i miejscowych (1) który jednak mimo swoich zalet i szczegółowości nie pomaga nam w zupełności do odszukiwania bezimiennych pism lub utworów, wyrażam więc życzenie, ażeby p. K. i temu zaradził, umieszczając w tym celu przy ostatnim tomie odpowiedni szematyzm ze wskazówkami lub odnośnikami, jaki np. znajdujemy przy każdym tomie katalogu rękopismów biblioteki nadwornéj w Wiedniu (Tabulae codicum manuscriptorum praeter orientales et graecos, qui in bibliotheca palatina Vindobonensi asservantur).

Teodor Wierzbowski.

— **Sprawozdanie z czynności Towarzystwa historyczno-literackiego** *od 1 kwietnia 1881 do 1 kwietnia 1882 oraz z konkursu 1880—1882. Ogłoszenie konkursu na dwulecie 1882—1884* (Paryż, 1882, str. 14). W roku bieżącym *Towarzystwo historyczno-literackie* w Paryżu skończy pięćdziesiąt lat swego istnienia zapełnionego, względnie do środków, któremi rozporządzało, i trudnych okoliczności, wśród których się rozwijało, działalnością wagi niemałéj. Z ważniejszémi momentami téj działalności obiecuje dzisiejszy zarząd Towarzystwa (prezes ks. *Władysław Czartoryski*, wice prezes *Aleksander Chodźko*, konserwator biblioteki *Władysław Chodzkiewicz*, podskarbi *Józef Rustejko*, sekretarz i dyrektor biblioteki *Lubomir Gadon*) zapoznać ogół polski w osobném sprawozdaniu. Obecnie daje rzut oka na czynności towarzystwa z roku ubiegłego. Na posiedzeniach odbywanych co miesiąc, z wyjątkiem pory wakacyjnéj, czytywano rozprawy treści historycznéj, z których przedewszystkiém zaznaczyć potrzeba dwie prace zmarłego niedawno w młodym bardzo wieku (lat 26) a już chlubnie znanego historyka, nieobcego téż i czytelnikom „Ateneum", *Stanisława Lukasa*: Jedna z nich miała za przedmiot rzecz *O rozwoju dziejopisarstwa polskiego*, druga zaś przedstawiała jednę chwilę *Z dziejów polskich XVII wieku*. Z innych odczytów wydają się interesującemi ze względu na treść: *Adama Rządzewskiego* „O Panslawizmie", *Konstantego Wolskiego* „Rumunia, jéj przeszłość i teraźniejszość", *Władysława Czartoryskiego* „Nieco o kolejach zbiorów Puławskich," *K. Gregorowicza* „Prawa historyi w zastosowaniu do polity-

---

(1) Zauważam mimochodem, że Andreas episcopus Quinqueecclesiensis do str. 285 nr. 3 nazywa się Dudycz, niewłaściwie więc figuruje w spisie pod imieniem zamiast pod nazwiskiem; niepotrzebny tu także i Uchański Arnulf, do str. 309 nr. 65, gdyż wojewodą Bełzkim w 1575 roku nie był on ale Andrzéj z Tęczyna.

ki.“ Pomijając szczegóły dotyczące pomnożenia, dość znacznego, biblioteki Towarzystwa, zanotujemy, że stan kasy w porównaniu z bezpośrednio poprzedzającym rokiem przedstawia się dosyć pomyślnie; gdy bowiem wtedy pozostałość nie dochodziła 6 tysięcy franków, obecnie dosięga blisko 14 tysięcy. Najdonioślejszym niewątpliwie wynikiem działalności Towarzystwa była wywołana konkursem, przez Towarzystwo w r. 1880 ogłoszonym, rozprawa dra Aleksandra Semkowicza, wykazująca krytycznie a szczegółowo, na jakich źródłach opiera się praca Długosza w pierwszych siedmiu księgach. Referenci oceniający tę rozprawę (pp. Smolka i Piekosiński) wyrażają się o niéj nadzwyczaj pochlebnie, przyznając autorowi „doskonałą, wytrawną i na najlepszych wzorach wyrobioną metodę krytyczną, ścisłość badania bez zarzutu i benedyktyńską prawdziwie pracowitość.“ „Ktokolwiek—powiadają referenci—mając dzieło autora, zajmować się będzie dziejami X—XIII w., znajdzie w tym komentarzu pewne i niezawodzące wskazówki, czy dany ustęp Długosza polega tylko na zestawieniu, amplifikacyi a często mylnéj kombinacyi znanych źródeł, czy też zawiera wiadomości, z nieznanych źródeł zaczerpnięte, na które praca badawcza ścisłą zwróci uwagę. Zbyteczną stanie się zmudna „utrudzająca i krępująca nieraz postępy badania analiza każdego ustępu zosobna, analiza, która nadto nie może doprowadzić do tak zadawalniających rezultatów, jak w pracy naszego autora, który opanowując wielostronnie cały materyał, rozpoznawszy na tysiącach przykładów metodę i właściwości pisarskie Długosza, w komentarzu do każdego ustępu tém szczęśliwiéj mógł się wywiązać z zadania.“ P. Semkowicz zamierza rozprawę tę uzupełnić rozbiorem pozostałych jeszcze 5 ksiąg wielkiego historyka XV stulecia. Na konkurs dwulecia 1882—1884 ogłasza Rada Towarzystwa zadanie następujące: *Jakim zmianom uległo sejmowanie polskie od pierwszych dokładniéj znanych sejmów (1548) aż do zagęszczającéj się praktyki Liberi Veto w wieku XVII? Czy i jakie starania zdążały do jego naprawy? Co jéj przeszkadzało.* Objętość żądanéj pracy ma wynosić najmniéj 10-arkuszy druku. Kto chce brać udział w konkursie, rękopism nadesłać może albo pod adresem p. *Lubomira Gadona* (Paryż, 6, quai d'Orléans), albo p. *Józefa Szujskiego* (Kraków, w Uniw Jagielońskim) Terminem ostatecznym do nadsyłania rękopismów jest dzień 15 lutego 1884 roku.

= **Udział Czechów w rozwoju oświaty i nauki lekarskiéj w dawnéj Polsce.** *Napisał Dr. Hubert hr. Krasiński. Na pamiątkę braciom Czechom autor. Mowa miana na zjeździe przyrodniczo-lekarskim w Pradze czeskiéj dnia 27 maja 1882 roku.* (Kraków, str. 24). Rzecz ta z natury swego przeznaczenia nie rości żadnych pretensyj ścisłéj nauko-

wości; zadanie jéj czysto publicystyczne; autor z okoliczności zjazdu lekarzy i przyrodników czeskich i polskich w Pradze chciał ożywić w pamięci zebranych prastare związki cywilizacyjne dwu najbliżéj z sobą spokrewnionych narodów słowiańskich. Biorąc pochop z wiersza Deotymy napisanego na przyjęcie Emanuela Tonnera we Lwowie, p. K. rozpoczyna mowę swą od wspomnienia Dąbrówki i skreślenia zasług duchowieństwa względem nauk w pierwszych wiekach wprowadzenia wiary chrześciańskiéj do Polski, kładąc nacisk na to, że wśród duchowieństwa tego byli też Czesi. Następnie mówi o ruchu naukowym w Krakowie, o założeniu *studium generale* i akademii, o związkach Polaków z Czechami w czasie walk husyckich, o wpływie zielnika napisanego przez *Matiolego* na uprawę praktycznéj botaniki u nas. Najszczegółowiéj, w stosunku do szczupłych rozmiarów całości, zastanawia się autor nad działalnością Wojciecha Oczki i nad dobroczynnym wpływem szkół, zakładanych przez *Braci czeskich*. Pokrótce ale wyraziście kreśli bolesne następstwa wojny trzydziestoletniéj, gwałtowną giermanizacyą Czech, a w końcu odrodzenie narodowości czeskiéj. „Szlachetny naród czeski — powiada autor — od czasu rozpoczęcia pracy olbrzymiéj nad swojém odrodzeniem zyskał w oczach świata wielki szacunek, a u nas zdobył cześć, sympatyą i podziw.... Dwie siostry, dzieci jednego szczepu słowiańskiego, ziemia czeska i polska winny iść ręka w rękę tam, gdzie je powołuje praca i święty obowiązek. Niechaj jedna drugą wspiera, niech jedna drugiéj upaść nie da. Zbratanie się tych dwu narodowości słowiańskich nie tylko jest ważném pod względem politycznym.... lecz także ważném i pod względem cywilizacyjnym. W imię wzajemności słowiańskiéj opromieniajmy ciepłem idealnego zapału najściślejsze badania naukowe dla sprawy postępu, wolności i duchowéj solidarności. Przez prace, na niwie przyrodniczo-lekarskiéj wykonywane, składajmy liczne dowody, że naród czeski i naród polski jeszcze nie zginął i że zdolni jesteśmy stanąć do turnieju z innémi narodami na polu umiejętnych badań. Pracujmy razem, łączmy się często z sobą, urządzajmy zjazdy wspólne, zawiązujmy ścisłe stosunki naukowe, badajmy ziemię ojczystą dla chwały i dla dobra naszego, aby zachodnie narody słowiańskie stanęły silne i nieugięte przed wrogim naporem, który nam z różnych stron grozi i grozić nie przestanie.“ — Literackiéj stronie mowy niejedno zarzucićby można; brak jéj w kilku miejscach porządku, np. gdy autor mówi o Tychonie Brahem i Keplerze wprzód zanim wspomniał o Koperniku (str. 8), albo gdy o polskich zwolennikach Hussa w XV stuleciu mówi po nakreśleniu faktów, które się do w. XVI odnoszą (str. 10); styl nie zawsze poprawny, a rusycyzm (służyć

dowodem) powtarza się dwukrotnie. Więcéj atoli aniżeli forma literacka rażą usterki naukowe w tym rodzaju np. że autor założenie *studium generale* w Krakowie odnosi do r. 1347, że czeskie pochodzenie Gutenberga poczytuje za prawdę już naukowo dowiedzioną, lub że znany zbiór wiadomości bibliograficznych p. n. „Janociana“ nazywa „aktami Janockiemi“ (str. 10).... Do mowy dołączone są dosyć obfite przypisy wskazujące źrodła, z których czerpał autor potrzebne do pracy swéj materyały. Długosz, Naruszewicz, Woronicz, Juszyński, Gąsiorowski, najczęściéj zaś Wiszniewski dostarczali autorowi informacyi, których jednak on nie potrafił krytycznie zużytkować.

= **Biblioteka matematyczno-fizyczna.** Pod takim tytułem ogólnym w końcu r. b. lub na początku przyszłego, ukazywać się zaczną oddzielne tomy zbioru systematycznego podręczników z matematyki, fizyki, kosmografii i geografii fizycznéj, oraz mechaniki. Wydawnictwo to podzieloném zostanie na cztery serye: pierwsza poświęcona będzie wychowaniu początkowemu, druga szkołom profesyonalnym i zakładom naukowym żeńskim, trzecia wychowaniu gimnazyalnemu, czwarta nakoniec obejmie kursy ogólne wykładane na uniwersytetach i szkołach wyższych technicznych. Projektodawcy i wydawcy téj „Biblioteki,“ Dr. Maryanowi A. Baranieckiemu, Kasa pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia Józefa Mianowskiego udzieliła zapomogę na doprowadzenie tego poważnego wydawnictwa do skutku. Program jest tak obszerny, iż wykonanie jego, przy współudziale nawet licznych współpracowników, wymagać będzie cztery do pięciu lat pracy.

= **Dr. Franciszek Piekosiński. Kodeks dyplomatyczny miasta Krakowa.** Tom I, r. 1879. T. II, r. 1882. (Mon. Medii Aevi T. V i VII). Z trzech wydawanych przez p. Piekosińskiego kodeksów dyplomatycznych, najpóźniéj rozpoczęty, najwcześniéj został skończonym. Kodeks dypl. miasta Krakowa, będący uzupełnieniem niejako wydanych w r. 1878 wspólnie z prof. Szujskim najdawniejszych ksiąg i rachunków Krakowa, jest jednén z tych wydawnictw, które prawdziwy zaszczyt wydawcy przynoszą. Zbytecznêm też by było podnosić wszystkie dodatnie strony nowéj téj pracy p. Piekosińskiego, wystarczy podać plan, jakim się przy niéj kierował. Materyał został podzielony przez wydawcę na 4 części, z których pierwszą, tom I wypełniającą, stanowią dokumenta odnoszące się do założenia i uposażenia Krakowa, Kazimierza, Stradomia i Kleparza; druga część zawiera akta wypływające z samorządu gminnego, t. j. wilkirze i statuta cechowe; trzecia dokumenta nieobjęte tomem I, czwarta nakoniec obejmuje tranzakcye zawierane przy sprzedaży czynszów

(na widerkauf) z prawem odkupu, w dodatku umieszczona została bardzo ciekawa księga dochodów miejskich z r. 1542. Z zakresu „Mon. Medii Aevi“ wynika, że kodeks dypl. Krakowa sięga w głównéj swéj części tylko do r. 1506, do tego samego roku doprowadzone są wykazy wójtów i ławników, umieszczone na wstępie tomu I. Najważniejszą zaś zaletą tego wydawnictwa jest jednolitość i systematyczność, któremi w téj mierze najznakomitsze nawet prace wydawców niemieckich niezawsze poszczycić się mogą. Pochodzi to także ztąd, że p. Piekosiński sam, nie wyręczając się niedorównywującymi mu współpracownikami, w całości wydawnictwo to prowadził i wszystkie części zrówną opracował starannością.

= **Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu**. Rocznik I, r. 1878. Rocz. II, r. 1880. — Na wzór istniejących prawie w każdém znaczniejszém mieście niemieckim towarzystw naukowych, zawiązało się i w Toruniu podobne towarzystwo za inicyatywą ś. p. Zygmunta Działowskiego. Towarzystwa takie są jeszcze właściwsze wtedy, gdy zakres i zadanie swe ograniczają do badania przeszłości miasta, w którém się zawiązały, wraz z najbliższą jego okolicą. Téj okoliczności zawdzięczają Niemcy ową nadzwyczajną dokładność i drobiazgowość z jaką dzieje najmniéj znaczącéj ich prowincyi są znane. Towarzystwo *naukowe* toruńskie powinno by za obszerny swój predykat na „historyczne“ zamienić, i w przeciwstawieniu do niedawno założonego towarzystwa historycznego zachodnio-pruskiego w Gdańsku, być organem historyków polskich specyalnie zajmujących się dziejami Pomorza i Prus. Tymczasem jakimkolwiek się mianem towarzystwo toruńskie podpisuje, faktem jest, że zawdzięczamy mu już dwa roczniki przeważnie pracami historycznemi księży Stanisława Kujota i Gapińskiego zapełnione, o których choć słów parę wypada powiedzieć. Ksiądz Kujot znany jest z rozprawki o zjeździe Gąsowskim i z obszerniejszéj pracy o opactwie Pelplińskiem; w rocznikach zauważamy rozprawy jego o Margrabiach Brandeburskich w dziejach Pomorza za księcia Mestwina II, o majątkach biskupich na Pomorzu i o kasztelanii Racięzkiej. Pierwsza z nich jest bardzo słaba. Krótka rozprawka księdza Gapińskiego o położeniu Wyszogrodu nie jest bez wartości. Można przypuszczać, że z czasem wzrośnie liczba zajmujących się dziejami pomorsko-pruskimi, wskutek czego i wartość rozpraw w następnych rocznikach pomieszczonych niezawodnie się podniesie.

= **Wiadomości historyczne o rodzie Swinków** oraz rodowód pochodzącéj od niéj rodziny Zielińskich herbu Swinka część pierwsza do r. 1600 przez *G. i I. Zielińskich*. Toruń 1880. Niewątpliwem jest, że aby dokładny i wyczerpujący herbarz mógł powstać, muszą

wprzód być ustalone dzieje i rodowody znakomitszych przynajmniéj familij. Na tém polu niezmiernie dotąd mało u nas zrobiono. Wiadomość o rodzie Swinków, polegająca na najwłaściwszych do tego rodzaju przedmiotu źródłach, bo przeważnie na księgach sądowych, jest zatém bardzo pożądanym przyczynkiem, tém bardziéj, że niemal jedną trzecią część książki wypełniają wyjątki z aktów, które i dla zajmujących się prawem polskiém mają znaczenie. Szkoda tylko, że nie zawsze tekst oryginalny został dobrze odczytany. Wielką zaletą tego dziełka jest dokładny indeks, pomagający do szybkiego oryentowania się w wielkiéj ilości nazw w niém przytoczonych.

= 1. *Urkunden des klosters Kamenz herausgegeben von dr. Paul Pfotenhauer* (*Codex Diplomaticus Silesiae Band X*) *Breslau. 1881.*— 2. *Breslauer Stadtbuch enthaltend die Rathslinie von 1287 ab und Urkunden zur Verfassungsgeschichte der Stadt herausgegeben von H. Markgraf und O. Frenzel* (*Cod. Dipl. Sil. B. XI*) *Breslau 1882.*— 3. *Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens herausg. von dr. Colmar Grünhagen B. XIV. Breslau 1882.*—Zawiązane przed kilkudziesięciu laty za inicyatywą znakomitego badacza dziejów Szlązka G. A. Stenzla towarzystwo historyczne we Wrocławiu rozwija od tego czasu nieprzerwanie swą działalność i naukowéj publiczności przysługuje się rokrocznie jakiemś nowém wydawnictwem. Dopóki żył Stenzel (um. r. 1854) skupiał się cały niemal ruch na polu badań dziejowych Szlązka w wybitnéj jego osobie. Mimo znakomitych jak na ową epokę prac poprzedników jego Sommersberga (Scriptores Rerum Silesiacarum T. 3), Klose'go (Dokumentirte Geschichte von Breslau 3 tomy w 5 częściach) Büschinga (Urkunden von Leubus, Grabmal Heinrich des IV), pozostawało tak wiele do zrobienia, że i Stenzel po kilkudziesięcioletniéj w owoce nader obfitéj pracy, części tylko podjętego zadania dokonał. Ponieważ w chwili kiedy Stenzel dziejami Slązka zaczął się zajmować, nieistniało jeszcze osobne w tym celu zawiązane towarzystwo historyczne, korzystał więc z zasobów jakie mu dostarczyć mógł istniejący już związek t. z. Schlesische Gesellschaft für vaterländische Cultur i w jego publikacyach (Uebersicht der Arbeiten und Veränderungen der schl. Gesel. für vaterl. Cultur) umieszczał od r. 1824 do 1844 mniejsze lub większe rozprawki, których liczba niespełna 30 dosięga. Rozprawki te, zwłaszcza z lat ostatnich, aż do dni naszych wartości nie straciły i w niejednym ciemnym punkcie stosunki wewnętrzne Slązka a więc i ogólne polskie wyświecają. Niejednokrotnie też popierał autor wywody swoje załączeniem nieznanych dokumentów, z których większa część dotychczas nie została przedrukowaną. Nakładem tego sa-

mego towarzystwa, wydał Stenzel w r. 1835 pierwszy a w r. 1839 drugi tom Scriptores Rerum Silesiacarum, które to dzieło, mimo iż niektóre wydane w niem pomniki ponownéj doczekały się edycyi tak w XIX tomie Monumenta Germaniae Historica jak w tomie III Mon. Pol. Hist., do dziś dnia jest niezbędném dla każdego zajmującego się dziejami Ślązka. Przedtem jeszcze bo w r. 1832 ogłosił niestrudzony ten badacz we współpracownictwie (tylko na papierze) z Tzschoppe'm pierwszorzędnej wagi zbiór dokumentów do historyi wewnętrznej Ślązka (Urkundensamlung zur Geshichte des Ursprungs der Städte....), do którego olbrzymia przedmowa jest, mimo wielu błędów i usterek, najdokładniejszą pracą o znaczeniu i rozwoju kolonizacyi niemieckiej w południowo-zachodniej części Polski. W r. 1845 wydał znowu Stenzel inny nie mniej ważny dyplomataryjusz (Urkunden zur Geschichte des Bisthums von Breslau) rozświecający dzieje biskupstwa Wrocławskiego, a wnim między innémi zbiór znany jako „Acta thomae,“ przedstawiający w najdrobniejszych szczegółach spór biskupa Wrocławskiego Thomasza II z księciem Wrocławskim Henrykiem IV. W następnym roku doszedł do skutku dawno już przygotowywany plan założenia towarzystwa historycznego Ślązkiego, którego statut w tym samym roku otrzymał potwierdzenie władzy; nie potrzeba dodawać kto przy tém najbardziéj był czynnym. Świeżo utworzone towarzystwo nie rozporządzając znacznémi środkami materyalnémi, musiało z początku działalność swą jaknajbardziéj ograniczać. Między r. 1846—1855 pojawiły się tylko 3 następne tomy Scriptores R. Sil. wszystkie z pod redakcyi Stenzla, który prócz tego w r. 1853 ogłosił dzieje Szlązka do r. 1355 i przygotował do druku „Liber fundationis claustri s. Marie virginis in Heinrichow“ pomnik dziejowy znakomitéj wartości, wydany następnie w kilka miesięcy po jego śmierci. Aby wszechstronną wartość prac tego męża ocenić pamiętać należy, że równocześnie pisał on wiele innych dzieł historycznych, między innémi „Geschihte des preussischen staates“ do zbioru Heerena i Ukerta, którego dalszy ciąg wydał przed niedawnym czasem uczony Wrocławski Reimann. Na czele towarzystwa ślązkiego stanął po śmierci jego założyciela prof. Röppel, i pierwszy tom czasopisma, mającego odtąd być organem historyków przeszłość Ślązka badających, poświęcony został pamięci Stenzla. Z biegiem czasu, z przybytkiem członków i ze zwiększającą się ofiarnością na wydawnictwa naukowe, rozszerzyło towarzystwo hist. Wrocławskie sferę swojéj działalności i obok Scriptores R. Sil. i czasopisma zaczęło wydawać Codex Dipl. Silesie, poświęcony pomnikom średniowiecznym, jakotéż Acta publica, mające uwzględniać dokumenty i korespondencye z czasów nowożytnych. Z powiększającym się stopnio-

wo zakresem działania zwiększała się równocześnie i liczba ludzi do podjęcia prac naukowych uzdolnionych. Podczas, gdy Stenzel przez lat przeszło 20 sam jeden działał, pojawiają się obecnie obok Röppel'a imiona dwóch historyków cieszących się dzisiaj w Niemczech niezaprzeczoną sławą. Naczelnik archiwum Wrocławskiego Wilhelm Wattenbach i sekretarz archiwalny Colmar Grünhagen odrazu z całym zapałem poświęcili się badaniu i ogłaszaniu źródeł dziejowych slązkich, a fundusze towarzystwa ulatwiały w miarę możności szczere ich usiłowania. Dwa pierwsze tomy kodeksu dyplomatycznego wydane przez Wattenbacha stały się początkiem zbioru, który co dwa prawie lata nowym tomem się zwiększał. Rachunki i statuta Wrocławia (T. III), dokumenta tyczące się wsi, (T, IV). formularz Arnolda z Protzan (T. V), przywileje górno-szlązkie (T. VI) w najbliższych latach staraniem Wattenbacha, Grünhagena i Meitzena druku się doczekały. Równocześnie w miejsce prof. Röppel'a obejmuje Grünhagen zarząd towarzystwa, biorąc na swoje barki nie tylko zajęcia administracyjne, ale zarazem i główny udział w pracach wydawniczych. Obok Regesta episcopatus Wratislaviensis wspólnie z Kornem opracowanych zaczyna w r. 1866 wydawać „Regesten zur schlesischen Geschichte" jako Tom VII kodeksu dyplomatycznego, idąc w ślady Böhmera, Meillera, Erbena, zachowując jednakże w sposobie opracowania niektóre właściwości, jak zwłaszcza uwzględnianie zapisek rocznikarskich, co bezsprzecznie na korzyść początkujących badaczów wychodzi, pozbawia jednak same dzieło właściwego charakteru regestów. Do r. 1870 mogło się towarzystwo hist. Wrocławskie wykazać 10-iu tomami czasopisma, 9-iu kodeksu i 2-oma Acta publica z lat 1618 i 1619 opracowanych przez Palma; w r. 1871 podjął Grünhagen przez wydanie źródeł do wojen husyckich, jako VI-go tomu Scriptores Rer. Sil., przerwany przez śmierć Stenzla dział ten publikacyi. W tym samym roku Alwin Schultz opracował pieczęcie Slązkie do r. 1250 i znaczną ich część wydał kosztem towarzystwa. W następnych latach nie mniéj czynnym okazał się prof. Grünhagen z tą tylko różnicą, że chwilowo nie na Codex Dipl. Sil. lecz na Scriptores Rer. Sil. uwagę swą zwrócił. W krótkim téż czasie liczba tomów tego wydawnictwa do 11 urosła, a równocześnie, obok kilku tomów Acta publica i dalszego opracowania pieczęci slązkich przez dr. Pfotenhauera, przybyły 2 nowe tomy kodeksu jakotéż tom 16 czasopisma, i o tych to właśnie ostatnich publikacyach towarzystwa hist. we Wrocławiu kilka słów mamy powiedzieć. Tom X kodeksu dyplomatycznego przez p. Pfotenhauera opracowany, obejmuje dokumenta klasztoru kamienieckiego od r. 1210 do r. 1498 w liczbie 384 z których na w. XIII przypada 72. Ponieważ p. Pfotenhauer, będąc urzędnikiem archiwum

państwowego we Wrocławiu, znajdującego się pod dyrekcyą prof. Grünhagena, z przykładu i metody swego przełożonego miał sposobność korzystać, można się więc było spodziewać, zwłaszcza po tak starannéj pracy nad sigilografią slązką, że na nim się nie zawiedzie tradycya od czasów Stenzla przez Wattenbacha, Grünhagena, Korna, Markgrafa w żywotności utrzymywana. Istotnie, tak wydanie textu, jak opracowanie indeksu żadnéj naganie uledz nie może, jeżeli zaś w czém zgodzić się z całym planem wydawania dyplomataryusza slązkiego nie można, to chyba w dzieleniu materyału na pojedyncze tomy, z których każdy sam dla siebie całość stanowi. Wprawdzie Regesta brakom ztąd wynikającym zaradza, ale gdyby nie inne przyczyny, o których wspomnę, to mimo Regestów, o wiele praktyczniejszém i mniéj powtarzania wymagającém, byłoby wydawanie dokumentów w porządku chronologicznym. Powody zaś, które w zupełności zarząd towarzystwa uniewinniają, polegają głównie na rodzaju źródeł, z których się czerpią fundusze potrzebne na cele wydawnictwa. Towarzystwo nie mając stałego uposażenia, musi ustawicznie starać się u zamożniejszych osób o wyznaczenie jakiéj sumy na ten lub ów dział publikacyi, zarazem jednakże zazwyczaj obejmuje zobowiązanie w odpowiednim tomie pewien oznaczony materyał umieścić. Tak się rzecz ma i co do tomu X kodeksu. Kamieniec posiada piękny zamek będący obecnie rezydencyą domu panującego, i księżna Maryanna Niederlandzka matka Alberta księcia Pruskiego, koszta wydania dokumentów dawnego klasztoru Augustyanów kamienieckich z własnéj szkatuły podjęła. Uwaga ta była potrzebna, aby właściwy stan rzeczy zrozumiéć, tém bardziéj że i w przyszłości sprawa wydawania dalszych tomów kodeksu prawdopodobnie po tych samych postępować będzie kolejach. Tom XI dyplomataryusza slązkiego w najbliższym jest związku z III-cim (Najdawniejsze rachunki i statuta Wrocławia) i VIII (Schles. Urkunden zur Gesch, des Gewerberechts...) i zawiera prócz spisu rajców Wrocławskich od czasów najdawniejszych do r. 1741, także wykaz nowszych rodzin rajeckich i szereg dokumentów do historyi wewnętrznéj Wrocławia. W tym ostatnim punkcie zchodzi się T. XI kodeksu z „Breslauer Urkundenbuch“ Korna, której jednakże tylko część pierwsza po rok 1377 sięgająca, w r. 1870 się ukazała. Zastanawiając się nad tym jednym tomem z osobna, nic ani formie wydania, ani sumienności wydawców zarzucić nie można; zważywszy jednakże, iż w nim mieści się tylko część obszerniejszego materyału do dziejów Wrocławia, znowu przyjdzie nam utyskiwać na nierówność i niesystematyczność w opracowaniu. Zbyteczném np. było przeprowadzać listę rajców aż po ostatnie czasy, a nawet wcale dostateczném by było, gdyby się p. Mark-

graf ograniczył na wiekach średnich—lecz p. Markgraf jest archiwaryuszem miejskim, więc uważał to za swój obowiązek wykazów swym współobywatelom nie poskąpić i jak największą liczbę nazw rodzin Wrocławskich dla wiecznéj pamięci w nich poumieszczać. Natomiast obszerna przedmowa jest wcale dobrym szkicem historyi wewnętrznéj Wrocławia aż do dni ostatnich i jako taki uzupełnia o wiele gruntowniejszą, ale i co do rozległości objętéj epoki ciasniejszą pracę Grünhagena „Breslau unter den Piasten als deutsches Gemeinwesen“. XVI-ty tom czasopisma jest dla nas tem ciekawszy, że zawiera przeważnie rozprawy z w. XIII, mające dla historyi ogólnopolskiéj niemałe znaczenie. W ogóle można powiedziéć, że czasopismo towarzystwa Wrocławskiego do poznania dziejów średniowiecznych Szlązka tak dalece się przyczyniło, iż niema prawie ważniejszéj kwestyi z téj dziedziny, któraby w niem krócéj lub obszerniéj obrobioną nie została. Ponieważ we wstępie skreśliliśmy choć w krótkości rozwój historyografii i wydawnictwa źródeł na Szlązku, przypomniéć należy aby obraz ten uzupełnić, że oprócz publikacyi Towarzystwa pojawiało się równocześnie wiele cennych bardzo zbiorów i opracowań. Mosbach wydaje „Wiadomości“ i „Przyczynki do dziejów Polskich z archiwów slązkich“; Schirmacher „Dyplomataryusz Lignicki“; Heyne trzytomową nudnie i bez krytyki napisaną ale ogrom materyału mieszczącą historyą biskupstwa wrocławskiego, prócz tego wiele pomniejszych monografij, zużytkowujących niejednokrotnie nieznane dotąd dokumenta, ustawicznie się drukuje. Przytém i „Geselschaft für vaterländische Cultur“ nie zamknęło organu swego (Abhandlungen der Gesel.) dla prac historycznych, owszem utworzyło na wzór innych Towarzystw umiejętnych osobną filozoficzno-historyczną klasę wydającą na własną rękę peryodycznie przysłane sobie rozprawy, między któremi wyszłe z pod pióra Grünhagena, Grotefenda i Bobertaga najwięcéj mają dla nas znaczenia. Z kwitnącego tego stanu badań historycznych na Slązku korzystamy i my bezpośrednio, zwolnieni będąc, od wydawania między źródłami polskiemi całéj kategoryi tak bogatych i ważnych pomników dziejowych slązkich, przez co jednakże nie chcemy powiedziéć, iżby od krytycznego ich opracowywania, polscy historycy mieli się usuwać.

= **Dr. C. Grünhagen. Geschichte des ersten schlesischen krieges nach archivalischen Quellen** *zwei Bände, 1881/2.* Profesor Grünhagen idąc w ślady Stenzla nie ogranicza się na badaniu dziejów średniowiecznych. Dowodów na to dostarczył już nieraz w mniejszych rozprawkach, obecne zaś dzieło jasno wykazuje, że uczony profesor Wrocławski z wielkim zamiłowaniem w zakresie dziejów nowożytnych pracuje. Historya Fryderyka I niejednokrotnie

przez najznakomitsze powagi naukowe Niemiec jak Ranke, Droysen etc. była przedstawianą, oczywistém więc jest, że coś nowego w dziele pobieżném wielkiemi rysami przedmiot traktującém niepodobna prawie jest powiedzieć. Inaczéj też przystąpił prof. Grünhagen do swego zadania. Ograniczył zakres swych badań do pierwszéj wojny szlązkiéj, ale co do niéj wyczerpnął wszystek drukowany i archiwalny materyał. Londyn, Wiedeń, Berlin etc. dostarczyły historykowi szlązkiemu skarbów w ich archiwach zawartych, i umożliwiły tak do kładne i wszechstronne przedstawienie, że trudno przypuścić, aby wkrótce okazała się potrzeba poddania przedmiotu książki prof. Grünhagena ponownemu obrobieniu.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Głosy rozsądku: p. Orzeszkowa O Żydach, Odpowiedź generałowi Skobelewowi, Kwestya nadbaltycka —Wystawa koni i bydła na placu Ujazdowskim, charakter jéj odmienny od przeszłorocznéj.—O konwersyi listów zastawnych na walutę metalową opinie „Słowa“ i korespondenta z nad Warty do „Gazety polskiéj.“—Dla kogo i o ile konwersya mogłaby być korzystną. Czy ona dzisiaj możebna? Czy redukcya rubla kredytowego może być pożądaną.

W muzyce orkiestry społecznéj siła rozwija się czasami kosztem nietylko melodyi ale i harmonii. Niby w izbie muzykantów pułkowych, z których każdy powtarza swą partycyą, głusząc towarzyszów, goniących z nim w tenże sposób o lepszą,—z organów publicznych i prywatnych dobywają się dźwięki huczące i piskliwe falsety, powstaje wrzask i hałas, drapiący uszy, gardzący taktem, a w tym krzykliwym chórze skromne głosy rozsądku przebrzmiewają częstokroć niedosłyszane, nieocenione wedle wartości i pożytek, jakiby harmonii społecznéj przynieść mogły, całkiem niemal przepada.

Na kilka takich głosów rozsądku, które ostatniemi czasy słyszyć się dały, pragnęlibyśmy zwrócić uwagę naszych czytelników.

„Bywają momenty, w których każdy, kto kiedykolwiek jeden choćby krok uczynił na drodze spraw publicznych, prawie pod karą utraty czci winien ukazać się pośród téj drogi... ze szczerém i śmiałém słowem na ustach.“ Spełniając tak określoną powinność, pani Orzeszkowa ogłosiła broszurę *O Żydach i kwestyi żydowskiéj* (N. XX wydawnictw E. Orzeszkowéj i spółki. Wilno, 1882, str. 104), w któréj dzieli się z ziomkami owocem swych spostrzeżeń, studyów i rozmyślań. Zajścia grudniowe roku zeszłego w Warszawie były powodem do napisania téj książki; wypadki kwietniowe podnoszą praktyczne jéj znaczenie, spodziewać się więc należy, że znajdzie licznych i uważnych czytelników.

Zaznaczywszy, że sądy nasze o żydach wynikają z uprzedzeń i nieznajomości rzeczy, że wytykamy tylko ich wady, a kończąc na tém, nie lubimy badać zkąd one się wzięły i czy są wyłącznie własnością plemienia semickiego,—autorka rozbiera z kolei czynione pospolicie izraelitom zarzuty. Okrzyczanemu szachrajstwu żydów przeciwstawia przykłady niesłowności i nierzetelności chrześcian, przykłady, których trafności zaprzeczać niepodobna. W klasach wyższych widzimy istotnie nierzetelność wynikającą z marnotrawstwa i życia nad stan; po miastach i miasteczkach nadużycia piekarzy dają powód do częstych skarg, fuszerka rzemieślników zamyka dla naszéj produkcyi targi Cesarstwa, a o rzetelności w magazynach mód panującéj różnych niepięknych historyj nasłuchać się nie można. Fakt podwyższania cen w każdą sobotę dla nikogo nie jest tajemnicą. Skłonność tedy do wyzysku jest nie tyle przymiotem rasowym, ile raczéj wytworem zwyczajów, towarzyszących zajęciu handlarskiemu, od których nie zdołało się ono jeszcze wyzwolić nawet w purytańskiéj Anglii, jak to studya Herberta Spencera wykazały.

Bardzo zręcznie przeprowadza autorka analizę wady wytykanéj bogatszym izraelitom, a zwanéj pospolicie „arrogancyą żydowską“, która jest tylko gatunkową odmianą prostego pyszałkowstwa dorobkiewiczów, znanego wszystkim epokom i wszystkim krajom. Najważniejszy zarzut—wyosobnianiania się i nieobywatelskości—został poważnie rozebrany w broszurze p. Orzeszkowéj, do któréj musimy czytelnika odesłać przy streszczeniu bowiem tego ustępu moglibyśmy natrafić na takież same przeszkody, jakich ślad u autorki na str. 32 widziéć można. Dalsze karty poświęcone są krótkiemu przeglądowi dodatnich przymiotów ludności żydowskiéj i funkcyi, które odgrywają one w naszym organizmie społecznym. Temu, kto rzecz tę zrozumie i o niéj pamiętać zechce, pewnie się nieraz usta zamkną zanim piorunować namiętnie na żydów zacznie.

W drugiéj części broszury p. Orzeszkowa zastanawia się nad pytaniami: co dla pomyślnego rozwiązania kwestyi żydowskiéj uczynić sami żydzi powinni i mogą? i „co w celu tym samym, my chrześcianie czynić powinniśmy i możemy?“ Szukając odpowiedzi na pierwsze z tych pytań, autorka kładzie nacisk, między innemi, na konieczną potrzebę wyleczenia się z niedorzecznego i słusznie oburzającego pociągu do niemczyzny, jaki u wpółoświeconych żydów zanadto często spostrzegać się daje, a do którego i pozorne usprawiedliwienie, w mniemanych potrzebach zawodu handlowego, wynaleziono. Nawiasem powiedziawszy, nie sami żydzi do śmiesznego cechu czcicieli niemczyzny czy prusactwa należą: dla Kaliszan—„Prusy“ poczynają się zaraz za parkanem Szczypiorny, a najświeższe mody

w wrocławskich składach tandety istnieją; Płockie na bony do dzieci sprowadza dwunastoletnie dziewczęta z Torunia, których jedyną a wysoko cenioną zaletą, że „ani słowa po polsku nie umieją“; polszczyzna wreszcie warszawska wzbogaca się z berlińska-prawowiernym wyrazem „dyakonise“, bo nazwa „siostr miłosierdzia“ zanadto papizmem trąci.

Wracając do ludności żydowskiéj, mniemamy, że przynajmniéj dla kobiet niemczyzna całkiem chyba jest zbyteczną i dla tych zajęć handlowych, którym się one oddają, żadnego pożytku nie przynosi.

Między obowiązkami, które ze względu na rozwiązanie kwestyi żydowskiéj ciążą na chrześcianach, p. Orzeszkowa kładzie na pierwszém miejscu konieczność gruntowniejszego ich poznania. Że go dotyczas nam brakuje, widać już choćby za szczupłéj liczby książek poważnych, poświęconych temu przedmiotowi; tłómaczone z obcych języków paszkwile niedostatkowi piśmiennictwa naszego nie zaradzą. Potrzeba liczniejszego i z większą energią uczestniczenia chrześcian w zawodach przemysłowym i handlowym dała autorce sposobność do skreślenia żywemi barwami obrazu naszéj niezaradności i próżniactwa, próżności i arystokratycznych przesądów, wreszcie dziecinnéj trwogi, abyśmy od zbytku światła nie olsnęli. Wiele tu znajdujemy rysów wprost zdjętych z natury; jaskrawość malowidła nie razi naszych oczu, bo przyczynia się do uwydatnienia konturów, wolelibyśmy jednak mniéj goryczy, któréj żal, bezwątpienia, nie zaś zwątpienie dodało. Autorka, jak się nam zdaje, zbyt wiele przywiązuje wagi do takiego np. objawu, że „złoczyńcę, kradnącego srebrną łyżkę w kawiarni, publicznie w druku, nazwano pozytywistą.“ Zapewne nie był to koncept osobliwy, ale też i zgrozy szczególnéj budzić chyba nie powinien. Albož pijaków nie nazywano również, publicznie, w druku, spirytualistami, człowieka zaniedbanéj powierzchowności—filozofem? Albož drażliwsze sumienia nie spotykały się z sarkastycznie rzuconém mianem idealizmu? iluž to półgłówkom dodają epitet romantyków? Onego czasu ś. p. chirurg filozofii wyśmiewał młodych adeptów filozofii Hegla, a jak dawniéj tak i dzisiaj przypisywanie jezuitom rozmaitych niebywałych zbrodni wielu niedowarzonych liberalistów uważa za pierwszy artykuł swego filozoficznego *credo.* Wiadomo, jakie zarzuty spadły na Sokratesa i jaki go los za mniemaną winę spotkał. Jedno jest prawo dla wszystkich; gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą a wśród ścierania się przeciwników guzy nieuniknioną są rzeczą po obu stronach.

Nie chcemy uwagami temi zmniejszać wartości broszury o żydach, ani zmniejszać zasługi, którą autorka napisaniem jéj położyła; owszem zalecamy tę książkę gorąco rozwadze czytelników.

Nakładca warszawski, p. Lesman postarał się o przekład na język polski broszury hr. Kutuzowa, stanowiącéj „odpowiedź jenerałowi Skobelewowi,“ Rycerskie brząkanie szablą staje tu przed trybunałem chłodnego rozsądku, który o solidarności między „rzeczywistémi interesami świata słowiańskiego i pokojem europejskim“ stara się czytelników przekonać. Ziomkowie autora nie często mają sposobność czytać słowa prawdy w podobnym duchu wypowiedziane, a i naszym domorosłym politykom odczytanie téj broszurki wyjść na pożytek może.

W Lipsku wyszła w języku rosyjskim książeczka, któréj bezimienny autor roztrząsa kwestyą tak zwanych prowincyj nadbaltyckich (*Nasz ostzejskij wopros*) ze stanowiska narodowości, administracyi i ekonomii i rozpatruje się w stosunku, jaki między innoplemiennemi prowincyami a całością urządzeń politycznych w państwie zachodzić powinien. Autor spełnił swoje zadanie chłodno, z rozwagą jakiéj drażliwość przedmiotu wymagała, a dobór argumentów, których mu wszechstronna i praktyczna znajomość rzeczywistych warunków życia dostarczyła, musi i przez nieprzychylnych poglądom autora czytelników być uznaną. Z takim przeciwnikiem walczyć ogólnikami niepodobna. Broszurę tę zalecano nam do odczytania z innego jednak powodu. Chciano dopatrywać analogii między stanowiskiem prowincyj nadbaltyckich a położeniem naszego kraju. Analogia to jednak pozorna tylko. Niemcom nadbaltyckim chodzi o zachowanie tego co mają: nam *status quo* nie wydaje się do tyla rozkosznym, abyśmy za jego utrzymanie kopie kruszyć pragnęli. Niemcy nadbaltyccy mogą wydawać w swoim interesie broszury, które chociaż w Lipsku drukowane, uzyskują debit w cesarstwie. My, muszący liczyć się z warunkami w których prasa warszawska jest postawiona, nie możemy posługiwać się takiemi środkami.

Różnice między nami a niemcami nadbaltyckimi istnieją pod wielu względami: oni są kastą, my—narodem, oni działają nieraz skutecznie, nam kroku bez zezwolenia zrobić nie wolno; oni uzyskują w tych dniach odroczenie cząstkowéj tylko reformy sądowéj, bo na wprowadzeniu sądów pokoju wyłącznie polegającéj, pomimo iż reforma długo była przygotowywaną, wszechstronnie roztrząśniętą i opracowaną starannie w najdrobniejszych szczegółach; my przed sześciu laty nie uzyskaliśmy odroczenia refomy całego sądownictwa, pomimo iż operat był dość powierzchownie obrobiony i wielu poprawek zaraz nazajutrz po swych narodzinach wymagał, która to praca łatania, po sześciu latach jeszcze jak się zdaje nie dobrnęła do szczęśliwego końca.

* *
*

Doroczna, druga z rzędu, wystawa inwentarzy żywych odbyła się i w tym roku na placu Ujazdowskim w Warszawie, w czasie od 10 do 19 czerwca. Nie dorównywała ona zewnętrzną świetnością zeszłorocznéj, a tém bardziéj przed dwoma laty odbytéj, specyalnéj wystawie koni; lecz zato przyznać musimy donioślejsze znaczenie jéj stronie wewnętrznéj. Koni stosunkowo dostarczono mało, a z pierwszorzędnych stadnin krajowych, tylko stadnina hr. Ludwika Krasińskiego celowała zarówno doborem okazów, jak ich ilością, wykazującą różnorodne kierunki hodowli, których zbadanie pod względem praktycznéj użyteczności, bądź jako produkcyi towaru na handel zagraniczny przeznaczonego, bądź jako materyału hodowlanego mogącego zaspokoić naglące potrzeby mieszkańców kraju, hr. Krasiński położył sobie za zadanie. W stadninie w Krasnem widzimy rozmaite rasy, począwszy od koni pełnéj krwi angielskich i szlachetnych arabskich, aż do perszeronów, normandów, suffolków, hodowanych w czystości rasy, oraz produkta rozmaitego krzyżowania tych ras pomiędzy sobą.

Inne celniejsze stadniny w kraju nie były wcale na wystawie reprezentowane, albo bardzo słabo; za to z okolic zabużańskich piękne okazy, przeważnie pochodzenia wschodniego, przedstawili: hr. Eustachy Potocki, p. Herburt-Heybowicz, hr. Działyńska, hr. Stadnicka, jako téż kilku innych hodowców. Koni hodowanych przez włościan było bardzo mało, czemu się bynajmniéj dziwić nie należy, zważywszy obecną porę roboczą, niedozwalającą odrywania inwentarza od pracy w roli, a przytém dość znaczne koszta przewozu zwierząt do Warszawy i utrzymania ich na wystawie. Wspomnieć jednak należy gniadą czteroletnią klacz włościanina Ignacego Welika z gub. Siedleckiéj, przychowaną u niego po ogierze rasy ardeńskiéj ze stada rządowego w Janowie; oraz trzy konie rasy krajowéj, bułanéj maści z białemi ogonami i grzywami, włościanina Wojciecha Widłaka z pow. Garwolińskiego; jednego z nich nabył dziedzic wsi i przedstawił jako ogiera rozpłodowego do klaczy krajowych roboczych. W ogóle w wystawie koni widzimy dążność do zapełnienia jéj okazami zwierząt rozpłodowych i współubieganie się na tém polu uważamy za objaw bardzo pocieszający ze względu na materyał hodowlany w kraju. Sąd w téj mierze powinien być nader surowy, chociażby wyrok sędziów miał dotknąć miłość własną wystawców i zniechęcić ich do przysyłania na dal okazów swych na wystawę. Nagrody też dla tego działu powinny być wyższe niż dla koni przeznaczonych wyłącznie do bezpośredniego użytku, jako kareciane (zaznaczyć musimy iż takich było najmniéj) zaprzężne, robocze i wierzchowe. Że wystawa koni w znaczeniu swojém handlowém, jako targowi-

sko na konie, nie doszła jeszcze do pożądanego stopnia rozwoju, dowodzi tego ta okoliczność, iż towarzystwo belgijskie tramwajów, właśnie w porze wystawy, wysłało delegatów swoich na Węgry w celu zakupna potrzebnych mu koni, zamiast ich szukać na placu Ujazdowskim.

Dział owiec przedstawiał się na wystawie zupełnie inaczéj; główną tu rolę odgrywały owczarnie zarodowe prowadzące hodowlę w obranym kierunku pod względem wysokiéj cienkości wełny lub też gęstości porostu i wagi runa, jako też gatunku wełny, to jest sukienniczéj i czesankowéj; były więc owce i barany negretti, rambouilety; owiec angielskich ras mięsnych było mało; przedstawicielami ich były przeważnie oxfordsdown'y, southdown'ów zaś nie wiele. Tryki z celniejszych owczarni z kraju i z W. Księztwa Poznańskiego znajdowały chętny pokup, po dobrych cenach. Niemieccy hodowcy ze Szlązka, Meklemburga i Saksonii dostarczyli również okazy swoje na sprzedaż, przeznaczone jakoby dla zasilenia niemi krajowych zarodowych owczarń dla niezbędnego odświeżenia krwi. Lecz zdaniem specyalistów okazy te nie odpowiadały temu zadaniu i wiele pozostawiały do życzenia.

Niektóre zarodowe obory okazami swémi nie ustępowały owczarniom; rasę holenderską reprezentowała obora hr. Krasińskiego w Ursynowie, od lat wielu starannie w czystości krwi utrzymywana; tejże rasy okazy nadesłali p. Michał Kozarski z Sieradzkiego, p. Franciszek Kraczkiewicz z Moszny pod Pruszkowem, hr. Platerowa z Hruszniewa, oraz kilku innych wystawców.

Rasy górskie liczniéj były reprezentowane; tutaj zaliczyć należy śliczne okazy rasy Montafońskiéj p. Tytusa Dembowskiego z Nacpolska, szwajcarskiéj Simmenthal p. Ant. Kalksteina z Pluskowęs w Prusach zachodnich, hr. Karola Zamojskiego ze Starej-wsi; rasy Schwytz: p. Wiktora Suskiego i młode siedmiomiesięczne ciołki hr. Platerowéj z Hruszniewa.

Niektórzy też wystawcy dostarczyli okazy bydła zagranicznego importowanego, mając na widoku potrzebę obór zarodowych odświeżania krwi, podobnie jak to w owczarniach ma miejsce. Widzieliśmy więc buhaje holenderskie wielkiéj odmiany zwanéj amsterdamską dostarczone przez p. Chmielewskiego i s-ka, oraz buhaja i jałowicę lżejszéj odmiany noszącą nazwę Reideland, których wystawcą był p. Pepper z Amalienhof pod Elblągiem.

Prowadzenie czy to obór, czy też owczarni zarodowych, połączone jest z tylu trudnościami, wymaga tak gruntownéj znajomości zasad i drobiazgowych szczegółów hodowli, iż każdy z właścicieli, który sobie ten kierunek chowu zwierząt położył za zadanie, musi

być bardzo oględnym w wyborze oryginalnych tryków i buhai, które, dla odświeżenia krwi w owczarni swéj lub oborze, sprowadzić zamyśla; w rzadkich zatém wypadkach może polegać na materyale jaki mu handel dostarczyć może, lecz zwykle stara się osobiście przekonać na miejscu o wartości rozpłodowéj sztuk, które nabyć potrzebuje; cena, zwykle w takich razach bardzo wysoka, jest tu rzeczą podrzędną; zresztą powinna się ona wynagrodzić podwyższoną ceną produktu otrzymanego z własnego chowu. Lecz główną rzecz stanowi względna pewność dziedziczności przymiotów w nabywanych sztukach, o czém się tylko naocznie przekonać można. Z tego względu sprowadzanie z zagranicy sztuk rozpłodowych, jakkolwiek pięknych na oko, lecz nie przedstawiających ani dla spekulanta, ani dla nabywcy dostatecznéj rękojmi, uważamy za rzecz ryzykowną.

Trzoda chlewna przedstawiona na wystawie była piękną, powiemy nawet nadto piękną. Patrząc na te bryły żywego tłuszczu, z przykrością u wielu okazów dostrzegliśmy nieprawidłowe oddychanie, spowodowane prawdopodobnie nadmiernem otłuszczeniem serca, a ztąd wadliwym obiegiem krwi. Okazy te czyniły na nas wrażenia *chorych* zwierząt. Nie może zatém ich mięso stanowić *zdrowego* pokarmu, ale o to mniejsza, ponieważ celem ich hodowli jest przypłodek powstały z krzyżowania ich z rasami krajowemi. Ale właśnie dla tego, mamy prawo powątpiewać o ich zdolności spłodzenia lub wydania na świat zdrowego potomstwa, mogącego stanowić materyał spożywczy dla krajowéj ludności i towar handlowy chętnie poszukiwany zagranicą. Kwestyą tę poddajemy pod roztrzygnienie fizyologów, hygienistów i hodowców, prosząc tych ostatnich aby się nad nią bez uprzedzenia zastanowić raczyli.

* * *

W końcu kwietnia jeszcze, wobec zbliżających się wyborów do władz Towarzystwa Kred. Ziems. „Słowo“ ogłosiło szereg artykułów o stanowisku Tow. i rozmaitych dezyderatach wypowiadanych przez stowarzyszonych. Wyłożono tam jakiéj metody powinno się trzymać Tow. przy udzielaniu pożyczek, a w dwóch ostatnich artykułach (NN. 99 i 100) podano krytykę zdrową przejawiających się tu i ówdzie żądań konwertowania listów zastawnych na walutę metalową. Wkrótce potém w N. 112, 113 i 114 „Gazety Polskiéj“ korespondent z nad Warty wystąpił w obronie konwersyi listów zastawnych, przeprowadził swe zadanie świetnie i z wielką dyalektyczną zręcznością a zakończył wyznaniem: że przeprowadzenie konwersyi chociaż połączone z całym szeregiem trudności prawodaw-

czych i finansowych, jest jednakże możliwe a byłoby dla dłużników Tow. korzystne, dla wierzycieli zaś i społeczeństwa nie szkodliwe.

Że nowa emisya listów zastawnych spłacalnych w złocie jest możliwą, tego teoretycznie dowodzić nie było potrzeby; korzystną zaś może być o tyle o ile owe trudności do przezwyciężenia finansowe i prawodawcze okażą się nie zbyt uciążliwemi. Nie można spodziewać się, aby w ogromném państwie, w którém kurs monety papierowéj jest przymusowym od lat trzydziestu blisko, bo wymiana jéj na metal ustała z początkiem wojny krymskiéj, gdzie chwiejność kursu monety opanowała już wszystkie stosunki ekonomiczne, ażeby tam, pewna liczba właścicieli ziemskich mogła, w pewnéj cząstce swych interesów, uniknąć ogólnego oddziaływania téj chwiejności; a przynajmniéj nadzieja taka nam wydaje się zbyt zuchwałą.

Uważalibyśmy za wielką pomyślność dla kraju przywrócenie obiegu metalowego. Jeżeli był czas, kiedy można było oprzéć się skutecznie wprowadzeniu w kraju naszym przymusowego kursu monety papierowéj, żałować tylko możemy, że z niego nie skorzystano (w przypuszczeniu, że to było możliwem) i nie postanowiono wtedy starać się o silniejszą gwarancyą prawodawczą przeciwko jéj napływowi. Jako gorący zwolennicy wszelkiéj energicznéj czynności osób prywatnych i instytucyj z łona społeczeństwa wyrosłych, witalibyśmy z największą radością dowód, że władze Towarzystwa Kred. Ziem. konwertując listy zastawne na walutę metalową, mogą się przyczynić do przywrócenia obiegu monety brzęczącéj. Ale, czyż konwersya może mieć znaczenie tak doniosłe? nam się zdaje że nie, korespondent z nad Warty także tego nie przypuszcza. Jakaż więc będzie z niéj korzyść dla dłużników? — My tę jedynie uznać możemy: że ciążący dzisiaj na dobrach stowarzyszonych dług towarzystwu, zostanie ujętym w stałą i niezmienną normę, że stosunek jego do wartości realnéj majątku pozostanie niezależnym od zmian kursu rubla kredytowego; ale obok tego wszelkie inne czynności ekonomiczne właściciela, o wiele obszerniejsze aniżeli wypłata amortyzacyi tego długu, pozostaną pod wpływem monety papierowéj; wydatki na prowadzenie gospodarstwa, sprzedaż produktów, inne kredyta hypoteczne i osobiste, nakoniec sama cena majątku nie przestaną przeto wyrażać się w znakach obiegowych chwiejnych. Właściciel majątku będzie miał pewność, że jakaś część jego długu nie zmieni swego stosunku do wartości jego majątku przez taksę wykrytéj, ale sama cena tego co posiada, i wartość tego co przez ręce jego przechodzi przy ciągłym obrocie pozostaną dla niego rzeczą niedokładnie określoną. Zapewne można dopatrywać w tém korzyść jakąś, ale czy wielką? czy taką dla któréj wartoby się poddawać dzisiaj

rozmaitym ewentualnościom przy lokowaniu nowych listów zastawnych możliwym, i brać na siebie w przyszłości większy ciężar wypłat? Słyszeliśmy opowiadania, że ten lub ów bankier bilanse swoje oblicza na monetę metaliczną, mając ciągle i wyłącznie prawie do czynienia z wartościami kredytowemi, ma on w tém korzyść taką, iż w każdéj chwili może wiedziéć dokładnie jaką ilością wartości realnéj rozporządza, jasno widzi stan swego majątku; wszakże podobny sposób prowadzenia rachunku nie salwuje go bynajmniéj od strat, ani przeszkadza pobierać zysków, jakie mu nadarzyć może chwiejność kursu waluty kredytowéj.

Korespondent z nad Warty przewiduje bodaj, że kurs rubla kredytowego podniesie się w prędkim czasie i to znacznie, na ten wypadek chciałby dzisiaj już przystąpić do normowania w złocie cyfry długu właścicieli ziemskich towarzystwu, ażeby ochronić ich od strat jakieby na zwyżce kursu ponieść mogli. Jednakże jeżeli na poprawieniu się kursu stracą dłużnicy, to zyszczą na tém wierzyciele, posiadacze listów zastawnych, którzy dotąd na ustawicznym upadaniu kursu oczywiście tracili, trudno więc w konwersyi dopatrywać sprawiedliwości; zastrzeżenie się jurystyczne raczéj aniżeli jurydyczne, prawne, że listy zastawne mogą być wylosowane w każdém półroczu, że zatém przyśpieszona ich wypłata nikogo nie skrzywdzi, wystarczyłoby może temu lub owemu sądowi do wydania decyzyi uznającéj podobną operacyą za nieprzeciwną prawu, ale słuszności w tém nie będzie zgoła, bo tych którzy w ciągu szeregu lat widzieli dochód swój stosunkowo zmniejszającym się konwersya pozbawiłaby szans pomyślnych poprawienia swéj pozycyi.

Rzeczywistym interesem właścicieli ziemskich byłoby otrzymywanie pożyczek oprocentowanych niżéj od dzisiejszych np. 4% zamiast 5%; jedynie więc w nadziei otworzenia naszym listom zastawnym drogi na wielkie giełdy zachodniéj Europy można projektować konwersyą ich na walutę metalową, bo tam kapitaliści zadawalniają się procentem niższym i papier hypoteczny byłby zapewne pożądany przy czterech procentach. Ale korespondent z nad Warty chce owszem zatrzymać, z początku przynajmniéj, stopę pięcioprocentową, licząc bodaj na to, że przy tym wysokim procencie kurs ich pójdzie wyżéj *pari*, a wtedy dłużnik dostanie w ręce więcéj kapitału. Przy losowaniu jednak listów w terminach półrocznych, zagrażającém posiadaczom list. zast. wypłatą *al pari*, trudno przypuszczać aby kurs ich mógł podnieść się znacznie, a przynajmniéj odpowiednio do wyższéj nad miejscową stopy procentu; jeżeliby zaś powiodło się przy sprzedaży listów zastawnych dostać jednym lub dwoma na sto więcéj, nie zrównoważy to bodaj dla dłużnika niedogodności płacenia w ciągu lat 37½ procentów pięciu zamiast czterech.

Całe rezonowanie korespondenta z nad Warty opiera się na *przypuszczeniu, że listy zastawne metaliczne*, przy odpowiednim staraniu ze strony władz Tow. Kred. Ziem., mogłyby być lokowane za granicą na równi ze swą nominalną wartością. Opłata procentów w złocie nie zdaje się mu przedstawiać żadnych trudności, bo wszakże w Gdańsku za pszenicę zawsze złota dostać można, a kurs papierów zrównoważy ten rachunek. Nam się zdaje że nie wielka tylko liczba właścicieli sprzedaje pszenicę w Gdańsku, chyba niektóre większe majątki nad granicą pruską, albo nad Wisłą położone tak się urządzają, ogromna zaś większość stowarzyszonych dłużników sprzedaje produkty swoje wewnątrz kraju, rozmaitym handlarzom, którzy często o cenie złota na giełdzie warszawskiéj tyle wiedzą co i sami właściciele, a jeżeli są lepiéj oświadomieni, to nieraz zapewne zechcą korzystać ze swéj wiadomości, przy zawiłym rachunku kursów potrafią wykazać wyższość swą w arytmetyce, co już dla dłużników dogodném w żadnym razie być nie może. Zbijając daléj z wielką biegłością dyalektyczną argumenta w N. 100 „Słowa" przytoczone, nie wspomina nawet korespondent o przykładach w N. 99 cytowanych, na których właśnie opierają się owe argumenta. Faktem jest że obligacye metaliczne Tow. kolei Terespolskiéj i Warszawsko-Wiedeńskiéj, a także obligi hypoteczne Tow. wzajemnego kredytu ziemskiego rosyjskiego i Boden-Creditu austryackiego, pomimo usiłowań umiejętnych i stosunków w świecie finansowym bardzo rozgałęzionych, nie mogły być lokowane na równi ze swą nominalną wartością, a z pomiędzy tych czterech emisyj tylko obligacye kolei War.-Wied., z powodu korzystnych okoliczności chwili w któréj były wypuszczone, zdołano sprzedać za ilość rubli kredytowych równą cyfrze rubli metalicznych, za którą mają być z czasem wykupione. Przeciwko tym faktom nie wiele pomogą rezonowania, chociażby na zasadach najczystszéj ekonomii osnute, a wobec podobnéj ewentualności nawet niższy procent listu zastawnego nie będzie korzystnym dla dłużnika, bo on, za zobowiązanie wypłaty stu rubli w złocie, dostałby dzisiaj sto rubli kredytowych, a procent czwarty płatny w złocie przy obecnym kursie (160 za 100) wyniósłby już 6,4% zamiast dzisiejszych 5%.

Od czasu silniejszego zniżania się kursu rubla kredytowego, nasze listy zastawne trzymają się ciągle prawie na równi ze swą nominalną wartością w tychże rublach, i nie dają się przewidywać wewnątrz kraju fakta ekonomiczne, któreby na zniżenie znaczniejsze ich kursu wpłynąć mogły, dlatego perturbacya, jaką w interesach pewnéj liczby właścicieli ziemskich i bez porównania większéj ilości posiadaczy listów zastawnych, wprowadzić-by musiała konwersya na

walutę metalową nie zdaje się nam być pożądaną. Okoliczności zewnętrzne, wpływ jakiby na kurs listów zast. wywrzeć mogła jakaś zawierucha europejska lub wojna z ościennym mocarstwem, nie mogą być przez nas przyjmowane w rachubę, dlatego że ani tych okoliczności przewidziéć, ani ich doniosłości ocenić, ani skutków jakie za sobą sprowadzą obliczyć nie możemy; a to nie tylko my, skromni publicyści bez życia publicznego, ale nawet kierownicy polityki dworów europejskich, którzy często w podobnych przewidywaniach mylić się mogą i mylą się téż faktycznie. Tu zawsze pozostaną szanse podwójne: ktoś może wygrać, a ktoś stracić; tutaj trzeba aby każdy na własną odpowiedzialność, według swego rozumienia rzeczy i bystrości w przewidywaniu wypadków, urządzał swoje własne interesa. Instytucya publiczna zawiadująca sprawami kilku tysięcy dłużników i niemniéj obowiązana dbać o interes kilkuset tysięcy wierzycieli, nie ma prawa czynności swych stosować do rozlicznych niewiadomych jéj wypadków, jakie dzień jutrzejszy lub rok następny może przynieść z sobą, dla niéj drogę prawidłową postępowania wskazują trwałe warunki bytu ekonomicznego tego kraju w którym ona funkcyonuje. Porywać się na forsowne przekształtowanie tych warunków nie może nikt kto nie rozporządza środkami prawodawstwa i zarazem najpoważniejszą siłą finansową w kraju, zatém jeden tylko rząd jest w stanie wywierać wpływ skuteczny na obieg téj lub owéj monety w kraju.

We wszystkich podręcznikach ekonomicznych zapisane jest twierdzenie uczonych angielskich, że złoto i srebro zawsze tam się przenosi gdzie jest najdroższém. Ale uczeni angielscy nie u nas studya swe nad obiegiem drogich metali robili. Złoto najdroższem i najpożądańszem jest niewątpliwie w krajach gdzie istnieje kurs przymusowy papierowych znaków wymiany, a jednak ono tam iść niechce, sprowadzane zaś usilnemi staraniami ucieka bardzo prędko. U nas np. za gwineę niewątpliwie można kupić więcéj ziemi i zboża aniżeli w Anglii, pomimo to jednak nietylko gwinea do nas nie wędruje, ale i półimperyał z granic cesarstwa ucieka.

Prawo rządzące obiegiem metali, wskazane i opisane przez ekonomistów angielskich, prawdziwem jest w Anglii i w całym rejonie krajów gdzie warunki ekonomiczne są do siebie podobne. Londyn, Paryż, Bruksella, Amsterdam, Frankfurt nad Menem kolejno przesyłają sobie złoto gromadzące się nadmiernie w jednym z tych punktów centralnych wielkiego handlu i wielkiego przemysłu; ale do Wiednia i Rzymu nie tak już łatwo ono się przenosi, a do Warszawy i Petersburga obecnie zanic go zwabić nie można. To téż posługiwanie się formułami nauki ekonomicznéj właściwe w dyskusyi

dla wyjaśnienia kwestyi, nie może być skutecznem w praktyce interesów, bo formuła oderwana nie da się zastosować do życia bez wprowadzenia do niéj współczynników praktycznych, a w interesach właśnie o te współczynniki chodzi.

Jeżeliby Anglicy lub Francuzi, a nawet Niemcy, potrzebowali kupować u nas coś więcéj oprócz téj niewielkiéj ilości zboża jaką im sprzedajemy, jeślibyśmy mogli dostarczać im węgla, żelaza, wytworów chemicznych a chociażby wielkich mas lnu czy konopi, słowem takich produktów, których spożycie wzrastać może nieograniczenie, wtedy moglibyśmy liczyć na to, że nasze zobowiązania hypoteczne będą przez nich cenione na równi z nominalną wartością. Ale my im tego dostarczyć nie możemy, rodzący się przemysł nasz zbywa swe wyroby prawie wyłącznie w Cesarstwie, a fakt ten wciąga nas w sfery tamecznego obrotu ekonomicznego; giełdy Paryża i Londynu znają dokładnie nasze położenie, dlatego ani doskonałe u nas urządzenie hypoteki, ani pięćdziesięcioletnia nieskazitelna czynność władz Tow. Kred. Ziem., niewystarczą do zaszczepienia w kapitalistach zagranicznych zaufania, że instytucya kredytowa kraju, który musi się obracać w orbicie wielkiego państwa o kursie papierowym przymusowym, będzie zawsze w możności wywiązać się ze swego zobowiązania wypłat w złocie, i dla tego to nie możemy przewidywać żeby nowe listy zastawne metaliczne mogły być lokowane zagranicą *al pari*.

Upadek kursu monety papierowéj nastaje wtedy, kiedy ilość jéj przewyższa potrzeby obrotu wewnętrznego, niebezpieczeństwo to istnieje wszędzie gdzie wypuszczanie w obieg papierowych pieniędzy zależy od władz rządowych, które zbyt często znajdują się w konieczności opędzania wydatków nadzwyczajnych, natychmiastowo. Anglia, Francya i Ameryka miały swoje peryody kursu przymusowego papierów, ale tam stosunkowo prędko potrafiono wydobyć się z kłopotu, bo położenie polityczne pozwalało prędzéj zarządzić w wydatkach znaczne oszczędności, a co najważniejsza, że tam pracowitość, przemyślność i przezorność pomiędzy całą ludnością rozwinięte są w znacznie wyższym stopniu aniżeli u nas i w Rosyi, z czego wynika ciągły przyrost wartości wytwarzanéj wewnątrz kraju, obrót handlowy wzrasta szybko, handel zewnętrzny prowadzi się na skalę olbrzymią i złoto spływa tam ze wszystkich stron świata.

My przemysł u siebie rozwijać zaczynamy dopiero, zmuszeni do tego mnożeniem się ludności, wyroby nasze zbywamy tam gdzie je biorą i dostajemy za nie pieniądz papierowy. Kraj nasz, chociaż gęsto zaludniony, w stosunku do ogromnego Cesarstwa, nie może mieć dostatecznéj siły ekonomicznéj, ażeby swoją produkcyą warun-

kował okoliczności tamecznego obrotu, zagranicę wywozimy zaś zbyt mało ażebyśmy mogli ztamtąd ściągać złoto do siebie. W téj pozycyi musimy sprawować się oględnie i nie możemy myśléć o wywołaniu przesilenia monetarnego, nad którym zapanować nie bylibyśmy w stanie. Dla uregulowania wszelkiego rodzaju stosunków ekonomicznych przywrócenie obiegu metalowego naturalnie jest nam bardzo pożądane, ale zdaje nam się, że w żadnym razie nie powinnibyśmy pragnąć redukcyi rubla kredytowego; dlatego właśnie że to byłby kryzys, i kryzys zawsze bolesny, przynajmniéj dla połowy społeczeństwa. Jeżeli upadek kursu rubla papierowego był stopniowy i samym stopniowaniem swoim straty i szkody poniesione rozkładał na czas długi i na wielką ilość osób, to też i poprawianie się kursu pożądaném być może tylko stopniowe, w ciągu kilkunastu lat przeprowadzone, któreby pozwoliło, nowe wynikające ztąd straty a także korzyści, stosunkować do niezmiernéj rozmaitości w położeniu wszystkich obywateli kraju.

Korzyści zaś, jakaby wyniknąć mogła obecnie z konwersyi listów zastawnych dla stowarzyszonych właścicieli ziemskich, dopatrzyć nie możemy, bo ani przez to dostać oni będą mogli więcéj pieniędzy, ani zmniejszą się ich wypłaty. A jeżeli korzyść dla nich widziéć można w zastrzeżeniu się od spłaty długu przy lepszym kursie rubla kredytowego, to takowa pociągnąć za sobą musi stratę wierzyciela, który o tyle mniéj dostanie dzisiaj o ile dłużnik z czasem mniéj zapłacić będzie obowiązany.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor **Piotr Chmielowski.**

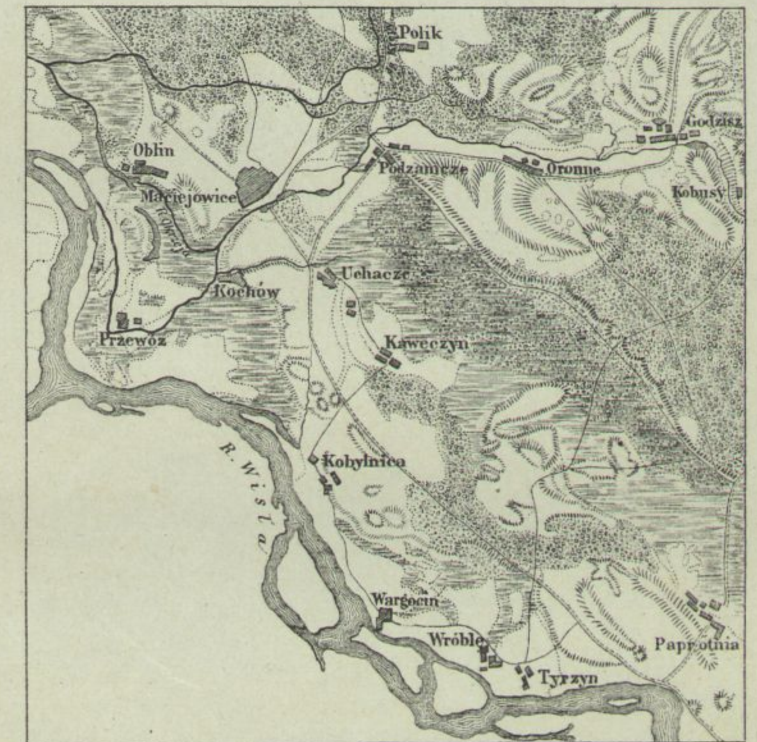
PLAN ODRĘCZNY BITWY POD MACIEJOWICAMI,

skreślony przez L. DEMBOWSKIEGO.

Wieś Krepa
Tormasów
C
ŁĄKI BŁOTNISTE
ŁĄKI BŁOTNISTE
Rzeka Okrzeja
C
Podzamcze
Folwark
Maciejowice
Wieś Oronne
A
B
D
do Korytnicy
Wieś Uchacze
Wieś Kawęczyn
Wieś Przewóz
Rzeka Okrzeja
Wieś Kobylnica
Wieś Wargocin
Wróble
Tyrzyn
Rzeka Wisła

w Lit. W. Główczewskiego Warszawie

OKOLICA MACIEJOWIC,



½ 1 2 3 4 5 10

OBJAŚNIENIE.

Siły polskie.

a. 4 Szwadrony Leib-Regimentu.
b. 4 Szwadrony brygady Ożarowskiego.
c. Brygada Pułkownika Kopcia.
d. Pułk..5-ty Ks. Lubomirskiego.
e. — Ułanów Königa
f. — Paszkowskiego Milicyja Brzeska.
g. 1 bataljon Wodzickiego.
h. 2 bataljony Czapskiego.
i. 1 bataljon fizylijerów.
k. 2 bataljony Działyńskiego.
l. 2 bataljony Krasiński i Rafałowicz.
ł. Kosyniery Krakowskie.
m. Strzelcy Działyńskiego.
n. Strzelcy Flor. Dembowskiego.

Wogóle 20 szwadronów kawaleryji.
12 bataljonów piechoty.
4 bataljony milicyji i Kossynijerów.
20 dział.
licząc szwadron po 120 ludzi × 20 = 2,400.
— bataljon — 608 — × 16 = 9,600.
Razem 12,000.

Siły rossyjskie.

A. Brygada Denisowa.
8 Szwadronów Elizabetgradzkich konnych Jegrów
2 Batalijony Kozłowskie Muszkietery.
2 — Ekaterynosławskie.
N. 1. Kozacy Jelowski.
2. — Denisow.
3. — Janow.
4. — Denisow.
5. — Serebrekow.
6. — Grekow.
7. — Andreanow.

B. Brygada Chruszczow.
6 Szwadronów Jenburskich Kirassyjerów.
6 Szwadronów Achtyrskich lekkokonnych.
3 batalijony Dnieprowskie.
2 batalijony Uglickie.

C. Brygada Tormassów.
10 Szwadronów Smoleńskich dragonów.
4 Batalijony Grenadjerów Sybirskich.
4 Batalijony Grenadjerów Kijowskich.
2 Batalijony muszkieterskie Nowogrodzkie.

D. Brygada Rachmanow.
6 Szwadronów Charkowskich lekkich.
6 Szwadronów Woroneżskich Huzarów.
3 Batalijony Kurskich muszkieterów.
2 Batalijony Ekaterynosławskich Jegrów.

Wogóle 44 Szwadronów.
25 batalijonów.
7 pułków Kozackich.
Jazdy 8,500.
Piechoty 20,000
28,500.

Dział lekkich 48.
ciężkich 50.

Na scenie i za kulisami.

HISTORYA PARAFIALNA.

I.

Gorący dzień lipcowy kończył się, słońce zniżało powoli i już nie tyle żaru miały promienie jego, które ukośnie wpadały do saloniku Milewa, małéj wioseczki podolskiéj. Salonik ten, niezbyt wielki, miał ściany białe, zasiane złotemi gwiazdami, w których odbijało się słońce. Meble, karmazynowym atłasem kryte, nie jeden rok już widziały—świetny niegdyś kolor wyblakł na słońcu, a miejscami mole wyjadły szramy szerokie. Jednak umiejętna ręka pocerowała kosztowną materyę pohaftowała delikatne pokrowce z muślinu białego, zakryła niemi kolor wybladły i naprawki rozliczne, nadając salonikowi świeżość i elegancyę; wyglądal on niby bonbonierka, niby poduszeczka do szpilek na toalecie elegantki. Wszystko tam było wypieszczone po kobiecemu, a razem obrachowane na efekt, począwszy od kwiatów i roślin na oknach, co rozrosły się potężnie i szerokiemi, silnemi liśćmi śmiały się do słońca pijącego z nich wody krople, aż do najmniejszego graciku i cacka, których ilość ogromna ze szkła, bronzu i porcelany, gromadziła się wszędzie, gdzie tylko można coś było postawić.

Ostatnie promienie słońca świeciły na złotych gwiazdach obicia, ślizgały się po kryształowych wisiorkach świecznika, zwieszonego od sufitu, odbijały w dwóch dużych lustrach, naprzeciw siebie umieszczonych, a napełniały jaskrawem światłem ten efektowny salonik, w którym nawet dywany na posadzce miały tak świetnie ubarwione kwiaty, że i na nie spojrzéć było potrzeba.

W saloniku znajdowało się na tę chwilę cztéry osoby, państwo domu, Czarnowscy, i sąsiedzi, dwaj panowie Porajscy, stryj Karol i synowiec Bogdan.

Nie można było określić wieku gospodyni, pani Emilii. Jéj szczupła i zgrabna kibić, jéj bardzo piękne ręce, wysuwające się z szerokich rękawów jasnéj lekkiéj sukni, zdawały się zapowiadać młodą zupełnie kobietę. Ale podnosząc oczy na twarz jéj, doznawało się zawodu—włosy niegdyś kruczéj czarności, dziś do połowy białemi się stały, a niezliczona sieć zmarszczek pobruździła twarz całą, pocięła czoło, otoczyła usta i oczy i zsunęła się aż na szyję. Usta jednak zostały świeże jak dwa listki róży, a w miłym niezmiernie uśmiechu ukazywały dwa rzędy zębów nieposzlakowanéj formy, ale mocno przyżółconych bezustanném użyciem papiérosów. Para dużych oczu, ciemno-szarych w czarnéj oprawie, mocno podkrążonych, oświecała tę twarz zagadkową, co ślady burz tylu nosiła na sobie. Trzéj mężczyzni stanowili z sobą sprzeczność zupełną. Karol Porajski musiał być kiedyś pięknym bardzo, dziś twarz jego przykre sprawiała wrażenie. Żółtawa bladość twarzy, od któréj odbijały silnie jego krucze włosy, brwi i wąsy, nadawała mu charakter ponury, a szeroka łysina oryginalnie wyglądała, gdyż ani jeden włos biały nie mięszał się do czarnych. Usta miał wązkie, delikatnie wykrajane, ale bezkrwiste zupełnie, a uśmiech, który się po nich przewijał czasami, podobny był do skrzywienia. Oczy zapewne dawniéj były piękne, ale dziś, krwawe żyłki przerzynały białka, a źrenica błyszcząca, ukośne jakieś rzucała spojrzenia. Całą postać jego cechowała nieporównana dystynkcya; ubrany był wytwornie, z tą elegancyą ludzi wyższego towarzystwa, która czuwa nad każdym szczegółem, a nigdy nie bywa nadto wyszukaną. Twarz to była oryginalna, rozumna, a raczéj niepospolicie sprytna, ale przeżyta, zmęczona, zatarta i powleczona mgłą rozpaczliwego znudzenia.

Synowiec, Bogdan, był do niego podobnym, o ile podobnym być może młody człowiek w całéj pełni sił nie stéranych jeszcze, porywów nie zawiedzionych dotąd, pragnień nie zaspakajanych i nie zmarnowanego ducha, do człowieka który czarę życia wyczerpał aż od dna, aż do ostatniéj kropli mętów, co na spodzie osiadły. Rysy twarzy były te same, ta sama prawie postawa, tylko u Karola było więcéj wytworności, u Bogdana męzkości i siły; a jednak, o ileż oni różni byli od siebie—Karol był mumią, Bogdan wcieleniem młodości i życia.

Pan Czarnowski przedstawiał typ różny od tych dwóch ludzi. Był on pięknym mężczyzną, szeroko rozrosłym, z dużemi rękami i nogami. Na jego grubych białych palcach błyszczało kilka pierścionków, ciężki złoty łańcuch odznaczał się na białéj kamizelce.

Miał ciemne oczy z długą rzęsą, włosy jasne, piękną bursztynowego koloru jedwabistą brodę, usta czerwone, mocno wydatne, a zęby zdrowe i białe. Wyglądał na lat trzydzieści parę.

— Tak więc—mówił Karol—siostra pani zamiast przyjechać wczoraj, jak miała zamiar, będzie tu dopiero pojutrze...

— W saméj rzeczy—odparła pani Emilia—jeśli znowu co nie przeszkodzi.

Karol się skrzywił niemiłosiernie, co miało oznaczać uśmiech uprzejmy.

— Pani Sawińska powinna wziąść w rachubę niecierpliwość swoich dawnych znajomych—rzekł.

— Och!—odparła z uśmiechem pani Emilia—ci znajomi są już tak dawni, że mieli czas zapomniéć o niéj. Dwanaście lat!... wiele to rzeczy zapomni się przez ten długi przeciąg czasu...

— Nie wszystko się zapomina... czy wie pani o tém?

Pani Emilia wpatrzyła się w niego przenikliwie.

— A cóż się da zapamiętać tak długo? spytała, nie spuszczając oczu.

Karol przetrzymał jéj spojrzenie, uśmiechnął się dziwnie i rzekł spokojnie, z odcieniem szyderstwa w głosie:

— Pani łaskawa, dla ludzi, co dużo widzieli, najsilniejszém uczuciem jest ciekawość. Jestem pani Toli niezmiernie ciekawy.

— Pan ją zna przecież dobrze?—wtrącił Czarnowski.

— Znałem wybornie dwanaście lat temu, gdy była szesnasoletnią dziewczynką. Obiecywała wtedy bardzo wiele...

— Dotrzymała słowa... dorzuciła półgłosem pani Emilia.

— Bo też i życie dało jéj tyle... — rzekł Karol patrząc jéj w oczy—przecież była szczęśliwą...

Szare oczy pani domu miały dziwny wyraz jakiś.

— Nie—odparła jakby w zamyśleniu – nie była szczęśliwą i życie nie dało jéj tego, do czego prawo miała. Nie rozpoczynała zresztą życia pod dobrą wróżbą: wyszła za mąż bez przywiązania; dzieckiem była, gdy ją za Sawińskiego wydano, i poszła za wyraźnym rozkazem rodziców, którzy koniecznie tego małżeństwa pragnęli. Ona się w dziwny sposób opierała i został w jéj sercu jakiś żal dziwny, jakaś szczególna gorycz czy téż tęsknota – nigdy nie mogłam zrozumieć za czém...

Niedostrzegalny uśmiech przewinął się po ustach Porajskiego.

— Słyszałem, że pani Tola słynie z wesołości—rzekł.

Pani Emilia wzruszyła ramionami.

— Zdawało mi się, że pan—rzekła z naciskiem—musisz wiedziéć, że niektóre kobiéty są zawsze wesołe, a szczególniéj kiedy nie mają ochoty grać roli zapoznanych.

— Sądzę, że ta rola była niemożliwą?

— Sawiński był o dwadzieścia lat od niéj starszy, niemiły bardzo w obejściu i szalenie zazdrosny, a Tola się rwała do życia.

— Zazdrosny?—podchwycił Karol—czy miał prawo do tego?

Brwi gospodyni zsunęły się lekko.

— Nie można mieć bezkarnie lat siedmnastu, wyższego umysłu, niezwykłéj piękności, nieobrachowanéj żywości i starego męża,—rzekła dumnie trochę. Za Tolą szaleli ludzie i tracili głowy po ślubie więcéj niż przed, gdyż była na szerszym świecie...

Czarne źrenice Porajskiego strzeliły błyskawicą, jego ciężkie, zaczerwienione powieki się podniosły.

— A ona?—zapytał—czy ona kochała kogo?

Pani Emilia rozśmiała się z lekką ironią.

— Dziwne pytanie,—rzekła—ale jednak nie trudno mi odpowiedzieć. Nie—Tola nie kochała nigdy, żadnego z tych, co za nią szaleli...

— Nigdy? — podchwycił Bogdan z zajęciem—czy to być może, aby nie obudziło się w niéj serce? Czemu?

— Ja nie wiem—odparła Emilia.

— Czy może—ciągnął Bogdan—może ta tęsknota, o któréj pani mówi, to właśnie żal za tém uczuciem, którego nie doznała nigdy...

— Nie wiem—odparła krótko;—Tola nie lubi mówić o sobie, a ja nie badałam nigdy, aby nie nadać kształtów marzeniu, co racyi bytu nie miało...

Bogdan wpatrzył się w nią, jakby chciał a nie śmiał zapytać.

— I marzenie stanęło jéj na drodze do życia, do szczęścia może... rzekł z wyrzutem w głosie.

Niewidzialny uśmiech przemknął znowu po cienkich wargach Porajskiego—spojrzał na Bogdana i odwrócił się trochę. Zapanowało milczenie.

— I cóż pani Sawińska robić zamyśla—zapytał po chwili Porajski—podobno chce sprzedać majątek, który jéj mąż zostawił...

— Radziłem to—ozwał się Czarnowski—majątek rozległy, Tola nie może się sama nim zająć, spuszczać się musi na plenipotenta, a ten ją kradnie...

Porajski się znowu uśmiechnął.

— Podobno są jakieś ciężary—szepnął.

— Jakie ciężary!—przerwał szybko Czarnowski—żadnych niema ciężarów! zupełnie żadnych! majątek przepyszny! dochody świetne!

— Tak? a zatém, pani Sawińska pod każdym względem liczy się do świetnych partyj...

W głosie Porajskiego dźwięczało przyczajone szyderstwo, ale snać pani Emilia go nie dostrzegła, gdyż odrzekła zupełnie naturalnie:

— Spodziewam się! ale niechaj posagowicze nie ostrzą na nią ząbków—nic z tego! Tola bardzo niełatwo zdecyduje się pójść za mąż, i wątpię nawet, czy to kiedykolwiek nastąpi. Miała wiele bardzo świetnych partyj przez te półtora roku od śmierci męża—literalnie głowy tracą za nią w Odessie;—toteż trzeba tak silnie rozwiniętego rodzinnego uczucia jak u niéj, żeby porzucić to świetne życie i tutaj zakopać się na wsi...

— Chciałbym ją poznać—rzekł Bogdan w zamyśleniu—to musi być niezwyczajna kobiéta.

Pani Emilia uśmiechnęła się i z pod długiéj rzęsy rzuciła przenikliwe spojrzenie na Porajskiego. Ten miał głowę spuszczoną i wydawał się mocno zamyślonym.

Podano herbatę—Porajski był milczący, nic nie jadł, palił tylko cygara, popijając podany mu napój—herbatę. Bogdan za to był mocno ożywiony i z wielkiém zajęciem dopytywał się o coraz nowe szczegóły, tyczące się pani Toli. Przedmiot przypadał do gustu gospodyni, i odpowiadała chętnie na pytanie młodzieńca, nie szczędząc detali o świetném życiu, które w Odesie i na wsi prowadziła pani Sowińska, o jéj sukcesach rozlicznych, piękności, wdzięku i sprycie niezmiernym...

Zaledwo powstali od stołu, Karol kazał zaprzęgać, i w kwadrans obaj Porajscy wyjechali. Parę wiorst zaledwo dzieliło Milew od Zatorów, posiadłości Karola Porajskiego. Panowie odbyli tę podróż w zupełném milczeniu; gdy konie stanęły przed gankiem wyherbowany lokaj poskoczył i otworzył drzwiczki od powozu, potém poświecił panom do jadalnéj sali, gdzie czekał stół zastawiony.

— Rozgość się—rzekł Karol—zaraz ci służę, tylko się muszę rozebrać. Może życzysz sobie szlafroka? Bogdan wzruszył ramionami.

— Nie jestem niewieściuchem—odparł chłodno.

— Jak chcesz; baw-że się przez chwilę, zaraz wrócę.

Bogdan zaczął chodzić po pokoju, a podjąwszy szpicrutę z rękojeścią w złoto oprawną, uderzał nią po kanapach i fotelach, w miarę jak je mijał.

— Gdy skończysz swoją gimnastykę, może siądziemy do stołu—ozwał się po za nim ostry, szyderczy głos Porajskiego.

Bogdan zarumienił się mocno, rzucił szpicrutę i zasiadł naprzeciw stryja. Ten włożył był okazały szlafrok z pąsowéj materyi, białym atłasem podbity—wytworne obuwie zamienił na miękkie wygo-

dne meszty, a łysinę pokrył haftowaną złotem czapeczką. Jego piękne białe ręce wysuwały się z koronkowych mankietów, i wydawały woń delikatną rezedowéj pomady, któréj używał dla wydelikacenia skóry; włosy i wąsy, świeżo wypomadowane pachnącym olejkiem, lśniły jak heban. Bogdan spojrzał na niego przeciągle, i coś jak gniew i pogarda błysnęła mu w oczach czarnych—nic jednak nie powiedział...

Podano wieczerzę: smakowicie przyrządzone kotlety przypadły do gustu Porajskiemu, gdyż zjadł ich ogromną porcyę.

— Ależ, stryjaszku kochany... zauważył Bogdan.

Kochany stryjaszek się niemiłosiernie skrzywił.

— Mój drogi—przerwał niechętnie,—tyle razy ci już wspominałem, że ten honorowy tytuł od ciebie do mnie jest niewypowiedzianie komiczny, i upoważniłem cię do nazywania mnie po imieniu; zechciéj o tém pamiętać.

— A więc—ciągnął z lekkiem zniecierpliwieniem Bogdan—zajadasz, jakbyś się przez trzy dni wygłodził—cóż za fantazya napadła cię w Milewie, żeby nic do ust nie wziąść?

— I cóż cię w tém dziwi? Nie mam nigdy zwyczaju w podejrzanych domach jadać.

— Jakto podejrzanych? a cóż w Milewie jest podejrzanego?

— Wszystko: począwszy od jasnych muślinów pani Emilii i umeblowania salonu, od którego można dostać zapalenia oczu, a skończywszy na szkaradnéj herbacie i stęchłych ciastach, które tylko od gości podają. Co zaś do jedzenia, nie mam ochoty się rozchorować, połykając to co bezczelnie ludziom podają; widzę jak to przygotowuje gruba dziewka, która tylko co skończyła krowy doić. Nie mam ochoty zepsuć sobie apetytu.

Bogdan parsknął śmiechem.

— A! przyznam się, — zawołał—że to sybarytyzm, o którym mnieby się nigdy nie śniło!

— Żal mi cię, jeśliś nie uczuł nigdy przyjemności dobrego obiadu, podanego według przepisów i przyprawionego trochą głodu.

— Według mnie, wszystko smakuje, gdy jeść się zechce.

Porajski go zmierzył oczami z politowaniem.

— Ty nigdy nie potrafisz użyć życia—rzekł—oto cały szereg przyjemności, które cię omijają, bo nie jesteś w stanie ich pojąć..

— Ja nie myślę, aby wyrafinowanie każdego zmysłu było używaniem życia—odparł Bogdan niecierpliwie. Jest to przygotowanie sobie ogromnéj ilości niemiłych wrażeń, których nie dozna zwykły śmiertelnik.

— Miałbyś słuszność, gdyby mój majątek nie wystarczał na życie, którego mi potrzeba. Ale ja się zabezpieczyłem zawczasu, i nim się do czego przyzwyczaiłem, obrachowałem dobrze czy ten nałóg będę mógł zaspokoić zawsze.

— A w razie gdybyś stracił majątek?

— To niemożebne. Przypuszczam klęskę—pożar, gradobicie, nieurodzaj: niechbym nie miał żadnego dochodu z majątków, pozostaną mi dochody z kapitałów.

— A jeśli i te zaginą?

— Nie wdaję się w żadne spekulacye; mam same procentowe papiery, w banku złożone, w domu trzymam tylko procent odbierany co kwartał, więc złodzieje mi nie grożą. Mogę być pozbawionym podróży za granicę, może mi zabraknąć pieniędzy na którą z moich fantazyi, na rasowego konia, albo na jedno z tych dzieł sztuki, które na wagę złota opłacam; ale na moje potrzeby codzienne—nigdy.

Bogdan patrzył na niego, wzruszając ramionami.

— Ależ,—zaczął po chwili,—kiedyś już tak ułożył sobie życie, zamknął drzwi przed wszelką troską, zabezpieczył się od niespodzianek—musisz się niemiłosiernie nudzić!

— Nudzić? żartujesz chyba! I któż ci powiedział, żem się wyrzekł niespodzianek? przeciwnie, szukam ich wszędzie, ale w świecie umysłowym. Widzisz, umiem się zawsze miarkować, i od każdéj przyjemności usuwam się nim dojdę do przesytu, tak że nigdy nie zajrzę na dno, do mętów, i wracam do niéj z zajęciem. Przytem, umysł mój jest rozwinięty, lubię piękno, a rozumna lub dowcipna rozmowa, dobrze napisana książka, obraz którego z mistrzów, piękne krajobrazy, muzyka—wszystko to są rzeczy, które umiem ocenić i które na wieczne czasy obronią mię od znudzenia.

— Pytam się często, czy ty jesteś rzeczywiście człowiekiem, a nie udoskonaloną maszyną!—zawołał z gniewem Bogdan.

— Zaręczam ci, że jestem człowiekiem z ciała i z kości, tylko cywilizowanym, wydelikaconym.

— Powiedz mi: czyś kiedy kochał cokolwiek?

— O! kochałem się przynajmniéj ze sto razy.

— A!... i jakże długo to trwało?

— To zależało od okoliczności: kochałem póki mię to bawiło, póki zajmowało, póki jeszcze było coś nieznanego. Zupełnie jakbym czytał zajmującą książkę, która mniéj lub więcéj sprawiała przyjemności, w miarę jak lepiéj lub gorzéj była napisaną, odwracałem kartkę po kartce, a gdy przeczytałem ostatnią, składałem książkę spokojnie, niekiedy z żalem że już ją skończyłem, ale nigdy z ochotą przeczytania jéj po raz drugi.

— Tak? — rzekł Bogdan przeciągle. — Ależ ty kochałeś siebie w drugich, i dopóty jedynie, póki cię to nie przestało bawić. Ty jesteś egoistą w całém znaczeniu tego wyrazu, do szpiku kości.

Porajski spojrzał z ukosa na synowca.

— Nie umiałem nigdy zrozumieć znaczenia słowa *poświęcenie*— rzekł po chwili. — Jestto płaszczyk, którym ludzie pokrywają chęć wyzyskania tych, których szumnie nazywają bliźnimi. Społeczeństwo dzieli się na dwie klasy, wyzyskujących i wyzyskiwanych, inaczéj mówiąc, rozumnych i ograniczonych; wolę należéć do pierwszych, co zdaje mi się zupełnie jest naturalném.

Bogdan się rzucił, chcąc odpowiedzieć, ale powstrzymał się i wzruszył ramionami.

— Nie mamy się co sprzeczać — rzekł po chwili — nie zda się to na nic, zmieńmy przedmiot rozmowy. Powiedz mi raczéj czemu, nazywając Milew domem podejrzanym, bywasz tam, a co więcéj, dzisiaj gwałtem niewal i mnie zaciągnąłeś, mnie, który bynajmniéj sympatyi do pani Emilii nie czuję.

Porajski zaczął się śmiać głośno.

— Mam ochotę być z tobą zupełnie szczerym— rzekł. — Byłem pewny, że pani Tola przyjechała, i od wczoraj ułożyłem sobie, że ją zobaczę, a chcąc mieć możność swobodnéj z nią rozmowy, wziąłem cię, abyś mi zajął gospodarzy.

— Mocno wdzięczny; ale cóż ciebie pani Tola obchodzi?

— Et! dawne dzieje — rzekł wymijająco Porajski — znałem ją przed ślubem, a ponieważ był to uroczy dyabełek, starałem się ją ukształcić.... rozbudzić świeże jeszcze serduszko; że zaś zachowałem nader miłe wspomnienie, ciekawy byłem dalszego ciągu znajomości.

— Czy tylko ciekawy?

Parajski odwrócił się żywo, nie odpowiadając na pytanie. Bogdan powiódł za nim okiem zdziwioném.

— Cóż to było między wami? — zapytał nalegająco — przecież mnie możesz wszystko powiedzieć.

Porajski powrócił do stołu i usiadł, zasłaniając twarz ręką, tak jednak, że przez palce mógł wyraźnie widzieć synowca, nie będąc przez niego widzianym.

— Ja sam niewiem co to było— rzekł. — Gdy z pensyi wróciła, szalenie mi się podobała; było to dziecko jeszcze, a już kobieta kapryśna, egoistka, a sprytna jak szatanek. Chciałem ją sobie pozyskać, byłem pewny że mi się to udało, aż raptem, pewnego pięknego poranku, przyznawszy mi się niemal poprzedniego wieczora, że mię nad życie kocha, oznajmiła mi, że jest zaręczoną z Sawińskim. Chciałem

się gniewać: rozśmiała mi się jak najśliczniéj w sam nos, odwróciła dumnie plecami, i tylem ją widział po dziś dzień.

— A! naturalnie, musisz być ciekawy pierwszego waszego spotkania.

— Porzuciłem książkę w nader zajmującém miejscu, nie już w pół tomu, ale stronnicy, kartki, wyrazu; teraz muszę ją dokończyć.

— I... jakże się to skończy?

— Ja niewiem, to zależy od niéj. — Gdyby... dawne wspomnienia żywo się odnowiły... to — kto wie?

— Jakto? — poświęciłbyś swobodę?

— Kto wie? gdyby nie było innego sposobu....

Bogdan żywo głowę podniósł.

— A gdyby—szepnął—gdyby... to co pani Emilia mówiła, o téj tęsknocie do ciebie się stosowało?

Ręka Porajskiego lepiéj zasłoniła twarz jego, a czarne źrenice rzuciły z pod téj zasłony badawcze spojrzenie na Bogdana.

— Czemu nie?— rzekł półgłosem — może to i obustronne.

— Jakto? czyżbyś i ty....

— Nigdy nie zapomniałem o niéj.

Bogdan przeszedł się po pokoju.

— Ciekawy jestem kobiéty, która mogła na tobie sprawić tego rodzaju wrażenie — ozwał się wreszcie.

Na twarzy Porajskiego ukazało się zadowolenie, po ustach przeleciał uśmiech pół szyderczy, pół pogardliwy. Bogdan nie widział tego, miał głowę spuszczoną.

— Ciekawy jéj jestem — powtórzył raz jeszcze półgłosem.

— Mogę ci zaręczyć, że nie jest to osobistość zwyczajna — rzekł sucho Porajski.

— Właśnie dlatego....

Porajski milczał i powstał wkrótce, dając tém synowcowi znak do odejścia. Gdy się drzwi za Bogdanem zamknęły, uśmiech nieopisanego szyderstwa przewinął się po jego cienkich, wązkich, bladych ustach.

— Złota rybka łatwo się chwyta na wędkę — szepnął.

II.

W Drewini, majętności hrabiego Sulimowskiego, na ogrodowym tarasie siedziało kilka osób. Sam hrabia, słuszny, szczupły, jasny blondyn, z długiemi angielskiemi faworytami, starannie ubrany, przechadzał się krokiem mierzonym. Żona jego, hrabina Natalia,

przerzucała jakąś świeżo wydaną książkę. O kilka kroków dalej młoda dwudziestoletnia dziewczyna, wpół leżąc na biegunowym fotelu, kołysała się zwolna, rozmawiając z naszym znajomym Bogdanem Porajskim.

Była to jedynaczka, córka domu, hrabianka Wanda, podobna do ojca kolorem włosów i rysami, ale różna zupełnie wyrazem. U hrabiego Alfreda oczy były za blade, brwi i rzęsy za jasne, czoło za niskie, usta za pełne; u hrabianki oczy ciemno-szafirowe ocienione były prawie czarną rzęsą, nad niemi sklepiły się regularne łuki brwi ciemnych bardzo, czoło, na które spadały włosy przycięte, nie mogło być wyższe bez zepsucia harmonii drobnéj twarzyczki, usta delikatnie wykrojone, blado-różowe zaledwie były. Na twarzy ojca jakaś pewność siebie uporna, co, znać, nigdy ustąpić nie chciała; oczy miały wyraz niepewny, okrągła broda znamionowała chwiejność i miękkość, a uśmiech tych ust mięsistych cechował najwyższe zadowolenie z siebie samego, widniejące z ruchu, którym rozczesywał jasne faworyty wypieszczoną ręką, ze spojrzeń, które z pod złotego pince-nez rzucał, słowem z postawy całéj. U córki przeciwnie znać było jakąś nieśmiałość, czy może usuwanie się dumne przed ludźmi: szafirowe oczy patrzały chłodno, poważnie, a czasami smutno bardzo; usta w chwili milczenia miały wyraz goryczy bolesnéj, co harmonizował z szeroką siną pod oczami pręgą, a po téj młodéj, drobnéj twarzy, przebiegał czasami wyraz ironii trochę smutnéj, a bardziéj jeszcze szyderczéj i pogardliwéj. Jéj rączki idealnie pięknych kształtów, bawiły się niedbale bukietem, który zda się im ciężył, bo wypadał z nich często, jakby siły brakło....

Bogdan z nią prowadził rozmowę, ale nie musiała go zadawalniać, gdyż głęboka brózda przerzynała jego brwi czarne, a ręka niecierpliwie szarpała łańcuszek od zegarka. Jasno-włosa dziewczyna patrzyła przed siebie przysłoniętemi oczami, jéj usta były zacięte, oczy chłodno błyszczące.

— I cóż ja na to poradzę—mówiła— nie umiem wierzyć na ślepo, słowa są niczém dla mnie. Nie wierzę, byście panowie umieli panować nad wrażeniami, i według mnie, byłoby szaleństwem liczyć na kruchą budowę na piasku wzniesioną zaręczeń waszych.....

Bogdan się rzucił.

— Ależ to oburzające — zawołał. — Więc każdy z nas ma być chorągiewką, którą wiatr wedle swego kaprysu wykręca? nic w nas być nie może stałego, nic na coby liczyć można?

— Może gdzieś tam na świecie szerokim znajdują się od téj reguły wyjątki, ale ja dotąd nie spotkałam ani jednego.

— Sądzę — rzekł Bogdan surowo trochę — że pani tak mało z nami miala do czynienia jak dotąd, iż nie służy jéj prawo rzucania klątwy na ród nasz cały. Przeczytanie kilku książek nie upoważnia do tego.

Po ustach Wandy przewinął się uśmiech smutny.

— Tak pan sądzisz?— spytała. — Ja znowu myślę, żem zdobyła to prawo doświadczeniem własném, a stwierdziła bólem. To nie frazes wyuczony z książki, to fakta, na które patrzę oczami własnemi....

— Alboż pani możesz znać życie? czyż pani miałaś czas żyć na własną rękę? a szczególniéj gdzież sposobność po temu.

Wanda rozśmiała się sucho, ostro.

— Co pan wiesz o mojém życiu?— spytała. — Nie znacie życia! oto frazes, którego z was każdy się uczy po wyjściu ze szkół i który się staje dopełnieniem waszego wychowania, waszym przewodnikiem w postępowaniu z nami. I dlatego taki antagonizm panuje między dwoma połowami rodu ludzkiego, które zamiast iść ręka w rękę, zużywają w walce między sobą siły, mogące być na co innego użyte....

— Ależ pani....

— Nie zaprzeczaj pan, tak zawsze się dzieje. Na każdą skargę kobiéty, na każde jéj słowo ostrzejsze, odpowiadacie, że ona życia nie zna.... A ja powiem, że się mylicie. Kobiéta pozna życie w swoim domu własnym, tam ona ludzi znać się nauczy....

— Nie będzie ich sprawiedliwie sądzić, jéj sąd nie miał czasu ani sposobności wypróbować się na szerszym świecie, będzie on odbiciem wpływów otaczających. I ludzi także znać się nie nauczy, bo stronnie na rzeczy patrzeć będzie zawsze.

— To dlatego, że starają się zabić tę myśl samodzielną i nałamać każdą do konwencyonalnego typu dobrze wychowanéj panny.

— A zatém, na moje wychodzi, że kobiéty życia nie znają i znać nie mogą, bo go nie widzą nigdy.

— Alboż pan myślisz, że każda da się oślepić? Nie, nie każda pozwoli się pozbawić samodzielności. A wierz mi pan, wiele się można nauczyć przy swojém ognisku rodzinném. Widzi się tam czasem codzienną walkę, taką drobną, upartą, a tak bardzo wyczerpującą siły; można tam poznać skarby uczucia, poświęcenia, albo znowu taką nieprzebraną moc egoizmu, próżności, lekkomyślności.... wierz mi pan, dom rodzinny, to dobra szkoła życia....

— Gdyby się na nią dobrze patrzeć umiało!

Wanda przesunęła ręką po czole.

— I cóż wiedzieć mogą o tém obcy ludzie? — spytała. — Na pozór wszystko gładkie, spokojne i ładne, a choć niejeden smutny, ciężki dramat rozgrywa się cicho między czterema ścianami, co nie

ą go opowiedzieć, cóż to znaczy? Przecież ludzie nie wiedzą o niczém, a zatém nic nie istnieje.

I szafirowe oczy zimnym blaskiem strzeliły, między ciemnemi brwiami zarysowała się brózda głęboka, aż Bogdan zdziwiony poszedł za jéj spojrzeniem, szukając powodu zmiany téj twarzy młodéj. Zobaczył tylko hrabiego, co oparty łokciem o stół, rozmawiał z żoną, bawiąc się koronką jéj rękawa. Był to zwykły domowy obrazek, nic tu nie zdradzało dramatu....

— Widzi pani — rzekł po chwili — nieraz w pożyciu domowém strony się rozjątrzają wzajemnie i z tego powodu sądzą niesprawiedliwie, najczęściéj wina jest obustronną.

Wanda obrywała w milczeniu listki z bukietu.

— Nie — ciągnął Bogdan — pani niema prawa potępiać nas tak stanowczo. Niedobrze się wychodzi na takim braku wiary....

— Jak pan to rozumie?

— Gdy ludziom nie wierzymy, powoli ostyga w nas wiara w samo dobro, tém samém zacierają się lepsze strony naszego charakteru. Wierząc ludziom, mimowoli stajemy się lepszemi, żeby im dorównać....

— To znowu frazes, którego nam się każecie uczyć na pamięć, aby stał się naszém hasłem w życiu. Wygodne to dla was, gdy mamy zawiązkę na oczach. Ale ja widocznie nie jestem dosyć kobiétą,— podobno tak nazywacie brak łatwowierności—i nie wierzę wam; nie wierzę, boście niestali jak zwierciadło, które odbije przedmiot każdy.... póki jest przy niem.

— Więc my się tylko wrażeniami rządzić mamy?

— Jedynie,... a że one się szybko zmieniają, przeto liczyć na nie byłoby mocno niebezpiecznêm....

— Nie zaprzeczy pani, sądzę, że są uczucia lata trwające?

— Są wrażenia silniejsze i słabsze.... Czasem coś tak podziała na charakter i usposobienie, przekonanie i upodobanie, że zawładnie całą istotą. Zda się to już pewném, stałém, aż pewnego pięknego poranku, po długim, długim przeciągu czasu, przyjdzie jakieś wrażenie silniejsze i z tego co się zdawało tak trwałem nie zostanie nic— wiatr ślady zawieje....

— A!— rzekł Bogdan niemile dotknięty — więc pani odrazu zaprzecza uczucia każdemu, a gdy ono rzuci się w oczy, w ten sposób je pani tłómaczy... to zręczne; ale żal mi tych, co w nie wierzyć nie potrafią, bo to dowód, że nic sami nie czują.

Żywy rumieniec pokrył bladą twarz Wandy.

— A więc czemże pan wytłómaczy ową niestałość dziwną — zawołała żywo — czem wytłumaczyć to zapalanie się nagłe, co wy-

bucha jak ogień słomiany i jak on prędko gaśnie; owe zmiany nagłe, zrozumiałe wtedy tylko, gdy przypuścimy stanowczo, że już taka natura wasza!

— Po części masz pani słuszność. Są tacy, co podlegają wrażeniu każdemu, zmieniając się jak kameleony, ależ niepodobna wszystkich potępiać za to. Czyż dlatego, że są na świecie zabójcy, złodzieje, obłudnicy, każdy ma kraść zabijać lub kłamać?

— Zapewne, że nie. Ale niestałość, zbyt wielka wrażliwość, jeśli pana tamten wyraz razi, to właściwość ludzkiéj natury, tak jak głód i pragnienie: jeden posiada jéj więcéj, drugi mniéj, ale istnieje ona zawsze....

— A zatém — rzekł Bogdan szyderczo — jeśli na uczucie liczyć nigdy nie można, to ono jakby nie istnieje. Jakże więc pani życie rozumie? czegóż potrzeba do szczęścia?

— Szczęścia? to słowo nie przedstawia mi żadnego znaczenia, ja nie wierzę w szczęście....

— Jakże więc życie ułożyć bez tego czynnika?

— Żyć w sobie i w sobie znajdywać wszystko, co nam potrzebne.

— To jest zamknąć się w egoizmie i w sobie jedynie zatopić!

— Nie, trzeba żyć dla innych, ale niczego nie wymagać dla siebie, bo nic się nie dostanie. Nie żądać niczego od ludzi, ani od życia i nie spodziewać się niczego....

— I pani sądzi, że ludzie taką zasadą będą się w życiu kierować?

— Nie wymagam od nich tego, ale sama ani się oburzam, ani téż dziwię, znajdując w nich niedobory. Ale za to niechże i oni nie wymagają odemnie, ażebym te niedobory uważała jako zalety, a ich samych jako doskonałości...

— Jeżeli pani czujesz w sobie jakąś stronę lepszą, nie masz prawa zaprzeczać jéj innym.

Wanda spuściła głowę.

— I cóż ja zrobię — rzekła zniechęcona — zkądże zaczerpię téj wiary, któréj mi życie nie dało. Pan mówisz o uczuciu, ja dotąd widziałam tylko z jednéj strony egoizm, który wyzyskuje o ile się da położenie, z drugiéj miękką niedołężną słabość, która na wszystko pozwala, bo do obrony sił niema. Czytałam nieraz o takich aniołach białych, co serce człowiecze niosą w rękach, o mężach jak opoka silnych, ale to tylko w książkach. W życiu.... w życiu tak wszystko się kończy, jak *Książka pamiątek* Gabryeli naszéj....

Bogdan targał niechętnie wąsy czarne.

— I w życiu są tacy — rzekł smutno — tylko że najczęściéj rozminą się z sobą, ci co być powinni złączeni. Jedni wyciągają ręce

do uczucia, a spotkawszy je, odwracają głowę, mówiąc, że to fata morgana; drudzy nie umieją wiary wzbudzić i oto rozchodzą się. A potém narzekają na los, okoliczności, naturę ludzką, podczas gdy sami winni temu co się stało....

W téj chwili hrabia Alfred zbliżył się do młodéj pary i opierając się o krzesło Wandy, przesunął delikatnie rękę po jéj jedwabistych włosach. Dotknięcie było miękkie, na ustach hrabiego widniał uśmiech łagodny, a jednak delikatne łuki brwi ciemnych zsunęły się lekko i Wanda usunęła się zwolna z pod pieszczącéj ręki ojcowskiéj. Bogdan ze zdziwieniem spojrzał na ten objaw, a gdy się hrabia oddalił, on rzekł trochę szyderczo:

— Pani nie lubi ażeby jakiekolwiek uczucie objawiało się na zewnątrz....

— W saméj rzeczy....

Głos hrabianki zabrzmiał taką smutną goryczą, na twarzy odmalował się taki niesmak, że Bogdan zamilkł zmieszany, i dopiéro po długiéj chwili rzekł znowu:

— Ale wracając do naszéj rozmowy, zapytam raz jeszcze jak mamy życie ułożyć, żeby nam było możliwém?

Wanda zamyśliła się chwilkę.

— Rozsądek powinien nami kierować— rzekła. — Za jego radą iść nam potrzeba; to oszczędzi zawodów, rozczarowań i smutku. Uczucie nas zaślepia: to zły przewodnik, bo wiedzie na trudne drogi, które nie prowadzą do niczego....

— Ale według pani trzeba zawsze samotnym pozostać. Szczególniéj kobiéta, bo ta nie powinna wierzyć nigdy, — czyż ma oddać rękę na chłodno?

Wanda zarumieniła się gwałtownie, ale to trwało chwilkę jedną, późniéj zbladła bardzo, oczy zimno spojrzały.

— Powinna wybrać takiego, co przebył lata pierwszéj młodości, którego wrażliwość życie stępiło, który da jéj szacunek i uzna w niéj równą sobie. Nie da on jéj tego, co nazywacie miłością, ale za to nie będzie od niéj wymagał nic, prócz przyjaźni. Zgadzać się będą w pojęciach, a nie będzie między niemi wygórowanych wymagań....

Bogdan się rzucił gwałtownie.

— I pani, pani — zawołał — mogłabyś wyjść za mąż dla konwenansu, za takiego, przy którym nie zabije żywiéj serce....

Znowu płomienny rumieniec wystąpił na bladą twarz hrabianki Wandy.

— Czyż lepiéj całe życie na kartę postawić— rzekła — i potém z rozpaczą w sercu bezsilnie patrzéć na przegranę stanowczą?

— Lepiéj! — zawołał Bogdan — bo żyje się wtedy, żyje się całą pełnią życia! A jeśli przegrać mamy, zostaje nam ta pociecha, że przynajmniéj użyte zostały wszystkie władze naszéj istoty, żeśmy żyli jedném słowem!

Wanda opuściła ręce, z których wysunęły się kwiaty.

— Ależ ja właśnie żyć niechcę — rzekła z niechęcią — ja chcę spać i nie być budzoną, niechce żyć, bo życie to ból, troska, cierpienie, a ja już cierpiéć niechcę! niechcę.... niechcę....!

I powtarzała to słowo ustami blademi, patrząc gdzieś w dal przed siebie z rękami splecionemi bezsilnie. Oczy się szkliły jakby łzami, co spłynąć nie mogły, usta zacinały boleśnie, między brwiami leżała bruzda. Bogdana coś targnęło za serce: on chciałby tę wiotką bladą dziewczynę schwycić na ręce jak dziecko i zanieść daleko, daleko — tam, do murowanego dworu, gdzie na kominku palił się ogień żywy i gdzie było ciepło, zacisznie, tak ciepło, że musiałaby stopnieć ta niewiara męcząca, ten chłód co bronił zbliżenia.... I drgały mu na ustach wyrazy namiętne, któremi chciał przekonać tę jasnowłosą, bladolicą dziewczynę o szczerości uczuć, byłby potrafił słów dobrać, bo kochał gorąco, całą duszą ognistą, całém sercem młodém. Ale hrabiowska córka patrzyła zimno przed siebie, szafirowe oczy szkliły się chłodnym połyskiem wody lodem ściętéj, drobne różowe usta okolił wyraz przejmującéj goryczy, smutnéj ironii i ręce Bogdana opadały, słowa mu marzły na ustach — milczał....

III.

— Potrzebuję rozmówić się z tobą — rzekł hrabia do żony po odjeździe Bogdana—przyjdź do mego gabinetu....

Gabinet hrabiego był to duży czworokątny pokój, obity malinowego koloru suknem. Na ścianie było kilka kosztownych obrazów, jedną z nich zajmowała wielka rzeźbiona szafa z czarnego dębu, zapełniona książkami. W rogu przy oknie stało ogromne bióro także z rzeźbionego dębu, podobne fotele, malinowém suknem kryte, rozstawione były po pokoju, miękkie i wygodne sofy tureckie stały po dwóch rogach, a na środku stół zarzucony dziennikami. Piękna bronzowa lampa, zwieszająca się od sufitu, lustro duże weneckie i kilka świeczników dopełniały całości tego pięknego pokoju.

Gdy weszła hrabina, Sulimowski wskazał jéj fotel i sam miejsce zajął naprzeciw, opierając się łokciem o biórko. Jego blado niebieskie oczy wpatrzyły się surowo w hrabinę, mięsiste usta wydęły bardziéj jeszcze, milczał, nie spuszczając oczu. Hrabina Natalia by-

ła mocno zmieszaną, lekki rumieniec wystąpił na twarz jéj zwiędłą; po długiéj chwili spytała:

— Czego potrzebowałeś Alfredzie?

Głos jéj był niepewny, cichy, lękliwy jakby.

— Chciałem cię zapytać co znaczą te wieczne rozmowy Wandy z Bogdanem Porajskim?

Hrabina żywo głowę podniosła.

— I cóż dziwnego, że ją on zajmuje? — spytała.

— Ja się nie pytam czy to dziwne lub nie, tylko co to znaczy, nie idzie mi o przedyskutowanie téj kwestyi.

Trudno było poznać ów miękki elegancko przyciszony, łagodnie wpadający w ucho głos hrabiego, w tych ostrych suchych dźwiękach, jak drewno chłodnych....

Hrabina spuściła głowę i cicho odparła:

— Sądzę, że ona mu się bardzo podoba i że zamyśla starać się o nią....

Oczy Sulimowskiego jeszcze chłodniéj, przenikliwiéj wpatrzyły się w żonę.

— A! — wyrzekł przeciągle — to tak; i ani ty, ani Wanda nie uznałyście za potrzebne powiedziéć mi o tém....

Znowu lekki rumieniec wystąpił na bladą twarz hrabiny....

— Nie wiem nic o tém— szepnęła — ja tylko domysł stawiam...

— Sądziłem dotychczas, że matka powinna najpierwsza wiedziéć o tém.... widzę, że nie podzielasz mego zdania. ..

Hrabina żywo głowę podniosła, łzy jéj w oczach błysnęły.

— Jeżeli się komuś nie nada żadnych praw w domu, trudno żądać spełnienia obowiązku — zawołała gwałtownie. — Ja nie mam i mieć nie mogę rodzicielskiéj z Wandą powagi, ty wiesz przecie o tém, bo twoja to wina, a teraz mi robisz wyrzuty?

— Nie unoś się, Natalio; — rzekł lodowato Sulimowski — i wieleż razy powtarzać ci trzeba, że to jest nieznośnie *mauvais genre*, nim się pozbędziesz téj właściwości waszego świata. Trudno przerobić tę naturę swoją, na którą się pokolenia składały, zapomnieć wychowanie domowe, jestem wyrozumiałym; nie dziw się jednak, że mnie to razi fatalnie.

Hrabina coś chciała przemówić, tłómaczyć się, czy téż oburzyć znowu, ale spotkała te blade oczy, co nie schodziły z jéj twarzy, i zamilkła, już cicha, pokorna, lękliwa.

— Więc i ty zauważyłaś, że Bogdan się stara—ciągnął Sulimowski. — Zapewne to małżeństwo podobałoby ci się?

— Bogdan jest człowiek majętnym, dobrze wychowanym, położenie ma stosowne w świecie, a Wanda skończyła rok dwudziesty drugi: czas na nią.

— Wanda jest moją córką—rzekł dumnie Sulimowski;— na nią nie może być zawcześnie ani zapóźno. Wolałbym czekać dłużéj, ale dziś mam dla niéj stosowną partyę.

Oczy hrabiny błysnęły radością.

— W saméj rzeczy Bogdanowi nic zarzucić nie można—rzekła.

— Nie myśl o tém. Bogdan nigdy moim zięciem nie będzie.

— Jakto! i cóż możesz mieć przeciwko niemu?

— Osobiście nic.

— Czyż nie jest on młody, przystojny, bogaty, z dobrego rodu?

— Zapewne.

— Czyż jego reputacya zostawia co do życzenia?

— Nie słyszałem o tém.

— Czyż jest utracyuszem, szulerem, hulaką?

— Podobno że nie. — Skończyłaś już pytać?

— Ależ....

— Żadnego ale.— Bogdan, jeżeli ci tak bardzo o to chodzi, jest idealnym człowiekiem, znakomitą partyą, czem ci się tylko podoba, ale ja mam inne zamiary.

— Zamiary?—powtórzyła blednąc hrabina— i kogóż masz innego na myśli?

— Stryja Bogdana — Karola.

Pani Natalia zerwała się i stanęła przed mężem jak trup blada.

— Co? — zawołała głosem przerażenia pełnym — co?

— Nie egzaltuj się — rzekł z kolącą ironią hrabia — naucz się już raz sposobu bycia, przyjętego w świecie, do którego zostałaś wprowadzoną, a zapomnij manier używanych w domu twych rodziców. Nie przesłyszało ci się, siądź napowrót, bo jeszcze nie skończyłem.

Hrabina przesunęła obie ręce po czole i oczach.

— Ależ to niepodobna!—szepnęła—przecież ojcem jesteś!

— Właśnie dlatego chcę dla mojéj córki najlepszéj partyi z całéj okolicy, na dwadzieścia mil wokoło.

— I masz odwagę, masz serce, przypuścić podobieństwo związku jego z Wandą?

— Och! przez litość, daj pokój frazesom i szumnie brzmiącym wyrazom. Najprzód już ci to nie do twarzy nawet, jeśli było kiedy, a potém zamiast rozczulić, okropnie mię to denerwuje. Usiądź, bo mi niewygodnie mówić do ciebie.

I biorąc rękę żony, posadził ją napowrót.

— Teraz ja ciebie zapytam— rzekł ostro:— czy Porajski nie jest człowiekiem bardzo rozumnym? dobrze wychowanym, wytwornym? czy znasz kogoś przyjemniejszego w rozmowie, lepiéj umiejącego się znaleść, lepiéj wydać w towarzystwie? czy nie jest on wykształco-

nym wszechstronnie, oczytanym, czy jest na świecie jakiś prąd myśli, któryby jemu był obcym?

— Ależ charakter, charakter jego!—zawołała z boleścią Natalia.

— Charakter? czyż mu kto może zarzucić jaki skandal, jakieś wykroczenie przeciwko uczciwości?

— Czemże nazwiesz proces z krewnemi jego żony?

— Jego żona była przecież jedynaczką: skoro w intercyzie zapisali sobie wszystko na przeżycie, w razie gdyby on umarł, jéj krewni byliby wszystko zabrali. Rodzicom żony, gdyby żyli, byłby pewno oddał jéj posag, ale pocóż miał się ubożyć dla jéj dość dalekich krewnych?

— Ależ jéj ciotka na kolanach go błagała o niewielką, stosunkowo do reszty sumkę, od któréj ich byt zależał; nie darowizny chciała, ale pożyczki, a odmowa jego sprowadziła na nich ruinę!

— Czemuż nie umieli się rządzić?

— A wywłaszczenie Kołowieckiego?

— Był w swojém prawie.

— I ty, ty nazywasz go człowiekiem uczciwym?

— Czy winien co komu a nie oddaje? czy kogo oszukał? czy na jego słowo liczyć nie można? jakże mu miéć za złe, że od innych wymaga tego, co sam daje — ścisłości w interesach?

— Ależ jego biedna żona umarła zamęczona tym egoizmem strasznym człowieka, dla którego nie istnieje złe ani dobre, nic—tylko prawo i kodeks światowy!

— Żona jego była niemądrem stworzeniem, nieumiejącém zastosować się do swego rozumnego męża. Wymagała ciągłego uwielbienia, miłości jakiejś nieziemskiéj, i chciała go gwałtem ciągnąć za sobą w ów świat abstrakcyjnych idei, których mdła strawa może wystarczyć ograniczonéj kobiécie, ale nigdy poważnemu umysłowi mężczyzny.

Dwie łzy bujne stoczyły się po zwiędłéj twarzy hrabiny.

— Tak — rzekła z goryczą bezdenną — wy nazywacie świat moralny ideą abstrakcyjną, a gdy kobiéta nie przeniesie straty szacunku dla tego, którego kochała i czciła niegdyś, nazywacie ją ograniczoném stworzeniem, nie umiejącém się zastosować do swego rozumnego męża.

— Może zechcesz te filozoficzne dysputy odłożyć — rzekł lodowato hrabia;—kiedyindziéj będę ci z przyjemnością służył, dziś chciałem ci tylko oznajmić co o tém myślę, żebyś się nie posunęła do jakiegoś niewłaściwego kroku....

— I ty sądzisz... ty masz nadzieję, że Wanda na ten wybór się zgodzi?

— Mam tak dobre pojęcie o jéj rozumie, że w rzeczy saméj nie wątpię ani chwili o tém. Żądam tylko żebyś o naszéj rozmowie, o obydwóch Porajskich, nie wspominała przy niéj zupełnie.

— Bądź spokojny — rzekła smutno — stało się po twojéj woli, myśmy obce sobie i nigdy między nami nie ma poufałéj szczeréj rozmowy. Nie chcąc abyś mię przez nią upokarzał, odsunęłam się sama, pozwoliłam, bo zabronić nie mogłam, na otoczenie jéj płatnemi nauczycielkami, które wybierałeś nie dla niéj, ale dla siebie. Dziś ja jéj nie rozumiem, ale niedarmo własném ją mlekiem karmiłam, niedarmo starałam się wpajać w nią zasady moralne – nie, ona nie przyjmie Karola!

Hrabia poczerwieniał mocno.

— W takim razie ja się w to wmięszam — rzekł.

— Tylko, że to nie ze mną sprawa—rzekła szyderczo Natalia— to już nie, jak ty nazywasz, córka parweniusza, co drogo musiał zapłacić za tytuł zięcia a nieszczęście córki; to twoja krew panie hrabio, twoje dziecko i ona ci nie ustąpi.

— Znajdą się sposoby — rzekł hrabia lodowato.

Natalia wstrząsnęła głową.

— Nie — odparła z goryczą — na nią sposobu nie będzie. Ona się nie zalęknie, wszedłszy w towarzystwo nieodpowiednie, jéj nikt na uwięzi trzymać nie będzie obawą śmieszności, nie dotknie upokorzeniem. Ona nikogo bać się nie będzie, bo ma dosyć swojéj wartości, nie potrzebuje jéj od nikogo, nad jéj kołyską błyszczała dziewięcio-perłowa korona, za nią dopłacać nie trzeba!

Brwi Sulimowskiego sfałdowały się gniewnie.

— Skończ już tę czczą gadaninę — rzekł głosem syczącym — mnie się ona nie oprze, co ja chcę — będzie.

Hrabina podniosła głowę.

— Wiesz dobrze, że Wanda ci nie ustąpi — rzekła zimno.

Hrabia zerwał się gwałtownie.

— Co! — krzyknął — ty śmiesz przypuszczać, śmiesz mówić, że ona mię nie posłucha! ty ją śmiesz buntować! ty, ty, którą wniosłem do siebie, choć nic mi dać nie mogłaś dla serca ani umysłu! ty masz czoło! ale ja to złamię, złamię! rozumiesz! rozumiesz, że cię zmiażdżę na proch, jeśli będziesz śmiała na włos mi się oprzéć!

I uderzył w biurko, aż zadźwiękło pod ciosem, i biegał po pokoju, pieniąc się niemal z gniewu, bo hrabina dotknęła słabéj strony: w saméj rzeczy było bardzo niepewnem czy Wanda zechce ustąpić. W téj chwili zapomniał wytworny pan hrabia, że uniesienie jest fatalnie *mauvais genre* i rzucał się, jak najzwyklejszy plebejusz nie potrafiłby może. Hrabina wysunęła się zwolna i odeszła do sie-

bie. Dziś się dłużéj niż zwykle modliła. Straszno jéj było o przyszłość córki; nie bała się woli hrabiego, bo ta najprzód ulegała łatwo różnym wpływom, a potém nie przełamałaby Wandy, ale właśnie się córki saméj lękała, jéj chłodu, jéj niewiary; nie bała się aby Sulimowski narzucił córce Porajskiego, ale serce w niéj zamierało na myśl, że Wanda może przyjąć go sama....

I długo długo ta myśl odpędzała sen od jéj powiek zmęczonych....

IV.

Po salonie Milewskim chodziła szybkim i niecierpliwym krokiem młoda dwudziestokilkoletnia kobiéta. Wysoka, smukła i giętka, szeroka w ramionach, wcięta w pasie jak szesnastoletnie dziewczątko, ruchy miała żywe i zwinne, a zgrabne jak u młodéj kotki.... Włosy czarne jak skrzydło kruka spadały w drobnych loczkach na czoło bardzo białe, tą żółtawą trochę białością brunetki, piętrzyły się w kosztowną fryzurę i spadały w kilku grubych puklach na utoczoną szyję. Oczy duże, ciemno-szare, podkrążone szeroką bardzo ciemną obwódką, ocienione długą czarną rzęsą, śmiało, wyzywająco, rzec można, patrzyły z pod delikatnych, regularnych łuków brwi hebanowéj czarności. Nos był trochę za duży, ale usta śliczne, świeże i pąsowe jak koral, a ząbki pod niemi jak perły białe i równe.

Miała na sobie suknię z czarnego bareżu, wyciętą mocno i tylko lekki koronkowy kamzucik przysłaniał jéj posągowych kształtów ramiona, ręce zostawiając odkryte. We włosy miała wpiętą na pół rozkwitłą różę różową, druga podobna stroiła kamzut u piersi.

Cała jéj postać była dziwnie ponętną: oczy, usta, wyraz twarzy, postawa, ruch każdy, wszystko to zwrócić każdego uwagę musiało, wszystko mówiło o tém, że ta kobiéta jest piękną, bardzo piękną.

Była to piękność pewna siebie, wyzywająca, chcąca zwrócić uwagę, bo wiedziała, że to na jéj korzyść wyjdzie. Z pewnością nikt z uszanowaniem nie usuwał się przed nią, ale za to każdego brała ochota zastąpić jéj drogę. Nie wybrałyby jéj matki za towarzyszkę dla córek swoich, ani rozsądni mężowie dla żony młodéj, ale w gronie mężczyzn i kobiét światowych, ta kobiéta musiała być w swoim żywiole, musiała czarować.

Zalotność leżała na jéj czole, wyglądała oczami, widniała w każdym ruchu, uśmiechu, spojrzeniu. Ubranie było obrachowane, aby jak najlepiéj uwydatnić powabną jéj postać, upięcie włosów, umieszczenie kwiatów, musiały być studyowane długo, ale usiłowania do-

pięły celu: ta kobiéta była bardzo piękną, a szczególniéj bardzo ponętną.

Była to znana nam już ze słyszenia pani Tola Sawińska. W chwili, gdy zniecierpliwiona uderzała o posadzkę drobną nóżką, wytwornie obutą w grecki bucik i ażurową czarną pończoszkę, weszła pani Emilia.

— Wiesz, zaczynam tracić nadzieję ujrzenia go dzisiaj!

— A toż czemu?— odparła pani Emilia na słowa siostry.

— Piąta dochodzi....

— Nic to, przyjedzie, ręczę ci. — Żebyś ty była widziała jego zaciekawienie, zajęcie się, gdy o tobie mówiono, jak on się dopytywał, usiłując nie zwracać uwagi, nie wątpiłabyś. A zresztą, jak nie dziś to jutro, przecież serce nie wyskoczy ci za nim? I uśmiechnęła się szyderczo.

— Żal mi przygotowań — odparła Tola.

Obie siostry spojrzały sobie w oczy i wybuchnęły głośnym śmiechem.

— Biedny! — rzekła po chwili Emilia — śmiejąc się ciągle.

Tola podeszła do wielkiego lustra i przeglądając się z upodobaniem, spytała:

— Czy w saméj rzeczy znajdujesz go biednym? ja myślę że będzie aż nadto opłacony....

— Zapewne, ale on się łudzi, że jest zawsze głęboko kochany, że pamięć o nim lata przetrwała ...

— Jeżeli to złudzenie i nadal zachowa, jakąż mieć może pretensyę? Cóż jest na świecie rzeczywistego? to co wzbudza wiarę. Absolutnie biorąc—nic. Każda prawda jest nią dopóty, dopóki świat tak dobry, że jéj nie zechce zaprzeczyć; przez tyle lat przecież wierzono, że słońce się wkoło ziemi obraca....

— Możnaby i tutaj uwierzyć, że ziemia stoi na miejscu. Tylko strzeż się Koperników....

Pani Tola zaśmiała się swobodnie, srebrzyście.

— Wybieram zwykle ludzi dyskretnych — rzekła.

Emilia uszczknęła kilka delikatnych zielonych listeczków z wazonika i rozrzuciła je po włosach siostry, poprawiła loczki nad czołem, umieściła w nich listek i na ślicznéj twarzy złożyła gorący pocałunek.

— Jesteś prześliczna — szepnęła.

W téj chwili dało się słyszeć trzaskanie z bicza i powóz stanął przed gankiem. Tola krzyknęła lekko, zadrżała i zbladła.

— Tolu! co to jest! spokoju! bądź panią siebie i położenia! — zawołała żywo Emilia.

Uśmiech złośliwy przebiegł po zbladłych ustach Toli.

— Daj pokój—szepnęła—to doskonale, zmięszanie im większe, tém lepiéj mi posłuży...

W téj chwili we drzwiach salonu ukazał się Karol Porajski. Pani domu postąpiła zwolna ku niemu, z przymusem jakby i podała mu rękę, któréj on dotknął zaledwo, wymawiając słówko banalne. Wzrok jego pobiegł aż w głąb pokoju, Tola oparta ręką o fotel, pochylona nieco, nie poruszyła się z miejsca. Bladość jeszcze nie zeszła z jéj twarzy, gdy Karol zbliżając się, żywo ujął jéj rękę. Ale za jego dotknięciem, ciemny rumieniec oblał twarz całą i zsunął się aż na szyję śnieżną, Porajski uczuł że drobna rączka drży w jego dłoni. Coś jak wyraz tryumfu na twarz mu wyszło, chciał do ust ponieść trzymaną rączkę, ale w pół drogi wysunęła mu się ona, i spotkał tak mocno zdziwione spojrzenie wielkich oczu szarych, że się zmięszał na mgnienie oka, pytając sam siebie, co to wszystko ma za znaczenie?

Tymczasem Tola zajęła miejsce, rumieniec ustąpił z jéj twarzy, zostawiając zwykłą uśmiechniętą maskę światowéj damy, z któréj chyba nigdy jeszcze nikt nic nie wyczytał.

— Jakże się bardzo pan zmienił, zaszczebiotała swobodnie, doprawdy, nie byłabym pana poznała...

Karol nie takich słów, nie takim szczególniéj tonem wyrzeczonych, spodziewał się od niéj. Uczuł gniew niewypowiedziany na tę szczególną istotę.

— O! wiadomo, że pani umiesz zapominać łatwo—rzekł z mimowolną goryczą.

Siwe oczy pięknéj pani strzeliły snopem promieni, prześliznęły się po twarzy Karola i odwróciły znowu, a biała rączka potarła czoło, jakby chcąc odpędzić myśl jakąś.

— Zapominać?—szepnęła półgłosem—tak: to dobrze zapomniéć; szczęśliwi ci, co zapominać umieją...

— Sądzę, że pani do ich liczby należy?

— Staram się o to—odparła suchym głosem.

Zapanowało milczenie—przerwał je Karol.

— I jabym pani może nie poznał—rzekł—tak pani rozkwitła z tego pączka, co wprawdzie obiecywał wiele, ale sto razy jeszcze więcéj dotrzymał...

I obrzucił ją od stóp do głowy spojrzeniem tak wyraźnie malującém uwielbienie, że aż można się było obrazić. Ale piękna Tola nie zarumieniła się, nie spuściła oczu, przeciwnie, wlepiła je uważnie w swego towarzysza, chcąc wyczytać z jego twarzy wrażenia. Nie zobaczyła nic innego nad to, co mówiły słowa. Musiało ją ta zado-

wolnić, bo karminowe usteczka uśmiechnęły się ślicznie, odkrywając ząbki perłowe.

— Zestarzałam się okropnie—rzekła tym tonem zepsutego dziecka, który lubią przybierać piękne kobiéty, wiedząc, że im z tém do twarzy.

— Okropnie!—zawołał śmiejąc się Karol—twarz pani się pokryła zmarszczkami, oczy blask straciły, z niegdyś tak ślicznych ząbków zostało tylko wspomnienie...

Piękna pani zaśmiała się także.

— A jakimże sposobem, pomimo zmian tak rozlicznych pan mógł mnie poznać odrazu?—spytała.

— Bo, jeśli się pani zmieniła, ja zawsze tym samym zostałem...

— Nierozumiem; cóż to ma za związek z poznaniem mnie?

— Na tę chwilę niemogę tego pani wytłómaczyć... i czarne zmęczone oczy jego zatrzymały się na mgnienie oka na twarzy pani Emilii, co zasunięta w głąb kanapy, nie męszała się do rozmowy zupełnie.

— W saméj rzeczy, byłoby to nieco za trudném. Ot, nie szukając długo, przyznaj pan, żeś wiedział o mojéj tu bytności, dziwniejszém więc byłoby daleko, gdybyś pan wchodząc, wziął mnie za kogo innego.

Oczy Karola błysnęły, jak błyszczeć musiały za dni jego młodych...

— Czy pani w saméj rzeczy tak sądzi?—zapytał, patrząc uporczywie w twarz Toli.

Ale oczy pięknéj pani wytrzymały to spojrzenie jak najspokojniéj: ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy, ani cień rumieńca się nie pojawił.

— A naturalnie—odparła zwykłym głosem.

— Czy... pani sądzi według siebie?

Szare oczy spuściły się szybko, piękne brwi lekko zsunęły, trwało to chwilę jedną, podniosły się znowu, marzące, zamglone niby tęsknotą, a może i łzą...

— Nieinaczéj—szepnęła, ale spojrzenie sprzeczało się z jéj słowami...

Karol nie widział, czy nie chciał widziéć téj mowy, wolał się obrazić za słowa. Rzucił się w głąb fotelu, jak by dotknięty mocno, po chwili poprosił o pozwolenie zapalenia papierosa, a otrzymawszy je, podał pani Emilii cygarnicę z kości słoniowéj delikatnie rzeźbioną, ujętą w czarną emaliowaną obwódkę. Pani Emilia przyjęła, on się posunął do Toli.

— O! ja tak rzadko palę—rzekła ta ostatnia.

— Może właśnie dziś przyjdzie fantazya?

— Kto wie? sprobuję, i delikatne paluszki ujęły papierosik, ogładzając go, jakby piękna pani była palaczem z profesyi. Obejrzała się za ogniem, w téj chwili Porajski podawał zapałkę pani Emilii, i zaraz zwrócił się do niéj, sam równocześnie zapalając cygaro. Ale nie zręcznie podawał, albo téż myślał tylko o osobie, zapałka zgasła, nim papieros był zapalony.

— Jaki pan niezręczny—szepnęła Tola—nie można ognia dostać od pana...

Karol pociągnął parę razy cygaro, żeby go rozszerzyć i pochylił się do niéj.

— Służę pani—rzekł cicho,—to ogień mój własny, nie pożyczany...

I nie wypuszczając z ust cygara, przysunął się tak blisko, że piękna pani mogła przyłożyć do ognia swój papierosik. Spoiły się ich oczy przez tę chwilę i zatonęły w sobie. Oczy Porajskiego fosforycznym blaskiem strzeliły i mówiły: piękna jesteś! Oczy Toli pozostały zimne, a odpowiedzią ich była: wiem o tem—i cóż z tego?

— Jakże teraz się bawią w Odesie?—zagadnął pierwszy Karol,—swobodnie i wesoło.

— Jak zwykle o téj porze, zjechało się dużo ludzi, i miasto zapełnione gwarem, wre życiem, aby z końcem sezonu znowu w sen zapaść zimowy—odparła Tola.

— Sądzę, że pani Odesie niesłusznie nadaje miano i cechę miast kąpielowych. Ona przedewszystkiém jest i na zawsze zostanie miastem handlowém, więc życie trwać musi rok cały.

— Masz pan słuszność, zawsze jedni będą sprzedawać to co inni kupić zechcą. Zawsze ludzie będą mieli na sprzedaż cukier, herbatę, towary łokciowe, swoje sumienia i nazwiska, serca i dusze, i zawsze się znajdzie naiwny kupiec, który się na tych towarach oszuka...

— Dlaczego ma się koniecznie oszukać?

— Bo wszystko co jest na sprzedaż musi być obrachowane na zysk jak największy: Nadaje się towarowi wartość rzeczywistą, o ile można najmniejszą, przykleja świetną etykietę, stempluje zagraniczną plombą i ogłasza szumną reklamę, a jeśli po pewnym upływie czasu cukier się okaże niesłodki, towary zleżałe, sumienie nadpsute, nazwiska sterane, serca zniszczone, a fałszowane dusze,—na skargi i krzyki odpowiadają, że trzeba było się pilnować przy kupnie i targu...

— Jakto! więc rzetelności niema zupełnie?

— Nierzetelnością więcéj zyskać można, a przecież zysk jest celem.

— Zgadzam się na to, ale przecież zysk jest różnego gatunku, nie każdy do jednego dąży...

— I owszem: różnią się szczegóły, ale cel główny u każdego podobny. Zyskać dużo pieniędzy, znaczenia i dobréj opinii, oto do czego każdy dąży, tylko różnemi drogami...

— A zadowolenie wewnętrzne?

— Ono przychodzi właśnie, gdy ów cel bywa osiągnięty.

Karol popatrzył na nią przez chwilę.

— Widać że pani była długo na targowisku, i przekonała się dowodnie,—podkreślił głosem,—że wiele rzeczy kupić i sprzedać można. Ja zaś, pozwolę sobie innego być zdania: dla mnie, to co się kupuje, nie ma już tem samém żadnéj wartości...

Szare oczy Toli strzeliły snopem błyskawic, ironiczny uśmieszek usta wykrzywił.

— Mnie się zdaje,—rzekła po chwili,—że dla pana to tylko ma wartość, co się samo przez się opłaca dobrze... Pan przyjmuje to, co za darmo przychodzi, ale płacić za coś? Nie, pan do kupujących nie należy...

Porajski wstrząsnął się cały, ale w tejże chwili odzyskał panowanie nad sobą i odparł spokojnie:

— I na sprzedaż nic nie posiadam, zostaje więc jedynie wolna wymiana. Dobrze pani mówi, że do kupujących nie należę, że to jedynie ma cenę u mnie, co się dobrze opłaca; szych i wszystkie wartości konwencyonalne niczém są dla mnie.

— Co pan nazywa konwencyonalną wartością?

— Wszystko, co ludzie cenić zwykli dla tego jedynie, że tak wszyscy robią. Naprzykład, abonament na włoską operę, posiadanie wyścigowéj stajni, salonowe amatorskie talenta wszelkiego rodzaju, życzliwość kobiét, przyjaźń mężczyzn.....

— Jakto! życzliwość kobiét, to wartość konwencyonalna?

— A naturalnie. Ja dbam tylko o niektóre kobiéty, a o tych życzliwość nie idzie mi wcale, wolę nienawiść, bo wtedy niedaleko już do innego uczucia, jedynego o które mi chodzi, gdy mam do czynienia z kobiétą, która mi się podoba. Co zaś do przyjaźni mężczyzn, ta mi jest zupełnie obojętną, bo nic z niemi niemam do czynienia.

— Przecież oni stanowią opinię!

Porajski wzruszył ramionami.

— Zapewne!—odparł chłodno—ale ja jestem zwolennikiem systemu władców wschodu. Z przyjemnością, jak oni osłoniłbym się firanką z jedwabiu i złota, żeby mnie ludzie nie widzieli. Mając przyjaciół, jest się narażonym co chwila na pytania jak najniedyskretniejsze,

które na jaw chcą wydobyć najtajniejsze strony naszego życia, naszéj istoty moralnéj. Zażyłość jest zgubną, bo nasze słabe strony stają się własnością owych rzekomych przyjaciół, którzy je mogą wyzyskiwać, rozgłaszać, jednèm słowem, korzystać z nich. Podczas gdy, odsunąwszy się od ludzi, można nad nimi górować, zachować swój urok, którego niepodobna utrzymać z przyjaciółmi.

— Pan daruje, przecież bardzo często zyskuje się na bliższém poznaniu.

— Zapewne, ale trzeba się zatrzymać na właściwéj granicy. Nigdy zupełne poznanie nas przez kogokolwiek nie przyniesie nam korzyści, ale zawsze szkodę.

— Tak więc najwyższa filozofia życia jest: nie oddawać się nigdy zupełnie?

— Przynajmniéj jest ona najpraktyczniejszą...

W téj chwili wpadł pan Czarnowski i rzucił się do gościa, witając go serdecznie. Pani Tola powstała i podeszła do fortepianu, zabrzmiało kilka akordów i tęskny, namiętny, marzący, wypłynął z pod jéj palców walc Straussa. Dziwnie przypadała ta harmonia do grającéj: w postaci Toli grały te same uczucia, co dźwięczały w jéj muzyce, jéj szare oczy mówiły o tęsknocie jakiejś, purpurowe usta o namiętności gwałtownéj, a fortepian pod jéj białemi palcami drgał cały uczuciem. Dotknięcie było miękkie, aksamitne, uderzenia klawiszów zlewały się w całość jednolitą, Tola grała temperamentem. Od pierwszych akordów, Porajski żywo głowę podniósł; lubił muzykę, jak lubił wszystko, co uderzało jego wytworny zmysł estetyczny, sam grywał pięknie i znał się na muzyce. Ta kobiéta cała w purpurowych odbłyskach zachodzącego słońca, co przeciskało się przez firanki czerwone, ta kobieta tak piękna, drgająca życiem, dobrą była tłómaczką tych dźwięków, któremi Niemiec artysta poruszyć zdołał opiłych bawarskiem piwem współziomków swoich. Jéj postać cała była ilustracyą do téj muzyki...

Gospodyni domu wyszła, Porajski chciał się przysunąć do Toli, ale Czarnowski jakby na przekor wciąż go zabawiał rozmową, nie zrażając się nieukrywaną niechęcią. Nareszcie wyczerpała się cierpliwość Porajskiego, powstał przerywając w pół frazesu rozmowę o zbiorach spodziewanych. Zbliżył się do fortepianu, ale Tola miała głowę spuszczoną, nie patrzyła na nikogo, jakby zasłuchana w melodyi, co z pod jéj palców płynęła. Usiadł obok—nieporuszyła się.

— Pani... — rzekł półgłosem.

Nie słyszała. Odwróciła się na drugą stronę i uderzyła mocniéj w klawisze, jakby chcąc zagłuszyć ten głos, co ją budził z zadumy.

— Pani... Tolu...—powtórzył Porajski, pochylając się tak blisko, że go zaleciał zapach jéj włosów.

Nie drgnęła nawet. Na twarzy może i malowało się jakie wrażenie, choćby gniewu albo niechęci, ale Porajski nie mógł jéj widziéć, była odwróconą od niego. Szybkim ruchem powstał i nim się Tola spostrzegła, już siedział z drugiéj strony, już patrzył jéj prosto w oczy. Z tych oczu szarych spływały wolno po twarzy dwie ciche grube łzy.

Nie zmięszała się, nie zarumieniła, tylko zwolna odwróciła głowę, podniosła ręce z klawiszów i przesunęła je po twarzy.

— Pani—zaczął znowu Karol—co to jest, co to znaczy?

Tola zaśmiała się sucho.

— To znaczy, że pan jest bardzo niedyskretnym i nie trzyma się przepisów salonowéj grzeczności, która nie pozwala zaglądać do niczyjego serca ani usposobienia — odparła zimno.

Karol się cofnął niemile dotknięty.

— Te przepisy tyczą się przecież obojętnych,—szepnął—tych, o których ocieramy się po salonach, nie wprowadzając ich do swego życia; czemuż pani je mnie, mnie przypomina?

— Bo pan zapomniał widać o nich...

— A! więc ja dla pani mam być jednym z tych komparsów salonowych... czy tak jest w rzeczy saméj?

Szare oczy orzuciły go spojrzeniem przeciągłém, obojętném, spokojném.

— A czemże dzisiaj, dzisiejszy pan Porajski chce i może być dla Toli Sawińskiéj?

W głosie Toli było pytanie, domagające się odpowiedzi. Porajski uczuł, że go przypierano do muru, musiał albo się posunąć odrazu, albo téż wszystko utracić. Znalazł się w krytycznem położeniu, jeżeli niepodobna było nic nie odpowiedziéć, jeszcze niepodobniéj odpowiedziéć zanadto...

— To nie zależy od niego—odparł cicho, głosem miękkim—kiedyś, dawniéj, okazano mu, że jest niczém...

Błysk gniewu zapalił oczy Toli.

— A zatém, pocóż pyta raz drugi?—rzekła wyniośle.

— Bo pragnie innéj odpowiedzi...

— A na cóż mu ona potrzebną?

Znowu zawahał się chwilę.

— Aby wiedziéć prawdę i do niéj stosować swoje postępowanie—wyszeptał.

Tola zaśmiała się ostro.

— Dajmy pokój przeszłości,—rzekła—nie trzeba poruszać popiołów, bo można sobie palce poparzyć aż do żywego; nie bardzo bezpiecznie igrać z ogniem.

— A! więc nie same popioły zostały jednak!

— Szukając jednego wspomnienia, możemy natrafić na drugie, czasem idziemy do piwnicy po wino, zapalamy zapałkę, chcąc je znaleść, i oto iskra pada na proch rozsypany po ziemi, o którym nie wiedzieliśmy wcale; nie igraj pan z ogniem, ja radzę. .

Karol się rzucił gwałtownie.

— To niepodobna! — zawołał z gniewem—to być nie może!

— Czemu?—spytała wyzywająco piękna pani.

Znowu się zmięszał.

— Czemu?—powtórzył—bo. . bo pani płakała...

— I cóż z tego? alboż pan wiedziéć możesz, jakie wspomnienie zostało spłoszone słowami pana? albož powiedziéć możesz z jaką chwilą splątały się u mnie te dźwięki Sztraussowskiego walca? albož pan mnie znasz i wiedziéć możesz, co ja kiedy myślałam i czułam, nawet kiedyśmy się znali, a cóż dopiéro przez tych długich lat dwanaście... Nic, nic pan nie wiesz i wiedziéć nie możesz...

— To też dlatego pytam! ja chcę i muszę wiedziéć!

— A jakiemże prawem domagasz się pan odpowiedzi?

Fala krwi zalała bladą twarz Porajskiego.

— Prawem... prawem dawnego znajomego...—wyszeptał.

Oczy Toli sypnęły iskrami.

— Moi znajomi,—podkreśliła głosem—nie pytają mnie o nic, zadawalniając się tém, co łaskawie im powiem czasami. Nie wprowadzam ich nigdy do mego życia, wiedzą oni, że im trzeba się trzymać w przyzwoitéj odległości, że inaczéj znać ich przestaję...

— A jeśli oni nie chcą się tém zadowolnić, ale przeciwnie, wejść w życie pani?

— Zamyka się im drzwi przed nosem.

— Drzwi można wyłamać...

— Hałas sprowadzi świadków i trzeba za swój czyn być odpowiedzialnym...

Ich spojrzenia starły się razem. Czarne źrenice Karola ogniem fosforycznym strzeliły, szare oczy pięknéj pani dumnie, jak lód zimno patrzały i szkliły się blaskiem polerowanéj stali.

— Nie probuj pan,—rzekła głosem, w którym drgała ostro sycząca nuta piekielnego sarkazmu,—nie probuj pan, radzę... Lepiéj spokojnie odcinać kupony od procentowych papierów, to zajęcie takie szlachetne, w tak dobrym guście, w sam raz stosowne dla pana... ono nie pozbawi nikogo równowagi umysłowéj. Zostaw pan innym py-

tania, tym którzy pragną żyć i żyją, nie bojąc się odpowiedzialności za słowa swoje, bo mówią tylko to co myślą; pytania to rzecz nie dla pana, to *mauvais genre*...

Porajskiego oczy pożerały tę cudnie powabną istotę, co przechyliła się w tył, opierając piękną głowę o poręcz krzesła. Życie drgało w każdéj jéj fibrze, przepływało falą gorącą, potężną po tych oczach błyszczących, zarumienionéj twarzy, śnieżnych ramionach i postaci całéj. Stępione nerwy ukraińskiego magnata, uderzane silném wrażeniem, zbudziły się i zatętniały życiem, jakiego już dawno nie miały. Zbudził się z odrętwienia, zapragnął życia, a tu purpurowe wpółotwarte usta kazały mu stanąć na miejscu... I tak miało zostać? nigdy! wszak to on najpierwszy zbudził do życia tę młodą wtedy istotę, on ją urabiał na to czém dziś była, on miał do niéj prawo największe! Miałże pozwolić, aby go odsunięto jak komparsa? albož to było możebne? Tola pokaprysi i ulegnie, ale on nie chciał czekać na to. Schwycił rękę Toli i ściskając ją gwałtownie, zawołał.

— A jednak pytam! pytam i odpowiedzi wymagam!

Tola spokojnie, bez gniewu, wyciągnęła rękę z jego dłoni.

— Pan odpowiedzi wymagasz? i jakiem prawem, powtarzam.— Pytasz pan, i poco, proszę raz jeszcze?

— Poco? aby do odpowiedzi pani swoje postępowanie stosować!

Tola zaśmiała się przeciągle, szyderczo.

— Dwanaście lat długich minęło,—rzekła ostro —szesnastoletnie dziecko dużo widziało, a więcéj jeszcze przeżyło. Dziś, stała się ona kobiétą, z któréj życie dawno starło puszek złudzeń, barwę ideałów, umiejącą sądzić ludzi i rzeczy, nie biorącą słów za fakta, ale tylko za czczą gadaninę...

I wstając od fortepianu odeszła; w tejże chwili pani Emilia zaprosiła gości na herbatę, Porajski posunął się żywo, chcąc rękę podać Toli, ale nim doszedł, już ona ujęła siostrę pod ramię i przeszła do sali jadalnéj. Tam usiadła między siostrą a szwagrem, i zawiązała żywą rozmowę, błyszczącą dowcipem. Pomagała jéj siostra, Porajski milczał z początku, ale widząc że żadna z pań nie wciąga go do rozmowy, sam się wmięszał. Potoczyła się iskrząca gawędka i przeciągnęła tak długo, że Porajski zdziwił się, spojrzawszy na zégarek. Próbował odciągnąć Tolę od towarzystwa, ale daremnie; widząc że dziś nic nie poradzi, wstał żegnając się. Gdy podała mu rękę Tola, zatrzymał ją w swojéj i do ust poniósł, ale z gniewem zobaczył, że ta rączka drobna jak aksamit miękka, ani drgnęła, pozostała zupełnie bierną, obojętną. Czyż ta kobiéta za nic go miała?

Po jego odjeździe, Emilia przysunęła się do siostry.

— Cóż?—szepnęła.

— Postawiłam ultimatum!

— I jak sądzisz?

— Doszło do żywego.

— Wygrasz?

— Niewiem. On silny...

Emilia brwi zsunęła.

— Byłażbyś ty względem niego słabą?—spytała.

Tola wzruszyła ramionami.

— Wiesz,—odparła,—że my kobiéty nie darujemy nigdy, jeśli nie dopniemy celu. Prędzéj czy późniéj, mężczyzna zapłacić nam musi, za pierwsze nasze kroki daremne. Ja wprawdzie wtedy wyszłam z honorem, ale ostatnie słowo nie przy mnie zostało, teraz podnosimy znów karty.

— Więc, niejesteś pewną siebie?

— Zaręczam, że ani na jedną linię nie odstąpię od swego ultimatum. Ale, jeżelim siebie pewną, to powodzenia mniéj znacznie. Znam przeciwnika: może być nierozegrana znowu.

— Czy niebyłaś za ostrą? on mógłby niewrócić...

Tola wzruszyła ramionami.

— Za trzy dni zobaczysz go znowu—rzekła. Tacy ludzie nie ustępują aż stracą zupełnie nadzieję powodzenia, a tracą ją wtedy dopiéro, gdy oczywistość wykole im oczy. Ale, czy w chwili ostatniéj usunie się lub też ustąpi, nie mam pojęcia..

— Przyszłość okaże...

(*d. c. n.*) *Julijan Morosz.*

KWESTYA NIEMIECKA
NA SCHYŁKU XVIII WIEKU,
ZWŁASZCZA WE FRANCYI.

La France et l'Allemagne sous Louis XVI. Avec un appendice contenant des lettres et des mémoires inédits de Vergennes par Alexandre Traczewski, professeur à l'université d'Odessa. Paris. 1881. (1)

Pan Traczewski jest dość rzadkim w dzisiejszych czasach objawem uniwersalnego niemal historyka. Wyrosłszy na wytrwałém studyum archiwów rosyjskich, rozpoczyna on samodzielną historyczną pracę od dziejów polskich, które bogaci cenném, z prawdziwym talentem napisaném dziełem z dziejów XVI wieku (2); przerzuca się następnie na drugi koniec Europy i to w czasy najnowsze i ogłasza, po części na podstawie urzędowych sprawozdań posłów rosyjskich w Madrycie, źródłową rzecz o Hiszpanii (3); traktuje potém w niemieckiém piśmie nieobojętny i dla naszych dziejów alians austryacko-rosyjski z r. 1781 (4); przechodzi dalej do wewnętrznych dziejów rzeszy niemieckiéj i mierzy się z tak trudnym i tak zawiłym tematem, jakim była dotąd i jakim podobno jeszcze długi czas pozostanie kwestya niemieckiego związku książęcego r. 1785 (5); wreszcie w ostatnim czasie obiera sobie przedmiot z historyi fran-

---

(1) Datę 1880 położono na tytule przez omyłkę, przedmowa do dokumentów, które stanowią drugą część książki, nosi datę 13 lipca 1881.

(2) Polskoje bezkorolewije po prekraszczenii dinastii Jagiełłonow. Moskwa, 1869. Zob. o téj książce sąd prof. W. Zakrzewskiego w dziele: Po ucieczce Henryka, Kraków 1878. Wstęp, IV.

(3) Ispania XIX wieka, 1871.

(4) Sybel'a Historische Zeitschrift, 1875, IV.

(5) Książka ta wyszła w języku rosyjs. w r. 1877.

cuskiéj, a raczéj historyi powszechnéj i obdarza historyografię francuską publikacyą, w któréj w sposób dość niemiłosierny obala przyjęte dotychczas zapatrywania na postać swego bohatéra. O interesie, jaki wzbudziła w francuskim świecie naukowym ostatnia ta, po francusku ogłoszona, praca historyka rosyjskiego, wystarczy, jeźli powiemy, że wywołała nader liczne oceny, a nawet formalną odpowiedź pióra kompetentnego w tym przedmiocie pisarza p. A. Sorel i dość energiczną replikę ze strony p. Traczewskiego (1). Komu nie obce, że polemika, zwłaszcza naukowa, jest rodzajem białego kruka we Francyi, ten już choćby w tym objawie będzie widział pewien dowód osobliwości książki pana T.

Bo téż w nowéj téj pracy, napisanéj sposobem ciętym, lapidarnym i w którym bynajmniéj nie znać usiłowań łamiącego się z trudnościami językowemi cudzoziemca, autor jéj, jak powiedziałem, niemal do góry nogami wywraca powszechne dotychczasowe mniemania. Nie jest naszym zamiarem iść za autorem lub jego przeciwnikami w labirynt ich dowodzeń; chcemy tylko zaznaczyć stanowisko historyka rosyjskiego, przedmiot pracy i ogólne rezultaty jego badań, przyczém się niejednokrotnie sama przez się nadarzy sposobność wypowiedzenia naszego osobistego o sprawach omawianych zdania.

I.

Kwestya niemiecka — powiada autor — gra rolę przeważną w dziejach Francyi. Jest ona wcześniejszą od innéj zasadniczéj kwestyi polityki francuskiéj, którą przeżyła i przetrwała, t. j. kwestyi angielskiéj. Mimo tę jéj ważność, daleko do tego, ażeby rzeczona kwestya niemiecka, albo wyraźniejszemi słowy, polityka mocarstw wobec rzeszy niemieckiéj, była należycie wyświeconą we wszystkich fazach jéj wieki trwającego rozwoju. Autor założył sobie wyświecić i objaśnić z ogólno-dziejowego stanowiska stan téj kwestyi niemieckiéj we Francyi za panowania ostatniego z Burbonów przed wielką rewolucyą francuską; a że przez cały niemal czas rządów tego monarchy ster spraw zagranicznych poruczony był hrabiemu Vergennes (1774 — 1786), przeto téż praca autora pojawiła się także pod tyt. La politique de Vergennes. Interes naukowy podobnego usiłowania uderza w oczy bez dalszych komentarzy. Kwestya niemiecka jest

(1) Zobacz artykuł p. Sorel p. t. Vergennes et sa politique, w tomie XV pisma Revue historique, r. 1881, p. 273, i odpowiedź p. Tr. w tomie XVI tegoż pisma pod tyt. Vergennes et ses apologistes, p. 327 (zeszyt z lipca-sierpnia 1881).

jakoby filarem, na którym się wspiera od trzech wieków z górą gmach całéj polityki europejskiéj; natomiast może są mniéj jasne właściwe znamiona i trudności, cechujące rozwiązanie tego zagadnienia.

Powiedziano to już tylekroć, a przecie może jeszcze niedostateczną ilość razy, że właściwym kluczem do rozwiązania zagadki t. zw. nowoczesnych dziejów Europy, jest należyte rozumienie historycznego antagonizmu, który w XVII zwłaszcza wieku wrogo od siebie oddzielił i do dwóch przeciwnych pchnął obozów dwa potężne domy: Habsburgów i Burbonów, z których jedni francuską, drudzy hiszpańską i czesko-węgierską dzierżyli koronę, ci ostatni łącząc z niemi, nie dziedzicznie wprawdzie ale faktycznie cesarskie Niemiec berło. Wzajemna walka tych dwóch dynastyj jest jakoby osią, około któréj obraca się myśl dziejowa; reszta mocarstw grupuje się już to około jednego, już około drugiego obozu. Hasłem w wielkim tym boju, gdy z widowni dziejowéj ustąpiły lub przynajmniéj na drugi plan zeszły interesa religijne, hasłem bojowém, mówię, jest niedopuścić owego *imperium universale*, do którego, wedle twierdzenia statystów francuskich, nigdy nie przestawał dążyć dom habsburski. Z upadkiem jednak hiszpańskiéj linii tego domu, która jako starsza i potężniejsza zawsze była właściwą dziedziczką światowładnych niegdyś zamysłów Karola V; z głębokim upadkiem Hiszpanii i niepomiernym wzrostem Francyi, pod berłem zaborczego Ludwika XIV-go, zagrażającéj bytowi drobniejszych potęg, zmienia się stan rzeczy i dotychczasowe hasło zwraca się właśnie przeciw temu mocarstwu, któremu dotąd w koncercie anti-habsburskim pierwsza i najważniejsza była przypadła rola, t. j. właśnie przeciwko Francyi Ludwika XIV. Niebawem okaże się, że dotychczasowe formy dziejowego życia już się przeżyły i że innym miejsca ustąpią. Powoli i nieznacznie poczyna się wykluwać nieznana dotąd idea równowagi europejskiéj. Wilhelm III angielski, który niegdyś w ciężkich opałach francuskiego najazdu zdołał uchronić od niechybnéj zguby rodzinną swą Holandyą, jest, można powiedzieć, twórcą lub przynajmniéj inicyatorem tego nowego kierunku. Wygaśnięcie hiszpańskiéj linii Habsburgów i przejście ich spuścizny pod berło Burbonów, jak z jednéj strony okazuje gwałtowną potrzebę téj nowéj zasady życia politycznego, tak też daje jéj zarazem wyborną sposobność okazania swéj żywotności i historycznego uprawnienia w 15-letnim niemal krwawym z Burbonami boju. Stwierdzona traktatami pokojowymi jeszcze bardziéj niż tą powszechną wojną nowa zasada— przypomina nagłą zmianę polityki angielskiéj i holenderskiéj w rokowa-

niach w Gertruydenburgu i wiadome powody téj zmiany— zawładnie odtąd życiem politycznèm narodów europejskich i jakkolwiek nie bez wielkich zmian, to przecież stale i w gruncie rzeczy, w właściwéj swéj istocie, nienaruszona, będzie odtąd panować nad niém aż po dni dzisiejsze, które w stypulacyach niedawnego kongresu berlińskiego nową jéj nadadzą sankcyą.

Ta radykalna zmiana jednak zasady historycznéj, która w ostatnich wiekach kierowała życiem społeczeństw europejskich, nie mogła nie wywrzeć stanowczego wpływu na naturę polityki, a tém samém dyplomacyi europejskiéj. W dalszém następstwie odbiła się ona nawet na historyografii tych czasów. Wytłómaczę się zaraz bliżéj.

Polityka europejska, prosta dotąd i w ogólności, jak powiedziałem, łatwo polegająca na dualistycznym między Habsburgami i Burbonami antagonizmie, odtąd się niepomału wikłać i komplikować poczyna: dawne alianse i związki ustępują miejsca nowym; naturalni niegdyś sprzymierzeńcy, którzy w zgodném ze sobą działaniu przepędzili znaczną część dziejowego życia swego, spotykają się obecnie nierzadko w przeciwnych sobie obozach, ażeby, gdy minęła potrzeba chwili, gdy szala równowagi ku innéj poczęła przechylać się stronie, inne znowu nawiązać alianse i z równą je porzucić łatwością. Rozumie się to zwłaszcza o Holandyi, Portugalii, Prusiech, a nawet o Szwecyi i Anglii, ażeby z tego koncertu wyłączyć naszą rzeczpospolitę, która w tych czasach już i cienia porządnéj polityki nie miała. Im daléj téż w wiek XVIII, tém bardziéj wikła się kwestya polityczna, dotycząca Niemiec, które teraz dopiéro właściwie zostają centralnym punktem polityki europejskiéj, niejako tą areną, na któréj się odtąd wytrwale będzie toczyć daremny, bo ostatecznie rezultatu w czasach o których mowa nie przynoszący, bój militarny i dyplomatyczny o supremacyą w nowéj Europie: areną podobną do téj, jaką w końcu XV i pierwszéj połowie XVI wieku stanowiły północne Włochy, jaką w XVII były hiszpańskie Żuławy i wolne a zjednoczone Niderlandy. Ten zaś wzrost dziejowéj ważności Niemiec, jako téż, to coraz wzmagające się wikłanie polityki europejskiéj w odniesieniu do Niemiec, spowodowane są głównie: z jednéj strony przez niepomierne wzmożenie się Anglii, któréj królowie dzierżą w Niemczech elektorstwo hanowerskie, a z drugiéj jeszcze bardziéj, przez pojawienie się już to w samych Niemczech już u ich granic, dwu nowych potęg, obu pierwszorzędnego znaczenia, t. j. Prus i Moskwy, które niebawem do pięciu podniosą cyfrę wielkich mocarstw europejskich. Utrudnia to dziś jeszcze dla historyka zrozumienie tych czasów—jakoż czasy Maryi Teresy aż do téj chwili jeszcze czekają na swego historyka — a podówczas zbiło z tropu i zakło-

potało niejednego ze statystów europejskich. Uczuła tę trudność zwłaszcza dyplomacya francuska, w któréj od połowy XVIII wieku, w miejsce jednego, jak było dawniéj, dwa obok siebie istnieją prądy, spierające się ze sobą, a nieraz nawet wprost się wykluczające wzajemnie.

W istocie zasadą dawnéj tradycyjnéj polityki francuskiéj w jéj pierwotnéj czystości (jak mawiali w XVIII w. chwalcy i zwolennicy dawnego systemu) była, zainaugurowana jeszcze przez Franciszka I, a przez następców jego z rzadkiemi przerwami konsekwentnie naśladowana, przez Henryka IV i dwóch wielkich kardynałów zwłaszcza genialnie pojęta, polityka walki przeciwko Habsburgom, polityka, która w specyalnie nas tu obchodzących Niemczech przybierała charakter walki przeciwko głowie świętego rzymskiego imperyum, należącego tytułem faktycznie przez całe wieki do rodu katolickich królów Kastylii i Aragonii. Była to zarazem polityka protegowania książąt rzeszy niemieckiéj — i to bez różnicy wyznania — jako wewnętrznych wrogów i ustawiczną zaporę przeciw samowoli „nadwornéj kancelaryi“ wiedeńskiéj. Raz się pozbywszy stuletnich przeszło walk swoich z Anglią, Francya zwraca uwagę swoję na wschód i dąży nieprzerwanie do uzyskania tu, kosztem Niemiec, naturalnych swych granic, a zarazem moralnego i materyalnego wpływu w saméjże rzeszy. Kwestya niemiecka staje się, zwłaszcza od czasu kiedy z wstąpieniem Filipa V na tron hiszpański, według głośnego słowa Ludwika XIV wraz z Pirenejami znikł i antagonizm francuskich i hiszpańskich interesów, staje się mówię, jakoby duszą zagranicznéj polityki francuskiéj. Atoli w pierwszéj połowie wieku XVIII, jak już wspomniano, występują na horyzont polityczny dwie nowe potęgi, których działanie z konieczności niemało musi zmienić dotychczasową naturę kwestyi niemieckiéj. Wprawdzie na początku XVIII wieku nie wiele się jeszcze kłopotała Rosyą reszta Europy. Francuska przynajmniéj dyplomacya polegała w téj mierze najzupełniéj na mocarstwach, sąsiadujących z Rosyą, jéj wrogich a z Francyą oddawna złączonych węzłami przyjaźni i wspólnych interesów. Mocarstwami temi były Szwecya, rzeczpospolita Polska i Wysoka Porta. Atoli zapory te, które Rosyą trzymały zdala od Europy powoli słabną, tak iż mocarstwo rosyjskie stanie niebawem, wskutek zupełnéj zwłaszcza niemocy naszéj rzeczypospolitéj, niejako w sercu Europy, bo u granic rzeszy niemieckiéj i w ogólnych europejskich sprawach groźnie odtąd dopomni się głosu. Kwestya niemiecka załatwiać się w dotychczasowy sposób teraz już nie da, bo na szali losów rzeszy zaważył odtąd niemałym ciężarem wpływ rosyjskiego imperyum.

Ale nietylko zewnętrzny, nieistniejący lub przynajmniéj nie wiele dotąd uwzględniany, czynnik miał wpłynąć na skomplikowanie téj kwestyi. W sobie saméj i z siebie saméj miała się rzesza niemiecka przekształcić. W istocie, zamiast jednego wielkiego mocarstwa w Niemczech mamy ich tam od połowy XVIII w. dwa, dwa potężne państwa: Prusy stanęły obok Austryi (1). Małe niegdyś margrabstwo brandeburskie, istny wychowanek dyplomacyi francuskiéj, przybiera, po poprzedniem jeszcze wyniesieniu go do rzędu królestw, pod Fryderykiem II rolę wielkiego mocarstwa i w trzykrotnym zwycięskim boju zyskuje raz na zawsze wstęp do wielkiego koncertu państw pierwszorzędnych. Zachodziło pytanie, jak się wobec téj zmienionéj sytuacyi politycznéj Niemiec zachowa rząd arcychrześciańskiego króla.

Odpowiada na to pytanie pamiętny alians z r. 1756, zawarty pomiędzy Ludwikiem XV a cesarzową Maryą Teresą, reprezentującymi jakoby dwa przeciwne bieguny dotychczasowéj polityki europejskiéj: zdarzenie, jeźli odliczymy obie rewolucye, amerykańską i francuską i podziały Polski, z pewnością najważniejsze w dziedzinie faktów politycznych tak przecie bogatego w tego rodzaju wypadki XVIII wieku.

Nie wchodząc w rozjaśnienie trudnego, dotąd nie całkiem rozwikłanego zagadnienia: w jaki sposób nastąpiła tak zupełna zmiana, nietyle w dotychczasowym systemie europejskim (bo dawny system dualistyczny był już nadwątlony od przeszło pół wieku) jak właściwie w pojmowaniu kwestyi niemieckiéj, spytajmy raczéj, jaki był lub jaki mógł być program zwolenników i twórców tego nowego monstrualnego (jak mówili jego przeciwnicy) systemu; spytajmy o program, boć przecie dziś już nikt nie zechce widzieć w pamiętnym traktacie z r. 1756 jedynie owoc kaprysu czy intryg, obrażonéj przez Fryderyka W. a ujętéj przez cesarzowę Pompadury i p. Traczewski powiada z wielką słusznością, że gdy kto chce koniecznie dopatrzyć się wszędzie biograficznego żywiołu w dziejach, to niech nie zapomina, że poza faworytą królewską kryły się osoby, którym na imię było Choiseul, Broglie, Bernis i inne. Program ten zaś był w krótkich słowach następujący: Austrya osłabiona przez utratę Szląska; Prusy mają trwać i nadal, ale jako drugorzędne mocarstwo; Polska, Turcya, Szwecya a nawet Dania jak dawniéj miały stanowić zaporę przeciwko Rosyi. Otóż i nowy sposób pojmowania kwestyi niemieckiéj.

---

(1) Słowa *Austrya* używam przyjętym zwyczajem zamiast domu austryackiego Habsburgów. Wiadomo, że polityczna Austrya czyli cesarstwo austryackie powstało dopiero w roku 1804.

System równowagi oddawna w Europie panujący ma tedy być przeniesiony i zastosowany do Niemiec, tak jednak, iżby Francya wpływem swoim, co więcéj dyplomacyą, finansami i wojskiem swojém ciężyła po austryackiéj stronie; w ten sposób zdawało się nowe Prusy i dawna Austrya łatwiéj zdołają sobie wzajem dotrzymać kroku; wolniejsza z téj strony Francya będzie w stanie oddać się rozwiązaniu kwestyi handlowéj i kolonialnéj, o którą niedawno temu z Anglią, od długiego czasu przerwane, odnowiła boje.

W podobny sposób, powiedzmy to zaraz z góry, pojmowała kwestyą niemiecką i dyplomacya *rosyjska*, mianowicie za panowania Katarzyny II. Już oddawna, od niepamiętnych prawie czasów, związki przyjaźni i wspólny interes głównie przeciw Polsce łączyły w. książąt moskiewskich z domem habsburskim; skoro zaś w w. XVIII Rosya wystąpiła czynnie w sprawach Europy, po raz pierwszy w roku 1747, a właściwie jeszcze poprzednio w sprawie spornéj elekcyi polskiéj r. 1733, stało to się w obu razach w przeciwieństwie i na niekorzyść Francyi, a poniekąd i złączonych z nią Prus. Elżbieta jakkolwiek z pomocą Francyi wstąpiła na tron, była przez cały czas rządów swoich zaciętą przeciwniczką jéj alianta Fryderyka II i jego zaborczych planów. Fryderyk II, mówiono w Rosyi, niebezpieczniejszy jest dla niéj, niżeli Szwecya, Polska i Francya. Król pruski sam wyznawał, że jedynie śmierć Elżbiety, zaszła w najkrytyczniejszéj dlań chwili, zbawiła go od niechybnéj, jak sądził, zguby. Krótkie i bezmyślne panowanie Piotra III nie może tu wchodzić w rachubę, a Katarzyna II ledwie objęła ster rządów, oświadczyła zaraz w pierwszym swym manifeście, że Prusy uważa za śmiertelnego wroga Rosyi. P. Traczewski dowodzi, że traktat, który Fryderyka II przez 16 lat w przyjaznych stosunkach utrzymywał z Katarzyną, nie sprzeciwia się bynajmniéj temu twierdzeniu, gdyż traktat ten miał jedynie na celu wyzyskać Prusy przeciwko Polsce i pozwolić carowéj zwrócić się na południe przeciw Turcyi. Nadto obok traktatu z Prusami istniał jeszcze dawny, niebawem odnowiony traktat z rywalką Prus, Austryą. Celem tedy polityki rosyjskiéj w Niemczech, tak kończy swe rozumowanie p. Traczewski, było utrzymać siły niemieckie w równowadze, jakiéj dla swych celów potrzebowała Rosya (1).

Wobec tego jednakiego pojmowania kwestyi niemieckiéj na dwóch przeciwległych krańcach Europy samo przez się nasuwa się pytanie, dlaczego do tak odmiennych, do tak wręcz przeciwnych

---

(1) Dowiódł tego autor już dawniéj (1877), w powyżéj wspomnianém swém dziele o związku książąt niemieckich.

doszło rezultatów? A że te rezultaty były w istocie wielce odmienne i różne od siebie, na to nie trzeba przywodzić na pamięć ani wypadków ostatniéj wojny prusko-francuskiéj, ani ogłoszenia cesarstwa niemieckiego w dawnéj siedzibie Burbonów i przeciwstawiać temu upadkowi Francyi ustawiczny, niczém nie wstrzymany wzrost Rosyi. Nie potrzeba zaś bynajmniéj tak daleko sięgać w przyszłość, bo już za życia twórcy aliansu austryackiego Ludwika XV, coraz bardziéj malał i niknął wpływ Francyi na rzeszę niemiecką, póki mu późniéj zwycięstwa armii rewolucyjnych i wojenny geniusz Napoleona I, nowéj, przeważnéj, ale jak się okazać miało, chwilowéj tylko nie nadały przewagi. Spowodowało to wielu historyków i statystów do srogiego ganienia owego aliansu austryjackiego. Broglie, niegdyś sam jeden z twórców jego, pisał z widoczną przesadą w r. 1775, że Francya, dzięki fałszywéj drodze, na któréj się zabłąkała w alians z Austryą, zeszła do znaczenia trzecio- lub zgoła czwarto-rzędnego mocarstwa.

Pan Traczewski innego jest zdania. Według niego przyczyna leżała gdzieindziéj, leżała przedewszystkiém w głębokim upadku politycznéj Francyi wogóle, a monarchii francuskiéj w szczególności. Ale specyalny bezpośredni powód, dla którego zainaugurowany w r. 1756 zwrot w pojmowaniu kwestyi niemieckiéj nie przyniósł dla Francyi pożądanych owoców, p. Tr. upatruje w rychłém, niemal natychmiastowém *porzuceniu właśnie tego nowego sposobu widzenia rzeczy*, i to przez te same osoby, które najczynniéj przyłożyły się do zawarcia traktatu z r. 1756. Sam Ludwik XV, Broglie, kardynał Bernis, zmienili swe przekonania. Jedyny Choiseul wytrwał konsekwentnie w nowym sposobie zapatrywania, ale Choiseul tylko krótki czas sterował nawą polityki francuskiéj i to jeszcze w czasie owego wielkiego znużenia, które zapanowało w Europie po wojnie 7-letniéj. „Można powiedzieć—konkluduje p. Tr.—*że alians francusko-austryacki istniał tylko na papierze.*“ Zdaniem historyka rosyjskiego tak wielką była siła dawnego systemu politycznego, taka tęgość rutyny dyplomatycznéj, w któréj wyrosły ówczesne generacye statystów francuskich, że ledwie się poważono zrobić krok jeden w odmiennym kierunku, a już się ze strachem cofnięto napowrót, by dawno ubitym iść daléj torem. Jako owoc tego ducha rutyny, który charakteryzuje, według zdania autora, ówczesną dyplomacyą francuską, jako dokument, zarazem popierający to jego twierdzenie, uważa p. Tr. słynną *korespondencyą sekretną* króla Ludwika XV, którą dopiero ostatnia publikacya księcia Broglie w prawdziwém wystawiła świetle (1).

---

(1) Le secret du roi. Correspondance secrète de Louis XV avec ses agents diplomatiques 1752—1774, par le duc de Broglie, de l'académie française. Paris, C. Levy, 1878. 2 tomy.

Nie była tedy ta korespondencya, za co ją dotąd uważano, kapryśną zabawką lub rezultatem małoduszności Ludwika XV, lecz była wyrazem dawnego systemu, który nie licząc się ze zmianą sytuacyi, wzrostem Prus i Moskwy spowodowaną, w walce z Habsburgami i w popieraniu książąt rzeszy niemieckiéj, a zatém i Prus, widział główne zadanie Francyi. Jako przedstawicielka téj idei przetrwała też owa korespondencya sekretna całą generacyą. Tutaj drobna uwaga. Nie chcę przeczyć, że korespondencya sekretna z czasem stanęła w szorstkiéj opozycyi z jawną polityką dworu wersalskiego, atoli samo porównanie dat chronologicznych poucza, że w swoim zawiązku nie miała ani cienia charakteru opozycyjnego. Poczęła się bowiem ta korespondencya w r. 1745, a choćby nawet dopiero w r. 1752, w każdym razie tedy w czasie, kiedy jeszcze mowy nie było we Francyi o zmianie dotychczasowego systemu politycznego. Że mimo to była sekretną, tego przyczyny chyba już widocznie w osobistym charakterze Ludwika XV szukać należy. Jeżeli zresztą w jednym z licznych swych memoryałów Broglie powiada, że pierwszym przedmiotem korespondencyi sekretnéj była Polska, to się to, mojém zdaniem, nie sprzeciwia bynajmniéj owemu wyżéj wyłożonemu zapatrywaniu pana Tr., albowiem zapominać nie należy, że mocarstwa, które po śmierci Augusta II pognębiły wolność elekcyi polskiéj i usunęły kandydata dworu wersalskiego, były właśnie, jedno, odwiecznym wrogiem Francyi t. j. cesarstwo Habsburgów (jeźli o cesarstwie ich mówić można), a drugie, t. j. Rosya, naturalnym rywalem Prus. Przewodnią tedy myślą rzeczonéj korespondencyi było zgnieść lub upokorzyć oba te mocarstwa, za pomocą aliansu, do którego obok Francyi i trzech jéj wschodnich przyjaciół: Polski, Szwecyi i Turcyi, miały wejść także i Prusy. Konsekwentnie też z tą przewodnią myślą „królewskiego sekretu,“ powiada nam wspomniany Broglie, jeden z głównych współpracowników tajnéj korespondencyi — ale już w czasie aliansu z Austryą — że kiedy w wojnie siedmioletniéj ministeryum jawne (ministère ostensible) wojowało z Prusami, ministeryum tajne myślało o nowém nawiązaniu dawnych, traktatem z r. 1756 przerwanych, węzłów z dworem berlińskim. Pan Tr., jak już z powyższego wynika, uważa ten kierunek za zgubny i jemu przypisuje niemoc dyplomatyczną Francyi. My z naszego stanowiska, nie dając się uwieść złudzeniom sentymentalnéj polityki, nie powinniśmy też z drugiéj strony zapominać, że ten system, którego wyrazem stała się korespondencya sekretna, mniejsza o to czy mu przyświecała genialna myśl polityczna czy też tylko odziedziczony po przodkach zmysł kancelaryjnéj rutyny, owe, jak mówiono, zasady polityki francuskiéj w jéj pierwotnéj czystości, nie

zbękarconéj jeszcze austryackimi aliansami (1), albo też ostatecznie tylko zagadkowy kaprys ukoronowanego rozpustnika, którego wysokiéj, zdaniem mojém, inteligencyi politycznéj (p. Tr. innego jest zdania) nie umiał dotrzymać kroku charakter jego; że ten system, mówię, jeźli nie zdołał istotnie przeszkodzić upadkowi naszéj ojczyzny, to przecie wytrwale i uczciwie dążył przynajmniéj do tego, ażeby mu zapobiedz. Wspomniany Broglie powiada wyraźnie, a mnogie dokumenty, jeszcze przed 15 laty przez Boutaric'a wydane stwierdzają prawdziwość tego jego twierdzenia, że tajne ministeryum starało się zapobiedz „smutnemu rozwiązaniu odgrywającéj się na północy tragedyi." A przecie o téj saméj tragedyi wyrażał się pan d'Aiguillon, istny minister „na okaz" (bo *ministre ostensible*), godny sługa swego pana, jakkolwiek zacięty wróg Austryi, że „dwór wersalski patrzyłby obojętnie na wszystko, cokolwiek-by mogło wydarzyć się w Polsce" (2).

Ale odszedłem od właściwego przedmiotu. Ludwik XVI ledwie wstąpił na tron swego dziada, kazał spalić całą tajną korespondencyą i nawet nie spytał o jéj treść. Równocześnie jednak powołał do steru spraw zagranicznych hrabiego Gravier de Vergennes, gorliwego współpracownika rzeczonéj korespondencyi. P. Tr. powiada, atoli bez podania dowodów, że świeżo wydane źródła dowodzą antiaustryackich tendencyi Ludwika XVI. Gdzieindziéj mówi o jego „śmiertelnéj nienawiści" do Austryi, nazywa go wychowankiem tego koła, które przechowywało w pierwotnéj ich czystości dawne tradycye polityki francuskiéj. Jeden nawet rozdział pracy p. Traczewskiego zatytułowany jest: *L'austromanie de Louis XVI.* Gdy Vergennes również nie był przychylnym austryackiemu aliansowi, nie było już więcéj powodu do tajnego korespondowania, gdyż król i minister byli w zupełnéj ze sobą zgodzie, nie miał jeden co ukrywać przed drugim. Czemuż jednak, skoro już w r. 1770 ustąpiła z francuskiego ministeryum główna podpora nowego, na aliansie z Austryą opartego, systemu, to jest książe Choiseul, czemuż, pytam, rzeczona korespondencya przetrwała mimo to jeszcze całe 4 lata, jakkolwiek książe d'Aiguillon nie grzeszył z pewnością zbytnią do Austryi sympatyą? Podobniejsze do prawdy, że wnuk był uczciwszy od dziada, że miał większe wyobrażenie o swéj godności i obowiązkach monarszych, że mniéj się lubował w krętych drogach,

---

(1) Principes de l'ancienne politique française dans sa pureté primitive, avant qu'elle fût adultérée par les systèmes autrichiens.

(2) La cour de Versailles verrait avec indifférence tout ce qui se passerait en Pologne. Flassan, Hist. de la diplom. Franç. VII, 87.

i że wreszcie, miasto pani Pompadour, Dubarry i pensyonarek osławionego zwierzyńca (*parc aux cerfs*) miał przy swym boku jednę tylko kobiétę własną małżonkę, o któréj nie należy zapominać, że to była córka Maryi Teresy.

II.

Nie może być zadaniem niniejszego artykułu, który ma na celu jedynie zwrócić uwagę publiczności naszéj na doniosłe pytania poruszone przez pana Tr., nie może, powiadam, być jego zadaniem, przechodzić szczegółowo we wszystkich jéj fazach rozwój kwestyi niemieckiéj za ministeryum hr. Vergennes, jak ją z powszechno-dziejowego stanowiska przedstawia i ocenia autor omawianéj pracy. Wystarczy, skoro po kilku rysach do charakterystyki kierującego ministra, podamy parę ogólnych uwag o jego polityce, jak ją p. Tr., a jak my pojmujemy. Autor, który, jak wspomniano, nie sympatyzuje z owemi pierwotnemi zasadami polityki francuskiéj w jéj dawnéj czystości, nie może téż mieć wielkiego uznania dla wyznawcy tych zasad, jakim według niego był Vergennes. Trudno w istocie o sąd surowszy, niżeli ten, który p. Tr. wydaje o zdolnościach ostatniego z wydatniejszych ministrów dawnéj monarchii francuskiéj; a dodać potrzeba, że dotychczasowy sąd historyków francuskich był przeważnie korzystny dla dziejowéj reputacyi ministra. Jeszcze niedawno pewien kompetentny w téj mierze autor wyrażał się z prawdziwym entuzyazmem o swym bohatérze: „Jedno z wielkich imion, jeden z ostatnich wielkich przedstawicieli dawnéj naszéj dyplomacyi“ (1). P. Tr. innego jest zdania. Było to, powiada on o panu Vergennes, istne uosobienie téj monarchii niedołężnéj, chwiejnéj i fałszywie pobożnéj (dévote), która niebawem z trzaskiem runąć miała. Jaki pan, taki sługa, pomyślał autor. Jak zresztą Ludwik XVI był lepszym od systemu, owego osławionego *ancien régime*, tak i Vergennes więcéj był wart, aniżeli system, który przedstawiał. Była to przecie, ciągnie daléj autor, uosobiona gnuśność (l'inertie) i pokora; bał on się wszystkiego i wszystkich, a nikt jego się nie bał. Sam, z umysłu, nie obraził nikogo; od drugich, intrygantów zarówno, którzy go otaczali, jak i od obcych rządów częste znosił urazy; ale jakże to czynił? milczał i robił, jak gdyby ich nie czuł zgoła. Zdawało się, jakoby Vergennes nie pragnął niczego innego, jak tylko przesunąć się niepoznany

(1) Geffroy: Gustave III et la cour de France, I, p. 125. Świadectwa korzystne o panu V. zebrał Sorel w swéj krytyce zapatrywań Traczewskiego, p. 278.

po świecie, z obawy, żeby sobie jakiego nieszczęścia nie ściągnął na głowę. Zdarzało się, że w przeciągu dwóch dni dwa przeciwne o jednéj i téj saméj sprawie wyrażał zdania. Historyk rosyjski, pomimo dokumentu, na którym chce oprzeć to swoje twierdzenie, idzie widocznie zadaleko, kiedy powiada, że Vergennes już to kłamał i odwoływał, już też podsuwał jedne akta w miejsce drugich i że fałszował daty dokumentów. Ale p. Tr. oddaje najzupełniejszą sprawiedliwość prywatnemu charakterowi ministra, i w tym względzie przyjaciele hrabiego mogą być wdzięczni autorowi, że z bogatych skarbów francuskiego „archiwum narodowego“ (na którém w ogóle cała praca jest opartą) przytoczył wyjątki z korespondencyi ministra, które w istocie okazują go w nader sympatyczném świetle. Nie dziw, że w czasie, w którym wodząca opinią na pasku filozofia, przyklaskiwała otwarcie rozbiorowi Polski, minister, który takie jak Vergennes wyznawał zasady, był przedmiotem drwinek a nawet pośmiewiska publiki. W pracy, o której mowa znajdujemy też kilka próbek wierszowanych pamfletów, którymi, niczego nie szczędzący dowcip francuski, chłostał osobę pierwszego ministra arcychrześciańskiego króla. Łatwiéj pisać pamflety, aniżeli być cnotliwym na tak wysokiém jak Vergennes stanowisku. Skoro to są rzeczy świeżo wydane, a osobistość pana Vergennes w najwyższym stopniu winna nam być sympatyczną, nie waham się przytoczyć tu niektórych z téj korespondencyj wyjątków.

„Jeżeli“—pisał Vergennes do swego króla, ledwie objął stér spraw zagranicznych i pod świeżém jeszcze wrażeniem niedawno dokonanego rozbioru Polski,—„jeżeli siła jest prawem a użyteczność tytułem posiadania, to jakież na przyszłość będzie bezpieczeństwo mocarstw? Jeżeli ten rozbój polityczny jeszcze dłużéj potrwa, to pokój rychło będzie gościńcem, otwartym jedynie zdradzie i wszelkiemu bezprawiu.“ Innym razem pisze Vergennes: „król francuski jest tak potężnym, iż może się obyć bez ni.zyjego upokorzenia? Do barona Breteuil pisał: „Gdyby wszystkie mocarstwa chciały uznać jak mało warte są sztuczki polityczne, świat byłby lepiéj rządzony, ministrowie mniéj umęczeni, a ludzkość nie stękałaby tak pod ciężarem błędów, do jakich szalona ambicya prowadzi... Kiedyż już raz będziemy w tém szczęśliwém położeniu, w którém można będzie jawnie stwierdzić swe zamiłowanie w pokoju i odsłonić zamiary bez narażenia się na zarzut niedołęstwa? Jeślibym kiedy ujrzał rzeczy w tym błogim stanie, powiedziałbym wtedy z całego serca: *Nunc dimittis*... Teraz puścisz sługę swego, Panie!“

Widzimy, był to istny *principe de la paz*, prawdziwy „książę pokoju“, który wzniosłe nauki religii chrześciańskiéj starał się w życiu

publicznėm w praktyczne wprowadzić zastosowanie. Ale sentymentalizm w polityce, jeźli kiedy, to podówczas nie był dozwolony. To też ten człowiek, z swemi zasadami sprawiedliwości międzynarodowéj, dziwnie musiał odbijać od Katarzyny II, od Fryderyka II, od Józefa II, Kaunitz'a i tylu innych, których wydał bogaty w téj mierze schyłek XVIII wieku. Zda się, jak gdyby duch jakiegoś idealnego pietyzmu, u Francuza tém trudniejszy do zrozumienia, tchnął ze słów ministra, co w parę lat po dokonaniu największego gwałtu, o jakim pamięć zachowały dzieje, mógł spokojnie pisać do swego pana: „Król arcychrześciański oddycha tylko dla dobra rodu ludzkiego; podobny do najwyższego sędziego, może on uważać tron swój jako trybunał, który Opatrzność ustanowiła, ażeby przezeń nakazać uszanowanie dla praw i własności władców... Jego wyroki przyjmie świat z uszanowaniem, przykład jego więcéj sprawi niż oręż jego. Sprawiedliwość i pokój zapanują wszędzie, a cała Europa będzie z wdzięcznością przyklaskiwać dobrodziejstwom jego, przekonana, że pochodzą od jego mądrości, cnoty i wielkoduszności." Tylko nawiasem zauważmy, że Vergennes nie był dworakiem. Takie to niemal prawo dziejowe, częstém stwierdzone doświadczeniem, że im duszniejszą i cięższą rzeczywista atmosfera, tém pochopniéj tkliwsze i czulsze umysły uciekają się w urojone światy własnéj fantazyi, żeby w nich znaleść ochłodę i otuchę w ciężkich próbach przygniatającéj ich zewsząd rzeczywistości. W tym czasie w Niemczech pisał sielanki Gessner, w Francyi Bernardin de St. Pierre w prześliczne obrazki układał świat swoich marzeń. W tym wieku pseudo-reformatorskim, gdy szczęście narodów obliczano na ilość dusz i kwadratowe mile, a w bezprawnych zaborach upatrywano szczyt mądrości politycznéj, miło widzieć męża, który był dość wysoko postawion, ażeby głos jego usłyszała historya i wdzięczne dlań zachowała wspomnienie. Jest to rzecz osobistego sądu, ocenić czy Vergennes zasłużył na godność ministra, którą, rzecz nieobojętna, aż do swéj śmierci przez lat 12 piastował, czy też, jak uważa p. Tr., był raczéj winien pozostać człowiekiem prywatnym albo drobnym urzędnikiem kancelaryjnym. Zimna analiza wzruszy podobno ramionami na tę czułostkowość ministra, co ostatni kierował losami wielkiéj monarchii: sympatyi—historya, ta przynajmniéj, co według wyrażenia francuzkiego historyka (H. Martin) kochać, czuć i wraz z innymi cierpieć umie, z pewnością mu nie odmówi. Do dziś dnia to zresztą jeszcze nie dowiedzione, czy dyplomacya a uczciwość i zasady sprawiedliwości koniecznie różnymi muszą iść tory. Jest w tém traf szczególny, czy też opatrznościowe zrządzenie nie bez głębokiego znaczenia, że tak ostatni monarcha, jak minister, co ostatni zamknął ów długi szereg sławnych

statystów francuskich, byli lepsi i nieporównanie więcéj warci od wielu swych poprzedników. Król odpokutował na rusztowaniu winy swych ojców; minister umarł na 3 lata przed wybuchem rewolucyi i zapewne tém tylko (jeźli się tak wyrazić wolno) uratował od gilotyny głowę. Przynajmniéj każe się wszystko domyślać, że gdyby był żył dłużéj, i Vergennes wraz z Ludwikiem XVI-m padłby ofiarą wielkiego ruchu.

III.

Niedołężną jednak, niedołężną w zupełném znaczeniu tego wyrazu nazywa p. Tr. politykę pana de Vergennes, politykę dogorywającéj monarchii francuskiéj. Zdaniem jego, ani w kwestyi bawarskiéj, ani w kwestyi wschodniéj, po części dość ściśle z niemiecką złączonéj, ani w sprawie zamiany terytoryum i w sporach między Austryą i Holandyą, ani wreszcie odnośnie do usiłowań Fryderyka II, celem utworzenia ligi książąt niemieckich, nie powiodło się ministrowi francuskiemu. Była to wiecznie polityka pośredniczenia, zwlekania z dnia na dzień, długich memoryałów, wreszcie nawet czasem i energicznych przedsięwzięć, których jednak nigdy nie wykonano. Wnosząc z usposobienia ministra, jak je p. Tr. maluje, dość to wszystko do prawdy podobne, jakkolwiek pamiętać należy, że minister spraw zagranicznych nie był zarazem ministrem finansów, koniecznych do energicznego przeprowadzenia powziętych zamysłów, a światu całemu wiadomo, w jakim stanie była podówczas narodowa gospodarka fracuska, i że ten smutny jéj stan miał nie póżniéj jak we trzy lata po śmierci p. Vergennes doprowadzić do zwołania stanów generalnych, a tém samém być pierwszym bezpośrednim powodem wybuchu owéj lawy, co niebawem miała z nadsekwańskiego wulkanu (według słów naszego Adama) zalać cały dawny porządek rzeczy. Nawiasem tylko i jako *curiosum* dodam, że się znalazł historyk nam dosyć bliski, bo nikt inny jeno Rulhiére, podobno, który się nawet poważył twierdzić, jakoby Vergennes był pierwszą przyczyną zwołania stanów generalnych (1). Powtarzam, że sądząc po usposobieniu nie dość rezolutném francuskiego ministra, twierdzenie powyższe pana Tr. jest możliwe a nawet prawdopodobne; jakkolwiek, ażeby sąd ten był niezbity i żeby uderzał w oczy w sposób jaśniejszy i bardziéj przekonywający, potrzebaby może nieco szczegółowsze podjąć tych

---

(1) Zob. Le comte de Vergennes, première cause des états-généraux, bezim. ale przypisywane autorowi dziejów nierządu polskiego.

kwestyi badanie, niżeli to mógł uczynić autor w pracy, w któréj całą niemiecką Ludwika XVI-o rozbiera i ocenia politykę. Jednéj tu prócz tego pozwolę sobie uwagi, która jednak dotyczy zasadniczego zapatrywania autora. Mojém zdaniem, jeżeli w poszczególnych kwestyach, dzięki zapewnie właściwemu sobie brakowi energii, Vergennes nie był szczęśliwy, to przez to jeszcze nie zdaje mi się, ażeby téż jego zapatrywania polityczne były fałszywe, ażeby zatém i ogólny kierunek jego polityki, o ile Niemiec dotyczył, był błędny. Vergennes sam powiedział: „Nie byłbym był zawarł traktatu z r. 1756, ale dopóki ten traktat istnieje, winienem go zachować." Mimo to nie da się zaprzeczyć, że sympatye polityczne pana Vergennes nie były po stronie domu austryackiego. Mnogie dokumenty przytoczone przez p. Tr. nie pozwalają wątpić o tém. Ale i o zbytnią dla Prus sympatyą nie pozwalają posądzić go podane w pracy p. Tr. wyjątki z jego korespondencyi. Fryderyka II kładzie Vergennes bez ceremonii, w rzędzie „*rabusiów politycznych*" (brigands politiques); nazywa go na inném miejscu „*un chef de bande*"; jeszcze gdzieindziéj „wściekłym z zazdrości kochankiem" (*un amant jaloux et furieux*). To co do „wielkiego" króla. Że jego polityki Vergennes nie uważał za lepszą od niego samego, mnogie tego dałyby się przytoczyć dowody. W r. 1774 pisze Vergennes m. i. do Ludwika XVI. „Ulubionym zamiarem króla pruskiego jest poróżnić w. król. mość z cesarzem w tém jest i był zawsze jego interes; gdy jednak alians w. kr. mości z dworem wiedeńskim wzajem obu mocarstwom pożytek i korzyść przynosi jest nadzieja, że cesarz nie da się schwytać w łapkę itd."

Jakąż tedy była polityka ministra francuskiego? Widocznie lawirować pomiędzy dwoma mocarstwami, nie zrywać z żadném, i trzymać je wzajem w równowadze, jedno przez drugie. I była to, mojém zdaniem, polityka jedynie stosowna. Mogło się jakiś czas zdawać mężom stanu w Wersalu, że potęga Fryderyka II-o może się stać groźną dla Francyi, że Austrya utratą Szląska osłabiona, mniéj jest niebezpieczną dla niéj; można się było zwłaszcza obawiać zaborczego umysłu Fryderyka; mógł Broglie pisać jeszcze w r. 1773-m, „Króla pruskiego można poczytać jako najpotężniejszego w obecnéj chwili ze wszystkich monarchów europejskich"; atoli w obec rzeczywistéj słabości Prus, ich jedynie sztucznéj, bo tylko geniuszem przebiegłego monarchy podtrzymywanéj wielkości, podobna opinia długo utrzymać się nie mogła. Sam ów zresztą Broglie był właśnie najgorętszym zwolennikiem aliansu pruskiego. Fryderyk II postarzał się, wrażenie zwycięstw jego odniesionych w młodszych latach zatarło się powoli; przedsiębiorczy niegdyś, energiczny i śmiały, stał on się teraz zgryźliwym, skąpym i podejrzliwym, ustawiczną podagrą tra-

pionym starcem. W listach jego pisanych do siostrzeńca, a wydanych przez Ranke'go czytamy dewizę, która dokładnie znamionuje usposobienie pustelnika z Sans-Souci w tych czasach. Dewizą tą jest: *Festina lente*. Fryderyk II, najśmielszy w młodym wieku nowator, stał się konserwatywnym na stare lata, stał się „Habsburgiem", jak z głęboką ironią przyznaje sam p. Tr. Miejsce jego, albo przynajmniéj jego rolę objął „ambitny i romantyczny" syn Maryi Teresy, Józef II, którego „wrzący i marsowy geniusz" stał się, jak niegdyś młodego Fryderyka daleko sięgające zamysły, postrachem Europy. Wiedziano dobrze w Wersalu, że armia i finanse austryackie nie ustępowały w niczém armii i finansom pruskim. Józef II zaczął od Polski; potém jak się ironicznie wyrażał król pruski, „poprawił fizyonomią" (*régla la figure*") swéj monarchii na lewym brzegu Dunaju; wreszcie zabrał Turkom w r. 1777 Bukowinę. Teraz dopiéro zwrócił się na zachód. Czyż miała Francya dopuścić, ażeby zabrał Bawaryą? lub w parę lat późniéj, żeby ją zamienił za oddalone i niepewne, w każdéj chwili łupem Francyi stać się mogące Niderlandy austryackie? lub téż wreszcie, żeby w połączeniu z Rosyą zawojował i podzielił się Turcyą? Obawy, jakie obudzała ta ambicya Józefa II-o, wyraził sam Vergennes bardzo dobitnie w podanym w r. 1777 królowi swemu memoryale. Powiada on tam między innemi, że Austrya dopóty będzie przyjazną Francyi, dopóki się będzie obawiać Fryderyka. „Raz obaliwszy potęgę króla pruskiego, gdzie znajdziemy zaporę przeciw ambicyi domu austryackiego?" (1). Kto bezstronnie i bez fałszywego sentymentalizmu ocenia sytuacyą, a na minione wieki nie patrzy przez szkła późniejszych wypadków, temu słowa te łacniéj trafią do przekonania, niżeli interesowne acz przezto nie mniéj szczere żale Maryi Teresy, które p. Tr. przytacza w swéj pracy. Pisała ona w tym samym mniéj więcéj czasie (1778) do córki (Maryi Antoniny) jak następuje: „On to (Fryderyk) chce zostać dyktatorem i protektorem całych Niemiec. I wszyscy wielcy monarchowie nie wezmąż się za ręce, ażeby przeszkodzić podobnemu nieszczęściu, które prędzéj czy późniéj na wszystkich spadnie? Nie mówię tu o Austryi, bo to sprawa wspólna wszystkim książętom. Przyszłość się nam nie uśmiecha. Ja tego nie dożyję, ale moje drogie dzieci i wnuki moje, nasza święta religia, nasze dobre ludy, uczują to aż nadto..." Marya Teresa mówiła *pro domo sua*, a mówiła pod wrażeniem ciężkich strat, których nigdy nie była wstanie przeboleć. Możnaby jéj słowa wziąć za proroctwo, gdyby proroctwa miały jakie znaczenie w historyi, która się przeszłością i tylko przeszłością zajmuje. Że dwór wersalski nie poszedł na lep tych i im

(1) Flassan, VI, 127 (wyd. z r. 1804).

podobnych w listach Maryi Teresy tak częstych lamentów, i że się we Francyi nie łudzono co do rzeczywistego stanu rzeczy, dowodem właśnie wspomniany już memoryał pana Vergennes. Pisze on w nim daléj, przechodząc do innego szeregu myśli: „Z tego, iż dom austryacki straszniejszy jest dla Francyi, niżeli król pruski, nie wynika jeszcze, żeby nie należało troskliwie śledzić także ambicyi tego ostatniego. Wszelki nabytek, któryby wzmógł potęgę jego nad Renem, winien być przedmiotem zapobiegliwości dworu francuskiego; natomiast należy wedle możności przeszkadzać, ażeby go nie uszczuplono nad Odrą i nad Łabą (1)". Rozumiéć należy ażeby go nie uszczuplił dom austryacki. Znakomity historyk i statysta czeski; Franciszek Palacky powiedział w r. 1848 czy 1849-m, w chwili, kiedy groźne ruchy we wszystkich częściach monarchii austryackiéj całym jéj bytem zachwiały, że gdyby Austrya nie istniała, toby ją w interesie równowagi europejskiéj wynaleźć, stworzyć należało. *Mutatis mutandis* mogliby byli statyści francuscy w wieku przeszłym to samo o Prusiech powiedziéć, wprawdzie nie ze względu na równowagę europejską, ale w interesie podobnéj równowagi w Niemczech i w interesie owéj zaciętéj, jaką od wieków Francya z Habsburgami toczyła walki. W istocie, gdy potęga Szwecyi w początku 18-o wieku głęboko upadła i gdy na niczém spełzły tak często ze strony Francyi ponawiane usiłowania rzucenia Polski przeciw domowi habsburskiemu, nie pozostało francuskiéj dyplomacyi nic innego jak związać się albo z Prusami albo z Rosyą. Co do Rosyi, to jak już wyżéj powiedziałem, uważano ją w pierwszéj połowie XVIII-o w. jeszcze za barbarzyńską i niewiele nią się kłopotano, zwłaszcza we Francyi; była ona nadto odwieczną aliantką Habsburgów. Pozostały jedynie Prusy i tych się téż nadal trzymać postanowiono, z zastrzeżeniami, które z powyższego jasno wynikają. W polityce francuskiéj z drugiéj połowy XVIII-o wieku trzy odmienne dadzą się kolejno odróżnić fazy. Pierwszą była owa tradycyjna polityka walki przeciw Habsburgom, polityka, którąby było przesadném nazwać pruską gdyż nią nie była, będąc jedynie *anti-austryacką polityką*. Na nowe tory wstąpiła zewnętrzna polityka Francyi z zawarciem aliansu z r. 1756-o; była to odtąd *polityka austryacka*, *anti-pruska*. Trzecią fazę wreszcie zainaugurowali twórcy i współpracownicy tajnéj korespondencyi, a prowadził daléj Vergennes: ta nie była ani austryacką ani pruską—była to *polityka równowagi*. Jakoż, mojém zdaniem przynajmniéj, jedynie stosowną dla Francyi polityką było wzajemne utrzymywanie w równowadze obu wielkich mocarstw niemieckich, a tak właśnie postępo-

(1) Tamże.

wał Vergennes. Tego rodzaju polityka jak najlepiéj załatwiała kwestyą niemiecką, właśnie dla tego, że utrzymując *status quo* w Niemczech, nie załatwiała zgoła téj kwestyi. Jedyném bo jéj załatwieniem, było narodowe złączenie się Niemiec pod jedném berłem, czy to w téj formie, w jakiéj je dziś widzimy czy wszelkiéj innéj, mniéj lub więcéj do niéj zbliżonéj. I tu dotykamy innego o wiele ważniejszego zagadnienia. O ile było w mocy statystów francuskich przeszłego wieku przewidziéć, względnie powstrzymać i przeszkodzić podobnemu kwestyi niemieckiéj rozwiązaniu. Pan Tr. wprawdzie nigdzie tego wyraźnie nie powiada, atoli wrażenie robi takie, jak gdyby na niedołężną politykę pana Vergennes chciał zepchnąć winę postępu narodowéj idei niemieckiéj. „*Gouverner c'est prévoir*," powiedział, niepomnę który statysta, podobno markiz d'Argenson, który w latach 1744—1746 był ministrem spraw zagranicznych. Atoli w 8-m dziesiątku lat ostatniego stulecia ani Sadowa ani Sedan przewidziéć się nie dały, boć jeźli już wówczas i daleko wcześniéj istniały i to bynajmniéj w ciemię nie bite praktyczne szkoły dyplomatów, w których nawiasem powiedziawszy, rzadko uczciwéj uczono polityki, to na odwet szkół proroków już od czasów starego zakonu na świecie nie było. Nadto, raz jeszcze powtarzam, mojém zdaniem nie mylił się bynajmniéj Vergennes, skoro Prusy uważał za mniéj niebezpieczne dla swéj monarchii aniżeli Austryą Józefa II. „Armia i skarb nie stanowią jeszcze mocarstwa," powiedział raz Vergennes, w przystępie niedobrego humoru, z odniesieniem do Prus; a że miał słuszność, i to słuszność najzupełniejszą, dowiodła najlepiéj względna niemoc Prus za następcy Fryderyka II, dowiodło przedewszystkiém owo budujące doprawdy bankructwo pruskiéj potęgi pod ciosami, jakie jéj w r. 1806-m zadali napoleońscy generałowie, bankructwo, jakiemu na szczęście i na chwałę innych narodów nie wiele podobnych w dziejach świata znajdziesz przykładów.

Pan Tr. wspomina w końcu swéj pracy o „*integracyi*" politycznéj Niemiec i powiada, że wszystko parło do tego połączenia się, do zjednoczenia w jednéj wielkiéj całości rozdartych ułamków rzeszy niemieckiéj. Bardzo wątpię, a raczéj stanowczo przeczę, ażeby już wtedy istniała w Niemczech ta dążność inaczéj jak w stanie drobnego, zgoła niedostrzeżonego zarodu. Ale *gdyby* nawet było inaczéj, gdyby w istocie już wówczas istniał w Niemczech ten prąd, jaki np. wśród ucisku rządów napoleońskich objawił się w nieudaném usiłowaniu majora Schilla (1809), *gdyby*, powiadam, to któż mógł przewidziéć, kto obliczyć, czy to zjednoczenie odbędzie się pod egidą Hohenzollerów czy Habsburgów, i kto przeto w przeszłym wieku mógł do tego zastosować swoje działanie? Dohm, chwalca Fryderyka II,

zachował w pamiętnikach swych ciekawe świadectwo o sile wrogich królowi pruskiemu uczuć, jakie panowały w Niemczech około r. 1780 (1). I nie dziw, całe on życie swoje, pół wieku blisko, targał się na powagę świętego rzymskiego imperyum, za nic miał jego wiekiem omszone tradycye; wiadomo, ile razy napróżno starał się o sklecenie związku książąt niemieckich na swoję korzyść, on, król przecie niemiecki, gdy tymczasem dyplomacya francuska przy lada jakiéj sposobności, bez trudu, tworzyła alianse i ligi wszelkiego rodzaju. Wiadomo także, z jakim niesłychanym trudem dopiéro pod koniec życia sklecił wreszcie ów mizerny „związek książąt," a sklecił jedynie dlatego, że zaborcze plany jego rywala, Józefa II, wystraszyły niedołężne książątka rzeszy z gnuśnego sybarytyzmu, do którego od dawna przywykli, i kazały im zapomniéć na chwilę o nienawiści, jaką doń czuli. U tłumów zaś, u mas, u ludu, u tego co ostatecznie stanowi właściwą, choć podówczas jeszcze bezwiedną siłę narodu, Fryderyk II sympatyi ni wpływu miéć nie mógł; nie miał go też w klasach inteligentnych i u ludzi pióra, bo dla jednych jak dla drugich za mało był Niemcem, za dużo Francuzem. Słowem, w położeniu, w jakiem się na schyłku XVIII-o wieku znajdowały Niemcy, sądzę, że nie pruski monarcha, ale jeżeli kto, to chyba jego młody, zapalny i jak on machiawelistyczny rywal i wielbiciel, Józef II, mógł coś wydobyć, wykopać, wygrzebać z konstytucyjnego śmieciska, jakiém na pociechę i pośmiech zarazem światu całemu świeciło, jak szerokie i długie, „święte rzymskie imperyum germańskiego narodu." Józef bo II-gi choć w swoich dziedzicznych ziemiach starał się ze znaną, sobie właściwą, bezwzględnością o przeprowadzenie niemieckiéj zasady, któréj wyłączne (wiadomo, z jakim skutkiem) chciał zapewnić panowanie. A ulubiony plan jego uzyskania Bawaryi, którego się podobno nigdy całkiem nie wyrzekł, równie jak i usiłowania, dążące do podniesienia powagi cesarskiéj, zdawały się świadczyć o dalekiéj doniosłości zamysłów jego i co do Niemiec. Atoli, żeby mu narodowe ich zjednoczenie pod swojém berłem, lub choćby utorowanie doń drogi i rzucenie pierwszéj podwaliny, żeby mu to dzieło, nie mówię, stanęło, ale choćby mignęło przed oczyma, tego, ile znamy jego charakter dziejowy, żadną miarą o nim powiedziéć nie możemy. Bo też, jak już nadmieniłem, rola niemiecka podówczas jeszcze bynajmniéj nie była uprawną, ni sposobną pod zasiew podobnego ziarna. Twierdzić przeciwnie, znaczyłoby przenosić wyobrażenia czasów znacznie późniejszych, epoki mianowicie ponapoleońskiéj na schyłek XVIII-o wieku i w ogóle czasy przedrewolucyjne. W ówczesnych Niemczech

(1) Denkwürdigkeiten, I, p. 40—46.

poczucie narodowe albo się zgoła jeszcze nie było ocknęło, albo odzywało się tylko lękliwie, sporadycznie, to w jakiejś żałośnéj odzie na rozdarcie i poniżenie ojczyzny, to śmieléj, w jakim dramacie, nie politycznym (bo ten nie istniał) ale „mieszczańskim“ jak go nazwano, o ciasnym zazwyczaj zakroju, ale tém szlachetniejszéj zato tendencyi; wreszcie w poczciwém usiłowaniu, mozolnie prawdy się dogrzebującego historyka, książęta zaś i monarchowie, co podówczas panowali w Niemczech należeli do drapieżnéj gromady tych, co więzili Schubart'ów na Hohenasperg'ach i przed którymi uciekać musiało, co czuło geniusz w piersi; owi despoci, których (jakkowiek ich nawet nie wprowadził na scenę) napiętnował na wieki Schiller w „mieszczańskiéj tragedyi.“ *Intryga i miłość*“ owi książęta, co poddanych swych za czerwone złote sprzedawali do Ameryki jak rzeźne bydło, ażeby za ten istny koszt krwi ludzkiéj kupować naszyjniki obcym awanturnicom, którym sen odbierały laury faworyt arcychrześciańskiego króla!

Dopiéro wielki, niwelujący, wszystko jak ogień czyszczący wpływ rewolucyi francuskiéj i obudzone przez ucisk jarzma napoleońskiego uczucie wspólnéj ojczyzny niemieckiéj, które wywołało podziwienia godny ruch narodowy 1813 r. ruch, niezapominajmy, którego Prusy jak były inicyatorem i kierownikiem, tak też aż po niedawne jeszcze lata wyzyskiwać go nie przestały, dopiero te wypadki przygotowały prawdziwie grunt dla myśli zjednoczenia Niemiec; to też w kilkanaście lat potém, na słynnym kongresie wiedeńskim bystre oko Talleyranda mogło już dostrzedz, a raczéj i wtedy jeszcze dopiéro przewidzieć niebezpieczeństwo, jakiém groziła Francyi owa jak ciężka chmura w dusznéj ówczesnéj atmosferze wisząca „integracya“ (żeby użyć wyrazu p. Tr.) polityczna Niemiec. To też dyplomacya francuska, postawiona na kongresie na nowo wobec trudnego problematu kwestyi niemieckiéj, nie mogła lepiéj usłużyć swéj sprawie, jak odwlekając wedle możności to zjednoczenie, a dopięła tego głównie przez zachowanie, (wbrew połączonym usiłowaniom Prus i Rosyi), niepodległéj Saksonii, co nawiasem powiedziawszy, nas pruskiemu poddało rządowi, jak o tém świadczą dowodnie świeżo w téj mierze ogłoszone nowe źródła (1). Ale ministra Ludwika XVI-nie obwiniłbym, że nie widział z zupełną jasnością w chaosie niemieckim, w którym w istocie nie wiele się widzieć dało, że przedewszystkiém nic przewidział, co się podówczas przewidzieć nie dało. Polityki tedy jego, uznając, że nie była zbyt świetną, że przedewszystkiém grze-

---

(1) Zob. Pallain: Correspondance inédite du prince de Talleyrand etc. Paris, 1881.

szyła bardzo często słabością w wykonaniu, nie jestem skłonny potępić tak stanowczo, jak to czyni p. Tr., a powolny upadek francuskiego wpływu i znaczenia w Niemczech odnoszę raczéj do upadku politycznego Francyi w ogóle w przeszłém stuleciu, a w bieżącém, do zgubnego (dla niéj) wpływu, jaki na Niemcy wywarły wojny napoleońskie, konsolidując mocarstwa niemieckie i wracając narodowi dawno utracone uczucie jednéj wspólnéj ojczyzny.

IV.

To co wyżéj powiedziałem o niemieckiéj polityce pana de Vergennes jest tak dalece prawdziwém, do tego stopnia nietylko on, ale wszyscy niemal francuscy mężowie stanu, z jedynym może wyjątkiem Choiseul'a, byli przekonani o konieczności zachowywania wobec Niemiec owéj polityki, którą w niedawnych obradach francuskiéj izby deputowanych nazwał ktoś *la politique de la balançoire*, że w r. 1756-m Ludwik XV upierał się przez długi czas, z pewnością nie przez skrupuł sumienia ani przez uszanowanie dla tradycyi, ażeby do traktatu, który miał stanąć z Austryą, wpisano artykuł na korzyść króla pruskiego. P. Tr. nazywa to żądanie arcychrześciańskiego króla naiwném: niewątpliwie, ze stanowiska obcego obserwatora może się ono wydać takiém; austryackiego ambasadora mogło nawet w śmiech wprawić, jeźli go przypadkiem, co prawdopodobniejsza, nie oburzyło; boć przecie Kaunitz nie taił się z tém zgoła, że, jeźli pragnie przymierza i związku z Francyą, to jedynie, ażeby użyć jéj finansów i wojska przeciwko Prusom. Ale jakaż korzyść miała ztąd wyniknąć dla Francyi, jaki mianowicie interes miała taż Francya, ażeby cesarzowa wróciła w posiadanie zabranego jéj Szląska? Próżno pytamy. Uchodziło jeszcze przymierze z Austryą, bo zostawiało Francyi wolne ręce do boju z Anglią, uchodził alians odporny, z zaczepnego jakaż korzyść? a zaczepnym był *de facto*, jakkolwiek nie co do formy ów słynny alians z r. 1756. Skutki nie dały długo czekać na siebie: wyniszczywszy się dobrowolnie dla obcego interesu w równie kosztownéj jak krwawéj wojnie siedmioletniéj, w nagrodę tego Francya osadzona została na koszu przez Austryę, w sprawie polskiéj. Z właściwym sobie brutalnym sarkazmem mawiał też Fryderyk II, że traktat z r. 1756 zrobił z Francyi „folwark austryackiego domu“ (*la ferme de la maison d'Autriche*). I oto powód, dla którego politycy francuscy, dlaczego sam Ludwik XV, dlaczego inni twórcy aliansu austryackiego, Bernis, Broglie, Maurepas, Castries i inni tak rychło go odstąpili, dlaczego wreszcie Vergennes, zachowując z konieczności ten alians, nie okazywał dlań wielkiego entuzyazmu.

Ten „nowy system" polityki francuskiéj, jak go nazywał Broglie, a raczéj ten dawny, po wielkich ministrach XVII wieku odziedziczony i tylko stosownie do okoliczności zmieniony system polityki francuskiéj w kwestyi niemieckiéj miał przeżyć monarchią francuską, która go stworzyła. W pismach politycznych z epoki rewolucyjnéj, ulotnych broszurach i prasie peryodycznéj zarówno jak w poważnych memoryałach góruje zawsze nienawiść przeciwko Austryi; przyjazna jéj jakiś czas polityka dworu była nawet jednym z mnogich powodów żalu opinii publicznéj we Francyi przeciwko dworowi. W r. 1792 żyrondystowskie ministeryum Ludwika XVI zmusza go do wydania wojny Franciszkowi II, ale nie jako cesarzowi, bo cesarz był cesarzem Niemiec, a z Niemcami nic nie chciano mieć do czynienia, jeno jako królowi Czech i Węgier. Gdy z Prusami zawierano pokój w Bazylei, to żeby z większemi siłami skuteczniéj módz następnie uderzyć na Austryą. Wojny drugiéj i trzeciéj koalicyi nie zmieniły tego anti-austryackiego kierunku, a łatwe nad wszelki wyraz zwycięstwo, odniesione nad Prusami w r. 1806 nie mogło jak tylko w nim utwierdzić. Jaka od czasów restauracyi była polityka rządów francuskich wobec Niemiec, o tém gdy czasy te właściwéj historyi jeszcze nie mają, wyrokować już dzisiaj trudno.

W ostatnim rozdziale cennéj swéj pracy wykazuje autor, na podstawie archiwalnych materyałów francuskiego ministeryum spraw zagranicznych, że polityka, jaką Rosya zachowywała statecznie wobec kwestyi niemieckiéj była wręcz przeciwną polityce francuskich mężów stanu. Powszechnie, a przynajmniéj osobom, które nie sięgają daleko pamięcią a historyi nie znają, zdaje się, jakoby Prusy i Rosya od niepamiętnych czasów w wzajemnéj ze sobą zostawały zgodzie. Otóż tak nie jest. Już dawniéj napomknąłem, jakie było stanowisko Katarzyny II w kwestyi niemieckiéj. Autor ilustruje je w sposób dosadny, kiedy z pamiętników Görtza przytacza, jak Fryderyk II, już nad grobem stojący starzec, pomimo aliansu, który go łączył z carową, wołał: —Powiedzcież mi, mamże ja czy nie alians z Rosyą? (1). Stosunek następcy Fryderyka II do Rosyi i jego stanowisko w sprawie odradzającéj się na sejmie czteroletnim Polski, są zbyt wiadome, ażebym się tu nad niemi miał szerzéj rozwodzić. Po Pawle, gdy jeszcze był w. księciem, spodziewano się w Berlinie, że po śmierci matki zainauguruje zwrot w polityce rosyjskiéj. Jakoż był on, jak niegdyś za Elżbiety przyszły jéj następca Piotr, przyjacielem Fryderyka II. Katarzynę to niepokoiło: obawiała się zmiany po swym zgonie, a nie życzyła jéj sobie. W tym celu starała się tak

(1) „Dites-moi, suis-je ou non en alliance avec la Russie?"

ściesnić węzły przyjaźni łączące ją z Austryą, ażeby jéj następca nie był w stanie ich zerwać. Mówiła: „Zmartwiłabym się, gdybym wiedziała, że śmierć moja, podobnie jak śmierć Elżbiety ma być hasłem do zmiany całego systemu polityki rosyjskiéj.“ Obawa ta była płonną. Wstąpiwszy na tron Paweł okazał się przyjacielem Habsburgów, dla nich dał się wciągnąć do pamiętnéj drugiéj koalicyi przeciwko Francyi; pierwszego konsula podburzał na Prusy, starał się złagodzić nienawiść jego do Austryi.

Aleksander I, znany światu powszechnie jako obrońca Prus, wcale nie dwuznacznie wyrażał się o kwestyi niemieckiéj. Duroc pisał z Petersburga (13 messidora r. IX): „Wynagradzając za straty jak przystoi Austryą i Prusy, cesarz rosyjski nie chce dopuścić, ażeby Austrya, którą on uważa za naszego naturalnego wroga (t. j. za wroga Francyi) zbytnio się zwiększyła.“ Była to tedy koncesya dla Francyi, ale w zamian za te ustępstwo, pisze daléj Duroc: „cesarz spodziéwa się, że Francya nie zwiększy zbytnio potęgi Prus, które Rosya uważa za swojego nieprzyjaciela.“

W parę lat potém, gdy się (w końcu 1804) wykryła dwuznaczność dworu austryackiego wobec Rosyi, wysłannik francuski w Petersburgu zapewniał Talleyranda, podówczas ministra spraw zagranicznych, że to nie nadwątli bynajmniéj przyjaznych związków, jakie oddawna łączą dwór wiedeński z petersburskim. „Związki te — przytaczam dosłownie—polegają w znacznéj części na dawném nawyknieniu, na zawiści, którą tu mają do Prus i do nas, wreszcie na przekonaniu, że jedynie Austrya byłaby skłonną służyć i podzielać zamiary Rosyi.“ Niedawo przedtém w. książę mówił do posła francuskiego: „Że nienawidzi Prusaków, *że jest w téj mierze dobrym rosyaninem* i że radby się bił z nimi“ (1). Prawda, że w r. 1807 gabinet rosyjski udzielił pomocy pobitym pod Jeną i Auerstädt Prusakom. Jakie jednak wspomnienie zostawiła po sobie ta pomoc i jaka w ogóle była podówczas wzajemna Prusaków i Rosyan o sobie opinia, o tém mamy wcale niedwuznaczne świadectwo. Wysłany po pokoju tylżyckim do Petersburga Lesseps pisał w sierpniu 1807 do Talleyranda: „Przejeżdżając przez Prusy, gdzie nieuniknione klęski, jakie za sobą prowadzi każda wojna, pożałowania godny przedstawiają widok, bardzo jasno widziałem, że lud pruski mniéj miał żalu do Francuzów, jak do Moskali swych sprzymierzeńców. Wszędzie mi mówiono, wskazując na opłakane téj pomocy następstwa: Lepiéj mieć Francuzów nieprzyjaciołmi, niżeli Moskwę przyjazną. Moskale

---

(1) Qu'il détestait les Prussiens, qu'il était en cela bon Russe et qu'il se battrait bien volontiers contre eux.

bowiem obchodzili się z nami w sposób jak najokrutniejszy, a fatalna pomoc, którą nam dali, stała się dla nas źródłem długiego szeregu nieszczęść.“ Tak się Prusacy skarżyli na Rosyan. Ci ze swéj strony równą im płacili monetą. Wspomniany Lesseps pisze daléj: „Pogarda, jaką Moskale czują dla Prusaków nie mogłaby być większą, a powodem do niéj niezdecydowana i niedość szczera postawa (*conduite peu franche*), jaką według twierdzenia Moskali od kilku lat zachowywał gabinet berliński. Nietylko że nie okazują choćby pozornego współczucia dla nieszczęść Prusaków, ale owszem publicznie okazują obojętność swą w téj mierze i powiadają otwarcie: — Mają na co zasłużyli.“

O następcy Aleksandra I Mikołaju wiadomo tylko, że zbrojną pomocą, udzieloną Austryi w ciężkich chwilach węgierskiego powstania uratował zagrożony byt monarchii Habsburgów, a pamiętać należy, że uczynił to w chwili, gdy Fryderyk Wilhelm IV, król pruski, z tytułu pokrewieństwa, prosił go usilnie o pomoc właśnie przeciwko tym samym Habsburgom, dla których ratowania Paszkiewicz przeprawiał się przez Karpaty. Była to tradycya nietylko Katarzyny II i Piotra W., bo daleko po za nami, średnich, można powiedzieć wieków sięgająca; tradycya, która w ten sposób przetrwała w Rosyi aż niemal do dni dzisiejszych. Zgodnie z Prusami szła Rosya jedynie tylko w sprawie polskiéj, dowodem zwłaszcza pierwszy i trzeci rozbiór. Podobnież, gdy na kongresie wiedeńskim Hardenberg domagał się *całéj* Saksonii dla swego pana, Aleksander I i ministrowie rosyjscy gorąco go w tém popiérali, ale nietajno nikomu, że w nagrodę za to mieli dostać całą dawną Wielkopolskę. Pomoc udzielona Prusom w r. 1807 i 1813 przeciw Francyi, łatwo da się wytłómaczyć obawami, jakie wzbudziła przemoc Napoleona i ledwie że jest w stanie stanowić wyjątek od powszechnéj reguły.

Rola ostatniego wreszcie z wielkich mocarstw europejskich t. j. Anglii, w kwestyi która nas obchodzi, jest jasną. Aliantka najpierw domu habsburskiego przerzuci się Anglia w r. 1756 na stronę Prus i wytrwa odtąd w przymierzu z niemi. To zbliżenie się Anglii do Prus było nawet jedną z najważniejszych, jeźli nie najważniejszą przyczyną słynnego aliansu francusko-austryackiego. Gdy bowiem Francya, poróżniona z Anglią o handlowe i kolonialne sprawy, nie mogła być w jednym i tym samym wraz z nią obozie, zdawało się rzeczą naturalną, postarać się o innego sprzymierzeńca. Późniéj, gdy smutne doświadczenia siedmioletniéj wojny i zupełna niemoc Francyi w sprawie polskiéj, nawróciły nieco gabinet francuski do dawnego systemu, Broglie całkiem na seryo proponował Ludwikowi XV (w r. 1773) zawarcie aliansu z Anglią. Do tego jednak nie

przyszło, a wojna o niepodległość Zjednoczonych Stanów Północnéj Ameryki, miała niebawem potém spowodować nowe pomiędzy dwoma wielkiemi mocarstwami zachodniéj Europy zerwanie.

Tylko nawiasem wspomnę tutaj, że mi niepodobna żadną miarą pisać się na zdanie pana Tr., jakoby „Rosya była naturalną rywalką W. Brytanii.“ Jest nią niewątpliwie dziś i jest od dość dawna, ale nie była nią w połowie przeszłego stulecia. Dokumenty współczesne przeczą temu twierdzeniu, że tylko tu przytoczę wyjątek z jednego z nich, jako dotąd niewydanego, który i tak pod niejednym względem zasługuje na uwagę. Podczas wojny siedmioletniéj, czasu bliżéj oznaczyć nie umiem, gdy Francya wraz z Austryą, Rosyą, Szwecyą i Saksonią toczyła bój przeciwko złączonym z Anglią Prusom, Choiseul pisał, jak następuje do ambasadora francuskiego w Petersburgu, markiza L'Hôpital'a. „Alians nasz z Rosyą jest tylko przypadkowy i skutkiem osobliwszych okoliczności. Nie powinno nam wiele zależéć na utrwaleniu go, gdyż nasi dawni sprzymierzeńcy, Turek, Szwecya i Dania (Choiseul nie mówi zgoła o Polsce) są naturalnymi nieprzyjaciółmi tego mocarstwa. Nie należy nam zaś przyczyniać się ani do rozwoju jego despotyzmu na północy, ani do popierania jego, coraz rosnącego, wpływu w Niemczech. Rosya jest zbyt oddaloną od nas, ażebyśmy kiedykolwiek mogli w żywsze z nią wejść związki handlowe. Handel rosyjski pozostanie na zawsze w ręku Anglików, którzy nie mając ani tych samych interesów politycznych, ani tych samych powodów do zawiści co my (les mêmes jalousies que nous) *będą zawsze koniecznymi cesarstwa rosyjskiego aliantami*. Utrzymujmyż tedy alians obecny, ale bez przywiązywania doń zbytniéj wartości. Najlepsza rzecz którą zrobić możemy, jest użycie tego aliansu dla zawarcia trwałego z jego pomocą pokoju“ (1). Doświadczenia lat późniejszych okazały, że owo *zawsze*, o którém mówi Choiseul nie stwierdziło się; niemniéj jednak wyrażone w powołanym akcie zapatrywania były nietylko obrazem ówczesnych usposobień i przekonań dworu wersalskiego—przekonań, które mogły być mylnemi, ale odpowiadały rzeczywistemu stanowi rzeczy. Nie potrzeba zbytniéj znajomości dziejów polskich, ażeby wiedzieć że partya angielska w ówczesnéj Polsce była zarazem partyą rosyjską i że ostatni król polski był politycznym wychowankiem angielskiego ambasadora, najpierw w Dreznie a potém w Petersburgu, kawalera Hanbury Williams. Jeżeli w wojnie siedmioletniéj Anglia znalazła się w obozie

---

(1) „Les Anglais seront toujours pour l'empire russe des alliés nécessaires.“ Cały ten cytat wzięty jest z nieogłoszonéj dotąd książki p. C. Dareste o markizie de L'Hôpital. Por. Journal des Débats z 6 grudnia 1881.

przeciwników Rosyi, to było raczéj skutkiem dynastycznéj, niżeli narodowo-angielskiéj polityki Jerzego II, który jako książę rzeszy niemieckiéj, dbały o swe elektorstwo hanowerskie, zbliżył się do Fryderyka II, ażeby w przymierzu z Prusami ubezpieczyć przeciwko Francyi dziedziczną swą ziemię, któréj Austrya nie chciała bronić, jak pod warunkiem, że się gabinet londyński zobowiąże dopomódz jéj do odzyskania utraconego Szląska. Otóż na tém Anglii zgoła zależeć nie mogło; parlament nie byłby pozwolił podatków na podobną wojnę, a nadto uważano to za rzecz niemożliwą. Lord Holderness nie wahał się w liście do barona Mitchell'a posła angielskiego w Berlinie nazwać podobnego żądania po prostu szaleństwem (1). Jakie zresztą pomimo urzędowo ogłoszonéj wojny było w Petersburgu usposobienie dla Anglii t. zw. młodego dworu, rozumiem, zwłaszcza Katarzyny, i jak ówczesny stolnik litewski, Poniatowski, pracując wrzekomo dla celów Augusta III przeciw Prusom, działał podobno raczéj na rzecz Anglii, polskiemu czytelnikowi dostatecznie wiadomo.

W kilkanaście lat późniéj, gdy po dokonanym już zresztą rozbiorze Polski, gabinet wersalski wzywał rząd angielski do wysłania floty na morze śródziemne, w celu zrobienia demonstracyi przeciwko Rosyi, gabinet angielski nietylko odpowiedział odmownie, ale nadto oświadczył, że owszem pomagać będzie Katarzynie. Znany z bezstronności, zarówno jak żywych sympatyi dla naszéj sprawy, historyk francuski bierze ztąd pochop do nazwania gabinetu angielskiego czwartym zabójcą Polski (2). P. Tr. przeniósł tu widocznie o cały wiek wstecz dzisiejsze wyobrażenia.

Badając dzieje jedynie w ułamkach, w poszczególnych kwestyach, w etapach (*sit venia verbo!*) chronologicznych, bardzo łatwo gubi się historyk w szczegółach; zamiast naukowego zbadania przedmiotu wysuwa się na pierwszy plan obrazowa i sentymentalna strona wypadków. Słowa te rosyjskiego historyka niewątpliwie dużo w sobie mieszczą prawdy, gdyż pewna jest, że im szerszą jest przestrzeń objętych faktów, im rozleglejszą zbadana epoka, tém podnioślejszą też będzie konkluzya historyczna, tém trwalszy i pewniejszy sąd historyczny. Atoli nie należy też zapominać z drugiéj strony, że prawda historyczna nie jest żadnym aksyomatem, *a priori* jakby nowego rodzaj objawienie, z nieba zesłanym, lecz że historya jest,

---

(1) Zob. Pamiętniki Stanisława Augusta Poniatowskiego, z autografu francuskiego przełożone przez Bron. Zaleskiego. Drezno, 1870, str. 444.

(2) Henri Martin. Histoire de France, XVI, 304. Le cabinet de St. James peut bien passer pour le 4-me des meurtriers de la Pologne.

nie waham się twierdzić, umiejętnością w równym przynajmniéj stopniu doświadczalną i empiryczną, jak spekulacyjną i wyrozumowaną, umiejętnością, która wniosków nie wyprowadza, jak tylko z tego, co analitycznie zbadała, z faktów historycznie doświadczonych, obserwowanych, nie lupą wprawdzie ani teleskopem przyrodnika, ale niezawodzącém nigdy, skoro go się dobrze użyć umie, szkłem krytyki historycznéj. Ażeby synteza historyczna była doskonałą, potrzeba żeby się opierała nietylko na dostatecznéj ilości zbadanych analitycznie faktów, ale żeby taż analiza była należycie podjętą i żeby przedstawiała wszelkie pożądane dobrego wykonania rękojmie. Otóż zazwyczaj, zbyt często, u nas zwłaszcza, ma uczony sposobność stwierdzić prawdziwość francuskiego przysłowia: *Qui trop embrasse mal étreint.* Mimowoli przychodzi tu na pamięć ów sułtan turecki czy kalif arabski, który po długim żywocie, spędzonym w pracy i sumiennéni pełnieniu przepisów Koranu, zapytany, ile téż chwil prawdziwie szczęśliwych naliczyćby mógł w życiu swojém, miał odpowiedzieć: *jedną*, a tą jest obecna. Tak i sumiennemu historykowi, za całe lata żmudnéj, rzemieślniczéj, nieraz zgoła bezpłodnéj analizy, stanie częstokroć jedna, jedyna chwila.... *syntezy*. Szczęśliwy, jeżeli nią do prawdy zbliżyć się zdołał!

Atoli te uwagi niechaj nie odnoszą się do cennéj i sumiennéj pracy pana Traczewskiego, na któréj nowe i w wysokim stopniu samoistne poglądy chcielibyśmy tém niniejszém sprawozdaniem zwrócić uwagę światłéj publiczności naszéj.

Stanisław Lukas.

Paryż, 24 grudnia 1881.

Ze smutkiem przychodzi nam zawiadomić czytelników, że ręka, która skreśliła powyższy artykuł, zastygła już na zawsze. Nasze piśmiennictwo historyczne utraciło w Stanisławie Lukasie młodego, zdolnego i już zasłużonego pracownika, a społeczeństwo — zacnego człowieka.

Urodzony w Tarnopolu 19 listopada 1855 r., zdał egzamin dojrzałości w szesnastym roku życia, poczém wstąpił na wydział filozoficzny uniwersytetu Lwowskiego i rzucił się z zapałem do studyowania dziejów. W seminaryum historycznem, które pod kierunkiem profesora Liskego wydało już cały szereg badaczów, Lukas znalazł się w właściwéj dla siebie atmosferze: w nauce posuwał się szybko naprzód i umiał zjednać sobie przyjaźń kolegów, a serdeczną życzliwość nauczyciela. Za staraniem szanownego profesora Liskego otrzymał Lukas w 1878 r. stypendyum na dwuletnią podróż zagra-

niczną; dla dalszego pobytu na zachodzie zdobywał środki własną pracą. W Berlinie prowadził studya pod kierunkiem profesorów Waitza i Droysena, w Paryżu słuchał kursów paleografii i prawa narodów, a nadto zajął się samodzielnie badaniami historycznémi w archiwum ministeryum spraw zagranicznych.

Powróciwszy do kraju, miał zająć docenturę historyi powszechnéj w uniwersytecie Jagiellońskim, otrzymał stypendyum Gałęzowskiego, aby jeszcze przez rok jeden badania archiwalne za granicą prowadzić, a potém słowem i piórem nauce służyć, kiedy nagle śmierć w dniu 17 czerwca r. b. położyła kres pracy jego i nadziejom.

Ważniejsze pisma Stanisława Lukasa są następujące:

Przyłączenie Mazowsza do Korony polskiéj,
Monografia o *Erazmie Ciołku*,
Rozbiór Podługoszowéj części kroniki Wapowskiego,
O rzekoméj wyprawie tureckiéj Olbrachta z r. 1497,
Dyplomacya Sobieskiego,
i artykuł powyżéj wydrukowany.

Prócz tego pisywał rozbiory i recenzye pism historycznych. Jak na młodzieńca, który dopiero 27 rok życia liczył, jest to nie mało.

Główny jednak plon usilnéj pracy Lukasa stanowią stosy wypisów i notat do dziejów XVII wieku, który to materyał nie będzie stracony dla nauki, z woli bowiem nieboszczyka przejść ma w ręce profesora Liskego.

Tam, gdzie samo życie przemawia za sobą, wszelkie pochwały z naszéj strony byłyby zbyteczne; dodamy więc tylko, że przeglądanie „starych szpargałów“ nie zobojętniło Lukasa dla ludzi i rzeczy spółczesnych, że czuł żywo, a uczuciu folgował nie deklamacyą lecz czynami, jak świadczy kolega jego p. Ludwik Finkel, który nam powyższe szczegóły o zmarłym przyjacielu nadesłał.

(*Przyp. Red.*)

WYSPY NUKUORO

(Z PODRÓŻY PO OCEANIE WIELKIM).

13.

Życie familijne nukuorczyków odznacza się wielką wolnością stosunków i równością społeczną obu płci. Już poprzednio było wzmiankowaném, że kobiéty mają prawa własności i mogą odziedziczać tytuł i najwyższą władzę; tu należy jeszcze dodać, że i w życiu prywatném i w stosunkach swych do płci męzkiéj są również zupełnie wolnemi. Do chwili zawarcia stałego związku małżeńskiego (hei potu) dziewczyna wydziela hojnie swe względy wszystkim wielbicielom, którzy pomiędzy sobą znowu nie są zazdrośni, gdyż są świadomi, że wszystko polega na wszechstronnéj wymianie i odmianie. Z chwilą stania się żoną, kobiéta zaciera swą poprzednią niemoralną wolność i swobodę, przez przykładne i pracowite życie w rodzinie.

Para, zamierzająca się połączyć węzłem małżeńskim, zna się już dokładnie poprzednio i prawie zawsze żyje szczęśliwie w następstwie. Przed pobraniem się formalném, przyzwolenie rodziców bywa szukaném, lecz uzyskanie takowego nie jest koniecznèm. Jeżeli młode małżeństwo nieżyje przy rodzicach, to otrzymuje oddzielny dom dla siebie, a w rodzinach spokrewnionych bliżéj z naczelnikami, ma miejsce obrzęd religijny oddzielny. Krewni i kapłani zgromadzają się w domu nowego małżeństwa, gdzie takowe siedzi na ziemi i ma przed sobą głąb' pura, pokrajany na małe kawałki. Jeden z kapłanów mruczy swe zaklęcia nad tém jadłem; pan młody bierze z tego trzy kawałki, nowa żona czyni to samo i ceremonia jest skończoną. Każdy z kapłanów otrzymuje jedno taro w prezencie.

Pomimo tego specyalnego obrzędu, związek małżeński jest bardzo luźnym i zupełnie zależnym od woli stron interesowanych. Jeżeli kobiéta mniema być przekonaną o niewierności swego małżonka, al-

bo inny ma jaki powód do niezadowolenia, wtedy poprostu wraca do swych rodziców i wzbrania się wracać do męża. Jeżeli postanowienie jéj rozwodu jest stanowczém, to zawiera związek nowy z innym mężczyzną i mąż w takim razie wié, że nie ma ratunku. Rozwód taki bynajmniéj nie wpływa na dzieci spłodzone w małżeństwie. Te które żyją z matką odwiedzają swe rodzeństwo żyjące u ojca i odwrotnie. Z takich kłótni małżeńskich, nie powstaje żadne niebezpieczeństwo dla społeczności tutejszéj, gdyż chociaż zazdrość gra główną rolę, to jednak kara „sae sae" za jakikolwiek gwałt jest tak obowiazaną, że bijatyki publiczne, mord i tym podobne zbrodnie, są nieznanemi. Jeżeli zazdrość uzasadniona jest przyczyną kłótni, to rozwód ma miejsce bardzo łatwo, gdyż luźność obyczajów kobiét, żyjących wolnemi, daję zawsze mężczyznie pewną pociechę. Szczęściem przyznać należy że rozwody i kłótnie poważne są bardzo rzadkiemi, do czego może i przykłada się liczebna drobność tutejszéj społeczności. Mężowi służy nawet prawo karcenia niepokornéj żony, lecz wolność ta jest zdradliwą, gdyż kobiéty tutejsze są tak silnéj budowy ciała i tak zuchowatego usposobienia, że mąż chcący dać wyraz swéj przewadze, naraża się na wspólnictwo, jeżeli nie na część lwią w zamierzonéj karze. Biorąc więc rzeczy przecięciowo, małżeństwa tutejsze żyją przykładnie i zwykle małżeństwa młodsze skupiają się koło rodziców i mieszkają razem w jednėm domostwie.

Zgodnie ze swém społecznėm równouprawnieniem, kobiéty w życiu prywatném są równe mężowi i dzielą z nim zajęcia i uciechy. Muszą one wprawdzie wyłącznie uprawiać taro i przędzenie; tkactwo do nich tylko należy; lecz zato „tapu" nierozdziela ich od mężów i nie zakazuje żadnych pokarmów, tak jak to ma miejsce na sąsiednich wyspach Karolin. Jedynym wyjątkiem jest tylko czas regularności kobiécéj, gdzie ta musi się udawać do oddzielnego publicznego domu „hale tapeo," gdzie wszystkie kobiéty razem swą słabość przebywają. Przez ten czas zwykle 3—4 dni kobiéty dotknięte znajdują się pod „tapu", wolno im wprawdzie pracować w plantacyach tara, ale wzbronionėm jest mężczyznom i kobiétom nie będącym wstanie podobnym jeść pokarm z ich ręki.

14.

Z chwilą gdy kobiéta ma stać się matką, nowy nawał obrzędów religijnych gromadzi się nad rodziną. Na długi czas przed narodzeniem się dziecka, zostaje rozstrzygniętém, czy takowe ma żyć, lub czy ma być poświęcone zwyczajowi, który choć tak straszny na pozór, ma na celu dobro ogólne. Rozstrzygnięci e zależy tu od naczelnika

świeckiego, który rządzi się rozmaitemi względami. Ze względów tych dzisiaj najgłówniejszym jest, czy pokrewieństwo kobiéty ciężarnéj jest dostatecznie liczne, by było wstanie dostarczyć zapasów żywności przez czas obrzędów „te takotonga te tamaliki," który obejmuje kilka miesięcy. Pominąwszy ten wzgląd, może naczelnik powołać się na względy społeczne ogólne, jak np. przeludnienie i tutaj liczy się np. wielu dzieciom kobiéta pewna już życie dała. Ów wzgląd na przeludnienie upada dzisiaj, gdy społeczność cała nie dochodzi dwustu dusz i może być imiennie znaną przechodzącemu świadkowi. Jako badaczowi, należy mi szukać prawdy bezwzględniéj i choć ciężką jest rzeczą wykazywać słabość natury ludzkiéj, w cząstce chociażby społeczeństwa ludzkiego, niepodobna zapoznawać, że obecne społeczeństwo nukuorskie oswoiło się raczéj z ideą dzieciobójst..a i zapomina, że stopniowo się wkradające lenistwo, niechęć uprawiania nieco większych plantacyj, przy pierwotnéj zmysłowości przyrodzonéj, kładzie kres ich bytności. Pozornie dzisiaj taro rozstrzyga o życiu dziecka i pomimo że ludność jest tak nieliczną, dzieciobójstwo jest wykonywaném.

W razie gdy zadecydowaną jest śmierć, rodzina stara się odpędzić płód przez silne tarcie i ściskanie, gdy pomimo tego dziecko urodzi się żywe, zostaje ono zaduszoném przez przykrycie ust i nosa ręką. Zwłoki zostają grzebane w piasku w pobliżu domu i cała sprawa zostaje zapomnianą.

Gdy życie mającego się narodzić dziecka ma być oszczędzoném, to w razie, gdy to jest pierwszém dzieckiem kobiéty, ma ona wraz z mężem swym podledz ścisłému tapu przez pięć miesięcy przed połogiem i jeszcze jeden miesiąc po takowym, przez który to czas niewolno im się zajmować żadną pracą ręczną. Jeżeli kobiéta rodziła już poprzednio, wtedy jéj tapu skraca się na miesięcy trzy, a mąż wychodzi wolno.

Wszystkie obrządki z powodu rodzenia się nowego członka społeczności, objęte są nazwą, „te takotonga huhua." Para małżeńska mająca się stać przedmiotem takowych, zostaje umieszczona w jednéj z świątyń mniejszych, gdyż świątynie główniejsze, jako: Amalau, Tehaka asula, Hale waka, Sapokanga itp. są wyłączone od takiego użytku. Tutaj mąż z żoną żyją odizolowani pod ścisłém tapu i tylko najbliżsi krewni zaopatrują ich w żywność. Mężowi wolno wybiedz za rybami, ale niewolno zająć się inną robotą. Kobiéta przez cały ten czas musi iść trzy razy dziennie do morza i kąpać się. Poród odbywa się w obecności tylko męża i najbliższych krewnych w postaci leżącéj. Jedna osoba odbiera dziecko, druga przecina sznurek pępkowy nożem z perłowéj macicy. Wszystkie ślady porodu

(jak czepiec itd.) zostają topione w morzu. Po urodzeniu dziecka położnica spoczywa w postawie na pół siedzącéj w objęciach jednéj z kobiét, a wszyscy obecni wychodzą na dwór i okrzykiem „hanau-o!“ obznajmiają okolicę o nastąpioném urodzeniu. Jest to znak dla kapłanów, którzy pośpieszają do położnicy, by wykonać obrzęd „te haka lóto.“ W obrzędzie tym wszyscy obecni kapłani biorą małą, w szczególny sposób przygotowaną matę do ręki i potrząsając takową horyzontalnie po nad głową położnicy i obecnych obchodzą całe wnętrze świątyni lub domu, a późniéj i cały obręb domostwa na dworze. Potém oddalają się wszyscy obecni i pewna stara kobiéta, będąca kapłanką, zabiera położnicę na brzeg morski, gdzie łamie nad jéj głową dwa orzechy kokosowe i wylewa zawarte w nich mleko na takową. Na tém kończy się jedna część „takotonga.“

Obrzędy zwane „te takotonga seanga“ są zakończeniem uroczystości połączonych z narodzeniem się dziecka i trwają one jeden miesiąc po porodzie. W czasie tym położnica znajduje się w towarzystwie trzech kobiét, czterech małych chłopców i dwóch małych dziewczyn w świątyni, gdzie każdego dnia ma miejsce „taro taro“ do bóstw, poczém kobiéta idzie trzy razy dziennie do morza kąpać się. Po upływie miesiąca kobiéta wraca do domu rodzinnego i do zwykłych swych zajęć.

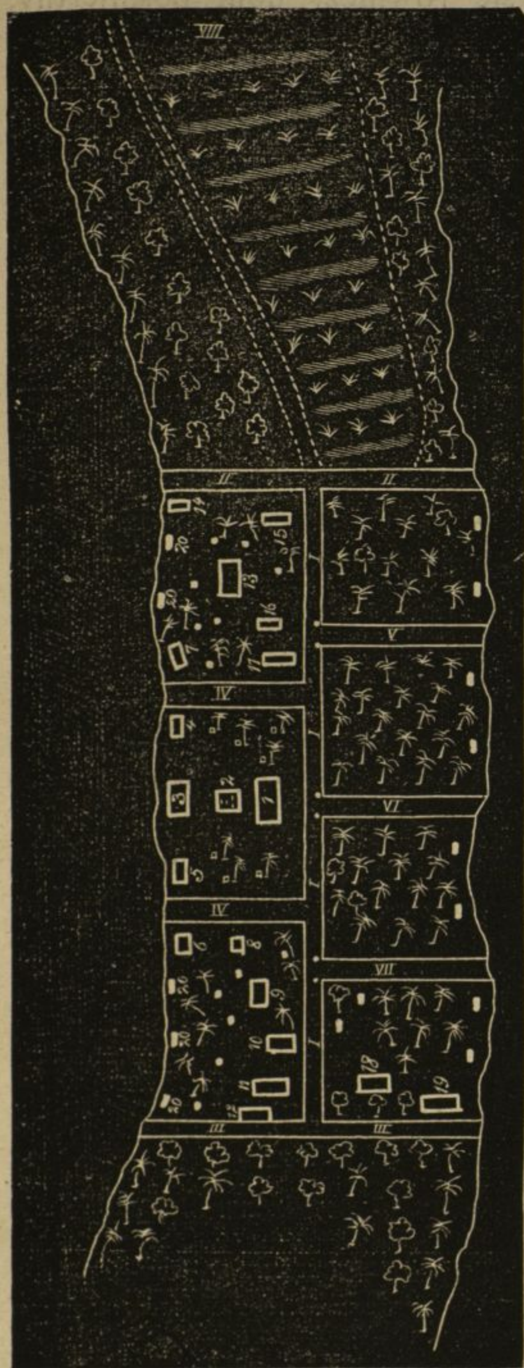
15.

Ludność cała Nukuoro żyje zgromadzona w jedném osiedleniu, znajdującém się na południowém końcu wyspy głównéj Nukuoro. Osiedlenie to z swemi licznemi drogami i budynkami publicznemi, z których wszystkie są oznaczone oddzielnemi nazwami, przypomina urządzenie się polinezyjskie; jest ono rezydencyą krajowców, których grunta, dostarczające żywność, znajdują się w oddaleniu i po części rozproszone na innych wyspach laguny. Wszystkie drogi zostają utrzymywanémi w dobrym porządku tak samo i budynki, których w stosunku do tak drobnéj ludności jest liczba bardzo znaczna. Liczne palmy kokosowe i chlebowe drzewa rozsypane po miejscu, dają całości pozór sielski a ściśle tapu i w skutku tego panująca spokojność—pewną uroczystość. Największa część budynków są świątyniami, z pozostałych tylko mała część jest zamieszkaną, reszta stoi pustkami i jest używaną do użytku podręcznego, na składy itp.

Nukuoro zajmuje południowy koniec wyspy tego samego nazwiska i gdy wyspa tu jest wązką, zajmuje oba jéj brzegi od Wschodu i Zachodu (Fig. 2). Środkiem osiedlenia ciągnie się od północy do południa jedna ulica główna, zwana „te ala tu,“ która spotyka się na

krańcach osiedlenia z dwiema ulicami, przecinającymi szerokość całéj wyspy. Północna z tych zwie się: „te hai awa tutanga,“ południowa: „te hai awa te mala mala“. Na zachodniéj stronie od „te ala tu“ znajdują się dwie, do brzegu morskiego idące drogi, dzielące część zachodnią osiedlenia na trzy prawie równe części. Z dróg tych północna zwie się „te ala suki te marae eng a iho“, południowa: „te ala suki te marae eng a akhe“ gdyż obie obejmują w swém obrębie serce całego Nukuoro, marae (rynek) publiczny.

Fig. 2.



Szkic planu osiedlenia Nukuoro.

Marae (2) znajduje się w samym środku pomienionéj części i jest ogrodzone kamiennym wałem koło 2 stóp wysokim, wejście do którego znajduje się na południowo-zachodnim końcu. Wewnątrz tego ogrodzenia znajdują się trzy kamienie, wyobrażenie bóstw Maurusanga, Sahumani aitu i Sahumani matua, nadto dzida drewniana wielkich rozmiarów, przedstawiająca bóstwo Wae matua. Na wschodniéj stronie tego ogrodzonego marae stoi świątynia Amalau (1) budynek około 10 stóp długi, na zachodniéj zaś, równolegle do wybrzeża budynek zwany „Sawae“ (3), poświęcony duchowi naczelnika Ko Wawe. Wstęp do tego domu jest wzbronionym i służy on zwyczajnie od zawieszania wielkich sieci rybackich, będących własnością publiczną i używanych tylko podczas wielkich uroczystości.

W obu częściach, położonych na północ i południe od Marae, znajdują się wszystkie świątynie i domy publiczne wspólne, zwane

„hata“ w których nieżonaci mężczyzni spędzają noce wspólnie i do których wstęp jest kobiétom wzbronionym, z wyjątkiem dwóch stojących tuż przy Marae i przed któremi mają miejsce tańce kobiéce w czasie „takotonga.“ Tu znajdują się również: dom pośmiertny, w północno-zachodnim końcu i „hale holau“ domy rozproszone po brzegu, przeznaczone do przechowywania czółen i przyrządów rybackich. Pomiędzy témi budynkami publicznémi rozproszonemi są „tohotu“, t. j. mieszkania i domostwa prywatne, pomiędzy któremi ciągną się liczne ścieżki ocienione gajami kokosów i chlebowego drzewa.

Na przyłączonym szkicu, liczby odpowiednie oznaczają:

I. Droga główna, „te ala tu.“ II. Ulica albo droga „te hai awa tutanga.“ *III.* Te hai awa te mala mala. IV. IV. Le ala suki te marae. V. te hai awa tua moake. VI. te wai henua. VII. te hai awa tua te holan. VIII. Plantacye publiczne tara. 1. Amalau. 2. Marae. 3. Sawae. 4. hata Maurisanga. 5. hata Sopuku. 6. hata laingiesa. 7. hata Holan 8. świątynia Tahakäasula. 9. Tohotu, domostwo naczelnika świeckiego. 10. hale tapau. 11. hale kapitia. 12. te atu rangi (mieszkanie te ariki tokotonga). 13. Świąt. Sapokanga. 14. Dom pośmiertny. 15. Świąt. kuporu (Upolu) 16. Świą. Hakaekenoa. 17. Świąt. Monaki. 18. hale hai lengu, dom w którym zostaje przyrządzaną kurkuma. 19. hale tapes, dom w którym kobiéty odbywają regularność miesięczną. 20. domy rybackie rozproszone po brzegu.

Jak z powyższego szkicu jest widném, na stronie wschodniéj od drogi głównéj znajdują się trzy ulice, dzielące tę stronę na cztery części. Domostwa są tu nieliczne i w skrajnych częściach znajdują się tylko domy „topeo“ i „hai lenga.“

Na północy od osiedlenia znajduje się „husi“ t. j. plantacye publiczne tara, bananów i kurkumy.

Jakkolwiek liczba domostw jest bardzo liczną, zaledwie tylko 25 jest zamieszkanych.

Nukuorczycy nazywają świat pozostały po za obrębem ich własnéj oczyzny „te raro te rangi“ tj. pod niebem. Znajomość innych wysp została przyniesioną częścią z pierwotnéj ich ojczyzny, częścią przyniosły je przypędzone czółna. Dzisiejsi nukuorczycy, pomimo że ich czółna odznaczają się doskonałém wykończeniem, nie są żeglarzami i nie utrzymują oni stosunków z sąsiedniemi wyspami. Czy i dawniéj tak samo było, możnaby wątpić, gdyż wiele okoliczności w miejscowym przemyśle i sposobach życia wskazują na bliskie zetknięcie się z karolińczykami.

Krajowcy odróżniają cztery okolice świata: te iho—północ, te akhe—południe, otua—wschód i otai—zachód i wichry otrzymują swe nazwy od takowych.

Czas bywa liczonym nocami (po) i każda z nich ma oddzielną nazwę. Takich nocy trzydzieści, stanowi miesiąc jeden. Miesięcy jest dwanaście i nazwy ich są prawie identyczne z karolińskiemi. Nazwy te są:

1. Mataariki (na Polinezyi tak samo, na Karolinach Meeriker). 2. Takero. 3. Manu (Karolińska nazwa Man). 4. Ititi (Na Karolinach: Iiż). 5. Sarapoli (Na Karolinach: Sozopuel). 6. Maitiki (Na Karolinach: Mejczyk). 7. Majlapa (Na Karolinach: Meejlap). 8. Seta (Na Karolinach: Sóta). 9. Oracka. 10. Tumuru (na Karolinach: Tumur). 11. Tahola (Na Karolinach: La). 12. Ramaj (Na Karolinach: Aramój).

Nazwy wyżéj wymienionych miesięcy zdają się być wziętemi od sąsiednich Karolińczyków, a nie od południowych polinezyjczyków, chociaż nazwa „Mataariki“ dla plejad, znajduje się i na południu. Znaczenie tych nazw, odnoszące się do pewnych gwiazd na niebie, jest nieznaném u nukuorczyków i istnieje dobitnie na północnych wyspach, tak że mniemanie, że nazwy te przyszły z północy jest może nie za śmiałém.

Znajomości gwiazd w ogóle znalazłem na Nukuoro tylko szczątki, tak: plejady są znane pod nazwą: „mataariki“; Takero oznacza pas Oriona (gwiazdy δ, ε, ξ), dla Siriusa (α pra wiekowy) „te tua méa,“ dla Aldebarana (α Tauri) „te tua tea.“ Droga mleczna zwie się „te waenga“ (rozdzielacz, od wae, dzielić).

16.

Krajowcy wysp Nukuoro posiadają w stosunku do swéj ludności ograniczonéj, znaczny przemysł, w którym biorą udział płcie obie.

Zatrudnienie męskie, obejmuje: budowę domów i czółen, dzierganie sieci rybackich, kręcenie lin i przyrządzanie przyborów rybackich i żeglarskich, rybołóstwo i częściowe zaopatrywanie rodziny w pokarm. Kobiéty mają w swém zarządzie: uprawianie tara i tkactwo, przyrządzanie kurkumy i mączki z Arowroot.

W codziennych zatrudnieniach domowych obie płcie biorą udział, lecz zatrudnienia wymagające więcéj wysiłku, jak włażenie na drzewa chlebowe i palmy w celu zrywania owoców, jako téż pierwsze przeoranie (rozkopanie) twardéj ziemi w plantacyach tara, jest udziałem mężczyzn.

Roztlenie ognia i przygotowanie pieca krajowego (imu) należy zwykle do kobiét, lecz przyrządzanie jadła dla rodziny lub dla szczególnych uroczystości zostaje dzieloném przez całą familię. Ogień zo-

staje otrzymywanym przez tarcie dwóch kawałków drzewa, który to sposób nazywa się „wala wala“. Jeden kawałek (katunga) leży horyzontalnie i drugi (sikaria) zostaje tarty jednym końcem, w postawie skośnéj. Sposób otrzymania ognia przez wiercenie (te ahi mili) został wprowadzonym przez rozbitków z wyspy Jap.

Potrawy zostają gotowane w sposób trojaki: albo zostają pieczone wolno nad węglami (tunu), albo zostają pieczone w polinezyjskim piecu (imu), tj. w rozpalonych kamieniach, przykrytych od zewnątrz, albo w końcu są gotowane w wodzie, zagotowanéj włożonymi rozpalonymi kamieniami (tao).

Pokarm mięsny głównie dostarczają ryby, w które obfituje laguna tutejsza. Niektóre gatunki jak te atu (Thynnus, benito), te takhua, te kina, te pelu pelu, te ia rere i inne bywają jedzone surowo. Inne jeżeli są małe, są oswędzane na węglach, lub są wędzone w dymie (haka ásu) i zwą się wtedy „ika atoli.“ Ryby „te atu“ i „te takhua“ niewolno wędzić; muszą one być dobrze oczyszczone, pokrajane w kawałki i pieczone w „imu.“ Jeżeli sposobem wyjątkowym czas bardzo burzliwy niepozwala wyjść na morze, to krajowcy zwracają się do ptaków mianowicie do gatunków: Tachypetes, Anous i Sterna, które łowią bardzo zręcznie w pętlice przymocowane do długich tyk lub kijów.

Pokarm roślinny znajduje się również obficie i dostarczają go, chlebowe drzewo, taro, banany i arrowroto.

Owoc chlebowy (gatunek wielkonasienny) bywa czasami gdy przedojrzały (huru pára) jedzony surowo. Zwykle jednak bywa owoc drzewa chlebowego pieczonym sposobem „tunu“ gdy jeszcze jest twardym, albo w „imu“ gdy zaczyna dojrzewać. W połączeniu z mlekiem kokosowém owoc chlebowy daje kilka bardzo pożywnych i smacznych potraw. Przedojrzały owoc, bardzo słodki gdy jest upieczonym, zwie się „huru mei mei,“ dodawszy do tego mleka kokosu otrzymuje się potrawa „te toho“; gdy zamiast mleka miesza się orzech skrobany, powstaje „te harta.“ Często owoc zostaje wyżłobiony w środku i napełniony mlekiem, które w piecu tężeje w postaci kremu, co się zowie „huru toroi.“

Z „pura“ (Armu macrorhizon), którego głąb' jest nieraz bardzo wielkim, przygotowywa się także wiele potraw. Zwyczajnym sposobem, głąb' zostaje dzielonym na mniejsze kawałki i pieczonym jednym z wyżéj wzmiankowanych sposobów. W „te ipu hao hao“ kawałki te zostają przed upieczeniem oblane mlekiem kokosu. „Te soro“ jest mięszaniną zeskrobanego puru i mleka, która zostaje zawiniętą w liść i pieczoną. W „pooi“, głąb' zostaje pieczony i następnie starty, masa ta mięsza się z zeskrobanym orzechem i wodą młodego

orzecha i jest miękką i ciągłą jak ciasto surowe; jedzone jest po polinezyjsku przez wtykanie palca w potrawę i obwijanie tejże o takowy.

Taro właściwe (arum esculentum) zostaje przyrządzaném w sposób podobny jak pura i potrawy zwą się tutaj, „taro tunu, taro tao, o te me sorosoro, te ipu hao hao taro i te pooi taw.

Orzech kokosowy bywa jedzonym nietylko jako przyprawa do potraw ale i jako jadło, szczególniéj dla odmiany lub w złych czasach. Zwykle mięsza się zeskrobany orzech młody (moto moto) z dojrzałym (muka muka) i czasami dodaje się do tego „tómo“ jabłko, zawarte w wnętrzu orzechów starych już zasychających.

„O te haikai pia“ jest potrawą przygotowaną z mączki arrowrootowéj. Mączka ta zostaje rozrabianą z wodą młodych orzechów i pieczoną w liściach, ałbo gotowaną przy pomocy rozpalonych kamieni.

Banany zostają pieczone, jeżeli nie są spożywane surowo jako owoce.

Trzcina cukrowa służy tylko za przysmak.

Jako napój służy nukuorczykom głównie orzech kokosowy, w mniejszym stopniu woda, która musi być łowioną podczas deszczu. Picie wina palmowego (Kalewe) w stanie słodkim było krajowcom znane pierwotnie, dopiéro z przybyciem obcych zaczęto pić takowe sfermentowane (Kalewe ewii).

17.

Nukuorczycy są lepszymi rybakami niż ich północni sąsiedzi i używają do połowów swych wędki, sieci i dzidy. Wędki odznaczają doskonałém wykończeniem haków, które są z perłowéj macicy, jak również liny do tychże z kokosu lub włókien malwy należą do najlepszych na Archipelagu.

Łowienie na wędkę i w sieci mniejszego rozmiaru zwane „karauna“ jest pozwoloném każdemu, tylko z zdobyczy wędkowéj należy oddać ryb kilka naczelnikowi. By sobie zapewnić połów dobry, trzeba się znać na „takotonga ika“, które głównie na tém polega. że ofiarowuje się jeden orzech bóstwu „Te hakta ariki.“ Orzech zostaje rozłupany i złożony na dnie czółna i po połowie wrzucany do morza. Ryby złowione siecią zostają rozdzielone między samych rybaków, jeżeli zaś sieć nie jest ich własnością, część jest oddaną właścicielowi. Przy łowieniu siecią bierze udział kilka czółen i do 10 ludzi. Ryby spłoszone w kierunku sieci, zostają otoczone i następnie zabijane dzidą lub wyławiane siatką ręczną (tae) pozostałe utykają głowami

w oczach sieci. Ta sama siatka ręczna służy do łowienia przy świetle pochodni ryb latających.

Zabijanie ryb dzidą odbywa się także najczęściéj przy świetle i dozwoloném jest tylko podczas uroczystości „takotonga.“ W ogóle nukuorczycy nie są zręczni w używaniu dzid, jak to już i sama forma tychże wskazuje. Jeden gatunek dzidy służy do przebijania ryb większych, śpiących w znaczniejszéj głębokości, forma mniejsza bywa rzucaną, ale nie z wolnéj ręki, tylko oparta na ręce lewéj i tak wyrzucana.

Główne i ogólne połowy rybackie mają miejsce podczas uroczystości „takotonga“ i używaną tu bywa „te upenga tonu“ sieć publiczna zawieszona w Sawae. Sieć ta jest wielkich rozmiarów i rzeczywiście składa się z licznych pojedyńczych sieci zszywanych na wodzie, tak że w danym razie można objąć znaczną przestrzeń, bez mozolenia się objętością i ciężkością sieci. Sieć zostaje zapuszczoną w wodzie głębokiéj i jest ciągniętą ku lądowi z uwagą, by dolny jéj brzeg był blizko dna, co, gdy woda ku brzegowi staje się płytszą, czyni się w ten sposób, że górny skraj sieci zostaje zwijanym w czółno. Taki połów daje zawsze ryb ilość wielką i często chwyta się i żółw albo rekin. Połowa takiego połowu zostaje oddaną wielkiemu kapłanowi, pozostała bywa rozdzieloną między naczelnika i lud. Podział ten ma miejsce publicznie i pod dozorem czterech ludzi z rodziny wielkiego kapłana i każdy krajowiec jest wołanym imiennie i odbiera swój pęk ryb. Żółwie zostają dzielone między naczelników tylko, gdy do podziału znajduje się tylko sztuka jedna, to głowa i wnętrzności dostają się kapłanowi, kończyny i grzbiet naczelnikowi świeckiemu, resztki zostają dzielone między obecnych.

18.

Główną część pokarmów roślinnych dostarczają kobiéty, które uprawiają „te husi“, plantacye tara, położone po za obrębem osiedlenia głównego. Na północ od granicy takowego, ciągnie się przestrzeń nieco zagłębiona i otoczona wyniosłemi brzegami, która jest poprzecinaną poprzecznie nasypami, kształtu grobli i które ją dzielą na liczne części, rozdzielone pomiędzy pojedyńcze familie. Dno tego husi jest wilgotne, prawie błotniste i służy do uprawienia Tara i Pura. Na wyniesionych groblach, które są suche, sadzone są banany, kurkuma i trzcina cukrowa. Cała uprawa dokonywa się tutaj gołą ręką przy pomocy najwyżéj kawałka kija, gdyż łopata do uprawy tara, napotkana na wyspach Mortlocka, a zrobiona z żebra żółwia, nie

znajduje się tutaj. Ta sama część żółwia zostaje tu pięknie oszlifowaną i na jednym końcu zaostrzoną i służy do krajania głąbów Pura i Tara.

Przyrządzanie kurkumy przez kobiéty ma miejsce tylko w pewnym oznaczonym czasie, odbywa się publicznie w umyślnie na to przeznaczonych domach i podlega szczególnym obrządkom. Cztery do sześciu kobiét zbiera razem korzeń kurkumy, który zostaje starannie oskrobany i przyniesiony w koszach do domu „hai lenga.“ Tutaj korzeń zostaje zcieranym na koralach powierzchni chropowatéj i masa cała moczoną jest noc jedną w wodzie. Następnego dnia kapłanka bóstw „Oru lama i te utonga“ która dogląda całéj sprawy, wzywa swe bóstwa i ofiarowuje im sześć orzechów, z których trzy są gatunku „uto“ (odmiana kokosu z łupiną słodką i jadalną) i trzy stare i dojrzałe z „somo“ w swém wnętrzu. Potém, kobiéty obecne przystępują do robienia proszku. Massa starta z dnia poprzedniego, zostaje przecieraną przez rodzaj przetaka, zrobiony z włókien kokosu i który zwie się „tanga tanga.“ W naczyniu umieszczoném pod przetakiem, zbiera się woda z zawieszonym proszkiem, który po niejakim czasie opada, i woda zostaje odlewaną. Otrzymana miękka masa zostaje kładzioną w formy małe, z skorup kokosu i w tych pieczoną w „imu“. Następnie wypieczone kawałki zostają suszone na słońcu i ostatnie proszkowane i zapakowane w liść bananowy zawieszone w domu.

Okoliczność, że nukuorczycy nazywają roślinę kurkumy „te ango“ i proszek z jéj korzenia otrzymany, „te lenga“, które to nazwy są identyczne z samoańskiemi, dowodzi że znajomość kurkumy i używanie jéj zostało przyniesioném z Samoa. Sposób przyrządzania proszku jest zupełnie identyczny z tym, który spotkałem na wyspach Ruk, centrze Karolin wielkich, gdzie nazwy są również spokrewnione z polinezyjskiemi, np. „eong“ za „ango“, (na wyspach Mortlocka „reng“ za „lenga“) co zdawałoby się wskazywać, że użytek kurkumy jest już pierwotnie wspólny oceańczykom, chociaż sposób przyrządzania nukuorski, zdaje się wskazywać na późniejsze zbliżenie się z karolińczykami.

Mączka z Arrowroot przygotowywa się w ten sam sposób jak kurkuma, tylko że zostaje suszoną na słońcu i niepodlega żadnym przepisom.

Olej kokosowy otrzymywanym jest z orzechów dojrzałych, startych na masę, którą się wystawia na słońce. Ilość wyrabianego oleju jest bardzo ograniczoną, a jakość, nieszczególną, gdyż zwyczaj uwieńczania takowego kwiatami lub pachnącemi liśćmi nie istnieje. Zapasy oleju są przechowywane w skorupach ślimaków Strombus i innych.

19.

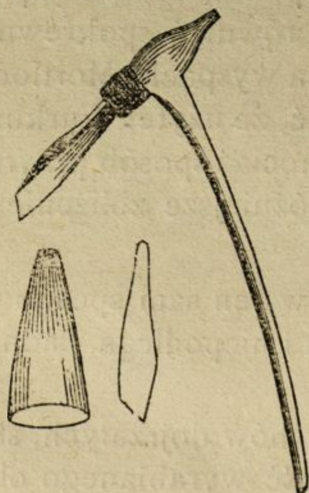
By łatwiéj ocenić przemysł miejscowy nukuorczyków, najlepiéj jest rozdzielić go, stosownie do jakości użytego materyału i zaczniemy tu od drzewa.

Krajowiec biegły w wyrobach z drzewa, szczególniéj większych jak w budowaniu domów i czółen, nazywa się „zapakhau“ i narzędzia jego składają się z siekier i dłut muszlowych, z świdra z zębów rekina i z falą morską przepędzonego pumeksu, który służy do polerowania skończonych wyrobów.

Siekiery muszlowe zostają przygotowane z skorupy muszli Tridaena albo z Terebra, mają one kształty i przeznaczenie rozmaite i odznaczone są oddzielnemi nazwami. Skorupa z Tridaena zwykle bardzo gruba i wielka, jest rozdzieloną na wązkie kawały w sposób nader żmudny, gdyż do krajania tak twardego materyału posiadają krajowcy tylko pumeks, co zabiera wiele czasu i jest zajęciem ludzi więcéj podeszłego wieku. Dzięki pumeksowi, nukuorczycy są wstanie dać swym siekierom bardzo piękną politurę, jak i wogóle wszystkie ich wyroby bądź z muszel bądź z drzewa odznaczają się pieczołowitém wykończeniem i ogładzeniem.

Tohi alo tahi, zwie się siekiera o ostrzu z Tridaeny, szerokim i osadzonym w poprzek do głowni trzonka, tak że siekiera taka jest właściwie wielkiem dłutem. Służy ona do obciosywania na grubo albo ostatecznego wykończenia powierzchni. Trzon do siekiery branym jest z gałęzi drzewa chlebowego. Wybiera się do tego gałąź, wychodzącą z gałęzi grubszéj pod pewnym kątem. Część grubsza zostaje krótko przeciętą i służy za osadę dla grzbietu lub obucha siekiery. Gałąź cieńsza stanowi właściwy trzonek, czasem do dwóch stóp długi, którego koniec dolny wiedziony jest ręką cieśli. Umocowanie siekiery w osadzie głowni trzonka ma miejsce przez obwiązanie sznurkiem kokosowym. Wszystkim nukuorskim siekierom właściwém jest, że trzonek jest nie prostym, jak naprzykład na Ponape lub innych sąsiednich wyspach, lecz o grzbiecie wypukłym, gdy tymczasem na wyspach Pelauskich jest wklęsłym. (Fig. 3).

Fig. 3.



Tohi alo tahi.

Bardzo interesującą jest jedna odmiana téj saméj siekiery, zwana „tohi uli uli,“ w któréj tutejszy cieśla starał się skombinować dłuto z siekierą. Osiągnął to przez to, że osada drewniana, w któréj siekiera spoczywa, jest w środku wyżłobioną i obraca się na osi będącéj przedłużeniem głowni trzonka. Przez to może zmienić położenie siekiery z poprzecznego na podłużne i z dłuta, którém mógł tylko obciosywać powierzchnię drzewa, otrzymał siekierę do cięcia poprzecznego.

Siekiera zwana „tohi ohu“ miała ostrze pryzmatyczne z końcem skośnym trójkątnym, którego wierzchołek zwróconym jest do góry. Siekiera ta jest dłutem, służącym do wyżłobiania rowków w drzewach przeznaczonych do rozszczepania. Odmiana jedna „te hi ohu“ ma siekierę cienką i długą, na końcu spiczastą i służy do wydłubywania ozdób zewnętrznych i do robót mniejszych wogóle. „Tohi hakoronga“ jest dłutem wypukłém, zrobioném z skorupy ślimaka Terebra maculata, która została zeszlifowaną do połowy. Służy ona tylko do wyżłabiania, np. jam w czółnach i t. p.

Biorąc więc pod uwagę wyroby z drzewa, przemysłu tutejszego, zaczniemy od budownictwa, a mianowicie: budowania domów; a potém budownictwo czółen będzie przedmiotem przeglądu naszego.

Domy nukuorskie są rozróżniane, na „hale tonu“ albo „hale aitu,“ świątynie; „te hata“ domy publiczne, w których mężczyzni nieżonaci sypiają, a które biora nazwę od wyrazu „hata,“ oznaczającego podłogę, gdyż w domach tych znajduje się podłoga drewniana, co niema miejsca w innych domach; „te holau“ są domy, przeznaczone dla przechowywania czółen i przyrządów rybackich; „te hale tahao“ są małe domy wystawiane z powodu śmierci krewnych; „tokotu“ są zwykłe domy mieszkalne i nareszcie „imu,“ są szałasy przeznaczone do użytku kuchennego.

Wszystkie domy zbudowane są podług jednego planu zasadniczego, różnią się tylko wielkością i wykończeniem, które znowu zależy od przeznaczenia domu. Świątynie są np. zbudowane staranniéj, chociaż wogóle materyał kieruje tutaj cieślą i przeważa, gdyż wyspy tutejsze nie dają wiele drzewa, mogącego służyć za materyał budowlany.

Biorąc pod uwagę techniczne wykończenie domu, to rozróżnia się w nim: „te rau hale“—dach, „te mata hale“—front, „te muzi hale“—tył i „te pasi“—boki. W domach „hata“ znajduje się podłoga z obok siebie ułożonych okrąglaków, na których śpią mieszkańcy, w domach zwykłych mieszkalnych albo raczéj familijnych podłogi niema, ale za to znajduje się rodzaj sufitu, na którym przechowywa się własność familii.

Pojedyńcze sztuki drzewa, wchodzące do budowy domu, są następujące:

1. „Turu turu“ są to podpory boczne i narożne, stanowiące szkielet ścian i podtrzymujące dach cały. Podpory te są wybierane z pniów drzew Milo, Pua albo Kanawa. W wielkich świątyniach są one tylko $1\frac{1}{2}$ metra wysokie i znajduje ich się aż 10—20 na każdéj stronie w oddaleniu jednego sążnia od siebie. Grubość ich tutaj jest około 6 cali. W domach publicznych jest ich tylko 6 na każdéj stronie, a w zwykłych domach mieszkalnych tylko 3, ale za to grubość ich tutaj dochodzi do jednéj stopy. Wysokość ich w zwykłych domach jest przeszło 2 metry.

2. „Sanga“ są to belki podłużne boczne, spoczywające na podporach wyżéj wymienionych. W świątyniach są one z starych drzew paudanowych. W domach „tahao“ bywają one pięknie polerowane. Zwykle bierze się do nich okrąglak bez staranniejszego obrobienia.

3. „Tokai“ są belki poprzeczne, spoczywające na poprzednich. W zwykłym domu jest ich tylko trzy, na każdym końcu domu jedna i jedna w środku. W świątyni Amalau jest ich sztuk 16. Są one zrobione z pniów paudanów.

4. „Pou“ są podpory pionowe, stojące na środku poprzednich belek i podpierają one belkę stropową dachu.

5. „Tahuhu“ jest na poprzedzających podporach spoczywająca belka podłużna, stanowiąca strop dachu. Przy budowie starannéj, jest ona z drzewa paudanowego, w innych razach z jakiejkolwiek odpowiedniéj sztuki drzewa.

6. „Te oho“ są krokwie główne, krzyżujące się końcami górnymi nad belką stropową, a leżące końcem dolnym na belce „sanga,“ stanowiącéj górny brzeg ścian bocznych domu.

7. „Tao tahuhu“ jest to okrąglak mniejszéj średnicy, długości dachu, leżący w górném skrzyżowaniu krokiew głównych.

8. „Tao sanga“ jest podobny okrąglak przymocowany poprzecznie wzdłuż dolnych końców krokiew.

4. „Kaukau“ są to łaty dachowe 4 do 6 sztuk przymocowane równolegle do siebie w oddaleniach równych od siebie. Spoczywają one na krokwiach głównych, pomiędzy N. 7 i N. 8.

10. „Kili hale“ są to cienkie sztuki lub pręty, przymocowane w kształcie krokiew do łat dachowych i służą do przymocowania ostatecznego gontówki liściowéj. Krokwie te są liczne i oddalone od siebie na stopę jedną.

11. „Tao palu“ jest trzecią sztuką drzewa, stanowiącą strop dachu, spoczywa ona w skrzyżowaniu górném „kili hale“ i zabezpiecza ich spojenie górne.

Spajanie wszystkich tych części ma miejsce przy pomocy sznurka kokosowego, którym także przyszywa się i dach do krokiew górnych.

Dach składa się z liści pandamu. Kilkanaście takich liści zostaje złożonych w środku i zszytych na pręt około 6 stóp długi. Każdy taki pręt stanowi jedną gontówkę lub dachówkę, która składa się z dwóch warstw liści krzyżujących się, gdyż liść zostaje w środku przegiętym. Te pojedyncze sztuki zostają przyszyte sztychem ciągłym do krokiew, poczynając od dołu, tak że każda górna sztuka przykrywa dolną. Powstaje więc pokrycie z początku wprawdzie najeżone, które jednak po niejakim czasie ugładza się i jest bardzo ścisłém i nieprzenikliwém.

Boki domu są zwykle otwartemi, tylko w świątyni Amalau znajduje się rodzaj ogrodzenia z cienkich prętów, w którém w małych przedziałach znajdują się wejścia wolne (watun). Po uroczystościach, ogrodzenie to zostaje pokrytem liśćmi i stanowi ściany, zamykające świątynię.

Budowa nowego domu połączoną jest z pewnymi obrządkami religijnymi. Skoro podpory narożne i pierwsze belki boczne są gotowe, zostaje przywoływanym kapłan, który ma za zadanie uspokoić duchów użytego drzewa. W tym celu przymocowywa on pośród ogólnego mruczenia i zaklęć, talizman ofiarę, do końca belki. Talizmanem tym jest orzech kokosowy z liściem téj saméj palmy. Nie bez interesu jest okoliczność, że ten sam zwyczaj panuje na wszystkich wyspach niskich Karolin i na wyspach Ruk albo Hogolu.

Świątynia Amalau zostaje budowaną przez cały lud. Toż samo ma miejsce z domem Sawae, który zostaje odbudowywanym każdą razą, gdy kamień bóstwa Marusanga zostaje odnowionym. Świątynie pozostałe zostają budowane przez pojedyncze „sa alunga,“ do których należą.

Czółna nukuorskie należą, pod względem wykończenia zewnętrznego i budowy szczegółowéj jak również i praktyczności w użyciu, do najlepszych czółen Oceanu wielkiego. Na Karolinach wielkich chyba by tylko czółna żaglowe pelauczyków mogły walczyć o lepsze z czółnami nukuorskiemi; nie dla tego, by czółna nukuorskie były mniéj zdolnémi do żeglugi, ale z powodu, że nukuorczycy mając doskonałe czółna, nie potrafią i nie potrzebują takowych użyć do żeglowania na otwartém morzu. Przyczyną doskonałego ich wykończenia zewnętrznego jest ta okoliczność, że nukuorczycy mają dostatek starych pniów drzewa chlebowego, które nadaje się doskonale do obrobienia, przytém „rapakhau“ tutejszy znajduje w pumek-

sie środek doskonały do nadania wyrobom swym pozoru troskliwego wykończenia.

Drzewo do budowy czółen przydatne, stanowi regalię naczelnika świeckiego i pozwolenie do ścięcia pnia odpowiedniego, musi być opłacone i ma miejsce po odbyciu ceremonii religijnych właściwych. Budowanie czółen nie jest dowolném; ograniczone ono jest na czas bardzo krótki — trzech miesięcy po śmierci każdego wielkiego kapłana.

„Ariki taholiki" wskazuje pień do ścięcia zdatny. Zapłatę stanowi szyldkret, albo proszek kurkumy, pudła lub inne przedmioty krajowego przemysłu. Gdy czas do budowania czółen jest bardzo ograniczony, przeto czeka się, dopóki nie zbierze się pewna liczba krajowców, chcących budować czółna i obrządki religijne odbywają się ogólnie i wspólnie. Każdy pień, przeznaczony do ścięcia, winien być poświęconym przez kapłana, który po swych tajemnych zaklęciach, uderza go razy osiem siekierą, umyślnie na ten cel przeznaczoną. Po tém następuje ścięcie drzewa (sóle), co przy grubych pniach zabiera 3—4 dni czasu. Potém następuje ociosanie z gruba (etá) dopóki nie otrzyma się w przybliżeniu formy czółna. Prace dotychczasowe były wykonywane przez ogół robotników, t. j. krajowców, przyjaciół przyszłego właściciela. Obecnie „zapokhau" sam bierze sztukę w robotę i nadaje jéj kształt i wymiary ostateczne. Wyżłobienie czółna, jako praca znowu przeważnie mechaniczna, zostaje dokonaném przez ogół robotników, poczém korpus czółna zostaje szlifowanym pumeksem bardzo starannie. Wszystkie części dodatkowe zostają następnie wykonane; powiązanie ich ostateczne następuje dopiéro na krótki czas przed wpuszczeniem czółna na wodę.

Wszystkie czółna, wykończone jednego czasu, zostają spuszczone na wodę razem i to przy przestrzeganiu pewnych ceremonii religijnych. Obrządek polega na tém, że w każde czółno zostaje włożonym: jeden młody orzech kokosowy i dwadzieścia starych, oprócz jednego upieczonego „pura" (t. j. głąbiu Arum maerootison). W każde czółno wstępuje kapłan i czółna odbijają od brzegu. Kapłan wypija część mleka z młodego orzecha, resztę wylewa do jamy czółna. Tak samo rozbija orzechy stare, których wodę wylewa do czółna. Pura zostaje rozciętą na małe kawałki, z których kapłan rzuca trzy w powietrze a trzy podnosi do ust; poczém czółno wraca na ląd i pozostałości zostają rozdzielone między ludność zgromadzoną na brzegu.

Budowanie nowych czółen jest dzisiaj w Nukuoro bardzo ograniczone, gdyż z czasów przeszłych znajduje się zapas znaczny. Dzi-

siaj np. (w lipcu 1879), znajduje się 80 dobrych czółen, umieszczonych w 21 domach „holau,“ rozdzielonych na wybrzeżach Nukuoro.

Nukuorczycy rozróżniają dwie formy czółen. Jedna zwie się „se moni“ i jest tylko mniejszych rozmiarów. Czółno właściwe „wakha“ jest do 50 stóp długie i jest wiosłowaném przez 13 ludzi.

Model czółna nukuorskiego pochodzi z Polinezyi i przypomina czółno samoańskie, zwane „Fangota.“ W czółnie tym jeden koniec kończy się krawędzią pionową, a drugi koniec jest wąski i wynosi się po nad wodę, tak samo jak to ma miejsce w podwójnych czółnach wysp Viti i Tonga. Nukuorskie czółno ma oba końce zakończone krawędzią pionową jednakowego kształtu, pochodzenie pierwotne zdradza się jedném z praw „tapu,“ które nakazuje uważać tylko jeden koniec jako przedni.

Jak we wszystkich czółnach oceańskich, w czółnie nukuorskiem rozróżnia się czółno właściwe—„wakha,“ pływak—„te ama“ i części poprzeczne wiążące, obie te części (Fig. 4).

Część główna czółna: „te wakha“ jest długie i wąskie, na obu końcach spiczaste i rozróżnia się w niém: „tua siwi“ brzeg dnowy albo krawędź dolną (gdyż czółno jest w przecięciu poprzecznéın kształtu serca); oba końce „pito,“ z których przedni zwie się „pitomua,“ tylny zaś „pito muri;“ dwie strony „pasiki,“ z których prawa zwie się „katea,“ a lewa od strony pływaka położona „pasiki ama.“ Wnętrze czółna wyżłobione zwie się „loto,“ które jest obwiedzione płaską i szeroką krawędzią zwaną „te oái.“ (Fig. 5).

Pływak „te ama“ jest również bardzo starannie wykończoną sztuką drzewa, o formie eleganckiéj, która ma za zadanie utrzymać czółno właściwe w równowadze. Kształt pływaka jest wydłużony, ostry na obu końcach o powierzchni gładkiéj i konturze pięknie wygiętym. Na górnéj stronie pływaka znajdują się dwa wyżłobienia opatrzone mchem, zwane „se haonga,“ przez które przewleka się sznurek, stanowiący wiązanie „soa soa,“ łączące pływak z rusztowaniem poprzeczném czółna. Dla nadania sztywności temu połączeniu, znajdują się przy każdém „haonga“ cztery cienkie lecz silne pręty, które zwą się „atoto“ i które krzyżując się, zostają w górze związane z rusztowaniem.

Połączenie czółna z pływakiem ma miejsce przez dwie sztuki, wyciosane z drzewa twardego, które zostają przymocowane grubszym końcem do pokładu czółna, tak że koniec cieńszy znajduje się tuż nad pływakiem. Owe dwie sztuki zwą się „kiata“ i służą nadto do dźwigania luźnego rusztowania i rodzaju półki, służącéj do składania rzeczy i przyborów.

Fig. 4.

Profil.

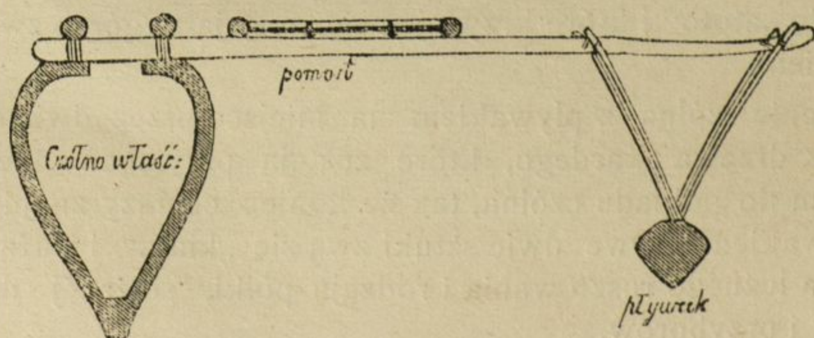
pływak

pomost

czólno
właśc.

Widok z góry.

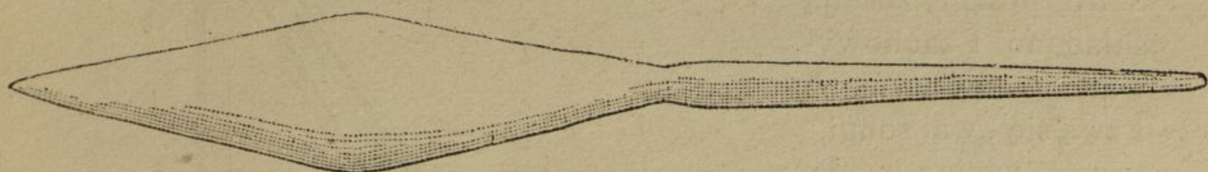
Fig. 5.



Przecięcie poprzeczne.
Czólno nukuorskie mniejsze (moni).

Wiosła nukuorskie są najpiękniejsze i najlepsze w Archipelagu. Wyrobione one są z drzewa chlebowego i dowodzą wielkością swéj platy, że nukuorczycy są głównie wioślarzami (Fig. 6).

Fig. 6.



Wiosło.

Jakkolwiek dzisiejsi nukuorczycy nie są żeglarzami i choć znając użytek żagla, takowego nie używają, puszczają się czasem na otwarte morze, szczególniéj dzisiaj, gdy znając okręty nasze i handel, starają się zetknąć z przechodzącemi w oddali nawami. Czasami gdy pogoda dobra, oddalają się na 5 i więcéj mil aż ląd ich znika im z oczów.

Konstrukcya szczegółowa czółna i domu może być łatwiéj zrozumianą z dołączonego rysunku (Fig. 4 i 7).

Inne wyroby z drzewa są:

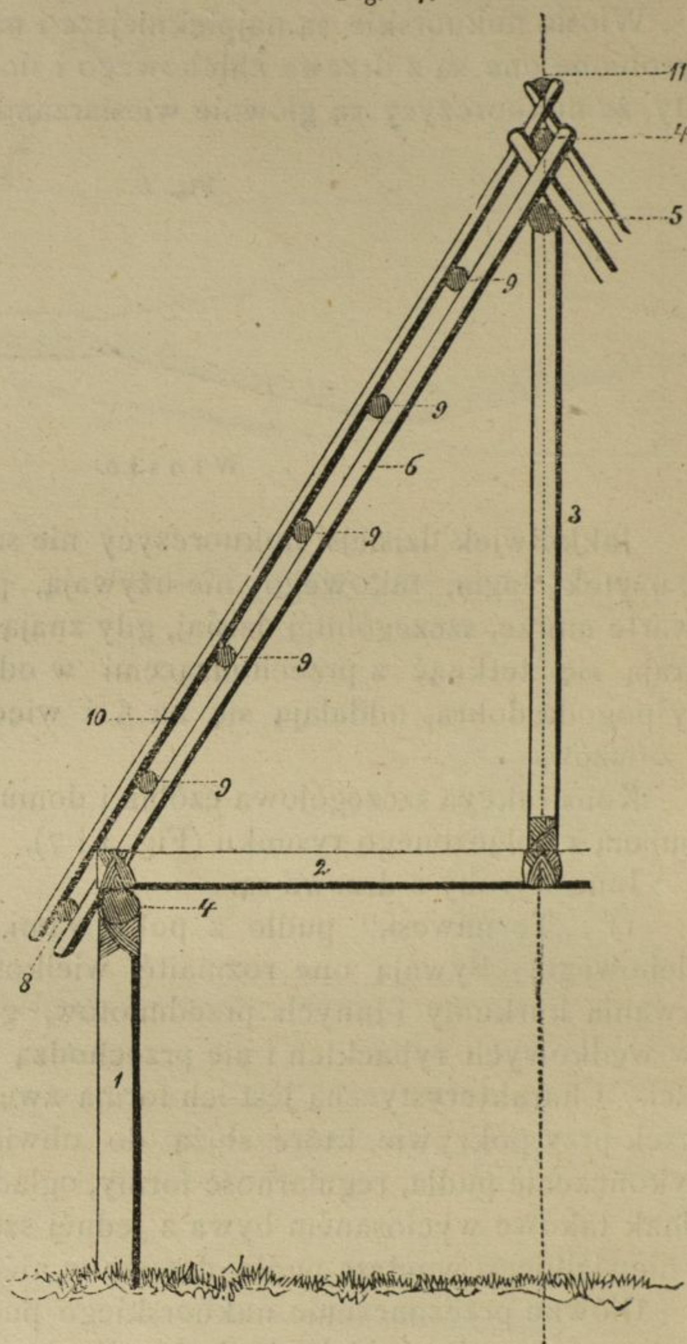
1) „Te nawesi,“ pudło z pokrywami, wyżłobione z drzewa chlebowego. Bywają one rozmaitéj wielkości i służą do przechowywania kurkumy i innych przedmiotów, głównie jednak przyborów wędkowych rybackich i nie przechodzą tutaj jednéj stopy długości. Charakterystyczną jest ich forma zwężona u dołu i obecność rączek przy pokrywie, które służą do obwiązania pudła szuurkiem. Wykończenie pudła, regularność formy, ogładzenie są znakomite, gdy jednak takowe wyciosaném bywa z jednéj sztuki, przeto w stosunku do niewielkiego wnętrza pudła, drzewo w niém przeważa. (Fig. 8).

Główne przeznaczenie nukuorskiego pudła jest rybackie, gdyż zwężona forma dna nadaje się doskonale do czółna, a nie do użytku w domu, gdzie „nawezi“ zostaje zawsze zawieszoném, gdyż stać dobrze nie może, nietyle dla wązkości dna, ale i dlatego głównie, że sznurki umocowane w około rączek wiążą pudło podłużne i stanowią na powierzchni dna wypukłość Podobnego modelu pudło znalazłem i na Karolinach centralnych, choć w formie większéj i obrobieniu grubszém, gdyż pumeks tam nie bywa używanym. Nukuorska forma jest zastosowaniem miejscowém modelu, przyniesionego z północy, zapewne przez jedno z przypędzonych czółen karolińskich, gdyż podobnéj formy pudła są mi nieznane z Polinezyi i nukuorczycy nie mogli ich przynieść z swéj ojczyzny pierwotnéj.

2) „Te tino aitu“ posągi drewniane bogów zostają od czasu do czasu odnawiane, gdyż drzewo chlebowe łatwo próchnieje. Stare posągi zostają składane i zachowywane w świątyniach i zwą się „wai songi,“ to jest wonna woda. Wykonaniem nowego posągu zajmuje się „zapakhan,“ i drzewo zostaje mu przyniesione na brzeg morski, przed dom „Sawae.“ Chociaż w obrabianiu mechanicznem drzewa, nukuorczycy przewyższają nawet pelanczyków, w wyobrażeniach owych bóstw są bardzo niezręcznymi i grubymi.

3) „Se kameti“ są to naczynia drewniane kształtów miski lub kadzi, przygotowywane na różne cele i oznaczone rozmaitemi nazwami. „Kameti hei hekau“ bywa wyżłobionem z drzew „Pua“ albo „Hekau“ i jest kadzią czasami do 6 stóp długą, 2 st. szeroką i 1½ wysoką, kształtu podłużnie czworokątnego. Służy ona do przygotowywania „Soro“ podczas uroczystości, za

Fig. 7.



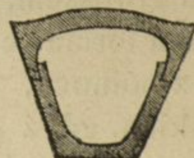
1. Turu turu. 4. Sanga. 7. Tao tahuhu 10. Kili hale.
2. Tokai. 5. Tahuhu. 8. Tao sanga. 11. Tao patu.
3. Pou. 6. Teoko 9. Kaukau.

Przecięcie domu nukuorskiego.

Fig. 8



Prze cięcie podłużne pudła.



Przecięcie poprzeczne.

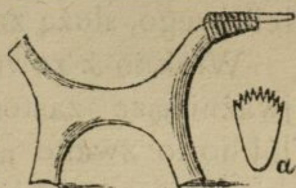
zwykła jednak łowi się w nią wodę deszczową. „Kameti kai me“ są to okrągłe miski od 10 do 24 cali szerokie, 4—6 cali wysokie. Służą one do przechowania pokarmów lub jak formy większe do 2 stóp wielkie i nazwane „kameti woi solo,“ do przygotowania „Pie“ i proszku kurkumy. „Te kameti aitu“ są to miski kształtu rombowego, przeznaczone do przechowania kwiatów ofiarowanych bogom.

Na wyspach wysokich (plutonicznych) Karolin, naczynia drewniane i czółna są malowane czerwono i lakierowane. Gdy jednakże wyspy niskie (koralowe) nie posiadają ochry czerwonéj, wyroby więc nukuorskie są barwy naturalnéj, tylko czasami zabarwione żółto potarciem lekkiem kurkumy.

4) Dzidy rybackie odznaczają się swoją niepospolitą wielkością. Są one pikami do kłucia, a nie dzidami przeznaczonemi do rzutu. Dzidy wielkie są do 30 stóp długie, z lekkiego drzewa malwowego. Są one w środku grube do 2 cali, tylko głównia jest z twardego drzewa starych palm kokosowych. Dzidy mniejsze są podobne kształtem do większych i tylko się różnią rozmiarami. W obu gatunkach dzid głównie są gładkie bez zasieków.

5) „Te tuai“ jest to sztuka drzewa wyciosana w kształcie siodła z jednym końcem wydłużonym i służącym do przymocowania płyty żelaznéj, ząbkowanéj, na któréj zostaje ścinanym orzech kokosowy na papkę. (Fig. 9). Narzędzie jest więc skrobaczem, a osoba działająca siedzi w siodle przyrządu.

Fig. 9.



Skrobacz (profil).
a płyta żelazna ząbkowana.

6) Grzebienie są wyrabiane z drzewa Kasiki albo z Milo, są one albo w kształcie prostych szpilek, albo są kilkozębowe. W kształcie ogólnym zbliżają się one do grzebieni mortleckich i zukskich, lecz są mniéj wykończone, gdyż w Nukuoro krajowcy nie używają grzebieni do ozdoby, a używają je tylko w domu, gdy tymczasem krajowcy północni używają grzebień za ozdobę głowy i noszą takowy wetknięty w włosy.

Nareszcie należy do wyrobów drewnianych zaliczyć jeszcze niektóre części przyrządu tkackiego, który krajowcy przyjęli bezwątpienia od swych północnych sąsiadów, gdyż na południu Oceanu tkanie właściwe jest nieznaném i zastąpione zostaje pleceniem ręcznėm albo rozmiażdżaniem łyka drzew rozmaitych.

„Te rahau maro“ (drzewo do robienia maro), składa się z ośmiu części czyli sztuk pojedyńczych, z których cztery dostarcza trzcina bambusowa, przynoszona tu falą, pozostałe cztery są z drzewa i odzna-

czają się wykończeniem dokładniejszém niż na wyspach sąsiednich. Części te są: „papa“—dwie deski z drzewa twardego, z których jedna opatrzona jest na końcach sęczkami, na które nawleka się pas tkacki, obwodzący stan osoby pracującéj i który napręża cały przyrząd; „te ranguga,“ sztuka długa do 1 metra, wąska na środku 3 cali i ku obu końcom zwężona, w obu brzegach ostra, służy do utwierdzania włókien poprzecznych sztuki tkanéj. Narzędzie to ma kształt miecza prostego i jest tak dokładnie wypolerowaném, że brano je nieraz za narzędzie wojenne. Ostatnią częścią jest czółenko albo raczéj żyła tkacka, na któréj nawiniętą jest nić albo włókno poprzeczne. Igła ta jest również wykończoną elegancko i regularnie i mogłaby być braną mylnie za igłę rybacką do robienia sieci.

20.

Po drzewie zasługują włókna roślinne na uwagę główną. Liście drzew użyte są w przemyśle krajowym w sposób bardzo prosty. Liście Pandanu służą do pokrycia dachów. Liście kokosowe dają materyał na fartuchy kobiéce zwane „titi.“ Liście bananowe służą do zawijania jadła i innych przedmiotów, jak również z liśćmi drzewa chlebowego, służą za talerze i podkładki w zajęciach kuchennych.

Włókno z zewnętrznéj powłoki orzecha kokosowego znajduje najważniejsze zastosowanie w gospodarce krajowéj i przemyśle. Włókno to zwane „tuká,“ otrzymuje się, przez macerowanie łupin orzechów, nie zupełnie dojrzałych w ogrodzeniach (pae tuká) kamiennych nad wybrzeżem morskiem. Po jednomiesięczném macerowaniu zostają one rozbijane kamieniami i po dobrém wymyciu, suszonemi w słońcu. Otrzymane włókno stanowi nietylko, jak w ostatnich czasach, artykuł handlowy, płacony 1 do 2 centów (do 5 groszy pol.) za funt, ale daje materyał surowy do wielkiéj liczby wyrobów krajowych.

Fig. 10.



Pas tkacki.

Z zwyczajnego włókna zostaje skręcony zwyczajny sznurek albo szpagat kokosowy zwany „liholiho.“ Składa on się z dwóch pasów i stanowi materyał do najrozmaitszych wyrobów, oprócz tego że jest jedynym środkiem do łączenia i związywania lub łączenia w budownictwie domów i czółen.—Ze zwykłego „liholiho“ krajowcy pletą rozmaite przedmioty:

1) „Se tun“ jest pas tkacki 6—8 cali szeroki (Figura 10), węższy ku końcowi i zakończony uchem, w które się zakłada rączka „papa,“ jednéj z desek przyrządu tkackiego.

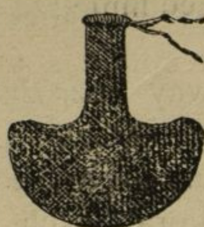
2) „Tanga tanga“ (tanga znaczy w samoańskim języku „worek“), są to kosze lub kieski przeznaczone do przechowywania rozmaitych przedmiotów drobnych (Fig. 11). Są one albo kształtu okrągłego, albo kształtu flaszek o brzuchu półksiężycowym i długiéj szyi (Fig. 12). Sposób wyrobu jest dwojaki. Kosze okrągłe są wykończone sposobem przetkanym (Fig. 13), kiesy formy flaszkowéj są plecione w kształcie sieci (Fig. 14).

Fig. 11.



Kosz okrągły przetkany.

Fig. 12.



Kiesa kształtu flaszki roboty siatkowéj.

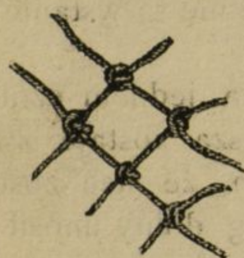
Fig. 13.



Sposób plecenia koszy przetkany.

3) „Tia tia“ są to powłoki siatkowite naczyń przeznaczonych do wody, zwykle skorupy starego orzecha kokosowego. (Fig. 15).

Fig. 14.



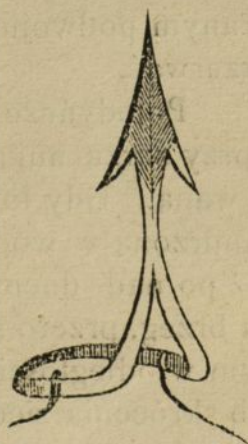
Sposób plecenia siatkowy.

Fig. 15



Kokos opleciony do wody.

Fig 16.



Korona kapłańska.

4) „Tidi“ są to ozdoby głowy kształtu obrączek z przodem, wynoszącym się w kształcie strzały (Fig. 16). Obrączka jest spleciona z szpagatu kokosowego i powleczona sokiem drzewa chlebowego zabarwionego zielono. Strzała jest z włókien pandanu i zabarwioną jest żółto proszkiem kurkumy. Korona ta noszoną jest przez kapłanów, jak również głowy bożków są nią ozdobione.

Oprócz sznurka dwópasmowego, znanym jest również sznurek polinezyjski, spleciony z trzech pasem w postaci warkocza, a który

zwie się na Polinezyi „afa.“ Tutaj zwie się on „kafa,“ ale jest mało używanym.

Z włókna kokosowego zostają kręcone liny i sznury, z których ostatnich najcieńsze służą do plecenia sieci rybackich (upénga).

Sieć zwana „karauna“ jest formą mniejszą, z dwóch form znanych na miejscu. Sznurek jest tu do 5 mm. gruby, a sieć sama 10 do 15 sążni długa, a jeden sążeń głęboka. Sieć taka choć służy do łowienia ryb większych, nazywaną tu jest małą siecią dla odróżnienia od „upenga tonu“ t. j. sieci właściwéj, wielkiéj sieci, będącéj własnością całéj ludności. Sieć mniejszą może posiadać każdy krajowiec.

W każdéj sieci krajowcy rozróżniają: „te pule i lunga,“ linę stanowiącą brzeg górny sieci, do któréj przytwierdzone są pływaki drewniane, „te pale i lalo“ linę brzegu dolnego, do któréj przytwierdza się ciężary z kamieni koralowych. Brzegi krótkie boczne zwą się „te pito.“ Liny obu brzegów schodzą się na każdéj stronie w jedną linę „maia tonu,“ która służy do wleczenia sieci.

„Upenga tonu“ jest złożoną z kilkunastu oddzielnych części, które zostają spajane w jednę sieć wielką w chwili połowu. Bywa ona do 100 sążni długa i 15 głęboka, gdyż używaną ona jest tylko w wodzie głębokiéj. W wykończeniu swém różni się sieć wielka grubością sznurka, dochodzącą do 8 mm. i tém, że ten sznurek jest branym podwójnie, tak, że i większe ryby i żółwie nie są wstanie jéj przerwać.

Pojedyńcze części sieci są złożone każda na jedném czółnie i przy zarzucaniu jéj, ich liczba większa lub mniejsza zostaje związywaną. Gdy łowienie tą siecią ryb polega na tém, że sieć zostaje zanurzoną w wodzie głębokiéj, ale tak, by jéj brzeg dolny unosił się tuż po nad dnem i wszystkie ryby, objęte siecią zostają wpędzane na brzeg, przeto sieć ta ma liczne liny umocowane na jéj brzegu górnym w odległości kilku sążni od siebie, które służą do podnoszenia lub skrócenia sieci, gdyż inaczéj brzeg dolny rwałby się na dnie, wchodząc w coraz płytszą wodę ku brzegowi.

Użycie nowéj sieci wielkiéj odbywa się wobec całéj ludności i to z rozmaitemi ceremoniami religijnemi. Sieć zostaje rozpostartą na wybrzeżu i wszyscy mężczyzni przynoszą ofiary z jadła, które zostają złożone w sieci, poczém ta zostaje zwiniętą i zanurzoną w wodzie, podczas czego kapłan odprawia swe modły i zaklęcia. Po wyjęciu sieci z wody, ofiary zostają oddalone i cała ludność udaje się odrazu na pierwszy połów publiczny. Poświęcenie nowéj sieci zwie się „húi te upenga“

Liny i sznury bywają rozróżniane:

1) „Soa soa“ 6 mm. gruby sznurek do przytwierdzania pływaka do czółna.

2) „Sali“ lina do 2 centimetrów gruba, służąca za drabinę do włażenia na drzewa chlebowe w celu zrywania owoców.

3) „Taura“ 10 — 15 mm. gruba, służy za linę kotwicową dla czółen.

4) „Maia sele“ z trzech lin mniejszych, skręcona lina, gruba do 3 centymetrów i więcéj, służy do dźwigania ciężarów, wleczenia pni i t. p.

Z lin 10 mm. grubych zostają plecione sieci pogrzebowe — „upenga tamata mate.“

Z łyka malwy (*Hibiscus*) zostaje wyrabianém włókno, służące do rozmaitych wyrobów. Łyko zostaje oswobodzone z naskórka, przez oskrobanie skorupą muszli Arca, wymyte, suszone i następnie rozdzielane na cienkie pasemka lub nitki. Włókno to zostaje używaném na wyspach Karolin do tkanin, na Nukuoro robią z niego:

1) Lóżne włókna służą do wiązania drobnych rzeczy, do wieńców i t. p.

2) „Uka“ liny bardzo silne i giętkie, szczególnie do wędek. Grubość ich jest od 2 mm. dla ryb zwyczajnych, do 7 mm. dla rekinów i innych ryb wielkich.

3) „Uka maka kula,“ linka bardzo cienka, lecz nader silna i długa, służąca do wciągania liny zwanéj „sali“ na wyższe konary drzewa chlebowego. W tym celu jeden jéj koniec zostaje przywiązany do małego kamienia i zostaje przerzucony po nad gałęzią w koronie drzewa. Giętkość i cienkość liny sprawia, że koniec się spuszcza i wtedy krajowiec mając oba końce liny w ręku, przywiązuje do jéj drugiego końca linę grubą i tę wciąga na gałąź, przez co otrzymuje silną podporę dla włażenia na najwyższe szczyty drzew.

4) Niektóre sieci małe, rybackie, zostają robione z włókien Hibiku.

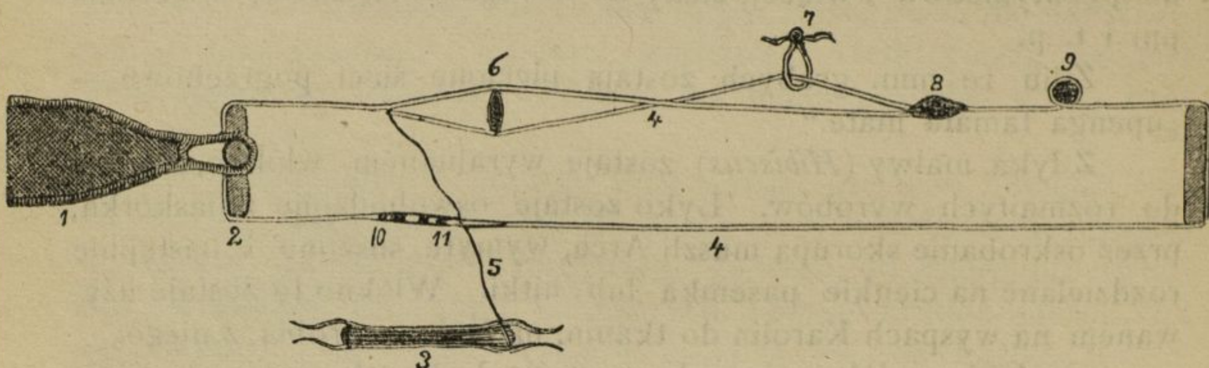
5) Czasami choć rzadko, włókna służą do tkania „maro,“ przepasek męskich.

Najważniejsze znaczenie dla przemysłu krajowego ma jednak włókno bananowe, które stanowi materyał główny tkacki, a przyrządzeniem i zużyciem którego zajmują się kobiéty tutejsze. Pień bananowy zostaje ścięty na długość stóp 6 i kolisto złożone liścienie lub warstwy zostają rozłupane i wypłaszczone i wyskrobane perłową macicą, przez co włókno zostaje oswobodzone z miąższu. Po dobrém wymyciu, włókno to zostaje suszone na słońcu i idzie do ręki mężczyzn, którzy muszą przygotować nić do tkania gotową. Włókna pojedyńcze, sześć stóp długie, zostają ogładzone palcem i zwią

zane końcami, poczém, zostają zwijane w wielkie kłąby i chowane aż do użycia.

Tkanie (langa te maro) odbywa się na przyrządzie prawie identycznym z tym, który się napotyka na Ruk i na wyspach Mortlocka. (Fig. 17). Przyrząd ten składa się z dwóch desek (papa), w któ-

Fig. 17.



1. Se tnu	4. Purata	7. Toro	10. Kapi
2. Papa	5. Kanosika	8. Panulu	11. Han
3. Sika	6. Ranguga	9. Tapanulu	

Profil nukuorskiego przyrządu tkackiego.

rych jedna przytwierdzoną jest do osoby pracującéj za pomocą pasa wyżéj już opisanego, a druga zatrzymaną jest przez dwa kije wetknięte w ziemię. Te dwie deski stanowią ramę, na którą się nawija nić podłużna sztuki (te purata). Nić poprzeczna (te kanosika) nawiniętą jest na igłę tkacką (sika), która zostaje przerzucaną ręką ze strony na stronę, a potém, gdy nitki podłużne się skrzyżują, nowe pasmo zostaje przyciśnięte mieczem również powyżéj wzmiankowanym, przez co tkanie staje się ściślejszém. Rozdzielanie nitek podłużnych na dwie warstwy, które krzyżując się przeplatane są nitką poprzeczną, uskutecznione jest przez cienki pręt okrągły, zwany „toro“, na którym znajduje się szereg pętlic, przez które przesunięte są naprzemian nici podłużne. W spoczynku nici podłużne stanowią jedną powierzchnię tylko, po podniesieniu „toro“, połowa wszystkich nitek się podnosi i w powstały odstęp przesuwa się nitka poprzeczna. Położenie horyzontalne nitek regulowane jest przez kawałek okrągłego bambusa, o który wszystkie nitki podłużne zostają starannie jeden raz obwinięte i na którego gładkiéj powierzchni przesuwają się jakby na walcu. Bambus ten zwie się „tapanulu.“ Rozdział na dwie warstwy regulowanym jest przez „panulu,“ płaski kawał rozłupanego bambusu, który przechodzi pomiędzy obiema warstwami nitek.

Różnica w przyrządzie tkackim nukuorskim polega na tém, że oprócz powyżéj wymienionych części, znajdujących się i w przyrzą-

dach wysp Mortlocka i Ruka, nukuorskie tkaczki przesuwają w poprzek pomiędzy nitki podłużne dwa wąskie paski z cienkiego bambusu (te kapi) i dwa pasma grubych włókien z Hibisen, co ma miejsce przy zaczęciu tkania. Nietylko że to ostatnie jest przez to ułatwione, ale nadto, po ukończeniu sztuki owe paski bambusu zostają wyciągnięte i sztuka w tém miejscu przekrajaną.

Nałożenie nitek do nowéj sztuki wymaga wielkiéj staranności i w ogóle całe tkanie jest bardzo powolne. Przepaska 9 stóp długa i 3 szeroka, zabiera zręcznéj kobiecie miesiąc czasu. Tkaniny miejscowe odznaczają się gładkiem i zbitém utkaniem korzystnie od tkanin sąsiednich wysp, co należy głównie przypisać dokładnemu wykończeniu ich miecza tkackiego, którego brzeg jest nader regularny i cienki.

Wszystkie tkaniny z włókna bananowego zostają późniéj farbowane na żółto proszkiem kurkumy.

Przemysł szylkretowy jest nieco mniéj rozwinięty niż na niektórych innych wyspach Archipelagu, gdyż sam materyał stanowi regalię naczelnika i znajduje się tylko bardzo skąpo.

Fig. 18.



Kawiti. Pa.

Z „unga kea“ tj. szyldkretu grubego (z Chelonia imbricala) są wyrabiane:

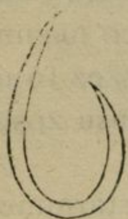
1) „Kawiti“, ostrza haków do łowienia benitów (Thynnus pelamys) przeznaczone. Wędki te są wleczone za czółném na otwartém morzu i zwodzą rybę swym błyszczącym pozorem, gdyż trzony haków są z perłowéj macicy. Koniec haka opatrzony jest pęczkiem białych włókien Hibisen. Hak ten pod nazwą „Pa“ (Fig. 18) znanym i wielce cenionym jest na całéj Polinezyi.

2) Dwa gatunki haczyków do wędek, dla ryb małych, „matan pélu pélu“ (Fig. 19) i „matan kina“ (Fig. 20).

3) „Kai pinilapa“ (Fig. 21) jedyna ozdoba uszna nukuorska. Jest to cienka blaszka szyldkretu, kształtu okrągłego, osadzona w środku na żeberku lub nerwie kokosowego liścia. Ozdobniejsze składają się z kilku kółek zmniejszających się ku górze i ozdobionych na brzegu wycięciami.

4) „Pulei,“ są to zwyczajne obrączki, wycięte z szyldkretu za pomocą przyrządu kształtu naszego cyrkla, którego jedno ramię opatrzone jest zębem rekina. Narzędzie zwie się „rakau mangaloa.“

Fig. 19.



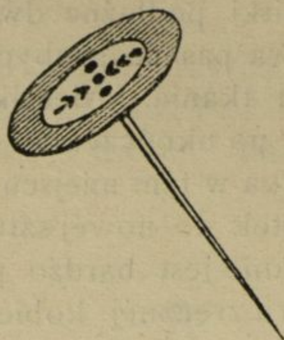
Matau pelu pelu.

Fig. 20.



Matau kina.

Fig. 21.



Kai Pinilopa.

Fig. 22.



Rakau mangaloa.

5) „Haunga,“ (Fig. 23) małe trójkątne kawałki, które się kładą na pierś kobiéty po operacyi tatowania.

6) „Te au“, grabki używane do tatowania. (Fig. 24).

Fig. 23.



Te haunga.

Fig. 24



Te au.

Fig. 25.



Maimoni.

Fig. 26.



Kau tahi.

Fig. 27.



Kai ni piti.

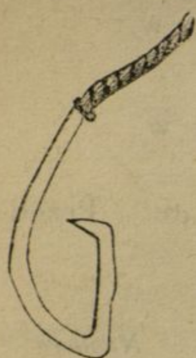
Z perłowéj macicy bywają wyrabiane:

1) „Te pa“ trzony do wyżéj wzmiankowanych haków na benity.

2) Haki do wędek w ogóle, których się znajduje wiele gatunków. Tak: „maimoni,“ (Fig. 25) dla ryb większych gruntowych; „te kau taki“ (Fig. 26) dla ryb o gębie rurkowatéj; „kai ni piti“ (Fig. 27) dla ryb małych, itd. W ogóle nukuorczycy są doskonałymi rybakami na wędkę i dbają wiele o swe przyrządy wędkowe. Każdy krajowiec ma swe pudło rybackie, z zapasem doskonałych lin i wielką ilością najrozmaitszych haczyków, które są zatkane na płaskich kartach, na kształt wzorów lub prób kupieckich.

3) „Te ma tuoi,“ jest trójkątnym kawałkiem skorupy perłowéj z wypiłowanemi ząbkami na jednym boku i służy za skrobacz do orzechów. Dzisiaj zostaje on często zastąpionym kawałkiem żelaznéj obręczy.

Fig. 28.



Wędka na rekina.

4) „Pasi pa“ są to skorupy muszli perłowéj rozmaitéj wielkości, oszlifowane na powierzchni i obcięte na bokach, o brzegu zaostrzonym i które służą za noże i skrobacze w użytku domowym.

Z skorupy muszli Tridaena wyrabiane są siekiery, o których stało powyżéj i nadto płaskie sztuki zwane „hatu ugae,“ służące do pokrywania świeżego tatuowania u kobiét.

Z żeber żółwi wyrabiają się tasaki, służące do krajania głąbów „pura.“

Z bardzo twardego drzewa, zwanego „Ngie“ wyrabiają się wszelkie haki na rekiny (se kan tahi, matie) (Fig. 28).

21.

Ogólny pogląd na Nukuoro niebyłby zupełny, bez choć pobieżnéj uwagi na mowę krajową, choć z drugiéj strony, ścisłe porównanie języka nukuorskiego z narzeczami sąsiedniemi Oceanu, musi wyjść po za granicę pobieżnego przeglądu. Tradycya przynosi nukuorczyków z Nukufetau. To ostatnie zostało zaludnione przez Samoańczyków, ale również nie ulega wątpliwości, że wychodźcy z Rarotonga i Tahiti wywarli wielki wpływ na wyspiarzy okolicznych. Wpływ ten wyraźnym jest także i w mowie nukuorczyków, choć mowa jest przeważnie Samoańską.

Jak w ogóle narzeczy polinezyjskich, wyrazy mowy nukuorskiéj kończą się na samogłoski a dźwięki „r“ i „l,“ jak również „k“ i „t,“ są często równoznaczne. Charakterystyczném jednak dla mowy jest, że „r“ napotyka się bardzo często samodzielnie i wypada z tego, że nukuorczycy mają oba dźwięki w swéj mowie, samoańczycy tylko „l,“ gdy tymczasem tahitczycy i rarotongczycy tylko „r“.

Samoańskie „f“ zastąpione jest w nukuorskiem przez „h,“ np. fauna, fale, fau, fui stają się: heuna, hale, han, hai itd., jak również nukuorskie „h“ zastępuje często samoańskie „ś,“ np. „tasi“ zmienia się na „tahi.“

Aspiracya samogłosek w samoańskiem, ledwie że dostrzegalna, w nukuorskiém jest wyraźném „h,“ albo nawet „k,“ np. samoańskie ulu, aau, laau stają się: huru, akau, rakau.

Mowa nukuorska ma dźwięk „k“, którego braknie na Samoa i Tahiti, np. muka, umka, ariki, katinga, wakha.

Samogłoski zmieniają się często w obu mowach, np. samoańskie fauna, pisa, zmienia się w nukuorskiém na heuna, pasa,

Zasób dźwiękowy mów tutaj wzmiankowanych, da się wyrazić:

Samoa:	a, e, i, o, u. - s, ng, n,	l,	m,	f,	p, t, w.
Tahiti:	a, e, i, o, u, - —, —, n,	{ —, / r, }	m,	{ f, / h, }	p, t, w.
Nukuoro:	a, e, i, o, u, - s, ng, n,	{ l, / r, }	m,	{ h, / k, }	p, t, w.

Samoański przedimek „le“ zastąpiony jest przez „te“. Przedimek niepewny „se“ znajduje się w obu językach.

Liczebniki zgadzają się z samoańskiemi:

Samoa	*Nukuoro*	*Samoa*	*Nukuoro*	*Samoa*	*Nukuoro*
1. tasi	tahi	5. lima	rima	9. noa	siwa
2. lua	ruo	6. ono	ono	10. sefulu	se huru
3. tolu	toru	7. fitu	hitu	100. selau	se rau
4. fa	ha	8. walu	waru		

Dla lepszego porównania obu mów załączam tu kilka przykładów.

Nukuoro	*Samoa*	
henua	fanua	ziemia (ląd, kraj)
one one	one one	piasek
kere kere	ele ele	ziemia
motu	motu	wyspa
tai	tai	morze (w ogóle)
moana	moanga	otwarte morze
akau	aau	rafa
awa	awa	passaż w rafie
ala	ala	droga
matangi	matangi	wiatr
ao, rangi	ao, tangi	obłok, niebo
hale	fale	dom
imu	umu	kuchnia, piec z kamieni
tunu, tao	tunu, tao	piec, gotować
wakha	wa	czółno
hoe	foe	wiosło
matau	matau	wędka
hangota	fangota	łowić ryby
tamana	tama	ojciec
tinana	tina	matka
tamariki	tamaiki	dziecko
hanau	fangau	rodzić
tahea	tafea	uniesienie prądem mors.
tahao	tafao	iść bez celu, dla rozrywki
mahaka	maa	twardy
meimei	mangalo	miękki
pala	pala	zgniły
haikai	ai	jeść, jadło

Nukuoro	*Samoa*	
roroa	umi, toloa	długi
taringa	talinga	ucho
nuta	nutu	usta
wae	wae	noga
tino	tino	ciało
tane	tane	mężczyzna
kata kata	ata	śmiać się
ra	la	słońce
hetu	fetnu	gwiazda

Z poprzedzających przykładów widném jest, że wiele wyrazów obu mów są albo identycznémi, albo nieznacznie eufonicznie zmienionémi. Wiele wyrażeń obu mów, choć pozornie zmienione, są spokrewnione w pojęciach. Np. w nukuorskim, przypływ morza zwie się: manawa tai, co znaczy po samoańsku: oddychanie morza od mangawa, oddychać. „Pasapasa“ znaczy mówić, (w karolińskich mowach „Kopas“) w samoańskiém znaczy to: robić chałas „Piho“ głos znaczy w samoańskiem koniec itp.

Znajduje się jednak pewna liczba wyrazów zupełnie odmiennych, wskazujących na domieszkę wpływów lub żywiołów obcych, jak: „tenua“ dobrze; „muriaki,“ żyć, od ponapskiego „mour,“— „poupou“ źle, zły i wiele innych.

22.

Z powyższego przeglądu stosunków panujących na wyspach Nukuoro, można wyciągnąć wnioski następujące:

1) Że dzisiejsi nukuorczycy przybyli w Nukufetan, z Polinezyi przed laty 600—1000 i że pochodzą pierwotnie z Samoa, co jest dowiedzioném i ich wyglądem fizycznym, ich mową, religią i tradycyami.

2) Że przybywszy na Nukuoro, zetknęli się następnie z krajowcami wysp sąsiednich północnych, przynajmniéj pośrednio, przez czółno, przyniesione prądem morskim. Dowodzą tego nietylko tradycye ale i objawy przemysłu u nich znalezionego, jak: przyrządu tkackiego i uprawy kurkumy.

Gdy jednakże na wszystkich wyspach sąsiednich, jak Mortlocka, Ruk i Ponape, znajdują się bardzo silne wpływy żywiołu polinezyjskiego i ślady czysto samoańskie, przezto musimy zostawić przyszłym przeglądom i badaniom stosunków na tych wyspach rozstrzygnięcie, czy dzisiejsi nukuorczycy są tylko rozbitkami, przypadkowo przypędzonymi na Nukuoro, czy też przypędzenie ich tutaj stoi w bliższym stosunku z śladami polinezyjskiemi, napotykanymi na Karolinach Wielkich.

Jan Kubary.

LISTY CZESKIE.

IX.

Wielka doniosłość wyrównania sporu narodowości w Czechach, zarówno dla Czechów jak dla monarchii austryackiéj i cywilizacyi europejskiéj. — Nie rozumieją tego przewódcy stronnictwa narodowego niemieckiego i naumyślnie niesnaski podniecają. — Wystąpienie Kliera z powodu biesiad studenckich. — Mowa Reschauera. — Schmeykala na czele ruchu narodowości niemieckiéj w Pradze. — Uniwersytet czeski. — Zmiana ordynacyi wyborczéj co do większych posiadłości.—Uroczystości śpiewaków niemieckich w Pilźnie, mieście przeważnie czeskiem.

Czytelnicy listów czeskich nie zapomnieli zapewne, że pierwszy z tych listów traktował o sporze narodowości w Czechach, wskazując, że gdy idzie o nakreślenie obrazu życia publicznego, odpowiadającego faktycznym stosunkom, o przedmiotowe zaznajomienie się ze sprawami i dążnościami narodowemi czeskiego ludu, tę stronę publicznego życia w Czechach należy przedewszystkiém na pierwszy plan wysunąć i jasno ją rozświecić.

Ponieważ w listach VI, VII i VIII rozwijałem szerzéj dzieje tego sporu narodowości i spostrzegam w téj chwili, że początek niniejszego IX pisma wypadnie poświęcić temu samemu przedmiotowi i rozsunąć go daléj, nie mogę powstrzymać się od usprawiedliwienia tego postępku kilku apologetycznemi uwagami.

Jestem tak dalece przenikniony przekonaniem, że ostateczne wyrównanie i pokojowe załatwienie narodowych niesnasek między Niemcami i Czechami w Czechach, stanowi jeden z najważniejszych warunków pomyślnego rozwoju życia narodowego Czechów, że mógłbym, z małemi odmianami w znanym aforyzmie, powiedzieć wszystkim moim ziomkom: „Starajcie się najprzód o narodową zgodę a reszta dodaną wam będzie.“

Ale posuwam się jeszcze daléj i twierdzę, że załatwienie sporu narodowości w Czechach, stanowi dla Austryi ważny państwowy interes; sądzę nawet, że nie dopuszczę się żadnéj narodowéj przechwałki dodając, iż to zagodzenie narodowych niesnasek dotyka jeszcze nierównie rozleglejszych interesów, bo interesów pomyślnego rozwoju europejskiéj cywilizacyi.

Niech mi wolno będzie ten mój pogląd jaknajkrócéj wymotywować.

1. Co się tyczy interesu narodu czeskiego w osiągnięciu trwałéj narodowéj zgody, nie chciałbym aby powstało nieporozumienie i aby przypuszczano, że naród czeski zmuszony koniecznością, pragnie zawierać pokój, ponieważ brak mu środków do prowadzenia walki, i że z tego powodu będzie musiał kupić zgodę za jakąbądź cenę. Rzeczy tak nie stoją i nie tak je rozumiemy. Właściwe znaczenie mojego powyższego twierdzenia na tém polega, że naród czeski powinien przedewszystkiém dążyć do wyrobienia w Niemcach czeskich przekonania, że życzy sobie uczciwéj, trwałéj, słowem rzeczywistéj zgody; że pragnie wytworzyć w Czechach stosunki, które umożliwiłyby i utrwaliły spokojne obok siebie pożycie dwu narodów, że naród czeski niema bynajmniéj zamiaru z uciśnionego dotąd stać się panującym w kraju, że zatém wszystkie dotychczas przez Niemców wyrażone wątpliwości i obawy, aby naród czeski zamiast do narodowéj zgody, nie dążył do narodowego wszechwładztwa, aby pod pozorem równouprawnienia nie zapragnął ucisku niemieckiego żywiołu,—nie mają żadnéj podstawy.

Jeżeli mówię: „starajcie się przedewszystkiém o narodową zgodę,“ to znaczy: dajcie Niemcom wszelkie możliwe i przez nich samych upragnione rękojmie, że chcecie tylko istotnego równouprawnienia i bynajmniéj nie dążycie do narodowego wszechwładztwa.

Kolonia politycznych przewódców niemieckich w Czechach, którzy wyzyskiwaniem narodowéj niemieckiéj hegemonii, umieli zadawalniać wszelkie żądze dumy i chciwości, posługuje się wciąż postrachem groźnego czeskiego panowania i wynaradawiania Niemców przemocą, ażeby przedstawić ludności niemieckiéj samą zasadę równouprawnienia, jako łapkę, w którą chcą Niemców schwytać przebiegli Czechowie, a potém ze schwytanémi postąpić wedle upodobania.

Dla odjęcia siły temu manewrowi agitacyjnemu, nie pozostaje nic innego przewódcom politycznym narodu czeskiego, jak powtarzać zapewnienia o szczeréj dążności do politycznego równouprawnienia obu narodów, mieszkających w Czechach dopóty, dopóki ludność niemiecka nie przekona się nareszcie: że Czechy otwarcie

i uczciwie pragną narodowéj zgody i nie myślą bynajmniéj o odwróceniu ostrzem do Niemców broni narodowéj hegemonii.

To co tu mówię, nie jest ani czczym frazesem ani pobożném tylko życzeniem, ani radą, zwróconą przeciwko innym poglądom, ale rzeczywistą opinią znakomitéj większości ludzi rozważnych i politycznie dojrzałych wśród czeskiego narodu i wobec tego przeświadczenia o potrzebie narodowéj zgody, szczerze przez Czechów odczuwanéj, Niemcy nie będą mogli długo trzymać się odpornie. A że po osiągniętém zawarciu prawdziwego i trwałego pokoju w Czechach, nietylko sprawy narodowe Czechów, ale wogóle wszystkie sprawy publicznego życia w całym kraju, dźwigną się z siłą dotychczas hamowaną narodowemi waśniami, o tém wątpić już niepodobna.

2. Fakt, że prawdziwie narodowe ministeryum Taafego postawiło pojednanie narodowości jako najważniejszy punkt swego narodowego programu, dowodzi już dostatecznie, że to zagodzenie niesnasków narodowych dotyka ważnych państwowych interesów cesarstwa austryackiego.

Austrya nie jest organizmem narodowym, ale ustrojem narodowościowym. Dopóki to państwo rządzone było absolutnie, dopóty absolutyzm rządowy mógł być wywierany albo przez stany, albo przez szczepy. W dawnéj Austryi te dwojakie wszechwładztwo dziwnie się z sobą kojarzyło: stara Austrya była niemieckiém państwem arystokratyczno-biurokratyczném. Przetworzenie austryackiego państwa, złożonego z różnych narodowości, było połączone z większemi trudnościami, aniżeli w innych bardziéj narodowych państwach. Właściwie, hegemonia szczepowa niemieckiego żywiołu na przywileju oparta, powinna była przy tém przetwarzaniu Austryi ustąpić przed nowożytną zasadą wolności i równości, jak uprzywiliowane wszechwładztwo stanowe, t. j. przewaga szlachty. Ta ostatnia znikła rzeczywiście w nowéj konstytucyjnéj Austryi; zniesienie pierwszéj trzeba było przynajmniéj teoretycznie postanowić. W Art. XIX prawa zasadniczego z 21 grudnia 1867 r. powiedziano: *Wszystkie szczepy w państwie są równouprawnione.*

Potrzebuję jeszcze tylko dodać, że do dziś dnia w Austryi prowadzi się walka o praktyczne przeprowadzenie téj zasady w teoryi wypowiedzianéj, potrzebuję wreszcie wskazać na to, że jeszcze dziś w życiu publiczném stoją naprzeciw siebie stronnictwa narodowe, aby dowieść, że ten postulat prawdziwego konstytucyonalizmu, traktującego wszystkich obywateli austryackich według jednéj zasady ogólnéj wolności i równości, nie jest jeszcze urzeczywistniony.

Jeżeli przedstawiciele niemieckich ludów Austryi występują w różnych sejmach i w austryackiéj radzie państwa, jako stronnictwa

narodowe, to jest właśnie znakiem, że istotne polityczne równouprawnienie „wszystkich szczepów ludowych w państwie“ nie stało się jeszcze faktem, ale że je wywalczyć trzeba; a jeżeli wobec tego Niemcy nalegają, ażeby cały żywioł niemiecki w Austryi utworzył zwarte „niemiecko-narodowe“ stronnictwo, to inaczéj tego rozumiéć nie można, tylko że w obozie niemieckim żyje zawsze dążenie utrzymania niemieckiéj hegemonii w Austryi, z pozostawieniem równouprawnienia innych ludów na cierpliwym papierze, bez zamiaru przeprowadzenia go w rzeczywistości.

Jeżeli to niemieckie stronnictwo uważa dążność słowian do uczciwego i surowego przeprowadzenia zasady, wypowiedzianéj w prawie organiczném, co do równouprawnienia wszystkich narodowości, za groźbę dla germanizmu w Austryi, jeżeli ta partya dziś oświadcza że Józefinizm (czyli właściwie germanizacya nieniemieckich ludów) jest rzeczywistą ideą Austryi i musi nią pozostać, jeżeli nazajutrz mówi, *że Austrya będzie niemiecką, albo przestanie istnieć;* jeżeli wreszcie dla podniecenia do oporu wszystkich Niemców austryackich przeciw grożącemu im jakoby niebezpieczeństwu, woła przez usta jednego ze swoich przywódców w Radzie państwa: „*Austrya pozostanie niemiecką albo stanie się słowiańską,*— to wszystko są dowody, świadczące, że ta niemiecka partya daleko jest jeszcze od uznania konieczności, ażeby w Austryi prawdziwie konstytucyjnéj zniknęło panowanie szczepowe.

Jeżeli zaś nie przestaniemy rozdmuchiwać w Austryi nienawiści rasowych, jeżeli nie przestaniemy zaostrzać antagonizmów, jeżeli nie zdołamy doprowadzić do tego, ażeby Słowianie i Niemcy żyli obok siebie w Austryi, jako zupełnie równouprawnieni obywatele w pokojowém zjednoczeniu; jeżeli nie bylibyśmy w stanie ponieść zobopólnie koniecznych w tym celu ofiar, gdybyśmy przeciwnie mieli przy tém obstawać, że zgoda narodowa jest niemożliwą, gdyby w wielojęzycznéj Austryi nie miał się ziścić inny rozwój życia konstytucyjnego, jak przemoc absolutnie panujących nad absolutnie uciskanémi,—w takim razie narody panujące będą musiały oglądać się wkoło siebie za współplemienną pomocą dla zabezpieczenia swego panowania, a narody uciśnione z konieczności rzucą okiem po za granice państwa, ażeby ze swéj strony znaleść również u współplemiennych poparcie w obronie uciśnionego życia narodowego. Ale wtedy nie byłoby nigdy zgody między ludami Austryi, wtedy Austrya nie będzie stać silnie i potężnie na własnych nogach, lecz stanie się jabłkiem niezgody, a w końcu biernym przedmiotem wielkiéj i krwawéj walki między Niemcami i Słowianami.

Jeżeli Austrya ma istnieć jako państwo konstytucyjne, to nie może być ani wyłącznie niemiecką, ani wyłącznie słowiańską, lecz musi być austryacką, tj. musi być państwem, które według wzniosłych słów swego cesarza: „jest bezpieczną ostoją i wolności i praw wszystkich ludów austryackich.

W rezultacie: surowe przeprowadzenie politycznego równouprawnienia wszystkich narodowości, jest zasadniczym warunkiem istnienia państwa austryackiego i właściwą ideą polityczną nowéj Austryi, w któréj zesłowianienie Niemców jest równie niemożliwém jak germanizacya słowian.

3. Jeżeli słowa „cywilizacya europejska" nie mają być pustym dźwiękiem bez przedmiotowego znaczenia, jeżeli te wyrazy nie są tylko pozorem do rozprzestrzenienia panowania Europy nad innemi częściami świata, słowem, jeżeli „cywilizacya europejska" jest istotnie czemś co stanowi cel duchowych dążeń i umysłowego życia Europejczyków, to zdaje mi się, że nie zbłądzę, mówiąc, że po pierwsze: cywilizowane ludy muszą starać się o dojście do rzetelnego poznania tego celu swoich duchowych dążeń, po drugie: są moralnie zobowiązane obierać te drogi, które prowadzą do wyraźnie wytkniętego i jasno rozpoznanego celu.

Otóż jestem silnie przekonany że prawdziwa ludzka cywilizacya (a osławiona „europejska" inną przecie być nie może), ma tylko jednego wroga do zwalczenia i do zwyciężenia—a tym jednym wrogiem jest egoizm ludzki.

Jakiekolwiek będzie to samolubstwo: jednostkowe, klasowe, stanowe czy téż nawet szczepowe, zawsze staną przeciw niemu postulata ogólnéj słuszności i sprawiedliwości, postulata ludzkości i duchowego postępu. A kiedy się spokojnie i przedmiotowo pomyśli, na czém właściwie polega postęp prawdziwie ludzkiéj cywilizacyi, to trzeba w końcu z całego serca przyklasnąć temu, co słynny angielski statysta lord Russel, wypowiedział publicznie w Aberdeen w r. 1857 r. „Europa musi dojść do tego przekonania, że zasada chrześciańska *nie czyń drugiemu co tobie niemiło*, powinna być praktycznie stosowaną nietylko między jednostkami, ale między narodami, i w stosunkach międzynarodowych całych państw."

Egoizm ludzki, ten rzeczywisty grzech pierworodny, któremu tylko postęp cywilizacyi może odjąć moc szkodliwą, ta żądza wyniesienia własnego *ja* nad innych i przedstawienia jako coś lepszego i doskonalszego, przed czém wszystko inne w pokorze i skrusze uchylić się winno, to ogólnie już poznane ale bynajmniéj niezatamowane źródło wszystkich ludzkich cierpień i nieszczęść, znalazło w naszych czasach nową formę, w któréj prastare zło ludzkości, wygo-

dnie się rozpościera i w dodatku przedstawia się jako coś podnoszącego i uszlachetniającego naturę ludzką: tą formą jest egoizm narodowy—nowy tylko pozór do hołdowania odwiecznéj ludzkiéj żądzy samolubnego wywyższania się nad innych.

Austrya, a specyalnie Czechy i Morawia, z mięszaną ludnością niemiecką i słowiańską, jest główną widownią, na któréj rozwijała się działalność tego narodowego egoizmu. Niemcy twierdzą, krótko węzłowato, że do tego się już urodzili, aby nad słowianami panować, że jest zupełną niemożliwością, nawet mówić o polityczném równouprawnieniu Niemców i Słowian i wypowiadają to jawne *credo* swego narodowego egoizmu, jako prawdziwą ideę państwową austryacką. Przed témi zachceniami narodowego samolubstwa, cywilizacya europejska ma zwinąć żagle i po prostu cofnąć się. Wielka zasada nowożytnéj kultury: przyznanie wszystkim europejskim cywilizowanym ludom nowych praw do przeprowadzenia zadań cywilizacyjnych, ma być zaprzeczoną, dla tego że naród niemiecki zwyciężył Francuzów w krwawéj wojnie. A przecież od takowego trafu nie mogą zależyć postulata cywilizacyi europejskiéj, bo to pociągnęłoby za sobą szczególne następstwa.

Jeżeli więc cywilizacya europejska nie jest czczym frazesem—to egoizm narodowy Niemców w Czechach nie może być usprawiedliwionym, a praktyczne przeprowadzenie politycznego równouprawnienia wszystkich narodowości w Austryi, leży w interesie téj europejskiéj cywilizacyi.

Nie jestto jednak bynajmniéj łatwe zadanie; bo chociaż rząd obecny ma dobrą wolę praktycznie urzeczywistnić zasadę równouprawnienia narodowości, uroczyście wyrażoną w konstytucyi; jakkolwiek polityczni przewódcy narodu czeskiego, nie pomijają żadnéj sposobności przekonywania swoich niemieckich współziomków, że dążą tylko do równouprawnia i do niczego więcéj, że zdala są od wszelkiéj myśli wywierania narodowego ucisku na Niemców w Czechach i w Morawii, że przeświadczeni są głęboko o szkodliwości dla narodu czeskiego wszelkich prób uciskania narodowości niemieckiéj w Czechach, to przecież do obecnéj chwili (Czerwiec 1882) niema mowy o żadnéj przyjaznéj ze strony Niemców wzajemności, lecz przeciwnie polityczni przywódcy Niemców robią wszystko co mogą, ażeby podniecić narodowe niechęci między obiema narodowościami, mieszkającemi w królestwie czeskim i przeszkodzić zawarciu szczéréj zgody.

Środki używane do téj narodowéj agitacyi są następujące:

1. Agitatorowie pracują nad rozdmuchywaniem w Niemczech dumy narodowéj, przeświadczenia że są czemś nierównie lepszém od

Słowian, że przeznaczeni są do panowania nad upośledzonémi słowianami, że niegodném jest ich wyższości uczyć się języka rasy niższéj, że zatém o ile możności winni unikać wszelkiéj wspólności ze Słowianami.

2. Powtarza się ciągle, że Czechy nie dążą do równouprawnienia narodowego, ale że mają jedynie na myśli, całe Czechy od jednego krańca do drugiego zrobić czeskiémi.

3. Wykłada się Niemcom, że Czechy zjednoczeni z resztą Słowian Austryackich dążą właściwie do przetworzenia Austryi na państwo słowiańskie, że wszyscy Słowianie w Austryi są utajonémi panslawistami, których głównym celem, jest panslawistowskie, *recte* rosyjskie panowanie nad światem, co naturalnie jest wielkiem niebezpieczeństwem nietylko dla narodowéj samoistości Niemców, ale dla dobrze pojętéj europejskiéj cywilizacyi, słowem byłoby poważną groźbą dla całéj Europy.

Nie mogę się wstrzymać od wypowiedzenia odrazu zdania, że polityczni przywódcy Niemców, nie wierzą sami w wiele tych rzeczy, które swoim ziomkom rozpowiadają; ale z tego właśnie jeszcze wyraźniéj się okazuje, że używają wszelkich środków ażeby w Czechach uniemożliwić zgodę narodową.

Jesteśmy więc pod względem téj zgody bardzo jeszcze oddaleni od celu, który osiągnąć pragniemy i spodziewamy się, ale téż dobrze nam są znane przeszkody, które mamy w tym kierunku do przezwyciężenia, i zdecydowani jesteśmy nietylko celu z oczów nie tracić, ale wszystkich sił dołożyć, żeby go w końcu dopiąć.

Sądzę że nieobojętném będzie dla czytelników tych listów, obznajmić się trochę bliżéj ze środkami agitacyjnémi jakich używają polityczni przywódcy Niemców dla osiągnięcia swoich celów.

Najprzód tedy publiczna manifestacya w szerokim stylu zmierzająca do tego, aby w obec kraju i zagranicy napiętnować naród czeski jako dziką nieokiełznaną masę gwałtowników.

Dnia 26 Listopada 1881 r. w izbie deputowanych austryackiéj rady państwa, odczytano następującą interpelacyę.

Interpelacya posła dr. Kliera i towarzyszy do Jego Excellencyi prezesa rady ministrów, jako kierownika c. k. ministeryum spraw wewnętrznych.

„Godne pożałowania wykroczenia względem obywateli austryackich niemieckiéj narodowości, których widownią były Czechy a szczególniéj ich stolica Praga, są jeszcze dziś w pamięci wszystkich.“

„Od połowy czerwca pisma publiczne donosiły często o takich ekscesach jak podkładanie petard w Pilznie, proskrypcye niemieckich

procederzystów, napady na żydów w Rudnicy, zelżenie niemieckich studentów, którzy w Weinbergu (1) (przedmieściu Pragi) spotkali się na spokojném koleżeńskiem zebraniu, i nakłaniani byli przez policyę do dobrowolnego przerwania tych towarzyskich schadzek; zelżenie, pobicie studentów w niemieckim w ogrodzie Canala; skandale w piwiarniach, pod „Primasem“ (u Primasu) i pod „zieloném drzewem,“ a szczególniéj w ostatniéj, gdzie przyszło do silnego poturbowania studentów niemieckich; częste znieważanie na ulicach Pragi spokojnych przechodniów mówiących po niemiecku, lżenie, opluwanie dam niemieckich itp.,—słowem nadużycia, które wzmogły się nareszcie podczas komerszu korporacyi studenckiéj *Austrya* aż do hałaśliwéj burdy ulicznéj przed zabudowaniami konwiktu, a dosięgły kulminacyjnego punktu w krwawy wieczór w Kuchelbad, podczas ludowych zbiegowisk, połączonych z wybijaniem okien w teatrze niemieckim w lokalu korporacyi Austrya i w niemieckiem kasynie.“

„Według wiadomości od ludzi wiarogodnych, wychodzą i teraz na jaw podobne nadużycia, z których okazuje się, że bezpieczeństwo osobiste obywateli austryackich niemieckiego pochodzenia niebezpiecznie jest zagrożone i nie znalazło dostatecznéj ochrony w organach bezpieczeństwa publicznego, bo w ostatnich czasach i w różnych miejscach (niedawno w Münchengrätz) niemieccy procederzyści z Niemiec, a w Pradze uczniowie szkół niemieckich, doznali, z powodu swéj narodowości niemieckiéj, gwałtownych napaści od mieszkańców czeskiego pochodzenia, podczas gdy spokojnie udawali się do swoich zajęć.

„W jednym z takich wypadków, trzech studentów niemieckich, napadniętych przez przeważną siłę Czechów na jednéj z najludniejszych ulic Pragi, aresztowano podobno przez komisarza policyi za zakłócenie spokojności w nocy, ponieważ widząc przewagę liczby, głośno zawołali na straż, która ich zaprowadziła do biura komisarza, kiedy tymczasem napastnicy uciekli; dopiéro za pośrednictwem na miestnictwa cofnięto wyrok karny.

„Ze względu na wzrastające z każdym dniem rozdrażnienie ludności niemieckiéj w Austryi, spowodowane podobnemi wypadkami, niedopuszczalnemi między cywilizowanemi ludami i w prawidłowo uorganizowaném państwie, i z uwagi na zasadnicze prawo państwowe z d. 21 grudnia 1867 r. (Dziennika Praw N. 142), podpisani stawiają p. ministrowi spraw wewnętrznych pytanie:

---

(1) Po czesku Vinohrady.

„Co rząd c. k. wie o tych nowych wypadkach, i jakie środki zamyśla przedsięwziąść, ażeby obywatelom austryackim niemieckiéj narodowości zapewnić nareszcie dostateczną rękojmię osobistego bezpieczeństwa i ochronić ich od powtarzających się tak często gwałtownych napaści?

Wiedeń 26 listopada 1881 r.

Podpisało tę interpelacyę 95 członków „zjednoczonéj lewicy,“ a między niemi naturalnie wszyscy niemieccy posłowie z Czech. Wielu członków dawnéj partyi postępowéj (jak hr. Wurmbrand, baron Walterskirchen, baron Zschok, hr. Coronini, dr. Kronawetter i inni) odmówili podpisu.

Zbytecznem byłoby wdawać się w komentarze nad tą interpelacyą: ukryta w niéj intencya spotwarzania narodu czeskiego przed całą Europą, aż nadto jest widoczną. Poprzestanę tylko na przypomnieniu, że mowa tu o opłakanych ekscesach, wydarzonych w ostatnich dniach maja 1881 r. w Pradze i okolicach (Kuchelbad), których przyczyny i przebieg opisałem w moim ostatnim liście. Niech mi wolno będzie powtórzyć tu tylko w krótkich słowach, że wtedy wyzywające postępowanie studentów niemieckich w Pradze i systematyczne, umyślne poniewieranie narodowości czeskiéj, wywołało między ludnością czeską wielkie wzburzenie. Przywódcy polityczni narodu czeskiego widzieli wtedy dobrze objawiającą się wyraźnie między Niemcami intencyę wywołania starcia i wytworzenia narodowego męczeństwa, ale nie byli w możności powstrzymać ruchu w upragnionych granicach. Przypisywać im zamiar dążenia do tego, czemu ze wszystkich sił przeszkodzić chcieli, jest zupełnie bezzasadnem.

Rząd nakazał, z powodu faktów przytoczonych w téj interpelacyi, gruntowne śledztwo, upłynęło więc dość czasu nim na tę interpelacyą odpowiedziano.

Dnia 11 lutego 1882 r. prezes ministrów i kierujący ministeryum spraw wewnętrznych, hrabia Taafe, w następujący sposób odpowiedział na interpelacyę.

„Na posiedzeniu wysokiéj izby poselskiéj z d. 26 listopada r. 1881 panowie deputowani do rady państwa dr. Klier z towarzyszami wystosowali téj treści interpelacyę.“

„Co rząd c. k. wie o nowo wydarzonych wypadkach, przytoczonych w interpelacyi, i jakie środki zamyśla przedsięwziąć, ażeby obywatelom austryackim niemieckiéj narodowości zapewnić nareszcie dostateczną rękojmię osobistego bezpieczeństwa i ochronić ich od powtarzających się tak często gwałtownych napaści.“

„Na powyższą interpelacyę, a przedewszystkiém na pierwsze zapytanie, mam honor dać następną odpowiedź:

„Podniesione w interpelacyi nowe wypadki są:“

„Gwałtowna napaść na niemieckich negocyantów z Niemiec w okolicach Münchengrätz, wyrok na trzech niemieckich studentów w Pradze za zakłócenie spokoju w nocy i gwałtowna napaść na uczniów szkół niemieckich w Pradze przez osoby czeskiéj narodowości.“

„Co do tych wypadków mam przed sobą urzędowe dane.

„Zaczynając od wypadku pod Münchengrätz, prawdą jest, że wieczorem 10 listopada 1881 r. na kupców i rzemieślników wracających do domu do Niemiec z jarmarku, odbytego w tym dniu w Münchengrätz rzucano kamieniami na Górze Browarnéj, że kilku z nich nawet skaleczono.

„Przedtem jeszcze rzucano na tém samém miejscu kamieniami na mieszkańców Münchengrätzu i na właściciela ziemskiego Hoskowitza; śledztwo sądowe było rozpoczęte, ale jeszcze nie jest skończone.

„Prokuratorya uznała za stosowne, działając według § 90 procedury kryminalnéj, złożyć do akt przygotowawcze śledztwo, prowadzone w duchu definicyi przestępstwa publicznego gwałtu określonego w § 87 kodeksu karnego i w myśl §§ 269 i 270 kodeksu karnego akta odstąpić sądowi okręgowemu w Münchengrätz, jako kompetentnemu do wytoczenia akcyi *przeciwko dwóm chłopcom*, *którzy*, *według raportu namiestnictwa*, *są synami cudzoziemca pochodzącego z niemieckiéj narodowości* (słuchajcie, słuchajcie!), zwłaszcza że przeciwko innym osobom, które wyszły z niepełnoletności, nie znalazła się żadna poszlaka, na podstawie któréj możnaby ugruntować oskarżenie we wskazanym kierunku.

„Sąd okręgowy, jak brzmią najnowsze doniesienia, rozpoczął dochodzenie karne przeciwko jednemu 10-letniemu chłopcu, a wstrzymał takowe przeciwko drugiemu chłopcu, nie mającemu jeszcze lat 10 (śmiechy), co wywołało ze strony urzędnika prokuratoryi skargę na powyższą decyzyę do sądu powiatowego.

„Taki jest stan sprawy podniesionéj w interpelacyi.

„Prawdziwym jest również fakt wyroku policyjnego wydanego na trzech studentów w Pradze, za rozmyślne jakoby zakłócenie spokojności w nocy 24 września 1881 r. Ponieważ jednak namiestnictwo czeskie, jak to zaznaczają sami interpelujący, cofnęło decyzyą z 12 listopada 1881 r. N. 67200 wyrok karny wydany w pierwszéj instancyi, z powodu niedość pewnego ustanowienia istoty czynu przestępnego, który skazanym zarzucano; ponieważ skazani mieli swobodę

apelowania do władz wyższych i z téj swobody skorzystali,—rzecz zatém należącą do sądownictwa administracyjno-karnego, można uważać za załatwioną i nie przedstawiającą motywów do dalszego rozbioru.“

„Pozostaje mi tylko mówić o wzmiankowanéj w interpelacyi napaści na uczniów szkół niemieckich w Pradze przez osoby, należące do innéj narodowości.

„Według ściągniętych informacyj, w listopadzie 1881 roku wydarzyły się dwa nadużycia z uczniami, które pociągnęły za sobą natychmiastowe wdanie się prokuratoryi.

„Dnia 11 listopada 1881 r. przyszło do bójki między młodzieżą szkolną niemieckiéj i czeskiéj szkoły ludowéj w królewskiéj gminie Weinberg, która rozpoczęła się od wyzwania w języku czeskim poprzedzonego wzajemnemi odgróżkami, i od zgromadzenia się uczniów czeskich przed szkołą niemiecką.

„Winni ukarani zostali na podstawie śledztwa wyprowadzonego przez radę szkolną okręgową w Karolinenthal, i według raportu rady, dyrekcye obu szkół przedsięwzięły stosowne środki w celu zapobieżenia podobnym wykroczeniom.

„Drugie poważniejsze nadużycie,—i o tém zapewne mowa w interpelacyi, bo o inném niema żadnéj wiadomości,—spełnione było 15 listopada 1881 r. o godzinie 4 popołudniu na ulicach Reiter i Florenzgasse przez uczniów I i II klasy szkoły niemieckiéj realnéj w Karolinenthal oraz II i III kl. drugiego czeskiego gimnazyum w Pradze.“

„Z informacyi jak najściśléj, jak najdokładniéj ściągniętych okazało się co następuje.

„Bijatyka rozpoczęła się z obu stron; na Reitergasse dwaj spokojnie idący uczniowie niemieckiéj szkoły realnéj czynnie zostali napadnięci przez napotkanego czeskiego gimnazistę, a na Florenzgasse spokojnie idący czeski gimnazista podobnież był napadnięty przez napotkanych uczniów niemieckiéj szkoły realnéj.

„Kilku niemieckich uczniów spostrzegło bijatykę w szkole i wezwało do udziału w awanturze.

„Niemieccy uczniowie czekali na czeskich gimnazistów na rogu Florenzgasse, przez którą ci ostatni do domu wracać musieli.

„Sądzę że nie powinienem zabierać wysokiéj izbie czasu opisem szczegółów tego spotkania (Śmiechy).

„Jako najbliższy powód ekscessu, podawane są dawniejsze obelgi, rzucane niemieckim studentom przez studentów czeskich, a szczególniéj czynne zelżenie niemieckiego ucznia szkoły realnéj przez czeskiego ucznia szkoły handlowéj, który znajdował się podczas burdy między czeskimi gimnazistami; druga znów strona twier-

dzi, że przyczyną tego znieważania były obelgi ze strony uczniów szkoły realnéj niemieckiéj.

„Przeciwko winnym zapadł na drodze dyscyplinarnéj wyrok rady szkolnéj prowincyonalnéj, na mocy którego dwaj czescy gimnaziści i dwaj uczniowie niemieckiéj szkoły realnéj wydaleni zostali z obostrzeniem, że nie będą przyjęci do żadnych szkół średnich ani seminaryów nauczycielskich, w Pradze ani na jéj przedmieściach; jeden uczeń szkoły realnéj niemieckiéj wydalony był ze szkoły realnéj w Karolinenthal, a pięciu uczniów szkoły realnéj niemieckiéj uległo karze aresztu. Rada szkolna prowincyonalna przedsięwzięła stosowne środki w celu przywrócenia między młodzieżą szkolną zgody i skutecznéj karności.

„Daleki jestem od lekceważenia tych faktów, ale nie mogę im przypisywać doniosłego znaczenia w ogólnéj kwestyi osobistego bezpieczeństwa obywateli niemieckiéj narodowości w Czechach.

„Zwracam się teraz do odpowiedzi na drugie pytanie

„Pod tym względem mogę tylko zaznaczyć, że rząd przenikniony jest przekonaniem, iż krańcowe manifestacye narodowe w kraju, gdzie dwie pomięszane z sobą narodowości mają obok siebie wspólnie egzystować, nie mogą się przyczyniać do spokoju publicznego.

„Rząd jednak ufa, że zdrowy rozsądek ludności zrozumie warunki tego koniecznego wspólnego istnienia.

„Opłakane nadużycia, wydarzone w roku zeszłym w Pradze i pod Pragą, karane były, jak wiadomo, policyjnie i sądowo i obecnie w kraju panuje spokój i porządek.

„W takich okolicznościach rząd niema żadnego powodu występować z wyjątkowemi środkami. Gdyby, wbrew oczekiwaniu, nadużycia powtórzyły się, rząd i organa jego spełnią swój obowiązek i postąpią według całéj surowości prawa.“

W klubie deputowanych czeskich powzięto pierwiastkowo postanowienie, połączyć odpowiedź na tę interpelacyę z rozprawami, w którychby dokładnie wyświecone były stosunki publiczne w Czechach. Ze względu jednak na odpowiedź ministeryalną, która dostatecznie zbiła stawiane przez Niemców zarzuty, jak również, chcąc okazać, że nie jesteśmy pohopni do zabierania niepotrzebnie austryackiéj radzie państwa drogiego czasu naszemi domowemi niesnaskami, odstąpiono od tego zamiaru.

Niemieccy posłowie z Czech byli naturalnie mniéj zadowoleni z ministeryalnéj odpowiedzi na swoją interpelacyę aniżeli Czescy, i już 13 lutego 1882 r. dr. Klier, który wniósł interpelacyę, skorzystał

z ogólnych rozpraw nad budżetem, ażeby dowieść, że Niemcy w Czechach mają słuszność skarżyć się na Czechów i że w następstwie rząd niema racyi, broniąc Czechów przeciw oskarżeniom Niemców. W mowie dwugodzinnéj, która znużyła nawet stronników dr. Kliera, deputowany ten starał się dowieść, że Niemcy nic takiego w Czechach nie czynią, coby można uważać za wystąpienie przeciwko narodowemu równouprawnieniu ludu czeskiego i że przeciwnie Czesi robią wszystko, co tylko mogą, ażeby Niemców pokrzywdzić w ich prawach narodowych. Według dr. Kliera, wszelka słuszność jest po stronie Niemców, wszelka niesprawiedliwość po stronie Czechów.

Starałem się wtedy odpowiedzieć w krótkości dr. Klierowi co następuje: Jeżeli, jak to mówi się na wszystkie strony, jesteśmy patryotami austryackiémi, to nie powinniśmy przedewszystkiém zapominać, że niezgoda ludów monarchii austryackiéj nie przysporzy jéj ani wielkości ani potęgi. Co się zaś tyczy stosunku Niemców do Czechów w królestwie Czeskiem, to nie należy zapominać, że był on zupełnie przyjaznym do 1848 r. i trzeba téż wiedziéć, że najwybitniejsze umysły niemieckiéj narodowości, przyjmowały przed 1848 r. najwyższy udział w narodowych dążeniach narodu czeskiego. W r. 1848 wszczęły się niesnaski i to jedynie przez kwestyą niemiecką. „My poszliśmy do Wiednia, Niemcy poszli do Frankfurtu.“

I kwestya niemiecka jest do dziś dnia główną przyczyną sporu narodowości w Czechach.

Kiedy nie chodziliśmy do rady państwa, powiedzieli do na Niemcy: wejdźcie do rady państwa, a spełnią się wasze narodowe życzenia. Wróciliśmy, i w skutek naszego powrotu większość niemiecko-liberalnéj partyi konstytucyjnéj stała się mniéjszością. A teraz to niemieckie stronnictwo, które przez nasze wejście do rady państwa straciło swoje wszechwładztwo i obecnie lęka się utracić w Czechach swe zgoła nienaturalne panowanie, wytęża wszystkie siły, ażeby uzbroić nietylko całą niemiecką ludność w Czechach, ale wszystkich Niemców austryackich na krucyatę przeciwko niedogodnym Czechom. Taki jest prawdziwy stan rzeczy.“

Baron Walterskirchen, poseł niemiecki ze Styryi, mąż, który liberalizm rozumie jako prawdziwą wolnomyślność, powiedział w mowie do swoich wyborców 13 kwietnia 1882 r. „nie zdziwiłbym się doprawdy, gdyby w niemieckich mieszkańcach krajów alpejskich obudziła się powoli wątpliwość: *czy niemieccy posłowie w Czechach postępują zawsze tak słusznie i sprawiedliwie względem tamecznych słowiańskich mieszkańców, jak tego wymaga walka o dobrą sprawę.*“

Baron Walterskirchen, przemawiając w te słowa, nie czytał jeszcze mowy, którą miał na zebraniu wyborców w Falkenau 10-go kwiet-

nia 1882 dr. Reschauer, redaktor wiedeńskiéj „Deutsche Zeitung" głównego organu partyi niemiecko-narodowéj, poseł na sejm czeski i do austryackiéj rady państwa z kilku miast północno-zachodnich Czech. Mowa d-ra Reschauera należy też do tych środków agitacyjnych, ulubionych między politycznemi przewódcami Niemców, za pomocą których wznieca się i umacnia wśród niemieckiéj ludności Czech przekonanie, że Niemcy stoją pod każdym względem wyżéj nad półbarbarzyńskiemi Słowianami. Dr. Reschauer sądził, że należy użyć silnych środków dla dopięcia zamierzonego celu. Mówił więc jak następuje do swoich słuchaczów:

„Wśród większości naszéj izby poselskiéj, reprezentowane są przeważnie te grupy ludności, w których czytanie i pisanie do dziś dnia jeszcze podziwiane jest jako *sztuka* (wesołość), które w życiu co do domowego komfortu, czystości u siebie i poza domem, mają jak najskromniejsze wymagania. Kto żyje w pierwotnym stanie, kto mieszka w nędznéj, słomą pokrytéj, chacie i mieści się w jednéj izbie z bydłem; kto nie czuje potrzeby czystéj na ciele bielizny; kto zimą i latem obywa się owczą skórą, jako jedyną odzieżą, i chodzi w butach tylko w wielkie uroczystości; kto wieczorem nie pracuje i czuje zaledwie potrzebę rozświecić w izbie ciemności łuczywem, kto oświetlenie ulicy, na któréj mieszka pozostawia poczciwemu księżycowi, dla tego naturalnie mnóstwo uciskających nas podatków i opłat, jest zupełnie obojętném i zgoła nie egzystuje (śmiechy—oklaski). Cóż go obchodzi podwyższenie podatku budowlanego lub wprowadzenie podatku od nafty? Co mu do tego jak wygląda taryfa celna? czy przy niéj przemysł może istnieć lub też musi runąć. U niego na wsi nie ma przemysłu; dla niego zakłady fabryczne są niepojętemi dziwami, a zaostrzenie antagonizmów klasowych, jest też dla niego czemś niepojętém, niezrozumiałém — boć przecie kwestye socyalne odgrywają jakąś rolę tylko w krajach cywilizowanych. Reprezentanci téj grupy narodowości w austrackiéj izbie deputowanych mają dziś przewagę i głos stanowczy we wszystkich głosowaniach. (Tak jest—długotrwające oklaski). Ztąd cło od kawy 40 fl. w złocie, ztąd podatek od nafty, ztąd podwyższenie podatku budowlanego, ztąd spodziewany niezadługo podatek od gazu, ztąd fakt, że zpośród szeregów deputowanych wyszło żądanie, ażeby rząd opodatkował nietylko gaz, ale przez wprowadzenie podatku od światła opodatkował oświecenie—oświecenie, które dla wszystkich amatorów ciemności w naszém państwie jest przedmiotem zgrozy i zgorszenia" (Demonstracyjne oklaski—długa przerwa).

„Cóż właściwie pozostałoby nam Niemcom w Austryi, gdybyśmy chcieli pozycyę naszą wobec prawodawstwa finansowego i podatko-

wego tak korzystnie urządzić, jak grupa ludności, posiadająca dziś przewagę? Musielibyśmy zejść na stopień egzystencyi na „Standard of life“ tych współobywateli naszych, którzy od dwóch lat prawa w Austryi stanowią, musielibyśmy powrócić, wprawdzie nie do pierwotnego stanu Germanów, ale do najcenniejszych epok wieków średnich, kiedy nasi przodkowie, pod względem wygodnego bytu, mieli w życiu jak najpierwotniejsze pojęcia, do czasów kiedy łuczywa używano za świecę, a zamiast kawy spożywano pierwszą lepszą breję. (Głośne zadowolenie). Wtedy cło od kawy i od nafty obciążałoby nas bardzo mało, cło od gazu byłoby i dla nas nader obojętném a i podatku budowlanego nie wzięlibyśmy do serca, bo podobnie jak tysiące i dziesiątki tysięcy naszych współobywateli mieszkalibyśmy z żonami, dziećmi i domowém bydełkiem w jednéj izbie, w któréj znalazłoby się także miejsce na skąpe nasze zapasy żywności (wesołość i oklaski). Mnóstwo politycznych i narodowych antagonizmów, któremi dziś oddzielone są jaskrawo stronnictwa w Austryi, nie miałoby wtedy racyi bytu i wówczas *pogodzilibyśmy się może* ze stanem rzeczy, który nam chcą narzucić i w państwie panującym uczynić.“

Dr. Reschauer kończy temi słowy swoją mowę:

„Gabinet Taafego stoi silniéj niż kiedykolwiek, więc kto tylko w naszych szeregach czuje i myśli po niemiecku, musi się przygotować do dłuższéj i upartszéj obrony aniżeli z początku przypuszczał.

„Dążenie czeskich i słoweńskich przywódców do przekształcenia Austryi na państwo słowiańskie, trwać będzie nieprzerwanie, a ponieważ wszystkie te żywioły, które na czele swego programu wypisały usunięcie niemieckiego wpływu, znajdują się u góry, to nie ulega wątpliwości, że germanizm w Austryi dozna wkrótce jeszcze niejednéj dotkliwéj klęski. Ale nie jest-to przyczyna do upadania na duchu, do uchylenia głowy i do przemyśliwania jedynie o poddaniu. W takim razie sądzę, że nie bylibyśmy warci należeć do wielkiego narodu niemieckiego, ani zająć w naszém państwie to stanowisko, na którém przetrwaliśmy wieki całe i którego nie wyrzeczemy się nigdy, nigdy!“ (Długotrwałe oklaski) (1).

Z powodu téj mowy zrobię tylko jedną uwagę, że dr. Reschauer, redaktor gazety, wychodzącéj w mieście stołecznem Wiedniu, wywypowiedział ją u stóp czeskich Gór Kruszcowych, w okolicy, gdzie jak wiadomo, wielkie panuje ubóstwo, gdzie w niejednem miasteczku oświetlenie ulic pozostawione jest także księżycowi i gdzie znajduje się wiele ludzi, którzy nawet w niedzielę butów wdziać nie mogą, bo

(1) „Deutsche Zeitung“ z 14 kwietnia 1882 r.

ich wcale nie mają. Przepisałem tę mowę z redagowanéj przez d-ra Reschauera „Deutsche Zeitung“ ze wszystkiemi wydrukowanemi tam „burzliwemi“ i „przeciągłemi oklaskami,“ nie dobadując się wcale, czy wyborcy d-ra Reschauera nie byli czasem rozsądniejsi od swego posła i czy go takiemi oklaskami za jego mowę darzyli.

Miasto Reichenberg w północnych Czechach, fabryczne ognisko z 27000 mieszkańców, między któremi 6000 Czechów (więc stosunkowo więcéj Czechów, aniżeli Niemców w Pradze) jest główną ostoją niemiecko-narodowéj, czyli ściśléj mówiąc anti-czeskiéj agitacyi. Nienawiść do wszystkiego, co czeskie, jest tam głównym pierwiastkiem niemiecko-narodowego nastroju; w Reichenbergu tylko zdarzało się, że na ulicach ludzie czynnie byli znieważani, dlatego że z sobą głośno po czesku mówili. Nic czeskiego, jest hasłem niemiecko-narodowych reichenberczyków.

Na plenarném zgromadzeniu reichenberskiego „niemiecko-narodowego stowarzyszenia,“ przewodniczący Dr. Schücher mówił „o położeniu politycznem.“

Według mówcy, panujący obecnie prąd jest *nieprzyjazny* dla Niemców, w następstwach swoich *szkodliwy dla jedności państwa* a w dodatku reakcyjny. Liberalizmowi przeciwstawia się w Austryi reakcya, *niemieckim dążeniom cywilizacyjnym — słowianizm*, zasadniczym podstawom nowożytnego państwa na prawie opartego — feudalno-klerykalne poglądy.

„Dr. Klier wspomniał przy rozprawach nad budżetem o zniewagach i prześladowaniach, na które narażeni byli Niemcy w różnych miejscowościach Czech ze strony podszczuwanego gminu czeskiego, a z tych szczegółowych opisów, opartych na faktach troskliwie zebranych, każdy, kto zdolny jest wytworzyć sobie przedmiotowy pogląd, mógł przyjść do przekonania, że te *wybryki husyckiego barbarzyństwa*, skierowane przeciwko Niemcom, nie mogą być uważane za małoznaczące sceny szynkowniane lub skandale uliczne, ale były demonstracyami przeciwko Niemcom, obmyślanemi przez samych czeskich przewódców i według planu systematycznie przeprowadzonemi.“

To też odpowiedź prezesa ministrów hr. Taafego na interpelacyą d-ra Kliera jest „wyszydzeniem, obrazą niemieckiego narodu w Czechach i w tém znaczeniu była przez naród odczuta.“

Zdaniem mówcy, Austrya musi być państwem niemieckiém, „ażeby przy boku Niemiec i z Niemcami społem utworzyć w sercu Europy obronną ostoję cywilizacyi europejskiéj przeciwko grożącéj od wschodu powodzi słowiańskiéj.“

Na Polaków mówca jest bardzo rozgniewany za to, że i oni pomagają „do obalenia hegemonii Niemców w Austryi.“ „Ludność

Galicyi stoi jeszcze dziś, jak dawniéj, na wstrętnym półbarbarzyńskim szczeblu kultury, a Polacy nie użyli danych sobie swobód, dla polepszenia bytu swego ludu; z tych swobód skorzystała tylko polska szlachta feudalna. Ta jest właśnie różnica między polską a niemiecką hegemonią w kraju, że ostatnia toruje drogę duchowemu i materyalnemu rozwojowi.“

„Niemiecka inteligencya, niemiecka prasa, kończy mówca swoją mowę, zmieniła w okolicach, które zamieszkujemy, nędzne wioski czeskie na zamożne miasta i kwitnące ogniska przemysłowe; inteligencya i dobrobyt są źródłami, z których państwo czerpie swoją siłę podatkową i oddawna już Austrya nie mogłaby utrzymywać tak wielkiéj armii, ani stanąć na stanowisku pierwszorzędnego mocarstwa, gdyby Niemcy nie dali na to pieniędzy.“

Mówca jest przekonany, że o potęgę kultury niemieckiéj rozbije się obecny prąd polityczny w Austryi, czyli innemi słowy, nienawidzi formalnie i uroczyście dążenia do zgody między narodowościami; uważa zasadę narodowego równouprawnienia za formalną zniewagę wyższéj, do panowania przeznaczonéj „kultury niemieckiéj“ i jako postulat téj wyższéj kultury niemieckiéj ogłasza, że niżsi Słowianie mogą być uważani tylko za przedmiot niemieckiego panowania.

Dr. Schmeykal (według prawdziwéj ortografii czeskiéj *Šmejkal*, Niemcy, wymawiając to nazwisko, pilnują się także właściwéj ortografii t. j. pierwotnego brzmienia; jakkolwiek właściwie powinno się wymawiać Šmaikal), adwokat w Pradze i znany przewódca stronnictwa niemiecko-narodowego w Czechach (1) był w r. 1861, kiedy rozpisano pierwsze wybory do sejmu czeskiego dependentem u adwokata w Laipa, a stosunki jego majątkowe bardzo skromnie się przedstawiały. Zdolnemu młodzieńcowi nie trudno było świetnie wypowiedzianą mową kandydata zwyciężyć w zupełności swoich współzawodników, którzy téż wypadkowo byli nic nieznaczącemi rywalami—i został wybrany do sejmu. Z początku przewódcą stronnictwa niemieckiego był dr. Herbst, a dr. Schmeykal jego najwierniejszym adjutantem, następnie zastępcą w Pradze, a kiedy dr. Herbst awansował na przewodnika niemieckiéj partyi konstytucyjnéj w au-

---

(1) Na posiedzeniu sejmu czeskiego w r. 1880 pozwoliłem sobie zrobić następującą uwagę o właściwych stosunkach narodowych w Czechach, przyjętą ogólnym śmiechem: „Dr. Rieger, przywódca polityczny Czechów, bynajmniéj z tego nie robi tajemnicy, że jego rodzina jest niemieckiego pochodzenia, a podobnie i polityczny przywódca Niemców nie może zaprzeczyć, że jest właściwie pochodzenia czeskiego. Według zatém ulubionéj teoryi o wyższych i niższych rasach, mielibyśmy w Czechach wyższe stronnictwo z niższym przewódcą i niższe stronnictwo z wyższym przewodnikiem na czele.

stryackiéj radzie państwa, dr. Schmeykal był już samoistnym sternikiem stronnictwa niemiecko-narodowego w Czechach. Jako wierny stronnik niemieckiéj partyi rządowéj, dr. Schmeykal został nietylko adwokatem w Pradze, ale zyskał sobie i inne materyalne korzyści, tak, że jakkolwiek nigdy nie wchodził do wiedeńskiéj rady państwa, jest dziś bardzo bogatym człowiekiem, dla którego właśnie polityczne stanowisko wodza partyi stało się źródłem zamożności. Ale od czasu jak ministeryum Taafego stoi u steru rządu, a niemiecka partya konstytucyjna przestała być szafarką dóbr doczesnych i zaszczytów dla swoich stronników, dr. Schmeykal należy, z bardzo naturalnych powodów, do najgwałtowniejszéj opozycyi przeciwko obecnemu systematowi, a zatém jest najzaciętszym wrogiem narodu czeskiego. On to wtedy jeszcze, kiedy się czuł w całéj pełni używania, potęgi i świetności, z uśmiechem na ustach odpowiadał na wszystkie, przez Czechów stawiane, propozycye pojednania, krótkiém ale wiele mówiącém dictum: *Beati possidentes!*

Teraz nie przemawia wprawdzie głośno w imieniu całéj Austryi, ale panuje zawsze nad niemiecką większością w sejmie czeskim i nie wyrzeka się nadziei, że i w austryackiéj radzie państwa będzie mieć większość za sobą. Czuje się dość silnym i potężnym, ażeby prowadzić politykę na własną rękę; a jakkolwiek opozycya niemiecka w wiedeńskiéj radzie państwa, w chwili przekształcenia swego w jesieni r. 1881 nie chciała nazwać się *niemiecko-narodową*, przekładając mniéj podchwytliwy tytuł „zjednoczonéj lewicy,“ to jednak dr. Schmeykal wydał w Czechach hasło za Niemców, aby wszystkie ich polityczne zgromadzenia przechrzczone były na niemiecko-narodowe.

Dr. Schmeykal obstaje przy tém silnie, że należy uwydatniać polityczną solidarność Niemców austryackich z wielkim niemieckim narodem, ażeby przez to pokazać, że w razie potrzeby hegemonia Niemców w Austryi i panowanie ich nad nie niemieckiemi ludami, może być utrzymaném z pomocą potęgi cesarstwa niemieckiego.

Ta dążność występuje wyraźnie we wszystkich jego publicznych manifestacyach. Kiedy 9 października 1881 r. odbywała się w Pradze uroczystość otwarcia nowowybudowanéj niemieckiéj sali gimnastycznéj, dr. Schmeykal miał naturalnie mowę inauguracyjną. „Niemieckie pozdrowienie“ i „niemiecka uroczystość,“ „niemiecki duch“ i „niemieckie życie,“ „niemiecki obyczaj“ i „niemiecka cześć,“ „niemieckie rozbudzenie“ i „niemiecka zgoda,“ „niemiecka narodowość“ i „niemieckie dzieło“ krzyżują się co chwila w téj uroczystéj mowie, mianéj do „niemieckich gimnastów,“ w „niemieckiéj sali gimnastycznéj.“ O Czechach powiedziane jest w téj mowie, że gwał-

ty i znieważające zajścia, skierowane przeciwko narodowości niemieckiéj ku zdumieniu całego świata, *nie dadzą się nigdy zatrzeć, zapomnieć, ani przebaczyć.*

Dr. Schmeykal ogłasza zatém uroczyście zupełną niemożliwość narodowego porozumienia i pojednania między Niemcami i Czechami w królestwie czeskiém. Mówi o „głębokiém rozdrażnieniu" a daléj powiada: „nasza dewiza jest jasna i otwarta i brzmi: „zachowanie samych siebie i zachowanie państwa;" mówca oświadcza się za Józefińską ideą uorganizowania całości państwa austryackiego na podstawach niemieckiego języka i niemieckiego obyczaju i wzywa „do niezachwianego wytrwania w obronie tego, co jest nietylko naszym narodowym interesem, ale historyczną i naturalną podwaliną ojczystego państwa."

Według d-ra Schmeykala o uwzględnieniu narodowych życzeń praw ludów niemieckich w Austryi, mowy być nie może, Austrya musi być niemiecką albo nie będzie istnieć.

Samo przez się rozumie się, że agitacye, prowadzone tak konsekwentnie w Czechach przez politycznych przewodników niemieckich, nie mogą pozostać bez wpływu na stosunek obu narodowości, mieszkających w kraju. Ale ten wpływ, mianowicie co do Niemców, nie jest takim, jakby pragnęli agitatorowie. Między Niemcami w Czechach wytworzyły się dwa stronnictwa: niemiecko-narodowe i niemiecko-austryackie. Ten rozdział wystąpił bardzo wyraźnie nawet między studentami uniwersytetu praskiego i jest tam faktem powszechnie znanym: że duchem austryackim ożywione są liczne korporacye studenckie, a nierównie mniéj burszowskich związków należy do stronnictwa narodowo-liberalnych. Pierwsi śpiewają na swoich komersach hymn austryacki, dla drugich pieśnią narodową jest „Die Wacht am Rhein."

Między ludnością niemiecką, która ze swego powołania i trybu zajęć zmuszoną jest do codziennego obcowania z ludnością innego pochodzenia, znajduje się naturalnie wiele jednostek, w których egoizm narodowy nie rozrósł się jeszcze do tego stopnia, ażeby miały się stać niedostępnemi dla właściwych każdemu cywilizowanemu człowiekowi uczuć sprawiedliwości i słuszności. Wszystkie te jednostki skłonne są w zupełności stosować i do Czechów zasadę: że dla wszystkich powinna być jedna miara słuszności i nie mogą się obronić od przeświadczenia, że równouprawnienie narodowe w szkole, w urzędzie i w życiu publiczném, do którego dążą Czechy, jest przecie słusznem żądaniem i że spełnienie tego żądania nie jest bynajmniéj wyrugowaniem Niemców, albo zagrożeniem niemieckiemu żywiołowi.

Mogę więc z zupełnym spokojem wyrazić twierdzenie, że mimo wszelkie agitacye między Niemcami w Czechach, znajduje się znaczna ilość ludzi i to ludzi po większéj części wysoko wykształconych, którzy nie przyklaskują agitacyom Schmeykala i jemu podobnych, lecz przeciwnie są w zupełności gotowi zakończyć trwające dotąd niesnaski narodowe zawarciem zgody, na podstawach uczciwie pojętego i uczciwie przeprowadzonego równouprawnienia narodowego. Że te umiarkowane żywioły między Niemcami nie zyskały jeszcze przewagi w politycznéj akcyi, to da się objaśnić prawem ogólnie rządzącém w życiu polityczném i sprawującém, że na pierwszy plan wysuwają się zwykle krańcowe, namiętniéj usposobione czynniki, które muszą najprzód swoją rolę odegrać, zanim się wytworzy zbawienna przeciw nim reakcya.

Taka reakcya przygotowuje się obecnie w Czechach między ludnością niemiecką i niewątpliwie nastąpi, jakkolwiek chwila rozpoczęcia dotychczas oznaczyć się nie da. Nie ulega wątpliwości, że wśród czeskich Niemców nadejść musi pora, kiedy każdy ukształcony Niemiec będzie o tém głęboko przekonany, że dwa główne oskarżenia, stawiane ciągle Czechom przez agitatorów niemieckich w celu utrzymania niemieckiéj ludności na nieprzyjazném stanowisku względem ludności czeskiéj, nie mają żadnéj podstawy, a więc na żadną nie zasługują uwagę. Niemcy w Czechach będą musieli w końcu przyznać, że Czechy nie mogą mieć zamiaru zniszczenia całego kraju, ani téż nie myślą bynajmniéj o zesłowiańszczeniu całéj Austryi, że ani w swoim kraju ani w państwie nie dążą do narodowego panowania, ale do usunięcia przeszkód, które jeszcze tamują swobodny rozwój ich narodowéj indywidualności, słowem że nie pragną niczego innego prócz zabezpieczenia własnego niezaprzeczonego prawa i bynajmniéj nie żywią ukrytéj intencyi uszczuplania praw cudzych.

Nastąpi nadto inna jeszcze reakcya między Niemcami w Czechach przeciwko agitacyi niemiecko narodowéj, przeprowadzanéj tam obecnie z wielką gorliwością, i oprze się na naturalnéj, oczywistéj argumentacyi. Niemcy w Czechach będą musieli powiedzieć sobie, nie waham się nawet dodać, że sobie już to mówią, że pojednanie narodowe w Czechach, leży w interesie Austryi, że nawet jest różnoznaczném z przyszłą egzystencyą państwa austryackiego. Niemcy w Czechach będą musieli powiedzieć sobie, że wrogie odstrychnięcie się ich od Czechów w królestwie czeskiém, którego domagają się polityczni kierownicy Niemców, że taka odporna pozycya wobec narodowych dążeń Czechów, takie zasadnicze zaprzeczanie równości praw, których domaga się druga strona, jest możliwém do

przeprowadzenia tylko w niemiecko-narodowém państwie, że zatém Czechy musiałyby należyć do cesarstwa niemieckiego, gdyby miały się spełnić życzenia dzisiejszych agitatorów niemieckich; że zatém te pretensye nie możliwe są do przeprowadzenia w państwie austryackiém, którego konstytucya uroczyście przyjęła za prawo zasadnicze ustroju państwowego: równouprawnienie wszystkich narodowości. Cała więc niemiecko-narodowa agitacya w Czechach streści się dla tamecznych Niemców w pytaniu: czy chcą zostać przy Austryi, czy pragną być wcieleni do cesarstwa niemieckiego? a pod tym względem mogę już teraz zaznaczyć fakt, że wszyscy Niemcy w Czechach ożywieni duchem prawdziwie austryackim, nie okazują się nieżyczliwemi dla Czechów i że takie anti-czeskie usposobienie ogranicza się tylko do tych sfer, w których duch austryacki poświęcanym jest na ofiarę niemiecko-narodowemu.

Tylko w tych sferach, które, mogę to śmiało powiedzieć, stanowią mniejszość wśród niemieckiéj ludności w Czechach, wszystko podaje się w wątpliwość, wszystko się odrzuca, co w ostatnich czasach zrobiono pod względem praktycznego przeprowadzenia narodowego równouprawnienia. Większość sprawiedliwie myślących Niemców musi dziś już przyznać, że narodowe zdobycze Czechów w ostatnich czasach: rozporządzenie o języku z kwietnia 1880 r. jak również prawo o *utworzeniu uniwersytetu czeskiego w Pradze*, uchwalone na kończącéj się obecnie sesyi rady państwa z 1881—2 r. wreszcie zmiana ordynacyi wyborczéj w grupie wielkich właścicieli ziemskich spełniają życzenia Czechów, ale nie mogą bynajmniéj szkodzić zupełnie uzasadnionym prawom narodowym Niemców.

Rozporządzenie o języku z 19 kwietnia 1880 r. jest wprawdzie najmniejszą z naszych narodowych zdobyczy, ale praktycznego jéj znaczenia lekceważyć nie należy. To ministeryalne rozporządzenie narobiło już wiele krzyku i dziś jeszcze ma nieprzyjaciół. Przed 1848 r.—jak już to w jednym z poprzednich moich listów obszerniéj wykazałem—istniało w Czechach jednakowe prawo dla obu języków krajowych w urzędzie i przed sądami, ale z biegiem czasu ta równość wyszła zupełnie z praktyki. Rozporządzenie ministeryalne z 19 kwietnia 1880 r., nie wytworzyło żadnego nowego prawa, lecz usunęło dawną, przeciwną prawu praktykę. Jak więc dawniej zła wola rządu umożliwiła wdarcie się takiéj nieprawnéj praktyki, tak obecnie dobra wola rządu może tę praktykę tém łatwiéj usunąć, że równouprawnienie obu narodowości uznane jest przez konstytucyę. A jeżeli rząd wymaga, ażeby jego urzędnicy bądź polityczni, bądź sądowi w królestwie czeskiém, zamieszkałém przez dwie narodowości, znali oba języki krajowe, to Niemcy tak mało mają powodów do

uskarżania się na zczeszczenie, jak Czesi do protestowania przeciw germanizacyi. Tu szczególniéj stwierdza się zasada, że dla wszystkich powinna być jedna miara.

Niemcy jednak protestują dotąd przeciwko rozporządzaniu o języku, a czytelnik łatwo się domyśli, że Niemcy w tym razie, to stronnictwo niemiecko-narodowe. Według życzenia tych naszych niemieckich przeciwników, język niemiecki powinienby naturalnie, jako urzędowy austryacki, znaleźć nieograniczone zastosowanie we wszystkich urzędach i sądach w królestwie czeskiém, a czeski język tylko w urzędach i sądach tych okręgów, w których wyłącznie Czesi mieszkają. Spór zatém w kwestyi czy we wszystkich urzędach i sądach w królestwie czeskiém, podania czeskie mogą być po czesku załatwiane, pozostał nierozstrzygniętym; ale, jak już wspominałem, dobra wola rządu i potrzebna do tego energia doprowadzą nareszcie do rozstrzygnięcia w duchu prawnie istniejącego równouprawnienia.

Otworzenie w Pradze uniwersytetu z czeskim językiem wykładowym, ustanowione prawnie na początek roku szkolnego 1882—3, jest niezaprzeczenie najważniejszą narodową zdobyczą, którą naród czeski zapisał w najnowszéj swojéj historyi. Odpowiednie prawo otrzymało najwyższą sankcyę cesarza Franciszka Józefa I, dnia 28 lutego 1882 r.

Donosiłem w ostatnim moim liście, w jakiéj formie to prawo przyjęte zostało w izbie poselskiéj austryackiéj rady państwa w końcu maja 1881 r. Obecnie muszę przypomniéć, że projekt do prawa taki, jaki wyszedł z rozpraw Izby deputowanych, był rezultatem kompromisu zawartego między dwoma wielkiemi stronnictwami izby, a właściwie kompromisu między niemieckiemi a czeskiemi deputowanemi królestwa czeskiego, i że ten projekt jednogłośnie był przyjęty w komisyi szkolnéj izby deputowanych. Według tego, co teraz wiem, a szczególniéj po zajściach w izbie panów, muszę zgodnie z prawdą i objektywnym poglądem dodać tu uwagę, że kompromis nie był ze strony Niemców z dobrą wiarą przyjęty, i że przeciwnie Niemcy przyznawali się do widocznego zamiaru niedopuszczenia, aby projekt do prawa stał się rzeczywistém prawem, słowem do puszczenia o ile można w odwłokę otwarcia uniwersytetu czeskiego.

Mimo że komisya przyjęła jednogłośnie projekt do prawa, 55 członków lewicy głosowało w izbie poselskiéj przeciwko poddaniu go pod specyalne rozstrząsanie, a kiedy większość izby odrzuciła wniosek deputowanego Granitscha, wniesiony niewątpliwie według planu z góry obmyślanego i dążący do zamieszczenia w projekcie zasady języka niemieckiego, jako państwowego austryackiego, cała lewica

z wyjątkiem kilku członków, uważających widocznie tę procedurę za niegodny manewr stronniczy, głosowała przeciwko projektowi do prawa przyjętemu w komisyi jednogłośnie i opartemu na uroczystym kompromisie między posłami niemieckiemi a czeskiemi.

Nie trudno więc było dostrzedz, że stronnictwo niemieckie nosi się z zamiarem przeszkodzenia urzeczywistnieniu uniwersytetu czeskiego w Pradze, to też hr. Taafe dobrze zrobił, odraczając dn. 4 czerwca 1881 r. radę państwa, co przeszkodziło załatwieniu w ówczesnéj izbie panów projektu tego uniwersytetu. Wielu ludzi niecierpliwych i pod względem politycznym krótkowidzących, zresztą dobrych, gorliwych patryotów, miało za złe hr. Taafe takie postąpienie i posądzało go otwarcie, że on sam nie życzy sobie przyjścia do skutku uniwersytetu czeskiego. Następstwa nauczyły naturalnie gorliwych patryotów i zmusiły ich w końcu do oddania sprawiedliwości uczciwéj i dobréj woli hr. Taafego, a szczególnie jego rozumnéj przezorności.

Hr. Taafe zostawił w spoczynku kwestyę uniwersytetu przez lato 1881 r. i zajął się przedewszystkiém zapewnieniem sobie potrzebnéj większości w izbie panów austryackiéj rady państwa. 20 listopada 1881 r. nastąpiło mianowanie 14 nowych członków izby panów, naturalnie takich członków, którzy nie przystąpili do nieprzyjaznéj dla rządu lewicy i dopiéro wtedy projekt do prawa o utworzeniu czeskiego uniwersytetu mógł być w izbie panów załatwiony według życzenia rządu.

Sprawa, naturalnie, gładko nie poszła: bo wszystkie komisye izby panów, a zatém i komisya szkolna, były ukonstytuowane według dawnego ustroju izby, tj. partya przeciwna rządowi miała we wszystkich komisyach, więc i w komisyi szkolnéj, stanowczą większość. Rzecz naturalna, że z takiéj komisyi szkolnéj izby panów, wyszło takie sprawozdanie o wniesionym przez izbę poselską projekcie do prawa i takie powstały poprawki tego projektu, że przyjęcie go w izbie panów w téj formie utrudniłoby, jeżeli nie całkiem uniemożliwiło przeprowadzenie prawa.

Na to sprawozdanie i połączone z niem projekta do poprawek w prawie, zawotowanem przez izbę poselską, miała ważny, ściśle mówiąc, stanowczy wpływ petycya, którą senat akademicki uniwersytetu prazkiego uchwalił 20 listopada 1881 r. i przesłał izbie panów austryackiéj rady państwa. Nie potrzebuję dodawać, że ten akademicki senat dzisiejszego uniwersytetu prazkiego jest w znacznéj większości niemieckim, ale mniéj znaną jest ta okoliczność, że między niemieckiemi profesorami uniwersytetu prazkiego znajduje się znaczna liczba (przeszło dwudziestu) uczonych, powołanych z niemieckiego ce-

sarstwa, którzy naturalnie, jako rzetelni przedstawiciele niemieckiéj kultury, mają w tym senacie rozstrzygający głos w sprawach narodowych. Samo przez się więc rozumie się, że rzeczona petycya nie w tym celu była zredagowana, ażeby popierać według możności utworzenie czeskiego uniwersytetu w Pradze. Wszystko więc ładnie się złożyło: najprzód kompromis niemieckich i czeskich posłów w Wiedniu; potém petycya senatu akademickiego uniwersytetu prazkiego przeciwko temu co uchwalono na podstawie tego kompromisu. Posłowie niemieccy mieli dla pozoru okazać dobrą wolę, a niemieckim profesorom w Pradze, jako świadomym rzeczy, przypadła misya dowieść Izbie Panów, że to na co dobra wola zbyt dobrodusznie przystała nie może być przyznaném.

„Senat akademicki przeniknięty przekonaniem, mówią Izbie panów niemieccy profesorowie z Pragi, że dwoiste urządzenie uniwersytetu prazkiego musi za sobą niechybnie pociągnąć upadek téj instytucyi i że już obecny opłakany stan, spowodowany wystąpieniem wyłącznie narodowych dążeń, wymaga szybkich środków zaradczych, widzi w utworzeniu oddzielnego uniwersytetu czeskiego jedyny, w danych warunkach możliwy, środek utrzymania całości dzisiejszego uniwersytetu Karola Ferdynanda.“

„Utworzenie nowego uniwersytetu nie powinno nastąpić kosztem i z krzywdą dzisiejszego uniwersytetu, a nowa szkoła wyższa musi być tak urządzona i stosunek jéj do istniejącéj w ten sposób uregulowany, ażeby niedogodności obecnego stanu ostatecznie zostały usunięte, a narodowe wymagania stanowczo były załatwione.“

„*Uchwalone przez wysoką Izbę poselską prawo, tyczące uniwersytetu Karola Ferdynanda, nie odpowiada, zdaniem senatu akademickiego, żadnemu z przytoczonych wyżej wymagań.*“

„Myślą zasadniczą tego prawa nie jest utworzenie nowego uniwersytetu obok już istniejącego, ale podział tego ostatniego i to taki, że mają stąd powstać, nie dwa zakłady zupełnie od siebie niezależne i pod każdym względem samoistne, ale dwie instytucye, pod różnemi względami w jednę wyższą całość złączone. Ta myśl wyraża się we wspólnéj nazwie Carolo-Ferdinandea, we wspólności mienia uniwersyteckiego, nareszcie w przepisie, według którego studenci mają się wprawdzie immatrykulować w jednym uniwersytecie, faktycznie jednak naukę pobierają w równych częściach w obu uniwersytetach i tym sposobem do obu w równéj mierze należyć mogą. Ta myśl zasadnicza spowodowała, że prawo zawiera szereg przepisów, które z jednéj strony dotkliwie szkodzą istniejącemu uniwersytetowi, z drugiéj strony zawierają w zawiązku zło w rodzaju tego, które przez pomienione prawo ma być usuniętém.

W rezultacie, po długiem motywowaniu, senat akademicki wyraża prośbę do Izby panów:

„Ażeby wysoka Izba panów raczyła wprowadzić do projektu do prawa, tyczącego c. k. uniwersytetu Karola Ferdynanda zmiany i uzupełnienia w duchu następujących zapatrywań:

1) „Przez utworzenie uniwersytetu z czeskim językiem wykładowym nie będzie nic zmienioném w prawnéj egzystencyi istniejącego uniwersytetu. Ten ostatni w ogóle i każdy pojedyńczy fakultet w szczególe zostaje w posiadaniu mienia, które do niego należy, o ile za ich przyzwoleniem nie nastąpi odstąpienie jakiejś części tego mienia na rzecz uniwersytetu z czeskim językiem wykładowym.

2) „Na niemieckim uniwersytecie język niemiecki, na czeskim język czeski będzie wyłącznie używany do wykładów, do egzaminów i do wewnętrznéj korespondencyi. Język łaciński nie jest w wykładzie wyłączony.

3) Oba uniwersytety są pod względem przestrzeni zupełnie oddzielone; Karolinum należy wyłącznie do niemieckiego uniwersytetu, czeski pomieści się w Klementinum.

(Karolinum, tak nazwane od króla Karola I (niemieckiego cesarza Karola IV) założyciela uniwersytetu prazkiego—jestto stary historyczny gmach uniwersytecki. Nazwę Klementinum nosi kollegium Jezuitów, wybudowane w 17 wieku. Łatwo odgadnąć do czego zmierza takie żądanie).

4) Słuchacz zapisany do jednego uniwersytetu, może jako wolny słuchacz uczęszczać na kursa drugiego uniwersytetu; ale obowiązany jest uczęszczać na najmniéj trzy czwarte ogólnéj liczby godzin w tym uniwersytecie, w którym jest zapisany.

5) „Istniejące przy uniwersytecie Karola Ferdynanda naukowe urządzenia, zbiory i instytuty zostają przy uniwersytecie niemieckim, o ile w téj chwili nie należą do katedr z czeskim językiem wykładowym.

6) Dopóki nie będą urządzone przy nowym uniwersytecie oddzielne kliniki dla chorych, będzie tymczasowo dla czeskiego uniwersytetu wyznaczone po jednéj z istniejących przy dzisiejszym uniwersytecie.

7) Ogród botaniczny zostaje przy niemieckim uniwersytecie.

8) Stosunki instytutów klinicznych i anatomicznych do publicznych zakładów leczniczych, uregulowane będą według równouprawnienia identycznych katedr.

9) Wszyscy profesorowie, którzy nadal mianowani będą do istniejącego teologicznego lub medycznego fakultetu, i wszyscy prywat-

docenci, którzy się w tych fakultetach habilitować będą, mają wykładać wyłącznie w niemieckim języku.

(Ponieważ w mającym się utworzyć czeskim uniwersytecie będą tymczasowo otwarte tylko dwa fakultety: filozoficzny i prawny, więc ten ostatni punkt petycyi, zmierza do przeszkodzenia otwarciu dwu innych fakultetów: teologicznego i medycznego, nominacya bowiem czeskich profesorów lub habilitacya czeskich prywat-docentów do tych dwu fakultetów stałaby się przez to niemożliwą).

10) Docenci teologicznego i medycznego fakultetu, którzy dotychczas posługiwali się do wykładu w zupełności lub w części czeskim językiem będą i nadal do tego upoważnieni; ale mają być uważani za profesorów lub prywat-docentów wyznaczonych do czeskiego uniwesytetu i za przydanych tylko członków tych fakultetów, do których dotychczas należeli, w skutek czego w sprawach uniwersyteckich i fakultetowych, przysługuje im tylko głos doradczy, prawa zaś wyborczego nie mają.“

Ta petycya senatu akademickiego nie została bez spodziewanego skutku. Komisya szkolna Izby panów, jak już wspomnieliśmy, nieprzyjazna Czechom i opozycyjna, wybrała na sprawozdawcę o projekcie do prawa, tyczącym podziału uniwersytetu prazkiego, byłego speakera wiernokonstytucyjnego, mieszczańskiego ministeryum, dr. Ungra, a ten w obszernem sprawozdaniu, w którem narodowe życzenia i wymagania przedstawione były w sposób bardzo pogardliwy, wymotywował zmiany projektu do prawa, przedstawione w petycyi prazkiego senatu akademickiego.

Gdyby Izba panów była przyjęła te projektowane zmiany swojéj komisyi szkolnéj, byłby projekt w ten sposób zmieniony powrócił do Izby deputowanych; posłowie narodu czeskiego byliby zmuszeni oświadczyć, że na te zmiany zgodzić się nie mogą i byłyby powstały zawikłania i trudności w skutku których utworzenie czeskiego uniwersytetu mogło było łatwo być odłożonem *ad calendas graecas.*

Mniejszość komisyi szkolnéj, któréj sprawozdawcą był zaszczytnie znany historyk, baron Józef Aleksander von Helfert postawiła wniosek, ażeby projekt do prawa Izby deputowanych w głównéj osnowie pozostawić niezmienionym i żeby tylko ze względu na spóźnioną porę i na potrzebne przygotowania, przyjąć mało znaczącą poprawkę: że otwarcie czeskiego uniwersytetu nastąpi nie z początkiem roku szkolnego 1881, lecz z rozpoczęciem roku 1882—3.

Ze strony czeskiéj zrobiono naturalnie wszystko co było można, aby skłonić Izbę panów do przyjęcia wniosku mniejszości komisyi szkolnéj.

Profesorowie i prywat-docenci czescy wystosowali do wysokiéj Izby panów memoryał o petycyi senatu akademickiego pod datą 10 stycznia 1882 r.; doktorowie prawa narodowości czeskiéj wnieśli do wysokiéj Izby panów petycyę z 393 podpisami „w sprawie projektu do prawa o uregulowaniu stosunków prawnych uniwersytetu prazkiego“ pod datą 29 stycznia 1882.

Trzéj profesorowie czescy i jednocześnie członkowie Izby deputowanych, Kośčala, Kryiś i Taliř ogłosili również w styczniu 1882 r. pro memoria pod tytułem: „do sprawy uniwersyteckiéj, w którém autor, profesor, filologii klasycznéj Kośčala, sprawozdawca o projekcie do prawa w Izbie deputowanych, którego energiczne zabiegi o przeprowadzenie téj ważnéj narodowéj sprawy zasługują na najpochlebniejsze zaznaczenie, poddał surowéj krytyce sprawozdanie d-ra Ungra.

Poniżéj podaję główną treść pierwszego pisma, które treściwie rozjaśnia wzmiankowane kwestye sporne.

„Petycya senatu akademickiego, mówią czescy profesorowie wychodzi z dowolnego zupełnie punktu zapatrywania jakoby uniwersytet Karola Ferdynanda nie był dwoistym lecz tylko niemieckim zakładem, w którym obok odczytów niemieckich *obowiązkowo* kompletnych, *mogą* być także wykładane lekcye w języku czeskim. Dowodu na to twierdzenie, postawione w petycyi, nie przytoczono ani razu, co jest rzeczą naturalną, ponieważ taki dowód nie istnieje. Niema ani z dawniejszych ani z nowszych czasów prawa, któreby taki przepis zawierało, któreby nawet wyłączne użycie niemieckiego języka na uniwersytecie stanowiło. W istocie rzecz się ma tak, że pierwotnym językiem wykładowym był z dawien dawna język łaciński; że za rządów cesarzowéj Maryi Teresy wyjątkowo utworzono kilka niemieckich katedr; że za panowania cesarza Józefa II, i w późniejszych jeszcze czasach użycie niemieckiego języka coraz bardziéj się rozszerzało; że w skutku zmieniających się potrzeb czasu od 1848 r. utworzono niektóre czeskie katedry i niektórym profesorom dano do wyboru użycie w wykładach czeskiego lub niemieckiego języka i na téj drodze stopniowo w coraz szerszych rozmiarach przygotowywało się przeprowadzenie w uniwersytecie uznanego przez konstytucyę równouprawnienia obu narodowości.

„Jeżeli według tego uniwersytet Karola Ferdynanda nie jest pod względem prawnym wyłącznie niemieckim, to upadają wszelkie długie dedukcye o prawie własności uniwersyteckiego mienia, jakoby jedynie uniwersytetowi niemieckiemu przysługującém. Chcąc ściśle pilnować się dokumentów prawnych, możnaby co do jednego z majątków uniwersyteckich „Michel“ pod Pragą, windykować wyłączne

prawo dla czeskiéj części uniwersytetu, bo akt donacyjny z 1438 r. przeznacza go tylko dla studentów uniwersytetu czeskiego pochodzenia (nationis et linguagii Bohemici). Zresztą kwestya mienia uniwersyteckiego jest niewielkiego znaczenia, bo dochody z tego majątku są bardzo małe, a płaca profesorów, utrzymanie budowli, wydatki na różne urządzenia i w ogóle wszystkie potrzeby uniwersytetu zaspakajane są z dochodów rządowych.

„Jeżeli zatém mienie uniwersyteckie nie należy wyłącznie do niemieckiéj części uniwersytetu, to w niwecz się obracają wszystkie trudności, stawiane przez senat z takim przyborem prawnych subtelności, dla wykazania niemożliwości podziału dotychczasowego, jednolitego uniwersytetu na dwa, różniące się z sobą językiem i jednakowém uposażone prawem do tego majątku. Jak niegdyś wolno było cesarzowi Ferdynandowi II wcielić do zakonu jezuitów, uniwersytet, założony przez cesarza Karola IV, a cesarz Ferdynand III, mocen był wskrzesić znów niezawisłość tego uniwersytetu, a następnie oba zakłady: Karoliński i Jezuicki połączyć w jeden uniwersytet Carolo-Ferdinandea (1654) tak wolno jest niewątpliwie naszemu najmiłościwszemu cesarzowi, Franciszkowi Józefowi I, zgodnie ze zmienionemi potrzebami, postanowić nowe przepołowienie szanownego zakładu z utrzymaniem równych praw dla obu narodowości w kraju.“

„Profesorowie niemieccy, zarówno jak czescy, mianowani są na katedry dekretami Jego cesarskiéj mości, niemieccy docenci zarówno jak czescy otrzymali prawo wykładania, na mocy takich samych prawnie przepisanych aktów habilitacyjnych, jednym jak i drugim przysługują te same prawa, które organizacya uniwersytetu przyznaje członkom nauczycielskiéj korporacyi. Tymczasem petycya senatu akademickiego żąda, ażeby po utworzeniu oddzielnych czeskich fakultetów prawnego i filozoficznego, na dwa inne fakultety: teologiczny i medyczny nie byli mianowani nowi, po czesku wykładający profesorowie, a nawet żeby profesorowie, którzy dotychczas posługiwali się w wykładach bądź wyłącznie, bądź częściowo czeskim językiem, mieli odtąd w korporacyi nauczycielskiéj głos tylko doradczy bez prawa do wybierania.“ „Niepodobna zrozumiéć z jakiego powodu profesorowie czescy właśnie od téj chwili mają utracać prawo do głosu i do wyboru, które dotychczas na równi z Niemcami i na podstawie jednakowych praw i statutów posiadali i z jakiéj przyczyny czescy docenci nie mają się dostawać na katedry przy fakultetach, skoro każdy po to tylko habilituje się na docenta, ażeby mieć widoki dojścia do profesury.“

„Petycya akademickiego senatu uskarża się na „złe następstwa dwoistego urządzenia uniwersytetu“ i wyraża przekonanie, „że takie

urządzenie prazkiego uniwersytetu musi za sobą niechybnie pociągnąć upadek téj instytucyi i że już obecny opłakany stan, spowodowany wystąpieniem wyłącznie narodowych dążeń, wymaga szybkich środków zaradczych.“ Te środki zaradcze byłyby, według istotnéj myśli petycyi, najwłaściwiéj i najprościéj przedsięwzięte, gdyby mianowani dotychczas czescy profesorowie nietylko na fakultetach teologicznym i medycznym, co jest otwarcie powiedzianém, ale na fakultetach filozoficznym i prawnym, co już nie jest wypowiedziane, wpisani zostali na etat wymarcia. Na czém jednak polegają złe skutki dwoistości i dla czego ma z nich wyniknąć upadek uniwersytetu, o tém petycya nie mówi ani słowa. Dla naukowego wykształcenia dwoistość złych skutków nie pociąga. Uniwersytet, od czasu założenia, działa w części przynajmniéj zbawiennie na rozwój nietylko niemieckiéj ale i czeskiéj literatury naukowéj, coby nie miało miejsca bez dwoistości. Zdaje się więc, że złe następstwa, o których mówi senat akademicki, streszczają się w tém co jest w petycyi nazwaném: „wystąpieniem wyłącznie narodowych dążeń.“ Pod tym względem nie można zaprzeczyć, że wskutek wyłącznie narodowych dążeń, to jest dążeń, które ze szkodą interesów naukowych zmierzają tylko do panowania jednéj narodowości nad drugą, wynikają w korporacyi nauczycielskiéj i między studentami starcia, które, szczególniéj w korporacyi profesorskiéj, utrudniają wspólną działalność członków obu narodowości.“

„Projekt do prawa przyjęty przez wysoką Izbę poselską pozwala, według ilości studentów, słuchać połowy lekcyj na drugim uniwersytecie; petycya senatu akademickiego, pragnęłaby to ograniczyć do czwartéj części całkowitéj liczby studentów. Za powód tego ograniczenia podaje się, że rozciągnięcie władzy dyscyplinarnéj nad jedym i drugim uniwersytetem tém więcéj jest utrudnioném im większa jest liczba studentów nieimmatrykulowanych.

„Myślą naszą było *nie zniesienie jedności Uniwersytetu ale podział fakultetów na niemieckie i czeskie, przyczém miałaby miejsce jedna tylko immatrykulacya, we wspólnym uniwersytecie, a zatém jednolita władza dyscyplinarna.*

Podział na dwa uniwersytety wytworzy niewątpliwie pewne trudności, ale różnica w ich donioslości przy pozwoleniu połowie lub czwartéj części studentów na słuchanie lekcyj w uniwersytecie, w którym nie będą zapisani, nie okaże się znaczną, bo w jednym i w drugim wypadku tak niemieccy jak czescy studenci z konieczności schodzić się muszą w tych samych zabudowaniach. Ograniczenie do czwartéj części lekcyi w innym języku, zacieśniłoby bardzo swobodę

wyboru i uczyniłoby złudném prawo słuchania lekcyi w obu językach. Chcąc słuchać większą liczbę godzin w innym języku, niejeden student byłby zmuszonym zapisywać się przeciw swemu życzeniu do drugiego uniwersytetu, przezco mięszanina, któréj się chce uniknąć na jednéj drodze, wytworzyłaby się na innéj.

„Petenci są zresztą zdania, że do rozdziału obu uniwersytetów pod względem przestrzeni, wielką wagę przypisywać należy. Opłakane nadużycia przeszłorocznego lata, na które powołują się bezustanku, wydarzały się nie w obrębie uniwersytetu, lecz na ulicy i gdzieindziéj i to nie wyłącznie między niemieckimi i czeskimi studentami, lecz raczéj między tymi ostatnimi i rozdrażnionymi niższemi warstwami ludności czeskiéj, podobnym więc wypadkom rozdział nie zapobiegnie. Zdarzały się za to w innych miejscach w murach uniwersytetu nadużycia, których przyczyna tkwiła nie w różności narodowego pochodzenia ale w innych okolicznościach, a których ustrzedz się nie było można. Jeżeli więc byłby na widoku rozdział pod względem przestrzeni, to w żadnym razie nie w sposób nieodpowiadający celom naukowego wykładu, jak np. przez przeniesienie czeskiego uniwersytetu do Klementinum, które pod każdym względem jest nieodpowiedniém i niewystarczającém.“

Z tych powodów profesorowie czescy proszą wysoką izbę panów, ażeby przyjęła projekt do prawa zawotowany przez Izbę poselską.

Rozprawy nad projektem do prawa o utworzeniu czeskiego uniwersytetu, toczyły się w Izbie panów austryackiéj rady państwa 8 i 9 lutego 1882 r. w trzech posiedzeniach; we czwartek, 8 lutego ze względu na nagłość przedmiotu odbyło się dodatkowe wieczorne posiedzenie.

Winienem przedewszystkiém zaznaczyć, że na wyraźne życzenie prezesa ministrów hr. Taafego, obronę wniosku mniejszości komisyi szkolnéj Izby poselskiéj, przyjął na siebie zamiast barona von Helferta, hr. Fryderyk Schönborn, namiestnik Morawii, członek czeskiego stronnictwa szlacheckiego, co było dla każdego jasną wskazówką, że rząd solidaryzuje się z tym wnioskiem mniejszości.

Ogólne rozprawy były turniejem parlamentarnéj wymowy w wyższym stylu: za wnioskiem większości przemawiali, oprócz sprawozdawcy D-ra Ungra, baron von Tomaschek, kawaler von Hasner, były prezes mieszczańskiego ministeryum, profesor uniwersytetu praskiego Höfler i książę Schönburg, za wnioskiem mniejszości, oprócz sprawozdawcy hr. Schönborna, hr. Ryszard Belcredi, prezes najwyższego trybunału administracyjnego, profesor uniwersytetu czeskiego Dr. Randa, kawaler von Miklosić, baron von Helfert, hr. Leo Thun.

Między wszystkiemi wypowiedzianemi z tego powodu mowami, na pierwszorzędną wzmiankę zasługuje bezwątpienia mowa hr. Ryszarda Belcrediego, który z wielką znajomością rzeczy przedstawił historyczne i prawne stosunki uniwersytetu praskiego i w gorących słowach bronił praw czeskiego narodu. Prezes ministrów hr. Taafe, odpowiedział na zarzut opozycyi: jakoby rząd pozwalał się wciągać bez planu od ustępstwa do ustępstwa, ale według ukrytego planu dążył do federalizmu: „Rząd nie postępuje bez planu, lecz dąży według planu zupełnie jawnego, który polega głównie na tém, aby umożliwić porozumienie. Jeżeli zaś ma być wogóle mowa o porozumieniu, to zdaniem rządu jest ono wtedy tylko możliwém, *jeżeli się uwzględnia słuszne żądania narodowości, o ile na to jedność i pozycya polityczna państwa pozwala.*" Minister wyznań i oświaty, Conrad von Eybesfeld, dodał do tego jeszcze: „Rząd jest stanowczo tego zdania, że do załatwienia spraw narodowych jedna jest tylko droga: zostawić ludności swobodę porozumienia się co do własnych jéj interesów i szukać środków do tego porozumienia. Rząd ufa, że Niemcy w Czechach i w Austryi, którzy, odkąd tylko Austrya istnieje, bronili jéj wielkości i honoru, dojdą i w przyszłości do przekonania, że *honor czeski jest téż honorem austryackim.*"

Dnia 10 lutego 1882 r. przy imiennéṁ głosowaniu i przy niezwykle licznéj, w austryackiéj Izbie Panów, obecności jéj członków, projekt do prawa uchwalony przez Izbę poselską przyjęty został 82 głosami przeciwko 55, czyli większością 27 głosów.

Wskutku wspomnianéj już małoznacznéj zmiany, według któréj w Art. I miało być „z początkiem roku szkolnego 1882—3 (zamiast pierwotnie naznaczonego 1881—2), uchwała Izby Panów musiała być zwróconą do Izby poselskiéj, gdzie 14 lutego 1882 r. zmieniony w ten sposób projekt, przyjęty był bez rozpraw przez większość przeciwko głosom lewicy i tym sposobem prawo przez Radę państwa załatwione zostało. Sankcya cesarska nastąpiła—jak wyżéj wzmiankowałem — 28 lutego 1882 r.

W Czechach powitano z uniesieniem uchwałę austryackiéj Izby Panów, jako początek nowéj ery, w któréj Austrya zapewne wyemancypuje się zupełnie z przesądu, że prawdziwa idea państwowa austryacka polega na uciskaniu nieniemieckich ludów monarchii. Imię cesarza Franciszka Józefa czczone będzie w historyi narodu czeskiego jako imię wielkodusznego odnowiciela narodowéj kultury.

W ciągu lata 1882 r. przedsięwzięto w Pradze odpowiednie przygotowania do stosownego umieszczenia czeskiego uniwersytetu. W maju uorganizowały się kollegia profesorskie nowych czeskich fakultetów: filozoficznego i prawnego w celu przedstawienia mini-

strowi wyznań i oświaty, w drodze przepisanéj, swoich projektów co do obsadzenia niektórych jeszcze katedr.

W końcu nie mogę się powstrzymać od wyrażenia żalu, że spełnienie tego narodowego życzenia, tak ważnego dla przyszłości Czechów, nie mogło nastąpić w ten sposób, w jaki pierwotnie pragnęliśmy je urzeczywistnić, mianowicie że zasada narodowego równouprawnienia w czeskim uniwersytecie nie została przeprowadzona przez przekształcanie instytucyi na prawdziwie dwoisty uniwersytet, w którym fakultety czeskie i niemieckie, na równi pod względem praw postawione, byłyby połączone pod *jednėm* wyższém kierownictwem, ze zmieniającym się co rok rektoratem niemieckim i czeskim.

Co do mnie, muszę przyznać, że razem z wszystkimi Czechami żałuję tego z dwóch powodów.

Dwoisty praski uniwersytet, byłby w Czechach wyrazem zawartéj nareszcie między Niemcami i Czechami zgody, do któréj dążyliśmy zawsze szczerze i otwarcie i do któréj téż nadal szczerze i otwarcie zmierzać będziemy.

Dwoisty praski uniwersytet byłby powitany w całéj cywilizowanéj Europie jako zapowiedź rozpoczętego pokoju międzynarodowego, jako drogowskaz w rozwoju cywilizacyi europejskiéj, wreszcie zwróciłby na siebie ogólną uwagę jako unikat w swoim rodzaju. Taki uniwersytet wywierałby na młodzież wszystkich słowiańskich krajów silny urok przyciągający, a nawet kollegia niejednego z niemieckich profesorów zyskałyby większą liczbę słuchaczów. Słowem dwoisty uniwersytet praski byłby rozgłośnym i uczęszczanym wyższym zakładem, kiedy tymczasem teraz oddzielony niemiecki uniwersytet musi koniecznie stracić na znaczeniu, a oddzielony czeski uniwersytet może mieć tylko ograniczone znaczenie. Widocznie niemieccy profesorowie, pod wpływem narodowego krótkowidztwa, stracili z oczów własną korzyść.

Jeżeli między zdobyczami narodowemi najnowszych czasów zamieściłem zmianę ordynacyi wyborczéj, to muszę z góry dodać następującą uwagę. Systemat niesłusznych ordynacyj wyborczych, stworzony w 1861 r. przez Schmerlinga i nieodpowiedni danym warunkom co do liczby ludności i normy opodatkowania, miał jedynie na celu osiągnięcie możliwie znacznych niemieckich większości w sejmach i w radzie państwa. Jeżeli więc dzisiejszy rząd oświadcza się z gotowością zmienienia tego systematu, a zatém nie chce nadal uważać utrzymania hegemonii niemieckiéj za niezachwianą podstawę polityki austryackiéj, to wszelką w tym kierunku przedsięwziętą zmianę w istniejącéj ordynacyi wyborczéj, można uważać za zdobycz narodową.

W tym wypadku idzie nie o zmianę ordynacyi wyborczéj do sejmu czeskiego, na którą, jak wiadomo, przedewszystkiém uskarżamy się, lecz o zmianę ordynacyi wyborczéj do austryackiéj rady państwa. W ordynacyi tyczącéj królestwa czeskiego byłoby wiele do zmienienia, gdyby chcieć usunąć wszystkie niesprawiedliwości rażące przy danych stosunkach.

Sejm czeski liczy 241 członków w następującym składzie:

1) Głosy pojedyńcze: arcybiskup, 3 biskupów i rektor uniwersyt.	5
2) Wielka posiadłość ziemska (fideikomis 16—reszta 54) . . .	70
3) Miasta 72 — Izby handlowe 15	87
4) Gminy wiejskie	79
Ogółem . .	241

W kuryi miast i Izb handlowych narodowość czeską reprezentuje 36 członków, w kuryi gmin wiejskich 49.

Stosunek ludności jest: przeszło $^3/_5$ czechów — niecale $^2/_5$ niemców.

W tak niesłusznym rozdziale stanowiła nadto ordynacya wyborcza Schmerlinga że: 70 członków kuryi wielkiéj własności, w dwóch korporacyach wyborczych, wybieranych będzie w jednéj miejscowości wyborczéj jednym aktem wyborczym (głosowanie z listy), ażeby w ten spsób niemieckiemu stronnictwu zapewnić w sejmie większość $^2/_3$.

Do austryackiéj rady państwa wybierają Czechy 92 posłów, również według systematu trzech kuryi:

1) Wielka posiadłość ziemska jednym aktem wyborczym	23
2) Miasta i Izby handlowe	39
3) Gminy wiejskie	30
Ogółem .	92

Narodowość czeska ma tu w klasie wyborców z miast i Izb handlowych 16 posłów, z gmin wiejskich 18. Co do reprezentantów wielkiéj posiadłości ziemskiéj rzecz się ma tak samo jak w sejmie.

O zmianie ordynacyi wyborczéj do sejmu, w téj chwili mowy jeszcze niema, niemiecka— albo używając technicznego wyrażenia— „konstytucyjna" większość sejmu odrzuciła już projekta rządowe w téj materyi. Możemy tylko spodziéwać się, że zmiana ordynacyi wyborczéj do rady państwa, mająca już moc prawną, nie zostanie bez wpływu na zmianę ordynacyi wyborczéj do sejmu.

Że Schmerling zdążał do własnych celów, przez wybieranie jednym aktem wyborczym reprezentantów czeskiéj własności ziemskiéj, wynika już z téj okoliczności, że w Galicyi wybiéra się 20 posłów z wielkiéj własności ziemskiéj do rady państwa w 20 okręgach wy-

borczych; w Bukowinie 3 posłów, takiejże kuryi w 2 okręgach wyborczych i w Tyrolu 5 posłów z wielkiéj własności ziemskiéj również w 2 okręgach wyborczych.

Właściciele ziemscy w Czechach dzielą się na dwa polityczne stronnictwa, które po prostu nazwać można czeskiém i niemieckiém, które jednak według bieżącéj definicyi nazywają się „konserwatystami i wiernokonstytucyjnemi, albo liberalnemi."

Następujące daty, tyczące wyborów w czeskiéj własności ziemskiéj nie będą bez znaczenia:

27 listopada 1865 r. Wybory dopełniające do sejmu. Z 410 mających prawo wybierania, wybierało 190. Konserwatyści zwyciężają 118 głosami przeciw 72.

9 stycznia 1866 r. Wybory dopełniające do sejmu. Zwycięstwo konserwatystów 117 głosami przeciw 110.

24 listopada 1866 r. Wybory dopełniające do sejmu. Wiernokonstytucyjni wstrzymują się od wyborów.

4 lutego 1867 r. Ogólne wybory do sejmu. Zwycięstwo konserwatystów 188 głosami przeciw 136.

29 marca 1867 r. Powtórne wybory ogólne. Fideikomis wybiera 8 konserwatystów i 8 wiernokonstytucyjnych. W wielkiéj posiadłości allodyalnéj zwyciężają wiernokonstytucyjni 208 głosami przeciw 179.

22 sierpnia 1868 r. } konserwatyści wstrzymują się od wyborów
29 września 1869 r. } przy wyborach dopełniających.

25 sierpnia 1870 r. Ogólne wybory do sejmu. Zwycięstwo konserwatystów w fideikomisie 19 głosami przeciw 16, we własności allodyalnéj 178 głosami przeciw 159.

13 września 1871 r. Wybory dopełniające w sejmie. Wiernokonstytucyjni wstrzymują się od wyborów.

22 kwietnia 1872 r. Wybory do sejmu. Konserwatyści wstrzymują się od wyborów.

Prawem 2 kwietnia 1873 roku dla przeciwdziałania usunięciu się Czechów wprowadzone zostały bezpośrednie wybory do rady państwa.

23 września 1878 r. Ogólne wybory do sejmu. Zwycięstwo wiernokonstytucyjnych w fideikomisie 20 głosami przeciwko 17, w allodyalnéj własności 217 głosami przeciwko 143.

3 lipca 1879 r. Wybory kompromisowe, za interwencyą nowego ministeryum Taafego. Wybranych jest do rady państwa 13 liberalnych posłów, 10 konserwatystów. *Posłowie narodu czeskiego wstępują do rady państwa.*

18 lutego 1882 r. Wybory dopełniające do rady państwa. Zwycięstwo konserwatystów 215 głosami przeciwko 187.

15 maja 1882 r. Wybory dopełniające do rady państwa. Liberalni wstrzymują się od wyborów.

Z powyższych danych można się przekonać, że nie trudném jest dla rządu wybory czeskiéj własności ziemskiéj na tę stronę przechylić, na którą mu potrzeba i że dla gabinetu Taafego byłoby również bardzo łatwém przeprowadzić w czeskiéj własności ziemskiéj wybory zachowawcze i w przyszłych ogólnych wyborach do sejmu zmienić dzisiejszą niemiecką większość na czeską.

Że zaś Czechom bynajmniéj o to nie chodzi, ażeby ostrze przeciwko nim wymierzone poprostu odwrócić, i że mają szczery zamiar istniejące w różnych ordynacyach wyborczych niesprawiedliwości tylko w tym duchu i w téj mierze usunąć, ażeby każdy pozostał przy swojém nieuszczuploném prawie, dowodzi jasno wniosek czeskiego posła Zeithammera w przedmiocie zmiany ordynacyi wyborczéj do rady państwa.

Według tego wniosku, przedstawionego w Izbie poselskiéj austryackiéj rady państwa dnia 2 maja 1882 r., posłowie czeskiéj własności ziemskiéj w liczbie 23 wybierani będą nie jednym aktem wyborczym w jednéj miejscowości wyborczéj, ale w *pięciu* okręgach wyborczych w dwóch korporacyach wyborczych.

Wielka własność ziemska fideikomisowa na całe Czechy wybiera:

W Pradze	. . . .	5
Niefideikomisowa własność ziemska w miejscowości wyborczéj	Praga	3
„ „	Budweis	4
„ „	Eger	4
„ „	Reichenberg.	3
„ „	Chrudim	4
	Ogółem .	23

W Eger i w Reischenbergu wybranych będzie prawdopodobnie 7 liberalnych; w Pradze, Budweis, Chrudim przypuszczalnie 11 konserwatystów; w fideikomisie zapewne 5 konserwatystów, a może 5 liberalnych. Może więc być wybranych 16 konserwatystów przeciwko 7 liberalnym—coby dość odpowiadało stosunkom krajowym; a może tylko 11 konserwatystów przeciwko 12 liberalnym.

Ten nowy przez Zeithammera projektowany *modus* zyskał 23 marca 1882 po trzeciém odczytaniu w izbie poselskiéj moc uchwały 162 głosami przeciw 124; izba panów przyjęła wniosek 24 maja 1882 r. W połowie czerwca nowella reformy wyborczéj miała otrzymać sankcyę cesarską.

Z wnioskiem Zeithammera był w związku projekt Lienbachera, posła niemieckiego z Salzburga, którego treść główna polega na obniżeniu cenzusu wyborczego dla miast i gmin wiejskich z 10 m. 5 fl. Dla czeskiego stronnictwa w wielu miastach Czeskich takie postanowienie jest bezpośrednio korzystném. Z powyższego więc okazuje się, że te zmiany w ordynacyi wyborczéj do rady państwa uważane być mogą za oczekiwany długo początek usunięcia niesprawiedliwości w ordynacyach wyborczych, że zatem godzi się zaliczyć je do narodowych zdobyczy.

Poświęciwszy już cały list walce obu narodowości w Czechach, muszę w końcu w krótkich przynajmniéj słowach wspomnieć o nowéj formie, w któréj ta walka, od początku 1881 r. obustronnie się toczy: jestto walka o szkołę, albo, jeśli kto chce, walka „niemieckiego stowarzyszenia szkolnego z takimże czeskiém: Ustředni matice školská.“

Jeszcze w 1880 r. w Czerwcu weszło w życie „niemieckie stowarzyszenie szkolne,“ z którego statutów przytoczę tylko co następuje: „Celem niemieckiego stowarzyszenia szkolnego jest popierać dążenia ludności do tworzenia i utrzymania szkół niemieckich w krajach austryackich z ludnością mięszaną pod względem języka, na granicach dokąd sięga język niemiecki lub w miejscach, gdzie jest odosobniony w śród innéj mowy, a szczególniéj tam, gdzie utworzenie szkoły niemieckiéj z funduszów publicznych jest niemożliwém. Siedliskiem stowarzyszenia jest Wiedeń. Członkiem stowarzyszenia jest każdy, kto złoży jednorazowo 20 lub rocznie najmniéj 1 fl.“

Przeciwko niemieckiemu stowarzyszeniu szkolnemu założony został w Pradze w grudniu 1880 r. Ustředni matice školská, z tą samą dążnością w przeciwnym kierunku i z tą różnicą, że czeskie stowarzyszenie ma 2 kategorye członków, z których pierwsza uiszcza jednorazową składkę 500 i 100 fl., druga płaci składkę roczną 10, 5- lub 1 fl.

O działalności i powodzeniu obu stowarzyszeń doniosę w następnym liście.

Spór narodowości trwa w Czechach ciągle, a ze strony przeciwników toczy się nawet z nową gwałtownością. Pragniemy pokoju, ale uczciwego i trwałego pokoju na podstawie równych praw dla wszystkich. Niestety jednak, zmuszeni jesteśmy prawie do przekonania, że nasi przeciwnicy stanowczo tego nie chcą, lecz że wszystkiemi siłami pracują nad sprowadzeniem katastrofy, która zgodę na zawsze uniemożliwi. Oby to Bóg na lepsze przemienił.

Dr. Gabler.

P. S. List ten skończyłem w Niedzielę Zielonych Świątek. Dziś, 3 czerwca, nie mogę się powstrzymać od dodania następującego faktu, jako oryginalnéj ilustracyi naszych obecnych stosunków i najwłaściwszego zakończenia tego pisma.

Pilsen i Reichenberg, są to po Pradze dwa największe miasta w Czechach. Oba liczą przeszło po 30000 mieszkańców; w obu stosunek ludności pod względem narodowości prawie ten sam, tylko w odwrotny sposób. W Reichenbergu jest $^4/_5$ Niemców i $^1/_5$ Czechów, w Pilsen $^4/_5$ Czechów a $^1/_5$ Niemców. Jak więc Niemcy uważają Reichenberg za niemieckie miasto, tak my możemy uważać Pilsen za miasto czeskie. W danych warunkach nigdyby nam na myśl nie przyszło urządzać w Reichenbergu festyny czeskich śpiewaków z publicznémi pochodami, ze zgromadzeniami i mowami. Tymczasem Niemcy w drugie święto Zielonych Świątek urządzili w Pilsnie uroczystość niemieckich śpiewaków, przyczém odbyło się nietylko kilka publicznych pochodów, ale na zgromadzeniach odzywały się bardzo podburzające mowy. Czeska ludność Pilsenu dobrze o tém wiedząc, że niemieccy agitatorowie mają jedynie na celu wywołać „narodowe męczeństwo,“ ażeby módz do Berlina o pomoc zawołać, sprawiła wzorowém zachowaniem się, że zamiar ten spełzł na niczém,—tak, że w ciągu trwającego dwa dni festynu śpiewaków niemieckich, nie wydarzyło się w Pilsnie najdrobniejsze zakłócenie porządku publicznego. Mimo to, praska „Bohemia,“ organ partyi niemieckiego kasyna, umieściła 30 maja sprawozdanie z uroczystości, w którém czytać można dosłownie: „Licznie odkomenderowana policya i żandarmerya, poskramiała energicznie wszelkie wybryki pojedyńczych zbiegowisk motłochu, usiłującego zakłócić spokojność.“ Dzienniki wiedeńskie powtórzyły tę uwagę po Bohemii.

1 czerwca ta sama „Bohemia“ wydrukowała co następuje:

„Do szanownéj redakcyi czasopisma „Bohemia“ w Pradze.

„Na mocy § 19 prawa prasowego, wzywa się o wydrukowanie w najbliższym Numerze „Bohemii“ poniższego sprostowania na tém samém miejscu i temi samemi czcionkami jak prostowany artykuł.

„Wiadomość zamieszczona w N. 148 peryodycznego pisma „Bohemia“ z d. 30 Maja 1882 r. w sprawozdaniu o uroczystości niemieckich śpiewaków w Pilsen, jakoby przy wjeździe uroczystujących „licznie odkomenderowana policya i żandarmerya poskramiała energicznie wszelkie wybryki pojedyńczych zbiegowisk motłochu, usiłującego zakłócić spokój“ — jest nieprawdziwą, bo ani przy wjeździe ani podczas całego festynu, nie było ani zbiegowisk motłochu, ani usiłowań zakłócenia spokojności. C. k. żandarmerya nie była wcale przy tym wjeździe obecną, równie jak straż gminna, która od-

bywając zwykłą służbę bezpieczeństwa, nie miała sposobności poskramiać usiłowań pogwałcenia spokojności.

Pilsen 31 Maja 1882 r.

Radca c. k. namiestnictwa *Czerwenka.*"

Urzędowy „Prager Abendblatt" umieścił nazajutrz 31 maja następującą notatkę:

„*Uroczystość śpiewaków w Pilsen.* Z powodu ostatnio w mieście Pilsen odbytéj uroczystości śpiewaków, reporterowie różnych praskich i wiedeńskich dzienników opowiadali o szczególnych środkach ostrożności, które miały być przedsięwzięte przez władze „dla zabezpieczenia Niemców." Według naszych informacyi, władze pokładały tak wielkie zaufanie *(jak się okazało z przebiegu uroczystości, zupełnie usprawiedliwione)* w zdrowym rozsądku czeskiéj ludności Pilsenu i miejscowéj gminnéj reprezentancyi, że nie potrzeba było przedsiębrać wyjątkowych środków ostrożności, a tém mniéj takiego wzmocnienia siły zbrojnéj, jakie we własnéj fantazyi dostrzegli „miłujący prawdę sprawozdawcy."

Wobec powyższego wstrzymuję się od wszelkich dalszych uwag.

Praga 4 czerwca 1882.

Dr. Gabler.

TEORYA DARWINA

W STOSUNKU DO NAUKI I ŻYCIA

Szkic ogólny.

Darwin z gruntu zreformował nauki biologiczne, wlewając w nie nowe życie i otwierając nowe dziedziny badania.

A. Wrześniowski.

I.

Doniosłość naukowa.

Niejednokrotnie porównywano teoryą Darwina do odkrycia Kopernika lub Newtona, a porównanie to, z drugiéj strony, napotykało silną opozycyę w szeregach jéj przeciwników lub nawet zwolenników. Rzeczywiście, biorąc rzecz ściśle, i tu jak wszędzie, *comparaison n'est pas raison.* Porównywać teoryą biologiczną ze sferą praw, w których ma zastosowanie matematyka, jest to zaiste dopuścić się braku ścisłości. Któż jednak od porównania wymaga ścisłości pozytywnéj? Jeśli porównywamy szereg żołnierzy z murem, miecz bohatéra z piorunem, to tu z pewnością nie ma ścisłości, a jednak porównanie podobne doskonale się przyczynia do objaśnienia pojęcia, że nieprzyjaciel musiał robić w szeregu żywych organizmów wyłomy takie, jak w martwym po kawałku się kruszącym murze, że bohatér szybko, a dzielnie raził wroga i rzucał nań postrach swym widokiem. W tym duchu można z zupełném prawem porównywać, rzecz dającą się wyrazić matematycznie z rzeczą daleką od téj ścisłości, i w tym duchu porównania powyższe nie mają w sobie nic nienaturalnego...

Odkrycia Kopernika i Newtona posiadają wiele cech wspólnych z teoryą Darwina. Jak Kopernik poruszył z miejsca ziemię i nazna-

czył jéj nikłe stanowisko w nieskończonym wszechświecie, tak też i Darwin wykazał brak gruntu pod stałością gatunku, i dowiódł jego znikomości; jak ziemia stała się drobnym atomem w szeregu ogromnych a niezliczonych ciał niebieskich, tak i gatunek przelotnym objawem zależnym, jak chorągiewka na dachu, od powiewu okoliczności. Kopernik strącił ziemię z wysokiego stanowiska geocentrycznego, Darwin wskazał gatunkowi skromniutkie miejsce pomiędzy miliardami odmian. Kopernik zwalił podstawy astronomii ówczesnéj, Darwin podkopał grunt dotychczasowéj teoryi biologicznéj.

Podobnież wielką jest analogia pomiędzy wpływami wywartémi na umysł człowieka przez obie te teorye: ze zwalczeniem poglądu geocentrycznego, człowiek ujrzał się prochem w obec wszechświatu, ze zwaleniem stałości gatunków efemerą znikomą, jednėm z ogniw łańcucha stworzeń.

Wreszcie obie spokrewniły się jednakowym losem, obie przeszły próby prześladowania, bo obie dotknął zarzut zgubności i konieczność walki z insynuacyami.

Z obu wreszcie wynikły konsekwencye, daleko sięgające po za zakres nauk, w których pierwotnie powstały, konsekwencye, którym poniżéj obszerniejszy ustęp poświęcimy.

Nie mniejszą, a raczéj daleko większą analogię okazują teorye Darwina z prawem powszechnego ciążenia, odkrytém przez Newtona. Jak ostatnie obejmuje cały wszechświat, tak pierwsza obejmuje wszystkie istoty żyjące. Jeśli nie można jéj nazwać najogólniejszém prawem świata żywego, to również niepodobna twierdzić, aby prawo Newtona było najwyższém prawem wszechświata; lecz jak wszystkie znane i nowo odkrywane fakta okazują się zgodnémi z prawem ciążenia, tak téż i wszelkie znane i nowo poznawane fakta w zakresie biologii znajdują pomieszczenie w teoryi Darwina. A choć nie wszystkie zjawiska świata żyjącego dadzą się już teraz *dokładnie* tłómaczyć na zasadzie téj teoryi, to przecież nie podciągnęliśmy jeszcze pod nasze „powszechne“ prawo Newtona, zjawisk chemicznych i elektrycznych nie mówiąc już o fizyologicznych.

Odkrycia Kopernika i Newtona połączyły jednym węzłem fakta na pozór odrębne a sprzeczne, odkrycie Darwina stało się punktem ogniskowym dla podobnie odosobnionych faktów w świecie organicznym, w nowém świetle stosunkową wartość faktów przedstawiło i wytknęło nowe drogi badaniu.

W tém leży bodaj czy nie największa i najważniejsza analogia z największémi odkryciami dawniejszémi. Teorya Darwina jest dla nauk biologicznych nowym punktem widzenia, nowym kierunkiem badania, nowém światłem, nowym duchem przenikającym każdą

gałąź nauki i nadającym im grunt logicznéj konieczności, jednolitą spójnię i nowe widoki.

Zastanawiając się nad historyą nauk przyrodniczych, napotykamy w niéj uderzające oscylacye, składające się z nagłych wybuchów wspaniałego rozkwitu badań, po których następuje zastój a często nawet zanik lub zwrot wsteczny. Falowanie to najwidoczniejsze jest w poszczególnych częściach jakiéjkolwiek nauki. Nagły rozkwit pochodzi zawsze od pojawu nowéj *metody* badania, nowéj szkoły, pod którą to nazwę podciągamy narzędzie, sposób, nowy punkt widzenia. Co za wspaniały rozwój nauki nastąpił po wynalazku lunety i teleskopu, mikroskopu, spektroskopu, po odkryciu tlenu, elektryczności galwanicznéj, po utworzeniu teoryi atomistycznéj, podstawienia, izomeryi! Ileż to nowych faktów zdobyto jakby od niechcenia, faktów, o których ani myślał pierwszy odkrywca metody, aby do téj sfery należały! Sam inicyator i mnóstwo jego uczniów, oraz następców zastosowuje nowy środek do rozmaitych zjawisk, probuje go wszędzie, gdzie tylko rozum każe, i oprócz rozszerzenia kręgu nauki, zdobywa jeszcze mnóstwo niespodzianek, o których ani marzył pierwszy odkrywca (1). Na gruncie tych zastosowań, prób i szperań, fala rozwoju nauki dochodzi do szczytu. Lecz potém, rozszerzywszy się, objąwszy coraz większe kręgi, rozprasza na mnóstwo faktów, opada wreszcie i rozprasza się na tysiące pojedynczych kropel, bez widocznego, albo nawet bez żadnego wpływu na właściwą naukę. Nastąpiło osłabienie siły pierwotnego bodźca, wyczerpanie się zakresu działania dla metody, niedołężność jéj do dalszego albo głębszego w naturę wnikania. Lecz wtedy często promień geniuszu lub przypadek na nowo wstrząsa powierzchnią oceanu wiedzy i znowu pcha falę w tym samym lub innym kierunku, wspomagając pierwszą, modyfikując ją lub dając jéj zaniknąć całkowicie.

Otóż pomiędzy innémi korzyściami, które daje nauce teorya Darwina, jedną z największych jest ta, że daje jéj nową metodę badania, nowy punkt widzenia, nowe pobudki, odkrywając nowe strony natury organicznéj i umysł badaczy na nie kierując.

Wązkiém a płytkiém korytem przewijała się fala historyi naturalnéj przez długie wieki, zmuszona ograniczać się tylko do zbierania materyału chaotycznego, i katalogowania go na wątłych i niepewnych zasadach. Wtedy zjawia się Linneusz i swą sztuczną terminologią oraz wymaganiem ścisłéj dyagnozy, stwarza sposób dokładniejszego porozumiewania się i „robi inwentarz“ w którym i no-

---

(1) Tak np. farby anilinowe zostały odkryte przy pracy nad teoryą podstawień.

we przedmioty miejsce znajdują. Ustaliwszy jako punkt wyjścia dla systematyki pojęcie gatunku, nadaje systemowi gruntowną podstawę. Daje to ogromny popęd rozwojowi nauki, materyał gromadzi się obficie, historya naturalna staje na wysokim piedestale w świątyni wiedzy. Lecz wkrótce rola, zaorana przez Linneusza, zaczyna jałowieć, epigonowie jego biorą formę za rzecz, system za samą naukę. Powiększają wprawdzie spis znaczną liczbą nowych tworów, ale jednocześnie propagują mniemanie, niestety aż do nowszych czasów sięgające, że oznaczanie i opis gatunków, uważanych za niewzruszone, jest jedynym celem i właściwém zadaniem historyi naturalnéj.

Fala znowu opada, lecz tkwią w niéj zarodki nowego ruchu. Już Linneusz mówił że „głównym celem botaniki jest wykazanie grup naturalnych“ (1) i system swój uważał tylko za „nić Aryadny;“ nadto materyał przez szkołę jego zbierany roztwiera jasnym umysłom szersze widoki. Więc po ciasném regestrowaniu zjawia się Jussieu i Cuvier, którzy genialném swém wniknięciem w naturę rzeczy, nowe życie i nowe pierwiastki rozkwitu w naukę wlewają. Wyborna porównawcza metoda Cuviera i praca jego niezmordowana, tworzą anatomię porównawczą i doprowadzają ją do iście wspaniałego rozwoju, a postawienie zasady wzajemnéj zależności organów od siebie i wykrycie czterech typów, nadają systematyce podkład filozoficzny, którego dotąd nie miała. Za nowym tym popędem historya naturalna znowu wysoko się wznosi. Ma wyborny system, który się ciągle rozwija i stwierdza swą wartość, ma wszędzie drogi wytknięte.

Ustalone pojęcie niezmienności gatunków przewodniczy badaniom i daje cel jasny i prosty, postawienie typów wiedzie do ściślejszego uzasadnienia „planów budowy“, do ich określenia i wykazania wzajemnych stosunków. Lecz wkrótce droga się kończy i rozchodzi na manowce. Filozoficzny podkład cuvierowski zaczyna się zatracać i anatomia porównawcza przeradza się w anatomię oddzielnych form, w zootomią. Materyał wprawdzie powiększa się, lecz z jego wzrostem coraz wydatniéj występują błędy Cuviera, które jednak zwyrodniali jego epigonowie uważają za dogmat. Nie widzą, że gatunki i typy są to tylko pojęcia, wyrażające pewne grupy faktów, że to jest omówienie spostrzeżonych, ale nie wyjaśnionych jeszcze zjawisk i biorą je niejako za potęgi osobiste, za prawa idealne, rządzące budową istot organicznych. W skutek tego co chwila uderzają o rafy podwodne i wreszcie stają na mieliznie. Okazuje się chwiejność

---

(1) J. V. Carus, Geschichte der Zoologie. München 1872 str. 501.

określeń znanych gatunków, przejście od jednych do drugich, jaskrawo na jaw wychodzi rozmaitość punktów widzenia, z jakich różni naturaliści na dane gatunki spoglądają, widocznym jest zupełny brak kryteryum. Gmach nauki zdaje się być zagrożonym, metoda wyczerpała się, a gdy jedni nie chcą widziéć niebezpieczeństwa i chowają głowę w piasek, lub usiłują nadać metodzie życie sztuczne, inni zupełnie o niéj zwątpili i oczekiwali czegoś nowego. Wiele bystrych umysłów zniechęciło się badaniem bez przewodniéj idei, i dało się unieść na pole większe przedstawiające nadzieje, u innych zaś powstawały pomysły, będące zwiastunami teoryi ewolucyjnéj. Lecz więdnąca w marazmie historya naturalna nie mogła zostać w pokoju. Ze wszech stron uderzały w nią tarany, pobudzające do ocknięcia się. Z astronomii przenikło do niéj pojęcie o prawdziwie nieskończonych okresach czasu kosmogonicznych, w geologii ustalił się pogląd na olbrzymie peryody historyi ziemi i musiał runąć jeden z pierwiastków dawnéj teoryi powstania istot organicznych. Nadto Lyell wprowadził do nauki geologii pojęcie sumowania się drobnych przyczyn przez czas bardzo długi, jako istotny czynnik wielkich zmian na kuli ziemskiéj, a rzecz widoczna, że znakomite to odkrycie nie mogło pozostać w granicach téj tylko nauki, w któréj powstało. Baer pracami swemi embryologicznemi położył nową podstawę pod cuvierowskie typy królestwa zwierzęcego, paleontologia kruszyła wiarę w kataklizmy fauny, a przytém mnóstwo innych odkryć ciaśniejszego zakresu, dawało uczuć systematykom, że straciwszy grunt pod nogami, powinni na szerszém polu szukać równowagi. Lecz większość ich, tak się trzymająca nauki Cuviera że nawet jego błędy za dogmat uważała, wolała pozostać bez żadnego punktu oryentacyjnego, w niepewności na téj wyraźnéj dotąd drodze, gdzie za cel jedyny miano opisywanie gatunków i ich różnic, badanie organów łączenie gatunków w wyższe grupy bez niebezpiecznego pytania zkąd i dla czego.

Będąc już świadkami faktu dokonanego, możemy się dziwić, że ówcześni naturaliści nie umieli uznać faktu za fakt, nie dali się kierować duchowi czasu, który nakazywał rozejrzeć się po innych dziedzinach, i prawdy ich włączyć do badań w historyi naturalnéj. Ale wtedy wniosek ten nie był tak rzucającym się w oczy, a zresztą potrzeba było na to człowieka nietylko wielkiego umysłu, ale znającego gruntownie geologią i paleontologią, zoologią i botanikę, embryologią i fizyologią, a nadto wiele innych jeszcze faktów których, jak się okazało, trzeba było szukać aż w gołębiarstwie. Człowieka takiego wtedy nie było—a raczéj był, Darwin, wyraz ducha czasu, wyraz

skoncentrowania wiedzy z kilku różnych dziedzin, wyraz potrzeby, skutek rozwoju nauki.

I płytka a rozproszona fala historyi naturalnéj znowu się wznosi do szczytu, na miejsce wyczerpanego kierunku wstępuje nowy, na jałowym gruncie systematyki zakwita pole zielone. Wszystko już jest pełne znaczenia, pełne interesu, wszystko drga nowym duchem i życiem. Odkrywają się szerokie widoki i tysiączne połączenia z innemi dziedzinami, a mnóstwo bystrych umysłów, które uciekły od systematyki na inne pole nauki, może już do niéj powrócić, bo ona już nie jest bezbarwném katalogowaniem.

Rzecz godna zaznaczenia i rozpowszechnienia w kołach publiczności, bo dowodząca z jednéj strony stałego gruntu, nieprzerwanego łańcucha cegieł, z który się budują nauki przyrodnicze, a z drugiéj okazująca, iż teorya Darwina jest nieodrodną córą swéj matki, nieskrzywioną gałęzią pnia ogólnego wiedzy ścisłéj; rzecz godna zaznaczenia powiadam, iż teorya Darwina pomimo swego napozór rewolucyjnego charakteru, nie była wcale, jak widzieliśmy, wyskokiem z głowy Minerwy, nie była pomysłem druzgocącym dotychczasową naukę, jak to się często dzieje w filozofii, gdzie jeden system obala, unicestwia i czyni niepotrzebnym poprzedni. Tu mamy widok zupełnie odmienny. Darwin zmienił tylko jeden wniosek w poprzedniéj nauce; ogłosił fakt, wynikający z dotychczasowych badań, znany, lecz dla obawy ignorowany, wygnał z nauki sztucznie przyczepioną metafizykę, i na miejsce jéj dla jednych uczonych, a na miejsce próżni dla drugich, wprowadził cement jednoczący, wprowadził teoryą, którą uzasadnił na faktach, przez tęż naukę zebranych. Co więcéj, choć Cuvier i jego szkoła, czy to zwolennicy „wznawianych aktów tworzenia“ czy téż ściśli pozytywiści, którzy wołali „nie wiemy i mało nas to obchodzi“ choć uczeni ci, powiadam, zaciekle walczyli przeciwko zabiegom poprzedników Darwina, jednakże w łonie téj to szkoły powstało pojęcie o „typach“ o „planie stworzenia,“ pojęcie które tylko jaśniéj i właściwiéj pojął i przyczynowo uzasadnił, wielki autor „Origin of species.“ Darwin, mówiąc ogólnie, nie zwalił bynajmniéj Cuviera i jego szkoły, on stanął na ich barkach, aby sięgnąć po prawdę ogólniejszą; on nie zburzył cząstkowéj budowy swych znakomitych poprzedników, lecz użył jéj do budowy większéj, powszechniejszéj, on nie napisał *minus* obok pracy przeszłości, lecz wziął ją, z należném jéj znaczeniem ze znakiem dodatnim, za podstawę swéj teoryi, on nie zdruzgotał nauki, lecz nadał jéj postać i styl architektoniczny.

Na tém polega silna podstawa teoryi Darwina, to tłómaczy jéj nagłe rozpowszechnienie i pozyskanie wszystkich niemal naturali-

stów na zwolenników. Darwin nie tworzył lecz wytłómaczył, wykrył stosunki pomiędzy faktami wiadomémi i kto zna ducha, jaki teraz panuje w naukach przyrodniczych, kto zna na wskróś pozytywne wychowanie jéj adeptów, ten pojmie, że gdyby teorya Darwina była rzeczywiście, jak to twierdzą niektórzy jego przeciwnicy, w zasadniczéj opozycyi z nauką, z nauką nie z tym lub owym wnioskiem szkoły Cuviera, to nowocześni przyrodnicy ani słyszéćby o niéj nie chcieli.

To téż teorya Darwina, nietylko nie wstrzymuje kierunku cuvierowskiego, ale i owszem wielce go popiéra i rozkrzewia. Mogą sobie szczątki cuvierzystów wołać, że darwinizm jest szkodliwy dla pozytywnéj wiedzy, mogą się silić zwalić go odkrywaniem nowych faktów, a darwiniści radzi być tylko mogą temu dalszemu gromadzeniu materyałów, które jest tylko wodą na ich młyn, środkiem do rozjaśnienia ciemnych zagadnień. Aby pracować dla teoryi Darwina, nie potrzeba wcale być jéj zwolennikiem —trzeba tylko sumiennie a umiejętnie pracować. W tém leży siła jego teoryj, w tém wartość i doniosłość.

Mamy tu więc widok wspaniały, jaki tylko w prawdziwéj nauce napotkać można. Wielki prąd cuvierowski czy chce czy nie chce, wpada w obszerne łożysko, wyżłobione przez Darwina, i nie tracąc bynajmniéj swego specyalnego znaczenia, spływa się z prądem darwinistowskim, który nie tylko go pobudził do wezwania pomocy nowych źródeł, ale i tam wiele nieznanych wyszukuje i do wspólnego zwraca koryta.

Takie jest znaczenie teoryi Darwina jako metody, jako szkoły. Systematyka otrząsa się z martwoty i drgać pełném życiem zaczyna. Mówić teraz o podrzędności systematyki, o jéj płytkości byłoby dzieciństwem. Opisuje się gatunki, kataloguje je jak poprzednio, ale już z podkładem życia. Odkrycie nowego gatunku, dającego się pomieścić łatwo w ramach układu, jest faktem ważnym, odkrycie takiego, który kłopotu lub nieprzezwyciężonych trudności nabawia systematyka, jeszcze ważniejszym i z największą radością jako nowy promień światła witanym. Pięknie rozwijająca się od Cuviera anatomia porównawcza otrzymuje bez sporu pierwszorzędne przynależne swym zasługom i znaczeniu stanowisko, dostaje w rękę nić przewodnią i wchodzi na wyżynę, gdzie się wielki widnokrąg przed nią roztacza i gdzie ją czczą koła szerokie. A drganie nowego życia, rozgląd obszerny, pobudka nowa tworzą setki prac szczegółowych, któreby nawet po odłączeniu podkładu darwinistowskiego miały prawdziwą wartość dla nauki. Szkoła Darwina jest dalszym ciągiem szkoły Cuviera, jest jéj nową fazą, która wbrew Wigandowi nic sprzecznego nie ma z „Naturforschung Newtons und Cuviers.“

Darwin jest tak samo dziecięciem Cuviera i Jussieu'go, jak ci byli potomkami Linneusza.

Czyż mam przytaczać setki tytułów dzieł i prac szczegółowych opartych na teoryi Darwina, kiedy z nader nielicznémi wyjątkami wszystkie do tego rzędu należą. Do roku 1872 Spengel wyliczył na 34 stronicach 340 prac, popierających lub krytykujących tę teoryą, a jeszcze pominął literaturę polską, rosyjską, hiszpańską i inne! Ileż to od owego czasu przybyło. Oto jest materyalna wskazówka siły i doniosłości nowego bodźca naukowego.

Lecz zastanawiając się z téj strony nad teoryą Darwina, uwzględnialiśmy przeważnie jéj znaczenie pośrednie, dla wykazania, że chociażby jéj znaczenie treściowe, istotne, miało tylko wartość przemijającą — czego przypuścić nie podobna — to i w takim nawet przypadku doniosłość téj teoryi wykraczałaby po za zwyczajne granice.

Zastanówmy się teraz nad jéj wartością samoistną, bezpośrednią.

Teorya Darwina swą treścią kardynalnie zmieniła pogląd na świat organiczny i jego dzieje. Szczegóły zlały się w jednę całość organiczną, jeden system, gdzie jedna część jest od drugiéj zależna, mnóstwo zjawisk napozór odosobnionych i obcych sobie połączyło się jednym węzłem, wielość form, w któréj wzrok tonął, pozyskała nić przewodnią; „jedność planu stworzenia“ szkoły cuvierowskiéj otrzymała światło i uzasadnienie przyczynowe, i przynajmniéj w zakresie nauk biologicznych, stało się zadość marzeniu wszystkich ludów i wieków; marzona jedność i ciągłość została urzeczywistnioną. To o czém nie myślano, lub czemu przypisywano przyczyny metafizyczne stało się jasném i pozyskało grunt w przyczynach prostych, dostępnych badaniu, niemal mechanicznie zrozumiałych i wskutek tego zmniejszyła się przepaść jaskrawa, dzieląca dawniéj naturę organiczną od nieorganicznéj. Teleologia antropomorficzna została wygnaną i na miejsce przyczyn celowych (*causae finales*), wprowadzone zostały tak jak w naturze nieożywionéj przyczyny skutkowe (1) (*c. efficientes*) (1).

Zstąpmy do mniéj ogólnéj sfery.

Dawniejszy systematyk zoolog, paleontolog, embryolog, morfolog, pragnęli znać tylko swoje specyalne, ściśle odgraniczone gałęzie nauk, zamykali się w nich jak ślimaki w skorupach, byli dumni z tego zamknięcia się i szczycili się tém głośno, że nie wiedzieli co się w pokrewnych gałęziach dzieje. Jak trzymanie się w sztucznych

---

(1) Prof. Wrześniowski dowodnie zbija we „Wszechświecie“ (N. 6) zarzut, jakoby teorya Darwina była teleologiczną.

szrankach uchodziło za postępowanie, jedynie godne naukowego umysłu, tak wyjrzenie po za nie uważano niemal za kompromitacyą. Jeśli to wyjątkowo i dla celów tylko drobnostkowych niekiedy czyniono, to uważano za konieczne tłómaczyć się, ograniczać doniosłość swego postępku, aby u kolegów nie stracić miana specyalisty. Darwin objął jednym rzutem oka systematykę i geologią, embryologią i paleontologią, fizyologią, morfologią i geografię zwierząt i roślin, znalazł w nich nić wspólną i połączył je nadal nierozerwalnym węzłem. Stanowią one teraz jednę całość i jedna nauka ma dla drugiéj otwartą skarbnicę faktów, któréj już ignorować nie wolno. Darwin wykazał, że łącznie je traktować należy, że w jednéj znajdujemy wyjaśnienia, wskazówki, materyał dla drugiéj. A oprócz téj łączności zewnętrznéj (t. j. z innemi naukami, czyli z innemi grupami faktów) wniósł jeszcze Darwin ściślejszą łączność wewnętrzną, jedność w każdą zosobna naukę; uwydatnił ściśle cel, do którego dążyć mają, dał im ognisko, punkt ciężkości, a rzuciwszy na ich grunt postulat przyczynowości, stworzył nową epokę, bo wyprowadził je z zakresu nauk czysto opisowych do nauk *objaśniających*. Fakta takie jak plan w typie, jak możliwość szeregowania w systematyce, jak podobieństwo tkanek, jak następstwo form w paleontologii, nie są już dziwnémi zjawiskami, bujającemi w sferze idei, Darwin pod nie grunt podłożył.

Jedném słowem, jeżeli wolno użyć porównania, luźne ławice piasku naukowego zostały wskutek pojawu teoryi Darwina zmetamorfozowane w skały, porządnie ułożone, krystaliczne, a jednocześnie okazały się pokładami jednéj i téj saméj formacyi.

To, cośmy mówili o zoologii, stosuje się téż i do botaniki. Nadto, gdy wskutek dwustronnego znaczenia t. z. protistów, zacierających granicę pomiędzy roślinami a zwierzętami, fauna i flora pojmowane są jako dwa konary z wspólnego pnia wychodzące, teorya Darwina łączy dwa te działy, że tak powiem, w jedną, wyższą formacyę, a ten fakt łączności, zmuszający do porównywania i badania wspólnego pnia, wielkie już teraz a nieobliczone w następstwie musi wydać rezultaty w kierunku pojęć monistycznych, w kierunku szczegółowego wykazania i zrozumienia przyczyn i natury téj cudownéj dyfferencyacyi.

Niezależnie od ostatecznego rezultatu badań Darwina, od jego teoryi, znajdujemy w momentach, na których ją opiera, w bezprzykładnie bogatym i nawet przeciwników zdumiewającym materyale, nagromadzonym dla wyprowadzenia wniosków, wiele faktów ważnych, które same w sobie stanowią doniosłe odkrycia już jako zjawiska nowe, już jako silnie zaakcentowane i należytem światłem

oświecone. Gdy dawniéj zaledwie je uwzględniano, teraz nabyły dla wszelkich partyi wysokiéj doniosłości na tle teoryi Darwina. Do takich należą: odkryte przez Baera podobieństwo faz rozwoju płodu do form na rozmaitych szczeblach systematyki, następstwo paleontologiczne, organa szczątkowe, naśladownictwo (mimikrya), metamorfoza i przemiana pokoleń, atawizm i potworności, zależność wzajemna organów i funkcyj, walka o byt, wreszcie hodowla zwierząt i roślin, która nietylko że naukowe znaczenie zyskała, ale jeszcze prawa jéj i siła nabyły szerokiego rozgłosu, nie mogącego pozostać bez rezultatów praktycznych.

Przejdźmy do innych nauk.

W geologią rzuca teorya Darwina słabe jeszcze wprawdzie, ale mogące się rozjaśnić w przyszłości, światełko na czas trwania peryodów geologicznych. Im większą jest różnica w skamieniałościach, im mniéj identycznych form w dwóch formacyach występuje, tém większe i tém dłużéj trwające zajść musiały zmiany pomiędzy obu formacyami. Przy dawniejszéj teoryi wskazówka ta nie miała żadnego znaczenia, gdyż jeżeli wznawiały się całkowite akta stworzenia, to w następstwie form organicznych mogła panować jak największa fantazya.

Antropologia zeszła ostatecznie ze swego wyłącznego stanowiska i może pełną dłonią czerpać prawdy z innych gałęzi wiedzy. Kwestya postępu, znikania ras dzikich, zyskały w nauce podstawę. Według niektórych autorów nawet medycyna zyskała coś z zaakcentowania i przedstawienia we właściwém świetle zjawisk takich jak atawizm, walka o byt, przystosowywanie się, a spodziewać się należy, że momenta te należycie uwzględnione do wielu jeszcze objaśnień doprowadzą.

Podobnież teorya Darwina przenika inne, dalsze dziedziny. Nie mówiąc o astronomii i chemii, gdzie niektórzy chcą znaleść jéj zastosowanie na zasadzie już dalszych analogij, nie ulega wątpliwości, że teorya ta w naturalnéj swéj postaci znajduje zastosowanie w językoznawstwie (Aug. Schleicher) i w psychologii, gdzie rzuca racyonalne i z całością nauk zgodne światło na początek instynktów, czynności nieświadomych, kwestyę dziedziczności, niektórych zboczeń, na psychologię porównawczą ludów, a wreszcie łączy tę sferę z daleko ogólniejszą i w niéj szuka jéj zarodków.

Historykom daje Darwin nitkę Aryadny, z którą łatwiéj im się obracać po labiryncie dziejów ludzkości; ogólne czynniki świata organicznego, walka o byt, zmienność, dziedziczność i t. d., muszą znaleść podstawowe miejsce w prawdziwie głębokiéj historyozofii.

Wreszcie socyologia, ekonomia polityczna i polityka nie mogą pozostać obojętnémi świadkami tego ogniska powszechnego, i socyolog lub polityk, który nie studyuje dzieła Darwina, nie może być uważany za stojącego na wysokości swego zadania.

Słowem wszędzie, gdzie się ma do czynienia ze zbiorowiskiem istot organicznych, czy to jedno komórkowych czy ludzkich, wszędzie teorya Darwina ma zastosowanie, wszystko przenika i wszędzie stosunki rozjaśnia, sprowadzając rzeczy skomplikowane do formy jak najprostszéj, do procesów niemal mechanicznych.

Więc czy teorya Darwina jest powszechném najogólniejszém prawem świata organicznego? Czy to jest ostateczna najwyższa formuła biologii? Możemy śmiało odpowiedzieć, *że jest nią obecnie.* Czy się niewzruszenie bardzo długo utrzyma na tém stanowisku o tém próżno-by mówić. Tłomaczy nam teraz ogół zjawisk świata organicznych lepiéj i jaśniej niż wszelka inna teorya, daje wskazówki do odkrywania nowych faktów i ma gotowe miejsce dla niezależnie od niéj odkrytych. Może w przyszłości zostać zmodyfikowaną, może się przedstawić jako za ciasna, może się okazać szczegółowym wypadkiem zasady ogólniejszéj, ale to nie ulega wątpliwości, że jako tłomaczenie ogromnéj grupy faktów, wywalczyła sobie zaszczytne miejsce pomiędzy pierwszorzędnemi teoryami naukowemi. Że ma niedokładności i luki, to rzecz pewna, ale któraż teorya w nauce luk i niedokładności nie posiada? Jeśli teorya eteru, atomów, płynów elektrycznych, pomimo swych niedokładności i braków pozwoliły wysoko wybujać naukom fizyki i chemii, jeśli par excellence świetne odkrycie Kopernika zawierało w sobie fałsz geometryczny, jeśli w ogóle żadna teorya nie wyskoczyła odrazu jako naga prawda z głowy Minerwy, to i od teoryi Darwina nie można żądać zupełnéj dokładności i nienaukową jest rzeczą powstawać przeciwko niéj dla braków szczegółowych. Choć prawo Marriotte'a i Boyle'go okazało się matematycznie fałszywém, jednakże iluż zdobyczy naukowych stało się zarodkiem i jakąż jeszcze w nauce ważność posiada po takiem zredukowaniu i obstawieniu warunkami. Takież same *mutatis mutandis* jest stanowisko teoryi Darwina. Posiada ona jeszcze tę zaletę, iż widać w niéj gdzie jest prawda niewzruszona, a gdzie braki lub strony słabe. Źleby było, gdyby jéj postęp nauki w jednych miejscach nie rozszerzył, w drugich nie przykrócił, nie zmodyfikował i nowych cegiełek nie powstawiał, część jéj jednak kardynalna jest i będzie jedną z najważniejszych zdobyczy umysłu ludzkiego i bezwątpienia ważną a stałą epokę w dziejach wiedzy ludzkiéj stanowi.

II.

Stosunek do życia społecznego i moralności.

Wpływ teoryi Darwina na moralność, obowiązki społeczne i na religią, rozpatrywany zwykle bywa ze stanowiska *„człowieka jako małpy.“* „Darwin zrobił z człowieka małpę“ rozlega się głos w szeregach pewnego rodzaju przeciwników teoryi ewolucyjnéj, a więc człowiek *„może“* albo i *„powinien“* żyć jak małpa, jak zwierzę, a więc wali się cały gmach religii, moralności, poczucia obowiązków społecznych, poświęcenia, wali się cała cywilizacya i świat wpada w zezwierzęcenie. Przytém, dodają, wyprowadzaniem człowieka od małpy, obraził Darwin estetykę i oburzył uczucie ludzkie.

Poddajmy ten wniosek i to pojęcie analizie racyonalnéj, a zacznijmy od estetyki.

Gdyby Darwin mógł być niekonsekwentnym i wyłączył od razu człowieka z zakresu swéj teoryi na staréj zasadzie, iż człowieka od zwierząt dzieli przepaść istoty i pochodzenia niczém niezapełniona, lub gdyby był jeszcze ostrożniejszym i wyłączywszy królestwo zwierząt jako powstałe wskutek teatralnych cuvierowskich „wznawianych aktów stworzenia“ — zastosował teoryę ewolucyi tylko do roślin, tylko wreszcie do jednéj ich rodziny, to bezwątpienia w szeregach tych, którzy najwięcéj przeciwko niemu powstają, znalazłby znaczny poczet zwolenników, którzyby wielbili jego geniusz okazany przez wniknięcie w najcudowniejszą tajemnicę stworzenia. Ale Darwin tego nie uczynił i w „Origin of species“ choć nie zastosował swéj teoryi do pochodzenia człowieka, jednakże o téj możności w paru miejscach napomknął i wreszcie w dziele specyalném „o pochodzeniu człowieka“ wyprowadził ostatnie konsekwencye, żadnéj co do jego pojęć wątpliwości nie pozostawiające. Ta zaś konsekwencya z teoryi była tak wyraźną i uderzającą, że dla najmniéj naukowego umysłu stało się zrozumiałém, iż chcąc uratować dawny pogląd na stanowisko człowieka, trzeba zwalić teoryą w jéj najszerszym zakresie, trzeba ją wygnać z ostatniego przytułku, choćby z jakiejś rodziny roślinnéj. Jedném słowem ci, którzy umieli z powodzeniem pogodzić odkrycie Kopernika oraz naukową kosmogonię z dawniejszemi poglądami, niewieleby się troszczyli o podstawy teoryi, gdyby nie ostatnia konsekwencya, i tylko ze względu na nią uderzyli cum studio et ira na podstawy teoryi.

Podobnież, gdyby Darwin, gwałcąc anatomię porównawczą popełnił nonsens wywodu człowieka od kanarka, kolibra, a chociażby mrówki, to wprawdzie sfery, którym zależy na utrzymaniu literalne-

go znaczenia dawnego poglądu również-by na wywód taki napadały; ale w szerokich sferach publiki descendencya taka nie miałaby nieprzyjaciół, bo nie obrażałby jéj uczuć estetycznych. Ale jakkolwiek małpa stoi daleko wyżéj na drabinie jestestw organicznych i zarówno ciałem jak i inteligencyą najbardziéj zbliżona jest do człowieka, jednakże porównanie z nią niezmiernie ogół obraziło. Właśnie wskutek jéj podobieństwa, wychodzą na jaw różnice, zmuszające do porównywania i z tego powodu wyglądające jak potworne zjawiska istoty ludzkiéj.

Gdyby małpa była pięknem, z pięknemi ruchami, lecz głupiém zwierzęciem, ogół bynajmniéj nie lękałby się porównania; ale że jéj postać w porównaniu z naszą jest karykaturą, że jéj maniery są nieprzyzwoite, więc choć posiada inteligencyą, stosunkowo dość wysoką i choć ogólna budowa najbardziéj zbliża się do naszéj, porównanie razi. Właśnie to wielkie, nawet dla prostaka widoczne podobieństwo, przedstawia nam małpę jako naszą karykaturę, jako postać naszą w potwornych formach, a karykatura dla osoby skarykaturyzowanéj nigdy nie bywa przyjemną. Idyota budzi w nas wstręt, na głupią zaś owcę możemy patrzéć z przyjemnością, jeszcze zaś więcéj oburza nas człowiek rozsądny, lecz gwałcący prawa towarzyskie lub społeczne....

Lecz ani Darwin, ani jego znakomity kontynuator Haeckel, nie wyprowadzają człowieka od małp, których brzydotę widzimy. Pierwszy wyraźnie protestuje przeciwko przypuszczeniu, jakoby nasz protoplasta był identyczny lub nawet bardzo podobny do którejkolwiek z małp istniejących (1), a drugi, choć uchodzi za krańcowego, zastrzega w swéj „Antropogenii,“ iż „jasną jest rzeczą, że ani jedna z żyjących dziś małp antropomorficznych nie należy w prostéj linii do przodków rodu ludzkiego; wszystkie one są ostatniemi rozproszonemi szczątkami jakiéjś staréj gałęzi wąsko-nosych, z któréj, w jednym kierunku, jako oddzielna odnoga rozwinął się ród ludzki.“ Daléj pomiędzy wspólny pień małp wąskonosych a człowieka, stawia Haeckel *niemych ludzi pierwotnych* (Alali), mających już formy zupełnie człowiecze, ale z pierwotnym jeszcze rozwojem myśli i mowy i ta gałęź dopiero ma być pniem rodu ludzkiego (2). Od wspólnego tedy szczepu, z którego miały powstać małpy wąskonose i Alali, jesteśmy oddzieleni mnóstwem form i nieobjętemi okresami czasu, tembardziéj zaś dalecy jesteśmy od małp, które swoją drogą, w innym kierunku, od wspólnego pnia się oddaliły i w biegu tysiącoleci w specyalne

---

(1) O pochodzeniu człowieka, roz. VI.

(2) Anthropogenie, wyd. III, str. 520.

się formy rozwinęły. Wywód ten nie wyłącza wcale możliwości, aby owa wspólna praforma małp i alalów nie miała wyższych zdolności od małp dzisiejszych, i żeby one nie mogły z niéj powstać, jak trafnie powiada prof. Hoyer, przez wsteczny degeneracyjny kierunek rozwoju, przez zdziczenie, według wyrażenia pospolicie używanego.

Gdyby nam powiedziano, iż przodkowie anglików czy słowian, żyjący za czasów panowania pierwszéj dynastyi w Egipcie, a zatém kilkadziesiąt wieków temu, mieli zdolności umysłowe niższe od najgłupszego buszmana, gdyby wykazano, iż ks. Bodouin pochodził w prostéj liniii od brata Herostrata, to ich pokrewieństwo byłoby jeszcze daleko bliższém od węzłów genealogicznych, łączących nas z Alalami a témbardziéj z małpami. A jednakże czyżby Bodouin nie okazał zboczenia umysłowego, gdyby tak jak niektórzy antidarwiniści, brał żywo do serca swoją genealogią!

Ponieważ nawet w geometryi wolno, dla dowiedzenia prawdy, doprowadzić rzecz do absurdum, przypuśćmy na chwilę wbrew Darwinistom, iż pochodzimy w prostéj linii od małp, i że czas dzielący nas od oranga jest o setki tysięcy lat krótszy, że np. przemiana ta dokonała się za czasów historycznych. Ale czyż w takim razie wypadałoby nam wstydzić się swego pochodzenia. Czemuż arystokracya niemiecka nie wstydzi się zaledwie o kilkaset lat odległych swych przodków liber-baronów, którzy z kamiennych swych gniazd spadali na drogi i jak rozbójnicy kalabryjscy, łupili spokojnych podróżnych! Czemuż nie wstydzimy się swego pochodzenia, gdy nam biblia powiada, że mamy wspólny ród z Kainem, czemuż nie chcemy przestać być ludźmi, gdy wiemy, iż więcéj jest na ziemi zbrodniczych potworów ludzkich niż małp antropomorficznych? Kto się tego nie wstydzi, a oburza na naukowy wywód od małp, popełnia błąd wielki. A taka słabość w wnioskowaniu dowodzi tylko słabéj zdolności w konsekwentném myśleniu, co już właśnie tylko za atawizmem, za pochodzeniem od form słabo uzdolnionych przemawiaćby mogło.

Więc jeżeli szlachcicowi wstydzić się nie należy, iż jakiś daleki jego przodek był łotrem, mędrcowi — że protoplasta był sługą ciemnoty, dobroczyńcy—że był nędznikiem, jeżeli nawet człowiekowi pochodzącemu od fizycznego i duchowego potworu, tylko głupota wyrzucać może pochodzenie, to tém bardziéj ludzkość nie powinna się wstydzić swych małpich protoplastów, które żyły w czasie tysiąc lub więcéj razy tak odległym, jak zapamiętany lub wymarzony protoplasta najstarszéj w Europie rodziny arystokratycznéj.

Jeszcze mniéj ma sensu i do jeszcze większéj rozpaczy o rozumie ludzkim doprowadza wniosek: „jeżeli pochodzimy od małp, to żyjmy po małpiemu; jeśli pochodzimy od zwierząt, to żyjmy po zwie-

rzęcemu.“ Zupełnie identyczny byłby wniosek, że ponieważ królowie polscy pochodzili od kołodzieja, więc powinni byli robić wozy dla chłopów, nie zaś rządzić ludem lub gromić tatarów i ponieważ dajmy na to przodek Kopernika był szewcem, więc i Kopernik powinien się był trzymać kopyta. Rzecz dziwna, iż nikomu z wnioskujących w podobny sposób nie wpadł do głowy pomysł urządzenia sobie życia wedle modły średniowiecznéj, kiedy śniadanie księżniczek składało się z kawałka szpérki i chleba, a wyprawa z kilku koszul płóciennych.

Przyznać należy, że oprócz przeciwników Darwina, którzy jego teoryi podobne wnioski narzucają, zdarzają się także i jego „zwolennicy,“ którzy z artykułów gazeciarskich właściwie tych tylko wniosków się nauczyli i widocznie z niemi sympatyzują. Ponieważ zboczenia umysłowe i moralne rozwijają się w niezmiernie licznych kierunkach, a nie zamierzamy zająć się niemi w tém miejscu, więc takim zwolennikom Darwina poradzimy tylko, aby byli konsekwentni i udali się do swych współbraci po logice.... na drzewa dziewiczych lasów Azyi i Afryki.

Jak dalekim jest wniosek taki od teoryi Darwina, wié każdy, choć pobieżnie z nią obznajmiony. Teorya ta, nietylko że nie zaprzecza możliwości i potrzeby postępu, ale nawet podkłada podeń niejako grunt konieczności. Możliwém jest według niéj przypuszczenie, że gdyby jakaś odosobniona grupa ludzi spadła umysłowo, moralnie i materyalnie do poziomu przodków, wspólnych z małpami i gdyby działały na nią takie warunki, w jakich się znaleźli przodkowie małp, to członkowie téj grupy mogliby się stać istotami do nich podobnemi. Nikomu jednak badacz angielski tego nie radzi, a natomiast ostrzega, że upadek cywilizacyi może ludzi w pewnym, choć małym stopniu, zniżyć do istot tak upośledzonych, od których oddaliliśmy się przez dywergencyą, przed odskok cech, które ogólnie nazwać można ludzkiemi i które każą nam czuć instynktowny wstręt do cech małpich, właśnie wskutek przeciwnego kierunku, jakiśmy w swym rozwoju odbyli. Teorya Darwina może być tylko pod tym względem najsilniejszym bodźcem do cywilizacyi, do postępu.

Streśćmy to wszystko. Jak fakt pokrewieństwa mrówki z koszenillą nie może doprowadzać do wniosku, aby mrówki przestały żyć społecznie, pilnie pracować i kierować się stosunkowo wysokiemi zdolnościami, lecz natomiast przyjąć sposób życia leniwych i głupich koszenil,—jak zresztą wniosek podobny byłby nietylko nielogicznym, lecz zupełnie bezwładnym, tak téż nielogicznym i bezskutecznym jest wszelki wniosek z pochodzenia człowieka o jego dzisiejszém stanowisku.

Drugim punktem, na który spadają zarzuty przeciwników teoryi ewolucyjnéj, jest „walka o byt.“

Powiadają, iż Darwin postawił zasadę „walki o byt,“ że usprawiedliwia walkę o byt wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi sposobami. Jak w pierwszym tak również i w tym przypadku słychać téż głosy niby darwinistów, którzyby swe czyny niezgodne z moralnością tłomaczyć chcieli teoretycznie, na zasadzie tego czynnika ewolucyjnego.

Przedewszystkiém Darwin nie postawił walki o byt za zasadę w zwykłém znaczeniu tego wyrazu. Nie pisał on ani kodeksu prawodawczego, ani téż nie tworzył systemu religijnego. Zadaniem jego jest tylko tłomaczenie zjawisk przyrody. On wykrył znaczenie walki o byt, znanéj zresztą uczonym — choć w niecałkowitym zakresie—już bardzo dawno; nie sięgając daleko, możemy zacytować Jędrzeja Śniadeckiego. Darwin jest w takim samym stosunku do walki o byt, jak Newton do siły ciężkości, jak inni naturaliści do piorunów i do bakteryi zarazy. On doprowadził ludzkość do świadomości, że takie a takie zjawiska dzieją się na zasadzie nieulegającego wątpliwości faktu walki o byt i wykazał przyczyny, dla których fakt ten jest koniecznością. A jak Newton nie odpowiada za to, że człowiek pozbawiony materyalnéj podstawy pada i druzgoce sobie kości, jak nie są winni zarazy ci co odkryli bakterye, tak téż i Darwin nie może być odpowiedzialnym za walkę o byt, choćby ona gorszą była od najgorszéj zarazy.

Prawdą jest bezwątpienia, iż niektórzy politycy i ludzie prywatni zasłyszawszy coś o Darwinie, uciekają się do teoryi, gdy chcą przed sobą lub innemi tłomaczyć swe czyny niezbyt piękne, nielitościwe lub okrutne. Nieraz postępowanie bismarkowskie — według zasady „siła przed prawem“ — uznawano za konsekwencyą teoryi Darwina. Ale czyż historya nie daje nam milionowego szeregu przykładów działania według téj zasady bez wpływu teoryi ewolucyjnéj. Chińczycy i Egipcyanie, Arabowie i Hiszpanie, Tatarzy i Krzyżacy, wszystkie ludy, we wszystkich czasach, wybornych tego dostarczają przykładów i czynić Darwina odpowiedzialnym za zasady Bismarka lub wyzyskiwanie biednych przez możnych, byłoby to samo, co stawiać mu za winę ucisk w Chinach, surowość Juliusza Cezara lub Agatoklesa, zagładę Peruwian, Meksykańczyków, Albigensów lub Słowian nadelbiańskich.

Cały szereg zbrodni i gwałtów, który nam przedstawia historya, a bezporównania większy jeszcze szereg zbrodni prywatnych, których echo zaginęło wśród pól i lasów, miast i wsi, zamków i lepia-

nek—wszystko to jest bezwątpienia głównie objawem walki o byt, ale nigdy jakiéjś tam teoryi.

Należałoby się wreszcie pozbyć nader fałszywego pojęcia, jakoby czyny ludzkie, biorąc *rzecz ogólnie*, były skutkiem takiéj lub owakiéj teoryi, nie zaś instynktów, potrzeb, namiętności. *Video meliora proboque, deteriora sequor*, jest powszechną praktyką postępków ludzkich i doskonale wyraża antytezę pomiędzy teoryą a praktyką. Ludzie wiedzą o tém dobrze, że „natura ludzka jest słabą" z powieści i z pism najbardziéj rozpowszechnionych, a jednak bardzo chętnie zapominają o tém, gdy chodzi o rzucenie potwarzy na jakąś teoryą. Ludzie dla tego się wyzyskują, zabijają i t. d., że im dolega niedostatek, wszystko jedno jakiéj natury i wszystko jedno czy rzeczywisty, czy urojony (popęd do zbytku). Na moście na Berezynie spychali się ludzie nawzajem, bez względu na to, czy byli ateistami czy religijnymi, katolikami czy protestantami, a kobiéty rywalki nie nawidzą się tak dobrze u chińczyków jak i u zulusów.

Pospolicie przypisujemy pewne nagłe, a wielkie zjawiska w życiu ludów wpływowi jakiéjś teoryi. Nie mówiąc już o tém, że nawet w takim razie, nicby nas nie powinno wstrzymywać na drodze dochodzenia prawdy, sądzę, iż wątpić można o prawdziwości powyższego twierdzenia. Jeśli jakie teorye dostąpiły tak znacznego rozpowszechnienia, że mogły bezpośrednio wzruszać całe masy, to z pewnością religijne. Jeśli jednak weźmiemy wypadek bardzo prosty i stosunkowo dobrze znany, przypisywany zwykle teoryi religijnéj, mianowicie podboje Arabów i poddamy go analizie, to spostrzeżemy, że pospolity ten wniosek nie jest zupełnie pewnym. Któż dowiedzie, że doktryna Mahometa nie była tylko doskonale odgadniętym wyrazem potrzeb dumnych, chciwych a w niedostatku żyjących beduinów? Wszakże historya mówi nam o takich warunkach bytu Arabów. Wyobraźmy sobie Arabów, żyjących w dostatku w jakimś raju ziemskim i przedstawmy sobie jakby wtedy przyjęli projekt awanturowania się po pustyniach Afryki. Cóż się stało z tym wojowniczym narodem w Hiszpanii? Historya nie mówi wcale że wiara i fanatyzm wśród nich osłabły, a jednak zamiast wojny zaczęli pełną dłonią sybaryckiego życia używać i zajęli się nader pokojowemi sprawami: architekturą, nauką i sztuką. Ileż to innych narodów z wojowniczemi doktrynami zniewieściało w dostatku. Potrzebaż przykładów? Powołam się na historyę wojen, w któréj uchodzi za pewnik, że duch wojowniczy topnieje od dostatku jak śnieg od słońca i wtedy już żadne nawoływanie, żadne teoretyczne względy nie pomagają.

Weźmy inny przykład z tegoż samego świata muzułmańskiego. Nie ma faktów dowodzących, aby mahometanie osłabli w wierze w prawdy Koranu i w nieprzyjaźni dla innowierców. Dla czegóż jednak nie przedsiębiorą wyprawy na Europę, gdzie zwycięstwo dałoby im jeszcze świetniejsze zdobycze niż ongi w Hiszpanii? Dla tego, że im warunki na to nie pozwalają. Nie powiem chyba paradoksu jeśli wniosę, iż gdyby mieli tyle prawdopodobieństw powodzenia ile ich nie mają, to znowu teorya podboju rzuciłaby tłumy muzułmańskie na pola europejskie. Gdyby zaś téj teoryi nie było pod ręką, to ten sam wpływ wywołaćby mogła nieobłudna chęć napełnienia skarbu państwa, kieszeni baszów i mułów.

Nie przeczę bynajmniéj, że i teorya może działać do pewnego stopnia w podobnych wypadkach. Ale gdy rozbieramy sprawę, w któréj obok teoryi działa instynkt zachowawczy w jakiejkolwiek ze swych rozlicznych form, to bezpieczniéj postąpimy, jeśli przewagę wpływu temu instynktowi przypiszemy.

Mówiliśmy dotychczas o teoryach religijnych. O ile zaś słabsze musi być działanie teoryi naukowéj, która nigdy tak silnie i tak gorąco nie bywa odczuwaną jak religia! Religia ma prawdy absolutne, nauka ich niema. Za religią szły massy na śmierć, za prawdę naukową dwóch dni pościć nie będą. Przytém religia stawia zasady i przepisy, nauka zaś pozwala tylko dobadywać się w swych odkryciach wskazówek. Nigdy więc one nie wyłączają dyskusyi i nigdy takiego wpływu jak niewzruszone i niedozwalające wątpliwości zasady religijne wywołać nie mogą.

Wogóle więc, gdzie tylko działa rozbudzony instynkt zachowawczy, wpływ teoryi może być tylko uważany za przytknięcie zapałki do materyału wybuchowego. Lecz kto się boi wybuchu, niech lepiéj nie trzyma nitrogliceryny, aniżeliby miał drżeć na widok każdego człowieka z papierosem, bo nitrogliceryna wybucha i od pioruna i od lada wstrząśnienia i od rozmaitych przyczyn, zupełnie niewidocznych, jakby sua sponte. Więc zamiast lękać się teoryi, starajmy się, aby rzeczywistość nie przedstawiała gruntu dla przewrotu.

Darwin sformułował jednę z najważniejszych kategoryj zjawisk w świecie organicznym, wykazał różnorodne jéj znaczenie i nazwał walką o byt. Zrozumiawszy dobrze pochodzenie, zakres i rozmaite formy tego czynnika, możemy sobie zdać jasną sprawę z gwałtów, wyzyskiwań, zamachów na własność i życie, ze zdrady, obłudy i t. d. i gdy spotkamy fakt jaki, w zakres tych czynów wchodzący, powiadamy, iż jest wynikiem walki o byt. I słusznie. Lecz jeżeli nam na myśl przychodzi obwiniać Darwina za to, że walka o byt istnieje, to popełniamy krzyczącą nielogiczność i gniewamy się chyba dlatego

że nam Darwin oczy otworzył, że wyrwał nas z błogiéj iluzyi, bo widok złego drażni nas i wolelibyśmy o nim zapomniéć. Okazuje się, iż nerwowa plantatorka z „Chaty wuja Tomasza“ nie mogąca słyszéć o nędzy ludzkiéj, a patrząca obojętnie na ucisk murzynów, nie jest wcale wymarzoną postacią. Gdy nas kto do muru przyprze, przyznamy ostatecznie, iż od Kaina aż do policyi napoleońskiéj, od budowy piramid aż do dzisiejszéj eksploatacyi rud merkuryuszowych, mamy przykłady walki o byt na każdym kroku i o każdéj chwili, możemy sobie teraz miliony jéj obecnych aren *in actu* przedstawić, ale słabe nerwy nie pozwalają nam wprowadzić do swéj świadomości formuły, wyrażającéj te fakta że walka o byt jest na nieszczęście faktem tak ogólnym, jak potrzeba pewnéj ilości chléba, odzieży, wygody, zabawy, zbytku itd.

Ale kto czyta nie dla mody i zabawy, i kto się zagłębi w znaczenie walki o byt, ten dojdzie do przekonania, iż Darwin przez jéj zaakcentowanie i rozjaśnienie stał się wielkim dobroczyńcą świata. Lekarz, który niepożądane a ważne objawy w organizmie zbywa orzeczeniem, że są wyjątkowe lub pozorne i nic nieznaczące, jest albo nieświadomym albo kłamcą; lekarz umiejętny i uczciwy stawia dyagnozę choroby choćby była nieuleczalną. Darwin postawił nam dyagnozę chorób ludzkości, i zdarł różową i złotem tkaną zasłonę z posągu Izydy.

„Widzimy oblicze natury, promieniejące wesołością, widzimy często nadmiar pożywienia, ale nie widzimy albo zapominamy, że ptaki, które około nas dzwonią swe pieśni, żywią się po większéj części owadami lub nasionami, a więc ciągle niszczą życie; albo téż zapominamy ileżto tych śpiewaków, ich jaj lub piskląt, niszczą ciągle ptaki i czworonożne drapieżne.“

Tak nam przedstawia naturę Darwin. Możemy wołać „ach! czemuż to życie nie jest sielanką!“ ale któż fałsz temu obrazowi zarzuci. Nas, wychowanych na powiastkach, przedstawiających, iż wszystko jest najlepsze i najpiękniejsze na naszym świecie, wiadomość taka oblewa zimną wodą i doświadczamy rozczarowania, które nas często do złorzeczenia prawdzie doprowadza. „Oświecone“ warstwy społeczeństwa, wychowane w ten sposób, że lubią prawdę tylko platonicznie, tylko w powiewnych szatach ideału, a gdy się im nagą przedstawi, czują do niéj wstręt. Lecz jeśliśmy już tak nieszczęśliwi, że na różanych i promiennych bajkach wykołysani, nie możemy bez przestrachu spojrzéć w oczy właściwemu stanowi natury i ludzkości, to czyż nadal mamy pielęgnować tę naiwność? Gdzież się wtedy podzieje ta cecha, którą się tak pysznimy: dążność do prawdy, czyż pozostanie ona tylko... obłudą. Czyż postąpimy tak jak owa czuła ary-

stokratka, którą serce boli, gdy jéj kto opowiada o nędzy i dla tego nic o niéj wiedziéć nie chce.

Nic dziwnego, że wielu złorzeczyło Darwinowi za rozwianie tęczowych snów młodości. Psychologia, złożona w belletrystyce, nauczyła już nas, iż ludzie wolą ułudę niż prawdę i gniewają się za jéj rozwianie, ale po przejściu pierwszego wrażenia, każdy tém więcéj wdzięcznym Darwinowi być powinien. Przedewszystkiém odkrył on nam *prawdę*, która już sama w sobie ma wszelkie prawo bytu, choćbyśmy jéj dobrych skutków zrazu nie widzieli, lub tylko złe czasowo spostrzegali,—prawda bowiem, będąc *wiernym obrazem* rzeczywistych zjawisk świata, choćby z początku, z powodu niedostatecznego poznania warunków, szkody podobne np. do śmierci fizyka Richmanna przynosiła (1), jednakże tylko pożyteczną być może przy odpowiedniém ułożeniu się stosunków lub zrównoważeniu zachwianych pierwotnie żywiołów.

Możnaby i należałoby rzecz tę szeroko rozwinąć, ale w tym szkicu uczynić tego niepodobna.

Zapewne spotkam się tutaj z zarzutem, że wiadomość o walce o byt może zmienić lub znieść niektóre właściwości, wypielęgnowane przez cywilizacyą. Temu zaprzeczyć nie podobna, ale niełatwo przewidziéć które. W każdym razie znajomość walki o byt nie będzie miała gorszych następstw od saméj walki, toczonéj od tysięcoleci. A jeśli sama walka o byt, pomimo rozmaitych zygzaków i zwrotów w tył doprowadziła nas do dzisiejszéj naszéj umysłowości i cywilizacyi, to i świadomość jéj co najmniéj nie gorsze wywrze skutki.

Wpływając na pojęcia, wiadomomość ta może wpłynąć i na czyny, lecz ktoby chciał się w niéj dopatrzéć pierwiastku psującego charakter, ten jest w błędzie. Charakter bowiem zależy od zarodków wrodzonych, od przykładów w domu i od celu, jaki stawia wychowanie. Jeden zwolennik téj teoryi będzie walczył o pieniądze na karty, inny stanie na polu obywatelskich czynów, jednego świadomość powszechnéj walki może zachęcić do zabójstwa, innego do samobójstwa z rozpaczy, że świat tak jest okropny; dla innych wreszcie może być tak obojętną, jak odwieczne a słuszne narzekania poetów na świat nikczemny. Słowem może tu być tysiące możliwości, zależnych od temperamentu, wychowania, wzorów etc. i nikt ich przewidziéć ani obliczyć nie jest wstanie. Jeśli powołanie się na przykład

(1) Richmann badał prawa elektryczności atmosferycznéj, a nieznając dobrze warunków prawdy, że elektryczność zbiéra się w ogromnéj ilości na prętach metalicznych zaostrzonych, został rażony piorunem. Gdyśmy je poznali umiemy ze świadomością używać gromochronów.

może mieć pewne znaczenie, to przytoczymy tu fakt, że nasi darwiniści bynajmniéj nie odznaczyli się czynami gorszymi od swoich przeciwników.

Jeśli ktoś chce widziéć w teoryi Darwina przewodnik prawa, obowiązków, moralności, to może w niéj znaleść tylko dobre zasady. Powie mu ona, że każdy ma prawo bytu, że wolno mu o nie walczyć, i że uzyska tyle, ile na to jego energia i siły zmysłowe czy umysłowe oraz warunki, w których żyje pozwolą. Kategorycznie więc potępia lenistwo—to największe nieszczęście człowieka i społeczeństwa. Mówi mu daléj, iż człowiek, żyjąc sam jeden, nie mógłby się utrzymać w walce o byt z siłami przyrody, lub spadłby na poziom bardzo nędznéj istoty, więc i dla utrzymania swego własnego bytu potrzebne mu jest życie wspólne, społeczeństwo. Ile mu dobra daje ta forma życia, spostrzeże właśnie najlepiéj ten, kto się zastanowi nad walką o byt, jakaby się rozwinęła, gdyby każdy człowiek żył na własną rękę. Mając zaś tyle pożytku od społeczeństwa, człowiek ma obowiązek względem siebie i tych, którzy tę pożyteczną formę stanowią, starać się, aby istnienie téj formy było możliwém; musi więc dla większego dobra poświęcić niektóre mniejsze, musi się zastosowywać do równowagi społecznéj. Sposób tego stosowania się wskazują prawa i zasady moralności i zwyczaje, które wyrobiło długie doświadczenie, całe wieki walki o byt. Trzeba je przyjąć i uszlachetniać je, aby czyniąc dobrze społeczeństwu i sobie dobrze uczynić. Kto świadomie przekracza prawa i zasady, jest po prostu oszustem, który nie dopełnia swych zobowiązań, kto występuje przeciw nim nieświadomie podobny jest do człowieka, który propaguje pieszą podróż do Madrytu, dla tego że w wagonach bywa ciasno i duszno.

Rzecz łatwa do pojęcia, że dla jasności przedstawiliśmy powyższą analizę bardzo jednostronnie. Wzięliśmy za przykład człowieka hipotetycznego, pozbawionego wszystkich tych instynktów społecznych, które w nas wyrobiły długie wieki życia społecznego. Ale taż sama teorya Darwina powiada nam, że ludzi takich nie ma, że są tak samo niemożliwi jak mrówka, któraby mogła żyć bez roju. A to jeszcze bardziéj popiéra powyższe wnioski.

Teorya Darwina nie wyłącza, ale, przeciwnie, przewiduje możliwość najrozmaitszych zboczeń w najrozmaitszych kierunkach; ale uzasadnia tém tylko potrzebę urządzeń i praw, aby się złym zboczeniom rozwinąć nie dawały i aby wszystkie ku dobru społeczeństwa kierowały. Rzymska zasada: *salus reipublicae suprema lex esto* jest najkonsekwentniejszym wynikiem teoryi Darwina, która tém samém uświęca wszelkie prawa, jakie ludzkość w tym celu wynalazła i wynajdzie.

Jak pośpieszne i jak jednostronne wnioski, wyprowadzano z teoryi Darwina, dowodzi jaskrawy fakt, że gdy jedni chcieli w niéj widziéć poparcie aspiracyj komunistycznych, inni uzasadniali nią wybryki szkoły manczesterskiéj. Zobaczmy jak wygląda jedno i drugie w jéj oświetleniu.

Jeśli komuniści są takimi jak ich przedstawiają, to myślą o jakiemś królestwie bożém, w łonie którego nie ma wcale nierówności, nie ma różnych zboczeń, żądań, potrzeb, nie ma walki o byt. Darwinista zaprotestuje najprzód przeciwko ostatniemu marzeniu. Żadne społeczeństwo nie może się wyłamać od tego twardego prawa powszechnego. Można i należy walkę o byt ograniczać, tj. sprowadzać ją na jak najpożyteczniejsze dla społeczeństwa i dla jednostek pole, ale myśléć o zupełném jéj zniesieniu jest zupełną mrzonką. Wtłoczyć więc nagle społeczeństwo w jakieś ramki, w których rzekomo walka o byt ustaćby miała, jest to czynić *experimentum in corpore vili*, po którém, kto wie, jakieby kołysania dla odzyskania równowagi czyniło. Daléj dla stanu takiego potrzeba przypuścić zupełne nieistnienie tego, co Darwin nazywa zmiennością i rozbieżnością (diwergencyą) charakterów, co jednak jest zupełnie niemożliwém. Przy istnieniu zaś dywergencyi i zawsze możliwym braku dostatecznych środków, dla zadość uczynienia wymaganiom takiego stanu, należałoby chyba niezmiernie silne pęta na dywergencyą nałożyć, aby ich rozerwać nie mogła. To zaś jest jednoznaczne z najszaleńszym despotyzmem i może jeszcze więcéj ludzi nieszczęśliwych by uczyniło, aniżeli ich jest obecnie.

Daléj, gdyby nawet możliwém było stałe zaprowadzenie wszeschstronnéj równości w jakiemś państwie, gdyby możliwém było wygnanie walki o byt do archiwów historyi, to wskutek właśnie jednego i drugiego czynnika ludność tego państwa marniałaby w zastoju, zacofała i stałaby się ofiarą walki o byt z sąsiedniém państwem... Jeśli z jednéj strony jednostka poddać się musi wielu ograniczeniom, to z drugiéj, zbyt silne ograniczenia jéj woli uczyniłyby jéj życie społeczne niewolą, a społeczeństwo doprowadziłyby do upadku.

Więc marzyciel taki, gdyby chciał iść za wskazówkami teoryi Darwina, musiałby zrzec się myśli sprowadzenia wszystkich ludzi do jednego mianownika i wyrugowania walki o byt z łona społeczeństwa. Mógłby myśléć o tém tylko, aby zwyciężonych nie gnębiono i aby walka skierowaną była ku największemu pożytkowi społeczeństwa, czyli że stanąłby na starém stanowisku powolnéj, stopniowéj, a bez ryzykownych przewrotów walki cywilizacyjnéj o prawo, sprawiedliwość, humanizm.

Walcząc przeciwko zarzutowi, iż teorya descendencyi daje grunt komunizmowi wpadli niektórzy w drugą ostateczność, twierdząc, iż popiera arystokracyą. Jest w tém prawda i nieprawda. Prawdą jest, iż teorya uzasadnia prawo istnienia jednostek wybitnych, które mogą sobie wywalczyć wyjątkowe warunki życia, prawdą jest, iż wymaga szczególnéj względności ze strony ogółu dla wyjątkowych jednostek, będących pionierami lub filarami oświaty, dobrobytu, wiedzy, uczuć społecznych, jednem słowem, prowadzących ogół po drodze postępu i podtrzymujących lub powiększających jego siłę w walce o byt. W tym znaczeniu teorya Darwina jest arystokratyczną i każdy jéj zwolennik będzie się domagał wyjątkowo szczęśliwych warunków, przywilejów dla podobnych jednostek, a to dla umożliwienia im jak najswobodniejszego działania, dla wyrażenia wdzięczności za zasługi, dla zachęty. Jeśli jednak tytułem do przywilejów ma być próżniactwo i rozpusta, używanie cudzoziemskiego języka, a choćby ładne maniery, mała ręka a wielka pycha—to chyba trzeba być ślepym, aby nie widzieć, że darwinista podobnéj arystokracyi popiérać nie może.

Podobnież napróżno szukają w teoryi Darwina usprawiedliwienia ci, dla których wyłącznym motorem życia jest samolubstwo oswobodzone od wszelkich niemal względów społecznych i którzy kierują się w swych czynach tylko chciwością bez granic. Aby brzydota tych czynów nie raziła zbyt oczu całą swą nagością, przystrajają ją w krawat manczesterskiéj „wolnéj konkurencyi" i w naukowe rękawiczki „walki o byt". Wyżéj już powiedzieliśmy, że Darwinista nie wyobraża sobie człowieka niespołecznego, że wymaga od jednostki działania dla dobra społeczeństwa, że więc w imię utrzymania się społeczeństwa w walce o byt potępiać musi wyłączność interesów jednostki, jaki wprowadza do społczeństwa rozkład i grozi mu rozsypaniem się na mnóstwo niezależnych od siebie punktów, a utrudniając życie innym jednostkom, tamuje jego postęp. Żaden darwinista nie wyobraża sobie człowieka jedynie tylko jako machinę do zbierania pieniędzy i wybujałość w tak wyłącznym kierunku, musi uważać za znamię upadku, bo gdy pewna liczba takich aparatów ssących powstanie, inne muszą w tym samym kierunku, choćby dla oporu, wytężać swe siły i odrywają się od pracy w koniecznych dla społeczeństwa kierunkach. Żadna wyłączność nie może być tolerowaną, bo żadna nie wystarcza dla bytu i postępu ludzkości, tembardziéj taka, która innych podkopuje i w prąd niewłaściwy porywa. Darwinista więc dążyć będzie do harmonii kierunków, do należytego każdego z nich, według ważności i odpowiedniości, uwzględnienia i zalecać będzie takie urządzenia, któreby harmonią utrzymywały, regulowały

i wyłamywać się z pod jéj praw nie dozwalały. Jednocześnie, opierając się na niewątpliwem istnieniu instynktów społecznych i rozmaitych zarodków potrzeb, które wiekowe życie społeczne wlało w jednostki, ostrzegać będzie wyłamujących się w kierunku bezgranicznego materyalnego samolubstwa, że mogą doznać wielkiego zawodu wtedy, kiedy już osądzą, że są bliscy celu, szczęścia. Przez zaniedbanie zarodków, o których zapomnieli, a które jak złota nitka przez cały szereg pokoleń się ciągną, popełnili wiele błędów, które nagle wyjdą na jaw w swych skutkach, wtedy, kiedy się tego wcale spodziewać nie będą. Im wyżéj małpa się wzniesie, tém widoczniejszym jest jéj ogon, mówi angielskie przysłowie; otóż właśnie gdy u szczytu swych marzeń spostrzegą swój z zaniedbania obowiązków powstały ogon małpi, wytykany ze śmiechem i odrazą przez ogół, zwierzęce ich szczęście gorzkie zgotuje im zawody na nowém stanowisku, do zajęcia którego prawo sobie przyznają.

Wielce zabawnym dowodem zaślepienia ludzkiego jest to, że chciwi egoiści wynoszą się często na piedestał pionierów i dobroczyńców społeczeństwa, właśnie na zasadzie teoryi Darwina Powiadają oni, jeśliśmy doznali powodzenia, to tém dowiedliśmy swojéj wyższości. W walce o byt, zwyciężają istoty silniejsze, zdolniejsze, wyższe. Będąc więc uprzywilejowanymi stanowią wzór godny podziwu i naśladowania. Iść swoim torem nikomu nie zabraniają, a każdyby ich torem poszedł i nawet idzie, lecz dojść do tak wysokiego celu nie może, bo nie ma odpowiednich zdolności, jest niższym. Dla tego nie należy mu się wcale powodzenie i dla tego ani do równych, ani do wyższych o to pretensyi mieć nie może. Uważając swoją zdobycz za zupełnie zasłużoną nagrodę swéj pracy i zdolności, nie mają żadnego obowiązku jéj zmniejszać na korzyść ludzi niższych od siebie i właśnie dla całości społeczeństwa i dla jego postępu dobrze jest, według nich, aby ludzie niżsi przyciśnięci byli twardemi okolicznościami jako bodźcem do pracy, lub też zupełnie znikli w walce o byt, jako jednostki nie mające praw bytu, nieuprzywilejowane, od natury upośledzone i skazane na zagładę.

Ale jest to tylko sofistyka na gruncie darwinistycznym.

Gdyby tak wnioskował szczur lub hijena to trudno byłoby z niemi o to się sprzeczać—chociaż także zupełnéj racyi by nie miały. Ale ponieważ wszystkim szczurom chodzi *tylko* o dobre odżywianie się, ponieważ wszystkie mają jeden i ten sam cel i sposób życia, ponieważ wszystkie jednakowo walczą o byt, więc kto tłuściejszy, kto więcéj sobie umie zyskać zapasów, ten naturalnie silniejszy, zdolniejszy, wyższy od innych szczurów, o ile naturalnie nie zdarzył się taki np. przypadek, że jeden z nich, który mógł być najsłabszym, najle-

niwszym i najchudszym, nie utył na spadłéj do nory przez nieuwagę kucharki słoninie, właśnie wtedy, gdy inne szczury poszły na jakąś mądrą wyprawę lub zaszachowane były przez kota. Prawie tak samo rzecz się ma u ludów na najniższym stopniu kultury będących, które również oprócz odżywiania się żadnych innych celów nie mają, a przytém znają tylko jedną drogę, prowadzącą do tego celu, mianowicie zbieranie ostryg i owoców lub też jakieś zaczątki rolnictwa. I tu większa ilość przedmiotów pożywienia będzie wskazówką większéj siły, inteligencyi, pilności, jedném słowem wyższości. Lecz rzecz widoczna, że odskok pomiędzy „uprzywilejowanym" a „nieuprzywilejowanym" będzie tu bardzo mały i wyrazić się może tylko jakimś małym ułamkiem, dodanym do normalnéj ilości.

Podobnież rzeczby się miała w społeczeństwach europejskich, gdyby dla każdego ich członka istniała tylko jedna droga utrzymania swego bytu. Gdyby każdy żył tylko z tego, co np. zaorze, zasieje i zbierze, różnice dowodziłyby wyższości, ale wyższość ta byłaby niezmiernie nikłą. Gdy zaś cywilizacya wyrobiła tysiące dróg odrębnych, nie można bynajmniéj porównywać dwóch pracowników na dwóch drogach, jako dwóch ilości jednorodnych i nonsensem jest mówić, że rolnik i kupiec, którzy dorobili się majątku, są inteligentniejsi, wyżsi np. od fabrykanta mikroskopów, który się go nie dorobił, bo właśnie przyczyną tego niedorobienia się może być mała inteligencya rolników i kupców. Powiedziéć zaś, iż niższość fabrykanta mikroskopów właśnie na tém polega, że wziął się do pracy, mniéj dającéj korzyści od rolnictwa, kupiectwa itd. jest to też samo, co propagować zniesienie podziału pracy, sprowadzenie ludzkości do dzikiéj prostoty, upadek cywilizacyi, jedném słowem dać wyraz swojej niższości!

Właśnie wskutek różniczkowania, wskutek rozlicznych dróg, wyrobionych przez cywilizacyą, powstały rozmaite stosunki, rozmaity zbieg okoliczności, który tworzy wielkie majątkowe różnice pomiędzy ludźmi; a stosunki te to w jednym to w drugim kierunku się przerzucają i zbogacają jednostki, które się przypadkowo na ich drogach znalazły. Dla wielkich majątków, które tylko wskutek zastosowania pary do pracy mogły powstać, wynalazek machiny parowéj był tylko niezależnym od nich przypadkiem. Poprowadziła do niego diwergencya, nic wspólnego z gromadzeniem kapitału nie mająca. Daléj pierwsi co zrozumieli wartość pewnego wynalazku bardzo często tracili majątki, a na ich gruzach wyrośli ci, co nic a nic jego ważności niepojmowali, i wzięli się do niego dopiéro wtedy, gdy już opinia publiczna wartość jego okrzyczała. Kto był wyższy, Watt i Stephenson, czy też ci co wśród warunków, przez nich stworzonych porobili ma-

jątki? Co więcéj wynalazcy ci byli przez cały świat „praktyczny“ wyszydzani.

Ludziom, którzy doznali powodzenia w życiu, bardzo jest miło zapominać o wpływie przypadkowych warunków. Dopomaga im w tém dawna teorya, że silna wola i inteligencya daje zawsze powodzenie. Ale darwinizm zadał cios ostateczny téj teoryi, a raczéj postawił tę zasadę na właściwém stanowisku dodawszy ograniczenie: „przy odpowiednich warunkach“. *Z* powyższéj przestarzałéj a bardzo zakorzenionéj zasady wyprowadzono wniosek, że z dwóch ludzi z których jeden doznał powodzenia a drugi nie doznał, pierwszy, był inteligentniejszym i silniejszą miał wolę. Ale wniosek taki tylko w tym razie byłby prawdziwym, gdyby w obu razach wszystkie warunki były jednakowe. W życiu zaś nigdy się to nie zdarza. „Jeśli rzucimy garść piór w powietrze, powiada Darwin, to wszystkie spadną na ziemię według określonych praw; ale jak prostém jest zagadnienie, w które miejsce każde z nich upadnie, w porównaniu z działaniem i oddziaływaniem licznych roślin i zwierząt, które w przebiegu stuleci zadecydowały o gatunkach i stosunkach liczbowych drzew rosnących teraz na starych indyjskich ruinach!“ W stosunkach ludzkich byłoby to również trudném jeśli nie trudniejszém, mając stu ludzi równéj siły woli i inteligencyi, mówić o jednakowym ich losie za lat choćby 10, byłoby jeszcze niedorzeczniejszém od twierdzenia, że każde ze stu piórek zupełnie identycznych na wiatr rzuconych, padnie w jedno i to samo miejsce lub w sto punktów z góry oznaczonych.

Jeżeli w naturze działają miliony przyczyn na ten lub ów los zwierzęcia i rośliny, to niemniéj ich przypuścić należy w życiu ludzkiém. Są one znane i nieznane, widoczne i niewidoczne, wielkie i małe w każdéj chwili i na każdego inny wpływ wywierające. Że zaś w naturze żadna cząstka siły nie ginie, więc każdy z tych wpływów wywiera swój skutek. Czasem kombinuje się na powodzenie, czasem na klęski, czasem na położenie bez wyjścia. Niekiedy następują nieprzewidziane ich kombinacye, lub wzrosty jednych czynników, a wtedy unoszą wszystkich spotkanych na drodze jak potok wezbrany, któremu wszystko jedno, czy niesie świerk czy dębinę, czy zgniły czy zdrowy kawałek. Trzeba się wtedy tylko umiéć kierować. Porównanie więc możliwe jest tylko pomiędzy razem niesionymi, nie zaś pomiędzy nimi a pozostałymi poza granicami potoku.

Małoż podobnych w życiu widzimy przykładów! Przed kilkunastu laty wszyscy niemal grający na giełdzie wiedeńskiéj uważali się za wielce inteligentnych, bo dużo wygrywali, i wcale się niespostrzegli że się przepaść przed niemi otwiera! Jeśli z nich który, sprzedaw-

szy z wielkim zyskiem wszystkie papiery, nagle ciężko zachorował, chociażby z radości, na miesiąc przed „krachem“ i tym sposobem nadal papierów nie nabywał, to może dotąd uważa się za mądrego. Dziś zbiera majątek ten kto ma zapas cukru, jutro może być zniesione cło od cukru zagranicznego i będzie mądry ten co nie ma zapasu. Dziś zabiegli i rozsądni ziemianie sprzedają pszenicę z powodu wiadomości o wielkich urodzajach w Ameryce, jutro zbogaca się jakiś niedołęga, który swego produktu sprzedać nie mógł,—bo przyszła wiadomość z Ameryki że owad niszczy pszenicę. Pewien kupiec warszawski zarobił sto tysięcy rubli na tém, że miał zapas nic nie wartéj galanteryi, która nagle zyskała wartość gdy zaprowadzono cło złotem. Dwóch kupców miało znaczny zapas perkalików w wielkie kwiaty na firanki i nie mogło go sprzedać z powodu stagnacyi w handlu, lecz gdy jeden wedle słusznych kombinacyi i po usilnych staraniach sprzedał go po niskiéj cenie kupcom na spodnice dla azyatek i śmiał się ze swego niezaradnego sąsiada, przyszły nowe żurnale z Paryża i eleganckie damy zaczęły się ubierać w materyał firankowy. Dziś może mieć powodzenie tylko człowiek pobożny, jutro ten co dobrze tańczy, pojutrze uczony, a następnego dnia robi karyerę szachista lub ten co dobrze układa szarady, poluje albo łże. Tak, tysiące, już mniéj już więcéj jaskrawych okoliczności, rządzi losem ludzkiem i nawet na jednéj i téj saméj drodze, w jednym i tym samym fachu powodzenie nie może być miarą inteligencyi i energii. I one bez wątpienia grają rolę jako ważne warunki, lecz fałszem jest jakoby stopa zarobku była do nich proporcyonalną.

Bezwarunkowo cywilizacya doprowadziła nas do tego, że inteligencya, energia i charaktery z niemi współrzędne wiele znaczą w życiu; ale aby wszystko znaczyły, to dotychczas jest pium desiderium. To co chętnie zwycięzcy w walce o byt nazywają wyższością, jest w świetle teoryi Darwina (niech nam czytelnik wybaczy potworność neologizmu) tylko „przewagą najodpowiedniejszości“. Tylko przy szczególnym zbiegu warunków zwycięża wyższość, w innych okazuje się właśnie najodpowiedniejszą niższość. Przy spokoju zwyciężają drzewa wyniosłe, wśród burz karłowate. Posiadanie skrzydeł lub oczu jest dla zwierząt w niektórych warunkach niekorzystném i zwyciężają bezskrzydłe i ślepe. Czasami doznają powodzenia Katony i Brutusy innym razem Katiliny i Nerony. W ogóle w społeczeństwach bywają warunki w których raz otrzymują przewagę wyżsi, drugi raz mierni, a nawet niżsi. Dla tego też jeśli kto nie ma innych danych swéj wyższości, innych tytułów zasługi, ośmiesza się tylko roszcząc sobie do nich pretensyą, na zasadzie powodzenia w walce o byt.

Zajęliśmy się tą kwestyą dłużéj niżby to ze względu na ramy niniejszego szkicu ogólnego wypadało. Uczyniliśmy to dla tego, że obecném mot d'ordre antidarwinistów i pseudodarwinistów jest zdanie jakoby według teoryi Darwina najdoskonalszym człowiekiem, ideałem, była pompa mamony umiejąca zręcznie wyjść z pośród rozmaitych szkopułów. Widzieliśmy że tak nie jest. Pomimo zaś stosunkowéj obszerności tego szczegółowego rozbioru poświęciliśmy téj sprawie bardzo mało miejsca. Niedotknęliśmy ani warunków w których podobne zjawiska występują, ani téż nie próbowaliśmy podać zarysu prawdziwego ideału człowieka według teoryi Darwina. Uczynimy to w miarę możności późniéj, a tymczasem niedomówienia nasze i niedokładności, tłómaczy określenie niniejszéj pracy pomieszczone pod jéj tytułem.

Wróćmy jeszcze na chwilę do treści rodziału.

Chodziło nam w nim przedewszystkiém o rozproszenie przesądu, jakoby teorya Darwina poniżała i demoralizowała ludzkość. Sądzę że wystarczyło słabych sił moich do podkopania u nas tego przesądu. Sądzę nadto że dałem kilka wskazówek nowych widoków, nowego stanowiska poglądu na rozmaite fakta i zaznaczyłem że w teoryi Darwina roztwiera się szerokie, lecz niestety bardzo skomplikowane pole prawdziwéj fizyologii życia ludzkości, oraz że zyskujemy w niéj nitkę Aryadny, mogącą ułatwić badania téj sfery i wskazać sposoby prowadzenia ludzkości w tym kierunku, aby dobre pierwiastki coraz pocześniejsze zajmowały w niéj stanowisko, aby walka o byt coraz szlachetniejszy charakter przybierała i coraz liczniejszym masom wychodziła na pożytek.

(*Dok. nast.*) *Bronisław Rejchmann.*

Molière w świetle najnowszéj krytyki.

I.

Lotheissen. Molière, sein Leben und Werke. Frhf. à M. 1880. 8-a, str. 418.
Mahrenholtz. Molières Leben und Werke vom Standpunkte der heutigen Forschung. Heilbronn, 1881. 8-e, str. 393.

Imię wielkiego komedyopisarza francuskiego żyje w tradycyi, brzmi nieraz nawet w ustach tych, którzy utworów jego wcale nie znają lub znają tylko z dorywczych wzmianek. Rzadko kto z ludzi oczytanych nie wie i o tém, że dla wielu komedyopisarzów był on niedościgłym wzorem doskonałości i twórcą komedyi nowożytno-klasycznéj, posiadającéj właściwe sobie znamiona artystyczne, że stworzył osobną szkołę, któréj wyznawcami byli przez długie lata pisarze wszystkich ucywilizowanych narodów. Poczynając od włocha Goldoniego i duńczyka Holberga, a skończywszy na naszym Zabłockim, wszyscy pierwszorzędni i drugorzędni komedyopisarze ubiegłego stulecia, w mniejszym lub większym stopniu, hołdowali temu smakowi i téj taktyce autorskiéj, którą uświęcił Molier powagą swego talentu.

A jednak ta popularność i powaga Moliera, obowiązująca dla poetów, nie dawała żadnéj rękojmi ani gruntownéj znajomości dzieł jego, ani bezstronnego, dojrzałego sądu o jego życiu i zasługach. I owszem, żaden może z wybitniejszych pisarzów nie ulegał sądom tak sprzecznym, jak autor *Tartufa* i *Mizantropa*. Jeden pochwalał w nim to, co drugi za największą poczytywał mu wadę: Rousseau zarzucał mu demoralizujące tendencye, Kamil Desmoulins widział w nim apostoła republikanizmu i rewolucyi, gdy tymczasem Schlegel odkrył w nim komedyopisarza bez moralnéj godności i królewskiego sługusa. A jeżeli w tych sądach zdarzały się niekiedy

uwagi trafne, było to raczéj dziełem przypadku, niżeli świadoméj wyników swych krytyki.

Nie mogło nawet być inaczéj, raz dlatego, że ówczesny stan krytyki literackiéj nie znał ani téj metody, ani tych źródeł, na których opiera się krytyka dzisiejsza; powtóre i dlatego, że żywot Moliera był dla wszystkich tajemniczą zagadką. Kilka oszczerczych paszkwilów, jakie podyktowała współczesnym zawiść autorska lub stronniczość koteryjna, oraz kilka ogólnikowych pochwał, jakiemi zamanifestowali się zwolennicy Molièra, — oto był cały materyał, na którym opierały się wszystkie życiorysy jego; różnica pomiędzy niemi zależała jedynie od tego, ku któréj stronie skłaniało się bardziéj ucho biografa. Jak to się zwykle dzieje, chętniéj słuchano nieprzyjaciół niż życzliwych; powtarzano więc zazwyczaj wszystkie baśnie i niedorzeczności, które podał pierwszy biograf Moliera, Grimarest (1706 r.). Autor ten, mniéj krytyczny niż złéj woli, starannie pozbierał wszystkie bajki i plotki, jakie obiegały jeszcze podówczas, w rodzaju złośliwych i oszczerczych kalumnii De Visé'go, Saumaise'a, Montfleury'ego i t. d. Życiorys, napisany przez Woltera, nie większą posiadał wartość, jakkolwiek i dziś jeszcze w niektórych popularnych wydaniach dzieł Molièra znajdujemy go na czele.

Rzetelniejsza krytyka życia i utworów Moliera zaczyna się dopiero w wieku XIX, lecz i ta początkowo posuwała się bardzo powolnym krokiem. Wprawdzie już Beffara (1821) i Tachereau (1825) sięgnęli do innych, wiarogodniejszych źródeł; ale szczupły ich zasób nie pozwolił obydwom wyłamać się zupełnie z pod powagi tradycyi, szczególniéj w części biograficznéj. Nawet w dwadzieścia lat późniéj, Bazin, autor pierwszéj krytycznéj monografii o Molierze (1), skarży się jeszcze na brak autentycznych źródeł; nie przeszkodziło mu to jednak poddać gruntownéj krytyce dotychczasowych sądów i opinii i podkopać powagę źródeł, na których się zwykle opierano.

Dopiero w ostatnich dwudziestu latach dla studyów nad Molierem zdobyto grunt pewny i uzbierano sporo materyału, a w miarę tego, jak rozpraszały się mgliste obsłonki, otaczające postać wielkiego komedyopisarza, zaczęło wzrastać i ogólne zainteresowanie się badaczów. Dawna obojętność i niechętne uprzedzenia znikły zupełnie, ustępując miejsca powszechnemu entuzyazmowi. Cały legion gruntownych badaczów z zapałem oddaje się mozolnym i drobiazgowym poszukiwaniom, zbiera najdrobniejsze fakty i wskazówki, mające jakikolwiek związek z osobistością lub utworami Moliera.

---

(1) *Notice sur la vie et les ouvrages de Molière.* Paris, 1848; jest to przedruk artykułu, umieszczonego poprzednio w *Revue des deux mondes* z r. 1847.

Wszyscy usiłują wyświetlić najdrobniejsze szczegóły jego życia i genezę jego komedyi; rozigrana wyobraźnia niektórych zapaleńców chciwie chwyta wszystko, co tylko da się przyczepić do postaci poety; oględne poszukiwania przechodzą w fantastyczne improwizacye, życiorysy stają się romansami, zbiorem wszelkich anegdot i baśni, niekiedy bez żadnéj wartości (1). Inni znów radziby go widzieć tam, gdzie jego noga nigdy nie postała, a przynajmniéj żadnych na to nie ma dowodów (2).

To bałwochwalcze uniesienie niektórych wielbicieli Moliera — rzecz zwyczajna w podobnych wypadkach— nie przeszkadza innym, rozważniejszym i powściągliwszym, pracować z istotnym dla nauki pożytkiem. Najważniejszym owocem tych studyów jest krytyczne wydanie dzieł Moliera, odpowiadające wszelkim wymaganiom nauki dzisiejszéj (3), oraz cały szereg monografij, wyświetlających bądź pojedyńcze momenty z życia poety, bądź téż stanowisko i znaczenie jego utworów. Ostatniemi nawet czasy dla badań nad Molierem powstały specyalne organy, około których skupiają się wszystkie prawie siły wybitniejszych pracowników. We Francyi od r. 1879 wychodzi *Molièriste*, a w Niemczech także od r. 1879 *Molière-Museum*. Tak więc autor Tartufa doczekał się wreszcie tego, co Goethe, Szekspir i Dante posiedli już oddawna.

Przedstawić sumaryczny obraz tych zdobyczy, które ostatniemi czasy poczyniła krytyka, skupić je i wszechstronnie oświetlić postać i działalność Moliera — oto zadanie, które wobec tak ożywionych studyów musiało się koniecznie nasuwać badaczom. Rzecz jednak godna uwagi, że pierwsze usiłowania w tym kierunku poczynili nie Francuzi lecz Niemcy, u których popęd do badań na tém polu objawił się znacznie późniéj.

Wbrew swojemu zwyczajowi badacze niemieccy przez długie lata nie zwracali na Moliera prawie wcale uwagi, poprzestając na pobieżnéj znajomości jego życia i utworów i przyjmując niejako za ostatni wyraz to, co jeszcze w początkach naszego wieku wyrzekł był o nim August Wilhelm Schlegel. Oceniając Moliera bardzo po-

---

(1) Pifteau, *Les maîtresses de Molière*. Paris. 1880. — Houssaye, *Les commediennes de Molière*. Paris, 1879. — Houssaye, *Molière, sa femme et sa fille*. Paris, 1880.

(2) Magen, *La troupe de Molière à Agen*. Paris, 1874. W przeciwieństwie do tych śmiałych i bezowocnych hipotez stoi oględna i gruntowna praca Mongolda, *Molières Wanderungen in der Provinz* w *Zeitschrift für neufranzösische Sprache und Literatur*. Tom I, 1880.

(3) Oeuvres complètes de Molière, par L. Moland. Paris, 1863—4; 7 tomów. — Oeuvres etc. p. Despois et Mesnard. Paris, 1873—1880,—dotychczas wyszło tomów pięć.

wierzchownie i dowolnie, krytyk ten, czyniąc mu tysiączne mniéj lub więcéj nieuzasadnione zarzuty, potępia go nietylko jako poetę-artystę, ale i jako człowieka; jak gdyby rozmyślnie pomija celniejsze utwory jego i zwracając głównie uwagę na mierniejsze, wystawia go w świetle tak niekorzystném, iż dziwićby się należało wraz z krytykiem, czém się to stało, że autor Tartufa, Don Żuana i Mizantropa uchodzi za „jedynego i oryginalnego artystę“ (1). Powaga, jaką cieszył się Schlegel, sprawiła, że pomimo ożywionych studyów nad literaturą, Niemcy pozostawili Moliera w cieniu, zwłaszcza że inny, bardzo zresztą poważny i gruntowny badacz, zupełnie od Schlegla niezależnie, swojemi sądami o Molierze wielce się przyczynił do ustalenia opinii, dla naszego komedyopisarza nieprzychylnéj. Był to Schack, autor cennéj historyi dramatu hiszpańskiego. Wszystko to miało ten skutek, że dawne uprzedzenia wciąż trwały, a nawet dzisiaj jeszcze spotkać się można z ich resztkami (2).

Pierwszy krok ku rehabilitacyi ojca komedyi francuskiéj uczynił dopiero w r. 1869 Humbert, wydając uczoną i gruntowną monografią (3), w któréj obszernemi wywodami starał się wykazać, jak dalece niesłusznie postępuje krytyka niemiecka, przeceniając Szekspira jako komedyopisarza i zapominając o tém, że sami nawet Anglicy nigdy Moliera nie stawiają pod tym względem niżéj. Wywody Humberta, zbijające krok za krokiem wszystkie opaczne sądy i opinie krytyków niemieckich, nie odniosły na razie widocznego skutku: dzieło jego ciężko-uczone i do pedantyzmu rozwlekłe, dziś więcéj może zwraca na siebie uwagę niż wtenczas, kiedy się ukazało. Jednakże niedługo potém odezwał się pisarz inny, bardzo popularny i ceniony — Paweł Lindau. Wobec prac dzisiejszych, monografia Lindaua (4) straciła bardzo wiele, głównie dlatego, że autor z utworów Moliera zadużo wnioskował o jego życiu i przez to nie uchronił się od wielu śmiałych hipotez, które późniéj, kiedy ogłoszono nowe autentyczne materyały, upadły same przez się, lub nie wytrzymują wytrawnéj i oględnéj krytyki. Miała ona jednak tę wielką zaletę, że była napisana popularnie, poczytnie i wielkie sprawiła wrażenie. Je-

---

(1) A. W. Schlegel, *Vorlesungen über dramatische Literatur*. Heidelberg, 1809; odczyt dwunasty.

(2) Swieży tego przykład znajduje się w najnowszém wydaniu Scherra historyi literatury powszechnéj, gdzie Molierowi poświęca autor niecałą stronicę, a tłómacz polski, który w przypiskach uzupełnił Kornela i Rasyna kilku dłuższemi wyjątkami przekładów, do Moliera metody téj nie zastosował.

(3) Humbert, *Molière, Shakespeare und die deutsche kritik*. Leipzig, 1869.

(4) Lindau, *Molière, eine Ergänzung zur Biografie des Dichters*. Leipzig, 1872.

den z dzisiejszych molierystów, Mahrenholtz, przyznaje się, że do studyów nad Molierem zachęciła go książka Lindaua.

Przełamano więc pierwsze lody obojętności i uprzedzenia i dziś literatura niemiecka może się już pochwalić znacznym zastępem badaczów, pomiędzy któremi niejeden pierwszorzędną zdobył sobie powagę. Gruntowne artykuły i rozprawy ukazują się coraz częściéj; nie ustępują one w niczém prawom molierystów francuskich, z tą jedynie różnicą, że kiedy Francuzi przechylają się bardziéj ku studyom biograficznym, niemieccy badacze dają pierwszeństwo studyom literackim. Jednocześnie zaczęły się mnożyć krytyczne wydania pojedyńczych komedyi Moliera. Pierwszy wystąpił w tym kierunku Lion; jeszcze w roku 1871 rozpoczął on wydawać celniejsze komedye, a wkrótce za nim podążyli Laun i Fritsche. Wydania Launa (1), jakkolwiek bardzo krytyczne, w przypiskach podają tylko treściwe uwagi, czyniące zadosyć potrzebom szerszego koła czytelników; natomiast Lion i Fritsche starają się wyzyskać wszystko, co tylko do wyświetlenia utworów przyczynić się może. Pierwszy wydał dotychczas trzy komedye, drugi — cztery. Krytyka uznaje je za wzorowe.

W roku 1880 ukazała się pierwsza próbka ujęcia w jedną całość poczynionych zdobyczy. Ferdynand Lotheissen, profesor literatury francuskiéj przy uniwersytecie wiedeńskim, ogłosił obszerną monografią o życiu i pismach Moliera. Skreśliwszy w krótkim obrazie rozwój komedyi francuskiéj do wystąpienia Moliera, autor rozważa następnie działalność poety w połączeniu z kolejami jego żywota i zamyka całość dwoma rozdziałami, w pierwszym ocenia społeczeństwo francuskie w świetle utworów Moliera, a w drugim podaje historyczny obraz wpływu Moliera na komedyą niemiecką. Jakkolwiek dzieło Lotheissena — o ile mi wiadomo — krytyka przyjęła bardzo przychylnie, nie waham się wyznać, że zawiodło ono moje oczekiwania. Po tém, co autor napisał dawniéj (Historyą literatury francuskiéj w XVII wieku, dotychczas nieukończoną), można się było spodziewać czegoś lepszego. Nie powiem, żeby to była praca pobieżna, nie naukowa, nie oparta na wynikach nowszych badań. Wszystko to w niéj jest; ale sposób przedstawienia rzeczy, skądinąd przystępny i wolny od pedantyzmu, ma w sobie coś w rodzaju tych pospolitych foliałów, jakie się piszą oddawna. Autor nie wlał w nią nowego ducha, któryby ją wyróżniał i czytelnika osobliwie zainteresował, a postać Moliera oświetlił i na tle ówczesnego życia z całą

---

(1) *Molière mit deutschen Commentar* von prof. Laun. 1873—1881. Dotychczas wyszło trzynaście tomików.

subtelnością odsłonił. Rozpisuje się wprawdzie szeroko, a jednak powiada stosunkowo niewiele i postać Moliera wychodzi dość blada; czytelnik zaledwie dostrzega te drobne arterye, które ją łączą ze społeczeństwem i jego dążeniami.

Być może, że praca Lotheissena traci wiele przez to, iż doczekała się współzawodnika. W rok po jéj ukazaniu się wyszła bowiem monografia Mahrenholtza, jednego z najgorliwszych molierystów niemieckich, który już od lat kilku ogłaszał gruntowne rozprawy, dotyczące różnych szczegółów literackiéj działalności i żywota Moliera.

Studyum Mahrenholtza jest bez porównania gruntowniejsze i sięga daleko głębiéj. Autor zna na wylot wszystkie kwestye sporne, wszystkie źródła i przetrawił cały materyał biograficzny i literacki, a że jest wogóle ostrożny i nie bawi się w śmiałe hipotezy, osiąga więc cel zamierzony i przedstawia Moliera istotnie w świetle „dzisiejszych badań.“ Nie chodzi mu o popularność i popularnym nie będzie: w każdéj kwestyi, czy to roztrząsając jaki szczegół biograficzny, czy oceniając który utwór Molierowski, autor ma na myśli czytelnika już dobrze z całą literaturą przedmiotu obznajmionego. Oczywiście, pisząc dla specyalistów, nie potrzebował przemawiać inaczéj; można ich nawet wymęczyć monotonnością wykładu. Uderza ona szczególniéj w rozbiorze komedyi: przy każdéj z osobna usiłuje rozstrzygnąć cały szereg kwestyj w jednym i tym samym porządku: czas i pobudki napisania, znaczenie źródła pomysłu, czas wystawienia, ilość dochodu a nawet obsadzenie ról i pierwsze wydania. Na końcu monografii znajduje się szczegółowy i systematyczny spis bibliograficzny wszystkiego, co się tylko w jakikolwiek sposób Moliera dotyczy. Wszystko to sprawia, że całość, skądinąd ciekawa, jest nużąca i ciężko-strawna; dopiéro przeczytawszy ją razy parę, można się zoryentować, a niekiedy trzeba nawet zajrzéć do źródeł, do utworów poety. Te wszystkie właściwości monografii wymagają, abym, strzeszczając wyniki badań autora, od jego porządku odstąpił, chociażby nawet ze stratą dla samego bogactwa treści.

II.

Cały żywot Moliera (którego właściwe nazwisko było Poquelin), a zwłaszcza pierwsza połowa, aż do roku 1658, jest tajemniczą księgą, któréj nawet najnowsze badania nie zdołały należycie odgadnąć i rozjaśnić. Pomimo wielu autentycznych dokumentów,

uzbieranych ostatniemi czasy (1), postać wielkiego komedyopisarza wciąż jeszcze rozpływa się w mistycznych obłokach, i tylko gdzieniegdzie występuje wyraźnie, faktycznie. Cały szereg domysłów, mniéj lub więcéj trafnych, wypełnia długie przerwy, lecz czy domysły te dają rękojmią prawdy? Były one nieuniknione skutkiem ożywionych badań nad życiem poety, mianowicie wobec tradycyjnych uprzedzeń i potwarzy, które należało sprawdzić, skonstatować lub odrzucić. Większa ich część upadła stanowczo; inne zachwiano, lecz nie zawsze udało się natomiast podstawić coś pewnego.

Opierając się na wiarogodnych lecz dorywczych, a często ubocznych wskazówkach, usiłują niektórzy odtworzyć zarys młodzieńczych lat Moliera. Niewątpliwém przecież jest to tylko, że nasz poeta urodził się w Paryżu 15 stycznia 1622 r., jak o tém świadczy akt chrzestny; że w jedenastym roku życia utracił matkę, że pobierał nauki w kolegium ojców jezuitów aż do roku 1640. Czy jednak ten pobyt w szkołach jezuickich miał jaki wpływ na ukształtowanie się pojęć młodzieńca, jak to przypuszczają niektórzy, na to stanowczo odpowiedzieć nie można. Podobnież problematyczne są twierdzenia tych, którzy, jak np. Loiseleur (2) upatrują wielki wpływ Gassendiego na wyrobienie się filozoficznych pojęć Moliera. Dowody, czerpane w komedyach poety, są tak ogólnéj natury, że można w nich widziéć wszystko, co się komu podoba. Jest to wogóle metoda bardzo niebezpieczna zbyt wiele wymagać od utworów poetyckich, a zwłaszcza od komedyi i chcieć z nich wyciągnąć niewątpliwe wskazówki biograficzne. Doprowadziło to Lindaua do twierdzenia, że stosunek młodego Poquelina do rodziców, a zwłaszcza do macochy (Katarzyny Fleurette) był arcy nieprzyjemny. Jak dalece wnioski te, oparte na tém spostrzeżeniu, jakoby w komedyach Moliera nie spotkać sympatycznych postaci matki i macochy, są niezgodne z prawdą, okazał to już Scheffler; sam jednak nie uchronił się od innéj hipotezy, skądinąd prawdopodobnéj, że Molier zdolności umysłowe i niektóre przymioty charakteru odziedziczył po matce, kobiecie nie bez wielkich zalet umysłu i serca, a wespół z niemi i zarodek późniejszéj choroby piersiowéj (3).

---

(1) Soulié, *Recherches sur Molière et sa famille.* Paris, 1863. — Campardon, *Documents inédits.* Paris, 1871. — Campardon, *Nouvelles pièces.* Paris, 1876 i inne.

(2) *Les points obscurs de la vie de Molière.* Paris, 1877, str. 50. Domysł ten podziela i Lotheissen (str. 32—33), upatrując ślady wpływa Gassendiego w humanitarnym poglądzie Moliera na świat, co okazują jego komedye.

(3) Porównać artykuł Schefflera, *Molières Verhältniss zu seinen Eltern* w Herrig'a, *Archiv für das Studium der neueren Sprachen und Literaturen.* Tom 59, rok 1878, str. 288—300.

Również nie można nic stanowczego powiedziéć ani o tém, czy Molier pozyskał w Orleanie stopień licencyata, jak to przypuszcza Lotheissen (str. 35), choć nie ulega wątpliwości, że tam na studya prawne uczęszczał, ani o tém, jakie mianowicie pobudki skłoniły młodzieńca do obrania aktorskiego zawodu. Niektórzy przypuszczają, że Molier jeszcze w latach pacholęcych rozbudził w sobie zamiłowanie do widowisk scenicznych, na które go dziadek prowadzał (1); że zamiłowaniu temu przyszła w pomoc miłość ku Magdalenie Béjart, podszarganéj kokietce, która stała podówczas na czele wędrownéj trupy dramatycznéj (2). Mahrenholtz nie jest od tego, żeby się pisać na przyczynę inną, wskazaną w jednym pamflecie (*Elomire hypocondre*, z r. 1670); według owego pamfletu przystąpienie do trupy dramatycznéj było ze strony Moliera krokiem człowieka zrozpaczonego, któremu w żadnym „uczciwym“ zawodzie się nie szczęści. Żywot Szekspira i Schillera dostarcza analogicznych przykładów, nie mówiąc już o innych.

Bądź co bądź, w r. 1643 Jan Poquelin, wbrew woli ojca i rodziny, zostaje aktorem, zmienia nazwisko i, ponieważ trupa Magdaleny Béjart w Paryżu utrzymać się nie mogła, przez lat właściwie piętnaście (1643—1658) pędzi żywot tułaczy na prowincyi. Badacze, przeważnie francuscy, usiłowali ułożyć całą Odyseję z jego wędrówek; wyszperali wszystkie niewątpliwe i wątpliwe ślady jego pobytu w miastach zachodniéj, południowéj i południowo-wschodniéj Francyi. W ciągu tego czasu Molier powoli wywalczył sobie moralne przewodnictwo nad trupą, przetrwał burzliwe czasy Frondy, zdobył niejakie uznanie, a nawet materyalnie się podźwignął, kiedy Fronda uciekła. Były to czasy ciężkich prób i walk, istotna szkoła życia dla przyszłego poety. Ustawiczne stykanie się z pospolitą rzeczywistością rozwinęło w jego umyśle ten realny, konkretny zmysł twórczy, który przenika wszystkie jego kreacye.

W roku 1658 przenosi się Molier z całą swoją trupą do Paryża; zbrojny w kilkanaście fars, przykrojonych podług miary włoskiéj, których sam był autorem (dwie z nich ocalały), i w dwie komedye spodziéwa się pozyskać dla siebie uznanie i powodzenie, czego już dawniéj dobijał się kilkakrotnie, ale nadaremnie. Rzecz to była niełatwa: trzeba było rywalizować z wyćwiczonemi trupami dworskiemi, które nowemu towarzyszowi nie były rade, a jego kompania zanadto pachniała prowincyonalnémi nałogami. Talent jednak poety mia

(1) Tak między innemi sądzi Moland, wydawca dzieł Moliera i Schweitzer, wydawca Moliere-Museum (I, 3 4).

(2) Lotheissen uwzględnia jedno i drugie; porów. str. 41.

wcześniéj lub późniéj odnieść zwycięstwo, pomimo zawiści współbraci artystów i pisarzów. Dobra, choć prowincyonalna trupa, oraz talent pisarski Moliera służyły za najdzielniejsze środki do walki. Z każdym nowym utworem zwycięstwo przybysza stawało się coraz widoczniejsze, aż wreszcie sam Ludwik XIV zaczął go jawnie osłaniać swoją powagą.

Zatamowana w ten sposób zawiść szuka sobie innego upustu. Sam Molier niemało w tém sobie zaszkodził. Od samego początku, zamiast bawić i śmieszyć publiczność obojętnemi farsami, wystąpił z krytyką, kierując ją przeciw różnym wadom społecznym, szczególniéj arystokracyi (w *Śmiesznych wykwintnisiach*) i drażnił ją pewnym liberalizmem pojęć moralnych. Liberalizm ten był poczęści wynikiem rozwolnionych obyczajów i przytępionego poczucia moralnego, co wyrobiło się w Molierze przez długie i poufałe obcowanie z kobiétami takiemi, jak Magdalena Béjart; poniekąd znowu był to objaw protestu przeciw ciasnéj i filisterskiéj pruderyi. Pierwsze utwory Moliera (farsy a poczęści i komedye) grzeszą indyferentyzmem etycznym. Nie było to zresztą nic wyjątkowego; ale kiedy nie znany parweniusz zaraz po przybyciu do Paryża wystąpił śmiało w obronie rozleglejszych i humanitarniejszych pojęć, kiedy naraziwszy się *śmiesznemi wykwintnisiami*, zaatakował samowolę władzy rodzicielskiéj (w *Szkole mężów*),—miarka się przebrała. Podrażnione namiętności i nałogowe uprzedzenia zwróciły się przeciw nieznanemu śmiałkowi z całą gwałtownością. Zaczęto szperać w moralnéj hipotece autora. Poufała zażyłość z aktorami, objaw lekkomyślnéj krewkości Moliera, stały się źródłem wszelakich domysłów, szkalujących paszkwilów. W tym właśnie czasie (było to w r. 1662) ożenił się poeta z Armandą, córką Magdaleny Béjart. Uchodziła ona za jéj młodszą siostrę, lecz wieść powszechna utrzymywała inaczéj—i utrzymywała słusznie. Małżeństwo z Armandą było dolaniem oleju do ognia; niejakiś nawet Montfleury, jeden z tuzinkowych pisarzów ówczesnych, podał skargę do króla, że związek Moliera z Armandą, córką jego dawniejszéj miłośnicy, jest kazirodny (1). Król skargę pominął milczeniem i zamanifestował się w ten sposób na korzyść oskarżonego; nie przeszkodziło to jednak rozszerzeniu się potwarzy i tysiącznym z tego względu przykrościom.

Wielbiciele Moliera usiłowali go wielokrotnie z téj potwarzy oczyścić. Niektórzy, jak np. Tachereau, opierając się na dokumen-

(1) Lotheissen (str. 142) zdaje się przypuszczać, że dotknięte tém małżeństwem aktorki, które także miały niejakie prawa do serca dyrektora (np. De Brie, Duparc), mogły w téj intrydze mieć udział.

tach urzędowych, utrzymywali, że Armanda była istotnie siostrą Magdaleny; jednakże gruntowna krytyka Loiseleura obaliła te wywody i dowiodła, że w metryce urzędowéj zeznania były fałszywe:—Było to jeszcze wtedy, kiedy młoda Magdalena cieszyła się względami jednego panka i spodziéwała się zostać jego żoną. Właśnie podczas długiéj nieobecności kochanka znalazł się anioł pocieszyciel, lecz z pewnością nie Molier, bo było to jeszcze przed jego przystąpieniem do trupy i Magdalena powiła córeczkę, do któréj ojcowstwa nieobecny panek nie miał żadnego prawa. Wypadało więc zatrzeć ślady niewiary przed jego powrotem—i oto, stara Béjart przyjęła na siebie winę swéj córki i przyznała się urzędownie do macierzyństwa Armandy. Wobec takiego stanu rzeczy, małżeństwo Moliera z Armandą, jako córką poprzedniéj jego miłośnicy, obudza pewien niesmak, jakkolwiek nie ulega wątpliwości żadnéj, że pogłoski, jakoby Armanda była córką Moliera (patrz *Elomire hypocondre*), należy uważać za oszczerstwo. Usiłowano poetę w jakikolwiek sposób uniewinnić. Lindau utrzymuje (str. 40), że na poetę nie pada stąd żadna plama. Inni zaczęli snuć nowe hipotezy. Scheffler poświęcił sprawie téj osobny artykuł (1), w którym usiłuje dowieść, że nie Magdalena Béjart była miłośnicą Moliera, ale jéj młodsza siostra Genowefa; że współcześni, poinformowani niedokładnie o życiu Moliera podczas wędrówek na prowincyi, przenieśli uczucie poety ku ostatniéj na Magdalenę i w ten sposób rzucili cień na czystość charakteru poety. Hipoteza ta, niezupełnie nowa, bo już przez Soulié'go wysnuta (2) nie została przez krytykę przyjęta (3), a Mahrenholtz nie uważa nawet za potrzebne nad nią się rozwodzić.

Z większém natomiast powodzeniem potrafili wielbiciele Moliera obronić go od innych zarzutów i wystawić w świetle bardzo korzystném.

Pominąwszy drobne wady i słabości, jak naprzykład pewną drażliwość i porywczość względem niektórych nieprzyjaciół—co łatwo daje się wytłómaczyć,—Molier wszędzie i zawsze okazuje się bezinteresownym i wspaniałomyślnym Szczególniéj w stosunku do chciwego ojca okazał to wielokrotnie; wspomaga go w tajemnicy tysiącém franków i trzyma w sekrecie dowody nawet wówczas, gdy po śmierci ojca rodzeństwo przystąpiło do podziału spadku. Tyle razy zarzucana mu niemoralność i bezbożność jest faktem niezaprzeczo-

---

(1) *Armande Béjart*; w Herriga *Archiv für das Studien der neueren Sprachen und Literaturen*, tom 61, rok 1879 str. 165—176.

(2) Soulié, *Recherches*, str. 58.

(3) W swoim czasie zbijał ją Loiseleur, *tamże*, str. 230 i następ.

nym, ale tylko w ciasnocie pojęć i pedanteryi samych oskarżycieli i nabożnisiów w rodzaju Tartufa. Molier przerastał ich umysłem i tylko dla tego ściągnął na siebie zarzuty, że patrzał z punktu moralności ogólno-ludzkiéj, że ponad formułki i pozory przekładał istotę rzeczy zarówno w naturalności jak i w religii. Mało przywiązywał wagi do formułek i obrządków religijnych, lubo je spełniał ze względów praktycznych; nigdy jednak nie występował przeciw zasadom ani etyki, ani objawienia.

III.

Lecz cóż dało powód do zarzucenia mu herezyi? Co uzbroiło przeciw niemu nietylko tych, którzy mogli być osobiście dotknięci przez poetę, ale nawet takiego Bossueta, Fenelona, a za nimi i dzisiejszych obrońców ortodoksyi (1). Potrosze wszystkie poważniejsze komedye, ale głównie „Świętoszek i Don Żuan. Już w pierwszych chwilach pobytu Moliera w Paryżu, niechęć osobista, połączona z ciasnotą wyobrażeń, potrafiła w jego utworach (*Szkoła mężów*, *Szkoła kobiét*) upatrzyć wiele demoralizującego. Spisane artykuły obowiązków małżonki, które Arnolf podaje Agnieszce (w *Szkole kobiét*), wskazywano jako parodyą dziesięciorga przykazań; za same nawet tendencye poety potępiano, szczególniéj jego opozycyą przeciw samowoli powagi rodzicielskiéj i opiekuńczéj. Okrzyknięto go za libertyna. *Świętoszek* i *Don-Żuan* zdyskredytowały go zupełnie. W pierwszym upatrywano dążność do ośmieszenia pobożności, w drugim—głoszenie ateizmu. Źle zrozumiano, a raczej nie chciano zrozumiéć myśli poety i uderzano nań za to, że Don-Żuan jest wcielonym ateuszem; odgadywano prawdę, ale tylko w połowie i nie dostrzegano, że był to wierny wizerunek ówczesnéj arystokracyi dworskiéj. Wyrafinowany rozpustnik, zimny i okrutny panek wobec prostaczków, umiejący w razie potrzeby przysłonić się maską religijności, a w gruncie rzeczy zupełny niedowiarek, jest Don-Żuan typem nietylko moralnéj, ale i religijnéj nicości wyższego świata. Jest on tylko drugą, poprawną i rozszerzoną edycyą Tartufa.

I w Świętoszku Molier śmiało zdziera maskę obłudy religijnéj, i odsłaniając demoralizujące jéj skutki, staje w obronie zdrowéj moralności, która niekoniecznie potrzebuje chodzić w przepisanéj sznurówce, bo ta ją przygniata i wypacza, jak wypaczyła już Orgona i je-

---

(1) Tak naprzykład świeżo z tym samym zarzutem wystąpił Veuillot, *Molière et Bourdalone* Paryż, 1877.

go matkę, i oddaje na łup zręcznemu oszustowi. Nie jest przecież Molier jakimś libertynem; od wszelkich wyrozumowanych teoryjek i teoryj, jest on również daleki, jak i cały ten wiek, w którym żył. To objaw raczéj pewnego humanitarnego nastroju jego myśli i serca, wynik zdrowéj kompleksyi moralnéj, wypróbowanéj i uszlachetnionéj w walce z życiem. To trzeźwy, żadnemi uprzedzeniami niezamącony pogląd na życie, na naturę człowieka i jéj prawa. Wypowiada to poeta nieraz przez usta samych osób działających. Kleant w *Świętoszku*, może tu służyć za przykład. Na takie jednak postacie nie zwracano należytéj uwagi; natomiast krytyka współczesna i późniejsza chętnie czepiała się tych postaci, za których przekonania poeta nie mógł odpowiadać. Z tego, co mówi Kryzald w *Szkole kobiét*, łatwo możnaby wywnioskować, że poeta zachwala indyferentyzm moralny w stosunkach małżeńskiego pożycia. Lecz pytanie, czy można Kryzalda identyfikować z poetą? Dokładne rozpatrzenie się w idei komedyi przekonywa, że nie. Kryzald jest tylko kontrastem w stosunku do Arnolfa, kontrastem potrzebnym dla tego, żeby osobistość Arnolfa i myśl przewodnią komedyi lepiéj uwydatnić.

Był czas, kiedy poeta mógł zejść na manowce takiego indyferentyzmu: w początkach zawodu autorskiego. Jego farsy, o ile z pozostałych można sądzić o wszystkich, i początkowe komedye okazują to dowodnie. Autor bawi tu nieraz siebie i publiczność kosztem poczucia sprawiedliwości i moralności. Lecz były to czasy młodzieńczego fermentu, czasy aktorskiego tułactwa, niewyrobionego talentu i nieustalonych poglądów. Molier pozostawał jeszcze pod wyłącznym wpływem farsy włoskiéj, która podówczas panowała wszechwładnie i któréj hołdowali wszyscy komedyopisarze; pozostawał na łasce niewybrednéj publiki, któréj trzeba było dogadzać, a która o poczucie sprawiedliwości, przyzwoitości i moralności nie dbała zgoła. W późniejszych atoli utworach znika ten dwuznaczny charakter i poeta z zupełną świadomością celów i środków podejmuje śmiałą i wielostronną walkę nietylko w poważniejszych komedyach, ale nawet w doraźnych improwizacyach, w kompozycyach obstalunkowych, o ile na to czas i inne okoliczności pozwoliły. Dwie tylko sztuki z ostatnich lat życia poety okazują niejaki zwrot do młodzieńczego indyferentyzmu: *Jerzy Dandin* i *Psoty Scapin'a*, a poniekąd *Pourceaugnac* i *Uszlachcony mieszczanin*. Jeżeli gdzie, to tutaj właśnie napaści Roussa mają racyą: harmonia pomiędzy poczuciem moralném i wrażeniem estetyczném zatarta; widz śmieje się poniewoli, bo komizm Moliera porywa wszystkich z nieprzepartą siłą,—lecz śmiech nie przygłusza przykrego niesmaku. Bezwzględni wielbiciele Moliera próbowali już nieraz poetę w tym względzie obronić; wszel-

kie przecież naciągane argumentacye, jak np. Jacobsa (1), bezstronna krytyka musi odrzucić. Może ona tylko na usprawiedliwienie poety przytoczyć łagodzące okoliczności; pośpiech,—bo mocarz wszechwładny nie rozumiał, co znaczy woli jego nie wykonać,—wycieńczenie ustawiczną walką i tworzeniem, oraz inne przemijające okoliczności, jak naprzykład chwilowy brak nowości w repertuarze,—sprawiły, że te utwory grzeszą upośledzeniem poczucia moralnego.

Nie wynika stąd przecież, aby za przykładem Schlegla godność Moliera piętnować zarzutem niewolniczéj służalczości i jego zasady moralne przyrównywać do giętkości królewskiego kamerdynera.

Molier, podobnież jak całe społeczeństwo ówczesnéj Francyi, był monarchistą w ścisłém znaczeniu tego wyrazu. Powaga królewskiego majestatu jest dla niego świętością, a nawet drogoskazem; nigdy jednak do tego stopnia, żeby aż miał ubóstwiać słabostki i wady Ludwika XIV. Ci, co tak mniemają, opierają się na błędném zrozumieniu *Amfitryjona*. Powierzchowna krytyka widzi w téj komedyi cichą apologią miłostek królewskich poza granicami stosunku małżeńskiego (2). Sądząc z ironicznego tonu, w jakim tu Jowisz się wystawia, prędzejby można wnioskować wprost przeciwnie, że Molier odważył się tu zlekka drasnąć samego autokratę; jakoż, sztuka ta raz tylko i to prywatnie była przedstawiona na dworze (*en visite*),—dowód oczywisty, że upatrywano w niéj niemiłe aluzye do miłostek Ludwika XIV. Lecz taka zuchwałość ze strony poety byłaby niemożliwą, zwłaszcza, że władca francuski był jedyną potężną osłoną Moliera. Najprędzéj niéma w Amfitryonie żadnéj wyraźniéj, świadoméj tendencyi: jestto sobie igraszka dramatyczna, napisana dla śmiechu i humoru, nic więcéj.

Z tém wszystkiém, podobnież jak inni pisarze ówcześni, jest Molier zależnym od Ludwika; jest jego nadwornym komedyopisarzem, którego obowiązkiem jest przedewszystkiém bawić go i rozrywać, bo młody i uciechom świata oddany jeszcze monarcha, potrzebuje rozrywek, wesołości, festynów—i miéć je musi. Od tego jest Molier i tylko o tyle cieszy się względami samowładcy, o ile może nastarczyć jego wymaganiom; wszystkie inne względy, jakkolwiek nadawały Molierowi niejaką wartość w oczach Ludwika, były już podrzędnéj wagi. Tém się wprawdzie tłómaczy, dla czego skrępowany poeta tworzy farsy i lekkie komedye, które nie pod każdym względem zadowolą wykształcony smak krytyka; lecz nie należy zapomi-

---

(1) Jacobs *über Molière und die Klassiker aus dem Zeitalter Ludwigs XIV*, herausgegeben von Humbert. Bielefeld, 1879.

(2) Ostatnio wystąpił z tém zdaniem Lindau, tamże, str. 91—93.

nać, że tylko w tych warunkach mógł poeta stworzyć Świętoszka, Szkołę kobiét, Mizantropa, Don-Żuana i inne wyższego polotu komedye. Zresztą, tego samego wymagał i gust publiczności, z którym trzeba było liczyć się koniecznie, zwłaszcza, jeżeli się było komedyopisarzem i dyrektorem trupy jednocześnie (1). Powodzenie materyalne było nieodzownym warunkiem istnienia, a jak dalece smak publiczności był jeszcze niewykształcony, dowodzi tego choćby ta okoliczność, że kiedy lekkie farsy ściągały tłumy widzów, Mizantrop, jedna z najcelniejszych komedyi Moliera, nie miała powodzenia i trzymała się na scenie jedynie przez to, że poeta wystawiał ją w połączeniu z którąkolwiek ulubioną farsą. Łaska autokraty zapewniała Molierowi nietylko byt materyalny, ale co ważniejsza—roztworzyła przed poetą podwoje wyższego towarzystwa i była tarczą obronną przeciw tym wszystkim pociskom, któremi w niego godzono. Gdyby nie ta łaska, Molier, pomimo bystrego zmysłu obserwacyjnego, pomimo plastycznéj zdolności tworzenia, możeby nie poznał życia arystokracyi francuskiéj, a w takim razie nie stworzyłby Don-Żuana, Mizantropa i innych. Podobnym zasłonięty puklerzem mógł śmiało podejmować walkę z potężnym zastępem nieprzyjaciół zasad swych i dążności. I to tém śmieléj, że dążności poety zgadzały się najczęściéj z dążnościami króla, szczególniéj w pierwszych latach jego panowania. Obaj byli wrogami arystokracyi i naturalnemi przeciw niéj sprzymierzeńcami, chociaż przyczyny nienawiści były różne. Demokratyczne pojęcia Moliera, jego literacka opozycya przeciw możnéj arystokracyi, przeciw bucie i swawoli zdemoralizowanych panów, były Ludwikowi bardzo na rękę. Widzieć dumną i oporną niegdyś arystokracyą, oddaną na łup śmiechu teatralnéj publiczności, było dla Ludwika nie tylko potrzebą serca, w którém tkwiło jeszcze bolesne wspomnienie upokorzeń z czasów Frondy; widoki polityczne—potrzeba poniżenia i podkopania powagi szlachty, miały w komedyach Moliera broń wyborną i skuteczną.

Molier i Ludwik to dwaj sprzymierzeńcy, z tą jednakże różnicą, że pierwszy o tyle tylko korzystać może ze swobody działania, o ile drugi na to zezwala; zastrzeżenie co do własnych interesów nie sięga daléj, o ile to dotyczy Moliera. Mógł poeta wygłaszać filipiki przeciw pojedynkom—bo to się zgadzało z przekonaniem Ludwika. Mógł Ludwik osłaniać Moliera od napaści kleru i ortodoksyi, kiedy po wystawieniu Świętoszka podniosly się krzyki przeciw poecie, a niektó-

---

(1) Mahrenholtz, *Einige offene Fragen der Moliere—Kritik*, w *Zeitschrift für neufranzösische Sprache und Literatur*, II, str. 473, rok 1880

rzy chcieli go wraz z komedyą na stos wyprawić; mógł—bo nie widział w tém nic dla siebie niewygodnego, a jeżeli wystawienia Świętoszka na scenie zabronił, czynił to dla tego, żeby względom dyplomacyi uczynić zadosyć. Nie zobowiązywało go to jednak na przyszłość: nie mając żadnego poczucia estetycznego, Ludwik XIV patrzy na Moliera jako na wygodne narzędzie swéj polityki; niejednę myśl nawet poecie podsuwa—a wspólność przekonań politycznych ułatwia porozumienie się.

Z tém wszystkiém nie jest poeta skrępowany zupełnie. Pozostaje mu dosyć szerokie pole, dla autokraty obojętne, na którém może działać i walczyć z zupełną swobodą. Działanie to i walka Moliera ma nietylko negatywne znaczenie. Występując w obronie zasad humanitarnych, nie jest on bynajmniéj jakimś doktrynerem, ani rewolucyonistą; nie chce burzyć, ani obalać; pozostawiając społeczeństwo w tych warunkach, w których ono zostaje, pragnie tylko wyplenić chwasty zdziczałe. Widzi je wszędzie, i zrzadką bystrością uchwycić umie. Nie zaślepiony doktrynerskiemi uprzedzeniami, jeżeli moralny upadek szlachty maluje, to i zdrowszemu mieszczaństwu przywary jego szczerze i bez ogródek wytyka. Bez litości szydzi z Dandinów i wydaje na pośmiewisko tych, co wiedzeni próżnością, pogardzają rzetelném stanowiskiém i gwałtem pragną się wcisnąć pomiędzy szeregi wybrańców urodzenia (*uszlachcony mieszczanin*).

IV.

Pomiędzy Molierem i Szekspirem zachodzi wielkie i wielorakie podobieństwo: ta sama w obydwóch zdolność do konkretnego, realnego malowania natury ludzkiéj, to samo głębokie rozumienie komizmu, ta sama wreszcie umiejętność zużytkowania nieudolnych pomysłów i surowych materyałów, nagromadzonych pracą poprzedników.

Już początkowe utwory Moliera (*Roztargniony*, *Przekory miłośne*, a nawet wcześniejsze farsy), którym ze stanowiska sztuki tyle zarzucić można, okazują w młodym poecie bystrego spostrzegacza natury ludzkiéj i wiernego jéj malarza. Znajdują się w nich pojedyncze postacie i sceny tak wierne, iż nic nie pozostawiają do życzenia. Z każdą następną komedyą składa poeta dowody rozwijającéj się zdolności. Postęp w tym względzie jest wszędzie widoczny, a kiedy z wiekiem dojrzalszym i szerszą znajomością świata i ludzi stanął u szczytu poetyckiego zawodu, umiał tworzyć kreacye żywe i pełne prawdy psychicznéj z tą samą subtelnością, co i Szekspir. Ci, którzy zarzu-

cają mu, że w jego komedyach napotykają się tylko konwencyonalne figury, sądzą bardzo jednostronnie i powierzchownie. Molier, jak i każdy inny poeta, jest przedewszystkiem dzieckiem swego czasu i swego narodu: jeżeli niektóre jego postacie grzeszą konwencyonalizmem to dla tego, że konwencyonalizm należał do wybitnych cech życia towarzyskiego owych czasów. A wszakże po za owemi konwencyonalnemi postaciami stoi cały szereg postaci żywych i prawdziwych po wsze czasy. Przypatrzmy się chociażby kobietom molierowskim. Jakaż tu rozmaitość rzeczywistych kontrastów! Obok najwznioślejszych i najdelikatniejszych poruszeń serca i umysłu, zimny egoizm, wyrafinowana kokieterya; obok szczeréj naiwności lub biernéj powolności dziewczęcia, śmiała oporność dojrzałéj kobiéty, co umie bronić praw swego serca lub własnego interesu. A pomiędzy temi kontrastami całe szeregi postaci przejściowych, oddanych z zupełną subtelnością malowidła. Nie wyczerpuje to jeszcze bogatéj rozmaitości: zwróćmy uwagę na to, że poeta kreśli postacie ze wszystkich sfer i kierunków życia (1).

Pominąwszą drobne, gdzieniegdzie spotykające się szczegóły, zarzucać kreacyom Moliera brak prawdy psychicznéj może tylko ten, kto źle zrozumiał jego komedye. Obrawszy niewłaściwe stanowisko, krytyk widzi zagadkę psychiczną tam, gdzie jéj wcale niema, choćby np. w *Szkole kobiét* lub w *Świętoszku*. W pierwszéj tylu już krytyków upatrywało pewien oddźwięk niesnasków małżeńskich samego poety z Armandą, która—jak to badania okazują—złamała mu wiarę. Podejrzliwy Arnolf ma wyobrażać samego Moliera. Przypuszczenie to, może do pewnego stopnia i trafne chociaż komedya ta została napisana jeszcze w pierwszym roku małżeńskiego pożycia z Armandą, jest zupełnie zbyteczne, albowiem wcale nie wyjaśnia znaczenia saméj komedyi. Ażeby ją zrozumieć, nie potrzeba za przykładem Lindaua domyślać się wszędzie spowiedzi autora. Należy raczéj pamiętać o tém, że źródło komizmu tkwi nie w samym jedynie charakterze ludzkim: komizm wyższego rzędu polega raczéj na kolizyi charakteru z rzeczywistością. W tém rozumieniu komizmem będą nietylko słabości i przywary natury ludzkiéj w zwykłem rozumieniu, ale wszelka jednostronność i przesada. Arnolf jest komicznym nie sam przez się, bo skądinąd jest to człowiek zacny i prawy, i jako taki nie zasługuje na wyśmianie, ale dla tego, że wpada w przesadny pesymizm i występując do walki z rzeczywistością,

---

(1) Już poprzednio pytanie to szczegółowo rozbierał Mahrenholtz w osobnéj rozprawie: *Die weiblichen Charaktere in Molières Komödien* w Herriga, *Archiv* etc. Tom 62 str. 255—272, r. 1879.

przeliczył się: nie wziął w rachubę słabości natury kobiecéj i potęgi jéj miłości. Surowy rygorzysta Alcest (w *Mizantropie*), posuwający się do bezwzględnego potępienia wszystkich, staje podobnież w kolizyi ze światem, a kolizya ta jakkolwiek komiczna, podnosi się do wysokości prawie tragicznéj.

Wobec takich zalet, łagodniéj należy sądzić drobne wady i uchybienia, jakich w komedyach Moliera krytyka wytknęła bardzo wiele. Naciągane sytuacye, poświęcenie prawdy dla efektu, a nadewszystko mechaniczne rozwiązanie węzła komicznego, oto są zarzuty, których nie usprawiedliwi żaden wielbiciel Moliera. Nie są jednak te wady ani tak wielkie ani tak powszechne, żeby dla nich stawiać Moliera niżéj od Plauta — jak to czyni Schlegel — albo od dramaturgów hiszpańskich — jak to czyni Schack. Obaj ci krytycy, z różnych zresztą powodów, obniżają wartość Moliera do poziomu nieudolnego naśladowcy, a nawet plagiatora.

Zarzut plagiatorstwa ciężył na Molierze oddawna; już współczesna krytyka niechętnych pismaków wytykała mu to ustawicznie, chociaż oszczędzała innych, co wyzyskiwali cudze pomysły. Lecz co wolno było czynić zawistnym niedorostkom nie uchodzi to w krytyce poważnéj i bezstronnéj. Że Molier korzystał ze wszystkiego, temu nie można zaprzeczyć, lecz korzystał tak samo jak Szekspir. Ażeby należycie ocenić stosunek utworów molierowskich do ich źródeł, nie dosyć zaznaczyć ogólne podobieństwo treści lub pojedyńczéj sceny; należy je porównać szczegółowo i odważyć różnicę w poczuciu artystycznem, w dosadności prawdy fizycznéj, w jędrności dowcipu. Takie porównanie przeprowadzone z całą dokładnością, okazuje bezwarunkową wyższość Moliera (1).

Najprzód zapożyczenia ograniczają się w większéj części na ogólnym zarysie intrygi, z usunięciem pojedyńczych osób, połączeniem kilku scen w jednę i tym podobnemi skróceniami lub zmianami. Zmiany te i skrócenia wprowadza poeta dlatego, żeby fabule komicznéj nadać większą giętkość i wyzyskać ją bardziéj dla prawdy i sztuki. Najczęściéj przecież zapożycza Molier pojedyńcze tylko sceny, a nawet bardzo drobne ustępy i to nietylko z dramaturgów hiszpańskich lub rzymskich, ale z romansów współczesnych, średniowiecznych nowelek, dykteryjek i wszelkich innych źródeł. Niema komedyi, do którejby się nie dały wskazać jakieś źródła i nasz poe-

---

(1) Stosunek Moliera do komedyopisarzów rzymskich i hiszpańskich rozważał Manrenholtz już dawniéj w osobnych rozprawach: *Molière und die römische Komödie* (Herrig, *Archiv* i t. d., tom 56, str. 241–264, rok 1876) i *Molière in seinem Verhältnisse zur spanischen Komödie* (tamże, tom 60, str. 284—294, rok 1878).

ta, podobnież jak Szekspir nic z fantazyi nie wysnuł; tak samo jak Szekspir zapożycza on wątku ze świadomością psychologa i artysty. Jako psycholog umié bezbarwnym, szablonowym postaciom poprzedników swoich nadać werwę życia i konsekwentnie charaktery ich przeprowadzić; jako artysta — poziome, a nawet wstrętne pospolitości podnieść i uszlachetnić, akcyą skupić i ożywić, efekt spotęgować. Schlegel, który szczególniéj względem Moliera niesprawiedliwym się okazał, nie zwrócił oczywiście uwagi na to, o ile Harpagon przewyższa Eukliona, o ile *Szkoła mężów* głębiéj sięga myślą niż *Bracia* Terencyusza.

Podobnież niesprawiedliwym okazał się i Schack (1), zdaniem którego *Szkoła mężów*, *Miłość doktorem*, *Doktór z musu*, *Sawantki*, są to tylko nieudolne kopie oryginałów hiszpańskich. Uniesiony predylekcyą dla swojego przedmiotu, widzi Schack jednostronnie i popada w te same błędy co i Schlegel. Gdzie więcéj prawdy i artyzmu, gdzie głębsze ideje: w *Acero de Madrit* Lope de Vegi, czy w *L'amour médicin* Moliera; w *Melindres de Beliza*, czy w *Femmes savantes*? A wszakże są to komedye, w których Molier najwięcéj zawdzięcza pierwowzorom hiszpańskim! Jeżeli bezstronność odda tu zawsze palmę pierwszeństwa Molierowi, to cóż mówić o wyższości dramatów hiszpańskich tam, gdzie zapożyczenia sprowadzają się do słabych reminiscencyj, lub podobieństw bardzo ogólnéj natury?

* * *

Do takich wyników doszedł Mahrenholtz w swoich studyach nad Molierem. Ostrożny aż do zbytku w kwestyach biograficznych, staje się on stanowczym sędzią, ilekroć ma do czynienia z literacką działalnością poety. Pod jego piórem stanowisko i znaczenie Moliera w zupełnie inném przedstawia się świetle.

Rzecz godna uwagi, że i Lotheissen, pisząc zupełnie od Mahrenholtza niezależnie, do tych samych dochodzi rezultatów. Nie umie on jednak walczyć tak przekonywająco, jak Mahrenholtz, raz dla tego, że jest mniéj szczegółowy, czasem nawet zanadto pobieżny i tylko niektóre utwory dłuższemu poddaje rozbiorowi; powtóre i dla tego, że po części zostaje pod wpływem metody Lindau'a i dosyć łatwowiernie przyjmuje za prawdę szczegóły wątpliwe; wreszcie nie zgłębiał widocznie przedmiotu tak gruntownie i tak wszechstronnie.

---

(1) Schack, *Geschichte der dramatischen Literatur und Kunst in Spanien*. II, 685 III, 448.

Ani wątpić, że krytyka, która tak pochlebnie w ogólności odezwała się o pracy Lotheissena, z większém jeszcze uznaniem oceni monografią Mahrenholtza, chociaż wytknie mu z pewnością niektóre usterki. Za największą poczytać mu należy niejaką przesadę w sądach artystycznych. Jakkolwiek bowiem Mahrenholtz stara się utrzymać na stanowisku bezstronném i na wady poety ślepym ani pobłażliwym być nie chce, nie na wszystkie jego sądy pisać się można, a zalety utworów molierowskich występują wybitniéj, niż ich wady. Wynik to nie tyle predylekcyi autora i jednostronnego uwielbienia, ile apologicznego tonu, w jakim cała monografia została zredagowana. Pomimo bogatéj już literatury, Mahrenholtz wciąż jeszcze uważa za potrzebne zwalczać niekorzystne dla Moliera uprzedzenia. Potrzebę tę uczuwa on daleko silniéj niż Lotheissen, który znów od spornych kwestyi trzyma się zdaleka; nie są mu one obce, lecz się niemi nie przejmuje w takim stopniu jak Mahrenholtz. To téż daleko spokojniéj traktuje swój przedmiot, lecz za to nie osiąga tego skutku, jaki osiągnąćby mógł. Lotheissen bowiem należy do stanowczych wielbicieli Moliera i już na wstępie bardzo wyraźnie oświadcza się na jego korzyść. Pomimo to, dla tego, kto ile tyle, zna kwestye sporne, książka Lotheissena wyda się gołosłowną apologią; na odparcie tysiącznych zarzutów, które oddawna ciążą na pamięci i na utworach Moliera, czytelnik nie znajdzie w niéj dostatecznych argumentów. Wysoko podnosi on zalety Molierowskich komedyi, lecz szczegółowemu rozbiorowi poddaje tylko te, które należą do rzędu tak zwanych arcydzieł, i dotyka prawie wyłącznie ich strony artystycznéj i stosunku do współczesnego otoczenia. Inne strony albo zupełnie pomija, albo zaledwie zlekka potrąca i na tysiączne wątpliwości nie daje żadnéj odpowiedzi. Inaczéj Mahrenholtz: w jego pracy wszystko uwzględnioném i rozpatrzoném zostało; niema kwestyi, któréjby autor monografii mniéj więcéj szczegółowo nie wyłożył, genezy jéj nie przedstawił, a następnie według swego widzenia rzeczy nie rozstrzygnął, lub wątpliwości nie zaznaczył. Z tego stanowiska jeden mu tylko możnaby poważny uczynić zarzut: Mahrenholtz nie postarał się o scharakteryzowanie komedyi molierowskiéj jako dzieła sztuki. Wprawdzie nie sam Molier pracował nad stworzeniem téj komedyi, lecz nikt inny nie potrafił jéj nadać tak skończonéj i charakterystycznéj fizyonomii; on był ostatecznym mistrzem, co powagą swoją uświęcił pewne stałe formy komedyi nowożytnéj, formy, które przetrwały w nienaruszonéj harmonii prawie do naszych czasów. Pomijając tę charakterystykę Mahrenholtz tylko w połowie wywiązał się z zadania, jakie sobie postawił w ostatnim rozdziale (322—339), w którym zestawia tłumaczów Moliera i jego naśladowców po za gra-

nicami Francyi, a więc w Anglii, w Niemczech, w Hiszpanii i we Włoszech; inne narody zbywa ogólnikiem, tłómacząc się brakiem źródeł lub nieznajomością języków. Zestawienie to bardzo pouczające i wymowne zyskałoby wiele, gdyby w liczbie naśladowców Moliera znaleźli się nietylko ci, którzy zapożyczali od niego fabuły lub konceptów, ale i ci, którzy byli wyznawcami jego metody artystycznéj. Imiona ich (np. Goldoni) figurują wprawdzie na liście, ale tylko o tyle, o ile niektóre ich komedye zbliżają się treścią do komedyi Moliera. Tego nie dosyć i wpływ Moliera na późniejszych komedyopisarzów nie odsłania się dla tego w całéj doniosłości, co w monografii tak gruntownéj i tak wyczerpującéj powinno było znaleść właściwe miejsce.

Edward Grabowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Memorie storicho-critiche archeologiche dei santi Cirillo e Metodio e del loro apostolato fra le genti slave per Domenico Bartolini, prete del titolo di S. Marco, cardinale della santa romana chiesa, prefetto della sacra congregazione dei riti. Roma, tipografia Vaticana, 1881, 8⁰ maj, str. XXIX i 254.

19 Listopada 1881 r. pojawił się w „Wiener-Algemeine-Zeitung“ telegram z Rzymu natępującéj treści: „Kongregacya obrzędów rozsyła wszystkim biskupom słowiańskim wydane przez nią na pamiątkę tegoroczněj pielgrzymki słowiańskiéj dzieło o obu apostołach Słowian Cyrylu i Metodym.“ Dzieło, o którém w telegramie mowa, jest to mianowicie, którego tytuł wypisany powyżéj brzmi w dosłowném tłomaczeniu: „Wspomnienia historyczno-krytyczne archeologiczne o świętych Cyrylu i Metodym i o ich apostolstwie w pośród narodów słowiańskich“ i którego autorem w telegramie nie wspomnianym jest kardynał Dominik Bartolini. Wydaném ono zostało jeszcze w końcu lipca r. z. (więc już w parę tygodni po skończeniu pielgrzymki, uczestnikom któréj jest dedykowane), z powodu jednak wyjazdu autora z Rzymu rozesłanie wstrzymane zostało na kilka miesięcy, dla tego téż i ja nie mogłem go dostać za méj bytności tamże. Otrzymawszy je dopiéro teraz za łaskawém pośrednictem prałata Meszczeńskiego, zdaję krótką sprawę, która tembardziéj może pożądaną będzie, gdy dzieło, o ile wiem, nie znajduje się w handlu księgarskim.

Przedmowa jego poświęcona jest przeglądowi źródeł, jakie nam się z przeszłości pozostały do historyi obu apostołów. Rozpatruje więc w niéj autor tak zwane życia albo legendy o tych świętych: *włoską* (którą nazywa *rzymską*, dla tego że pisaną była przez jednego z sąsiednich Rzymowi biskupów—Gauderyka z Velletri), *morawską*,

czeską, *pannońskie* i *bulgarską*, charakteryzując źródłową wartość każdéj z nich i przedewszystkiém pierwszéj, oddając jéj pierwszeństwo, jako pisanéj przez współczesnego (korzysta autor z wydania ich przez J. A. Ginzel'a w „Geschichte der Slavenapostel Cyrill und Method und der slavischen Liturgie," Wiedeń 1861), robi przegląd pozostałych dokumentów, wydanych razem przez tegoż Ginzel'a w „Monumenta epistolaria de ss. Cyrillo et Methodio agentia" i w „Starine," (wydawanéj przez południowo-słowiańską akademię nauk i umiejętności) i przytacza inne dzieła i rozprawy, z których czerpał różne wskazówki, jako to Assemanni'ego, Martynowa, Balana, Pressutti'ego, Szafarzyka, Račkego, Strossmayera, Kojałowicza, Bielskiego, Rettla i kilku innych tylko katolickich pisarzy, w samym tekście tylko wspomnianych.

Rozdział I zawiera pierwsze wiadomości o Cyrylu i Metodym, apostolskie ich prace u Chazarów, w Bulgaryi i na Morawie, przybycie ich do Rzymu, śmierć i pochowanie tamże Cyryla. W rozdziale II autor traktuje o powrocie Metodego do Morawii, spotykanych przeciwnościach i poniesionych przez tegoż prześladowaniach, powtórne powołanie go do Rzymu przez Jana VIII i ponowne zatwierdzenie przez stolicę apostolską liturgii słowiańskiéj; w trzecim wreszcie nawrócenie się Czech, opowiadanie ewangielii „wielu słowiańskim narodom i założenie kościołów," powrót do Morawii, śmierć i pogrzebanie.

Autor nie pisze właściwie historyi apostołów w sposób ściśle naukowy, tak jakbyśmy to w téj kwestyi przypuszczali, rozbierając krytycznie każdą, znajdującą się w źródłach wiadomość, wyciągając wnioski tylko z pewnych, rozpatrując wszystkie zarzuty lub hipotezy innych autorów (1), osobliwie przeciwnego zupełnie obozu; układa on swoje opowiadanie z tego tylko co się znajduje w dwóch właściwie źródłach: legendzie włoskiéj i listach papieżów, które to dwa źródła *in extenso* w opowiadaniu poznać można, a w przypiskach także *in extenso* w ich oryginalnym łacińskim języku, z innych źródeł bierze zaś to tylko, co nie jest w sprzeczności widocznéj lub logicznéj z temi dwoma, ani téż z jego stanowiskiem, jako autora, którego nie ma co zaznaczać, domyśli się go bowiem każdy, i celem dzieła: wykazać, że Cyryl i Metody byli apostołami *wszystkich* słowiańskich narodów, co było także przewodnią myślą encykliki z 30 września

(1) Sporne kwestye autor traktuje rzadko i albo powierzchownie albo wymijająco przytaczając argumenty jednéj i drugiéj strony a sąd pozostawiając czytelnikowi, np. str. 81—84, 140—141.

1880 r. któréj za naukowy fundament i usprawiedliwienie ma ono służyć. Pisząc w roku zeszłym (Ateneum z września 1881) sprawozdanie o jedném z jéj wydań podałem w wątpliwość znajdujące się w niéj twierdzenia o założeniu przez Metodego biskupstw we Lwowie i Kijowie, przypisując je mylnym informacyom kardynała Bartolini, który, jeżeli sam encykliki nie skomponował, to musiał zapewne dostarczyć do niéj materyałów, gdy więc niniejsze jego dzieło otrzymałem, z największém zajęciem czytałem to, co się w niém mówi o dwóch wspomnianych kwestyach i przekonałem się, że dostojny autor złych informacyj nie miał, tylko za nadto uniosła go fantazya, bo aż do niepozwolonego przez logikę wnioskowania i do przypuszczeń żadnemi a żadnemi nieusprawiedliwionych danemi.

Co do pierwszéj kwestyi,—założenia przez Metodego biskupstwa we Lwowie, to autor dosłownie tak pisze na str. 151—153 „Metody spełniając swoją misyę w ziemiach zamieszkałych przez Słowian, przedarł się do Galicyi albo Rusi, albo Rusi Czarnéj, albo Rusi Małéj (!) i, utworzywszy tam liczną chrześciańską gminę, założył w Haliczu biskupstwo. Aczkolwiek papież Leon XIII w swojéj rozgłośnéj encyklice *Grande munus* w kwestyi założenia tego biskupstwa poszedł za tradycyą, podtrzymywaną przez niektórych pisarzów (ależ których ?!), nie zbrakło z różnych stron krytyk, które to założenie biskupstwa zbijały. Lecz chociaż tego nie dowodzi żaden historyczny dokument, atoli tradycya ludu galicyjskiego (gdzie i przez kogo spisana ?!) utrzymuje jako rzecz niewątpliwą, *że Metody założył* (1) stolicę biskupią w Haliczu, który w owym czasie był znacznéni miastem i stolicą Rusi (w IX wieku!) a gdy potém upadł, stolica biskupia przeniesioną została do Lwowa, tak iż dzisiejszy arcybiskup grecko-rusiński tytułuje się jeszcze *archiepiscopus Halicensis*. Sławny A. K. Pietruszewicz, kustosz kapituły metropolitalnéj św. Jura we Lwowie, bardzo biegły w rzeczach słowiańskich, chociaż przyznaje, że z żadnego dokumentu historycznego nie wypływa, ażeby św. Metody opowiadał ewangelię w Galicyi i tam założył pierwszorzędną stolicę, jednakże potwierdza, że wszyscy uważają za jak najbardziéj ugruntowaną tradycyę, że to *uczynił jeden z uczniów jego* (2). Lecz w takimże wypadku, pomijając aksiomat prawny, że kto robi jakąś rzecz za pośrednictwem drugiego, rozumiéć należy, że przez niego samego zrobioną została; uznajemy za fakt pewny w starożytnéj hierarchii kościelnéj, że stolica Aleksandryjska między patryarchatami trzymała bezpośrednio miejsce po stolicy Rzymskiéj, dla tego, że była

(1) Te wyrazy przezemnie podkreślone.

(2) Podkreślone przezemnie.

założona przez Piotra z polecenia danego przezeń uczniowi swemu Markowi. Tak też jeżeli według tradycyi miejscowéj stolica Halicka została założona przez którego z uczniów Metodego z polecenia danego przez niego samego (gdzież na to dowód?), jakże można będzie wątpić o tém, mając przed oczyma przykład ze stolicy Aleksandryjskiéj, założonéj przez Piotra za pośrednictwem jego ucznia Marka, że stolica Halicka, pierwsza w Galicyi, nie była założoną przez Metodego, chociaż za pośrednictwem jednego z jego uczniów?"

Taki wywód, gdyby spadł na słuchaczów z kazalnicy, byłby może więcéj przekonywający, niż gdy stoi czarno na białém; zrobiwszy nad nim kilka uwag w nawiasie, pozwalam sobie jeszcze dodać, że autor zapomniał o rzeczy dosyć kapitalnéj: owego ucznia Metodego zrobić biskupem, bo biskup tylko może założyć biskupstwo, gdyż tak chce prawo kanoniczne i gdy to zawsze, według słów samego autora (str. 155), praktykowane było przez apostołów (!) i ich następców.

Wywód co do założenia biskupstwa w Kijowie jest słabszy, mimo że — jak powiada autor— na stwierdzenie tego faktu mamy więcéj niż zwykłą tradycyę. Jeszcze na początku dzieła autor, mówiąc o misyi Cyryla u Chazarów, kreśli mapę geograficzną, według Spruner'a i Stieler'a, za obszerne nadaje granice państwu Chazarskiemu, bo od ujścia Prutu i po nim w górę aż do źródeł, następnie przez Podole, Wołyń do ujścia Prypeci, potém po Dnieprze poniżéj Smoleńska przez Kaługę, Moskwę, Razań, między Tambowem i Penzą do Saratowa i ztąd po Wołdze, brzegiem morza Kaspijskiego, przez góry Kaukazkie do morza Czarnego, czyli innemi słowy, jak sam wylicza, 24 dzisiejsze gubernie południowéj i środkowéj Rosyi (str. 6 i 154); takie granice, jak się zdaje, nakreśla autor w tym celu, ażeby Kijów jako tako wypadał w środku chazarskiego państwa; mniema bowiem autor, ale zawsze niewiadomo na jakiéj podstawie, że Kijów sam albo też to miejsce, w państwie Chazarów (mimojazdem zaznaczam, że autor uważa Chazarów za Słowian albo też za naród słowiańskim mówiący językiem, gdyż na str. 9 — 10 powiada: „mowa Chazarów, która była słowiańską" — favella dei Kazari, ch'era la Slava) pryncypalne, na którém Kijów stoi, było środkowym punktem działalności apostolskiéj Cyryla u Chazarów i że Cyryl, powracając do Konstantynopola, nie mógł założyć w Kijowie biskupstwa, gdyż sam biskupem nie był, ale zostawił na swém miejscu kilku księży, następnie zaś opowiada (str. 155), że „Cyryl, udając się wraz z bratem do Morawii dla opowiadania ewangelii, nie mógł interesować się Kijowem, jako nie mający jeszcze biskupich święceń i niezbędnéj władzy. Gdy zostali powołani do Rzymu, otrzymali tam biskupie

święcenia i Cyryl wkrótce potém umarł. Owóż będzie bardzo prawdopodobném, że Metody, mając sobie daną przez papieża Adryana II misyę do wszystkich Słowian z wysokim tytułem legata a latere, potwierdzonym mu jeszcze przez Jana VIII, wizytując wszędzie owe narody, odwiedził także Chazaryę, zroszoną przez brata potem apostolstwa, i w Kijowie, który się stał miastem przodującém, założył stolicę biskupią. Ten sąd potwierdza się przez fakt, że Kijów zawsze był uważany za metropolię kościelną całéj Rusi (Russia) nawet wówczas, kiedy Rosyanie w czasie późniejszym zajęli go i wraz z całą Chazaryą przyłączyli do wielkiego cesarstwa rosyjskiego." Ne basta. Tegoż rozumowania się trzymając, można słuszniéj jeszcze dowieść, że Metody założył biskupstwo i w Astrachaniu (Balangiar) lub Białéj Wieży (Sarkel), które ongi były ich stolicami.

Wiele nowych dla zajmujących się historyą Cyryla i Metodego wiadomości zawiera rozdział IV, w którym autor zbiera wszystkie świadectwa, tyczące się pochowania i grobu Cyryla w Rzymie, i opowiada historyą poszukiwań (1) w bazylice św. Klemensa dla odszukania relikwi Cyryla; zestawiając tam również niektóre dane, przypuszcza nawet, że i kości Metodego przeniesione zostały do Rzymu i obok szczątków brata pochowane; świadczy o tém Baroniusz, jako o rzeczy świeżo słyszanéj, a co do czasu wcześniéj jeszcze (bo w roku 1580) list Rudolfa II do Grzegorza XIII, popierając prośbę Stanisława Pawłowskiego, biskupa ołomunieckiego, o przeniesienie relikwi Cyryla i Metodego na Morawię; list ten jednak przezemnie po raz pierwszy ogłoszony (w ołomunieckiém czasopiśmie „Koleda“ z 20 czerwca 1881, nr. 18, str. 285—286 i w Ateneum z września 1881 str. 573), autorowi nie jest znany, a byłby zapewne bardzo pożądany, jako potwierdzający jego przypuszczenie.

Dodatek do dzieła stanowi rozprawa o starożytnym obrazie ze starosłowiańskiemi napisami, przechowywanym w bazylice św. Piotra w Rzymie, o którym pisali już poprzednio Jan Kukuljević Sakciński i Franciszek Rački; pierwszy z nich odnosi ten obraz do IX wieku i mniema, że był malowany przez Metodego lub przynajmniéj przezeń ofiarowany na pamiątkę podróży jego do Rzymu; drugi zaś, że pochodzi z czasów późniejszych, XIII lub XIV wieku; to ostatnie zdaje się być pewniejszém, bo opiéra się na rozbiorze napisu; kardynał Bartolini zdania Račkego nie zbija, przechyla się jednak do zdania Kukuljevića, opierając się na orzeczeniu jednego z artystów

---

(1) Mylnie mię poinformował jeden z zakonników irlandzkich od św. Klemensa, jakoby poszukiwań tych nie robiono; porównaj cytowane sprawozdanie w Ateneum z września 1881, str. 573.

rzymskich (Lais'a), który, obejrzawszy obraz, orzekł, że z IX pochodzi wieku, i na późniejszych świadectwach, które mówią tylko, że to jest antiquissima imago.

Pisaném jest dzieło stylem „gładkim i prostym," jaki za odpowiedni do rzeczy autor uważa; są jednak ustępy, w których obok retorycznych figur widać ożywienie i oratorski zapał, jak np. str. 197—198, 206—208, lub w których przeciwnie przeważa ton religijno-kaznodziejski, jak str. 17, 24, 40, 43 i in., co pochodzi zapewne z bezpośredniego wpływu starych legend, z których autor czerpie. Wydanie jest bardzo piękne i korekta staranna; poprawić należy omyłki w imionach własnych na str. 57: *Rumiantsoviani* zam. Runieantsoviani, *Vostokov* zam. Votokov, 157 *Wijuk Kojałowecz* zam. Wünkkoialowicz, 162 *Zagrabia* zam. Zagabria i 194 *Olomucense* zamiast Omolucense. *Teodor Wierzbowski.*

Carlo Malagola. I polacchi in Bologna. Bolonia 1881, 8-a, str. 22.

Szkic powyższy, który najpierw drukowany był w Noworoczniku bolońskim (Strenna bolognese) na rok 1882, a potém wyszedł w osobnéj odbitce, traktuje przedmiot zupełnie nowy i wielce ciekawy, albowiem poświęcony jest wspomnieniu profesorów i studentów polskich uniwersytetu bolońskiego w XIII—XVII stuleciach, w końcu zaś tych znakomitych polaków od Skotnickiego do Mickiewicza, którzy czas jakiś w Bolonii bawili i którzy pozostawili tam ślady swojéj bytności; o wielu téż współziomkach, którzy w literaturze naszéj lub historyi znane posiadają imię, dowiadujemy się jakiegoś nowego szczegółu, otrzymujemy o nich nową datę.

Żałować jednak wypada, że niniejsza praca p. Malagola traktowana jest bardzo pobieżnie, dorywczo, bez zadosyćuczynienia wymaganiom naukowéj gruntowności i ścisłości; najprzód bowiem autor nie opisuje i nie zawsze cytuje dokładnie źródła; przytacza imiona i nazwiska, które niewiadomo czy do polskich słusznie zaliczyć można (np. Martino Faxius, Giacomo Marcin str. 5, Luca de Apolonia str. 10); traktuje rzecz bez należytego chronologicznego porządku, osobliwie w rozdziale o studentach nie opatrzył swéj pracy niezbędnym spisem nazwisk; nadewszystko zaś mylnie poodczytywał imiona własne (np. str. 8 Sdzelai, Sdgslai; str. 11 Wamieniez, Ferlej. Dobrzgn; str. 12 Inrithwianus, Cioleh; str. 14 Ogoriczyk; str. 15 Robezyce; str. 16 Picher) tak nawet, że trudno się domyśleć, jakby one prawdziwie brzmieć powinny np. str. 8 Mirgineingen, Chb, Ghyseg; str. 11 Zadorarcel i inne.

Podobno jeden z naszych literatów podjął się przerobić, albo opracować po polsku szkic p. Malagola i w tym celu sprawdza na miejscu te same źródła. Byłoby do życzenia, ażeby, poprawiając wszystkie błędy poprzednika, podał także wiadomość o owych uniwersyteckich *Rotuli*, *Libri Partitorum* itd., zrobił z nich i ogłosił jeżeli nie wyciągi, to przynajmniéj ważniejsze dokumenty, jak np. wspomniane przez p. Malagola na str. 20 pozwolenie uniwersyteckiego senatu z r. 1603, wydane Antoniemu Riati, na założenie w Bolonii konwiktu dla polaków.

Teodor Wierzbowski.

La langue des Tziganes slovaques par le Dr. Antoine Kalina, professeur-agrégé a l'université de Léopol. Posen, J. K. Żupański, éditeur, 1882. 8⁰ str. 111.

Język Cyganów jest jedynym dyalektem *indyjskim*, jaki od kilku już wieków żyje w Europie. Stosunek jego i innych, obecnie w Azyi żyjących, dyalektów indyjskich do starego języka Indów, zwanego *sanskrytem*, jest mniéj więcéj ten sam, co stosunek dzisiejszych języków *romańskich* do staréj łaciny klasycznéj. Języki romańskie, jak włoski, francuski, hiszpański, portugalski, mołdawski, powstały na tle łaciny ludowéj;—podobnie i obecne języki indyjskie, jak: Hindustani, Bengali, Sindhi, język Cyganów, są niejako dalszym rozwinięciem się starych dyalektów ludowych, zwanych *prakrytem*. Rozumie się, że tak w romańskich, jak w indyjskich językach mnóstwo jest wpływów obcych, które powstają zwykle przez zetknięcie się z narodami, mówiącymi innym językiem. To też i w mowie Cyganów obok tła indyjskiego znajduje się liczne ślady języka tych narodów z którymi się dłużéj lub krócéj stykali. Np. w języku *Cyganów litewsko-polskich* dostrzec się dają ślady greckiego, rumuńskiego, węgierskiego i niemieckiego, a wreszcie litewskiego i polskiego języka. Z tego wnosi prof. Miklosich, że nim ci Cyganie przyszli do Polski i Litwy, byli już przedtém między Grekami, Rumunami, Węgrami i Niemcami. Podobne wnioski wyprowadza on o Cyganach morawsko-czeskich, rosyjskich, fińskich, skandynawskich, baskijskich, angielsko-szkockich, hiszpańskich, itp. w znakomitéj swéj pracy p. t. *Ueber die Mundarten u. die Wanderungen der Zigeuner Europa's*, mianowicie w części III. (Denkschriften der Kais. Akad. d. Wiss. Wien 1874.—philosoph. histor. Classe XXIII. 1—47).

Nic więc dziwnego, że jakkolwiek Cyganie żyją w stanie półdzikim, i nikomu nie przyjdzie dziś na myśl uczyć się języka cygań-

skiego w tym celu, co np. francuskiego lub angielskiego, to przecież uczeni zajmują się żywo ich mową, zwyczajami, obyczajami i wogóle całém ich życiem. Niewykształcony, koczowniczy naród cygański nie troszczy się o literaturę, a przecież jest od pewnego czasu przedmiotem zajęć naukowych i literackich. Do najstarszych prac literackich polskich z tego wieku, dotyczących Cyganów, należą, o ile mi wiadomo: *I. Daniłowicza*, O cyganach wiadomość historyczna, Wilno 1824 i *T. Narbutta*, Rys historyczny ludu cygańskiego, Wilno 1830. Później w M. Wiszniewskiego Pomnikach historyi i literatury polskiéj II spotykamy artykuł o cyganach (str. 59—86); podobnie w dziełach Czackiego III. 285—304. (Poznań 1845) jest ciekawy zbiór wiadomości historycznych o Cyganach w Polsce. Od tego czasu spotyka się coraz częściéj prace o Cyganach, tak np. w dodatku do Gazety lwowskiéj 1851. (14, 15) znajduje się artykuł, p. t. Cyganie w królestwie polskiém, a w Przeglądzie poznańskim XIII. 412 z tego samego roku napisał H. Serwatowski „O cyganach w Galicyi.“ I w innych krajach oświeconéj Europy dość już dotychczas o tym ludzie koczowniczym pisano. Dość dokładną literaturę podaje *prof. Miklosich* w pracy wyż wymienionéj, która w kilkunastu dużych zeszytach zawiera zebrane i umiejętnie opracowane wszystko, czego się dotychczas o języku Cyganów dowiedziano. Uwzględnił on tam nietylko całą odnośną literaturę, lecz nadto korzystał z licznych zbiorów i materyałów rękopiśmiennych, jakie mu zewsząd nadsyłano. To téż dla badaczów dzieło to ma wartość nieocenioną.

Praca dra A. Kaliny, któréj tytuł w nagłówku przytoczyłem, jest również bardzo cennym przyczynkiem do ogólnéj gramatyki języka cygańskiego. Traktuje w niéj autor głównie o języku Cyganów słowackich, obok tego jednak znajdujemy tu i owdzie notatki o języku Cyganów polskich i serbskich. Mamy tu krótką gramatykę tego języka, w dodatku 38 krótkich piosnek cygańskich i dwa małe ustępy prozą, wszystkie z przekładem francuskim na boku, a na końcu słowniczek. Materyał miał autor obfity, jak to sam w przedmowie wyznaje, należało go więc tylko należycie opracować. I rzeczywiście,— co do zebrania, uporządkowania i przedstawienia całego materyału nie można nic autorowi zarzucić, lecz za to objaśnienia, opierające się na gramatyce porównawczéj języków indoeuropejskich, nie wytrzymają krytyki. Gdyby autor był przedstawił tylko fakta, nie wdając się w ich tłómaczenie, praca wyglądałaby daleko lepiéj. Tymczasem tłómaczenia różnych zjawisk językowych, oparte na gramatyce porównawczéj, każą nam zapomniéć, że książka ta pisana w r. 1880 a wydana w r. 1882, i przenoszą nas myślą o całe pół wieku wstecz, tj. w czasy Boppa i pierwszych pionierów umiejętnych badań lingwi-

stycznych. Nie dość to teraz zacytować tu i owdzie zdanie Boppa, Potta, itp.—nawet i powaga Schleichera w obec postępu dzisiejszych badań rzadko już gdzie wystarczy. Przy wszelkich bowiem objaśnieniach, które oni podają, potrzeba ściśle w to wglądnąć, czy nie sprzeciwiają się one późniéj odkrytym prawom głosowym, jakie są różnym językom właściwe.

Przedewszystkiém należało ściśle wyłączyć z całego materyału najpierw wyrazy obce, jakich w języku Cyganów jest mnóstwo, daléj twory analogiczne, a dopiéro w pozostałym materyale szukać pewnych praw głosowych, językowi cygańskiemu właściwych. Spotykamy tu wprawdzie gdzieniegdzie uwagi ogólne o wpływie języków obcych, a szczególniéj słowackiego, lecz te nie wystarczą. Nie miejsce tu wykazywać szczegółowo wszystkie uchybienia, jakie z powodu tego powstały; ograniczę się więc tylko na kilku przykładacb, które słuszność mego twierdzenia dostatecznie wykażą.

Wyraz *niukos* (wnuk) nie ma nic do czynienia ze „sanskr. napât, słow. netij, grec. ἀνεφιο, łac. nepot, niem. nefo“ (str. 16), lecz jest po prostu wyrazem słowiańskim *wnuk*. Podobnie wyraz *korako* (kruk) nie odpowiada wcale „greckiemu κορώνα“, (str. 17), lecz jest czysto greckim wyrazem κόραξ, -ακος.

W wyrazie *vódi* (dusza, duch) ma dźwięk *v* zastępować pierwotne *m*, które widzimy w „sanskr. mati, grec. μητι“ (str. 15), tymczasem na str. 16 u góry czytamy, że to samo *v* powstało z *g* wyrazu *gódi*, który również „duszę“ oznacza. Widoczna tu więc sprzeczność w twierdzeniach autora, gdyż z tego trudno osądzić, czy *v*, czy téż *g* ma zastępować pierwotne *m*. Gdy się jednak zważy, że prócz vodi, godi, mniéj więcéj w tym samym znaczeniu spotykamy u Cyganów serbskich, bessarabskich, greckich i włoskich *ogi*, a u węgierskich i czeskich *vod'i* (gdzie -d'i brzmi prawie jak -gi), z pewnością prawie można twierdzić, że wyraz ten przyswoili sobie Cyganie z *armeńskiego* (ormiańskiego) języka, gdzie, *vogi*, *hogi*, *ogi* to samo ma znaczenie. Potwierdza to i ta okoliczność, że wszyscy Cyganie europejscy wyraz ten posiadają, jakkolwiek nieraz w mniéj lub więcéj odmiennéj formie, która jednak da łatwo się wyjaśnić. Np. polscy. Cyganie zowią serce *odži*, duszę *dži* (por. słownik u Narbutta), podobnie Cyganie rosyjscy *di*, skand. *si*, angiels. *zi*, niem. *dzi*, *zi*, hiszp. *oczi*, a nawet azyatyccy *gi* (Miklos. Denkschrif. XXVI. 66). Widocznie najpierw byli Cyganie w styczności z Ormianami, i wyraz od nich przejęty w ciągu swéj wędrówki rozmaicie zmodyfikowali. W takim więc razie trudno mówić, że cygańskie *v* zastępuje pierwotne *m*, lub podobnie; bo zmiana ta byłaby właściwością języka armeńskiego, jeżeli wogóle jaki związek między armeńs. vogi, a „sanskr. mati,

greck. μῆτι* istnieje. Prędzéj już można mówić o takiéj zmianie dźwięku *m* w *v* w środku i na końcu wyrazów, np. *nav* (imię), gdyż to samo zjawisko spotyka się częściéj i w innych dyalektach indyjskich, np. hind. nav, kurd. nāvē, nāv (Miklos. Denkschr. XXVII. 22); lecz i tu da się porównać armeńs. an*w*an.

Wyraz *páni* (woda), wspólny prawie wszystkim Cyganom (u niektórych *pa'*, *paj*), nie można zestawiać ze „sanskr. phêna, litews. pénas, słow. pěna,“ itd. (str. 17), gdy w sanskrycie mamy też pānīja, a w nowszych dyalektach indyjskich, jak hind. sindh. również pānī (por. Beames, A comparative grammar of the modern aryan languages of India I. 149 nast.).

Wyraz *dugo* (długi) nie wykazuje téż żadnych zmian głosowych, językowi cygańskiemu właściwych, w stosunku do „sanskr. dîrgha, grec. δολιχός, łac. longus, gock. lagga“ (str. 17), gdyż jest on u Cyganów przyswojony ze serbskiego *dug*. Podobnie wyraz *duvar* (vudar) niepotrzebnie autor zestawia z łac. „fora“ itp. (str. 17), bo zmiany tu zupełnie inne. Zamiast całego tego porównania wystarczyłaby uwaga, że obok sanskr. dvâra jest już w prakrycie duāru, w staropers. duvarā, i w dzisiejszym Sindhi duvāru (Pott, Die Zigeuner in Europa u. Asien II. 78).

Zresztą wogóle wszystkie te zestawienia na str. 16—17, nie wykazują wcale owego „rapport de cette dernière (langue tzigane) avec les autres langues indo-europ.,“ bo są najczęściéj niestosownie dobrane. Np. cygańskiemu *devel*, sankr. djō-, łac. jov-, odpowiada prędzéj Ζευ— (*djev-) niż διϝ, które ma w sanskrycie odpowiedni sobie temat div-, i ze słow. divъ, litews. dëvas również zestawione być nie może, słowiańskie bowiem *i*, i litew. ē wskazuje na pochodzenie swe z dwugłoski.

Nie stosowne też wcale jest użycie w porównaniu wymarzonéj formy greckiéj φρητηρ, obok sanskr. bhrātar, łac. frater, słow. bratrъ, gock. brôthar, itp. Forma ta bowiem możliwa jest tylko w jednym dyalekcie starogreckim, tj. w jońskim, podczas gdy wszystkie inne mają φράτηρ lub φράτωρ, co przecież nawet daleko bliższe jest innym językom indoeuropejskim. Cygańskie *phrál* wykazuje tę samą zmianę pierwotnego dźwięku *bh*, jaka była niezawodnie w najstarszym greckim języku.

Sanskryckiemu *hanu*, greck. γένυς, gock. kinnus odpowiada wyraz łac. *gena*; — gen*u* zaś, które autor przytacza (str. 17), występuje w greckim jako γόνυ, w sanskr. zaś dżānu. W każdym jednak razie wątpię, by cygańskie *pahuni* odpowiadało sansk. hanu; Miklosich zestawia je z grec. πώγων (Denksch. XXVII. 28).

Ciekawa, co za forma lub jakim tematem jest grec. στεγα (str. 17);—lepiéj już było przytoczyć wyraz στέγος, lub τέγος, lub też oba razem (Gustav Meyer, Griech. Gram. §. 252); w ten bowiem sposób stosunek cygańskiego *taha* byłby widoczniejszy.

W ogóle w cytowaniu różnych wyrazów nie ma żadnéj jednostajności; raz przytacza autor według upodobania temat, drugi raz formę 1. przyp. l. p. lub też inną jaką. Np. cygańskie *merav* (umieram) zestawia autor dla wykazania odpowiedniości dźwiękowych z „łac. morti, litews. mirti, sanskr. mrti, słow. morъ, moriti" (str. 17), jak gdyby już w słow. formy z suffiksem -ti- nie było (sъ-mrьtь), jeżeli w ogóle ta forma z cyg. merav miała być porównaną. Przy takich cytatach potrzeba zawsze na to pilnie baczyć, by forma zacytowana zupełnie odpowiadała swemu celowi.

Jeszcze kilka uwag. Sanskryckiemu przysłówkowi *iha* odpowiada w zendzie *ida*, nie zaś *idha* (str. 38); bo pierwotne *dh*, *gh*², *bh* przechodzi w językach irańskich na *d*, *g*, *b*, podobnie jak w słow. litews. i celt. Sanskryckie pančan (pięć) wcale nic nie ma z *kankan*'em do czynienia (str. 47), jakkolwiek twierdził to Schleicher, bo z innych języków indoeur. pokazuje się, że najstarszą formą indoeur. tego wyrazu było *penk²e*; słowiańskie zaś *pętь* nie mogło powstać z *pęk-tь* (str. 47), bo według praw głosowych języka starosł. wynikłoby z tego *pęšťь*, podobnie jak mamy pešti (z pek-ti, peką), dъšti (litews. dukte'), itp. Pytanie, czy tego *t* w stsłow. pę*t*ь nie należy uważać za dźwięk, zastępujący pierwotne *k*², podobnie jak w języku greckim przed ε, ι, np. πεντε, τε (łac. que), τις (łac. quis), τέσσαρες (quattuor), itp.

Wyraz *ennja* (dziewięć) mógł powstać z nowogrec. ἐννεά (str. 48), ale w wyrazie Cyganów serbskich *inja* widzimy po części wpływ armeński, gdzie *inn* (dziewięć) powstało według Hübschmana (Kuhn, Zeitschrift für vergl. Sprf. XXIII, 33) z *invan, *envan. Z sanskr. navan, łac. novem, gock. niun, które autor przytacza, wyrazu tego bezpośrednio porównywać nie można. Prawdopodobnie bowiem, już w epoce praindoeur. istniały dwie formy: **énvm* (ἐννέα, armeńs. inn) i **névm* (sanskr. navan, łac. novem), które były do siebie w tym samym stosunku, co **onmn* (ὄνομα, armeńsk. anwan) do **nomn* (nomen, sanskr. nāman, cyg. nav).

Nie można też mówić, że greckie εἴκοσι jest „au lieu de δφικατ de δφιδεκατι" (str. 48), bo sanskr. vimçati, zend. vīsaiti, łac. vīginti doryc. i beoc. φίκατι wskazują, że już w praindoeur. musiało być tylko *vīkmti, które swoją drogą mogło powstać z jeszcze starszego *dvī-dekmti. Podobnież trudno mówić o sanskr. çatá (sto), że powstało z „daça daçata" (str. 49).

Aoryst ἔσχεθον nie różni się niczém od innych podobnych aorystów, jak ἔλιπον; nie może więc być mowy na str. 62 o aoryście na—θον, lecz wogóle o słowach na—θω, których wiele przytacza Curtius (Verbum II² 367). Nawet aoryst na—θην powstał tylko z analogii do tych słów (por. G. Meyer, Griech. Gram. § 533).

Dziwię się, że autor przy końcówkach osobowych słów (str. 69) nie wspomina o końcówkach drugorzędnych, właściwych czasom historycznym. Cygańskie bowiem zakończenia -m, -s, i t. d. łatwiéj z tymi dałyby się zestawić. Ostatecznie schodzi autor na to samo, tylko inną drogą, bo każe bez przyczyny odpadać końcowym samogłoskom i t. p. (str. 70 i nast.). Teorya o zlaniu się końcówki *-m* (z -mi̯) 1 os. l. p. z poprzedzającą samogłoską w słow. *-ą*, greckie -ω, łac. -ō i t. p. (str. 70) pewnie już bardzo szczupłą ma liczbę zwolenników, do których widocznie i Dr. Kalina należy.

Na tych uwagach poprzestanę, gdyż ciasne ramy oceny nie pozwalają mi wdawać się we wszystkie szczegóły, o których mianowicie w odmianie zaimków i słów wartoby pomówić.

Mimo to wszystko muszę jeszcze raz powtórzyć, że praca D-ra Kaliny jest już dla swego bogatego materyału nader cennym dla badaczów nabytkiem.

Jan Hanusz.

Lipsk, w czerwcu 1882.

— W połowie ubiegłego miesiąca Lipca ukazał się pierwszy numer gazety „**Kraj**,“ tygodnika polityczno-społecznego, wychodzącego w Petersburgu pod redakcyą p. Erazma Piltza. W dwóch numerach tego pisma, które już rąk naszych doszły, znajdujemy treść obfitą i dość urozmaiconą. Oprócz artykułów naczelnych, zawierających przegląd spraw wewnętrznych i polityki zagranicznéj, oprócz wiadomości urzędowych i politycznych, mamy tu korespondencye z Warszawy, Krakowa i Wiednia, nowiny z „Ziem słowiańskich,“ dwie stałe, jak się zdaje, rubryki, zatytułowane: „Sprawa rusińska w Galicyi“ i „Sprawa żydowska,“ daléj przegląd prasy, wiadomości bieżące z Petersburga i wielu miast naszych i rosyjskich, dział krytyczno-bibliograficzny, artykuły o rzeczach społecznych, jak sprawa czynszowników lub sprzedaż dóbr w „kraju południowo-zachodnim,“ jak zmiana taryfy celnéj i t. d.

Feljeton pierwszego numeru napisał p. W. Spasowicz „Zamiast programu.“ Potrąciwszy o niektóre wspomnienia, związane z Petersburgiem, tłomaczy racyą bytu nowego pisma, staje pod chorągwią zasad demokratycznych, oświadczając, że w ich przeprowadzaniu

„środki tylko moralnie godziwe, drogi tylko nie krzywe“ użyte być winny. Odcinek drugiego numeru zawiera wspomnienie pośmiertne o Krystynie Ostrowskim.

„Kraj“ uczynił nam ten zaszczyt, że rubrykę „przeglądu prasy“ rozpoczął od wycieczki polemicznéj przeciwko „Ateneum,“ z powodu zdania, jakie w zeszłym miesiącu wypowiedzieliśmy o *pozornéj tylko* analogii między położeniem naszych prowincyj, a położeniem guberni nadbaltyckich. Oponent nasz zarzuca, żeśmy „dojrzeli w tém porównaniu tylko jedną stronę, że jeżeli analogia w stosunku do Królestwa..... jest dość daleka, za to jest dość bliską w kraju Zachodnim, gdzie podobnie jak w prowincyach nadbaltyckich, własność większa i mniejsza są narodowościowo odmienne.“ Przyznajemy, że pod tym jednym, jedynym względem zachodzi pewna analogia do kraju zachodniego; ale dwubarwność etnograficzna nie wystarcza sama jedna, do utożsamienia sytuacyi politycznéj pewnych krajów. W Irlandyi np. własność ziemska jest w rękach lordów angielskich, a rolę uprawia ubogi wieśniak celtycki, a jednak Irlandya w inném znajduje się położeniu aniżeli prowincye, o których tu mowa. Po za owym jedynym względem etnograficznym, kraina nad dolną Dźwiną nie przedstawia w naszych oczach żadnego podobieństwa do ziem naniemeńskich lub naddnieprzańskich. Prowincye nadbaltyckie mają swe przywileje, dyplomami cesarskiemi zatwierdzone; mają sejmiki, mają samorząd parafialny, korporacyjny i gubernialny, mają prawo posługiwania się językiem niemieckim w sprawach urzędowych i publiczno-społecznych, mają swój własny kodeks praw; posiadają one mnóstwo szkół niemieckich, posiadają niemiecki uniwersytet w Dorpacie i niemiecki instytut politechniczny w Rydze. Reformy prawodawcze, przedsiębrane dla tych prowincyj, nie spadają im niespodzianie, owszem, obywatele dopuszczeni bywają do głosu już to drogą prasy już przez uczestnictwo w komisyach przez rząd ustanowionych. Szlachta nadbaltycka używa wpływu w sferach wysokiej administracyi, a jéj członkowie zajmują najwyższe stanowiska w służbie cywilnéj i wojskowéj. Wszystkie te okoliczności składają się razem na to, że mimo kiełkujących w pewnéj warstwie ludności aspiracyj demokratycznych, mieszkańcom narodowości niemieckiéj w prowincyach nadbaltyckich idzie przedewszystkiém o zachowanie dogodności stanu obecnego. Czy takie lub podobne dogodności istnieją w kraju zachodnim—o tém redakcya „Kraju“ wie zapewne lepiéj od nas.

Kiedy już los tak zdarzył, że nasze zapoznanie z „Krajem“ poczęło się od potyczki koleżeńskiéj, pozwolimy sobie przenieść spór na inne jeszcze pole, z powodu wzmianki o Krystynie Ostrowskim, warty-

kule naczelnym numeru 2-go. Sąd o faktach, oddzielonych od nas całym ubiegłym półwiekiem, nie może być ścisłym, jeżeli je oderwiemy od właściwego im tła i nie uwzględnimy tego organicznego związku, który zachodził między niemi a innemi zdarzeniami spółczesnemi lub bliskiemi. Fakt taki, jak gromadna emigracya, musiał mieć swoje przyczyny. Kto czytał w dzienniku praw wyroki najwyższego sądu kryminalnego i rozporządzenia administracyjne ówczesne, ten się wielu rzeczom nie będzie dziwił, ani dzisiejszym łokciem innych czasów mierzył. Nie nazwalibyśby też „ogromnym deficytem rozbitego żywota“ — takiego żywota, który zostawił po sobie choćby tylko piśmienne, ale nie bez wartości, owoce. Co do „kołatania u drzwi obcych,“ mniemamy, że ono może być „upokarzającem“ tylko ze względu na pobudki, jeśli te są poniżające, ale nigdy ze względu na „skutki,“ które przecież nie od nas zależą. Tradycya wspomina o policzku danym Boduenowi, ale nie uważa ona, żeby ten policzek był „upokarzającym“ dla zacnego założyciela przytułku dla porzuconych niemowląt; tradycya, w której się wychował Ostrowski, mówiła: „dla ciebie zjadłe smakują trucizny, dla ciebie więzy, pęta niezelżywe.“ Być wiernym do grobu swojemu hasłu — to nie deficyt; buhalterya etyczna uzna to za najlepsze zamknięcie moralnego bilansu żywota jednostki ludzkiéj.

Po téj małéj sprzeczce, życzymy szczerze nowemu organowi jak największego powodzenia, nie wątpiąc, że to powodzenie wyjdzie na korzyść i społeczeństwu naszemu, uważanemu jako całość, i tym licznym gromadkom braci naszych, rozrzuconym po niezmierzonych obszarach, które północno-wschodnie strony starego lądu zaległy.

Wydawca, W. Spasowicz.—Redaktor Piotr Chmielowski.

OGŁOSZENIA.

— Koło artystyczno-literackie, wypełniając uchwałę swego walnego Zgromadzenia z dnia 10 Maja r. b., ogłasza niniejszém konkurs na napisanie dokładnego i krytycznego życiorysu Adama Mickiewicza.

Zanim dzieła i życie wielkiego wieszcza znajdą godnego siebie w literaturze biografa i krytyka, pragniemy tymczasem przygotować niejako grunt dla niego, przez krytyczne zebranie i uporządkowanie szczegółów życia Adama od kolebki aż do śmierci. Nie idzie nam zatem o wyczerpujące studium, o pomnik literacki poety, lecz o życiorys treściwy, opowiedziany przystępnie, zalecający się tak stylem poprawnym jak i czystością języka.

Autor pracy odpowiadającej tym warunkom otrzyma 500 złr. nagrody, oraz 15% od ceny *netto* każdego sprzedanego egzemplarza, co prawdopodobnie drugie tyle mu przyniesie.

„Koło" wydaje rękopism własnym nakładem najdalej w 3 miesiące po ogłoszeniu rezultatu konkursu i zastrzega sobie jego własność na przeciąg lat pięciu. Wrazie gdyby pierwsze wydanie przed ubiegiem tego czasu wyczerpanem zostało, autor zaś pracę swoją pragnąłby powiększyć, uczyni to bez osobnego wynagrodzenia, zwłaszcza, że podwyższona wówczas cena drugiej rozszerzonej edycyi zapewni mu większa tantiemę.

Autor nagrodzony obowiązuje się w razie potrzeby uczynić zmiany lub poprawki wskazane przez komitet oceniający.

Objętość rękopismu nadesłanego na konkurs powinna wynosić 10 do 12 arkuszy druku. Ostateczny termin nadesłania prac oznaczony jest na dzień 1 Kwietnia r. 1883.

Nagrodę otrzyma autor natychmiast po jej przyznaniu, tantiema zaś po każdem półrocznem obliczeniu będzie wypłacaną.

Do Komitetu oceniającego zaprosił Wydział Koła artystyczno-literackiego pp. Władysława Ludwika Anczyca, Dra Adama Asnyka, Michała Bałuckiego, Kazimierza Bartoszewicza, Dra Adama Belcikowskiego, Dra Piotra Chmielowskiego, Dra Ludomiła Germana, Dra Antoniego Małeckiego, Mieczysława Pawlikowskiego, X. Ignacego Polkowskiego, Dra Stanisława Smolkę i Dra Stanisława hr. Tarnowskiego.

Rękopisy wraz z kopertą zapieczętowaną, zawierającą nazwisko autora, winny być nadesłane pod adresem:

„KOŁO ARTYSTYCZNO-LITERACKIE w KRAKOWIE."

Kraków, d. 3 Czerwca 1882.

Sekretarz: *Dr. Ludomił German* Prezes: *Juliusz Kossak.*

— „Koło artystyczno-literackie“ w Krakowie ogłasza niniejszém konkurs na wykonanie ilustracyi do ustępu z tragedyi Juliusza Słowackiego: „Balladyna,“ a mianowicie do słów:

Kirkor .... Moje smugłe łanie
Czy mnie kochacie?
(Akt I scena 3cia).

Przeznaczona na ten cel kwota 500 złr. rozdzieloną zostanie jak następuje:

1. Autor rysunku, uznanego za najbardziéj odpowiadający myśli poety i wymaganiom artystycznym, otrzyma za ten rysunek jako téż za cztery dalsze ilustracye do „Balladyny“ razem kwotę 350 złr.— która to kwota mniéj więcéj podwoi się z tantiemy przyznanéj autorowi od sprzedanych egzemplarzy.

2. Za pozostałą kwotę 150 złr. zakupuje „Koło“ dwa inne rysunki uznane za najlepsze po nagrodzonym, płacąc za każdy po 75 złr.

Rysunki wysokości 40 cntm. szerokości 33 cntm. mogą być wykonane kredką, węglem lub tuszem. Tylko rysunki zupełnie wykończone uwzględnione zostaną przez komisyą oceniającą.

Ostatni termin nadesłania prac konkursowych oznaczony został na dzień 1szy Października r. b.

Autor nagrodzony otrzyma od komitetu „Koła“ tematy do dalszych czterech rysunków i zobowiąże się złożyć takowe w oznaczonym czasie i odpowiednio wykończone.

Do komisyi oceniającéj zaproszeni zostali pp. Bronisław Abramowicz, dr. Adam Asnyk, Michał Bałucki, Kazimierz Bartoszewicz, Ludomir Benedyktowicz, Walery Gadomski, Juljusz Kossak i prof. Löffler.

Każdy rysunek, z dołączeniem koperty zapieczętowanéj i opatrzonéj godłem, a zawierającéj wewnątrz nazwisko i adres autora, powinien być złożony lub nadesłany na ręce komitetu Koła artystyczno-literackiego w Krakowie (Rynek, l. 16).

Kraków dnia 30 Czerwca 1882 r.

za Sekretarza: *Kazimierz Bartoszewicz.* Prezes: *Juliusz Kossak.*

MAŁPA-CZŁOWIEK

NIEZNANA SATYRA Z XVIII W.

Satyrę, któréj streszczenie podaję, znalazłem w staréj pisanéj księdze, złożonéj z kilku rękopismów XVIII w. razem zeszytych i oprawionych. Książkę tę podarował niegdyś p. Cezar Biernacki mojemu ojcu, który ją oznaczył w spisie swoich manuskryptów nazwą *rękopismu kaliskiego*.

Rękopism satyry dość obszerny zająłby prawdopodobnie do sześciu arkuszy druku. Tytuł jego pierwotny: *Małpa-człowiek w cnotach*, tytuł zaś późniejszy, pełny: *Satyra. Małpa-człowiek w cnotach, obyczajach i kraju.* Te dwa ostatnie wyrazy i pierwszy dopisane są tąż samą ręką, ale innym ciemniejszym atramentem. Widocznie autor pomysł swój pierwotny rozszerzył, czego dowodzi i sam wstęp, w którym o tak rozległym zakresie pracy niema wcale wzmianki (1). Satyra, tak jak wyszła ostatecznie z pod pióra nieznanego jéj autora, rozpada się na trzy części: 1) *Małpa-człowiek w cnotach*, 2) *Małpa-człowiek w obyczajach* i 3) *Małpa-człowiek w kraju.* Na każdą z tych części składa się kilka rozdziałów.

Kto był autorem satyry—daremnie byłoby dociekać, niema bowiem żadnych wskazówek, mogących naprowadzić na ślad nazwiska autora. Gdyby można przypuszczać, że jestto utwór którego ze znanych pisarzy, prędzéj by się dało pokusić o dochodzenie ojcostwa tego dziecięcia; ale styl rubaszny, nieproporcyonalny układ, brak literackiego obrobienia, częste wreszcie powracanie do tego samego

(1) Ze sprawozdania o zajęciach naukowych, złożonego Uniwersytetowi Warszawskiemu przez p. Teodora Wierzbowskiego, dowiadujemy się, że w królewskiéj bibliotece w Dreznie znajduje się rękopis z XVIII wieku, zawierający kart 102 folio (sygnatura biblioteczna G. 44), pod napisem: „Małpa człowiek w cnocie, w obyczajach i w kraju, to jest na kształt ludzkiéj, ale nie cale ludzka wieku teraźniejszego maniera.“ (*Przyp. red.*)

przedmiotu, nie pozostawiają żadnéj wątpliwości, że autor satyry, choć nie bez zdolności, nie był jednakże pisarzem z zawodu, ale tęgim szlachcicem, co ręką od korda odjętą niewprawnie ale zamaszyście, od serca i do serca pragnął przemawiać.

Parę wyrażeń tchnących niechęcią do Sasów, jako też wspomnienie o pełnym pobożności „królu nieboszczyku“ wskazują wyraźnie pierwsze lata XVIII w. jako czas powstania satyry. Pewna surowość i ton mentorski, jakim autor pracę swoję zabarwił, pozwalają wnosić, że w chwili kiedy jął pióro do ręki, był już mężem dojrzałym, a bodaj czy nie starcem.

Przypuszczenie to upoważniałoby do domysłu, że brał udział w odsieczy Wiednia, a może i do chocimskiéj wiktoryi się przyłożył. „Że był to bowiem człek rycerski,“ jawny dowód w jego własnych słowach: „Czytając o wojnach i sam zaraz wojując, nauczyłem się wojować z niemałą męztwa swojego reputacyą, bo pochop sercu i aplikacyi wziąłem z opisanych na pochwałę naszych kawalerów akcyi.“ Nie można tego brać za czczą przechwałkę, boć autor starannie ukrył swoje nazwisko. Są wreszcie i inne poszlaki przemawiające za jego długim zawodem rycerskim, a najważniejszą bodaj z nich będzie stan kawalerski autora. „Żołnierz za żonę miewa szablicę“—mówi bardzo słusznie któryś z dawnych poetów, bo stan rycerski, jak go dawniéj jako zawód pojmowano, nie mógł się godzić ze spokojem domowego ogniska. Nasz satyryk widocznie był tegoż zdania, mówiąc bowiem o „stroju białogłowskim“ dodaje, że ma „do tego wolność,“ gdyż mu jéj „przez przywiléj stuły nie zawiązała żona.“

Charakterystykę autora wyciągnie sam czytelnik z mojego streszczenia satyry. Nie mogę się jednak powstrzymać od zwrócenia uwagi na kilka wybitnych rysów, cechujących jego indywidualność i przekonania.

Przedewszystkiém przyznać mu należy spory zasób odwagi cywilnéj i prawdomówność. Każda prawie strona jego utworu silnie za tém przemawia, ztąd na zupełną wiarę zasługują słowa, które mówi sam o sobie: „Za drzwiami respektów wystawać nie będę.“

Szczery, prawdziwy katolik, ubolewający nad „upadkiem chwały Boskiéj i nabożeństwa,“ upatrujący w tém nawet przyczynę wszelkiego złego, gromi jednakże wady duchowieństwa, choć wie, że „za to prawdziwego katolika gotowi zrobić heretykiem.“ Rzeczywiście, dziwne u nas dotąd jeszcze panują w pewnych sferach pojęcia. Owi Opalińskiego „liżyobrazki i zmyśleni obojéj płci nabożnisie“ nie pozwalają nawet wspomnieć, że ktoś gdzieś naganiał lub nagania ułomności ludzkie w osobach poświęcających się stanowi duchownemu. Przeglądając zaś dokładnie dzieła naszych katolickich pisarzy od

XVI do końca XVIII w. na każdym kroku spotykamy się z tą słuszną czy niesłuszną naganą. Kochanowskiego *carmen macaronicum* jest jakby wstępem do całego ich szeregu. Najszerzéj rozwodzi się o téj sprawie Opaliński, choć jak sam powiada:

> piszę prawowierny
> Katolik, z synów jeden Kościoła świętego.

Nasz satyryk wreszcie pisze prawie to samo, co podnosili i uznawali współcześni dostojnicy kościoła. Kilkunastu może laty od niego oddalony Wacław Sierakowski, biskup przemyski, następnie arcybiskup lwowski, przestrzega w r. 1747 przed „zamienianiem się świątyń pańskich w jaskinie“ a potém w sprawozdaniu swojem do Rzymu (1763) uskarża się na lekkomyślne odbywanie służby bożéj, narzeka, że w jego nieobecności opuszcza się wyższe i niższe duchowieństwo, wspomina o oburzeniu ludu, o kanonikach „latających po wioskach okolicznych nawet po nocach“ itd. (Dzieduszycki żywot Sierakowskiego str. 51 i inne).

Na wszelkie uznanie zasługuje rozumne i uczciwe pojmowanie przez satyryka obowiązków rządzących względem rządzonych. Dość spory traktacik: „jakim szlachcic być powinien“ zawiera tyle zdrowych myśli, że obudza prawdziwy szacunek dla autora. A już najwyższy zaszczyt mu przynosi wstęp o biedzie i poniżeniu maluczkich.

„Języka polskiego obyczaj“ szczerze mu leży na sercu. W ogóle wszelka cudzoziemszczyzna jest mu wstrętna i niemiła.

Uposażenie umysłowe satyryka zdaje się być dość obfitém. Wiele razy powołuje się na fakta czerpane z historyi, chłoszcze dowcipnie nieuctwo kaznodziejów, Plutarchus, Diodorus Siculus są jego dobrzy znajomi. Ze czcią wyraża się o poprzedniku swoim Opalińskim: „Nie przyjdzie rzecz ta (satyra) do druku przez podłość swoją i prywatną zabawę wyrobiona. Ma ją na świecie w satyrze swoim sudanno, nader kształtnie, okrągło i rzetelnie wielki nad zamiar Opaliński.“

Skończywszy tę krótką charakterystykę autora, wypada mi jeszcze może usprawiedliwić się dlaczego streszczenia satyry dokonałem.

Literatura nasza drugiéj połowy XVII w. i pierwszéj wieku XVIII-go, najmniéj była i jest znaną. Po Kochanowskim, Reju, Skardze, szli prawie zaraz w następnym szeregu Krasicki, Naruszewicz, Trembecki, a próżni ztąd powstałéj nie starano się długo zapełnić. Epokę panegiryzmu sądzono z pogardą i uprzedzeniem. A jednak nabywa ona coraz więcéj znaczenia w literaturze, coraz więcéj domaga się sprawiedliwości. Kto wie nawet czy nie okaże się z cza-

sem najobfitszą w prace umysłowe, pomiędzy któremi może być wiele śmiecia, ale jest i wiele pożywnéj strawy. Trzeba tylko szukać i szperać, a za plon obfity ręczyć można. Wszakże dopiéro przed trzydziestu laty odnaleziono perłę naszéj epicznéj poezyi: „Wojnę chocimską“ Potockiego. Kochowski zaledwie w ostatnim dziesiątku lat otrzymał należne sobie stanowisko w rzędzie poetów. Z Morsztynami dopiéro Małecki gruntownie nas zapoznał i uporządkowawszy chaotyczne o nich wiadomości przyznał Andrzejowi to, co miał pisać nieistniejący Zbigniew. O autora „Swady“ jeszcze dziś się sprzeczamy. Jemiołowskiego odnalazł w r. 1859 Bielowski, Jerlicza Wójcicki, Otwinowskiego Raczyński. Julian Bartoszewicz podał pierwszą wiadomość w Dzienniku Poznańskim o dwóch wierszopisach polskich z XVII wieku: Janie z Krzyszkowic i Sebastyanie Kochanowskich. Religijny wierszopis Walenty Odymalski nawet historykom literatury nie jest znany lubo znał go dobrze Brodziński (Kursa literatury pols. w Uniw. Warsz.); z nowszych tylko Tyszyński poświęcił mu zaszczytną wzmiankę, na którą ze wszech miar zasługuje płynnością i siłą wiersza. Słowem, dziś każda chwila zdziera pomrokę z téj pogardzanéj literatury, każdy rok przynosi jéj zaszczytniejsze uznanie, każdy wzbogaca ją nowemi odkryciami.

Do téj pracy, około wyrządzenia sprawiedliwości literaturze z czasów Sobieskiego i Sasów, pragnąłbym się ze swéj strony przyczynić, a ponieważ styl autora satyry dość silne na mnie zrobił wrażenie, ponieważ język wydał mi się dziwnie jędrnym i dobitnym a treść bardzo a bardzo rozumną i poczciwą, postanowiłem więc wydobyć z ukrycia utwór choć niepierwszorzędny, to w każdym razie dorzucający co nieco do historyi obyczajów i świadczący, że zdrowa myśl przebijała się ciągle przez powłokę gnuśności, nieporadności i upadku naszego w początkach XVIII wieku.

Kraków 3 stycznia 1882. *Kazimierz Bartoszewicz.*

I.

Satyra rozpoczyna się od zapytania: czemu przypisać należy ogólny upadek obyczajów i gdzie się podziały starodawne cnoty ojców naszych? Oglądając się naokoło, nigdzie ich autor nie dostrzega i pyta sam siebie, gdzie je znaleść może: „w państwach i królestwach całych, w zwierzchnościach czy władzach, w płci i stanach, w zgromadzeniach czyli w osobach?“ Przewiduje, że poszukiwania jego bę-

dą bezowocne. „O jak ciężkiéj i nieskutecznėj podjąłem się pracy! Żyć mi było z wami, strawione dawnością wieków z samemi grobami waszemi imiona, staroświeccy i poczciwi ludzie. Tam bym się był napatrzył w cnotach ludzi, w ludziach Boga, w Bogu pokoju, w pokoju wszystkich żyjących szczęśliwości, w szczęśliwościach słodkiéj i spokojnéj dawcy wszystkiego chwały."

Pomroka wieków pokryła te czasy, kiedy w państwach i królestwach widziano „ową przyobiecaną ludowi bożemu ziemię, w któréj dla pobożności, dla zachowania przykazania swojego, dla cnoty i świętobliwych narodu obyczajów, pomnażał Pan Bóg wszelakie dostatki i obfitości, spokojnemu onych błogosławiąc zażywaniu." Wtedy to wznosiły się w tych błogosławionych ziemiach „mistyczne trony," a na nich zasiadali monarchowie pomni, „że lubo ich Pan Bóg nad wielu podwyższa ludzi," to jednak chce ich mieć „w równości skazitelnéj natury ludzkiéj," aby o ludzkie nad ludźmi starali się panowanie. To też w owych czasach Pan Bóg „uprzywilejował cudownemi cnotami i mocami same nawet berła, laski i insze przełożenia znaki, tak dalece, że skinienia ich, jakoby samych ordynansów i rozkazów, nietylko ludzie, ale same nieba, twarde opoki, bezdenne morza i insze elementa słuchały i w cudownėm obserwowały posłuszeństwie." Żyli wówczas pobożni Auguści, wstydliwe Bolesławy, czyści i wstrzemięźliwi Józefy, sprawiedliwi Aureliusze, gorliwi o całość państwa Alfonsi, że już się nie wspomina Dawidów, Jozafatów, Barachiuszów, owe wzory bogomyślności, pokory, pokuty i starania o pomnożenie wiary i chwały boskiéj.

Wspomnienia tych znakomitych monarchów smutne nastręczają porównanie. Dziś „tron osiada albo nieodrodna od nieprawości antecessorów natura, albo sama panowania ambicya, w panowaniu ludziom ciężka potęga, w potędze własna pasyonalna wola, w woli nieznośne bezprawie w tém przykry nieporządek, we wszystkiém bezbożne uciemiężenie i tyraństwo. Kędy miejsce pobożności zabrała bezbożność, miłości boskiéj wszeteczeństwo i nierząd, wierze pozór i niedowiarstwo, sprawiedliwości bezprawie, przysiędze gwałt i nieposłuszeństwo, powadze lekkość, sercu słabość, akcyom infamia, wojnie pretekst, pokojowi wewnętrzne zamięszanie, dobru pospolitemu interes, prywatnemu zdzierstwo i oppresia, całości ruina, zasługom krzywda, zgoła błogosławieństwu boskiemu same łzy i nieoszacowany krwi dostojnéj szafunek." Jaka tego przyczyna? w czém leży to złe, które wykorzenić się nie daje? Odpowiedź prosta: przyczyną złego jest ogólny upadek cnoty. Monarchowie połączeni są ścisłém węzłem ze swoim ludem, są kością ich kości, krwią ich krwi. Jaki lud, taki monarcha, przedtém „ludzie według Boga bywali, a we-

dług ludzi królowie, według tych zaś Pan Bóg dla ludzi.“ Winy ludów spadają na monarchów i odwrotnie: „dla ladajakiego monarchów życia całe, choć niewinne Pan Bóg zwykł karać narody.“ Dla ladajakich poddanych król dobry, dla złego króla dobrzy poddani być nie mogą. Poszanowanie majestatu nie dozwala pisać, „co się teraźniéjszych lat przez nieprzyzwoitą zwierzchność w różnych państwach i królestwach dzieje.“ Wyręcza się więc autor słowami „poety,“ którym prawdopodobnie sam będzie. Poeta zadługo rozprawia, aby przytaczać wiersz cały *in extenso*. Oto niektóre wyjątki.

Nie na królestwa, licz teraz na groby
Najwyższéj ziemie poddane zwierzchności,
Gdzie tylko smutne kiry i żałoby,
Albo po polach widziéć martwe kości,
Gdzie Mars wyssawszy z ludzkiej krew wątroby,
Albo głód, zjadłszy do szczętu wnętrzności,
Łakomym cały zbiór zagarnął łupem,
A tylko samym miejsca usłał trupem.

Gdzie pokój i czas zmierzywszy spokojny,
Własnym popiołem ozdoby zagrzebła
Niesprawiedliwéj chęć prywatna wojny.
I lub interes nie zaważył źdźiebła,
Szafunek na to odważyła hojny,
Ażeby ludzi tysiącami grzebła,
Albo zrzuciwszy łaskowość z natury,
Ledwo ich z własnéj nie odarła skóry.

. . . .

Gdzie drab, w niekarnych brykający zbytkach,
W domu i w cudzéj wolność wszelką żenie, (1)
W gumnach, w szpichlerzach, w oborach, w dobytkach
Na zażywanie mu i obelżenie:
Ani w świątnicach pańskich i przybytkach,
Gdzie czcimy ciała boskiego złożenie,
Dyskretniejszego zwykł zażywać serca
Szarpacz, gwałtownik, zbójca i morderca.

Gdzie poświęcone kościoły na szkapy;
Na pojedynki i bitki cmentarze,
Na proste wyrki (2), łóżka i kanapy
Poobracano straszliwie ołtarze;

. . . .

Gdzie słudzy boscy, pobożni kapłani,
Przez nieuczciwą charakteru wzgardę,
Metresom służyć pokonfundowani,

---

(1) Wypędza, wygania, od *żonąć*.
(2) Tapczany, prycze.

Albo chędożyć muszą kurdygardę,
A z domów własnych sędziwi plebani,
Ledwo nie na łeb skakają przez dardę,
Miejsca i wygód ustępując wielu
Dla nieprzystojnych maszkar i........

Gdzie wiara ślubów stwierdzona przed Bogiem
Już nie za swojém w zażywaniu prawem,
Ale za wolnym zwierzchności nałogiem
Kontraktem chodzi, arędą, zastawem;
A męże, włoskim uraczeni rogiem,
Skwasiwszy tylko wejrzeniem łaskawem
Ową dorodną i uczciwą minę,
Przez ścianę muszą cierpieć oskominę.

O! trony, trony!— trumny raczéj rzekę,
W których szczęśliwość krajów leży trupem,
W tęż-to wam Pan Bóg podał ich opiekę
Z ludźmi drogimi krwi swojéj okupem?
. . . .
Tyle przemysłów w otchłań wojny wchodzi,
Niesprawiedliwych w przemysły sposobów,
W sposoby tyle Mars potyczek zwodzi,
W potyczkach tyle sypie mogił, grobów,
W groby tak wielu ludzi z świata schodzi
Za ludźmi tyle łez płynie Niobów:
Osierociałych żon, matek, powinnych . .
. . . .

Poeta kończy zapytaniem: jak taką „machinę“ grzechów zaniosą monarchowie tam, gdzie im wypadnie płacić duszą „najmniejszą odrobinę?“ — i dodaje napis, jakiby położyć można na nagrobku złego monarchy:

Tu leży wielki król honorem wszędy,
A dusza jego — dyabeł sam wie kędy.

Od tronów przechodzi autor „do najbliższego majestatu dostojeństwa,“ do senatorów. Wspomina owych rzymskich *patres conscripti*, co ojcami ojczyzny „nie na pozór mogli się nazywać,“ o dobro bowiem pospolite więcéj dbali, niżeli o dobro własnych dzieci, „życie i wszystko swoje prywatne niżéj od niego pokładając.“ Cnota, zasługi i pobożność były stopniami do senatu. Takie tylko państwo potęgą i powodzeniem zaważy, „w którém wszystkie stany na jeden dobra pospolitego ważą się interes.“ To jest: nic dla siebie, nic dla pana, „nic dla Rplitéj bez pana partykularnie nie usiłując, ale tego wszystkiego w jednym pospolitym szukając pożytku.“ Dlatego to sławną i straszną była Rplita rzymska, bo stała zgodą powszechną

i „radą senatu skuteczną, skuteczną — bo zawsze doskonałą, doskonałą—bo nieprzewrotną, nieprzewrotną—bo nieinteresowaną, nieinteresowaną—bo ostrożną i uważną, uważną—bo od ludzi doskonałych i przez wszystkie okoliczności czasu i stanu wypróbowanych pochodziła.“ Cnota to do godności senatorskiéj prowadziła, cnota to przekazała dziejom „owe nieśmiertelne w senacie i na urzędach nieumierające Fabrycyuszów, Torkwatów, Brutusów, Fabiuszów, Korneliuszów i insze nomina.“

„A że o tém mówi się po polsku, wejrzyjmy téż i na dawne polaków nagrobki, a wzbudźmy w pamięci owe zeszłe przez krzywdę wieków Zasławskich, Ostrogskich, Zborowskich, Żółkiewskich, Tarnowskich i insze stojące jeszcze chwalebnie w wielkich sukcesorach imiona, których pobożności, świętéj munificencyi, walecznych czynów i obfitych w tryumfach awantażów dowodem i wiekopomną stoją pamięcią owe kunsztowne i wyśmienite kościoły, opatrzne klasztory, dostatnie cenobia (1), niedobyte fortece, liczne ammunicje i insze Bogu i Rplitéj poświęcone bazyliki (2) i fundusze.“ Zazdrościć pozostaje przeszłym wiekom tych mężów sławnych. W kosztowne ich fundacye nie wchodziło mienie nabyte krzywdą bliźnich lub złupieniem innych fundacyi, — grosz uczciwie zapracowany lub zdobyty na nieprzyjacielu krzyża świętego był podstawą ich majątku, a zarazem środkiem do zapisania się w pamięci potomności. Nie dla zadowolenia własnéj próżności, „ale z czystéj ku dobru pospolitemu miłości, ochoty i rezolucyi wszystkie ich czyny pochodziły. Senatorowie nie słodzili „słów ucukrowaniem gorzkiego ludowi panowania,“ ale wiedzeni duchem prawdy i wolności, kołatali dla niego o sprawiedliwość. Hetmani „szablą, nie buławą dokazywali,“ nie szczędząc krwi swojéj dla dobra ojczyzny. „Nie pocztowali (3) przewrotom dworskim, ale robili co publiczna wymagała potrzeba. Laski „nosiły posturę żywéj władzy, a nie prostych drągów.“ Słowem „wszystkie akcye rzecz i pozór cnót wszystkich miały, a cnoty prawa następującym wiekom dawały.“

Jakżeż dalecy są od tych pierwowzorów dzisiejsi senatorowie! „Zginęła cnota w uczynkach, bezpieczeństwo w radzie, prawda w ustach, powaga w senacie, prawo w urzędach, godność w honorach, w osobach wszystko, co przedtém bywało.“ Każdego z tych swoich twierdzeń dowodzi autor po kolei. Mocno go gniewa upadek bezpieczeństwa w radzie, „bo któż teraz radzi i mówi co słuszność każe.... Jednym bojaźń zęby przycina, drugim usta respekta krępują.... wszyscy prawie radzą, co muszą, co sercu i woli najwyż-

(1) pustelnie. — (2) gmachy. — (3) służyli, dopomagali.

széj przyjemno. Próżne panegiryki, wielbienia klemencyi pańskiéj, ojcowskiego około dobra pospolitego pieczołowania, fatyg, odwagi i zdrowia na nie dyspensowania.... Ustawiczne dygi, z...... od krzeseł i drążków podnoszenia, i owe za każdym punkcikiem, aż słuchać przykro, ciągnące się *Najjaśniejszy miłościwy panie, panie a panie nasz miłościwy*, inwokacye, zatrudnią czas i zabiorą, aż tandem rzecz zbawienna skończy się na niczem."

Następuje anegdotka na temat: „zginęła prawda w ustach." Niedawno szlachcic „słuszny," na funkcyi ziemi swojéj będący w Warszawie, otrzymał bolesną wiadomość, że mu dom z kretesem zrabowano i córkę 15-stoletnią zgwałcono. Kiedy poszedł upomnieć się o krzywdę swoją, król, widząc boleść na jego twarzy, a nierozumiejąc po polsku, zapytał obecnego senatora, „czegoby szlachcic potrzebował?" Zapytany senator odpowiedział, że szlachcic prosi o to, aby mu wojska przez wioski jego przechodzące nieszkodziły, a zwróciwszy się do niego, oznajmił w imieniu królewskim, że król krzywdy mu wynagrodzi i że się nie zawiedzie na swojéj wierności. Odpowiedź tę król skinieniem potwierdził, i szlachcic odszedł przekonany, że panu krzywdę jego przedłożono. Dopiero powróciwszy do domu, przekonał się, jak go oszukano, gdy mu przy nim samym „onegdajszego poprawiono."

Pod upadek „prawa w urzędach" podciąga autor kradzież grosza publicznego. Złożenie rachunków skarbowych nie kończy się na zwykłem podziękowaniu *pro exacta fidei publicae functione*. Po złożeniu urzędu każdy się zapytuje: „zkądeś te albo owe dobra kupił, nie mając na nie z intrat i dochodów substancyi własnéj? Zkąd waszmości córki tak drogi i kosztowny parter noszą i dźwigają na sobie? Zkąd tak wielkie posagi i wyprawy idą za niemi?"

Zginęła godność w honorach, bo niezasłużeni lecz pochlebcy i sługusy je biorą. Kosztem własnego a często i małżonek swoich honoru, dostępują zaszczytów, pną się na najwyższe stanowiska. Jednóm słowem, senat utracił swą powagę i swe znaczenie, bo w ludziach piastujących buławy, pieczęcie i laski, rozpierających się na krzesłach i drążkach „zginęła doskonałość antecessorów," i to tak dalece, że tylko ich nazwiska w potomkach zostały, „nakształt owych pustych, a pozornych i obszernych bardzo stodół, z których gacek albo sowa czasem wyleci, ale na targ, dopieroż do Gdańska nie masz co wyprawić." A z imion tych odziedziczonych płynie niepotrzebna chluba i wynoszenie się nad równość. Oto jak ostro smaga satyryk te wady:

„Na imię i zasługi antecessorów pełno w nas chluby, dumy, presumpcyi, emulacyi i pospozycyi równości, ale cnoty imieniowi nale-

żącéj najmniejszéj czasem niedomaca się odrobiny publiczna Rplitéj, ba i prywatna przyjacielska potrzeba. Ztąd śmiechem zbywam owe ad genium teraźniejszego wieku zagęszczone w posiedzeniach i zgromadzeniach wyniosłe rodowitości swojéj *Magnificat*, tudzież silące się w konkurencyach według niéj o miejsca, o honory i o jakieś extraordynaryjne poszanowania, pretensye. Jakoby to wszystko imieniowi samemu służyć miało, co cnocie, zasługom i chwalebnym należy przymiotom. A oto widujemy w kałużach miesiąc, widujemy i promień słoneczny w smrodzie, a przecież dla udzielonego temu obojgu światła, jaśnie oświeconą nie nazwiemy paskudy. Pójdzie promień za swojém słońcem, dokąd go bieg zwyczajny obróci, a plugastwo żadnéj z niego nie nabrawszy istoty, smrodem na swojém miejscu zostanie. Jako i ów parenteliacik, nie wziąwszy nic w siebie z cnót i godności antecessorów swoich, gnojkiem zawsze będzie, albo owym bobkiem, co to ni śmierdzi, ni pachnie, a przecie pretenduje, aby go za pomarańczę ważono i szanowano. Wiemy bardzo dobrze, miły specyale, choćbyś tak dumno nie powiadał o tém, że twój dziad, pradziad, stryj i tam inszy z czoła antecessorów używał tytułu *jaśnie wielmożnego*, *jaśnie oświeconego*, różne krzesła zasiadał, buławy, pieczęcie i laski nosił, — ale też i to wiemy, że na tych miejscach wielka go z cnót, przymiotów i zasług w ojczyźnie godność należycie osadziła. Wiemy, że na zaszczyt wiary św., wolności, równości szlacheckiéj i dobra pospolitego szczerze krew swoją i substancyę szafował, trudne nią mury i przeprawy oblewał, wojska nieprzyjacielskie odważnie wojował, wiązał i znosił, chleba obficie i ludzko nie żałował, wszelkiéj przyjaciela dzielił się i dogadzał potrzebie. Wiemy, że go tak wysoko utytułowały i oświeciły jasne na cały świat akcye, ale téż i to bardzo dobrze widzimy, że te wszystkie aż do ostatniego przymioty w tobie, panie wnuczku, zagasły, że życie twoje zasmrodziła i ściemniła gruba niecnót pomroka. Twój przodek, powiadasz, nieprzyjaciół wojował, w niewolę i z nich łupy obfite zabierał, mężném sercem w okazyach stawał, — a ty szlachtę wojujesz, na wartach stawiasz, żony i córki ich w egzekucyach bierzesz, sromocisz i paskudzisz, w domach cudowne sposoby exorbitujesz (1), dobra ich i Bogu poświęcone łupisz, z okazyi (2) na pierwszy głos trąby bez czoła, bez serca uciekasz, substancyi zacnie z przodków nabytéj lada jako i niepoczciwie zużywasz, b.... podwiki i wszelkiego nierządą pilnujesz, pijaku, kostyro, niecnoto, niewstydzie i obmierzły kiernozie! a jeszcze tytułem i prawem cnoty sam się z tego chełpisz, nad równość nadymasz i jakiéjś między ludźmi dystynkcyi

(1) dopuszczasz się nadużyć. — (2) bitwy.

pretendujesz. Wiemy bardzo dobrze, bo się tego w dawnych dziejach naczytamy, że przodek twój wszelaką na całe życie bez najmniejszego zakału słynął reputacyą, — ale w tobie przemierzły z... ledwo tyle znajdzie się humoru, ile w nadętym i kilką ziarnek grochu napchanym pęcherzu: churkotania, hałasu i grzmotu siła narobi, niezdolnego szczura albo kota aż za dziesiątą popędzi granicę, a jak się go koniec szpilki dotknie, zaraz owa nadętość i para gdzieś się z niego podzieje, a sam się w momencie w mizerny flak skurczy i obróci.“

Jak żywo ten ustęp przypomina satyrę Opalińskiego: „na wyrodków familii swoich.“ Pan wojewoda poznański również jest zdania, że końcówka „na *cki* lub *ski* nie czyni szlachcica, ale cnota, przystojność.“

..........pozwalam mości panie
Żeś wojewodzic, aleś oraz pijanica,
Kostéra, wszetecznik i srogie ladaco.
Nie tak po wojewódzku żyją......
. . . .
Bez ozdób twoich przodków pokaż co wzdy umiesz,
Czyś do rady, czy do zwady, boju czy pokoju.
Czy tylko chcesz abyśmy twoim się kłaniali
Tytułom, które Dziadom twym służą nie tobie?....

Czy jednak temu wynoszeniu się po nad równość szlachecką jedynie na mocy zasług przodków, winni sami tylko panowie? Ze smutkiem wyznać trzeba, że wina tu obopólna: panów — że się wynoszą, szlachty—że się im kłania i adoruje. Do zastraszających rozmiarów rozwinęło się u nas wstrętne pochlebstwo, z ujmą prawdy i godności człowieczéj. „Czy małoż temi czasy gada do ludzi panegiryków i panegirystów, z krzeseł, stołków, katedr i poświęconych św. Ewangelii ambon oratorów, w różne a ledwo nie w przyzwoite samemu Bogu sposoby: *tu pater patriae*, *tu prospice cunctis*, *te divum conscripserat honos*, *tu purpura sagus*, *te pariter et toga decet* i tam daléj, aż się na żołądku zwija. A oto mój miły *pater* nie ojczyzny ale z ojczyzny ojciec dla licznych dziatek swoich, a często w tych zepsowanych czasach nie dla wszystkich swoich, w różne przemysły, przebiegi, inwencye i sposoby doi, skubie (a że terminem jednego poczciwego szlachcica rzekę) kastruje tę miłą matuchnę, aby jéj i to na ostatek odjął, czem by się potém pomnożyć mogła. A mój *pater patriae* po cudzych ojczyznach, krajach i narodach spekulując, a imieniem wolnego syna przez abominacyę równości womitując, rząd dawny i prawa ojczyste taksuje, mataczy, reformuje, i w niewolę panowaniu przyjemną oczywiście i sekretnie sposobi

A mój *pater conscriptus* nietylko radzi, ale się i pisze na zdradę ojczyzny, na interes z publicznego prywatny, na mutacyę status, na handel wolności, a prawie już na samego absoluta. A mój *purpuratus* dla przewrotnych i niepoczciwych akcyj swoich nie bisior ale wstyd i sromotę, albo krew braci przekleństwem izraelskiem na siebie i radę swoją spływającą w purpurze nosi. A mój *togatus* publicznym pokoju prywatne niezgody, dissensye, difidencye, zamieszania, kłótnie, zabójstwa, do swego awantażu albo do publicznego sposobi upadku. A mój *sagatus* we krwi łowi, śmiercią żyje, z wojny pokoje, pałace i dwory buduje, pieniądze, apparencye i dostatki gromadzi, pobratymstwa z nieprzyjacioly i różne interesa wyrabiać praktykuje, kolosy sławie swojéj albo trony potędze i imaginacyom stawia i eriguje, zgoła krótkiego sagu (1), i kuszy (2) w domu, i rzeczach swoich kurty — na szlak dłuższy pociągnąć i poprawić usiłuje. Dla czego radby, i tak pewnie wyrabia, aby utrapiona ojczyzna z kłótni swoich, z zamięszania i nieszczęśliwego odmętu nigdy nie wychodziła, w którymby mógł ustawicznie aż po uszy bobrować, łowić i pożytkować."

Obszerny ustęp o senacie tutaj streszczony, kończy się długim wierszem poety, który ze zgryźliwą ironią cześć swoją oddaje senatorom. Kilka zwrotek początkowych przytaczamy:

Czczę cię najbliższa stopniem majestatu
Cna przeświętego kamero Senatu,
Bo nie dla prostéj drużyny i ciżby
Honoru prawem masz przywiléj Izby

Czczę i was tejże dostojności Krzesła,
Bo prócz przedniego kunsztu i rzemiesła,
Z szczerego złota galonem ubitem
I przednim widzę świetne aksamitem.

I was czczę także dostojne Purpury,
Bo siła przewóz wasz kosztuje z góry,
A więcéj jeszcze w kolorze wysokiem
Jedwab tyryjskim napojony sokiem.

Dopieroż was czczę świetni Purpuraci,
Na stronę imię odrzuciwszy *braci*,
Bo prócz że sami marszczycie się na nie,
Ojcami was mieć chciało powołanie.

Czczę i z bojaźni muszę trzymać czapkę,
Aby mnie który nie zdeptał jak żabkę,

---

(1) szaty. — (2) kusa suknia, kurta.

Za górnym stanu wysokiego okiem
Stąpając aże pod samym obłokiem.
. . . .
Czczę, bo się boję waszych darmostojów
Przy niedostępnych drzwiach, bram i pokojów,
Abym się naraz nie naraził grzbietem,
Albo od draba nie wziął w bok muszkietem.

Albo żeby mi hajduk nie dał w zęby,
Albo za prawdę nie przerzezał gęby,
Albo przez wzgardę równości w chudobie
Pięścią na strony nie obito obie.

Albo żeby mnie żonek waszych wnioski
Przez uciśnienie nie wypchały z wioski,
Sprawiedliwości kiwacąc (1) paskudnie,
Wprzód chudy zdechnie pies, niż tłusty schudnie....

Opuściwszy senat, przechodzi nasz satyryk do szlachty. Rzecz prosta, że stan szlachecki jest dla niego ideałem, instytucyą najwspanialszą, podwaliną bytu społeczeństwa. Szlachectwo, owa Górnickiego „rozpalona pochodnia, która objaśnia i kładzie przed oczy dobre i złe człowiecze sprawy i pobudza, zapala ku cnocie“ (Dworzanin)—jest dla niego jeżeli nie świętością, to przynajmniéj skarbem najdroższym, jaki się oddziedzicza po przodkach lub zdobywa własną zasługą. Ale dlatego téż skarb ten starannie utrzymywać należy, aby go w całej pełni blasku przekazać potomkom. Nadaje on wprawdzie wielkie prawa, ale i wielkie wkłada obowiązki. Prawdziwy szlachcic życiem swojém dowieść powinien, że w żyłach jego krąży krew szlachetna, rycerska. Tak być powinno, tego wymaga samo pojęcie godności stanu, tak téż niegdyś bywało. Dziś, ze wstydem wyznać to należy, mało kto „reguluje się akcyami do tak wysokiéj stanu perogatywy.“ W tém może przyczyna owego wynoszenia się po nad stan szlachecki, owéj manii nabywania cudzoziemskich tytułów. Są tacy „co przez wielkość substancyi i kondycyi pną się i górują nad równość szlachecką,“ brzydząc się niesłusznie imieniem szlachcica. „A tu już sobie chodźcie jak chcecie i stąpajcie z góry za światłem tytułów swoich jaśnie oświeceni książęta nasi, ale nam stopnia równości nie deptajcie. Tytuł wasz bowiem jest niejako strój i złotem świetny przybiór, ale ciałem żywem jest szlacheckie urodzenie.“

Porównywając Rplitę naszą z rzymską, autor przychodzi do przekonania, że pierwsza ukształtowała się na wzór drugiéj. W ta-

---

(1) wydrzeźniając, urągając.

kiéj saméj jak w Polsce „konsyderacyi i prerogatywach“ był w Rzymie stan szlachecki. Ztąd téż „zakonną niejako regułę,“ jaką „stan ten opisali i obwarowali Rzymianie,“ zastosować należy do szlachty polskiéj. Reguła zaś ta była następującą: *Verus eques et minime simulatus non sit superbus, malitiosus, furibundus, gulosus, timidus, impurus, tenax, mendax, blasphemus, deses, in summa: non calcari aureo, sed vitae integritate glorietur.*

Jak widzimy dziesięć jest przykazań szlacheckich, równie jak dziesięcioro przykazań boskich. Zejście się takie w liczbie nie zdaje się być przypadkowem, czego dowodem szóste przykazanie szlacheckie (*verus eques non sit impurus*), odpowiadające szóstemu przykazaniu boskiemu, jak również przykazanie ósme (szlachcic nie powinien być kłamcą) przypominające ósme przykazanie boskie: *nie mów fałszywego świadectwa.* Każde z nich rozbiera autor szczegółowo, dając obraz cnót prawdziwego szlachcica.

A więc naprzód: *verus eques non sit superbus*, „gdzie bowiem pod strychulec równości idziemy z urodzenia wszyscy, tam się jeden nad drugiego..... piąć i górować nie powinien.... Co za korzyść plwać pod niebo, kiedy wymiot twój w oko albo w gębę wraca ci się nazad?.... Dmuchaj jak chcesz, odymaj się i sapaj, tém armaty nie nabijesz, nikomu nie zaszkodzisz, sobie nie pomożesz.“ Pysznić się z rodu nie ma podstawy, bo „z jednego drzewa bywa krzyż i łopata.“ Z mądrości pysznią się ci, co jéj nie posiadają. Za bogactwa winno się tylko dziękować Bogu, „że je udzielił tobie, a nie godniejszemu, którego stołu odrobiny polizać niegodzieneś.“

Daléj *verus eques non sit malitiosus et furibundus*, bo złość, zemsta, zapalczywość i „wszelakie brawury nie ludziom, lecz bestyom nierozumnym przystoją.“ Jedna zemsta prowadzi za sobą drugą, a często i w dziesiątém odbija się pokoleniu. „Lepiéj miły junaku wskórasz, że spuścisz z brawury niepotrzebnéj i zdasz w pasyach twoich na rozsądek trzeciego. W pojedynku niepewna satysfakcya, bo tam szczęście kraje. To téż nie jest (z ciebie) tak straszna figura, że na wąsy dmuchasz, na łeb. . . . . pół sałasza wdziejesz, wylot na kark zarzucisz, cybuch za kołnierz, stempel za pas ścibisz, chamelikę na chamelikę zawiesisz i miary marcinowéj szarawary, nakształt ułożonego za fujarą cygańską do tańca niedźwiedzia na siebie zaciągniesz. Skromność i pomiarkowanie wszelakich pasyj szlachcicowi są przyzwoitą, bo przy téj pyska nikt niezaparagrafuje i krwi zacność na zażycie chwalebniejsze, według powołania i potrzeby ojczyzny konserwuje się.

Trzecią regułą szlachcica rzymskiego było: *verus eques non sit gulosus*, „obżarstwo bowiem świnię raczéj a nie człowieka znaczy,

lubo i ta ma miarę żarłoctwa swojego. Obżarstwo pociąga za sobą inne szkodliwe występki. „Niech o tém sami powiedzą, którzy praktykują, dla czego krew sobie zgnoili, zdrowie nadwyrężyli, niesposobności do czynienia i złych obyczajów nabyli, dni w nocy, nocy w dni przeinaczyli.... paragrafów i specyałów francuzkich ponabywali.... Boga i łaskę jego utracili.“ Kto „łoży na apetyt sila, tyleż i na pragnienie łożyć musi.“ Następstwem tego pijaństwo, a wskutek niego „wielki błąd i niecnota.“ Kończy się na utracie zdrowia i majątku, co doprowadza do nędzy, przewodniczki rozpaczy i infamii.

Trudno to wprawdzie przekonać serce, „aby się w lwiéj rezolucyi i wspaniałości trzymało,“ niemniéj jednak: *verus eques non sit timidus*. „Darmo mi miły indzinierze przy kuflu i piwnym zaciągu swoim armaty rychtujesz, fortece, wały, aprosze i szyki po stołach delinujesz, kiedy sam na to albo przez perspektywę patrzysz zdaleka, albo wstyd i obelgę serca swojego łożysz, kiedy ci stempel w oczach jako kartan (1) straszny, kiedy ci huk lada strzelby nogi zaraz podcina.“ Napróżno udajesz zucha i tytułem żołnierza się szczycisz, kiedy śród boju „dla przeraźliwéj serca palpitacyi w nogi po tebinkach albo na sromotny odwód pobudkę bijesz, uciekasz i konia oślep i bez miary silisz.“

Verus eques non sit impurus. Nieczystość brzydka sama przez się, wiedzie jeszcze prostą drogą do zniewieściałości. „Jakoż sercem o nieprzyjaciela uderzysz.... kiedyś je pod pierzyną u lubionéj zostawił fryjerki?“ (2).

Także i skąpym być szlachcicowi nie przystoi: *verus eques non sit tenax*, „ludzkość bowiem niewoli serca, które się często największym przymiotom zażyć i obligować nie pozwalają.... Nie z jałowego stołu rodzi się konfidencya i uprzejmość przyjacielska..... Inaksze poznania, inaksze doznania bywają okoliczności. W kościołach i zgromadzeniach publicznych ludzie się poznawać zwykli, u stołów doznają przyjaciele; komunikacyą ludzkości wiążą się z sobą serca ludzkie, z tych rodzi się miłość zobopólna, z miłości wzajemna obserwacya, z obserwacyi reputacya, a ta jest szlachcicowi prawem zacności przyzwoita. Inaczéj, Maciek nagotuje, Maciek zje,— to pewnie parobek albo woźnica, bo się tak szlachta nie chrzci.“

Za sprośny występek szlachcicowi rzymskiemu poczytano kłamstwo, ztąd też *verus eques non sit mendax*. Z obszernego ustępu tego widzimy, że przysłowiowe omijanie prawdy przez myśliwych ma już swoję tradycyą. „człowieka kłamcy, fortelu i sztuki nigdy nie dojdziesz, choćbyś był z Hippolitem myśliwym.... Jeśli mówi o niedź-

(1) działo, armata. — (2) rozpustnica, *pani duszka*.

wiedziu, to podobno zatrącił wilka, jeśli o wilku, to uszczwał zająca, jeśli o zającu, to pewnie świrczka albo polnego okrutnie zamordował recka.“ Mniejsza jednak o kłamstwa myśliwskie, bo te przynajmniéj nikomu szkody nie przynoszą, i na jedno wyjdzie słuchaczom, czy zapalony Nemrod w gardło czy w serce choć bez prochu ubije niedźwiedzia. „Są insze pola, w których przez takowych myśliwych, często szwankują ludzie, honor, reputacyę tracąc, a czasem i samo pokładając życie. Udać, obwinić, donieść fałszywie, jest nietylko poszczwać, ale raczéj oszczekać bliźniego. A jakoż to szlachcicowi przystojnie ma służyć, co kundysowi i saméj bełkotliwéj złai dało przyrodzenie?“ Niedotrzymanie umów, niewypłacalność dłużników, oszustwo i „wykręty matackie“ są owocami kłamstwa. Często dobra wola choćby najliczniejszych i najrzetelniejszych ludzi, nie może postawić na nogi tego, co kilka szalbierzy i mataczy językiem swoim podetnie, „tysiąc rydlów bowiem nie ustanowi wody, którą zdradliwie w grobli srebra żywego rozleje partykułka.“

Daléj *verus eques non sit blasphemus*, bo „nie da się tam widzieć przez usta podkasana aż do powab swoich wszeteczna Wenus, gdzie serce zaległa nagiego pod biczami Zbawiciela przytomność.

Wkońcu *verus eques non sit deses*, bo jako przez czynienie doskonałość w człowieku perfekcyonować się zwykła, tak przez próżnowanie tępieje i upada zwyczajnie. Nie rad cię widzę miły papinku, coś się w bławatny zasznurował żupanik, czuprynkę kaczorową krochmaląc, albo wąsik we zwierciedle gumując i sztafirując. Nie saméj tylko płci niewieściéj, ale każdemu zalecić się powinieneś, „bo jeżeli białéj głowie najbardziéj należeć usiłujesz, słusznie cię tém nazwać mogą, co białéj krwi sekretnie dało przyrodzenie.“ A wreszcie i biała płeć próżniaków nie lubi. Jeżeli będziesz pracował, to i tam „udać się kształtniéj możesz, kędy za świadectwem zwierciadła wścibić się i zalecić usiłujesz, bo i ony... wolą raczéj, że cuglami albo potem chwalebnéj i przyzwoitéj pracy swojéj trącić nieco, aniżeli piżmem czyli szczurzym ogonem pachnąć i kadzić będziesz. Gnuśność i próżnowanie jest wielki człowieka defekt, bo przez nie nietylko cnoty, które są życia ozdobą niszczeją i upadają, ale téż i sama krew trupieje i gnije, która je przez agitacyę utrzymywać i pomnażać zwykła. A jeżeli ta w tobie miły fomfornisiu zropieje, jakoż serce zdrowe i sposobne mieć będziesz? którego cnotą i rzeźwością wszystkie dobre rezolucyi i miłości tyczące się stoją akcye. Pewnie nie podniesiesz, dopiero nie zażyjesz kopii, jeżeli żyły, moc ręki wzmagające, zwełnieją ci, obropieją; i siła miłości w swojéj zawiedzie się operacyi, ogień przyrodzony kiedy zwietrzeje i zagaśnie..... ani mąż, ani mężczyzna doskonały będziesz.“

Po bardzo długiéj stosunkowo rozprawie o próżniactwie, następuje tego wszystkiego, co się o cnotach i wadach szlachcica powiedziało, streszczenie. Treść cała zamyka się w słowach: *In summa verus eques non calcari aureo sed vitae integritate glorietur* — „nie złocistą ostrogą, albo szablą i sygnetem herbownym, ale życia cnotliwego splendorem błyskać i szczycić się powinno szlacheckie powołanie.“ Autor daje nam obszerną pochwałę dawnych czasów, a wynik z niéj ten, że „co było przedtém grzechem i ohydą, to teraz w proporcyą życia i stanu szlacheckiego wchodzi. Pochyłem drzewem nazwą—kto dla pokoju ustąpi swojego; flakiem— kto nie pyszny i nie humorowaty; tchórzem—kto nie napastnik i nie wartogłów; papinkiem—kto nie wypije i nie żyje nad miarę; mądrze-odważnym i na ważniejszą ojczyzny potrzebę zachowującym się — kto z okazyi sromotnie uciecze; modnym i gałantomem—kto w lubieżnéj zbytkuje akcyi, albo........... dostanie; oszczędnym—kto sknérą; jowialistą—kto wszetecznym, albo szalbierzem czyli błaznem; zacnym i delikatnego urodzenia pańskiego—kto próżniakiem; szlachcicem—kto z szablą, dworzaninem—kto z wołoską chodzi czupryną; żołnierzem—kto baby trapi; statystą — kto przewrotnym mataczem; wielkim i godnym panem—kto prawa nie słucha; zgoła poczciwym—kto niecnotą“..... „Westchnął serdecznie na to jeden poeta polski“ — ale westchnienie to nieco przydługie i bardzo słabe. Sens jego moralny, że klejnot szlachecki upada w znaczeniu, choć jest perłą „bez ceny, bez taksy“ i że „cudzoziemskie harpie odbierają rząd szlachcie, a lada rajtar znęca się nad jéj własnością, nie szczędząc żon i córek.“

Na tém kończy się ustęp o szlachcie. W rękopiśmie następuje cała prawie karta próżna, a zarazem za nią bez żadnego zwrotu lub wstępu, przechodzi autor do miast i mieszczan.

Ciekawi dowiedzą się tu bardzo mało; widocznie satyryk po wierzchu tylko znał stan mieszczański i sądził o nim z okien zajazdów i z tego, co mimochodem usłyszał. Nad kilka słów nagany dla sądów miejskich, cechów i zajazdów, nic więcéj godnego swéj satyry nie znajduje.

Sądy miejskie trzymają się zdala od sprawiedliwości. „Często po Osiecku za szewca obwieszą kołodzieja, za ślusarza—garncarza, za winowajcę stracą niewinnego. Forma sądów ucieszna, inkwizycya—plotki, Saxon na pozór rozłożony zadrze nogi do góry; sentencya—racyi, dekret żadnego nie będzie mieć fundamentu. Za trzepaczkę na gardło, za wołu na grzywny i gorzałkę, za zabójstwo na misterne pod pręgą plagi, albo z miasta wywołanie i wyświecenie skażą, osądzą i egzekwują. Ale, przez Bóg, inaczéj chce mieć prawo i wrodzony rozsądek! Prawda, ale któż prawo przeczyta, kiedy pan

wójt jak świnia głupi, pan burmistrz litery nie zna, pan pisarz co czyta—nie rozumie, panowie ławnicy tylko z grzywien pić śmierdziuchę umieją: zgoła wszyscy jako nierozumne bestye. Dla tego téż i dekret takowyż będzie, a często taką literą napisany, jako szynkarki po ścianach piszą swoje kwaterki, i tak nieborak więzień, jako mucha na ukropie, nic w nim nie zjadłszy—przepadnie.“

Również smutny widok przedstawiają cechy „pójdźmy do cechów a raczéj na błazeńską komedyę, gdzie owe ich przyjmowania wyzwolenia, i tam insze na urzędy osób kreacye. O! jakiego śmiechu, drwin i głupstwa pełne, kiedy owe oracye, exhorty i panegiryki misternym stylem prawić i ceremonie wywodzić będą. O zaleceniu cnoty nie pytaj, o poczciwości i rzetelności, którémi wszystkie kunszta i rzemiosła stać powinny, najmniejszéj wzmianki nie będzie; wszystka rzecz napomnienia na tem się oprze: abyście p. Marcinie wiedzieli, p. Marcinie uczciwy, żeście się do uczciwego braterstwa i kunsztu naszego wkojarzyli, na sławę obecności waszéj, na chwałę Chrystusa Pana i Najświętszéj Panny, i żebyście do cechu naszego dopomocnymi byli, a gorzałki, co ludzkość i grzeczność wasza, wystawili.“

Od wódki przejście łatwe do szynków i szynkarzy. Tych ostatnich specyalnością oszukiwanie na mierze. Pijatyka trwa ciągle, nawet niedziela i kościół od kieliszka odciągnąć nie zdołają. Dopiero kiedy się gardło przeleje, pełno pijaków w kościele, ale nie dla modlitwy, lecz dla zgorszenia.

Miejskie zajazdy, izby, podcienia, pełne smrodu i nieczystości. Na ulicach i rynkach psy zdechłe, barłogi i gnoje. Cóż dopiero mówić o ludziach i usłudze? Gospodarza strzeż się, aby cię nie okradł, szynkarki—„żeby gadu nie natrzęsła.“ Niewygodę tę opisał na ścianach pewnéj gospody jakiś cudzoziemiec, pierwszy raz Polskę zwiedzający, co potém przetłomaczono. Wiersz ten w tłómaczeniu podaje autor, jest on jednak tak wstrętny i niesmaczny, że nawet wyjątków z niego przytoczyć nie podobna. A jednak „miéj kto chcesz za żart te kilka podróżnego cudzoziemca wierszów, ale to jest rzecz pewna, że miasti ludzi zagranicznych porządek od naszych polskich taką, jako raj od piekła, mają dystynkcyę. Rynek i każda ich ulica ma w sobie ochędóstwa więcéj, aniżeli polskie w swoich rezydencyach domy i kamienice, Satyra zaś leśnego widok nie tak byłby u nich w podziwieniu, jako człowieka z naszych miejskich którego, względem ochędóstwa i ułożenia w grubijaństwie i kroju przykrego. Bolą uszy i serce słuchać śmiesznych o tem relacyj, albo czytać pisma i wieczyste tych to anatomistów naszych druki i tranzakcye.“ Wybaczyć zaś im koniecznie potrzeba, bo słusznem sumienia i rozsądku prawem, prawda nikogo urażać nie powinna.

Oto i wszystko co autor znalazł w miastach dla swojéj satyry. Nie miał ztąd postępować „niżéj,“ niechcąc ostrzem satyry dotykać „pracowitego ludu naszego,“ boć trudno go już prawie „dojrzéć w tłumie i nacisku wszystkich ogółem dolegliwości“.... „Zatarła tak piękny (aże doskonaléj powiem) najprawdziwszy twarzy boskiéj rytrakt (1) trzymająca się pyszno w dystynkcyach wzgarda nasza; poszarpało nieznośne w panowaniach okrócieństwo, zdarło niepomiarkowane w podatkowaniu ździerstwo i niemiłosierdzie; nadeptał i stratował szacowny na wymyślne ustawy (?) koń żołnierski; strawił głód i niedostatek, znużyły nieżyzna na złe czasy i wielorakie plagi boskie praca i charłowanie (2)“. Przytoczony ustęp prawdziwy zaszczyt przynosi satyrykowi, początek bowiem wieku XVIII najmniéj zważał u nas na godność ludzką w włościaninie. Tylko zaraz potém idzie szlachecki wykręt przy szukaniu przyczyny upadku moralności, chęci do pracy i rozumu chłopa polskiego. Kiedy bowiem nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że lud jest takim, jakim go sami zrobiliśmy, autor widzi także, oprócz wspomnianego ucisku, przyczynę złego i w tém, że „charłaczkowie nie są w tych cnotach, dla których Pan Bóg przodkom ich obficie błogosławił.“ Skutek tu wzięty został za przyczynę, ale zaraz po téj nieszczęśliwie pomyślanéj przyczynie, podaje autor inną jeszcze, bardzo rozumną, a na wiek swój zawczesną, leży zaś ona w tém, że „*dla siebie* przedtem i przeto ochotniéj, niżeli po te czasy pracował, zasiewał i zbierał uczciwy chłopek.“ Ztąd praca była mu miłą, w niéj czerpał siły, a swobodne i spokojne przestawanie z naturą rozwijało jego umysł i podnosiło serce. „Piórem Augustyna albo Chryzostoma pisaćby potrzeba ową ich niewysłowioną, naturalną prostotę... ustąpiła zawiła teologów explikacya łatwiuchnéj i prościuchnéj ich rezolucyi.“ To też Najwyższemu przyjemniejszy był jeden prostaczka paciorek, albo ów głupiuchny: *To tobie, to mnie*, przez przykopę podział, aniżeli wszystkie razem seraficzne z tytułu i z druku swojego bez serca modlitwy, hymny i nabożeństwa nasze.“ W ten sposób wysławia daléj autor uczciwość, czystość, prawość i pobożność ludu, ale dodaje na końcu charakterystyczne słowa: „nie widzieliśmy prawda tego, co się tu mówi, a dawnością wieków zaległo.“ Otwartość ta, czy naiwność, podobać się powinna, gdy się zważy na wszystkich satyryków sławiących dawne czasy tak, jakby je widzieć i rozumiéć mogli. Wada to prawie wszystkim wspólna. Nie tak za naszych ojców bywało—to zwykły frazes codziennéj, potocznéj rozmowy i zwykły frazes satyryków. A jeżeli zobaczymy, co

(1) Właściwie: rytrat, obraz, portret.

(2) Może: harowanie, ciężka praca.

też współcześni o owych ojcach mówili, to przekonamy się, że satyryk tych czasów, czasów rozbiorowych z boleścią widzi upadek cnoty i woła: „powróćcie się czasy ojców naszych!“ a kiedy pójdziemy daléj do naszych pradziadów, to autor naszego rękopisu i inni znów nas odeszlą do wcześniejszéj epoki, a w epoce téj Opaliński, a nawet Kochowski i Sarbiewski znowu wspominać będą o owych „czasach i obyczajach starodawnych“ i to na to tylko, abyśmy od znakomitych mistrzów Zygmuntowskich dowiedzieli się tego, co i przedtem, że tak „pierwéj“ nie było (Zbylitowski). Na ten też temat fantaziuje nasz autor, aby przeciwstawić czasy dawne, dzisiejszym, w których „nie masz chłopiéj prostoty, którą Pan Bóg chciał mieć korzeniem wszystkich cnót i doskonałości. Francuzki przewrót, hiszpański dowcip, wołoski przemysł, moskiewskie okrucieństwo przechodzi po te czasy subtelna praktyka chłopska.“ A daléj straszny obraz: oszustwo, pijaństwo, cudzołóstwo, kradzież przesuwają się przed oczami: „Ma on (chłop) na wołu buty, na kapłona wędę, na szczupaka misterne jarzmo, na plebana bicz, na sąsiada rogi, na żonę kłótkę... Wiary dobréj nie pytaj, praca szczera i poczciwa zginęła, wszeteczeństwa pełno; Trójca Najświętsza u niego widły, dusza para, kościół browar, pacierz misterne plotki, chudoba z cudzéj nabycie, dziewka żart i zabawa, krowa albo kobyła u niego nałożnica; zgoła wszystko maniera życia głupia, łakoma i wszeteczna świnia.“ Dużo w tém wszystkiem pesymizmu i frazesów bez dowodu. A jak ciekawym byłby dla nas obraz obyczajów i stanu ludu naszego przed dwoma blizko wiekami. Autor stara się wykpić i wytłómaczyć swoję pobieżność dwu wierszem:

Tam, gdzie złe dobrze leży, nie trzymaj się toru,
Bowiem rozdrażnionego nie zniesiesz fetoru,

i zaraz przystępuje do „wolnego w panieństwie obojéj płci stanu.“ Początek zajmuje szerokie i szczegółowe porównanie wieku młodego z rośliną, rodziców z gospodarzem uprawiającym ziemię, zasiewającym ziarno i starającym się o wzrost rośliny, aby „wzeszła w kwiat gęsty i wydała plony.“ Jeżeli z dopuszczenia wyższego w niwecz obrócą się starania, jakże się „nieborak trapi... że ziarno jego lada jako weszło, że mu śniedź i płonną plewę okwitło, że się ziarna w kłosku domacać nie może, że z pracy swojéj pożytku nie ma.“ Zwróciwszy się zaś do rodziców, pyta się: dla czego obfitując w dostatki i wygody... na starość tak sobie nudzicie, lamentujecie, płaczecie i narzekacie.“ Dziatki winny odpowiadacie... bo pan Jan starszy ową powabną i delikatną kompleksyjkę przez zbyteczne pijaństwo w trąd, jakoby w jaszczur sobie oprawił, czopa i szynkwasu podłego pilnu-

jąc, konie, porządek, rynsztunek, i szacowną niejedną wyprawę przemarnował i przemataczył. Ze p. Mikołaj średni na kolacyjki b........, na hultajskie kompanijki i debosze wszystko także utracił, zęby w salwacyi wypluł, paragrafów na pyszczek papinkowaty ponabywał, w długach i kredytach po uszy uwiązł, z regestru dworskiego, czyli wojskowego sromotnie wymazany, wyszczwany i wytrąbiony, po skrytych miejscach tuła się i lawiruje, niebezpieczeństwa gardła za sromotną i kryminalną akcyę uchodzi, w gnoju na ostatek publiczne sadzele (1) i ospę liczy, gnije i od kości ropiejąc odpada. Że ów Tomuś najprzyjemniejszy mopsek, najraźniejszy synaczek, najukochańsze dzieciątko, jako świnia głupiuchny, rozgarnienia i bezpieczeństwa nie ma, złych się nałogów chwycił, pana swojego okradł, na kostki utracił, w więzieniu szubienicę wysiada, okupu i miłosierdzia rodzicielskiego w głodzie i nieznośnéj mizeryi wygląda. Że owa, aniołek w ludzkiem ciele, Magdusia koło pępka opuchła, na potrawę womituje, albo pod pretekstem miejsca cudownego, daleko kędyś puchliny zbywa i ratuje się...“

Wszystko to prawda, „ale kto wam mili staruszkowie winien, że z nich ukontentowania i honoru mieć nie możecie? Na siebie płaczcie i narzekajcie, nie dziatki wam, wy dziatkom i samym sobie szkodzicie.“ Pomijając już niedorzecznie pojętą miłość rodzicielską, a ztąd zbyteczne pobłażanie swawoli, zapominają o tem ojcowie i matki jak zły ich przykład wpływa na potomków. Wprawdzie p. Jan pije dzielnie gorzałkę, ale czyż mu się dziwić, kiedy „p. ojciec w tych leciech lepiéj i doskonaléj to praktykował.“ A że ty, panie Mikołaju, „w akcyach lubieżnych zbytkujesz,“ wina w tém twojéj matki, co cię „z pobocznéj zawiązała rozrywki“ i pozwoliła piastunce sypiać z tobą w 6-tym roku życia pod pierzyną. I ciebie, Magdusiu, „nie trzymano w dozorze,“ pozwolono ci patrzéć jak „pani matka z gościem na migi się znosiła, porozumiewała i schadzała,“ lub „panna z fraucymeru z mężczyznami dni i nocy jak kokosz na jajcach wysiadywała, gziła się i pajęczynę po kątach omiatała.“ Miłość ma swoje prawa, przyjdzie w właściwym czasie, uprzedzać ją i przygotowywać się do niéj nie potrzeba. Dorodny młodzian „przylgnie do serca prawem porządnéj miłości z cnót i przymiotów swoich, choć się z *Magielony*, z *Banaluki*, z *Argenidy* i z inszéj którejkolwiek miłosnéj książeczki kochania uczyć i naśladować nie będzie. Polubi stan małżeński „panna, choć jéj go zalecać i słodzić, albo habitu ganić nie będziecie.“ Podda się kształtnie konwersacyi, manierze dobréj i gładkiemu w tańcu taktowi, choć jéj kosztowny francuzki knechta

---

(1) Guzy, wrzody.

języka przyprawiać, stanu prostować..... nie będzie. Pójdzie godna wcześnie i dobrze za mąż, choć ją nasieźrzałem (1) kadzić, albo po kiermaszach, odpustach i publikach wodzić nie będziecie."

Kiedy ci, panie ojcze, dał Pan Bóg chłopca „w pięknéj proporcyi i sposobności," od ciebie zależy wcześnie „latorośl podkrzesywać, naginać w surowości i groźbie ojcowskiéj... sposobom dobréj edukacyi poddać." Tymczasem „łzami by tu pisać potrzeba zepsowaną temi czasy młodzieży naturę... Wejrzyjmy owo na wiek dziecinny, aż w nim fizyognomia z figury i znaków swoich przechodzi lat kilkadziesiąt. Znać w minie, jakby je wyrznął, wystarzałe pana ojca opojstwo, w oku stryjowski świder i matactwo, w impeciku wujowskie okrucieństwo i szarpanina, w ruchawości pani matki lubieżny i wszeteczny pochop. Pójdźmyż za dalszemi trochę latami, aż owo onegdajsze dziecko po piecu się za pasterkami czołga, w szkole o lepszą u szynkarki z inspektorem certuje; w nauce, w nabożeństwie i w księgach jak mucha w ukropie smakuje, wakacye sobie ustawiczne wymyśla, butów daleki od szkoły manowcami narabia, (2) koszt rodzicielski marnuje i zawodzi. I tak bez pożytku i umiejętności przeszedłszy jako przez praszczęta (3) niecierpliwie szkoły, na przestrzeńsze pole do dworu, albo do wojska wychodzi. Tamże go dopiero proszę widzieć, jeżeli się z szkół wyszedłszy nie opartolił zaraz." A dalsze dzieje „synaczka" opowiedzą „markietanki" i „Doroty od szynkwasów."

Nasz autor przyczynę złego wychowania dzieci upatruje w zamiłowaniu do obyczajów cudzoziemskich, i kończy wywód zapewnieniem, że „czem przed laty swobodna, silna i potężna stała i słynęła Rplita, wszystko się zagranicę wyniosło. Zkąd dosyć kroju, języka i fantazyi mamy, ale regimentu, ich porządku i reguły nie pytaj... Wszystka myśl i rzecz na tém stoi, aby podobać się krojem białogłowie, prawem onego koniecznie cudzołożyć... psy po ulicach strzelać, wytwornie szalbirować, (4) do południa sypiać, nocy na niecnotach trawić, nabożeństwa chronić się, cudzych obiadów i deboszów szukać, swoję kuchnię na zawsze zagasić, nos utabaczyć, strojem czas marnować,—zgoła sobie i nikomu na nic się nie przydać. Téj się „szkoły" chwycili i bracia „pomniejszéj kondycyi."

W ustępie w wychowaniu młodzieży potrącił autor kilka razy o małżeństwo, z kolei więc rzeczy poświęca mu kart parę swéj saty-

---

(1) Nasieźrzał, wołowy język, Ophioglossum, rodzaj paproci.

(2) Butów narabia, niszczy buty.

(3) Rózgi.

(4) Pleść, gawędzić, obełgiwać, blagować.

ry. Tu jednak występuje w roli zwykłego kaznodziei, powtarza oklepane frazesy na temat niedobranych stadeł, wspomina o wynikających ztąd zgorszeniach, gromi wreszcie w sposób pospolity i wielce trywialny niewierność małżeńską i jéj owoce. Najlepszym z całego tego kazania, choć mocno słonym, jest wiersz o „miłych łożnic żeńskich pawilonach." W nim autor stanął rzeczywiście na wysokości satyry; szkoda że nie pisał do druku... Dla zbieraczy zdań i przysłów nie od rzeczy będzie przytoczyć parę drobnych wyjątków:

1. Gdzie mocno stoi pochop do miłości,
Tam lepiéj obcy, niżeli swój gości.

2. Za cóż kościelnéj dogadzać by zrzędzie,
Kiedy bliźniemu przez to nie ubędzie.

3. Zawsze smaczniejszy, minąwszy swój stawek,
Z sąsiedzkich karaś albo karp sadzawek.

4. Lada jak, (mówią) ze swojego żyje,
Który cudzego mogąc, nie zażyje.

Święty a tak poniewierany sakrament małżeństwa, przywodzi na myśl autorowi inny, również święty, sakrament kapłaństwa. „Z bojaźnią wielką, uczciwością i submisyą" czołga się „na kolanach" do stanu duchownego. Prosi o przebaczenie za to, co powie, „bo go nie pretensya żadna, ani uraza i zawziętość (uchowaj Boże!) ale rzecz dyskursu" do tego prowadzi. Kiedy bowiem był zmuszony opisywać i gromić zbytki i swawolę „ludu Chrystusowego" nasuwa się, rzecz prosta, pytanie, co temu jest przyczyną. „Tedy i odpowiedzieć potrzeba kazała: bo nie ma do tego pobudki, przykładu i przewodni. Ale czemu niema? pytam się znowu. Odpowie zaraz powołanie wasze." Potém następuje powtórne usprawiedliwianie się, że o stanie duchownym autor mówić nie miał zamiaru, bo w takim razie, pomieściłby go naczele, przyznając mu charakter równy monarchom. Jako potępienia godne uznaje „aksioma, że ksiądz nie jest aniołem, żyć musi jako człowiek, kiedy jak Bóg żyć zawsze powinien." Dowodzi bardzo obszernie, że tak samo jak on zapatrywali się święci pańscy, męczennicy, słudzy i doktorowie kościoła, Obecnie jednak prawdziwe powołanie zastąpił interes i nie dla chwały Pańskiéj, ale dla dobra własnego, przywdziewają dziś ludzie młodzi suknię zakonną. Czynią to, aby się uwolnić z poddaństwa i „od przyrodzonéj sobie pracy, robocizny i powinności." Na to zostajesz kapłanem, abyś „tłustym Chrystusa chlebem" zapewnił sobie przyszłość, „podłéj rodziny, kolligacyi i rodziców" się wyrzekł, albo, że-

byś upadającą fortunę familijną „na prelaturach, opactwach i biskupstwach poparł, dostatków, wygód i dochodów bez najmniejszego starania i kosztów używał, od Rzymu, zwierzchności i sprawiedliwości zdaleka zostawał. Jakże więc możesz być dobrym kapłanem. Kiedy boski charakter „jako opończe bierzesz, aby cię bieda i mizerya na kształt słoty i gradu przez skórę nie śmigała, świecka ręka w przewinieniu nie chlastała.“ Ztąd też nigdzie niema „więcéj amorów, konfidencyi, korespondencyi, umizgów, komplementów, antagonii, z świeckimi o lepszą cudzołóstw, wygód, strojów, wytworów, powabności, deboszów, trelów, tańców i inszych światowych i wszeteczeństwa zbytków, jak w stanach anielstwu poświęconych... Ledwo nie (co) plebania to fraucymer; co folwarczek to brakowny inwentarz, i tam i tu sióstr różnéj linii pełno dla obrządku gospodarskiego.“ Ofiara mszy świętéj odbywa się pobieżnie, bez wzniesienia ducha. Chciwość, pycha i nadętość stały się zwykłemi księży naszych przywarami. A owe stypy, żałobne traktamenta—mało to przyczyniają się do zgorszenia? Cóż dopiero mówić o hucznych odpustach i kiermaszach! Wówczas sługa ołtarza, nadużywając „zbytku i wolności języka,“ rzuca częstokroć „na sławę bliźniego obelgi, kucharek i gospodyń pochwały, parafianek uczynności“, lub bawi się w udawanie „przysiadanego, hajdukowego, góralskiego i inszych tańców.“ Po takiéj zaś hulance idzie kapłan nauczać ludzi do kościoła, kazanie im prawić. Nie mając zazwyczaj wykształcenia, prawie co mu ślina do ust przyniesie, Zmienia i tłómaczy dowolnie tekst pisma św., przytacza najfałszywiéj historyczne wypadki, pląta czasy i osoby. *Benedictus Deus in Sion*, znaczy u niego i pobłogosławił Bóg Symeonowi; o Senece wspomni jako o świętobliwéj matronie rzymskiéj, o Horaciuszu jako o pustelniku; Elizeusz stanie się u niego apostołem, Epicurus papieżem. „Będzie Jozue od braci do Rzymu zaprzedany, Enoch od Hamana na królestwo hiszpańskie wyniesiony, będzie archaniołem Paweł lub Mateusz, a Najśw. Panna ukrzyżowana.“ Spowiedzi słucha się tylko dla formy.“ I jak się tu nie gorszyć, kiedy ten, „którego Bóg duszom swoim chciał mieć za przewodnika do siebie, sam się drogi prostéj i należytéj nie trzyma, błądzi i inszych za sobą nieszczęśliwie prowadzi i od Boga odwodzi... U prostaków bowiem jest to rozumienie i pewność, że to i owo nie jest grzechem, bo tak sam ksiądz pleban czyni; a że ksiądz pleban czyni, uczyni to bezpiecznie, bez skrupułu wójt, włodarz, kmieć i parobek...“ Po wielu wreszcie radach udzielonych stanowi duchownemu, zbliża się autor do końca, wyrażając obawę, gdyby ta rzecz „miała przyjść przed oczy duchownych. O jakich by tu było inwektyw, nienawiści, cenzur, banicyi, klątew i piorunów; prawdziwego katolika zrobiliby herety-

kiem i apostatą... A cóż to mój Rewerende jest żyć przeciwko powołaniu, jeżeli nie *apostatare a vocatione?* Ja, uchowaj Boże, dobrych nie tykam, bowiem i wierzę, że na nich wiara moja i zbawienie zawisło, bo ich na miejscu boskiem wyznawam, czczę i szanuję. Ani mówię, aby dobrych nie było, bo wiem, że Bóg nie tak się w namiesnictwie swojem ukrzywdzić i uszczuplić pozwolił, żeby nie miał pobożnych, świętych i należytych do pożytków dusz swoich, kapłanów i duchownych."

Bardzo krótko przez nas streszczony ustęp o duchowieństwie jest jednym z najdłuższych w Satyrze. Na nim się kończy pierwsza część całego rękopismu. A tu już *„moja małpa w cnotach* schodzi z widoku pospolitego,—tęż samą w obyczajach obaczyć zapraszam."

(*d. c. n.*)

Na scenie i za kulisami.

HISTORYA PARAFIALNA.

V.

Dzień był słotny i ciemny, ołowiane chmury zasnuły horyzont i tak zwarły się kołem ścisłém, jakby już nigdy nie miało zabłysnąć słońce, zaświecić jasne niebo błękitne. Za każdym wiatru podmuchem, szumiały drzewa i płakały ciężkiemi zimnemi kroplami deszczu, co zebrał się na nich. A wiatr się rozhulał po szerokiéj Ukrainie, jak po królestwie swojém, przestronno mu było bujać po stepie, to téż szumiał po zbożu i trawach, wyprawiając harce swawolne.

W Drewini każdy odczuwał tę słotę. Hrabia Alfred rozciągnął się na sofie w swoim gabinecie, wziął do ręki świeży numer *Revue des deux mondes* i zapalił wonne cygaro. Ale mu nie szło jakoś, słota źle na umysł jego wpływała, przewracał kartki niedbale, ziewając od czasu do czasu.

Hrabina Natalia siedziała w rogu salonu, poszywając dywan bardzo już dawno zaczęty. Wanda, białym wełnianym szalem orzucona, czytała oparta łokciem na stole. Matka i córka nic nie mówiły do siebie, nie miały zwyczaju prowadzić długich rozmów. Niedaleko siedziała dawna nauczycielka, dziś towarzyszka Wandy, angielka, mis Ella, wyglądająca na lat trzydzieści. Na przekór tradycyi, nadającéj córkom Albionu włosy jasne, duże zęby, szafirowe okulary i ubiór cudaczny, — ta miała ciemne włosy i oczy, zęby małe równe, a ubraną była w czarną kaszmirową suknię, według ostatniéj mody zrobioną.

Na wsi, w czas taki, każdy gość bywa pożądanym, a cóż dopiero jeźli jest przyjemny i rozumny. To téż gdy koczyk Porajskie-

go stanął przed gankiem Drewini, zadowolenie odmalowało się na twarzy Wandy, a hrabia wyjrzawszy oknem, szybko wyszedł do przedpokoju. Jedna hrabina Natalia spochmurniała jeszcze, jakby pod niemiłém wrażeniem.

Porajski wszedł uśmiechnięty, było w nim więcéj życia niż zawsze, w oczach tak zwykle przygasłych, jakiś ogień się palił, martwa twarz jego ożywiła się niby. Szybko przysunął się do hrabiny witając ją, potém zwrócił do Wandy i mis Elli zagadując wesoło tę ostatnią, że te mgły muszą jéj przypominać ojczyznę.

— A pani,— zwrócił się do Wandy — nie oddziaływa na panią ta słota?

— I owszem, jak mię ta nieznośna mgła otoczy, drętwieję cała, i przez pół żyję tylko.

— Spleen panią ogarnia....

— Nie. Nie czuję znudzenia, nie mam żadnéj ochoty do samobójstwa, tylko żyć przestaję, a ten stan anormalny niepokoi mię przykro, zrywa się we mnie równowaga.

— Nie widzi pani drogi przed sobą, ta subtelna gaza rzuca jakby zasłonę na przedmioty i niepozwala ich sądzić sprawiedliwie....

— W saméj rzeczy, pan to nader trafnie określa.

Porajski się uśmiechnął.

— Jest to dowodem wysokiéj wrażliwości natury pani — rzekł. Pani jest na wskróś nerwową, jak zresztą wszystkie natury delikatniejsze, więcéj rafinowane, artystyczne....

Wanda zarumieniła się.

— Artystyczne?—powtórzyła z prostotą—do mnie się ta nazwa stosować nie może. Nie mam ani jednego talentu, ani jednéj zdolności, którąby tę nazwę usprawiedliwiła.

Porajski obrzucił spojrżeniem tę bladą dziewczynę, co się na odrętwienie skarżyła i zamajaczyła mu przed oczami inna postać, drgająca życiem, porywająca za sobą. Uśmiechnął się łagodnie i rzekł głosem zniżonym, miękkim:

— Alboż pani nie ma w sobie uczucia piękna, czyż nie razi panią wszystko co brzydkie, złe, pospolite?

— O! i owszem, ależ to nie daje nazwiska artystki, nie dosyć jest czuć, aby swoje uczucia oddać.

— Ja téż nie nazwałem pani artystką, ale naturą artystyczną. Pani czuje piękno i kocha je, tylko nie umie pani myślom i wrażeniom swoim nadać plastycznych kształtów. I te myśli, wrażenia nieoddane, męczą panią niepokojem dziwnym, nerwy się rozstrajają a tém samem stają pohopniejsze do odbierania wrażeń nowych coraz....

Wanda podniosła na niego swoje szafirowe oczy.

— Czy pan doświadczał tego? — spytała — pan mówi jakby o rzeczy dobrze znanéj sobie....

Porajski się uśmiechnął.

— Może.... — odparł głosem przyciszonym.— A zresztą, długo już żyłem i umiem jak poznawać tak tłómaczyć uczucia ludzkie.

— Więc pan umie odgadywać usposobienia?

— Jeżeli zadam sobie tę pracę, co nie zawsze się zdarza. Panią naprzykład znam lepiéj, zaręczam, niż pani zna się sama....

— A toż jakim sposobem?

— Lepiéj znam życie niż je pani kiedykolwiek znać będzie mogła, a zatém wiele rzeczy, których pani w sobie zrozumiéć nie może, dla mnie tłómaczą się same....

— W takim razie, nader ciekawą jestem usłyszéć zdanie pana.

— Kiedyś wypowiem je pani, ale nie dzisiaj, nie teraz.

— Cóż panu staje na przeszkodzie?—spytała szyderczo mis Ella.

Porajski zwrócił się trochę w stronę mówiącéj.

— Brak usposobienia — rzekł sucho.

Angielka ust przygryzła i obejrzała się po salonie. Hrabia wyszedł, pani Natalia, zatopiona w swojéj robocie, zdawała się nie widziéć i nie słyszeć. Porajski zbliżył się do niéj.

— Pani jak widzę robotą skracała sobie czas monotonnie długi....

— Czemś zająć się trzeba— odparła zimno hrabina.

— Prześlicznie dobrane kolory, ten paw' pomiędzy gałęziami znakomity, mina, z jaką ogląda się po za siebie, jest nieopłacona, prawdziwy symbol próżności. Ale cóż znaczy obok niego ta biedna wystraszona kureczka, co tak trwożliwie patrzy wokoło?

Hrabina zmięszała się jakby schwytana na gorącym uczynku, fala krwi uderzyła do bladéj twarzy Wandy. Porajski był zupełnie spokojny, jakby nie widząc nic wcale.

— Wyraża ona całą swoją postacią zdziwienie i uznanie, że znajduje się w niedobraném do niéj towarzystwie — wtrąciła złośliwie Ella, pokazując białe zęby.

— W takim razie nie wie chyba, że kto jest użytecznym prawdziwie, jak ona, już tém samem ma o całego siebie większą wartość od samochwalców, do tego pawia podobnych — odparł Porajski przez ramię, tak sucho i ostro, że Ella umilkła zmięszana, a hrabina ze zdziwieniem oczy podniosła.

Porajski tymczasem powstał i zbliżył się do Wandy, która oparta o ramę okna, patrzyła bezmyślnie na grube krople deszczu, ściekające po szybach.

— O czém pani myśli — zagadnął ją Karol głosem miękkim i ciepłym — jeżeli o czém smutnem, to proszę raczéj szukać sposobu zaradzenia temu...

Wanda drgnęła. Biedne dziecko po raz pierwszy spotykało człowieka znającego dokładnie jéj życie domowe. Patrzył on na nią z porozumieniem, na ustach miał uśmiech łagodny, a jednak Wandzie coś zamykało usta, nie mogło wyjść od niéj żadne słowo. Uznała w duszy swéj nierozsądek, to człowiek rozumny, zdaje się życzliwy, nie trzeba go odpychać... Ale ta walka krótka, zmęczyła ją bardzo, czuła niesmak zawczasu, i to wywołało na oczy dwie łzy bujne, a na usta wykrzyk bolesny, zniechęcony.

— I jest-że na świecie całym sposób jeden choćby zaradzenia temu?

Porajski nie domyślił się walki, słyszał przyznanie tylko, spojrzawszy na tę niewymownie wdzięczną, ale drobną i wiotką postać znów mignęła mu przed oczami inna. To téż głos miał stłumiony żalem jakimś czy téż westchnieniem, gdy rzekł:

— Jeden jest.

Z kolei Wanda nie zrozumiała wahania, nie widziała go nawet, nie uważała zmiany głosu.

— Jaki? — spytała gwałtownie. Oczy jéj zapaliły się iskrą, w twarzy zapulsowało życie.

— Więc ona śpi tylko?—pomyślał Porajski—czyżby to nie była obojętność, czyżby ona i żyć na własną rękę umiała? — Nudna historya...

— Jakiż to sposób? — spytała Wanda gwałtowniéj jeszcze — czemu pan nie mówi? prędzéj, proszę...

— Zmiana dekoracyi...

Zdziwienie odmalowało się na twarzy Wandy.

— Nie rozumiem — odparła.

— Trudno mi się jasno tłómaczyć....

— A toż czemu?

— Ba, może przy pierwszych słowach pani mi usta zamknie, bo nie wiem czy pani ma we mnie dość zaufania, aby słów moich wysłuchać, słów szczerych, które jednak pani może uznać za niedyskretne....

Chłód dziwny powiał na Wandę, ale nie czas było się cofać, to téż odpowiedziała z uprzejmością nieco wymuszoną:

— Jesteś pan człowiekiem światowym, wytrawnym, a zatém nic mi nie grozi....

— Może pani dodać, że jestem mężczyzną, a zatém kobieta nie pożałuje nigdy tego, że mi zaufać raczyła. Teraz zechciéj pani

odpowiedzieć na kilka zapytań, choć one na pozór żadnego związku z głównym przedmiotem nie będą miały. — Gdzie kobieta jest panią?

Chmura niechęci powlokła bladą twarz hrabianki.

— Nigdy i nigdzie—szepnęła. — Na scenie chyba wielka artystka, w życiu publiczném sławna autorka, inne—nigdy.

— Mylisz się pani. Kobieta panuje w domu własnym.

Wanda zaśmiała się sucho.

— Zostaw pan innym ten frazes zdawkowy — szepnęła.

— Nie, pani. Trzeba tylko innych okoliczności, jak... niektóre, a będzie to rzeczywistą prawdą. Otóż kobieta, mając swój dom i poparcie, koniecznie rozumnego męża, bo ograniczony nic nie pomoże, wiele rzeczy zmieni, w ostatnim razie może mieć u siebie osoby bliskie jéj sercu.

Wanda zarumieniła się gwałtownie.

— A któż zaręczy, że ów mąż rozumny nie cofnie się przed tym warunkiem? a nawet przyjąwszy, późniéj nie umyje rąk od wszystkiego?

— To już zależy od człowieka. Trzeba wybrać takiego, któryby życiem swojém dał rękojmię, że jest stałym i konsekwentnym, że nie umie i nie chce się cofać w pół drogi.

Wanda spuściła głowę.

— Alboż są tacy ludzie na świecie?—spytała smutno.

— Są, ale nie między tymi co żyć zaczynają. Pierwsze wrażenia, uczucia, mijają szybko: gorące to, ale niestałe. Człowiek starszy dopiero, który przeżył wiek, może zapewnić, że nie zawiedzie ufności....

— Albo téż nie stawi oporu, bo obojętném wszystko dla niego, bo w nim wypaliło życie to, co się nazywa uczuciem. Czy można na takiego rachować?

Porajski brwi zsunął i przenikliwie wpatrzył się w Wandę, nie wiedząc jak jéj słowa tłómaczyć. Ale dziewczyna, nie mając żadnéj złéj myśli, nie zauważyła jego zmięszania i czekała na odpowiedź, może więcéj od siebie niż od niego...

— Ja téż nie mówię o takim—rzekł wreszcie—ale o człowieku poważnym, w którym piana młodości już wyszumiała, a została jedynie dojrzałość...

— Alboż są tacy ludzie na świecie — pytam raz jeszcze?

— Że są, to mogę pani zaręczyć, ja, który łatwowiernym nie jestem.

Dziewczyna zaplotła boleśnie swoje drobne białe ręce.

— Alboż ja zwrócę na siebie uwagę mężczyzny takiego? — pytała z goryczą. — Czy on zechce spojrzeć na mnie, czém zasługuję na to?

Przyzwyczajenie parło na usta Karola uśmiech ironii, bo przyszła mu na myśl uwaga, że świetna złota oprawa pokrywa małą wartość szkiełka, które obejmuje. Nie ukazało się jednak to wrażenie na twarzy jego, gdy wyrzekł z powagą uprzejmą i jakby trochę wzruszoną.

— Znalazłby się i taki, ale czy tylko pani się zgodzi.

W téj chwili Wanda obróciwszy się przypadkiem, ujrzała Ellę siedzącą za niemi przy stoliku, z gazetą w ręku. Zdawała się czytać z uwagą, że jednak nie słyszano szelestu kart przerzuconych, można było wątpić o tém. Na twarzy Wandy wybił się niesmak nieprzezwyciężony, z szafirowych oczu strzelił promień niechęci gniewnéj, i odwróciła się w inną stronę. I Porajskiego gniew ogarnął na myśl, że go szpiegowano, a że nie miał powodu oszczędzać Angielki, przeciwnie, wiedział że wzbudzając jéj niechęć zbliży się do Wandy, postanowił tedy wymierzyć sprawiedliwość.

— Widzę — rzekł ostrym, szyderczym tonem — że pani spełniasz tu równocześnie kilka funkcyi. Która też najwięcéj pani przynosi?

Angielka zadrzała z gniewu, nieprzywykła by ktoś śmiał się do niéj w ten sposób odezwać. Ale w jednéj chwili stała stę panią siebie i odparła niemniéj szyderczo:

— Ta, któréj się pan domyślisz dopiero po skutkach....

— Po skutkach? — powtórzył lekceważąco — a czyż zwrócą one moją uwagę? to wątpliwe....

Ciemne oczy Elli błysnęły jak u młodéj kotki.

— Kto wie?— rzekła z ironią kolącą — zobaczymy....

Karol odszedł, wzruszając ramionami. Gdyby był widział wyraz twarzy Angielki, spojrzenie, które za nim posłała, może nie czułby się tak pysznie obojętnym. On nie myślał już o niéj na tę chwilę, ale o Wandzie. Te błyski samodzielności odkryte w niéj, nie podobały mu się bardzo. On się spodziewał, że znajdzie nieco ospałą, arystokratyczną pannę, która z wytwornym wdziękiem będzie zarządzać jego pysznym pałacem, a czas zbywający przemarzy z angielskim romansem w ręku, żyjąc życiem sztucznem, a o rzeczywistość ocierając się o ile można najmniéj. On przecież także bywał często w świecie idei, mogli się tam schodzić przeto.... Tymczasem ona nietylko idealne ale i praktyczne zagadnienia stawiała sobie; cóż znowu: czyż ona miała zamiar dotykać się życia, czyżby się z nią trzeba rachować, tłómaczyć? czyżby sama przez się myślała? — nudna historya.

VI.

W Milewskim saloniku rozlegały się śmiechy wesołe. Piękna Tola, cała w zwojach blado żółtego muślinu, co w miękkich zręcznych draperyach wlókł się za nią, w koralach na szyi i rękach, z różą pąsową wplątaną w loki krucze, jak dziecko bawiła się ze szwagrem i z Bogdanem Porajskim, którzy chcieli jéj odebrać mały koszyczek liśćmi wysłany, pełny dojrzałych malin miesięcznych. Tola uciekała przed nimi, oni ją doganiali, tuż, tuż, mieli już dostać maliny, w tém piękna pani podniosła koszyk nad głową, odsłaniając marmurowe ramię, z którego się zsunął rękaw szeroki, przegięła się jak trzcina gibka, przesunęła pod ramieniem Bogdana, aż uczuł muśnięcie róży z jéj włosów, i oto już na drugiéj stronie salonu, żartuje z niezręczności napastników. Zabiegli jéj drogę, wykręciła się szybko, obiegła salon w około, otarła się o kanapę na któréj siedziała jéj siostra z Karolem Porajskim i jak za murem obronnym stanęła za stołem okrągłym. Ale panowie już i tam byli, już Bogdan jedną ręką odsunął zaporę, a drugą chwycił rękę pięknéj pani. Ona mu ją wyrywa, a tymczasem chce zastawić maliny na półkę za siebie, Bogdan umyślnie walkę przeciąga, żeby dłużéj patrzeć na jéj usiłowania. Ślicznie bo téż Toli z niemi, wspina się na palce, przechyla na wszystkie strony, a każda poza taka wdzięczna, tak plastycznie piękna, że choć ją malować. Czarnowski stał opodal, śmiejąc się i ocierając pot z czoła, Tola więc mogła podołać jednemu napastnikowi i wyrwawszy mu rączkę, zaczęła daléj uciekać. Lecz w tejże chwili stanął po za nią nowy zapaśnik — Karol.

W tył się rzuciła zdziwiona czy téż zmięszana, lecz znać zmęczoną się czuła, albo już się uciekać nie chciało, dość, że za chwilę jéj ręka wraz z koszykiem była w posiadaniu Karola, i że niemogła jéj z uścisku uwolnić. Porajski jéj koszyk odebrał, postawił na stole, a rękę położywszy na swojém ramieniu, poprowadził piękną panią do kanapki, posadził i sam przy niéj miejsce zajął.

— A co! — zawołał Bogdan — nareszcie pani zwyciężona!

— Przez trzech mężczyzn!—zaśmiała się Tola— fakt dowodnie przekonywający o słabości płci naszéj...

— Gdzie idzie o zręczność, tam paniom służy pierwszeństwo!

— A kiedyż i gdzie zręczność nie jest potrzebną? Cóż znaczy siła, jeśli jest za ciężką i trudno jéj się poruszyć?

— Przerywa tkanki któremi ją oplątają, przełamując zawady, które jéj stawiają, i daléj idzie do raz wytkniętego celu...

— Nie. Pozwala się oplątać, w przekonaniu że nic jéj nie grozi. Aż wreszcie, gdy znudzona zabawką dziecinną chce zerwać nitki pajęcze, ze zdziwieniem ogromném odczuwa ból nader silny, niteczki cienkie, ale każda z nich zaczepiona o fibrę żywotną, jednym ruchem można zerwać całą tkankę, ale cóż, kiedy razem zerwą się fibry wszystkie i oto siły już niema, bo nie można jéj użyć...

Porajski słuchał w milczeniu, nie spuszczając z niéj oczu ani na chwilę. Tola nie zdawała się widziéć tego, cień zamyślenia osiadł na ślicznéj twarzyczce, oczy gdzieś patrzyły przed siebie, wstrząsnęła głową, mówiąc:

— Wierz mi pan, siła bez zręczności nic nie znaczy..

— A przecież siła dopiero—odparł Karol—zwalczyła zręczność pani—sile tylko pani uległa...

Piękna Tola wysunęła dolną wargę z tak komiczno-lekceważącym wyrazem, że się wszyscy rozśmieli.

— To była zdrada raczéj — rzekła — niespodziewałam się od pana napaści, a pan z mego zdziwienia skorzystał. Zresztą dobrze mi tak, czas już powiedziéć sobie raz, że pan zawsze przeciwko mnie stanie i bronić się jak od nieprzyjaciela...

— Cóż za myśl znowu! ja pani nieprzyjacielem!

— Przecież pan mię nie bronił, sądzę?

— O! pani jest tak dobrze obwarowaną, tak świetnie potrafi bronić się sama, że rola don Kiszota tu niepotrzebna i gorycz szydercza zabrzmiała mu w głosie.

Tola zajrzała mu w oczy.

— A szczególniéj niedobraną dla pana— rzekła zimno— jabym inną naznaczyła panu..

Porajski uśmiechnął się.

— W saméj rzeczy, kilkadziesiąt razy przynajmniéj nazwano mię Mefistofelesem, czy to pani miała na myśli?

— O! bynajmniéj. Nie przyznaję panu prawa do tego nazwania, za mało w panu życia, a o piekielnym ogniu, niestety, zaginęły posłuchy, ja widzę tylko wielkie, olbrzymie znudzenie, które pan wkoło siebie roztacza...

Porajskiego oczy zapaliły się na tę impertynencyą, ale spokojnie na pozór odrzekł:

— Zaręczam panią, że nigdy się jeszcze nie nudziłem, mogę jednak innych nudzić porządnie, trudno być sędzią w takim wypadku...

Pani Tola zarumieniła się lekko i zamilkła. Po chwili jednak zwróciła się do Bogdana z żartem wesołym, i wkrótce salonik Milewski napełnił się gwarem i śmiechem. Pani Emilia z uśmiechem za-

dowolenia patrzyła na śliczną siostrę, a Porajski także nie spuszczał jéj z oczu, nie mięszając się jednak zupełnie do jéj swobodnéj rozmowy z Bogdanem. Na bladéj, martwéj twarzy jego nic wyczytać nie można było, zawsze spokojny, nie mówił prędzéj ani wolniéj jak zwykle, ruchy jego miały zawsze tę samę dystynkcyą wytworną i tylko bardzo uważny spostrzegacz mógł dojrzeć iskry, co od czasu do czasu zapalały się w jego oczach wygasłych. Raz jednak zapaliły się one całym snopem błyskawic. Pani Tola wybiegła z salonu, za chwilę wróciła, przynosząc duży pęk jarzębiny dojrzałéj.

— Masz!— zawołała— rzucając zdobycz na kolana siostry, twoje dawniéj ulubione ubranie...

Emilia rozśmiała się.

— Tylko że teraz mogę chyba ciebie w nią ubierać — rzekła smętnie — mój czas już minął...

Tola nic nie mówiąc pochyliła się do siostry, i nad czołem wpięła kilka pąsowych jagód. Dziwnie odbijały one od siwych włosów, nie rażąc jednak, ale pani Emilia szybkim ruchem zdjęła je z głowy.

— Daj pokój dziecko—rzekła smutno—zostaw dla siebie kwiaty i ozdoby, mój czas już przeszedł... Ot, chodź tu bliżéj, niech ja ciebie ustroję...

Pani Tola się dała pociągnąć i usiadła na niziutkim stołeczku u nóg siostry, opierając łokcie na jéj kolanach, a głowę na ręku. Jéj suknia rozkładając się szeroko musnęła Porajskiego, on się wpatrzył w to ponętne zjawisko, niemal u nóg jego leżące i nie mógł oczu oderwać. Pani Emilia stroiła w pąsowe jagody i zielone liście głowę siostry, upinała je na staniku, i przyznać jéj trzeba było gust niepospolity, piękna pani, piękniejszą się jeszcze stawała pod tą strojącą ręką. Porajski obejmował ją spojrzeniem, począwszy od ślicznéj główki, w tył przechylonéj postaci całéj z tak niewymownym wdziękiem przegiętéj,—skończywszy na nóżce idealnie małéj i zgrabnéj, wysuwającéj się z pod sukni. Patrzał, i zapaliły mu się oczy fosforycznym blaskiem, lekki rumieniec na twarz wystąpił, ale bo też pani Tola takie miała śliczne oczy, a szczególniéj tak niemi patrzéć umiała! taką uroczą postać, a tak potrafiła uwydatnić szczegół jéj każdy. Tak jakoś naturalnie zbiegały się jéj szare źrenice z oczami wyżytego pana, że nie czuła potrzeby odwrócenia ich i galwanizowała go tém spojrzeniem wyzywającém. Porajskiego zaczęło ogarniać jakieś dziwne uczucie, o którém zapomniał już dawno, podrażnione nerwy zadrgały. Nie zdradził się jednak ani na mgnienie oka, głos jego nie zmienił dźwięku, na twarzy nie drgnął muskuł żaden, spokojnie rozmawiał daléj o jakiéjś świeżo wydanéj książce...

Tola wtrąciła się do rozmowy, jéj słowa były nacechowane myślą samoistną, Porajski je podniósł i zawiązała się żywa gawędka. Ale wtém, bez żadnego widocznego powodu piękna pani zamilkła, powstała i wyszła z pokoju. Za chwilę słychać było na ganku jéj głos wesoły, zmięszany ze śmiechem Bogdana, potém oddaliło się wszystko i zamilkło zupełnie.

Na twarzy Karola, pomimo panowania nad sobą, wybiło się mocne zdziwienie, a niezadowolenie mocniejsze jeszcze. W miarę jak nieobecność Toli się przeciągała, on stawał się coraz więcéj rozdrażnionym nerwowo i roztargnionym dziwnie. Pani Emilia zdawała się nic nie widziéć.

Wszedł Czarnowski, ale sam.

— Gdzie Tola? — spytała pani domu.

— Zostawiłem ją w ogrodzie z panem Bogdanem.

— Pani Sowińska się może przeziębić — zauważył niecierpliwie Karol.

— Właśnie posłałem jéj okrycie...

W téj chwili pani Emilia wyszła aby zarządzić herbatą, bo zmrok już padał. Za kwandrans poprosiła panów na ganek, gdzie był stół nakryty. Oczy Karola najpierw spotkały synowca, co szedł aleją ku dworowi, prowadząc Tolę, przy któréj zajął miejsce. Porajski zacisnął usta, jakiś grymas mu przebiegł po twarzy, ale zaraz zapanował nad sobą.

Rozmowa ogólna z początku, wkrótce się rozdzieliła. Państwo domowi i Porajski zawiązali żywą gawędę o tém co się działo w świecie. Porajski był bardzo ożywiony, sypał iskrami dowcipu i ciągle do śmiechu pobudzał panią Emilię. Tola była zamyślona, niby tęskna trochę, a Bogdan nastrajał się do towarzyszki, mówili ciszéj nieco. Tola mówiła o sobie. Bogdan był z nią na stopie nader poufałéj, a zarazem bardzo życzliwéj, przyjaznéj nawet. Nie było to zajęcie się piękną kobietą, ale spokojne usposobienie bardzo dobrego przyjaciela. Tola także inną z nim była, nie wabiła go zalotnie, nie przymuszała się do wesołości, ale poważna, smutna trochę, pytała często o zdanie jego, jakby się tłómacząc, jakby przekonywając.

Po herbacie Bogdan zaprowadził ją do fortepianu. Uderzyła kilka akordów, i głos jéj się złączył z dźwiękiem klawiszy, popłynął falą harmonii. Głos to był silny, kontraltowy, o głębokiém, pełném, czystém brzmieniu, o skali szerokiéj, rozległéj; głos rzeczywiście przepyszny. Zaśpiewała piosnkę cygańską, jedną z tych piosnek gdzie słowo każde jest okrzykiem dyszącéj namiętności, rozpływającéj się w tęsknocie najwyższéj, bólu szalonego co się na rozma-

rzeniu kończy, rozpaczy bezdennéj i uczucia bezgranicznego, co nie zważa na nic, nic nie widzi, oprócz przedmiotu miłości. A słowo każde wychodziło z purpurowych ust Toli wyraźnie, dobitnie z właściwym akcentem, każda nuta wybiegała okrągło, twarz się mieniła, oczy płonęły. I tak śpiewała piersią całą piosnkę po piosnce, a jedna od drugiéj namiętniejsza, gorętsza, tęskniejsza. Gdy wstała, na twarzy jéj były wypieczone silnie rumieńce, oczy paliły się suchym szklistym ogniem. Zaledwo się odwróciła od fortepianu, stanął przy niéj Karol Porajski.

— Nie wiedziałem o pani talencie—rzekł— rozpoczynając z nią po salonie przechadzkę.

— Nie mam go na pokaz — odparła zimno — niezawsze jestem w usposobieniu, śpiewam tylko dla siebie, a czasem dla rzadkich wybranych. Czasem przez kilka tygodni jednéj nuty nie wezmę, czasem znowu trudno mię oderwać od fortepianu. . .

— Boś pani kapryśna, jak wszystkie córki Ewy, co dziś rzucają obojętnie to, o co dobijały się wczoraj, do nowego cacka wyciągają obie ręce aby je prędzéj pochwycić, nasycić się niém, a wkrótce rzucić je znowu między wyszłe z mody stroiki.

Pani Tola zatrzymała na nim oczy przez chwilę.

— A nie przyszło panu nigdy na myśl — rzekła głosem jakimś dziwnym, stłumionym, a dźwięcznym jednak jak metalowa struna, — że kobieta przebiera w zabawkach tylko wtedy, jeśli nie może dostać tego czego pragnie, że szuka podobieństwa nie mogąc dostać rzeczy saméj, że późniéj żal ma do zabawki, że ona zabawką tylko— i rzuca ze wstrętem, aby napowrót rozpocząć to samo, że to jest wytłómaczeniem naszych kaprysów?

Porajski zajrzał jéj w oczy.

— Czy tak? — zapytał z uśmiechem.

Pani Tola rozśmiała się ostro.

— Ach! przepraszam — zawołała z przymuszoną wesołością — prawię panu bajki o żelaznym wilku, nie myśląc, że mogę pana znudzić najprzód, a potém. . . .

— Potém i siebie?

— Nie, ale dać dziwne wyobrażenie o sobie, czego nie chcę. . .

— Pani dba jeszcze o moje zdanie?

— Nie chciałabym za nic poddać panu myśli, które musiałabym zbijać potém i prostować. . .

Porajski zagryzł usta z gniewem.

— I cóż to pani szkodzić może, jeśli ktoś weźmie za rzeczywistość swoje złudzenia, to tak miło uwierzyć na chwilę choćby temu czego się pragnie!

— Zapewne, ale to złudzenie może być powodem niestosownego postąpienia, potém musiałyby nastąpić tłómaczenia, któreby naturalnie nic nie wytłómaczyły, nie—niechcę tego!

Porajski pochylił się ku niéj.

— Więc już nic z dalekiéj przeszłości nie żyje w pani— szepnął namiętnym głosem — wszystko zamarło, nawet w pamięci? czy już nic, żadne starania nie zbudzą w pani echa uczuć dawnych, czy wszystko już, wszystko skończone?

Tola stała się bardzo poważną, zwróciła się do Porajskiego i patrząc mu prosto w oczy, rzekła ze smutkiem surowym:

— Po raz drugi pytam, jakiém prawem pan gwałtem się wdzierasz do mojéj przeszłości? po co pan starasz się rozbudzić to, co żadnéj racyi bytu niema? jeżeli przez ciekawość, strzeż się pan, to zabawka nieszlachetna...

Porajski w tył się rzucił gwałtownie, fala krwi na bladą twarz jego uderzyła.

— Pani! — zawołał — to słowo.

— Nie cofam go, ono pana obrażać nie może, bo wypowiedziałem je warunkowo, jeżeli to zabawka.

Porajski się zmięszał.

— A gdyby to nie było zabawką—wybąknął głosem niepewnym.

— W takim razie, nim odpowiem, poczekam aż się położenie określi jasno zupełnie.

— I... cóż mi pani odpowiesz? — zapytał gorączkowo.

— Odpowiem dopiero na wyraźne zapytanie....

— Ale co! – pytam raz jeszcze!

— Pytanie nie jest postawione...

Porajski szarpnął łańcuszek od zegarka, aż połowa mu w ręku została.

— Ależ, nim się zada pytanie, trzeba wiedziéć czego się można spodziewać...

Tola zaśmiała się sucho — ostro.

— To jest chciałoby się odpowiedzi bez trudu, bez odpowiedzialności żadnéj.... Szkoda że już niemam lat szesnastu, ale cóż robić, co raz minęło nie wróci...

Porajski się zatrząsł.

— Pani! — zawołał — jaka dziwna gorycz w tych słowach....

— Z panem, mam prawo do niéj...

— Pani mnie traktujesz jak niepewnego dłużnika, któremu w niczém zawierzyć nie można, któremu wylicza się pieniądze, otrzymawszy najprzód podpis jego! tak być nie może, przecież pani mi wierzysz o tyle przynajmniéj, że potrafię być rzetelnym?

Piękna pani wpatrzyła się w niego chłodno, surowo i nie spuszczając oczu, rzekła lodowato.

— Nie.

Porajski odskoczył.

— I pani mi to mówisz w oczy? zawołał z groźbą.

— Czemu nie? lepiéj odrazu rzecz jasno postawić.

— Strzeż się pani!

— Czego? cóż mi pan zrobić możesz? drogi nasze rozchodzą się, ja pana mogę już nigdy nie spotkać w życiu...

Głos jéj zadrżał lekko przy ostatnich słowach — Porajski spojrzał uważnie—spuściła oczy. Przysunął się.

— I pani to mówisz tak zimno—jakby to było naturalném zupełnie—szepnął prawie do jéj ucha.

Wzruszyła ramionami.

— Raz na zawsze, powiedz pan sobie - rzekła z ironią smutną,— że ja tylko to mówię co chcę—że zdradzać się nie umiem.

— Bo pani nic nie czuje!

— I to być może...

Zapanowało milczenie—po chwili Porajski się ozwał.

— Więc pani ma zamiar stanowczy postępowania ze mną, jak z nierzetelnym dłużnikiem, któremu się pożycza jedynie na zastaw duży—mając w ręku wartość wyższą od tego co mu się rzuca jak z łaski...

— Gdyby pan to innémi słowami wyraził, powiedziałabym że określenie jest zupełnie właściwe...

— Pani małéj rzeczy wymaga—tylko zdania się na łaskę i niełaskę, związawszy sobie wprzód ręce...

— Jedno z nas tak postąpić musi. Doświadczenie, mnie najzupełniéj broni od tego—a zatém...

— Zatém, ponieważ pani mnie wierzyć nie chce—ja mam w zupełności zawierzyć pani?

— Ja niewymagam tego—wiary nakazać niema sposobu. Jeżeli pan wierzyć może...

— A gdyby—gdybym nie mógł?

— W takim razie miałabym dowód żem dobrze zrobiła trzymając się linii obronnéj.

— Niekoniecznie—zawołał gwałtownie, ja mam prawo nie wierzyć pani. I mnie doświadczenie dało dobrą naukę, albo pani uczucie udawać umiesz, albo téż nie istnieje ono dla pani, pominięte milczeniem...

Tola głowę podniosła wysoko.

— Prawda—rzekła z dumnym spokojem, uczucia mną nie rządzą - niemogę ich zgnieść, zadusić w sobie, ale gdy w drogę mi wejdą, to je ominę i postąpię jak uznam za stosowne. Niech więc nikt na moich uczuciach nic nie buduje, bo jakiekolwiek są, ja się niemi kierować nie będę...

Płomieniste oczy zatonęły w czarnych źrenicach Proajskiego, który rzekł szyderczo.

— Bo w pani niema serca, tylko kaprys!

Tola nie spuściła oczu.

— Nie—rzekła poważnie. Mam serce—ale za długo żyłam abym mogła na wiatr je rzucić, narażając się na zawód ciężki, więcéj jeszcze—na upokorzenie bolesne. Po dwudziestu pięciu latach, kobiéta już się nie może narazić na sprofanowanie uczucia, nie może się czém innném rządzić jak rozsądkiem, bo w tym wieku nietylko pomyłka jest smutną bardzo, nie tylko jéj powetować niemożna, nietylko łamie życie bezpowrotnie, ale jeszcze graniczy ze śmiesznością... oto dlaczego ja nie narażę się na nią...

— Więc—cóż będzie? czy to samo co przed dwunastą laty?

— Być może. Moja rola tutaj jest bierną niemal...

Porajski pochylił się do niéj, tak że uczuła na twarzy oddech jego.

— Czemu pani tak męczysz mnie i siebie... szepnął gorąco błagalnie.

Odsunęła się zwolna, i podniosła na niego oczy łez pełne.

— Ja pana nie męczę — rzekła smutna, ale w saméj rzeczy, mówmy o czém innéin—naprzykład o księżycu.

Rozśmiała się z przymusem—Porajski targał wąsy, oczy mu błyskały niespokojnie.

— Ależ tak zostać nie może! zawołał—ja na to nie pozwolę!

— Na co, mianowicie?

— Na to, abyś pani w mojéj obecności tak zajmowała się innym jakimś tam *blanbekiem*, który w niczém pani obchodzić nie może!

Fala krwi zalała twarz Toli—spuściła głowę, może aby ukryć uśmiech złośliwego tryumfu co się po jéj ustach przewinął. Podniosła ją jednak natychmiast, i śmiało patrząc w oczy Karolowi, rzekła zimno.

— Czy mnie obchodzi czy nie, ja tylko jedna wiedziéć mogę...

Porajski się wstrząsnął cały.

— Prawda—rzekł z ironią kolącą, wpijając oczy w Tolę—nie pomyślałem że to dobra partya?...

Szare źrenice pani Sowińskiéj nie spuściły się, ale strzeliły całym snopem błyskawic.

— Pan wiesz dobrze że bylibyśmy z sobą więcéj niż niedobrani—rzekła bardzo poważnie, że to partya świetna, ale nigdy dla mnie. Ale dlatego właśnie ta młodość bujna, drgająca życiem zajmuje mnie tak żywo—dlatego właśnie pragnę stać się przyjaciółką tego człowieka, że czém innéм być ani chcę, ani mogę. Po bladéj twarzy Karola przebiegł grymas dziwnie szyderczy.

— I cóż pani zrobisz z przyjaźnią mężczyzny—zapytał głosem syczącym. Tola zatrzymała się chwilę, obrzuciła Porajskiego od stóp do głowy spojrzeniem wyniosłém, i rzekła nie mniéj szyderczo od niego.

— Przyjaciela szacować mogę—jemu uwierzę na słowo.

I odwracając się do niego plecami, odeszła do reszty towarzystwa.

Porajski przez chwilę pozostał nieruchomy, nareszcie poszedł za Tolą. Pokręcił się trochę, spojrzał na zegarek, i zaczął się żegnać. Bogdan chciał iść za jego przykładem, ale Tola zaczęła go prosić aby został na noc, przekładając, że i tak do domu niepojedzie, a ma nocować u stryja, to lepiéj w Milewie. Bogdan się wymawiał, ale Tola tak ślicznie, a gospodarstwo tak gościnnie prosili, że dał się nakłonić. Do późna trwała rozmowa—gdy towarzystwo się rozeszło, pani Emilia skończywszy rozporządzenia gospodarskie, weszła do pokoju siostry. Tola narzuciła pąsowy szlafroczek, puściła swobodnie swoje pyszne czarne włosy, i podkładając obie ręce pod głowę rzuciła się na szesląg, jakby mocno zmęczona. Pani Emilia usiadła obok.

— I cóż? spytała niespokojnie.

Tola odwróciła się do ściany.

— Zostaw mnie... szepnęła.

— Czy... ostateczna przegrana?

— Nie...

— Więc—cóż ci jest, dziecko?

— Nic. Zostaw mnie.

Pani Emilia przesunęła pieszczotliwie rękę po twarzy siostry.

— Tolu! dziecko moje—rzekła cicho—kochasz, czy nienawidzisz?

— Niewiem. Chcę zwyciężyć...

— Masz nadzieję?

— Wszelkich sposobów użyję. Och! gdybym mogła doprowadzić go do oświadczyn stanowczych i rzucić potém!

— Masz sposób w ręku—synowiec?

Tola poruszyła się niechętnie.

— Co za myśl! szepnęła—nigdy. Najprzód, zajęty inną—a potém, czyż to mąż dla mnie? jabym go zamęczyła wkrótce. Nie—innego dla mnie potrzeba, temu nie wejdę w drogę—szkoda by go...

Powstała, i podeszła do lustra, upinając na noc włosy. Siostra położyła jéj rękę na ramieniu.

— Tolu—czyś ty cierpiąca, czy zmęczona tak bardzo? spytała miękko.

— Może i zmęczona... Niemam odpowiedzi na jedno pytanie—czy on mnie kocha—czy kochał kiedykolwiek...

— Cóżby znaczyło to wszystko?

— Kto wie czy to nie jest walka na zręczność, podrażnienie miłości własnéj. On roznamiętniony—ale czem?

Przeszła się kilka razy po pokoju.

— Potrzeba mi téj odpowiedzi, rzekła—niepewność paraliżuje mię, nie wiem gdzie iść i do czego. Ja muszę wiedziéć! muszę!

— Dobrze—ale jak?

— Gdybym go raz zobaczyła w licznéni towarzystwie, wyklarowałoby się wszystko... z jego postępowania przy ludziach, odgadłabym łatwo co on myśli. Trzeba mi tego koniecznie—muszę być z nim na licznéni zebraniu...

Pani Emilia zamyśliła się.

— Trzebaby wydać wieczór... szepnęła—pozór gotów, ufetowanie ciebie...

Tola objęła szyję siostry.

— Czyżbyś się naprawdę zgodziła? spytała.

Pani Emilia wzruszyła ramionami.

— Jeżeli to dla ciebie potrzebne—odparła—może to być. Ale jeśli on pozna łapkę i nieprzyjedzie?

— Będzie to dostateczną odpowiedzią, jeśli ominie wieczór dla mnie wydany. Nie pozostanie mi jak wyjechać, bo to będzie ostateczną przegraną...

— Prawda—a zatém trzeba się śpieszyć.

VII.

Porajski wrócił do siebie dziwnie rozstrojony, zdenerwowany rozdrażniony. Podano mu wieczerzę, ale nic w usta wziąść niemógł, wszystko go drażniło, nie mógł sobie miejsca znaleść. Miękkie otomanki aksamitem kryte wydawały mu się dziwnie niewygodnemi, co chwila wstawał, chodził po pokoju, i znowu siadał aby się zerwać napowrót, i nierównym krokiem przebiegnąć pokój. Wreszcie otwo-

rzył okno gwałtownie—świeżość nocy powiała na jego rozpalone czoło,—zaczerpnął chciwie powietrza, jakby mu tchu brakowało, i oparł się o ramę okna.

I czegóż chciał ukraiński magnat, pan kilkomilionowy, który tak wygodnie sobie życie ułożył, że chwila każda miała mu przynieść przyjemność nową? Czyż nie po myśli jego fakta się układały? czyż los śmiał w poprzek stanąć temu człowiekowi, co tak umiał kierować okolicznościami, że niepotrzebował nawet dążyć do celu, bo ten cel sam mu przychodził do ręki?

Całe życie myślał tylko o sobie. Żeniąc się, wziął pannę z dobrego domu bogatą i młodą. Ale natura co umieściła ją pod wyherbowanym dachem pałacu, w kołysce koronkami opiętéj, poskąpiła jéj darów innych, panna Amelia niebyła ładna, nie odznaczała się bystrym umysłem. Jak wszystkie umysły, zacieśnione trochę, opornie, ślepo trzymała się tego co jéj za prawdę, dobro, obowiązek podano, szlachetna prawa natura niedopuszczała do złego—matka, purytanka surowa, wychowała ją w bojaźni grzechu, w poszanowaniu obowiązków, nauczyła potępiać twardo wszystko co według przepisów nie było. To téż gdy po ślubie poznała biedna, że to co ona czci i wielbi, dla męża jest przedmiotem szyderstwa i żartów, że on nie wierzy w to w co ona tak upornie wierzyła—że dla niego niema zła ani dobra, ale tylko jego osobisty interes, poddała się rozpaczy. Nie wytrzymały siły wątłe rozpieszczonego dziecka zawodu pierwszego, nie hartowano jéj na bój życiowy, nie ukazano świata rzeczywistego, nie nauczono pobłażania, ale tylko pokazano jéj jak się ślizgać po woskowanéj gładkiéj posadzce, a na drogę dano kilka abstrakcyjnych przepisów, wyuczonych na pamięć. Inaczéj wychowana, silniejsza, wierząca z przekonania a nie z przyzwyczajenia, więcéj wykształcona kobiéta, byłaby może zbawiennie oddziałała na zepsutego człowieka, takt byłby ją obronił od scen niemiłych, które codzień się powtarzały. Ale Amelia umiała tylko płakać i cierpiéć, skarżyć się i codzień położenie swoje pogorszać. Niebyło między nią a mężem żadnego punktu zejścia, przepaść ich dzieliła. Pogańska cześć dla piękna w każdéj postaci, którą wyznawał Porajski, jego zmysł artystyczny, obrzydzenie budziły w Amelii, która nie umiała rozróżnić porywu wyobraźni, ułomności ludziom właściwéj, od świadomo złego uczynku, i wszystko tém samém potępienia obrzucała słowem.

Porajski wzruszył ramionami, i urządził po swojemu życie, nie troszcząc się ani trochę a tę nieszczęśliwą istotę, którą przykuł do siebie. Nie długo mu téż zawadzała, okazały się suchoty, i wkrótce został wolnym.

Nie śpieszył z powtórnym związkiem. Miał już upatrzoną partyą, ale że to było dziecko, musiał czekać na nią. Od kilku lat, miał na oku hrabiankę Wandę Sulimowską, jakkolwiek o wiele mniéj miała od niego majątku, była jednak uznana za najpierwszą partyą na dziesięć mil w około, posiadająca liczne stosunki, skoligacona z najpierwszemi domami arystokracyi. Nie śpieszył się jednak. Wanda niemiała konkurentów; bo hrabia wysoko głowę nosił, i dumą od niéj odstraszał młodzież, niebyło więc obawy rywalizacyi. Porajski nadto był sprytny aby niewiedźieć że po dojściu do pełnoletności, panny rządzą się więcéj rozsądkiem, że wtedy łatwiéj może ich rękę pozyskać taki co im nada świetną pozycyą. Czekał zatém—jego pierwsze słowa zostały przez hrabiego nader chętnie przyjęte, ale Porajski chciał być wybranym przez córkę, bo niechciał żony zmuszonéj.

Wszystko mu się układało po myśli, gdy w tém wystąpił w szranki synowiec niedawno z zagranicy przybyły, Bogdan. Byłto niebezpieczny współzawodnik, bo nic mu nie brakowało—ani nazwiska, ani majątku, ani rozumu i otarcia w świecie, a nadewszystko miał młodość—młodość tryskającą życiem, o jakiéj zapomniał już dawno czterdziestoletni wdowiec, wyżyty jakby miał lat siedmdziesiąt.

Wprawdzie Wanda zdawała się spokojną i chłodną, niełatwą do zakochania—przykład który miała w domu, kazał przypuszczać, że pojdzie jedynie za głosem rozsądku—niemniéj jednak w latach dwudziestu serce się może odezwać, trzeba więc było usunąć rywala. Właśnie jak na toż, los mu posłużył, sprowadzając do okolicy piękną panią Tolę Sowińską, i Porajski wszelkiemi siłami starał się w synowcu obudzić zajęcie się młodą wdówką.

Znając Wandę i jéj nieufność do ludzi, wiedział że wystarczy pozór zajęcia się inną, aby spłoszyć uczucie, nawet gdyby już było powstało. Z drugiéj strony, znał gorącą, wrażliwą naturę Bogdana, i nie wątpił że się wplącze w intrygę. Ale nie obliczył, nie przewidział wszystkiego.

Nie przypuszczał nigdy, aby piękna pani tak bardzo piękną być mogła. Wiedział że jéj życie było lekkiém, majątek obdłużony wyżéj wartości, sądził tedy że chcąc wydać się za mąż wytęży całą siłę namiętności, aby schwycić zdobycz podaną. Ale nie przypuścił nigdy że Bogdan się zbliży jak przyjaciel, a piękna pani tak poważnie go będzie traktować—a szczególniéj nie przyszło mu na myśl, aby on sam tak żywo mógł zająć się Tolą, aby go tak bardzo gniewała jéj obojętność wyniosła, tak męczyło przenoszenie innego. On by chciał żeby Bogdan zajął się Tolą gwałtownie, a przez to usunął mu się z drogi, ale go w najwyższym stopniu drażniła myśl, że ona nim zająć się może, a jeśli mu się nie udadzą plany? jeśli Bogdan pomimo

ponęty, wiernym dla Wandy zostanie? Porajski wzruszał ramionami myśląc o wymaganiach Toli:—żenić się z nią, nie tylko niemiał zamiaru, ale uznawał tę myśl za szaloną. W saméj rzeczy, Tola nic mu przynieść nie mogła—ani majątku, ani kolligacyi. Stosunków miała niezliczoną ilość, ale téj natury że Porajski przyjąć ich nie mógł, były to stosunki pięknéj kobiéty, z niezliczonémi wielbicielami. Cóż więc mogło go skłaniać do tego małżeństwa? kobiéty takie jak pani Tola mogą zawrócić najsilniejszą głową, doprowadzić do szaleństwa czasami, ale niewygodne na żony. To téż nie myślał ani na chwilę o tém rozumny a szyderczy Ukrainiec, on tylko chciał jak i inni motyle, zyskać u tego upajającego kwiatu kropelkę miodu, wyróżnienia chwilę, to mu nieprzeszkadzało w niczém starać się o rękę bladéj i mglistéj hrabianki Wandy. Miał zamiar przecież być dla niéj bardzo dobrym mężem, nie sprzeciwiać się w niczem, i zostawić zupełną swobodę, urządzając sobie życie oddzielnie. Miało to być światowe konwencyonalne małżeństwo, pewnym był że hrabianka prócz delikatnego obejścia i nie mięszania się do jéj istoty moralnéj, nic więcéj wymagać nie będzie; mógł więc układać życie jak mu było dogodniéj. A tu okoliczności źle się składały, plan tak zręcznie osnuty, mógł się nie udać. Pani Tola była nieprzystępną, groziła że i nadal taką zostanie, miałże się zgodzić na porażkę, i odejść z odprawą jak student przez profesora złajany? to niepodobna! jego miłość własna do żywego zranioną była. A jednak—cóż było robić? cena była za wielką...

Ha—trzeba manewrować, zręczność na zręczność: szafować słowami, nie dając się schwycić—łudzić Tolę dalszą nadzieją, a tymczasem upewnić się co do hrabianki, to najważniejsza. Najprzód ratować zagrożoną pozycyą, a potém nową rozpocząć kampanią. Jednak nawet to postanowienie spokoju mu nie dało—do rana słychać było jego kroki szybkie. Nazajutrz był gniewny od rana, łajał służbę, rozrzucał książki nie mogąc zająć się żadną—zaraz po obiedzie kazał zaprzęgać, i pojechał do Drewini.

VIII.

Nadszedł dzień balu w Milewie. Cała niemal okolica się zebrała i o dziewiątéj pełno i gwarno już było. Salon był przybrany zielonemi gałęziami, po rogach drzewka sośniny ciemnym kolorytem odbijały od białego obicia, kinkiety do ścian przybite rozlewały potoki światła, pod ścianami ustawione meble, w oknach obłoczne draperye tworzyły uroczy widok. Pokój jadalny, urządzony daléj nieco, zwykle był składem—dziś, świeżo umytą podłogę potrząśnięto igłami

świerka i jedliny, po rogach ustawiono klomby z zielonych drzewek, na bielonych ścianach zawieszono festony z liści, przez które przebijały promienie lamp kolorowych, całość wyglądała tak gustownie a świeżo, że najwybredniejszy gust nic zarzucić jéj nie mógł.

Ale bo téż pani Emilia i piękna Tola własnoręcznie ustawiały meble upinały festony, u okien zawieszały wieńce zielone, urządzały te klomby z drzewek młodych, a one umiały z małych zasobów ułożyć całość wykwintną, jedynie prawem harmonii. Ci co znając niezbyt świetny stan majątkowy Czarnowskich, przyjechali tutaj aby niedostatki wyśmiewać, doznali zupełnego zawodu, nie było tu zgoła niesmacznego naśladowania zbytku, strojenia się w pawie piórka pożyczane, a natomiast niewypowiedziany wdzięk, w téj masie zieleni przetykanéj dużémi krzakami kwitnących malw, astrów i georginij, zasadzonych w dużych doniczkach. Było to świeże i ładne, oryginalne, szczególniéj obrachowane na efekt, ale ten efekt nie chybiał. Co więcéj, nikt z okolicy pochwalić się niemógł aby pożyczano u niego naczynia stołowego lub téż jakichkolwiek sprzętów. Lampy wynajęto w miasteczku, ubrano zielonym mchem i czerwonemi jagodami leśnemi, tak że niejednolitość postumentów znikała—świece oprawiane w kartonowe lichtarze w domu fabrykowane, wystrzelały z pomiędzy kwiatów i liści, szkła i zastawa stołowa pochodziły także z miasteczka, nikt nie miał prawa nic zarzucić. Pracy było bardzo dużo—pracy żmudnéj, kobiecéj, cierpliwéj,—to téż obie siostry na trzy dni przed balem nie miały chwili swobodnéj—lecz za to zadowolone być mogły, bo skutek usiłowania uwieńczył.

I teraz, pani Emilia w blado niebieskiéj jedwabnéj sukni, białemi haftami ubieranéj przesuwa się po gładkiéj jak szkło posadzce, zapraszając gości na roznoszoną herbatę z ciastami. Strojna i uśmiechnięta, każdemu coś powie miłego, o nikim nie zapomina. Umiejętna ręka upięła jéj gęste zawsze włosy ukazując ich bogactwa, siwizna zginęła pod ryżowym pudrem, zmarszczki pod kosmetykami, piękne do dziś dnia ramiona wysuwają się z gazowego szalika zręcznie zarzuconego, we włosach błyszczy złote upięcie, takiż medalion na niebieskiéj wstążce obejmuje kształtną szyję, pani Emilia jest piękną dzisiaj jak w owych latach minionéj a żałowanéj młodości swojéj. I rozgorzała życiem, rozchyliły się usta uśmiechem wabnym, rozpaliły oczy blaskiem wilgotnym, jakby chciała żyć owém dawném życiem młodém, wyczerpać dnia tego uciechy niedoznawane już dawno, wcielić na chwilę wspomnienia w rzeczywistość...

Ale w kąciku ust drga przyczajona ironia smutna, szyderstwo z saméj siebie... w głębi oczu płonących drzemie tęsknota, bo ona wie że nie wróci lat co uciekły, nie przemoże przeszłości, nie odda życia

dawnego. Ją tu zbyt dobrze znają, liczyli jéj lata na włosach siwych, na zmarszczkach czoła—i ona także, zna ich na wylot wszystkich...

Pięknéj Toli niema jeszcze. Pomagała w urządzaniu, późno się poszła ubierać i nie gotowa, objaśnia pani Emilia. I nie wszyscy się zjechali—niema Sulimowskich, niema téż panów Porajskich.

Ci ostatni zjawili się. Blada twarz Porajskiego bledszą była niż zwykle, usta się składały w grymas znudzony, oczy jak za mgłą patrzały. Bogdan rozejrzał się żywo, niechęć po twarzy pomknęła że nieznalazł tego co szukał, ale wkrótce ożywił się znowu, pokręcił po sali, zagadał do kilku panów, i wsunął się w grono panien.

Nie mógł się domyśléć Porajski że z za czerwonéj portyery para szarych oczu śledziła go troskliwie. On usiadł sobie przy niemłodéj, brzydkiéj a jak osa złośliwéj pani, i zagadał do niéj. Widocznie udzielała mu uwag o towarzystwie obecném, bo czarne jéj oczki z za wachlarza rzucały spojrzenia w różne strony. Porajski słuchał pół uchem, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Zrobił się szmer przy wejściu, poskoczył do drzwi pan domu, posunęła się pani Emilia, rozstąpili szeroko panowie. Weszła hrabina Sulimowska w popielatéj morowéj sukni z białą koronką we włosach, z brylantami na szyi i rękach, za nią Wanda na ramieniu ojca oparta cała w zwojach białéj iluzii przetykanéj atłasem, we włosach drżały konwalie, bogaty naszyjnik z pereł okręcał szyję, długi tren sukni szeleścił za nią. Śliczna była jak senne marzenie, wytworna jak jedna z dawnych margrabin wersalskiego dworu. Ścigała ją wzrokiem młodzież, ale nieśmiano otoczyć tłumnie, dopominać się natarczywie o taniec,—takto przecież była hrabianka Wanda, chłodna, dobrze wychowana panna ukraińska, prowadził ją ojciec, który umiał jedném spojrzeniem, jednym ruchem ust pogardliwie wygiętych, brwi podniesionych dumnie, zbyt poufałych odsuwać o całą długość salonu. Dwóch tylko przysunęło się do niéj, obaj Porajscy zbliżyli się żywo, z twarzy Karola zszedł wyraz znudzenia, Bogdan się starał wszystkiemi siłami zwrócić na siebie uwagę panny, ale nim mu to się udało hrabia z uprzedzającą grzecznością zagadał do niego z wielkiem zajęciem o jakiś szczegół pytając, a gdy nareszcie ta uprzejmość w przywitaniu gospodyni domu okazać się musiała, i Bogdan został uwolniony, zobaczył Wandę już siedzącą obok matki, a Karola przy niéj. Jego czarne oczy niechęcią strzeliły, a zagryzł usta aż do krwi prawie, gdy prosząc o pierwszego kadryla otrzymał odmowną odpowiedź.

I któż mię zdążył uprzedzić? zapytał z przekąsem. Hrabianka w milczeniu skinęła wachlarzem w stronę Karola. W tejże chwili

w przeciwnéj stronie salonu podniosła się pąsowa portyera, zadźwięczał śmiech wesoły i zwróciły się tam wszystkich spojrzenia. Ukazała się Tola Sowińska, świetna jak meteor, porywająca urokiem. Suknia blado-różowa czarnemi koronkami ubrana obciskała jéj posągowe kształty, krucze włosy lśniące brylantowym pudrem przetykane perłami i zdobne wpół rozkwitłą różą, rozsypywały się po marmurowych odkrytych ramionach. Zakręciła się po salonie, przypomniała się starszym paniom, które dzieckiem prawie ją znały, zagadała do kilku panów co pośpieszyli się jéj przypomniéć jako towarzysze zabaw dziecinnych i od razu oczarowała połowę towarzystwa a zniechęciła do siebie drugą. W saméj rzeczy, suknia była trochę zanadto wycięta, oczy zbyt wyzywające, ruchy za szybkie, słowa za śmiałe, ale jéj było z tém dziwnie ładnie, przystawało to do niéj, stanowiło całość, która jak z jednéj strony musiała podlegać krytyce, tak z drugiéj mogła oczarować najzupełniéj.

Ale choć głębokie szare oczy się śmiały do wszystkich, widziały one dobrze, jeden kąt salonu, ten w którym Porajski dotąd obok Wandy siedział, ją przywitawszy zdaleka ukłonem głębokim. Po kwadransie piękna pani przysunęła się do hrabiny, aby odnowić znajomość, i zawiązała żywą rozmowę. Potrafiła ożywić hrabinę, Wanda też się chętnie do rozmowy mięszała, lecz wkrótce świetny dowcip Toli zaćmił obie jéj towarzyszki, tak że Porajski z nią głównie rozmawiał. Krótko to trwało, bo gdy hrabina zagadała z kolei a Tola odpowiedziéć musiała, Porajski się pochylił do Wandy i zaczął z nią półgłośną rozmowę, tak że tamte panie same zostały. Tola nie zmieniła głosu, ani jeden muskuł nie drgnął w jéj pięknéj twarzy, a jednak w chwili gdy tak wesoło się śmiała, byłaby mogła zdusić własnemi rękami tego człowieka. Upokorzona boleśnie miłość własna, zawiedzione nadzieje, zapaliły jéj oczy ogniem ponurym—Porajski nie widział tego, on patrzał w pochyloną ku niemu twarz Wandy.

Zabrzmiały tony walca, kilku panów rzuciło się do Toli ale nim który z nich zdołał zaprosić Wandę, już ich Porajski uprzedził. Ręka Toli mimowolnie zacisnęła się na ramieniu tego, co z nią stanął do tańca, on to wziął za wyzwanie, i przymykając oczy spojrzał przeciągle, marząco, z uczuciem i mocno się zdziwił, nie spotykając szarych źrenic tancerki. Przycisnął ją mocniéj do siebie, Tola podniosła zdziwione oczy, spotkała rozmiłowane spojrzenie, krew jéj uderzyła do twarzy, i przystanęła mówiąc lodowatym głosem.

— Przepraszam pana, ale się czuje zmęczoną...

Młodzieniec spąsowiał po białka; nie wiedział co mu zrobić albo powiedziéć wypada—wybełkotał niezrozumiałych słów parę, skłonił się głęboko i odszedł.

— Głupiec... szepnęła za nim piękna pani.

Nie zawsze Tola Sawińska tak bardzo surową była, ale przed chwilą dotknął ją boleśnie Porajski, i zabolało położenie, które sama sobie nadała. Zapragnęła być jak tamta jasno-włosa dziewczyna w białéj konwalii na głowie, do któréj nieśmiano rzucić się hurmem otoczyć kołem ciasném, ale zdaleka się trzymano ustępując miejsca wybranym, zapragnęła aby i przy niéj głos się przyciszał, słowa dobierały troskliwie, aby ją na chwilę chociażby otoczyło takie lękliwe uszanowanie, jak hrabiankę Wandę. Ale ona nie była jedynaczką u rodziców bogatych, nie zdobiła jéj czoła lśniąca korona hrabiowska, nie stał za nią poważany mężczyzna, jéj położenie było niepewne—ona, chcąc żyć jak motyl musiała przypiąć skrzydła motyle i wabić ich świetnym kolorem. Gorycz zapłynęła jéj serce, w téj chwili zapomniała ile własnéj jéj winy w tém było.

Zbliżył się do niéj Bogdan, prosząc do pierwszego kadryla.

— Jakto? spytała zdziwiona—nie tańczysz pan z panią swych myśli?

— Zabrano mi ją—odparł smutno.

— I któż śmiał?

— Mój stryj...

Tola zacisnęła usta. W téj chwili już cel wieczora był dopięty, miała już pewność żądaną.

— Proś go pan na vis-à-vis—rzekła do Bogdana - prędko!

Zdążył na czas, i gdy szykowały się pary stanęli naprzeciw siebie dziwny stanowiąc kontrast. Tola i Wanda, to niebo i ziemia, sen i jawa, marzenie urocze i ponętna rzeczywistość. Karol i Bogdan— to lód i ogień, życie i odrętwiałość, wiara gorąca i przeczenie wiekoiste...

Przesunęły się pary miarowym taktem, złączyły dłonie, ciepła ręka Toli dotknęła palców Karola. Ten drgnął i blada twarz jego zafarbowała się lekkim rumieńcem, orzucił młodą kobiétę długiem spojrzeniem, co ogarnęło postać jéj całą, począwszy od sznura pereł co wił się w jéj splotach kruczych, aż do nóżki wysuniętéj z pod sukni. Przeniósł to spojrzenie na Wandę i coś jak niechęć na twarz mu wybiła, lecz w tejże chwili w *balancez* ujął jéj ręce obie, i szepnął coś z uśmiechem życzliwym.

Ale jakby prądem magnetycznym ciągnione oczy jego nie mogły się od Toli oderwać. Rozmawiając z Wandą, baczny na jéj słowo każde, ciągle patrzył w przeciwny koniec salonu na tę prześliczną kobietę tak niedbale a malowniczo rzuconą na fotel, w przerwie pomiędzy figurami.

Miał ochotę zbliżyć się do niéj, porwać ją na ręce i zanieść do siebie, do swego bogatego pałacu. Ale jakkolwiek ta ochota wielką była, nie dosyć jednak aby choć na chwilę jedną przestał być panem siebie, aby na włos odstąpił od zamiarów swoich. Otrzymać rękę Wandy, to było najpilniejsze na razie, o pozyskanie Toli będzie czas się późniéj dobijać...

Niemniéj przeto drażniło go gdy piękna pani rozmawiała z innym, gdy do innego się śmiała, niemniéj drażniła go obecność téj bladéj dziewczyny, którą on zajmować się musiał, podczas gdy ochota ciągnęła go w drugą stronę. Czuł się z tego powodu niezadowolonym bardzo, ale na chwilę nawet nie postało mu w myśli, że zamiary jego nieudać się mogą, drażniła go tylko konieczność panowania nad sobą. On przecież umiał obliczać—znał ludzi i umiał grać po strunach ich duszy, czy też tego co oznaczają tém mianem.

Ale zużyty sybaryta w ciągu życia swojego zatracił pojęcie o niektórych stronach téj duszy, któréj istnienia zaprzeczał. Zapomniał, że u ludzi czasami znajdują się uczucia głębsze, jakieś popędy szlachetne, których nie potrafi zdmuchnąć pierwszy wiatru powiew, pierwsze doznane wrażenie. On o tém dawno zapomniał, a może nie wiedział nigdy...

To też nie przyszło mu na myśl, że pomimo uroku Toli, Bogdan wiernym Wandzie zostanie, że rozbudzona ciekawość, zaostrzone zajęcie nie przyniosą skutku innego, jak zawiązanie przyjaznego stosunku mężczyzny, młodego zapaleńca, z kobiétą starszą, doświadczoną życiem. Nie przypuścił szczególniéj Porajski że Tola plan jego odgadnie, że rozpozna te nitki, które on w rękach trzymał, aby według woli swojéj marjonetkami kierować...

Piękna pani nie miała zamiaru się zgodzić na rolę marjonetki, nie miała zamiaru posłużyć Porajskiemu do osiągnięcia celu, którym nie ona była. Miała w ręku wątek intrygi, Bogdan nie domyślając się niczego a chcąc jéj zrobić przyjemność, powtórzył rozmowę swoją ze stryjem, zręczna kobiéta przeniknęła odrazu cały plan przeciwnika. Widziała wyraźnie, że starał się o hrabiankę, zawadzał mu synowiec, chciał go się pozbyć obudzając w nim inne zajęcie, to dobrze, ale za cóż miał ją, Tolę Sawińską, ten człowiek?

Zacisnęły się ząbki jéj ostre, zabłyszczały nienawiścią oczy—nie, nic z tego, on celu nie dopnie. Na drodze spotka kobiétę, któréj pierwsze kroki odrzucił, a nie jest to zawada łatwa do pokonania. Piękna pani przez czas kontredansa ułożyła już plan cały. Wyciągnęła z Bogdana wszystkie wiadomości, które jéj być mogły potrzebne, wiedziała że hrabianka była względem niego nieufną i obojętną,

jednym rzutem myśli objęła wszystko i była panią położenia, bo znała plan przeciwnika.

Tymczasem nie zmieniała uśmiechu ani wyrazu twarzy, jéj śliczne oczy szare tak samo patrzały. A gdy w ostatniéj figurze, w galopadzie szalonéj, przeszła na stronę Karola, jéj ręka miękko oparła się o ramię tancerza, oczy w jego oczy zajrzały, a usta jak pąk granatu pąsowe rozchyliły się czarownym uśmiechem, Porajski objął ją silnie,—tak silnie jakby już nigdy oddalić się nie chciał, ale po chwili ona wysunęła się z ramion jego i patrzéć musiał jak jéj ręka tak samo miękko opierała się o ramię Bogdana, jéj oczy w tamtego oczy patrzały, usta się uśmiechały do niego. A on—Porajski, miał obok siebie tylko tę dumną a chłodną córkę hrabiowską, na któréj blade policzki nawet krew tańcem rozgrzana nie nasunęła rumieńca, któréj ożywić nie mogła jego dowcipna rozmowa. Na żonę była jedyna, ale tylko na żonę..

Tymczasem tamta, jéj przeciwstawienie zupełne, wirowała po sali z rąk do rąk przechodząc. Stanęły cztery pary do galopady krzyż układając, Porajski chciał wciągnąć Wandę ale się wymówiła zmęczeniém.

Tamta zmęczenia pewno nie czuła, oczy jéj żywiéj błyszczały, na twarz silniejszy wybił rumieniec, postać cała gięła się w rękach coraz innego tancerza. Dla każdego był uśmiech śliczny, dla każdego wabne spojrzenie, i jemu się to dostało w przelocie, ale gdy piękna pani wsparła się na ramieniu Bogdana, spoważniała nagle, i szepnęła mu cicho słów parę, które go znać mocno zdziwiły, gdyż zarumienił się i podniósł oczy pytające. Ona potrząsła głową i coś mu znowu szepnęła ciszéj jeszcze, jeszcze bliżéj do ucha aż gorący jéj oddech musiał uczuć na twarzy. Zarumienił się bardziéj, jego spojrzenie pobiegło do Wandy i nic nie odpowiedział, tylko ścisnął mocno, trzymaną rękę.

Umilkło szalone tempo galopady, rozsypały się pary szukając spoczynku, orzeźwiając się obficie, roznoszonemi chłodnikami, Tola krążąc po sali posunęła się ku drzwiom gdzie rozmawiało kilku panów. Między niemi był hrabia Sulimowski.

Ona ubrała się w najpiękniejszy uśmiech, najbardziéj obiecujące spojrzenie—i taka wywdzięczona, przymilona jak kocie młode, zaczęła rozmawiać z jednym ze starszych panów. Zaledwo zamieniła słów kilka, zbliżył się Sulimowski.

— Pozwoli się pani przypomniéć po tak długiém niewidzeniu...

— Pamiętam pana—przerwała Tola—poznałam od chwili pierwszéj... Dobrych znajomych zapominać nie mam zwyczaju...

I drobna rączka z któréj zdjęto rękawiczkę wyciągnęła się do mówiącego a szare oczy sypnęły takim snopem iskier i promieni, że mimowoli w nich zatonął przytrzymując rękę. Wyciągnęła ją, ale w zamian srebrzysty głosik zadźwięczał mu półgłosem:

— Jak tu gorąco—chodźmy trochę daléj...

I weszli do gabinetu, pustego zwykle, ale na dziś przemienionego w uroczy buduar cały dywanem wysłany; zielenią strojny i przepełniony wonią kwiatów, ryżowego pudru i wytwornéj perfumy. Biała muślinowa firanka oddzielała go od salonu, atmosfera była w nim ciężka, odurzająca, wonią przesycona, denerwująca. Zaledwo parę osób tam było, Tola usunęła się na kanapę w rogu pod olbrzymim oleandrem którego kwiaty drżały, nad jéj głową i wskazała obok siebie miejsce hrabiemu.

— Czy nie oburzę pana zapalając papierosa? spytała.

— Pani! zkąd to przypuszczenie!

— Myślałam że pan może nie lubi kobiét palących...

Podała mu wytworną cygarniczkę z oksydowanego srebra, nabijaną koralami—po chwili, oparła głowę o poręcz i zamyśliła się.

— Jak to ja już dawno wyjechałam od was szepnęła—wiele to lat minęło, wiele przeżyć było potrzeba...

A płonące oczy szare tak marząco patrzały z za obłoków niebieskawego dymu, jakby sięgały w tę przeszłość tak dawno minioną.

— Pani życie musiało same kwiaty rzucać pod nogi, ozwał się hrabia—pani pewno nie zabolało nic nigdy...

Tola rozśmiała się ostro.

— Tak pan sądzi? odparła. A ja panu powiem że jeśli kiedy chciałam zerwać kwiat jaki, to najprzód pokaleczyłam sobie ręce kolcami co go otaczały, a gdy na ból niezważając, zdobywałam go z myślą, że mi trochę szare życie ozdobi, wiądł mi w rękach za chwilę krótką, i zamiast świeżego pachnącego kwiatu, miałam tylko zeschłą łodygę.

— Czemuż pani tak nietrwałe kwiaty wybierała?

— Nie rosły inne na drodze mego życia... i szare oczy, których blask stopił się we mgle wilgotnéj, zatrzymały się na twarzy hrabiego...

— Szukałam i nie znalazłam... dodała piękna pani jakby tłómacząc ich mowę.

Hrabia pochylił się do niéj.

— A dziś... dziś? zapytał półgłosem.

— Dziś? powtórzyła Tola wolno, dziś już niczego nie szukam, nie pragnę, jak tylko przyjaciela choćby jednego w życiu—ach! ale czyż znajdę takiego!

— I dlaczegóż pani znaleść nie ma?

— Alboż to łatwo? Przytém, ja mam tylu nieprzyjaciół!

— Nieprzyjaciółek chyba, które pani zazdroszczą, cóż one mogą panią obchodzić?

— To też ja się nigdy nie bronię gdy zarzucają mi różne zbrodnie, o spełnieniu których dowiaduję się zawsze z ust trzecich. To właśnie rozwiązuje ręce wszystkim co chcą o mnie źle mówić, a ludzie niejednemu uwierzą...

— Ci co panią znają, nie uwierzą nigdy temu co na niekorzyść pani!

Tola zajrzała mu w oczy.

— A czy pan myśli że wiele osób mnie zna?

— Dość raz panią widziéć przez chwilę!

— Inaczéj to bywa panie hrabio. Widzą mnie ale patrzéć nie chcą i dlatego sądzą fałszywie. Jam sama—sama zupełnie.

— Czy pani nie znalazła dotąd nikogo godnego swojéj przyjaźni?...

— Nie mam przyjaciela. Nieraz zdawało mi się że go spotykam— ale zawsze gdym zaczynała w to wierzyć, otrzymywałam banalne oświadczenie miłości, zwykle w dodatku napuszonemi wypowiedziane słowami. Odpowiadałam wzruszeniem ramion, i coraz więcéj robiłam sobie nieprzyjaciół.

— Czyż zawsze te oświadczyny były dla pani obojętnemi?

— Nie mogłam im wierzyć.

— A zatém—pani nie kochała nigdy?

Tola milczała przez długą chwilę.

— Kochać? rzekla nareszcie z uśmiechem dziwnym, alboż to dzisiaj kochać umieją - alboż to komu potrzeba uczucia... Gdybym ja pokochała, nic by mnie na zawadzie stanąć nie mogło, ani odwieczne ludzkie przesądy, ani opinia, ani oddalenie, ani czas— nie, śmierć chyba... Ale co o tém mówić daremnie?

— Ale czyż nikt—nikt na pani wrażenia żywszego nie zrobił?

Tola pochyliła głowę na rękę.

— Nie wiem —szepnęła. Wróciwszy tutaj, zkąd wyjechałam dzieckiem a wróciłam kobietą przeżytą, czuję jak mi coś w sercu roztaja niby śnieg na wiosnę, w duszy dźwięczą zapomniane oddawna strony, i jakieś życie nowe wstępuje we mnie.

— Czy może... ktoś tutaj sprawił ten cud—zapytał niespokojnie hrabia.

— Nie—tylko się czuję młodą napowrót, napowrót zdolną czuć żywo, odczuć wrażenie każde...

Twarz Sulimowskiego rozpromieniła się, jakby padł na nią promień słoneczny. Nieznacznie pomusknął dłonią faworyty jasne, poprawił białego krawata i pochylił się chcąc coś Toli szepnąć do ucha. Ale zabrakło mu czasu, bo w tejże chwili zadźwiękła skoczna polka i kilku tancerzy wpadło do gabinetu zapraszając Tolę, która już ani chwili spokoju nie miała. Nareszcie zbliżył się i Bogdan—powstała, ale w tańcu szepnęła mu.

— Przecież mówiłam, żebyś pan się do mnie nie zbliżał...

— Ależ dla czego?

— Dlatego, że najprzód pańskiéj wybranéj może to się niepodobać, a powtóre—to najważniejsze, masz pan tu nieprzyjaciela który każdy krok pana potrafi fałszywie przedstawić, aby nim szkodzić panu...

— Cóż za myśl szczególna!

— Możesz mi pan wierzyć, lepiéj trochę znam świat od pana a szczególnie znam lepiéj człowieka o którym mówię. Więcéj żądam—masz mię pan unikać nawet wtedy gdy ja pana szukać będę.

— Ależ—pani!

— Ani słowa—nazwałeś mię pan swoją przyjaciółką, pozwól mi pan działać. Pamiętaj pan ani razu nie zaprosić mnie do tańca, nie wybrać w figurze, ani razu się nie zbliżyć, choć ja pana wybierać będę i zagadywać często. Ostrzegam o tém, żeby przypadkiem pan nie wytłómaczył sobie inaczéj mego postępowania.

— Pani! zawołał Bogdan żywo zarumieniony.

Zatrzymali się—on jéj dziękował a ona szepnęła po cichu.

— Pamiętaj pan moje słowa—proszę mi ufać.

Bal wrzał w pełni, państwo Czarnowscy umieli gości zabawić, a piękna Tola ożywiała ciągle zebranie. Otaczało ją grono panów—ona każdego przyjmowała dobrze, wyróżniając jednak widocznie Sulimowskiego. Zauważono oraz, że obaj Porajscy, jedni z całego towarzystwa nie zbliżali się do niéj jakby jéj nie znali, albo znać nie chcieli. Pomimo tego jednak, znalazła piękna pani sposobność szepnięcia Bogdanowi, żeby Sulimowskiego na vis-à-vis do kontredansa zaprosił.

Tym razem Bogdanowi nikt Wandy zabrać nie zdołał i stanął przy niéj zatopiony z jéj oczach. Blada dziewczyna ożywiła się nareszcie—krew zafarbowała policzki, usta się uśmiechnęły wesoło, Bogdanowi nic na tę chwilę nie brakowało do szczęścia.

Ale hrabia w inném był usposobieniu. Z niechęcią widział że jego tancerka jest roztargnioną, że raz po raz spogląda w przeciwną stronę. Nareszcie, gdy nie odpowiedziała na jakieś pytanie, zapytał jéj z rozdrażnieniem co tak ciekawego upatrzyła w tamtéj parze,

myśląc że się będzie zapierać albo wymawiać, ale ona najspokojniéj odparła:

— Jeżeli mam być szczerą, nie spotkałam dotąd twarzy tak zajmującéj jak pana Bogdana Porajskiego. Co to za życie, co za energia! ten człowiek, to nie lalka salonów...

Gładkie, jak kość słoniowa żółte czoło hrabiego, sfałdowało się niechętnie.

— Niechże pani nie robi z niego bohatera — rzekł szyderczo — zwykły to człowiek, w którym gra krew gorąca, bo młoda, oto wszystko... Każdy będąc w jego wieku czuł żywo, oto nie trudno.... Ale są i tacy co w latach późniejszych zachowali gorące porywy młodości, łącząc je z rozmysłem dojrzałym....

Duże oczy Toli wpatrzyły się badawczo w hrabiego.

— Prawdaż to? — szepnęła cicho bardzo.

Hrabia wytrzymał jéj spojrzenie.

— Poddam się próbie każdéj... szepnął również cicho.

Ale Tola nie słyszała tego, powstając do figury. Może zresztą słyszeć nie chciała... Jéj ręka dotknęła ręki Bogdana i twarz się ku niemu zwróciła, a gdy przy zmianie dam oparła się na jego ramieniu, tak jakoś spojrzała mu w oczy, że hrabiego na wskróś przejęło dziwnie niemiłe uczucie.

Kontredans się skończył, panowie odprowadzili tancerki na miejsca, hrabia nie odstąpił od Toli ale usiadł przy niéj. Piękna wdowa była trochę roztargnioną, coś jakby rozmarzenie wyglądało z jéj oczu szarych, co błądziły po sali szukając kogoś widocznie. Hrabia spojrzał za niemi, a widząc że ścigają Bogdana, rzekł nie bez ironii:

— Ów wymarzony pani bohater nie domyśla się zapewne, że obudził tak żywe zajęcie, jest on zwrócony w inną stronę...

Tola zwróciła się do mówiącego.

— Wiem o tém — odparła.

— I nie zmniejsza to pani zajęcia?

— A cóż to ma za związek?

— Więc trudności dodają pani ochoty do zdobycia celu.

— Trudności? cel? ja nie rozumiem pana—rzekła zimno bardzo.

— Jeśli ktoś nas zajmuje, chcemy nawzajem zajęcie wzbudzić, jest to cel, gdy miejsce zajęte, trudniéj dojść do celu, oto trudność...

— Zajęcie się jedną kobietą nie przeszkadza mieć oczu dla innych.

— Kobiety wymagają wyłącznego zajęcia się niemi.

— Na tę chwilę nie mam do tego najmniejszéj pretensyi...

— A późniéj?

— Któż może ręczyć za przyszłość? jeżeli tego zapragnę, postaram się o to...

— Jesteś pani przynajmniéj szczerą! — zawołał hrabia z ironią.

Tola wzruszyła ramionami.

— Po cóż i dla kogo mam grać komedyą? — spytała. — Wolną jestem jak wiatr co hula po stepie, nikt mię nie spyta o rachunek z moich uczuć albo czynności, o ludzi dbam tyle co oni o mnie; czemuż więc nie mam być szczerą, — dla kogo udawać?

I obrzuciła hrabiego takim snopem iskier co z oczu jéj wypadły, że dojrzeć nie mógł dziwnie szyderczego uśmiechu, co piękne jéj usta wykrzywił. Czas jakiś milczeli oboje, pierwszy Sulimowski się ozwał:

— Wracając do pani bohatera, pani sądzi zapewne, że jego uczucie upadnie skoro pani zechce. Zgadzam się z tém, ale od czego będzie zależała chęć pani?

Tola podniosła na niego oczy bardzo poważne.

— Nie — rzekła— nie sądzę tak. Uczucie to, znam się na tém, jest głębokiem i prawdziwem. Nieustąpiłoby ono przed pokusą najsilniejszą choćby.

— W takim razie... pani rezygnuje?

— Nie. Uczucie to może, a nawet prawdopodobnie nie będzie uwieńczone skutkiem, a zatem.... i przerwała.

— A zatém? — nalegał hrabia.

Tola się uśmiechnęła.

— Czyż pan nie wiesz—rzekła półgłosem—że odmówiony konkurent i porzucona kobieta należą do tych, co po nich schylić się raczą? Tak miło a tak łatwo pocieszać, z téj roboty zbiera się dobre owoce...

Sulimowski wlepił w nią oczy, jakiś nieokreślony wyraz przemknął po jego twarzy, jakby myśl nowa zaświtała mu w głowie.

— A gdyby, gdyby się pani myliła? — rzekł wreszcie — gdyby jego uczucie zostało, mówiąc pani słowami uwieńczone skutkiem?

Oczy Toli strzeliły płomieniem, śliczny uśmiech rozchylił usteczka.

— Wtedy — szepnęła — walka byłaby więcéj niż niepodobieństwem, bo niezręcznością...

— A daléj....

Oczy hrabiego dopominały się odpowiedzi. Tola wytrzymała ich spojrzenie.

— Za młodą jestem aby zrezygnować z życia—odparła spokojnie—chcę żyć, żyć w całéj pełni, żyć za te lata wszystkie, w których niedoświadczone dziecko, skrępowane nim myśléć zaczęło, musiało się dusić w klatce zaciasnéj.

W téj chwili walc przerwał rozmowę, młodzież otoczyła Tolę. Zmęczona ciągłym tańcem, usunęła się do buduaru, ale zaledwo rzuciła się na kanapkę gdy stanął przed nią Porajski.

— Pani szuka spokoju — rzekł — a ja właśnie przyszedłem go zakłócić...

Widać że piękna pani podwójne znaczenie nadała jego wyrazom, gdyż rozśmiała się lekceważąco i rzekła z kolącą ironią:

— O! nie ma żadnéj obawy, pan—podkreśliła głosem—nie mógłbyś tego dokazać...

Fala krwi uderzyła do głowy Porajskiemu, farbując jego czoło i blade policzki, usta zacisnęły się silnie.

— Walc męczy przecież—rzekł przez zęby—a ja właśnie panią prosić chciałem.

— Mnie taniec nigdy nie męczy.

I powstała swobodna, opierając rękę na ramieniu Karola. On ją objął silnem ramieniem, jéj zręczna postać przegięła się lekko poddając kierowniczéj ręce, głowa w tył odrzucana przechylała się podług taktu. Porajski spojrzał jéj w oczy: były tak szydercze, tak zimno a złośliwie patrzały, że go przejęło dziwnie niemiłe uczucie, za chwilę odwróciły się i nie mógł już ich spotkać. Miał ochotę przerwać taniec, ale nie mógł się oderwać od Toli, która tańczyła lepiéj niż wszystkie panie zebrane. Ale zaczęło tchu mu brakować, spojrzał na Tolę, nie była wcale zmęczona, oddech miała równy, tylko silniejsze rumieńce na twarz wystąpiły, dodając nowego uroku. Posadził ją i ścisnął mocno jéj rękę, ale mu nie oddano uścisku, chciał zająć miejsce obok, ale piękna pani wskazała wachlarzem w przeciwną stronę.

— Czekają na pana — rzekła z uśmiechem politowania, a oczy jéj błysnęły złośliwością szyderską, jak przed chwilą w walcu.

Porajskiego zęby zgrzytnęły.

— Ale ja na nikogo nie czekam — rzekł z rozdrażnieniem najwyższém.

— O! taka samowola może źle wpłynąć na przyszłość pana...

— To już moja i tylko moja rzecz...

— Niechciałabym mieć tego na sumieniu, niechże się pan niekrępuje względami grzeczności...

— Ja się nigdy niczem nie krępuję!

— Uważam to...

Porajski kręcił się niespokojnie, szydercze słowa Toli przejmowały go coraz większym gniewem, czuł się w fałszywém położeniu, i to mu nie pozwalało się bronić.

— Ale żarty na stronę — ciągnęła piękna pani — rozczulająco pan wyglądasz jako komentator *Amadisa*. — Ślicznie z tém panu...

Porajski do krwi gryzł usta.

— Cieszę się że pani tak uważnie mię studyowała — odparł przez zęby.

— Niestety! nie mogłam sobie téj przyjemności pozwolić, brakło mi do tego sposobności... i trochę téż czasu... Ale za to o tém tylko ze wszech stron słyszałam i dlatego radzę, nie trać pan tego co już zyskane, wracaj pan na stanowisko, bo może być zagrożone...

— Nie rozumiem słów pani, mam zwyczaj kierować się tylko własną chęcią i zostaję tu, bo mi dobrze...

— W takim razie jesteś pan egoistą.

Porajski drgnął jak biczem zacięty.

— Czy moja obecność jest pani przykrą?

— Bynajmniéj, ale jest ona bezużyteczną.

— Pani chce powiedzieć że moje miejsce byłoby zajęte przez innego, czyja obecność byłaby milszą dla pani od mojéj...

Głos z trudnością wydobywał mu się z gardła. Tola była zawsze spokojna, uśmiechnięta szyderczo.

— Milszą, nie powiem — odparła — lubię bardzo nauczające towarzystwo pana, ale prowadzącą do czegoś, mającą cel jakiś...

— A ja, ja jestem dla pani wartością nieprodukcyjną...

— Podobno że tak się to nazywa...

Karol się zerwał.

— A w takim razie ustępuję—zawołał głosem przez gniew stłumionym.

Zaledwo powstał, w tejże chwili Sulimowski jego miejsce zajął. Porajski zwrócił się w stronę Wandy, tam był Bogdan. Spróbował zająć sobą hrabiankę, ale mu nie szło i nareszcie zmęczony ustąpił, i zajął miejsce przy drzwiach, obserwując Tolę. Zły humor jego się wzmagał, widząc, że piękna pani z największém ożywieniem rozmawiała, nareszcie wyjmując kwiatek z bukietu, podaje go Sulimowskiemu. Nie mogąc zapanować nad gniewem, wyszedł z salonu na ganek, wracając, spotkał się oko w oko z Sulimowskim, co uśmiechnięty, promieniejący zadowoleniem, niósł miseczkę lodów.

— Kogóż to hrabia chcesz chłodzić? — zapytał sarkastycznie.

Ton się nie podobał hrabiemu.

— Najwidoczniéj kogoś co tego potrzebuje—odparł sucho.

Porajski obrzucił go od stóp do głowy szyderczém bardzo spojrzeniem.

— Czyż na to aż lodów potrzeba? — zapytał.

Hrabia się zaperzył tak gwałtownie jakby miał zamiar zdusić Porajskiego, ale rzucił mu tylko zjadliwe spojrzenie i wrócił na miejsce.

Porajski usunął się do gabinetu, w nadziei, że długo tu sam nie będzie. Na kanapce leżała mała chusteczka, szeroką koronką oszyta; machinalnym ruchem wziął ją do ręki. Wydobywała się z niéj nader silna woń ekstraktu akacyi, ulubionéj perfumy Toli Sowińskiéj. Porajski oddychał tą upajającą wonią rozbierając z osobna wdzięk każdy pięknéj pani. Aż nareszcie rzeczywistość odpowiedziała jego życzeniom, biała firanka się uniosła i Tola rozgrzana tańcem, zmęczona a zawsze śliczna, wbiegła do buduaru, chwilkę przystanęła we drzwiach, nareszcie zajęła miejsce na kanapce.

Porajski uśmiechnął się z zadowoleniem, bo na twarzy Toli nie było szyderstwa tylko uśmiech śliczny, a oczy tyle, tyle miłych obiecywały rzeczy. Porajski żywo zagadał, pełen najlepszych nadziei, ale gdy skończywszy ogólnikowo przedmowy zabierał się mówić o sobie, Tola zagadnęła go o synowcu, z niezmiernem zajęciem wypytując się o jego życie, usposobienie i rys charakteru każdy. Niezadowolenie dziwne ogarnęło Porajskiego, miał ochotę przerwać rozmowę, ale Tola była taka śliczna, że odwagi mu brakło do tego. Ale jakże pożałował tego, bo gdy Bogdan za chwilę usiadł przy drzwiach gabinetu w salonie, Tola nie tłómacząc się nawet powstała i wyszła aby się z nim połączyć.

Tego już było za wiele. Porajski zagryzł usta aż pod zębem trysnęła drobna krwi kropla, za chwilę kazał zaprzęgać i wyjechał.

IX.

W tydzień po balu państwo Czarnowscy i Tola wybrali się do Drewini. Zastali tam Bogdana, na widok którego uśmiech zadowolenia rozjaśnił twarz pięknéj pani. Sulimowski na to się skrzywił, jakby kto szklankę kwaśnego wina mu podał. Wanda powitała gości z właściwym sobie wdziękiem chłodnym nieco, hrabina zimno a grzecznie.

Pani Tola uśmiechnięta, wesoła, swobodna, cała w zwoje z białego haftowanego muślinu spowita, była tak uroczo powabną, że nawet hrabina, tak surowa pod względem zachowania się, przyznała, że podobać się musiała każdemu.

Była jednak osoba, któréj Tola niepodobała się bardzo — mis Ella. Z początku przypatrywała się jéj w milczeniu, nareszcie wtrąciła się do rozmowy zwracając do Toli, chcąc ją wyciągnąć na słów-

ko, ale piękna pani spojrzała przez ramię, odpowiedziała monosylabem i zwróciła się w inną stronę.

Mis Ella nie zwykła darowywać uraz i natychmiast myśléć zaczęła czemby tu odpłacić za swoje. Bystre jéj czarne oczy łatwo dostrzegły, że Bogdan Porajski wzbudza w pięknéj pani żywe zajęcie, odrazu postanowiła pomagać mu przy Wandzie.

Pod wieczór, gdy towarzystwo opuściło stół herbaciany, Tola chciała obejrzéć ogród i park, przypomniéć sobie miejsca, które znała dobrze dzieckiem będąc. Przysunęła się do Wandy, ale w tejże chwili hrabia stanął przy niéj i biorąc jéj rękę, położył na swojém ramieniu. Ciemne brwi pięknéj pani zsunęły się lekko.

— Czemu pan narzucasz mi swoją wolę? — spytała cicho.

Hrabia się uśmiechnął zwycięzko.

— Bo to najlepszy sposób postawienia na swojém — odparł.

— A jeżeli cudza wola poddać się niechce?

— Zmusza się ją do tego.

— Nie zawsze.

— Ale gdy bardzo, bardzo pragnie się tego?

— Można pragnąć wielu rzeczy: gwiazdy z nieba naprzykład.

— Znasz pani tę dawną piosnkę starą jak świat i uczucie, w której oporna uledz nie chce i coraz inaczéj się zmienia, coraz w coś innego przerzuca, od gołębia począwszy a skończywszy na gwiazdce. Ale daremny opór ulega, bo uledz musi, jak ulega z was każda.

Tola wstrząsnęła główką.

— Tak—szepnęła—kiedyś to i mnie niańka usypiała tą piosnką, którą z nas każdéj śpiewają gdy dziećmi jesteśmy. Ale to nieprawda,—gdy dorośniemy, przestajemy w nią wierzyć, jak przestajemy wierzyć cudownym powieściom o ptaku błękitnym i o zaczarowanéj królewnie...

— A jednak stwierdzacie ją doświadczeniem!

— Raz jeden na tysiąc ulegamy sile waszéj, jeden z was na tysiąc jest owym mężczyzną z siły, mężczyzną z ducha, o którym marzy z nas każda, którego spotkawszy, nazywa się szczęśliwą, przed którym prochy zmiatаćby chciała, któremu uledz musi, z wolą czy też bez woli.

— A jednak pomimo tego ulegacie nam często. Czyż to nie dowód że jesteśmy od was silniejsi?

— Nie. Ulegamy gdy nam przyjdzie ochota, gdy się opór znudzi, albo gdy uledz wygodniéj...

Hrabia się zmarszczył.

— Więc pani przyznajesz— rzekł— że u was nawet to, co nam za miłość podajecie, jest wyrachowane, każde uderzenie serca wymierzone, każde słowo obliczone naprzód?

— A jakże z wami się dzieje? Czyż wy nie jesteście zawsze panami swoich uczuć, czynów, słowa każdego?

— Pani! gdy nami uczucie zawładnie...

— Uczucie? namiętność, chcesz pan mówić. A i w takim razie wy siebie tylko macie na celu, zadowolenie swoje. Co macie do stracenia? dajecie bardzo niewiele, a wymagacie w zamian wszystkiego....

— A wieleż to pada ofiarą zalotnic bez serca co bawią się niemi, a potém rzucają jak wyciśniętą cytrynę, obrawszy ich wprzód z majątku, wiary w cośkolwiek, a często honoru.

— Słowa pana zamknęłyby mi usta, gdybym na chwilę jedną, na trwanie błyskawicy przypuścić mogła, że oni mieli na celu kobietę, dla któréj tracili bądź majątek i wiarę, bądź honor. Oni przez czas trwania téj namiętności o sobie myśleli, tylko o sobie, o niéj— ani przez chwilę. Sobie chcieli dogodzić, poświęcą wszystko, ale nie dla téj kobiety, tylko dla dopięcia celu, zaspokojenia namiętności własnéj. Czyż to można nazwać uczuciem? to miłość własna, rozdrażniona do wściekłości, chęć postawienia na swojém, próżność pobudzana do czynu i te wszystkie drobne, brzydkie instynkta, które w danéj chwili obudzą się w każdym człowieku głusząc rozsądek, a często uczciwość.

— Jakto! więc każdy człowiek złym jest z natury?

— Nie, przynajmniéj niezupełnie. Ale w każdym człowieku są dwie siły: jedna go ciągnie do dobrego, druga popycha do złego. Postępowanie zależy raz na tysiąc od siły woli, a zawsze prawie od siły pokusy. Ten co potrafi oprzeć się jednéj, ulegnie odrazu przed drugą...

— A zatem, według pani, jeśli kto nie jest zbrodniarzem, zawdzięcza to jedynie okolicznościom, które nie dały mu sposobności do zbrodni?

— Kodeks cywilny i kryminalny broni nas, bo przed obawą kary cofa się wielu. Innych broni wychowanie, rozum, a czasami zmysł artystyczny. Ale w każdym człowieku drzemią instynkta niedobre, które w danéj chwili mogą się zbudzić i przewrócić życie całe, rządzone dotychczas zasadami...

— Tym sposobem nikt nigdy ręczyć za siebie nie może.

— A naturalnie. Alboż my wiemy co zrobimy w okoliczności danéj, gdy pokusy na nas uderzą? czasami po prostu z powodu niezdrowia nerwy nasze bywają wrażliwsze i pociągną nas do czynu co złamie życie nasze lub inne...

— Ależ pani! jakże można zaprzeczyć istnieniu ludzi uczciwych.

— Ja nie zaprzeczam, ale przyznaję, nie wierzę w uczciwość, która nigdy kuszoną nie była. A gdy pokusa przyjdzie, jakże ich wielu ulega! Podobno są gdzieś ludzie umiejący zwalczyć wszystko, nawet siebie samych, silni jak opoka, jak posąg śpiżowy, ale czy ci ludzie to nie podanie takie jak olbrzymi dawni? ja nie wiem...

— Pani masz zdania rozpaczliwe!

— Przeciwnie, ludzie rozumni więcéj szans mają, bo mogą kierować okolicznościami a tém samem i ludźmi...

Hrabia podniósł głowę żywo, słowa Toli go uderzyły.

— Prawda — rzekł półgłosem.

Przez ten czas Bogdan i Wanda tylko sobą byli zajęci. Blada zwykle twarz hrabianki zafarbowała się żywym rumieńcem, ręka na ramieniu Bogdana oparta drżała chwilami, jakby wzruszeniem.

— To nie ironia, panie Bogdanie — mówiła głosem smutnym a cichym—we mnie ironii niema. Ja nie probuję śmiać się z życia, ale tylko smutna ciężko, niosę ten ciężar daléj i daléj. Nie chcę tłómaczyć ludziom, że mi z nimi dobrze, ale staram się wyrobić siły swoje aby iść naprzód.

— I tym sposobem wyrabiając w sobie rozsądek, zabijasz pani uczucie, stajesz się pani maszyną...

Łzy błysnęły w oczach Wandy.

— Nie — rzekła. — Ale tylko gdy uczucie zawiedzie, gdy mi go życie nie da, chcę umiéć się obejść bez niego, abym nie zgorzkniała wołając że stała mi się niesprawiedliwość wielka. Nie chcę mieć żalu do życia i dlatego biorę go z téj zwykłéj szaréj strony, tak pospolitéj a niewesołéj.

— Pani się boisz uczucia— zawołał Bogdan gwałtownie— boisz się aby serce uderzając żywiéj trochę, nie zabolało i dlatego kryjesz się pani przed niém troskliwie. Boisz się pani cierpienia.

Wanda żywo głowę podniosła.

— Nie! — zawołała — ja nie cierpienia się boję, ale zdeptania mojéj godności kobiecéj, sprofanowania uczucia. Ból to nic, ale upokorzenie co czoło schyla do ziemi saméj, to upokorzenie bolesne co każe nam wstydzić się za to co najlepszego w sobie mamy, co każe nam gorzko żałować chwili szczerości, — o! wierz mi pan, to za straszne, kobiéta szanująca w sobie godność ludzką, nie zniesie tego...

— A dla czegoż to uczucie ma być sprofanowane?— rzekł Bogdan głosem przez wzruszenie stłumionym — przecież są tacy co je uszanować potrafią jak świętość najwyższą...

Ręka Wandy zadrżała.

— Pani—ciągnął Bogdan ciszéj jeszcze— uczucie, to dobro najwyższe, to siła, to życie. . . Nie uciekaj pani od niego. . .

— Boję się... — szepnęła dziewczyna—boję się omyłki strasznéj.

— Czyż nigdy, nigdy nie usłyszę od pani innego słowa? panno Wando, ja chcę, ja potrzebuję innego. . .

— Usłyszysz je pan pewno nieraz w życiu. . .

— Może, ale wtedy z moich ust nie wyjdzie słowo żadne. Pani mnie dziś ciemno w życiu, bo jeden obraz zakrył sobą świat cały, dla mnie istnieje jedna tylko kobiéta, w niéj życie moje. . .

Wanda głowę spuściła.

— Nie wierzę. . . — rzekła z goryczą.

Bogdan się wstrząsnął cały.

— Pani niewierzy! — zawołał namiętnie — zawsze to słowo na ustach u pani, zawsze i wszędzie niewiara. Ależ czém wzbudzić tę wiarę wreszcie? jakich dowodów potrzeba? Och! panno Wando, gdyby pani wiedziała jak to słowo niewiary zranić może ciężko. . . jakie wrażenie sprawia w chwili gdy chciałoby się duszę własną wyrwać z piersi, byle wypowiedziéć to co serce czuje, to jak kąpiel zimna dla człowieka w gorączce. . . Ależ pani sama chyba nic czuć nie potrafi? takiém słowem jedném można zrazić człowieka na zawsze...

Ból palący i obraza namiętna dźwięczały w jego głosie, ręka Wandy zadrżała silnie.

— Ja nie chciałam zranić pana. . . — szepnęła cicho bardzo — jeżeli ta niewiara panu ból sprawia, to mnie większy jeszcze. . . ja bym tak chciała, tak bardzo chciała wierzyć panu. . .

— Więc cóż między nami staje? dla czego pani nie wierzysz?

— Nie mogę, panie Bogdanie—ach! nie mogę, nie mogę... Cożem ja winna, że jak tylko nauczyłam się patrzéć, stanęła mi przed oczami smutna komedya życia. . . Na pozór wszystko ładne, gładkie, ciche, spokojne, ale ta pożyczana sukienka przykrywa takie smutne, bolesne rany. . . Nazywają mnie ludzie zimną, a nie wiedzą, że mnie od dzieciństwa wtłaczano w ciasną formę konwenansu, każąc wierzyć tak a nieinaczéj, podając przekonania i zdania przykrojone według światowego szablonu. Tymczasem zapomnieli oczu zawiązać i po za tém w co mi wierzyć kazano, ja wprost co innego widziałam. Widziałam, że ludzie mają dwie twarze, dwa głosy, dwa zdania: jedne dla gości — odświętne, drugie do użytku domowego, a tak do siebie podobne, jak dzień do nocy. Widziałam jak ciągle, w każdéj chwili, kłamano przed ludźmi i przed sobą samym, czynem, słowem, myślą niemal, widziałam życie zawsze z brzydkiéj, smutnéj strony, nierozjaśnione niczem, — widziałam despotyczny egoizm co na chłodno łamał wolę innych, według chwilowego wrażenia. Ale

nie widziałam nigdy prawdy w słowie żadném, nie widziałam konsekwencyi w niczem, nie widziałam nigdy aby słowa się z czynem zgadzały. A gdym pytała co to znaczy, wykładano przedemną teorye piękne chcąc abym wierzyła w nie — jam uwierzyła tylko na koniec, że ludzie o pozory dbają, nie troszcząc się o rzecz samą...

Bogdan słuchał téj długiéj, smutnéj spowiedzi dziewczęcia, nie przerywając słowem żadném. Wanda skończyła i zamilkła, on nie śmiał przerwać milczenia tego, lecz mimowolnym ruchem położył dłoń gorącą na drobnéj rączce, opartéj na jego ramieniu. Wanda drgnęła, lecz nie usunęła się.

— Nie wszyscy tacy— szepnął miękkim, gorącym głosem— nie można wszystkich potępiać. Cóż my winni że pani tylko takie obrazy widziała, że życie dotychczasowe, jakąś mgłą szarą całą przyszłość pani zasnuło. Są inne ogniska domowe, ciepłe, zaciszne, tam wszyscy jednym duchem spojeni, jedną myślą złączeni, a sercem zwarci w zastęp ścisły, tak, że smutek, nieszczęście, nie dojdą do nich. Moja matka była domu naszego duchem dobrym, mój ojciec jego podporą, siostra wcieloném piękna poczuciem, a ja najmłodszy— pieszczochem wszystkich. I zabrałem też z rodzinnego domu mojego tyle wiary we wszystko co dobre i piękne, tyle wstrętu do udawania i fałszu, tyle pobłażania dla ludzi, że nie zdołały zatrzéć tych wrażeń żadne wpływy późniejsze. Czemu pani w takie ogniska domowe nie wierzy?

Ręka Wandy zaciężyła mu na ramieniu.

— Chciałabym—szepnęła miękko—ach! tak bardzo chciałabym wierzyć, mnie zimno tutaj, zimno ciągle...

— My panią ogrzejemy — ciągnął Bogdan głosem ciepłym, jak pieszczota łagodnym i miękkim... tam, przy mojéj matce, przy siostrze, pani dobrze będzie, urządzimy dla biednego zmęczonego ptaszka takie zaciszne gniazdeczko, że nie zechce nam uciec z niego...

Wanda milczała.

— I cóż mi pani odpowiesz—zapytał Bogdan po chwili.

— Ja nie jestem samą — szepnęło dziewczę — jabym nie mogła rozłączyć się z matką, chciałabym aby ona biédna wypoczęła trochę. Ona mnie jedną ma na świecie, a choć mnie trzyma zdaleka od siebie, choć nigdy nie zbliży się z ciepłém słowem, choć myśmy prawie obce dla siebie, kocham ją gorąco i czuję że ona mnie kocha namiętnie, bo też nic prócz mnie jéj nie zostało. Kazali jéj zerwać z rodziną całą, nie pozwolili serdeczniéj się zbliżyć do nikogo i aż do ziemi przygnietli despotyzmem twardym, co dziś biało jutro czarno widział. Ja muszę uwolnić ją od tego, muszę jéj dać odpoczynku chwil parę...

Bogdan spoważniał bardzo i rzekł głosem dźwięcznym, stanowczym:

— Matka pani znajdzie syna we mnie. Ja panią kocham całą duszą, całem sercem i obiecuję że pani nie zawiedzie się na mnie. Jeszcze nigdy w życiu nie złamałem słowa, oddaj mi przyszłość swoją, ja cię przeprowadzę przez życie, a w trudniejszych przejściach na rękach przeniosę moję biédną zmęczoną ptaszynę, moję malutką białą gołąbkę... dobrze? — ach! powiedz... powtórz za mną... dobrze? dobrze?

— Dobrze — powtórzyła jak echo posłuszne i w tejże chwili uczuła na ręku gorące usta Bogdana.

— Pani moja! gwiazdeczko moja, skarbie jedyny... szczęście życia mojego — zadźwięczało tuż przy niej tak blisko, że na twarzy uczuła oddech gorący. Ale nie miała czasu odpowiedziéć na to, bo w tejże chwili zabielała przy nich lekka sukienka, a śpiewny głosik Toli zadźwięczał:

— Jaki to śliczny ciepły wieczór, tylko tu u nas na Ukrainie tak piękny być może. Widziałam świetne noce Florencyi, widziałam jak księżyc świecił nad Neapolem, jak gwiaździste niebo przeglądało się między domami Wenecyi, ale nie było tego co u nas tutaj, powietrze lżejsze, przejrzystsze, tutaj szeroko oddychać można. To wiatr ze stepu przynosi jakieś odgłosy co budzą dziwną tęsknotę, coś jakby echo przeszłości, jak dźwięki z świata innego, smutno— a dobrze z niemi, tęskno—a chciałoby się je usłyszéć zawsze...

— Nie mogę podzielić zachwytu pani—przerwał suchy głos Sulimowskiego, który także znalazł się obok, znajduję, że we Włoszech lub południowéj Francyi, bez porównania piękniéj.

— Jak pan sądzisz, panie Porajski? — spytała Tola Bogdana.

Ten byłby uciekł za sine morze od tych ludzi natrętnych, którzy zabierali mu chwile najważniejsze w życiu jego, chwile, w których u niego drgała fibra każda, a które oni mu psuli dźwiękiem pustych swoich frazesów. On słyszał jeszcze cichy głos Wandy, gdy blada dziewczyna posłuszna jego prośbie namiętnéj, cicho mówiła— dobrze—on miał na ustach jeszcze gorące słowa zaklęcia, któremi uspakajał przed chwilą biedne dziecko, co wierzyć tak bardzo temu chciała co on mówił, a tu mu kazano rozmawiać o rzeczach tak obojętnych dla niego, jakby nie istniały na świecie. To też nie umiał ukryć wrażenia przykrego i niezwykle oschłym był głos, którym odpowiedział Toli. Piękna pani się tém nie zraziła, przeciwnie, z coraz większém zajęciem zwracała się wprost do niego, tak, że odpowiadać musiał. Jednakże był rozdrażniony, mimowoli niechęć przeglądała w słowach. Piękna pani spojrzała raz i drugi na niego swémi

wielkiemi szaremi oczami, w których widziało zdziwienie i smutniało coraz bardziéj, w miarę jak on mniéj panował nad sobą. Nareszcie, gdy z niecierpliwością odpowiedział na jakieś nowe pytanie, po twarzy Toli spłynęły dwie łzy bujne.

Bogdan uczuł wyrzut sumienia, ale zarazem gniew na tę kobiétę co zabierała mu te chwile, które onby krwią własną z pod serca zapłacił. Czego ona chciała od niego? wszak tam z drugiéj strony odciągał ją hrabia, czemuż ona ciągle do niego mówiła? co za kaprys nowy? popychała go do Wandy, zdawała się mu pomagać, a teraz w chwili stanowczéj stawała w poprzek, z temi załzawionemi oczami...

Towarzystwo wróciło do domu w jakimś dziwnym nastroju. Piękna pani posmutniała widocznie, nawet téż ślady były na twarzy, hrabia był zły okropnie, Bogdan jakby zmięszany. Wandy oczy płonęły, na twarzy był silny rumieniec, odeszła do okna i tam oparła rozpalone czoło o szybę. Bogdan byłby kilka lat życia oddał, aby się zbliżyć do niéj, a nie śmiał, machinalnie przerzucał kartki albumu. Jedna pani Emilia rozmawiała z równém ożywieniem, na jej twarzy żadnéj zmiany nie było. Mis Ella przyłączyła się do rozmowy ogólnéj, ale za chwil parę powstała, zbliżając się do Bogdana. Zagadała coś o kwiatach i obiecała pokazać jakąś szczególną begonię, powstał, a ona poprowadziła go do tego właśnie okna, przy którém stała Wanda.

Bogdan zarumienił się gwałtownie, jak na gorącym uczynku złapany, plątał się w odpowiedzi i tak był roztargniony dziwnie oglądając ową begonię, że pewno nie wiedział nawet, czy to roślina czy zwierzę. To téż mis Ella za chwilę zostawiła go samego, pod pierwszym lepszym pozorem. Bogdan prędko się zbliżył do Wandy, i w tejże chwili Tola poruszyła się żywo jakby ją coś ukłuło, a na pięknéj twarzy odbiło się przykre wrażenie. Ale hrabia był przy niéj, rozmawiając żywo i nie dał się jéj poruszyć; z początku odpowiadała od niechcenia, potém z zajęciem, nareszcie przestała uważać na resztę towarzystwa.

Późno już było gdy zaszły powozy. Hrabia owijał starannie Tolę ciepłym pąsowym burnusem, ona dziękując, podała mu rękę i rzekła głosem cichym, smutnym jak skarga:

— Przyjedź pan jutro do nas... miło mi będzie widzieć pana...

Jemu się twarz rozpromieniła jakby słońce padło na nią, usta się roztwarły szerokim, zwycięzkim, a jednak dyskretnym uśmiechem, poniósł jéj rękę do ust.

— Przyjadę — odparł cicho bardzo.

(*d. c. n.*) *Julijan Morosz.*

POCZĄTKI CHRYSTYANIZMU.

(E. Renan, Histoire des Origines du Christianisme: Livre 1. Vie de Jésus; 2. Les Apôtres; 3. Saint Paul; 4. L'Antichrist; 5. Les Evangiles; 6. L'Eglise Chrétienne; 7. Marc-Auréle, 1862—1882).

Początki każdéj religii są pokryte pewną tajemniczością. Przyczyna tego leży w braku odpowiednich materyałów historycznych. Fakt, będący częstokroć dla ogółu zupełnie obojętnym, w większości wypadków nieznany nawet szerszéj publiczności, w oczach bezpośrednio zainteresowanych rośnie, olbrzymieje, następnie zdumiewa, zachwyca i staje się przedmiotem wiary. Wiara potrzebuje uzewnętrznienia się, pobudza do propagandy. Powstaje więc nowa religia. Nauka jéj, niby ziarno, paść może na grunt mniéj lub więcéj przygotowany. Przyjęcie się i dalszy jéj rozwój zależy od tego, w jakim stopniu odpowiada ona potrzebom społecznym, wynikającym z warunków dziejowych.

Wierzący nie wymagają rozumowań przyodzianych w formę traktatów naukowych, gardzą dowodami, wymagającemi szeregu rozpraw, odrzucają wszelką ścisłość, nie uznają konieczności badania. Przeto, gdy z kolei rzeczy propaganda przybierze, przy odpowiednich warunkach, szersze rozmiary i wyjdzie za obręb pierwotnych działaczy, zaczyna się tworzyć legenda. Będzie to zasłona jednobarwna, która wszystko pokryje. Będzie to warstwa nowego pokładu, która wszystko zarówna. Przerwie się nić, łącząca żywe niegdyś istoty z żywém społeczeństwem. Zginie w pomroce przeszłości indywidualizm główniejszych osobistości. Bohaterowie przetworzą się w ideały.

Najbardziéj przeto stanowcza chwila w dziejach religii usuwa się z pod kontroli naukowéj.

Trudne zadanie oczekuje badaczy. Muszą oni dojść, posługując się metodą krytyczną i różnemi materyałami postronnemi, do istotnego znaczenia samych faktów, które wytworzyły legendę; odsłonić zakryte nią scenaryum dziejowe, przywrócić cechy indywidualne uogólnionym w legendzie zdarzeniom; w ideałach odszukać ludzi rzeczywistych; a tchnąwszy w nich życie, myśl, uczucia, dopatrzéć prawdziwéj pobudki czynów. Następnie należy im zbadać warunki historyczne, które ułatwiły propagandę i umożliwiły przyjęcie się nowéj nauki. Nakoniec obowiązani są oni wykazać przyczyny, w skutek których dana religia stała się wyrazem postępu w danéj chwili dziejowéj, oświetlić drogi, na których ów postęp w istocie się urzeczywistnił.

Zadania tego odnośnie do chrystyanizmu podjął się Ernest Renan i na swój sposób wykonał. Na początku roku bieżącego wyszło dzieło jego: *Marc-Aurèle et la fin du monde antique.* Zamyka ona jako ostatnia a siódma z rzędu księga szereg prac, noszących wspólny tytuł: *Histoire des origines du Christianisme.* Księga pierwsza tego zbioru wyszła przed laty dwudziestu pod tytułem: *Vie de Jésus.*

Siedm ksiąg, któremi Renan obdarzył swój naród, zawierają historyą krytyczną i pragmatyczną najważniejszéj epoki w dziejach chrystyanizmu, gdyż początkowéj, i będąc owocem wyłącznie nauce poświęconego żywota, stanowią, śmiało rzec można, główną pracę naukową tego badacza. Prace bowiem jego dawniejsze z dziedziny filozofii i lingwistyki, krytyki i literatury, które mu już poprzednio zjednały sławę uczonego oryentalisty i samodzielnego krytyka oraz otworzyły podwoje dwóch Akademij, posłużyły tylko, jak to z ich następstwa po sobie zawyrokować możemy, za stopnie prowadzące do wysokości odpowiedniéj przedsięwziętemu zadaniu. Samo wykonanie rozległego, aczkolwiek zmodyfikowanego następnie planu *Historyi początków Chrystyanizmu* wymagało ćwierci stulecia, to jest tyle czasu, ile w życiu ludzkim wynosić może wiek dojrzałości. Autorowi przeto zarzucić się nie da brak dostatecznego przygotowania naukowego lub zbytni pośpiech w wykonaniu.

Lecz jeszcze jedna okoliczność podnosi znaczenie téj pracy Renana. Wskrzesza on tym dziełem studya oddawna w ojczyznie swéj zaniedbane. Francyi, która wydała Ryszarda Simona (1638—1712), założyciela szkoły krytycznéj, i Jana Astruca (1703—1766), pomysłowego propagatora nowéj nauki, wkrótce wydarte zostało przewodnictwo na tém polu przez Niemcy. Uchylenie się Francuzów od badań nad religiami a zwłaszcza od krytyki źródeł historycznych, podstawy tych badań, niekorzystnie wpłynęło na ich charakter i kierunek. W rękach filozofów i teologów niemieckich straciły one mogącą za-

lecać je zawsze żywotność. Pod tym więc względem dzieło Renana stanowi epokę.

Słuszną więc będzie rzeczą, żebyśmy, my, którzy na polu wielu nauk, zwłaszcza zaś tych, które wymagają studyów głębokich i śmiałéj inicyatywy, żywimy się obcym dorobkiem, poznali treść dzieła Renana i choć w taki sposób obeznali się z jedną z najciekawszych i najważniejszych epok w życiu dziejowém ludzkości. Nie możemy atoli przystępować do samych dziejów, nie poznawszy poprzednio materyału historycznego, na podstawie którego napisał Renan *Historyę początków Chrystyanizmu*. Że praca ta przygotowawcza nietylko jest pożyteczną lecz i konieczną, dowodzi tego sam fakt, że autor każdą księgę poprzedza obszernym wstępem, w którym rozbiera krytycznie wartość i znaczenie każdego pomnika służącego mu na źródło dla danego okresu.

I. Źródła historyczne.

Badacz dziejów początkowych chrystyanizmu ma do czynienia z wielce różnorodnym, niejednakowego znaczenia i pochodzenia materyałem historycznym. Materyał ten stosownie do celu podzielić on może na trzy odrębne grupy. Pierwszą grupę utworzą dzieła Józefa Flawiusza i Filona Aleksandryjczyka. Dadzą mu one możność wykonać kunsztowną oprawę historyczną, dla całéj epoki oraz wykażą panujące podówczas teorye metafizyczne, które zlawszy się następnie z chrystanizmem, dostarczyły mu podstaw filozoficznych, ułatwiły dostęp do sfer wyższych oraz przyjęcie się w nich. Grupa druga, Talmud, przedstawi badaczowi kodeks owoczesnéj moralności, wtajemniczy go w ducha społeczeństwa, wśród którego powstała nowa religia. Nakoniec tak przygotowanemu grupa trzecia odsłoni istotę chrystyanizmu, ukaże zawiązek pierwszéj gminy chrześciańskiéj, wyjaśni czyny propagatorów nowéj nauki, przędstawi dzieje początkowego jéj krzewienia się. Będą to bowiem pomniki piśmiennictwa żydowskiego, zostające w bezpośrednim związku z powstawaniem chrystyanizmu, oraz to wszystko, co powstało w łonie dwóch pierwszych generacyj chrześcian a doszło do nas. A więc: 1) Okolicznościowe utwory nieznanych autorów, noszące ogólną nazwę Apokryfów Starego Testamentu; 2) Zbiór pomników nazwany Nowym Testamentem; 3) Pisma tak zwanych mężów apostolskich autentyczne lub im tylko przypisywane.

Na tém miejscu zająć nas przedewszystkiém powinny i mogą materyały historyczne stanowiące grupę ostatnią. Do nich przeto bezpośrednio przystępujemy.

1.

Literatura apokryficzna wyrasta na pniu literatury hebrajskiéj starożytnéj i stanowi bardzo rozległą i bogatą jego gałąź. Nazwa jéj rodzajowa pochodzi od słowa greckiego *apokryptô* (= ukryć, zaciemnić); które to pojęcie da się zarówno zastosować jak do treści stanowiących ją utworów, zawsze ciemnéj i zagadkowéj, tak téż i do autora nigdy niewiadomego, lub ukrytego pod nazwiskiem osobistości dobrze znanéj z dziejów lub legend. W literaturze apokryficznéj osobne i główne zajmują miejsce utwory zwane Apokalipsami (= objawienia, od *apokalyptô* — odkryć, objawić). Jest ich kilka, lecz wszystkie są do siebie formą a zwłaszcza treścią i duchem zbliżone, a pojawiały się zwykle w chwilach stanowczych dla narodu żydowskiego. Do zrozumienia ich przeto tylko historya dostarczyć może klucza właściwego.

Naród żydowski utracił niezależność polityczną jeszcze na początku wieku VI-go przed erą naszą. Cios ostateczny, przyprawiający go o utratę samodzielności państwowéj, otrzymał z ręki króla babilońskiego Nabukudur-usura. Upadek państwa babilońskiego poddał go władzy monarchów perskich; upadek państwa perskiego poddał go władzy zdobywcy całego owoczesnego wschodu historycznego. Wcielony w skład efemerycznego państwa Aleksandra W-go, musiał dzielić zmienne losy wszystkich ludów to państwo składających. Jako zamieszkały w kraju leżącym na drodze łączącéj Egipt z Mezopotamią, przechodził z rąk do rąk dwóch współzawodniczących z sobą dynastyj: Ptolemeuszów egipskich i Seleucydów syryjskich. Nakoniec wraz z całą zachodnią Azyą uległ potędze Rzymian.

Lecz naród ten pod jednym względem wyróżnił się mocno od innych narodów ówczesnych. On pierwszy w świecie starożytnym doszedł do poczucia swéj wśród innych ludów odrębności i zdołał rozbudzić w sobie samowiedzę narodową. On pierwszy w chaosie spowodowanym powstawaniem i upadaniem państw wyrobił sobie historyozofią oryginalną i teorye jéj oparł na istnieniu i potędze swego boga narodowego, Jehowy.

Obdarzywszy Jehowę wyższemi przymiotami etycznemi, wywyższywszy go po nad innych bogów, naród ten nie wątpił o ostateczném jego zwycięstwie. Zwycięstwo Jehowy musiało pociągnąć za sobą zapanowanie sprawiedliwości na ziemi. Zapanowanie sprawiedliwości zwracało pognębionym narodom wszystkie prawa, wskrzeszało dawniejsze swobody. Sprawiedliwość tylko w taki sposób przejawić

się mogła. Wiążąc przeto losy swe z pojęciem porządku wyższego na świecie, wiek złoty pomieścił on nie w przeszłości odległéj, lecz w bliskiéj przyszłości i spokojnie oczekiwał urzeczywistnienia swoich marzeń i nadziei, gdyż urzeczywistnienia ich był pewny.

A tymczasem, wbrew wszelkim oczekiwaniom, coraz to gorsze następowały czasy. Naród z pod panowania jednego obcego monarchy przechodził pod panowanie drugiego, a każde następne było gorsze od poprzedniego.

Otóż w chwili, gdy zdawało się, że zło dosięga już najwyższych rozmiarów, gdy naród znękany zaczął tracić już nadzieję a w niéj najskuteczniejszy oręż walki, gdyż podstawę odporności, pojawiały się Apokalipsy. Autorowie tych utworów, wprowadziwszy na scenę znaną jaką osobistość, każą jéj podlegać widzeniom i takowe widzenia w imieniu téj osobistości opowiadają. Widzenia te składają się z szeregu obrazów symbolicznych, przedstawiających bieg historycznych wypadków, zawierają sąd nad osobistościami współczesnemi lub znanemi z dziejów i kończą się zawsze alegoryczną przepowiednią bliskiego i pomyślnego rozwiązania sytuacyi groźnéj, zapowiedzeniem nowéj ery, nowego porządku rzeczy na ziemi.

Ponieważ Jehowa dla dokonania zamierzonego przewrotu potrzebował tylko komukolwiek bądź dać rozkaz stosowny, potrzebował obdarzyć w tym celu pełnomocnictwem, przeto autorowie Apokalips upatrują wśród żyjących odpowiednią osobistość i na nią, jako na narzędzie woli Jehowy, wskazują; lub, w braku odpowiedniéj wśród żyjących, przyjście dopiero takiéj na świat zapowiadają.

Ów wybrany przez Jehowę miał posiąść władzę najwyższą, nieograniczoną, a na znak swéj roli, stosownie do przepisów rytuału, otrzymać, jak ongi Saul i Dawid, pomazanie na królestwo *misz-cha*, zostać *maszyjach*, *pomazańcem* Jehowy i jako taki widomym przewódcą narodu. Zjawienie się mesyasza i pokonanie przezeń nieprzyjaciół rozpoczynało *erę mesyaniczną*.

Z pojęciem mesyasza związane jest jeszcze i inne: *sądu*, *dnia* Jehowy. Zwycięstwo mesyasza, jako pełnomocnika, narzędzia Jehowy, było zarazem zwycięstwem Jehowy samego, więc chwilą najwyższego przejawu jego potęgi i wszechmocy, *dniem* Jehowy. Nowy porządek rzeczy wprowadzony przez mesyasza mógł wtedy tylko utrwalić się i ostatecznie zapanować, gdy Jehowa osądzi wszystkich i wszystko. Przeto *sąd* Jehowy poprzedzić powinien erę mesyaniczną.

Zwycięstwo Jehowy nad innemi bogami, zwycięstwo mesyasza nad innymi wodzami będzie w istocie rzeczy zwycięstwem narodu żydowskiego nad innymi narodami. Rozprzestrzeni on wiarę w swe-

go boga narodowego po całym świecie, przez co i innym ludom da możność odrodzenia się i stania się godnymi nowego porządku rzeczy. Jedne ludy, uznawszy w Jehowie boga prawdziwego, uwierzą weń; drugie podlegać będą władzy narodu wybranego.

Nakoniec, by wymaganiom sprawiedliwości wyższéj stało się zupełnie zadość, na sąd Jehowy zgromadzić się mają nie tylko żyjący podówczas, lecz i ci wszyscy, którzy byli pomarli przed tém, niedoczekawszy się zapowiedzianéj epoki odrodzenia. Powrót do życia pozwoli im przyjąć udział w nowym porządku rzeczy, który dla dobrych będzie nagrodą zasłużoną, dla złych karą stosowną.

Takie to są główne pojęcia, które spotykamy w Apokalipsach. Rozwijając je atoli i krzewiąc, autorowie tych utworów po części uzupełniali naukę dawnych proroków, po części z téj nauki nowe wyciągali wnioski. I tak: zwycięstwo ostateczne Jehowy nad obcymi bogami oraz w głównych zarysach erę mesyaniczną przepowiadali Izajasz, Jeremiasz i innych pomniejszych kilku. Joel przygotowuje umysły do dnia Jehowy. Nieznany z imienia autor XL—LXVI rozdziałów księgi Izajasza, (Izajasz II,) żyjący w czasach niewoli babilońskiéj, Cyrusa, króla perskiego, nazywał mesyaszem. Więc nie oryginalność pomysłów stanowi główne znaczenie literatury apokaliptycznéj, lecz zapomocą téj literatury krzewienie i rozpowszechnianie tego co podtrzymywało w gnębionym przez obcych narodzie wiarę we własne siły, poczucie własnéj żywotności, pewność istnienia.

Apokaliptycy luźne twierdzenia dawnych proroków ujęli w system oparty na rozwoju dziejowym. Przez ukrycie pod symbolami rzeczy znanych nadali swym utworom więcéj tajemniczości nęcącéj. Przez zręczne przedstawienie faktów z przeszłości lub terazniejszości, jako wypadków przyszłych, większą wiarę w prawdziwość swych słów budzili. Za pomocą tych sposobów zupełną pewność lepszego jutra wytworzyli; ludzi zwykłych do czynów bohaterskich uzdolniali; życie narodu stosownie do biegu wypadków z dnia na dzień regulowali; upajając społeczeństwo całe nadzieją niezłomną, wprawiali każdego w nieustanny niepokój i oczekiwanie, łudząc świetną przyszłością, utrzymywali wszystkich w nieokreślonym naprężeniu ducha, w zawieszeniu ciągłém.

Jednolitość formy, wspólność pojęć, cele jednakie nie pozbawiają wszakże Apokalips oryginalności pewnéj. Szukać jéj musimy w różnych kombinacyach popularyzowanych przez nie pomysłów oraz zastosowywaniu teoryj ogólnych do wypadków bieżących. Szereg przeto Apokalips przedstawia nam dokładny obraz rozwoju idei mesyanicznych, które, jak o tém świadczą fakty, stanowczy na bieg

wypadków wpływ wywierały. Należy tylko ułożyć je w porządku chronologicznym (1).

Apokalipsę pierwszą, znaną jako księga Daniela, wywołały rządy Seleucydów.

Aczkolwiek po upadku państwa babilońskiego stan rzeczy w Judei dalekim był od tego, jaki wytworzyła sobie w przyszłości rozbujała wyobraźnia gorliwych czcicieli Jehowy, jednakże w czasach perskich i za panowania Ptolemeuszów można było go nazwać stosunkowo bardzo pomyślnym. Mieszkańcy jéj mieli zupełny samorząd wewnętrzny i używali całkowitéj swobody religijnéj. Prześladowanie narodowości żydowskiéj rozpoczęli Seleucydowie, pod których władzę dostała się Judea na początku II-go wieku przed erą naszą. Antyoch IV, zapalony helenizator Judei, na ołtarzu, poświęconym wyłącznie czci Jehowy, wzniósł ołtarz Jowisza (r. 167). Sprofanowanie świątyni boga narodowego jednych ugięło, drugich żądzą walki i oporu natchnęło.

Wówczas to (około r. 167) pokazała się Apokalipsa Daniela.

Doszła ona do rąk naszych w całości i wyjątkowo w oryginale, ponieważ wcielono ją do zbioru pomników Starym Testamentem zwanego. Składa się z XII rozdziałow, z których połowa jest zredagowaną w języku aramejskim, podówczas panującym w całéj Palestynie.

Wywołana prześladowaniem brutalném, rozpalona świadomością krzywdy doznawanéj, podtrzymywana pewnością zwycięstwa, oparta na poczuciu własnych praw i godności walka z potężnymi władcami Azyi trwała lat trzydzieści. Zakończyło ją zwycięstwo dobréj sprawy. Symon, ostatni z żyjących Hasmoneuszów, bohaterskich pięciu braci, został przez naród na władcę kraju powołany (r. 141). Rządy syna jego, Jana Hirkana, zdawały się zapowiadać urzeczywistnienie już blizkie nadziei wszelkich. Jako władca świecki przyłączył Samaryą i Idumeę, czém rozszerzył granice odradzającego się państewka, jako najwyższy kapłan zburzył świątynię w Garizim, czém zcentralizował na nowo kult Jehowy w Jerozolimie. Lecz miał on przeciwników. Nie pochodził bowiem z rodu, który według tradycyi mógł jedynie tylko piastować kapłańskie urzędy. Należało więc władzę Hirkana wzmocnić, znaczenie jego osoby i partyi pod-

(1) Chronologiczne uporządkowanie Apokalips znajdujemy w pracach i wydawnictwach: Lücke: Einleitung in die Offenbarung des Joannes 1852.—Hilgenfeld: Messias Judaeorum, 1869. Judische Apocaliptik, 1857.—Tischendorf: Apokalipses Apocryphae 1866.—M. Vernes: Histoire des Idées Messianiques, 1874. Również przydać się może: Dictionnaire des Apocryphes—wyd. Migne'a, 2 v.

nieść, dalszą pomyślność zrobić zależną od jego losów. Miała tego dokonać Apokalipsa druga, znana jako *księga Henocha*. Zjawiła się ona około 110 roku przed naszą erą.

Składające księgę tę CX rozdziałów rozpada się na 5 części odrębnych. Druga z nich (XXXVII—LXXI) wstawioną została w czasach znacznie późniéjszych; może za Heroda W. a nawet—pod koniec I-go stulecia naszej ery, gdyż niektórzy ślady nowéj nauki w niéj upatrują.

Dziwaczne losy obeszły się z Apokalipsą Henocha inaczéj jak z poprzednią. Napisana w języku hebrajskim czy też aramejskim, przełożoną została na język grecki, z greckiego na etyopski. Oryginał i przekład grecki zaginęły. Więc tylko znaną jest z przekładu etyopskiego, odnalezionego przed kilkudziesięciu laty.

Wypadki nowe wywołują Apokalipsę nową. Dwaj wnukowie Hirkana, Hirkan II i Arystobul II, wszczęli pomiędzy sobą walkę o władzę nad krajem noszącym już podówczas nazwę królestwa. Pierwszy przyzwał na pomoc Arabów, drugi—Rzymian. Pomoc Rzymian okazała się skuteczniejszą. Pompejusz zdobył Jerozolimę (r. 63) i ze sprzymierzeńca jednego stawszy się sędzią obu, słuszność przyznał Hirkanowi. Lecz tylko słuszność, gdyż najwyższą władzę zatrzymał nadal przy sobie. Część kraju przyłączywszy do Syryi, będącéj podówczas już prowincyą rzymską, Pompejusz byłego króla judzkiego mianował etnarchą i nadał mu prawa najwyższego kapłana. Z owych to czasów pochodzi Apokalipsa Mojżesza (1).

Dzieje téj Apokalipsy są zupełnie takie jak i poprzedniéj. Oryginał hebrajski, czy też również aramejski, i przekład pierwotny grecki zaginęły. Przekład etyopski, dokonany z greckiego, niedawno odnaleziono.

Wypadki szybko biegły. Po śmierci Hirkana II władzę nad krajem chociaż nominalną objął syn powiernika jego i doradcy, Antipatra, Herod. Zręcznéj polityce tego nowego władcy kraj zawdzięcza chwilowy blask zewnętrzny i wznowienie tytułu królestwa. Po śmierci Heroda nastąpił podział ostateczny państwa judzkiego. Judeę otrzymał z tytułem etnarchy Archelaus, syn Heroda. Lecz, wkrótce

---

(1) Księga znana jest jeszcze i pod innemi tytułami, a mianowicie, jako Księga Jubileuszów lub Genesis Mała. Rozmaite te tytuły mają swą podstawę w wielkiéj rozmaitości treści. Nazwaną została Apokalipsą Mojżesza, gdyż Jehowa, a następnie jeden z aniołów jego odkrywa Mojżeszowi na górze Synai dzieje jego narodu na tle dziejów innych narodów. Zwie się Księgą Jubileuszową, gdyż autor zachowuje wielką ścisłość pod względem chronologicznym i za jednostkę czasu przyjmuje peryod jubileuszowy (49 lat). Nakoniec, ponieważ zawiera opowiadanie o początku świata oparte na Genesis, może nosić tytuł Małéj Genesis.

i ten cień niezależności zniknął. Roku 6-go ery naszéj cała Judea została wcieloną do prowincyi rzymskiéj Syryi. Odpowiedzią na to postanowienie cesarza rzymskiego Augusta ze strony przyłączonych było powstanie pod dowództwem Judasza Galilejczyka. Otóż na te czasy przewrotów i klęsk przypada Wniebowzięcie Mojżesza. Tekst téj księgi pierwotny, prawdopodobnie aramejski, zaginął. Lecz i pozostałe dwa przekłady, grecki i łaciński, nie doszły do nas w całości zupełnéj.

Zburzenie Jerozolimy przez Wespazyana i rozpierzchnięcie się żydów po krajach obcych nie zatamowało źródła, zkąd czerpali natchnienie swoje Apokaliptycy. Owszem, literatura apokaliptyczna jeszcze się bardziej ożywiła. Przybyły jej nowe elementa. Bieg wypadków politycznych wzbudził niewysłowioną, niczem zmiękczyć się niedającą nienawiść ku Rzymowi. Wyzuci z ludzkich uczuć i obowiązków Cezarowie, nie przedstawiali w oczach ludu tego pewnych osobistości, lecz siły brutalne a nieznane i wzniecali trwogę i zgrozę zarazem. Stan moralny społeczeństwa, ucisk i prześladowanie, któremu podlegali jedni, bezgraniczna swawola i bezmyślna rozpusta, którym się oddawali drudzy, budziły pesymizm rozpaczliwy. Myśl wzbogacona dłuższém doświadczeniem bezwiednie przekraczała granice pojęć ówczesnych i refleksyą owo zwątpienie jeszcze potęgowała. Zwątpienie stanęło do walki z wiarą. Lecz gdzież szukać należało innego rozwiązania jak nie w tradycyach? Czyż zresztą coraz groźniejszy stan rzeczy nie mógł znamionować zbliżania się epoki przewrotów? Wiara musiała zwyciężyć. Walka atoli przybrała charakter tragedyi psychicznéj.

Uczucia te i prądy znalazły wiernego przedstawiciela w osobie autora księgi IV Ezdrasza (1).

Ponieważ zbliżyć przyszłość lepszą mógł tylko upadek Rzymu, przeto wszystko, co ten upadek zdawało się zapowiadać, czy to niepowodzenie w polityce zewnętrznéj, czy to klęski wewnętrzne, niezwykłe zjawiska przyrody, zamordowanie jednego, nietrafny obiór drugiego Cezara, wszystko to ożywiało nadzieje, wytężone oczekiwaniem umysły zatrzymywało na wypadkach, do nowych kombinacyi pomysłów apokaliptycznych skłaniało. W stuleciu pierwszém

---

(1) Dwie kroniki, pochodzące z IV-go wieku przed erą naszą (księga Esdrasza i księga Nehemiasza) znane są jako *dwie* pierwsze księgi Esdrasza. *Trzecią*, została nazwana z czasów późniejszych pewna kompilacya historyczna. Dla Apokalipsy więc przypadła nazwą *czwartéj*. Pomiędzy *Wniebowzięciem Mojżesza* i *Apokalipsą Esdrasza* przypada miejsce na *Apokalipsę św. Jana*. Lecz ponieważ weszła ona do zbioru zwanego Nowym Testamentem, przeto o niéj będzie mowa poniżéj.

podwakroć państwu rzymskiemu groził w oczach współczesnych upadek. Po zamordowaniu ostatniego z rodu Juliuszów i ostatniego z rodu Flawiuszów. Lecz po Neronie nastąpił wkrótce Wespazyan, który szybko wzmocniwszy sytuacyą na zewnątrz i wewnątrz państwa, pozbawił nadziei wrogów jego. Następca Domicyana, Nerwa, tego nie dokazał. Przyszłość jeszcze niepewniéj się przedstawiała. A nadto żydzi mieli jeszcze inne powody do cieszenia się z wygaśnięcia tak prędkiego dynastyi Flawiuszów i upatrywania w tém kary zesłanéj przez Jehowę. Z imieniem założyciela téj dynastyi związanym został najkrwawszy dramat w ich dziejach, najboleśniejsze wspomnienie z przeszłości. Rana, zadana ich narodowości przez Wespazyana, była świeżą, i miała pozostać nigdy nieuleczoną. Przytém Domicyan został zabity przez swoich, przez tych, którzy tylko korzystali z takiego stanu rzeczy, którzy byli wspólnikami jego okrucieństw. pomagali mu w pastwieniu się nad bezbronnemi ludami. Koniec Domicyana, bardziéj odpowiedni życiu wyrzutka społeczeństwa niż jego wybrańca, obdzierający ze wszelkiego uroku majestat Cezarów, czyż nie mógł być już zapowiedzią sądu Jehowy?

Tak rozumować mógł autor Apokalipsy Esdrasza, gdy w roku pierwszym panowania Nerwy (r. 97) kreślił ten utwór. By myślom swoim nadać szerszy obieg, obrał język grecki. Powodzenie téj nowéj apokalipsy było nadzwyczajne. Dokonane przekłady na języki arabski, armeński, syryjski, etyopski i łaciński świadczą o zainteresowaniu się podówczas treścią jego całego wschodu i zachodu. I rzeczywiście pod względem wzniosłości myśli, bogactwa obrazów, tragicznego nastroju uczuć, głębokości poglądów utwór ten bezwzględnie zasługuje na poznanie i umieszczenie na czele wszystkich tego rodzaju utworów. Żaden tak dokładnie nie przedstawia epoki, żaden takiego wpływu nie wywarł na umysły współczesnego pokolenia i potomnych.

Lecz i tym razem zawiodły oczekiwania. Chęciom i nadziejom nie odpowiedziała rzeczywistość, Po Nerwie władcą świata został Trajan; Trajana następcą Adryan. Potęga Rzymu wzrastać bardziéj niż się chylić zaczęła. Zwycięzkie legiony dotarły do Tygrysu. Cały historyczny wschód wszedł był w obręb posiadłości rzymskich. Fakta te dowodziły, że biegiem dziejów nie kierują chęci lecz czyny. Zrozumieli to żydzi. Wyjątkowe niepowodzenie oręża rzymskiego w Mezopotamii i Armenii pod koniec 116 r. ośmieliło ich. Osądzili, że chwila najodpowiedniejsza do rozpoczęcia walki nastąpiła już. Ponieważ rozsiani będąc po całym wschodzie, w wielu miejscowościach stanowili poważną siłę, zaczęli działać zaczepnie. Wybuchły

rzezie w Egipcie, Cyrenaice, Cyprze. Pod nożami mszczących krzywdy kraju swego padali niewinni a spokojni sąsiedzi i dotychczasowi współobywatele. Ruchy te przygotować i ułatwić miały powstanie w Judei. Wyrazem tych usposobień stała się Apokalipsa Barucha, Chociaż autor naśladował w niéj język i formy księgi IV Ezdrasza, nie pozbawiło to jednakże utworu tego pewnych cech oryginalności i znamion czasu tak ważnego. Oryginał grecki wcześnie zaginął. Przechował się przekład na język syryjski.

Apokalipsa Barucha zamyka szereg Apokalips należących do Apokryfów Starego Testamentu (1). Pokazanie się w Judei Ben-Koriby, ogłoszonego przez garstkę zelotów na mesyasza, doprowadziło do powstania (r. 133), które było ostatniem już na polu szerszéj akcyi wystąpieniem żydów przeciwko porządkowi rzeczy utrwalonemu przez Rzymian.

Uzupełnieniem Apokalips są apokryficzne Księgi Sybilli.

Ze wschodnich narodów jeden tylko żydowski przy zetknięciu się z grekami zdołał przeciwstawić ich kulturze—swoję, ich piśmiennictwu—swoje. W tym przeciwstawieniu występował nawet w roli zaczepnéj. Pole naukowe, na którém otwarcie walczyli Arystobul, Filon, dla ich zelotyzmu zdawało się za szczupłem. Zwyciężać Greków chcieli ich własną bronią. Pojawiały się przeto utwory tendencyjne, głównie propagandzie pomysłów związanych z judaizmem służące, pisane przez żydów lecz wydawane pod imionami znanemi w literaturze greckiéj. Do takich właśnie należą wzmiankowane Księgi Sybilli.

Księgi te składają się z oddzielnych poematów. Poematy pojawiały się w Aleksandryi w przeciągu pięciu wieków. Razem zebrane stanowią ksiąg XV. Dawniejsze są napisane przez żydów, późniejsze przez chrześcian. Do dawniejszych należą: §§ 2 i 4 księgi III. Sięgają one jeszcze początku II wieku przed erą naszą. Księga IV pochodzi z czasów Domicyana. Wstęp do ksiąg Sybilli (*Proëmium*), § 2 księgi VIII, § 3 księgi III pochodzą z czasów Trajana i Adryana (2).

---

(1) Oprócz Apokalipsy św. Jana następne utwory apokryficzne stanowią literaturę apokaliptyczną chrześciańską: 1) Wniebowzięcie Izajasza z II w., 2) Widzenie Izajasza z III w., 3) Apokalipsa św. Piotra, 4) Apokalipsa Kommodiana z III w., 5) Testament XII patryarchów z II w., 6) Pasterz Hermasa z II w.; Apokalipsy zebrane i wydane przez Tischendorfa (Apocaliptes Apocryphae) są jeszcze późniejsze.

(2) Najcelniejszém wydaniem ksiąg Sybilli jest C. Alexandre: Oracula Sibyllina, 1869. Objaśnień wszelkiego rodzaju udzieli tegoż autora: Excursus ad Sibyllina, 1856.

Poematy sybilskie wtajemniczać miały Greków i Rzymian w te pomysły, które rozwijały wśród Żydów Apokalipsy. Ztąd wypływa ich związek z Apokalipsami, ztąd ich znaczenie niepowszednie dla historyi tych czasów.

2.

Apokryfy Starego Testamentu, wtajemniczając nas w nastrój umysłów społeczeństwa, wśród którego powstał chrystyanizm, służą historykowi do odmalowania tła obrazu, do oświetlenia tego obrazu kolorytem właściwym czasowi. Postaci głównych dla zapełnienia tła samego oraz wskazówek, jak należy te postacie odpowiednio ugrupować w akcyi saméj, dostarczą pomniki stanowiące Nowy Testament (1).

Pomniki te tworzą cztery różne działy. Dział 1-szy stanowią Ewangelie. Są to pełne prostoty i wdzięku epizodyczne opowiadania o życiu Jezusa. Nazwę zaś swoją zawdzięczają treści, gdyż obwieścić miały narodowi dobrą nowinę, że ten, którego naród ów oczekiwał z takiém upragnieniem, już był przyszedł na świat, że chociaż go już wśród żyjących niema, lecz zostały jego słowa, zapowiadające prędki powrót do swoich, jego nauka, dobra nowina, którą on objawił światu.

Ewangelij jest cztery. Każdéj z nich tradycya wskazuje inne pochodzenie, gdyż na czele każdéj mieści odmienne napisy. Pierwsza nosi nadpis—„według Mateusza;“ druga—„według Marka;“ trzecia—„według Łukasza;“ czwarta—„według Jana.“

Już samo przeczytanie uważne wszystkich czterech Ewangelij przekona: 1) że trzy pierwsze, tak zwane synoptyczne (2), różnią się

---

(1) Dla studyów specyalniejszych są konieczne:
Wette: Die Einleitung in das. Neue Testament (wydania są liczne).
Bleek: Einleitung in das N. T. (również jest wydań kilka).
Hilgenfeld: Einleitung in das Neue Testament. 1875.
Tegoż: Novum Testamentum extra Canonem receptum. 4 zesz.
F. Chr. Baur: Vorlesungen über neutestamentliche Theologie. 1864.
E. Reuss: Histoire de la Theologie Chrétienne au siécle Apostolique. 1864. (3 v.).
E. Haag: Histoire des dogmes chrétiens. 1862.
Wiele cennych wskazówek udzielić może:
M. Nicolas: Etudes critiques sur la bible N. T. 1864.

(2) Dla ułatwienia porównań a zarazem udogodnienia badania, trzy te Ewangelie były nieraz drukowane w trzech obok siebie leżących kolumnach. To dawało możność objęcia odrazu wzrokiem (σύνοψις) wszystkich trzech tekstów. Od takich to wydań Ewangelie te noszą nazwę *synoptycznych*.

od czwartéj nietylko sposobem opowiadania lecz i faktami przytaczanemi, nietylko duchem ożywiającym całość utworu, lecz i punktem zapatrywania się na osobę mistrza; 2) że to wszystko, co tak stanowczo trzy pierwsze od czwartéj oddala, zbliża te trzy do siebie.

Naprzód co do faktów. Różnica sięga nawet tych, które są pierwszorzędnego znaczenia i jako takie różnić się w opowiadaniach wcale nie powinny. Naprzykład. Powołanie apostołów inaczéj jest opowiedziane w synoptycznych, inaczéj w czwartéj. Według tamtych, Jezus na początku swego wystąpienia publicznego sam wzywał uczniów (Mat. IV, 18—22; Mar. I, 16—20; Łuk. V, 1—11). Według téj uczniowie sami się zgłaszali; Jezus zachowywał się biernie (Jan, I, 35—42). Według synoptycznych Ewangelij, Jezus został schwytany i skazany na śmierć po odbyciu wespół z uczniami uroczystéj wieczerzy paschalnéj i spożyciu baranka pamiątkowego. Z uroczystością tą jest tam związana tajemnica eucharystyi (Mat. XXVI, 2, 17—20; Mar. XIV, 12—18; Łuk. XXII, 7—14). Według czwartéj, schwytanie i ukrzyżowanie poprzedzało o kilka godzin uroczystość baranka (Jan, XVIII, 28). I dalej. Według synoptycznych, Jezus przebywał i nauczał wyłącznie tylko w Galilei i sąsiednich okolicach. Do Jerozolimy udał się tylko raz i wtedy śmierć poniósł. Czwarta twierdzi, że przedewszystkiem przebywał w Jerozolimie, tam głównie nauczał tłumy, wiódł długie spory z faryzeuszami. W niéj tylko dwa rozdziały (IV, VI) są poświęcone wspomnieniom podróży do Galilei i Samaryi. Nakoniec, według trzech pierwszych, działalność publiczna Jezusa trwała nie dłużéj roku; czwarta podaje, że ciągnęła się lat trzy.

Różnica w faktach przytaczanych pozostaje w ścisłéj zależności od odmiennego zapatrywania się na osobę Jezusa w trzech pierwszych a czwartéj. Według tamtych, Jezus był prorokiem, wyższym od innych, gdyż ostatnim. Posłannictwo jego polegało na uzupełnieniu tego, co dawniéj było objawioném. Dla tego mógł on siebie nazywać Mesyaszem; dla tego przyjście jego było oddawna zapowiedzianem. Według czwartéj, Jezus był istotą nadprzyrodzoną. Istniał już przed żywotem ziemskim. Zstąpił na ziemię by przetworzyć ludzi, wyrwać ich z ciemności, w któréj dotychczas pogrążeni byli, zrobić ich uczestnikami królestwa bożego. Przebywając na ziemi, zostawał w najściślejszéj jedności z Bogiem, który go zesłał. Był więc synem bożym. W téj właśnie Ewangelii spotykamy pierwsze zastosowanie pomysłów metafizycznych Filona Aleksandryjczyka do życia rzeczywistego. Jezus bowiem jest w niéj nazwany *słowem* bożym.

Z różnicy téj zasadniczéj w zapatrywaniu się na osobę Jezusa wypływa różnica tycząca się formy i ducha Ewangelij. Wtrzech

pierwszych przeważa ułamkowość, w czwartéj znajdujemy ciągłość i jednolitość. W tamtych uwydatnia się przedewszystkiém chęć przedstawienia wypadków przedmiotowo, w sposób taki, jak według opowiadających, one w rzeczywistości się odbywały. W téj uderza dążność do nauczania, przekonywania. W tamtych góruje nastrój epiczny, w téj dogmatyczny. Tamtych język jest prosty, obrazowy; styl czysto opisowy. W téj język metafizyczny, zawiły, pełny przenośni; styl dyalogowy, kazuistyczny.

Jeśli przechodząc od tego, co trzy pierwsze Ewangelie różni od czwartéj, do tego co te trzy z sobą zbliża, porównamy każdą z nich z dwiema drugiemi, to odkryjemy, że główna przyczyna tego zbliżenia leży w tém, że w każdéj z nich, oprócz przytoczonych tych samych słów i nauk mistrza, znajdujemy nietylko większość tych samych i to najgłówniejszych epizodów, jakie spotykamy w innych dwóch, lecz że epizody te w każdéj z nich są temi samemi prawie opowiedziane słowami. Z takiego układu synoptycznych Ewangelij wypływa, że w 1-széj jedna czwarta część zawartości, w 2-giéj jedna ósma, w 3-ciéj jedna trzecia stanowią tylko oryginalny, właściwy jednéj, wyłączny każdéj z nich materyał. Pozostałe zaś części są bądź wspólne z jedną z dwóch, bądź téż z obydwiema. Ta to właśnie wspólność materyału stanowi podobieństwo między niemi co do formy; na niéj polega zgodność ich co do treści, jedność co do ducha i poglądów.

Przy tém wszystkiém jednakże i w synoptycznych Ewangeliach znajdujemy pewne sprzeczności.

I tak. Częstokroć jedne i te same wydarzenia są podane w każdéj z trzech na tle tak odmiennych okoliczności, że można by było przyjąć je śmiało za trzy różne, od siebie niezależne fakty. Naprzykład. Czytamy w Ewangelii według Mateusza (XX, 29—34), że Jezus uzdrowił *dwóch* ślepych *wychodząc* z Jerycho. W Ewangelii według Łukasza (XVIII, 35—43) znajdujemy, że uzdrowił tylko *jednego* i to *wchodząc* do tego miasta. Nakoniec Ewangelia według Marka zgadza się z poprzednią co do ilości, podając, że ślepy był tylko *jeden* (X, 47—51) lecz za to potwierdza szczegół podany przez 1-szą, że Jezus uzdrowił ślepego *wychodząc* z miasta. W podobnyż sposób Ewangelia według Mateusza opowiada o uzdrowieniu przez Jezusa w krainie Gerazeńskiéj *dwóch* opętanych (VIII, 28). Według Marka (V, 2) Jezus uzdrowił w téj krainie jednego tylko opętanego.

Czasem ta sprzeczność jeszcze się bardziéj uwydatnia. W Ewangelii według Mateusza (X, 10) i według Łukasza (IX, 3) czytamy, że Jezus, rozsyłając Apostołów do różnych ziem na misyą i zakazując im brać cokolwiek bądź z sobą w drogę, nawet i lasek zabronił im

zabrać. W 2-giéj laski jedynie tylko im brać zaleca. Dwie Ewangelię według Mateusza (XXVII, 44) i według Marka (XV, 32), podają, że złoczyńcy, którzy byli pospołu ukrzyżowani z Jezusem, urągali się mu *oba* razem. Ewangelia według Łukasza (XXIII, 39—43) utrzymuje, że *jeden* tylko złoczyńca to czynił. Drugi zaś miał się nawet zwrócić do Jezusa z prożbą następną: „pomnij na mnie, gdy przyjdziesz do królestwa swego."

Nakoniec niektóre sprzeczności przybierają rozmiary bardzo poważne. W Ewangelii według Mateusza czytamy, że niewiasty, przyszedłszy nad rankiem do grobu, w którym ciało Jezusa po śmierci było złożone i ujrzawszy anioła, skoro się tylko dowiedziały od niego, że ten, którego ciało nawiedzić chciały„zmartwychwstał, „z bojaźnią i z radością wielką bieżały opowiedziéć uczniom jego" (XXVIII, 8). Ewangelia według Marka utrzymuje, że niewiasty te „uciekły z grobu, albowiem wzięło je drżenie i zdumienie; a nikomu nie opowiadały, bo się bały" (XVI, 8). Również Ewangelia 1-sza oznajmia, że rodzice Jezusa po narodzeniu jego, z Betlehemu udali się do Egiptu (II, 14). Ewangelia według Łukasza podaje, że udali się do Nazaretu, miasta swego (II, 39).

Przytém należy zwrócić uwagę na jedną jeszcze okoliczność ważną. Pomimo posługiwania się przez autorów Ewangelij jednakowemi zazwyczaj wyrazami przy opisywaniu tych samych wypadków, trudno jest jednakże znaleść chociażby dwa wersety, które-by we wszystkich trzech Ewangeliach były powtórzeniem dosłownném jeden drugiego. Częstokroć nawet przy opisaniu jednego faktu, chociaż się zgadzają wszelkie szczegóły główne i drugorzędne okoliczności, ułożenie zdań i ich następstwo po sobie jest zupełnie różne (Mat. III, Mar. I; Mat. IX, 18, Mark. V, 23).

Zasadnicza różnica pomiędzy trzema Ewangeliami a czwartą jak również podobieństwo uderzające obok niezgodności pewnych, tożsamość zupełna obok sprzeczności najwidoczniejszych pomiędzy pierwszemi, już od czasów reformacyi niepokoiły umysły teologów niemieckich i po części angielskich, budząc pytanie, czemu należy przypisać jak jedno tak drugie. Ponieważ rzeczą było widoczną, że zarówno to, co zbliża, jak i to, co oddala, było wynikiem sposobu powstawania Ewangelij, pojawiały się więc rozmaite teorye powstawania ich. Zwrócono się najpierwéj do trzech Ewangelij synoptycznych, sądząc, i słusznie, że wyjaśnienie ich pochodzenia rzuci następnie światło na pochodzenie czwartéj.

Nim poznamy pogląd na rzecz tę Renana, nim przypatrzymy się powstawaniu Ewangelij w jego Historyi początków Chrystyanizmu, zatrzymamy się chwilowo na pracach i pomysłach jego poprzedników.

Najprostszém tłómaczeniem różnicy pomiędzy synoptycznemi Ewangeliami a czwartą jak zarazem podobieństwa pomiędzy trzema było przypuszczenie, że autorowie trzech pierwszych Ewangelij korzystali jeden z drugiego, że ten, który pierwszy napisał Ewangelią, służył za źródło dla drugiego, oba razem dla trzeciego. Szło tutaj tylko o to, która z trzech Ewangelij mogła być pierwszą. Teoryą tę głównie rozwijali i cechy pierwszeństwa po kolei każdéj z trzech przyznawali Hugo Grotius jeszcze w XVII stuleciu a następnie Storr, Büsching, Evanson, Vogel, Griesbach pod koniec XVIII w. Lecz teorya ta, tłómacząc różnicę między synoptycznemi a czwartą jak również podobieństwo między trzema, nie wyjaśniała wcale sprzeczności między temi trzema zachodzących. Przytém przeciwnicy téj teoryi, opierając się na fakcie, że każda z trzech Ewangelij, oprócz wiadomości, które jéj są wspólne z innemi, zawiera jeszcze takie, które jéj tylko są właściwe, udowodnili, że każdy z trzech ewangelistów, któregokolwiek byśmy trzecim nazwali i któremu byśmy wskutek tego korzystać z dwóch pierwszych kazali, opuszcza takie fakta, które by wybornie uzupełnić mogły te, które zebrał. Śmiały i trafny ten zarzut obalił całą teoryą. Należało zwrócić się w stronę inną.

Jeśli ewangeliści wiadomości swych nie zaczerpnęli jeden od drugiego, musieli czerpać je ze źródeł obcych. Źródła te mogły być dwojakie: piśmienne i ustne. Naprzód wystąpiła teorya źródeł piśmiennych. Teorya ta dwojakie przedstawia stopnie.

Leclerc, a następnie Michaelis, Koppe, Schleiermacher utrzymywali, że ewangelistom materyału do ich utworów dostarczyły drobne a luźne opowieści o Jezusie, krążące w pierwotnych gminach chrześciańskich. Pomysł ten atoli nie tłómaczy wielu rzeczy, a głównie planu Ewangelij synoptycznych: Jeżeli bowiem ewangeliści niezależnie jeden od drugiego korzystali z licznych opowiadań piśmiennych, zkąd pochodzić może układ materyału w Ewangeliach naszych zupełnie prawie jednaki,— a to tembardziéj, że układ ten, nie odpowiadając rzeczywistemu rozwojowi wypadków, a więc nie będąc oparty na chronologii, nie podlega żadnéj normie.

Zarzut ten skłonił Eichhorna do przypuszczenia Ewangelii pierwotnéj. Ponieważ sam pomysł Ewangelii pierwotnéj nie tłómaczył niezgodności z sobą w wielu wypadkach Ewangelij naszych, ani téż wyłączności niektórych w każdéj z nich wiadomości, przeto już i sam autor tego pomysłu, a w ślad za nim główny jego zwolennik Marsh przypuszczali, że owa Ewangelia pierwotna sama podlegała rozmaitym redakcyom, które w niéj różne zmiany stopniowo wprowadzały, i że właśnie w czasie takiego przeistaczania się służyła za źródło i pierwowzór naszym ewangelistom. Eichhorn podawał po-

czątkowo treść takich redakcyj; następnie stopniowe przekształcenie się pierwotnéj Ewangelii przez 12 przeprowadził stopni; Marsh zatrzymał się na 8. (1)

Systemat ten podlegał dwom zarzutom: 1) że jako zanadto sztuczny nie może być rzeczywistym; 2) że nie opiera się na żadnych historycznych danych.

Po obaleniu teoryi zarówno wielu źródeł piśmiennych jako téż i jednego, nastąpił czas na teoryą podań ustnych. Wystąpił z nią Gieseler. Dla należytego wyjaśnienia przez tę teoryą podobieństwa pomiędzy trzema pierwszemi Ewangeliami koniecznėm było przypuścić, że te ustne podania w czasach, kiedy służyły za źródło naszym ewangelistom, utrwaliły się zupełnie i otrzymały formę stałą i niezmienną. W takim razie czémże objaśnić ten fakt, że przemówienie Jezusa, stanowiące w Ewangelii według Mateusza jedną całość, w Ewangelii według Łukasza rozpada się na kilka drobniejszych, zastosowanych do odmiennych okoliczności, umieszczonych w rozmaitych chwilach życia? Dla czego, jeśli podania były utrwalone, spotykamy tyle niezgadzających się z sobą szczegółów w opowiadaniu każdego ewangelisty o ostatnich chwilach życia Jezusa? I daléj. Nie wszystkie przemówienia i wyrzeczenia Jezusa weszły do naszych Ewangelij. Niektóre z nich przechowały się w innych jeszcze pomnikach Nowego Testamentu, a nawet w pismach mężów apostolskich. Lecz jak te, które zostały przez ewangelistów zapisane, tak zarówno i te, które ewangeliści pominęli, początkowo krążyć mogły tylko w podaniach. Otóż żeby wytłómaczyć dla czego ewangeliści jedne pominęli a drugie tak zgodnie pomieścili w swych pismach, należałoby przypuścić, że działali według pewnych zasad, że ułożyli się pod tym względem z sobą i uchwalili wspólny programat,—co jednakże było niemożebnem.

Wskazanie podań ustnych jako źródło Ewangelij synoptycznych zamyka peryod pierwszy badań nad ich pochodzeniem. Po-

---

(1) 1. Ewangelia pierwotna w języku aramejskim.
2. Przekład jéj grecki.
3. Przekład tekstu aramejskiego *A*.
4. Przeróbka tekstu aramejskiego *B*.
5. Przeróbka dwóch *A* i *B* i zlanie ich w jeden *C*.
6. Kopia przeróbki *A*, zawierająca pewne uzupełnienia *A A*.
7. Kopia przeróbki *B*, zawierająca inne niż w kopii *A*, uzupełnienia *B B*.
8. Ostatnia przeróbka tekstu aramejskiego *D*.

Oto w jaki sposób z tych rozmaitych tekstów korzystali, według Marsh'a, nas synoptycy: Mateusz, który napisał Ewangelią swoję po aramejsku, korzystał z *AA* i *D*,— Łukasz z tekstów *BB* i *D* i przekładu greckiego, — Marek z *C* i przekładu greckiego.

nieważ nie udało się wyszukać żadnéj teoryi ogólnéj, któraby zadawalniająco objaśnić mogła pochodzenie wszystklch trzech Ewangelij razem wziętych i jako jednę całość rozpatrywanych, w peryodzie drugim zaczęto badać pochodzenie każdéj Ewangelii branéj zosobna. Teoryą formowania się Ewangelij zastąpiła historya powstania każdéj Ewangelii oddzielnie.

Praca poprzednia nie przepadła jednakże bezużytecznie. Owocem jéj było: 1) wszechstronne zbadanie tekstów Ewangelij; 2) hipotetyczne odkrycie Ewangelii pierwotnéj; 3) wykazanie znaczenia podań ustnych i ich wpływu na formowanie się i przekształcanie się Ewangelij naszych. A nadto stało się rzeczą zupełnie widoczną, że niezależnie od źródła, z którego powstały Ewangelie, niezależnie od wzajemnego ich do siebie stosunku, ostateczne sformowanie się dzisiejszych Ewangelij wymagało dłuższego przeciągu czasu niż życie jednego pokolenia.

Badania krytyczne w tym peryodzie są związane w Niemczech z imionami Wette, Baur, Strauss, Schwegler, Bleek, Ewald, Hilgenfeld, Hausrath; we Francyi: Reuss, Reville, Nicolas.

Renan w swojéj Historyi początków Chrystyanizmu przedstawia formowanie się Ewangelij historyczne. Korzysta z prac poprzedników, godzi ich pomysły i porządkuje je na szerokim tle dziejów. W jego Historyi znajdujemy ślady wszystkich poprzednich teoryj, lecz w zupełnie nowém zastosowaniu. Przechodzimy więc do teoryi Renana.

Po śmierci Jezusa, w kole jego uczniów i wyznawców przechowywały się, przechodząc z ust do ust, przemówienia jego. Z rozmów o nim powstały krótkie, epizodyczne opowiadania o jego czynach. Niezapisywano niczego, ponieważ wszystko to co zapisać-by można, tkwiło w sercu i umyśle każdego, kierowało chęciami, rządziło czynami, stanowiło istotę życia, myśli, uczuć; a przytém z dnia na dzień oczekiwano powrotu mistrza i zależnych od tego zmian na ziemi. Dopiero, gdy grono uczestników idylli galilejskich i świadków naocznych dramatu jerozolimskiego zaczęło się przerzedzać, gdy pokolenie pierwsze zstępować zaczęło do grobu, uwydatniła się konieczność utrwalenia nauki mistrza i pamięci czynów jego na piśmie. Powstała więc Ewangelia piśmienna. Zredagować Ewangelią wówczas było rzeczą niezmiernie łatwą. Wszystko było oddawna przygotowaném do tego. Treść jéj rzec można unosiła się w powietrzu. Powstać ona mogła około 75 r. Ewangelią tę nazwano późniéj stosownie do jéj pochodzenia „według Hebreów.“ Urywki jéj przechowały się u różnych pisarzy chrześciańskich. Sama zaś przechowywała się

do V-go wieku. Z natury rzeczy zredagowaną ona była w języku społeczeństwa, wśród którego powstała, będącym zarazem językiem tego, czyje czyny i naukę głosiła. Był zaś to język syryjsko-chaldejski, ówcześnie w Palestynie powszechnie używany.

Lecz chrystyanizm jeszcze za życia pierwszéj generacyi przeszedł za obręb gmin żydowskich. Rozpowszechniając się w świecie greckim, potrzebował Ewangelii greckiéj. Otóż współcześnie z hebrajską powstaje i grecka. Doszła ona do naszych czasów i znaną nam jest jako 2-ga, „według Marka.“ Układa ją Marek, uczeń i towarzysz Apostoła Piotra. Marek czerpał dla swojéj pracy materyał z opowiadań Piotra, ztąd w jego Ewangelii ten realizm życiowy, ścisłość szczegółów, wyrazistość rysunku, oryginalność kolorytu, słowem wszelkie cechy autentyczności. Piotr o życiu Jezusa nie wykładał systematycznie, lecz przemówienia jego cytował stosownie do okoliczności, czyny przedstawiał dorywczo. Dla tego w Ewangelii Marka tyle opuszczeń i brak planu logicznie obmyślanego, a przytém pisał prawdopodobnie z pamięci i po śmierci Piotra; to mogło zwiększyć jeszcze pewne niedokładności. Marek redagował Ewangelią dla Greków i Rzymian, nieznających teatru wypadków ani zwyczajów miejscowych, wdaje się więc w pewne objaśnienia, unika cytat ze Starego Testamentu oraz wszelkiéj egzegetyki. Dowodów więc mesyanizmu Jezusa szuka w cudach i przedstawia je szczegółowo, z uwydatnieniem całego aparatu, z którym ci byli tak dobrze obeznani. Pisał w Rzymie, dla tego w jego Ewangelii więcéj latynizmów niż w innych. Wiersz 2-gi rozdziału XIII, przedstawiającego małą apokalipsę, wskazuje, że pisał po wypadkach 70 roku, lecz wkrótce po nich, gdyż tkwią one mu żywo w pamięci, więc zapewne około 75. Mogła Ewangelia ta podledz uzupełnieniom w rodzaju dodatku do rozdziału XVI (9—20). Lecz w każdym razie uzupełnienia te nie zmieniły pierwotnéj jéj postaci.

Ponieważ Ewangelia według Hebreów ani też Marka nie wyczerpała wszystkich podań ustnych, a nadto, ta druga oznajmionemu z bogactwem ich i różnobarwnością mogła się wydać zbyt suchą, zbyt prostaczą dla bardziéj wykwintnych usposobień, zbyt materyalną dla patrzących na rzeczy z odległości większéj czasu lub przestrzeni, wynikła przeto potrzeba nowéj Ewangelii. Potrzeba ta zrodziła Ewangelią naszą 1-szą, „według Mateusza.“ *Autor téj Ewangelii za podstawę w swéj pracy wziął Ewangelią Marka. Zachowuje więc jéj plan ogólny, trzyma się następstwa epizodów. Tylko w dwojaki sposób ją uzupełnia: już to wtrąca długie przemówienia Jezusa*, już to dodaje różne podania późniejsze. Dopełnia zaś tego mechanicznie. Ztąd pochodzi zlanie w jedną całość przemówień

Jezusa mianych w rozmaitych czasach, związanych tylko z sobą myślą przewodnią (Rozd. XIII, XXIII); oraz zdwajania wypadków, naprzykład: dwa uzdrowienia dwóch ślepych (IX, 27—30; XX, 29—34); dwa rozmnożenia pokarmu (XIV, 13—21; XV, 32—39); dwa razy powtórzona rada co do zgorszenia (V, 29—30; XVIII, 8—9). Daléj Marek w prostocie swéj wypowiada wiele takich rzeczy, które póżniéj raziły. Otóż autor późniejszéj Ewangelii łagodzi wyrażenia ostre, fakta same modyfikuje stosownie (Mar. VI, 5, Mat. XIII, 58; Mar. X, 29—30, Mat. XIX, 29). Również każe Jezusowi przemawiać już o kościele swoim i nadać mu Piotra za głowę (XVI, 18; XVIII, 17). Dla chrztu wynajduje formułę, w któréj tkwi dogmat Trójcy (XXVIII, 19). Wszystko to świadczy o rozwoju większym nowéj religii a więc i o pochodzeniu późniejszém téj Ewangelii. Jednakże powtórzenie za Markiem wszystkich pomysłów apokaliptycznych nie pozwala zbyt jednę od drugiéj oddalić. Renan też pod rokiem 85 kładzie redakcyą Ewangelii 1-széj.

Wielką zasługę szkoły teologów tubingeńskich, na czele któréj stali F. Ch. Baur, Schwegler, stanowi wyśledzenie antagonizmu pomiędzy dwoma apostołami: Piotrem i Pawłem. Antagonizm ten był nie małym bodźcem w rozwoju chrystyanizmu pierwotnego. Obie wzmiankowane Ewangelie, jeśli nie z tendencyi, to wskutek wielkiéj obiektywności a poczęści wpływu otoczenia, popierały kierunek Piotra. Autor Ewangelii 3-ciéj rozmyślnie służy widokom Pawła. Prawdopodobnie jest nim ów Lukanus, który od pobytu Apostoła w Macedonii stał się uczniem jego i towarzyszem we wszystkich przygodach i tylekrotnie jest wspominany w listach. Powagę Pawła podkopywała ta okoliczność, że nie należał do owych 12-stu, którym Jezus powierzył misyą apostolską. Łukasz wprowadza zmianę w tradycyi. Oprócz 12—według niego, Jezus naznacza jeszcze 72 innych i rozsyła ich w tym celu, w jakim rozesłał tamtych (X, 1). Duch Pawła stanowczo się uwydatnia w teoryi nawrócenia i przebaczenia, w podniesieniu Samaryi. U niego bowiem znajdujemy przypowieści o synu marnotrawnym, owcy zbłąkanéj, drachmie zgubionéj, dobrym Samarytaninie. On każe nawrócić się jednemu z dwóch łotrów ukrzyżowanych z Jezusem; on wkłada te wspaniałe słowa w usta Jezusa: „Syn człowieczy nie przyszedł zatracać dusze, ale zachowywać“ (IX, 56). A nadto zmniejsza udział czynny żołnierzy rzymskich przy ukrzyżowaniu. O biczowaniu zupełnie zamilcza. Setnik, według niego, wydaje nawet świadectwo o sprawiedliwości zamordowanego (XXIII, 47). Autor zna Marka i korzysta z niego w taki sposób, w jaki korzystał „Mateusz“; lecz niezna Ewangelii tego drugiego. Jednę trzecią materyału sobie tylko właściwego, czerpie z ustnych

podań i legend, które obficiéj od innych wprowadza. Zapisuje przytém pieśni i hymny okolicznościowe. Jakkolwiek znać umiejętniejszą i staranniejszą redakcyą, sam sposób jednakże redagowania przyprawia go o niedokładności i powtarzanie się. Prawdopodobnie nie będąc pochodzenia żydowskiego, nie zna Palestyny i obyczajów żydowskich. A ponieważ pisze nie dla żydów, opuszcza więc wszystko, co nie mogło wzbudzać w jego czytelnikach wielkiego interesu. Przytém dwie rzeczy nie zgadzające się z sobą uderzają w nim: zamiłowanie porządku, patronowanie dla rządu i jego przedstawicieli, co zawdzięcza pewnie tradycyom rodzinnym, oraz tendencye socyalne. „Jeśli kto idzie do mnie— mówi Jezus do rzeszy słuchających— a nie ma w nienawiści ojca swego i matki, i żony i dzieci, i braci i siostr, jeszcze też i zdrowia swego, nie może być moim uczniem" (XIV, 26; u Mat. X, 37. to wyrażenie znacznie zmodyfikowane). Przytém autor nienawidzi bogactwa. Zamiłowanie w niém nazywa złem wielkiém. Podnosi więc ubogich i maluczkich. Bogaty, według niego, zawsze winny. Piekło ma się stać jego udziałem. Królestwo boże będzie świętem ubogich. Zmianą porządku społecznego, wystąpienie nowych klas musi się spełnić. Kiedy autor pisał Ewangelią swoję, Jerozolima (jak tego dowodzi w. 24, r. XXI) nie była jeszcze jako *Aelia Capitolina* (r. 122) odbudowana. Więc pisał przed rokiem 122. A ponieważ podzielał jeszcze poglądy apokaliptyczne Marka (XXI) i powtarza zapewnienie Jezusa, że „nie przeminie ten to wiek, aż się wszystko ziści" (w. 32) i, że „są niektórzy stojący, którzy nie ukuszą śmierci, aż oglądać będą królestwo boże" (IX, 27), chociaż stara się je osłabić (XXI, 9), mógł więc pisać jeszcze pod koniec 1-go stulecia (około r. 94). (1)

Przy rozpatrywaniu Ewangelij synoptycznych, złączonych z sobą treścią i duchem, główną kwestyą stanowiło powstawanie tych Ewangelij i stosunek ich do siebie. Osobistość autora, który właściwie był tylko redaktorem. a poniekąd i czas, kiedy powstały, schodziły na plan drugi. Inaczéj rzecz się przedstawia, gdy idzie o czwartą. Tu należy odkryć autora, gdyż z nim związany jest nowy pogląd na osobę Jezusa; należy odkryć czas, gdyż Ewangelia ta, wnosząc nowe żywioły, stanowi epokę w historyi chrystyanizmu.

---

(1) Niektórzy krytycy w ustępach apokaliptycznych pierwszych trzech Ewangelij widzą urywki Apokalipsy Jezusa, która mogła się pokazać w czasie prześladowania chrześcian za Nerona i poprzedzać Apokalipsę Jana. Naprowadzają na ten wniosek słowa Euzebiusza Cezarejskiego (Hist. Eccl. III, V) o proroctwach otrzymanych przez Chrześcian zamieszkałych w Jerozolimie przed zaburzeniami w Judei (r. 60), które skłoniły ich do opuszczenia miasta. Czemu zawdzięczają zachowanie życia swego.

Janowi Apostołowi przypisane są trojakiego rodzaju utwory w Nowym Testamencie: Apokalipsis, Ewangelia 4-ta i trzy listy. Różnica pomiędzy poglądami autora Apokalipsis i autora Ewangelii (Listy w jednym duchu są napisane z Ewangelią) jest zasadnicza. Dwa te utwory stanowią dwa przeciwległe bieguny w jednym zbiorze. Są wyrazem dwóch krańcowych partyj. Autor Apokalipsy stoi na gruncie narodowym i religijnym całkowicie. Jest o tyle wyznawcą Jezusa, w którym uznaje Mesyasza, o ile patryotą. Autor Ewangelii zrywa zupełnie z judaizmem, pod względem narodowym i religijnym. Apokalipsa łączy chrystanizm z mozaizmem. Ewangelia 4-ta przedstawia nowe pojmowanie chrystyanizmu, którego nowość polega na oderwaniu go od mozaizmu. Jednego przeto pióra oba te utwory być nie mogą. Jeśli Jan napisał Apokalipsę, napisać nie mógł Ewangelii. I na odwrót. Większe prawdopodobieństwo przemawia za przypisaniem Janowi autorstwa Apokalipsy niż Ewangelii. W takim razie, kto być może autorem Ewangelii? Gdzie i kiedy powstała ona? Co przykuwa imię Apostoła do niéj?

Według tradycyi, Apostoł Jan, uniknąwszy szczęśliwie prześladowania w Rzymie i Judei, schronił się do Efezu i tam doczekał się późnéj starości, w kole uwielbiających go uczniów. Z opowiadań jego o wypadkach palestyńskich uformował się cykl podań, które pod pewnemi względami różniły się od podań powstałych w innych ogniskach chrystyanizmu, lecz którym autorytet Apostoła, jako widza naocznego i uczestnika wypadków, nadawał przeważające znaczenie. W Efezie tradycya również mieści ognisko filozoficznego ruchu, wywołanego teoryami metafizycznemi Filona, i, co jest w ścisłym związku z tamtém, podaje to miasto za miejsce pobytu jednego z twórców i propagatorów gnostycyzmu Orynta wraz z jego szkołą. Zetknięcie się tradycyj pierwotnych chrześciańskich z filozofią Filona wywarło, jak wiemy, stanowczy wpływ na nową religią. Wstąpiła ona na nową drogę. Ewangelia 4-ta przedstawia, co również wiemy, ten zwrót stanowczy. Otóż zetknięcie się to, według Renana, nastąpiło w Efezie i pierwszą próbę, uwieńczoną pomyślnym skutkiem, zaszczepienia pomysłów metafizycznych na realnym gruncie chrystyanizmu pierwotnego dokonał jeden z uczniów Jana. Próbą tą była Ewangelia 4-ta. Uczniem zaś tym prawdopodobnie był ów *ho presbyteros Jôannês*, o którym wspomina Papias, według świadectwa Euzebiusza Aleksandjskiryego (Hist. Eccl. III, 39). Mogła więc Ewangelia 4-ta powstać dopiero po śmierci Jana. Prawdopodobnie około 126 r.

Uznanie w Jezusie *słowa* bożego stawia odrazu osobę jego na zupełnie innym gruncie, w zupełnie innych stosunkach do dawniej

szego otoczenia. Jako *hypostasis* boska, widoma emanacya na ziemi substancyi bożéj, jako „słowo, które się stało ciałem,“ Jezus nic nie mógł mieć wspólnego z owym przez żydów wyglądanym Mesyaszem, który nieszczęsny ów naród z pod obcéj miał wybawić przemocy i zapewnić mu przewodnictwo wśród innych narodów (1). Dla tego autor téj Ewangelii stanowczo zrywa z tradycyami narodowemi, dla tego nie powtarza już pomysłów apokaliptycznych, które przy tym kierunku nowym tracą już wszelką podstawę.

Dział *drugi* Nowego Testamentu stanowią Dzieje apostolskie. Obejmują one przeciąg czasu od śmierci mistrza nazarejskiego do przybycia Apostoła Pawła do Rzymu (r. 33—63). Autorem Dziejów jest autor 3-ciéj Ewangelii. Dowodzą tego początkowe wersety rozdziału 1-go, język i styl podobny do języka i stylu téj Ewangelii, jednakowe tendencye, a nadto duch tolerancyi, zgody i porządku, wspólny obu tym utworom. W rozdziale XVI, w którym znajdujemy opis pierwszego pobytu Pawła w Macedonii (r. 52) autor, od wersetu 10, zaczyna używać osoby pierwszéj liczby mnogiéj w opowiadaniu. Dowodzi to, że osobiście od tego czasu przyjmował udział w wypadkach, któremi były podróże apostoła Pawła. Zwrot ten w mowie pozwala podzielić Dzieje na dwie części prawie równe (I—XVI, 10; XVI, 10—XXVIII). Główna różnica pomiędzy obu temi częściami wypływa z rodzaju materyału, który służył autorowi do kreślenia tych dziejów. Dla części 1-széj były to legendy, opowiadania tych, z którymi przestawał a może i zapiski jakie piśmienne; dla 2-giéj, osobiste wspomnienia. Zamiłowanie do legend, które autor uwydatnił już w Ewangelii, tu go wcale nie opuściło. Dzieje Apostolskie są od Ewangelii 3-ciéj późniejsze. Powstać przeto mogły około roku 100 i niechybnie w Rzymie.

Dział *trzeci* Nowego Testamentu stanowią listy pisane przez Apostołów do gmin chrześciańskich lub osób prywatnych. Są to najdawniejsze dokumenta piśmienne z całego zbioru. Chociaż wszystkie są okolicznościowe, jednakże ich znaczenie zarówno dla doktryny jak i historyi jest pierwszorzędne. Oprócz bowiem wykładu zasad zawierają jeszcze wskazówki co do zastosowywania tych zasad do praktyki. A przytém, ponieważ wykazują wyjątkowe błędy i karcą wybitniejsze nadużycia, wtajemniczyć nas mogą w wewnętrzne życie chrześcian pierwotnych. Dla historyka przeto, śledzącego rozwój

---

(1) Werset 13, rozd. XIX Apokalipsy zmienić nie może tego twierdzenia o Ewangelii 4-téj. Wyrażenie „a zowią imię jego Słowo Boże“ nie ma tu tego znaczenia, jakie otrzymuje w Ewangelii.

rzeczywisty pojęć i faktów, autentyczność tych listów staje się kwestyą pierwszorzędną.

Na czele wszystkich listów są umieszczone listy Pawła. Jest ich 14. Z téj liczby 13 noszą nadpisy dowodzące, że są Pawła; jeden, do Hebreów, tego nadpisu nie posiada i tylko na podstawie tradycyi Pawłowi jest przypisywany. Jednakże i wśród 13 z nadpisami znajdują się takie, których krytyka nie może uznać za autentyczne, lub o których autentyczności w większym lub mniejszym stopniu powątpiewa. Pod względem przeto autentyczności podzielić się one wszystkie dadzą na 5 grup.

Grupę 1-szą tworzą listy nie wzbudzające żadnego podejrzenia i podejrzeniu nigdy nie poddawane. Takiemi są: Do Galatów; dwa do Koryntyan; list do Rzymian. Razem 4.

Grupę 2-gą składają listy autentyczne, lecz podlegające pewnym zarzutom. Temi są: dwa do Tessalończyków i jeden do Filippian. Razem 3.

Główne podejrzenie wzbudza w téj grupie list do Tessalończyków 2-gi, a to z przyczyny rozwijanéj w rozdziale 2-gim teoryi o Antychryście. Co naprowadza na wniosek, że ten list późniejszym być może od Apokalipsy Jana, a więc napisany po śmierci Nerona, który w téj Apokalipsie uosabia Antychrysta. Śmierć zaś Nerona (r. 68) o cztery lata nastąpiła późniéj od śmierci Pawła (64). Zarzut ten Renan zbija, wykazując, że autor Apokalipsy tylko do swego czasu zastosowuje pomysł o Antychryście, sięgający w rzeczywistości czasów dawniejszych.

Grupę 3-cią stanowią listy autentyczności prawdopodobnéj, lecz ważnym podlegające zarzutom. Jest to list do Kolossów i do Filemona. Razem 2.

Zarzuty wzbudza list do Kolossów formą swoją i treścią. Język pod względem słownictwa jest odmienny od zwykłego. Styl stracił swą naturalność i wzniosłość. Stał się napuszonym, sztucznym, deklamatorskim. W treści uderza pewne powinowactwo z pismami przypisywanemi Janowi (Ewangelia 4 i listy), zbliżenie się do gnostycyzmu, chęć pogodzenia dawniejszych poglądów Pawła z poglądami przeciwników. Renan, broniąc autentyczności tego listu, powołuje się najpierwéj na czas, z którego pochodzi. Są to lata więzienne Pawła, w ogóle bardzo niedokładnie znane. Daléj utrzymuje, że uderzający sposób wyrażania się, i własności stylowe tego listu dadzą się wyszukać choć w mniejszym stopniu i w innych. Treść listu usprawiedliwia właściwościami charakteru autora. Paweł był umysłu ruchliwego, niespokojnego, łatwo podlegał wrażeniom, nigdy się nie zatrzymywał na jednym miejscu, na jednéj doktrynie. Zmiana poglądów przy

takim usposobieniu leży w naturze rzeczy. Témbardziéj, w tym wypadku to możebne, że i pisma autentyczne dowodzą takiéj zmienności. Co się tycze gnostycyzmu, to właściwie nie śladu, lecz początków jego w pismach z téj epoki szukać by należało. Najbardziéj zaś za autentycznością listu do Kolossów, w oczach Renana, przemawia związek tego listu z listem de Filemona. Oba autentyczne lub oba fałszywe. List atoli do Filemona tchnie rzadką szczerością i prawdą. Tylko Paweł sam mógł stworzyć to małe w swoim rodzaju arcydzieło. Dowody przeto autentyczności listu do Kolossów na szali krytyki przeważają.

Grupę 4-tą stanowi list do Efezów. Autentyczność jego jest bardzo wątpliwa. Renan pozostawia kwestyą nierozstrzygniętą.

Grupę 5-tą składają trzy listy, dwa do Tymoteusza i jeden do Tytusa, uznane przez wszystkich krytyków za fałszywe. Pochodzić one mogą z czasów znacznie późniejszych (r. 90—100). I były napisane w obronie zasad hierarchicznych podówczas już rozwijanych i autorytetu powstającego kościoła.

List „do Hebreów“, błędnie Pawłowi przypisywany, jest według Renana, pióra Barnaby, prawdopodobnie został napisany w Efezie, około 66 r. i przeznaczony nie dla Hebreów, jak wskazuje nadpis, lecz dla chrześcian w Rzymie, podówczas wielce prześladowanych (1).

Za listami Pawła idzie w zbiorze listów—Jakóba. Maluje on wiernie stan moralny Ebionitów jerozolimskich w latach poprzedzających wybuch powstania w Judei (r. 66). Po nim następują *dwa* listy Piotra. Pierwszy jest autentyczny, pochodzi z ostatnich chwil życia Apostoła. Drugi, apokryf, o wiele jest późniejszym. Został on napisany około 128 r. w czasach gdy wiara w przyjście powtórne Jezusa ostatecznie się chwiać zaczęła. Nieznany autor tego listu zaleca cierpliwość, uczy jak spokojnie oczekiwać należy ziszczenia się obietnic. Za tém idą *trzy* listy Jana. Pierwszy kilkakrotnie przewyższa dwa inne długością. Nie podlega wątpliwości, że skreśliła go ta sama ręka, któréj zawdzięczamy Ewangelią 4-tą. Ten sam język, te same pojęcia. Należy więc przypuszczać, że autor napisał ten list w celu przygotowania umysłów do przyjęcia Ewangelii. W dwóch następnych dwa wersety pierwsze wskazują już wyraźnie, że pisał je *ho presbyteros*. Nim nikt inny być nie mógł jak ów *Jôannês* domniemany autor Ewangelii. Tak więc nowa jeszcze wskazówka co do osoby autora listu pierwszego i Ewangelii.

---

(1) Listu tego nie należy brać za jedno z listem apokryficznym Barnaby, pochodzącym prawdopodobnie z Aleksandryi i z czasów Nerwy (r. 97—98).

Zbiór listów zamyka list Judy. Powstał on wśród walki apostoła Pawła z partyą żydowsko-chrześciańską. Jest przeto echem téj walki, wyrazem opinii o Pawle jego przeciwników. Renan kładzie go pod rokiem 54.

Zbliżyliśmy się nakoniec do działu 4-go Nowego Testamentu. Stanowi go Apokalipsa. Podlega w niéj widzeniom i takowe następnie opowiada Apostół Jan. Tradycya przypisuje jemu również, jak wiemy, i autorstwo tego utworu. Byłby to wprawdzie wyjątek, odstąpienie od zwyczaju przyjętego w tego rodzaju literaturze, żeby autor we własném imieniu podawał widzenia; ale wyjątek ten w tym razie za możliwy jest poczytywany.

Apokalipsę Jana również jak i wszystkie inne wywołały wypadki dziejowe. Pochodzi ona z początku roku 69. Wtedy rządzili państwem trzéj Cezarowie, a pseudo-Neron na wyspie Cytnos wyczekiwał zgromadzenia się wszystkich swych stronników. Fantazya ludowa zwiększała jeszcze niebezpieczeństwa. Oto prawdziwy Neron, w którego śmierć nie uwierzono, miał się zbliżać na czele Partów, by się pomścić za siebie. Dość przeto było dla rozpalonych nienawiścią i chęcią zemsty, podniecanych przepowiedniami różnemi, żydów i chrześcian by wróżyć upadek Rzymowi. Wyrazem takich usposobień stała się wzmiankowana Apokalipsa. Znajdujemy przeto w niéj jak i we wszystkich innych zapowiedź przewrotów politycznych, erę mesyaniczną, sąd boży, zmartwychwstanie zmarłych, odbudowanie Jerozolimy, zwycięstwo ostateczne żydów. Tylko zamiast wskazania Mesyasza lub zapowiedzenia jego przyjścia na świat spotykamy zapowiedzenie jego powrotu, gdyż w osobie Jezusa już on był na świecie. A ponieważ byli tacy, którzy w niego uwierzyli i śmierć dla niego ponieśli; ponieważ są tacy, którzy w niego wierzą i dla niego prześladowanie cierpią, przeto wyznawcy jego zmarli lub zabici mieć mają swoje osobne zmartwychpowstanie, poprzedzające ogólne, i wraz z żyjącymi swoję erę mesyaniczną, poprzedzającą sąd boży i erę ogólną. Era ta specyalna dla wyznawców Jezusa trwać miała lat 1000. Nastąpić zaś to wszystko miało w bardzo prędkim czasie, gdy Neron, przedstawiony jako Antychryst i nazwany bestyą, któréj imię 44, mszcząc się, zniszczy i zburzy Rzym, a Nerona zwycięży i wrzuci żywego „w jezioro ognia gorejącego i siarki“ powracający napowrót na ziemię Mesyasz, Jezus.

3.

Pod koniec wieku 1-go ery naszéj wśród żyjących już nie stało nikogo z tych, którzy brali udział bezpośrednio w wypadkach pale-

styńskich opowiedzianych w Ewangeliach, lub jedynie byli tych wypadków świadkami. Ich miejsca wybitne w gminach chrześciańskich, zajęli już ci, którzy poszczycić się tylko mogli bliższemi z tamtymi stosunkami. I to już było ważném. I to już przedstawić poniekąd mogło rękojmię, że to co głosili, sami zaczerpnąć mogli z najczystszego źródła. W historyi noszą oni nazwę mężów apostolskich. Tradycye przechowały pamięć a rękopisy imiona dwóch głównie takich mężów: Klemensa z Rzymu i Ignacego z Antyochyi. Poznajmy ich spuściznę literacką.

Najwspanialéj się przedstawia Klemensowa. Oto są przypisywane jemu utwory: Dwa listy do Koryntyan; dwa listy do dziewic; pięć listów dekretalnych; ustawy apostolskie, ksiąg VIII; Spotkanie się (Recognitiones ksiąg X; Homilie, ksiąg XX); O czynach św. Piotra; Liturgia.

Ze wszystkich tych dzieł atoli jedynie tylko jeden list, pierwszy, do Koryntyan jest autentycznym. Pochodzi on z końca 1-go stulecia, a powstał przy okolicznościach następnych. W Koryncie wynikły nieporozumienia pomiędzy władzą przewodniczących w gminie starszych i osobistościami, które opierając się na własném natchnieniu, poczuciem swojéj godności kierowane, nie uznawały i nie chciały podlegać żadnéj władzy. Był to więc spór pomiędzy hierarchią a indywidualizmem. W sporze tym któż bardziéj mógł być zainteresowanym od ucznia i następcy apostoła Piotra? Komuż bardziéj stanowczo głos zabrać należało, niżeli stojącemu na czele gminy rzymskiéj, w któréj tradycye narodowe sprzyjały hierarchii wszelkiéj? List Klemensa do Koryntyan jest to pierwsza odezwa w palącéj kwestyi urządzenia stosunków wewnętrznych w gminach chrześciańskich; pierwsze przemówienie udowadniające konieczności wprowadzenia hierarchii i utrwalenia formalnego porządku opierającego się na karności ścisłéj; pierwszy wykład o obowiązkach wiernych. To téż znalazł list ten wielkie uznanie w sferach właściwych i przez długi czas był zaliczany do pism kanonicznych, składających Nowy Testament.

Ilość pism apokryficznych przypisywanych Klemensowi, świadczy wymownie o wielkiéj jego sławie u potomnych. Apokryfy te powstawały w przeciągu paru wieków, w miarę podnoszenia się tych kwestyj, o których traktowały. Najwcześniejszym wśród nich utworem, gdyż ze środka II-go stulecia, jest Spotkanie się. Doszedł on do nas w dwojakiéj redakcyi; w łacińskiéj pod tytułem Recognitiones; w greckiéj jako Homilie. Jest to powieść obfitująca w przypadki, miejscami alegoryczna. Nić tradycyi jeszcze nie przerwana łączy ją z czasami apostolskiemi a zarazem ze wspomnieniami i obrazami kla-

sycznemi. Bohaterem rzeczywistym w tym romansie jest Piotr apostoł. Przygody rodziny Klemensa, przez niego samego opowiedziane, stanowią tło barwne, na którém rozwija się akcya, czasami wprawdzie dość przewlekła, pomiędzy wszystkiemi główniejszemi osobistościami z ubiegłego stulecia.

Ignacemu Antyochejskiemu są przypisywane wyłącznie listy, pisane na wzór listów Pawła. Doszły one do nas w dwóch zbiorach. Pierwszy zawiera listy do Efezów, Magnezyan, Trallijczyków, Rzymian, Filadelfian, Smyrniotów i do Polikarpa, razem *siedm*. Drugi, oprócz tych siedmiu i to znacznie zwiększonych, jeszcze cztery nowe: do Tarsyan, Filippian, Antyochejczyków i do Herona, a nadto list Maryi z Kastabal do Ignacego i odpowiedź jego na list ten; razem *trzynaście*. Ze wszystkich listów pomieszczonych w obu tych zbiorach jeden tylko, do Rzymian, jest autentyczny. Listy składające zbiór pierwszy zostały napisane pod koniec wieku 2-go. Sześć nowych wchodzących do zbioru drugiego pochodzą z drugiéj połowy wieku 4-go.

List Ignacego do Rzymian wprowadza nas w świat nowy, w świat bohaterów. Ignacy został skazanym na śmierć za swoję wiarę roku 112 w Antyochii. Lecz karę śmierci ku uciesze panującego wówczas ludu i godnego jego wybrańca miał ponieść w stolicy państwa: być rzuconym na pożarcie zwierzętom dzikim w amfiteatrze. Wyprawiono go więc do Rzymu (1). Z drogi, prawdopodobnie ze Smyrny, napisał on ów list do Rzymian, zwiastując im o swojem przybyciu prędkiém do miasta tego i o celu podróży. Czytając list, trudno pojąć, że znanym mu celem podróży nie jest osiągnięcie najwyższych zaszczytów i dostojeństw, lecz śmierć męczeńska w paszczęce lwa lub pazurach tygrysa, że oczekują go oklaski tysiąca rąk, lecz tylko w chwili rozszarpania przez zwierzęta, ku zabawie tłumu. Myśli w nim wyrażone, słowa z mocą wypowiedziane miały stanowić na czas długi pokarm duchowy dla tych, którzy również jak on nie wahali się raczéj śmierć ponieść, niż zaprzeć się własnych przekonań.

Dwa listy powyższe, Klemensa do Koryntyan i Ignacego do Rzymian odkryją dwie drogi, na które weszła nowa religia, wskazują dwa środki, któremi oddziaływać zaczęła na społeczeństwo swoje i ludy obce.

---

(1) Jak błędnie, nie wzniosłszy się nad pojęcia zawsze ograniczone wieku, na rzeczy zapatrywać się można, jak łatwo, skoro się tylko interes partyi ma na względzie, stać się niesprawiedliwym, urągać się prawdzie, krzywdzić najszlachetniejsze uczucia, dowodzi ten fakt, że pochód męczeński Ignacego do Rzymu posłużył, według Renana, Lucyanowi za przedmiot do satyryczno-humorystycznego utworu p. t. *Peregrinus*.

Stanęliśmy u mety. Wiemy obecnie jakiego to rodzaju materyał piśmienny posiadać może historyk, gdy przystępuje do badań dziejów początkowych chrystyanizmu. Ilość pomników i, co więcéj, charakter dostarczonych przez nie wiadomości, skłonił Renana do ostrzeżenia „rozumiejących tylko pewność materyalną“, by zdaleka się trzymali od tych studyów. Po téj uwadze autor *Historyi początków Chrystanizmu* dodaje; „w dziejach téj oddalonéj epoki rzadko się zdarza osiągnąć możność wyjaśnienia dokładnego, jak się rzeczywiście wypadki odbywały; lecz za to często jest się w stanie przedstawić różne sposoby, w jaki się one odbywać mogły; co już jest ważném.“

Słowa te wypowiedziane ze spokojem mędrca a szczerością człowieka prawego przynoszą zaszczyt autorowi i zarazem świadczą o trudności zadania każdéj nauki, o powolnym postępie wiedzy przeszłości.

I. Radliński.

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

IX.

W Warszawie kolonia puławska stale zamieszkiwała w pałacu Błękitnym, dziś stanowiącym własność Ordynatów Zamojskich. Członkowie jéj odwiedzali Puławy na wszystkie familijne święta, to jest 25 marca, 15 maja, 15 sierpnia, 19 listopada i 24 grudnia, za każdym przyjazdem zwykle przez miesiąc cały tutaj bawili. Byli jednak między niemi tacy, którzy z powodu podeszłego wieku lub terminowych zajęć od obowiązków tych byli zwolnieni. Do takich należeli: pani Rynarzewska, Czaplic, stary Borysławski ze swoim synem, pułkownik Rogaliński, Michał i Józef Szymanowscy, Kurdwanowski, przezwany *le Marquis bien jambé*, i inni.

Pani Rynarzewska, staruszka wielce szanowna, ale precedencyi jéj nie wiem. Czaplic, czasami gubernatorem, czasami łowczym tytułowany, był to pan wielkiego tonu, przytém poeta, w 1766 roku marszałek sejmowy i pokilkakroć poseł na sejmach za Stanisława Augusta. Jemu to w owych czasach jeden ze słynnych warszawskich *bibulusów* zrobił figla, który późniéj niesłusznie na inne osoby składano! Czaplic, przestrzegając dawnych obyczajów eleganta, codziennie brał z rana kąpiel, kiedy właśnie do niéj się wybierał, wszedł ów ktoś. Gospodarz chcąc mu dać zajęcie zanim się wykąpie, prosił, żeby sprobował i ocenił wino w jadalnym pokoju na wieczorne przyjęcie przygotowane. Gość z polecenia sumiennie się wywiązał i kiedy Czaplic z łazienki wyszedł zaraportował mu, że wina są wyborne i może śmiało z tych samych sklepów kazać je przynieść, on bowiem próbki znajdujące się w sali jadalnéj wykosztował. Było zaś win rozmaitych dwa kosze, czyli dwadzieścia cztery butelki.

Młody Borysławski, imieniem Antoni, był w szczególnych łaskach u ks. Konstantego Czartoryskiego. Pułkownik Rogaliński nosił się zawsze w zielonym, materyalnym fraku i w trzewikach. Nos miał potężny i duże wyłupiaste oczy. Fizyonomia jego zupełnie czaplę przypominała i jak ona też ryby lubił namiętnie. Żaboklicki, kawaler maltański, także do tego grona się zaliczał.

Pałac Błękitny nie miał takiego jak dzisiaj pozoru. Od ulicy, zamiast kraty żelaznéj, oddzielały go mury wysokie, wewnątrz których kordegardy się mieściły. Architekturą swą przypominał pałac Lubomirskich, dziś Stanisława Potockiego.

Warszawa do r. 1815 zupełnie inaczéj jak dzisiaj wyglądała, chociaż przestrzeń przez budowle zajęta była prawie dwa razy tak duża jak dzisiaj. Praga, aczkolwiek ucierpiała przez szturm Suwarowa, liczyła jednak 12,000 ludności i bardzo obszerne stanowiła przedmieście. Znieśli ją w 1806 r. francuzi. Napoleon, który wówczas w środkach obrony był jeszcze bardzo przezorny, nie omieszkał i tu się zabezpieczyć i most na Wiśle szańcem o pięciu bastyonach zasłonił. Roboty te, tylko z ziemi i palisad dokonane, spowodowały rozrzucenie większéj ilości domów i tylko mała ich część przy samym moście została. Następnie cała część miasta aż do Marymontu, chociaż oprócz Żoliborza nie wiele posiadała gmachów, zajmowała ogromną przestrzeń. Oczyszczano ją z domków po r. 1841, zajmując plac pod cytadelę.

Jakkolwiek Warszawa i dzisiaj w porównaniu do innych miast obcych wielką czystością i porządkiem nie celuje, wówczas niewypowiedzianie była brudną. Żydzi po wszystkich mieszkali ulicach i to nie żydzi cywilizowani, jakich się dzisiaj spotyka, ale tacy, jakich mnóstwo jeszcze po małych miasteczkach. Dopiero r. 1808 król saski a książę warszawski wzbronił im mieszkać przy pryncypalnych ulicach.

Pałace wszystkie miały dachy piramidalne o ogromnych rozmiarach, a murami tak były otoczone, że widziéć je i ocenić ich architekturę było niepodobna. Potrzeba obrony w nich z dawnych czasów jako pamiątka została.

Do Zamku samego dopierały ciasne i ciemne uliczki Starego Miasta i z Podwala na Ś-to-Jańską prowadziła brama, obok któréj znajdowała się słynna kawiarnia Włoska, gdzie na czekoladę Włosi i warszawscy napoju tego amatorowie się schodzili i gdzie się kuły rozmaite plotki i wnioski polityczne.

W środku Rynku znajdował się poważny ratusz, budowa ogromna, cały rynek zawalająca. Plac około Zygmunta był także bardzo ścieśniony, bo zajmował go klasztór Bernardynek i inne ka-

mienice, które aż pod Blachę sięgały. Najmniej może zmieniło się samo Krakowskie Przedmieście, bo choć nie było arkad obok Bernardynów i od pałacu Tarnowskich aż do Wizytek małe drewniane domki przestrzeń zajmowały, wszakże szerokość ulicy była taż sama. Dziedziniec Saski zamknięty był trzema bramami osadzonemi w kratach żelaznych, z których jedna stała naprzeciw kamienicy Wizytkowskiéj, druga przy oficynie pałacu Brylowskiego prowadziła na ulicę Wierzbową, a trzecia naprzeciw dzisiejszego domu Malhomma. Pałac Saski, dawniejsza dzielnica Morsztynów składał się z mnóstwa zabudowań wpuszczonych w ogród, a ogród sam o wiele mniejszy dokoła był otoczony drewnianemi przeważnie domami z bramą żelazną po środku. Granice jego dawniejsze dokładnie oznaczają aleje lipowe, dotąd istniejące, w miejscu gdzie jest *le rond point*, wysypana górka i na niéj glorietta z cukiernią Lessla, sławną podówczas tak samo jak i dzisiaj.

Za Żelazną Bramą ulice Grzybowska, Żabia i inne, wpośród niesłychanych brudów i wiecznego błota oprócz koszar Mirowskich, pałacu Krasińskich i ks. wojewody Wileńskiego, tudzież pana Gutakowskiego, innych murowanych budynków nie posiadały. Grzybów miał swoją własną juryzdykcyą miejską, którą pełnił Starosta warszawski i dla tego pośród trójkątnego placu wznosił się tu ratusz z małą wieżą i zegarem.

Na ulicy Rymarskiéj był pałac Ogińskich w miejscu, gdzie Bank dzisiaj, ale ten tak wysokim murem był otoczony, że go z ulicy widać nie było. Leszno, ulica Długa i Bielańska, jakkolwiek na miejscu drewnianych domów murowanémi dzisiaj przyozdobione gmachami niewielkim uległy zmianom, ale inaczéj się stało z ulicami Senatorską i Nowosenatorską. W miejscu, gdzie dziś hotel Rzymski, istniały ruiny jakiegoś pałacu, zwanego Rydzyną, a daléj rozciągał się słynny Pociejów, mieszkanie żydów i główny punkt ich tandeciarskiego handlu. Stek wszystkich śmieci i brudów, łachmanów i rupieci na publiczny wystawionych widok, przykre obudzał wrażenie.

W miejscu, gdzie dziś Teatr i Plac Ratuszowy, widać było ogromny gmach zwany Marywil, stawiany w arkady z czworoboczną wieżą — siedziba PP. Kanoniczek. Gmach ten późniéj zabrano na skład towarów jarmarcznych, a wreszcie rozrzucono. Nowy-Świat prócz pałacu Branickich, książąt Jabłonowskich, domu Petrego i Oliera nie miał murowanych domów. Gdzie dziś znajduje się gmach Loteryi, wznosił się kościół ks. Dominikanów Obserwantów, słynny grobami książąt Szujskich. Kiedy ojciec mój był jeszcze paziem przy królu Stanisławie Auguście, mieli Paziowie kwaterę swą

w domu Karasia, oddzielonym od klasztoru Dominikanów małą uliczką. Jednego dnia spostrzegli oni, że z okna Dominikanin jakiś daje znaki pełne rozpaczy i jakby wzywające ratunku. Zaciekawieni chłopcy wynaleźli sposób bliższego z nim porozumienia się i dowiedzieli się, że księdza tego żywcem w jego celi zamurowano. Doniesiono o tém zaraz królowi i ten nakazał zakonnika oswobodzić. Późniéj kościół ten był zamknięty i znajdował się pod interdyktem z powodu samobójstwa popełnionego przy ołtarzu przez księdza w czasie odprawiania nabożeństwa i to posłużyło za powód jego zburzenia. Ksiądz Staszic z własnych funduszów ruinę zakupił, wystawił gmach do dzisiejszego dnia istniejący i darował go Towarzystwu Przyjaciół Nauk, po którego zniesieniu Dyrekcyą Loteryi tu umieszczono.

Warszawa taka, jak ją tu przedstawiamy za Księstwa warszawskiego, mało się odmieniła. Biéda powszechna nie dozwalała ani rządowi, ani miastu, ani osobom prywatnym myśléć o budowaniu gmachów, jednakże zyskała na przeniesieniu żydów z Pociejowa, który rozrzucić kazano. Dopiero od roku 1815 zaczęła się epoka właściwego jéj upiększania, a pierwsze usiłowania w téj mierze należą księciu Zajączkowi i Mostowskiemu.

Teatr polski znajdował się na placu Krasińskich, gdzie obecnie skład wełny i Bogusławski wówczas na swoje ryzyko prowadził to przedsięwzięcie, nie uzyskując żadnego ze strony rządu pruskiego zasiłku, to też w usiłowaniach utrzymania sceny narodowéj ponosił ciężkie straty. Znajdujący się współcześnie i teatr włoski zadanie jego wskutek konkurencyi robił jeszcze trudniejszém.

Bogusławskiego trupę poraz pierwszy widziałem we Lwowie, kiedym tam z matką przepędzał zimę i pamiętam że dawano Axura, Drzewo Dyanny, parę oper i jakąś sztukę, któréj tytułu nie pamiętam, nieosobliwie moralną, księża bowiem Dominikanie tańcowali w niéj ochoczo w klasztorze. Tam także widziałem Krakowiaków i Górali i Bogusławski sam w niéj występował, chociaż już był w wieku, a cała postać jego miała w sobie coś majestatycznego. Owsiński wtedy także jeszcze grywał, ale już ten talent był przy schyłku, a deklamacya jego dla braku zębów stawała się wielce niewyraźną. W Warszawie zaczęły już pojawiać się młode talenta, które późniéj ogromne uzyskały powodzenie. Był to początek wystąpień nieocenionego w rolach komicznych Aloizego Żółkowskiego, który także i literackim swym dowcipem zasłynął; wydawany bowiem późniéj przez niego humorystyczny *Momus* ogólnie się podobał. Obok niego panie Ledóchowska i Aszperger i panna Piękweska, z którą się ożenił Ludwik Dmuszewski, słusznie ucho-

dziły za primadonny. Szymanowski, Kudlicz, Szczurowski zwiększali ten szereg prawdziwych zdolności.

Jeśli jednak w talenta trupa Bogusławskiego była bogata, to za to kostiumów i dekoracyj zupełny był niedostatek. Baletu nie było wcale i utrzymywały się tylko podania o słynnym balecie za Stanisława Augusta, w którym pomiędzy mężczyznami odznaczał się Michałek, tancerz tak zgrabny, że ze sceny do loży pierwszego piętra wskakiwał.

W tymże roku 1805 przybyli do Puław panowie Brochocki, Okołów, Zaleski, administratorowie dóbr ks. Dominika Radziwiłła, żeby złożyć rachunki z administracyi, książę bowiem pełnoletności dochodził i sam zarząd miał objąć na siebie. Książę feldmarszałek uznał za stosowne, żeby młody Radziwiłł wybrał się do Petersburga, złożyć tamtejszemu dworowi swoje uszanowanie. Matuszewicz podjął się być jego opiekunem i przewodnikiem, a nieodłączni dwaj bracia Michałowscy, Narbutt i Łopot towarzyszyli mu także.

Ten Łopot był roku poprzedniego z Witosławskim w Pyrmoncie, ale kiedy pierwszy leczył się i kąpał, drugi z nudów pojechał do Hamburga. Tam namówiono go, żeby zwiedził Lubekę. W Lubece jeden z towarzyszów przy *table d'hôte* poradził mu, żeby pojechał do Kopenhagi. Witosławski rady téj usłuchał i dotarł do duńskiéj stolicy. Kiedy jednak chciał nazad powracać, wzniosły się wiatry przeciwne i ponieważ parowców jeszcze nieznano, wypadło cztery tygodnie w Kopenhadze czekać. Pan Ignacy więc nudził się fatalnie nie umiejąc ani słówka po duńsku i tak jak nic po niemiecku. Co gorsza pieniądze wyszły do ostatniego grosza, a listy kredytowe, jakie miał w Pyrmoncie u Łopota zostały. Dobiwszy się nakoniec do Pyrmontu, towarzysza już swego tutaj nie zastał, ten bowiem do Paryża pojechał. *Per pedes apostolorum* więc musiał pan Witosławski dalszą odbywać drogę, żeby z Łopotem się złączyć.

Ten wypadek przypomina mi inne zabawne zdarzenie. Bywał w Puławach Gordon, pułkownik wojsk polskich. Familia ta angielska Huntleyów Gordon, książąt Hamiltonów wydaliła się z Anglii z ostatnim Stuartem, a kiedy córka Sobieskiego wydaną została za znanego pretendenta Stuarta, osiedlili się Gordonowie w Polsce, koło Mniszewa majątki ziemskie nabywszy. Z najlepszymi rodami później się spokrewnili, a z Morsztynami i Olędzkimi w najczęstszych bywali stosunkach i zupełnie się spolszczyli, o angielskim swoim rodzie zapominając. Druga gałąź Gordonów pozostała w Anglii, oddziedziczyła po kądzieli księstwo Hamilton i spokrewniła się ze Stuartami i hrabiami O'Atthal. Owóż dziad wspomnianego pułkownika, szlachcic z ogoloną głową i w kontuszu się noszący, odbiera

wiadomość, że linia Gordonów w Anglii, posiadaczów księstwa Hamilton i majoratu Huntley wygasła i że na niego cały ten olbrzymi majątek przechodzi. Potrzeba tylko żeby przybywał do Anglii i wykonał przysięgę wierności, jedyny warunek do objęcia spadku, inaczéj bowiem dziedzictwo przejdzie na najbliższego krewnego.

Stękając wybrał się poczciwy Polonus w drogę i dojechał do Hamburga, ale tu, skoro zobaczył wzburzone morze, zawołał:

— A, *Deus me avertat*, żebym ja dla tytułu i majątku robił podobne głupstwo i życie swe ryzykował. Wszak i w Osiemborowie mam, chwalić Boga, chleba kawałek dla siebie i dla braci szlachty.

I rzeczywiście do Osiemborowa swego powrócił, o sukcesyi już ani myśląc a szlachta z całéj okolicy się zjechała, żeby za ten afekt sąsiedzki podziękować.

Z tych to Gordonów, z którymi po kądzieli i Lubomirscy i Rzewuscy są spokrewnieni, wynikł ów ciekawy trzydziestodwu-herbowy rys genealogiczny pani Rozalii Rzewuskiéj, w którym nietylko Stuartów, Attholów i Hamiltonów, ale także Balzaców, Chateaubriand'ów i innych sławnych francuskich napatrzyć się można nazwisk.

X.

Z wiosną 1805 r. powrócił do Puław Stanisław Grabowski ze swojéj wycieczki do Petersburga, ale nic tam nie wskórał oprócz komandorskiéj pensyi maltańskiéj; że jednak fundusz z ordynacyi Ostrogskiéj rząd rosyjski pobierał, w miejsce więc należnych 24,000 złp. płacił 3,600 rs., a że wypłata odbywała się na ruble asygnacyjne, przeto stanowiło to zaledwie 7,000 złp. po strąceniu kosztów przesyłki. Natomiast stracił całe swoje mienie, składające się z dóbr Krubki w Galicyi i 40,000 dukatów w gotowiźnie. Zapoznał się w Petersburgu z pułkownikiem Wittem i ten go wprowadził w grono oficerów gwardyi, posiadającéj bajeczne majątki. Grabowski chcąc im dotrzymać placu prędko całę swoję fortunę przeszastał. Jaki zbytek zresztą podówczas panował w téj stolicy, można wnosić z tego, że najstarszy syn słynnego Szczęsnego Potockiego płacił swemu kucharzowi Daniel, francuzowi, 500 dukatów miesięcznie. Siostra moja podbiła serce Grabowskiego i dla tego bawił on naprzód u Kickich w Rykach, a późniéj na stałe przeniósł się do Puław.

Matka jego, jenerałowa Grabowska, mieszkała w Warszawie. Zjednawszy sobie serce króla Stanisława, zawarła ona z nim związki małżeńskie, co się potwierdza i Pamiętnikami Michałowskiego i Tablicami chronologicznemi panny Korzeniowskiéj, które podobno Le-

lewel układał. Oba tylko źródła nie zgadzają się na to, kto ślub dawał i w jakim kościele. Panna Korzeniowska twierdzi, że błogosławił tę parę biskup Albertrandi, Michałowski zaś, który się świadkiem ślubu mieni, powiada, że dawał go ksiądz Wargocki w kaplicy Zamkowéj, a jako świadków, oprócz siebie, wymienia księcia Ekspodkanclerzego, brata królewskiego i Szydłowskiego, starostę mielnickiego, brata pani Grabowskiéj. Zdaje się że związek ten miał miejsce około r. 1785. Pani Kicka opowiadała mi, że jednym ze świadków był także biskup Naruszewicz.

Pani Grabowska miała trzech synów i dwie córki. Najstarszy Kazimierz pojąwszy w małżeństwo pannę Monikę Sobolewską, siostrę Walentego Sobolewskiego, osiadł na Litwie i tam prawie całe życie spędził. Trudnił się trochę literaturą i wydał parę powieści z angielskiego tłómaczonych.

Drugi syn Michał, mężczyzna niezmiernie przystojny, o rysach twarzy regularnych, brunet, średniego wzrostu, należał do najwybitniejszych elegantów warszawskich i był prawdziwą ozdobą salonów. Związany ścisłą przyjaźnią z ks. Józefem Poniatowskim i panią Aleksandrową Potocką, z domu Tyszkiewiczówną, przez tę ostatnią namówiony został, żeby zaczął starania o rękę panny Laury Potockiéj. Rozpoczęte konkury byłyby zapewne pomyślnym uwieńczyły się skutkiem, gdyby nie wojny, jakie w owym czasie nastąpiły. W 1806 r. mianowany pułkownikiem odbył Grabowski kampanią z tegoż roku i z następnego i posunięty na stopień generała brygady, objął dowództwo pułków polskich, składających garnizon Gdański. Wreszcie w 1812 poległ przy szturmie Smoleńska.

Najmłodszy z braci Stanisław, nie tyle przystojnością ile niewyczerpanym zasobem wiadomości encyklopedycznych błyszczał w salonach. Namiętnie lubił czytywać, a czytywał niepojęcie wiele. Zwykle cztery tomy, oprócz dzienników, stanowiły codzienną jego konsomacyą, a posiadał tak szczególną pamięć, że to, co raz przeczytał, pozostawało nazawsze w jego głowie.

Jedna z córek pani Grabowskiéj wyszła za Krasickiego, druga za Walentego Sobolewskiego.

Król Stanisław, który tak był hojny dla poprzednich swoich kochanek, gdy np. starościnę Opeską (!) obdarzył starostwem 200,000 złp. rocznéj intraty czyniącém, który również pamiętał o swych faworytach, dając Branickiemu starostwo Białocerkiewskie, zapomniał zupełnie o losie swéj małżonki, matki licznego potomstwa Nadał jéj wprawdzie starostwo Dembskie pod Mińskiem, ale to tylko 8,000 złp. rocznie czyniło. Zaniedbanie to posunął aż do końca życia, bo gdy dla siebie w układach z dworami zastrzegł pensyą i tytuł królew-

ski, dla żony ani feniga nie wyjednał i nie miał przezorności testamentem losu jéj zabezpieczyć, albo przynajmniéj opiece dworów polecić. Jedynę pamiątkę po drugim mężu stanowiło dla niéj Dembe, piękny portret królewski, pędzla Bacciorellego i parawan z chińskiéj laki. Utrzymywała się jedynie ze swych szczupłych starościńskich dochodów i z procentu od 11,000 dukatów, u księcia Czartoryskiego lokowanych. Jakoż po jéj śmierci nie miała się familia czém dzielić.

Moja siostra nie była bardzo piękną. Czarne oczy i młodość stanowiły jéj wdzięki jedyne. Lecz Opatrzność, wynagradzając poskąpienie w przyrodzie, ozdobiła ją nieocenionemi przymiotami duszy. Nieporównana łagodność, przywiązanie bez granic do rodziny, rzadki rozsądek, zimna krew, biegłość w obcych językach i kilka talentów, aż nadto wynagradzały niezbyt świetną urodę. Pan Michał Grabowski, który częściéj w Puławach bywał, odkrył te cenne w kobiecie przymioty i chcąc brata swego przed zbytnią rozrzutnością uchronić, postanowił go z moją siostrą ożenić. Pan Stanisław skoro ją poznał także się do niéj szczerze przywiązał i konkury zaczęły się z wiosną, a ślub nastąpił w jesieni.

Moja siostra miała poprzednio kilku adoratorów i ci postępowali drogą, przez Puławskie obyczaje uświęconą. Księżna Wirtemberska zaprowadziła ten zwyczaj, że każda panna miała swego *cavaliero servanto*, którego obowiązkiem było wybraną damę otaczać szczególniejszą atencyą i uszanowaniem. Mając takiego sługę panna pewna była, że jéj na balu nie zabraknie tancerza, że przy podwieczorkach, przy majówkach dojdą ją frukta, konfitury i lody, co przy takim ścisku jaki bywał często w Puławach, nie było rzeczą małéj wagi, nie było obawy, że na spacerze się zaziębi, bo jéj kawaler miał zawsze na pogotowiu szal, lub salopę. Prowadziło się także zawsze damę swoję do stołu i wieczorem odprowadzało lub odwoziło do domu. Za tę służbę dostawał się czasami wdzięczny uśmiech, czasami dewiza, zawsze przyjaźń, a czasami miłość, która się kończyła małżeństwem. Choćby jednak do tego nawet i nie przyszło, zawsze ten obyczaj zaszczepiał w młodzieży grzeczność i rozbudzał *un esprit de galanterie chevaleresque*.

Podobnego Cavaliera servanto siostra moja miała w księciu Puzynie, który się tak do niéj przywiązał, iż ze szczególnym zapałem jéj służył, narażając się często na słuszne zarzuty dam innych, żeby bowiem być zawsze na każde jéj żądanie gotowym, nie zważał na innych, zebranych w pośpiechu roztrącał i w towarzystwie nikogo więcéj od panny Cecylii nie widział.

Ja w dziecinnym jeszcze wieku zaciągnąłem się na usługi panny Maryanny Dzierżanowskiéj i przez cały czas mojego pobytu w Puławach jéj nie opuściłem. Piękna ta osoba miała poważniejszego adoratora w Białopiotrowiczu, że jednak wiek nasz był prawie równy i żeśmy się wychowali razem, przeto ja miałem nad nim pewną wyższość. Choć nie mogę powiedziéć żebym był w niéj zakochany, jednak wspólna przyszłość, ukoronowana małżeństwem często mi się marzyła, a zdawało mi się, że ja i ona biedni, będziemy stanowić odpowiednią parę. Los, jak to się okaże niżéj, zrządził inaczéj, niemniéj przeto wzajemną przyjaźń dochowaliśmy sobie nazawsze.

Podobne związki, w takich jak je opisuję towarzyskich stosunkach, zawiązywały się łatwo i zrywały bez żadnych trudności, a ani o Werterowskich cierpieniach, ani o jakich nieprzystojnych zabiegach nie mogło być w nich mowy.

Parą laty przedtém ustanowiono mundur Puławski. Składał się on dla kobiét z sukni z kazimierku ciemno-piaskowego z haftem złotym u kołnierza, dla mężczyzn z fraka podobnego koloru *en habit habillé* z takimże haftem. Mundur damski okazał się zupełnie niepraktyczny, w lecie bowiem był za gorący, a na balach zupełnie niestosowny, to też go prędko zarzuciły, a za niemi poszli i mężczyzni.

Kiedy te formy zewnętrzne coraz więcéj nabierały znaczenia, księżna Wirtemberska wybrała siedmiu młodzieży na swych rycerzów, rozdając im dewizy i złote pierścienie z odpowiednim napisem. Mnie dostała się gwiazda ze słowami: „Niech cię zawiedzie do szczęścia i sławy.“ Niestety—nie wypełniła tego zadania i ani do jednego, ani do drugiéj mnie nie zawiodła. W każdym razie, żeby być na wysokości swego zadania, posprawialiśmy hełmy, tarcze, lance i jak w słynnym romansie Abdel-Malek, wyprawialiśmy turnieje na cześć naszéj damy.

Ponieważ wspomniałem o tym czytanym przez wszystkich romansie, może nie od rzeczy będzie nadmienić, jaka literatura wówczas cieszyła się największym powodzeniem. Powieści czyli romanse, obecnie w naszéj literaturze zajmujące takie pokaźne stanowisko, podówczas nie istniały prawie wcale. Krasicki w Doświadczyńskim i panu Podstolim pierwszy zaczął próby w tym rodzaju. W jego ślady poszli księża Krajewski i Kossakowski, a Jezierski, Niemcewicz i Anna Mostowska wyczerpują podobno powieść ówczesną. Więcéj posiadaliśmy tłómaczeń, ale i te nie wyrównywały produkcyi dzisiejszéj.

Za granicą podobnież, chociaż Anglia, Francya i Niemcy wiele w tym kierunku wydawały, chociaż wychodziło nawet pismo spe-

cyalne *Bibliothèque des Romans*, rozbiorom powieści poświęcone, jednak ilość ich była znacznie mniejsza jak dzisiaj.

O ile zapamiętam najdawniejsze romanse, które ogólną rozbudziły ciekawość, były: *Vie du Chevalier Faublas*, Żyrondysty Louvet'a i nie pamiętam już jakiego autora *Les Liaisons dangereuses*. Płody te rewolucyi francuzkiéj po mistrzowsku pisane, ale obrażające przyzwoitość i moralność. Faublasa wszyscy czytali, chociaż nikt do tego przyznać się nie chciał i z jednego ustępu téj powieści zrobiono operę *Lodoiska*, gdzie występował polak *Metuscò*. W towarzystwie Puławskiém imię to nadano Matuszewiczowi. Po tych dwóch romansach zajął wszystkich nowy: *Le Moine*, gdzie mnich światowiec rozpustny wyrządza psoty płci pięknéj za pomocą szatana, póki go djabli jak swoję własność do piekła nie zabrali. Duch rewolucyi francuzkiéj, ohydą duchowieństwo katolickie okrywający, także się tu silnie odbija.

W końcu wieku ubiegłego i na początku bieżącego wpadły w łaski czytających dwa zupełnie różne rodzaje — romanse angielskie pani Redcliffe, osnute na dziejach starych zamków, na podaniach o strachach, upiorach i rozbójnikach i pani de Genlis, najczystszą tchnące moralnością, chociaż trochę mdłe i bezbarwne.

Około r. 1803 ukazała się Valerie, pani Krüdener, która pięknością stylu i siłą uczucia zawsze celować będzie, oraz dzieła pani Cottin, a na ich czele Abdel-Malek, który tyle łez płci pięknéj wycisnął, że z nich obfity strumyk mógłby się stworzyć. Niemcy w tym czasie obdarzyli nas romansami Lafontaina, a prostota ich i naiwność językiem potocznym wypowiedziane, kwadrowały z gustem ówczesnym do sielanki. Za Napoleona we Francyi pod brzmieniem surmy bojowéj literatura przycichła i romanse tylko ukazywały się od czasu do czasu, Pigault le Brun w swoich powieściach Bostońskich (w rodzaju Pawła Kock) rozśmieszał i bawił, Botle swoim *Les barons de Felsheim* także przyjemnie rozrywał. Jednak ponad wszystkich zabłysła p. de Staël. Jéj Delfina i Corinna niesłychane uzyskały powodzenie, a najlepszym dowodem ich wartości może być to, że Korynnę po półwiekowéj przerwie na polski przełożono język. Wreszcie w zupełnie innym rodzaju pisała pani de Souza, w powtórném małżeństwie Flahaut zwana. Żona adjutanta cesarza Napoleona tworzyła obrazki z życia towarzyskiego wielce sympatyczne.

Z romansu Malek-Adel, holenderska królowa Hortensya ułożyła hymn „*Partons pour la Syrie*,“ który za Napoleona III stał się powszechnym w całéj Europie.

Wszystkie te utwory zepchnięte zostały ze szczytu przez romanse historyczne Walter-Scotta, a późniéj Dumas, Sand, Sue. Soulié Standhal i Féval czytelników ku sobie pociągnęli.

U nas, jakkolwiek żyli jeszcze poeci epoki Stanisławowskiéj, wszakże były to już gasnące gwiazdy, którzy bądź wiekiem, bądź ogólną niedolą przyciśnięci, pisali mało i nie zmieniali barwy w literackiéj swojéj karyerze przyjętéj. Nie rzadko to już mi spostrzegać się dawało, że dzisiejsza generacya o poetach Stanisławowskich wyraża się z lekceważeniem i niemal z pogardą. Jest to sąd niesłuszny. Pominąwszy drugorzędnych ówczesnych poetów jak na przykład Benedykta Hulewicza, tłómacza Owidyusza i takich wieszczów jak Dyzma Tomaszewski, są tam przecież i inni, którzy godnie reprezentują nasz Parnas. Czyż wszechstronny Krasicki może zasługiwać na zarzut bezmyślnego rymotwórcy, czyż Naruszewicz w satyrach, Zabłocki w komedyi małe położyli zasługi? Jeżeli zaś sielankowi autorowie jak Karpiński i Kniaźnin, lub niesielankowi jak Trębecki i Węgierski czasami pochlebstwem się skazili, to wina w tém bardziéj wieku, aniżeli ich własna, każdy piszący i biorący za pióro ma dwa cele: jeden uzyskanie sławy i pochwał, drugi wywalczenie sobie środków do życia. Jak jedno tak drugie osiąga się jeżeli się trafia w gust epoki. Otóż za panowania Stanisława Augusta miłość, galanterya, pochlebstwo górowały i bądź przykład panującego, bądź obyczaje dworu Ludwika XV, wiodły na tę drogę. Temu kierunkowi przypisać należy rodzaj twórczości poetów i przyznać im, że bez względu na wady w duchu epoki leżące, pisali językiem czystym, wdzięcznym i niepospolitego dowiedli talentu.

W okresie, któremu byłem współczesny, literatura w mniéj świetnych znajdowała się warunkach jak za Stanisława Augusta, Franciszek Dmochowski wydawaniem Pamiętnika Warszawskiego siaki taki ruch wywoływał, Bogusławski chociaż z trudem pracował dla sceny narodowéj i bądź tłómaczeniami, bądź oryginalnemi sztukami ją zasilał, Linde słownik swój układał, a Czacki Tadeusz dzieło o prawach polskich i litewskich ogłaszał.

Między poetami ówczesnymi trudno pominąć pułkownika Molskiego, którego wena pochlebstwu poświęcona, hołdowała zasadzie wygłoszonéj przez Kandyda, że nie ma na świecie nic, coby szczęścia i uciechy nie przyniosło. Pochlebiał wszystkim, a ztąd i na niego satyryczne skomponowane wierszyki, zanadto znane, żebym je tu powtarzał.

Najważniejszym jednak objawem naszéj działalności naukowéj i literackiéj, było założenie w 1800 roku Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Troska o przechowanie ojczystego języka, któremu giermanizm zagrażał, była głównym powstania tego towarzystwa powodem a zatwierdzenie jego od króla Fryderyka Wilhelma uzyskano dopiero 1802 r. Pierwszym prezesem towarzystwa wybrany był pełen za-

sług biskup Zenopolitański ksiądz Jan Albertrandi. Był to prawdziwy muł pracowitości a podówczas już starzec zgrzybiały. Chudy, mizerny, zmarszczkami okryty tak był nizkiego wzrostu, że mało co dwunastoletniego chłopczyka przewyższał. Urodzony 1731 r. początkowo Jezuita, następnie zarządzał księgozbiorem Załuskich i na mentora Feliksowi Łubieńskiemu dodany odbył z nim kilkoletnią wycieczkę za granicę. Po powrocie mianowany lektorem Stanisława Augusta, wysłany został następnie do Szwecyi i Rzymu aby wypisywać potrzebne do historyi polskiéj materyały z tamtejszych zbiorów. Tych wypisów zebrał sto dziesięć tomów z bibliotek i archiwów rzymskich, a siedmdziesiąt ze szwedzkich. Dokumenta te darowane przez króla Czackiemu, następnie z Porycka przeszły do księgozbioru puławskiego. Znany nadto jako historyk. Familia ta mieszczańska warszawska, wydała także w młodszym bracie biskupa Albertrandiego, cenionego malarza.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk podzieliło się na cztery wydziały: 1. Fizyczny i matematyczny. 2. Historyczny. 3. Wydział literatury i 4. Sztuk wyzwolonych.

Towarzystwo składało się z sześćdziesięciu członków czynnych i nieograniczonéj liczby członków honorowych i korespondentów. Do roku 1812 z pomiędzy grona założycieli nielitościwa śmierć zabrała już dwudziestu ośmiu członków. Przedniejsi między nimi: książę biskup Krasicki, Józef Szymanowski, ksiądz Józef Osiński, ksiądz Grzegorz Piramowicz, ksiądz Pilchowski, ksiądz Reptowski, Chreptowicz Joachim, Franciszek Dmochowski, Poczobut, Ignacy Potocki, książę Aleksander Sapieha, ksiądz Kołłątaj i w. i.

Pierwsze początki w każdym zawodzie zwykle trudne i postęp bywa powolny. Jakkolwiek więc Towarzystwo zawiązało się w roku 1800, pierwsze posiedzenie odbyło się w maju 1801 i prezydujący zadał każdemu wydziałowi rozmaite kwestye do opracowania. Metodę tę jednak zmieniono późniéj i na następnych dwóch posiedzeniach w październiku i grudniu odbytych naśladowano coraz więcéj Akademią Francuzką, wygłaszając mowy pochwalne na cześć członków ubyłych. W roku następnym dwa posiedzenia miały miejsce i na pierwszém z nich Jan Śniadecki, czyniąc zadość żądaniu położonemu na pierwszém posiedzeniu, złożył swą rozprawę o Koperniku. W roku 1803 dwa posiedzenia w maju i grudniu były w naukowe prace obfitsze i odtąd zwyczaj upowszechnił odbywanie dwóch tylko posiedzeń publicznych. Późniéj wojna w 1806 i 1807 r. przerwała szereg prac Towarzystwa i dopiéro z ustaleniem księstwa Warszawskiego r. 1808 energia i czynność jego odżyły nanowo.

Materyalny stan prowincyi do Prus włączonych wiele się różnił od innych. Zaprowadzono tu hypotekę i może rząd pruski, znając polską naturę, że lubi pożyczać na mały procent, choć pieniędzy nie potrzebuje, zamierzał wyzuć posiadaczy z własności ziemskiéj. Agenci bankowi przebiegali kraj, zachwalając dogodności pożyczek, i rzeczywiście wszyscy właściciele bądź w Banku Berlińskim, bądź w tak zwanéj kompanii morskiéj obdłużyli się po uszy. Że jednak podówczas ciągłe wojny miały miejsce pomiędzy Francyą, Anglią i Niemcami, zboże więc płaciło się wysoko i dochody z majątków były ogromne, tak że nikt ciężaru długów bardzo nie uczuwał. W Galicyi dobra czyniły także bajeczne dochody, nie tylko z powodów tych samych co w Prusiech, ale także i z téj przyczyny, że kraj nie posiadał żadnych innych pieniędzy jak papiery *banknotami* zwane i najpodlejszą monetę cwancygiery, czyli czterdziesto-groszówki. Srebro istniało tylko nominalnie i talara przedstawiała bronzowa sześćdziesięciokrajcarowa sztuka, takież mniejsze po 30 i 15 krajcarów i tak zwane *Siebnery*, miedziane, posrebrzone, kurs tych znaków wymiany arcynizkiéj wartości zgromadzał w ręku właścicieli ziemskich pakiety papierów i wozy miedziaków. Obok tego system prohibicyjny co do towarów zagranicznych pozwalał korzystnie sprzedawać własne nędzne wyroby, a obcych produktów dostarczała obficie kontrabanda. Nie tylko więc, że tu majątki się nie obdłużały, ale owszem składano znaczne kapitały bez wartości, które spowodowując złudzenia, sprowadzały liczne bankructwa.

Począwszy od roku 1795 historya miejscowa łączyła się z dziejami państw, do których nas wcielono, a niezależnie dalsze tradycye pielęgnowała mała liczba wychodzców, która się osiedliła we Francyi.

Po Maciejowickiéj przegranéj jenerał Dąbrowski zaproponował Radzie wojennéj, aby zanim armia Suwarowa do stolicy się zbliży, z całą siłą: która składała się jeszcze z 40,000 wojska, z 200 dział i z 10,000,000 gotówki, z królem i Rządem Narodowym opuścić kraj i przedrzeć się do Francyi. Właśnie pod tę porę Pichegru podbił Niderlandy, Jourdan zdobył Kolonią, a Kleber oblegał Moguncyą. Siły króla pruskiego były rozdwojone. Część ich nad Renem broniła Moguncyi, a druga, która przed sześciu tygodniami opuściła Warszawę zdziesiątkowana chorobami, przytłumiała Wielkopolskie powstanie. Plan Dąbrowskiego uznano za zanadto zuchwały i nie przyjęto go, on więc przeprowadził go w inny sposób. Z Radoszyc każdy jak mógł i którędy mógł przeżynał się ku Renowi, a między emigrantami oficerów było dosyć, ale żołnierza mało, cywilnych zaś najszczuplejsza liczba. Jednych Suwarów do Petersburga wysłał, innych zaś, któ-

rzy się do Puław i Galicyi chronili rząd austryacki powięził. Tego losu doznali; Stanisław Potocki, Piatoli i Kołłątaj; z magnatów dwóch tylko Polskę opuściło: Michał Ogiński, który osiadł w Wenecyi i Potocki, Starosta Sczyrzecki.

W Paryżu Barsa uważano jako dyplomatycznie reprezentującego Polskę i Konwencya nawet półurzędownie go na tém stanowisku uznała. Obok niego zgromadzili się: Wybicki, Prozor, Wojczyński, Józef Wielhorski, Jan Dembowski, Turski, Mniewski, Dmochowski Franciszek, książę Giedrojc Romuald, Taszycki, Niemojowski, Maruszewski, Kociełł, Liberadzki, Broniec Adam, Zabłocki, Jasiński, Mejer, Prusiński, Łazniński, Nagurski, Wysogird, Jezierski, Węgliński, Kołysko i Stanisław Sołtyk. Jak zwykle w takiem zebraniu, pozbawioném przewodnictwa, bywa, emigracya ta zaczęła swoje działanie od kłótni i niezgód. Najwięcéj intryg knuto przeciw Barsowi, któren z urzędu swego już naczelne powinien był objąć stanowisko, utworzono komitet, mający zastępować Kościuszkowski Rząd Narodowy i Barsa obalono, a na jego miejsce Wyszkowskiego dyplomatą obrano. Jednakże emigracya ta do żadnych nie mogła przyjść rezultatów i jedni wstąpili do legionów, drudzy wrócili do kraju, a inni bezczynnie w Paryżu siedzieli.

Wśród podobnych wypadków Dąbrowski trzy lata strawił na ustalaniu rozmaitych związków i szukaniu protekcyi. Pozyskał wreszcie poparcie generałów Jourdana, Championneta i Bernadotta. Tymczasem upadła konwencya i zastąpił ją Dyrektoryat, nowéj więc téj władzy przełożył Dąbrowski projekt, aby z błąkających się rozbitków polskiego wojska sformować narodowy legion, wzmocnić go ochotnikami, którzy z kraju przybędą i użyć go w walce o wspólną sprawę. Dyrektoryat myśl tę przyjął i wykonanie jéj generałowi Bonaparte powierzył. Wódz ten okrył się właśnie nieśmiertelną sławą, gdyż w roku poprzednim rozproszył liczne armie austryackie, kapitulacyą Mantuy i poddaniem się armii Wurmsera godnie dopełnił liczby wawrzynów. Wskutek tych zwycięztw sformowano rzeczpospolitą Lombardzką, a późniéj Cyzalpińską.

Z tém nowém państwem z polecenia generała Bonapartego zawarł Dąbrowski następujący układ:

1. Oddziały wojska polskiego, które się mają utworzyć nazywać się będą Legie Polskie, pomocnicze Lombardyi.

2. Zatrzymają organizacyą, mundur i komendę własną.

3. Nosić będą kokardę francuzką i pobierać żołd taki, jaki dla wojska francuzkiego jest naznaczony.

4. Nominacye na stopnie zawisłe od rzędu Lombardzkiego, zatwierdzane będą przez jenerała Bonapartego.

5. Rzeczpospolita Lombardzka uważać będzie legionistów za braci i udzieli im prawa obywatelstwa u siebie.

W dwanaście już dni po podpisaniu téj umowy okazał Dąbrowski dwa bataliony gotowe do boju. Użyto zaraz tych sił w bitwie pod Rimini i przed pokojem w Leoben w kwietniu 1797 r. liczba legijonistów wzrosła do 5.000, a w końcu tego roku wynosiła głów 7,146. Żądał Dąbrowski, aby przy negocyacyach w Campo-Formio reprezentant polski do traktowania był przypuszczony, ale mu tego odmówiono. Mimo to legiony się zwiększały i wskutek napływu ochotników dwa sformowano. Użyto ich do podboju Stanów Papieskich i królestwa Neapolitańskiego, z których utworzono krótkotrwałe rzeczypospolite: Rzymską i Partenopejską. Gdy jednak narzucone te rządy nie podobały się ludności i gdy umysły podburzone zostały przez angielskie intrygi i pieniądze, wtedy południowe Włochy powstały. Kniaziewicz szturmem zdobywa miasta Fabricia i Fallari, łącznie z Cyzalpinami dzielnie się broni pod Civita Castellana i Neppi i tu z siłą 6.000 rozbija 40.000 powstańców i do niewoli bierze 3.000 i dział 16. Współcześnie Championnet, zdobywszy Rzym, posuwa się do Kapuy i w r. 1798 mają miejsce krwawe bitwy pod Tralti, Sezza, Coslanna i Terracinna. W ostatniéj bitwie zginął Tremo, który wraz z Amilkarem Kosińskim najdzielniejszą był Dąbrowskiemu pomocą w formowaniu legionów. Zdobyte w tylu walkach chorągwie odesłał Championnet Dyrektoryatowi przez Kniaziewicza.

Odwróciło się jednak szczęście od francuzkich zastępców. Anglia i Niemcy, potężném Rosyi ramieniem wsparte, zabierały się odebrać Włochy. Suwarow wkroczył z armią potężną i 25 Marca 1799 r. legia polska napróżno broniła przejście Adygi, a w bitwie pod Magnano, gdzie poległ zacny Rymkiewicz, znacznie uszczuplona, przeznaczona została jako garnizon do Mantuy. Potém zaraz Suworów coraz więcéj zajmuje kraju i ani Scherer, ani Moreau oprzéć mu się nie zdołają. Neapolitańska armia Macdonalda także do opuszczenia tego kraju zmuszona. W licznych bitwach pod Trębią, Grattano, Tidone, Rivalto i następnie pod Novi, druga legia polska ucierpiała tak, że już jéj szczątki złożyć oddzielnéj całości nie zdołały. Jak niegdyś Spartanie pod Termopilami zginęli prawie wszyscy.

Legia stanowiąca osadę Mantui poddać się musiała 28 lipca 1799 r. i cała załoga do niewoli została zabrana.

Dopiéro po 18 Brumaire'a, kiedy Bonaparte jako pierwszy konsul zagarnął prawie samowładnie rządy, zniesiono prawo przez konwencyą wydane, że niewolno jest w służbie francuzkiéj zagranicznych utrzymywać pułków i współcześnie polecono Dąbrowskiemu utworzenie siedmiu batalionów polskich, na żołdzie Francyi pozosta-

wać mających. Organizować nową legię włoską zaczęto w Marsylii, a Kniaziewicz ze szczątków z pod Novi pozostałych formował legią Dunajską nazwaną.

Legia Dąbrowskiego brała udział w bitwach pod Marengo i Montebello i do ośmiuset ludzi straciła, ale wzmocniona niewolnikami z wojsk cesarskich wzrosła znowu do 5,000 i na czele jéj Dąbrowski zaszczytnie odznaczył się pod Calvacallo, a Chłopicki przy oblężeniu Peschiery.

Legia Dunajska okryła się sławą pod Hohenlinden i Moreau, oddając jéj sprawiedliwość, w raporcie swoim się wyraził: „Szczęśliwy rezultat osiągnięty w tym pamiętnym dniu w znacznéj części zawdzięczamy dzielności generała Kniaziewicza, którego wojsko pierwszy raz w ogniu się znajdowało.“

Jak wiadomo zaraz po téj bitwie pokój z cesarzem zawarto i obie legie polskie w Lombardyi otrzymały kwatery. Wynosiły one wtenczas 15,000 ludzi i rzadki to zapewne wypadek w dziejach wojskowych, żeby armia nie zmniejszała się w tak licznych bitwach, ale owszem powiększała się szybko napływem nowych ochotników.

Razem z upadkiem Dyrektoryatu upadła i cywilna reprezentacya interesów polskich i z natury rzeczy przeszła na Dąbrowskiego. W czasie kampanii 1800 r. chciał się on z legionami swojemi przedrzeć do Galicyi i tam na własną rękę rozpocząć wojnę. Przychylał się do téj myśli główny wódz armii włoskiéj Massena, ale nie zgodził się na nią Napoleon i niebawem pokazał czego się po nim można było spodziewać. Większa część legionów, która po nad Po i Dunajem zwycięztwo na stronę francuską przechylała, wysłana została do St. Domingo, gdzie prawie cała wyginęła, bo zaledwie tylko kilkadziesiąt z niéj osób zdołało uratować życie. Reszta oddana została w służbę rzeczypospolitéj Cyzalpińskiéj. Wówczas wielu oficerów przeszło do służby francuskiéj, jak naprzykład Zajączek, który porzucił armią cyzalpińską i przeszedł do armi Neapolitańskich i tu go zastały wypadki 1806 r.

Z pomiędzy polskich żołnierzy najpiękniejsza karyera zdawała się uśmiechać generałowi Sułkowskiemu. W wojsku polskim służył jako porucznik w kampanii Targowickiéj i odznaczył się odwagą i zimną krwią w obronie mostu pod Zelwią. Wyszedłszy za granicę, udał się do Francyi, a późniéj do Stambułu i to oddalenie było przyczyną, że nie wziął udziału w kampanii 1794 r., następnie wstąpiwszy do służby francuskiéj przy sztabie generała Bonapartego zostawał. Posiadając języki wschodnie, z którymi wówczas Francuzi byli mało obeznani, towarzyszył wyprawie do Egiptu i oprócz wojskowych zajęć zamianowany został członkiem uczonéj komisyi, w któ-

réj Denou, Monge i inni poznaniem Egiptu się zajmowali. Ranny nad brzegami morza Czerwonego, zginął w powstaniu w Kairze. Zostawił po sobie napisany po francusku pamiętnik, odnoszący się do kampanii Targowickiéj. Lubiany i ceniony wielce przez Napoleona, miał przed sobą otwartą najświetniejszą przyszłość i gdyby nie zginął przed r. 1806 w kwiecie wieku, mając dopiero lat dwadzieścia ośm, prawdopodobnie by losy Księstwa warszawskiego wzięły całkiem inny obrót. Żaden z Polaków, a nawet żaden z Francuzów, nie posiadał w tak wysokim stopniu zaufania Napoleona.

Cypryan Godebski, adjutant Rymkiewicza, godzien także wspomnienia, gdyż napisał Dekady polskich legionów. Grabiński generał należał do wyprawy egipskiéj, a umarł w r. 1806 pod Bolonią, w majętności, którą tam nabył. Opowiadają o nim, że nie umiejąc dobrze po francusku Napoleona na paradzie raz w ten sposób przywitał: „*Vous en Italie*, *moi en Italie*, *Vous en Egypte*, *moi en Egypte— Vous consul*, *moi rien.*“ Michał Wielhorski generał jeden z najgorliwszych organizatorów legionów, Jabłonowski Władysław generał, który umarł na San Domingo i wielu innych dzielnych, których tu trudno wymieniać.

Generał Dąbrowski spisał dzieje legionów i złożył je w darze warszawskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk.

Napoleon z konsula tymczasowego na dożywotniego się zamieniwszy, wkrótce głowę swą koroną cesarską ozdobił i pod silne berło poddał tę Francyą, która od lat kilkunastu tak często rządy zmieniała. Wojownik z rzemiosła, geniuszowi swemu i odwadze niepojęte wywyższenie zawdzięczając, do zwycięztw przywykły, coraz śmieléj zagarniać począł pod ręką leżące kraje.

Zaraz po koronacyi swéj dokonanéj przez papieża w 1804 r. postanowił rzeczpospolitę zamienić na królestwo włoskie. Za pośrednictwem arcy-kanclerza Cambacerès i rezydenta włoskiego Marescalli rozpoczęto układy z panem Melzi, wice-prezesem rządu włoskiego i tamtejszą konsultą. Włosi chętnie na zmianę rządu zezwalali, żądali tylko, żeby uwolniono ich od haraczu płaconego Francyi i żeby tron ich oddano Józefowi lub Ludwikowi Bonapartemu. Odmowa ze strony Józefa była zdaje się prostą komedyą, boć późniéj nie wahał się przyjąć korony neapolitańskiéj i Hiszpańskiéj i brat musiał się zastosować do wyraźnéj woli Napoleona, który sam chciał we Włoszech panować. Choć więc kładąc na swą głowę żelazną Włoch koronę, w Monza przechowywaną, Napoleon zapewnił, że władzę obejmuje tymczasowo, jednak rzadko ktoś się wyrzeka tronu, a zwłaszcza on, który brata z Holandyi wypędził, byle tylko kraj ten wcielić do Francyi. Nadto oprócz téj zmiany Genuę

wcielono do Francyi, a księstwo Lukki oddano Elizie, siostrze Napoleona. Współcześnie w Boulogne przygotowywała się wyprawa na Anglią.

Lecz i przeciwnicy nie zasypiali i zagrożona Anglia starała się do planów swoich wciągnąć Rosyą. Starań w tym względzie wielkich nie była potrzeba, gdyż cesarz Aleksander I urażony już był zabraniem Piemontu i odmówieniem zań wynagrodzenia królowi Sardyńskiemu i zajęciem Hanoweru. Niebawem téż nakazano posłowi rosyjskiemu p. Oubril zerwać stosunki dyplomatyczne i Paryż opuścić.

Thiers utrzymuje, że projekt medyacyi przymusowéj, jaka w téj chwili na scenę polityczną występuje ułożony był i podany cesarzowi Aleksandrowi przez Piatolego. Piatoli, o którym niżéj obszerniéj będę mówić, znajdował się wówczas w Petersburgu, gdzie się zajmował interesami księżnéj kurlandzkiéj i bardzo dobrze był widziany przez księcia Adama Czartoryskiego, syna, pełniącego podówczas zastępczo obowiązki ministra spraw zagranicznych. Czartoryski go cenił, boć Piatoli był współpracownikiem Ignacego Potockiego i Kołłątaja w konstytucyi 3 maja, niemniéj przeto dwór rosyjski nie mógł go uważać zbyt dobrze, bo zarzucano mu opinie rewolucyjne. Wszakże gdyby pomysł medyacyi, jak chce Thiers, był jego robotą, nie upoważnia to historyka nazywać Piatolego awanturnikiem.

Jakkolwiek-bądź zatrudniano się w Petersburgu ogólną pacyfikacyą i warunki jéj podstawowe ułożono, Nowosilcow wysłany został do Anglii i do Francyi, żeby usposobienia tych dwóch dworów wyrozumiał. W Anglii wszechwładny Pitt objawił gotowość przystąpienia do tych planów i zgodzenia się na ustępstwa, dodał jednak poufnie, że na ustępstwa dobrowolne ze strony Napoleona liczyć nie można, że medyacyą należy od razu uczynić przymusową i do koalicyi wciągnąć koniecznie Prusy. Lord Goover, późniejszy lord Granville upoważniony został do podpisania warunków z Rosyą. Wskutek takiéj odpowiedzi wysłano p. Wintzingerode do Berlina. Dwór pruski, jakkolwiek był przychylny planowi, oświadczył jednak zarazem, że mając pod bokiem siły francuskie w Hanowerze, występować otwarcie nie może, Francuzi bowiem wprzódy państwo Pruskie zaleją, zanim się siły na odparcie ich znajdą. W Austryi nie było żadnéj trudności, cesarz bowiem, wystraszony nowymi dowodami samowoli Napoleona we Włoszech, chętnie wiązał się z każdym kto przeciw Francyi występował. Przy takiém usposobieniu Europy, książę Czartoryski i lord Goover podpisali umowę, któréj punkta były następujące:

a. Każde mocarstwo ma prawo przystąpić do tego traktatu.

b. Celem jego jest odzyskanie niepodległości Szwajcaryi i Holandyi.

c. Uwolnienie od zajęcia militarnego państw: Neapolu i Hanoweru.

d. Zwrot Piemontu domowi sabaudzkiemu wraz z Genuą.

e. Niderlandy mają być przyłączone do Holandyi, a Lombardya do Austryi.

f. Francya ma być ścieśniona w dawnych granicach.

g. Po zakończeniu wojny, gdyby ta okazała się konieczną, zwołany kongres europejski ustali prawidła federacyi między państwami i położy podstawy trwałego pokoju.

h. Gdyby dla doprowadzenia do skutku tego traktatu trzeba było wziąć za oręż, Anglia zobowiązuje się każdemu państwu wypłacić 15,000 funtów szterl. za każde 6,000 ludzi wysłane do boju.

Do traktatu tego przystąpiła naprzód Szwecya, a następnie Austrya i w dziesięć lat późniéj posłużył on do głównych stypulacyj traktatu wiedeńskiego.

Ogłoszenie się przez Napoleona królem włoskim i samowolne postąpienie jego z Genuą i Lukką, przekonały także Rosyą, że tylko siłą można na nim ustępstwo wymódz. Rosyjskie więc siły w trzech oddziałach z głębi państwa ku zachodowi posuwać się zaczęły. Najliczniejszy 80-tysięczny korpus, pod wodzą Beningsena stanął nad Niemnem, 50-tysięczny pod Michelsonem w Brześciu i 40-tysięczny pod Kutuzowem na Podolu.

Choć uzbrojenia te tajono, nie mogły one jednak ujść uwagi wodza tak bacznego jak Napoleon. Wszystko zresztą wydał porywczością swą król szwedzki. Zaczął on przeprawiać żołnierzy swych do Stralsundu, Napoleon więc chociaż nie lękał się garstki Szwedów, bał się jednak, żeby oni nie złączyli się z Prusakami. Dlatego królowi pruskiemu oświadczył, że jeśli Szwedzi do Stralsundu przeprawiać się nie przestaną, on podwoi załogi w Hanowerze i nie pozwoli zgwałcenia neutralności północnych Niemiec. Dwór pruski wysłał do Szwecyi z prośbą zastosowania się do woli Napoleona, król szwedzki jednak w odpowiedzi zwrócił ordery, jakie posiadał od króla pruskiego, oświadczył, że nie chce nosić oznak tych, jakie współcześnie Prusy *ciemiężcy narodów* udzieliły, że jest panem u siebie, że Stralsundu opuszczac nie myśli, a ani Prus, ani Napoleona się nie lęka, bo ma zapewnioną pomoc Anglii i Rosyi. Ta wyniosła odpowiedź odkryła istnienie koalicyi.

Mimo to Napoleon w sierpniu jeszcze nie porzucał swego zamiaru wylądowania w Anglii i, przybywszy do Boulogne, robił przegląd zebranych tu 125,000 wojska, oczekując na flotę, która pod do-

wództwem Villeneuve'a i Gravin'a miała osłaniać statki kanonierskie i przewozowe. W Holandyi także 25,000 wojska gotowego do wyprawy się znajdowało. Ale flota, wracając z Antyllów, stoczyła niepomyślną utarczkę z angielskim admirałem Colder i zamiast do Boulogne, zdążała do Kadyksu, żeby uniknąć spotkania z Nelsonem, który ścigając ją od Antyllów, ślady jéj utracił.

Chcąc na lądzie także być spokojnym z Boulogne wysłał Napoleon do Berlina Duroc'a, ofiarując królowi pruskiemu Hanower, jeśli ten zawrze z nim traktat zaczepno-odporny i wojska swe ku Czechom posunie. Król pruski znajdował się między młotem i kowadłem i wiedząc, że Napoleon wojną będzie niedługo zaskoczony, za radą Hardenberga, swego ministra, postanowił temporyzować i Duroc'a posłuchanie o ile możności odkładać. Napoleon wszakże, dowiedziawszy się tymczasem o ruchu swojéj floty i o tém, że Austryacy nad Innem i Adygą znaczne siły gromadzą, poczytał wojnę za niewątpliwą i 27 sierpnia wydał rozkaz, żeby wojsko pod Boulogne zgromadzone forsownym marszem nad Ren się przeniosło. Pułki gotowe w Holandyi i te, które zajmowały Hanower, miały się zgromadzić w Würtzburgu nad Menem. Bernardotte, dowodzący wojskami w Hanowerze dla pośpiechu obrał drogę przez Anspach i przez to neutralność Prus zgwałcił.

(*d. c. n.*)

TEORYA DARWINA

W STOSUNKU DO NAUKI I ŻYCIA.

Szkic ogólny.

III.

Darwinizm i Religia.

> Kiedy się jaka nowa teorya pojawi, przeciwnicy jéj twierdzą najprzód, iż jest fałszywą; gdy zarzut ten zostanie podkopany, utrzymują, że jest przeciwną religii, a gdy i to okaże się niedorzecznością, pocieszają się mniemaniem, iż w nowéj teoryi nie ma nic nowego.
>
> *Stara prawda.*

Kiedy się okazało, że teoryi Darwina, która wprawiła w osłupienie cały świat konserwatywnych uczonych, niepodobna zabić milczeniem, kiedy Darwin pobijał swemi przeważnemi siłami wszelkie próby podkopania podstaw, na których się opierał, przeciwnicy uczuwszy zupełnie zachwiany grunt pod swojemi nogami, zmienili front, przeszli na inne pole i gdy się nie udało wykazać fałszywości teoryi, okrzyknęli ją jaką niereligijną.

Czytając napaści antydarwinistów do tego obozu należących, zdawałoby się, że Darwin i jego zwolennicy postawili sobie za jeden z głównych celów obalenie religii, że w dziełach ich co krok napotykamy wycieczki przeciwko religii, lub że przynajmniéj teorya descendencyi służy materyalistom czy ateistom za główną podstawę. Tymczasem przeciętny czytelnik zobaczy—zapewne z wielkiém zdumieniem,—że religia i darwinizm mogą istniéć obok siebie, i że dar-

winizm w niegorszym znajduje się do religii stosunku jak powszechnie uznane i zostawione w spokoju, teorye Kopernika, Newtona, Laplace'a, Lavoisiera i dziesiątki innych poglądów naukowych.

Posłuchajmy najprzód co powiada Darwin, któremu przecież nikt nie odmówi, że jest najradykalniejszym i najkonsekwentniejszym darwinistą.

Oto jego słowa.

„Nie widzę żadnego dostatecznego powodu, aby poglądy w téj książce zawarte, mogły wejść w kolizyą z czyjemiś religijnemi uczuciami. Powinno podziałać uspokajająco (albowiem okazuje jak przelotnemi są podobne wrażenia) przypomnienie, że największe odkrycie, jakie kiedykolwiek przez człowieka dokonane zostało, mianowicie prawo przyciągania czyli ciążenia powszechnego, doznało również napaści ze strony Leibnitz'a, „„„albowiem podkopuje religią naturalną a neguje objawioną.“"“ Pewien słynny autor i duchowny pisał do mnie „„„że powoli przyszedł do przekonania, iż podobnie wzniosłem pojęciem Boskości jest wiara, w stworzenie przez nią kilku typów pierwotnych, zdolnych do samodzielnego rozwoju w inne i konieczne formy,—jak ta, że potrzeba jéj było coraz to nowych aktów stworzenia dla wypełnienia luk, które przez działanie jéj własnych praw powstały.““ (1).

A daléj:

„Według mego mniemania, więcéj się zgadza z prawami wlanemi przez Stwórcę w materyą pogląd, że powstawanie i zagłada dawniejszych i teraźniejszych mieszkańców ziemi spowodowana została pochodnemi (secundäre) przyczynami, podobnemi do tych, które stanowią o życiu i śmierci osobnika. Gdy uważam wszystkie istoty, nie za oddzielne stworzenia, lecz za linie potomstwa niewielu przodków, istniejących na długo przed osadzeniem się pokładów kambryjskich, to wskutek tego wydają mi się one uszlachetnionemi“ (2).

Dzieło zaś swe kończy Darwin słowy:

„Jest to zaiste pogląd wspaniały, że zarodek wszelkiego życia, nas otaczającego, tchnął Stwórca.“

Widzimy więc, że teorya descendencyi nie wyparła z umysłu Darwina uczuć religijnych; że zaś Darwin jest ideałem konsekwencyi, więc wnieść wypada, iż obie ideje mogą się doskonale obok siebie pomieścić w mózgu najmędrszych ludzi. Kto więc został religijnie wychowanym, tego z pewnością darwinizm nie uczyni ateistą, tak jak

---

(1) L. c. str. 568.

(2) O początku gatunków. Przekład niemiecki wyd. V. str. 559.

z drugiéj strony ateisty nie nawróci bynajmniéj ani wielkość Stwórcy, który wlał własność rozwoju w kilka istot pierwotnych, ani przykład Darwina. Biorąc rzecz objektywnie a logicznie, obie sfery można uważać za współrzędne i równoległe. Po za teoryą Darwina istnieje jeszcze ogromne pole, do którego nie sięga bynajmniéj jéj nić przewodnia, a które każdy, według natury i kierunku swéj indywidualnéj sfery duchowéj zapełnia. Inaczéj wygląda ona u Darwina, inaczéj u Haeckl'a, inaczéj u każdego z tysiąców innych darwinistów. Przy darwinizmie można być katolikiem, anglikaninem, buddystą, ateistą tak samo, jak można wyznawać zasady każdego z osobna z tych systematów, będąc przeciwnikiem teoryi ewolucyjnéj. Nie sięgając daleko, przytoczymy osławionego „materyalistę“ a może i ateistę Karola Vogta. Do r. 1859 był on stanowczym i jaskrawym przeciwnikiem teoryi descendencyi, czyli że będąc materyalistą, stał po stronie teoryi Cuvierowskiéj, uważanéj za zgodną z religią. Gdy go Darwin przekonał, stał się ewolucyonistą; jednakże przez cały ten czas, pomimo tak ogromnéj zmiany w jego pojęciach o świecie organicznym, nie powstała żadna zmiana w jego pojęciach filozoficzno religijnych i w obu okresach był jednym i tym samym materyalistą, podobnie jak Darwin i wielu innych pozostali, pomimo wpływu podobnéj zmiany, religijnymi jak dawniéj.

Czyż może być dowód jaskrawszy, że ta lub owa teorya powstania świata organicznego niezmiernie mało wpływać może na taki lub owaki stan pojęć religijnych człowieka.

Fakta są w zupełnéj zgodzie z tym wywodem. Nikt nie wskaże systemu filozofii materyalistycznéj opartéj na teoryi Darwina. Jeśli to, że np. Büchner powołuje się na nią, może służyć za dowód jéj niereligijności, to i fakt łączenia się pierwiastków chemicznych w stosunkach oznaczonych, na który Büchner również się powołuje, powinien być uważany za antyreligijny. Filozofia materyalistyczna opiera się na ogólnych rezultatach wszystkich nauk a w szczególności na wnioskach z fizyologii, i bez teoryi Darwina mogłaby się tak nadal obchodzić, jak się dotąd bez niéj obchodziła, i „Büchneryzm“ z teoryą Darwina jest tak silnym i tak słabym, jak był bez téj teoryi. Jedném słowem, jeżeli chodzi o religią w najogólniejszém, naukowém, znaczeniu tego wyrazu, znajduje się ona w takim samym stanie wobec teoryi Darwina, w jakim była w obec teoryi Cuviera i najzupełniéj z tą samą słusznością można powiedziéć, że istnieje Bóg, który rządzi prawami rozwoju istot, jak się mówiło, że tworzył każdy gatunek z osobna; jak również z drugiéj strony materyalista przy téj czy owéj teoryi zawsze może przypisywać powstanie istot nieświadomym siłom natury. Teorya Darwina nie zajmuje się bynajmniéj przyczynami ostateczne-

mi, ma ona za zadanie tylko zbadanie przyczyn najbliższych i praw, według których dokonało się powstanie świata organicznego. Przyczyny dalsze, prostsze, należą do innych nauk lub do metafizyki, będącéj właśnie polem dla filozofów wszelkich odcieni. Powtarzamy raz jeszcze, że teorya Darwina nieposiada w sobie wcale bezpośrednich materyałów do metamorfozy człowieka religijnego na niereligijnego, tak jak jéj nieposiada do zamiany materyalisty na idealistę.

Wdaliśmy się w ten objektywny wywód logiczny tylko dla wykazania nieznajomości rzeczy panującéj w sferach, chcących wydawać o kwestyach podobnych wyrok stanowczy. Wykazuje nam to jednocześnie, że wszystkie napaści na teoryą Darwina powstać mogły tylko na zasadzie kwestyj drugorzędnych. Mianowicie zarzut niereligijności darwinizmu utworzony został na mocy znanych podań biblijnych, o stworzeniu zwierząt i człowieka, czyli na podstawie nie religii w filozoficzném znaczeniu tego wyrazu, ale kosmogonii według tradycyj hebrajskich. Jest-że to jeszcze możliwém po Koperniku i Galileuszu? Najciekawszém jednak jest to, iż zeloci nawet śród własnego obozu tracą coraz bardziéj grunt pod nogami. I tak ksiądz Lecomte w antydarwinistyczném swém dziele „Le Darwinisme et l'origine de l'homme" powiada, że komentarze ś-go Augustyna „mogą się jak najlepiéj zgodzić z hipotezą ewolucyi gatunków", a daléj zaznajamia nas z faktem, iż pogląd wyższego duchowieństwa katolickiego na darwinizm jest podzielony. „Kiedy jedni, mówi, zwracają uwagę na antychrześciańskie następstwa darwinizmu, inni sądzą, że wszystkie te wskazane następstwa nie wypływają wcale z téj teoryi, i że ci katolicy, którzy jéj są przeciwni, albo mają o téj nauce wyobrażenie bardzo błędne, albo téż nie znają dobrze swego katechizmu." Ale choć i uznany powszechnie za religijnego filozofa, nieodżałowanéj pamięci Tyszyński dowodził, że Geneza nie mówi wcale o tém, jak były stworzone istoty, że nie wyłącza utworzenia człowieka z materyi organicznéj, choć cytował nadto ś-go Augustyna, który powiada, że pojęcie jakoby istoty stworzone zostały nagle, na podobieństwo działań człowieka, jest dziecinném (s. Aug. Conf. XII, 17); choć kler anglikański, któremu bynajmniéj braku gorliwości zarzucić nie można, przyjął zwłoki Darwina do Opactwa Westminsterskiego i choć głosił z katedr kościelnych, że nauka jego bynajmniéj nie sprzeciwia się religii, jednakże nasi antydarwiniści bynajmniéj nie mogą zrozumiéć doniosłości téj nici Aryadny wyprowadzającéj ich z labiryntu, w którym się znajdują, i z prawdziwie dziecinnym uporem uderzają o mur, którego nie rozwalą.

Zająwszy nawet najobjektywniejsze stanowisko, nie podobna zrozumiéć ich logiki. Napadają na darwinizm dla tego, że się oddala

od wyrazu wiedzy przedtysiącoletniéj. Ale czyż obecne zasady moralności są zasadami biblijnemi? A przecież twórca Biblii kładł chyba na etykę więcéj nacisku niż na pojęcie zoologiczne! Czemże więc poprą narzucanie nauce pojęć przestarzałych, przez kościół nawet w części odrzuconych?

Ku ostrzeżeniu zelotów na jakie niebezpieczeństwo narażają się podobną krytyką i ograniczaniem swobody badania naukowego, ku uprzytomnieniu im jaką kartę gotują sobie w historyi, niech posłużą poniższe słowa Oskara Peschla, uczonego, którego bynajmniéj nie można nazwać darwinistą.

„Wiernym chrześcianom przypomnimy, na jakie wystawiają się niebezpieczeństwo, uwłaczając tak poważnemu badaczowi jak Darwin. Gdy Kopernik wystąpił ze swą, słabo jeszcze uzasadnioną nauką o planetarnym charakterze ziemi, a nawet późniéj, gdy luneta w sierpowatym kształcie planety Venus oraz w świecie Jowisza, dała przekonanie zmysłowe, a Kepler prawami swojemi zapewnił ścisłe dowody prawdziwości poglądu Kopernikowego, nowa prawda została, pomimo to i przez dwór rzymski i przez protestanckich zelotów potępioną. Ponieważ prawdziwy Stwórca postępował w swych dziełach nie po ptolemeuszowsku lecz po kopernikowsku, więc w osobie tych, którzy Jego prawdy głosili, został umieszczony na indeksie, a ci, na których Bóg czekał sześć tysięcy lat, aby dzieła jego poznali—jak to Kepler o sobie pisze—byli jako kacerze prześladowani. I teraz mamy przed sobą dwojako pojętego Stwórcę: raz takiego, który, jak sobie Cuvier wyobraził, niszczy swe dzieła albowiem wymyślił coś lepszego, a drugi raz takiego, jak go pojął Darwin, który stworzył istoty żyjące zmiennemi, ale przewidział kierunek tego przekształcenia się i rozpuścił tylko sprężynę zegarka, nie tamując jego biegu... Trudno pojąć jakim sposobem pobożne umysły mogą być tą nauką zaniepokojone, albowiem stworzenie zyskuje na godności i znaczeniu, jeśli nosi w sobie siłę odnawiania się i rozwoju do większéj doskonałości..."

„Jedna tylko, jedyna, znaleziona w ziemi skamieniałość, któréj zresztą tęsknie nie wyczekujemy, ani też z góry przepowiadać nie chcemy, mogłaby już jutro stwierdzić, że prawdziwy Stwórca jest bliższym wyobrażenia Darwinowskiego niż Cuvierowskiego, a nieopatrzni zeloci musieliby wtedy, tak jak prześladowcy Galileusza, oskarżać siebie samych, że prześladowali prawdziwego Boga dla jakiegoś tam naukowego widziadła. Przecież sama historya teoryi przekształcenia zna już właśnie przypadek takiego świetnego odparcia. Cuvier zamknął usta poprzednikowi Darwina, Lamarck'owi tém, że zażądał znalezienia formy pośredniéj pomiędzy Palaeotherium

a dzisiejszym koniem, jeśli rzeczywiście miała miejsce przemiana gatunków, z owego zaginionego na dzisiejsze zwierzę. Gdyby Cuvier żył teraz i gdyby w jedném z naszych muzeów zobaczył zgrabnego przedpotowego Hippariona, z dwoma kopytkami, musiałby ze wstydem przyznać, że jego żądaniu stało się zupełnie zadość" (1).

Prawie tak samo odzywa się w „Bibliotece Warszawskiéj" *X.* krytyk przekładu „Homo versus Darwin" (prawdopodobnie A. Tyszyński) (2). „Ci namiętni przeciwnicy teoryi Darwina, którzy w każdym przeciwniku jéj widzą przyjaciela religii, a w każdym jéj stronniku nieprzyjaciela religii, nie oddają téj ostatniéj dobréj przysługi; jeśli bowiem hipoteza ta Darwina, jak niegdyś Kopernika, znajdzie swego Newtona i Keplera i przestanie być hipotezą, tedy ich dowodzenia usilne, iż ona jest wręcz przeciwną Biblii, nie pójdzie wcale na korzyść bronionéj sprawy."

Widzimy więc, że można być darwinistą a przytém człowiekiem religijnym, że można być uczonym teologiem i wiernym chrześcianinem, a zaprzeczać niezgodności darwinizmu z religią, że krytyka nauki na zasadzie tradycyj hebrajskich dowodzi z jednéj strony braku naukowego wykształcenia i cofnięcia się do czasów przed kopernikowskich, a z drugiéj jest pociskiem, zwracającym się ku rzucającemu i ku sprawie bronionéj, wysokim nietaktem, wywołującym skutek przeciwny zamierzonemu.

Lecz nie w tém leży główny punkt zetknięcia się religii z darwinizmem, punkt rzeczywiście wielkiéj dla religii doniosłości. Nie dostrzegli go nasi zeloci, ale dostrzegli darwiniści i z mniejszém lub większém szczęściem opracowali, torując drogę nowemu na znaczenie religii poglądowi. Zarysuję to stanowisko w ogólnych wyrazach, nadmieniając, że pomiędzy darwinistami, którzy je zajęli, znajdują się uczeni, jak Gustaw Jaeger, który ze względu na swe filozoficzne przekonania, należy do obozu t. z. materyalistów.

Krytyka metafizycznéj treści systematów religijnych — powiadają oni—nie wchodzi bynajmniéj w zakres zadania teoryi Darwina. Teoretyczna wartość pojęć religijnych należy do zupełnie innego działu. Jéj zaś stanowisko jest zupełnie praktycznném, biegunowo różnem od filozoficznego. Filozof podda krytycznemu rozbiorowi np. fatum greckie i dojdzie do przekonania, że jest fałszem lub wyrazem prawdy, i już mało go to obchodzi jaki wpływ wiara w fatum na ludzi wywiera; darwinista zaś przy rozbiorze fatum, bierze je jako objaw gotowy, rozpatruje jego pożyteczność i szkodliwość dla społeczeństwa i dochodzi do przekonania, że dla społeczeń-

---

(1) Peschel, Völkerkunde. — (2) Bibl. Warsz. 1873. Listop. str. 342.

stwa toczącego ciągłą wojnę, wiara taka jest wielce pożyteczną, jako czynnik pomocny w walce o byt, czyli jako pomoc w utrzymaniu bytu danego społeczeństwa. Podobnież rzecz się ma z religią. Darwinista z wyłącznego swego stanowiska pyta się tylko o to, czy religia daje siłę człowiekowi i społeczeństwu w walce o byt i na téj drodze może się zgodzić dwóch darwinistów zupełnie przeciwnych przekonań metafizycznych, materyalista z idealistą, tak samo np. jak przed dwudziestu kilku laty Vogt wraz ze spirytualistami spotkał się na polu obrony teoryi Cuviera i napaści na teoryą descendencyi.

Wobec najnowszych badań naukowych na polu etnologii, religii nie można bynajmniéj uważać za sztuczny utwór kapłanów wyzyskujących swoje położenie, jak to twierdzili francuzcy filozofowie XVIII w. Jest ona objawem naturalnym, koniecznym i dostateczne prawa istnienia mającym. Nie ma prawie tak dzikiéj grupy ludzi, któraby nie szukała przyczyn zjawisk świata, któraby nie dążyła do ich uogólnienia, któraby nie pragnęła nadać niewzruszonéj podstawy, prawom będącym koniecznemi warunkami jéj bytu. Czyni temu zadość sfera religii. Jak według hipotezy fizyków eter wypełnia wszystkie przestwory pomiędzy atomami, tak religia zapełnia wszelkie luki poznania, praw i urządzeń społecznych. Jak „natura nie znosi próżni,“ tak téż nie cierpi jéj umysł ludzki i ma stosowne do swego rozwoju zapełnienie. Gdybyśmy się odważyli na niemożliwy zresztą eksperyment pozbawienia danego ludu, np. indusów lub samojedów religii, to w próżnią ztąd powstałą wpadłoby zaraz cośkolwiek — i zapewne nie pozytywna nauka. I jakaż wynikłaby dla tego ludu korzyść z podobnie sztucznego wtargnięcia w bieg jego rozwoju? Ludzkości w inspektach hodować nie można. Ale przypuśćmy na chwilę, żeśmy dokonali rzeczy niemożliwéj, żeśmy wygnali z danego ludu religią, żeśmy mu odebrali wiarę w gotowe już pojęcia. Cóż daléj? Pozwolimy każdemu osobnikowi wyrobić sobie samodzielne pojęcia ogólne. — Dobrze. Ale na podstawie jakiego materyału? Nauczymy każdego filozofii i nauk przyrodniczych? Przypuśćmy, że już to jest możliwém, ale co zrobimy wobec milionów, z lukami niezapełnionemi — z przyczynami ostatecznemi? Ale przecież mówić o wysokiém wykształceniu każdego człowieka jest niczém więcéj jak pustym brzękiem wyrazów. Trzeba brać poziom umysłowy ludzkości takim, jakim jest teraz. A jak rzadkiem zjawiskiem w porównaniu do ilości ludzi jest materyał naukowy odpowiedni do wyrobienia jakich takich pojęć ogólnych! Zdolność do logicznego myślenia nie jest bynajmniéj częstą właściwością. Wypompujmy z jakiego ludu religią i zacznijmy go uczyć wiedzy pozytywnéj. Rzecz jasna, iż każdy zanim się nauczy *A* będzie już miał

swoją nową filozofią i ogólny poziom tych filozofij będzie może niższy od najniższéj obecnéj religii. Przytém zapanowałby chaos, zamieszanie wcale niepożyteczne. Powtarzamy, żeby naukowo myśléć i to samodzielnie, żeby przy nauce nie wpadać na dzikie manowce, potrzeba mieć dość rzadkie zdolności i bardzo kosztowne (co do środków materyalnych, czasu i zdrowia) przygotowanie, które dotąd niestety, tylko jednemu na tysiąc mogą być dostępne. Chcieć aby ktoś, co całe życie zajęty jest robotą w polu lub dopasowywaniem części zegarkowych, wytworzył sobie racyonalną filozofią lub przyswoił najgłębsze wyniki nauki, jest to być ideologiem. Nie przychodzimy na świat z jednakowemi zdolnościani i ideami wrodzonemi, a „chłopski rozum," zjawisko bardzo niepowszechne, jest zaledwie zaczątkiem rozumu naukowego. Małoż to w wiekach przeszłych było zdrowego rozsądku, a jednak w jakież dziwactwa wierzył za Paracelsa najmędrszy świat naukowy! Do utworzenia sobie dobrych pojęć trzeba nietylko ścisłéj logiki, zdolności, lecz i materyału, a ten zaledwie wyjątkom jest dostępny. Potrzeba też tradycyi, stopniowego rozwoju. Jeden człowiek może nagły skok uczynić, ale nigdy naród. Ogół musi poprzestawać na wierze, musi mieć pojęcia skończone, zaokrąglone, aby nie męczył się wątpliwością i przy braku środków nie wychodził na manowce. Więc religia ze stanowiska teoryi Darwina jest i konieczną i potrzebną.

Na miejsce różnolitego chaosu wprowadza jedność pojęć, nie pozwala im się rozstrzelić w tysiącznych promieniach, i jednostki, których umysły rozbiegać się mogą w najdzikszych kierunkach, spaja jednym węzłem, czyni je zwolennikami jednych zasad, daje im spójnię duchową, czyni z nich towarzystwo, zaprowadza braterstwo. A stan taki jest rzeczą pierwszorzędnéj wagi w walce o byt i w sprawie postępu.

Naturalnie, że im religia jest wyższą, tém korzyść z niéj dla społeczeństwa większa. Ale nawet religie bardzo nizkiéj wartości są już wielkiem dobrodziejstwem dla narodów, jako wyższe od średniego poziomu umysłów i jako czynniki mniéj więcéj doskonałéj jedności.

Cóż dopiero jeśli religia nosi w sobie czynniki takie, które przy najściślejszéj krytyce wydadzą się jako dźwignie siły i postępu człowieka, społeczeństwa i ludzkości! Zasada miłości bliźniego ma na celu spojenie silnym węzłem społeczeństwa, uczynienie zeń szeregu współpracowników, niemal organizmu. Zasada równości głosi wolność w walce o byt, znosi kasty, niewolnictwo, przywołuje nowe żywioły do rozwinięcia całkowitéj swéj działalności, umożliwia wybór w większych masach ludzi, pozwala na rozwój wielu talentom, któ-

reby niewolnictwo lub kastowość zabiły; obie zasady kładą silny hamulec na zwierzęcą walkę o byt i dążą do kierowania jéj na lepsze tory. Religia więc ze swéj politycznéj strony przedstawia się etnologowi — którym nie może nie być darwinista, jeśli chce mówić o ludzkości — jako jedyny najpowszechniejszy, najprzystępniejszy, najskuteczniejszy, a zapewne i jedynie możliwy środek podnoszenia poziomu umysłowego i moralnego mas od stanu największéj dzikości do stanu kultury, większego lub mniejszego stopnia, ale zawsze kultury.

Prawda, iż gdybyśmy wszystkie religie istniejące na ziemi zaczęli rozważać ze stanowiska wiedzy i moralności najwyżéj rozwiniętych grup ludzkości, to napotkalibyśmy w nich mnóstwo niedorzeczności i potworności. Weźmy dla przykładu choćby grupę religij uralo-ałtajskich, z ich wiarą w życie i potęgę fetyszów z kamienia i drzewa, w możność zyskania ich przychylności przez modlitwę, ofiary i wstawiennictwo szamanów. To prawda, ale czyż nie widać jednocześnie w ich religii pierwszych prób tłómaczenia i podbijania zjawisk natury, czyż umieszczenie ostatniéj przyczyny wszechrzeczy w słońcu nie jest bardzo filozoficzném, czy wreszcie ich godne najwyższego podziwu i uznania zasady moralności, nie okupują tego wszystkiego. Fałszywy pogląd na świat, który daje im ich religia, jest obrazem rezultatów badania, do których doszli najzdolniejsi ich ludzie. Jak on jest stosunkowo wysoki, spostrzeże każdy kto wie, że i w Europie pomimo warunków, których ani porównać nie można z warunkami na tundrach, całe masy przerabiają sobie wysokie pojęcia na fetyszyzm i szamanizm. Czyby lepiéj było, gdyby każdy za wiewiórką lub niedźwiedziem biegający tunguz lub samojed tworzył sobie własne, jak Kant mówi „postulaty praktycznego rozumu.“ Wolimy, aby to była zbiorowa praca pokoleń i głów najzdolniejszych, bo z pewnością wyższą będzie od średnich pojęć i zasad indywidualnych.

Trudno téż zaprzeczyć, że ponieważ szamanizm jest sformułowany, unieruchomiony więc żadnego postępu nie dopuszcza. Wychodząc ze stanowiska, iż jest ostatnim i najświętszym wyrazem prawdy, mógłby po tyrańsku zagłuszać każdą genialną myśl. W niniejszym przykładzie możnaby powiedziéć, że więcéj tunguzom pożytku przynosi obecna przez pokolenia wyrobiona religia, aniżeli jeden lub dwóch geniuszów, którzy, jeżliby nie byli Attylami lub Czyngischanami, lecz Kopernikami lub Newtonami, zmarnieliby, zgaśli jak błędne płomyki, lub mogliby doznać takiego samego prześladowania od niereligijnego, jak i od religijnego tłumu. Attyla zaś t. j. geniusz, który trafia do przekonania mas, nie lęka się sza-

manów. Bądź co bądź jednak, tyrania podobna jest wielką wadą religii, ale też jest jednocześnie tylko szczegółowym objawem niedoskonałości ludzkiéj. Cywilizacya postępuje nie prosto lecz zygzakami i często wstecz się cofa, jak powszechnie wiadomo. Jeśli są tylko inne warunki rozwoju oświaty, to ona zetrze te szorstkie wyzębienia, a może być nawet, że podobna walka obu stronom wychodzi na korzyść. W saméj nauce, najpozytywniejszéj, również podobne walki się toczą. Darwinista nie może mieć nic przeciwko temu, aby szamaństwo przemieniło się w religią wyższą, szlachetniejszą, bardziéj z nauką zgodną, tak samo jak nie ma nic przeciwko temu, aby czynność oka, uznanego przez Helmholtza za bardzo niedokładny przyrząd fizyczny, stała się dokładniejszą. Darwinista nie może być tylko zwolennikiem wyłupywania oczu i ustawiania na ich miejscu choćby najlepszych przyrządów Hartnacka.

Przedstawiliśmy tu umyślnie pojęcia darwinistów - materyalistów, dla dania jaskrawego dowodu kierunku jaki nawskróś praktyczne i najgłębiéj wglądające w przyczyny zjawisk postulata téj teoryi najskrajniejszym poglądom teoretycznym narzucają. Że darwiniści religijni, choć w inny sposób do tego samego doszliby rezultatu, o tém już nawet wspominać nie potrzeba. Zbyteczną też jest rzeczą mówić o ich wywodach, bo mówilibyśmy o ich przekonaniach religijnych, nie zaś o odłączonych od wszystkiego postulatach teoryi Darwina, jakich jasność dowodzenia wymaga.

Streśćmy wyniki powyższego rozumowania.

Religia nie jest zrobionym na obstalunek towarem, który w danéj chwili można odrzucić lub zmienić. Jest to objaw faktyczny, żyjący, naturalny, powszechny i konieczny. Wypełnia on pewną sferę potrzeb człowieka, zapełnia próżnię po nad dziedziną wiadomości czy wiedzy doświadczalnéj i jest wcieleniem sankcyi najszlachetniejszych uczuć człowieka, sankcyi, która utwierdza i wysoką siłę nadaje czynnikom korzystnym w walce o byt.

Czyż więc darwinizm wrogim jest religii, czy choćby dla tego jedynego powodu usprawiedliwione są prześladowania, którym podlega, czy skazywanie go na banicyą z literatury i niedopuszczanie do szkół ma więcéj sensu od dawnego interdyktu na odkrycie Kopernika?... Niech czytelnik sam sobie na to odpowie.

IV.

Teorya Darwina w literaturze polskiéj.

Pierwsze echo teoryi Darwina odbiło się u nas dopiero wtedy, kiedy „Origin of species“ wyszło już w trzeciem wydaniu w Anglii,

a francuzi i niemcy mieli już po dwa wydania przekładu. Pochodziło zaś ono nie od samego dzieła Darwina, ale od jego krytyków. Autorka lekkich felietonów p. t. „Kronika Paryzka“ w Bibliotece Warszawskiéj była pierwszym zwiastunem nowéj epoki w nauce, podając we wrześniu roku 1864 wiadomość o poglądach d'Archiac'a, w świeżo wyszłym tomie Kursu Paleontologii i Flourens'a w „Examen du livre de M. Darwin“ — na nową teoryę ewolucyi. Z króciutkiego tego sprawozdania, widać że autorka nawet krytyk tych nie czytała i nie dobrze rozumiała o czém pisze. Nic więc dziwnego, że wzmianka ta przeszła bez żadnego wrażenia, że nikt uwagi nie zwrócił na teoryą Darwina, która zresztą w świetle bardzo wątpliwéj wartości z „Kroniki Paryzkiéj“ wychodzi. Nie obwiniamy za to wcale zdolnéj felietonistki. Nie do niéj należało wprowadzać do nas nowe idee naukowe. Zrobiła co mogła i odpowiedziała swemu stanowisku.

W tymże samym roku nowy profesor zoologii w szkole Głównéj Warszawskiéj p. August Wrześniowski, rozpocząwszy wykład systematyczny zoologii, pomieścił przy rozbiorze znaczenia gatunku krótkie streszczenie teoryi Darwina, w którém widocznie staje po stronie téj teoryi. Pierwsze to naukowe choć zbyt lakoniczne przedstawienie nowego poglądu znajdzie czytelnik na 27—31 str. litografowanego kursu zoologii prof. Wrześniowskiego, wydanego przez jednego ze studentów w roku szkolnym 1864/5.

W r. 1865 dr. Małecki w Poznaniu miał kilka wykładów publicznych o teoryi Darwina. Prelekcyj tych nie znamy i nie wiemy jakie one wrażenie w Ks. Poznańskiem wywołały. Są one jednak ważne z tego powodu, że jak widać z czasu na nie poświęconego, były pierwszém obszerniejszém przedstawieniem téj teoryi, a nadto wywołały polemikę, któréj echo, wprawdzie dość słabo, ale bądź co bądź doszło do Warszawy, gdzie miał się za lat kilka rozwinąć żywy ruch darwinistowski.

Polemikę podjął ksiądz Wartenberg w Tygodniku Katolickim i dla nadania jéj szerszego rozgłosu wydał broszurę „O teoryi Darwina“ 1866 r. Naturalnie że z niéj tylko fałszywego wyobrażenia o nowéj teoryi nabrać było można. Przyszła ona bardzo późno do Warszawy i bodaj czy nie dopiero w 1868 r. ukazała się na wystawach księgarskich. Bądź co bądź, ma ona jednak dla nas pewne znaczenie, gdyż zwróciła uwagę na tę kwestyą.

Od początku swego powstania ruchliwy Przegląd Tygodniowy podał w tym samym roku artykuł p. t. „Dwie nowe teorye ustroju świata organicznego,“ mający za przedmiot teoryą Darwina i Agassiza. Pierwszéj poświęcił autor około 30—40 wierszy. Zbyt pobież-

ny i niezdecydowany we wnioskach, artykuł ten nie mógł wywołać żadnego wpływu i w rok czy dwa lata późniéj nawet współpracownicy Przeglądu o nim nie wiedzieli.

W 1867 r. w lipcowym zeszycie Biblioteki Warszawsktéj pomieścił prof. Edward Strasburger swą wstępną prelekcyą „O istocie i zadaniu nauk przyrodniczych, w któréj wspominając w kilku wierszach o teoryi Darwina, mówi o niéj jakby o rzeczy powszechnie wiadoméj.

W r. 1868 znajdujemy w Przeglądzie Tygodniowym artykuł „Darwin i Buckle“ przez Świeżawskiego, zajmujący się głównie treścią dzieła Rolle'go o pochodzeniu człowieka. Rzecz nietylko dla ówczesnego ale i dla dzisiejszego czytelnika niejasna.

W Nr. 256 (czy 265) Gazety Polskiéj z r. 1868 autor kroniki przyrodniczéj podaje wzmiankę o teoryi Darwina z powodu wyszłego niedawno dzieła: *The Variations of animals and plants* etc. Co autor chciał powiedzieć — niewiadomo.

W kilka tygodni późniéj w tejże saméj gazecie pomieszczona była recenzya „Naszych najserdeczniejszych,“ któréj autor J. Ł. mówiąc o Tholozanie, „zwolenniku Darwina,“ czyni wycieczkę przeciwko Darwinowi, która wywołała odpowiedź a potém polemikę autora niniejszego szkicu z chemikiem O.

W tymże samym roku, w ostatnim tomie Encyklopedyi Powszechnéj Orgelbranda znajdujemy artykuł *Zoologia*, w którym prof. Wrześniowski wybornie streszcza na 4 stronnicach teoryą Darwina. W poprzednich tomach ani w artykule „Erazm Darwin,“ ani „gatunek,“ ani „Lamarck,“ żadnéj wzmianki o istnieniu Karola Darwina nie było! — Niestety, to jedyne do owego czasu przedstawienie teoryi Darwina, jako zamaskowane tytułem „zoologia,“ do którego niewielu czytelników zajrzéć się odważyło, pozostało zupełnie nieznaném.

W r. 1869 w styczniowym zeszycie Biblioteki Warszawskiéj, w artykule „Dwupłciowość, wielokształtność i krzyżowanie się roślin,“ rzeczy w duchu teoryi Darwina wyłożonéj, poświęcił autor, prof. Strasburger, trzy kartki przedstawieniu teoryi.

Pod koniec 1868 już silnie był rozbudzony w kółkach studenckich interes dla teoryi Darwina, co przypisać należy głównie wykładom prof. Wrześniowskiego i broszurze Wartenberga. Gdy jednak wszystko, co o niéj do owego czasu pisano, było albo za szczupłe, albo niedostępne, albo bez żadnéj wartości, w gronie studentów, będącém zaczątkiem przyszłéj t. z. młodéj prasy, powstała myśl przyswojenia językowi polskiemu jakiegoś większego wykładu. O tłómaczeniu dzieła samego Darwina, które już niektórzy studenci wte-

dy studyowali, ani myśleć nie można było: wypadało dać kolegom nienaturalistom wykład obznajmiający z głównemi zasadami teoryi, niewielki i zrozumiale napisany.

Jakby dla zadośćuczynienia téj potrzebie ukazało się owego czasu na półkach księgarzy warszawskich nowe dzieło Büchnera pod tyt. *Sechs Vorlesungen ueber die Darwinische Theorie* etc. (Lipsk 1868). Büchner był znany studentom z *Kraft und Stoff* z przystępności, łatwości i świetności wykładu. Postanowiono więc przetłomaczyć lub przerobić tę część, która głównie traktowała o teoryi Darwina. Wyszła ona w marcu 1869 r. p. t. „Teorya Darwina, według popularnéj prelekcyi Ludwika Büchnera“ (str. 30).

Powodzenle téj broszury było — jak na rzecz mającą za przedmiot kwestyą naukową—niezwykłe. W kilka miesięcy rozeszło się kilkaset egzemplarzy. Choć jedna tylko Biblioteka Warszawska dała sprawozdanie z téj broszury (i to bardzo chwiejne) i choć jeden tylko znalazł się krytyk darwinizmu w Gazecie Polskiéj, w osobie jakiegoś obywatela z Płockiego, ale zainteresowanie się ogółu nowemi poglądami było już silnie rozbudzone. Wkrótce potém prof. Strassburger dwu czy trzygodzinnym specyalnym o darwinizmie wykładem dla małego grona studentów nauk przyrodniczych wzbudził jeszcze większy zapał dla téj teoryi, zapał, który się nie mógł ograniczyć na audytoryum botaniczném. Daléj w sierpniu T. S(komorowski) wydał prelekcyą Schleidena o „Pochodzeniu gatunków“ (str. 20), a w listopadzie B. S. pomieścił w Bibliotece Warszawskiéj 18-stronnicowy artykuł „O Darwinie.“ Mówiąc mimochodem, rzecz ta, jak na owe czasy nie zła, ale zbyt wiele kwestyj podrzędnych poruszająca i dla tego niejasna. Autor trzyma się na stanowisku umiarkowaném, ale jednocześnie występuje przeciwko zdaniu jakoby teorya ewolucyi była niereligijną.

W r. 1870 teorya Darwina miała już u nas mnóstwo zapalonych zwolenników i przeciwników. W każdém poważniejszém towarzystwie mówiono o niéj. W pismach ciągle się pojawiały podjazdowe wycieczki, na które tylko Przegląd Tygodniowy odpowiadał. W takim stanie rzeczy ukazała się w handlu księgarskim polemiczna broszura d-ra Stefana Pawlickiego „Materyalizm wobec nauki,“ i dolała oliwy do ognia.

Tymczasem znajomość teoryi Darwina coraz szersze u nas robiła postępy. W r. 1870 czy 1871 profesor Wrześniowski znacznie rozszerzył swój wykład o darwinizmie i nadał mu objętość kilkanaście razy wyższą od pierwotnéj. Studenci więc ze wszystkich wydziałów mieli możność dokładnego obznajmienia się z podstawami teoryi ze źródła najlepszego. W 1871 r. wyszło we Lwowie dzieło

Haeckla p. t. „Dzieje utworzenia przyrody“ w przekładzie Masłowskiego i Czarnowskiego (tomów 2), które się rozpowszechniło u nas w r. 1872, a w Warszawie redakcya gazety Polskiéj wydała w r. 1872 przekład rozprawy Broca „O przemianie gatunków“ (str. 103).

Nastąpił punkt kulminacyjny wrzenia, spowodowanego przez teoryą Darwina.

Darwin, wydawszy w r. 1871 dzieło „o Pochodzeniu człowieka“ zawiódł zupełnie nadzieje umiarkowanych (pomiędzy innemi B. S. z Bib. Warsz.), że teoryi swéj do świata ludzkiego nie zastosuje. Haeckel zaś, przeprowadzając absolutnie konsekwencyą do ostatnich granic, żadnéj już wątpliwości pod tym względem nie zostawił. Przytém dopuściwszy się rozmaitych niepotrzebnych wycieczek, do wysokiego stopnia sfery nienaukowe rozdraźnił.

W przeciwnym obozie wyszła wtedy broszura „Człowiek i małpa“ dra. Pawlickiego, która oparta na zupełném niezrozumieniu rzeczy i zdradzająca brak wszelkiego pojęcia o krytyce naukowéj, niczego nie zbiła, nic nie objaśniła, a wołając, że Darwin jest niedołężnym umysłem, tylko słab ość obozu przeciwnego okazała.

Po stronie darwinizmu stojąca „młoda prasa,“ która wtedy zwiększyła się o dwa pisma „Przyroda i Przemysł“ oraz „Niwa“, rozwijała i rozpowszechniała poglądy Darwina, prowadząc jednocześnie zaciętą walkę z przeciwnikami. „Niwa“ wydaje wyborne prelekcye Huxleya p. t. o Przyczynach zjawisk w świecie organicznym w przekładzie A. Wrześniowskiego, „Przyroda i Przemysł“ drukuje mnóstwo artykułów darwinistycznych (1).

Literatura darwinistyczna coraz bardziéj się mnoży. Nawet wychodzące dzieła ogólnie filozoficzne, pisane przez autorów nie mających związku z młodą prasą, jak Levittoux: Filozofia natury (2), Szyszły: „Przegląd dziejów przyrody“, Sapalskiego: „Badania o jestestwach organicznych“, trzymane są w części, w duchu Darwina. Do téj kategoryi należą wydane przez „Niwę“, Zagadki życia Laugel‘a. W r. 1873 J. Ochorowicz tłómaczy dzieło Quatrefages‘a „Karol Dar-

---

(1) Przytoczymy ważniejsze: w r. 1872 „Walka o byt w naturze i życiu ludów“ prof. Eckera, str. 196 i nast.—„Czy nauki przyrodnicze materyalizują człowieka“ str. 25.—„Wybór sztuczny“ 479.—„Zwierzęta przejściowe“ przez dra Sznabla.—„Maskowanie się zwierząt“ p. Beuneta str. 270 i nast. — „Miznetyzm u roślin“. „Teorya Darwina i hipotezy Haeckla“ p. Rejchmana (wyszło w odbitce 1873).

Rok 1873 „Stosunek teoryi transformistycznych do nauki o pochodzeniu człowieka“ przez Lyella N. 33 i nast.—„Walka o byt między roślinami“ przez Maxwella; „Geneza gatunków“ według Mivasta przez T. Skomorowskiego (wyszło w odbitce 1874).

(2) W pierwszém wydaniu z 1869 dr. Levittoux nic jeszcze nie wie o teoryi Darwina.

win i jego poprzednicy" a „Niwa" przystępuje do wydania dzieł samego Darwina. Usiłowania jéj niestety zostały tylko w części uwieńczone pomyślnym skutkiem, wyszło w całości tylko dzieło o „Wyrazie uczuć", zasadniczego zaś o „Pochodzeniu gatunków" wydano tylko 4 zeszyty (do str. 228).

I stara Biblioteka Warszawska nie może pozostać obcą temu ruchowi i drukuje Tyszyńskiego „Darwinizm i pozytywizm," gdzie autor chce godzić nową teoryą ze słowami Biblii, a doznawszy nagany ze strony ks. Nowodworskiego, odpowiada mu w Gazecie Polskiéj (1873, N. 82) w artykule: Hipoteza Darwina jest, czy nie jest antychrześciańską?

W 1872 i 1873 r. walka trwała na całéj linii i prowadzona była z wielką zaciętością.

Nie powiem, aby wszystko, co wtedy o Darwinie wyszło z pod pióra i z ust młodéj prasy, było zupełnie uzasadnioném; nie ulega jednak wątpliwości, że wydała dużo rzeczy dobrych i kto chciał wtedy poznać zasady teoryi Darwina, to bynajmniéj nie potrzebował się uciekać do literatury zagranicznéj. Jeżeli się zdarzyły nietaktowne wystąpienia ze strony kilku dyletantów-darwinistów, to nie mniéj było nietaktu ze strony przeciwnéj. Nie znając wcale Darwina ani nauk, w łonie których powstała ta teorya, potępiono ją z góry. Nikt nie zbijał podstaw, na których teorya się opierała, lecz wysnuwszy sobie najfałszywsze wnioski, oburzał się na nie, drwił, dowcipkował. Jeśli pojawił się artykuł odpierający te wnioski (np. w Przyrodzie, „czy nauki przyrodnicze materyalizują człowieka", lub w „Niwie" „Nieporozumienie co do pewnych wyrazów"), zbywano go milczeniem i daléj harcowano na dawnym koniku. Przytém zbito wszystkie idee, lub to co uważano za idee młodéj prasy w jeden konglomerat. Przegląd Tygodniowy, tendencyjność i realizm w powieści, emancypacya kobiét, pozytywizm, materyalizm, utylitaryzm, ba nawet kommunizm i petroleizm, pisownię nową i wiele innych rzeczy połączono wraz z teoryą Darwina i swojemi z niéj wnioskami w jednę wieżę Babel, do któréj szturmowano insynuacyami i wymysłami. Dr. Stefan Pawlicki wołał na Darwina i darwinistów: szalbierze! szarlatani! Darwina nazwał niedołężną głową itd. Inni mówili to samo. Czyż potrzeba było przeciwko takim przeciwnikom argumentów naukowych? Próby zawiodły. Nawet z punktu religijnego wypływające nawoływanie do porządku, z którém się odważył wystąpić we wszystkich obozach szanowany prof. Tyszyński, odbijało się bezskutecznie o mur uprzedzeń. W podobnych warunkach walka bezpośrednia była niemożliwą. Nic nie wyjaśniając, rozdrażniała tylko, bo nie mogła być starciem argumentów lecz wyrazów obelży-

wych. W takim stanie rzeczy, walka w imię nauki powinna była ucichnąć, i sądzimy, że darwiniści postąpili bardzo słusznie, pierwsi broń składając, albowiem dowiedli zrozumienia wysokości stanowiska naukowego.

Gdybyśmy tylko na zaznaczeniu téj jednéj przyczyny zawieszenia broni poprzestali, popełnilibyśmy niedokładność. Jak wogóle w świecie na każdy skutek składają się zwykle rozmaite przyczyny, tak też i tutaj działało kilka różnorodnych czynników. Przedewszystkiém rozpowszechniająca się wtedy u nas idea pozytywizmu została przez niektórych, dotąd żarliwych krzewicieli darwinizmu, doprowadzona do krańcowości, do wymagania matematycznéj prawie ścisłości, wskutek czego w umysłach ich nastąpiła faza grubego empiryzmu, uważającego tylko fakta za rzecz mającą prawdziwą wartość naukową. Hipotezy z tego punktu widzenia spadły do poziomu nader podrzędnego, i zastanawiano się niemal nad tém, czy nie są w ogóle szkodliwemi. Pominąwszy już to, że zanim ta przelotna faza niektórych umysłów minęła, zastanawianie się nad metodą dochodzenia do prawdy pochłaniało całą ich działalność, – ale nadto taki stan sceptycyzmu, na polu teoretycznego myślenia, samemi swemi postulatami musiał deprymująco podziałać na rozwój literatury darwinistycznéj. Siły młodéj prasy zmniejszyły się wtedy o całą frakcyą ścisłych empiryków, do któréj chwilowo niemal wszyscy jéj naturaliści należeli. Faktycznym objawem tego kierunku było zwinięcie sztandaru przez Przyrodę i Przemysł i ogłoszenie krytyki darwinizmu według Misarta, ściśle empiryczny kierunek zdradzającéj.

Partya antydarwinistyczna wcale nieprzeczuwała, iż w łonie darwinistów powstał taki krańcowy pozytywizm, taka zawada na polu teoretycznych poglądów. Przewidział to, tylko dedukcyjnie Tyszyński, biorący pozytywizm właśnie w tak ściśle matematyczném znaczeniu; ale rzecz dziwna, słowa jego przeszły bez śladu.

Sceptycyzm zaś ów był wcale niemałoważnym czynnikiem. Nastąpiło również zniechęcenie wskutek przekonania się, że publika nasza jest za mało poważną, że lubi tylko powieść i humorystykę. Spostrzeżono, że walki o darwinizm i metody badania są budową od dachu; że gdyby ogół czytający miał jakie takie przygotowanie naukowe, walka taka, jaka była, niebyłaby możliwą. Realny kierunek myślenia powiedział, iż przedewszystkiem trzeba się zająć wykształceniem elementarném mas, że lepiéj jest mówić im o tém, co to jest ogień i ogrzewanie, machina parowa i roślina, spółka i przestrzeganie swych praw; że może bardzo jest to przykrém, iż nie mamy dość znacznego pocztu mogących i chcących słuchać o Darwinie

i samorodztwie, o logice Milla i psychologii Spencera, ale niepodobna muru przebić głową. Trzeba przyłożyć swych cegiełek, aby przyszłość do tego poziomu umysły doprowadziła, trzeba pracować u podstaw.

Zachwianie się podstaw teoretycznych, a szczególniéj metodologicznych z jednéj strony, a z drugiéj uprzytomnienie sobie zawsze żywych, zawsze jasnych i nie ulegających wątpliwości potrzeb ogólnych otworzyło téż w umysłach darwinistów przystęp dla rad i rozumowań ludzi starszych, powszechnie znanych z rozumu i zasad obywatelskich, którzy stojąc na stanowisku praktyczności, dowodzili, że choć teorya Darwina ma zupełnie prawo bytu w nauce, jednakże pożyteczność jéj popularyzacyi jest wątpliwą wobec umysłów ciemnych i niewykształconych, które jak najfałszywsze wnioski mogą sobie z niéj wyciągnąć. Gdy rzeczywiście wielu zagranicznych i naszych krzykaczy do najfałszywszych antysocyalnych z niéj wniosków dochodziło, gdy darwiniści tego, co istynktownie czuli, uzasadnić nie mogli, choćby dla tego, że to była kwestya za świeża, i mająca za przedmiot pogodzenie dwóch napozór niezmiernie różnych i wyłączających się postulatów; gdy w nich samych dopiero wrzała walka nowych a sprzecznych poglądów, nic dziwnego że ulegli radom osób doświadczonych, występujących ze stanowiska potrzeby powolnego, a odpowiedniego do stanu umysłów i warunków, rozwoju organicznego.

Były téż i przyczyny materyalnéj natury. Wskutek rozpadnięcia młodéj prasy na kilka grup, wskutek wyjścia oddziałów na skrzydła, osłabła nietylko doniosłość strategiczna armii, ale zabrakło téż skrzydłom środków materyalnych. Byt nowych pism spoczywał na barkach ludzi bardzo młodych, niezamożnych, nieznających rozmaitych tajemnic życia praktycznego. Pisali oni na swym sztandarze „wiedza to potęga“ a smutne doświadczenie przekonało ich, że „pieniądz to potęga przynajmniéj chwilowo.“ Zatopieni w niebie nauki, stracili pod nogami grunt materyalny, ofiarą z siebie tylko okupywany. „Niwa“ upadła, niedończywszy przekładu „Początku gatunków“, „Przyroda i przemysł,“ wśród nieprzyjemnych przejść ciągle się chwiała (1).

Proces ten ułatwiła zmiana stanu rzeczy, wśród staréj prasy. Rozsądniejsi jéj członkowie, zoryentowawszy się w przedmiocie wal-

(1) Powszechném było przekonanie, że dwa te pisma upadły z powodu głoszenia poglądów darwinistycznych. Tymczasem „Przyroda i Przemysł“ upadła potém dwa razy pod antydarwinistyczną redakcyą, a obecna „Niwa“ konserwatywna istnieje dzięki ofiarom swych wydawców.

ki, spotrzegli, iż krzykacze konserwatyzmu zadaleko się posunęli, i wskutek tego zaczęto im odmawiać miejsca w pismach na antydarwinistowskie, antypozytywne itd. wycieczki. Jednocześnie, czy to wskutek samodzielnego rozwoju zarodków nauki Darwina w umysłach ukształceńszych przedstawicieli starej prasy, czy też, za wpływem zewnątrz jéj się trzymających uczonych, w szeregach konserwatywnych, choć jeszcze nie uznawano teoryi ewolucyi za uzasadnioną, zaczęto jednak mówić o jéj twórcy jako o znakomitym uczonym, jako o badaczu, którego praca bądź co bądź przyczyni się do postępu nauki, jako o człowieku godnym szacunku i niesłusznie obrzuconym obelgami i insynuacyami. Ale oddawszy Darwinowi tę sprawiedliwość, nie pozbyto się jeszcze uprzedzeń względem jego zwolenników i całą „winę“ zrzucono na „popularyzatorów, którzy nie pojmując prawdziwéj nauki Darwina... itd.“ Było to już dowodem wielkiego postępu, i wielce osłodziło konieczność złożenia broni stronie przeciwnéj.

Bądź co bądź, „młoda prasa“ dokonała swego, w miarę swych sił i środków. Zrobiła wyłom, którego już nie można było zamurować; choć jéj strzały zamilkły, wyłom pozostał, i umożliwił wejście do naszéj literatury nowym pracom, wprawdzie nielicznym ale w stosunku do naszéj niezamożności naukowéj dość często się ukazującym. W r. 1875 wyszedł przekład dzieła Oskara Schmidt'a „O pochodzeniu gatunków,“ dokonany przez prof. Wrześniowskiego, oraz dzieło samego Darwina „Pochodzenie człowieka i dobór płciowy“ w tłómaczeniu Masłowskiego. W r. 1876 prof. H. Hoyer pomieścił w kwietniowym zeszycie Ateneum wyborny „Pogląd krytyczny na darwinizm“, w którym rzuca kilka pięknych myśli przyrodniczych, i stara się wyjaśnić stosunek darwinizmu do religii i moralności. W r. 1877 wydaje prof. Petelenz we Lwowie wykład teoryi ewolucyi, w r. 1879 prof. uniwersytetu Jagielońskiego Rostafiński drukuje w Krakowie swą prelekcyą warszawską „O prawie Malthusa w przyrodzie. Wreszcie w r. 1882 pomieszcza prof. Wrześniowski w NN. 5—8 Wszechświata, napisaną ze zwykłą sobie zdolnością i ścisłością ocenę działalności Darwina.

Nie brakło też objawów opozycyi w tym okresie. Dr. Bonifacyusz Nemo wydał przekład nonsensowego angielskiego paszkwilu antydarwinistycznego p. t. „Homo versus Darwin“, dr. Stefan Pawlicki p. t. „Studya nad Darwinizmem wyd. II,“ puścił w r. 1875 na świat zamaskowany nowym tytułem niezmieniony przedruk „Człowieka i małpy“, a wreszcie dr. Chałupczyński drukował w Przyrodzie i Przemyśle i wydał w osobnéj odbitce r. 1880 swe pojęcia „O niektórych błędach w teoryi Darwina.“ Książki te albo wcale żadnego, albo niezmiernie małe wywołały wrażenie.

Publiczność czytająca postąpiła naprzód równocześnie ze starą prasą a prawdopodobnie nawet ją wyprzedziła. Za *signum temporis* w tym okresie może służyć to, że w r. 1879, z publicznéj katedry będącéj w rozporządzeniu konserwatywnego żywiołu profesor Rostafiński wykładał o darwinistycznéj „walce o byt" i zbierał huczne oklaski od publiki przynajmniéj w połowie z konserwatywnych klas złożonéj.

Bądź co bądź, jednak bierna opozycya ze strony większości „staréj prasy" trwa dotąd bez przerwy. Żadne z pism liczących się do jéj szeregu, a przynajmniéj ich większość, nie pozwoli umieścić w swych szpaltach artykułu darwinistycznego. I nie zawsze to jest skutkiem przeciwnych przekonań; przyczyną opozycyi bywa tu często nieświadomość ważności przedmiotu oraz brak odwagi cywilnéj szeroko teraz po naszéj prasie rozpościerający zagony. Łatwiéj to jeszcze wybaczyć prasie, która może się tłómaczyć, choć tylko w części, brakiem miejsca w programie dla rozpraw naukowych. Ale wychodziły u nas dzieła naukowe, którym się zdawało, że trzeba i wolno ignorować darwinizm. Wydawnictwo tak poważne jak „Encyklopedya Rolnictwa", mające za przedmiot sprawy w tak blizkim stosunku będące z teoryą Darwina, ograniczyło się tylko na lekkiéj o niéj wzmiance w artykule Botanika, opatrzywszy ją przytem całkiem nie logiczném zastrzeżeniem. W artykule „Hodowla bydła," nie są uwzględnione dzieła Darwina! I to w r. 1876! To też nic dziwnego, że autor tego artykułu chwieje się pomiędzy „stałością krwi" i „potencyą" i pozbawia naszych ziemian téj nitki przewodniéj, którą Darwin wplótł w kwestyą hodowli. Ale będzie to zapewne ostatni fakt wyjątkowy.

Chwila tedy obecna jest chwilą przełomu ze stanowczém przechylaniem się ku nowemu prądowi. Naturalnie, mówimy tu o sferach niespecyalnych, bo w naukowych już dawno zajął darwinizm odpowiednie stanowisko. Wprawdzie znajomość téj teoryi stosunkowo do naszéj literatury darwinistycznéj, z któréj, pomimo jéj niezupełności (1), można zaczerpnąć ogólne zasady nowéj nauki, jest jeszcze niezmiernie małą, ale bądź co bądź rozpowszechniło się i ustaliło przekonanie, że po za tém x, obrzucaném dotychczas błotem, kryje się coś poważnego, coś bardzo silnego, czego się krzykiem nie zagłuszy i co warte poznania.

---

(1) Dotychczas nieposiadamy całkowitego przekładu dzieła Darwina o „Początku gatunków."

W takiéj chwili, po długiém w tych kwestyach milczeniu, wysyłam na świat nowy szkic darwinistyczny, zarysowujący kilka poglądów, będących przedmiotem kilkoletnich moich rozmyślań. Jest to tylko zagajenie, które, jeśli mi okoliczności pozwolą, postaram się rozwinąć i uzupełnić. Wstępuję tu na pole kwestyi nowéj i nieopracowanéj, nie tylko u nas lecz i zagranicą. Czy znajdzie się kto z czytelników, który jéj ważności odmówi? Łatwo przewidziéć, że to jest kierunek, któremu nauka w przyszłości wiele sił poświęci, albowiem ma on związek z najważniejszemi podstawami naszego życia. Czy siły moje sprostały zadaniu, czym się nie porwał na zbyt wielkie rzeczy? Oczekuję na to odpowiedzi od sumiennéj naukowéj krytyki. W każdym razie spełniłem swój obowiązek, rzucając myśli i zagajając kierunek, który uważam za sprawę pierwszorzędnéj ważności, a w którym jeśli nie ja, to może inni, zdolniejsi i uczeńsi odemnie, dojdą do pożądanego celu. Czy doszukam się, tak skąpo przez literaturę naszą wydzielanéj krytyki w ogóle, a krytyki bezstronnéj w szczególności? Niech na to odpowiedzą fakta. Przyszły historyk prądów w naszéj literaturze znajdzie w tém nowe *signum temporis*.

Bronisław Rejchman.

ARYOWIE PIERWOTNI.

I.

„Rzeczą jest niezawodną — powiada historyk francuzki Marius Fontane (1) — że na piętnaście wieków przed erą naszą istniała na północnym zachodzie półwyspu hindustańskiego społeczność plemiennie odrębna, wysoko pod względem towarzyskim rozwinięta. Społecznością tą: Aryowie. Jeśli inne gromady ludzkie przedstawiają się historykowi w przeszłości bardziéj odległéj, jeśli mamy wierzyć, że w epoce kiedy przodkowie nasi Aryowie znajdowali się dopiero w stanie postępowego wzrostu, inne ludy, Egipcyanie lub Chińczycy byli już na przekwicie swych dziejów, natomiast należałoby powiedzieć, że sama tylko grupa aryjska początkuje w historyi starożytnéj cykl rozwoju, do którego my należymy, że zatém od życia Aryów zaczynać potrzeba obszerne badania własnego naszego żywota."

Dzieje tych właśnie Aryów, osiadłych w Indyach, opowiada nam Fontane w pierwszym tomie swéj pracy, zakreślonéj na olbrzymie rozmiary. Pokazuje kolebkę rodu, nad którą przed trzema tysiącami lat z okładem brzmiały pierwsze hymny świętéj ich księgi Wedy, początkową prostotę i obyczajność ich życia, rozrost plemienia, zetknięcie się z rasą ludzi czarnych, zwanych Dasyusami, długi szereg walk z niebezpiecznym, bo licznym nieprzyjacielem, podbój nareszcie Dasyuszów, i w końcu powolny ale fatalny zgon samych Aryów wedyjskich, którzy opanowawszy półwysep, znikać zaczęli, tonąc pod ubezwładniającym wpływem gorącego nieba tych stron, w falach zmysłowych ponęt przyrody przepysznéj, choć groźnéj,

(1) Histoire universelle, t. I.— Inde vedique, Paryż 18[illegible].

w zachwytach umysłowego ascetyzmu braminów i buddystów, a głównie w nadużyciach władzy wygodnéj i samowolnéj, jaką nad podbitymi rozciągnęli.

Jest to wszakże dopiero historya jednéj tylko gałęzi szczepu aryjskiego, gałęzi indyjskiéj. Dalsze tomy dzieła Fontana obejmą najprzód dzieje Irańczyków, przodków Persów, których księgą świętą jest Zend-Avesta, następnie zaś dzieje Greko-Rzymian, Celtów, Germanów, Litwinów i Słowian. Owi Irańczykowie, Grecy, Rzymianie, Celty, Germanie, Słowianie, Litwini — kimże są? — Aryami również.

Zachodzi tedy pytanie: w jakim stosunku, w jakim stopniu rodowego z sobą powinowactwa zostają wszyscy ci Aryowie? Byliżby Hindusowie, czyli Aryowie wedyjscy, ojcami Aryów innych, gdzieindziéj, w innych warunkach osiadłych? Przeczy temu nauka. Zkądinąd, niepodobna również wyprowadzić ani Greków lub Rzymian od Słowian, ani Słowian od Germanów, ani Germanów od Irańczyków lub Celtów — ani na odwrót. Stało się dziś pewnikiem, że żadna z gromad aryjskich nie da się związać z drugą poboczną, węzłem bezpośredniego, synowskiego pochodzenia. Tymczasem pokrewieństwo samo istnieje, niezaprzeczone, niewątpliwe. Żywe jego świadectwa leżą zarówno w Wedzie indyjskiéj, w Zend-Aveście irańskiéj, jak w podaniach pogańskiéj Grecyi lub Rzymu, jak w zwyczajach, pieśniach, klechdach Celtów, Germanów, Litwinów lub Słowian; zarówno w języku i umysłowéj konstytucyi Aryów wedyjskich jak w języku, towarzyskim ustroju i pojęciach pierwotnych Aryów europejskich. Hindusowie, Irańczykowie, Grecy, Rzymianie, Germany, Słowianie, Litwini, Celtowie, są to konary jednego olbrzymiego pnia, rzeki wypływające z jednego źródła.

Wniosek ztąd, że skoro żadne z tych pokoleń nie może być wprost wyprowadzone od innego, i skoro wszystkie razem przedstawiają cechy sprawdzonego, sprawdzić się dającego pokrewieństwa, przypuścić trzeba, że istniała gdzieśkolwiek, kiedyśkolwiek rodzina, co te dzieci na świat wydała, a następnie, wysyłała jednych do Indyj, drugich do Persyi, rozsiewając resztę po Europie.

Czem był ów rozsadnik rodów? jakie zamieszkiwał strony? z jakim zasobem sił organicznych opuścił pierwotne swe siedliska?

Zagadnienia te stanowią w obecnym czasie przedmiot „nauki nowéj,“ która, zdaniem niektórych, powołaną jest sprawić w pojęciach kończącego się wieku XIX przeobrażenie podobne do tego, jakie w wieku XV sprawił przypływ świeżych potoków cywilizacyi greckiéj i rzymskiéj ku wyczerpującéj się rzece oświaty średniowiecznéj.

Metodą nauki téj—porównanie. Porównawczość poprzestaje dotychczas w ogólności, na zestawieniu z sobą danych przeważnie lingwistycznych i etnograficznych. Dziedzina moralna i umysłowa prawie nietknięta. Potrzebowałaby ona poprzedniego skupienia i ułożenia materyałów surowych, rozproszonych po wszechświecie w postaci mitologicznych aryjskich baśni, obrzędów, guseł, przesądów. Trud nad siły już może na téj wielkiéj mogile przedhistorycznéj, okrytéj pasorzytném zielskiem wymysłów późniejszych.

Bądź-co-bądź, w poszukiwaniach nad przeszłością Aryów, jakikolwiek miałyby one charakter, literatura wykwitła z ksiąg Wedy, przechowanéj w zabalsamowanym słowie przez Hindusów, stanowić zawsze będzie punkt wyjścia i punkt porównania. Najdawniejszy to bowiem, najstarożytniejszy pomnik życia Aryów, sięgający posadami swemi czasów i miejsc, w których się plemię wychowało przed swym rozpływem po Azyi i Europie.

Nasamprzód tedy powiedzmy słówko o téj Biblii aryjskiéj.

II.

Księgi Wed późno się do nas dostały.

W wieku XVII jeden z misyonarzy portugalskich przywiózł ze wschodu pewną ilość rękopismów, między któremi znajdował się egzemplarz Wedy, bardzo jednak, jak się okazało następnie, wadliwy, zanadto nachylony ku zgodzie z dogmatami kościoła panującego. Z uczonych pierwszy Wolter miał go w ręku, i o ile na owe czasy przepowiedziéć było podobna, przepowiedział, że pisma starożytnych Hindusów wywrą wpływ wielki na umysłowość Europy. Długi atoli czas święta księga indyjska, zarówno jak cała oświata wyprowadzona z Wedy, uchodziły w oczach ludzi wykształconych XVIII i początku XIX wieku za wymysł lub za coś zbliżonego pod względem doniosłości do literatury chińskiéj. Dopiero ostateczny podbój Indyj przez Anglików, dał możność przekonania się, jak dalece pod tym względem się mylono i jakie skarby kryje w sobie rzeczywiście ten świat wedyjski, „który w żywém ludzkiém słowie przechować zdołał metrykę swoich urodzin, sięgającą po za okres, uważany przedtém, na podstawie chronologii semickiéj, za okres stworzenia ziemi.“

Jakim sposobem dochowała się starożytna ta literatura?

Posiadamy bezwątpienia — są słowa Maks. Müllera z odczytów w Westminsterskiem opactwie (1)—rękopismy Wedy; nie sądzę prze-

(1) Origine et développement de la Religion étudiés à la lumière des religions de l'Inde, traduction de Darmesteter. Paryż 1879, str. 144.

cież, żeby się znalazł manuskrypt sanskrycki, któregoby data przechodziła tysiączny rok ery naszéj; wszystko zdaje się wskazywać, że pismo znaném było w Indyach dopiero na początku okresu budyjskiego, kiedy się już kończył okres bramińskich komentarzy nad Wedą. Święte hymny plemienia aryjskiego przechowane zostały za pomocą środków mnemonicznych. Jakkolwiek głęboko sięgnęlibyśmy w przeszłość Indyj, spostrzeżemy, że uczniowie trzech wyższych stopni spędzali tam zawsze lata, odpowiadające naszemu wykształceniu uniwersyteckiemu, na nauce pisma świętego; należało to do obowiązków religijnych. System zaś nauczania, ujęty w przepisy drobiazgowe, nie ustępował co do rygoru najsurowszym praktykom talmudystów. Innego sposobu przed wynalazkiem pisma nie było; nie pominięto zatém żadnéj ostrożności ubezpieczającéj skrupulatny, nienaruszony przekaz tradycyi ojcowskiéj. Nauczyciele wykładający słowo przedwieczne, stanowią korporacyą kapłańską, świętą; żyją z jałmużn po wsiach, samotnie lub gromadami; wszyscy na pamięć umieją Wedę; wszyscy w jednaki sposób wdrażają ją wyraz po wyrazie, trybem przyjętym od niepamiętnych czasów, w umysły pokoleń młodych ustnie. I lubo posiadają rękopismy, lubo mają drukowany tekst Wedy, nie z nich przecie czerpią naukę świętą. Przejmują ją i w spadku podają, wzorem swych ojców przed tysiącami lat: w żywem słowie. Głosowy ten wykład szczegółowo opisany został w ceremoniale ksiąg Wedy, w *Pratisakii*. Już komentatorowie bramińscy z czwartego i piątego wieku przed Chrystusem odwoływali się do tego regulaminu; atoli istnieć on musiał daleko dawniéj, czytamy bowiem w jednym z hymnów Rig-Vedy, opowiadającym powrót pory żabiéj—wiosennéj: „Żaba za drugą powtarza jako uczeń za mistrzem słowa jego“ (VII, 103, 5). Każdy z młodych mistrzów uczy się po kilka wierszy dziennie, powtarzając je godzinami całemi na głos; wyrabia to w nich pamięć do tego stopnia, że po skończeniu nauk możecie otworzyć chodzące te księgi w miejscu, na ustępie, na wierszu, na wyrazie, na akcencie, jaki wam potrzebny, jakiego szukacie.

Taką drogą dostała się do nas Weda. Z podziału literatury, któréj ona dała początek, dowiemy się z kolei do jakiéj mianowicie chronologicznéj głębokości sięga pokład gleby, w którym księga ta Aryów powstawała, rosła, zanim w skamieniałéj nad sobą roślinności, stała się „hymnem umarłych zmartwychwstającym przez wieki w słowie żyjących.“

Na cztery peryody czyli właściwiéj warstwy, rozkłada tę literaturę Maks Müller. Warstwa najświeższa, górna — *Sutra*, zawiera przepisy odnoszące się do nabożeństw bramińskich, fonetykę, ety-

mologią, gramatykę, prozodią, zbiór praw zwyczajowych i ustaw pisanych, traktaty geometryczne, astronomiczne, filozoficzne. Jest to napływowy uczoności czarnoziem na grunt poprzedzających go komentarzy bramińskich nad Wedą, coś w rodzaju naszéj scholastyki z czasów Abelarda; początkami swemi sięga ten okres szóstego wieku przed Chrystusem. Warstwa druga — *bramana*, sformowana w ciągu dwóch wieków dalszych — licząc wstecz — obejmuje, że tak powiemy, złoty ołtarz modłów i obrzędów, które kapłani spełniają przy wyroczniach, przy sądzeniu spraw świeckich i duchownych. Poniżéj warstwy *bramana* leży warstwa trzecia— *mantra*, trwać mogąca od trzech do czterech wieków dalszych w głąb'; jest to okres kodyfikacyjny. W życiu Aryów indyjskich *mantra* zajmuje stopień powagi i znaczenia odpowiedni temu, jaki w rozwoju Chrystyanizmu naznaczamy dekretom soborów, bullom średniowiecznym. Kościół bramiński cały wznosi się nareszcie na podwalinach warstwy czwartéj, granitowéj, zwanéj *kanda*. Kanda jest okresem samorodnego powstawania i tworzenia się hymnów, stanowiących biblię wedyjską—Wedę.

Weda w końcu ze swojéj strony roztwiera się na cztery księgi, zbiory czyli piętra, idące w porządku następującym, od najmłodszego, najświeższego:

Atharva-veda — wyjątki z Rig-Vedy, przemięszane ze śpiewami gminnemi, egzorcyzmami i t. p.

Sama-veda — hymny z Rig-Vedy i pieśni ludowe przeznaczone do śpiewania przy nabożeństwie przez dyakona pospołu z wiernymi.

Jadżur-veda — hymny z Rig-vedy i modlitwy przeznaczone do cichego czytania przez kapłana odprawiającego nabożeństwa; nareszcie:

Rig-veda, czyli właściwa Veda, składająca się z 1017 hymnów podzielonych na ksiąg dziesięcioro; jest to zasadnicza część literatury indyjskiéj, jéj kamień węgielny, ziarno zarodkowe na dnie wieków posadzone.

Ile setek lat rosły, rozwijały się, starzały, mchem porastały hymny Rig-vedy, te pieśni nad pieśniami aryjskiego szczepu? Daremnym byłby tu rachunek wszelki — zapewnia Maks Müller w pomienionych odczytach. Wszystko, co jest w téj sprawie do uczynienia, ograniczyć się musi na wytknięciu względnéj jedynie starożytności, względnego między hymnami starszeństwa, czyli na pokazaniu, które z nich należą do epoki ciemniejszéj, a które jaśniéj się nieco wydobywają z przeddziejowego mroku. Dla takiego wymiaru głębokości chronologicznéj, wskazówek niebrak. Znajdują się one w hymnach samych. Są niemi: przekształcenia językowe, zmia-

ny rytmu, stałe przeciwstawianie przez poetę hymnów dawnych nowym, powolny, stopniowy rozwój ceremoniału religijnego, nareszcie pierwsze ślady urządzeń kastowych spotykane dopiero w najświeższych stosunkowo hymnach.

Zaprawdę, dziwne to jedyne dzieło umysłu ludzkiego ta Weda. Powiedziećby o niém można słowami Tomasza Carlyle'a, określającemi historyą w ogólności. „To co nazywamy dziejami rodu ludzkiego — pisał on przed laty w *Oliver Cromwell's letters and speeches*— jest z natury swéj niczem więcéj tylko labiryntem i chaosem; kupą drzew zwalonych i karczów, oczeretem ogromnym jak świat, rodzącym się i umierającym jednocześnie. Pod zielonemi liśćmi i owocami jego teraźniejszości spoczywają w rozkładzie mniéj więcéj szybkim, mniéj więcéj głębokim, puszcze całe wszystkich innych lat, wszystkich innych dni. Kilka krzewów o dorocznym wzroście, oddawna wróciło do przyrody nieorganicznéj; inne są jak aloes trwający tysiąc lub trzy tysiące lat. Okazy wszelkich gatunków roślinności, na wszelkich stopniach wzrostu lub upadku, sięgają tu najpierwszych podwalin dziejów człowieka na ziemi. Ziarna naszych myśli i perły naszych uczuć dzisiejszych znajdziesz w glebie, którą deptali pierwsi nasi rodzice... W gruncie rzeczy niema wcale historyi prawdziwéj..."

Niema téż i w Wedzie historyi rzeczywistéj, faktycznéj, ujętéj w daty, okresy. Są w niéj jedynie, jako w geologii, osady wiekowe, przemieszane, poucinane, wzajem za siebie zachodzące, poprzedzierane przęsłami skał wulkanicznego początku. Jest to podziemie o tysiącznych wejściach i wyjściach, przez które, wrąc i kipiąc, falowało niegdyś życie młode, dziś kryształami słowa połyskujące po ścianach ciemnych tych katakumb, kędy—w majestacie wiekuistego nieładu rzeczy bożych na ziemi— spoczęły myśli i czyny prapradziadów naszych. „W Wedzie — powiada Vivien de Saint-Martin w swych *Etudes sur la géographie de l'Inde*—wyobrażenia nasze przenoszą się odrazu w wieki samorodnéj twórczości ludu świeżego, po raz pierwszy czystemi oczyma spoglądającego na dziwy tego świata, oddychającego pełnią czerstwych, tylko-co zapoczętych sił życia. Historyi pisanéj w naszém rozumieniu słowa, szukać tu oczywiście nie trzeba; lecz zdarzenia, wypadki, uczucia, myśli płyną tu wezbranemi, przepełnionemi łożyskami." — „Nie sądźmy — mówi ze swéj strony E. Burnouf w *Essais* — iżby hymny wedyjskie były utworami poezyi czystéj, oderwanéj od rzeczywistości, od powszednich jéj kolei. Związane owszem z pospolitym, codziennym trybem bytu plemienia, śród którego powstały, są one jego echem wiernėm, nieustającém. Wojna i pokój, praca rolna, dogląd trzody, podróże, wesela,

pogrzeby, chrzciny, są to przedmioty najczęściéj podnoszone przez poetę. Wymienia on swoich przyjaciół, braci, kapłanów, swoję czeladkę, rodzinę, siebie samego. Mówi o ludziach możnych, o przywódcach, z którymi zostaje w stosunkach, i nigdy nie zaniedba wspomniéć o wypadku, jeśli gdzie jaki ważniejszy zaszedł."

Taką jest osnowa hymnów religijnych. Jakkolwiek piękna, chwytająca za serce prostotą swą i rzetelnością, wydaje się ona niekiedy czemś podobném do skarbów położonych... na księżycu. Nikt nie przeczy, że ich blaski wpływać muszą na ogólny stopień jasności miesięcznéj. Lecz tyleż w tém tylko—powie kto może—ciekawości, co w księżycowém świetle. Dziś człowiek kocha jedynie to, po co ręką sięgnie...

Wszelakoż uważniéj spojrzawszy na przedmiot, nie trudno się przekonać, że przeddziejowa ta literatura wedyjska daleko bliżéj położoną jest względem nas, niżbyśmy sądzili na pierwszy rzut oka, i kto wie czy nie o tyle bliżéj, o ile głębiéj którakolwiek z jéj odnóg schowana w ziemi.

W téj przynajmniéj wierze chcielibyśmy postawić tu parę pytań, a na ich czele: w jakich mianowicie stronach mieszkali pierwotni owi Aryowie, którzy stworzyli najdawniejsze hymny wedyjskie? Jest bowiem wiele za tém, iż najstarożytniejsze te hymny powstały w czasach poprzedzających rozejście się plemienia po Indyach, Persyi i Europie. Być więc może, że coś rodzimego posłyszymy w dźwiękach śpiewanych lat temu sześć, siedm tysięcy.

III.

Z trzech możebnych istniejących hipotez o pochodzeniu Aryów, usuwamy najpierw tę, która pradziadów naszych wyprowadza szlakami wytkniętemi przez Geigera, Spiegla i Benfeya, z ziemi niemieckiéj, ze środkowéj Europy. Na poparcie bowiem germańskiego tego rozejścia się Aryów, nie mamy pod ręką dowodów odpowiednio dawnych, a te któreśmy sami zapamiętali, świeże są zanadto.

Na mocy drugiego przypuszczenia, bronionego we Francyi przez Burnoufów, za których zdaniem poszedł wspomniany M. Fontane, należałoby szukać pierwotnych siedzib plemienia na półwyspie hindustańskim, gdzie zamieszkała wedyjska rodzina Aryów.

Trzecią hipotezę podtrzymują Lassen, Schlegel, Muir i w pewnéj wierze Maks Müller. Według niéj, kolebką rodu ary g byłaby Azya środkowa, u źródeł Oxusa, dawna Baktryana, wyżyny i doliny dzisiejszego Balku, Chulmu, Maimene, aż ku sławnemu He-

ratowi na zachód południowy. Najgoręcéj twierdzenia tego bronił za naszych czasów genewczyk Adolf Pictet, autor dzieła „O początkach Aryów,“ które doczekało się niedawno powtórnéj edycyi.

Jako dowód najbardziéj może dotykalny trafności swego mniemania, Pictet stawia niewątpliwy fakt wędrówek aryjskich, fakt kilkukierunkowego rozpływu plemienia, który to rozpływ, ze względu na powszechnie przyjęte pobratymstwo ludów indo-europejskich, musiał być jednoźródłowym (1). Obecne siedliska rodów aryjskich w Azyi i Europie widomie zdają się naprowadzać na to źródło. Rozłożone od Indyj przez Persyą, Grecyą, kraje celto-romańskie i Germanią, ku wczoraj dopiero powstałym krańcom ziem słowiańskich, zakreślają one półkole mocno wydęte na zachód, ku Atlantykowi; sam niejako zbieg promieni téj elipsy, wyznaczając jéj środek, wyznacza poniekąd ognisko pierworodnego pochodzenia Aryów. Ognisko to wypada właśnie na dawną Baktryanę.

Żadne inne geograficzne stanowisko—powiada Pictet— niezdoła trafniéj odpowiedziéć tradycyom i lingwistycznym danym, jakie posiadamy w sprawie początkowego pobytu i następnych wędrówek plemienia, zgarnąwszy do tego ula wszystkie roje aryjskie, odlot ich uzmysłowimy sobie najdokładniéj. Zobaczymy przy świetle lingwistyki i etnografii porównawczéj, że Irańczykowie zajmowali północno-wschodnią siedzib tych stronę, graniczącą z Sogdyaną, ku Belutagowi, i że pchani ztamtąd rozrostem ludności, rozszerzać się mogli jedynie ku wyniosłym szczytom tych gór; i do tego to zdarzenia stosują się słowa Zend-Avesty, opisujące powiaty, przez które przechodzili Irańczykowie, dążąc do ziem szczęśliwszych, od Ormuzdowéj *Airyana-vaedża*, „gdzie ciepła jest siedm miesięcy a chłodu tylko pięć,“ aż do stron ośnieżonych przez Arimana, „gdzie zima trwa dziesięć miesięcy a lato zaledwie dwa.“ Dopiero późniéj, po upływie innych rodów aryjskich z ziem Baktryany, Zendowie posunęli się od Belutagu na zachód i zaludnili Iran. Obok nich, w stronach południowo-wschodnich ojczyzny pierwotnéj, najprawdopodobniéj na urodzajnych ziemiach Badakczanu, siedzieli Aryo-Hindusowie, oparci o hindukuskie stoki Himalajów, które późniéj musieli przejść lub okrążyć, by się przez Kabulistan dostać do Indyi. Na skraju południowo-zachodnim, u źródeł Artamizy i Nari umieścilibyśmy Aryo-Pelazgów (Greków i Rzymian), którzy w epoce wędrownéj posunęli się ztąd w kierunku Horatu i daléj, przez Małą-Azyą ku Helespontowi. Pokolenie, z którego urosł wielki lud Celtów, zamieszkiwało

---

(1) Les origines indo-européennes ou les Aryas primitifs. Paryż, 1877—1878, tom I, str. 66.

powiaty zachodnie kraju, w dzisiejszym chanacie Maimene; otwarte ztąd mając drogi wygnania, wcześnie postąpili przez Merw i Hirkanyą ku południowym wybrzeżom morza Kaspijskiego i wąwozom Kaukazkim, prąc wciąż w kierunku kędy słońce schodzi na spoczynek, zanim się oparli na brzegach oceanu i zaludnili między innemi krajami dzisiejszą Bretonią i Irlandyą, wówczas prawdopodobnie połączone.

Nareszcie, w sercu kraju, przy dzisiejszym Chulmie i na północ, wzdluż górnego Oxusa, śród uroczych i urodzajnych dolin, po których biegną dopływy téj rzeki, mieszkali Aryo-Słowianie (1) i Aryo-Germany. Wcześnie zapewne dwie te płodne rodziny przeniosły się za Oxus, na przestworza Scytyi, którą zamieszkiwały wieki może całe, zanim parte przez napastnicze hordy turańskie, skierowały się ku Europie. Ostatni ten ruch zaczął się prawdopodobnie na kilka wieków przed erą naszą, i pierwszą jego widownią były zapewne krainy położone między dzisiejszym Dnieprem a Dniestrem, gdyż za czasów Aleksandra Macedońskiego masa ludów germańskich posunęła się już od morza Czarnego ku Renowi i Baltykowi. Co się zaś tycze Słowian i Aryo-Litwinów, rozsianych nieco daléj na wschód za Germanami, ci nadeszli późniéj i znalazłszy Europę zajętą w większéj części, zatrzymali się w północno-wschodnich jéj stronach...

Niewiem, czy się nieuwodzę— kończy Pictet— ale zdaje mi się, że żadne inne przypuszczenie nie zdoła wyraźniéj zdać sobie sprawy z faktów dotyczących wędrówki rodów aryjskich. Czy punkt wyjścia dla nich umieścimy bardziéj na północ lub na południe, czy go szukać zechcemy więcéj na zachód lub na wschód, napotkamy zawsze trudności i sprzeczności nierozwikłane.

Są jednak okrom topografii inne świadectwa popierające myśl pochodzenia Aryów pierwotnych z Azyi środkowéj. Klimat najpierw.

Zastanawiając się nad najstarożytniejszemi wedyjskimi hymnami, Fontane zgodzić się musiał, że noszą one na sobie niezaprzeczony ślad wpływów klimatycznych takich, które nie mogą być odniesione na karb przyrody hindustańskiéj. Na ogół, ziemia i niebiosa Wedy są umiarkowańsze, wdzięczniejsze niż ziemia i niebiosa położone z południowéj strony Himalayów.

Weźmy ustęp z najdawniejszego może hymnu, *Veda*, I, 90 (6—8), opiewający wdzięki przyrody w tych kilku prostych, czułych słowach:

---

(1) Na szczegółowszych mapach Azyi środkowéj Kieperta i Petermanna łatwo w stronach tych spotkać się z mianem osady dość swojsko brzmiącém; np. *Lechmień* nad rzeką Wachsch (?) lub *Kakajty* u Babichgór Hissaru. Złudny zapewne traf!

„Wiatry miód zlewają na człowieka prawego; rzeki miód toczą; o, pełne miodu bądźcie rośliny nasze!

„Miodu pełna bądź nocy i ty jutrzenko! Miodem się gwiazdy nad ziemią roztoczcie! miodem płyńcie rodzicielskie niebiosa!

„Drzewa nasze miodu bądźcie pełne! Słońce jasne miodem nam bądź! Miodu pełne bądźcie krowy nasze!“

Znamię najodleglejszéj przeszłości aryjskiéj leży widomie na tych słowach prastaréj pieśni; powstała ona w czasach, kiedy jeszcze wyraz *miód* oznaczał zarazem wino, mleko, napój przyjemny, deszcz w porę przychodzący, a nawet zgoła słodycz, przyjemność wszelką. Hymn ten słyszeli praszczurowie nasi w epoce poprzedzającéj rozejście się rodów indo-europejskich, wyraz bowiem miód (w znaczeniu ścieśnioném już stosującém się jedynie do właściwego miodu lub wina) znajdujemy w brzmieniu jednopochodném, we wszystkich bez wyjątku narzeczach szczepu: w sanskryckiém i zendzkiém *madhu* lub *madha*, w greckiém *methy*, w łacińksiém *mel* (*mellis*), w słowiańskiém *miód—med*, w litewskiém *medus—middus*, w staroniemieckiém *metu*, *medu*, *milith*, w skandynawskiém *miödr*, w anglosaskiém *medu — medo*, w irlandzkiém *meadh — miodh*, w celtyckocymbryjskiém *medd* i *mel*. Owóż, równie świąteczne, miękkie i spokojne określenie zjawisk przyrodzonych, jak w przytoczonym hymnie, byłoby niepodobne chyba w otoczeniu, gdzie przyroda posiada wszystko, okrom miękkości, słodyczy i spokoju. Jeśli gdzie, zaiste to nie w Indyach miodowe są rzeki, mleczne niebiosa a ciche i miłośne wiatry w Indyach, których wody wspaniałe i szerokie, roznoszą po ziemi zaraźliwe gorączki, a niebo przepyszne, roziskrzone, ciska cyklony unoszące za sobą miasta całe i znaczące swe przejścia milionami ofiar. Takiéj sprzeczności między rzeczywistością a pojęciem żaden lud młody u siebie nie uświęci. Jedynie w społeczeństwach postarzałych zdarzają się podobne rozdźwięki faktów i wyobrażeń. Odległe a strakcye wybujałe przenośnie, wydęte myśli, rozkwilone uczucia tam tylko zaczynają się szerzyć, gdzie człowiek już się oderwał od bezpośredniego obcowania z warunkami najbliższego swego otoczenia, z ziemią swoją. Naród świeży, początkujący na widowni dziejów, potrafi utrzymać i odległym pokoleniom w spuściźnie przekazać tradycyą *własną*, w jakiémkolwiek położeniu zewnętrznem powstałą. Niewolę swą egipską zapamięta i rozmyślać nad nią będzie wtedy nawet, gdy się od niéj morzem odgrodzi. Tryumfów swych trojańskich nie przestanie opiewać w wiekach, kiedy wieść, gdzie była Troja, przepadnie. Etap po etapie zaznaczy, jak w Zend-Aveście, krainy po których się tułał wygnany ze swéj Airyany. Lecz nigdy nie powie ze swego natchnienia, ani z na-

tchnienia swych bardów, że mu obłoki i niebiosa miód spuszczają, skoro naprawdę huraganami zabijają dobytek i niszczą zagrody— „wary“ jego odwieczne.

Czy klimat Azyi środkowéj bardziéj odpowiada szczerości wedyjskich dla przyrody uwielbień? Pytaniu temu A. Pictet poświęcił większą część mozolnéj swéj pracy. Nie wynika wprawdzie z tych jego poszukiwań, by dzisiejsze chanaty Balk i Maimene, w których pradziadowie nasi prowadzili wdzięczną rozmowę z niebem swém mleczném, miały być drugim z kolei rajem ziemskim—jakkolwiek podziśdzień utrzymują to niektórzy światli ideologowie. Uczony Play, komisarz jeneralny wystawy powsz. 1867, niedawno jeszcze zalecał społeczeństwom tegoczesnym powrót do szczęśliwego patryarchalnego bytu ludów pasterskich nad Oxusem i Jartaxesem (w dziele *La Reforme sociale en France*, 1868, t. II). Na gruncie atoli, na miejscu samem, rzecz się przedstawia mniéj sielankowo, za to zgodniéj z hymnami Wedy, w których pochwała dla niebios, nie umniejsza bynajmniéj prośby do nich.

Przyrodzone własności gleby i powietrza Azyi środkowéj są w ścisłém znaczeniu wyrazu umiarkowane. Ile potrzeb człowieka zaspakajają, tyle ich budzą; rodzą pragnień niewiele więcéj jak środków do ich pracowitego zaspokojenia. Natura tych stron nie różni się znacznie w téj mierze od natury krajów, które szczep aryjski, jego przeważna większość, posiada dzisiaj. Po wiekach kilkunastu plemię indo-europejskie znajduje się, bez mała, w takich samych warunkach klimatycznych, jakie były świadkami pierwszych cywilizacyjnych jego usiłowań na północnych stokach Himalajów. Warunki te dobrze są nam znane. Rajskiemi nie można ich nazwać; posiadają przecież znaczną ilość czynników sprzyjających postępowemu rozwojowi człowieka. Rodzą one żądze nie większe nad możność starannego im zadośćuczynienia; nie stawią zawad nieprzezwyciężonych, nie sieją klęsk lub cierpień niepodobnych do ukojenia. Taką też właśnie zdaje się być górująca nuta pieśni wedyjskiéj, ilekroć się odzywa do otaczających ją gór, lasów, rzek, gwiazd. Czuć w niéj, że ani te gwiazdy lub góry nie spieszą zbytnio naprzeciw pobożnym wołaniom człowieka, ani też znów nie ociągają się zanadto z pomocą w potrzebie rzetelnéj. Nie są ani groźne bez powodu, ani łaskawe bez przyczyny; w ogólności: niezłe. Cokolwiek tylko, być może, zanadto zmienne, jak się o tém np. przekonać można z usposobienia wiatrów wedyjskich.

Wiatry te nie zawsze w Wedzie są umiarkowane i łagodne; nie zawsze powiedzieć o nich można naszemi słowy: wieją, dmą,—*wejur wti*; niekiedy—biją, niszczą. Niejeden stary hymn wyraża się o nich

jako o istotach niebezpiecznych. „Gnieść nas one mogą,—a my nic im uczynić nie jesteśmy wstanie.“ Dowodu jednak przeciw hipotezie Picteta stanowić to nie może; nie ulega bowiem zaprzeczeniu, że tylko pewna ilość starodawnych hymnów wedyjskich powstała przed rozejściem się plemienia z wyżyn środkowéj Azyi, reszta wzięła początek w Hindustanie.

Źródłowa alegoria wiatrów aryjskich, bądź co bądź, przedstawia się na ogół niegroźnie. Pierwiastkiem słowa *Maruty* (posłańcy wiatrów—bóstwa burzliwe) jest *smar*; od niego pochodzi nasza *śmierć*; daje on wszakże wyjście pojęciom wielorakim. Jedne z nich wyrażają *pamięć*, *miłość*, *uczucie* (serce nasze, wedle określenia Mickiewicza); drugie stosują się do wód ruchomych, do *morza*; inne odpowiadają wyrazom *mara*, *marzenie*, *mgla* (mrzéć), *boleść* (niem. schmertz). Wszystkie te pojęcia, pochodzące od *smar* są, rzecby można, różniczkami jednéj myśli, któréj całka (integrał) jest do znalezienia, do wyznaczenia. Gdybyśmy równowartość téj całki dać chcieli—sposobem raczéj przykładu niż ściśle naukowym, w funkcyi zajmującéj nas w téj chwili, w funkcyi wiatru, otrzymalibyśmy, że „maruty“ geniusze niebios „napędzający chmury jako stada krów, i deszcz z nich dający“, były niegdyś, przed tysiącami lat, istotami budzącemi w człowieku uczucia bardziéj żałośne niż bojaźliwe, bardziéj czułe niż z przerażenia płynące. Są to uczucia niemal te same, jakie się w nas dalekich potomkach czcicieli „marutów“, podziśdzień rodzą w posępne doby wiatrów i słoty: uczucia tęsknot półboleśnych, półrozmarzonych, serdecznych—nieraz śmiertelnie „nudnych.“ Mamy tu do czynienia z *marutami* naszych prawie niebios i naszych wrażeń, tych niebios i wrażeń, które w poezyi polskiéj przedostatniego okresu znalazły odgłos i odpływ, co najmniéj obfite. Mówię o czasach, kiedyśmy wszyscy potrochu zarażeni byli ową „nudą jakąś,“ którą tak pięknie wysłowił poeta w czterowierszu:

Jakoś mi tęskno, smutno i nudno,
Na dworze deszcz i mgły:
Kochać niewolno; zapomniéć trudno,
A w sercu sny i sny.

Snów takich rozkochanych, niepamięci czujnych, radości smętnych, smutków przyjemnych, rozkoszy cichych, cierpień pożądanych a głoszonych na widok natury zachmurzonéj niebrak Wedzie. Pewniejsze w nich z tego powodu niż w czém innném świadectwo, że stary Arya, zanim poznał rozhukaną i przytłaczającą przyrodę hindustańską, oglądał wpierw widnokręgi mniej jaskrawe, podziwiał nieba więcéj umiarkowane. Charakter jego języka byłby za tém. Są

w pierwotnym sanskrycie osobliwości, które bodaj najlepiéj przetłómaczyćby można w mowie ludu naszego. Są to wyrażenia powiewne, niepewne, niestałe, a jednakże głębokie i delikatne. Owe np. porównania twierdząco-zaprzeczne, za pomocą których dawni Aryowie określali przyrodę swoję, czyliż potrafi oddać należycie którekolwiek z narzeczy żyjących?

Pobożny Arya niesie niebiosom obiatę; chodzi o dokładne oznaczenie uczuć, w jakich to czyni. Czy poeta wedyjski powie, że obiatę tę wierny niesie jako córka obiad swoim rodzicom? Prawie tak, lecz niezupełnie i poniekąd. Rzeka zbliża się rycząc, ależ nie ryczy jako wół, tylko niby jako (*nikiej*) wół. Maruty w ramiona swe biorą człowieka, dziecię téj ziemi. Czy jako ojciec syna? Nie, *niejako* (*niby*) ojciec syna.

Przyroda niemałéj liczby hymnów wedyjskich śmiało odniesioną być może na téj podstawie pod strefy nieindyjskie; niebo hindustańskie nie przypuszcza bowiem w żadnym wypadku owych niejako, niby, poniekąd. Maruty nie obejmują tam syna ziemi niejako matka dziecię. Biorą go owszem wręcz, po prostu: *jako* dzik ofiarę swą na kły, *jako* słoń wroga na trąbę.

Oprócz tego, wiatry, deszcze, burze—zgoła „maruty“ nadchodzą i wieją w Indyach najczęściéj nie ztamtąd, zkąd one wieją i nadchodzą w Wedzie. Hindus zawsze z obawą spogląda na wschód i południe, zkąd nań nadlatują złe duchy zagłady i zniszczenia, siedzące na oceanach. W hymnach zaś, przeciwnie ku stronom tym, niebieski Agni najspokojniéj zwykle wyjeżdża w górę na swym złotowłosym rumaku. Mgły, słoty, ulewy wysuwają się w Wedzie dopiero tam, kędy słońce na spoczynek dąży, prowadząc za sobą dzień jasny—niejako jeździec spoconego swego rumaka—ku rubinowym stajniom. Jest to horyzont Azyi środkowéj; szare chmury i białe mgły nadpływają w tamtych stronach z zachodu, z morza kaspijskiego, jako na Rusi litewskiéj—z Baltyku. W Wedzie również zachodni deszcz umarza najpospoliciéj pragnienia ziemi; ze wschodu zaś i południa nadlatują „suchny,“ złe duchy upałów.

Dane klimatyczne popiera z kolei roślinność, tudzież świat kopalny i zwierzęcy. Pictet zebrał i zestawił wszystkie kruszce, drzewa, zwierzęta, które się znajdują lub żyją w narzeczach indo-europejskich, a zarazem w Wedzie i w Azyi środkowéj. Niektóre z nich znane są poetom wedyjskim i nam, mieszkańcom Europy lub Azyi środkowéj, nieznane zaś w Indyach. Lecz się zdarza odwrotnie; są trawy, których nazwę i użyteczność odgadnie tylko Rusin i Hindus, nikt inny na kuli ziemskiéj. Co jest np. *kucia*? Wiedziéć o tém może

jedynie ten, kto w wigilią Bożego Narodzenia był na wieczerzy ruskiéj w ziemi podlaskiéj, lub patrzał na pobożne obiaty Hindusów, kiedy rozesławszy *kutsię*, zapraszają do spólnego spożycia darów bożych: jutrzenkę, niebo, słońce, ziemię, bóstwa i ludzi.

Ze wszystkich atoli tych poszlak kwestya pierwotnych siedzib Aryów wedyjskich, praojców całego szczepu indo-europejskiego, nie wyłania się dość jasno i dokładnie. Gdzie mianowicie żyli, jakie kraje zamieszkiwali, pozostanie to prawdopodobnie na zawsze przedmiotem sporu uczonych. Dowodów ścisłych, faktycznych, być w téj mierze nie może; tymczasem, z drugiéj strony, głęboka i ciemna przeszłość otacza zewsząd światła, które niegdyś biły z okien domów i „war" aryjskich. Zwykła to zresztą kolej rzeczy ludzkich, wielkich i małych, że łacniéj się u nich dopytać o miejsca gdzie się wzniosły grobowce, niż gdzie były kolebki. To samo z dawnymi Aryami. Mniéj bez porównania wiemy o dacie ich urodzin przedwiekowych, niźli o tém w jakich ziemiach na wieki... spoczęli. Spoczęli w *Amarcie*—w nieśmiertelności, w stronach, zkąd śmierć przychodziła na ich rozmarzone dusze jako cicha, biała mgła wieczorna schodzi na jasne promienie dzienne; tam gdzie znikał i zniknąć nie mógł boski ich Agni, i kędy rozłożyli wielkie ognisko cywilizacyi nowoczesnéj, zgasiwszy stos swój pogrzebowy; spoczęli na Zachodzie.

Zapłynęli tam... jakiemi drogami? w jakiéj drużynnéj liczbie? z jaką stosunkową siłą? Z taką może nieledwo, z jaką rozpłynęło się ich słowo lekkie, chybkie, chwiejne, a uroczyste i urocze niby ta ich nawa, *nau*, która u nas jest nawą świątyń, i łodzi, u Rzymian okrętem całym, u Celtów zaledwo korytkiem a u Skandynawców już tylko miską (*navis*, *nev*, *noi*), choć właściwie znaczy niewięcéj jak—ruszać się, iść, postępować—postępować naprzód a naprzód!

Tam, i *tém* dziś żyją, tak umierają. Spójrzmy jak ich niegdyś—chowano...

IV.

Ze czci, jaką lud pewien otacza śmiertelne szczątki niebos[illegible]zyków, z jaką żegna ich cienie i pielęgnuje pamięć po nich, sądzimy słusznie o stopniu moralnych jego usposobień. Ztąd również wnioskujemy, dość niekiedy trafnie, jakie były tego ludu wyobrażenia o przyszłości, o życiu zaświatowem, o wiekuistych prawach i przemianach bytu.

Z tego zakresu, obrzęd aryjskiego pogrzebu, szczegółowo opisany w X-éj księdze Rig-Vedy, zasługuje na zaznaczenie.

Przodkowie nasi palili ciała umarłych. Pierwotna powszechność tego zwyczaju w całéj pogańskiéj rodzinie ludów indo-europejskich, u Greków zarówno jak u Słowian, u Celtów zarówno jak u Skandynawów, zapisana, co do nas, w kronikach paleontologicznych i u Nestora, znikła w końcu, kolejami wieków, bez śladu. Wyraz tylko „palenie", o ileby zdaniem Grimma, zaprzeczoném przez Sonnego i Zeussa, dał się powiązać z łacińskiém *sepelio*, *sepultura*, gorzałby samotną pochodnią nad wspomnieniem starożytnego wedyjskiego chowania zmarłych,—nad „ciepłym" dotąd stosem naszym, którym jest „*tapczan*", od sanskr. *tap*, urere, calefacere. Tyle tylko, bo czyliż mówiąc o „popiołach" przodków, mamy kiedykolwiek na myśli wspaniały obrzęd, który płomiennym całunem okrywał niegdyś ciała nieboszczyków? U pradziadów naszych obrzęd ten jednak niebył prostym jedynie sposobem „obojętnego zkądinąd pozbywania się trupów"—według orzeczenia pewnego francuzkiego senatora-ateusza. Sądzili oni owszem, że płomień życia tylko płomieniowi przyrody *godnie* powierzonym być może.

Zaginął sławny stos wedyjski, na którym starzy ojcowie nasi składali niebu ofiarę ostatnią z pozostałości czasowego mieszkania duszy człowieczéj. Prawnuki, piękny ten pomnik gorącéj wiary swych ojców zostawili u siebie w czasach późniejszych, jedynie—rzekłbym—dla żywych: dla heretyków, dla niedowiarków, jakby w wiekuistym hołdzie i uwielbieniu dla myśli aryjskiéj: że światło i życie wywiązują się tam tylko, gdzie zaprzeczenie z twierdzeniem skutecznie się ściera; że wiedza i dobrobyt postępują naprzód a naprzód dopiero wtedy, gdy nad niemi swobodnie świeci gwiazda nieustającego umysłowego i moralnego „niejako"; że prawda tli i rozpromienia się jedynie wówczas, kiedy przy niéj nieprawda spokojnie rumienić się lub blednąć może.

Wrodzony szczepowi sceptycyzm—gdyby tak wolno było nazwać pierwotną badawczą oględność Aryów—nigdzie, w rzeczy saméj, z większą nie wystąpił siłą jak przy chowaniu umarłych. Wobec pytania: czem jest zgon, zkąd przychodzi? i czy rzeczywiście człowiek żyć przestaje, kiedy umiera? stary Arya wpadł w większą jeszcze wątpliwość i niepewność, niż kiedy chodziło o orzeczenie materyalnego do siebie stosunku rzeczy; trudno mu było, jak widzieliśmy, oznaczyć czy rzeki jego, zbliżając się, ryczą jako wół czy też niejako,—jakże przeto niepewnym być musiał, ilekroć wypadło zdać sobie sprawę z nieśmiertelnéj zagadki bytu i niebytu!

Całe zachowanie się Aryi przy pogrzebie dowodzi téj jego wrażliwéj a siebie niepewnéj pogoni... za niepodobną do uchwycenia *istotą* rzeczy.

Wzniesiono oto stos wysoki dla nieboszczyka. Domyślać się trzeba, że jest zamiar spalenia go. Dla czegóż atoli, tradycyjnym zwyczajem przechowanym w niektórych celtyckich i germańskich rodach, wzięto ku temu materyał najmniéj suchy i smolny? Czyliżby zachodziła jaka obawa co do rzeczywistości faktu? Czyliżby aż do ostatniéj chwili wątpiono o istnieniu granicy między tym a tamtym światem? między ciałem a duchem? między życiem a śmiercią?

Złożono umarłego na stosie. Za zgasłym mężem idzie niewiasta. Czy po to by spłonąć z nim razem, i los jego dzielić w krainie drugiéj, może lepszéj... jeśli istnieje jaka? Tak pojęli to późniéj Hindusowie, tak pojęli Słowianie, Celty, Germanie, gdy zatraciwszy w sobie istotę zakonu, litery jego trzymali się ślepo. Dobrowolny znak niezbędnéj solidarności życia ze śmiercią, ofiarne pytanie opuszczonego serca do odlatującéj duszy: czy nie pragnie nadal pozostać razém, ujęto w formularz przymusu, potwornego jak wszystko, w czém zgasła iskra szczerości, prawdy, uczucia. Stary Arya, on, niewieście, po odebranéj od męża stanowczéj tym razem odpowiedzi odmównéj, schodzić kazał ze stosu, wołając: „Podnieś się, o kobiéto! wracaj na świat do życia! mąż twój nie żyje! Chodź! dość byłaś żoną tego, który cię wybrał i matką uczynił" (*Rig-Veda*, X, 18. 8) (1).

Zapalono nareszcie, po téj próbie, stos. Z jakiegoż powodu podłożono pod zwłoki tarcze ochronne od ognia, świeże skóry zabitych na obiatę krów lub kóz? czemu samego nieboszczyka okryto warstwami ubezpieczającemi? „Przyjmij—wołają zgromadzeni bracia—przyjmij tę obronę od płomieni, iżby radośnie rozpłomieniony Agni, *nie od razu*, nie ze wszech stron wziął cię w objęcia." (*R. Veda*, X. 16. 7). I zaprawdę, ostrożność niezbyteczna! bo jeśli nieboszczyk nie umarł? jeśli dusza żyć jeszcze pragnie, lub wrócić zechce?

Lecz oto ciało jest już w objęciach boskiego Agni. Posłuchajmy co towarzyszowi na pożegnanie śpiewają towarzysze.

„O Agni!—wołają—nie czyń mu złego, nie niszcz go, nie psuj mu członków! Gdy go przejmiesz, o ty co znasz jestestwa, zanieś go wtedy na łono ojców. Tak jest, gdy go przenikniesz, oddać go ojcom możesz. Wiernie z nimi pełnić będzie służby w życiu nowém.

„Odejdź, druże! niech wzrok twój spocznie na słońcu! niech dusza twoja w powietrzu odetchnie! Odejdź: ku niebu, ku ziemi, gdzie pragniesz! ku wodom, jeżeli wolisz! Prochy twe legną w cieniu drzew i ziół dobroczynnych.

---

(1) W cytatach z Wedy liczba rzymska oznacza księgę, bezpośrednio za nią idąca, z punktem—hymn, dalsze—wersety hymnu.

„Nieśmiertelna istoty połowo, wielki ogniów Boże! ogrzej go, otul go płomieniem swym jasnym i czystym! Weź postać najmilszą, najlżejszą i zanieś go w świat ludzi sprawiedliwych! Pozwól niech wróci do ojców, i tchnieniem ożywiony świeżém niech szczątki swe zbierze i z ciałem się swojem złączy!“ (*R. Veda*, X, 16. 1, 2, 3, 4).

Zebrano, złożono do urny popioły; urnę wstawiono do grobu; na grób, krewni i blizcy składają ziemię—grudka po grudce oczywiście: bo kto wie, człowiek żyjący w proch się obrócił, z prochu powstać może.

Nie powstał. Grzebiąc przeto, śpiewają wszyscy daléj, słowo po słowie:

„Idź ku matce! Idź ku ziemi, szerokiéj, niezmierzonéj, dobroczynnéj, która dla ludzi sprawiedliwych słodką jest niejako młoda niewiasta pełna czułości!

„Otwórz się mu o ziemio! nie czyń mu złego! przyjmij go czule! bądź mu łaskawą! Okryj go, o ziemio! otul jako matka płachtą swą otula dziecię“ (*R. Veda*, X, 18. 10, 11).

Zasypano. Kończąc śpiewają:

„Niechże się teraz zamknie nagromadzona ziemia, niech na nią pył i mgły spadną! Niech spadną na nią obiaty niebios mleczne, i niech mu ta matka opiekunką będzie po wszystkie czasy!“ (*R. Veda*, X, 18. 12, 13).

Niezależnie od zewnętrznych piękności przytoczonych ustępów, łatwo z nich postrzedz jak dalece pojęcie zaświatowości, pośmiertnego życia, chwiejném było u Aryów, chybkiem, sprzecznem—wszechstronnem. Czy wyobrażał sobie nasz przodek tę zaświatowość materyalnie czy niemateryalnie, cieleśnie czy niecieleśnie; w jednéj czy dwu postaciach? Nikt tego pytania stanowczo rozwiązać niepotrafi na żądną wyłączną tezę. Każda doktryna znajdzie tu dostatecznie rozwinięte kiełko dla swoich twierdzeń, każda inna dostatecznie ugruntowany motyw dla swoich zaprzeczeń (1).

(1) Że „zaświatowość“, „wiekuistość“, „nieśmiertelność“ wedyjska inne ma całkiem znaczenie niż nasz dzisiejszy spirytualizm, o tém trzeba ciągle pamiętać, gdy mowa o wyobrażeniach starożytnych Aryów. Dla tłómacza Wedy jest to trudność nie do przezwyciężenia. Z tego powodu często się zdarza, że jeden i ten sam ustęp Rig-Vedy zupełnie inaczéj przedstawia się w przekładzie Rosena (łacińskim) inaczéj w przekładzie Langlois (franc.) a jeszcze inaczéj w przekładzie Maks Müllera (angielskim). Odwołanie się zaś do oryginału nie dla każdego dostępne, i ostatecznie żadnéj nowéj gwarancyi nie przynosi. W ogólności powiedzieć można, że w Rig-Vedzie, zaświatowość jest to *przymiot rzeczy nieznany lub nieobecny, w objawie téj rzeczy znanym lub obecnym.* „Jaką pieśnią uczcimy boskiego Agni—woła poeta—gdy czysty, wspaniały, *nieśmiertelny śród śmiertelnych*, powstaje tu ku obiacie bogów?“ (R-V. I, 77. 1). „Jutrzenka, córa niebios postępuje jakoby

A jednakże, z drugiéj strony, o ile kruchém i powiewném było samo wyobrażenie o nieśmiertelności, o jéj formie, o tyle znowu silném, nieprzepartém jéj pragnienie, chęć napicia się ze źródeł bytu, z krynic wiekuistéj jego treści. Większéj rzeki tęsknot za „wielką przyszłością“ nie znają dzieje umysłowego rozwoju ludów. Księgi Wedy są jakoby jedną wielką powodzią westchnień ku nieskończoności rozlaną na dalekie, nieznane, niewidziane kraje istnienia. Wszystko inne znika pod nabrzmiałym poziomem tych wód. Wprawdzie, od czasu do czasu nie zapomina Arya w swych pieśniach o pastwiskach, o krowach, o deszczu na pola suche, o słońcu na ziemię zziębniętą, o zdrowiu własném, o opatrzeniu licznego potomstwa. Radby był również, gdyby mu bogowie raczyli rozproszyć nieprzyjaciół, „ażebyśmy—powiada—żyć choć spokojnie mogli“ (*R. Veda*, II. 28. 7). Są to jednak niejako wysepki na brzegu oceanu w chwili, kiedy sam ocean próśb odpłynął za widokrąg; wrócił—i oto już ani jednéj z nich nie widać; znikły, zatonęły najwyższe wydmy powszedniego bytu pod tém morzem, którego każda fala, każda głębsza brózda zdaje się wołać o nieśmiertelność.

Maks.Müller przytacza jedną z legend indyjskich, należącą do okresu już powedyjskiego, do *bramana*, który w pewnéj mierze obrazowo przedstawia nieukojony ten prąd wiedzy aryjskiéj w zaświatowość, w dziedziny „zamknięte dla oka ludzkiego“—przyszłe, nieśmiertelne.

Ojciec Naciketasa złożył niebiosom obiatę powszechną, na mocy któréj człowiek poświęca bogom wszystko co ma. Syn, posłyszawszy przyrzeczenie rodzica, zapytuje go, ażaliby żadnego wyjątku nie uczynił. Otrzymuje odpowiedź, że nie. Niedługo się tedy namyśla; sam śpieszy w państwo śmierci, powiadając: „spojrz duszo przed siebie na tych, którzy odeszli, spojrz za siebie na tych, którzy

---

znanemi sobie ścieżkami Rity, niezbłąkana *w krainie bogów*“ (I, 124. 3). „O Indra! *wieczne* twe mieszkanie jest już pewno *niedalekie*. Przybywaj ...“ (III, 30. 2). Znawcom, którzyby przeczyli temu tłómaczeniu zaświatowości wedyjskiéj (jako nieobecność lub niewiadomość) proponujemy przekład jednéj tylko strofy Rig-Vedy, a mianowicie 5-téj hymnu 54 księgi III, lub téż, jeśli wolą, objaśnienie znaczenia całego hymnu 95-o księgi X-éj, jednego z najpiękniejszych z całéj téj przecudnéj literatury wedyjskiéj. Fontane we wspomnianém dziele *Indye wedyjskie* (str. 355) uznał dyalogowaną tę perłę za niemoralną, jedynie dla tego, że posługując się tłómaczeniem Langlois wziął rozmowę żywiołu *nieśmiertelnego*, nieujętego, powietrznego, *uru*, *urvasi*, z żywiołem śmiertelnym, ziemskim, *pururavas*,—rozmowę oczywiście ścisłą i poufałą, za rozmowę niejakiéj Urwasi z niejakim Pururasem... Atoli i w téj nawet, antropomorficznéj sukience, hymn nie przestaje być prześlicznym, jak, być może, przekonamy o tém czytelnika w drugiéj części niniejszego opracowania.

odejdą: jako zboże, rodzi się, niknie i odradza się życie.“ Powędrował. Śmierci w domu nie zastał; nie było jéj dnia tego w królestwie umarłych. Wypadło czekać. Czekał dzień, drugi, trzeci; nareszcie zjawia się władczyni, a dowiedziawszy się, że podróżnego nikt gościnnie dotąd nie podjął, rzecze do Naciketasa:

— „Jako zadośćuczynienie, możesz żądać odemnie trzech rzeczy, do swego wyboru, do swojéj woli.

Naciketas rad przystał. Dwu pierwszych łask zażądał rozumie się dla ojca. Poczém, gdy przyszło do trzeciéj, ozwie się w te słowa:

— „Zachodzi wątpliwość, gdy człowiek żyć przestał. Jedni utrzymują, że go niéma, drudzy—że jest. Chciéj mię wyraźnie oświecić w tym względzie, o królowo! a będzie to moja trzecia prośba.

Śmierć pokręciła głową.

— „Widzisz—odpowie—co do tego, to sami bogowie w wątpliwość zachodzili. Przedmiot niełatwy do zrozumienia, materya delikatna. Zażądaj czego innego, o Naciketasie. Nie nastawaj, uwolnij mię od téj obietnicy. Proś natomiast o co chcesz, choćby o coś najtrudniejszego do otrzymania w świecie ludzkim. Dam ci najpiękniejsze rusałki (*absaras*, boginie wodne), na rydwanach, z harfami, jakich człowiek mieć nie może, i żyć z niémi będziesz. Ale nie pytaj mię o tajemnicę śmierci.

Na to jéj Naciketas.

— Wszystko to są rzeczy marne, o śmierci! i tylko zdrowie niszczące. Co mi po nich. Trzymaj sobie swe panny, swe wozy, swe tańce. Nie czyni ludzi zadowolonymi pomyślność. Insza zupełnie sprawa z tém, czy będziemy szczęśliwi, gdy ciebie ujrzymy. To rzecz główna. Powiedz nam tedy raczéj o tém, o królowo, co stanowi przedmiot udręczeń naszych: jaką jest właściwie owa przyszłość wielka i co rzeczywiście w sobie zawiera? Żadnych dobrodziejstw Naciketas nie wymaga; świat ten tylko tajemniczy przeniknąćby pragnął.“

Kiedy przed laty przodkowie Słowian, Germanów, Celtów wybierali się z siedzib prastaréj Airyany w dalekie zachodnie kraje—w kraje mórz, mar, zmierzchu, cieniów, ciemni i potomności—mówili może jako Naciketas: „Świat ten tajemniczy przeniknąć pragniemy, tę przyszłość wielką zbadać chcemy. Czém jest ona właściwie i co rzeczywiście zawiera, to nas dręczy. Czy będziemy szczęśliwi, gdy królestwo śmierci ujrzymy—być nam czy nie być nieśmiertelnymi w tém rzecz główna...“

W Wedzie marność *obecnego* życia nieodczuta jeszcze z równą mocą jak w legendzie o Naciketasie; zamiłowanie dóbr *tośwuatowych*

żywszém jest bez porównania. Niemniéj, kierunek i nastrój ten sam, taki sam. Jest to jakoby jeden powietrzny prąd dusz młodych, skazanych, w powszechnéj obiacie ojców, na poznanie tego, co niewidome i niewiadome. Całość hymnów wedyjskich daje z tego względu wrażenie łodzi małéj, przepełnionéj drobiazgami powszedniości, a niesionéj na ogromnych okrętowych żaglach natchnień poetyczno-metafizycznych.

Dokąd z natchnieniami temi szczep zapłynie? na czem skończy? jaką odpowiedź otrzyma w państwie marzeń, zmartwień, mroku, i mroźnéj śmierci? Przewidziéć to już można z samego przebiegu owéj „zaświatowości“ w Wedzie.

Zaznaczmy główne, wytyczne jéj punkta. Ciekawszych ewolucyjnych przemian, niezna historya umysłu ludzkiego.

V.

Z ogólnego stanowiska religia Wed przedstawia się jako politeizm naturalny; jest czcią przyrody ożywionéj i upostaciowanéj. Mitologia wedyjska, w pełni swojego rozwinięcia, niewiele się w tym punkcie różni od mitologii greckiéj, rzymskiéj lub skandynawskiéj.

Słońce występuje w Wedzie w uosobieniu wielorakiém. Jako światło rozpraszające ciemności, *Surya*, o twarzy rozpromienionéj, jedzie na ognistym rydwanie ciągnionym przez siedm rumaków; jako źródło twórczości, *Savitar*, ma wóz złoty, ramiona złote, język złoty, policzki rozognionego żelaza; jako jasność dzienna, *Mitra*, wstaje w purpurze, na spoczynek idzie za ciemne bramy zachodu. W jednym czy drugim wypadku, w téj czy innéj postaci, bóstwo słoneczne jest nieskończenie dobroczynném i wspaniałomyślném. To samo z innemi siłami przyrody. Stróż ogniska domowego i zarazem pan świata, *Agni*, władca i brat człowieka, jego ojciec i jego przyjaciel, z tronu własnych swoich przymiotów jest równie jasnym, dobrym i szlachetnym jak Savitar lub Surya. *Varuna*, rządca niebios, niebo upostaciowane, obejmuje i zwiera pod sobą ziemię, zna porządki świata, jego przemiany, prawa i obroty, *vratas*; „warunkuje“ bieg gwiazd, ptaków, wiatrów, rzek, łodzi; dzierży w swéj dłoni ster bytu, zna przyszłość i kryje w swojem łonie bezdeń jutrzenek, „które nad ludźmi jeszcze nie zaświeciły“ (*Rig-Veda*, II, 28. 9). Wielką i wszechpotężną jest również ziemia-matka, *Prithivi-matar*, rodzajność bierna obok męzkiéj twórczości nieba, zwanéj *Dyaus-pitar*. Jutrzenka, *Utszas* albo *Vasas*, odbiera w hymnach hołdy niemniéj wdzięczne i szczere, jako córka Dyausa, *duhita-divas*, i córka Suryi, *suryasya-*

duhita; zkądinąd jest ona matką bogów, *mata-devanam*, odsłaniającą przed rankiem dnia, w postaci niewiasty młodéj, pierś swą rumianą i czystą, wrota niebieskie, *dvarau-divas*. Gospodarz deszczów, rodzic rzek, *Indra*, rozkazuje gromom, wznosi pod obłoki słupy pyłów, dowodzi wiatrami, piorunem roztrąca najmocniejsze warownie. W towarzystwie szybkonogiego *Vayu*, od którego pożycza rączych koni, mając przy swoim boku mruczącego *Rudrę*, z całém jego potomstwem Marutów, stacza walkę ze srogim *Vrtą*, trzymającym w oblężeniu obłoczne stado owiec i przeszkadzającym dobroczynnemu z nich dojowi deszczów; on też zabija potwornego smoka, „pożerającego na wysokich górach rzeki życiodawcze, które ztamtąd ku dolinom uciekają“ (*R. V.* IV, 17. 12, 13).

Z przytoczonych przykładów wychyla się pierwszy charakterystyczny rys teologii wedyjskiéj. Jakikolwiek byłby zakres, jakakolwiek potęga działalności jednych bóstw w Wedzie, nie cierpi na tém zakres działalności bóstw innych. Pomimo wszechwładztwa Varuny, wszechwładcami nie przestają być ani Savitar ani Surya. Wielkim i jedynym jest Dyaus, ale Indra równości z nim przez to nie traci. Niedość na tém; bogi wedyjskie żyją z sobą w zgodzie i spokoju. Rodzą się, rosną, miejsc sobie ustępują bez swarów i zajść, jakiemi przepełniona zaświatowość grecka lub skandynawska, i umierają w końcu bez skarg, bez żalów.

Znamię to wytyczne. Niezawsze atoli właściwie rozumiane. Maks.Müller dla wytłómaczenia ciekawego zjawiska zażyłości potęg, z których każda kolejno jest „najwyższą“, przypisuje poetom Wedy osobną moc duszy: zdolność takiego nastroju i podniesienia uczuć, przy któréj wierny, w chwili składania hołdu jednemu bóstwu, zapomina o wszechmocy bóstw innych; poczém, w stosownéj chwili, wraca do bogów zapomnianych i niesie im dań zapałów równie jak poprzednie pochłaniających, wzruszonych — *hrszitas*, grzesznych. Uczony wydawca Wedy cześć podobną nazywa *henoteizmem*. Przypuszczenie jednak, na któremby się opierał ów henoteizm praojców naszych, jest, co najmniéj, zbytecznem. Wszechwładztwa bogów wedyjskich nie były *jednoczesne*. Wedę tworzyły szeregi pokoleń. Potęga Dyausa nie jest w niéj téj saméj daty, co potęga Varuny lub Indry. W jednym i tym samym hymnie mieszczą się „uduchowienia“, przedzielone od siebie całemi stuleciami, zupełnie jako w naszych księgach liturgicznych, gdzie obok modlitw z wieku VII po Chrystusie znaleźć się mogą modlitwy z wieku XVII-o. Usta pobożnych powtarzają słowa dogmatów i przykazań z jednakiém uwielbieniem, ztąd wszakże nie wynika by jednaką być miała wiara co je wywołała, by ta sama epoka tworzyła i dogmata i przykazania i modlitewniki.

Jeśli w powstawaniu mitów wedyjskich tkwiła jakakolwiek racya ogólna, trwalsza, szukać jéj należy raczéj w przedmiocie samym niż w podmiocie, raczéj w tém co mianowicie hymny opiewały niźli w usposobieniu tych, którzy je wyśpiewali.

Na tę zaś przedmiotową racyą wskazywać zdają się same już *stosunki* bogów wedyjskich. Majestatyczny spokój ich postępowania, obok „częściowych“ ich wszechwładztw, znajduje swe uzasadnienie w „sile większéj“, któréj uznanie przez Wedę sprowadza jéj mitologią na grunt rzeczywistości, wolny od nadzwyczajnych natchnień i szczególnych wysiłków podmiotowych. Działania bogów wedyjskich nie są ani kapryśne ani dowolne. Kieruje niemi prawo niezłomne—*Rita*. Jéj to ścieżki, *pathya ritasya*, jéj gościńce, *gatu*, łączą na niebie i ziemi wszelkie pierwiastki czynne, *da*, *dyati* (*R.-V.* VI, 51. 1); ona tylko, Rita, jest niezmienną, jako sama nieskończoność, będąca bezczynną, *A-diti*, któréj miejsce niekiedy zastępuje (X, 66. 4); do niéj kroki swe stosuje Savitar (VIII, 75. 5), jéj drogami wschodzą jutrzenki (I, 124. 3), nakazy jéj znaczy stopami swemi Varuna (I, 24. 8); mędrzec świadom jest jéj kierunków (X, 66. 13), stroni od niéj jedynie złoczyńca (IX, 73. 6).

Znaczenie téj *Rity* wyjaśni się dokładniej gdy z kolei nadmienimy, że okres mitologiczny, z któregośmy zaczerpnęli kilka powyższych danych, jest *drugim* dopiero, późniejszym okresem Wedy, okresem właściwie indyjskim. Rozwinął się on już po rozejściu się Aryów, i obejmuje historyą *panowania* bogów. Jest to, rzecby można, nowy testament religii wedyjskiéj. Poprzedza go testament stary, należący do całego plemienia, a zawierający *genezę* bogów aryjskich, to jest zarówno indyjskich jak greckich, słowiańskich, litewskich, lub celtyckich. Nad widnokręgiem mitologii wedyjskiéj rozsuniętéj w ten sposób płoną nie same tylko gwiazdy pierwszego rzędu. Obok bóstw wielkich a dokonanych, są tam bóstwa małe, niedonoszone (*R.-V.* I, 27. 13). Jakkolwiek olśniewającą jest jasność Dyausa, jakkolwiek niezmierną władza Indry, nie gaszą one i nie przyciszają świateł, kształtów i blasków poczynających, rodzących się lub tylko możebnych. Przy gromowładcach i życiodawcach udzielnych, o temperamencie niezaprzeczenie indyjskim, mżą w Wedzie, wznoszą się, do powstania dążą gromady istot, potęg, żądz i bóstw nieupostaciowanych, czeredy sił mgławiskowych, powiaty dróg mlecznych, ukrainy światów i zaświatowości w pieluchach. Dokoła bogów *in actu* kupią się legiony duchów i półbogów *in potentia*: półbogów jasnych—*devas*, zasobnych—*bagas*, ożywczych—*pranas*, niezmierzchających—*amartyas*, powietrznych—*asurach*, zdrojowych—*apas*, przewodnich—*naras*, czujnych—*manas*.

I z tych to właśnie duchów drobnych, z tych początkujących uosobień „zdrojowych“, „powietrznych“, „zasobnych“ lub „czujnych“ wyrosły mitologiczne wierzchołki bóstw dokonanych: zarówno Varuny indyjskie, jak Uranosy greckie, zarówno Perkunasy litewskie jak Jowisze rzymskie lub Marzanny słowiańskie.

Etymologiczny proces tego przeobrażania się bogów w Wedzie łatwo zaznaczyć na kilku przykładach bliższych, bardziéj znanych.

Z liczby wyrazów, jakich europejska odrośl Aryów używa dla oznaczenia Istności najwyższéj, germański *God*, słowiański *Bóg*, łaciński *Deus*, spólnie sięgają owych to właśnie *źródeł* wedyjskich; początki ich tkwią w starym testamencie biblii aryjskiéj. Przebieżmy pokrótce ich rodowody.

Dawny germański *Guth*, *God* spoczął na samém dnie wedyjskich „uduchowień.“ Najwyższa naukowa powaga, Grimm, stanowczo usuwa pokrewieństwo słowa *guth* z *gods* dobry, godny, i z imieniem Gotów *Gutans*. Schweizer wyprowadza *Guth* od *dhu*, *dhuti*, poruszać, brzmiéć, dąć, przy możebnéj według niego (zaprzeczonéj przez Picteta) zmianie w sanskrycie *dh* na *h*, a w gockiém *h* na g. Trafniéj podobno połączył Ebel *god* z wedyjskiem *gudh*, kryć, w ukryciu zostawać, tajemnicą osłaniać—lub osłaniać się. Dla Germanów Bóg, źródłowo, byłby tym sposobem istotą niemą, niewidzialną, w ciemnościach pogrążoną, niedającą się ująć w znak widzialny—zgodnie ze znaném podaniem Tacyta, że dawni Germanie bóstw swych nie postaciowali. *God* w takim razie miałby przymioty jednego z wedyjskich pół-bogów, o którym poeta powiada: „ten którego głos słyszymy, nie widząc jego ciała“ (*R. V*, X, 162. 4). Słowiański pierwiastek *hud*, huczeć, gędzić, wskazywałby może na bliz-kość domysłów Ebla z wywodem Schweizera, i germańskiemu *god* nadawałby szemrzące życie głębokich, ciemnych bóstw leśnych. Bądźcobądź, niedoszło w Wedzie do ubóstwienia zalet ukrytych w pierwiastkach, z których urosło germańskie miano Boga. Metamorfoza tych pierwiastków odbyła się po za obrębem spólnych źródeł aryjskich.

Inaczéj z imieniem *Bóg*, *Boh*. W Wedzie posiada ono drugi już stopień wzrostu; z pierwotnego *badż* lub *bacz* staje się *baga* (z *bh* w sanskrycie), i wyraża to prawie, co dziś rozumiemy pod przymiotnikami obfity, bujny, rodzący, płodny—niemal bogacz i pan. Rys ten ożywiony—a raczéj ożywczy, staje w starotestamentowém wedyjskiém zakolu jestestw ożywionych w téj saméj roli, co *apas*, *pranas*, *asuras* itd. Lecz i w tym tu szeregu zachodzą już pewne wyróżnienia wyższo lub niższo stopniowe. *Asuras* np. jest przymiotem uoso-

bionym boskości, gdy tymczasem *bhaga* zdaje się być zaledwo uosobieniem boskości *przymiotném*, i w takiém dostojeństwie Savitar jest lub może być *bhaga*, Aditja baga, Agni baga, zgoła cała przyroda, o ile wspaniałomyślnie wspiera człowieka, równém prawem zwie się „bogatą“ i „bożą.“ Niewiele tu brak słowu, żeby się stało ciałem i żeby poeta mógł rzec: *visve-bagas* (wszyscy wielmożni) jak mówił *visve-devas*, wszyscy jaśni, wszyscy święci (bogowie). Daléj jednak *bhaga* nie poszedł w hymnach.

Z trzech tedy wymienionych nazw bóstwa, los najwyższego upostaciowania w Wedzie wypadł jedynie na rzecz pierwiastku *div*, *deva*. Z bóstw aryjskich, raz jasnych, to znów chmurnych i groźnych, dobroczynnych lub tylko możnych, najjaśniéj—lubo na krótko—zabłysnął, ów właśnie jasnowłosy *deva*, późniejszy grecki *Zeus*, łaciński *Deus*, litewski *Dewas*, irlandzki *Dia*, cymbryjski *Dew*, *Duw*—ten ostatni, jakby zwrotem w przeszłość, przypominający czasy, kiedy *Deus*, *God*, *Bóg*, spoczywały w pierwiastkach *div*, *bacz*, *gud*, i tyle zaledwo przemawiały do pradziadów naszych, ile do nas przemówiłyby słowa: dziw, patrz, huczy. Czasy te atoli daleko za sobą pozostawił *div*. Ze stopnia *deva*, równego temu, jaki w Wedzie zajmują *baga*, *asura* lub *mana*, wszedł na stanowisko wyższe, najprzód przymiotowe, uogólnione i zbiorowe: bóstwo, „bozi,“ tyle co visve-devas, następnie, własno-boże. Z jestestwa stał się osobą, bogiem, *Dyaus* a nareszcie żywicielem, ojcem niebieskim, *Dyaus-pita* (Deus-pater, Jupiter), i nawet, chwilowo, jedynowładcą, zanim go z niebieskiego rydwana nie zrzucił Perun indyjski, *Indra*.

Taki jest zasadniczy zarys, elementarne rusztowanie mitologii aryjskiéj. W czasach, kiedy Olimpy i alegorye zajmowały w literaturze miejsce mniéj upośledzone, kilka pobieżnych uwag odsłoniłoby odrazu, z po za tych rusztowań, tajemnicę zaświatowości wedyjskiéj. Dawne owe bogi, z których jedne z kolebki wyjść nie mogą, drugie rodzą się i umierają na swoim gruncie, trzecie obcych stron potrzebują dla swego wzrostu, a wszystkie razem żyją i działają wedle niezmiennych przykazań Rity—bogi owe przemówiłyby same za siebie. Język ich byłby dla nas zrozumiałym. Dziś jednak zeszło do tego, że prosty śmiertelnik dużo trudu włożyć musi, zanim ich istnienie usprawiedliwi, zanim ziemską już tylko ich godność ocali...

VI.

Czemże tedy była w swéj istocie upragniona owa, gorąco przez ojców naszych pożądana „zaświatowość“ wedyjska? Była „to-świa-

towością"—dziś dla nas zwyczajną, prostą, naturalną,—bo wyłonioną z chaosu „bezdziejowéj" nieskończoności pracą i geniuszem Koperników, Newtonów, Lavoisierów, lecz niewidomą wówczas, niewiadomą, boską jeszcze. Była „wielką ziemią nieznaną," oglądaną wtedy, śród dziejowych zamroczy, z małego czółenka pierwotnego *podziwu* rodu ludzkiego; matką przyrodą *huczącą* nad kolebką dziecka pieśń początkującego życia; światem rodzącym się, *bogatym* (1), zawieszonym tuż u samych okien, nad samą przyzbą najpierwszego lichego mieszkania człowieka. Dlaczego zaś kraj ten niezmierzony, myślą ludzką nieprzedeptany, był dla praojców naszych *żyjącym*? Dlatego, że w owe lata przemawiał do nich, działał w ich oczach, groził, pieścił, karał, nagradzał—prowadził, doświadczał ludzi, aż w końcu sam się stał przedmiotem ich doświadczenia. Nadzwyczajnym zaś, nadludzkim wydawać się świat ten musiał dlatego, że był wyższym, silniejszym, mędrszym, zasadniejszym od człowieka, a trwał, „wracał" ciągle, kiedy człowiek ciągle umierał, i ilekroć, jak Naciketas, po rzetelną odpowiedź do śmierci się udał, nie wracał.

Łacno pojąć jaki rzeczywiście był powód „zaświatowych" owych pragnień, nadziei i żądz praojców naszych w Wedzie. Zaświatowość ta wiedzę im dawała. Człowiek, chwytając za jéj usuwające się wciąż cienie, czuł, że w dłonie swe ujmuje światło, kształt, rzeczywistość coraz rozleglejszą, coraz pewniejszą. W miarę jak postępował naprzód, przed siebie, niewiadomość przed nim powoli znikała, wtedy gdy nęcąca go wciąż tajemniczością swoją zaświatowość (świat niepoznany) nie zmniejszała się przez to, owszem rosła jeszcze, rozszerzała się. Ściegów tych, półzłudnych z jednéj strony, półdoykalnych z drugiéj, świtających tu, zmierzchających tam, Arya dawny pilnował się i trzymał iście „jako dziecię pilnuje się i trzyma poły swéj matki." Wiodła go ona niemal za rękę wskróż te brózdy rozdzielające dziedziny widzenia i wiadomości (*vid*, *ved*) od dziedzin dziwu (*div*, *dav*), dziwu zaprawdę „bożego", bo niezbadanego, coraz większego, coraz bogatszego, coraz głębiéj i wyżéj huczącego, pomimo bezustannie rozstępujących się, co chwila mnożących się zakresów poznania (sanskr. *gna* = co-gnosco) (2). Weda zaznaczała

---

(1) Sanskryckie *badż*, *baga* ma bowiem przedewszystkiem znaczenie obfitości rodzajnéj.

(2) Potrzebujemy uczynić tu zastrzeżenie. Studyum niniejsze nie jest żadnym traktatem etymologicznym. Zbliżeń i podobieństw używamy jedynie dla wyjaśnienia ogólnych pojęć i wyobrażeń; ale stałyby się one poprostu niedorzecznemi, gdybyśmy je brać chcieli ze stanowiska *specyalnego*. Za mało—lub za wiele wiemy z „nauki nowéj," byśmy uledz mogli staréj chorobie zwanéj przez Potta chorobą „Urformenschwindel'ów.."

granice dwu tych światów: widu i dziwu, wiedzy i niewiadomości, tego co nazawsze poznane i tego co doczeŝnie zakryte. Jest to księga rozgraniczeń ciągłych pomiędzy „niebytem" boskim, a bytem ludzkim, między tém co było dziwem a tém co się stało widném z pośród widm wszelakiéj bezdziejowéj nieskończoności. Jest to pierwsze w ludzkości słowo wiedzy, źródłowe pojmowanie i poznawanie tego, co przechodząc z niewiadomego w wiadome, z dalekiego w blizkie, z niedocieczonego w docieczone, rodzi się z niedokonanego dokonaném i skończoném. Zgoła, Weda jest najdawniejszém „ojczenasz" aryjskiem (w znaczeniu, jakie wyrazowi temu usiłował nadać A. Cieszkowski), a tém ważniejszém od innych, późniejszych, gdziebądź objawionych, przyjętych lub filozoficznie wyrozumowanych, że w nim wiekuiste „stań się" wiedzy, odubóstwiającéj to co ubóstwiła niewiedza, zaznaczone zostało zgłoska po zgłosce, nabytek po nabytku, od pierwszego pytania czém jest rycząca ta rzeka, która się do nas nie wiedzieć zkąd zbliża, aż do ostatniéj odpowiedzi, jaką hymny dały poecie zadumanemu nad początkiem bytu, kiedy wołał: „był li ten świat stworzonym czy nie był?"

Nie brak szczegółowych dowodów na poparcie syntetycznego tego wyobrażenia o staréj mitologii aryjskiéj. Z saméj natury przedmiotów ubóstwionych w Wedzie wypada, że mitologiczna poetyczność Aryów zwiększała się istotnie w stosunku odwrotnym do *konkretności* przedmiotów. Im mniéj zjawiska przyrodzone były „ujętne", im bardziéj skomplikowane, im trudniejsze dla intuicyi zmysłowéj, tém wyższe i trwalsze było ich uduchowienie.

Nasamprzód, przedmioty bezpośrednio podpadające pod zmysły, dotykalne lub będące dziełem rąk ludzkich, nie uległy w Wedzie żadnemu religijnemu upostaciowaniu. Tu i owdzie wprawdzie spotykamy w hymnach uroczyste słowo na cześć wozu, łuku, siekiery, obiatnéj czaszy po ojcach. na cześć narzędzi lub sprzętów domowych, których, jak się wyraża Maks.Müller, podziśdzień opiewać nie przestali Wordsworthy i Tennysony; ale nawet podobnym przedmiotom poeta wedyjski nie przyznaje ożywionego, uosobionego istnienia; były to rzeczy święte w tém jedynie znaczeniu, w jakiem są dla nas świętemi pamiątki po ojcach lub symbole drogich dla duszy zdarzeń.

Arya nie kłaniał się ani kamieniom ani drzewom, nie czcił ani gór kiedy je obszedł i obejrzał, ani lasów gdy je przetrząsł, wytrzebił. Okolice boskości zaczynały się dla niego dopiero tam, gdzie się kończyła możność dokładniejszego postrzegania zjawisk; trwały w tym charakterze dopóty, dopóki trwała ich nieznajomość, znikały wtedy gdy człowiek mógł je dosięgnąć, posiąść, ująć, pojąć. Zaświatowość rozpościerała się u Aryów dopiero na gruntach i głębinach, które

okrywała zasłona czasowéj niewiedzy: za widokręgiem ziem, w gąszczach puszcz, nad górami gdzie słońce w śniegach się kąpie i nieśmiertelnych swych blasków im użycza, nad rzekami płynącemi bez widomego początku ni końca, wiecznie, nieznikomie, raz wspanialéj, to znów posępniéj, jako same światła na niebios oponie.

Lecz w tym nawet zakresie zaświatowości czy rzeczywiście bóstwa wedyjskie były dla Aryów właściwemi bóstwami? Azaliż za istotnych bogów uważali oni tę oto rzekę nieznaną, tę górę niebotyczną, ten ostęp puszczy głuchéj, tę jutrzenkę poranną, to słońce wspaniałe?—Zapewne, bogi to były, ale w takiém określeniu „bóstwa,“ jakie mu nadawali najdawniejsi indyjscy komentatorowie Wedy, powiadający, wedle podania Maksa Müllera, że „bóstwem nazywa się to, o czém poeta mówi......“

W miarę jak zasłona niewiadomości zsuwała się z przedmiotów bliższych, Arya z tém większém upragnieniem zawieszał „boskie“ swe natchnienia śród empireów odległych, na obłokach, chmurach, wiatrach i promieniach. Im mniéj niewiedzy „zaświatowéj“ zostawało na wodach i śnieżnych wierzchołkach gór, tém bogatszemi stawały się niebiosa; w ciągłéj zaś owéj eliminacyi jestestw, żywiołów i zjawisk, poznanych pierwéj, na rzecz poznanych późniéj, zawsze i wszędzie *vid*, pierwiastek wiedzy i świadomości, stawał przeciw pierwiastkowi *div*, dziwu i ubóstwienia, jako nieprzejednana tego ostatniego antyteza.

Koleje przeobrażeń w mytach świetlanych i powietrznych były bezwątpienia dłuższe; przesilenia ich jednak, przejścia z doby ubóstwień do doby „zubożeń,“ z krain uroku w kraj rzeczywistości odbyły się w przeważnéj mierze, już po rozejściu się Aryów. Gdy ze szczytu swojego wszechwładztwa zchodził wielki Dyaus, plemie aryjskie znajdowało się w przededniu rozsypki. Kilka ważnych okoliczności na fakt ten wskazuje. W saméj Wedzie, po krótkiém lubo wszechmocném panowaniu Dyausa, znika on naraz bez śladu; z „żywiciela świata,“ z ojca niebios, staje się niebem po prostu, niebem nieboskiém, zwyczajném, pokrowcem świetlanym; zmienia nawet rodzaj, z męskiego na żeński. Cóż zaszło? Czy nie o téj to właśnie porze przenieśli się Hindusowie z północnych na południowe stoki Himalajów, z kraju, gdzie Dyaus siał ciepło błogie na wiernych, w kraj, kędy ziać począł gorączki i posuchę? Twierdzić stanowczo niesposób; zdarzenie przecież, o ile miało miejsce, zaznaczyli w swych księgach nie sami tylko Hindusowie. Zapisali je również w swéj mowie oględni, baczni, z Aryów europejskich najbardziéj aryjscy, Litwini, skoro wyraz *Dewas* (pruskie *Deivas*) zachowali dla imienia Boga, gdy tymczasem wartość jego zaćmioną (odubóstwia-

jącą), *deiwys*, *deiwe*, (Pictet, t. III, str. 414) przeznaczyli na nazwę widm nocnych i brył ciemnych, bezkształtnych. Niemniéj surowo obszedł się z wedyjskim Jowiszem Słowianin, gdy miano starego bóstwa przechował w słowie o pułku Igora zaledwo jako synonim ducha złéj wróżby: „*Div* kliczet vrchu dreva.“ Gorzéj jeszcze postąpił z żywicielem niebieskim Irańczyk, w którego Zend-Aveście, rodzonéj siostrze Wedy, *deva* znaczy tyle co szatan, demon, duch zły, niewiele zapewne różny od germańskiego *zio* lub od skrycie huczącego *gudh*. Słowem, o ileby bliższy podział Wedy na okresy uzasadnił przypuszczenie, plemię aryjskie rozchodziło się po świecie w miarę jak gasła boskość i potęga Dyausa, podarta w Hindustanie gromami nieba podzwrotnikowego, rozsnuta i rozwiana w Europie na mgły, zawieje i zimna przyrody leśnéj, posępnéj.

W Wedzie los innych bóstw kroczył tymczasem szlakami dawnemi, szlaki były indyjskie, kierunki i logika ogólna, aryjska. Wschodziły jedne gwiazdy, spadały drugie. Surya, Savitar, Mitra, Aditya, Agni, każdy dobroczynny promień słońca, każde ożywcze spojrzenie jutrzenki, raz Varuna to znów Visznu lub Prithivi, wspólnie lub kolejno przybierały majestat Dyausa, wznosiły się, panowały aż do jawniejszego dowodu swéj nieudolności. Dowód ten, z dzisiejszego naszego stanowiska, łatwy do przewidzenia: okazał się téż w Wedzie powszechnym bez wyjątku. Im więcéj słońc nieśmiertelnych spadało z niebios, tém jaśniéj patrzał człowiek na świat; im mniéj było duchów na zewnątrz, tém widniéj robiło się w duchu, aż do ostatniego wyrazu wszystkich tych przekształceń niebieskich, w Indrze. Zgodnie bowiem z zasadniczym wykładnikiem Wedy, jak i wszelkiéj w ogólności wiedzy, przenikającéj fenomena mniéj złożone przed bardziéj złożonemi, bez względu na ich zakres i obszar, hymny aryjskie w niebiosach nawet swoich wpierw odgadły niebоskość słońca niźli odczuły i odubóstwiły naturę chmur, deszczów, obłoków, piorunów. Indra, główne upostaciowanie niesfornych żywiołów atmosferycznych, na samym dopiero ostatku schodzi z firmamentu mitologii wedyjskiéj. Najmniéj w objawach stały, najmniéj berłu Rity poddany, przeżył on potęgi o wiele od siebie wyższe i jaśniejsze, lecz jednostajniejsze, bardziéj uporządkowane, wyobrażeniu dostępniejsze. Poeta nie umie wprawdzie odszukać dla niego przymiotników wspanialszych nad te, jakiemi uposażył był niegdyś poprzedników jego, Dyausa, Suryę, Varunę (*visva-akszas*, *visva-vyakas*, *visva-vedas*, etc.), lecz za to wyraźnie powiada: „Inne bogi dostały odprawę niejako starce zużyte; ty jeden, Indro, stałeś się wszechwładcą“ (*Rig-Veda*, IV, 19. 2). W niego jednego *wierzyć* trzeba było koniecznie, wówczas kiedy istnienie bóstw świetlanych było prawdą powszech-

nie przyjętą, uznaną. O obecności słońca, jutrzenki, nieba, nikt niewątpił, lecz „któż kiedy *widział* Indrę?“ (*R.-V.* VIII, 89. 3). Nieujęty a przecież błyskawicami dziwów olśniewający chyżéj niż słońce, obfitemi ulewami pomnażający bogactwa człowieka, groźny i rozhukany ilekroć nadchodził, potrzebował on wielkiéj siły wyobraźni dla swego upostaciowania; ztąd też upadek jego był zapowiedzią upadku dla całego Olimpu wedyjskiego. Z końcem ubóstwionego panowania Suryi, Mitry, Savitara, rozczarowanie głębokiém być nie mogło, spora część uroków na zawsze nawet przy nich została; słońca, jutrzenki, niebios, Hindus nigdy całkowicie nie odubóstwił; stracił zaufanie do ich wszechmocy, ale wpływów ich dobryczynnych zaprzeczyć nie mógł. Indra natomiast cóż zostawił wiernym w spadku po swojém wszechwładztwie? Rozprzężone po nim żywioły widziéć dały jedynie niedorzeczność swych łask lub gniewów, spadających ślepo, swarliwych, zarówno rażących wroga jak niewroga.

Myśl indyjska zmieniać od téj pory zaczęła punkta swéj ciężkości i osie swoich obrotów; z przedmiotowéj staje się podmiotową. „Śmierć“ odpowiedziała Naciketasowi. „Zaświatowość — rzekła — której śmiertelnik zewnątrz siebie szuka, w nim samym spoczywa. Oddech przedwieczny, treść bytu, oko świata, *atman*, duszą jest *twoją;* dziecię tylko widzi bóstwo w ziemi, słońcu, powietrzu, niebiosach. Duch ani się rodzi, ani umiera; z nicości powstaje, w nicość się obraca. Nieśmiertelność przychodzi dla ludzi wtedy, gdy w sercu ich milkną pragnienia wszelkie, gdy pęka ostatni łańcuch wiążący ich ze światem. W sobie nie w Wedzie szukaj mądrości.“

Do takiego krańcowego zwątpienia, które kolejami późniejszego bramińskiego rozwoju, pełnię swojego słowa zostawiło w buddyzmie, hymny wedyjskie nie dotarły; zwrot atoli ku subiektywizmowi znalazł w nich—miał jeszcze czas znaleść—uwydatnienie żywe, barwne, lubo ujęte w peryod stosunkowo już krótki, zwięzły. Ostatnie, po ostatnich rozdziałach Wedy rozrzucone wersety, są z tego względu niesłychanie ciekawe; piękno ich z niczém porównać się nie da. Szczere, rzewne, tęskne, wydają się wiązankami kwiatów rzuconemi na grób dogasających—zgasłych „boskich“ złudzeń i nadziei. Sławny hymn 129 księgi X Rig-Vedy — przedmiot rozkoszy i rozpaczy indyanistów niemogących odźwierciedlić w przekładzie całéj jego prostoty metafizycznéj—należy właściwie do tego okresu, zamykającego mitologią Wedy. Prawdziwa ta perła literatury indyjskiéj, skamieniała jakoby w żalu po tém wszystkiém, co z czystéj wiary wyrosło w młodocianéj ludzkiéj duszy i samo się późniéj przekonywa, że było nie do ziszczenia. Przytaczamy hymn ten w całości.

„Nie istniało nic wówczas—powiada Weda—nie było ni niebios ni nieba, ni bytu ni niebytu. W czemże spoczywało wszystko? Co było źródłem i zbiornikiem czegokolwiek? Czy woda? otchłań głęboka? Ani śmierć nie istniała wtedy, ani nieśmiertelność. Nie świeciło żadne światło śród powszechnéj nocy. Sam tylko On oddychał w sobie bez oddechu i nic nie było zewnątrz Niego. Ciemność panowała na początku, trzymając wszystko w ciszy jako uśpiony ocean sił życia. Pragnienie wyszło ztąd najprzód i było pierwszém nasieniem ducha.... Taki jest związek bytu z niebytem, który mędrcy, rozmyślając, wykryli w swém sercu. Czy promień rzucony wskróś istnienia, pochodził jéno zgóry, czy pochodził zdołu?.... Były usposobienia twórcze: tu jako przyroda, tam jako woda. Lecz kto może wiedziéć, kto twierdzić, zkąd poszła ta twórczość? Sami bogowie przyszli dopiero późniéj; któż tu odgadnie początek? Z czego się świat wywiązał i czy był lub nie był stworzonym, znaném to tylko Jemu, który jest kierownikiem w niebiosach, a być może, że i On o tém nie wie.“

Przekonywamy się z tego, że niejeden wiersz Wedy z okresu zamykającego śród Hindusów cykl panowania bogów a otwierającego dla Aryów europejskich historyą pracowitego podboju i osiedlenia ziemi, przemierzył i przetrząsł obszary myśli ciemniejsze jeszcze i głębsze od tych, jakie pradziadowie nasi przedeptać musieli po drogach zachodniego swego pielgrzymstwa.

Czy w przędzy swych snów i pomysłów religia wedyjska wzniosła się aż do szczytów monoteizmu, jak to utrzymują niektórzy orientaliści na podstawie ustępów podobnych do przytoczonego, kwestya dotąd pozostaje sporną. Trzeba jednak zauważyć, że nazwy tego rodzaju jak monoteizm, ateizm lub panteizm tam tylko odpowiednią treść znajdują, gdzie religia przyszła... gotową, nieomylną, niezmienną. Formuła w takich razach ma wartość realną, jest zgodną z faktem, jak zgodném jest imię pewnego architektonicznego porządku z architekturą, którąśmy od obcych zapożyczyli. Nie tak z Wedą. Kościół jéj ma to do siebie, że rósł, dźwigał się powoli u siebie w domu, z własnych materyałów i natchnień. Krynicą jego objaśnień: żywa przyroda, któréj głosy wpisywano słowo po słowie do drugiéj księgi życia, którą jest dusza ludzka, wiedza. Jest to nie ewangelia wiary początkującéj, lecz początkującego doświadczenia—doświadczenia niemowlęcego z początku, lecz docierającego stopniowo aż do pojęcia „Rity,“ ustawy, prawa, prawidłowości wiekuistéj, która jednemi zawsze ściegami wstaje i zachodzi, w jednych i tych samych stronach zaznacza tu poranki tam wieczory, jednemi brózdami ryje tu urodzajną nabrzmiałość gleby tam sędziwą dojrza-

łość czoła. Kościół to był, ale bez kapłanów, bez proroków, bez apostołów — przeto i bez męczenników. Męczeńską w nim była jedynie praca plemienia całego, dążącego niezmordowanie o własnych siłach do upragnionéj owéj ziemi nieśmiertelności, ku któréj Aryowie pierwotni kierowali wiedzę swą, nawę niegdyś wiotką i kruchą, a dziś noszącą miano cywilizacyi nowożytnéj.

VII.

Historyozoficzne znaczenie badań staro-aryjskich dla zadań naszego czasu wytknął Pictet w kilku doniosłych słowach.

Dalecy jesteśmy — powiada — od mniemania, iżby wpływ plemienności na postęp dziejów miał być bezwzględnym, ale nie ulega wątpliwości, że rola tego czynnika należy do pierwszorzędnych. Prawa w nas złożone aczkolwiek mniéj stałe od praw przyrody, działają bez przerwy. W tém rozumieniu historya ludzka się powtarza, idąc po koniecznéj linii swojego rozwoju jako ziemia po linii swojego obrotu około słońca. Wolności działań pojedyńczych to nie uwłacza, jako nie uwłacza siła powszechnego ciążenia działaniu sił mniejszych, objawiających się na powierzchni naszéj kuli. Pojąć na czém polega zadanie odrębnych plemion w ogólnym postępie ludzkości, oto powołanie filozofii dziejów. Dotąd filozofią tę podprowadzano pod jedno-jedyny mianownik (monoteistyczny), który nie może być wyłącznie prawdziwym. Niezaprzeczenie Hebrajczykowie byli wiernymi wyznawcami monoteizmu; udział ich w dziejach świetnie się z tego powodu przedstawia; lecz zapytujemy coby się stało z oświatą, gdyby sami oni pozostali byli na czele cywilizacyjnego pochodu ludów? Pewném jest w każdym razie, że kiedy plemie semickie gorliwie strzeże zasady swéj absolutnéj, Opatrzność tymczasem inną rasę sposobi na przyszłych przywódców postępu. Przywódcami tymi Aryowie, posiadający przymioty i właściwości na jakich zbywało Hebrajczykom. Przeciwieństwa między dwoma plemionami są téż krańcowe. Przy Hebrajczykach zasada władzy, która zachowuje; przy Aryach dążność do wolności, która ożywia i rozwija. Przy tamtych nietolerancya zeźrodkowująca i wyosobniająca, przy tych wyrozumiałość i przystępność, które przyswajają pomnażają. Tam moc natchnienia skierowana ku jedynemu celowi, tu twórczość rozpromieniająca się we wszystkich kierunkach. U Hebrajczyków wyłączny kult narodowości skupionéj, ścisłéj, u Aryów niezmierna podatność i wrażliwość na wszystko co wyróżnia, co daną modłę poddaje kontroli wszechstronnego badania i postrzeże-

nia. Skutkiem tego, kiedy Hebrajczykowie pilnują nietykalności skarbca prawd swych bezwzględnych, Aryowie rzuceni na obszary świata, rozwijają wszędzie działalność wrodzoną, wydają z siebie gromady ludów odrębnych, wyłaniają narodowości nowe, liczne, zakładają państwa i rzeczypospolite, pielęgnują przemysł, tworzą wspaniałe dzieła poezyi, rzeźby, malarstwa, budownictwa. Wprawdzie nie zawsze z jednakiém powodzeniem postępują naprzód; niekiedy przechodzą chwile ciężkiego zastoju, ale ponieważ wolność obrali za gwiazdę swą przewodnią, ostatecznie przeto nie zatrzymują się nigdy, najcenniejszym bowiem darem wolności jest właśnie, że nawet z obłędu umie ona dobro wyciągnąć i iść ku prawdzie przebojem poprzez fałsz (1).

Charakterystykę dwu zasad, aryjskiéj i semickiéj, trafnie tu mamy skreśloną; pogląd jednak Picteta wymaga wyjaśnienia. Utrzymuje uczony genewczyk, że w koncercie posłannictw plemiennych szczep nasz *wziął przewodnictwo* od chwili, kiedy lud hebrajski, piastun zasady monoteistycznéj, zamknął się w wyłącznem ubóstwieniu swojego ideału... Twierdzenie niezupełnie zgodne z faktycznym przebiegiem dziejów. Nie trzeba zapominać, że ideał hebrajski, przeodziany w chrystyanizm, przeszedł z Judei do Aryów, utrwalił się śród nich, zapanował, wyolbrzymiał. W Grecyi zgnębionéj i podupadłéj znalazł pierwsze dla swych dogmatów osłony; rozkrzewił się późniéj i urosł na ruinach największéj państwowéj potęgi aryjskiéj, Rzymu; ogarnął z kolei zdziczałego w wędrówkach ducha Germanów, podbił przez nich do współki ze światem romańskim krainy zaatlantyckie i sięga dziś przez odrośl anglo-saską z jednéj strony, przez Słowian wschodnio-europejskich z drugiéj ku ziemiom, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa były kolebką naszego plemienia, ku źródłom Oxusa i Jaxartesa w Azyi środkowéj. Bezwzględność przeto semicka głęboko przesiąkła glebę nowoczesnéj cywilizacyi aryjskiéj, z posad i dążności swych wielowykładnikowéj, różnostronnéj, niewyłączającéj żadnych form myślenia, przypuszczającéj wszelkie postacie wyobrażeń. Chwilowo, do współki z pokrewnym sobie monoteizmem muzułmańskim, monoteizm izraelski wziął nawet pod swoję wyłączną pieczę bieg oświaty powszechnéj. Do renesansu jego blaski jaśnieją nad widnokręgiem europejskim, jego scholastyczne słowo rozlega się z katedr, jego mszę odprawia duch ludzki. Dziś alboż uroszczeń swych zrzekł się gdziekolwiek? Bynajmniéj. Pod tym czy innym pozorem umie nawet brać w obronę pojęcie, a niekiedy nawet samą istotę wolności, nieśmiertelny wy-

---

(1) Wymienione *Origines*, t. III.

rób politycznych popędów aryjskich. Osłabiony przez reformarcyą, zaprzeczony energicznie choć nieco na oślep przez filozofią i politykę francuską wieku XVIII, podparty jednak niebawem, co do treści przez idealistyczny kierunek literatury niemieckiéj, a co do środków działalności zewnętrznéj przez absolutyzm monarchiczny Napoleona I i jego szczęśliwych zwycięzców, został on zasadniczo podważony i zachwiany dopiero przez naukowe prace ostatnich czasów, odkąd metodę postrzeżeń, roztrząsań i doświadczeń wniesiono do wszystkich bez wyjątku działów erudycyi i umiejętności ludzkiéj. Zewnętrzna atoli jego strona, objawów jego organa, narzędzia działań jego urosły może jeszcze, wzmogły się, spotęgowały za dni naszych pod natarciem żywiołów mu nieprzyjaznych, z któremi miłośnik prawdy i wiedzy niezawsze do wspólnictwa przyznać się zechce. Bądź-co-bądź wiele zatém przemawia, że spór toczący się w piśmiennictwie tegoczesném o rozmaite bieżące zagadnienia naukowe i społeczne—spór wytoczony przez obozy liberalne pod hasłem usamowolnienia myśli, usamowolnienia jednostek i gromad, jest w gruncie niczém więcéj jedno wydobywaniem się czynników i pojęć aryjskich z pod okrzepłéj warstwy urządzeń i widoków monoteistycznych, autokratycznych, tłocząco-ujednoczających—zgoła absolutno-semickich...

Atoli do zaświatowych złudzeń i zawodów pradziadów naszych u stóp Himalajskich dodalibyśmy jeszcze jedno, daleko szersze i powszechniejsze, gdybyśmy w siebie wmówić pozwolili, że spór ten i to dźwiganie się życia aryjskiego... wzięły już, wziąć dziś są gotowe w swe dłonie ster nawy cywilizacyjnéj!

Okrążmy bowiem zagadnienie dotyczące *istoty* przedmiotu i przypuśćmy, idąc w ślady uczonego Haveta, prof. kolegium francuzkiego, że jesteśmy w stanie zważyć dwie abstrakcyjne zasady monoteizmu i politeizmu. Zgódźmy się następnie na wyższość drugiéj nad pierwszą—wyższość dającą się wykazać od źdźbła wiedzy rzuconéj na płaszczyznach Azyi środkowéj, aż do owoców potężnego owego drzewa nauk noszącego miano oświaty europejskiéj. Cóż ztąd za pociechę otrzymamy? Pociechę prawdy i słuszności *po swojéj stronie?*

Lecz czemże są prawda i słuszność wobec *życia?* Blaskiem stali, którą najczęściéj kto inny w ręku trzyma — promiennym wieńcem Rity, któréj wyroki ludziom tłómaczy na stosie lub szafocie—rytuał najzwykléj. Na morzu zjawisk, noszącém podstawy towarzyskiego bytu człowieka, *słowo* prawdy, niezaprzeczenie spływa z ust najmniéj siebie pewnych; wątpiących gdzie wszyscy twierdzą, pytających gdzie wszyscy przeczą. W tym względzie filozofia aryjskiego

„niejako“ pozostanie na dalekie wieki kamieniem węgielnym i zwrotnym. Ale inaczéj cokolwiek płynie życie. Tu panem i władcą ten właśnie, kto silniéj wiosłem czynu uderza po jego falach— na lewo? na prawo?—to mniejsza, byle raźnie i bez żadnego „niejako!“

Samo tedy nawet zagadnienie, postawione na ostrzu religijnego oderwania pomiędzy politeizmém wedyjskim a monoteizmem semickim, jakkolwiek zajmujące i teoretycznie ważne, jałowem musiałoby się okazać dla zadań i niepewności naszego stulecia, lecącego w przyszłość w kierunkach bynajmniéj niezaświatowych i kolejami wcale nie abstrakcyjnemi. Zkądinąd zarówno ów politeizm wedyjski jak i ów monoteizm biblijny przed siebie patrzą. Rzucanie szmaragdowych i turkusowych kamyków sanskrytu w ciężką płytę hebraizmu, do czegóżby wiodło? Bezcelowość téj roboty, któréj widokiem, niezawsze pocieszającym, coraz dziś częściéj mężowie nauki (np. Chavée we Francyi) słodzą nudy mężów stanu z téj i z tamtéj strony Renu—bezcelowość ta, na gruncie naszym, stałaby się mogła niebezpieczną. Tak bo łatwo u nas przez niezręczność lub nieuwagę uderzyć kamieniem we własne serce!...

Walka zasad oderwanych, zaświatowych, jest walką bezpłodną. Minęły na nią czasy. Zejść dziś trzeba do *życia* i w życiu szukać lekarstwa na przesądów rany i gorączki!

I szczęściem dla nas, że nie wszystko co było aryjskie, przeszło i zginęło w pieśni, w marach, snach i myślach. Aryowie żyli, Aryowie żyją!

Ci z nich, co zapał i pragnienia swoje ponieśli za Himalaje, usnęli na czas śród przepychów i bogactw przyrody, ze świętemi hymnami na ustach. Lecz bracia ich rodzeni, ci, co „siedm gór i siedm rzek“ przebyć wprzód musieli, zanim się dostali w kraj „śmierci,“ kędy boskie słońce na spoczynek zachodziło i zkąd niebiosa mlecznemi obiatami ziemię zraszały—oni co uczynili z nieprzepartą swą żądzą bytu, rozwoju—nieśmiertelności?

Czy i oni w dumania smętne i tęskne Wedę swą owinąwszy, zmęczoną głowę na niéj złożyli? Czy i oni doznali zawodu i rozczarowania we własném swojém przed-himalajskiém „zaświeciu?“— Doznali. Lecz był to zawód jak piorun raźny i dokładny: lasy, stepy, puszcze, błocka, bezdroża, chmury, mgły, chłody—z rojami czerniących się wskróś zarośle „biesów,“ „niemków,“ „czudów,“ o których istnienie sprzeczają się z sobą, w czas swobodny, tu u nas Virchow z Quatrefages'em, tam u was Duchiński z Pogodinem, pierwszy mając po swojéj stronie Nestora i Karamzina, a drugi... nad duszą drugiego świeć Panie!

Lecz siła siłą. Natchniona czy tylko rozumna, muszkularna czy tylko duchowa, zniknąć nie może. Stłumiona—przeobrazi się. Zagrodzona w pędzie swym ku górze, ku niebu, pójdzie dołem, ścieżką najwygodniejszego spadku...

Tak się też stało z siłą pierwotnego rzutu, która Aryów europejskich pchnęła z Azyi na zachód. Z wyżyn zaświatowych rozlała się ona na niziny toświatowe, użyźniając na nich niwy, karczując puszcze, zakładając sioła i grody, zakładając podwaliny „społeczności nowéj...“ Jest to druga karta Wedy i „nauki téj nowéj,“ któréj kartę pierwszą usiłowaliśmy odczytać według marginesowych na niéj notatek Maks. Müllera i Picteta.

Paryż,
14 go Lipca 1881 r.

J. T. Hodi.

SOCYOLOGIA WOJCIECHA SCHAEFFLEGO.

(Bau und Leben des socialen Körpers. Von Dr. Albert E. Fr. Schäffle. Zweiter Theil. Das Gesetz der socialem Entwickelung. Tübingen 1878. Dritter Band. Specieller Theil, Familie, Bevölkerungsschichtung, Niederlassungs- und Transportwesen, Schutzeinrichtungen, Socialstoffwechsel oder Volkswirthschaft und Technik.—Vierter Band Die geistigen Erscheinungen der Gesellschaft, die sociale Ausbildung des Vernunft und der Sprache, das Staatsleben, die heutigen Civilisationskreise. Tübingen, 1881).

Wszechstronne porównania pomiędzy życiem osobnikowém i społecznóm, pomiędzy budową ciała istot zwierzęcych i społeczeństw ludzkich, w ogóle pomiędzy biologicznemi i socyologicznemi zjawiskami, wykonane starannie i umiejętnie przez Spencera, Lilienfelda i Schäffle'go, ustaliły dzisiaj w nauce to przekonanie, że społeczeństwo nie jest dowolnym i przypadkowym zbiorem jednostek, lecz organizmem, który w swém życiu i rozwoju ulega pewnym stałym prawom. Wprawdzie, wszyscy ci trzéj socyologowie w porównaniach swoich zapędzili się za daleko, lecz to nie zmniejsza ani wielkiéj doniosłości ich pracy, ani prawdziwości głównéj zasadniczéj myśli. Schäffle sam spostrzegł, że w pierwszym tomie (1), zanadto śmiałe porobił wnioski co do podobieństwa, jakie zachodzi pomiędzy budową a życiem osobnika i społeczeństwa, i w następnych tomach większe w tym względzie okazuje umiarkowanie.

Wreszcie podobieństwo organizmów społecznych z biologicznemi tak jest widoczne, że trochę zastanowienia wystarcza, ażeby przyznać, iż nawet nie może być inaczéj. I dziwić się należy, że taki zdolny biolog, jak Karol Letourneau, nie chce tego widziéć w swojéj Socyologii. Społeczeństwo bowiem, tak jak wszystkie żywe organi-

(1) Sprawozdanie o tym tomie patrz w Ateneum 1877 r. T. I. str. 214.

zmy, żyje, wzrasta i przeobraża się. Odnajdujemy w niem wszystkie istotne cechy jestestw żywych, przez biologa Klaudyusza Bernarda wskazane: ustrój, powstawanie z innych tworów żywych, żywienie się, ewolucya, chylenie się do upadku (la caducité), chorobę, śmierć. Lecz żywe osobnikowe organizmy—możnaby powiedzieć—przedstawiają się nam jako individua, jednostki, całostki; tymczasem społeczeństwo jest zbiorem, zrzeszeniem, skupieniem jednostek samodzielnych. Wszakże—jak wiadomo dzisiaj—jest to różnica pozorna tylko. „Wszelki organizm, jakkolwiek byłby skomplikowany—powiada przyrodnik angielski, Allman, w swojéj mowie na kongresie w Szefildzie w r. 1879—jest społecznością komórek, w której każdy pierwiastek indywidualny ma rzeczywistą samoistność, samodzielność... Samodzielność ta każdego pierwiastku jest połączona z zależnością każdéj jednostki od całego organizmu, co zapewnia jedność całemu organizmowi, utrzymuje we wszystkich zjawiskach jego życia zupełną zgodność i harmonię" (1). Lecz wszystkie komórki organizmu osobnikowego—możnaby znowu powiedzieć—spełniają zupełnie identyczną pracę, tymczasem w społeczeństwie podział pracy nie tylko ilościowy lecz także jakościowy jest widoczny. Różnicy téj jednak niema. Ten sam Allman przestrzega, ażeby nie mniemano, że „praca wykonywana przez każdą komórkę jest tylko powtórzeniem pracy wszystkich innych komórek," i powołuje się w tym względzie pomiędzy innemi na badania botaniczne naszego rodaka, Strasburgera. Różnica więc pomiędzy osobnikowym i zbiorowym organizmem zmniejsza się—jak widzimy; podobieństwo zaś, w miarę dokładniejszego porównania, wzrasta. Dastre, oceniając nowsze prace biologiczne, kreśli taki obraz organizmu zwierzęcia wyższego. „Zorganizowany jest jak społeczność, w ten sposób że warunki życia elementarnego czyli indywidualnego wszystkich obywateli anatomicznych są szanowane, ponieważ warunki te są jednakowe dla wszystkich. Lecz równocześnie, każdy członek zależy w równéj mierze, przez swój rodzaj życia, przez swoją czynność i z powodu swéj czynności, od całości, której część stanowi, od grupy socyalnéj, do której należy, i od miejsca, które zajmuje. Równocześnie jest istotą samodzielną, pierwiastkiem całości, kamieniem budowy narodowéj. Słowem, używa życia indywidualnego i jednocześnie życia narodowego" (2). Mając to na widoku, Espinas rozszerza granice socyologii i rozpoczyna ją od społeczeństwa komórek organicznych.

---

(1) La Revue Scientifique. N. 13. 1879. Str. 293.

(2) Str. 306. Revue Philosophique, dirigée par Th. Ribot. N. 3. 1879. Artykuł: Le problème physiologique de la vie.

Głównym bodźcem rozwoju postępowego tworów biologicznych jest *walka o byt.* K. du Prel usiłuje nawet przy jéj pomocy objaśnić tworzenie się systematów planetarnych (Der Kampf ums Dasein am Himmel, 1876). Z tém większą słusznością Schäffle odwołał się do niéj, dla objaśnienia rozwijającego się życia społecznego, i wykonał to umiejętnie i dokładnie. Drugi tom jego dzieła właśnie tém się zajmuje.

Skutki działania walki o byt dają się nawet łatwiéj spostrzegać w socyologii aniżeli w biologii. W świecie roślinno-zwierzęcym zmiany odbywały się powoli, wymagały one ciągu całych tysiącoleci; tymczasem w życiu społeczném uwydatniają się większemi rozmiarami i następują po sobie w krótszych przestankach, niemal na oczach naszych. Nadto związani psychicznie ze społeczeństwem, które—według Espinas'a—jest przedewszystkiém żywą świadomością czyli organizmem myśli, odczuwamy często świadomie działanie jego ważniejszych bodźców.

Alfred Fouillé zrobił trafne porównanie, że jak las ułatwia życie drzewom, tak społeczeństwo ludziom. Korzyści życia społecznego są tak widoczne, że nie znamy prawie ludzi, którzyby żyli bez jakichkolwiekbądź związków społecznych. Walka o byt, przeważnie indywidualna w świecie biologicznym, w świecie ludzkim przybiera charakter coraz bardziéj społeczny. Hordy walczą z hordami, plemiona z plemionami. Nawet zupełnie anarchicznego usposobienia Fuegijczykowie rozumieją korzyść wspólnego działania i, wybierając się na wojnę, wyznaczają z pomiędzy siebie naczelnika.

Walka o byt wśród ludzkiego społeczeństwa przejawia się w dwóch głównych formach: jako wojna i jako współzawodnictwo.

Wojna bywa zewnętrzna i wewnętrzna. Zewnętrzna wojna sprowadziła niewolę, ale ta ułatwia nagromadzanie kapitału i rozwój pracy ekonomicznéj. Schäffle nawet dość niefortunnie powiada, że „niewolnictwo w swoim czasie było szczęściem dla ludzkości" (92, III); dość byłoby powiedzieć, że w swoim czasie przyniosło pożytek. Poddaństwo i szlachectwo powstały także w znacznéj części skutkiem wojen zewnętrznych. „Nowsze badania historyczne, etnograficzne i lingwistyczne prawie wszędzie wykazały, że podbój ludów autochtonicznych stanowi podstawę tworzenia się dziedzicznych niższych kast." (359, II). Jak wiadomo, Augustyn Thierry, Franciszek Palacki, Karol Szajnocha, Franciszek Piekosiński tłomaczą pochodzenie szlachty podbojem. Wewnętrzna wojna, nader częsta w dzikich społeczeństwach, schodzi następnie do coraz mniejszych rozmiarów, przejawia się wszakże nawet w społeczeństwach, na wysokim stopniu uobyczajenia znajdujących się, pod postacią powstań, buntów

i zbrodni. Z postępem jednak umysłowego rozwoju, walka na pięści ustępuje coraz bardziéj przed walką na rozumy; z szerzeniem się zaś wolności i sprawiedliwości, zmniejsza się liczba powodów do gwałtownego ścierania ludzi pomiędzy sobą. Co do wojny zewnętrznéj, to widzimy, ,,że wojna coraz bardziéj sama siebie niweczy" (364, II). Techniczne udoskonalenia i powszechna służba wojskowa nadają jéj tak wielkie rozmiary, że staje się coraz trudniéj ją prowadzić. Z rozrostem ciał politycznych, staje się ona coraz rzadszą, ale za to coraz bardziéj olbrzymieje. Wielka wojna pochłania małe. Z drugiéj zaś strony, wzmaganie się udziału narodu w rządach państwa podkopuje militaryzm.

Wszelka wojna usiłuje rozstrzygnąć spór za pomocą siły czyli przemocy. Tam więc, gdzie wytworzylo się już pojęcie sprawiedliwości, samo zwycięstwo fizyczne nie wystarcza ani do uspokojenia strony zwyciężonéj, ani do zadowolenia strony zwycięskiéj. Obie pragną uczynić zadość swemu przekonaniu moralnemu i odwołują się ze sprawą swoją do sądu i uznania innych osób. Walka cielesna zaczyna przeistaczać się w moralne współzawodnictwo.

Darwin rozróżnia dwa rodzaje walki o byt: jednę mającą na celu własne istnienie, drugą—zachowanie swego rodzaju. Są one następstwem dwóch najnatarczywszych potrzeb: potrzeby odżywiania organizmu i potrzeby rozmnażania się,

Pożywienie i popęd płciowy są to owe główne przedmioty, o które ludzie staczają nieustanną pomiędzy sobą walkę, owe bodźce, które zmuszają człowieka do pracy i organizacyi, i owe szkopuły, o które rozbija się pomyślność społeczna. Po walce o chléb dla siebie najzawziętszą jest walka o chleb dla rodziny. Pierwsza zmusza ludzi do pracy (produkcyi) i robienia zapasów (kapitalizowania), druga do tworzenia stadła, rodziny; pierwsza staje się podstawą rozwoju gospodarskiego, druga towarzyskiego.

Starania o pożywienie i zaspokojenie miłości sprowadzają atoli przeciwne sobie skutki: pierwsze przyczyniają się do gromadzenia żywności, drugie do jéj spożywania. To ostatnie o wiele jest łatwiejsze od pierwszego. Usta więc, potrzebujące jeść, mnożą się nieodpowiednio do wzrostu pożywienia. Spożycie odbywa się szybciéj od wytworu; równowaga więc pomiędzy niemi zachwiewa się, a następstwem tego są: choroby śmiertelne, głód, wojna, zbrodnie, nędza i całe piekło jéj towarzyszące.

Prawo ludnościowe, tak zwane prawo Multhusa, w ostatnich czasach stało się na nowo przedmiotem szczególnego badania. Socyaliści, którzy za przykładem Godwina zaprzeczali byli temu prawu,

bardziéj powodowali się uczuciem, aniżeli bezstronném rozumowaniem, i więcéj mieli na względzie dalsze konsekwencye tego prawa, aniżeli je samo. Z ważniejszych przeciwników teoryi Malthusa, którzy starali się ją zwalczyć dowodami przyrodniczemi, wypada wymienić Carey'a, Doubleday'a i Spencera.

Zarzut Carey'a opiera się na tém, że płodność niższych tworów jest większa od płodności wyższych, a zatém człowiek nie mnoży się w szybszéj progresyi, aniżeli niższe twory, służące mu do pożywienia. Zgoda, lecz przecież musi być granica mnożenia się niższych tworów a właśnie ta granica stawi także tamę rozmnożaniu się ludzi. Ta właśnie granica zmuszała powiększoną czyli gęstszą ludność zamieniać przy warunkach przyjaznych myślistwo na pasterstwo i rolnictwo. Niższe i wyższe twory, rozradzając się na téj saméj przestrzeni, muszą zabierać sobie miejsce. Obfitość niższych tworów, któremi żywią się wyższe, pobudza te ostatnie do rozpładzania się; skutkiem tego, stosunek pierwszych do drugich zmienia się na niekorzyść drugich, i tym ostatnim zaczyna braknąć pożywienia. Przeciwnicy Malthusa nie zwracali uwagi na to, że ze wzrostem ludności coraz bardziéj musi zmniejszać się przestrzeń, służąca dla jéj wyżywienia. Karol Kautsky, jeden z nowszych badaczy kwestyi ludnościowéj, uwidocznia to liczbami.

W angielskich miastach—powiada Kautsky—przypada 70.000 ludzi na milę kwadratową. Jest to jednak stosunek uciążliwy dla ludności. Chcąc, by jéj życie nie upływało w niedostatku i cierpieniu, niepodobna żądać większego stosunku od 50.000 ludzi na milę kwadratową. Europa liczy 300 milionów ludności; ludność więc ta potrzebuje 6.000 mil kwadratowych, by mogła żyć dogodnie. Podług Daniela, powierzchnia Europy wynosi 150.000 mil kwadratowych; odjąwszy 6.000 mil kwadr. na siedliska ludzkie, pozostaje 144.000 na pola, pastwiska, lasy itd. Zróbmy więc obliczenie wzajemnego stosunku przestrzeni i ludności, wiedząc, że ta ostatnia może podwajać się co 25 lat.

1880 r.	300 mil.	ludności	mieszka	na	przestrzeni	6,000 kw.	m.;	pozostaje	144,000	kw. m.
1905 „	600 „	„	„	„	„	12,000 „	„	„	138,000	„ „
1930 „	1,200 „	„	„	„	„	24 000 „	„	„	126,000	„ „
1955 „	2,000 „	„	„	„	„	48,000 „	„	„	102,000	„ „
1980 „	4,800 „	„	„	„	„	96.000 „	„	„	54,000	„ „

Dzisiaj w Europie jedna mila kwadratowa żywi mniéj więcéj 2082 ludzi. Musiałaby ona wyżywić:

w 1905 r. — 4,348 ludzi
„ 1930 „ — 9,524 „

w 1955 r. — 23,529 ludzi
„ 1980 „ — 88,888 „

„To znaczy—powiada Kautsky—jeżeli ludność powiększa się o 16 razy, wydajność ziemi musi powiększać się nie 16 razy tylko, lecz o czterdzieści dwa razy. Po stu więc latach każde pole musi 42 razy tyle wydawać co dzisiaj wydaje. Kto uważa to za możliwe, ten nie jest optymistą, lecz głupcem“ (1).

Doubleday, opierając się na pewnéj liczbie spostrzeżeń nie dość krytycznie ocenionych, przyszedł do błędnego wniosku, jakoby mniejsza ilość żywności sprzyjała rozpładzaniu się, większa zaś obfitość pokarmu powstrzymywała płodność. Przeczy jednak temu znany powszechnie fakt, że obfitość plonu zależy od żyzności gruntu; przeczy temu znana okoliczność, że do ważnych przyczyn bezpłodności należy słabość cielesnego organizmu lub jego wycieńczenie wskutek chorób lub nadużyć wszelkiego rodzaju; przeczy również temu płodność pasorzytów. Jeśli w społeczeństwie ludzkiém widzimy w klasach zamożnych mniejszą ilość dzieci, aniżeli w ubogich, przypisać to należy bardziéj moralnym (ograniczaniu się) i społecznym (niestosowności w małżeństwie) przyczynom, aniżeli większéj ilości pożywienia. Wreszcie - jak słusznie zauważał Lilienfeld—teorya Doubleday'a nie obala twierdzeń Malthusa, lecz popiera je ponieważ rodziny ubogie, niemające obfitego jadła, stanowią znaczną większość ludności.

Zbadawszy przyczyny większego lub mniejszego mnożenia się tworów organicznych, Spencer przychodzi do tego przekonania, że płodność ludzi, w miarę wzrostu cywilizacyi, musi być mniejsza, albowiem walka o byt pomiędzy wyższemi tworami wymaga większych duchowych wysileń, a więc przedłuża peryod kształcenia się i zużywa więcéj siły mięśniowéj i nerwowéj. Dziwna rzecz, że Spencer, który tak znakomicie zastosował teoryą przemienności sił do życia społecznego, zapomina o niéj w tém miejscu i spuszcza z oczu, że wyższa organizacya i wyższe przejawy życia gromadzą w sobie większą ilość siły, aniżeli niższe twory i niższe stopnie życia. Dziki je wszystko, co mu się nadarza; je kiedy może; nie zna miary w jedzeniu, lecz głód znosi długo i cierpliwie. Człowiek w społeczenstwie cywilizowaném potrzebuje pewnego wyboru i urozmaicenia w żywności, regularności w jedzeniu, pożywności, strawności i lekkości ja-

---

(1) Str. 78. Jahrbuch für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik, Herausgegeben von dr. Ludwig Richter. Zweiter Jahrgan. Zürich 1881.

dła. Uogólniając, powiemy: mniejsza liczba wyższych tworów potrzebuje dla swego rozwoju z ogólnéj skarbnicy sił tyleż, ile ich potrzebuje większa liczba niższych tworów. Zmniejszona więc płodność na wyższych stopniach ustrojowości wcale nie oznacza mniejszego zużywania sił złożonych w przyrodzie. Wreszcie, gdyby w miarę wzrostu cywilizacyi, istotnie indywidualna płodność ludzka zmniejszała się, to społeczna płodność niewątpliwie zwiększać się musi, w miarę jak położenie kobiéty polepsza się w społeczeństwie. Na dowód niech posłuży obrazek położenia kobiety u Australczyków, skreślony przez Oskara Peschela. „Kobiéta w domu męża—powiada ten znakomity etnograf—to niewolnica, narzędzie jego *rzadkich* zwierzęcych rozkoszy. Na niéj spoczywa cała robota koło domu, a podczas wędrówki ona nieść musi wszystko mienie wraz z dziećmi. Kiedy mąż najlepsze kęsy z zebranéj żywności spożywa, siedzi jego żona z uszanowaniem na boku i zadawalnia się szczątkami tego jadła, które on zostawi. Wskutek takiego grubego obejścia się z kobietą, starzeje się ona prędko i staje się *niepłodną*. A chociażby i to nie nastąpiło, to społeczeństwo nie wiele na tém by zyskało, gdyż *dzieci*, zwłaszcza jeżeli to dziewczęta lub bliźnięta, *bywają natychmiast po urodzeniu zabijane* z powodu, że środki do wyżywienia ich są niedostateczne“ (1). Wreszcie sam Spencer dobrze rozumie, że „złe obchodzenie się, niedostateczny pokarm i nadmiar pracy mogą doprowadzić kobiety do tego, że jeżeli nie umierają, to stają się niezdolne do wychowywania dostatecznéj ilości dzieci, potrzebnéj do utrzymania ludności na tym samym poziomie liczbowym; to zaś pociąga za sobą wymieranie społeczeństwa“ (2). A czyż z obniżaniem się stopnia cywilizacyjnego, nie widzimy coraz gorszego obchodzenia się z kobietami, coraz bardziéj niedostatecznego ich pożywienia, coraz większego przeciążenia pracą tych pierwotnych niewolnic rodzaju ludzkiego?! (3).

Schäffle uznaje słuszność teoryi Malthusa, ale mniema, że jest ona tylko „teoryą jednego z objawów walki ludzkiéj o byt, badanego pod względem ruchu ludnościowego“ (55, III). Nadaje więc jéj drugorzędne znaczenie. Sam jednak twórca teoryi: *walki o byt*, Dar-

---

(1) Str. 339. Nauka o ludach. Przełożona przez prof. dr. T. Wisłockiego. Warszawa 1876.

(2) Str. 359. Principes de Sociologie par Herbert Spencer. Traduit de l'anglais par MM. E. Cazelles et J. Gerschel. Tome deuxième. Paris.

(3) „W pierwotném społeczeństwie kobiety stanowią klasę niewolniczą, i pierwszy podział pracy jest ten, który ustanawia się pomiędzy niemi i ich panami.“ Spencer, 364, II.

win powiada. „Walka o byt jest nieuniknionym skutkiem wielkiéj zdolności rozmnażania się istot organicznych. Każda istota, która w naturalnym ciągu swego życia wydaje wiele jaj i nasion, skazana jest na zagubę w pewnym peryodzie życia swego i w pewnéj porze roku, inaczéj podług zasady postępu geometrycznego, liczba istot tego gatunku stałaby się tak nadzwyczajnie wielką, że żaden kraj nie byłby w stanie ich wyżywić. I tak, ponieważ więcéj rodzi się istot aniżeli ich wyżyć może, musi więc zatém być walka o byt jednéj jednostki przeciwko drugiéj tegoż gatunku, albo przeciwko innemu gatunkowi, albo téż przeciwko fizycznym warunkom życia. Jest to nauka Malthusa, zastosowana ze spotęgowaną siłą do całego zwierzęcego i roślinnego państwa...." Tém widoczniejsze jest pierwszorzędne znaczenie prawa ludnościowego w życiu ludzkiém, w którém walka o byt przybiera coraz mniejsze rozmiary i coraz łagodniejszą formę. *Prawo ludnościowe* w statystyce społecznéj ma doniosłość niemal prawa ciążenia w astronomii. Znakomite angielskie dzieło: „Zasady nauki społecznéj — przez Doktora Medycyny" (polski przekład, Genewa, 1880) objaśnia, na podstawie tego prawa, wszystkie ważniejsze ekonomiczne prawa wytworu, podziału i zamiany bogactw. Dla dynamiki społecznéj, którą Schäffle niemal wyłącznie opiera na teoryi walki o byt, ma ono także bardzo doniosłe znaczenie.

„Każdy poważnie myślący i nieuprzedzony człowiek musi prawo ludnościowe uznać jako jedno z praw stałych i niezmiennych, rządzących absolutnie losami ludzkiemi na ziemi, jako prawo, którego ani zmienić ani uniknąć niemożna, tak samo jak niemożna wstrzymać ciał niebieskich w ich biegu lub zniweczyć powinowactwa chemicznego" (1).

Oburzać się przeciwko temu prawu, wykazywać jego nieludzkość, jest-to dawać świadectwo dobroci serca, lecz nie wyświadcza się tém żadnéj usługi ani ludziom, ani społecznemu porządkowi. Należy więc dokładnie zbadać prawo i jego następstwa i z pomiędzy równoważących się następstw wybrać to, które jest najmniéj uciążliwe i najmniéj nieszczęścia sprowadza. Zaszczepiając organizmowi ospę, wnosimy do wnętrza jego pewne złe, lecz jest ono o wiele mniejsze od tego, któremu-by organizm prawdopodobnie uległ, gdyby nie zaszczepiono ospy. Schäffle zastanawiając się nad środkiem zaradczym, proponowanym przez autora „Zasad nauki społecznéj," przychodzi do tego przekonania, że środek ten, bez radykalnéj zmiany porządku społecznego, nie przyniesie sam społeczeństwu

(1) Zasady Nauki Społecznéj, str. 457.

spodziewanych korzyści. Dopóki interesy społeczeństwa całego identyfikować się będą z interesami klas posiadających, dopóty niepodobna przypuszczać, aby szczerze pomyślano o uregulowaniu wzrostu ludności. „Przeciwnie— powiada Schäffle — przy dzisiejszéj (kapitalistycznéj) podstawie organizacyi gospodarstwa narodowego, przyrost ludności robotniczéj jest nawet rzeczą korzystną dla klas posiadających, zmniejsza bowiem stopę płacy robotniczéj a powiększa rentę dochodową. Jedni mogą się wzbogacać kosztem nędzy drugich. Wzrost ludności, działając na społeczny podział dochodów, nietylko pomimowoli popiera interesy klasy bogatszéj, ale nadto, wzmagając walkę o byt pomiędzy jednostkami, pobudza wyzyskiwanie i otwiera szersze pole wszelkim jego formom: lichwie, oszustwu, pasorzyctwu.“

Oprócz głównéj zasady biologicznéj: *walki o byt*, widzimy w socyologii także inne objawy biologiczne, jak dziedziczność, przystosowywanie się, krzyżowanie się, atawizm i t. d.

Dziedziczność objawia w społeczeństwie dążność zachowawczą; przystosowywanie się—czynność reformacyjną, postępową.

Dążność zachowawcza przejawia się: 1) w odziedziczaniu przymiotów cielesnych, przedewszystkiém organizacyi nerwowéj, 2) tradycyi przekonań i myśli i 3) odziedziczaniu dóbr materyalnych.

W społeczeństwie odziedziczanie przymiotów cielesnych nie jest tylko dziełem fizyologicznego procesu. Staje się ono czynnością świadomą, która przez stosowne wychowanie i kształcenie wyrabia zręczność, biegłość, wprawę ruchów cielesnych, a samemu organizmowi nadaje krzepkość i hart.

Myśli i przekonania odziedziczają się w drodze wiary, nauczania i piśmiennictwa. Społeczny rozwój ma pod sobą grunt historyczny. Jak organizm cielesny rozwija się z komórki do wyższego ustroju drogą pośrednich form, tak i społeczeństwo do wyższych stopni cywilizacyi może dojść tylko po szczeblach ogólnego rozwoju.

Dobra materyalne, w miarę rozwoju społeczeństwa mnożą się. Powstają miasta, budują się drogi, kanały, groble, mosty i t. d.; zawiązują się instytucye pożyteczne. Kapitał jest dziedzictwem społeczném, które jedno pokolenie przekazuje drugiemu.

Przystosowywanie się bywa materyalne i duchowe. Przejawia się ono w społeczeństwie najczęściéj czynami świadomemi, w których rozmaite żywioły społeczne biorą udział. Zaprowadzają się rozmaite ulepszenia w sposobie życia, wychowaniu, pracy, ustroju społecznym i politycznym, stosunkach międzynarodowych. Charakter postępowy przystosowywania przejawia się: 1) w nagromadzaniu się sił społecznych, 2) w różniczkowaniu się tych sił, odpo-

wiednio do celów właściwych,—inaczéj, w podziale pracy i 3) w łączeniu się jednokierunkowych sił w celu osiągnięcia największego rezultatu. Ekonomia polityczna, mając za przewodnika Adama Smitha, wykazała wielkie korzyści podziału pracy; jakiemi zaś są korzyści płynące z łączenia jednorodnéj pracy, dopiero gruntowniéj zaczęto badać w ostatnich czasach.

Dążność zachowawcza w społeczeństwie jest przeważnie natury nieświadoméj, podtrzymuje się głównie zwyczajami i obyczajami. Prawo użycza im poparcia materyalnego. „Najbardziéj zachowawczém jest społeczeństwo dzikich. I to w podwójnym względzie. Nie tylko trzyma się ono dawnego zwyczaju, ale nadto przestrzega, by powszechnie był jednakowy; przyswojone przystosowania nie tylko są stałe, ale przytém jednostajne. Stałość i jednostajność wyrobionych form znamionują najwcześniejsze epoki cywilizacyi; panuje tam przewaga dziedziczności nad przystosowywaniem się, skutkiem czego chód rozwoju nadzwyczaj jest powolny. Szybkość bowiem społecznego rozwoju znajduje się w prostym stosunku do siły zmienności i w odwrotnym do dziedziczności“ (27, II).

Wszelki postęp opiera się na przeszłości, jest dalszym jéj ciągiem. Tylko to, co się rozwija z gruntu historycznego, ma w sobie warunki pełnego życia w przyszłości. Nowe formy raz wykluwszy się z dawnych, dążą wytrwale do zastąpienia tych ostatnich. Odbywa się to wśród walki, nieraz bardzo upartéj. Używa się niezawsze broń duchowa; walczący chwytają się często środków „fanatyzmu, który kamienuje, krzyżuje, morduje, spotwarza.“ Wszelka nowa myśl, wszelkie nowe odkrycie, wszelka nowa społeczna zasada napotykają odrazu prześladowanie. Ze względu tylko na to, że z początku mało zwracają na nie uwagi, mogą one okrzepnąć i nabrać dość siły do przyszłego boju. Im więcéj doznają przeszkód, tém gwałtowniejsze sprowadzają wstrząśnienia. Giną ludzie, rozstraja się społeczeństwo. „Najszlachetniejsi reformatorowie muszą stać się męczennikami, ażeby zapewnić zwycięstwo swojéj sprawie“ (290, II). Całym szeregiem strat dotkliwych społeczeństwo okupuje nowe nabytki, wprawdzie ważne dla jego dalszego życia i rozwoju. W interesie przeto tak całego społeczeństwa jak oddzielnych jednostek, jest ułatwienie wolnego obiegu myśli i przekonań, a więc wolność wyznania, myśli, słowa, pisma, druku, nauczania, zgromadzania się, stowarzyszenia, pracy, wyboru zawadu.

Poglądy o krzyżowaniu się w biologii nie są jeszcze ustalone. Jedni przypisują mu wsteczne, drudzy postępowe działanie na tworzenie się form organicznych. Socyologiczne spostrzeżenia — jak mniema Schäffle—przekonywają, że najkorzystniejszém dla postępu

bywa krzyżowanie się cywilizacyi niezbyt oddalonych charakterem swoim od siebie, ponieważ przedstawia najwięcéj warunków do spotęgowania podziału i łączenia pracy. Przeciwnie, krzyżowanie się zbyt odległych typów cywilizacyjnych nie jest korzystne.

Przeszkody, stawiane postępowemu rozwojowi, mogą sprowadzić w społeczeństwie cofanie się ku formom dawniejszym. Objawi się w ten sposób atawizm społeczny. Mamy tego przykład jaskrawy na Hiszpanach w rzeczypospolitéj Argentyńskiéj i Portugalczykach w Sertajo (w Brazylii) i na wschodnim wybrzeżu Afryki. Tylor mniemał, że niższe rasy łatwiéj ulegają wstecznemu skarłowaceniu, aniżeli te, które posiadają wyższą ustrojowość.

* * *

Gospodarstwo społeczne albo też narodowe przedstawia jeden z ważniejszych dowodów podobieństwa życia socyologicznego do biologicznego. Jest to jedna z funkcyj społecznych, mających najwięcéj analogii z odpowiednią funkcyą życia osobnikowego. I nic dziwnego. Jest bowiem zasadniczym procesem życia społecznego, tak samo jak *odżywianie* jest podstawowym procesem życia roślinno-zwierzęcego.

Zarówno proces odżywiania jak funkcya gospodarstwa społecznego polegają na tém: ażeby siły przyrodzone materyi, wprowadzanéj do organizmu, przyswoić odpowiednio do jego potrzeb. I tu i tam widzimy szukanie, przywłaszczanie, przerabianie, krążenie, przyswajanie i wydzielanie materyi. Organizm społeczny najwięcéj ma podobieństwa w tym względzie do organizmu zwierzęcego, „strzeżmy się jednak społeczną przemianę materyi uważać tylko poprostu za ciąg dalszy zwierzęcéj“ (239, III). Jest ważna różnica. Różnicą tą jest wytwór mienia (das Gut) (1).

Schäffle określa materyą odżywczą słowami fizyologa Rankego: „Wszelka materya, *zawierająca siły napięte*, które organizm może wyzwolić dla wytworu własnych, jak również ta materya, która *umożliwia* owo wyzwolenie, jest materyą odżywczą; wszelka materya, która bierze udział w *normalném budowaniu organów*, chociażby nie miała *bezpośrednio* dostarczać napiętych sił organizmowi do zużytkowania, powinna być także uważana jako materya odżywcza.“ Zu-

---

(1) Tłómaczę *Gut* wyrazem *mienie*, trzymając się słownictwa Supińskiego, który powiada: „właściwem *mieniem* człowieka będzie to tylko co przejdzie w jego posiadanie, skutkiem udziału jego samego“ (Szkoła polska gospodarstwa społecznego. T. I, str. 83. Lwów 1862).

pełnie podobną definicyą *mienia* podaje autor. „Mieniem gospodarczem— powiada— jest wszelka nagromadzona, tak w saméj ludności jak w jéj majątku (1), organiczna i nieorganiczna materya, o ile ta z jednéj strony wyraża się w kosztach, które ponoszą potrzebujący, a z drugiéj strony służy jako zapas sił (czynnych) mogących być użytemi i jako narzędzie i środek pomocniczy do wyzwolenia sił napiętych" (258, III). Inaczéj mówiąc, „mienie jest z jednéj strony *ponownie zmateryalizowaną częścią poprzednio wyzwolonéj siły społecznéj*, z drugiéj strony ***środkiem*** odnowienia téj siły i *nowego wyzwolenia* żywych sił społecznych" (272, III). Mienie — mówiąc prościéj — jest wynikiem pracy i środkiem nowéj pracy: z jednéj strony, materya i praca zużyta; z drugiéj strony materya i praca umożliwiająca przyszły pożytek. Mienie więc przedstawia koszta i użyteczności. Ekonomia narodowa powinna dążyć do tego—powiada autor—by koszta były jak najmniejsze a użyteczność jak największa. W każdym razie użyteczność powinna przewyższać koszta. Inaczéj upada tak prywatne gospodarstwo, jak cała cywilizacya. Im bardziéj użyteczność przewyższa koszta, tém więcéj cywilizacya wygrywa na tém. „U(żyteczność)—K(oszta) = o; jest to punkt obojętności materyalnego interesu ze stanowiska gospodarstwa prywatnego, państwowego, narodowego i światowego" (308, III).

Tak określiwszy znaczenie kosztów i użyteczności, autor przechodzi do *teoryi wartości zamiennéj*. Teorya ta, z powodu znakomitego dzieła Karola Marxa, stała się w ostatnich czasach jakby główną podstawą nowego ruchu społeczno-gospodarczego. Właściwie jednak mówiąc, ruch rozwija się swoją koleją i mało zależy od téj lub owéj teoryi. Zupełnie podzielam zdanie, wypowiedziane w recenzyi dzieła Schäfflego (Jahrbuch für Sozialwissenschaft u. Sozialpolitik, 1879, str. 113), że wcale jest mylnem, jakoby z obaleniem teoryi Marxa nowoczesny naukowy socyalizm miał także upaść.

Wogóle zajmowanie się zanadto wiele kwestyą wartości — podług mego przekonania — świadczy, że metafizyczny sposób myślenia przeważa jeszcze ogromnie w badaniach społecznych. Ponieważ jednak teorya ta stała się osią dzisiejszych dyskusyj ekonomicznych, przeto wypada zbadać ją dokładnéj.

Ekonomiści rozróżniają wartość użytkową i zamienną. W pierwotném, naturalném gospodarstwie, gdzie każdy stara się wszystko produkować sam dla siebie, wartość użytkowa przeważa. Ze zwiększonym jednak podziałem pracy, zaczyna się gospodarstwo zamien-

---

(1) Schäffle odróżnia Gut (mienie) od Vermögen (majątek). Pierwsze jest pojęciem ekonomicznem, drugi zaś — ekonomiczno-jurydycznem.

ne. Wytwórca przestaje być głównym spożywcą własnych wytworów, ponieważ stają się one coraz bardziéj jednorodnémi. Z konieczności rozpoczyna się zamiana jednych wytworów na drugie. Przy wzajemnéj zamianie towarów musi być pewna pomiędzy niemi miara, która określa ich wzajemny stosunek. W czemże się wyraża tu miara czyli wartość? Adam Smith i Ricardo twierdzili stanowczo, że w *pracy*. Bastiat i Thiers, chcąc usprawiedliwić indywidualną własność, opierali ją także na pracy, dowodząc, że wszelki majątek jest wynikiem pracy. Marx to samo uczynił i doszedł do tego rezultatu, że ponieważ właściwie pracują tylko robotnicy, więc oni tylko powinni być właścicielami wszelkiego mienia.

Samo istnienie towaru jest dla Marxa wartością użytkową. O niéj więc nie mówi. Mówiąc o wartości, Marx ma na myśli tylko wartość zamienną. Jedynie ważném jest jéj określenie. Podstawą wartości— podług Marxa — jest *społecznie konieczny czas pracy* czyli średnia ilość czasu pracy, koniecznéj w normalnych warunkach produkcyi, połączona ze średnim stopniem zdatności i siły. Więc praca—podług Marxa— jest tą stałą miarą, która oznacza wartość pewnego towaru. Ze względu na wartość, towar jest pracą skrystalizowaną—powiada Marx. W tém określeniu spostrzegamy dwa błędy: pierwszy — że spuszcza się z uwagi sama materya lub przedmiot, z którym praca się łączy; drugi—że nadaje się wartości pewna cecha substancyalności, kiedy tymczasem jest ona tylko stosunkiem względnym. Co do pierwszego błędu, Laveleye przytoczył kilka przekonywających przykładów (1). Dwóch myśliwych w ciągu całego dnia upolowało: jeden sarnę, drugi zająca. Czy wartość ich zamienna będzie jednakowa? Butelka wina Château-Laffite kosztuje 15 franków, a butelka wina z sąsiedniéj winnicy tylko 1 franka. Różnica jednak pracy albo żadna, albo bardzo mała. I nietylko w kategoryi produktów myśliwsko-pastersko-rolniczych to spostrzegamy, widzimy to samo w produkcyi rękodzielniczéj i fabrycznéj. Pieczęć złota i pieczęć miedziana, materya bawełniana i materya wełniana nie w samym tylko stosunku do pracy mają wartość zamienną. Na oznaczenie wartości wpływa więc jeszcze większa lub mniejsza użyteczność i rzadkość materyi lub przedmiotu. Co do drugiego błędu, Schäffle (310, III) wskazał tylko jednę jego stronę, zwracając uwagę, że na wartość zamienną (2) wpływa także *społeczna wartość użytkowa*,

---

(1) Le socialisme contemporain par Emile de Laveleye. Str. 87. Paris 1881.

(2) Mill rozróżnia wartość zamienną naturalną, która zlewa się prawie z wartością nakładową i wartość chwilową czyli targową. Supiński wartość zamienną nazywa ceną i odróżnia cenę nakładową i cenę targową. Wartość zaś—podług Supińskiego—jest to skutek pracy użytecznéj.

wyrażająca się w popycie. Drugą stroną tego błędu, zacierającego niejako w wartości jéj charakter względny, jest mierzenie wartości pracy tylko czasem, co upowszechnia mniemanie, jakoby ilość wytworów mogła wzrastać, bez wpływu na zmianę ich wartości zamiennéj. Wprawdzie Marx sam ostrzega, że mówi tylko o pracy użytecznéj i przynoszącéj korzyść innym. Można więc, stosując się do tego, uważać, że wszelka produkcya powinna mieć pewną potrzebami ludności oznaczoną granicę. Ale zwolennicy Marxa nie zwracają na to uwagi. Gdyby pamiętali, że „wartość jest tylko stosunkiem," nie zadowolniliby się jednym czynnikiem, chociażby to był najważniejszy. Po pracy ważnym czynnikiem jest żywność. Większa lub mniejsza jéj obfitość na rynku wpływa na wartość towaru, nietylko pośrednio przez pracę, ale nawet bezpośrednio. Jeżeli z tego lub owego powodu nastąpi drożyzna, spożywca zaczyna oszczędzać się na tém, co uważa za mniéj niezbędne dla siebie (u nas np. książki). Jeżeli poprzednio para butów nie wystarczała na rok, teraz zaczyna wystarczać; jeżeli poprzednio surdut służył na rok, teraz służy na dwa lata i t. d. Słowem, ilość towarów sprzedawanych zaczyna być mniejsza, czyli mówiąc językiem ekonomicznym, popyt na nie zmniejsza się. Chcąc sprzedawać dawniejszą ilość towarów, trzeba zmniejszony popyt pobudzić zniżeniem ceny. Jak widzimy, ilość żywności wpływa na popyt towarów, a popyt ten na wartość ich zamienną.

„Dwie wartości—powiada słusznie autor „Zasad nauki społecznéj"— *wartość pracy* i *wartość żywności* wywierają największy wpływ na wszystkie inne. Mała zaś wartość jednéj zależy od téj saméj przyczyny co wysoka wartość drugiéj, to jest od przeludnienia. Cena żywności bywa wysoka dla tego, że ludność zanadto wielkim ciężarem gniecie ziemię; cena pracy bywa niska dla tego, że ludność zanadto wielkim ciężarem gniecie kapitał" (str. 573). Dla czego wartość produktów rolniczych podnosi się w stosunku do wartości wytworów fabrycznych, tłómaczy nam także prawo ludnościowe. „Pochodzi to ztąd, że maszyny i inne ulepszenia, oszczędzając pracę, zmniejszyły koszta produkcyi fabrycznych towarów; kiedy tymczasem ulepszenia rolnicze, prawie tak samo wielkie jak fabryczne, zostały zneutralizowane przez nieustanny przyrost ludności. Okoliczność ta zmuszała ciągle do rozszerzania uprawy rolniczéj na gorsze grunta, tak, że produkcyjność ziemi, stanowiącéj granicę uprawy (od któréj wyłącznie zależy cena zboża), mało zmieniła się. Wszystkie udoskonalenia i cała oszczędność pracy powiększyły po prostu produkcyjność ziem *lepszych* i w taki sposób przyczyniły się tylko do wzbogacenia klasy właścicieli ziemskich, powiększając pobieraną

przez nich rentę; tymczasem, wskutek nieustannego wzrastania ludności, na gorszych gruntach nie było żadnego oszczędzania pracy, produkcyjność więc ich pozostała ta sama, a także skutkiem tego i cena żywności" (1).

Teoryi Marxa szczególnie ważne nadano znaczenie dla tego, że ma ona wyjaśniać, jakim powinien być słuszny podział produktów. Płaca powinna stosować się tylko do pracy. Robotnik ma pobierać to, co rzetelnie przypada na jego pracę, czyli równoważnik swéj pracy. „Lecz—jak słusznie uważa Schäffle— najdoskonalszém narodowém gospodarstwem nie jest to, które wymienia równe równoważniki kosztów (pracy), lecz to, które dostarcza wogóle wszystkim członkom ciała społecznego społecznie możliwe maximum pożytku za społecznie możliwe minimum kosztów (pracy) i wszystkich z osobna równomiernie zadawalnia w tym stosunku" (351, III).

Dzisiejsze kapitalistyczne gospodarstwo nie jest tém najdoskonalszém. Jest ono wszakże wyższe od feudalnego i fiskalnego, które poprzedziły je. Sprzyja ono rozwojowi wolności, nagromadzaniu się kapitału a więc także powiększaniu się produkcyi. Główną cechą ustroju kapitalistycznego — a każda epoka ma właściwy sobie ustrój gospodarczy, jest „zapewnienie i uporządkowanie swobodnego współzawodnictwa, osobistéj wolności, wolności handlu i umowy, wolności zamiany, rynku i obrotu pieniężnego, zupełnéj własności osobistéj środków wytwórczych i prawa ich odziedziczania, pełnego i co najmniéj ograniczanego przez policyą wyzyskiwania pracy" (383, III).

Krytyka kapitalistycznego ustroju, którą podaje Schäffle, jest najlepszą częścią tomu trzeciego. Kardynalną wadą tego gospodarstwa i źródłem wielu niesłuszności jest to, że daje ono przewagę prywatnym interesom nad społecznemi. Kapitał będąc dominującym czynnikiem, bierze więcéj niż mu się należy i jego zdolność pochłaniania rośnie wraz ze wzrostem jego samego. Współzawodnictwo, którém głównie reguluje się czynność kapitalistyczna, nie powoduje się samą uczciwością.

Autor liczbowemi przykładami wykazuje, dla czego w kapitalistycznym ustroju z wartości zamiennéj towarów zawsze korzystają ci, co więcéj mają, a tracą ci, co mają mniéj.

Przypuśćmy, że na rynku jest popyt na 1,000,000 miar zboża. Odpowiednio do kosztów produkcyi, $^9/_{10}$ téj ilości można sprzedawać miarę po 1 złotym reńskim, $^1/_{10}$ zaś należy sprzedawać miarę po 3 złot. r. W takim wypadku cena targowa miary zboża

---

(1) Zasady Nauki Społecznéj. str. 574.

ustanawia się na 3 złot. reń. Gdyby produkcya odbywała się społecznie, miara zboża kosztowałaby tylko $1 \frac{1}{5}$ złot. reń., ponieważ $900000 \times 1 + 100000 \times 3 = 1200000$. W kapitalistyczném gospodarstwie, gdzie produkcya odbywa się prywatnie, koszta wytworu 100,000 miar nie mogą być rozłożone na wytworców, a skutkiem tego całe zboże podnosi się do najwyższéj ceny i sprzedaje się na rynku za 3,000,000 zł. r. Traci więc na tém spożywca, który płaci na każdéj mierze $1 \frac{4}{5}$ zł. r. więcéj t. j. 150% więcéj aniżeli to, co odpowiednio do kosztów należałoby się płacić. A któż ciągnie zyski? Nie ci wytwórcy co ponoszą większe koszta, lecz ci co mają lepsze lub korzystniéj położone grunta, a więc nie wskutek ich pracy lub zabiegów produkcyjniejsze. Ponieważ zboże kosztuje ich wszystkiego 900,000 zł. r., a wzięli oni na rynku 2,700,000 zł. r.; zysk ich przeto wynosi 1,800,000 zł. r. czyli 200% (432, III).

Ricardo objaśnił dokładnie uprzywilejowany ten zysk w teoryi renty gruntowéj. Ani Carey ani Bastiat nie zdołali jéj obalić. Przeciwnie, dzisiaj teoryą renty rozszerzono na wszystkie gałęzie wytworu.

Podnoszenie się i zniżanie ceny w kapitalistycznym ustroju także odbywa się zawsze z krzywdą słabszych ekonomicznie. Bierzemy znowu przykład przytoczony przez autora (434, III).

Pewna ludność potrzebuje 1,000,000 (milion) metrów sukna. Koszta produkcyi dzielą się w następujący sposób: $\frac{5}{10}$ téj ilości sukna metr po 1 talarze, każda zaś następna dziesiąta część o $\frac{1}{5}$ talara drożéj na metrze (a więc $1 \frac{1}{5}$, $1 \frac{2}{5}$, $1 \frac{3}{5}$, $1 \frac{4}{5}$, wreszcie 2 talary). Metr więc sukna sprzedaje się na rynku po 2 talary. Tymczasem popyt na sukno, po części wskutek zapotrzebowania z zagranicy, wzmaga się jeszcze na 100,000 metrów, tak że koszta produkcyi metra można podnieść na $2 \frac{1}{2}$ tal. Skutkiem tego, cena targowa sukna ustanawia się na $2 \frac{1}{2}$ tal. Widoczna jest rzecz, że podrożenie to dotknie najsilniéj spożywców niemajętnych, przyniesie zaś największy zysk tym, co produkują najtaniéj. Gdyby produkcya była społeczna, cena metra sukna wynosiłaby przed zwiększeniem się popytu nie 2 tal., lecz 1.3 tal. ($500000 \times 1 + 100000 \times 1.2 + 100000 \times 1.4 + 100000 \times 1.6 + 100000 \times 1.8 + 100000 \times 2 = 1300000$), następnie zaś nie $2 \frac{1}{2}$ tal. lecz 1.4. Dotąd rozważyliśmy podnoszenie się ceny. W razie zaś jéj obniżenia się, kto z pomiędzy wytworców traci? Oczewiście, ci co największe ponosili koszta a więc najmniejsze zyski ciągnęli.

Podnoszenie się ceny rynkowéj do wysokości kosztów najdroższéj wyprodukowanego towaru, co jest nieuniknionėm w gospodarstwie kapitalistycznėm, musi częściéj i silniéj zachwiewać równowagę pomiędzy spożyciem i wytworem, aniżeliby to mogło dziać się

przy produkcyi społecznéj. W pierwszym wypadku, ze zbożem, 100,000 nowych centnarów zboża podniosło cenę z 1 na 3,—w uspołecznioném zaś gospodarstwie powinnoby podnieść cenę tylko z 1 na $1^1/_5$; a więc zamiast stosunku 1 : 3, mielibyśmy stosunek 1 : 1.2. W drugim wypadku, z suknem, zamiast stosunku 2 : $2^1/_2$ czyli 80 : 100, mielibyśmy stosunek 1.3 : 1.4 czyli 93 : 100. Oczywista, że większe wahanie się cen nietylko jest dotkliwsze dla spożywców, ale nadto nęcąc kupców większym zyskiem, musi sprzyjać rozwojowi usposobienia spekulacyjnego, które rozlicza więcéj na przypadkowe powodzenie aniżeli na własną pracę (435, III).

Autor przechodzi po kolei wszystkie wady kapitalistycznego gospodarstwa: niemożność dokładnego określenia istniejących potrzeb, zawodność popytu targowego, wytwarzanie szkodliwych i zbytkowych przedmiotów, podporządkowanie publicznych potrzeb interesom spekulacyi i t. d. Kapitalistyczne gospodarstwo, w stosunku do feudalnego i fiskalnego, powiększyło wprawdzie ogromnie produkcyą, ale mieści w sobie takie organiczne wady, które nie dozwolą dojść wytworowi do możliwéj doskonałości. Wyliczmy ważniejsze wraz z autorem. Robotnicy nie mają żadnego interesu w powiększaniu się wytworu. „Jednym ze smutniejszych skutków kapitalizmu jest rozdział w produkcyi pomiędzy kierującą inteligencyą i wykonywającemi rękami“ (442, III). Niepewność nieustanna zakłóca rozwój życia społecznego. Kapitał nie używa się dla wytworu najpotrzebniejszych i najpożyteczniejszych przedmiotów, ale zwraca się często „do najbrudniejszéj produkcyi, nawet do niszczenia i psucia“ (443, III). Kapitałowi nie chodzi o to, „by najlepsze dostarczać towary, lecz o to, by ciągnąć z nich największy zysk“ (443, III); nie chodzi o to, by mnożyć ilość produktów, lecz o to, by sprzedawać je drożéj, chociażby rozmyślnie zmniejszając ich liczbę (444, III). Oszczędzanie kosztów wytworu prowadzi do okrótnego obchodzenia się z ludźmi, które zmusiło nawet rząd angielski, tak niechętny do wtrącania się w sprawy prywatne, do zaprowadzenia policyi fabrycznéj. Przesilenia gwałtowne, spowodowane chciwością, zaścielają raz po raz kraj ruinami. Handel kapitalistyczny ma także liczne złe strony. Kredyt popiera silniejszego przeciwko mniéj silnemu. Rynek papierowy, „na którym nadzieje i obawy, przewidywania i przestrach paniczny stanowią o trwałości popytu na pewne rentowe papiery, jest najbardziéj charakterystycznym objawem kapitalistycznego społeczeństwa“ (449, III). I jednym może ze smutniejszych. Któż nie wie, że giełda „staje się grobem dla licznych majątków rodzinnych, dźwignią legalnego złodziejstwa na wielkie rozmiary, miejscem szybkiego tracenia kapitałów przez średnie kla-

sy, cieplarnią bankructwa, rozsadnikiem tych, co wraz z Falstaffem: „„Nie chcą zwracać pożyczonych pieniędzy, byłaby to bowiem podwójna praca““? (449, 450, III).

Zaiste, dziwném byłoby mniemać, ażeby tak wadliwe gospodarstwo miało pozostawać niezmienném. Musi przecież w biegu dziejowym wyrobić się doskonalsza jego forma. Czy jest ona możliwą? Schäffle podaje jéj kardynalne cechy: „Własność kolektywna wszystkich środków produkcyi (ziemi, warsztatów, machin, narzędzi i t. p.) zamiast własności ich prywatnéj; *społeczna organizacya pracy* zamiast jednostronnéj, prywatnéj konkurencyi kapitalistów t. j. zastąpienie instytucyi prywatnych przez korporacyjne organizacye; społeczne kierownictwo produkcyi; publiczny rozdział pracy wspólnéj, opartéj na wspólném posiadaniu wszystkich środków pracy społecznéj; wreszcie podział rozmaitych produktów wspólnéj pracy pomiędzy wszystkich pracujących, względnie do wartości i ilości dostarczonéj przez nich pracy“ (1). Autor szczegółowo zbadawszy o ile porządek, oparty na tych zasadach, może się godzić z ekonomiczno-socyologicznemi prawami, przychodzi do tego przekonania, że taki porządek nietylko jest możliwy, ale nadto musi być naturalnym wypływem dzisiejszego kapitalistycznego gospodarstwa. Część ta bardzo ważna i bardzo ciekawa jest rozwinięciem tylko więcéj umiejętném i ścisłém tych poglądów, które autor zawarł w tłómaczonéni na wszystkie ważniejsze języki europejskie dziełku: „Kwintesencya socyalizmu“ (2).

Gospodarstwo społeczne zajmuje największą część trzeciego tomu (234—548 str.) i stanowi najważniejszy jego przedmiot; z tego też powodu zajmowaliśmy się niém przeważnie. Lecz oprócz gospodarstwa społecznego, tom trzeci obejmuje jeszcze badania stosunków ludnościowych, zastosowań czasu i przestrzeni do życia społecznego, środków bezpieczeństwa i znaczenia techniki.

---

(1) Str. 6. D-ra A. Schaefflego: Kwintesencya socyalizmu. Tłómaczenie z niemieckiego przez S. Genewa, 1881.

(2) Tym co mówią o „wielkiém wspólném korycie do żeru i wielkim domu przymusowéj pracy“ (patrz np. znakomitą skądinąd mowę Ottona Hausnera w 1879 r.), radzilibyśmy bardzo przeczytać to dziełko. Ciekawe szczegóły podaje p. Hołyński w studyum o Kolonii komunistycznéj Ikaryjczyków w Ameryce, zamieszczonym w trzecim tomie *Philosophie Positive* z 1881 r. P. Hołyński po kilka razy zwiedzał tę kolonią i zaprzyjaźnił się z jéj członkami. Pomimo że nazywa ją „znakomitym klasztorem pozbawionym przesądów,“ zgadza się jednak zupełnie na to, że los robotników w niéj jest o wiele przyjemniejszy aniżeli tam, gdzie panuje konkurencya. „Mają — powiada—lepsze mieszkanie, lepsze jadło i lepsze odzienie, i wszystko to *kosztem mniejszego wysilenia muszkularnego.*“

Część poświęcona ludności zawiera umiejętne zsumowanie wiadomości statystycznych, etnograficznych i historycznych o rodzinie, małżeństwie, mieszkaniach, ludności i jéj ruchu, cielesnych i duchowych jéj znamionach, narodowości, stanach i klasach.

Oznaczenie czasu jest nader ważném dla rozwoju społecznego. Kalendarz i podział czasu dziennego w produkcyi, komunikacyi, stosunkach wzajemnych—jak wiadomo powszechnie—stanowią ważną stronę życia społecznego.

Bardzo obszerny rozdział zajmuje się przestrzennemi stosunkami społeczeństwa (die Raumbeziehungen der Gesellschaft), t. j. osadami, drogami, położeniem i komunikacyą. Cały ten rozdział jest rozwlekły i drobiazgowy, tak że uciążliwość czytania nie jest w żadnym stosunku do otrzymanéj korzyści. Nie znaczy to jednak, by brakło w nim ważnych spostrzeżeń i trafnych myśli. Autor dość skrzętnie zaznacza, jak w rozwoju dziejowym dziedzina prywatna zwęża się a społeczna rozszerza. Mówiąc o mieście i wsi, podnosi myśl Engela, że wieś jest najodpowiedniejszém miejscem dla wychowywania dzieci. Wykazuje szkody nieuporządkowanéj emigracyi, która z tego powodu traci daremnie wiele sił i nie przynosi téj korzyści którejby można było się spodziewać w innym wypadku. Sprawa to bardzo ważna. W Szwajcaryi, dzięki niedającym się niczém zrazić zabiegom radcy Joosa, stanęła ona na porządku dziennym i prawdopodobnie prędzéj niż w innych krajach zostanie uregulowana w drodze prawodawczéj.

Technika u Schäfflego ma bardzo obszerne znaczenie. Zalicza on do niéj organizacyjną pracę polityki, którą już Arystoteles nazwał najwyższém budownictwém; zalicza także pedagogikę, medycynę i t. d. Rozdział jednak o technice jest najkrótszy. Autor podaje jéj podział, główne zasady i krótką historyą.

Sam autor uważa trzeci tom jako specyalny wykład ekonomii politycznéj, któréj głównym przedmiotem są wszelkie dobra (Güter), a do których ludność także i przedewszystkiem należy. „Cielesna istota ludności jest najważniejszym i najkosztowniejszym składnikiem gospodarczym materyalnego majątku“ (247, III).

Autor zanadto drobiazgowy w opisach, pominął niektóre bardzo ważne kwestye, że wspomnę tylko o badaniach Carey'a stosunku przemysłowości do rolnictwa.

*
* *

Schäffle po kilka razy powtarza, że socyalistyczny ustrój uczyni organizm społeczny więcéj narodowym, aniżeli przy dzisiejszym

kapitalistycznym porządku. I każdy, kto rozważy dobrze rozwój poczucia narodowego, musi przyznać słuszność autorowi. Różniczkowanie i całkowanie, które autor wraz ze Spencerem widzi we wszystkich dziedzinach życia społecznego, jest tu widoczniejsze aniżeli gdzieindziéj. Im większe w społeczeństwie panują przegrody, im więcéj przywilejów a mniéj równości, tém słabsze musi być ogólne poczucie solidarności w całym organizmie. W średnich wiekach rycerz francuski miał więcéj wspólnego poczucia z rycerzem angielskim, aniżeli z kupcem, rzemieślnikiem lub uczonym własnego narodu. Klasy przewodnie, zamożne, oświecone odgradzały się nawet osobnym językiem od tłumów, pospólstwa. Dopiero zmniejszenie się znaczenia klas przewodnich wskutek centralizacyi władzy i podnoszenie się gminu wskutek wzrostu bogactwa i oświaty w mieszczaństwie, przechylają szalę na korzyść języków narodowych. Przypomnijmy, że wyroki sądowe zaczęto wydawać w języku narodowym w Kastylii za Alfonsa X Mądrego, w Niemczech za Rudolfa Habsburskiego, w Anglii za Edwarda III, we Francyi za Franciszka I. Lecz właściwie rewolucya angielska 1688 r. i rewolucya francuska 1789 r., którą godzi się nazwać powszechno-europejską, wydobyły z pod interesów państwowych interesy narodowe. Okrzyk: „Vive la nation!“ staje się dopiero powszechny od 1789 r. Ludność połączona węzłami państwowémi, gdy z upadkiem przesądów i przywilejów mniéj napotykała przegród i przegródek, zaczyna się mięszać, kojarzyć coraz silniéj małżeństwem, zespalać coraz rozleglejszą dziedziną interesu publicznego. Ojczyzna zyskuje coraz więcéj synów, czułych na jéj dolę i niedolę. W kapitalistycznym atoli ustroju są jeszcze proletaryusze, dla których ojczyzna nie ma realnego znaczenia (mitten im Vaterland „vaterlandslosen“ Proletarier—456, III). Dopiero porządek społeczny, który utrwali egzystencyą wszystkich bez wyjątku, który usunie wszelkiego rodzaju przywileje, nada téż prawdziwe obywatelstwo całéj masie ludności (490, III) i zwiąże ją silnemi więzami wspólnego interesu. Ekonomiczny interes ściśle zespoli się z interesem narodowym.

Kto szuka poparcia dla swoich wywodów nie w bujnéj wyobraźni ani w wykrętnéj dyalektyce, lecz w dziedzinie wiedzy pozytywnéj, ten nawet nie może czynić przypuszczenia, ażeby to co urabiało się wiekami, mogło odrazu utonąć w jakimkolwiekbądź gwałtownym przewrocie, a zwłaszcza to co rośnie i rozwija się nie zaś słabnie i zamiera. Narodowe organizmy muszą jeszcze dojrzéć do możliwie doskonalszych form, zanim staną na téj wysokości, by mogły łączyć się w jakieś wyższe, naturalne organizmy. Czyż podobna bowiem, ażeby przy tak rozmaitym stanie cywilizacyi, jakim odzna-

czają się dzisiaj, mogły połączyć się wszystkie razem w jeden wyższy społeczny organizm? „Kto może przypuszczać, ażeby wszystkie niepodległe kraje i narody zawarły jednego i tego samego dnia *contract social* na prowadzenie solidarnego socyalistycznego gospodarstwa, Francuzi i Niemcy, Jankiesi i Anglicy, Włosi i Turcy, Murzyni i Chińczycy" (514, III). Jest to rzecz niemożliwa. Sojusz taki nie byłby ani dla jednych ani dla drugich korzystny i chyba tylko przemocą możnaby go podtrzymywać. Narody, mające wyższe uspołecznienie, traciłyby na tém nawet więcéj (517, III).

Większa solidarność pomiędzy jednostkami narodowego organizmu, będąca następstwem wyższéj cywilizacyi, musi iść i rzeczywiście idzie w parze ze wzrostem solidarności międzynarodowéj. Beznarodowość nie oznacza—jak niektórym się zdaje—międzynarodowości. Pomiędzy jedną i drugą leży cała przepaść, jaką widzimy pomiędzy bezkształtnym pierwoszczem i cudnemi formami roślin arktycznych. Bez wątpienia, chleb jest ważną rzeczą, lecz jeszcze ważniejszą—życie. Sprawa narodowa jest równoważna ze sprawą ekonomiczną a w pewnych okolicznościach nawet od niéj ważniejsza.

Wreszcie czy jest istotnie tak wielka różnica pomiędzy kwestyą ekonomiczną i narodową? Pierwsza—jak widzieliśmy— ma na celu jak najdoskonalszy wytwór mienia i jak najlepszy jego podział; druga—powiedziałbym — ma to samo na celu, jeno w dziedzinie duchowego czyli umysłowo-uczuciowego mienia.

Jak wiadomo, jedną z główniejszych podstaw narodowości jest język. „W życiu społeczném ludzi myśl staje się przewodniczką wszelkiego postępu. Wytwarza ona już na samym wstępie rozwidniającéj się świadomości narzędzie, w którém następnie gromadzi się i doskonali, jest niem mowa. Zrasta się ona z organizmem społecznym i staje się niejako jego duszą. Słowozbiór jest sam przez się skarbnicą pojęć, a nadto ułatwia utrwalenie wzbudzonych uczuć i nabytych wiadomości" (1). Autor w rozdziale, który poświęca mowie, przedstawia dobrze jakim jest ona ciężkim dorobkiem i jak ważne ma znaczenie dla życia społecznego i osobnikowego. Co to znaczy pod względem ekonomicznym niemota językowa—że się tak wyrażę — najlepiéj widzimy na naszych rodakach, zmuszonych szukać pracy w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Podług opowiadania p. Sygurda Wiśniowskiego, niema w Ameryce więcéj wyzyskiwanego rolnika nad chłopa polskiego, ponieważ nie mogąc rozmówić się ani z przedsiębiorcami ani z robotnikami, musi imać się roboty, która będąc najcięższą, najmniéj téż płatną bywa.

---

(1) Str. 104. Socyologia Augusta Comte'a. Lwów 1875.

Język przytém jest ważném narzędziem pracy ekonomicznéj. Widzimy tego często przykłady. Rzemieślnik, chociażby był najbieglejszy, jeżeli znajdzie się pomiędzy ludźmi nierozumiejącemi go, z trudnością dostaje zajęcie. Jakże mu wytłómaczę co ma robić?— odrzekł naczelnik pewnéj francuskiéj fabryki, gdy go proszono o przyjęcie ślusarza Polaka nie umiejącego po francusku. Język nadto jest narzędziem wykształcenia, zarówno umysłowego jak moralnego, cielesnego, zawodowego, słowem wykształcenia, które wyrabia zdolność „przezwyciężania wszelkich przeszkód życia i rozwoju“ (73, IV). Wykształcenie to daje albo przynajmniéj powinna dawać szkoła, którą About słusznie nazywa fabryką ludzi. Jeżeli szkoła używa jednego języka a społeczeństwo drugiego, nie odpowiada ona wówczas swemu zadaniu. Nadto popełnia się przytém wykroczenie przeciwko kardynalnéj ekonomicznéj zasadzie: „otrzymywać największy pożytek najmniejszym kosztem.“

Mowa, to najpierwsze wiązadło spólności narodowéj, jest także główném narzędziem wyrabiania się ducha narodowego (Volksgeist), téj „wzniosłéj wewnętrznéj spójni społeczeństwa,“ téj „idealnéj jedności cywilizacyi realnéj“ (59, IV). Im większa jedność ducha narodowego, tém większa jego wewnętrzna i zewnętrzna siła. A tém większa jedność, im większa i wszechstronniejsza wspólność życiowa. Wyraża się ona w silném uczuciu patryotyczném. Niema téż większego niebezpieczeństwa dla narodu jak zamachy na tę jedność (59, 60, IV).

Pismo czyni dorobek językowy trwalszym, stalszym i powszechniejszym. Bez pisma nie byłoby piśmiennictwa, tego największego skarbu ludzkości, bez którego nie mogłaby ona wznieść się na te wyżyny cywilizacyjne, na jakich widzimy ją dzisiaj. Literatura i duch narodowy oddziaływują na siebie wzajemnie i dopomagają sobie do dalszego postępu. „Mianowicie, *ciężka*, poważna, klasyczna literatura, jeżeli prowadzi równomiernie do naukowego, estetycznego i etycznego bogactwa, jest znamieniem zdobytéj duchowéj mocy i nieocenioną bronią w walce narodów o dalsze utrzymanie się, gromadzenie i rozszerzanie“ (71, IV). „Bez literatury bieżącéj, bez arcydzieł klasycznych, niema silnéj politycznéj narodowości“ (393, IV). W tych warunkach, kiedy szkoła nie odpowiada swemu celowi, literatura wraz z życiem towarzyskiem może ją pod pewnym względem zastąpić (74, 75, IV).

Wreszcie umysłowy rozwój narodu tak samo nie dopuszcza gwałtownych skoków, jak ich nie dopuszcza racyonalna pedagogia w umiejętném prowadzeniu rozwijającego się umysłu. Każdemu wydałoby się niedorzecznością posyłać do uniwersytetu syna, który nie

nauczył się jeszcze tego, czego uczą w gimnazyum. Dla każdego najzupełniéj jest jasném, że brać się do rachunku różniczkowego, nie umiejąc ani arytmetyki ani algebry, jest zgoła bezużyteczną stratą czasu. W kwestyach socyologicznych téj jasności nie mamy, co wreszcie jest zupełnie naturalnem, zważywszy, że socyologia jest z jednéj strony najwięcéj skomplikowaną a z drugiéj najmłodszą co do czasu tj. najmniéj zbadaną umiejętnością. Wprawdzie, doskonalące się metody pedagogiczne ułatwiają i przyśpieszają rozwój umysłu i coraz bardziéj skracają drogę w nabywaniu potrzebnych wiadomości. Tak samo późniéj idące w cywilizacyi narody znajdują już wiele ułatwień, do szybszego i skuteczniejszego przebywania drogi rozwojowéj. Ażeby jednak naród mógł korzystać z doświadczeń poprzednich i z wiedzy nabytéj, trzeba ażeby je poznał, zrozumiał i przyswoił. Bez tego warunku, ideje wyższéj cywilizacyi albo będą muskać tylko powierzchnię umysłową, albo—na co można także zgodzić się pod pewnym względem z autorem—staną się one czynnikiem rozkładowym (81, IV). Dzieje rozwoju religii przedstawiają liczne tego dowody, że konieczną jest pewna stopniowość przy przechodzeniu od form niższych do wyższych. Z tego to powodu muzułmanizm bierze przewagę nad chrześciaństwem pomiędzy murzyńską ludnością Afryki; z tego téż powodu „chrześciaństwo i buddaizm północnych Azyatów w istocie rzeczy jest tylko trochę zmodyfikowanym szamanizmem“ (176, IV).

Przychodzimy tu znowu do bardzo ważnéj kwestyi, która w ostatnich czasach silnie poruszała umysły i gwałtowne wywoływała dyskusye. Zwolennicy Marxa bardzo jednostronnie zrozumieli twierdzenia tego wielkiego myśliciela. Powiedziałbym że stali się większemi marksistami od niego samego. Autor „Kapitału“ wykazał w swojém dziele, jak ważnym czynnikiem w rozwoju społeczeństwa jest jego układ ekonomiczny, który ulegając koniecznemu przeobrażaniu się w swoim postępie, oddziaływa także na przeobrażanie się prawnych i politycznych stosunków a nawet umysłowych poglądów, Myśl w gruncie prawdziwa, lecz jednostronnie uwydatniona. Dosyć przeczytać Buckle'a, który znowu zanadto jednostronne nadał znaczenie umysłowemu czynnikowi, ażeby to zrozumiéć. Ekonomiczny układ bez zaprzeczenia oddziaływa silnie na wszystkie strony życia społecznego, ale i te strony (np. teorye naukowe, stosunki polityczne) oddziaływują także na formowanie się i przekształcanie ustroju ekonomicznego, Marx wreszcie, posiadający gruntowną uczoność, temu nie zaprzeczał, lecz zanadto wielki zrobił nacisk na stosunki ekonomiczne. Zwolennicy jego poszli daléj i ekonomicznemu czynnikowi zamiast przeważnego wyłączne przyznali znaczenie. Jest to zresztą

zwyczajny objaw w dziejach umiejętności, że najgorliwsi uczniowie najmocniéj przywiązują się do tego, co jest najwięcéj jednostronném w nauce ich mistrza.

Jakie stanowisko zajmuje w téj kwestyi Schäffle? Jako pisarz ekonomiczny, skłania się on znacznie do poglądu Marxa atoli sam staje z sobą niejako w sprzeczności, podnosząc wielkie znaczenie politycznego i umysłowego czynników i poświęcając im cały czwarty tom. „Budowy i życia ciała społecznego.“ W jedném miejscu nawet oświadcza, że w warunkach, jakie się wytworzyły na tym stopniu cywilizacyi, na którym znajdujemy się obecnie, tylko ta reforma lub rewolucya może być skuteczną, którą poprzedzi czynna propaganda nowych przekonań. Mniema przytém, że znaczny ruch umysłowy i ostateczne jego zwycięstwo muszą poprzedzić wszelką przemianę w porządku polityczno-społecznym (326, IV), i że następnie potrzebném i koniecznėm jest poparcie siły materyalnéj, gdyż sam tylko moralny wpływ nie zdoła dokonać téj przemiany (330, IV).

Ci co mniemają, że bez poprzedniego uzyskania swobód politycznych, można dojść odrazu do radykalnéj przemiany stosunków społeczno-ekonomicznych, sami nie spostrzegają, jak wielkiéj dopuszczają się niekonsekwencyi. W teoryi hołdując wyłączności ekonomicznego czynnika, w rzeczywistości mimowiednie okazują wiarę we wszechpotęgę wpływu umysłowego. Dość aby zrozumiano, i stanie się. Za jedną niekonsekwencyą idzie druga. Albowiem chcąc, ażeby cały naród, a przynajmniéj większość jego zrozumiała pewne prawdy, jest rzeczą konieczną, ażeby mogła je wysłuchać i rozważyć. Trzeba więc, aby panowały wolność słowa i druku, wolność nauczania i zgromadzania się. Jest to więc mimowolna antycypacya dokonanéj przemiany politycznéj,

Czwarty tom—jak już wzmiankowałem--zajmuje się umysłowém, towarzyskiém i politycznėm życiem społeczeństwa.

Mając zawsze na oku podobieństwo społecznego organizmu do osobnikowego, autor bada jego system psycho-fizycznych organów, a więc zastanawia się nad mową, pismem, umysłowością indywidualną i duchem narodowym. Daléj mówi o oświacie narodowéj czyli o kształceniu się umysłowém narodu, które—podług autora—szło z góry na dół, tj. najprzód powstawały uniwersytety, następnie gimnazya; najpóźniéj realne i ludowe szkoły (89, IV).

Towarzyskość, wypływając z naturalnéj potrzeby samego społeczeństwa, ma doniosłe znaczenie w wyrobie ducha narodowego. Jest ona „głównym środkiem jednostajnego duchowego zastosowywania się, zespolenia się wszystkich w jednym i tym samym religijnym i politycznym zapale.“ „Jest ona także środkiem szerzenia i odziedzi-

czania idei a więc duchowéj jedności" (99, IV). Oczywista przeto, że im towarzyskość szersze i różnorodniejsze ogarnia koła, tém większe jest jéj działanie. Obchody narodowe mają w tym względzie nader wielkie znaczenie.

Tak teoretyczna jak praktyczna wiedza rozwijała się drogą walki o byt. Zresztą jest to rzecz naturalna, zważywszy, że wiedza daje siłę społeczeństwu, i że brak wiedzy przyczynia się potężnie do jego niemocy. Autor jest nawet tego zdania, że wielkie zdobycze i wojny torowały drogę postępowi nauki. Pochody Aleksandra Wielkiego ściągnęły wiedzę kapłaństwa wschodniego do Muzeum w Aleksandryi, krzyżowe wojny sprowadziły na zachód europejski arabskie skarby wiedzy; najazd Turków zmusił do przeniesienia bizantyjskich skarbów umysłowych na półwysep włoski, gdzie stały się one fermentem humanizmu i renesansu. Ostatni jednak przykład—nie powiem—aby był szczęśliwy. Bez najazdu tureckiego, Włosi mieli wszelką sposobność do zabrania bliższéj znajomości z bizantyjskiemi skarbami wiedzy. Wiadomo bowiem, że wojny krzyżowe sprowadziły mnóstwo Wenecyanów, Pizanów, Genueńczyków do Konstantynopola, tak że miasto zaczęło przybierać mieszaną włosko-grecką cechę. Wenecyanie nadto usadowili się w najważniejszych punktach cesarstwa, i gdyby nie najazd turecki, prawdopodobnie, wpływ polityczny Włochów otworzyłby sobie bramy Konstantynopola i wcześniéj wydobyłby na jaw zabytki wiedzy starogreckiéj. Trzeba jednak dodać, że autor, mówiąc o korzystnym wpływie wojny na wiedzę, wskazuje téż tysiączne szkody, które wojna wyrządza oświacie (351, IV). Nie tylko wielkie wojny międzynarodowe, lecz także walki i współzawodnictwa wewnętrzne przyczyniały się do wzrostu wiedzy. Wewnętrzne walki w kościele chrześciańskim w 17 i 18 stul. ścieranie się władzy świeckiéj z duchowną, dążenie niższych stanów do równouprawnienia z wyższémi, rywalizacya instytucyj i towarzystw naukowych, współzawodnictwo ludzi uczonych,—wszystko to w rozmaity sposób dopomagało i dopomaga do postępu wiedzy. Podług zdania autora, umiejętność dzisiaj tak wysoko stanęła i tak rozszerzyła się, że niema obawy, ażeby jakie nowe najście barbarzyńców mogło pogrążyć ludzkość na długo w ciemnotę. Dzisiejsza umiejętność zrobiła wielki postęp nie tylko co do saméj treści, lecz także co do naukowego myślenia, które z teologiczno-dogmatycznego, przeszedłszy przez fazę metafizyczno-dyalektyczną, staje się ścisłém i pozytywném.

Uczucie zadowolenia i szczęścia jest jednym z głównych celów i bodźców życia społecznego. Naród, w którym większość czuje się nieszczęśliwą i niezadowoloną, nie ma pod sobą gruntu mocne-

go. „Niezadowolenie narodu czyni społeczeństwo słabém“ (121, IV), oczewiście jeżeli przyczyną tego niezadowolenia wewnętrzny samoistny układ, nie zaś położenie, od zewnętrznych, wbrew woli zaszłych, wypadków zawisło. Autor zapytuje: „na czem polega możliwie największa suma szczęśliwości i zadowolenia narodu?“ I odpowiada na to: „Maximum społecznéj szczęśliwości i zadowolenia powstaje wskutek osiągnięcia historycznie dostatecznéj jedności narodu, na podstawie historycznie dostatecznego rozczłonkowania na specyalne zawody, tak ażeby każdy członek miał zapewniony dostateczny udział we wszystkich idealnych i materyalnych dobrach życia“ (123, IV). Żadne społeczeństwo jednak nie zdoła osiągnąć zupełnéj szczęśliwości. Zawsze będą jednostki mniéj lub więcéj nieszczęśliwe, a nawet i samo społeczeństwo nieraz odczuwać będzie pewne braki, niedoskonałości w swoim ustroju. Spowodowane tém pragnienie wyzwolenia się od przykrości i zgryzot tego życia i dążenie do doskonalszych form, nie ustaną podsycać uczuć religijnych, estetycznych i etycznych. Uczucie nie przestanie rwać się od twardéj rzeczywistości w sfery religijnego i estetycznego idealizmu. Szerzenie się mistycyzmu w chwilach nieszczęścia znajduje w tém także swoje objaśnienie. Idealne uczucia narodu, wyrażające się w pragnieniu wybawienia i doskonalenia się, bywają podporą i podnietą dla niego, ale powinny, wraz z ogólnym postępem, otrząsać się z przesądów, pozbywać się urojeń, rozumniéć i szlachetniéć, jeżeli nie mają stać się „ogłupiającym i denerwującym opijatem“ (128, IV).

Co do pojmowania estetycznego ideału, autor stoi na pozytywném stanowisku i słusznie wytyka nawet nowszym pisarzom, opierającym się na teoryi ewolucyjnéj, że hołdują jeszcze metafizycznemu poglądowi, szukając jakiegoś prototypu piękna.

„Religia w swojém kształtowaniu się dziejowem jest także wytworem doboru społecznego“ (145. IV). Początek jéj—podług autora—tkwi w uczuciu zależności i niemocy, jakiego doświadcza człowiek. Zdania socyologów co do tego przedmiotu nie zupełnie są zgodne. Spencer zajmuje się szczegółowo w swojéj socyologii kwestyą powstawania uczuć i mitów religijnych i przychodzi do tego przekonania, „że kult przodków jest początkiem wszelkiéj religii“ (1). Twierdzi on, że antropomorfizm, powszechny u ludów dzikich, nie jest wynikiem procesu myślenia, lecz prostém odźwierciedlaniem żywych osób. Dziki człowiek nie uosabia swych myśli i uczuć, lecz po prostu przypomina zmarłe osoby, które jednak w jego mniemaniu żyją

---

(1) Str. 563, tom I.

zawsze, tylko w odmiennych warunkach. „Strach przed żywymi—powiada Spencer—dał początek władzy politycznéj; strach przed umarłymi—władzy religijnéj“ (1). Letourneau słusznie nazywa teoryą Spencera „euhemeryzmem (2) doprowadzonym do ostateczności,“ sam jednak posuwa także do ostateczności materyalistyczny pogląd, nie widząc w początkowych wyobrażeniach religijnych nic więcéj prócz urojeń wyobraźni dziecinnych ludów. Podług Letourneau, umysł ludzki uczepił się energicznie tych baśni dziecinnych dopiéro wtedy, kiedy ułożyły się one w obraz życia pozagrobowego. Obraz ten—powiada—stał się dla umysłu „wśród doświadczeń życia pociechą, czyli raczéj umysłowém opium, które osładza mu strapienia, lecz wprawia przytém w pewną otrętwiałość“ (3). Wszystkie te trzy teorye—można powiedziéć—zawierają część prawdy: pogląd Schäfflego objaśnia źródło uczucia relegijnego; Spencer i Letourneau, w części, tłómaczą powstawanie mitów. Dział o religii w dziele Schäfflego należy do najwięcéj zajmujących.

Moralność jest także wyrobem dziejowym. Zwłaszcza znakomite prace Lecky'ego, na które autor często powołuje się, rzuciły w tym przedmiocie wielkie światło. Pozytywne to zapatrywanie się na zasady etyczne nie upowszechniło się jednak jeszcze dostatecznie nawet pomiędzy ludźmi, ściśle myślącemi. Autor zwraca npd. uwagę, że Prondhon w swojém dziele: „De la justice dans la révolution et dans l'église“ mówi o zasadzie sprawiedliwości tak, jakby ona spadła z nieba. To samo czynią wszyscy niemieccy filozofowie prawa, włączając także Krause'go. To co dzisiaj uważa się za cnotę, niezawsze nią było. Sama cnota doskonali się, tak co do treści jak co do formy. Rzymianin szczycił się uczuciem patryotyzmu, ale w tém uczuciu panowały surowość i bezlitosność dla wrogów i niewolników. „Dzisiaj pojęcie miłości ojczyzny skojarzyło się z uczuciem powszechnego braterstwa“ (Lecky). Skoro więc moralność rozwija się i doskonali, to oczewista rzecz, że „ze wzrostem prawdziwéj cywilizacyi niemoralność i występność muszą się zmniejszać“ (190, IV).

Główną częścią czwartego tomu są badania nad państwowością, któréj pojęcie łączy się ściśle z pojęciem woli społecznéj. Organy jedności woli są także z konieczności organami władzy. Organizm społeczny, jako więcéj skomplikowany od organizmu zwierzęcego,

---

(1) Str. 582, I.

(2) Euhemer, filozof grecki z IV w. przed N. Chr. tłómaczył mitologią za pomocą historyi.

(3) Str. 259. La Sociologie daprés l'etnographie par le docteur Charles Letourneau. Paris, 1880.

potrzebuje też więcéj czynności tamowania, pobudzania, porządkowania, zmieniania i podtrzymywania ze strony organów centralnych. Nie oznacza to wszakże zdrowia organizmu społecznego, tak samo jak organizmu zwierzęcego, „jeżeli centralne organy są bez przestanku powoływane przez lada najmniejszą cząstkę do porządkowania i podtrzymywania, lub jeżeli, w stanie nerwowego wzbudzenia, zanadto mieszają się do samodzielnych odruchów oddzielnych części tj. do dziedziny wolności i autonomii (201, 202, IV).

Nowoczesne państwo przedstawia się jako jedność woli i władzy, rozpościerająca się nad mniejszémi związkami, z których gmina jest najważniejszym. Ustęp jednak o gminie należy do słabych i z lekka tylko potrąca o kwestyą samorządu.

Państwo, w którém społeczeństwo dochodzi do jedności swéj woli i władzy, jest najwyższym wyrobem społecznego ducha, i dla tego im wyżéj jaki naród stoi pod względem kultury, tém silniéj czuje potrzebę samoistnego politycznego bytu. Państwo nie jest wytworem ani jedynie samowiednéj woli narodu, ani też wynikiem jedynie ślepych sił przyrody czyli bezwiednéj czynności człowieka. Jest to jednak rzecz pewna, że czynność samowiedna wzmaga się, im wyższy jest ustrój państwowy. Alfred Fouillé, zastanawiając się nad tą kwestyą, przyszedł do pośpiesznego wniosku, że „te same prawa, które tworzą światy i konstelacye, tworzą także społeczeństwa ludzkie, z tą różnicą, że to, co w jednych jest światłem zewnętrzném i ruchem koniecznym, staje się w drugich światłem wewnętrznem i ruchem dobrowolnym“ (1). Wniosek to jeszcze zawcześny, chociaż prawdopodobieństwo jego rośnie. Jedność bowiem praw panujących we wszechświecie, którą nowe odkrycia w dziedzinie nauk przyrodniczych i społecznych coraz bardziéj stwierdzają, zwolna niweczy wszelką granicę między tak zwaną martwą i żywą przyrodą, rozszerza krąg życia i organizacyi i czyni możliwém przypuszczenie, że „we wszechświecie wszystko jest żywe, wszystko jest zorganizowane i wszystko jest naraz osobnikiem i społeczeństwem. Biologia, socyologia i kosmologia przedstawiają się w gruncie jedną i tą samą umiejętnością“ (2). Zwolna więc z umysłu naszego pojęcie niebytu ustępuje przed pojęciem wiecznego istnienia.

Zbadawszy ogólne pojęcia i zasady państwowe, Schäffle zastanawia się mniéj lub więcéj szczegółowo nad geograficznémi warunkami, mieniem, ludnością i organami państwa, które mu służą do oporu i ochrony; nad gospodarstwem, technicznémi zakładami, umy-

---

(1) Str. 421. La science sociale contemporaine par Alfred Fouillé. Paris, 1880.
(2) Ibidem. Str. 127.

słową czynnością państwa; wreszcie nad organami władzy (rząd, zarząd, przedstawicielstwo itd.).

W zapatrywaniach się swoich na przedstawicielstwo, konstytucyą, formy rzędu (monarchiczna, arystokratyczna i demokratyczna), Schäffle z jednéj strony zanadto hołduje Polityce Arystotelesa, na którą powołuje się nieustannie, a z drugiéj strony zapomina o tém, co sam uwydatnił, zwłaszcza w trzecim tomie, że z rozwojem dziejowym dziedzina prywatna zwęża się a publiczna rozszerza. Autor widzi jednak dobrze, że demokracya jest polityczną formą społeczeństw przyszłości; mniema tylko, że prawdziwéj demokracyi nigdzie niema jeszcze dzisiaj, nawet w Szwajcaryi, i że „dla utworzenia dzielnéj demokracyi, potrzebna jest naprzód pewna równość posiadania i oświaty w przeważającym średnim stanie, dobrze zorganizowanym w zakładach fachowych" (317, IV). Niezawodnie należy się zgodzić na to, że powyższe warunki są konieczne, ażeby demokratyczny ustrój stał się prawdziwie, rzetelnie demokratycznym; ale dla ewolucyonisty, jakim jest autor, musi być także jasną rzeczą, że żadna doskonała forma nie staje odrazu, lecz wyrabia się zwolna. Demokracya—jak słusznie zauważył autor—dla tego, już od czasów Arystotolesa, rozpłomienia wszystkie wyższe umysły i szlachetne serca, że z natury swych dążności musi sprzyjać: „całkowitemu rozwojowi umysłowych, moralnych i materyalnych sił ludu, upowszechnieniu poczucia obywatelskiego i poczucia wolności, zainteresowaniu umysłów i serc wszystkich obywateli sprawami państwowemi" (311, IV). Zwracając się specyalnie do Austryi autor powiada: „Podług mego przekonania, monarchia konstytucyjna dziedziczna, przez obronę stanu czwartego i równouprawnienie narodowości, może przyczynić się do utrwalenia swego bytu tak samo, jak się przyczyniła była przez obronę trzeciego stanu. Jeżeli zaniedba to zadanie, to po ostatecznem naturalnem zjednoczeniu się i zorganizowaniu każdéj narodowości, grozi jéj los Burbonów, poniżenie się do despotyzmu (cezaryzmu) restauracyjnego, pieniężnego i proletaryatowego, upadek wraz z narodem albo skonanie w republice społecznéj" (295, IV).

Ludzkością i umiarkowaniem odznaczają się poglądy autora na warunki, wyrabiające siłę państwową, taką siłę, która nie gniecie, nie wycieńcza, nie niszczy organizmu, ale wspiera jego wewnętrzny rozwój i broni go od niebezpieczeństwa zewnętrznego. Znajdujemy tu trzeźwe zdania o stosunku siły do prawa, o ustawach, zakresie czynności państwowych, wojnie, prawodawstwie, reformie, rewolucyi, przestępstwach, karach itd.

Autor rozróżnia jednolite i złożone czyli spólne kilku narodowościom państwo (Einheitsstaat und Gesammtstaat) i pierwsze uważa za wyższy od drugiego stopień. W tém jednak rozróżnieniu form państwowych, autor nie odróżnia form początkowych, małokulturalnych, które zrastają się w jedno państwo, i form wyższych, federacyi albo unij, które powstają z połączenia się dwóch lub więcéj polityczno-narodowych organizmów wyższéj kultury. Proces tworzenia się państw, którego obraz daje nam historya średniowieczna europejska, i którego przykłady napotykamy we współczesnych opowiadaniach podróżników afrykańskich, jest procesem przeważnie bezwiednym, instynktowym, w którym wojna i zabór są głównémi czynnikami. W ten sposób powstałe państwa przez długi czas przedstawiają w stosunkach wzajemnych ten sam obraz, jaki kreśli Guizot, mówiąc o wzajemnych stosunkach pierwotnych Germanów, tj. każde państwo robi to, co mu się podoba, i na co starczą jego siły. Tę arbitralność państwową podniesiono nawet do wyższéj politycznéj zasady, nazywając ją nieinterwencyą państwową. Doktryna to jednak nie mająca przyszłości. Historya jéj przeczy. Pomiędzy samodzielnemi politycznemi organizmami wytwarza się coraz większa wspólność i łączność. Dziedzina prawa międzynarodowego wzbogaca się w paragrafy i rozszerza. Wreszcie tworzą się federacye państwowe, jak npd. szwajcarska i północno-amerykańska. Są to już wyższe formy, i w procesie, przeważnie samowiednym, który do nich prowadzi, dobrowolna umowa jest głównym czynnikiem. W życiu politycznem dzisiejszéj Europy proces samowiedzy zaczyna brać przewagę i przeobraża nawet agregaty państwowe, spojone przemocą, w dobrowolne federacyjne związki. Widzimy to na Austryi, Schäffle jest tego zdania, że przyszłość jéj jest ściśle związana z dalszym rozwojem tego procesu samowiednego. „Dzisiejszy związkowo-państwowy ustrój cesarstwa—powiada autor—nie da się utrzymać. Cesarstwo, objęte obręczem korony habsburgskiéj, jest złożone podwójne państwo. Grozi mu rozpadnięcie się na dwa centralizacyjne państwa, a każdemu z tych państw grozi natychmiastowy opór większości zepchniętych do zależnego stanowiska narodów. Dzisiaj jeszcze mocniéj aniżeli w 1871 r. jestem przekonany, że albo dzisiejszy ustrój doprowadzi państwo do upadku, albo powinno przeobrazić się ono w decentralizowane związkowe państwo, na podstawie zupełnego równouprawnienia wszystkich krajów i wszystkich narodowości w każdym z tych krajów" (408, IV).

Bardzo ciekawy jest ustęp, przedstawiający krótką etnografią ludów całego świata. Nawet styl autora, zwykle ciężki i niejasny, zupełnie prawie zmienia się w tym ustępie, tak że czyta się on z praw-

dziwą przyjemnością. Autor opiera się przeważnie na pracy dwóch znakomitych etnografów niemieckich, Oskara Peschela i T. Waitza, i prowadzi nas logiczne od dzikich hord aż do zjednoczonéj organicznie całéj ludzkości. Taki obraz podnosi ducha i otwiera przed nim dalekie widnokręgi.

Schäffle kończy czwarty tom ustępem o metodach, któremi społeczna nauka może i powinna posługiwać się. Wypowiedziawszy swoje zdanie o spostrzeganiu, metodzie indukcyjnéj i dedukcyjnéj, definicyi, teoryi, hipotezie itd., autor w taki sposób—rzec można—streszcza swoję metodę, któréj trzymał się przy pisaniu dzieła:

„Ze względu na bezpośrednio teoretyczne i pośrednio-praktyczne zadania nauki, przywiązujemy największą wagę do spostrzegania, oczyszczania, gromadzenia, klasyfikacyi, opisywania faktów i na dalsze indukcyjne wysnuwanie empirycznych historycznych praw wyższego porządku, na poznanie szczególnych przejawów ogólnego prawa rozwoju, w szczególnych warunkach każdego peryodu, każdego kraju, każdego narodu.

„Wprawdzie, najwyższym celem czystéj umiejętności jest genetyczne sprowadzenie wszystkich szczególnych społecznych faktów do ogólnego prawa. Lecz drabinę, która prowadzi do najwyższego celu umiejętności, mianowicie do objaśnienia wszystkich pojedyńczych i szczególnych objawów za pomocą jednego najwyższego prawa, trzeba pozostawić na miejscu i ciągle coraz dokładniéj obrabiać jéj stopnie, ażeby można było po niéj zstępować napowrót, dla uobrazowania i praktycznego ocenienia tego prawa w życiu“ (491, IV).

Z tych słów autora widzimy, że przypisuje on opisanéj metodzie zanadto wielkie znaczenie, i rzeczywiście w dziele swojém dał jéj przewagę nad genetyczną.

* * *

W całém dziele Schäfflego uwydatniają się dwie zasady: a) w dziale statycznym—biologiczna analogia pomiędzy zwierzęcym i społecznym organizmem; b) w dziale dynamicznym—dobór społeczny, będący skutkiem walki o byt.

Podobieństwo organizmu społecznego do zwierzęcego oddawna już zwracało na siebie uwagę. Pomiędzy innemi, Rousseau w swoim artykule o ekonomii politycznéj, zamieszczonym w głośnéj Encyklopedyi, trafnie pochwycił główne zewnętrzne rysy tego podobieństwa. Lecz dopiéro Herbert Spencer w 1868 r. postawił pierwszy tę analogią na gruncie ściśle naukowym. Wielce mu ułatwiała tę pracę ta okoliczność, że towarzyszyły jéj gruntowne, biologiczne i psycholo-

giczne badania. W wychodzącéj obecnie Socyologii poświęca on całą jéj drugą część dokładnemu badaniu téj analogii. Lecz najbardziéj stanowczo—że tak powiem—poparł ją Paweł Lilienfeld. Rozumowaniem i faktami wykazał, że organizm społeczny jest organizmem realnym, naturalnym, że rządzą w nim te same prawa co i w całéj przyrodzie; ponieważ społeczeństwo jest tylko wyższym wytworem tych samych sił, co działają w przyrodzie. Stanowczość twierdzeń Lilienfelda zaprowadziła go jednak do przesady, do zbyt niewolniczego—jak wyraziłem się gdzieindziéj—oglądania się na przyrodę (1).

Schäffle w bedaniach życia społecznego stanął także na gruncie przyrodniczym i oczewiście musiał dojrzéć analogie, istniejące pomiędzy indywidualnym i zbiorowym organizmem. Zająwszy się jednak we wstępie anatomiczném rozczłonkowaniem i opisaniem społeczeństwa, szukanie analogii posunął za daleko i często upatrywał je w znamionach bardziéj zewnętrznych niż wewnętrznych. Krytyka wytknęła to Schäfflemu, i sam on to spostrzegł, jakoż w następnych tomach widzimy większą powściągliwość jego w tym przedmiocie, a w końcu dzieła, w ustępie o metodach, autor broni się przeciwko zarzutowi nadużywania analogii, przeciwko temu jakoby je zamieniał na homologię, i utrzymuje, że zawsze wykazywał tylko analogię i nic więcéj (506, IV). Powiemy na to, że tego za mało. Podobieństwo może być albo tylko pozorne przypadkowe, albo rzeczywiste, konieczne. Pierwsze nie ma znaczenia, dla umiejętności ważném jest tylko drugie. Samo więc wykazywanie analogii nie jest dostateczne, trzeba jeszcze szukać *związku przyczynowego* pomiędzy podobnemi stronami; słowem, zamiana analogii w homologią jest postulatem naukowym, i powinniśmy do niéj zmierzać skoro podnosimy kwestyą analogii.

Przewaga opisowéj metody wiele zaszkodziła dziełu. Uczyniła je w wielu miejscach drobiazgowém i rozwlekłém. Nadto skrzywiła metodę porównawczą. Autor, porównywując organizmy indywidualny i społeczny, zawsze ma przed oczyma wyższy zwierzęcy i wyższy społeczny organizm. Tymczasem porównanie powinnoby się odbywać—że tak powiem—pomiędzy ogólnym typem biologicznym i ogólnym typem socyologicznym. Porównanie powinnoby być więcéj fizyologiczne, aniżeli anatomiczne; więcéj między podstawowemi zjawiskami, aniżeli między znamionami zewnętrznemi.

---

(1) Szczegółową ocenę pierwszych dwóch tomów jego dzieła: „Gedanken ueber die Sozialwissenschaft der Zukunft"—podałem we lwowskim *Tygodniku Polskim* z roku 1878 Dzieło Lilenfelda zostało skończone w 1879 roku.

Autor o wiele był szczęśliwszy w rozwinięciu dynamicznéj zasady: doboru społecznego jako następstwa walki o byt. Miał wprawdzie na tém polu dzielnych przewodników w Peschelu i Hellmoldzie, często też korzysta z ich wskazówek—ale nikt tak systematycznie jak on nie przeprowadził téj zasady przez wszystkie dziedziny życia społecznego.

Ważną zasługę Schäfflego jest umiejętne wcielenie ekonomii politycznéj do całokształtu umiejętności socyologicznéj. Sama ekonomia polityczna, podniesiona do należnego jéj miejsca w socyologii, wyszła u niego z ciasnych granic, któremi w celach tendencyjnych usiłowano ją dotąd ogradzać. Podwójna ta wielka zasługa Schäfflego okupuje w zupełności wady jego dzieła.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

= **Pogadanki o życiu.** *Popularny wykład nauki obyczajowéj przez Henryka Wernica.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1882 r., str. II i 77. Książeczka ta przeznaczona jest dla warstw małoukształconych, ale pragnących się kształcić coraz więcéj. Z zadania więc swojego odznacza się wielką prostotą wyrażenia, wykładem jasnym, łatwym i przystępnym dla każdego, kto umie czytać płynnie. Według powszechnie i oddawna przyjętego zwyczaju w nauce moralności, rozpoczyna się przedstawienie rzeczy od uwag, odnoszących się do obowiązków względem ciała, mówi się tu więc o umiarkowaném jedzeniu i piciu, o schludném, choć ubogiém ubieraniu się, o potrzebie udawania się do lekarza w razie choroby. Następnie wykazuje autor potrzebę kształcenia duszy, kładąc główny nacisk na konieczność wykonywania każdéj roboty *jaknajlepiéj*, czego bez wykształcenia dokonać nie można; stąd mowa o korzystaniu z nauki szkolnéj, o czytaniu pożytecznych książek, o zachowaniu czystego sumienia. Po obowiązkach względem siebie, następują obowiązki względem innych ludzi, zwierząt i rzeczy. O niewłaściwości dręczenia zwierząt pisano i mówiono już oddawna, ale autor chcąc związać łańcuchem obowiązków ziemię całą, stara się wykazać, że człowiek nawet martwe przedmioty powinien otaczać pewną miłością; w rozumowaniu atoli, pragnąc być jasnym, mówi właściwie o poszanowaniu cudzéj własności, kiedy np. nie każe niszczyć dróg, mostów, drzew, kościołów, kiedy nie każe przywłaszczać ani kawałka kamienia ze stosów złożonych na drodze, ani jednéj cegły z nagromadzonych do budowy domu. Dla ścisłości pojęcia lepiéj było zupełnie pominąć na tém miejscu całe to rozumowanie, a przenieść je do dalszych ustępów, gdzie mowa o obowiązkach względem społeczeństwa lub o własności obcéj. Stawiając najwyższą zasadę postępo-

wania z ludźmi, autor krytykuje dwie podawane zazwyczaj („czyń to innym, cobyś pragnął, aby i tobie czyniono“, — „nie czyń nikomu nic takiego, coby mu szkodę lub przykrość sprawiło“), a zaleca trzecią jakoby mieszczącą w sobie dwie powyższe „postępnéj tak, jakbyś chciał, aby wszyscy ludzie postępowali.“ Jestto zmodyfikowana i uproszczona zasada Kanta; mimo jednak powagi tak wielkiego imienia, nie można jéj przecie za zupełnie wolną od niedoskonałości poczytywać; w zasadzie téj, równie jak w dwu poprzednich, pozostawiono indywidualnemu usposobieniu nadzwyczaj szerokie pole w ocenie tego, co dobre i cnotliwe. Wykład obowiązków względem żony, dzieci, wyższych i niższych wogóle jest zadawalniający; tam jednak gdzie autor stara się stłumić w sercu biednego czytelnika zazdrość względem bogaczów (str. 36, 37) lepiejby podobno było dobitnie a przekonywająco wykazać znaczenie własności osobistéj, aniżeli chwytać się rozumowań, które się wprawdzie i w podręcznikach ekonomicznych powtarzają, ale nie są zbyt silne. Gdyby bogacze *nie pozwalali* sobie pewnego zbytku, bez którego ty się obchodzisz, ilużby ludzi zostało pozbawionych pracy i zatrudnienia? Nie pocieszająca-to wcale perspektywa dla biedaka, że ażeby mógł pracować w pocie czoła, potrzeba, aby bogacze pozwalali sobie zbytków .. Autor nie zapomina wprawdzie zaraz na następnéj stronicy wskazać, iż jedyném źródłem bogactw jest wytrwała i rozumna praca, ale zdanie to i cały dalszy wywód nie zostają w ścisłym logicznym związku z poprzedniemi argumentami za potrzebą istnienia bogaczów. Dobrym jest rozdział, w którym autor przedstawia znaczenie społeczeństwa i obowiązków społecznych, mając ciągle w pamięci i na widoku konieczność pracy i oświaty. Ostatni rozdział poświęcony jest wskazaniu obowiązków względem Boga, przyczém autor kładzie nacisk na ideę tolerancyi. W zakończeniu znajdujemy piękne upomnienia dotyczące obowiązku wogóle. Jedna tylko okoliczność razi tu nas cokolwiek. Autor nie spodziewał się chyba, że książeczkę jego czytać będą kobiety, gdy powiada, że „prawdziwa godność *mężczyzny* zasadza się na wierności w pełnieniu obowiązków“ (str. 76). A nie jestto jedynie chwilowy usterk pióra, autor bowiem ciągnie daléj: „Skoro zaś pozwolisz, że nad twém sumieniem weźmie górę sobkostwo i namiętność, wtedy zrzekasz się swéj męskości, tracisz swą niezależność i stajesz się niewolnikiem twych zmysłów.“ Takie wyrażenia dziśby już powinny być wykreślone ze wszelkich rozpraw moralizujących publiczność; obowiązek nie tylko mężczyzn obowiązuje lecz w równéj mierze i kobiéty; i gdyby autor w tym względzie był zredagował ustęp tu przytoczony, z większą słusznością mógłby powiedzieć w końcu swéj pracy:

„Błogo temu narodowi, w którym wyraz obowiązków wstrząsa jakby iskra elektryczna, *wszystkich* serca i umysły.“

= **Kilka słów o Edwardzie Rastawieckim** *i o rzeczywistém znaczeniu naszéj Galeryi narodowéj w Poznaniu. Odczyt miany w Towarzystwie Przemysłowém dnia 20 lutego 1882 przez hr. Wawrz. Benzelstjerna Engeström. Odbitka z „Dwutygodnika dla kobiet.“* Poznań, 1882, str. 33. Nie tylko opowiedzenie dziejów ubogiego w wypadki życia Rastawieckiego wziął sobie za zadanie prelegent, ale także wdrożenie w umysły słuchaczów téj wielkiéj prawdy, że wielki a rozumny patryotyzm przejawić się może a w naszém położeniu przejawić się powinien w uczciwéj, legalnéj i jawnéj pracy na różnorodnych polach pracy dla kraju. Autor nie zamierzał pisać ani historyi ani filozoficznego na sprawy nasze społeczne poglądu, lecz „uniesiony sercem w dziedzinę marzeń ulotnych“ przemawia gorąco w imię idei owéj pracy, powolnéj i cichéj, a jako dobrą illustracyą idei téj w zakresie sztuki podaje życie i działalność Edwarda Rastawieckiego, który zebrał i Seweryna Mielżyńskiego, który krajowi darował „galeryą artystów polskich.“ Wzgląd ten prowadzi autora do skreślenia w króciutkim zarysie historyi sztuki na gruncie wielkopolskim, gdzie się „idea estetyczna najpierwéj u nas przejawiła.“ Ograniczyć się tu musiał naturalnie na wymienieniu nazwisk i wskazaniu główniejszych utworów, wykonanych przez artystów wielkopolskich, a to w tym celu, ażeby pobudzić słuchaczów“ do rozważenia, do wspólnego zajęcia myśli“ tą przeszłością i temi śladami twórczości, które nam o pracy przodków mówią. W tym też celu i my drobną tę pracę zacnego męża czytelnikom polecamy.

= **Les oeuvres d'imagination.** *Essai d'Esthétique littéraire par Jules Guillemin, professeur de littérature française à Varsovie, membre de plusieurs sociétés savantes de France.* Varsovie 1882, str. 92. Jestto praca nie mająca pretensyi do znaczenia ściśle naukowego; jako wykład pedagoga ma przedewszystkiém na widoku uczniów i uczennice; jasność i przystępność są jéj najważniejszą zaletą. Autor nie stara się o sprowadzenie różnorodnych objawów piękna do jakiéjś spólnéj zasady, nie ubiega się o filozoficzne objęcie przedmiotu, ale opierając się na faktach empirycznie dostrzeganych, klasyfikuje tylko objawy piękna literackiego pod pewne rubryki i w formie luźnéj a łatwéj pogadanki pojęć swoich czytelnikowi udziela. Przyznaje, że do sformułowania swojéj „tezy“ estetycznéj doszedł na drodze indukcyjnéj przy odczytywaniu Gustawa Planche'a, głośnego przed laty krytyka francuskiego, któremu robi ten jedynie zarzut, że wykład jego jest ciężki i wydaje się zbyt często nacechowanym ferulą nauczycielską. Teza ta streszcza się w zdaniach następnych: „Po-

siadamy kilka władz, które się budzą i doznają zadowolenia przy czytaniu pięknego dzieła literackiego. Oto są te władze: *imaginacya*, *czułość*, *rozum*, *zmysł moralny*, *smak*. Jeżeli autor potrafi w dziele swojém rozwinąć takie przymioty, które odpowiednio zadawalniają te pięć władz, to spełni wszystkie warunki estetyczne doskonałości dostępnéj dla człowieka. Pisarz czyniący zadość niektórym tylko z tych warunków, może mieć wielką wartość, ale tém większy podziw obudza, im większą liczbę warunków wypełnia.“ W wyliczeniu powyższém na pierwszy rzut oka spostrzegamy brak *zmysłów*, a mianowicie zmysłu *słuchu*, od którego przecież piękne dzieło literackie w znacznéj części zależy, jako od fizycznéj podstawy poezyi. Zrozumiéć-by to można, gdyby autor wcale nie wspominał o zewnętrznéj stronie utworów literackich, o języku i stylu, ale gdy w zakończeniu za jeden z warunków piękna literackiego podaje „ton i styl“ (str. 57) i gdy w uwagach swoich krytycznych nad niektóremi poezyami główny nacisk kładzie na wyrażenia i na rymy; to opuszczenie zmysłów w powyższém wyliczeniu władz, które zadawalniać ma poezya, jest istotną luką w teoryi czy w „tezie“ autora. W szczegółowém obrobieniu owych pięciu władz duszy wiele p. G. podaje trafnych uwag; we wszystkiém prawie zgodzić się z nim można, nowości tu bowiem nie ma, ale znajdujemy zużytkowane we właściwém miejscu spostrzeżenia znane i niejednokrotnie wypowiadane. W rozdziale o smaku z pewną uroczystością zapowiada autor, że w ocenie wielu utworów nie zgadza się z powszechnie przyjętemi sądami. Myślałby kto, że autor ma na myśli jakieś dzieła znakomite, zapowiada bowiem, że dotyka się arki świętéj, że jego sceptycyzm nazwą świętokradztwem; tymczasem autor wylicza parę krótkich poezyjek, o których znakomitości wiedzą tylko czytelnicy różnych wypisów i chrestomatyj, daléj jednę scenę z Fedry Racine'a i Joannę d'Arc Delavigne'a. Mimowoli przypomina się znany wiersz Horacego: *parturiunt montes*. . . Ale szczegół ten najlepiéj charakteryzuje przeznaczenie pracy autora; szło o wskazówki dla uczniów i uczennic, czytających wypisy francuskie i uczących się na pamięć różnych wyjątków. W „dodatkach“ oprócz kilku urywków poetycznych znajdujemy ciekawy spis „typów literatury francuskiéj“ i rozbiór czysto formalny dwu wierszyków „Anioł i Dziecię“ Reboula, „Woły“ Duponta. Książeczka pana Guillemin w swoim skromnym zakresie może być użyteczną.

ODEZWA.

W roku bieżącym kończy T. T. Jeż 25 lat służby publicznej. Niżej wymienione grono ludzi, pokrewnych mu duchem a pobudzonych obowiązkiem, chcąc uczcić tę drogą nam rocznicę pracy wielkiego pisarza, wyda pod jego imieniem książkę zbiorową. Kto, jak Jeż, zbogacił społeczeństwo swoje szeregiem utworów znakomitych; kto je tak ukochał i tak oświecić pragnął, ten na uroczystość swego jubileuszu nie potrzebuje być wprowadzony przez nas z żadnem szczegółowem objaśnieniem. Na to przez 25 lat pracował, na to stworzył *Wasyla Holuba, Krwawe Dzieje, Szandora Kowacza, Historyę o praprawnuku i prapradziadku, Narzeczoną Harambaszy, Dahijszczyznę, Hryhora Serdecznego, Uskoki* i inne powieści; na to mężnie walczył piórem w naszej obronie — ażeby dziś samo jego nazwisko było wyrazem zasług dostatecznie zrozumiałym i ażeby w pamiątkowej chwili skupiło wszystkich światłych jego ziomków dla złożenia strudzonemu pracownikowi ogólnego hołdu.

Jeż należy do tych wyjątkowych u nas umysłów, których starość od najświeższych prądów myśli ogólnej i krajowej nie odrywa, lecz na falach postępu utrzymuje. Przejęty do głębi uczuciem obywatelskiém, odczuwszy sercem pragnienia narodu, jednocześnie ogarnął jasnym rozumem jego potrzeby i zalecał ich zadośćuczynienie w duchu wieku. Od wstąpienia na drogę pisarską, kładąc największy nacisk na spółczesne zagadnienia społeczne, stawał zawsze w obronie słabych i uciśnionych, wskazywał prawdziwe, na rzeczywistości oparte ideały, opromieniał szlachetnem światłem pracę, chłostał dzielnie te ujemne czynniki, co tamują rozwój sił krajowych—był apostołem dążeń i przekonań, które następnie młodzież za swoje hasła uznała.

Pierwsza to sposobność, powołująca ogół do nagrodzenia swego zasłużonego syna; mamy nadzieję, że ten obowiązek spełnimy tak rzetelnie i gorliwie, jak go na uroczystości drugiego znakomitego pisarza, Kraszewskiego, spełniliśmy niedawno.

Książka nasza p. t. **Ognisko** wyjdzie pod koniec bieżącego roku, w objętości 30—40 arkuszy druku wielkiej ósemki. Nie będzie ona zawierała wyłącznie artykułów o jubilacie, lecz, obok

wizerunku jego i ogólnego poglądu na jego działalność, obejmie wiąskę prac, zebranych według pewnego planu a przeniknionych tym duchem, który z pism Jeża wieje. Wszystkie działy nauki i literatury, o ile ramy i warunki pozwolą, będą w niej uwzględnione.

Następujący autorowie zaofiarowali swoje współpracownictwo: J. Baudouin de Courtenay, A. G. Bem, J. J. Boguski, P. Chmielowski, K. Dunin, A. Dygasiński, A. Głowacki (B. Prus), W. Gosiewski, J. Karłowicz, M. Konopnicka, J. Kotarbiński, S. Kramsztyk, J. Ochorowicz, F. Olszewski, E. Orzeszkowa, Ig. Radliński, Wł. Smoleński, W. Spasowicz, F. Sulimierski, A. Świętochowski, J. Szyff, Zgliński.

Drogą *przedpłaty* książka kosztować będzie w Warszawie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5.

Po pokryciu kosztów wydania za całą resztę funduszu zakupimy powiastkę u Jeża, która prenumeratorom książki jubileuszowej rozesłaną będzie *bezpłatnie*.

Liczba abonentów *Ogniska*, których listę wydrukujemy, stanowić będzie o wysokości honorarium za tę powiastkę a więc o materyalném wynagrodzeniu 25-letniej pracy znakomitego pisarza, który nie jest tyle szczęśliwym, ażeby mógł już po trudach w dostatku odpocząć.

Wszystkie pisma polskie prosimy o powtórzenie tej odezwy, o przyjmowanie przedpłaty na *Ognisko* i przelewanie jej do redakcyi *Prawdy*; ogół zaś—o jaknajszersze wzięcie udziału w hołdzie dla zasłużonego pisarza.

Dla zapobieżenia wyczerpaniu książki zwracamy uwagę na konieczność pospiechu w przesyłce zamówień, gdyż liczba egzemplarzów zastosowaną będzie ściśle do ilości żądań.

Do słów powyższéj odezwy redakcya Ateneum tyle tylko dodać może, że ze swéj strony najserdeczniéj przyklaskuje myśli uczczenia zasług pisarza, który w ciągu całego swego zawodu zacnie i rozumnie służył sprawie rozwoju narodowego i niejedną rzucił myśl zdrową, co piękne i obfite wydała plony. Zachęcając czytelników do wzięcia udziału w uczczeniu Jeża za pośrednictwem prenumeraty na „Ognisko" zachęcamy ich tylko do spełnienia obowiązku, jaki się należy zasłudze.

Życzącym sobie składać prenumeratę w redakcyi naszego pisma, chętnie pośredniczyć będziemy.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.

